



# REKA FATIMY

**ILDEFONSO FALCONES**

Z hiszpańskiego przełożyły  
TERESA GRUSZECKA-LOISELET  
ANNA ŁOCHOWSKA



Wydawnictwo  
A. Kurylewicz

Tytuł oryginału:  
LA MANO DE FÁTIMA

Copyright © Ildefonso Falcones de Sierra 2009  
All rights reserved

Translated from the original edition of Random House Mondadori,  
Barcelona, Spain, 2009

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010

Polish translation copyright

© Teresa Gruszecka-Loiselet & Anna Łochowska 2010

Author's photo © Gentz Muñoz (licensed by Círculo de Lectores S.A.)

Okładka przedstawia wnętrze Wielkiego Meczetu w Kordobie,  
*La Mezquita de Córdoba*

Redakcja: Barbara Nowak

Konsultacja historyczna: dr Katarzyna Pachniak

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-171-1  
(oprawa miękka/szara)

ISBN 978-83-7659-252-7  
(oprawa miękka/czerwona)

ISBN 978-83-7659-172-8  
(oprawa twarda)

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk  
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.  
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)



*Sprzedaż wysyłkowa — księgarnie internetowe*

[www.ernpik.com](http://www.ernpik.com)  
[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)  
[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)  
[www.amazonka.pl](http://www.amazonka.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS  
ANDRZEJ KURYŁOWICZ  
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2010. Wydanie I/oprawa miękka  
Druk: Opolgraf S.A., Opole

*Moim synom:*

*Ildefonsowi, Alejandrowi, Josému Marii i Guillermowi*



*Muzułmanin, który walczy lub znajduje się w środowisku pogańskim, nie ma obowiązku różnić się wyglądem od otoczenia. W takich okolicznościach muzułmanin może pragnąć lub zostać zmuszonym do tego, aby wyglądać tak samo jak inni, pod warunkiem że swą postawą służy religii, a więc głosi zasady wiary, zdobywa sekrety, które przekazuje muzułmanom, zapobiega krzywdom, stara się być pożyteczny.*

AHMAD IBN TAJMIJJA (1263—1328)  
słynny prawnik arabski



# I

## W imię Allaha

*...Walczyliśmy codziennie z wrogami, mrozem, upałem, głodem, powszechnym brakiem amunicji i wszelkiego sprzętu, nowymi stratami i nieustannym żniwem śmierci, aż ujrzeliśmy wrogów. Cały wojowniczy naród uzbrojony, ufny — pomimo obleżenia — w pomoc barbarzyńców i Turków został zwyciężony i pokonany, wygnany ze swej ziemi, ograbiony z domostw i mienia; mężczyźni i kobiety pojmani i związani; dzieci sprzedawane na targu jako niewolnicy lub wywożone na obcą ziemię z dala od swoich... Wątpliwe zwycięstwo o tak niebezpiecznych skutkach, że czasem zastanawiano się, kogo Bóg chciał ukarać: nas czy wrogów?*

DIEGO HURTADO DE MENDOZA

*Guerra de Granada, księga pierwsza*





# 1

## *Juviles, Alpuhara, królestwo Grenady, niedziela, 12 grudnia 1568*

Dźwięk dzwonu wzywającego na sumę o dziesiątej rano przeszył mroźne powietrze spowijające osadę położoną na jednym z wielu stoków pasma Sierra Nevada. Metaliczne echo ginęło w wąwozie, jakby chciało roztrzaskać się o zbocza łańcucha górskiego Contraviesa, zamykające od południa żyzną dolinę z rzekami Guadalfeo, Adra i Andarax, nie licząc wielkiej ilości ich dopływów, których wody spadają z zaśnieżonych szczytów. Dalej, za łańcuchem Contraviesa, ziemie Alpuhary ciągną się aż do Morza Śródziemnego. W nieśmiałych promieniach zimowego słońca blisko dwieście osób — mężczyzn, kobiet i dzieci — wlokło się noga za nogą, w milczeniu, do kościoła. Coraz większy tłum gromadził się przed drzwiami wyjściowymi.

Świątynia z kamienia koloru ochry, bez jakichkolwiek ozdób, składała się jedynie z prostokątnego korpusu, przy którym, z jednego boku, wznosiła się masywna wieża z dzwonem. Z placu przed kościołem rozpościerał się widok na przełęcz i płataninę ścieżek biegnących zboczami z Sierra Nevada ku dolinie. Stąd rozchodziły się wąskie uliczki z domami bielonymi sproszkowanym łupkiem: budynki jedno- lub dwupiętrowe z małutkimi oknami i drzwiami, z płaskimi dachami, z których wystawały okrągłe kominy zwieńczone kołpakami w kształcie grzyba. Na dachach

suszyły się w słońcu papryki, figi i winogrona. Ulice pięły się zygzakami, tak że płaskie dachy domów niżej położonych stykały się z fundamentami usytuowanych wyżej, jakby wspinały się jedno po drugim.

Na placu przed wejściem do kościoła kilkoro dzieci i paru starych chrześcijan — wioska liczyła ich nieco ponad dwudziestkę — przyglądało się staruszce na drabinie przystawionej do głównej fasady świątyni. Kobieta przycupnęła na samej górze, trzęsąc się i szczerkając szczerbatymi zębami. Wchodzący do kościoła moryskowie nie mogli oderwać wzroku od swojej siostry w wierze. Tkwiła tam już od świtu, trzymając się ostatniego szczebla drabiny, lekko ubrana mimo zimowej pory. Dzwon wciąż dzwonił i któreś dziecko dostrzegło, że kobieta porusza się w rytm uderzeń serca dzwonu, próbując utrzymać równowagę. Ktoś zachichotał, mącąc ciszę.

— Wiedźma! — dało się słyszeć między parsknięciami śmiechu.

W stronę staruszki poleciało parę kamieni, przechodzący obok pluli na drabinę.

Dzwon przestał bić; stojący na zewnątrz chrześcijanie w pośpiechu wchodzili do kościoła. W środku, nieopodal ołtarza głównego, klęczał zwrócony twarzą do wiernych gruby, smagły mężczyzna ogorzały od słońca, bez płaszcza czy peleryny, z powrozem na szyi i rozkrzyżowanymi ramionami, a w każdej dłoni trzymał gromnicę.

Przed kilkoma dniami ów człowiek wręczył staruszce koszulę swej chorej żony, żeby uprała ją w cudownym źródle, które — jak wieść głosi — miało moc uzdrawiania. W tym naturalnym źródleku ukrytym między skałami, wśród roślinności gęsto porastającej górę, nigdy nie prano bielizny. Kiedy miejscowy proboszcz don Martín zobaczył kobietę piorącą koszulę, nie miał ani cienia wątpliwości, że chodzi o jakieś czary. Karę wymierzono niezwłocznie: staruszka miała spędzić całe niedzielne przedpołudnie na szczycie drabiny, wystawiona na ludzkie pośmiewisko. Naiwny morysk, który zamówił u niej czary, musiał odpokutować swą

winę przez wysłuchanie mszy na klęczkach, żeby wszyscy zgromadzeni mogli na niego patrzeć.

Zaraz po wejściu do kościoła mężczyźni zatrzymali się w tylnej części świątyni, a ich żony i córki poszły do przodu, zajmując przeznaczone dla nich miejsca. Pokutnik spoglądał niewidzącym wzrokiem. Wszyscy go znali: był dobrym człowiekiem, dbał o swoją ziemię i parę krowin. On pragnął tylko pomóc chorej żonie! Mężczyźni zaczęli kolejno ustawiać się za kobietami. Kiedy już wszyscy znaleźli się na swoich miejscach, wyszedł przed ołtarz proboszcz don Martín, prebendarz don Salvador i zakrystian Andrés. Don Martín, tęgi, z czerwonymi plamami na bladej twarzy, wystrojony w ornat ze złotogłowa, usadowił się w fotelu na wprost zgromadzonych. Prebendarz i zakrystian stanęli po jego obu stronach. Zamknięto drzwi kościoła; ustały przeciągi, a lampy zaświeciły jaśniej. Światło odbijało się wieloma kolorami od kasetonowego stropu w stylu mudejar kontrastującego z surowością i smutkiem retabulum ołtarza głównego i naw bocznych.

Zakrystian, wysoki młodzian w czarnym stroju, chudy, o śniadej cerze, podobnie jak znaczna większość wiernych, otworzył jakąś księgę i odchrząknął.

— Francisco Alguacil — przeczytał.

— Obecny.

Zakrystian spojrzął na mówiącego i zanotował coś w książce.

— José Almer.

— Obecny.

Kolejna adnotacja. „Milagros García, María Ambroz...”. Odpowiedzi wywoływanych „obecny, obecna” brzmiały coraz mniej wyraźnie, w miarę jak przeciągało się odczytywanie nazwisk. Zakrystian kontynuował sprawdzanie listy obecności, przyglądając się twarzom wywołanych osób i robiąc notatki.

— Marcos Núñez.

— Obecny.

— Nie było cię na mszy w ubiegłą niedzielę — rzekł zakrystian.

— Byłem, ale... — Mężczyzna próbował coś wyjaśnić, lecz

głos mu się załamał. Dokończył zdanie po arabsku, wymachując kartką.

— Podejdź bliżej! — rozkazał Andrés.

Marcos Núñez przecisnął się do przodu i stanął u stóp ołtarza.

— Byłem w Ugíjar — zdołał tym razem wykrztusić i podał kartkę zakrystianowi.

Obejrzawszy pobieżnie ten dokument, Andrés przekazał go proboszczowi, a ten przeczytał uważnie, obejrzał podpis i skrzywił się na znak potwierdzenia, że wszystko się zgadza — główny opat kolegiaty w Ugíjar zaświadcza, że w dniu 5 grudnia roku 1568 nowy chrześcijanin nazwiskiem Marcos Núñez, zamieszkały w Juviles, był na sumie odprawianej w tej miejscowości.

Zakrystian uśmiechnął się nieznacznie i zanotował coś w swej książce, zanim wrócił do odczytywania niekończącej się listy nazwisk nowych chrześcijan — muzułmanów zmuszonych przez króla do przyjęcia chrztu i przejścia na chrześcijaństwo. Miał obowiązek sprawdzać ich obecność na nabożeństwach w każdą niedzielę i w dni nakazane. Kiedy wywoływany nie odpowiadał, Andrés starannie odnotowywał jego nieobecność. Dwie kobiety w przeciwieństwie do Marcosa Núñeza usprawiedliwionego przez proboszcza z Ugíjar nie miały nic na usprawiedliwienie swej nieobecności na mszy odprawianej w ubiegłą niedzielę. Obie próbowały tłumaczyć się nieskładnie. Andrés nie przerywał im, tylko przeniósł wzrok na proboszcza. Jedna z kobiet natychmiast zamilkła, gdy tylko don Martín uciszył je władczym gestem dłoni; ale druga wciąż powtarzała, że tamtej niedzieli była chora.

— Spytajcie mojego męża! — zawołała piskliwie, szukając go nerwowo oczami w tylnych rzędach. — On wszystko wam...

— Milcz, służko diabła!

Po tych słowach don Martína kobiecie odjęto mowę i skuliła ramiona. Zakrystian zapisał jej nazwisko: obie kobiety zostały skazane na pół reala grzywny.

Upłynęło jeszcze trochę czasu, zanim Andrés skończył liczenie wiernych i rozpoczęła się msza. Na wstępie don Martín polecił

zakrystianowi dopilnować, żeby pokutnik podniósł wyżej ręce, w których trzymał gromnice.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...

Nabożeństwo przebiegało opieszale, choć mało kto rozumiał słowa Pisma Świętego. Niewielu też było w stanie nadażyć za burzliwą w tonie homilią, pełną reprimend pod adresem zgromadzonych.

— Jak można wierzyć, że źródłana woda uzdrowi kogoś z choroby? — Don Martín wytknął palcem klęczącego mężczyznę. Ręka mu drżała, gdy mówił z groźnym wyrazem twarzy: — Oto wasza pokuta. Tylko Chrystus może wyzwolić was z nędzy i cierpień, które zsyła na was za rozpustę, bluźnierstwa i świętokradcze postęпки!

Większość z wiernych nie mówiła po kastylijsku; niektórzy porozumiewali się z Hiszpanami w dialekcie *aljamiado* będącym mieszaniną arabskiego i kastylijskiego. Niemniej jednak wszyscy musieli znać Ojcze nasz, Zdrowaś, Maryjo, Wierzę w Boga, *Salve Regina* i dziesięcioro przykazań po kastylijsku. Dzieci uczyły się tego od zakrystiana, mężczyźni i kobiety na obowiązkowych lekcjach katechezy prowadzonych w piątki i soboty; za nieobecność karano grzywną i odmową udzielenia sakramentu małżeństwa. Moryskowie byli zwolnieni z obowiązku uczęszczania na te lekcje dopiero wtedy, gdy wykazali się dobrą znajomością modlitw.

Podczas mszy niektórzy się modlili. Dzieci, wpatrzone w zakrystiana, robiły to głośno, prawie krzycząc, tak jak nakazywali im rodzice, gdyż wtedy oni mogli wzywać ukradkiem, za plecami don Salvadora, który przechadzał się nieustannie po kościele: *Allahu Akbar*. Wielu szeptało te słowa z zamkniętymi oczami, wdychając.

— O Łaskawy! Uwolnij mnie od przywar i nałogów... — padały słowa modlitwy w szeregach mężczyzn, kiedy tylko prebendarz nieco się oddalił. Nie robił tego zbyt często, jakby obawiał się prowokacji ze strony morysków wdychających do mużułmańskiego Boga w chrześcijańskiej świątyni podczas głównej mszy.

— O Najwyższy! Prowadź mnie w mocy swojej!... — zawołał

młody morysk kilka rzędów dalej w trakcie głośnego odmawiania ojczenasz wykrzykiwanego przez dzieci.

Don Salvador odwrócił się gwałtownie.

— O Dawco pokoju! Okryj mnie chwałą Twoją... — rozległ się inny głos z przeciwległej strony świątyni.

Prebendarz poczerwieniał ze złości.

— O Miłosierny! — odezwał się ktoś trzeci.

Chrześcijańska modlitwa urwała się nagle i znów słyszeć było surowy głos proboszcza.

— Błogosławione jest Twoje imię — padło z końca szeregów wiernych.

Moryskowie ani drgnęli, stali sztywno wyprostowani; niektórzy wytrzymali spojrzenie don Salvadora, większość spuściła oczy. Kto ośmielił się chwalić imię Allaha? Prebendarz kuksańcami torował sobie drogę, ale nie potrafił wskazać na bluźniercę.

W połowie mszy, pod czujnym wzrokiem don Martína siedzącego w fotelu, zakrystian z książką, a prebendarz z koszykiem w rękę przystąpili do zbierania datków od parafian: drobne monety, chleb, jajka, len... Jedynie biedacy byli zwolnieni od składania ofiar; a na bogaczy, którzy przez trzy kolejne niedziele nic nie dali, nakładano stosowną grzywnę. Andrés szczegółowo zapisywał, kto jaką złożył ofiarę.

Kiedy zabrzmiał dzwonek „na umieranie”, jak nazywano przeistoczenie, moryskowie niechętnie uklękli, idąc za przykładem starych chrześcijan. Dzwonek „na umieranie” zabręczał najpierw w momencie, gdy ksiądz, stojąc tyłem do wiernych, podnosił hostię, a potem gdy podnosił kielich. Już miał wypowiedzieć sakramentalne słowa, gdy nagle, rozzłoszczony wzbierającym w kościele gwarem, odwrócił się do parafian, żeby ich zwymyślać.

— Psy! — ryknął, pryskając śliną na święty kielich. — Co to za gadanie? Ma być cisza! Na kolana, heretycy! Należycie przyjmować Chrystusa, jedyne Boga! Ty! — Wycelował wskazującym palcem w starca z trzeciego rzędu. — Wyprostuj się! Uwielbiaj Pana, a nie swego fałszywego boga. Głowa do góry! Nie spuszczać oczu, kiedy przyjmujecie Najświętszy Sakrament!

Sporunował wzrokiem kolejnych dwóch morysków, zanim znów się odwrócił do ołtarza. Następnie mężczyźni i kobiety podchodzili w milczeniu, żeby zjeść „ciastko”. Wielu morysków próbowało ukryć w ustach pod językiem zaśliniony kawałek pszenicznej masy i wypluć po powrocie do domu; wszyscy bez wyjątku będą płukać gardło, żeby pozbyć się resztek „ciastka”.

Ludzie opuścili kościół po błogosławieństwie końcowym. Jedni — chrześcijanie — przyjęli je nabożnie, inni — tych była większość — szydzili, żegnając się na wspak. Wyznawali bowiem w milczeniu jedyne Boga i kpili sobie z Trójcy Świętej, którą mieli chwalić przez znak krzyża. Moryskowie w pośpiechu wracali do swych domów, żeby wypluć „ciastko”. Nieliczni miejscowi chrześcijanie przystawali na pogawędkę w drzwiach kościoła, nie bacząc, że ich dzieci znieważają staruszkę, która wreszcie spadła z drabiny i leżała na ziemi, skulona i zdrtwiała, oddychając z trudem sinymi wargami. W świątyni pozostał jeszcze pokutnik, gdyż proboszcz wraz z pomocnikami przedłużyli mu karę, i podczas gdy przenosili z ołtarza do zakrystii przedmioty liturgiczne, wciąż wypominali mu winę.

## 2

*Moryskowie podnieśli bunt, to prawda, ale to starzy chrześcijanie doprowadzili ich do rozpaczny swoją arogancją, grabieżą ich mienia i bezczelnym zniewalaniem ich kobiet. Dotyczy to również duchownych. Kiedy w jednej z wiosek wszyscy moryskowie narzekali na swojego duszpasterza, arcybiskup polecił sprawdzić zasadność tych skarg. Zabierzcie go stąd, prosili parafianie... albo niech się ustatkuje i weźmie sobie żonę, bo wszystkie nasze dzieci rodzą się z niebieskimi oczami, jak jego.*

FRANCÉS DE ÁLAVA, ambasador Hiszpanii  
we Francji, do Filipa, II, 1568

Juviles było stolicą *taa*, okręgu liczącego dwadzieścia parę wiosek rozrzuconych po stromych zboczach Sierra Nevada. Z całej powierzchni ziemi uprawnej tylko nieco ponad ar stanowiły grunty nawadniane. Uprawiano głównie pszenicę i jęczmień, prawie sto osiemdziesiąt hektarów przypadało na winorośl, oliwki, drzewa figowe, orzechowe, kasztanowe i przede wszystkim morwy, pokarm jedwabnika. Było to największe źródło bogactwa w tym rejonie, choć jedwab z Juviles nie cieszył się takim uznaniem jak jedwabie z innych *taa* Alpuhary.

W tych górach, na wysokości ponad tysiąca łokci nad poziomem morza, pracownicy moryskowie cierpliwie uprawiali każdy, nawet najbardziej stromy skrawek ziemi, na którym dawało się zasiać trochę zboża. Zbocza przecinały tarasowe poletka wszędzie tam, gdzie nie było nagich skał, często w trudno dostępnych miejscach.



Tego dnia słońce stało już wysoko na niebie, kiedy po pracy w polu wracał do Juviles młody Hernando Ruiz, trzynastoletni chłopak o ciemnokasztanowych włosach i jasnej cerze, czym wyróżniał się wśród ciemnooliwkowych morysków. Rysy twarzy miał co prawda typowe dla morysków, jednakże spod gęstych brwi spoglądały duże niebieskie oczy. Był średniego wzrostu, szczupły, zwinny i muskularny.

Pozrywał ostatnie oliwki ze starego, powykręcane drzewa, które rosnęło obok poletka z zasianą pszenicą, odporne na surowy, górski klimat. Zamiast potrząsnąć gałęziami, żeby oliwki spadły na ziemię, wdrapał się na drzewo i zerwał co do jednej, nawet te, które miały odcień fioletowy. Słońce ogrzało zimne powietrze wiejące od Sierra Nevada. Hernando chętnie by tu jeszcze został, żeby powyrywać chwasty, a następnie odwiedzić starego Hamida, który z pewnością pracuje na swym skrawku ziemi. Kiedy przebywał z nim sam w polu albo na górskich ścieżkach, które przemierzali w poszukiwaniu cennych ziół do wyrobu lekarstw, nazywał go Hamid, a nie Francisco, jak chciały chrześcijańskie władze. Większość morysków miała dwa imiona: chrześcijańskiego używali między obcymi ludźmi, a muzułmańskiego między sobą. Tylko Hernando miał jedno imię, choć często nazywano go dla śmiechu „nazarejczykiem”.

Chłopiec instynktownie zwolnił kroku na myśl o tym przyzwisku. Nie był żadnym nazarejczykiem! Kopnął niewidzialny kamień i pospieszył w stronę domu położonego na obrzeżach osady, bo tam znajdowało się odpowiednie miejsce na wybudowanie szopy dla siedmiu mulic, z którymi jego ojczym przemierzał drogi Alpuhary. Jedną z nich, zwaną Staruszką, była ulubienicą Hernanda.

Przed niecałym rokiem dowiedział się od matki, skąd wzięło się to przyzwisko. Owego dnia wstał o świcie, żeby pomóc zaprzęgać muły ojczymowi, który miał na imię Brahim — José dla chrześcijan. Na koniec, kiedy klepnął pieszczotliwie Staruszkę po szyi na pożegnanie, otrzymał silny cios w prawe ucho i znalazł się na ziemi o kilka kroków dalej.

— Ty psie nazarejski! — wrzasnął Brahim, pochylając się nad nim z wściekłością. Chłopak potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć, i podniósł rękę do ucha. Z tyłu za ojczyzną dostrzegł matkę przemykającą do domu ze smutnie pochyloną głową. — Żle założyłeś popręg! — krzyczał mężczyzna, pokazując na jedną z mulic. — Chcesz, żeby otarła sobie boki i nie mogła pracować? Nie ma z ciebie żadnego pożytku, nazarejski darmożjadzie — splunął na chłopca. — Ty chrześcijański bękarcie!

Hernando uciekł na czworakach przed kopniakami ojczyzną i zagrzebał się w słomie w kącie szopy, chowając głowę w kolanach. Stukot mulich kopyt oznaczał, że Brahim wyruszył w drogę, i zaraz potem matka chłopca Aisza weszła do szopy z kubkiem lemoniady w rękę.

— Bardzo boli? — spytała, pochylając się i głaszcząc go po włosach.

— Dlaczego wszyscy nazywają mnie nazarejczykiem, matko? — załkał, podnosząc głowę znad kolan. Aisza przymknęła oczy, żeby nie widzieć zapłakanej twarzy syna. Chciała otrzeć mu łzy, ale Hernando odwrócił głowę. — Dlaczego? — powtórzył.

Aisza westchnęła głęboko, smętnie pokiwała głową i przykucnęła na słomie.

— No cóż, jesteś już dostatecznie duży — westchnęła znowu, jakby to, co miała powiedzieć, wymagało od niej wielkiego wysiłku. — Musisz wiedzieć, że czternaście lat temu, czyli o rok więcej, niż ty masz teraz, kiedy mieszkałam jeszcze z rodzicami we wschodniej części Almerii, proboszcz naszej wioski zgwałcił mnie... — Hernando drgnął i powstrzymał łkanie. — Tak, synu. Krzyczałam, broniłam się, jak nakazuje nasze prawo, ale co ja mogłam zrobić... ten potwór był silniejszy. Dopadł mnie w biały dzień z dala od wioski, w polu. Dzień był słoneczny. — Zamyśliła się smutno. — Byłam jeszcze dzieckiem! — krzyknęła. — Zerwał ze mnie koszulę, przewrócił na ziemię i...

Otrząsnęła się z tego wspomnienia, żeby wrócić do rzeczywistości. Syn wpatrywał się w nią nieruchomo szeroko otwartymi oczami.

— Jesteś owocem tego gwałtu — szepnęła. — Dlatego właśnie... Nazywają cię nazarejczykiem, bo twój ojciec był chrześcijańskim księdzem. To moja wina...

Matka i syn długo patrzyli na siebie. Łzy znów popłynęły po twarzy chłopca, ale tym razem przyczyna bólu była inna. Aisza walczyła z własnymi łzami, aż zrozumiała, że nie zdoła ich powstrzymać. Upuściła kubek z lemoniadą i wyciągnęła do syna ramiona, żeby w nich znalazł schronienie.

Młodziutka Aisza uratowała swój honor, ponieważ próbowała się bronić przed gwałcicielem, ale gdy tylko ciąży stała się widoczna, jej ojciec, skromny mulnik, mużulmanin, świadom, że nie uniknie hańby, zaczął szukać sposobu, żeby na nią nie patrzeć. Znalazł go dzięki Brahimowi. Ten młody, przystojny poganiacz mułów z Juviles, którego często spotykał na drodze, zgodził się poślubić jego córkę w zamian za dwa muły w posagu: jeden za dziewczynę, a drugi za dziecko, które nosiła w swym łonie. Początkowo Brahim trochę się wahał, ale był młody, biedny i chciał mieć własne stado zwierząt. Poza tym miał nadzieję, że dziecko się nie urodzi, a jeśli już, to pewnie zaraz umrze... Warunki życia były tak trudne na tej niegościnniej ziemi, że dzieci masowo umierały wkrótce po urodzeniu.

Czuł wstręt do dziewczyny zgwałconej przez chrześcijańskiego księdza, mimo to przystał na zaproponowaną transakcję i zabrał Aiszę z sobą do Juviles.

Tymczasem, wbrew nadziejom Brahima, Hernando urodził się zdrowy i silny, z niebieskimi oczami księdza gwałciciela. I nie umarł w dzieciństwie. Wieść o jego pochodzeniu podawano sobie z ust do ust. Ludzie ulitowali się nad zgwałconą dziewczyną, ale ich litość nie obejmowała dziecka, które było owocem gwałtu. Ludzka niechęć rosła w miarę upływu czasu, tym bardziej że chłopiec cieszył się wyjątkowymi względami don Martína i Andrésa. Okazywali mu dużo większe zainteresowanie niż dzieciom chrześcijańskim, jakby chcieli wyrwać tego księżowskiego bękarta z kręgu wpływów wyznawców Mahometa.

Hernando wręczył matce przyniesione oliwki, zdobywając się

na uśmiech, ale ona nie dała się oszukać. Pogłaskała go czule po głowie, jak to zwykle robiła, kiedy był smutny. Pozwolił się głaskać i nie przeszkadzało mu, że przyrodnie rodzeństwo na to patrzy; matka tak rzadko miała sposobność okazywania mu czułości, właściwie tylko wtedy, gdy ojczyma nie było w domu. Brahim zawsze podzielał niechęć muzułmańskiej gminy do niebieskookiego nazarejczyka, a w miarę jak Aisza rodziła mu prawowite dzieci, czuł do niego coraz większą nienawiść. Kiedy Hernando skończył dziewięć lat, musiał przenieść się do szopy i zamieszkać z mułami, a do domu zaglądał jedynie pod nieobecność ojczyma. Aisza nie śmiała sprzeciwić się mężowi, toteż relacja między matką a synem polegała głównie na ukradkowych, pełnych subtelnych znaczeń gestach.

Tego dnia obiad był już gotowy i czwórka dzieci czekała tylko na przyrodniego brata, który miał zjeść z nimi posiłek w domu. Nawet najmłodszy, czteroletni Musa odnosił się do niego niechętnie.

— W imię Boga Litościwego, Miłosiernego — pomodlił się Hernando, zanim usiadł na podłodze.

Mały Musa i o trzy lata starszy Aquil zrobili to samo, po czym wszyscy zaczęli jeść palcami prosto z garnka kawałki potrawy przygotowanej przez matkę: baraninę z karczochami w oleju z dodatkiem mięty, kolendry, szafranu i octu winnego.

Hernando przeniósł wzrok na matkę — obserwowała ich, wsparta plecami o ścianę małej czystej izby, która służyła za kuchnię, jadalnię i tymczasową sypialnię przyrodniego rodzeństwa. Ra'isa i Zahara, jego siostry przyrodnie, stały obok matki, czekając, aż chłopcy skończą jeść, aby one z kolei mogły się posilić. Hernando przeżuł kawałek mięsa i uśmiechnął się do matki.

Po baraninie z karczochami jedenastoletnia Zahara przyniosła na tacy rodzynki, których Hernando nie zdążył nawet spróbować. Dobiegł go głuchy stukot kopyt i nadstawił ucha. Zauważyli to bracia przyrodni i przerwali jedzenie, spoglądając na niego z ciekawością. Byli jeszcze za mali, aby rozpoznać z daleka odgłos powracających mułów.

— Słyszę Staruszkę! — zawołał mały Musa, kiedy stukot przybrał na sile i wszyscy go słyszeli.

Hernando zacisnął zęby i odwrócił się w stronę matki. W jej spojrzeniu wyczytał potwierdzenie, że pora kończyć. Spróbował się uśmiechnąć, ale zdobył się tylko na smutny grymas, podobny do tego, jaki wykwił na twarzy Aiszy — Brahim wraca do domu.

— Niech będzie Bóg błogosławiony — powiedział na zakończenie posiłku i podniósł się niechętnie.

Przed domem czekała na niego cierpliwie sucha jak szczapa mulica bez uprząży, ze skórą obtartą w wielu miejscach.

— Chodź, Staruszek — powiedział Hernando i ruszył w stronę szopy.

Poszła za nim, stukając nierówno drobnymi kopytami. W szopie rzucił jej garść słomy i pogłaskał serdecznie po szyi.

— Wszystko w porządku? — wyszeptał, oglądając poranioną skórę mulicy.

Przypatrywał się przez chwilę, jak je, po czym pobiegł na spotkanie z ojczymem, który czekał na niego gdzieś w ukryciu, z dala od głównej drogi. Biegł przez pole, starając się unikać miejsc, gdzie ktoś mógłby go zobaczyć, a zwłaszcza chrześcijanin. Omijał poletka tarasowe, żeby nie wpaść na ludzi pracujących mimo późnej pory. Był już niemal u kresu sił, kiedy dostrzegł z daleka przy skałach nad urwiskiem sylwetkę ojczyma. Rosły, brodaty mężczyzna miał na sobie zieloną czapkę i krótki niebieski kabat, spod którego wystawała plisowana tunika sięgająca do połowy uda. Na gołych stopach nosił skórzane buty przymocowane do nóg rzemieniami. Z początkiem nowego roku, kiedy wejdą w życie nowe rozporządzenia, Brahim, podobnie jak wszyscy inni moryskowie z królestwa Grenady, będzie musiał zamienić ten strój na ubranie typowe dla chrześcijan. Za pasem, mimo obowiązujących zakazów, wisiał zakrzywiony sztylet. Z tyłu za nim stało, jedna za drugą, sześć objuczonych mulic, które nie zmieściłyby się parami na tym wąskim występie skalnym. W ścianie wąwozu widniały wejścia do małych jaskiń.

Dostrzegłszy wreszcie ojczyma, Hernando przestał biec. Poczul

na jego widok jeszcze większy strach niż zwykle. Co go czeka tym razem? Poprzednio oberwał za spóźnienie, chociaż przybył najszybciej, jak mógł.

— Co się tak wleciesz?! — wykrzyknął Brahim.

Hernando przyspieszył kroku, skulił się instynktownie, przechodząc obok ojczyma. Mimo to nie uniknął uderzenia w kark. Z trudem utrzymując równowagę, dotarł do pierwszego muła. Bokiem prześlizgnął się między nim a skałą, zatrzymując się przed wejściem do jednej z jaskiń, i w milczeniu zaczął wnosić do środka towary, które ojczym wyciągał z juków.

— Ta oliwa jest dla Juana — poinformował go Brahim, pokazując na duży gliniany dzban. — Dla Aisara! — zawołał, żeby nie było wątpliwości, o kogo chodzi. — A ta dla Farisa. — Hernando ustawiał towary w jaskini, starając się zapamiętać dokładnie, co do kogo należy.

Kiedy juki były już na wpół rozładowane, Brahim wrócił z powrotem na drogę do Juviles, zostawiając chłopca na straży przed jaskinią. Hernando wpatrywał się w rozległą przestrzeń u swych stóp, aż po Sierra de la Contraviesa. Długo tak nie stał, bo dobrze znał ten krajobraz. Wszedł do jaskini i zaczął rozglądać się wśród świeżo przywiezionych towarów i wielu innych, wcześniej tu zmagazynowanych. Setki jaskiń Alpuhary służyły moryskom do tych właśnie celów. Przed zmrokiem zjawia się właściciele towarów i zabiorą, co do nich należy. Tak było podczas każdej wyprawy: nie dochodząc do Juviles, ojczym wyprzegał starą mulicę i kazał jej wracać do domu. „Zna Alpuharę lepiej niż ja — często powtarzał mulnik. — Od dziecka chodzę po tych drogach, ale parę razy uratowała mi życie”. Powrót Staruszki do Juviles był dla Hernanda sygnałem, żeby natychmiast biec w rejon jaskiń, gdzie czekał na niego ojczym. Tam zostawiali połowę rzeczy, dzięki czemu wysokie podatki, jakie Brahim musiał płacić od swych towarów, spadały o połowę. Z kolei kupcy robili to samo: produkty odbierane z rąk Hernanda gromadzili w tej albo innej grocie i stopniowo przenosili do Juviles. Byle nie wszystko naraz, gdyż poborczy dziesięcin i pierwocin oraz urzędnicy sądowi (a były ich całe rzesze) w każdej

chwili mogli zjawić się w domach morysków z żądaniem zapłaty i zająć wszystko, co im wpadło w ręce, przy czym często wartość tych rzeczy przekraczała wysokość długów. Wystawiali to potem na licytację, nie informując właściciela o wynikach sprzedaży. I w ten sposób moryskowie często tracili całe mienie. Wiele skarg wpływało w związku z tym do sędziego pokoju z Ugfjar, do biskupa, a nawet do gubernatora Grenady, ale nic się nie zmieniło pod tym względem. Chciwość poborców podatkowych i urzędników sądowych była jak worek bez dna, morysków okradano bezkarnie, w świetle prawa, dlatego wszyscy poszli za przykładem Brahima, który pierwszy wpadł na taki pomysł.

Hernando siedział w jaskini plecami oparty o ścianę, połamał suchą gałązkę i z roztargnieniem bawił się patyczkami. Miał przed sobą długie godziny oczekiwania. Spoglądał na zgromadzone towary i musiał przyznać, że moryskowie nie mogli postąpić inaczej. Gdyby nie te kombinacje, popadliby w jeszcze większą biedę z powodu chrześcijan. Hernando pomagał również obliczać dziesięcinę od bydła, kóz i owiec. Powierzano mu ważne zadania, mimo że nie był akceptowany przez gminę. „Nazarejczyk umie pisać, czytać i liczyć”, powiedział pewien stary morysk, i to zadecydowało o wyborze Hernanda na współnika. Rzeczywiście umiał — zakrystian Andrés od dawna zajmował się jego edukacją i znalazł w nim pojętnego ucznia. Ktoś musiał moryskom prowadzić rachunki, żeby poborca dziesięciny nie połapał się w tych machinacjach.

Poborca zjawiał się co roku na wiosnę, kazał wyganiać zwierzęta na łąkę i przeprowadzać jedno za drugim wąskim przejściem zrobionym z pni. Co dziesiąte zwierzę zabierał dla kościoła. Istniał jednak przepis, że gospodarstwa mające trzydzieści lub mniej sztuk bydła zwolnione są z obowiązku dziesięciny, toteż przed spodziewaną wizytą poborcy bogatsi moryskowie dzielili swoje stada między biedniejszych, tak aby na każdego wypadało mniej niż trzydzieści. Wszystko musiało być należycie zapisane i policzone, żeby potem przywrócić stan faktyczny. Koszty tej strategii były jednak bardzo wysokie dla Hernanda. Chłopiec rzucił gwał-

townie o ścianę patyczki, które trzymał w ręku. Żaden nie doleciał i upadły na ziemię... Przypomniał sobie dzień, kiedy został wybrany na współnika w oszukiwaniu poborców dziesięcin bydła.

— Wielu z nas umie liczyć — zaproponował jeden z gospodarzy, kiedy padła kandydatura Hernanda. — Może nie tak dobrze jak nazarejczyk, ale jednak...

— Wszyscy łącznie z tobą hodują kozy lub owce, może być kłopot z bezstronnością — powiedział stanowczo starzec, który zaproponował Hernanda. — Tylko Brahim, a tym bardziej nazarejczyk nie hodują bydła.

— A jeśli nas zdradzi? — rozległ się inny głos. — Spędza za dużo czasu z klechami.

Wśród zgromadzenia zapadła cisza.

— Nie martwcie się, moja w tym głowa, żeby nie zdradził — zapewnił ich Brahim.

Tego samego wieczoru ojczym zajrzał do szopy w momencie, gdy chłopak kończył oporządzanie mułów.

— Kobieto! — wrzasnął mulnik.

Hernando zdziwił się. Ojczym znajdował się kilka kroków przed nim. Co znowu zrobiłem nie tak? Dlaczego wzywa matkę? Aisza stanęła w drzwiach stajni i szybko podeszła do nich, wycierając ręce w ścierkę, którą przepasała się jak fartuchem. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Brahim obrócił się na pięcie i uderzył ją na odlew w twarz. Aisza zachwiała się, strumyk krwi spływał jej z kącika warg.

— Widziałeś — warknął ojczym do Hernanda. — Oto, co czeka twoją matkę, jeśli powiesz klechom choć słowo o naszych machinacjach z bydłem albo o ukrytych towarach.



Hernando został w jaskini, dopóki nie pojawił się ostatni kupiec. Zmierzchało już, kiedy wrócił do domu, żeby zająć się mułami. Trzeba było opatrzyć im rany na skórze i sprawdzić ich stan ogólny. W kącie, gdzie miał swoje legowisko w pobliżu mułów, znalazł garnek z kaszą i kubek napoju cytrynowego, które łap-



czywie opróżnił. Kiedy nie miał już nic do roboty przy zwierzętach, szybko wyszedł z szopy.

Splunął, przechodząc obok małych, drewnianych drzwi prowadzących do domu. Wewnątrz rozbrzmiewały śmiechy przyrodniego rodzeństwa. Gruby głos ojczyma górował nad tą wrzawą. Ra'isa zobaczyła go przez okno i uśmiechnęła się nieśmiało. Ona jedna z całego rodzeństwa okazywała mu litość i sympatię, ale podobnie jak Aisza mogła to robić tylko pod nieobecność Brahima. Hernando przyspieszył kroku i wreszcie zaczął biec, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu Hamida.

Stary owdowiały morysk, chudy, ogorzały od słońca, utykający na lewą nogę, mieszkał w nędznej chacie, która była po wielokroć naprawiana i nic już nie mogło zmienić jej wyglądu. Hernando uważał go za jednego z najstarszych mieszkańców osady, choć nie wiedział dokładnie, ile ma lat. Mimo że drzwi były otwarte, lekko zapukał trzy razy.

— Pokój — odezwał się Hamid po trzecim puknięciu do drzwi. — Widziałem Brahima wracającego z podróży — dodał, kiedy chłopiec przekroczył próg.

Dymiąca lampka oliwna oświetlała izbę, która stanowiła całe mieszkanie Hamida. Mimo odrapanych ścian i przeciekającego sufitu było tu nadzwyczaj czysto, jak w każdym domu morysków. Piec był wygaszony. Małe, jedyne okno zostało zabite deskami, żeby nie spadło nadproże.

Chłopiec kiwnął głową i usiadł na podłodze obok Hamida na wytartej poduszce.

— Odmówiłeś modlitwę?

Hernando wiedział, że usłyszy to pytanie. Wiedział też, jakie będą następne słowa.

— Modlitwa nocna jest jedyną, którą możemy odmawiać w miarę bezpiecznie — powtarzał często Hamid — ponieważ chrześcijanie już śpią.

Zakrystian Andrés nauczył Hernanda chrześcijańskich modlitw, dodawania, czytania i pisania, natomiast skromny Hamid, miejscowy fakih, przekazywał mu wierzenia i nauki muzułmańskie.

Uznał to za swój obowiązek, odkąd moryskowie odrzucili tego księżowskiego bękarta, jakby chciał współzawodniczyć z chrześcijańskim zakrystianem i całą gminą mużułmańską.

Zanim Hernando odpowiedział na pytanie, Hamid wstał. Przymknął i zaryglował drzwi, po czym obaj rozebrali się w milczeniu. W czystych miskach stała przygotowana woda. Zwrócili się ku Mekce, zgodnie z *kibla*\*.

— O Boże, Panie mój! — zaczął Hamid i wkładając dłonie do miski, obmył je trzy razy. Hernando przyłączył się do modlitwy, obmywając ręce w drugiej misce. — Przy twojej pomocy pragnę ustrzec się brudu i pokus przekłętego szatana...

Następnie przystąpili do obmywania ciała zgodnie z zasadami: części wstydlive, ręce, nozdrza i twarz, ramię prawe i lewe, od czubków palców do łokcia, głowa, uszy i stopy aż do kostek. Każdej ablucji towarzyszyła odpowiednia modlitwa. Chwilami głos Hamida zamierał: był to sygnał, że chłopiec ma przejąć jego rolę. Hernando uśmiechał się i wspólnie kontynuowali rytuał ze wzrokiem utkwionym w *kibla*.

— ...abyś w dniu Sądu podał mi... — modlił się głośno chłopiec.

Hamid przymykał oczy, potakiwał z zadowoleniem i znów przyłączał się do litanii:

— ...mój list do prawej ręki i osądził łaskawie...

Po ablucjach przyszedł czas na modlitwę nocną: pokłonili się dwa razy, kładąc dłonie na kolanach.

— Błogosławiony niech będzie Bóg... — zaczęli jednym głosem.

W momencie gdy klęczeli na jedynej macie Hamida, wysuwając do przodu ramiona i dotykając twarzą podłogi, ktoś zapukał do drzwi.

Obaj zaniemówili i zamarli w bezruchu.

Pukanie się powtórzyło. Tym razem zabrzmiało głośniejsze.

Hamid obrócił przerażony wzrok na chłopca, napotykając

---

\* Kierunek wyznaczający Mekkę.

spojrzeniem jego niebieskie oczy błyszczące w blasku lampki oliwnej. Przykro mi, zdawał się mówić, jestem już stary, ale Hernando...

— Hamidzie, otwórz! — usłyszeli.

Hamidzie? Morysk zerwał się rażno z kolan mimo niesprawnej nogi i pobiegł do drzwi. Hamidzie! Żaden chrześcijanin tak go nie nazywał.

— Pokój.

Nowo przybyły zastał Hernanda w pozycji klęczącej: palce stóp wciąż miał na macie.

— Pokój — przywitał się nieznajomy, niski, ciemny mężczyzna, ogorzały od słońca i dużo młodszy niż Hamid.

— To Hernando — Hamid przedstawił chłopca. — A to Ali z Órgivy, mąż mojej siostry. Skąd się tu wzięłeś? Co robisz tak daleko od domu? — Za całą odpowiedź Ali wskazał brodą w stronę Hernanda. — Chłopak jest godny zaufania — zapewnił Hamid. — Możesz go sprawdzić.

Ali obserwował Hernanda podnoszącego się z klęczek i przytaknął głową. Hamid zaprosił szwagra, żeby spoczął, po czym sam usiadł obok niego: Ali na macie, Hamid na swej wytartej poduszce.

— Przynies świeżej wody i rodzynki — powiedział do Hernanda.

— Pod koniec tego roku świat się zmieni — oświadczył uroczyście Ali, nie czekając, aż chłopiec wyjdzie wykonać polecenie.

Dwadzieścia parę rodzynek w miseczkę, którą Hernando postawił na podłodze obok mężczyzny, to był efekt datków uzbieranych w wiosce dla fakiha. Nawet skąpy Brahim przysyłał tu czasem pasierba z darami.

Hamid nie przerwał rozmowy ze szwagrem, kiedy Hernando usiadł na brzeżku maty.

— Wiem, o czym mówisz — powiedział fakihi.

Hernando obserwował ich z ciekawością. Nie wiedział dotąd, że Hamid ma rodzinę, ale te słowa słyszał nie po raz pierwszy: jego ojczym mówił to samo po każdym powrocie z Grenady.

Zakrystian Andrés wyjaśnił chłopcu, że to z powodu wejścia w życie nowego dekretu królewskiego nakazującego moryskom nosić się tak samo jak chrześcijanie i nie używać języka arabskiego.

— Była już nieudana próba w Wielki Czwartek tego roku — dodał Hamid. — Skąd wiadomo, że teraz się powiedzie?

Hernando nadstawił ucha. O czym Hamid mówi? Jaka nieudana próba?

— Na pewno się uda — zapewnił Ali. — Poprzednio cała Alpuhara mówiła o powstaniu. Dlatego markiz de Mondéjar dowiedział się o planach i Albaicín musiało się wycofać.

Hamid chciał poznać więcej szczegółów. Hernando zeszytywniał na dźwięk słowa „powstanie”.

— Tym razem postanowiono, że Alpuhara niczego się nie dowie, dopóki nie zdobędziemy Grenady. Moryskowie z Albaicín otrzymali dokładne instrukcje na ten temat. Odbyło się potajemne spotkanie ludzi z okolic Grenady oraz z doliny Lecrín i Órgivy. Żonaci mężczyźni mają zwerbować żonatych, kawalerowie kawalerów, a wdowcy wdowców. Ponad osiem tysięcy osób czeka w pogotowiu na sygnał do ataku na Albaicín. Wtedy dopiero pójdzie wieść po Alpuharze. Ocenia się, że sto tysięcy mężczyzn stanie pod bronią.

— Kto tym razem przygotowuje powstanie?

— Spotkania odbywają się u Adeleta, świecarza z Albaicín. Przychodzą Hernando Zager, *alguacil*\* gminy Cádiar, Diego López z Mecina de Bombarón, Miguel de Rojas z Ugíjar, a także Farax Ibn Farax, Tagari, Mofarrix, Alatar... Wielu banitów do nich dołączy... — ciągnął Ali.

— Nie ufam im, to bandyci — przerwał mu Hamid.

Ali wzruszył ramionami.

— Dobrze wiesz, że wielu z nich musiało pójść w góry, żeby przeżyć — powiedział usprawiedliwiająco. — Nam nie przeszkadzają! Sam byś z nimi był, gdyby nie... — Ali starał się nie patrzeć na chromą nogę Hamida. — Dla większości zbójnictwo to

---

\* Niższy urzędnik (sądowy lub magistracki), także policjant i zarządca.

jedyny sposób walki z niesprawiedliwością, żeby nie robiono ludziom tego, co zrobiono tobie...

Ali nie dokończył, czekając na reakcję szwagra. Hamid oddał się na kilka sekund wspomnieniom i zacisnął wargi, kiwając głową na potwierdzenie.

— Co takiego...? — podskoczył Hernando, ale zamilkł na znak dany ręką przez Hamida.

— Którzy banici dołączą? — zapytał fakih.

— Partal z Narili, Nacoz z Nigüeles, Seniz z Bérchul. — Hamid słuchał w zamyśleniu pełnych zapału słów Alego: — Wszystko jest przemyślane. Albaicín powstanie w Nowy Rok. Na ten sygnał osiem tysięcy ludzi spoza Grenady wedrze się... wedrzemy się na mury Alhambry od strony Generalife. Będziemy mieć siedemnaście drabin, które robią dla nas w Ugíjar i Quéntar. Oglądałem je: solidne, wytrzymałe, splecione z konopnych powrozów, szczeble z grubego drewna, trzech mężczyzn naraz może wspinać się po nich. Będziemy ubrani na modłę turecką, żeby chrześcijanie myśleli, że to posiłki z Berberii albo od sułtana. Kobiety już tym się zajmują. Grenada nie jest przygotowana do obrony. Odzyskamy ją w okresie, na który przypada rocznica podbicia przez królów kastylijskich.

— A co po zdobyciu Grenady?

— Algier nam pomoże. Wielki Sułtan też pomoże. Obiecali nam. Hiszpania nie podoła dalszym wojnom. I tak już walczy we Flandrii, w Indiach, z Berberami i Turkami.

Na te słowa Hamid podniósł oczy i mruknął:

— Błogosławiony niech będzie Bóg.

— Spełnią się proroctwa, Hamidzie! — zawołał Ali. — Zobaczysz, że się spełnią!

W pomieszczeniu zaległa cisza przerywana tylko nierównym oddechem Hernanda. Chłopiec lekko drżał i nie przestawał przenosić oczu z jednego mężczyzny na drugiego.

— Czego oczekujecie ode mnie? Co mam zrobić? — spytał nagle Hamid. — Jestem kulawy...

— Jako potomek w prostej linii z dynastii Nasrydów musisz

być przy zdobywaniu Grenady. Reprezentujesz ród, który rządził w Grenadzie i do niej wróci. Twoja siostra gotowa jest ci towarzyszyć.

Zanim Hernando zdążył zadać pytanie, Hamid spojrzał na niego, potwierdził skinieniem głowy i dotknął jego ramienia, prosząc bez słów o cierpliwość. Chłopak opadł na matę, wpatrując się w skromnego fakiha ogromnymi, niebieskimi oczami. Hamid potomkiem Nasrydów, królów Grenady!

# 3

Hamid chciał zatrzymać Alego na noc, ale mężczyzna się nie zgodził: wiedział, że jest tylko jedno łóżko, więc żeby nie urazić gospodarza, oświadczył, że ktoś na niego czeka w Juviles, gdzie ma parę spraw do załatwienia, i musi już iść. Starzec usatysfakcjonowany tym wyjaśnieniem odprowadził gościa do drzwi. Ze swojego miejsca na macie Hernando obserwował ceremoniał pożegnania. Długo jeszcze fakiha stał w progu, spoglądając za oddalającym się w ciemnościach szwagrem, i dopiero gdy stracił go z oczu, zamknął drzwi. Wtedy odwrócił się do chłopca: jego pomarszczona twarz wyrażała napięcie, a oczy, zwykle spokojne, błyszczały.

Przez chwilę stał zamyślony. Potem bardzo powoli pokuśtykał w stronę chłopca, prosząc go gestem o milczenie. Trwało to tylko moment, ale Hernandowi to milczenie wydawało się nieskończenie długie. Wreszcie Hamid usiadł, uśmiechając się do niego serdecznie. Tysiące pytań kłębiło się w głowie chłopca: Nasrydzi? Jakie powstanie? Co zamierza zrobić wielki wezyr? I co mają do tego Algierczycy? O co chodzi z tymi banitami? Co robią Berberowie w Alpuharze? Ale wszystkie pytania sprowadziły się do jednego:

— Dlaczego żyjesz tak biednie? Przecież jesteś potomkiem...?

Twarc fakiha spochmurniała, zanim Hernando dokończył pytanie.

— Wszystko mi zabrali — odparł sucho.

Chłopiec uciekł wzrokiem w bok.

— Bardzo mi przykro... — zdołał wykrztusić.

— Stało się to nie tak dawno — Hamid rozpoczął swą opowieść ku zdziwieniu chłopca. — Ty byłeś już wtedy na świecie, gdy zaszły poważne zmiany w zarządzaniu Grenadą. Wcześniej my, moryskowie, podlegaliśmy kapitanowi generalnemu królestwa, którym był markiz de Mondéjar. On rządził w imieniu króla, pana prawie całej tej ziemi. Tymczasem armia urzędników i kauzyperdów z Kancelarii Królewskiej postanowiła przejąć kontrolę nad moryskami i król na to przystał mimo sprzeciwu markiza. Od tej pory rejenci i adwokaci zaczęli nas zdręczać, rozgrzebując stare spory. Był kiedyś zwyczaj, że moryskom, którzy oddają się pod opiekę króla, zostają zapomniane wszelkie przewinienia. Wszyscy na tym korzystali: moryskowie mogli spokojnie osiedlać się w Alpuharze, a król zyskiwał siłę roboczą, gdyż płaciliśmy wysokie podatki, dużo większe niż chrześcijanie w tej samej sytuacji. Ale Kancelaria Królewska w Grenadzie nic z tego nie miała i urzędnikom to się nie podobało. — Hamid sięgnął do miski z rodzynkami stojącej wciąż na macie. — Chcesz? — zaproponował.

Hernando się niecierpliwił. Nie, nie chciał rodzynek... Chciał słuchać dalszej historii! Wyciągnął jednak rękę po rodzynek, żeby zadowolić Hamida. Żuł powoli, w milczeniu, i czekał.

— Pod pretekstem walki z muzułmańskimi rozbójnikami — Hamid podjął opowieść — rejenci tworzyli oddziały, a na żołnierzy brali swych krewnych i służących... Dostawali najwyższe żołdy. Nikt nie miał większych w całej armii królewskiej. Nawet Germanie z legii we Flandrii! Ci zadufani faworyci wcale nie mieli zamiaru walczyć z bandytami. Woleli dręczyć spokojnych morysków, wyciągając stare akta z niezakończonych procesów i ustalając surowe kary. Wielu naszych uciekło wtedy w góry, aby dołączyć do banitów. Chciwość urzędników nie znała jednak miary; wzięli się do sprawdzania tytułów własności ziemi. Kto nie miał odpowiednich dokumentów, musiał zapłacić okup na rzecz króla albo opuścić swe posiadłości. Wielu z nas nie było na to stać...

— Ty też nie miałeś tych dokumentów? — zapytał Hernando, nie dając mu przerwać opowieści.



— Nie miałem — odpowiedział strapiiony Hamid. — Wywodzę się z dynastii Nasrydów, ostatnich władców Grenady. Moja rodzina — akcent dumy w głosie Hamida mocno poruszył Hernanda — była jedną z najznamienitszych w Grenadzie, mimo to jeden nędzny, chrześcijański skryba pozbawił mnie ziemi i całego mienia.

Hernando zadrzał. Hamid przerwał przytłoczony bolesnymi wspomnieniami. Po chwili otrząsnął się i kontynuował opowieść, jakby chciał raz na zawsze wyrzucić z siebie historię swego nieszczęścia.

— Kiedy Abu Abd Allah Muhammad, zwany przez chrześcijan Boabdil, poddał się Hiszpanom, w nagrodę dostał od nich w lenno Alpuhare, gdzie przeniósł się z całym dworem. Towarzyszył mu między innymi jego kuzyn a mój ojciec, znakomity fakih, znawca prawa muzułmańskiego. Ale chytry Królowie Katolickcy\* wymyślili podstęp: bez wiedzy Boabdila i za jego plecami nabyli ponownie te ziemie poprzez swojego pełnomocnika i wypędzili stamtąd władcę muzułmanów. Prawie wszyscy nobile i wielcy panowie muzułmańscy opuścili wtedy Hiszpanię razem z „Małym Królem”. Mój ojciec postanowił pozostać ze swym ludem, żeby służyć mu radami jako fakih. Akt kapitulacyjny Grenady gwarantował Maurom pokojowe współzycie i poszanowanie ich religii. Jednakże kardynał Cisneros przekonał parę królewską, że Maurowie, którzy nie przejdą na chrześcijaństwo, powinni być wygnani. Nie było innego wyjścia. Ludzie nie chcieli opuszczać ziemi, gdzie rodziły się i rosły ich dzieci! Musieli dać się pokropić wodą święconą. Chrzczono setki ludzi naraz. Wielu wychodziło z kościoła zadowolonych, że nie padła na nich nawet kropla wody, i w dalszym ciągu są muzułmanami. Urodziłem się pięćdziesiąt lat temu... — Hernando drgnął. — A co, myślałeś, że jestem starszy? — Chłopiec pochylił głowę. — No cóż, pewne rzeczy sprawiają, że człowiek starzeje się przedwcześnie... Jakkolwiek na to patrzeć, żyliśmy sobie spokojnie na ziemiach przekazanych Boabdilowi na pod-

---

\* Wspólny tytuł honorowy nadany monarchom hiszp.: Izabeli I Katolickiej i Ferdynandowi I Katolickiemu przez papieża Aleksandra VI w 1496 r. (z prawem używania przez ich następców).

stawie ustnej umowy. Nikt nie kwestionował naszej własności, dopóki nie spadła na nas ta szarańcza urzędników i kauzyperdów. A wtedy...

Hamid zamilkł.

— Wszystko ci zabrali — dokończył Hernando zgnębnym głosem.

— Nie wszystko. — Fakił sięgnął do miski po kolejny rodzynek. Hernando się ożywił. — Nie wszystko — powtórzył Hamid z rodzyńkiem w ustach. — Nie odebrali nam naszej wiary mimo usilnych starań. I nie zabrali nam również...

Hamid podniósł się z trudnością i podreptał do jednej ze ścian chaty. Tam prawą nogą zaczął wiercić w ziemi, aż trafił na grubą deskę. Podniósł jeden koniec i schylił się, żeby wyciągnąć jakiś przedmiot owinięty w kawałek materiału. Hernando nie musiał pytać co to — zakrzywiona linia mówiła sama za siebie.

Hamid delikatnie odwinął szablę i pokazał chłopcu.

— Tego mi nie zabrali. Podczas gdy komornicy, pisarze i sekretarze wydzielali sobie z rąk jedwabie, szlachetne kamienie, zwierzęta i ziarno siewne, ukryłem ten najcenniejszy skarł rodowy. Szabla Proroka\*, Jemu pokój i błogosławieństwo! — oznajmił uroczyście. — Wiem od ojca, a on z kolei słyszał to od swojego, że jest to jedna z wielu szabel, jakie Mahomet otrzymał w ramach okupu od bałwochwalców Kurajczytów pojmanył podczas zdobycia Mekki.

Ze złotej pochwy zwisały kawałki metalu pokrytego arabskimi napisami. Hernando poczuł dreszcz na całym ciele i oczy zabłystry mu jak u dziecka. Ta szabla była w rękach Proroka! Kiedy Hamid wyciągnął ją z pochwy, w izbie od razu pojaśniało.

— Będiesz przy odbijaniu miasta, które nigdy nie powinno było znaleźć się w rękach niewiernych — powiedział, patrząc na broń. — Będiesz świadkiem spełniania się naszych prorocłw. Wierni znów zapanują na ziemiach Al-Andalus.

---

\* W tradycji arabskiej chodzi o mityczny miecz Mahometa. Wyobrażano go sobie jako szablę o rozdwójonym ostrzu.

## 4

### *Juviles, piątek, 24 grudnia 1568*

Przejeżdżający przez Juviles w drodze do Ugíjar banici potwierdzili wieści krążące od dwóch dni po okolicy.

— Niech wszyscy mężowie z Alpuhary zgromadzą się w Ugíjar — rozkazali mieszkańcom, nie zsiadając z koni. — Powstanie rozpoczęte! Odzyskamy nasze ziemie! Grenada znów będzie muzułmańska!

Chociaż moryskowie z Albaicín przygotowywali powstanie w tajemnicy, hasło: „pod koniec tego roku świat się zmieni”, szybko dotarło w góry i wielu mieszkańców Alpuhary postanowiło nie czekać do Nowego Roku. Grupa banitów napadła i okrutnie zamordowała urzędników, którzy jechali przez Alpuharę do Grenady na święta Bożego Narodzenia i jak zwykle rabowali bezkarnie wioski i gospodarstwa morysków na trasie swego przejazdu. Inna grupa banitów zaatakowała niewielki oddział żołnierzy. Moryskowie z Cádíar podnieśli bunt, złupili kościół i domy chrześcijańskie i wymordowali wszystkich niemuzułmanów.

Po odjeździe banitów chrześcijanie z Juviles pozamykali się w swych domach, a resztę mieszkańców ogarnęło wielkie podniecenie: mężczyźni wyciągali różne sztylety, a czasem też starą szablę albo zardzewiały arkebuz, który udało się ukryć przed chrześcijańskimi stróżami. Na ulicach pojawiły się kobiety z zasłoniętymi twarzami, w kolorowych strojach jedwabnych, lnianych

i wełnianych, haftowanych złotem. Ich dłonie i stopy pokrywał tatuaż z henny i w ogóle wyglądały teraz zupełnie inaczej niż chrześcijanki. Niektóre w kabatach do pasa, inne w długich burkach ze spiczastym kapturem na plecach, pod spodem lamowana tunika, plisowane na łydkach szarawary i grube, ściągnięte na udach pończochy, zrolowane na łydkach do kolana, gdzie łączyły się z szarawarami. Na stopach klapki z paskiem lub ciżemki. Cała osada była feerią kolorów: zielenie, błękity, żółcie... Wszędzie widać było wystrojone kobiety, przy czym wszystkie, bez wyjątku, miały nakrycia głowy: niektóre zasłaniały tylko włosy, inne — tych była większość — całą twarz.

Tego dnia Hernando od wczesnych godzin porannych pomagał w kościele Andrésowi. Przygotowywali pasterkę. Zakrystian po raz kolejny wyglądał wspaniały ornat ze złotogłowa, kiedy grupa rozwrzeszczanych morysków wyważyła drzwi i wtargnęła gwałtownie do świątyni. Popychali przed sobą proboszcza i prebendarza, siłą wywleczonych z domów, szarpali ich, przewracali i podnosili kopniakami z podłogi.

— Co tu się dzieje...?! — krzyknął Andrés, stając w drzwiach zakrystii, ale moryskowie uderzyli go w twarz i popchnęli na ziemię. Zakrystian upadł u stóp don Martína i don Salvadora.

W pierwszej chwili Hernando chciał wybiec za Andrésem, ale cofnął się przerażony na widok tłumu mężczyzn w zakrystii. Robili wielki raban, krzyczeli i rozdawali kopniaki na prawo i lewo. Jeden zmiotł łokciem ze stołu wszystko, co tam było: papier, kałamarz, pióra... Inni dorwali się do szaf i wyciągali ich zawartość. Raptem czyjaś szorstka ręka chwyciła go za szyję i wypchnęła z drzwi zakrystii do kościoła, gdzie znajdował się już proboszcz z prebendarzem. Hernando upadł na posadzkę, uderzając się mocno w głowę.

Tymczasem inni moryskowie przyprowadzali chrześcijańskie rodziny i ustawiali je brutalnie przed ołtarzem, obok Hernanda i trójki duchownych. Całe Juviles zgromadziło się w świątyni. Muzułmańskie kobiety wydawały językiem dźwięki *ju-ju*, tańcząc wokół chrześcijan. Osłupiały Hernando leżał na podłodze i patrzył,

jak jeden mężczyzna sika na ołtarz, drugi usiłuje przeciąć sznur dzwonu, żeby przestał dzwonić, a kilku innych niszczy siekierami obrazy i ołtarze.

Na podłodze przed proboszczem i chrześcijanami piętrzył się stos cennych przedmiotów: kielichy, pateny, lampy, szaty ze złotym haftem... Jednocześnie trwała nieustająca wrzawa, wojownicze okrzyki mężczyzn przeplatały się ze śpiewem kobiet. Hernando przeniósł wzrok na dwóch krzepkich morysków, którzy usiłowali wyrwać z zawiasów tabernakulum. Okrzyki *la ilaha illa Allah* zlewały się w jego uszach w jeden szum, który nagle ustał, gdyż wszystkie zmysły Hernanda przykuł widok wielkich piersi Aiszy rozkołysanych w rytmie oszalamiającego tańca. Jej długie czarne włosy opadały luźno na ramiona, w otwartych ustach gwałtownie podskakiwał język.

— Matko — szepnęła. Co ona wyprawia? Przecież to kościół! Jak można pokazywać się tak przed mężczyznami...?

Kobieta odwróciła się w stronę syna, jak gdyby usłyszała ten cichy szept. Hernando widział to wszystko jak w zwolnionym tempie, ale zanim się spostrzegł, Aisza już przed nim stała.

— Wpuście go — powiedziała zdyszana do pilnujących go morysków. — To mój syn. Jest muzułmaninem.

Hernando nie mógł oderwać wzroku od wielkich piersi matki, które teraz zwisały bez ruchu.

— To nazarejczyk! — usłyszał męski głos za swymi plecami.

To przezwisko przywróciło go do rzeczywistości. Znowu nazarejczyk! Odwrócił się. Znał tego moryska: był nim bezczelny kowal, z którym Brahim często się spierał. Aisza złapała syna za ramię, usiłując pociągnąć go za sobą, ale mężczyzna nie pozwolił.

— Zaczekamy, aż twój mąż wróci z mułami — powiedział do niej z przekąsem. — On zdecyduje.

Matka i syn wymienili spojrzenia. Aisza patrzyła spod półprzymkniętych powiek, zaciskając drżące wargi. Nagle zerwała się i wybiegła. Zakrystian znalazł się obok Hernanda i próbował objąć go ramieniem, ale przerażony chłopiec cofnął się instynktownie, przesunął się o kilka kroków, tak daleko, jak pozwolili mu strażnicy,

i odprowadzał wzrokiem matkę wybiegającą z kościoła. Gdy tylko stracił z oczu czarne włosy Aiszy, głośny szum znowu zaczął rozsadzać mu głowę.



W Juviles zapanowało wielkie święto morysków. Ludzie śpiewali i tańczyli na ulicach przy dźwiękach tamburynów, grzechotek, szałamai, bębenków z pałeczkami, piszczałek i rozków. Drzwi chrześcijańskich domostw były wyważone. Brahim dumnie rozparty w siodle bułanego konia wjechał do osady na czele oddziału uzbrojonych morysków. Z trudem przeciskał się przez roztańczony tłum na ulicach. Wszyscy świętowali rewoltę.

Wybuch powstania zastał mulnika w Cádjar. Natychmiast stanął do walki ramię w ramię z Partalem i jego ludźmi. Rozbili kompanię pięćdziesięciu arkebuzerów.

Teraz też wypytywał o chrześcijan: parę osób pokazało w stronę kościoła, nie przerywając śpiewów i płasów. Tam skierował konia; zamierzał wjechać do świątyni na pięknym wierzchowcu. Kiedy pojawił się w drzwiach zaanonsowany końskim rzeniem, wrzawa na krótko przycichła i dał się słyszeć słaby głos protestu don Martína.

— Profa...!

Proboszcza natychmiast uciszono pięściami i kopniakami. Koń Brahima stąpał po kawałkach ołtarzy, krzyży i obrazów rozrzuconych na posadzce, i znowu zerwał się wrzask. Stojący przed ołtarzem *alguacil* Szihab pozdrawiał Brahima. Tuż obok mulnik zobaczył grupę chrześcijan. Skierował się w tę stronę.

— Cała Alpuhara stanęła pod bronią — powiedział do Szihaba, siedząc na bułanym koniu. — Na rozkaz Partala przyprowadziłem kobiety, dzieci i starców nienadających się do walki. Znaleźli schronienie na zamku Juviles. Tam też zostawiłem łupy z Cádjar.

Zamek Juviles znajdował się o dwa strzały z arkebuza na wschód od osady w trudno dostępnym miejscu na skale, wysokiej prawie na tysiąc łokci. Pochodził z X wieku. Mury i niektóre z jego dziewięciu wież były na wpół rozwalone, ale starczyło

miejsca na przyjęcie morysków uchodzących z Cádiar i zmagazy-  
nowanie bogatych łupów zdobytych w tym mieście.

— W Cádiar nie ma już żywych chrześcijan! — krzyknął  
Brahim.

— Co zrobimy z tymi? — zapytał *alguacil*, pokazując na  
grupę przed ołtarzem.

Brahim już miał odpowiedzieć, gdy wtem ktoś mu przeszkodził.

— A co z nim? Co z tym zrobimy? — Kowal wysunął się  
naprzód spoza grupy chrześcijan, ciągnąc za ramię Hernanda.

Brahim wykrzywił twarz w okrutnym uśmiechu i wbił wzrok  
w pasierba. Jakże chętnie wydarłby mu te niebieskie, chrześcijań-  
skie oczy...

— Zawsze mówiłeś, że to chrześcijański pomiot! — rzucił  
wzywająco kowal.

Rzeczywiście, mówił to wiele razy... ale teraz potrzebował  
chłopca. Kiedy poprosił Partala o szablę, arkebus i bułanego konia  
kapitana Herrery, dowódcy chrześcijańskich żołnierzy z Cádiar,  
usłyszał w odpowiedzi:

— Jesteś mulnikiem. Potrzebujemy cię. Ktoś musi przewozić  
te wszystkie przedmioty, które zdobędziemy w walkach. Zamieni-  
my je potem na broń u Berberów. Na co ci koń? Muł bardziej  
nadaje się do transportu.

Ale Brahim chciał mieć tego konia. Spieszno mu było użyć  
kapitańskiej szabli i arkebusa przeciwko znieprawionym chrześ-  
cijanom.

— Karawanę poprowadzi mój pasierb Hernando — odpowie-  
dział Partalowi bez zastanowienia. — Da sobie radę, umie pod-  
kuwać i leczyć zwierzęta, a one są mu posłuszne. Natomiast ja  
pokieruję ludźmi, których mi przydzielisz do ochrony przewożo-  
nego bagażu i łupów.

Partal pogłaskała brodę. Obecny przy rozmowie banita Zaguer  
dobrze znał Brahima i wstawił się za nim.

— Przyda nam się bardziej jako żołnierz niż mulnik —  
zaznaczył. — Nie brak mu odwagi ani zręczności. Znam jego syna  
i wiem, że umie obchodzić się z mułami.

— Zgoda — ustąpił Partal po krótkim namyśle. — Zaprowadź ludzi do Juviles i pilnuj zdobytych łupów. Ty i twój syn odpowiecie głową, jeśli cokolwiek zginie.

A teraz kowal usiłował zrobić z Hernanda chrześcijańskiego jeńca. Brahim wybąkał coś pod nosem, nie schodząc z konia.

— Twój pasierb jest chrześcijaninem! — ciągnął kowal. — Wciąż to powtarzałeś.

— Przyznaj się, Hernando! — wtrącił Andrés. Zakrystian podniósł się i zaczął zbliżać się do chłopca. *Alguacil* nie pozwolił nikomu go powstrzymać. — Wyznaj swoją wiarę w Chrystusa! — błagał zakrystian, wyciągając w jego stronę ramiona.

— Tak, synu. Módl się do jedyne go Boga — dodał don Martín, pochylając zakrwawioną głowę. — Powierz się prawdziwemu... — Zachwiał się od kolejnego ciosu pięścią i nie dokończył.

Hernando przesunął wzrok po zgromadzonych: z jednej strony muzułmanie, z drugiej chrześcijanie. A on kim jest? Andrés zajął się jego wykształceniem, poświęcając mu więcej czasu niż innym dzieciom. Zaznał od niego więcej dobroci niż od ojczyzna. „Chłopak zna arabski i kastylijski, umie czytać, pisać i liczyć”, mówili moryskowie, wietrząc w tym swój interes. Jednakże Hamid też wziął go pod swoją opiekę, cierpliwie uczył podstaw religii muzułmańskiej, modlitw i wierzeń, przeznaczał na to każdą wolną chwilę podczas pracy w polu czy u siebie w domu. W Cádjar nie ma już żywego chrześcijanina! Tak mówi Brahim. Hernando poczuł, że zimny pot zalewa mu czoło: jeśli wezmą go za chrześcijanina, zostanie skazany na... Ustały krzyki, moryskowie cicho szeptali między sobą.

Koń Brahima uderzył kopytem w posadzkę. Hernando jest chrześcijaninem! — mówiła twarz jeźdźca. Przecież to syn księdza. Żaden muzułmanin nie zna się na prawach Chrystusa tak jak on. Dobrze się składa. Mułami zajmie się Aquil. Partal nie zauważy zmiany, gdyż nie zna jego synów. Wystarczy powiedzieć, że...

— Mów! — zażądał Szihab.

Braham westchnął; na jego przystojnej twarzy zagościł chytry uśmiech.



— Weźcie go sobie...

— Ale co mamy zrobić? Kto rozstrzygnie?

Na głos Hamida ucichły wszystkie szemrania. Fakił w długiej, prostej tunice przewiązanej sznurem miał u pasa paradną szablę w złotej pochwie. Kroczył prosto, o tyle, o ile pozwalała mu chroma noga. W świątyni rozległ się dźwięk kawałków metalu zdobiących pochwę szabli. Część morysków wpatrywała się w nie uważnie, próbując odgadnąć treść wyrytych na nich napisów.

— Kto to rozstrzygnie? — powtórzył.

Zza jego pleców wyglądała zdyszana Aisza. To ona przyprowadziła Hamida. Wiedziała, że szanowany przez wszystkich fakił lubi jej syna i tylko on może go uratować! Bo gdyby Brahim miał zdecydować o jego losie, tak jak chciał kowal... Nigdy nie zastanawiano się głośno nad pochodzeniem chłopca, bo nie było takiej potrzeby. Brahim nie ukrywał nienawiści do Hernanda. Znęcał się nad nim i poniewierał jak psa. Wystarczyło napomknąć o nazarejczyku, aby wyprowadzić go z równowagi, jeśli ktoś bardzo tego pragnął. Brahim natychmiast wybuchał gniewem i rzucał przekleństwami, a po powrocie do domu brał odwet na Aiszy. Często musiała mu przypominać, że jest matką czwórki jego dzieci i opiekuje się nimi z najwyższym oddaniem. Próbowwała obudzić w nim atawistyczne poczucie więzi rodzinnej, gdyż każdy muzułmanin szanuje swą rodzinę. Czasem jej się udawało i Brahim jakby łagodniał, chociaż nie na długo... W tej sytuacji jednak... W tej sytuacji nie tylko Brahim, ale cała rozegzaltowana gmina będzie domagać się krwi nazarejczyka.

Kiedy Aisza przybiegła do Hamida, odwrócił wzrok, żeby nie widzieć jej nagich piersi prześwitujących spod rozchełstanej koszuli. Przykryj się, powiedział z zażenowaniem, które zaraz i jej się udzieliło, gdyż wcześniej nie zdawała sobie sprawy ze swojego wyglądu. Początkowo nie mógł nic zrozumieć z nerwowo wypowiedzianych słów i prosił, żeby mówiła wolniej i spokojniej. Zorientowawszy się wreszcie, o co chodzi, natychmiast podjął decyzję. Razem pospieszyli do kościoła. Chromy fakił z trudem dotrzymał jej kroku.

— Chłopiec jest chrześcijaninem! — upierał się kowal, nie przestając popychać Hernanda.

Hamid zmarszczył brwi.

— Czy ty, Jusufie — powiedział, zwracając się do kowala — umiesz złożyć wyznanie wiary?

W jednej chwili wielu morysków spuściło oczy, a kowal się zawahał.

— Co to ma wspólnego z...? — odezwał się Brahim z wysokości swojego bułanka.

— Milcz — nakazał Hamid, podnosząc do góry rękę. — Módl się! — ponaglił kowala.

— Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego Prorokiem — zaintonował Jusuf.

— Dalej.

— To jest wyznanie wiary. Wystarczy — odparł kowal.

— Nie. U nas, na ziemi Al-Andalus, nie wystarczy. Odmów jeszcze modlitwę przodków, których zamierzasz pomścić.

Jusuf przez kilka sekund wytrzymał wzrok fakiha, po czym opuścił oczy podobnie jak większość zgromadzonych.

— Nie pamiętasz, jak brzmi modlitwa, której powinieneś nauczyć swoje dzieci? — rzekł Hamid. — Kto z was potrafi wymienić atrybuty boskości występujące w naszej wierze?

Fakih przebiegł spojrzeniem po moryskach. Nikt nie odpowiedział.

— Zrób to ty, Hernando — zachęcił.

Chłopiec, uwolniony z groźnych rąk kowala, podszedł do stosu przed ołtarzem, wyjął jeden z haftowanych złotem ornatów, zawahał się przez chwilę, po czym zwrócił twarz ku *kibla* i uklęknął na jedwabnej szacie.

— Nie! — krzyknął Andrés, ale tym razem moryskowie nie dali mu dokończyć i uciszyli go pięściami. Zakrył twarz w dłoniach, rozpaczając nad zdradą swego pupila, tymczasem Hernando rozpoczął modlitwę:

— Nie ma innego Boga prócz Allaha, a Mahomet jest Jego posłańcem. Wie, że każdy powinien wiedzieć, że jest jeden Bóg

w królestwie. Stworzył wszystkie rzeczy na świecie, to, co istnieje na górze i na dole, tron i podnózek, niebiosy i ziemię, co jest w nich i co między nimi — Hernando rozpoczął drżącym głosem, który stopniowo nabierał siły. — On jest nad każdym stworzeniem wszechwładny, nic nie porusza się bez jego woli...

Nawet bułany koń stał spokojnie podczas modlitwy Hernanda. Hamid słuchał uważnie, mrużąc z zadowolenia oczy. Aisza nerwowo poruszała rękami, jakby chciała pomóc synowi w wypowiedaniu tych słów.

— On jest pierwszym i ostatnim, jawnym i ukrytym. On jest o każdej rzeczy wszechwiedzący — zakończył chłopiec.

W ciszy, jaka wówczas zapadła, wszyscy usłyszeli głos Hamida:

— Kto z was jeszcze śmie twierdzić, że ten chłopiec jest chrześcijaninem?

## 5

Wszyscy chrześcijanie z Juviles zostali zamknięci w kościele pod strażą Hamida, który miał ich nakłaniać do wyrzeczenia się wiary i przejścia na islam.

Brahim wyruszył na północ w góry, żeby dołączyć do Partala i razem nawoływać ludzi do walki. Za nim podążyła barwna grupa rozmaicie uzbrojonych mężczyzn: jedni mieli broń zdobytą na arkebuzerach, inni — tych była większość — zwykłe kije lub sznurkowe proce. Pochód zamykał Hernando ze stadem mułów powiększonym o sześć okazałych sztuk, które Brahim wybrał spośród zwierząt zarekwirowanych w Cádjar.

Kiedy stało się jasne, że nikt nie zakwestionuje opinii fakiha, Brahim spiął konia, zrobił pół obrotu i kazał chłopcu iść za sobą. Hernando nie zdążył pożegnać się z Hamidem ani z matką, uśmiechnął się tylko, szybko wychodząc z kościoła. Na placu czekali na nich ludzie i muły.

— Jeśli stracisz choć jedno zwierzę albo część ładunku, wyłupię ci oczy.

Tylko tyle usłyszał od ojczyma, zanim wyruszyli w drogę.

Odtąd nie miał czasu na nic więcej oprócz popędzania mułów i pilnowania, żeby nie zostawać zbyt daleko w tyle za wojakami, którzy podążali pieszo za wierzchowcem Brahima. Muły z Juviles nie sprawiały kłopotu, gorzej z pozostałymi, gdyż nie zawsze były

posłuszne. Największa mulica wyszczerzyła zęby, kiedy Hernando próbował zapędzić ją do szeregu, na szczęście zdążył odskoczyć i uniknął ugryzienia. Postanowił ją za to ukarać, ale nie miał niczego pod ręką.

Poczekaj, mruknął przez zęby. Mulica dalej robiła, co chciała. Hernando rozglądał się dokoła. Przydałby się jakiś kij, pomyślał. Mulice nie są głupie, a ponadto ta największa zasłużyła sobie na nauczkę. Jeśli ona nie otrzyma kary, jemu dostanie się od ojczyzna za nieumiejętne obchodzenie się ze zwierzętami. Wybrał spory kamień i podszedł do mulicy z prawej strony, chowając rękę za plecami. Znowu próbowała go ugryźć, więc uderzył ją kamieniem w pysk. Potrząsnęła potężnym łbem z głośnym rykiem, lecz dołączyła posłusznie do stada, reagując na polecenie Hernanda. Podniósł głowę i wtedy zorientował się, że ojczym cały czas obserwował go uważnie i tylko czekał, żeby popełnił jakiś błąd.

Droga biegła pod górę w kierunku Alcútar. Przejście było tak wąskie, że dwie osoby nie mieściły się obok siebie. W dole widać było jeszcze Juviles, kiedy po górach, przełęczach i wąwozach głośnym echem rozeszło się śpiewne wołanie. Hernando przystanął. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Tyle razy słyszał o tym od Hamida! Nawet z tej odległości rozpoznał jego głos, nabrzmiały dumą i radością, pełen życia i energii, wyczuwał w nim tę samą satysfakcję, jak wtedy gdy fakih pokazywał mu szablę Proroka.

— Czas na modlitwę! — nawoływał Hamid najprawdopodobniej z wieży kościoła.

Wezwanie ślizgało się po stromych przełęczach, uderzając o skały, zaplątywało się w gałęziach i krzewach, aż wypełniło całą dolinę Alpuhary od Sierra Nevada po Sierra de Contraviesa i jeszcze dalej i wyżej, do samego nieba. Po raz pierwszy od ponad sześćdziesięciu lat na tych ziemiach rozległo się wezwanie muezina!

Grupa się zatrzymała. Hernando poszukał słońca, stanął prosto i sprawdził, czy rzuca cień równy swojemu wzrostowi; tak było, i to był właściwy moment.

— Siła i moc tylko w Bogu wzniosłym i wielkim — szeptał,

przyłączając się do wspólnej modlitwy. Te same słowa moryskowie wymawiali codziennie w swoich domach, nocą i w południe, zachowując najwyższą ostrożność, żeby żaden chrześcijanin nie usłyszał ich z ulicy.

— Allah jest wielki! — zawołał chwilę potem Brahim, prostując się w strzemionach i wymachując nad głową arkebuzem.

Hernando skulił się przerażony, gdyż na twarzy ojczyma malowało się wyjątkowe okrucieństwo.

Pozostali mężczyźni natychmiast podjęli ten okrzyk. Brahim dał sygnał arkebuzem do wymarszu. Jeden z mężczyzn przesunął wierzchem dłoni po oczach, zanim się podniósł. Hernando usłyszał, że pociąga nosem i chrząka, jakby chciał stłumić płacz. Śpiewny głos Hamida długo jeszcze dźwięczał mu w uszach, kiedy popędzał muły.

Osada Alcútar, położona o milę od Juviles, przyjęła ich śpiewem i tańcami. Urządzono tu wielkie święto, tak samo jak w Juviles. Partal wezwał tutejszych morysków do powstania i ruszył dalej, do położonej niedaleko swojej rodzinnej wioski Narila, nie czekając na przybycie Brahima.

Podobnie jak wszystkie miejscowości górnej Alpuhary, Alcútar przecinały uliczki, które pięły się, schodziły w dół i wiły między pobielonymi domkami o płaskich dachach. Brahim skierował się do kościoła.

Kilkunastoosobowa grupa chrześcijan stała pod drzwiami świątyni. Uzbrojeni w kije moryskowie krzykiem i biciem zmuszali ich do posłuchu jak pasterze owce. Hernando dostrzegł przerażone spojrzenie dziewczynki o płowych włosach, które wyróżniały ją spośród zgromadzonych tu chrześcijan. Pod murem kościoła leżał martwy prebendarz, a ludzie przechodzący obok znieważali zwłoki płuciem i kopaniem. Nieopodal klęczał młodzieniec bez prawej ręki, próbując zatamować upływ krwi, wraz z którą uchodziło z niego życie. Krew lała się strumieniami na mokry śnieg, pies bawił się obciętą dłonią, obgryzając ją powoli, na co patrzyły z zaciekawieniem muzułmańskie dzieci.

— Bierz się do ładowania łupów!

Głos Brahima zabrzmiał w momencie, gdy jakieś dziecko odważyło się wyrwać psu tę makabryczną zabawkę i rzuciło zakrwawioną rękę pod nogi okaleczonego młodzieńca. Pies rzucił się w tamtą stronę, a wtedy jedna z kobiet wybuchnęła śmiechem i splunęła na rannego, który trzymał w górze swój kikut. Rozochociona kopnęła ten strzęp ludzkiego ciała bliżej psa, żeby dokończył obgryzanie.

Hernando z niedowierzaniem pokręcił głową, wchodząc za żołnierzami do kościoła. Dziewczynka o słomianych włosach, mokrych od padającego śniegu, wciąż wpatrywała się nieruchomo w zwłoki prebendarza.

Wkrótce potem chłopiec wyniósł ze świątyni szaty ze złotogłowa i parę srebrnych kandelabrow, które dołączyły do stosu najróżniejszych przedmiotów spiętrzonych u drzwi kościoła. Pogrzebał, żeby wybrać dla siebie coś z ciepłej odzieży zrabowanej z chrześcijańskich domów. Brahim skrzywił się groźnie z wysokości konia.

— Chyba nie chcesz, żebym zamarzył na śmierć — usprawiedliwił się, uprzedzając słowa nagany z ust ojczyrna.

Juki dwunastu mułów były już pełne, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi i szczyty gór otaczających Alpuharę zabarwiły się na czerwono. Jednoręki zdążył się wykrwawić i leżał martwy obok prebendarza. Pies przestał obgryzać jego dłoń. Chrześcijanie wciąż stali przerażeni pod kościołem. Na energiczny głos muezina moryskowie rozłożyli na błotnistej ziemi lniane i jedwabne stroje i zaczęli bić pokłony.

Czerwień na niebie przeszła w szarość, kiedy skończyli modlitwę wieczorną, więc Partal i jego ludzie udali się czym prędzej do Alcútar. Do grupy trzydziestu szorstkich mężczyzn, z których jedni byli konno, inni na piechotę, wszyscy ciepło ubrani i uzbrojeni w kusze, szable, arkebuzy i nieodłączne noże za pasem, dołączył niewielki oddział *gandules*, członków milicji miejskiej z Narili wyznaczonej do pilnowania porządku wśród chrześcijańskich jeńców w drodze do Alcútar. Banitom niestraszny był mróz ani śnieg, umilali sobie drogę śmiechem i rozmowami. Na samym końcu ciągnęły muły z łupami zdobytymi w Narili.

Nowi jeńcy powiększyli dość liczną grupę uwięzionych przed kościołem. Moryskowie nie pozwolili na żadne rozmowy, karząc surowo osoby próbujące złamać ten zakaz, toteż niebawem na placu zaległa cisza przerywana okrzykami dzieci, które biegały za banitami, pokazywały palcami na kindżały i konie, i pękały z dumy, gdy któryś z banitów potargał im czuprynę. Brahim i *alguacil* Alcútar przywitali Partala i odeszli na stronę, by spokojnie porozmawiać. Hernando stał obok obładowanych mulic i widział, jak ojczym pokazuje na niego, a Partal kiwa potakująco głową. Potem z kolei Partal pokazał na muły dźwigające łupy z Narili i chciał przywołać mulnika kierującego stadem, lecz Brahim się sprzeciwił. Mimo odległości i zmroku rozświetlanego pochodniami Hernando zauważył, że ci dwaj mężczyźni o coś się kłóć. Brahim mocno gestykulował i kręcił głową, bez wątpienia chodziło o nowego mulnika. Partal usiłował go uspokoić i o czymś przekonać. Musieli chyba dojść do porozumienia, gdyż banita wezwał swojego mulnika, żeby dać mu instrukcje. Mulnik z Narili wyciągnął rękę do Brahima, ale ten jej nie przyjął, tylko patrzył na niego spod oka.

— Rozumiesz, gdzie twoje miejsce? — warknął Brahim, oglądając się na Partala. Mulnik z Narili skinął potakująco głową. — Słyszałem o tobie sporo złego. Nie chcę mieć problemów z tobą, twoimi mułami i twoim sposobem pracy. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze, żebyś nie musiał powtarzać — dodał, uznając rozmowę za zakończoną.

Nowy mulnik miał na imię Cecilio, ale znany był jako Ubajd z Narili. Tak też przedstawił się Hernandowi, który na polecenie Brahima przyłączył jego muły do swojego stada.

— A ja jestem Hernando.

Ubajd odczekał chwilę.

— Hernando? — powtórzył, widząc, że chłopiec nie zamierza nic dodać.

— Tak, po prostu Hernando — powiedział to stanowczo, jakby chciał się postawić Ubajdowi, mimo że ten miał o parę lat więcej i był doświadczonym mulnikiem.



Ubajd zaśmiał się sarkastycznie i natychmiast odwrócił się od chłopca, żeby zająć się swoimi zwierzętami.

Gdyby wiedział, jakie mam przewisko, pomyślał Hernando i poczuł nagły skurcz w żołądku. Może powinienem przyjąć muzułmańskie imię.

Tej nocy wszędzie się walało zboże i żywność zrabowana chrześcijanom, muzułmanie świętowali powstańczy zryw Alpuhary. Wszystkie okęgi, wszystkie miejscowości zamieszkane przez morysków przyłączyły się do rebelii, entuzjastycznie obwieścił Partal. Brakowało tylko Grenady!

Podczas gdy miejscowe władze gościły banitów, chrześcijanie byli zamknięci w kościele pod strażą tutejszego fakiha, który, podobnie jak to robił Hamid w Juviles, miał ich namawiać do wyrzeczenia się wiary, natomiast Hernando i Ubajd zostali przy mułach, pilnując łupów. Schowali się przed zimnem w szałasie, lecz kobiety z Alcútar nie zapomniały o nich i przyniosły sporo jedzenia. Nareszcie Hernando zaspokoił głód, Ubajd również, ale pełny żołądek obudził w nim inne żądze. Nie krępując się Hernanda, zaczął każdą przechodzącą kobietę. Niejedna z nich rzucała zalotne spojrzenia na niebieskookiego chłopca, gotowa przysiąc do niego na dłużej, lecz Hernando zaraz się kulił i uciekał wzrokiem lub wręcz odsuwał się od kobiet, które zbyt natrętnie szukały jego towarzystwa.

— Co z tobą? Boisz się? — spytał Ubajd. Jedzenie i obecność kobiet wprawiły go w znakomity humor. — Nie ma czego, prawda? — dodał, zwracając się do jednej z nich.

Zapytana wybuchnęła takim śmiechem, że Hernando się zarumienił. Mulnik z Narili przyglądał mu się złośliwie.

— Bardziej się boisz kobiet czy swojego ojczyzna? — mówił dalej. — Coś mi się zdaje, że wasze stosunki nie układają się zbyt dobrze...

Hernando nie odpowiedział.

— Właściwie nie ma się co dziwić... — kontynuował Ubajd. Porozumiewawczy uśmiech na jego wargach nie dodawał uroku wulgarnym rysom twarzy. — Ale nie przejmuj się. Jemu teraz

głównie władza w głowie... A my dwaj mamy okazję zająć się ważniejszymi sprawami, nie sądzisz?

Kobieta, która zaczęła Ubajda, domagała się większej uwagi, więc spojrzął tylko znacząco na Hernanda, choć ten wciąż nie rozumiał, o co chodzi, i wsunął głowę między jej piersi.

Trochę później Ubajd gdzieś znikł z kobietą. Patrząc za nimi, jak odchodzą, Hernando przypomniał sobie słowa zakrystiana z Juviles:

— Nowe chrześcijanki, czyli moryski — tłumaczył, indoktrynując go jak zwykle w zakrystii kościoła — uprawiają na różne sposoby miłość z mężem... a właściwie nie z mężem! Bo małżeństwo muzułmańskie to zwykły kontrakt. Znaczy tyle, co umowa o sprzedaży krowy albo wydzierżawieniu pola. — Zakrystian odnosił się do chłopca jak do potomka starej chrześcijańskiej rodziny bez skazy i zdawał się nie pamiętać, że rozmawia z synem moryski. — Mężczyźni i kobiety popełniają grzech cielesny, który bardzo rani Naszego Pana Jezusa. Wszystkie muzułmanki są grube i ciemnoskóre, bo myślą tylko o tym, jak przypodobać się mężczyznom. Zachowują się przy nich jak suki w rui, a kiedy zostają same, oddają się cudzołóstwu, obżarstwu i lenistwu, plotkują przez cały dzień dla zabicia czasu, dopóki mężczyzna nie wróci do domu i nie wpadnie w ich kobiece ramiona.

Zdarzają się również grube chrześcijanki i niektóre mają skórę ciemniejszą niż muzułmanki, miał ochotę odpowiedzieć Hernando. Ale zbył te słowa milczeniem, jak zwykle w rozmowie z zakrystianem.



Mroźny, słoneczny dzień Bożego Narodzenia wstawał nad Sierra Nevada.

— Nie chcę odstąpić od swojej wiary — zakomunikował fakih z Alcútar Partalowi i moryskom zgromadzonym przed kościołem. — Mówię im o prawdziwym Bogu i Proroku, a oni nic tylko się modlą. Modlą się chóralnie. Kiedy grozę im represjami, powierzają się Chrystusowi. Bicie też nie pomaga, bo im więcej

cierpią, tym gorliwiej wzywają swojego Boga. Zabraliśmy im krzyżyki i medaliki, ale i tak wciąż się żegnają.

— Muszą ulec... — wycedził Partal. — Cuxurio de Bérchules przyłączyło się wczoraj do powstania. Seniz i inni przywódcy banitów już tam na nas czekają. Przygotuj muły z łupami — dodał, zwracając się do Brahima. — Zabierzemy tych chrześcijan do Cuxurio. Wyprowadźcie ich z kościoła.

Około osiemdziesięciu osób wyrzucono ze świątyni krzykiem, biciem i popychaniem. Kobiety i dzieci rozplakały się na widok tłumu oczekującego na zewnątrz, mężczyźni modlili się, wznosząc oczy ku niebu, wielu robiło ręką znak krzyża.

Partal zaczął, aż ich porozdzielają, po czym zbliżył się, świdrując ich oczami.

— Niech Chrystus ześle na ciebie...!

Dalsze słowa klątwy zamarły pod ciosem kolbą arkebuza. Szczupły mężczyzna w średnim wieku padł na kolana z zakrwawionymi ustami. Jakaś kobieta, pewnie jego żona, rzuciła się na ratunek, ale Partal odepchnął ją uderzeniem w twarz. Potem zmrużył oczy i jego gęste czarne brwi zwały się w jedną linię. Moryskowie z Alcútar zamarli w oczekiwaniu. Wśród chrześcijan zapanowała cisza.

— Rozbierać się! — zawołał rozkazująco. — Wszyscy mężczyźni i chłopcy powyżej dziesiątego roku życia mają się rozebrać do naga!

Chrześcijanie popatrzyli po sobie z niedowierzaniem. Rozebrać się do naga w obecności żony, sąsiadek i córek? Ktoś próbował zaprotestować.

— Rozbieraj się! — powiedział Partal do stojącego w pobliżu starca z rzadką brodą, którego przewyższał o głowę. Mężczyzna przeżegnał się w odpowiedzi. Banita powoli wyjął z pochwy długi, ciężki rapier i dotknął ostrym końcem szyi chrześcijanina: strużka krwi popłynęła z przeciętej na grdyce skóry. — Rób, co każę! — zażądał.

Starzec opuścił ręce i patrzył nieustępliwie. Partal bez wahania zagłębił rapier w jego szyi.

— Rozbieraj się — zwrócił się do następnego chrześcijanina, przysuwając mu do szyi zakrwawiony rapier. Mężczyzna zbladł i zaczął rozpinąć koszulę wpatrzony w konającego nieopodal starca. — Wy też. Wszyscy! — rozkazał Partal.

Wiele kobiet spuściło wzrok, niektóre zasłaniały córkom oczy. Moryskowie wybuchnęli gromkim śmiechem.

Ubajd, który wraz z innymi przyglądał się tej scenie, poszedł do mulic. Hernando ruszył za nim; musieli przygotować się do drogi.

— Nadźwigają się, biedaczki! — zawołał mulnik z ironią. — Nikt nie sprawdzał, co mają w jukach... To dobrze, bo gdyby przypadkiem coś się zgubiło, i tak nikt nie zauważy...

Hernando odwrócił się w jego stronę, nagle przestraszony. Co Ubajd chciał przez to powiedzieć? Ale mulnik był tak pochłonięty pracą, że tamte słowa wydały się zupełnie przypadkowe. Niewiele myśląc, Hernando odezwał się tonem surowszym niż zazwyczaj:

— Nic nie zginie! Te łupy należą do naszego ludu.

Żaden z nich nic więcej nie powiedział.



Wreszcie opuścili Alcútar. Brahim, Partal i ich żołnierze na przodzie, a za nimi długi szereg ponad czterdziestu chrześcijan, nagich i bosych, skostniałych z zimna, z rękami związanymi na plecach. Przygnębione kobiety ze spuszczoneymi głowami, dzieci do dziesiątego roku życia i dwadzieścia parę mulic z łupami zamykało pochód pod nadzorem Hernanda i Ubajda. Wśród chrześcijan krążyli rozmaici *gandules*, którzy świeżo dołączyli do formacji i pałali chęcią walki. Złorzeczyli im, obrzucali obelgami i zapowiadali najstraszliwsze tortury, jeśli nie wyrzekną się swojej wiary i nie przejdą na islam.

Chociaż Cuxurio de Bérchules leżało o niecałe pół mili od Alcútar, trudy marszu szybko dały się odczuć bosym stopom chrześcijan. Krwawe ślady coraz częściej znaczyły przebytą drogę. Nagle jeden z jeńców upadł na ziemię: jego chude nogi i nieowło-

sione krocze wskazywały, że to jeszcze dziecko. Mężczyźni mieli skrepowane dłonie, więc nie mogli nic zrobić, kobiety próbowały, ale *gandules*, którzy znaleźli się w pobliżu, nie pozwolili im zbliżyć się do chłopca i zaczęli go kopać. Dziewczynka o słomianych włosach rzuciła się na pomoc.

— Zostawcie go! — krzyknęła, przyklękając i zasłaniając mu głowę swoimi rękami.

— Zobaczymy, czy twój Bóg go podniesie. Poproś go! — zaśmiał się jeden z napastników.

— Wyrzeknijcie się swojej wiary — zażądał inny.

Grupa złożona z leżącego na ziemi chłopca, dziewczynki i czterech *gandules* zatarasowała drogę mulicy idącej na czele stada. Zwierzę znieruchomiło.

— Co tam się dzieje? — Hernando usłyszał za swymi plecami głos Ubajda.

Odwrócił się w momencie, gdy jeden z morysków odpowiadał mulnikowi.

— Chyba ich zabijemy, bo nie chcą iść dalej!

Hernando widział między nogami *gandules* skurczone ciało chłopca, jego wykrzywioną z bólu twarz i mocno zaciśnięte oczy. Słowa same popłynęły mu z ust.

— Jeśli ich zabijecie, nie uda się wam... nam się nie uda — poprawił się natychmiast — nawrócić ich na prawdziwą wiarę.

Czterej moryskowie odwrócili się jednocześnie. Wszyscy byli o kilka lat starsi od Hernanda.

— Kto dał ci prawo tak do nas mówić?

— Kto wam dał prawo do odebrania im życia? — odparł pytaniem Hernando.

— Zajmuj się swoimi mułami, chłopaczku...

Hernando nie dał mu dokończyć i splunął na ziemię.

— Może jego zapytacie, co z nimi zrobić? — Pokazał na szerokie bary oddalającego się Partala. — Gdyby chciał, zabiłby ich już w Alcútar.

Cała czwórka wymieniła spojrzenia i ruszyła przed siebie, wymierzając dziecku na koniec jeszcze parę kopniaków. Przy

pomocy dziewczynki Hernando ściągnął malca ze ścieżki, żeby zrobić przejście mułom, popędził je i zaczął na Staruszkę. Gonzalico wisiał między Hernandem i dziewczynką o słomianych włosach, podtrzymywany przez nich pod pachami, i z trudem łapał powietrze. Ubajd obserwował tę scenę bez słowa. Jego wzrok wyrażał zaskoczenie. Pasierb Brahima jest odważniejszy, niż na pierwszy rzut oka się zdawało... Hernando z dziewczynką wsadzili malca na grzbiet Staruszki.

— Dlaczego to zrobiłaś? — zapytał. — Przecież mogli cię zabić.

— To mój brat — odpowiedziała z twarzą zalaną łzami. — Mój jedyny brat. On jest dobry — dorzuciła, jakby prosiła o łaskę.

Miała na imię Isabel, jak dowiedział się potem Hernando, kiedy szli razem obok Staruszki, podtrzymując Gonzalica. Mówiła niewiele, ale czuło się, że wielka miłość łączy to rodzeństwo.

W Cuxurio de Bérchules zastali to samo co w każdej innej zbuntowanej wiosce Alpuhary: splądrowany i sprofanowany kościół, tańczący moryskowie i uwięzieni chrześcijanie. Czekali tu na nich Lope Seniz ze swoimi kompanami. Dowódcy postanowili dać chrześcijanom jeszcze jedną szansę, ale tym razem, mając na uwadze mizerne efekty akcji podjętej w Alcútar, nakazywali fakihom wywierać silniejszą presję i zagrozić, że jeśli mężczyźni nie nawrócą się na islam, ich żony czeka upokorzenie i śmierć.

— Będzie z niego dobry faki — pochwalił pasierba Brahim przed Partalem i Senizem, kiedy zobaczył, że prowadzi Staruszkę z dzieckiem na grzbiecie, a obok niego idzie Isabel. — Znacie Hamida z Juviles? — Obaj przytaknęli. Cała Alpuhara знаła kulawego Hamida. — Upodobał sobie Hernanda i uczy go prawdziwej wiary.

Partal zmrugał oczy, kontemplując obrazek z Hernandem, mulicą i dzieckiem. Pomyślał, że nawrócenie takiego dziecka może wywrzeć większy wpływ na upartych chrześcijan niż wszystkie groźby razem wzięte.

— Zbliż się! — rozkazał Hernandowi. — Jeśli to prawda, co mówi twój ojczym, zostaniesz na noc z tym małym chrześcijaninem i przekonasz go do wyrzeczenia się swojej wiary.



Podczas gdy zbuntowani moryskowie próbowali nawracać chrześcijan pod przymusem, powstańcy Alpuhary ponieśli pierwszą klęskę. Owej nocy Bożego Narodzenia ani Grenada, ani okolice miasta nie przyłączyły się do powstania. Przywódca rebeliantów, bogaty farbiarz Farax, wkroczył do Albaicín na czele stu osiemdziesięciu banitów przebranych za Turków, co miało sugerować przybycie wojska posiłkowego, i krążył po muzułmańskiej dzielnicy, głośno wzywając mieszkańców do buntu. Posuwali się krętymi uliczkami, nie napotyając żadnych przeszkód. Nieliczne oddziały chrześcijańskie zamknęły się w koszarach w Alhambrze. Gorzej, że drzwi i okna domostw muzułmańskich również pozostały zamknięte.

— Ilu was jest? — padło pytanie przez szparę w uchylonym oknie.

— Sześć tysięcy — skłamał Farax.

— To mało. Przyjdźcie później.

Okno zamknęło się z trzaskiem.

## 6

Gonzalicoowi zabrano koce, którymi okrywał się w nocy, i znowu zaczął się trząść.

— No i co, wyparł się swojej wiary? — spytał Hernando banita z grupy Seniza nazajutrz o świcie.

Hernando i Gonzalico długo w nocy rozmawiali przy ognisku na polu, gdzie odpoczywały muły. Pytanie banity padło akurat w chwili, gdy obaj siedzieli w milczeniu wpatrzeni w resztki tlącego się żaru. On miałyby się zaprzeczyć? — Miał ochotę odpowiedzieć młody morysk. Wprost przeciwnie, to dziecko jeszcze bardziej utwierdziło się w swojej wierze wyznawanej z siłą i stanowczością dorosłego. Gonzalico modlił się do swojego Boga! Powierzył swoją duszę Panu i Władcy chrześcijan!

Zaprzeczył, nie podnosząc głowy. Banita bez wahania chwycił Gonzalica za ramię i pociągnął za sobą. Hernando widział tylko małe bosc stopy oddalające się w kierunku wioski.

Iść za nimi? Może jeszcze Gonzalico wyprze się swojej wiary? Podniósł oczy znad dogasającego ogniska. Gaśnie jak życie Gonzalica! Ale chłopczyk nie zdążył nawet zapłonąć tak silnie jak te drwa, które w nocy trzaskały wesoło płomieniami. Był jeszcze dzieckiem! Hernando widział go, jak biegnie, żeby dotrzymać kroku banicie, potyka się o kamień, upada, wstaje i kilka kroków dalej znowu się przewraca. Oczy moryska napęłniły się łzami. Wstał i podążył za nimi.



— Wasi królowie zmusili nas do zaparcia się naszej wiary — wyjaśniał mu podczas nocnej rozmowy z chłopcem. — Nie mieliśmy innego wyjścia. Daliśmy się ochrzcić. — Gonzalico wpatrywał się w niego wielkimi, brązowymi oczami. — Teraz my będziemy rządzić...

— Ale nie w niebie — przerwał mu malec.

— Jeśli jest tak, jak mówisz — odparł na to spokojnie, bo nie zamierzał podejmować dyskusji — to wyrzeczenie się wiary tu, na ziemi, niczego nie zmieni.

Chłopiec się wystraszył.

— Zaprzec się Chrystusa? — zapytał cieniutkim głosem.

Co za głupcy z tych chrześcijan! Opowiedział mu o fatwie ogłoszonej przez muftiego Oranu w okresie przymusowego nawracania hiszpańskich muzułmanów:

— Jeśli zmuszą cię do picia wina, pij, ale nie bądź do tego skłonny dobrowolnie, bo to prowadzi do nałogu — recytował, wyjaśnwszy chłopcu sens werdyktu, który ów uczony w prawie wydał dla swoich braci z Al-Andalus. Wszyscy moryskowie znali to na pamięć. — Jeśli przymuszą cię do jedzenia wieprzowiny, jedz niechętnie i dawaj świadectwo o zakazie. To znaczy, że kiedy coś robisz pod przymusem — tłumaczył mu dalej swoimi słowami, zakończywszy cytowanie fatwy — to tak naprawdę się nie liczy... jeśli tylko wypełniasz przykazania swojego Boga.

— Mówisz herezje — upierał się Gonzalico.

Hernando westchnął i popatrzył na Staruszkę, która zawsze trzymała się blisko niego. Mulica spała na stojąco.

— Zabiją cię — rzekł po chwili milczenia.

— Umrę dla Chrystusa! — zawołał malec, drżąc na całym ciele, czego ani ciemność, ani koc nie zdołały ukryć.

Obaj umilkli. Hernando słuchał słumionych łkań skulonego pod kocem Gonzalica. „Umrę dla Chrystusa”. Przecież to jeszcze dzieciak! Wziął drugi koc, żeby go przykryć, i przysunął się bliżej, wiedząc, że malec nie śpi.

— Dziękuję — chlipnęła Gonzalico.

Podziękował? Hernando był zdziwiony, tym bardziej że chłop-

czyk wysunął spod koca rękę i chwycił jego dłoń. Przytrzymał ją i łkania powoli cichły, aż ustały zupełnie, przechodząc w równomierny oddech. Resztę nocy przesiedział nieruchomo przy śpiącym dziecku i nawet nie próbował oswobodzić swej dłoni, żeby go nie obudzić.

Ocknęli się na krótko przed przyjściem banity z oddziału Seniza. Gonzalico uśmiechnął się radośnie. Hernando chciał również odpowiedzieć uśmiechem na to dziecięce powitanie, ale wyszedł mu tylko grymas. Skąd Gonzalico czerpie siły, żeby się jeszcze uśmiechać? To tylko niewinne dziecko, pomyślał. W nocy bał się niebezpieczeństwa, dyskutowali o różnych bogach, a teraz zachowywał się po prostu jak dziecko. Czyż nie zaczyna się nowy dzień? Słońce wschodzi jak zwykle... Hernando nie śmiał więcej nalegać na apostazję i wreszcie mógł uśmiechnąć się otwarcie.

Nie mieli nic do jedzenia.

— Potem coś znajdziemy — powiedział Gonzalico dziecinnym głosem.

Potem! Hernando zmusił się do przytaknięcia.



Żaden chrześcijanin nie odstał od swej wiary. „Umrę za Chrystusa”. Hernando przypomniał sobie te słowa, kiedy banita wcisnął dziecko do licznej grupy chrześcijan stłoczonych przed kościołem w centrum Cuxurio. Wszyscy byli nadzy. Muzułmańskie *ju-ju* mieszało się z płaczem chrześcijanek, które musiały patrzeć na hańbę swych ojców, mężów i synów. Jeśli któraś pochylała głowę albo zamykała oczy, była bita tak długo, aż zdecydowała się spojrzeć na obnażonych mężczyzn. Znaleźli się tu wszyscy chrześcijanie z Alcútar, Narili i z Cuxurio de Bérchules, ponad osiemdziesięciu mężczyzn i chłopców powyżej dziesiątego roku życia. Seniz i Partal krzyczeli i gestykulowali, zwracając się do fakiha, który zajmował się chrześcijanami przez całą noc. Seniz był pierwszy: bez słowa skierował się w stronę nagich mężczyzn. Stanął przed nimi, zapalił lont starego arkebuza ze złoconymi inkrustacjami i umocował go na serpentynie.

Zapadła cisza, wszyscy wpatrywali się w namoczony w saetrze lniany sznurek, który skrzył się powoli.

Seniz oparł kolbę strzelby na ziemi, wprowadził do lufy proch, zrobił ze szmaty przetyczkę i przystąpił do ubijania stemplem. Był całkowicie skoncentrowany na arkebuzie. Następnie wsunął ołowianą kulę i ponownie uderzał stemplem. Na koniec podniósł broń i złożył się do strzału.

Żałosny jęk przebiegł wśród chrześcijanek. Jakaś kobieta upadła na kolana, splatając palce dłoni w błagalnym geście. Morysk szarpnął ją za włosy, żeby podniosła głowę. Seniz nawet się nie obejrzał, tylko podsypał drobnoziarnistego prochu na panewkę. A potem, od niechcenia, strzelił w pierś chrześcijanina.

— Allah jest wielki! — wykrzyknął. Echo strzału wciąż unosiło się w powietrzu. — Zabić ich! Pozabijać wszystkich!

Banici, *gandules* i zwykli ludzie rzucili się na chrześcijan. W ruch poszły arkebuzy, włócznie, szable, sztylety i zwykłe narzędzia rolnicze. Ogłuszający wrzask niósł się po Cuxurio. Moryski i *gandules* przytrzymywali chrześcijanki, żeby patrzyły na tę rzeź. Oszałała, wyjąca tłuszczą otaczała nagich mężczyzn, którzy w żaden sposób nie mogli się bronić. Jedni klękali, żegnając się, inni zasłaniali swych synów własnym ciałem. Hernando obserwował te sceny, stojąc nieopodal grupy chrześcijanek. Ogromna muzułmanka wetknęła mu do ręki nóż i popchnęła, aby wziął udział w jatce. Ostrze zabłysło w jego dłoni, kobieta znów go popchnęła. Hernando powoli zbliżał się do chrześcijan. Co ma zrobić? Jak zabijać? Był w połowie drogi, kiedy Isabel, siostra Gonzalica, wyrwała się z grupy, podbiegła do niego i chwyciła za rękę.

— Ratuj go — błagała.

Ratować? Przecież on musi zabijać! Olbrzymka mu nie pozwoli i...

Złapał Isabel za ramie, stanął z tyłu i przystawiając nóż do jej szyi, zmusił do oglądania masakry. Widział, że mężczyźni właśnie tak postępują z chrześcijankami. Gruba muzułmanka wyglądała na usatysfakcjonowaną.

— Ratuj go — powtarzała zapłakana Isabel, nawet nie próbując się wrywać.

Serce bolało go od tych prośb.

Musiała na to patrzeć, ale on też wszystko widział ponad jej głowę. Ubajd zbliżał się do Gonzalica. Rzucił krótkie spojrzenie na Hernanda i Isabel, po czym szarpnął małego za włosy, żeby podniósł głowę i odsłonił szyję. Chłopczyk nie stawiał oporu. Ubajd poderzwał mu gardło jednym cięciem, ucichły słowa modlitwy szeptanej do końca. Isabel wstrzymała oddech, podobnie jak Hernando. Ubajd rzucił trupa na ziemię i uklęknął, wbijając mu sztylet w plecy. Wiercił nim w środku, jakby czegoś szukał. Wreszcie znalazł i z triumfalnym okrzykiem wyrwał krwawiące serce Gonzalica, podnosząc je do góry. Znow na nich spojrzął i rzucił im to serce pod stopy.

Hernando już dawno wypuścił dziewczynkę z rąk, ale ona wciąż przywierała do niego nieruchomo. Żadne z nich nie patrzyło na dół, gdzie leżało serce. Rzeź trwała i Ubajd nie próżnował. Dołączył do ludzi pastwiących się nad prebendarzem Montoyą: wyłupili mu oko i poszatkowali go na kawałki. Obaj księża byli tak najeżeni strzałami, że brakowało wolnego miejsca na ich ciele. Wszędzie dogorywali żywcem poćwiartowani mężczyźni. Jeden z atakujących z furią walił motyką w bezkształtną, krwawą masę. Inny podbiegł do chrześcijanek, żeby pokazać im czyjaś głowę wbitą na pikę. Tańczył w podskokach wokół kobiet, machając im przed oczami tym trofeum. Stopniowo dzikie okrzyki przechodziły w pieśń zwycięstwa morysków. „Oddam życie za Chrystusa”. Hernando utkwiał wzrok w zmasakrowanych zwłokach Gonzalica. Przed kościołem leżało wiele ciał w ogromnej kałuży krwi. Łzy napłynęły mu do oczu. Kilku banitów deptało po tych ciałach, szukając, kogo by tu jeszcze dobić. Moryskowie śmiali się i głośno rozmawiali. Ktoś zagrał na piszczałce i zaczęły się tańce. Nikt już nie pilnował chrześcijanek. Olbrzymka, która wcześniej zachęcała Hernanda do walki, teraz zabrała mu Isabel i popchnęła ją do reszty chrześcijańskich kobiet. Jednocześnie zażądała od niego zwrotu noża.

Hernando wciąż trzymał go w rękę. Nie mógł oderwać swoich niebieskich oczu od stosu trupów.

— Oddawaj nóż — ponagliła kobieta.

Nawet nie drgnął.

Muzułmanka podeszła bliżej i szarpnęła go za rękę.

— Nóż! — Hernando wyciągnął machinalnie dłoń. — Jak się nazywasz?

Wybąkał coś w odpowiedzi i kobieta znów nim potrząsnęła.

— Jak się nazywasz?

— Hamid — odparł Hernando, powoli przytomniejąc. — Ibn Hamid.



W dniu masakry w Cuxurio de Bérchules przyszedł rozkaz od Faraksa, farbiarza z Albaicín, przywódcy buntu morysków. Seniz i Partal mieli stawić się na zamku w Juviles z żołnierzami, zdobytym łupem i z pojmanymi chrześcijankami. W czasie Bożego Narodzenia w Béznar, na zachodzie Alpuhary, odbyła się uroczysta proklamacja don Fernanda na króla Grenady i Kordoby.

Nowy król wywodził się podobnie jak Hamid z muzułmańskiej szlachty Grenady, lecz twierdził (i tym się różnił od fakiha z Juviles), iż jego ród jest spokrewniony z kalifami Kordoby z dynastii Umajjadów. Rodzina don Fernanda w przeciwieństwie do rodziny Hamida zasymilowała się z chrześcijanami po zdobyciu Grenady przez Hiszpanów. Jego ojciec otrzymał tytuł rajcy i tym samym wszedł w skład grupy nobilów rządzących radą miejską Grenady, ale został skazany na galery za popełnienie zbrodni. Jego syn, który otrzymał w spadku godność rajcy, też miał proces o zabójstwo. Podejrzewano go o zabicie człowieka, który zadunucjował jego ojca i kilku świadków zbrodni. Wtedy don Fernando de Valor sprzedał rajcostwo innemu moryskowi, który poręczył za niego w procesie sądowym i zapłacił kaucję. Ów człowiek nie bardzo ufał słowu danemu przez don Fernanda, a ponadto obawiał się stracić kaucję, toteż postarał się o to, by w momencie uiszczania opłaty za rajcostwo władze zajęły również pieniądze pochodzące

ze sprzedaży. Dwudziestego czwartego grudnia 1568 roku, na wieść o wybuchu powstania w Alpuharze, don Fernando de Válor y de Córdoba uciekł z Grenady bez rajcostwa i bez pieniędzy, mając za całe towarzystwo jedną kochankę i czarnego niewolnika. Postanowił przyłączyć się — jak mówił — do sprawy swojego ludu.

Król Grenady i Kordoby miał dwadzieścia dwa lata, ciemno-oliwkową cerę i zrosnięte brwi nad dużymi czarnymi oczami. Wytworny, dobrze urodzony, cieszył się uznaniem i szacunkiem wszystkich morysków zarówno z racji stanowiska zajmowanego wcześniej w radzie miejskiej Grenady, jak i ze względu na pochodzenie i królewską krew, którą się szczycił. Przy wsparciu swojej rodziny został mianowany królem pod drzewem oliwkowym w Béznar, w obecności tłumnie przybyłych morysków, mimo gwałtownego sprzeciwu Faraksa, który zażądał korony dla siebie. Aby go uspokoić, don Fernando nadał mu tytuł i stanowisko głównego stróża prawa. W końcu farbiarz ucałował ziemię, po której stąpił nowy król w purpurowej szacie po złożeniu przysięgi na cztery sztandary rozwiane na cztery strony świata, że nigdy nie opuści swojego królestwa, będzie strzegł i dochowa prawa i wiary Mahometa. Zaprzysiężony na króla don Fernando włożył na głowę srebrną koronę ukradzioną z obrazu Dziewicy i przyjął imię Muhammad Ibn Umajja, które chrześcijanie zamienili na Aben Humeya. Wiwatom nie było końca.

# 7

Na rozkaz nowego króla Farax wyruszył z trzystoma dzielnymi banitami, żeby pozbierać z całej Alpuhary łupy zdobyczne. Aben Humeya zamierzał je wymienić na broń u Berberów. W tej sytuacji Hernando zawrócił stado mułów z wypełnionymi po brzegi jukami i prosto z Cuxurio pomaszrowali na zamek w Juviles. Jego stosunki z Ubajdem stawały się coraz bardziej napięte, mulnik z Narili ujawnił swoje dzikie oblicze i Hernando nie mógł mu tego zapomnieć, a ponadto wciąż rozmyślał, co miały znaczyć owe słowa o przypadkowej utracie części łupów.

— Muszę dopilnować Staruszki. Zawsze się spóźnia — powiedział do Ubajda i poszedł na koniec karawany. Wolał nie mieć go za plecami.

— Stara mulica zjada tyle samo co młoda — odezwał się szorstko Ubajd. — Nie warto jej trzymać. Lepiej ją zabić. — Hernando nic na to nie powiedział. — Tyle rzeczy za ciebie robię, że mogę i to, jeśli chcesz — dodał mulnik, podnosząc rękę do pasa, gdzie wisiał szyćlet

— Ona zna drogi Alpuhary lepiej od ciebie — wyrwało się Hernandowi.

Obaj zmierzyl się wzrokiem. Z oczu Ubajda zionęła nienawiść, meł w zębach przekleństwa, ale okrzyk Brahima go otrzeźwił. Grupa chrześcijanek była już daleko w przodzie, a muły jeszcze

nie ruszyły. Ubajd zmarszczył brwi, odpowiedział Brahimowi równie głośnym krzykiem i szybko dołączył do idących, obrzucając Hernanda złowrogim spojrzeniem.

I w tym momencie Ubajd postanowił, że musi się go pozbyć. Ten chłopak jest zbyt zależny od Brahima, mulnika z Juviles, z którym Ubajd od dawna miał wiele zatargów... Zresztą nie tylko z nim. Złoto i skarby, które teraz przewozili na mułach, rozbudziło w nim żądzę posiadania. Czy ktoś się spostrzeże, że czegoś zabraknie? Nikt nie kontroluje zawartości juków. Owszem, walka toczy się o ważną sprawę, ale pewnego dnia się skończy, i co wtedy... Znow będzie zwykłym mulnikiem, który musi ciężko harować na ośnieżonych drogach górskich za mizerne pieniądze? Ubajd nie miał na to ochoty. Nic się nie stanie, jeśli coś weźmie dla siebie. Próbował namówić Hernanda do współnictwa, chciał się z nim zaprzyjaźnić, żeby razem bronić się przed Brahimem. Jednakże ten mały głupek niczego nie zrozumiał. Trudno. Tym gorzej dla niego! Nie ma co z tym zwlekać, teraz jest odpowiedni moment, bo wszędzie panuje chaos. A potem... Kto wie, ilu nowych mulników dołączy do powstania albo co postanowi nowy król. Ubajd zdążył się już zorientować, że nikt, nawet Brahim nie zatęskni za tym chłopcem, którego wszyscy mają za nazarejczyka.

Dobrze znał ten szlak. Zaraz będzie ostry zakręt na krętej ścieżce biegnącej wzdłuż niemal pionowej ściany. Występy skalne ograniczają widoczność do zaledwie kilku kroków dla tych, którzy są z przodu, i tych idących z tyłu. Ścieżka jest tak wąska, że nie można na niej zawrócić, więc nikt go nie zaskoczy. Muły zamykają pochód, Staruszka idzie ostatnia, a za nią Hernando. Sprawa jest prosta: zaczai się przy skale za zakrętem, obetnie chłopcu głowę, wsadzi trupa na zwierzę z pełnymi jukami i zostawi w jednej z wielu jaskiń znajdujących się w tej okolicy. Nikt nic nie zauważy. Wszyscy pomyślą, że Hernando uciekł z częścią łupów. Odpowiedzialność spadnie na Brahima za to, że zaufał nazarejskiemu bękartowi, natomiast on, Ubajd, wieczorem wróci do jaskini i ukryje w bezpiecznym miejscu łup, dopóki nie skończy się wojna i nie nadejdą lepsze czasy.



Tak też zrobił. Popędził swoje muły, żeby same poszły do przodu, co nie było trudne, gdyż dobrze znały tę drogę. Wziął nóż do ręki, kiedy pierwsze muły ze stada Hernanda wychyliły się z zakrętu. Zaczął je liczyć: powinno być dwanaście. Ocierały się o niego i Ubajd ponaglał je bezdźwięcznie, żeby szły dalej. Po przejściu jedenastej mulicy naprężył się do ciosu: zaraz pojawi się ostatnia, a za nią chłopiec.

Tymczasem Staruszka zatrzymała się przed zakrętem. Nie słuchała ponagleń Hernanda i nie chciała się ruszyć, jakby wyczuła czyjaś obecność o kilka kroków dalej.

— Co ci jest? — zapytał i próbował ją obejść, żeby samemu sprawdzić...

Jednakże mulica się cofnęła, jakby chciała zagrozić mu drogę do zakrętu. Hernando znieruchomiał. W tym samym momencie pojawił się Ubajd, grożąc mu nożem. Muły oddalały się coraz bardziej i nie mógł dłużej czekać. Mimo wszystko postanowił przeprowadzić swój plan do końca. Hernando, stojący tuż za Staruszką, w pierwszym odruchu chciał uciec, ale natychmiast się zreflektował i wyciągnął duży kandelabr z litego srebra, który wystawał z jednej z sakw.

Stali teraz naprzeciwko siebie rozdzieleni mułem. Hernando czuł, że po plecach spływa mu pot zimniejszy niż górskie powietrze, którym oddychali. Zamierzył się na mulnika z Narili ciężkim kandelabrem, chociaż trzęsły mu się ręce i nogi. Z jednej strony miał skałę, z drugiej spadający w dół wąwóz. Ubajd spojrzał w dół: jeden cios tym kandelabrem i...

— Tylko spróbuj! — Hernando rzucił mu wyzwanie drżącym ze zdenerwowania głosem.

Mulnik z Narili rozważył sytuację i wsunął sztylet za pas.

— Wydawało mi się, że napadli cię chrześcijanie — wyjaśnił cynicznie, zanim poszedł do przodu.

Hernando nawet się nie obejrzał. Upychał kandelabr w jukach Staruszki i miał sporo kłopotu, żeby go utrzymać. Raptem uzmysłowił sobie, jaki to wielki ciężar. Zląkł się, że wypuści go z rąk, drżał na całym ciele jeszcze bardziej niż wtedy, gdy stał na-

przeciwko Ubajda. Na szczęście jakoś się udało i zmęczony, lecz zadowolony, poklepał Staruszkę po krzyżu. Ruszył w dalszą drogę, upewniając się przed każdym zakrętem, że mulica nie stawia oporu.



W otoczeniu rozradowanej dzieciarni wspinali się na górę zamkową. Było późne popołudnie, dzień świętego Stefana. Hernando nie spuszczał z oka Ubajda, który szedł przodem. Dobiały ich coraz głośniejsze dźwięki muzyki i zapachy potraw przygotowywanych na zamku. Za murami na wpół zburzonej fortecy oczekiwały ich kobiety i starcy z Cádjar i z wielu innych miejsc Alpuhary. Dużo kobiet i dzieci ściągało tutaj w poszukiwaniu schronienia, ponieważ ich mężowie i ojcowie przyłączyli się do powstania. Na rozległym terenie zamku, strzeżonym przez dziewięć wież obronnych częściowo zniszczonych, lecz wciąż dumnie wznoszących się nad przepaścią, stały stłoczone jak na bazarze namioty i szałaszy ze szmat i gałęzi, żeby każda rodzina miała gdzie trzymać swoje rzeczy. Między namiotami porozpalano ogniska, dzieci i starcy doglądali zwierząt, kobiety w kolorowych moryskich strojach przyrządzały strawę. Hernando uspokoił się, gdy usłyszał arabską mowę i poczuł znane zapachy — wszędzie skwierczał olej, a nie słonina jak u chrześcijan. Wśród powszechnej owacji defilowali przed namiotami. Jedna kobieta dała mu migdałowe ciastko, druga pączka, a jeszcze inna konfiturę z kandyzowanych owoców pokrytych warstwą lukru. Tu i tam dźwięczały tamburyny, szałamaje i kotły, piszczałki i rabele. Spróbował konfitury: smak lukru zmieszał się w jego ustach z zapachami krochmalu, piżma, bursztynu, czerwonego korala, pereł i kwiatu pomarańczy z dominantą pieczonego mięsa jelenia. Przeciskając się między ogniskami i roztańczonymi, rozśpiewanymi kobietami, wdychał woń baraniny, dziczyzny i różnych innych potraw przyprawianych kolendrą, miętą, tymiankiem, cynamonem, anyżkiem, koprem i innymi ziołami. Stada mułów z trudem przedarły się na drugi kraniec fortecy, gdzie w dawnej kazbie umieszczono zdobyczne łupy z Cádjar. Muzułmańskie kobiety rzuciły się na chrześ-

cijańskie branki, ogoławając je ze skromnego dobytku i zaganiając do pracy.

Przy pomocy ludzi, którym Brahim powierzył pieczęć nad łupami z Cádjar, Hernando i Ubajd zaczęli rozładowywać juki mułów i układać na stosie cenne przedmioty. Obydwaj byli spięci i pilnowali się nawzajem. Gdy tak kursowali między mułami i kazbą, ponad cichnący zgiełk różnych dźwięków wzniósł się głos Hamida nawołującego do modlitwy z dzwonnicy przy kościele w Juviles zamienionej na minaret. Zamek miał do dyspozycji ludzi dwa wielkie zbiorniki z czystą górską wodą. Obmyli się i zmówili modlitwę, po czym każdy wrócił do swoich zajęć. W kazbie rósł stos klejnotów, wszelkiego rodzaju monet i innych kosztowności zabranych chrześcijanom.

Hernando obieł wzrokiem nagromadzone złoto i srebro, próbując ocenić, ile wart jest cały ten majątek. Był tak pochłonięty tą czynnością, że nie zauważył zbliżającego się Ubajda. Ciemność kazby rozświetlały tylko dwie pochodnie zapalone po modlitwie nocnej. Znowu zrobiło się głośno. Brahim rozmawiał z wartownikami przed wejściem do kazby.

Ubajd mocno szturchnął Hernanda.

— Następnym razem ci się nie uda — wycedził przez zęby.

Następnym razem! — pomyślał Hernando. Wiedział, że ma do czynienia z mordercą i złodziejem. Byli sami. Spojrzał na mulnika z rozwagą. A gdyby tak...?

— Ty psie! — zawołał obelżywym tonem.

Mulnik odwrócił się z zaskoczeniem, Hernando skoczył na niego i w tej samej chwili otrzymał silny cios pięścią w twarz. Zatoczył się, udając zamroczonego, i upadł na skarby morysków dokładnie w miejscu, które wcześniej już sobie upatrzył, prosto na złoty krucyfiks wysadzany perłami. Całe to zamieszanie nie uszło uwagi Brahima stojącego w pobliżu z wartownikami.

— Co tam się...?! — zawołał, w kilku susach pokonując dzielącą ich odległość. — Dlaczego leżysz na łupach?

— Upadłem. Potknąłem się — wyjąkał Hernando. Wstał i otrzepał rękami ubranie. W prawej dłoni zaciskał złoty krzyż.

Ubajd obserwował tę scenę zdumiony. Skąd ta nagła agresja w chłopaku?

— Ty ofermo! — zgromił go ojczym, podchodząc bliżej skarbów, żeby sprawdzić, czy są jakieś zniszczenia.

— Muszę iść do Juviles — obwieścił niespodziewanie Hernando.

— Zostaniesz tutaj... — zaczął Brahim.

— To niemożliwe — podniósł głos i gestykulował przesadnie. Zdażył wsunąć krzyż za pas pod burką. Wybrał ją sobie ze stosu chrześcijańskich ubrań jeszcze w Alcútar i nosił przez cały czas. — Chodź! Zaraz coś ci pokażę!

Nie czekając, opuścił kazbę i poszedł w kierunku stada mułów. Zaskoczony Brahim udał się za nim.

— Tej zaraz odpadnie podkowa. — Hernando podniósł przednie kopyto z obluzowaną podkową. — Tamtej robi się rana od obtarcia. — Zaczął przeciskać się przez stado Ubajda, aby dotrzeć na wskazane miejsce. — Nie, to nie ta — rzekł, przystając przy jednej z samic.

Stanął na palcach, opuścił ramiona wzdłuż boków i udawał, że rozgląda się po stadzie. Niepostrzeżenie wsunął krzyż pod czaprak mulicy mulnika z Narili.

— Już widzę. Jest tam. — Podeszedł do innego zwierzęcia i podniósł uprząż. Ręce mu się trzęsły, spocił się cały, ale ojczym mógł ujrzeć na własne oczy niewielkie skaleczenie, które Hernando już wcześniej zauważył. — Tej chyba też coś dolega, bo nic nie chce jeść — skłamał, pokazując na jeszcze jedną mulicę. — Trzeba im pomóc, dlatego muszę iść do Juviles po lekarstwa i narzędzia.

Brahim rzucił okiem na stado.

— Zgoda — ustąpił po krótkim namyśle. — Idź do Juviles, ale pamiętaj, że w każdej chwili mogę cię zawezwać.

Hernando uśmiechnął się do Ubajda, który obserwował tę scenę, stojąc w progu kazby wraz z żołnierzami. Mulnik zmarszczył brwi i spojrzał na niego niechętnie na w pół przymkniętymi oczami. Pogroził mu palcem wskazującym, zanim zniknął między namiotami, gdzie kobiety zaczynały podawać kolację. Brahim chciał iść za nim.

— Nie sprawdzisz? — zatrzymał go pasierb.

— Co mam sprawdzić...?

— Nie chcę mieć problemów — przerwał mu zdecydowanie Hernando — bo gdyby się miało okazać, że czegoś brakuje w stosie skarbów...

— Zabiłbym cię natychmiast. — Brahim pochylił się nad chłopcem. Jego na wpół przymknięte oczy tworzyły dwie wąskie szparki.

— Właśnie dlatego mówię, żebyś mnie sprawdził. — Hernando z trudem starał się opanować drżenie w głosie. — To łupy zdobyczne naszego ludu, dowód zwycięstwa. Dość mam własnych kłopotów. Sprawdź moje muły!

Brahim tak uczynił. Juki były puste, więc zajrzał jeszcze pod uprząż, sprawdził wszystkie zakamarki i kazał pasierbowi zdjąć burkę, żeby go zrewidować. Dopiero wtedy pozwolił mu opuścić zamek.

Hernando ustawił mulice jedna za drugą i poprowadził je między namiotami. Parę kroków dalej obejrzał się za siebie i zobaczył, że Brahim sprawdza zwierzęta Ubajda.

— Naprzód! — ponaglił swoje stadko.



Była już noc, kiedy Hernando przyprowadził muły do Juviles. Stukot kopyt na bruku zmałował ciszę uśpionej osady. W niektórych domach kobiety podchodziły do okna, żeby wypytać o świeże wieści z powstania, ale widząc młodego nazarejczyka, rezygnowały z pytań. Aisza czekała już w progu, uprzedzona jak zwykle przez Staruszkę, która przybyła przed innymi mułami. Hernando pokazał zwierzętom drogę do stajni, a sam zatrzymał się przed matką. Migoczące światło świeczki w oknie domu kładło się zabawnym cieniem na jej twarzy. Przypomniał sobie niechcący ogromne piersi tańczące przy dźwiękach *ju-ju* w kościele, ale zaraz potem na ten obraz nałożył się widok zdesperowanej Aiszy, która biegła po pomoc do Hamida.

— Gdzie twój ojciec? — spytała.

— Został w zamku.

Aisza bez słowa otworzyła szeroko ramiona. Hernando przytulił się do niej z radosnym uśmiechem.

— Dziękuję, matko — szepnął.

Nagle ogarnęło go wielkie zmęczenie: ledwie trzymał się na nogach, czuł słabość w całym ciele. Aisza przytuliła go mocniej i zanuciła kołysankę, poruszając do taktu ramionami. Znał ją z dzieciństwa! Wiele razy mu tak śpiewała, dopóki... dopóki nie przyszły na świat dzieci Brahima i...

Na końcu ulicy, przy ostatnich domach zamigotała lampa. Aisza spojrzała w tamtą stronę.

— Zjesz coś? — zapytała nerwowo, próbując go od siebie odsunąć. Hernando nie reagował. Wolał pozostać w ramionach matki, niż zjeść kolację. — Już dosyć! — powiedziała stanowczo. — Zaraz ci coś przygotowuję.

Weszła do domu. Hernando stał w miejscu, delektując się zapachem jej ubrania i ciała, do którego tak rzadko mógł się przytulić.

— Rusz się! — ponagliła go matka z wnętrza domu. — Masz jeszcze sporo roboty, a już późno.

Zdjął zwierzętom uprząż, rzucił im jęczmienia do żłobu, a tymczasem Aisza przyniosła sporą pajdę chleba, jajka i napój pomarańczowy. Muły i mulnik jedli w milczeniu. Aisza siedziała obok syna, głaskała go po włosach i słuchała, jak opowiadał o wydarzeniach z ostatnich dni. Pocałowała go w głowę, kiedy głosem łamiącym się ze wzruszenia mówił o śmierci Gonzalica.

— Miał swoją szansę — usiłowała go pocieszyć. — Dależ mu ją, ale nie skorzystał. Mamy wojnę. To wojna z chrześcijanami. Wszyscy ją odczujemy, zobaczysz.

Hernando skończył jeść i matka sobie poszła. Wtedy przystąpił do leczenia mulic. Obejrzał je dokładnie: nakarmione odpoczywały ze zwieszonymi głowami i oklapniętymi uszami, wszystkie spokojne, nawet te nowe. Zamknął na chwilę oczy, pokonany zmęczeniem, ale szybko zmusił się do powstania; Brahim mógł go zawezwać w każdej chwili. Odgłos młota rozchodził się po wąwozach

i przełęczach, kiedy w środku nocy uderzał nim w podkowę z miękkiego żelaza, aby nadać jej kształt niemal kwadratowy, zgodnie ze zwyczajem Berberów. Brahim upierał się przy tej typowo arabskiej formie, wyśmiewając półokrągłe podkowy robione przez chrześcijan. Hernando przyznawał mu rację: na kwadratowej podkowie, podbitej specjalnymi gwoździemi, zwierzęta poruszały się pewniej i bezpieczniej po stromych drogach. Podkuł na nowo mulicę, a następnie przyciął jej kawałek kopyta wystający poza podkowę; to był też typowo arabski zwyczaj, chrześcijanie tego nie robili. Sprawdził kopyta pozostałych zwierząt i na koniec zajął się raną mulicy, którą pokazał ojczymowi w zamku. Wiedział, że matka rozpałała ogień, gdyż poprosił ją o to, kiedy przyniosła mu jedzenie. Wszedł do domu bez obaw: przyrodnie rodzeństwo spało rozwalone w małej izbie, która służyła zarazem jako kuchnia i jadalnia. Odzyskają swoje pomieszczenia na piętrze obok pokoju matki i Brahima, gdy będzie można odczepić prawie dwa tysiące jedwabnych kokonów przytwierdzonych do gałązek morwy porozwieszanych na ścianach; na razie kokony potrzebują ciszy i spokoju, dlatego dzieci musiały odstąpić im swoje sypialnie. Zagrzał wodę i przygotował wyciąg z miodu i wilczomleczka, pozostawił go na ogniu, a sam poszedł natrzeć mulicę ciepłą wodą. Po powrocie ze stajni dodał do sporządzonego wywaru sól w gałganku. Wkrótce lekarstwo było gotowe i mógł je nałożyć na obolałe miejsce. Ta mulica będzie musiała odpocząć przez kilka dni, co oczywiście nie spodoba się Brahimowi. Z zadowoleniem obserwował zwierzęta. Wciągnął w piersi mroźne, górskie powietrze i spojrzął na linię gór otaczających Juviles: ciemności spowijały wszystkie szczyty, z wyjątkiem wzgórza zamkowego, które jaśniało od ognisk rozpalonych wewnątrz murów. Ciekawe co z Ubajdem? — pomyślał, udając się do szopy, żeby choć trochę się przespać.

## 8

Nazajutrz Hernando wstał o świcie. Obmył się i wysłuchał wezwania Hamida do pierwszej modlitwy dnia. Pokłonił się dwa razy, wyrecytował pierwszą surę Koranu oraz modlitwę *conut*, a następnie usiadł na ziemi, podpierając się prawą ręką, żeby odmówić modlitwę błogosławieństwa i zakończyć intonacją pokoju. Jego przyrodni bracia też już się obudzili i próbowali go naśladować, mamrocząc modlitwy, które niezbyt dobrze znali. Potem Hernando zmienił opatrunek mulicy, zjadł śniadanie i postanowił odwiedzić Hamida. Miał mu tyle rzeczy do opowiedzenia! Tyle pytań chodziło mu po głowie! Chrześcijanie z Juviles wciąż byli zamknięci w kościele o chlebie i wodzie, a Hamid usiłował nawrócić ich na islam. W pobliżu kościoła Hernando zobaczył sporo podekscytowanych kobiet, dzieci i starców. Gromadzili się wokół rozbitego dzwonu kościelnego.

— Hamid dobrze zna nasze prawa — upierał się starszy mężczyzna.

— Od wielu już lat żaden muzułmanin nie został osądzony wedle naszych praw — mruknął inny. — W Ugjar...

— W Ugjar nigdy nie było sprawiedliwości! — przerwał mu ten pierwszy.

Pomruk aprobaty przeszedł wśród zgromadzonych. Hernando obserwował ich uważnie. Kobiety, dzieci i mężczyźni zbyt starzy, by uczestniczyć w rewolcie, podążyli na zamek. Wśród nich była Aisza.



— Matko, co się stało? — zapytał, podchodząc do niej.

— Twój ojciec wezwał Hamida do zamku — odparła, nie zatrzymując się. — Będą sędzić mulnika z Narili, który ukradł jakiś klejnot.

— I co mu zrobią?

— Jedni mówią, że dostanie chłostę. Inni, że obetną mu prawą rękę, a jeszcze inni, że czeka go za to śmierć. Nie wiem, synu. Co ma być, to będzie — odparła matka, cały czas idąc. — Zasłużył sobie na karę. Twój ojczym często mi mówił, że ten mulnik kradnie przewożone towary. Z tego powodu miał wiele konfliktów z moryskami, ale zawsze wybronił go sędzia pokoju z Ugijar. Taki wstyd! Co innego okraść chrześcijanina, a co innego swój lud! Podobno przyjaźnił się z...

Przestał słuchać matki, gdyż przypomniał sobie scenę dyskusji ojczyma z Partalem i wrogość w oczach Ubajda, kiedy Brahim nie chciał mu podać ręki na przywitanie. Ojczym był zdolny do wszystkiego, ale nigdy nie okradłby muzułmanina! Aisza szła dalej, rozmawiając z kobietami i żywo gestykułując — wszystkie zawzięcie pomagały sobie w rozmowie rękami.

Hernando się wycofał. Nie chciał być obecny przy sądzeniu. Na pewno... na pewno mulnik z Narili jego obciąży winą za to, co się stało.

— Wracam do moich chorych mułów — wyjaśnił, schodząc z drogi dzieciom, które też biegły na zamek.

Dreszcz przebiegł mu po plecach. Co będzie, jeśli zabiją Ubajda?! Czemu nie? Mało brakowało, a on sam zginąłby z jego ręki! Gdyby nie Staruszka... Ubajd otwarcie groził mu śmiercią! A Gonzalico? Żeby tak okrutnie mścić się na dziecku...! Co prawda inni moryskowie wcale mu nie ustępowali pod tym względem. Odsunął od siebie te myśli. Skoro decyzja należy do Hamida, wyrok będzie na pewno słuszny.



Sąd rozpoczął się po modlitwie południowej i trwał przez całe popołudnie. Ubajd wypierał się kradzieży krzyża i zakwestionował zdolność Hamida do sprawowania sądu.

— Istotnie — przyznał fakih, trzymając w rękach krzyż znalezione pod uprzężą muła z Narili. — Nie jestem *alcall* i przez wiele lat nie występowałem oficjalnie jako fakih. Wolisz, żeby kto inny cię sądził?

Mulnik dostrzegł, że niektórzy mężczyźni zgromadzeni wokół sędziego sięgali już po sztylety i szable, gotowi zrobić z nich użytek, wolał więc uznać autorytet Hamida. Nikt z zeznających nie wystawił Ubajdowi pozytywnego świadectwa: wszyscy odpowiadali przecząco na pytania, od których Hamid rozpoczął przesłuchanie.

— Czy jesteś gotów zaświadczyć, że Ubajd, mulnik z Narili, jest człowiekiem prawym i niczego mu nie można zarzucić, że składa wyznanie wiary, przestrzega ablucji, żyje według prawa Mahometa, jest uczciwy w braniu i dawaniu?

Wszyscy mówili, że mulnik często był skłócony ze swoimi braćmi w wierze. Dwie kobiety zgłosiły się same, niewzywane na świadka, i na poparcie zeznań swoich mężów oświadczały, iż poprzedniej nocy oskarżony popełnił cudzołóstwo, a one to widziały.

Zdesperowany Ubajd wciąż zwał winę na Hernanda, ale Hamid nie podejmował tego tematu. Uznał go za winnego kradzieży i skazał na obcięcie prawej ręki. Zarzut cudzołóstwa został oddalony, ponieważ nie potwierdziło go czworo świadków. Obie kobiety miały być wychłostane za złożenie nieprawdziwego zeznania. Prawo muzułmańskie przewiduje w takiej sytuacji karę osiemdziesięciu batów, przypomniał Hamid.

Brahim zabrał się najpierw do wykonania kary chłosty. Poszukał cienkiej różgi, a kiedy postawiono przed nim skazane, spojrzął badawczo na Hamida, oczekując dalszych wskazówek.

Fakih zapytał kobiety, czy są brzemienne. Obie zaprzeczyły, więc zwrócił się do Brahima:

— Chłoszcz łagodnie, hamuj swą siłę — nakazał. — Tak mówi prawo.

Kobiety wydały westchnienie ulgi.

— Niech zdejmą wierzchnie okrycie, ale nie każ im rozbierać się do naga. Nie wiąż im nóg ani rąk, chyba że próbowałyby uciec.

Brahim postarał się wypełnić polecenia Hamida najlepiej, jak umiał. Jednakże osiemdziesiąt batów, nawet lekkich, nie mogło pozostać bez śladów i na koniec koszule kobiet były czerwone od krwi.

Zanim nastąpiła noc, na zamku w obecności setek milczących morysków Brahim jednym uderzeniem szabli uciął mulnikowi z Narili prawą dłoń. Ubajd klęczał z wyciągniętą ręką, opartą na kłodzie drzewa, która służyła za katowski pień. Kilku morysków go przytrzymało. Nawet nie spojrzał na Brahima, zachował milczenie, gdy dłoń odpadała od przedramienia i gdy zakładano mu krępulec, krzyknął dopiero wtedy, gdy musiał włożyć kikut do kotła z wywarem octu i soli.

Zawył tak mocno, że moryskom skóra ścierpła na plecach.



Hernando dowiedział się o tym wszystkim tego samego dnia podczas wieczery po powrocie matki do domu.

— Nie przyznawał się do winy i twierdził, że to ty ukradłeś krzyż. Powtórzył to głośno parę razy, nazywając cię nazarejczykiem. Dlaczego ten łotr cię oskarżył? — spytała Aisza.

Z pełnymi ustami i wzrokiem utkwionym w talerzu Hernando bezradnie rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

— Zwykła podłość! — odparł, nie patrząc na matkę, i szybko wziął do ust kolejny kęs mięsa.

Tej nocy nie odważył się iść do Hamida i długo nie mógł zasnąć. Ciekawe, co pomyślał fakih, gdy usłyszał oskarżenia wysuwane przez Ubajda? Mimo to skazał chłopaka na obcięcie prawej ręki! Ubajd tak tego nie zostawi. Wie, kto mu to zrobił. Na pewno wie. Ale teraz... bez prawej dłoni będzie słabszy. W tej dłoni trzymał nóż, kiedy groził Hernandowi na górskiej ścieżce. Trzeba jednak na niego uważać. Hernando przewracał się z boku na bok na legowisku ze słomy. A Brahim? Dziwił się, że pasierb nalega na przeszukanie mułów. Co pomyślą inni ludzie? Znowu prześladuje go to przekłete przewisko! Do tej pory było znane tylko ludziom z Juviles, teraz dla całej Alpuhary będzie nazarejczykiem.

Nazajutrz rano też nie poszedł do Hamida, lecz w południe fakih wezwał go do siebie. Dzień był mroźny i słoneczny; kiedy spotkali się przed kościołem obok rozbitego dzwonu. Hamid siedział na największym odłamku, a u jego stóp leżała szabla Proroka. Przed nim, w równych rzędach, siedziały grzecznie na ziemi dzieci z Juviles i innych miejscowości, które znalazły schronienie w zamku. Parę kobiet i starców obserwowało tę scenę w milczeniu. Hamid dał mu znak, żeby podszedł bliżej.

— Pokój z tobą, Hernando — powiedział na powitanie.

— Jestem Ibn Hamid — poprawił go chłopiec. — Pragnę nosić to imię... jeśli pozwolisz — wyjąkał.

— Pokój, Ibn Hamidzie.

Fakih utkwiał wzrok w niebieskich oczach Hernanda. To mu wystarczyło: w jednej chwili wyczytał z nich prawdę. Hernando pochylił głowę, Hamid westchnął i popatrzył na niebo.

Obaj oddalili się o parę kroków od dzieci, ale najpierw fakih powierzył jednemu z nich opiekę nad swą cenną szablą.

Milczeli przez dłuższą chwilę.

— Żałujesz, że to zrobiłeś, czy po prostu się boisz? — zapytał wreszcie Hamid.

Hernando nie spodziewał się tak życzliwego przyjęcia i długo zastanawiał się nad odpowiedzią, po czym rzekł:

— Namawiał mnie do kradzieży. Już raz próbował mnie zabić i groził, że prędzej czy później to zrobi.

— Rozumiem — przyznał Hamid. — Musisz nauczyć się z tym żyć. Podejmiesz wyzwanie czy uciekniesz?

Hernando spojrział na fakiha, który zdawał się czytać w jego najgłębszych myślach.

— Jest silniejszy ode mnie... nawet z jedną ręką.

— A ty jesteś inteligentniejszy. Użyj swego rozumu.

Obaj patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Hernando chciał zapytać, dlaczego Hamid go chroni, ale zabrakło mu śmiałości, a Hamid milczał.

— Nasze zwyczaje mówią, że sędzia nigdy nie postępuje niesprawiedliwie — odezwał się wreszcie fakih. — Jeśli znie-

kształca prawdę, to tylko dla dobra sprawy. Wierzę, że postąpiłem z korzyścią dla naszego ludu. Przemyśl to sobie. Ufam ci, Ibn Hamidzie — szepnął. — Zakładam, że wiesz, co robisz.

Chłopiec chciał coś powiedzieć, ale fakih nie dał mu dojść do słowa.

— W porządku — rzucił nagle. — Teraz mam inne sprawy na głowie. Muszę nauczyć te dzieci Koranu. Nadrabiamy stracone lata.

Odwrócił się w stronę maluchów, które zaczynały się już niecierpliwić, i zadał głośne pytanie:

— Kto z was zna pierwszą surę *Al-Fatiha*? — pytał, drepcząc z powrotem na swoje miejsce i powłócząc nogą.

Wiele rąk zawisło w górze. Hamid wskazał na najstarsze dziecko i kazał mu wyrecytować. Chłopczyk stanął prosto.

— *Bi-smi Llahi r-rhamani r-rahim*, W imię Boga Miłosiernego, Litościwego...

— Nie tak szybko — przerwał mu Hamid. — Wolniej, z...

Chłopczyk zaczął od nowa, podenerwowany.

— *Bi-smi Llahi...*

— Nie, nie, nie — przerwał mu znów fakih z wielką cierpliwością. — Posłuchajcie Ibn Hamida, który wyrecytuje nam pierwszą surę.

Zaakcentował słowa „wyrecytuje nam”.

Hernando rozpoczął modlitwę, kołysząc się lekko:

— *Bi-smi Llahi...*

Kiedy skończył, zapanowało milczenie. Hamid trzymał przy uszach dłonie złożone na kształt muszli i poruszał nimi rytmicznie, powoli, jakby słuchał muzyki. Żadne dziecko nie było w stanie oderwać oczu od tych chudych palców pieszczących powietrze.

— Musicie wiedzieć, iż arabski jest językiem całego świata muzułmańskiego — wyjaśnił po chwili. — Czymś, co nas łączy, niezależnie, skąd pochodzimy i gdzie mieszkamy. Dzięki Koranowi arabski stał się językiem wzniosłym, boskim i świętym. Sury trzeba recytować rytmicznie, tak by dźwięczały w waszych uszach i w uszach waszych słuchaczy. Niech chrześcijanie, którzy tam są — pokazał na kościół — usłyszą z waszych ust tę niebiańską

muzykę i przekonają się, że nie ma innego Boga poza Allahem ani innego proroka oprócz Mahometa. Naucz tego te dzieci — zakończ, zwracając się do Hernanda.

Przez dwa następne dni Hernando nie miał okazji porozmawiać z Hamidem. Zajmował się mułami, żeby były gotowe do drogi w razie wezwania od Brahima, wykonywał nieliczne o tej porze roku prace polowe, a resztę czasu poświęcał na uczenie dzieci.



Trzydziestego grudnia Farax zjawił się na krótko w Juviles ze swoimi ludźmi i zanim ruszył w dalszą drogę, wydał rozkaz natychmiastowej egzekucji chrześcijan przetrzymywanych w kościele.

Farbiarz Farax, mianowany przez Aben Humeję głównym stróżem prawa, zajął się nie tylko komasacją rzeczy zagarniętych chrześcijanom, tak jak zlecił mu król, lecz również nakazał zgładzić wszystkich powyżej lat dziesięciu, którzy znajdowali się jeszcze wśród żywych, i zostawić ich ciała niepogrzebane, zwierżetom na pożarcie. Zarządził, że żaden morysk, pod groźbą kary śmierci, nie może ukrywać chrześcijanina ani udzielić mu pomocy.

Hernando i jego uczniowie z zaimprovizowanej szkoły stali się świadkami opuszczania kościoła przez chrześcijan z Juviles. Nadzy, z rękami skrepowanymi na plecach, niektórzy w strasznym stanie, potykali się, idąc na pobliskie pole. Zakrystian Andrés szedł obok proboszcza i prebendarza, ciężko powłóczę nogami, kiedy nagle dojrzał Hernanda siedzącego na największej bryle dzwonu. Chłopiec wytrzymał to spojrzenie, dopóki jakiś morysk nie zamachnął się kolbą arkebuza, żeby ponaglić zakrystiana. Hernando poczuł ten cios na własnych plecach. „Andrés nie jest złym człowiekiem — powiedział do siebie. — Zawsze dobrze go traktowałem...”. Rozwrzeszczany tłum przyłączył się do kompanii, tańcząc wokół chrześcijan. Dzieci milczały, lecz w końcu jedno z nich coś krzyknęło i wszystkie naraz zerwały się z miejsca. Hernando widział, że biegną uradowane przez pole, jakby to była zabawa.

— Idziemy — usłyszał za plecami.

Odwrócił się i zobaczył Hamida.

— Nie lubię patrzeć, jak giną — powiedział szczerze chłopiec. — Dlaczego skazywać ich na śmierć? Tyle lat żyliśmy zgodnie...

— Mnie też to się nie podoba, ale musimy iść. Pamiętaj, że oni zmusili nas do przyjęcia chrześcijaństwa pod karą wygnania, które nie jest niczym innym jak śmiercią z dala od twojej ziemi i rodziny. Ci chrześcijanie nie chcieli uznać jedyne Boga, daliśmy im szansę, ale jej nie wykorzystali. Sami wybrali śmierć. Chodź — ponaglił go. Hernando wciąż się wahał. — Lepiej nie ryzykować, Ibn Hamidzie. Następnym razem ty możesz być ofiarą.

Mężczyźni dźgali nożami proboszcza i prebendarza. Hernando przystanął w pewnej odległości na niewielkim wzniesieniu, gdy wtem zobaczył matkę, która powoli zbliżała się do konającego na ziemi don Martína. Zadrżał na ten widok. Co ona robi? Poczuł ramię Hamida na swoich plecach. Wrzeszcząc i rozdając kuksańce, kobiety z Juviles kazały mężczyznom odsunąć się od duchownych. W milczeniu, niemal z rewerencją — morysk wsunął sztylet w dłoń Aiszy. Hernando patrzył, jak klęka przy leżącym, unosi wysoko sztylet ponad swoją głowę i z całej siły wbija go w serce proboszcza. Znowu wybuchło *ju-ju*. Hamid mocniej przygarnął chłopca do siebie, podczas gdy jego matka pastwiła się nad trupem. Pulchne ciało proboszcza zamieniło się w krwawą masę, jednakże Aisza, wciąż na klęczkach, raz po raz wbijała weń nóż, jakby każdym uderzeniem mściła się za swój nieszczęsny los, który inny ksiądz jej zgotował. Kobiety podeszły bliżej, chwyciły ją pod pachy i odciągnęły od trupa. Hernando zdołał jednak zobaczyć jej zasepioną twarz, zalaną krwią i łzami. Aisza wyrwała się kobietom, upuściła nóż, podniosła obie ręce w niebo i zawołała z całej siły:

— Allah jest wielki!

Moryskowie zabili jeszcze dwóch chrześcijan zaliczanych do najważniejszych w wiosce, ale zanim dobrali się do pozostałych, w tym również do zakrystiana Andrésa, zjawił się ze swoimi ludźmi Zaguer, *alguacil* z Cádjar, i nakazał powstrzymać rzeź.

Żołnierze Zaguera wyklócali się z żądnymi krwi moryskami, lecz Hernando prawie tego nie słyszał. Cała jego uwaga koncentrowała się to na matce, która siedziała na ziemi roztrzęsiona, z głową ukrytą w kolanach, opasując nogi ramionami, to na Andrésie, następnym w kolejce do zabicia.

— Podejdz do niej — powiedział Hamid i lekko popchnął Hernanda. — Ona zrobiła to dla ciebie — dodał, wyczuwając jego niechęć. — Zapamiętaj to! Twoja matka wzięła odwet za krzywdę wyrządzoną jej przez jednego ze sług Chrystusa. Część tej zemsty jest również twoja.

Zdobył się tylko na tyle, by stanąć bliżej matki, zachowując jednak pewną odległość. Pole powoli pustoszało, na środku leżały cztery trupy, wokół których czały się już zwierzęta. Hernando zastanawiał się właśnie, czy odpędzić parę psów wachających ciało prebendarza, kiedy Aisza się podniosła.

— Idziemy stąd, synu — powiedziała.

Od tego momentu Aisza zachowywała się, jak gdyby nic się nie stało. Tego dnia nawet nie przebrała się, jakby plamy krwi na jej ubraniu były czymś naturalnym. Tymczasem Hernando zastanawiał się, co począć, kiedy pójdzie na zamek i spotka Ubajda, jeżeli wcześniej to nie nastąpi gdzieś bliżej. Rozglądał się po wszystkich kątach stajni, oporzędzając muły. Musi uważać. Hamid wiedział, że to on, Hernando, zastawił pułapkę na mulnika z Narili. Ufam ci, powiedział, ale co sobie o nim pomyślał? „Sędzia nigdy nie postępuje niesprawiedliwie. Jeśli zniekształca prawdę, to tylko dla dobra sprawy”. Hernando miał wrażenie, że fakih dobrze wiedział, co robi. Wszedł rozejrzeć się wokół szopy, czujnie nadstawiając ucha na najdrobniejszy hałas.

Żle spał i nazajutrz nawet dzieci zauważyły, że recytuje Koran bez należytej uwagi. Był to pierwszy dzień roku według chrześcijańskiego kalendarza, a więc lekcje się nie odbyły. Zgodnie z tradycją kobiety przedły tego dnia jedwabną nitkę pod drzewami morwy. Pomalowały henną dłonie, a także drzwi swych domostw, przygotowały placki z suchego chleba z czosnkiem i wyruszyły na pole, gdzie na specjalnie przygotowanych piecach z cegły i miękkiej



gliny stały miedziane kotły. Wkładało się do nich kokony jedwabników, żeby oczyścić je z tłuszczu — gotowały się powoli z dodatkiem mydła. Mieszając w kotle miotełką z tymianku, kobiety przedły jedwab na prostych kołowrotkach ustawionych pod drzewami morwy. Odznaczały się dużą zręcznością i cierpliwością do tej pracy. Dzieliły kokony na trzy grupy: migdałowe służyły do wyrobu najcenniejszych, połyskliwych jedwabi, jabłoniowe dawały mocne nitki zwykłego jedwabiu, trzecią zaś grupę stanowiły kokony zniszczone, które nadawały się głównie na sznury i tkaniny pospolite.

Hernando zastanawiał się, co zrobią w tym roku z surowym jedwabiem. Jak go przewieźć i sprzedać w Grenadzie? Szpiedzy z miasta donosili, że markiz de Mondéjar gromadzi wojsko, żeby wyruszyć na Alpuharę.

— Na dodatek markiz de Vélez zaproponował królowi Filipowi, że stłumi rozruchy w rejonie Almerfi — opowiadali sobie mężczyźni na placu w pobliżu miejsca, gdzie odbywały się lekcje dla dzieci.

Hernando dał znak chłopcu recytującemu sury, żeby nie przerywał, i podszedł bliżej do mówiących.

— To Diabeł z Żelazną Głową — usłyszał zalekniiony głos staruszka. Tak nazywali moryskowie krwawego, okrutnego markiza. — Mówią, że jego konie szczają ze strachu, kiedy ich dosiada.

— Zgniotą nas ci dwaj markizowie — zawyrokował inny.

— Co innego gdyby Albaicín i Vega de Granada przyłączyły się do powstania — wtrącił trzeci. — Markiz de Mondéjar musiałby wtedy zatrzymać się w mieście i nie ruszyłby na Alpuharę.

Wszyscy mu przytaknęli.

— Ci z Albaicín już teraz żałują i płacą za swoją dawną zdradę — odezwał się pierwszy starzec. Splunął na ziemię: — Niektórzy uciekają w góry. W Grenadzie pełno szlachciców i wybrańców fortuny. Chcieli zapłacić za wyżywienie i kwaterę w szpitalach miejskich, ale markiz de Mondéjar kazał im zająć domy morysków. Muzułmańskie żony i córki żyją w niebezpieczeństwie. Każdej nocy zdarzają się gwałty.

— Podobno w siedzibie Kancelarii Królewskiej uwięziono ponad stu morysków, najważniejsze i najbogatsze osobistości Grenady — dodał inny.

Starzec potwierdził skinieniem głowy.

Zaległa cisza.

— Zwycięzimy! — zawołał jeden z mężczyzn. Chłopczyk recytujący sury umilkł, słysząc ten okrzyk. — Bóg nam pomoże! Zwycięzimy! — powtórzył z zapalem mężczyzna i wszyscy obecni, łącznie z dziećmi, przyłączyli się do jego okrzyków.



Trzeciego stycznia 1569 roku Hernando otrzymał rozkaz od Brahima, że ma natychmiast stawić się na zamku w Juviles. Moryskowie ruszali naprzeciw markizowi de Mondéjar, który szedł na Alpuhare.

Ręce tak się trzęsły Hernandowi, że miał kłopoty z zaprzęgnięciem zwierząt. Juki ześlizgiwały się z mułów i spadały na ziemię. Chłopak spoglądał na swoje dłonie z niepokojem. Co zrobi Ubajd? Zabije go. Na pewno tylko na to czeka... chociaż nie. Na zamku się nie odważy. A potem? Czy jednoręki może być mulnikiem? Jak poradzi sobie z mułami? Zimny pot zwilżył Hernandowi plecy, obawiał się pułapki. Ale nie na zamku. Nie, tam mu nic nie grozi... Z trudem dokończył zaprzęganie mułów, pożegnał się z matką i wyruszył w drogę. A gdyby tak uciec? Mógłby... mógłby przyłączyć się do chrześcijan, ale... Nigdy nie wydostanie się z Alpuhary! Złapią go. Brahim mu nie popuści, gdy się przekona, że Ubajd mówił prawdę. Hernando przypomniał sobie radę Hamida. Fakih mu ufa. Nie może go zawieść.

Wspiął się na górę zamkową, kryjąc się między mułami, nieufny wobec wszystkiego, co się ruszało. Ubajd nie wyszedł mu naprzeciw, choć tego się obawiał. Na zamku wrzało, trwały ostatnie przygotowania do wymarszu do Pampaneirya, gdzie czekał na nich Aben Humeya ze swym wojskiem. Ojczyzna zastał na rozmowie z dowódcą banitów koło kazby.

— Nie będzie tak źle — oświadczył Brahim. — Przygotuj mi konia... i zajmij się jego stadem — dodał, pokazując na Ubajda.

Mulnik z Narili z zabandażowaną prawą ręką, brudny i niechlujnie ubrany, wycieńczony na twarzy, bez skutku próbował zaprząć swoje muły.

— Ale... — zaczął skarżyć się Hernando.

— Pewnie już wiesz, że musiał zapłacić za swe przestępstwo — przerwał mu Brahim, akcentując dwa ostatnie słowa. Pochylił się nad Hernandem z groźną miną, jakby prowokował go do nowej skargi.

Wiedział! Ojczym też o tym wiedział! A mimo to nie zawałał się obciąć tamtemu dłoni. Brahim patrzył za pasierbem, który powoli skierował się w stronę stada Ubajda. Grymas zadowolenia wykrzywił jego twarz: chętnie podsyczał ten konflikt, gdyż nienawidził ich obu.

— Zajmę się twoimi zwierzętami — rzekł Hernando, nie mogąc oderwać oczu od zakrwawionego bandaża na kikucie prawej ręki mulnika z Narili.

Ubajd splunął mu w twarz, Hernando odwrócił się do ojczyma.

— Bierz się do roboty! — wrzasnął Brahim. Uśmiech znikł z jego warg.

— Odsuń się — rzucił Hernando do mulnika. — Zajmę się twoimi zwierzętami nawet wbrew tobie, ale nie chcę cię widzieć na oczy. — Chwycił w obie ręce duży kij leżący na ziemi i pogroził Ubajdowi. — Odsuń się! — powtórzył. — Jak będziesz się tu kręcił, zabiję.

— Najpierw ja ciebie — syknął Ubajd.

Hernando dźgnął go końcem kija, ale Ubajd złapał kij lewą ręką i przytrzymał. Hernando wyczuł w nim wielką siłę, zupełnie wyjątkową jak na człowieka w takim stanie. Brahim znów uśmiechnął się drwiąco. I co teraz? — zastanowił się chłopiec. „Użyj swojego rozumu”, przypomniał sobie. Odłożył kij i szybko podniósł do góry prawą rękę, jakby zamierzał się do ciosu. Ubajd zareagował instynktownie i też się zamachnął... Gdy patrzył ze zdziwieniem na zakrwawiony kikut, Hernando uderzył go kijem w brzuch. Mulnik zachwiał się i upadł na ziemię.

— Trzymaj się ode mnie z dala! Nie próbuj swoich sztuczek! — powiedział Hernando, dźgając go kijem.

Jęcząc z bólu, Ubajd odczołgał się jak najdalej.



Aben Humeya założył swoją bazę operacyjną na zamku Poqueira zbudowanym na szczycie skalistego wzgórza, skąd rozciągał się widok na wąwozy Sangre i Poqueira oraz na rzekę Guadalfeo. Hernando zdążył tam z Juviles wraz z tysiącem morysków. Broni mieli niewiele, nie licząc narzędzi rolniczych, ale chęci do walki z wojskami markiza im nie brakowało. Ubajd, wciąż na przodzie, źle znosił trudy marszu, powłóczył nogami, opierając się o mulice, nie miał nawet siły wsiąść na którąś z nich. Ludzie z Juviles nie byli wyjątkiem, mnóstwo morysków odpowiedziało na wezwanie króla Grenady i Kordoby. Zamek był za mały, by wszystkich pomieścić, więc ludzie koczowali w sąsiedniej wiosce Pampaneira, ale również tam zabrakło miejsca w domach. Wkrótce za szczęśliwca mógł się uznać ten, kto znalazł schronienie przed zimnem pod wielkimi dzbanami, które mieszkańcy wystawiali na kręte uliczki.

Przybyli do Pampaneiry nocą, na krótko przed powrotem jednego z oddziałów, który w przegranej potyczce stracił dwustu ludzi. Tej samej nocy Hernando zyskał nową pracę: wiele koni powróciło z ranami i Brahim zarekomendował swojego pasierba jako weterynarza.

Przed rebelią tylko nieliczni banici mieli konie. Moryskom nie wolno było trzymać tych zwierząt. Nawet gdy chcieli dopuścić ośła do klaczy albo konia do oślicy, żeby wyhodować muły, musieli występować o specjalne pozwolenie. Dlatego nie było wśród nich weterynarzy znających się na leczeniu koni. Jeszcze za dnia Hernando poświęcił sporo czasu na obserwowanie wierzchowców, które pasły się na polu sąsiadującym z pastwiskiem dla mułów. Nie był przygotowany do nowej roli, znał się tylko na mułach. Jak to możliwe, że wróciły i nie padły po drodze? Odniosły poważne rany. Było bardzo zimno, dwa konie zdychały na pokrytej

szronem ziemi, inne stały spokojnie, chociaż na pewno cierpiały. Miały głębokie rany od kul arkebuza, po cięciach rapiera, włóczni i halabardy zadawanych przez chrześcijańskich żołnierzy. Chrapy poruszały się konwulsyjnie, z nozdrzy unosiła się para. Ubajd trzymał się w pewnej odległości, ale też przyglądał się koniom. Tej nocy Hernando spętał Staruszkę i luźno przywiązał drugi koniec sznura do swojej nogi, zanim położył się spać jak najdalej od Jednorękiego. Wiedział, że stara mulica wyczuje, jeśli ktoś obcy zacznie niepostrzeżenie zbliżać się do niego.

— Bierz się do roboty! — usłyszał rozkaz za swymi plecami. Odwrócił głowę i zobaczył Brahima z paroma banitami. — Na co czekasz? Przecież umiesz leczyć!

Leczyć! Już chciał odburknąć ojczymowi, ale w porę się powstrzymał. Jeden z banitów towarzyszących Brahimowi, brodaty olbrzym z arkebuzem inkrustowanym misternymi, złotymi arabeskami, o lufie prawie dwa razy dłuższej niż normalna, pokazał na niedużego kasztanka. Posłużył się przy tym strzelbą, którą trzymał swobodnie w jednej ręce, jakby ważyła tyle co jedwabna chusteczka.

— Ten jest mój. Nie mogę go na długo zostawić — powiedział banita znany pod przezwiskiem Gironcillo.

Hernando spojrzął na konia. Jak to nieszczęsne zwierzę może udźwignąć taki ciężar? Sam arkebuz waży niemało.

— Rusz się! — krzyknął Brahim.

Dlaczego nie? — powiedział sobie chłopiec. Od czegoś trzeba zacząć.

— Obejrzyj tamte dwa — pokazał Ubajdowi zdychające na oszronionej ziemi zwierzęta, a sam podszedł do kasztanka, nie przestając sprawdzać kątem oka, czy Jednoręki wypełnia jego polecenie.

Mimo że miał spętane przednie kopyta, koń zdołał zrobić kilka kroków w przeciwnym kierunku, kiedy Hernando zaczął się do niego zbliżać. Krwawiąca rana biegła od góry na zadzie na prawe udo. Nie ucieknie, bo się nie może szybko ruszać, pomyślał. Zresztą mógłby go dopaść w dwóch susach i przytrzymać, ale...

Urwał garść suchej trawy, wyciągnął rękę i szeptał cicho. Zwierzę udawało, że na niego nie patrzy.

— Na co czekasz? — niecierpliwił się Brahim za jego plecami.

Hernando szeptał rytmicznie pierwszą surę, zwracając się do konia.

— Złap go — nalegał Brahim.

— Lepiej milcz! — syknął Hernando, nie odwracając głowy. Odezwał się impertynencko i wszyscy byli tym zdziwieni.

Brahim rzucił się do bicia, ale zanim dopadł chłopca, Gironcillo złapał go za ramię. Hernando usłyszał szamotaninę i na wszelki wypadek napiął mięśnie pleców, nie przerywał jednak śpiewnego szeptu. Po długiej chwili kasztan odwrócił łeb w jego stronę. Hernando wyciągnął rękę jeszcze dalej, mimo to koń nie wziął od niego trawy. Trwało to nieskończenie długo i chłopiec wyrecytował prawie wszystkie sury, jakie znał. Wreszcie gdy para z nozdrzy zaczęła wydobywać się regularnie, podszedł bliżej i chwycił konia za kantar.

— Co z tamtymi? — Zwrócił się do Ubajda.

— Zdechną! — odkrzyknął kaleka. — Jeden ma kiszki na wierzchu, a drugi rozplataną pierś.

— Chodźmy — powiedział banita do Brahima. — Czuję, że twój syn wie, co robi.

— Dobijcie je, po co mają cierpieć — poprosił Hernando, wskazując na leżące konie, ale Gironcillo i Brahim szykowali się do odejścia.

— Sam to zrób — odparł Brahim wciąż nachmurzony. — Inni w twoim wieku zabili już paru chrześcijan — zaśmiał się po tych słowach, rzucił chłopcu nóż i poszedł z banitami.

## 9

### *Most nad Tablate, wejście do Alpuhary. Poniedziałek, 10 stycznia 1569*

Hernando przeszedł na własnych nogach odcinek między Pampaneirą a mostem Tablate, bez mułów, podobnie jak trzy tysiące pięciuset morysków, którzy wyruszyli na spotkanie z chrześcijańskim wojskiem markiza de Mondéjar. Aben Humeya orientował się w ruchach żołnierzy markiza po ogniskach zapalanych przez jego szpiegów na najwyższych szczytach. Wydał rozkaz obrony mostu za wszelką cenę. Gdyby chrześcijanom udało się przejść przez ten most, mieliby wolną drogę do Alpuhary.

Przed wyruszeniem Gironcillo sprawdził jedwabne szwy, które chłopiec założył rannemu kasztanowi i ciężko dosiadł niedużego konia.

— Trzymaj się koło mnie — zażądał — bo może się okazać, że koń potrzebuje twojej pomocy.

Hernando szedł ze wzrokiem utkwionym w zad zwierzęcia, słuchając rozmowy Gironcilla z innymi dowódcami banitów.

— Podobno mają niecałe dwa tysiące piechoty — skomentował jeden.

— I setkę konnych! — dodał inny.

— Nas jest dużo więcej...

— Ale nie mamy tyle broni co żołnierze markiza.

— Bóg jest z nami! — rzucił Gironcillo.

Hernando wstrzymał oddech, kiedy banita podskoczył na koniu, wydając ten okrzyk. Wierzchowiec jednak wytrzymał, szwy też. Wśród nielicznej kawalerii morysków chłopak poszukiwał wzrokiem trzech innych koni, które udało mu się wykurować, ale nie znalazł; spojrzał na swe ubranie pokryte strzępami zaschłej krwi.

Zaledwie Brahim i banici zniknęli, Hernando postanowił położyć kres cierpieniom umierających zwierząt. Z nożem w dłoni skierował się zdecydowanie ku pierwszemu z nich: temu, który miał na brzuchu ranę od włóczni.

Jestem już mężczyzną! — powtarzał sobie w myślach bez ustanku. Wielu morysków w moim wieku ma żony i dzieci. Znajdę w sobie tyle odwagi, żeby go zabić! Podeszedł do leżącego bez ruchu konia. Miał przednie nogi podwinięte pod piersi i opierał brzuch o oszronioną ziemię, aby kryształki lodu łagodziły ból wywołany głęboką raną, która wydeła mu skórę. W wiosce wielokrotnie widział, jak rzeźnicy zarzynają krowy. Chrześcijanin robił to publicznie i tak zabijał zwierzęta, żeby ich grdyka zostawała połączona z tchawicą. Muzułmanie musieli praktykować swoje zakazane rytuały poza wsią, w sekrecie, ukrywając się po polach: kierowali zwierzę głową w stronę Mekki i przecinali mu gardło w taki sposób, by grdyka utrzymywała się połączona z łbem.

Hernando stanął za koniem, lewą dłonią schwycił grzywę zwierzęcia i jednocześnie prawą otoczył jego szyję. Zawahał się: powyżej czy poniżej grdyki? Moryskom i tak nie wolno jeść koniny, więc nie miało żadnego znaczenia, jak go zabije. Spotkał spojrzenie Ubajda, który patrzył na niego z oddali, mrużąc oczy. Musi to zrobić. Musi pokazać mulnikowi... Zmrużył powieki i mocno przeciągnął nożem. Kiedy tylko koń poczuł ostrze, rzucił szyją do tyłu, uderzył go łbem w twarz i poderwał się, głośno rżąc. Nie był uwiązany. Zaczął galopować przerażony przez pole, krew lała się strumieniem z tętnicy szyjnej, a z brzucha wypadały wnętrzności. Długo trwało, nim skonał. Umierał w oddali z wiszącymi jelitami, aż się wykrwawił. Chłopiec pobladł, patrzył, jak cierpi, w ustach czuł smak żółci, a jednak... Odwrócił głowę



w stronę Ubajda. Jak wiele mogła dokonać natura, nawet przy śmiertelnej ranie, kiedy musiała walczyć o ostatnie tchnienie! Wtedy doszedł do wniosku, że nie może nikomu ufać, mulnikowi z Narili brakowało jednej ręki, ale miał drugą.

Zanim podszedł do kolejnego konia, poszukał powrozu, żeby spleść mu nogi. Konające zwierzę bez protestu poddało się temu zabiegowi. Potem powtórzył poprzednią operację i przeciął mu szyję z całą siłą, na jaką mógł się zdobyć. Usunął się w porę, żeby uniknąć uderzenia głową, i zagłębiał nóż tak długo, aż gorąca krew zalała mu niemal całe ciało. Koń umarł szybko, padając tam, gdzie stał...

Podczas gdy słodkawy zapach krwi drugiego konia wypełniał mu zmysły, Hernando znowu zaczął się przysłuchiwać rozmowie banitów.

— Markiz nie mógł czekać, aż nadejdą posiłki — mówił jeden z nich. — Wiem, że w Órgiva chrześcijanie od ponad dwóch tygodni opierają się atakom morysków zamknięci w wieży kościelnej. Markiz musi za wszelką cenę przedostać się do Alpuhary, żeby przyjść im z pomocą.

— Powinniśmy więc podziękować chrześcijanom z Órgiva — zaśmiał się jeden z banitów, który dopiero niedawno przyłączył się do grupy. Hernando widział go już wcześniej na jednym z koni, które udało mu się wyleczyć.

Przenocowali na szczycie wzgórza obok mostu nad Tablate. Poniżej otwierał się głęboki i przepastny wąwóz, a po drugiej stronie rozciągała się dolina Lecrín. Gironcillo nagroził chłopaka ponurym uśmiechem i silnym klepnięciem w plecy, kiedy zsiadł z konia. Okazało się, że jedwabne szwy wytrzymały uciążliwą drogę. W nocy Hernando zajął się końmi i ponownie opatrzył im rany.

O świcie zwiadowcy przynieśli wiadomość o rychłym nadejściu chrześcijańskiego wojska i Aben Humeya nakazał zniszczyć most. Hernando przyglądał się, jak oddział morysków rozbiera drewnianą konstrukcję, zostawiając tylko łuki i kilka pojedynczych belek, które wykorzystali, żeby przedostać się z powrotem do swojego

wojska. Trzech z nich w drodze powrotnej spadło w przepaść, a ich krzyki cichły, w miarę jak ciała znikały w głębokim gardle wąwozu.

— Chodźmy — rzekł Gironcillo, zmuszając Hernanda do oderwania wzroku od przepaści, w której właśnie zniknął ostatni z nieszczęsnych morysków.

— Zajmijmy pozycje, żeby przyjąć tych psich synów, jak na to zasługują.

— Ale... — Hernando wskazał w stronę koni.

— Dzieci się nimi zajmą. Twój ojczym ma rację, osiągnąłeś już wiek, żeby walczyć. Chcę cię mieć koło siebie. Myślę, że przynosisz mi szczęście.

Ruszył za Gironcillem otoczony przez tłum morysków. Po chwili zbocze wzgórza zappełniło się ponad trzema tysiącami mężczyzn, którzy w euforii i pewni siebie czekali na nadejście wojska markiza. Pod ich stopami otwierał się wąwóz Tablate, a naprzeciwko mieli wzniesienie, zza którego powinni nadejść chrześcijanie.

Ktoś zaintonował pierwsze nuty jakiejś pieśni i natychmiast rozległo się dudnienie kotła. Inny morysk wspiął się na pochyłość i zaczął powiewać wielką białą chorągwią, dalej pojawiła się inna, barwy czerwonej, i następna... I sto dalszych! Hernando poczuł, że włos mu się jeży ze wzruszenia, kiedy trzy tysiące morysków zaczęło śpiewać jak jeden mąż przy akompaniamencie bicia w kotły, a setki powiewających chorągwi pokryło bielą i czerwienią cały stok.

W taki sposób przywitali armię dowodzoną przez markiza de Mondéjar, kapitana generalnego królestwa Grenady. Hernando dał się porwać powszechnemu entuzjazmowi i stojąc u boku olbrzymiego Gironcilla, śpiewał na całe gardło, jakby chciał rzucić wyzwanie nadchodzącym oddziałom chrześcijańskim.

Markiz w błyszczącej zbroi stanął na czele oddziałów. Ustalił, że kawaleria zostanie na tyłach, ustawił piechotę na przeciwległym wzgórzu i nakazał ładowanie arkebuzów. W tym czasie moryskowie zajęli przewidziane dla siebie pozycje.

Znad wąskiego wąwozu moryskowie odpowiedzieli na nie-

przyjacielski atak, strzelając z nielicznych arkebuzów i kusz, ale przede wszystkim zasypując chrześcijan gęstym deszczem kamieni z proc. Hernando wdychał zapach prochu wydobywający się z arkebuza Gironcilla. Nie miał procy, żeby miotać kamienie, więc robił to ręcznie, krzycząc z podniecenia. I celnie, gdyż dawniej rzucał kamieniami do zwierząt, a w wolnych chwilach ćwiczył się na polach. Udało mu się trafić jakiegoś piechura i tak się rozochocił, że z każdym rzutem coraz bardziej się narażał. Zacietrzewiony wystawiał się na nieprzyjacielski ogień.

— Kryj się! — banita schwycił go za rękę i gwałtownym szarpnięciem posadził na ziemi. Potem zaczął czyścić wyciorem lufę arkebuza. Hernando chciał znowu rzucić kamieniem, ale Gironcillo mu na to nie pozwolił. — Są nas tu tysiące, ale to we mnie celują. Dlatego że mam arkebus. — Włożył do lufy ołowianą kulkę i docisnął ją mocno wyciorem. — Nie chcę, żeby przeze mnie cię zabili. Rzucaj z ukrycia. Nie wychylaj się bez potrzeby!

Jednakże niedługo trwała wymiana ognia i kamieni. Okazało się, że moryskowie są niezdolni stawić czoło dobrze uzbrojonym chrześcijanom, którzy bez przerwy ładowali i strzelali, powodując wielkie straty. Gironcillo nakazał odwrót na wyżej położone pozycje, gdzie nie docierały ołowiane kule chrześcijan.

— Nie przejdą przez most — mówili buntownicy, wycofując się.

Wobec nieskuteczności strzałów markiz dał rozkaz wstrzymania ognia. Moryskowie zaczęli znowu śpiewać i krzyczeć. Wielu usiłowało jeszcze podejść z kuszami tam, gdzie nie mogli tego zrobić arkebuzerzy, niektórym się to udawało, choć ich strzelanina nie powodowała zbyt wielkich szkód. Wystrzeliwali kamienie w niebo, żeby ich paraboliczny lot pomagał pokonać odległość. Hernando przyglądał się, jak markiz, z szyszakiem w dłoni, w towarzystwie swoich umundurowanych kapitanów, podchodzi przyjrzeć się zniszczonemu mostowi. Nie było możliwości, by przeszło po nim wojsko!

W szeregach obu stron zapadła cisza, aż wszyscy ujrzeli, że markiz przecząco kręci głową. Wtedy moryskowie znowu zaczęli

wiwatować i powiewać swoimi chorągwiami. Hernando też krzyczał, wznosząc pięść w stronę nieba. Kapitan generalny oddziałów chrześcijańskich już miał wycofać się sromotnie, kiedy z szeregów piechoty wyszedł mnich, franciszkanin. Z krzyżem w prawej dłoni i z podkasanym do samego pasa habitem, nawet nie spojrzawszy na markiza, zaczął iść przez grozący zawaleniem most. Krzyki się urwały. Markiz zareagował natychmiast, nakazując prowadzenie ciągłego ognia, by osłonić duchownego. Przez kilka chwil wszyscy wpatrywali się w mnicha idącego chwiejnym krokiem i w krzyż, który dumnie wystawiał na widok muzułmanów.

Zakonnik nie dotarł jeszcze na drugi brzeg, kiedy dwóch piechurów ruszyło w jego ślady, odważając się wejść na most. Jeden postawił źle nogę i runął w przepaść, ale zanim ciało roztrzaskało się o ściany wąwozu, kolumna chrześcijańskiej piechoty zafalowała i naraz ze wszystkich piersi wydarł się gromki okrzyk wojenny:

— Santiago!

Wszystko wskazywało na to, że śmierć piechura dodała odwagi jego towarzyszom. Żołnierze ustawiali się w kolejce do zniszczonego mostu. Mnich był już na drugim brzegu. Kaprale i sierżanci kazali arkebuzerom szybciej ładować broń i strzelać, zanim muzułmanie zdążą zejść z gór, żeby zaatakować przechodzących przez most. Wielu morysków próbowało to zrobić, ale bez powodzenia, ponieważ chrześcijańskie wojsko otworzyło silny ogień skoncentrowany na przyczółek mostu. Niedługo potem oddział piechoty wraz z mnichem, który głośno wykrzykiwał modlitwy, unosząc nad głową krzyż, bronił mostu od strony Alpuhary.

Aben Humeya zarządził odwrót. Stu pięćdziesięciu morysków poległo w Tablate.

— Bierz go — powiedział Gironcillo do Hernanda, kiedy znaleźli się na szczycie góry, i pokazał na konia. — Jeździec nie żyje — dodał, widząc wahanie chłopca. — Nie zostawimy rumaka chrześcijanom. Kładź się na jego szyi i nic się nie bój — poradził, przechodząc do galopu.

# 10

Aben Humeya wycofał się ze swoimi ludźmi w kierunku Juviles. Markiz de Mondéjar podążał jego śladem i zdobywał kolejno miejscowości położone między Tablate i Juviles, plądrując przy tym domy, biorąc do niewoli kobiety i dzieci oraz gromadząc obfite łupy.

Zebrani na zamku w Juviles moryskowie radzili nad swym położeniem i zastanawiali się, co dalej. Jedni skłaniali się ku kapitulacji. Banici, bez cienia nadziei na ułaskawienie, przekonani, że czeka ich kara, głosowali za kontynuowaniem walki na śmierć i życie; byli i tacy, którzy postulowali ucieczkę w góry.

Ponaglani okolicznościami, jako że szpiedzy donosili już o nadciągających wojskach chrześcijańskich, które znajdowały się zaledwie o dzień drogi od Juviles, moryskowie postanowili przyjąć połowiczne rozwiązanie: wszyscy zbrojni opuszczą miasto, uwożąc z sobą łupy wojenne, ale zanim to uczynią, na dowód dobrej woli darują wolność ponad czterystu brankom, co umożliwi kontynuowanie rozpoczętych przez część dowódców powstania negocjacji pokojowych. Żony morysków, ogarnięte przerażeniem, musiały pożegnać się z mężami i czekać groźnego nadejścia chrześcijan.

— Chcesz skazać moje dzieci na pewną śmierć?! — krzyknął z bułanego konia Brahim, zwracając się do Aiszy, gdy przekony-

wała go, aby pozwolił jej jechać z sobą. — Są za małe, żeby przetrwać zimę w górach. To nie zabawa. To wojna, kobieto!

Aisza spuściła wzrok, Ra'isa i Zahara szlochwały zgnębione, tylko chłopcy, choć i im udzielało się panujące wokół napięcie, patrzyli na swego ojca z podziwem. Hernando stojący na czele karawany mułów z łupami, która właśnie szykowała się do opuszczenia zamku, poczuł skurcz w żołądku.

— Moglibyśmy... — wtrącił nieśmiało.

— Milcz! — przerwał mu ojczym. — Ty pewnie niewiele byś się przejął śmiercią swoich braci. Masz z nimi zostać i ich pilnować! — przykazał żonie.

Brahim spiął konia ostrogami, muły ruszyły za nim. Przeszedł już nawet Ubajd, a Hernando trwał wciąż nieruchomo, czekając, aż matka podniesie wzrok ciężko wbity w ziemię. Gdy to wreszcie uczyniła, jej oczy wyrażały stanowczość.

— Nastanie pokój — rzekła pewnym głosem do syna. — Nie martw się. — Hernando postąpił krok naprzód, oczy mu się zaszklily, ale Aisza odepchnęła go od siebie. — Twoje muły — wskazała ręką. — Biegnij za nimi — ponagliła, prostując się i przyglądając włosy, jakby chcąc tym samym odebrać znaczenie całej sytuacji. Na widok bólu malującego się na twarzy syna powtórzyła dobitniej: — No już, biegnij!

Ale chłopak nie mógł ruszyć od razu za karawaną. W bramie zamkowej natknął się bowiem na Hamida, który zęgnął wychodzące oddziały. Dodawał im otuchy, wlewał w ich serca wiarę, że Bóg jest z nimi, że ich nie opuści...

— Pospiesz się! — rzekł do fakiha Hernando. — Dlaczego tak stoisz...?

— Tu kończy się moja przygoda, synu — przerwał mu Hamid. Synu! Pierwszy raz tak się do niego zwrócił.

— Nie możesz tu zostać! — wykrzyknął nagle Hernando.

— Muszę. Muszę zostać z kobietami, dziećmi i starcami. Tu jest moje miejsce. Poza tym... co taki kaleka jak ja miałby robić w górach? — Hamid zdobył się na uśmiech. — Byłbym tylko zbędnym balastem.

Jego matka, Hamid... Może on też powinien zostać. Czyż matka nie zapewniała go, że będzie pokój? Mijały ich gromady uchodźców. Fakił odgadł jego myśli.

— Ty walcz w moim imieniu, Ibn Hamidzie. Trzymaj, jest twoja. — Fakił odpasał wiszącą u boku szablę i podał ją chłopcu. — Pamiętaj zawsze, że była ona niegdyś własnością Proroka.

Hernando ujął z czcią zakrzywioną broń, którą Hamid złożył w jego wyciągniętych dłoniach.

— Nie pozwól, żeby wpadła w ręce chrześcijan. Nie płacz, chłopcze. — Hamid uściśkał serdecznie Hernando, który przypadł mu do piersi. — Nasz lud i nasza wiara muszą być ważniejsze od nas, takie jest nasze przeznaczenie. Niech Prorok cię prowadzi i będzie z tobą.



Kiedy chrześcijańskie wojsko wchodziło do Juviles, czterysta oswobodzonych z moryskiej niewoli kobiet wybiegło na drogę.

— Zabijcie ich wszystkich! Wykończcie heretyków! — wołały do żołnierzy.

— Mojemu synowi poderżnęli gardło! — krzyczała jedna.

— Wymordowali naszych mężów i synów — zawodziła druga, tuląc w ramionach niemowlę.

— Sprofanowali kościoły! — skarżyła się trzecia, usiłując przekrzyczeć rozwrzeszczany tłum.

Niektóre z tych kobiet pochodziły z Cuxurio i Alcútar, inne z bardziej odległych miejscowości, w sumie z całej Alpuhary. Wkrótce po wkroczeniu wojska do miasteczka ulice i plac przed kościołem zapełniły się żołnierzami, którzy zbici w małe grupki przysłuchiwali się opowieściom uwolnionych kobiet. We wszystkich objętych rebelią miasteczkach doszło do krwawych rzezi i masowych mordów dokonanych w większości na osobisty rozkaz Faraksa.

— Oni zabawiali się torturowaniem ludzi — opowiadała jedna z kobiet — obcinali im palce wskazujące i kciuki, żeby nie mogli przeżegnać się przed śmiercią.

— Prebendarza wciągali na linach aż na szczyt wieży kościelnej — wspominała inna wśród łkań — by wysztydzić mękę naszego Pana. Rozkrzyżowali mu ramiona i przywiązali do poprzecznej belki tak, że reszta ciała zwiśla bezwładnie. Jak go już dźwignęli w górę, puścili sznur i kapłan runął na kamienne płyty placu. Cztery razy tak robili, a przy tym klaskali i zanosili się od śmiechu. Potem połamanego, ale jeszcze żywego, oddali kobietom, które dobiły go kamieniami.

Wszędzie powtarzały się te same sceny, a żołnierze domagali się pomszczenia okrucieństw zasłyszanych z ust kobiet. Pewna dziewczyna z Laroles opowiadała, że moryskowie nie przestrzegali ustalonych warunków kapitulacji chrześcijan, złamali dane słowo i doszło do tego, że wszystkim duchownym posmarowali stopy oliwą i smołą, przypiekając ich na rozżarzonych węglach przed ostateczną egzekucją przez poćwiartowanie. Jakaś kobieta z Canjáyar oznajmiła, że w jej miasteczku urządzili fikcyjną mszę z nagim prebendarzem i zakrystianem przy ołtarzu. Tego ostatniego zmuszono do odczytywania listy obecności i każdy wywołany w ten sposób morysk podchodził do księdza lub zakrystiana, zadawał mu ciosy nożem, kamieniem, kijem, a nawet gołymi rękami, uważając przy tym, żeby ich nie zabić. W końcu poćwiartowano ich jeszcze żywych, kawałek po kawałku, poczynając od palców u nóg.

Tymczasem przed markizem de Mondéjar stanęła deputacja szesnastu muzułmańskich *alguacil* z najważniejszych miast Alpuhary. Padli do nóg kapitana generalnego, błagając o przebaczenie dla siebie i innych mężczyzn w miastach, które postanowią się poddać. Markiz de Mondéjar uległ ich prośbom i obiecał okazać łaskę wszystkim, którzy złożą broń; niczego nie przyrzekł jednak w stosunku do Aben Humei i banitów. Następnie wydał wojsku rozkaz wkroczenia do zamku.

Wieść o warunkach kapitulacji podawano sobie z ust do ust w chrześcijańskich szeregach. Żołnierze, którzy ciągnęli wiele mil bez łożdu na odsiecz Alpuharze, tyle się napatrzyli i dowiedzieli od zawodzących kobiet, że sama myśl o darowaniu win budziła



w nich wielkie oburzenie. Moryskowie powinni być ukarani, a ich dobra rozdzielone między żołnierzy! Na drodze prowadzącej do zamku oddziały chrześcijańskie napotkały Hamida i dwóch starców z białą flagą, którzy wyszli poddać fortecę i wybłagać litość dla pozostających w niej ponad dwóch tysięcy kobiet, dzieci i mężczyzn.

Markiz na to przystał i wydał dekret ułaskawiający wszystkich mężczyzn oraz nakazujący uwolnienie muzułmańskich kobiet i dzieci. Jednocześnie w celu uśmierzenia nastrojów wśród żołdactwa pozwolił splądrować zamek i osadę. Jeńców rozkazał trzymać pod strażą w domach w Juviles. Moryski wraz z dziećmi słóczono w kościele; te, których nie pomieściła świątynia, pozostały na dziedzińcu pilnowane przez wrzących gniewem żołnierzy niezadowolonych z takiego obrotu sprawy.

Wiadomość o decyzjach markiza i oburzeniu wśród chrześcijańskich żołnierzy dotarła do długiej kolumny morysków uchodzących w kierunku Ugijar. Hernando uśmiechnął się szeroko do trzech starców, którzy nie chcieli pozostać w zamku i szli obok mułów, chwilami wspierając się o ich grzbiety.

— Widzicie, naszym kobietom nic się stanie! — wykrzyknął, potrząsając zaciśniętą pięścią.

Ale żaden z nich nic nie odrzekł. Wciąż szli posepni.

— Cóż to? — zdziwił się Hernando. — Czyście nie słyszeli, że markiz okazał łaskę tym, którzy zostali?

— Co może jeden człowiek przeciwko całemu wojsku? — rzekł najstarszy z całej trójki, nie patrząc na chłopaka. — Nic z tego nie będzie. Chrześcijanie są zbyt chciwi, by uszanować rozkazy markiza.

Hernando zbliżył się do starca.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Markiz ma swój osobisty interes w darowaniu nam win, gdyż zarabia na nas krocie. Ale jego wojsko... To żołnierze najemni, niepobierający żołdu, przyszli tu po to, żeby się wzbogacić. Gdyby z naszych kobiet uczyniono niewolnice, włos by im z głowy nie spadł, bo niewolnica to pieniądz. Skoro jednak tego nie zrobiono...

to żaden rozkaz ani dekret wydany przez największego możnowładcę, nawet przez króla, nie powstrzyma żołdactwa przed... — Z twarzy Hernanda zniknął uśmiech, ręką odruchowo sięgnął do szabli. — Przed wypowiedzeniem posłuszeństwa dowództwu — zakończył starzec ponuro.

Hernando z miejsca zawrócił. Biegł, torując sobie drogę wśród morysków, głuchy na wszystkie pytania, które mu rzucali, gdy ich potraçał. Juviles! Jego umysł zaprzętała teraz tylko myśl o Juviles, o matce i o Hamidzie. Brahim, usłyszawszy krzyki i skargi na Hernanda, zawrócił konia. Gdy znalazł się na wysokości trzech starców, jeden z nich powstrzymał go ruchem ręki.

— Dokąd on pędzi? — spytał Brahim.

— Zdaje się, że zamierza zrobić to, co powinni byli uczynić wszyscy muzułmanie: walczyć... oddać życie za lud, za rodzinę i za Boga.

Mulnik ściągnął brwi.

— Wszyscy o to walczymy. To wojna, starcze!

Morysk pokiwał głową.

— Co ty o tym wiesz — mruknął.



Hernando dotarł do Juviles po zmroku. Cała wioska była pełna chrześcijan. Z relacji szpiegów, którzy donieśli uciekającej kolumnie morysków o poddaniu fortecy, wynikało, że markiz rozkazał umieścić kobiety i dzieci w kościele. Hernando postanowił okrążyć osadę i dotrzeć do kościoła przez tarasy uprawne przylegające do świątyni od strony południowej. Noc była czarna, tylko gdzieś ciemności rozjaśniały migoczące punkty żołnierskich ognisk. Na czworakach przekradł się przez tarasowe poletko, na którym jego matka zabiła nożem księdza. Kościół i plac były dokładnie nad jego głową. „Ona zrobiła to dla ciebie”, powiedział w tym właśnie miejscu Hamid, gdy obaj patrzyli na krwawą zemstę Aiszy. Rozmowy chrześcijańskich żołnierzy dolatywały do niego w postaci szmeru przerywanego nagłymi wybuchami śmiechu lub stekiem przekleństw.

Wyteżył słuch, starając się wychwycić jeszcze jakieś inne dźwięki, gdy nagle ktoś zwałił mu się na plecy i przygniół kolanem do ziemi. Nie zdążył nawet wydać okrzyku, w tej samej chwili silna dłoń zakryła mu usta. Na szyi poczuł chłód stalowego ostrza. Wtedy przemknęło mu przez myśl, że dokładnie w taki sam sposób on zabijał konie. Umrze więc jak one?

— Nie zabijaj go — ktoś syknął po arabsku w momencie, gdy nóż znajdował się o cal od tętnicy szyjnej. Mężczyzn było kilku. — Tu coś błyszczy... Spójrz na tę szablę.

Hernando poczuł, że odpasują mu broń. Brzęk ozdób przy pochwie sparaliżował ich na moment, ale żołnierze dalej rozmawiali, jakby nic się nie stało.

— To jeden z naszych — rzekł inny, wymacawszy palcami wisiory zakrzywionej szabli.

— Kim jesteś? — spytał cicho mężczyzna trzymający go w żelaznym uścisku i odsłonił mu na chwilę usta, jednocześnie mocniej przyciskając ostrze do szyi. — Jak się nazywasz?

— Ibn Hamid.

— Co tu robisz? — dopytywał się ktoś trzeci.

— Przypuszczam, że to samo, co wy — odrzekł. — Przyszedłem tu po moją matkę.

Obrócili go twarzą do siebie, opierając czubek noża na jego grdyce, ale ani on, ani napastnicy nie mogli dojrzeć nawzajem swoich twarzy w słabym świetle ognisk.

— Skąd mamy pewność, że nas nie oszukuje? — pytali między sobą.

— Mówi po arabsku.

— Niektórzy chrześcijanie też znają arabski. Wysłalbyś na zwiady kogoś, kto nie zna arabskiego?

— Po cóż chrześcijanie mieliby tu przysyłać kogoś na przespługi? — zapytał pierwszy mężczyzna.

— Zabij go — uciał krótko drugi.

— Nie ma innego Boga poza Allahem, a Mahomet jest Jego posłańcem — wyrzucił z siebie jednym tchem Hernando. Na te

słowa nacisk noża zelżał. Hernando mówił dalej, recytując wyznanie wiary morysków.

Stopniowo, w miarę jak powtarzał słowa modlitwy, która nie tak dawno uchroniła go przed samosądem mieszkańców Juviles, nóż odsuwał się od jego szyi. Ci trzej mężczyźni przybyli tu z Cádiar, żeby ratować swoje żony i dzieci.

— Większość kobiet zamknięto w kościele — tłumaczył jeden. — Pozostałe są na zewnątrz, na placu, ale nie sposób się dowiedzieć, gdzie znajdują się nasze żony. Kobiet z dziećmi są setki, a w tych ciemnościach zupełnie nic nie widać. Żołnierze nie pozwalają jeńcom rozpaścić ognisk, więc są jedną wielką bezładną masą cieni. Nawet gdyby nam się udało tam wejść, to i tak trudno będzie trafić na nasze żony, za to podniesie się taki tumult, że żołnierze natychmiast się zorientują.

A co z mężczyznami? — pomyślał Hernando. Gdzie Hamid? Mówią tylko o kobietach i dzieciach.

— Gdzie są mężczyźni, którzy zostali w zamku? — zapytał.

— Przypuszczamy, że trzymają ich zamkniętych w domach.

— Jak możemy ich uwolnić? — spytał półgłosem Hernando.

— Mamy czas, żeby się zastanowić — odpowiedział jeden z morysków. — Trzeba poczekać do świtu. Wcześniej nie damy rady — dodał.

— Za dnia? Jakie będziemy mieli wtedy szanse? Jak to zrobimy? — zdziwił się chłopak.

Nie otrzymał jednak odpowiedzi.

Chłód nocy przenikał ich do szpiku kości, gdy czekali na świt. Siedzieli ukryci za kępą krzaków. Rozmowę prowadzili szeptem. Moryskowie z Cádiar opowiedzieli mu o swoich żonach i dzieciach. On z kolei zwierzył się im, że tu, w tym kościele, właśnie na tym tarasie odkrył ogrom cierpienia, który nosiła w duszy jego matka.

Minęło sporo czasu i noc była już głęboka, gdy wreszcie cisza zaległa Juviles. Żołnierze drzemali przy ogniskach, podczas gdy czterej moryskowie zaczęli kostnieć z zimna. Sierra Nevada dawała o sobie znać.

— Zamarzniemy.

Hernando usłyszał szcęknięcie zębów. Jego samego przeszył ból, gdy spróbował poruszyć palcami kurczowo zaciśniętymi na szabli. Miał wrażenie, że przykleiły się do pochwy.

— Musimy poszukać sobie schronienia i przeczekać do świtu... — rzekł morysk. Nagle jego słowa przerwał przeraźliwy kobiecy krzyk dochodzący z placu.

Po nim nastąpił drugi i trzeci.

— Stój! Kto idzie?! — zawołał żołnierz pełniący wartę przy jednym z ognisk.

— Między kobietami są uzbrojeni Maurowie! — rozległo się z innej strony.

Dalsze słowa były niewyraźne. Moryskowie spojrzeli na siebie pytająco. Uzbrojeni Maurowie? Tutaj? Hernando wychylił się zza krzaków, które ich osłaniały. Wrzaski kobiet i dzieci mieszały się z rozkazami żołnierzy. Kilkunastu mężczyzn uzbrojonych w szable i halabardy pobiegło od ognisk w kierunku placu, stapiając się z masą cieni. Huknął pierwszy wystrzał z arkebuzi; Hernando ujrzał snop iskier, błysk i ogromną chmurę dymu pośród czarnego tumanu majaczącego przed kościołem.

Kolejne wystrzały. Kolejne błyski pośród cieni. Kolejne krzyki.

Hernando pierwszy wyskoczył z kryjówki i leciał w stronę placu z obnażoną, wzniesioną wysoko szabłą, trzymając ją oburącz. Trzej moryskowie z Cádíar bieгли tuż za nim. Gdy minął pierwszy moment zaskoczenia, kobiety na placu poczęły bronić się przed żołnierzami, którzy atakowali je szablami i halabardami.

— Maurowie! — dało się słyszeć wśród wrzawy.

— Atakują nas! — krzyczeli żołnierze ze wszystkich rogów placu.

Było zupełnie ciemno.

— Matko! — zawołał Hernando.

W ciemnościach arkebuzerzy wypalili do siebie nawzajem. Hernando potknął się o leżącego trupa i o mało nie upadł. Na prawo od niego, w bliskiej odległości, rozbłysł wystrzał, który w jednej chwili okrył go tumanem dymu. Hernando przeciął szabłą

gęste powietrze i poczuł, że ostrze zanurzyło się w ludzkim ciele. W tym samym momencie usłyszał śmiertelne rżenie.

— Matko!

Biegł dalej ze wzniesioną nad głową bronią. Nic nie widział. Absolutnie nic. Nikogo nie rozpoznawał w tym chaosie. Jakaś kobieta rzuciła się na niego.

— Jestem moryskiem! — krzyknął.

— Santiago! — usłyszał nagle za sobą.

Halabarda wymierzona w jego plecy musnęła mu bok i wbiła się w brzuch stojącej przy nim kobiety. Hernando poczuł na twarzy jej ostatnie tchnienie, w śmiertelnej agonii wpiła się w niego palcami. Błyskawicznie wyzwolił się z tragicznego uścisku i ciął silnie szablą w tył za siebie. Ostrze uderzyło o metalową przyłbicę i ześlizgnąwszy się z niej, opadło na ramię chrześcijańskiego żołnierza. Kobieta, czepiając się jego nóg, z wolna osunęła się na ziemię.

— Matko! — zawołał ponownie Hernando.

Z każdą chwilą przybywało martwych ciał kobiet i dzieci, o które się potykał. Krew chlupotała mu pod stopami. Drzwi kościoła były zamknięte. A jeśli Aisza jest w środku? Chrześcijanie wciąż strzelali, nie zważając na głosy dowódców, którzy nakazywali wstrzymanie ognia. Nic już nie mogło zahamować rzezi: niekontrolowany strach żołnierzy zbierał krwawe żniwo wśród bezbronych kobiet i dzieci.

Hernando wciąż biegł na oślep. Jak ma odszukać matkę? Może jej trup leży już na krwawym placu?

— Matko! — jęknął opuściwszy broń.

— Hernando? Hernando, to ty?

Ponownie uniósł szablę. Kto to? Skąd dochodzi ten głos?

— Matko!

— Hernando? — spytał ktoś powtórnie. Chłopak złożył się do cięcia.

— Hernando! — Aisza potrząsnęła synem.

— Matko! Bogu niech będą dzięki. Uciekajmy stąd! — Chwyć ją za ramię i popchnąj do przodu... Uciekać, ale jak?

— Nie wiem, gdzie są twoje siostry! — jęknęła matka. — Musa i Aquil już się znaleźli.

— Co się stało?

— Zgubiłam je w tłumie...

Dwa wystrzały padły w ich stronę. Na lewo od nich jakieś ciało osunęło się na ziemię.

— Tam jest Maur! — usłyszeli wołanie żołnierza.

W świetle wystrzałów arkebuzów Hernando ujrzał stojącą tuż obok ciemną postać, niższą od siebie. To Ra'isa? Zapewne... Przysięgnęły, że widzi młodziutką dziewczynę. To chyba Ra'isa? Jeszcze chwila i wszystkich ich zabiją. Chwycił ją więc za włosy i przyciągnął do siebie.

— Mam Ra'isę! — krzyknął do matki.

— A Zahara?

Tym razem skierowano w ich stronę aż trzy salwy. Hernando popchnął matkę, wlokąc za sobą dziewczynę.

— Biegiem! — rozkazał.

Pobiegli w stronę dzwonnicy, której kontur zamajaczył niewyraźnie; ktoś usiłował oświetlić miejsce zdarzeń pochodnią. Hernando nieustannie popychał matkę trzymającą za ręce obu chłopców, a jednocześnie ciągnął za sobą dziewczynę. Pochyleni dobiegli tak aż do tarasów uprawnych. Stamtąd spuścili się w dół głębokiego parowu, potykali się na występach skalnych, upadali i podnosili się co chwila, zostawiając za sobą cichnące echa wystrzałów i krzyki przerażenia kobiet i dzieci.

Zatrzymali się dopiero wtedy, gdy salwy brzmiały już tylko jak syk. Aisza opadła półżywa ze zmęczenia na ziemię, Musa i Aquil popłakiwali, Hernando i dziewczyna stali spokojnie, usiłując złapać oddech.

— Dziękuję, synu — powiedziała matka, podnosząc się niespodziewanie. — Uciekajmy. Nie możemy się zatrzymywać. Wciąż grozi nam niebezpieczeństwo i musimy... Ra'isa? — Aisza przyskoczyła do dziewczyny i ujmując ją pod brodę, podniosła jej twarz. — Ty nie jesteś Ra'isa!

— Mam na imię Fatima — wymamrotała dziewczyna bez

tchu — a to — dodała, ukazując kilkumiesięczne maleństwo przyciśnięte do piersi — to jest Salvador... chciałam powiedzieć Humam.

Hernando nie mógł zobaczyć czarnych jak węgiel, ogromnych, migdałowych oczu Fatimy, ale pochwycił ich błysk, który zdawał się rozdzierać ciemność.

Owej nocy zginęło na placu w Juviles ponad tysiąc matek z dziećmi. Te, które przebywały wewnątrz kościoła, zarygłowały drzwi od środka i zdołały ocaleć, ale i tak o brzasku plac obudził się zasłany ciałami niewinnych kobiet i pomordowanych dzieci. Oprócz kilku chrześcijan, zabitych przypadkowo przez własnych towarzyszy, na placu znaleziono tylko jednego martwego moryska, w którym ktoś rozpoznał mieszkańca Cádiar. Markiz de Mondéjar przeprowadził śledztwo, by wykryć przyczynę żołnierskiej rebelii i rozkazał stracić trzech żołnierzy, którzy, jak się okazało, pod osłoną nocy usiłovali zniewolić jakąś kobietę. Jej krzyki spowodowały ogólny zamęt i tak zaczęła się rzeź.



# 11

Miała trzynaście lat i pochodziła z Terque, z okręgu Marchena we wschodniej Alpuharze. Tyle wyjawiała Fatima Hernandowi po drodze do Ugijar. Nie, nie wiedziała, gdzie jest jej mąż. Ojciec Humama przyłączył się do banitów, którzy poszli walczyć przeciwko markizowi de Vélez na wschodnie krańce Alpuhary, ona zaś, jak wiele innych moryskich kobiet, znalazła się na placu w Juviles.

— Zobaczyłam, że masz broń, i podeszłam do was. Przykro mi... Nie mogłam pozwolić, żeby mój syn zginął z rąk żołnierzy... — wyszeptała Fatima. Jej czarne oczy wyrażały żal, ale i zdecydowanie. Obydwoje szli o kilka kroków przed Aiszą, która nie odezwała się ani słowem od chwili, kiedy zdali sobie sprawę z fatalnej pomyłki popełnionej w chaosie walki w Juviles. Przyrodni bracia Hernanda dreptali z tyłu, ciągle marudząc.

Dniało. Słońce zaczynało oświetlać góry i wąwozy, jakby nic się nie wydarzyło, mroźny chłód i śnieg sprawiały wrażenie tak niebywałej czystości, że masakra w Juviles zdawała się tylko jakimś nocnym koszmarem.

Niestety, zdarzyła się naprawdę. Hernando wykonał swoje zadanie — uratował matkę. No a siostry... A Hamid, co też się stało z fakihem? Ścisnął dłonią szablę Proroka wiszącą u pasa i odwrócił się do Aiszy: szła z opuszczoną głową, już nie płakała, bo nie miała siły. Skorzystał z pierwszych promieni słońca, by

przyjrzeć się ukradkiem swojej towarzyszce. Czarne włosy poskręcane w pukle spadały jej na ramiona. Miała śniadą cerę, pięknie rzeźbione rysy twarzy, ciało dziewczynki, która przedwcześnie została matką, i ruchy pełne godności pomimo zmęczenia. Fatima czuła, że ją obserwuje, więc obróciła ku niemu głowę, obdarzając go delikatnym uśmiechem i tym samym płomiennym spojrzeniem, które ujrzał wcześniej w ciemnościach. Widząc jej precudne czarne oczy w migdałowej oprawie, Hernando poczuł, że fala ciepła zalewa mu policzki. Humam wybuchnął donośnym płaczem. Nie zwalniając kroku, Fatima zaczęła kołysać dziecko, szepcząc mu czułe słowa.

— Zatrzymajmy się, trzeba nakarmić małego — poradziła Aisza.

Fatima zgodziła się, więc zeszli ze ścieżki.

— Tak mi przykro, matko — rzekł Hernando, podczas gdy Fatima usadowiła się wygodnie do karmienia piersią w otoczeniu jego przyrodnych braci ogłupiałych z wrażenia. Aisza milczała. — Myślałem... Byłem pewien, że to Ra'isa.

— Uratowałeś mi życie — przerwała mu matka. — Mnie i twoim dwóm braciom. — Łzy ścisnęły jej gardło i przygarnęła syna do serca. — Nie musisz się usprawiedliwiać — szlochając, trzymając go w ramionach — ale zrozum mój ból po stracie twoich siostr. Dziękuję...

Fatima przyglądała się tej scenie z powagą. Humam ssał pierś z zadowoleniem. Na obnażonym biuście dziewczyny Hernando dostrzegł złoty wisiorek z ręką Fatimy: była to *chamsa*, chroniący przed złem amulet, którego chrześcijanie zabraniali nosić.



Pół dnia potrzebowali Hernando i jego mała kompania na pokonanie trzech mil drogi dzielących Juviles od Ugijar, najważniejszego chrześcijańskiego miasta w górach Alpuhary, które pozostawało w rękach morysków od czasu okrutnej rzezi dokonanej przez Faraksa. Leżało w dolinie Nechite, nieco oddalone od odnóg głównego masywu Sierra Nevada, co sprawiało, że okoliczne stoki

nie były tak urwiste jak w górnej Alpuharze; podstawą utrzymania była uprawa winorośli i zbóż, a rozległe pastwiska pozwalały na wypas rogacizny. Gdy dotarli na miejsce, wojsko Aben Humeyi zdążyło już rozłożyć się obozem w mieście. W Ugijar rojno było jak w ulu.

Król Grenady obrał za swą siedzibę dom należący niegdyś do Pedra Lópeza, starszego pisarza Alpuhary. W obrębie budynku wznosiła się jedna z trzech wież obronnych znajdujących się w mieście, rozlokowanych na planie trójkąta, dzięki czemu większa część wojska stacjonowała wewnątrz murów. Hernando odnalazł swoją karawanę mułów przy wieży kolegiackiej. Ubajd pilnował bułanka jego ojczyma. O ile kiedyś Hernando odczuwał strach przed tym młodym mulnikiem, o tyle teraz znalazł w sobie dość odwagi, by podejść do niego i zagadnąć:

— Gdzie Brahim?

Ubajd wzruszył ramionami, przypatrując się uważnie Fatimie. Musa i Aquil próbowali podejść do mułów, z których nie zdjęto jeszcze juków, ale przegnali ich żołnierze. Ubajd nie oderwał wzroku od Fatimy nawet wtedy, gdy mały Musa, odepchnięty przez jednego z żołnierzy, przewrócił się koło niego. Onieśmielona dziewczyna przysunęła się do Hernanda.

— Co się tak gapisz? — wypalił Hernando.

Ubajd znów wzruszył ramionami, rzucił ostatnie lubieżne spojrzenie na Fatimę i dał im spokój. Hernando rozluźnił dłoń, którą instynktownie oparł na rękojeści szabli.

Wypyawszy jednego z żołnierzy o ojczyma, powiódł swoją gromadkę do domu Pedra Lópeza, który wskazał mu morysk. Brahima zastali przed wejściem do budynku, pośród dowódców i licznie zgromadzonych banitów. W środku znajdował się Aben Humeya ze swymi doradcami.

— Co to znaczy...?! — zaczął krzyczeć ojczym na widok Aiszy i synów, lecz przerwał mu Gironcillo, który również tam był.

— Witaj, chłopcze! — zawołał radośnie. — Dobrze, że jesteś! Mamy dużo rannych koni.

I zwróciwszy się do banitów, zaczął rozwódzić się nad tym, jak

to Hernando uleczył jego kasztanka. Brahim czekał zły, tłumiąc w sobie wściekłość, aż dowódca banitów skończy rozplływać się w pochwałach nad pasierbem.

— Zostawiłeś muły! — wybuchnął wreszcie, gdy tylko Gironcillo umilkł. — I po co przyprowadziłeś moich synów? Chyba powiedziałem, że...

— Nie wiem, czy przeżyjemy tutaj albo czy twoim synom coś się nie stanie — przerwała Aisza podniesionym głosem ku zaskoczeniu męża — ale nie zapominaj, że Hernando uratował im życie.

— Chrześcijanie... — wykrztusił chłopak — wymordowali setki kobiet i dzieci na placu przed kościołem w Juviles.

Banici natychmiast otoczyli go kołem i zaczął opowiadać o tragicznych zajściach w osadzie.

— Chodźmy — zdecydował Gironcillo, nie czekając, aż chłopak skończy. — Musisz powiadomić o tym Ibn Umajję.

Żołnierze, którzy pełnili straż u wejścia do budynku, rozstąpili się i zrobili im przejście. Hernando wszedł do środka wiedziony przez Gironcilla. Strażnicy chcieli początkowo zatrzymać Brahima, ale przekonał ich, że musi towarzyszyć swojemu pasierbowi.

Budynek był dwukondygnacyjny, bielony wapnem, z okrętowanymi balkonami na najwyższym piętrze i czterospadowym dachem pokrytym dachówką.

Zaledwie minęli strażę i doszli do ciężkich drewnianych drzwi prowadzących do przestronnej sali, w której przebywał Aben Humeya, owionął Hernanda balsamiczny zapach perfum. Żołnierz, który ich prowadził, zastukał i otworzył drzwi. Przenikliwa woń piżma mieszała się z dźwiękami *ud*, lutni o krótkiej szyjce bez bontów. Król — młody, przystojny, wyniosły — siedział rozparty wygodnie w fotelu wyściełanym czerwonym jedwabiem, w otoczeniu swoich czterech żon. Jego postać górowała nad wszystkimi obecnymi, którzy siedzieli na ziemi na poduchach ze złotogłowiu i marokinu haftowanych tysiącem kolorów. Pośrodku przybranego kobiercami i gobelinami salonu płaśała tancerka.

Wszyscy trzej stanęli nieruchomo w prog, Hernando utkwiał

wzrok w tancerce, Brahim i Gironcillo rozglądali się po sali. Wreszcie Aben Humeya, klasnąwszy w dłonie, przerwał muzykę i tańce i kazał im wejść. Miguel de Rojas, ojciec pierwszej żony króla, zamożny morysk z Ugíjar, miejscowi dostojnicy i przywódcy banitów, jak Partal, Seniz czy Gorri, skierowali swoją uwagę na obu mężczyzn i chłopca.

— Czego chcecie? — zwrócił się wprost Aben Humeya.

— Chłopak przynosi wieści z Juviles — odparł donośnym głosem Gironcillo.

— Mów — rzekł przynaglająco król.

Hernando nie śmiał spojrzeć na władcę. Owo uczucie pewności siebie, które przepełniało go jeszcze wczorajszej nocy, odleciało jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zaczął opowieść nieskładnie, jękając się co chwila, ale Aben Humeya dodał mu otuchy uśmiechem.

— Mordercy! — ryknął Partal, wysłuchawszy opowieści do końca.

— Zabijają kobiety i dzieci! — zawołał Seniz.

— Mówiłem wam, że lepiej zostać i okopać się w mieście — przerwał Miguel de Rojas. — Musimy bronić naszych rodzin.

— Nie! Tutaj nie zdołamy powstrzymać wojsk markiza... — odrzekł Partal.

Aben Humeya jednym ruchem ręki uciszył i jego, i wszystkich pozostałych. Banici rwali się do walki, domagając się opuszczenia miasta.

— Powiedziałem już, że na razie zostajemy w Ugíjar — oznajmił król ku niezadowoleniu zebranych. — A jeśli o ciebie idzie — dodał, zwracając się do Hernanda — godzien jesteś najwyższego uznania za okazaną odwagę. Czym się zajmujesz?

— Jestem mulnikiem... Poganiam muły mojego ojczyrna — wyjaśnił, wskazując na Brahima. Aben Humeya kiwnął głową na znak, że wie, o kogo chodzi. — I strzegę waszego skarbu, panie.

— Znakomicie zna się również na leczeniu koni — wtrącił Gironcillo.

Król namyślał się nad czymś przez chwilę, po czym rzekł:

— Potrafiłbyś strzec mienia naszego ludu z takim samym poświęceniem, z jakim uratowałeś matkę? — Hernando potwierdził skinieniem głowy. — Wobec tego powierzam ci pieczę nad naszym złotem.

Stojący przy pasierbie Brahim poruszył się niespokojnie.

— Zwróciłem się o pomoc do Ulugh Alego, beja Algieru — ciągnął Aben Humeya. — W zamian za podporządkowanie się Wielkiemu Turkowi. O ile mi wiadomo, w jednym z algierskich meczetów już gromadzi się broń z zamiarem przetrzucenia jej na teren naszego królestwa. Gdy tylko wznowiona zostanie żegluga, dostaniemy broń... ale trzeba będzie za nią zapłacić.

Król zamilkł na dłuższą chwilę. Hernando zastanawiał się właśnie, czy propozycja królewska dotyczy również jego ojczyzna, gdy Aben Humeya ponownie zabrał głos.

— Potrzebujemy arkebuzów i dział. Uzbrojenie większości naszych ludzi stanowią zwykłe proce i narzędzia rolnicze. Nie mają nawet halabard ani sztyletów. Aczkolwiek... Ty masz wyborną szablę! — rzekł i wskazał broń zawieszoną u boku Hernanda.

Hernando wyciągnął szablę z pochwy, aby zademonstrować ją królowi, i oto oczom wszystkich ukazało się okrwawione ostrze. W pamięci Hernanda odżyły wspomnienia ciosów i cięć, które zadawał, rozcinając na dwoje niewidzialne w ciemności ciała chrześcijan. Nie myślał o tym do tej pory. Patrzył oszołomiony na ostrze szabli Proroka pokryte szerniałymi plamami zastygłej krwi.

— Widzę, że potrafisz jej używać — rzekł Aben Humeya. — Ufam, że w przyszłości również zrobisz z niej dobry użytek i że wielu chrześcijan padnie jeszcze pod jej ostrzem.

— Dał mi ją Hamid, fakił z Juviles — wyjaśnił Hernando. Pomiął jednak milczeniem to, że szabla ta była niegdyś własnością samego Proroka, odebrano by mu ją niechybnie, a on przyrzekł Hamidowi jej strzec. Król skinął głową na znak, że wie, o kogo chodzi. — Hamid był razem z mężczyznami w osadzie... — dodał chłopak ze smutkiem.

Potem zamilkł. Aben Humeya również milczał, jakby i on wspominał fakiha. Jeden z banitów pochylił się, by wziąć szablę,

obrzucając chciwym spojrzeniem pochwę ze szczerego złota, lecz monarcha odezwał się donośnym głosem:

— Niech zostanie pod twoją opieką, dopóki nie zwrócisz jej Hamidowi. Ja, król Grenady i Kordoby, tak postanawiam. Nie wątpię, że go jeszcze spotkasz, chłopcze — uśmiechnął się Aben Humeya. — Gdy tylko janczarzy i Berberowie przybędą nam z pomocą, znów zatriumfujemy w Al-Andalus.



Opuścili siedzibę Aben Humeyi i zdobyli coś do jedzenia. Mężczyźni siedzieli na ziemi, podjadając baranie mięso.

— Kto to? — burknął Brahim, wskazując na Fatimę.

— Uciekła z nami z Juviles — wyjaśniła Aisza, zanim Hernando zdążył otworzyć usta.

Brahim zmrzążył oczy i utkwiał je w dziewczynie stojącej obok Aiszy, Humam spał w wiklinowym koszu między kobietami. Trzymając w palcach kawałek jagnięciny, Brahim obrzucił dziewczynę spojrzeniem od stóp do głów, zatrzymał wzrok na piersiach i twarzy, i wpatrzył się w precudne czarne oczy, które Fatima spuściła speszona.

Mulnik mlasnął bezwstydnie językiem na znak akceptacji i odgryzł nowy kęs mięsa.

— Gdzie moje córki? — spytał, przeżuając jedzenie.

— Nie wiem. — Aisza stłumiła szloch. — To stało się w nocy... Tłum ludzi... Nic nie było widać... Nie odnalazłam ich. Pilnowałam chłopców! — dodała tonem usprawiedliwienia.

Brahim popatrzył na synów i pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Hej, ty! — zawołał na Fatimę. — Nalej mi wody.

Gdy niosła wodę, Brahim rozbierał ją wzrokiem. Celowo trzymał kubek tuż przy sobie, nie wyciągając ręki, by dziewczyna musiała podejść do niego jak najbliżej i otrzeć się o niego.

Hernando wstrzymał oddech, obserwując, jak Fatima stara się uniknąć nawet najlżejszego muśnięcia. Do czego zmierza ojczym? Kątem oka dostrzegł, że Aisza potrąca nogą koszyk ze śpiącym Humamem: dziecko się rozplakało.

— Muszę go nakarmić — usprawiedliwiła się przestraszona Fatima.

Mulnik odprowadzał ją wzrokiem, drżąc z podniecenia na samą myśl o jej dziewczęcych piersiach wezbranych mlekiem.



— Hernando... — odezwała się Fatima, nakarmiwszy dziecko, które spało teraz spokojnie w jej ramionach.

— Ibn Hamidzie — poprawił ją.

Fatima skinęła głową, że zrozumiała.

— Pomożesz mi dowiedzieć się czegoś o moim mężu? Muszę wiedzieć, co się z nim stało — i mówiąc to, spojrzała z ukosa na Brahima.

Zostawiwszy Humama pod opieką Aiszy, krążyli wśród kramów i gromad ludzi, rozpytując o morysków z okręgu Marcheny, którzy, przyłączywszy się do banitów, walczyli z markizem de Vélez, *adelantado*\* Murcji i kapitanem generalnym Cartageny. Ten bezwzględny z natury człowiek prowadził bezpardonową walkę z powstańcami, rozpoczynając działania wojenne na własną rękę, zanim uzyskał oficjalną nominację królewską. Uderzył od strony wybrzeża śródziemnomorskiego, na południe i na wschód od Alpuhary, tam gdzie nie dotarł jeszcze markiz Mondéjar.

Nie musieli długo szukać. Napotkani ludzie z oddziału Gorriego, który bił się z Vélezem, gotowi byli opisać im ze szczegółami swoje losy.

— Ale mój mąż nie służył pod Gorrim — przerwała Fatima. — Poszedł z Futeyem. To... jego kuzyn.

Rozmawiający z nimi żołnierz westchnął ciężko. Fatima wpiła się palcami w ramię Hernanda — przeczuwała złe wieści. Dwaj mężczyźni stojący nieopodal w tej samej grupie spuścili oczy pod badawczym spojrzeniem dziewczyny. Wtedy rozległ się głos:

— Ja jestem od Futeya. Poległ w bitwie pod Félix. A z nim większość jego ludzi... najwięcej kobiet... zginęło mnóstwo kobiet.

---

\* Naczelnny dowódca pogranicza (hiszp.).



Z Futeyem szli Tezi i Portocarrero, a że nie mieli wystarczająco dużo mężczyzn, by walczyć z chrześcijanami, przebrali za żołnierzy kobiety. Nasi bracia najpierw stawili im czoło w otwartym polu, potem bili się wśród zabudowań. Ostatecznie musieli salwować się ucieczką na pobliskie wzgórze nękani przez piechotę markiza.

Mężczyzna zrobił pauzę, która Hernandowi wydała się wiecznością; czuł wbite w ramię paznokcie Fatimy.

— Zginęło wtedy ponad siedemset osób, kobiet i mężczyzn. Niektórym z nas udało się zbiec w góry... w nasze rodzinne strony — dodał strapiony — ale ci, którzy nie zdążyli... Widziałem, jak kobiety z nożami rzucały się na konie! Słysy na pewną śmierć! Widziałem i takie, które nie mogąc już podnieść kamienia, ciskały chrześcijanom piaskiem w oczy, zanim skonały. Walczyły mężnie, w niczym nie ustępując mężczyznom. — Żołnierz spojrział Fatimie prosto w oczy. — Jeśli nie spotkasz go tutaj... Tych, którzy przeżyli, zgładzono. Markiz de Vélez nie bierze jeńców ani nie ułaskawia jak Mondéjar. Ocalałe kobiety i dzieci dostały się do niewoli. Widzieliśmy potem, że sporo oddziałów Véleza zdezerterowało do Murcji, wprowadzając nasze kobiety i dzieci.

Szukali w całym Ugíjar. Wielu morysków potwierdziło relację żołnierza.

— Z Terque? — dopytywał się jeden z żołnierzy, usłyszawszy pytanie Fatimy. — Salvador z Terque? — dziewczyna kiwnęła głową. — Ten powroźnik? — Fatima ponownie potwierdziła, przyciskając dłonie do piersi i silnie splatając palce. — Przykro mi... zginął. Zginął razem z Futeyem, bił się mężnie do końca...

Hernando chwycił ją w locie. Była lekka jak piórko. Prawie nic nie ważyła. Na pół zemdlona osunęła się w jego ramiona i Hernando poczuł, jak policzek wilgotnieje mu od jej łez.



— Czego ona tak rozpacza? — spytał Brahim przy wieczerzy, siedząc w kręgu mężczyzn w centrum miasta, pośród morza ognisk.

— Jej mąż... — zaczął Hernando. — Mówią, że jej mąż jest ciężko ranny w górach... — skłamał.

Aisza, powiadomiona wcześniej o śmierci ojca małżeństwa, nie zaprzeczyła wersji syna. Tak samo Fatima. Jednakże Brahim wciąż patrzył na dziewczynę lubieżnym, bezwstydnym wzrokiem. Nie dostrzegał cierpienia malującego się na jej twarzy, nie przeszkadzało mu to, że jej mąż być może żyje.

Tej nocy Hernando nie mógł zasnąć, tłumiony przez dziewczynę szloch rozbrzmiewał w jego uszach donośniej niż śpiewy żołnierzy w obozie.

— Tak mi przykro — wyszeptał chyba enty raz, leżąc u jej boku. Było już dobrze po północy.

Niewyraźną odpowiedź zagłuszył szloch.

— Bardzo go kochałaś — słowa Hernanda zawisły między stwierdzeniem a pytaniem.

Fatima milczała przez chwilę.

— Wychowaliśmy się razem... Znałam go od dziecka. Terminował u mojego ojca, niewiele ode mnie starszy. Nasze małżeństwo wydawało się czymś... — dziewczyna szukała odpowiedniego słowa — czymś zupełnie naturalnym. Zawsze był przy mnie... — Jej szloch przeszedł teraz w rozpaczliwy lament. — Humam i ja zostaliśmy zupełnie sami — wyjąkała. — Co z nami będzie? Nie mamy nikogo...

— Masz mnie — rzekł cicho Hernando i niewiele myśląc, wyciągnął rękę w stronę dziewczyny, ale nie odwzajemniła dotyku.

Fatima uspokoiła się wreszcie. Hernando słyszał tylko jej urywany oddech pomieszany z odgłosem nocnej zabawy w obozie morysków. Zanim muzyka i śpiewy wszystko zagłuszyły, Fatima wyszeptała:

— Dziękuję.



Markiz de Mondéjar dał kilka dni wytchnienia wojsku morysków zgromadzonemu w Ugíjar. Przyjmował delegacje przedstawicieli okręgów deklarujących złożenie broni, rozsyłał na wszystkie strony oddziały zbrojnych przetrzasujące jaskinie w poszukiwaniu ukrywających się morysków, wreszcie ruszył na Ugíjar drogą przez Cádiar.

Te kilka dni wystarczyło, by szpiedzy wysłani na zwiad do Grenady zdążyli powrócić do Ugíjar z nowymi wieściami. Hernando wiedziony ciekawością zbliżył się do grupy mężczyzn otaczających jednego z przybyłych.

— Wymordowali wszystkich naszych braci osadzonych w więzieniu Chancillería — usłyszał Hernando. Nie mógł dostrzec w tłumie sylwetki mówiącego. Wrzawa męskich głosów, złorzeczeń i obelg zagłuszyła dalsze słowa. Po chwili znów rozległo się wyraźnie: — Żołdactwo zaatakowało więzienie, strażnicy nawet nie próbowali się przeciwstawić. Wyrznięto więźniów jak psy. Ponad setkę! Byli zamknięci w lochach, pozbawieni najmniejszych szans obrony. Potem skonfiskowano ich ziemię i resztę mienia. Najbogatszym ludziom w Grenadzie!

— Ich obchodzą tylko nasze majątki! — krzyknął ktoś z tłumu.

— Chcą się na nas wzbogacić! — dorzucił ktoś inny.

— Zarówno Mondéjar, jak i Vélez mają poważne problemy z utrzymaniem dyscypliny w wojsku. — Hernando rozpoznał głos zwiadowcy. Tłum gęstniał, gromadziło się coraz więcej słuchaczy. — Żołnierze, zdobywszy niewolników lub część łupów, dezertują. Z tego powodu Mondéjar utracił już sporo ludzi od czasu przekroczenia mostu Tablate i wejścia na teren Alpuhary, ale wciąż przybywają ci, którzy chcą się wzbogacić przed powrotem do domu.

— A co się stało ze starcami, kobietami i dziećmi, którzy zostali w Juviles? — padło pytanie.

Ponad dwa tysiące mężczyzn pozostawiło swoje rodziny na zamku. Po tym, czego dowiedzieli się od Hernanda, byli bardzo zaniepokojeni.

— Blisko tysiąc kobiet i dzieci sprzedano jako łup wojenny podczas licytacji na placu w Bibarrambla...

Tu głos mówiącego przygasał.

— Głośniej! — wołali stojący najdalej.

— Kobiety sprzedano jako niewolnice — podniósł głos mówiący. — Było ich tysiąc!

— Tysiąc kobiet! — Hernando zadrżał, słysząc za plecami zduszony szlochem głos.

— Wystawiono je publicznie na sprzedaż na targu, obdarte i poniżone. — W pełnej respekcie ciszy głos zwiadowcy brzmiał coraz donośniej. — Chrześcijańscy kupcy macali je bezwstydnie pod pretekstem sprawdzenia walorów, podczas gdy agenci wykrzykiwali ich ceny, przekazując sprzedane kobiety nowym właścicielom. Były łzone, obrzucane kamieniami i opluwane przez tłuszcze. Wszystkie pieniądze z licytacji poszły do szkatuły chrześcijańskiego monarchy!

— A dzieci? — znów padło pytanie. — Dzieci też sprzedano jako niewolników?

— Na licytacji w Bibarrambła wystawiono tylko chłopców od dziesięciu lat i dziewczynki, które ukończyły jedenaście lat. Tak ponoć rozkazał król.

— A młodsze?

Jednocześnie kilka osób zadało to pytanie. Zwiadowca zwlekał z odpowiedzią. Ludzie popychali się nawzajem, stawali na palcach, a nawet wśliznęli się na plecy sąsiadom, by lepiej widzieć i słyszeć.

— Również zostały sprzedane, tyło że nie na licytacji, ale po cichu. — Z piersi mówiącego wyrwał się pełen bólu jęk. — Widziałem je. Oznakowano rozpalonym żelazem twarze małych dzieci... aby nie było wątpliwości, że są niewolnikami. Potem pospiesznie wysłano je do Kastylii, a nawet do Italii.

Na oczach Hernanda człowiek siedzący na plecach stojącego przed nim mężczyzny nagle zwałił się na ziemię. Nikt z obecnych nie śmiał się odezwać przez dłuższą chwilę, wszyscy pograżyli się w bólu, który zdawał się nieomal namacalny.

— A starcy i kaleki? — padło kolejne pytanie z tłumu zadane tonem pozbawionym nadziei. — Było ich ze czterystu.

Hernando nadstawił uszu. Hamid!

— Dezerterzy z oddziałów Mondéjara wzięli ich w niewolę.

Hamid niewolnikiem! Hernando poczuł, że kolana się pod nim uginają i wsparł się na ramieniu stojącego obok mężczyzny.

Do tej pory nie padło jednak najważniejsze pytanie. Nikt nie miał odwagi go zadać. W ciągu ostatnich dni ciągle nagabywały Hernanda różne grupy morysków, żeby usłyszeć jeszcze raz to,

o czym wszyscy mówili w całym obozie. W Juviles zostały ich żony i dzieci, toteż Hernando nie raz i nie dwa musiał opowiadać o tym zajściu. „Kiedy uciekałeś, plac był pogrążony w ciemnościach, czyż nie tak? — pytali powątpiewającym tonem, jakby nie dopuszczali do siebie myśli o tylu ofiarach. — A więc nie mogłeś zobaczyć, ile dokładnie zginęło kobiet i dzieci...”. Kiwał potakująco głową. Tamtej nocy przeskakiwał przez setki trupów, czuł nienawiść i szaleństwo, które owładnęły chrześcijańskim wojskiem, ale po odbieraniu resztki nadziei tym mężom i ojcom?

— W Juviles zginęły wszystkie kobiety, które stały przed kościołem! Wszystkie, co do jednej! — zawołał piskliwie zwiadowca. — Ponad tysiąc kobiet i dzieci! Nikt się nie uratował.



Niewiele później ognie rozpalone na szczytach otaczających wzgórz i pagórków powiadomiły morysków o zbliżających się do Ugíjar wojskach markiza de Mondéjar. Banici zdołali przekonać Abena Humeyę, iż jego teść Miguel de Rojas doradzał okopać się w Ugíjar tylko dlatego, że zaplanował zdradę, obiecując markizowi głowę króla Grenady w zamian za wolność dla siebie i najbliższej rodziny, żeby zawładnąć złotem morysków. Król kazał zamordować teścia i sporą część rodziny Rojasów. Wyrzekł się również swojej pierwszej żony.

Aben Humeya i jego ludzie ruszyli na północ, do miejscowości Paterna del Río na jednym z zboczy Sierra Nevada. Dalej były już tylko skały, przepaście, wysokie szczyty i śnieg. Hernando wędrował wraz z wojskiem przy królu i jego sztabie, z dala od poganiaczy, prowadząc muły obciążone złotymi i srebrnymi monetami, klejnotami i szatami ze złotogłowiu. Na rozkaz króla Brahim posegregował łupy: złoto i klejnoty znalazły się w jukach mulic Hernanda, który szedł przodem, a pozostałe zwierzęta z resztą skarbu trzymały się z tyłu, tak jak do tej pory.

Od czasu do czasu, gdy tylko kręta droga na to pozwalała, Hernando odwracał głowę, starając się dojrzeć koniec kolumny złożonej z sześciu tysięcy mężczyzn, gdzie wraz z pozostałymi

kobietami wędrowali Aisza, jego przyrodni bracia i Fatima ze swym maleństwem. Nie mógł zapomnieć jej czarnych, migdałowych oczu, które go prześladowały; raz roziskrzzone, innym razem zapłakane albo przerażone, ukryte pod powiekami.

— Wio! — smaگاł biczem muły, by uwolnić się od tych myśli.

Kiedy znaleźli się w pobliżu Paterny, Aben Humeya nakazał swoim oddziałom zatrzymać się pół mili przed miastem i zająć pozycje na wzgórzu, które wydawało się nie do zdobycia. Natomiast król z taborem i osobami niezdolnymi do walki mieli wkroczyć do miasta.

Hernando nie zaczekał na idących z tyłu, żeby nie natknąć się na Ubajda. Od razu zaczął szukać dużej, wygodnej zagrody na przedmieściach, gdyż w ogrodach otaczających budynki w centrum miasta było za mało miejsca na jego stadko. Nikt nie stwarzał mu trudności. Ku wielkiemu niezadowoleniu Brahima, który poczuł się zagrożony, Aben Humeya publicznie okazał chłopcu zaufanie.

— Słuchajcie we wszystkim tego młodzieńca — rzekł król do żołnierzy eskortujących złoto. — On jest teraz stróżem naszego skarbu. Skarbu, który zapewni nam zwycięstwo.

Tak więc Hernando nie musiał się nikomu tłumaczyć ze swojej decyzji. Po przybyciu do Paterny, podczas gdy Aben Humeya urządził swoją siedzibę w jednym z najokazalszych domów, Hernando oczekiwał przybycia taboru, z którym wędrowały Aisza i Fatima. Zobaczył je wymęczone i zalane łzami. Aisza opłakiwała zapewne śmierć swoich córek. Podobnie jak inni straciła już wszelką nadzieję po wysłuchaniu wiadomości od zwiadowcy. Fatima zaś rozpacziała po stracie męża, lękając się niepewnej przyszłości, z małym dzieckiem u piersi. Tylko Aquil i Musa dokazywali wesoło, bawiąc się w wojnę. Żołnierze chcieli pomóc w szukaniu miejsca dla zwierząt, ale szybko się zorientowali, że Hernando nie potrzebuje pomocy. Ufni w siłę morysków zdolnych powstrzymać markiza na niezwyciężonym wzgórzu, które wybrał sam Aben Humeya, żołnierze rozpierzchli się po miasteczku.

Zaczynał padać śnieg.

Tymczasem przewidywania Aben Humeyi co do skuteczności obrony okazały się błędne. Chrześcijańscy żołnierze wbrew rozkazom markiza przypuścili atak na pozycje morysków i roznieśli je w pył, zmuszając przeciwnika do bezładnej ucieczki. Wtargnęli do miasta żądni krwi i łupów, oburzeni tym, że markiz jest gotów okazać łaskę wszystkim heretykom i mordercom w zamian za dobrowolne złożenie broni.

W Paternie zapanował powszechny chaos. Zdolni do walki moryskowie uciekli z miasta, pozostawiając na pastwę losu swoje żony i dzieci, które bezskutecznie usiłowały ich odszukać. Uwięzione przez morysków chrześcijanki, odzyskawszy niespodziewanie wolność, witały owacyjnie swoich wyzwolicieli, starając się zarazem przeszkodzić w ucieczce muzułmańskich kobiet. Walczyły tylko one. Żołnierze markiza, oddawszy kilka pojedynczych strzałów, rzucili się rabować juki mułów pozostawionych bez dozoru w pobliżu kościoła, który, podobnie jak wiele innych w Alpuharze, znajdował się na miejscu dawnego meczetu. Bajeczne skarby rozpałył chciwość, wybuchały kłótnie wśród chrześcijan, a obok mułów rosły stopy jedwabiu, pereł i wszelkiego rodzaju kosztowności.

W tym zamęcie nikt nie zwrócił uwagi na brak złota. Przy tak wielkiej liczbie obładowanych skarbami zwierząt każdy, kto nie znalazł złota, był przekonany, że jest ono w workach na grzbietach innych mułów.

Mając za plecami masyw Sierra Nevada, a przed sobą nieograniczone pole widzenia, zziębnięty Hernando pierwszy dostrzegł bezładną ucieczkę morysków. Pół mili od miejsca, w którym się znajdował, dokładnie tam, gdzie doszło do pierwszego starcia, ujrzał setki postaci podobnych do małych czarnych punkcików rozsianych na śniegu. Wspinali się w popłochu ku szczytom. Jedni padali i osuwali się w dół po występach skalnych, inni nagle nieruchomieli. Z powodu dużej odległości Hernando nie mógł słyszeć huku arkebuzów, ale widział wyraźnie błyski i kłęby dymu wydobywające się z luf po każdej oddanej salwie.

— W drogę! — krzyknął do Aiszy i Fatimy.

Obie kobiety stały jak skamieniałe, patrząc na pogrom muzułmańskiego wojska.

— Pomóżcie mi! — ponaglił je Hernando.

Nie potrzebował wskazówek. Zaledwie osiodłał muły, ujrzał Aben Humeya uchodzącego z drugiej strony miasta na koniu w pełnym galopie. Za nim pędził Brahim razem z grupą jeźdźców spinających ostrogami swoje rumaki. Moryskowie kwaterujący w Paternie również rzucili się w nieładzie do ucieczki. Wystrzały i okrzyki „Santiago” ścigających ich żołnierzy markiza były coraz bliżej.

— Co teraz? — usłyszał za plecami pytanie Fatimy.

— Tam! Na przełęcz Ragua! — odpowiedział, pokazując ręką w stronę przeciwną do tej, którą uciekł król i jego ludzie przed chrześcijanami.

Fatima i Aisza spojrzały we wskazanym przez niego kierunku. Dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale wykrztusiła tylko kilka niezrozumiałych słów i przycisnęła mocniej do piersi Humama. Aisza stała z otwartymi ze zdziwienia ustami. Nigdzie żadnej ścieżki! Tylko śnieg i skały!

— No, ruszaj, Staruszko! — Hernando chwycił mulicę za uzdę i popchnął na przód karawany. — Znajdź nam ścieżkę na szczyt — szepnął jej do ucha, poklepując po szyi.

Staruszka zaczęła stawiać ostrożnie kroki, badając kopytami śnieg, i ruszyli wolno w górę. Wzmagająca się zawieja śnieżna osłoniła ich przed wzrokiem chrześcijan.



# 12

Przełęcz Ragua, leżąca na wysokości ponad dwóch tysięcy łokci kastylijskich, stanowiła dogodne przejście przez Sierra Nevada w kierunku Grenady bez konieczności okrążenia łańcucha górskiego. Hernando dobrze ją znał. Wysoko na przełęczy rozciągały się szerokie równiny, idealne na wiosenny wypas — tam, jak przypuszczał, udali się uciekający moryskowie, gdyż niewiele było miejsc, które lepiej nadawałyby się na kryjówkę i przegrupowanie wojska. Na północnych stokach przełęczy opadających ku Grenadzie wznosił się imponujący zamek Calahorra; na stokach od strony Alpuhary nie było żadnych punktów obrony.

Doskonale znał też głęboki parów otwierający się u podnóża pobliskiego wyniesienia skalnego, służącego mu za punkt orientacyjny, górującego na wysokości ponad dwóch tysięcy czterystu łokci kastylijskich; chodził tam zbierać zioła potrzebne do przygotowywania leczniczych wywarów dla zwierząt. Pod koniec lata dno parowu pokrywało się mnóstwem wysokich niebieskich kwiatów, tak samo osobliwych, jak i niebezpiecznych, kwiatów tojadu. Wszystko było w nich trujące, począwszy od płatków, a skończywszy na korzeniach. Stosowanie ich w celach leczniczych wymagało zachowania niezwykłych środków ostrożności. Właśnie o tę roślinę z zielnika Hernanda poprosił Brahim w chwili wybuchu powstania. Od dawien dawna muzułmanie zatrawali swoje strzały

sokiem z tojadu: ugodzony taką strzałą umierał wśród konwulsji, tocząc pianę z ust, uratować mogło go jedynie podanie odtrutki w postaci soku z pigwy. Ale że owego lata nikt nie mógł przewidzieć wojny, która miała dopiero wybuchnąć, zimą okazało się, że zapasy tojadu były bardzo skąpe.

Hernando starał się przywołać wspomnienie lśniącego niebieskiego kobierca, lecz szalejąca dookoła burza śnieżna rozpraszała jego myśli. Wiódł swoją karawanę przytulony do boku Staruszki, stąpając po jej śladach i nieustannie zachęcając ją, by pięta się i szukała stałego gruntu pod śniegiem. Co chwila odwracał głowę, aby spojrzeć na ciągnącą za nim w zamieci kolumnę. Włosy i brwi pokrywał mu szron. Matce i Fatimie nakazał trzymać się ogonów zwierząt i nie tracić z oczu szybko zacierających się śladów. Musa, najmłodszy z braci, kroczył obok Aiszy; Aquil szedł sam. Muły instynktownie rozumiały, że mają iść za Staruszką. Tak poruszała się wyciągnięta w długą linię karawana, aż w końcu słońce poczęło się chylić ku zachodowi, a w ciemnościach nawet Staruszka nie była w stanie dalej iść.

Potrzebowali schronienia. Od Paterna del Río cały czas kierowali się na wschód, omijając miejsca, gdzie mogli natknąć się na chrześcijan. Wiedzieli, że muszą dojść do drogi prowadzącej z Bayárcal na przełęcz Ragua, ale szybko zdali sobie sprawę, że nie uda im tego zrobić przed zachodem słońca. Wśród szalejącej zamieci Hernando dostrzegł grupę skał i popchnął ku niej Staruszkę.

Trudno było nazwać to jaskinią. A jednak Hernando uznał, że wystające skały osłonią ich przed śniegiem i wiatrem. Stopniowo wraz z mułami nadciągnęli wszyscy pozostali: skuleni, z posiniałymi ustami, ze zgrabiętymi dłońmi zaciśniętymi na ogonach zwierząt. Fatima trzymała się tylko jedną ręką, drugą przytrzymując małe zawiniątko ukryte pod ubraniem.

Hernando ustawił muły tyłem do wiatru, po czym obrzucił miejsce badawczym spojrzeniem. Na nic zdadzą mu się krzemień i krzesiwo, które zawsze miał przy sobie; pod skałami na śniegu nie da się rozpalić ogniska. Nigdzie nie było też widać suchych

gałązek ani liści. Tylko skały i śnieg! Czyż nie lepiej, żeby złapali ich chrześcijanie? — myślał, obserwując gasnące światło dnia.

— Jak tam mały? — spytał Fatimę. Dziewczyna nie odpowiedziała. Obiema rękami nie przestawała rozcierać przez swoje ubranie ciała dziecka. — Rusza się...? Żyje? — Pytanie z trudem przeszło mu przez gardło.

Pokiwała potakująco głową. Jednocześnie podniosła wzrok i popatrzyła dokoła: na śnieżycę, na zapadającą nad nimi noc i z jej ust dobył się trwożny jęk.

Czy warto było uciekać? Hernando spojrział teraz na matkę: obejmowała kolejno ramionami jego braci. Aquil trząst się z zimna, nie mogąc powstrzymać szcękania zębów. Czteroletni Musa stał odrętwiały. Po co było narażać ich na tyle niebezpieczeństw? Przecież to kobiety i małe dzieci! Noc zrobiła się już ciemna. Noc...

Hernando wziął kilka garści śniegu i potarł nimi twarz, włosy, kark. Następnie obmył śniegiem ręce, ukląkł na wilgotnej, białej opończy i modlił się głośno, błagając miłosiernego Boga, za którego walczyli i narażali swe życie, aby... Nie dokończył modlitwy. Szybko podniósł się z klęczek. Złoto! Wśród drogocennych rzeczy pełno było odzieży! Dziesiątki ornatów i szat liturgicznych wyszywanych złotogłowie. Do czego przydadzą się ich ludowi, jeśli wszyscy pomrą? Przetrzęsnał bagaże przytroczone do mułów i wkrótce oblekł obie kobiety i dzieci w luksusowe szaty. Potem zdjął resztę juków z mułów. Sakwy też mogły się przydać, niektóre były ze skóry... Tak samo uprząż! Oprócz złotych monet, które przesywał do jednej wiklinowej sakwy, resztę juków opróżnił i razem z uprzężą ułożył na śniegu pod ścianą, czyniąc z nich coś w rodzaju podłogi.

— Pod skały — rzekł. — Pilnujcie się, żebyście się nie zsunęli. Musicie przetrzymać tę noc, leżąc tuż przy skałach.

On sam również ciepło się opatulił, ale tylko w takim stopniu, jak było to konieczne. Musiał przecież zachować swobodę ruchów. Musi uważać, by nikt z nich nie zsunął się na śnieg i nie zamoczył sobie ubrania. Następnie zajął się mułami, poprzywiązywał je ciasno jedno do drugich, tak by nie mogły się ruszyć, i popchnął ku

otworowi jaskini. Postronek ostatniej mulicy rzucił pod ścianę. Wreszcie sam przeczołgał się pod nogami zwierząt pod skały. Niełatwo było mu się podnieść. Pomogły mu w tym Fatima i Aisza. Staruszka, która stała najbliżej, patrzyła na niego obojętnym wzrokiem.

— Staruszek — rzekł do mulicy, układając się wygodnie — jutro znów czeka nas dużo pracy. Zapewniam cię. — To rzekłszy, pociągnął za postronek i naprężył, by żadne zwierzę nie mogło się poruszyć. — *Allahu Akbar!* — westchnął, czując, że dobrze zabezpieczyli się przed zimnem.

W nocy burza przybrała na sile. Mimo to Hernando pozwolił sobie na chwilę drzemki, stwierdzając z satysfakcją, że nikomu nie grozi zsuniecie się na śnieg i że wszyscy śpią ściśnięci między skałą a mułami, chronieni przed wiatrem, zimnem i śniegiem.

Dzień wstał słoneczny i cichy. Odbijające się od śniegu promienie słońca raziły oczy.

— Matko? — zapytał.

Aisza wystawiła głowę przez szparę w ubraniach, które ją okrywały. Gdy zawołał Fatimę, ta również ukazała swą twarz. Uśmiechała się.

— Co z dzieckiem?

— Dopiero co je nakarmiłam.

Wtedy i on uśmiechnął się szeroko.

— A moi bracia?

Zauważył, że matce sprawiło przyjemność, iż ich tak nazwał.

— Bądź spokojny. Wszystko dobrze — odpowiedziała.

Z mułami nie było już tak dobrze. Wyczołgawszy się z jaskini, Hernando zobaczył, że dwa muły najbardziej narażone na podmuchy wiatru zamarzły. Stały sztywne i pokryte szronem. Oba były ze stada nowych mułów, które Brahim sprowadził z Cádiar, ale tak czy inaczej... Przypomniał sobie, jak jednego z nich uderzył kiedyś kamieniem. Poklepał go teraz po karku. Szron wzbił się w powietrze i opadł w postaci tysięcy błyszczących kryształków.

— Musicie trochę poczekać, nim was wyciągnę! — zakrzyknął.

Uwolnwszy z pęt stado, popchnął z lekka dwa złodowaciale

muły, które same zsunęły się po zboczu, powodując niewielką lawinę. Pozostałe zwierzęta stały skostniałe z zimna. Hernando poganiał je powoli, czekając cierpliwie, aż każde z nich postawi najpierw pierwszy krok, a potem drugi... Kiedy przyszła kolej na Staruszkę, najpierw roztań jej boki na wysokości nerek, potem dopiero pozwolił zwierzęciu ruszyć się z miejsca, żeby mogły wyjść kobiety.

Ubiegłej nocy nie pomyślał o należytych zabezpieczeniu zapasów żywności. Nie mógł ich nigdzie znaleźć. Leżały przysypane śniegiem razem z innymi rzeczami, które rzucił na ziemię, zdejmując uprząż i juki.

— Zdaje się, że dzisiaj będzie jadł tylko Humam — powiedział.

— Jeśli matka nie zje — zauważyła Aisza — to i mały się nie naje.

Hernando przyjrzał się uważnie swojej gromadce: wszyscy byli sztywni z zimna, poruszali się ociężale, każdy ruch sprawiał ból. Popatrzył na niebo.

— Dzisiaj nie będzie zamieci — rzekł. — Około południa dotrzemy do przełęczy. Tam odnajdziemy naszych i się posilimy.



Staruszcze udało się doprowadzić ich do szlaku wiodącego na przełęcz Ragua. Szli spokojnie, połyskując w słońcu w swym złotym odzieniu. Przed wyruszeniem w drogę Hernando pomodlił się żarliwie. Wciąż miał w uszach podmuchy nocnego wiatru, a w oczach obraz przerażonej Fatimy, która patrzyła na zapadającą ciemność, jak bezbronna ofiara patrzy na mordercę. Po tysiącokrotnie dziękował Allahowi za ocalenie im życia. Wtedy przypomniał sobie Hamida... Miał rację, mówiąc o modlitwie! Ciekawe, co się stało z Ubajdem, pomyślał nagle. Widział jakichś ludzi uciekających przed chrześcijanami. Potrząsnął głową i zmusił się, by zapomnieć o Jednorożkim. Kilka minut później, gdy zakładał uprząż i umocowywał juki z łupami, nakazał swoim przyrodnym braciom przekopać śnieg i sprawdzić, czy coś pod nim nie zostało. Tylko bowiem złote i srebrne monety były właściwie zabezpieczone.

Musa i Aquil potraktowali swoje zadanie jako zabawę i pomimo głodu i zmęczenia bawili się wesoło, rozgarniając śnieg. Ich radość sprawiła, że Fatima i Hernando wymienili spojrzenia. Patrzyli na siebie... bez słów, bez uśmiechów. Po krzyżu chłopca przebiegł słodki dreszcz.

Gdy tylko znaleźli się na drodze prowadzącej na przełęcz Ragua, zaraz zaczęli spotykać morysków. Wielu opuszczało rozbite oddziały, nie podnosząc nawet głowy, by spojrzeć na mijający ich barwny korowód kobiet i dzieci odzianych w wyszywane złotem i srebrem jedwabie. Ale nie wszyscy uciekali: niektórzy wspinali się na przełęcz z zapasami żywności, inni zwyczajnie włóczyli się po okolicznych zboczach; najczęściej podchodzili do nich ci ostatni.

— Wiozę skarb naszego króla — objaśniał chłopak.

Niejeden chciał się przekonać na własne oczy, ale zaledwie zbliżył się do juków, Hernando dobywał szabli i ciekawski natychmiast się oddalał. Byli też i tacy, którzy, usłyszawszy nowinę, biegli zanieść ją królowi.

Tak więc gdy dotarli na skraj łąk rozciągających się na przełęcz Ragua, gdzie ocalałe resztki muzułmańskich wojsk założyły swój tymczasowy obóz, Aben Humeya i jego dowódcy, wśród nich Brahim, już na nich czekali. Z tyłu, za królewską świtą, stali żołnierze, po bokach kobiety i dzieci, którym udało się ująć cało razem z wojskiem.

— Wiedziałem, że ci się uda, Staruszek. Dziękuję — rzekł Hernando do mulicy, gdy znajdowali się zaledwie kilkaset łokci od rozległych trawiastych równin.

Pomimo pośpiechu, z jakim przygotowywał się na powitanie, Aben Humeya zdołał przyodziać się dostojnie i obserwował karawanę dumny, wyniosły, stojąc na czele wojsk. Nikt nie wyjechał na spotkanie Hernanda. On i jego mały pochód wciąż szli, i dopiero gdy byli blisko, zgromadzeni mogli się przekonać, że wiadomości, które im doniesiono, były prawdziwe: chłopak wioził z sobą złoto muzułmanów. Wtedy rozbrzmiała pierwsza owacja. Król zaklaskał w dłonie, a za nim wszyscy moryskowie.

Hernando odwrócił się ku Aiszy i Fatimie, ale te dały mu znak, by je wyprzedził.

— To jest twój triumf, synu! — krzyknęła matka.

Wkraczał do obozu, śmiejąc się od ucha do ucha nerwowym śmiechem, którego nie mógł opanować. Oklaskiwali go! I to ci sami, którzy jeszcze niedawno nazywali go nazarejczykiem. Gdyby to widział Hamid... Hernando czule pogładził ręką szablę Proroka zawieszoną u pasa.



Król przeznaczył dla nich jeden ze skleconych naprędce z gałęzi i kawałków płótna szałasów, do którego natychmiast przeniósł się również Brahim. Następnie z ocalonego przez Hernanda skarbcza kazał wydać chłopakowi równowartość dziesięciu dukatów w hiszpańskich realach, na które Brahim rzucił chciwym okiem, oraz turban i płową tunikę haftowaną fioletowymi kwiatami i wyszywaną rubinami, które przy każdym ruchu Hernanda rozjaśniały skromną izbę mieniącym się blaskiem. Aben Humeja zaprosił go na kolację do swojego namiotu. Hernando niezdarnie poprawiał na sobie ubranie, obserwowany przez Fatimę siedzącą na jednym ze skórzanych worków. Po wieczornej modlitwie, której nawoływania usłyszeć mogli chyba nawet chrześcijanie pozostający hen, daleko od przełęcz, Aisza wzięła na ręce Humama i wraz z synami wyszła z szałasu bez słowa. Hernando nie zauważył porozumiewawczych spojrzeń, jakie wymieniły między sobą kobiety.

— To jest na mnie za duże — żalił się, starając rozprostować rękaw tuniki.

— Leży przepięknie — skłamała dziewczyna, wstając z podłogi i poprawiając tunikę na ramionach. — Stój spokojnie! — zganiła go przyjaźnie. — Wyglądasz jak prawdziwy książę.

Nawet przez grubą warstwę drogich kamieni na ramionach Hernando poczuł delikatny dotyk jej rąk i oblał się rumieńcem. Nozdrzami chłonał jej zapach; mógł... mógł jej teraz dotknąć, objąć wpeł. Ale nie zrobił tego. Fatima zajęta była jeszcze przez chwilę układaniem tuniki, robiąc to ze spuszczonego wzrokiem, po czym odwróciła się i wzięła ostrożnie turban. Był ze złota i szkarłatnego jedwabiu, przybrany w czaple pióra; w miejscu, gdzie je

umocowano, lśnił wysadzany szmaragdami i maleńkimi perłami napis.

— Co tu jest napisane? — zapytała.

— Śmierć jest daleką nadzieją — przeczytała.

Fatima stanęła przed nim i wspinając się na palcach, włożyła mu turban na głowę z taką samą czcią, z jaką wkładałaby koronę. Hernando poczuł delikatny nacisk jej piersi i zadrżał, bliski omdlenia, gdy ręce Fatimy powoli zsunęły się z jego głowy, oplotły wokół szyi i dziewczyna przylgnęła do niego całym ciałem.

— Ja już doświadczyłam śmierci — szepnęła mu do ucha. — Wolałabym teraz znaleźć nadzieję w życiu. A ty uratowałeś mi je dwukrotnie — Fatima nosem musnęła jego ucho. Hernando stał nieruchomy, oniemiały z wrażenia. — Ta wojna... Może Bóg sprawi, że zacznę wszystko od nowa... — powiedziała cicho i oparła głowę na jego piersi. Hernando odważył się wreszcie otoczyć ramionami jej kibić, a ona pocałowała go. Najpierw rozchylonymi wargami przesunęła pieścizliwie po jego policzkach aż do ust, i powtórzyła to kilkakrotnie. Hernando przymknął oczy. Gdy tylko poczuł jej smak w swoich ustach, jego dłonie odruchowo zacisnęły się na bokach dziewczyny; całe jej jestestwo zamknęło się w wibrującym miarowo języku. Całowała go długo, namiętnie, nie przestając pieścić dłońmi pleców: najpierw po wysadzonej drogocennymi kamieniami tunice, potem pod nią, przesuując z wolna paznokcie wzdłuż kręgosłupa.

— Idź do króla — powiedziała niespodziewanie, odsuwając się od niego. — Będę na ciebie czekać.

„Będę na ciebie czekać”. Na dźwięk tych słów Hernando podniósł powieki. Przed sobą ujrzał ogromne oczy Fatimy. Nie dostrzegł w nich nawet cienia wstydu; ciasna izba wypełniła się atmosferą pożądania. Hernando zatrzymał wzrok na piersiach dziewczyny, poniżej złotego wisiorka: duże okrągłe plamy mleka uwydatniały twarde sutki sterczące spod bluzki przyklejonej do ciała. Fatima ujęła prawą dłoń Hernanda i położyła ją sobie na piersi.

— Będę czekać — powtórzyła obietnicę.



# 13

Do obozu Aben Humeyi bezustannie ściągali nowi ludzie, którzy wierzyli w zwycięstwo powstania, ale zarazem opuszczali go ci, którzy utracili nadzieję i dezercerowali w odpowiedzi na wezwanie markiza de Mondéjar. Hiszpan wystawiał dezercerom list żelazny, aby mogli wrócić bezpiecznie do swych miejsc zamieszkania. Wielki namiot króla ustępował wprawdzie pod względem przepychu siedzibie w Ugíjar, ale jadła było w nim pod dostatkiem. Hernando, skrzepowany bogactwem stroju, który przywdział, z szablą u boku i sakiewką reali zatknietą za pasem, przybył witany z honorami. Oddawszy broń jednej z kobiet, zajął wyznaczone miejsce między uśmiechającym się do niego Gironcillem a Partalem. Wzrokiem poszukał Brahima, ale nie znalazł go wśród obecnych.

— Pokój temu, który uratował skarb naszego ludu — pozdrowił go Aben Humeya.

W namiocie dały się słyszeć ciche głosy zadowolenia, na co Hernando zasiadający między dwoma najznakomitszymi dowódcami banitów skurczył się jeszcze bardziej w sobie.

— Korzystaj, chłopcze! — wykrzyknął Gironcillo, klepiąc go poufale po plecach. — To przyjęcie na twoją cześć.

Czuł jeszcze mocne uderzenie dłoni Gironcilla, gdy rozbrzmiały pierwsze dźwięki muzyki. Jednocześnie do namiotu weszły dziew-

częta z misami pełnymi rodzynek i dzbanami z lemoniadą, którą przyprawiły kawałkami ciastowatej masy wyjętej z małych woreczków. Dzbany postawiły na kobiercach przed siedzącymi w kręgu mężczyznami, którzy jedli i pili, przypatrując się płasom tancerek pośrodku namiotu, które tańczyły to same, to znów w towarzystwie dostojnych gości. Nawet niezgrabny Gironcillo puścił się w tany z powabną dziewczyną o swawolnych ruchach. Co więcej, zaśpiewał!

— Skończą się kłótnie, zaczniesz się *zambra*\* — fałszował, starając się dotrzymać kroku dziewczynie — i zatańczymy z pięknymi muzulmankami, a patrzeć na to będzie moja ukochana Alhambra!

Alhambra! Hernando przypomniał sobie fortecę na tle łańcucha Sierra Nevada, czerwieniejącą nad Grenadą w promieniach zachodzącego słońca, i oczyma wyobraźni ujrzął siebie i Fatimę tańczących w ogrodach Generalife\*\*. Mówiono, że są wspaniałe! Jego myśli uleciały ku Fatimie, ku jej młodzieńczemu ciału i złotemu wisiorowi między piersiami... Taki sam miała na sobie tancerka, która w tej chwili ujmowała go za rękę i zapraszała do tańca. Usłyszał oklaski i okrzyki zachęty. Dziewczyna zaczęła prowadzić go w rytm muzyki. Wokół wszystko wirowało. Jego nogi poruszały się zwinnie, ale nie mógł ich zatrzymać... ani nad nimi zapanować. Dziewczyna śmiała się i ocierała o niego; czuł dotyk jej ciała, zupełnie tak samo jak jeszcze niedawno czuł dotyk ciała Fatimy...

W czasie gdy tańczyli, jedna z kobiet wniosła do namiotu kolejne dzbany z piciem. Postawiła je na ziemi, z małego woreczka wyjęła ciastowatą masę zrobioną z selera i nasion konopi i podobnie jak to czyniła ze wszystkimi innymi dzbanami, które podawała wcześniej, wrzuciła ją do lemoniady i zamieszała.

Gironcillo przepił do Partala i pociągnął tęgi łyk.

— Haszysz — mruknął z lubością. — Dzisiaj nie będziemy go

---

\* Mauretańska zabawa.

\*\* Ogrody i pałac letni emirów Granady z dynastii Nasrydów.

chyba używać, by walczyć z chrześcijanami. — Partal przytaknął jego słowom, również upijając łyk. — Więc zatańczmy w Alhambrze! — dodał, wznosząc w górę kubek pełen narkotycznego trunku.

Hernando nie wrócił już na swoje miejsce. Ucichły lutnie i tamburyny. Dziewczyna uczepiona ramienia swojego młodego towarzysza zabawy spojrzała na Aben Humeyę pytającym wzrokiem. Król zrozumiał i uśmiechem dał jej znać, że się zgadza. Tancerka wywiodła chłopca z namiotu i pociągnęła do wnętrza szałasu zamieszkanego przez kobiety usługujące królowi. Nie szukała ustronnego miejsca. Rzuciła się na niego, nie zważając na pozostałe kobiety. Szybko go rozebrała, tak że nawet nie zdążył zaprotestować, po czym zaczęła rozwiązywać tasiemki swoich pumpiastych spodni i grubych pończoch kryjących, zrolowanych na łydce od kostek po kolana. Gdy zajęta była zdejmowaniem własnego ubrania, nagle dał się słyszeć głos jednej z kobiet:

— On nie jest obrzezany!

Wszystkie podeszły do Hernanda, a dwie z nich wyciągnęły dłonie w kierunku sztywnego członka. Nie przestając szamotać się ze spodniami opuszczonymi do połowy łydek, tancerka zmrużyła oczy i osłoniła penisa ręką.

— Wynoście się! — krzyknęła, odganiając drugą ręką swoje towarzyszki. — Na was przyjdzie kolej później.



Hernando obudził się z wyschniętym na wiór gardłem i okropnym bólem głowy. Gdzie on jest? Błade światło świtu, które sączyło się do wnętrza izby, przywołało na pamięć niejasne obrazy nocy, zabawy... Co było potem? Spróbował się poruszyć. Dlaczego jest unieruchomiony? Gdzie się znajduje? Ból rozsadzał mu głowę. Co...? Nagle uświadomił sobie, że opasują go grube ramiona, obwisłe i ciężkie, a nagim ciałem przylega do... Zerwał się gwałtownie z posłania. Leżąca obok niego kobieta nawet nie drgnęła; chrapnęła tylko i spała dalej. Co to za kobieta? Hernando spojrzał na jej olbrzymi biust i brzuch, rozlewające się na kocu,

którym przykryte było posłanie z gałęzi. Co to wszystko znaczy? Jedno udo tej matrony było grubsze niż jego dwa razem wzięte. W tym momencie dopadło go uczucie mdłości i przejmującego zimna. Rozejrzał się uważnie dokoła: byli zupełnie sami. Wstał i wzrokiem poszukał ubrania. Znalazł je porozrzucane po kątach. Chciał jak najszybciej osłonić się przed zimnem. Co się stało? — zapytywał sam siebie, gdy dygocząc, wciągał na siebie ubranie. Naraz przeszył go piekący ból w kroczu. Popatrzył na swój członek: wyglądał jak obdarty ze skóry. Klatka piersiowa, ramiona i nogi nosiły ślady zadrapań. A twarz? Poszukał kawałka rozbitego lusterka i przejrzał się w nim: twarz też była podrapana, a na szyi i policzkach widniały małe krwiaki, jakby ktoś usiłował wyssać z niego krew. Powoli wracała mu pamięć, a wraz z nią wspomnienia wieczornych wydarzeń... Bal... Tancerka. Jej twarz wykrzywiona w spazmatycznym grymasie kołysała się miarowo... Siedziała na nim okrakiem, na jeźdźca, położywszy sobie jego dłonie na piersiach, podobnie jak wcześniej trzymał je... I oto przygryzła dolną wargę, i zawyla z rozkoszy; wtedy pozostałe kobiety rzuciły się na niego i napiły go... Fatima! Obiecała, że będzie na niego czekać! Rozejrzał się wokół, szukając swojej nowej tuniki. Nigdzie nie było jej widać. Ręką sięgnął do pasa, którym przed chwilą odruchowo się opasał... Sakiewki z realami również nie było... ani złotego turbanu... ani szabli Hamida!

Hernando potrząsnął śpiącą kobietą.

— Gdzie moja szabla? — Grubaska wydała tylko jakieś senne pomruki. Hernando powtórnie potrząsnął nią z całych sił. — Gdzie moje pieniądze?

— Chodź tu, skarbie — ozwała się moryska, otworzywszy oczy. — Chodź, jesteś takim silnym mężczyzną...

— Gdzie moje ubranie?

Kobieta zdawała się wreszcie budzić ze snu.

— Nie jest ci potrzebne. Ja cię ogrzeję — szepnęła, przyjmując obsceniczną pozycję na posłaniu.

Hernando oderwał wzrok od grubego wydepilowanego cielska.

— Suka! — rzucił przez zaciśnięte zęby i zaczął przetrząsać

szałas. Pierwszy raz znieważył kobietę. — Suka! — powtórzył rozżalony, gdy zdał sobie sprawę, że wszystko zniknęło bez śladu.

Ruszył energicznie w kierunku wiszącej w wejściu zasłony i znów przeszył go ból spowodowany dotykiem ubrania. Powłókł się wolno ku wyjściu, z piekącą raną w kroczu, stawiając szeroko nogi.

Choć na dworze było już jasno, w całym obozie panowała dziwna cisza. Ujrawszy banitę trzymającego straż u wejścia do królewskiego namiotu, podszedł do niego.

— Tancerki mnie okradły! — krzyknął, nie przywitawszy się nawet.

— Widzę, że się nieźle z nimi zabawiłeś — odpowiedział żołnierz.

— Wszystko mi zabrały — ciągnął niewzruszenie Hernando — moje dziesięć dukatów, tunikę, turban...

— Większość wojska zdezerterowała tej nocy — przerwał mu banita złamanym głosem.

Hernando ogarnął wzrokiem obóz.

— I szablę — jęknął. — Na co im moja szabla, skoro zamierzają poddać się chrześcijanom?

— Twoja szabla? — spytał żołnierz. Hernando skinął głową. — Poczekaj — mężczyzna wszedł do namiotu, by chwilę później pojawić się z powrotem z szablą Hamida w rękach. — Odpasałeś ją wczoraj zaraz na początku uczty — mówił, podając mu broń. — Niewygodnie byłoby ci z nią siedzieć.

Hernando ujął ją delikatnie w dłoń. Przynajmniej nie stracił szabli, ale... czy nie stracił Fatimy?



Wpił się paznokciami w szablę Proroka, którą oddał mu morysk trzymający straż przed namiotem królewskim. Popatrzył na obóz opustoszały po nocnej ucieczce większej części wojsk i skierował się w stronę szałasów, gdzie mieszkali Brahim, Aisza i Fatima. Gdy był już całkiem blisko, ukrył się pospiesznie za jedną z pustych chat — z szałasów wysunęła się Fatima z Humamem na rękach.

Zobaczył, jak unosi głowę ku czystemu, mroźnemu niebu i smutno rozgląda się po obozie. Schował się głębiej. Co jej powie? Że wszystko stracił? Że uwiiodły go tancerki i że obudził się w ramionach jakiejś wydepilowanej matrony? Jak się jej pokaże cały podrapany, z przekrwionymi plamami na szyi i twarzy? Mógłby... mógłby ją oszukać, powiedzieć na przykład, że król zatrzymał go u siebie całą noc. Tak, mógł to zrobić, ale... A jeśli zechce mu się oddać, tak jak obiecała? Jak stanie przed nią z obolałym penisem i opuchniętym krocem ze śladami po ugryzieniach? Sam nie odważył się przyjrzeć tej części swojego ciała, ale czuł ból i pieczenie przy chodzeniu. Jak jej to wszystko wy tłumaczy? Widział, jak tuli Humama, jakby sama pragnęła znaleźć schronienie w dziecięcych ramionach. Zobaczył, jak kołysze dziecko na piersi do snu, jak całuje w główkę, delikatnie i melancholijnie, i wreszcie znika w głębi szataśu.

Zawiódł ją! Czuł się winny i zawstydzony, okropnie zawstydzony, chciał uciec stąd jak najdalej. Biegł tak bez celu, gdy nagle został zatrzymany przez strażnika, kiedy mijał namiot Aben Humeyi.

— Król chce cię widzieć.

Hernando wszedł do namiotu zadyszany, z zamglonym wzrokiem.

Aben Humeya powitał go na stojąco, jak zwykle bogato przyodziany, zupełnie jakby nic się nie stało.

— Wojsko... — wybełkotał Hernando, wskazując ręką na opustoszały obóz. — Żołnierze... — Aben Humeya podszedł do niego i przyjrzał się bacznie jego szyi. — Uciekli, panie! — wykrzyknął chłopak nieco speszony.

— Wiem — odpowiedział łagodnie król, nie przestając uśmiechać się filuternie na widok swojego gościa — ale nie mogę mieć im tego za złe. — W tym momencie do namiotu wszedł wysoki, dobrze zbudowany banita, którego Hernando miał okazję już kiedyś widzieć, i stanął bez słowa. — Brakuje nam broni — podjął król. — Wypierają nas z całej Alpuhary. Po Paternie markiz de Mondéjar zdobył jeszcze wiele miast, ale wciąż nie przestaje być wielko-

dusznym i wszystkich ułaskawia. Dlatego nasi uciekają, bo liczą na przebaczenie, i właśnie w tej sprawie kazałem cię przywołać. — Na twarzy Hernanda odmalowało się zdziwienie, na co Aben Humeya uśmiechnął się serdecznie. — Któregoś dnia nasi mężczyźni powrócą, Ibn Hamidzie, nie wątp w to. Jakies dwa miesiące temu, tuż po koronacji, wysłałem mojego młodszego brata Abdallaha do beja Algieru z prośbą o posiłki. Dotąd nie otrzymałem żadnych wieści. Jedyne, co mogłem zrobić, to wysłać do beja list... tylko słowa! — dodał, machnąwszy ręką. — Ale dziś mamy dość skarbów, by zdobyć jego przychyłność. Moi ludzie uciekają, a obiecana pomoc nie nadchodzi! Wyjedziesz jeszcze dziś ze złotem do Adry. Towarzyszyć ci będzie Al-Haszum. — Aben Humeya wskazał na stojącego od kilku minut w namiocie banitę. On wsiądzie na statek i zawiezie złoto Berberom, naszym braciom w jedynym Bogu. Ty wrócisz i zdasz mi ze wszystkiego sprawę. Czeka was droga pełna niebezpieczeństw, ale musicie dotrzeć do wybrzeża i znaleźć jakąś łódź. Jak już będziecie w Adrze, bez trudu zdobędziecie to, co niezbędne do przekroczenia cieśniny i przewiezienia złota, pomogą wam w tym miejscowi moryskowie. Wszystko gotowe? — zapytał banitę.

— Muł czeka już objuczony — odpowiedział Al-Haszum.

— Niechaj Prorok was prowadzi i strzeże — rzekł król na pożegnanie.

Hernando wyszedł za banitą. Jechali do Adry, na wybrzeże, daleko stąd! Co pomyśli Fatima? Wydawała się smutna... ale cóż, rozkaz to rozkaz. Trzeba wyjechać już, natychmiast!

Nie ma nawet czasu na pożegnania. A matka? Obeszli namiot dookoła. Z tyłu czekał już na Hernanda muł gotowy do drogi, trzymany przez Brahima. Ojczym obrzucił go spojrzeniem od stóp do głów, mrużąc powieki na widok sińców na szyi.

— Gdzie królewskie podarki?! — ryknął.

Hernando nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, jak zawsze zresztą, gdy stał przed Brahimem.

— Nie będą mi potrzebne w podróży — odrzekł, udając, że poprawia uprząż. Pożegnaj się tylko z matką.

— Musimy ruszać — odezwał się Al-Haszum.

Po twarzy Brahima przemknął uśmiech.

— Masz ważną misję do wypełnienia — rzekł dobitnie ojczym. — Nie czas na babskie łązy. Sam jej o wszystkim powiem.

Ku swej zgrzyzocie Hernando musiał się zgodzić. Wsiadł na muła i ruszył razem ze swym towarzyszem. Brahim odprowadzał ich oczami. Teraz się cieszył, że król obdarzył jego pasierba takim zaufaniem. Mulnik uśmiechnął się na myśl o rozkosznym ciele Fatimy.



# 14

„Ziemia jest krainą łagodności?”

W normalnych warunkach taka podróż trwałaby od trzech do czterech dni, ale Hernando i jego towarzyszy musieli poruszać się nieuczęszczanymi szlakami i przekradać polami. Starali się unikać spotkania z oddziałami chrześcijańskich żołnierzy, które włóczyły się po okolicach, grabiąc, rabując, zabijając i gwałcąc kobiety, które później brano w niewolę. Zazwyczaj były to grupy dwudziestoosobowe, bez kapitana, chorążego i sztandaru. Tworzyli je ludzie chciwi i okrutni, którzy z imieniem chrześcijańskiego Boga na ustach brali odwet na moryskach, kierując się tylko jednym: chęcią zdobycia bogactwa.

Hernando wykorzystał powolne tempo podróży, by zebrać potrzebne zioła i przyrządzić z nich miksturę na obolałe krocze.

Na wysokości Turón ukryli muła i przycupnęli za kępą gęstych krzaków, by przeczekać, aż zgraja łotrów zakończy rabunek. Jeden z żołnierzy odłączył się od grupy, wlokąc za włosy dziewczynkę nie więcej niż dziesięcioletnią, która przeraźliwie piszczała i kopała. Żołnierz szedł w ich kierunku. Obaj odruchowo sięgnęli ręką do broni. Dokładnie naprzeciw nich, tuż przy kępie krzaków, mężczyzna uderzył małą w twarz, tak że upadła na ziemię, i zaczął rozpinąć pasek od spodni z uśmiechem ukazującym czarne zęby. Hernando wyjął szablę z pochwy, czekał tylko, aż żołnierz odsłoni

kark, rzuciwszy się na swoją ofiarę, lecz w tej samej chwili poczuł dłoń Al-Haszuma na ramieniu. Odwrócił się ku niemu i zobaczył, że kręci przecząco głową. Łzy żłobiły bruzdy na twarzy banity. Hernando usłuchał go i schował z wolną szablę, patrząc, jak ostrze klingi znika w pochwie. Nie mogli wycofać się z ukrycia, by się nie zdradzić. Al-Haszum, wysoki, ogorzały, silnej budowy ciała, siedział z opuszczoną głową i bezgłośnie szlochał.

Hernando nie był w stanie zamknąć oczu. Wpijał tylko coraz mocniej paznokcie w świętą szablę Hamida, w miarę jak dziecięce krzyki słabły, aż wreszcie przeszły w ledwie słyszalne żałosne pojękiwania.

Szlochy dziewczynki mieszały się w myślach Hernanda ze wspomnieniem Fatimy, które prześladowało go od czasu opuszczenia obozu Aben Humeyi. Wyrzucał sobie tchórzostwo. Powiedziała mu, że nie ma nikogo, a on zapewnił, że może na nim polegać. Na pewno Fatima i matka wiedziały już o powierzonej mu przez króla misji, Brahim im powiedział, ale tak czy inaczej... A co jeśli chrześcijanie odważyli się zapuścić na niegościnne wzgórza i któryś z nich gwałci teraz Fatimę?

Puścił szablę, gdy Al-Haszum otarł rękawem twarz i dał znak, że mogą ruszać w dalszą drogę. Bolały go palce.



Al-Haszum zdawał się dobrze znać Adrę. Dotarłszy do rozległych piasków i nieurodzajnych pól ciągnących się aż do morza, postanowili czekać nadejścia nocy. Banita był człowiekiem bardzo skrytym, o czym Hernando zdołał przekonać się podczas podróży, ale nie zdarzyło się, by zachował się w sposób szorstki czy grubiański; zdradzał raczej dobrotliwy charakter, co chłopak uznał za zupełnie wyjątkowe u rozbójnika z gór. Owego wieczoru, gdy siedzieli na szczycie pagórka, podziwiając zmieniające się barwy morza w blasku zachodzącego słońca, Al-Haszum był bardziej skłonny do rozmowy niż w ciągu wszystkich poprzednich dni.

— Adra jest teraz w rękach chrześcijan. — Banita usiłował mówić szeptem, ale nie pozwalał mu na to jego basowy głos. — To

tutaj właśnie na początku powstania zdradzono Dawuda i ludzi z Albaicín, którzy mieli udać się do Berberów po pomoc. Szukali łodzi, podobnie jak my będziemy musieli, aż ją znaleźli; jednakże morysk, który pośredniczył... niech się smaży w piekle!... przedziurawił łódź, a otwory zalał woskiem. Łódź zaczęła nabierać wody w niedalekiej odległości od brzegu; chrześcijanie czekali tylko, aż Dawud i jego ludzie wylądują na plaży, żeby ich schwytać.

— Znasz... znasz kogoś zaufanego? — spytał Hernando.

— Chyba tak. — Wody morza przybierały z wolna ciemną barwę. — Widzę, że chodzisz już całkiem swobodnie — rzekł niespodziewanie Al-Haszum. — Maści pomogły na obolałe krocze?

Mimo półmroku Hernando starał się ukryć zawstydzenie na twarzy, ale banita mówił dalej niezrażony, zaczynając od rodzajów stosunków powodujących tego rodzaju obrażenia, a kończąc na swojej żonie i dzieciach. Zostawił ich w Juviles i podobnie jak inni nie wiedział, czy w noc rzezi byli na zewnątrz, czy w kościele.

— Martwi czy w niewoli — szepnął tym razem bardzo cicho — sam nie wiem, co gorsze.

Rozmawiali dalej, aż zrobiło się całkiem ciemno. Hernando opowiedział mu o Fatimie i swojej matce.

Ukryli się w domu pary staruszków, którzy nie mieli siły uciekać z innymi w góry, gdy wybuchło powstanie w Adrze, i zostali pod miastem, pilnując sadu z paroma drzewami owocowymi. Zahir, tak bowiem nazywał się mężczyzna, kazał wprowadzić muła do domu.

— Nie mamy zwierząt — wyjaśnił. — Muł przed domem od razu wzbudziłby podejrzenia.

W domu panował wprost nieskazitelny porządek, ale żona Zahira zgodziła się ze słowami męża. Uwiązali muła w pokoju, który, jak mówili z dumą staruszkowie, należał do ich synów, ale oni poszli walczyć za jedynego Boga.

Obaj moryskowie pozostali w ukryciu jeszcze przez kilka dni, nie opuszczając domu. Zahir tymczasem zajął się wynajęciem łodzi.

Hernando i Al-Haszum wiedzieli, że mogą mieć zaufanie do swoich gospodarzy, ale czy mogli ufać ich znajomym?

— Tak — zapewnił stanowczo Zahir wobec ich wątpliwości. — Są muzułmanami! Modlą się ze mną, i czy to w mieście, czy na plażach, niekoniecznie z bronią w rękę, współdziałają z naszymi żołnierzami. Wszyscy są świadomi znaczenia, jakie ma dostarczenie złota Berberom. Wieści, które docierają do nas z Alpuhary, nie są pomyślne. Potrzebujemy wsparcia naszych braci Turków i Berberów!

Wieści! Każdego wieczoru, jedząc skromny posiłek, którym dzielili się z nimi staruszkowie, słuchali chciwie opowiadań Zahira o przebiegu wojny.

— Miasta wciąż się poddają — powiedział pewnego razu starzec. — Mówią, że Ibn Umajja włóczy się po górach, bez broni, bez zaopatrzenia, z mniej niż setką najzagorzalszych zwolenników powstania.

Hernando zadrżał na samą myśl, że Fatima i Aisza mogłyby błąkać się gdzieś po urwiskach Sierra Nevada bez ochrony wojska. Banita, widząc ból malujący się na twarzy chłopca, przygryzł usta.

— Dlaczego się poddają?! — wykrzyknął Al-Haszum.

Zahir bezradnie pokręcił głową.

— Ze strachu — skonstatował. — Przy Ibn Umajji nikt już prawie nie został, a ci, którzy usiłują jeszcze stawić jakiś opór w Alpuharze, są dziesiątkowani. Niedawno markiz de Vélez starł się z naszymi braćmi pod Ohánez. Zabił ponad tysiąc mężczyzn, a blisko dwa tysiące kobiet i dzieci wziął do niewoli.

— Ale Mondéjar ułaskawia — wtrącił nieśmiało Hernando, myśląc jednocześnie o tym, co by się stało, gdyby z Fatimy uczyniono niewolnicę.

— Tak. Ci dwaj szlachcice bardzo się różnią między sobą. Mondéjar uważa, że ziemia jest krainą łagodności, jak napisał do Véleza, namawiając go do okazywania łaski pokonanym moryskom, zamiast ich atakować...

— I co na to markiz?

— Vélez poprzysiągł ścigać, wybić lub zamienić w niewolników cały nasz lud. Zdaje się, że list dotarł do niego po bitwie pod Ohánez. Gdy wkroczył do miasta, na najwyższym stopniu schodów

prowadzących do kościoła znalazł dwadzieścia ustawionych w równym rzędzie świeżo ściętych głów młodzietkich chrześcijanek. Mówią, że jego krzyki poprzysięgające zemstę słychać było aż na najwyższym ze wzgórz.

Wszyscy trzej mężczyźni siedzący w izbie na ziemi i żona Zahira, stojąca nieopodal, trwali przez dłuższą chwilę w milczeniu.

— Musisz dostarczyć to złoto Berberom! — wykrzyknął w końcu Hernando.



Hernando dowiedział się, że Aben Humeya jest w Mecina Bombarón. Król opuszczał najwyższe partie gór, kierując się ukradkiem do Válor, swojego rodzinnego miasta i lenna zarazem, w poszukiwaniu jedzenia, zabawy i wygod, jednakże owej nocy oczekiwano go w Mecina Bombarón, gdzie miało się odbyć muzułmańskie wesele. Mecina była jedną z tych miejscowości, które poddały się markizowi. Opuszczona przez chrześcijan uciekających w obawie przed rzezią cieszyła się względnym spokojem. Aben Humeya, zawsze, nawet w najbardziej niesprzyjających okolicznościach chętny do zabawy, nie chciał stracić takiej okazji.

Prowadząc za sobą muła, uważny na każdy podejrzany ruch, Hernando ruszył do Meciny, by donieść królowi o rezultatach swojej misji. Wyruszył z Adry, gdy tylko łódź zdobyta przez Zahira zniknęła w ciemnościach nocy nieścigana przez chrześcijan i bez żadnej zalanej woskiem dziury, która mogłaby spowodować jej zatonięcie. Razem ze starcem i dwoma rybakami pomodlili się na plaży, zawierając Bogu powodzenie misji Al-Haszuma przewożącego złoto morysków. Wbrew radom Zahira Hernando wyruszył przy blasku księżyca. Nagliło go do powrotu, chciał jak najszybciej zobaczyć Fatimę i matkę.

W drodze powrotnej krył się przed wszystkim i przed wszystkimi, posilając się przaśnym chlebem i marynowanym mięsem, w które zaopatrzyła go żona Zahira. Nie przestawał myśleć o Fatimie, matce i owym wojsku, które wkrótce miało przybyć z odsieczą zza morza.

Ani Hernando, ani Aben Humeja, ani Al-Haszum przeprawiający się nocą na drugi brzeg nie domyślali się, że zarówno Ulugh Ali, bejlerbej Algieru, jak i sułtan Wysokiej Porty mieli swoje własne plany. Wprawdzie na wieść o powstaniu morysków bejlerbej Algieru wezwał swój lud do udzielenia pomocy Andaluzyjczykom, ale gdy zgłosiła się znaczna liczba zbrojonych, postanowił wykorzystać ich do innych celów i zaatakował Tunis pozostający wówczas w rękach Mulaja Hamida. W ramach zadośćuczynienia wydał dekret zezwalający awanturnikom udać się do Hiszpanii oraz zapewnił prawo łaski wszystkim kryminalistom gotowym wyruszyć na wojnę do Al-Andalus. Ponadto w jednym ze wskazanych przez siebie meczetów nakazał gromadzić broń — a zgromadzono jej pokaźne ilości — którą bracia w wierze chcieli przekazać rebeliantom w Andaluzji, ale bejlerbej po namyśle postanowił ją im sprzedać, a nie darować. Podobnie rzecz miała się z sułtanem w Konstantynopolu: rewolta hiszpańskich morysków oznaczała dla króla Hiszpanii otwarcie kolejnego frontu, sułtanowi zaś otwierała drogę do zdobycia Cypru, do czego też natychmiast zaczął się przygotowywać, a swojemu gubernatorowi w Algierze nakazał, aby w dowód dobrej woli wysłał do Andaluzji dwustu tureckich janczarów.



W miarę jak Hernando zbliżał się do Meciny, coraz wyraźniej słyszał dźwięki lutni i szałamai. Dobiegały od strony zabudowań, które — jak w większości miasteczek górnej Alpuhary — pięły się jedne nad drugimi uczepione skłonów Sierra Nevady niczym kiście winogron na winnym krzewie. Wyróżniał się wśród nich wielki dom należący do Aben Abu, kuzyna Aben Humeji, gdzie król niejeden raz szukał schronienia. Było już po zmroku, gdy Hernando przywiązał muła i wszedł do Meciny. Drogę wskazywały mu odgłosy hucznej zabawy. Nie mógł oprzeć się myśli, że już za chwilę ujrzy Fatimę, która z pewnością przebywa w obozie. Tylko co jej powie? Jak się przed nią wytłumaczy?

W miasteczku odbywała się właśnie ceremonia przenoszenia

panny młodej do domu męża: dziewczynę, przyozdobioną tatuażami z henny i ubraną w weselną tunikę, niosło na rękach dwóch krewnych. Ani na moment nie mogła dotknąć ziemi stopami. Hernando przyłączył się do wesołej kompanii. Kobiety wznosiły okrzyki radości i specjalne *ju-ju* weselne, wypełniając w ten sposób przepisy prawa muzułmańskiego, które stanowiło, że ceremonia ślubna musi być aktem publicznym i jawnym. Nikt w Mecinie nie będzie mógł zaprzeczyć, że małżonkowie zostali sobie poślubieni po bożemu. Gdy dziewczyna znalazła się przed domem męża z orszakiem gości weselnych, ktoś podał jej kamień i gwóźdź, który przybiła do drzwi, po czym weszła do nowego domu, przekraczając próg prawą nogą.

Następnie kobiety, którym udało się zmieścić w niewielkim budynku, powiodły pannę młodą do małżeńskiej łóżnicy na górnym piętrze, kazały jej przykryć się białym prześcieradłem i leżeć spokojnie, bez słowa, z zamkniętymi oczami, a one przynosiły jej podarki.

Hernando nie dotarł nawet do drzwi wejściowych; tak wielu mężczyzn usiłowało wcisnąć się za panem młodym, że nie starczyło dla wszystkich miejsca w środku.

— Muszę zobaczyć się z królem — rzekł do starca, który tarasował mu przejście.

Mężczyzna odwrócił się i zmierzył go zmęczonym wzrokiem. Potem spojrzął na szablę zawieszoną u pasa chłopca. W Mecinie nikt nie nosił broni.

— Tu nie ma żadnego króla — rzekł gromkim głosem. Mimo to zszedł mu z drogi, a nawet kazał rozstać się kilku mężczyznom. — Zapamiętaj to sobie — powtórzył z naciskiem mijany przez Hernanda. — Tu nie ma żadnego króla.

Wiadomość o człowieku pragnącym widzieć się z królem szybko rozeszła się wśród tłumu oczekujących. Niezatrzymywany już przez nikogo Hernando mógł przejść swobodnie od miejsca, w którym stał na ulicy, aż do maleńkiego pokoiku, w którym mężczyźni tłoczyli się wokół pana młodego. Długo szukał Aben Humeyi. Wcześniej dostrzegł Brahima, który, jedząc słodycze,

rozmawiał i śmiał się wraz z kilkoma banitami; Hernando znał ich z widzenia z obozu na przełęczy. Odniósł wrażenie, że ojczym jest wyjątkowo radosny. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Uciekając przed wzrokiem ojczyma, natknął się na Aben Humeyę, który natychmiast go rozpoznał. Monarcha tym razem ubrany był zwyczajnie, jak jeden z wielu morysków z Meciny. Hernando podszedł bliżej.

— Pokój z tobą, Ibn Hamidzie — pozdrowił go król. — Jakie wieści mi przynosisz?

Hernando zrelacjonował przebieg podróży.

— Cieszę się — przerwał mu Aben Humeya, uczyniwszy gest ręką, gdy tylko chłopak zapewnił go, że z pomocą Boga Al-Haszum powinien być już wylądować na wybrzeżu berberyjskim. — Pomimo młodego wieku jesteś oddanym sługą. Zresztą dowiodłeś tego wcześniej. Znów jestem ci niewymownie wdzięczny i nie ominie cię nagroda, ale teraz chodźmy się bawić. Będziesz mi towarzyszyć.

Mężczyźni udawali się teraz na górę, gdzie oczekiwały ich kobiety z zakrytymi twarzami. Większość niosła prezenty: coś do jedzenia, pieniądze, przybory kuchenne, różne tkaniny... które wręczano dwóm kobietom stojącym u wezglowia łóżka. Hernando nie miał prezentu. Tylko najbliżsi krewni mogli się domagać zobaczenia panny młodej, leżącej bez ruchu pod białym prześcieradłem. Takiego przywileju dostąpił też król, który nagroził pannę młodą złotą monetą, a kobiety pełniące funkcję mistrzyń ceremonii uniosły przed nim białe prześcieradło.

— Jedzmy — rzekł król, czyniąc honory domu.

Z uwagi na skromne warunki w domu nowożeńców zabawa przeniosła się na ulice i do innych budynków w mieście. Skończyło się składanie darów, a państwo młodzi mieli teraz pozostać zamknięci przez przepisowe osiem dni żywieni przez swoje rodziny. Aben Humeya i Hernando udali się do siedziby Aben Abu, gdzie przy akompaniamencie lutni i tamburynów pieczono jagnię. Dom był bogaty, umeblowany i przystrojony gobelinami, perfumowany i ze służbą. Brahim należał do grona zaufanych, którzy towarzyszyli królowi.



Nim kobiety udały się do oddzielnego pomieszczenia, Hernando zaczął szukać matki. Nie był pewien, czy przybyła do miasteczka razem z ojczymem, tym bardziej więc chciał ją zobaczyć. Ale wszystkie kobiety miały zasłonięte twarze, a większość z nich była podobnej postury co Aisza. Brahim śmiał się wesoło w gronie mężczyzn stojących w jednym końcu ogrodu, pod wielkim drzewem morwowym. Jego przystojna, pociemniała od słońca twarz sprawiała wrażenie odmłodniałej. Hernando nigdy nie widział go tak uradowanym. Postanowił podejść do grupy, z którą rozmawiał ojczym.

— Pokój — rzekł na powitanie. Wszyscy przerastali go o głowę, więc zawahał się przez moment, nie mogąc wykrztusić słowa. — Brahim, gdzie moja matka? — spytał wreszcie. Ojczym popatrzył na niego, jakby nie spodziewał się go tu spotkać.

— W górach — odparł, odwracając się plecami, by powrócić do przerwanej rozmowy. — Opiekuje się twoimi braćmi i synem Fatimy — dodał jakby mimochodem.

Chłopak aż zadrżał na całym ciele; czyżby coś złego przytrafiło się dziewczynie?

— Synem Fatimy? Jak to...? — wymamrotał.

Brahim nie zadał sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć, ale zrobił to za niego jeden z towarzyszy.

— Wkrótce będziesz miał nowego braciszka — rzekł i wybuchnął gromkim śmiechem, klepiąc mulnika mocno po plecach.

— Jak... Jak to? — wydusił z siebie chłopak; zdawało się, że nagłe drżenie kolan udzieliło się również jego głosowi.

Brahim obrócił się i spojrzał na pasierba. Hernando dostrzegł w jego oczach wyraz satysfakcji.

— Twój ojczym — odezwał się jakiś drugi mężczyzna — poprosił króla o rękę dziewczyny. — Słowa te podziały na chłopca jak uderzenie obuchem w głowę. Jego twarz musiała wyrażać takie niedowierzanie, że morysk uznał za konieczne wyjaśnienie mu wszystkiego do końca. — Doszły nas wieści, że jej mąż zginął w Félix, a jako że dziewczyna nie ma krewnych, którzy mogliby się nią zaopiekować, twój ojciec wystąpił o nią do króla. Ciesz się, chłopcze! Będziesz miał nową matkę.

Usta napełniły mu się złością. W tej samej chwili dopadły go mdłości; rzucił się biegiem w przeciwny kraniec ogrodu, roztrzając po drodze grupki mężczyzn czekających na pieczone jagnię, które obracało się na rożnie. Nie wymiotował. Jednakże skurcze następowały jedno po drugim, powodując potworne boleści. Fatima! Jego Fatima wydana za Brahima?

— Źle się czujesz, Ibn Hamidzie?

Twarz monarchy wyrażała zaniepokojenie. Hernando otarł ręką pianę z kącików ust i odetchnął głęboko. A może opowiedzieć o wszystkim królowi?

— Wasza Wysokość, powiedziałeś, że masz wobec mnie dług wdzięczności...

— Tak powiedziałem.

— Uczyni mi więc przysługę, panie — rzekł łamiącym się głosem.

Nim Hernando skończył swą opowieść, na ustach Aben Humeyi zakwitł uśmiech. Kto lepiej niż on, król, znał się na miłostkach? I dając dowód chwiejności swej natury, ujął chłopca za ramię i poprowadził bez wahania ku grupie rozmawiających i śmiejących się mężczyzn.

— Brahim! — zakrzyknął. Mulnik odwrócił się wyraźnie zmieszany na widok króla razem z pasierbem. — Nie dam ci jednak dziewczyny. Poprosił o nią dla siebie ktoś wielce zasłużony dla naszego ludu: twój syn. Jemu ją oddaję.

Mulnik zacisnął pięści, hamując wybuch furii, która zdała się przenikać każdy mięsień jego ciała. Bądź co bądź to król! Pozostali moryskowie zaniemówili z wrażenia, patrząc w osłupieniu na Hernanda.

— A teraz — zakończył monarcha — korzystajmy z gościnności mojego kuzyna Ibn Abbu. Jedzcie i pijcie!

Hernando o mało nie wpadł na Aben Humeyę, gdy ten zatrzymał się zaledwie dwa kroki dalej, aby zamienić kilka słów z jednym z dowódców. Nie słuchał ich rozmowy: słyszał tylko własny przyspieszony oddech. Mimo to kątem oka zdołał zauważyć, jak Brahim, oszalały z wściekłości, opuszcza dom Aben Abu.

Chłopakowi nie udało się zobaczyć z Fatimą. W czasie przyjęcia wszystkie kobiety pozostawały ukryte w głębi domu. Hernando bardzo uważał, żeby nie wypić czegoś, co nie było świeżą i czystą wodą, sprawdziwszy uprzednio, czy aby nie jest mętna po zmieszaniu z haszyszem. Głowa pękała mu od myślenia. Ludzie zaczęli się rozchodzić, a w miarę jak rzedniał tłum, czuł, że zbliża się nieubłagane chwila, w której będzie musiał wytłumaczyć się przed Fatimą. Aben Humeya zrozumiał, że żąda jej dla siebie... więc mu ją dał! Czy to oznacza, że teraz musi się z nią ożenić? Chodziło mu jedynie o to, żeby nie została żoną Brahima! Ludzie przyglądali mu się i szeptali coś między sobą; ktoś nawet pokazał na niego palcem. Wszyscy już wiedzieli! Jak wytłumaczy Fatimie, że...? A Brahim? Jak zachowa się ojczym, po tym jak zabrał mu Fatimę?

W domu Aben Abu pozostało najwyżej dwunastu ludzi, wśród nich Aben Humeya, Zaguer i Dalay, *alguacil* Meciny, gdy nagle do środka wpadł jeden z żołnierzy.

— Chrześcijanie nas otoczyli! — krzyknął, zatrzymawszy się przed królem. — Jeden podjazd poszedł na Válor, drugi jest już w Mecinie — wyjaśnił ponaglany przez króla. — Biegną w kierunku domu. Słyszałem rozkazy ich dowódców.

Aben Humeya nie musiał nikomu mówić, co należy robić. Ci, którzy nie byli mieszkańcami Meciny i których nie obejmowało ułaskawienie markiza, przeskoczyli przez mur otaczający dom i znikli w ciemnościach nocy, szukając schronienia w górach.

Naraz Hernando odkrył, że w ogrodzie pozostali tylko on i Aben Abu.

— Uciekaj! — ponaglił go morysk, wskazując żywoplot.

Z głębi domu wypadły tłumnie kobiety z odkrytymi twarzami, których w pośpiechu nie zdążyły zasłonić.

— Fatima! — krzyknął Hernando.

Dziewczyna stanęła w miejscu. Hernando ujrzał jej wielkie czarne oczy błyszczące w świetle pochodni. W tym momencie do ogrodu wdarli się chrześcijańscy żołnierze, zderzając się z kobietami. W trwającym ułamek sekundy chaosie, gdy chrześcijanie

próbowali uwolnić się z tłumu kobiet, Hernando podbiegł do dziewczyny, chwycił ją za rękę i z powrotem pociągnął w głąb domu. Z ogrodu dochodziły krzyki żołnierzy.

— Gdzie jeste Fernando de Válór y de Córdoba, niesłusznie zwany królem Grenady?

Były to ostatnie słowa, które usłyszał, zanim razem z Fatimą wymknęli się przez okno wychodzące na ulicę na tyłach domu.

Atakujący nie byli prawdziwymi żołnierzami. Wojsko markiza de Mondéjar rozpierzło się natychmiast po zdobyciu łupów w ekspedycji karnej na Guájaras. Większość napastników, którzy nocą opuścili obóz, aby otoczyć Aben Humeyę, to zwykli awanturnicy skuszeni perspektywą dorobienia się na wojnie, z której jak dotąd nikt nie wracał bez zysku; ludzie z małym doświadczeniem, bez skrupułów, dla których jedynym celem było zdobycie jak największych łupów.

Válór zostało splądrowane. Miejscowi starcy wyszli naprzeciw chrześcijanom, by powitać ich jedzeniem, a ci zgładzili ich i brutalnie wdarli się do miasta. Mecinę spotkał ten sam los. Kupy żołdactwa pozbawione dowództwa mordowały mężczyzn, plądrowały domy, a kobiety i dzieci chwymano, by później sprzedać je na targach niewolników.

W ogrodzie Aben Abu, po bezowocnych poszukiwaniach Aben Humeyi, zebrał się cały oddział.

— Gdzie jest Fernando de Válór? — powtórzył pytanie jeden z żołnierzy, uderzając Aben Abu w twarz kolbą arkebuza.

Ciosy posypały się jeden po drugim, ale mimo to morysk uparcie odmawiał odpowiedzi.

— Jeszcze będziesz gadać, przeklęty heretyku! — wycharczał kapral o gęstej brodzie i czarnych zębach. — Rozebrać go i związać mu z tyłu ręce! — rozkazał swoim ludziom.

Wkrótce żołnierze przywiedli Aben Abu z powrotem, nagiego i ze skrępowanymi rękami, a kapral popchnął go arkebuzem w kierunku rosnącego pośrodku drzewa morwowego. Wyciągnął niezbyt gruby sznur i przerzucił go przez gałąź, tak żeby jeden koniec opadł nad głową moryska.

Kapral podszedł bliżej, chwycił sznur i zaczął wiązać go na szyi swojej ofiary.

Aben Abu splunął mu w twarz. Kapral bawił się sznurem, nie zwracając uwagi na ściekającą mu po twarzy plwocinę.

— Nie, nie będziesz miał tego szczęścia — zdecydował.

Wówczas ukląkł na jedno kolano, a koniec sznura przywiązał do moszny Aben Abu, powyżej jąder. Morysk powstrzymał okrzyk bólu, gdy kapral zacisnął pętlę.

— Jeszcze będziesz żałował, że jej nie zawiązałem na twoim heteryckim gardle — wycedził przez zęby, ujmując ręką drugi koniec sznura.

Kapral zaczął pociągać za linkę. Morysk stawał na palcach przy każdym napięciu sznura: potworny ból przeszywał całą mosznę za każdym razem, gdy linka ciągnęła ją do góry. Upewniwszy się, że Aben Abu nie może już wspiąć się wyżej, nie straciwszy równowagi, kapral oddał koniec sznura innemu żołnierzowi, który przywiązał go mocno do pnia drzewa.

— Będziesz gadać, ty mahometański psie. Wyprzesz się swojej sekty i swojego Proroka — tym razem kapral napluł Aben Abu w twarz. — Wyprzesz się nawet tego waszego parszywego Allaha. Ty śmieciu, gówniany królewski...

Aben Abu wymierzył prawą nogą potężne kopnięcie w krocze kaprala, który zgiął się z bólu. Morysk stracił jednak równowagę i jego nogi oderwały się od ziemi.

Moszna urwała się, jądra poszybowały w powietrze, obryzgując krwią wszystkich stojących pod drzewem. Aben Abu upadł skulony na ziemię.

— Zdychaj jak zaszlachtowana świnia. Oto kim jesteś! — pienił się obolały kapral.

— Na Allaha, grunt, że Aben Humeya żyje, ja mogę umrzeć — wyszeptał Aben Abu.



Opuściwszy przyjęcie, Brahim wałęsał się po Mecinie w poszukiwaniu haszyszu i chętnych do uciech kobiet, które uczest-

niczyły w zabawach na cześć nowożeńców. Chciał zapomnieć o afroncie, jaki go spotkał ze strony króla. Znalazł to, czego szukał. Patrząc na grabież, której dokonywali chrześcijanie, doszedł do przekonania, że panujący wokół chaos stwarza niepowtarzalną sposobność, by zemścić się na Hernandzie. Zawrócił do domu Aben Abu, przemykając z dala od świateł pochodni.

Na miejsce przybył dokładnie w momencie, gdy żołnierze opuszczali dom obładowani łupami. Brahim wszedł do środka. W ogrodzie znalazł królewskiego kuzyna.

— Pomóż mi umrzeć — błagał Aben Abu.

Jednakże Brahim przeniósł go do domu, położył na łóżku i pobiegnął szukać pomocy.

# 15

*Zbyt okrutna jest natura naszych wrogów, byśmy mogli oddać się w ich ręce, gdy płoną ku nam gniewem. Przyspieszmy kroku i stawmy mężnie czoła zaszczepionej śmierci, broniąc naszych niewiast i dzieci, i czyniąc, co do nas należy, by ratować naszą byt i honor, których jesteśmy zobligowani strzec.*

LUIS DE MÁRMOL, *Historia de la rebelión y castigo de los moriscos del reino de Granada\**

Pod osłoną nocy Hernando i Fatima uciekli z Meciny polami na przełaj ku wysokim partiom gór. Co rusz potykali się i upadali. Dopiero gdy odgłosy wrzawy żołdactwa plądrującego miasto stały się ledwie słyszalne, zatrzymali się, by złapać oddech. Hernando próbował zbliżyć się do Fatimy, ale go powstrzymała.

— Śmierć jest daleką nadzieją — rzekła dziewczyna. — Pamiętajsz?

Stali nad wąwozem w otoczeniu rzędów tarasów i roślinności, księżyc zdawał się szukać ich twarzy, by wydobyć je z cienia.

— Ja... — zaczął tłumaczyć się Hernando.

— Twój ojczym poprosił króla o moją rękę — przerwała.

— A król cofnął dane słowo.

Ileż by dał, by ujrzeć w tej chwili refleksy księżyca drgające na jej policzkach, białe zęby połyskujące w bursztynowym świetle

---

\* Historia rebelii i klęski morysków z królestwa Granady.

lub blask wielkich czarnych oczu, ale spotkał się tylko z niewzruszonym chłodem i przejmującym milczeniem.

— Mnie oddał twoją rękę — wyznał.

Upłynęło kilka chwil, obydwójce stali nieruchomo.

— A więc jestem twoja. — Powiedziała to bez emocji, tnąc słowami lodowatą przestrzeń, która ich dzieliła. — Kilkakrotnie uratowałeś mi życie... Dzisiaj po raz kolejny. Ciesz się więc mną, jak mówi Prorok, ale...

— Przestań!

— Możesz mnie wziąć, ale nigdy nie zdobędziesz mojego serca.

— Nie!

Hernando wykonał półobrót i oddalił się o kilka kroków. Bodajby nigdy nie usłyszał podobnego wyznania. Co miał jej powiedzieć na usprawiedliwienie swojego zachowania tamtego wieczoru? Nic, doszedł do wniosku.

— Staraj się stawiać kroki dokładnie tam, gdzie ja — rzekł z wysiłkiem, zupełnie złamany i nie pokazując twarzy, nim ruszyli w dalszą drogę ku szczytom. — Inaczej możesz spaść w przepaść.



Wędrowka Hernanda do Adry trwała miesiąc. Brahim znalazł w tym czasie dla swojej rodziny wygodne schronienie w jednej z wielu jaskiń położonych nad Válor i Meciną, podobnie zresztą jak to uczynił Aben Humeya i resztką wiernie trwających przy nim ludzi.

W wysokich górach, wśród szczytów pokrytych grubą warstwą lutowego śniegu, nie kto inny jak właśnie Fatima wiodła Hernanda do jaskini; u wejścia majaczyło stadko mułów skapane w blasku księżyca. Hernando skierował się ku zwierzętom. Fatima stanęła niepewna przed pieczarą, nie śmiąc wejść.

— Brahim? — Głos poprzedził pojawienie się postaci w otworze jaskini. Była to Aisza.

— Nie. To ja, Fatima. Przyprowadziłam Ibn Hamida. Czy on...? A Brahim? Wrócił już?



— Nie, jeszcze go nie ma.

Fatima pospieszyła do środka.

— Poczekaj, ja... — próbował zatrzymać ją Hernando.

Ale dziewczyna nie zwolniła kroku.

Aisza pozostała na miejscu, stojąc nieruchomo naprzeciwko syna.

— Wybacz mi, matko — rzekł zduszonym głosem. — Musiałem was opuścić. Wypełniałem rozkazy króla. Brahim nic ci nie powiedział?

Matka uściskała go mocno. Potem, ocierając łzy i kręcąc głową, ruszyła w ślad za dziewczyną do wnętrza ciemnej jaskini. Hernando został sam, z rękami bezwładnie opuszczonymi wzdłuż ciała. Popatrzył na gromadkę mułów i podszedł do niej. Przebiegł wzrokiem po zwierzętach, szukając Staruszki. Mulica parsknęła i wygięła łagodnie szyję, dopominając się czułości, którą chłopak chętniej obdarzyłby teraz matkę.

Brahim wrócił do domu po blisko piętnastu dniach, tyle bowiem czasu potrzebował Aben Abu na dojsście do siebie pod troskliwą opieką mulnika. W tym czasie Hernando nie wchodził do jaskini. Spał pod gołym niebem, Aisza i Fatima nie odzywały się do niego. Matka zrobiła to tylko raz, gdy nazajutrz po powrocie podawała mu śniadanie obok mułów.

— Uciekłeś bez żadnych wyjaśnień. — Hernando chciał się wytłumaczyć, ale Aisza jednym ruchem ręki nakazała mu zamilknąć. — Uciekłeś, a tym samym rozbudziłeś w Brahimie niepohamowaną żądzę, choć wcześniej doskonale zdawałeś sobie z tego sprawę. Oddałeś mi Fatimę. Opuszczając ją tchórzliwie, wydałeś ją w ręce twego ojczyrna, a wraz z nią również mnie.

— Nie uciekłem! Król zlecił mi ważną misję; Brahim dobrze o tym wiedział i obiecał, że ci powtórzy — tłumaczył chłopak. — Jeśli zaś chodzi o Fatimę... nie ma się o co martwić. Król wycofał się z danego słowa, Fatima nie musi wyjść za mąż za Brahima.

Aisza zaprzeczyła ruchem głowy, z zaciętymi ustami i drżącym podbródkiem. W końcu odwróciła się, by ukryć łzy, które napłynęły jej do oczu.

Hernando zamilkł zaskoczony reakcją matki.

— Co ty mówisz? — szlochała Aisza. — Nie masz pojęcia, jakie konsekwencje pociągnie za sobą zmiana decyzji króla.

Jednakże gdy Brahim pobił ją brutalnie, nie uroniła nawet łzy. Zrobił to natychmiast po powrocie, przed jaskinią, przy Fatimie, dzieciach i kilku przybyłych moryskach, z którymi dzielili swoje skromne zapasy żywności. Hernando, widząc, jak matka upada, wyciągnął szablę.

— To mój mąż! — powstrzymała go leżąca na ziemi Aisza.

Brahim i pasierb mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Wreszcie chłopak spuścił oczy; przypomniały mu się podobne sceny z dzieciństwa i znowu poczuł się bezsilny wobec zwierzęcej nienawiści wyzierającej z oczu ojczyzna. Brahim potrafił dać jej upust. Wykorzystał moment wahania Hernanda, by powalić go jednym silnym ciosem pięści, a potem rzucił się na niego i bił wściekle rękami. Chłopak nie stawiał oporu. Lepsze to, niż patrzeć, jak bije matkę.

— Nie waż się zbliżyć do Fatimy — dyszał Brahim, cały zlany potem od razów, które przed chwilą zadał. — Albo twoja matka powącha tych pięści. Zrozumiałeś? Możesz sobie mieć poważanie u króla, psie nazarejski, ale nikt nie będzie mówić moryskowi, jak ma traktować swoją żonę. Nie chcę cię widzieć w moim domu.



Nie ulegało wątpliwości, że Aben Humeya pomimo wielu swych wad dał dowody szczególnej słabości do młodego mulnika. Po wydarzeniach w Mecynie król żywo interesował się losem Hernanda. Nakazał go odszukać, a dowiedziawszy się, że cały i zdrowy uszedł z Meciny, ogromnie się uradował. Na widok chłopca uśmiechnął się wesoło i zaraz spytał o Fatimę — Hernando odpowiedział, mrużąc coś niezrozumiale pod nosem, co Aben Humeya poczytał za nieśmiałość — po czym polecił mu zająć się zwierzętami. „Potrzebny nam ktoś taki jak ty, kto zna się na koniach — dodał król. — Powiedziałem ci kiedyś, że nasi ludzie powrócą, pamiętasz?”

I w istocie tak się stało. W ciągu następnych piętnastu dni Hernando przekonał się, że liczba koni znacznie wzrosła. Moryskowie wracali w góry do swego króla i przysięgali służyć mu wiernie aż do śmierci.

— Markiza de Mondéjar odwołano ze stanowiska kapitana generalnego i wezwano na dwór — powiedział pewnego dnia Gironcillo, podczas gdy Hernando podkuwał jego kasztanka, który dźwigał na grzbiecie ciężar ogromnego banity i arkebuza o potężnej lufie, najdłuższej w całej Alpuharze. Hernando, trzymając kopyto oparte na udzie, podniósł głowę.

— Wygrały skryby i kauzyperdy z Chancillería, ci sami, którzy odebrali nam ziemię i którzy nie omieszkali pójść na skargę do króla z powodu okazywanej przez markiza łaski naszemu ludowi. Chcą nas wszystkich wymordować!

Ruchem ręki Hernando przynaglił Gironcilla, by podał mu podkowę.

— To kto teraz dowodzi chrześcijańskimi wojskami? — zapytał z ciekawością Hernando, nim uderzył młotkiem w gwóźdź, przy-mocowując podkowę do kopyta.

Gironcillo trwał chwilę w milczeniu, podziwiając biegłość chłopaka.

— Książę Juan de Austria — odrzekł wreszcie po ostatnim uderzeniu młotkiem — nieślubny syn cesarza, przyrodni brat króla Filipa II, młodzieniec dumny i wyniosły. Mówi się, że król wydał rozkaz, zgodnie z którym hiszpańskie pułki piechoty i neapolitańskie galery mają się udać do Hiszpanii pod komendą księcia, diuka Sesy i najwyższego komandora Kastylii. Sprawa zaczyna być poważna.

Hernando uwolnił nogę kasztanka i stanął naprzeciw banity. Pomimo zimowego chłodu pot spływał mu po czole.

— Jeśli sprawa jest tak poważna, to po co moryskowie wracają w góry? Nie lepiej się poddać?

Do rozmowy wtrącił się niedawno przybyły do obozu rymarz, któremu Aben Humeya polecił troskę o uzdy, uprzęż i siodła. Mężczyzna szedł ku nim, przysłuchując się wywodom Gironcilla.

— Już to zrobiliśmy! — wykrzyknął z odległości kilku kroków. Obaj mężczyźni obrócili się do niego. — Niektórzy z nas zgodzili się poddać. I cośmy osiągnęli? Ano to, że nas okradają. Że nas mordują, a z naszych kobiet i dzieci czynią niewolników. Chrześcijanie nie respektowali przepustek wystawionych przez markiza de Mondéjar. Lepiej polec w walce za naszą sprawę, niż być zdradzonym i zginąć z rąk kanalii.

— Książę i jego wojska nie dotrą tak szybko do Grenady — rzekł Gironcillo. — Tymczasem nie ma żadnej władzy. Mondéjar odsunięty, a Vélezowi zdezerterowała znaczna część wojska i wciąż nie wie, jaką nową rolę dostanie w tej wojnie. Tysiące maruderów włóczy się po Alpuharze, łupiąc, co się da, zagarniając jeńców i zabijając spokojnych ludzi. Chcą zdobyć pieniądze i wrócić do swoich domów, zanim Juan de Austria weźmie sprawę w swoje ręce.

To, co zaledwie cztery miesiące temu miało być powstaniem w obronie obyczajów, sprawiedliwości i tradycyjnej formy życia muzułmanów, teraz nabierało zupełnie nowego wymiaru — stawało się walką o życie i wolność. Kapitulacja i uległość sprowadzały tylko śmierć i niewolę. Dlatego moryskowie z całej Alpuhary, wraz z rodzinami i całym swoim dobytkiem, przybywali masowo na ziemię Sierra Nevada, do swojego króla.



Fatima nie opuściła Aiszy pomimo jej nalegań. Brahim upokarzał żonę każdego dnia, uważając, by dziewczyna była zawsze gdzieś w pobliżu, jakby chciał jej uzmysłować, że to właśnie ona jest przyczyną nieszczęścia Aiszy. Siedmioletni Aquil naśladował ojca, zachowując się brutalnie i lekceważąc matkę. Obie kobiety bardzo zbliżyły się do siebie. Fatima starała się pocieszać Aiszę w milczeniu, odnosząc się do niej z pełną poczucia winy delikatnością, Aisza zaś traktowała ją jak jedną ze swych córek, które straciła w Juviles, i okazywała dziewczynie matczyną czułość, dawała jej do zrozumienia, że nie wini jej za swoje krzywdy. Nie rozmawiały o swym bólu, obie jednakowo unikały tego tematu.

Każdy przejaw agresji Brahima, każda zniewaga z jego strony wzmacniały jeszcze bardziej relacje między nimi.

Gdy Hernando kończył robotę przy koniach, stawał się udręczonym widzem. Aisza nie chciała, żeby jej bronił przed Brahimem, nie mógł też zbliżyć się do Fatimy, która nawet w tych okolicznościach wciąż wyglądała na obrażoną. Nie potrafił opuścić tych dwóch osób, które naprawdę kochał, pilnował, żeby ojczym nie bił matki, skoro tak obiecał. Chwytał za szablę Hamida za każdym razem, gdy słyszał obelgi Brahima pod adresem Aiszy. Fatima nie odezwała się do niego ani słowem. Aisza w milczeniu przynosiła mu co wieczór posiłek.

Gdy zaś w górach rozbrzmiewało wezwanie do modlitwy, oddawał się jej z żarliwością. Pewnej nocy... wzywał nawet pomocy Dziewicy chrześcijan. Andrés, zakrystian z Juviles, zapewniał go niegdyś, że Maryja Dziewica ma zdolność wypraszania u Boga wielu łask. Polecił się więc jej opiece, przypominając sobie również nauki Hamida:

— My, muzułmanie, bronimy Marjam, wierzymy w jej dziewictwo. Pamiętaj o tym — podkreślił z naciskiem fakiha, widząc wyraz zdziwienia na twarzy swojego pupila — tak mówi Koran i Sunna. Nie słuchaj tych, którzy szyczą z czystości i niewinności Marjam. Wielu tak robi... Zapominają o naszych zasadach, by tym mocniej przeciwstawić się chrześcijanom i poniżyć ich wiarę. Ale tu się mylą, Marjam jest jednym z czterech ideałów kobiety i rzeczywiście wydała na świat syna Ise, którego oni nazywają Jezusem Chrystusem, nie straciwszy dziewictwa. A Isa bronił jej, będąc jeszcze w kołysce. Zgodnie z nauczaniem Koranu Isa zaczął mówić wkrótce po urodzeniu i bronił dziewictwa matki wobec krewnych, którzy z niej szyczą. — Pomimo ślepego zaufania do Hamida tym razem Hernando słuchał jego słów z niedowierzaniem, z na pół przymkniętymi oczami. Jakże to oni, moryskowie, mieli bronić matki chrześcijańskiego Boga? — Pamiętaj — dodał Hamid, widząc wahanie chłopca — że gdy Prorok zdobył wreszcie Mekkę i wkroczył triumfująco do Kaaby, rozkazał zniszczyć wizerunki wszystkich bożków. Hubala, patrona Mekki, Wadda, Suwę, Jaghuta,

Ja'uka, Nasra i wielu innych zniszczono, usunięto malowidła ściennie, z wyjątkiem jednego, gdyż Prorok położył na nim swoje ręce: był to fresk przedstawiający Marjam z synem. Zważ — dodał z powagą Hamid — że grzech pierworodny nigdy nie skalał Marjam; narodziła się czysta, tak utrzymuje Koran i Sunna.

Ale przecież jeden z kapłanów syna Marjam zgwałcił Aiszę, gdy była małą, bezbronną dziewczynką, rozmyślał Hernando pewnej nocy. Czy nie to stało się źródłem nieszczęść jego matki? Nazarejczyk! — lżył go ojczym, a on tylko zaciskał pięści i wbijał paznokcie w dłonie. Wszyscy to słyszeli! Gdyby nie względy Aben Humeyi, wciąż byłby tak traktowany przez morysków. Czuł to, widział, jak patrzą na niego z ukosa i szepczą za jego plecami. Tymczasem ani Bóg chrześcijan, pomimo gorącego wstawiennictwa Marjam, ani Bóg muzułmanów nie chcieli pomóc Aiszy, Fatimie i jemu.



Mijały dni. W tym czasie Aben Humeya wykorzystał niezdecydowanie wroga i bezwarunkowe poparcie swoich ludzi na reorganizację podległych mu terenów i dozbrojenie armii. Mianował nowych gubernatorów w okręgach Alpuhary i ustanowił własny system fiskalny: dziesięciny z owoców i zbóż oraz piątą część łupów zdobytych na chrześcijanach. Właśnie rozpoczął się okres żeglugi morskiej: awanturnicy, kapitanowie statków i janczarzy spieszyli na pomoc swym braciom z Al-Andalus. Nareszcie mieszkańcy Alpuhary ujrzeli owych obiecywanych od dawna żołnierzy Wysokiej Porty!

Król Grenady i Kordoby odniósł dwa ważne zwycięstwa nad wojskami chrześcijańskimi. Wywołały one prawdziwą euforię wśród jego ludzi: jedno pod Órgiva, gdzie stał się z kompanią Juana de Austria, a drugie na przełęczy Ragua, gdzie pokonał setkę żołnierzy markiza de Vélez.

Po tych potyczkach nastał w Alpuharze okres spokoju: doszło nawet do tego, że Ugíjar stało się ważnym miastem targowym o podobnym znaczeniu jak Tetuan. Napływ kupców i rozwój

działalności handlowej skłoniły Aben Humeyę do ustanowienia komory celnej, która miała ściągać podatki od licznych transakcji.

Wskutek odniesionych zwycięstw do stajni, którymi zajmował się Hernando, napłynęła duża liczba koni zdobytych na chrześcijanach.

— Musisz nauczyć się jeździć konno — rzekł do niego pewnego dnia król dokonujący przeglądu koni na równinie. Otaczało go kilku arkebuzerów z gwardii przybocznej utworzonej do jego osobistej ochrony. — Tylko w ten sposób dobrze je poznasz. Poza tym... — Aben Humeya uśmiechnął się znacząco — moi zaufani ludzie muszą towarzyszyć mi konno.

Hernando popatrzył na konie. Tylko raz dosiadł wierzchowca, razem z Gironcillem, gdy uciekali z Tablate, a jednak... co miał w sobie ten człowiek, że wzbudzał w nim takie zaufanie? Może to uśmiech? Hernando odwrócił głowę do króla. A może manieri rajcy Grenady i króla morysków? Wytworność, wdzięk?

Aben Humeya nie przestawał się uśmiechać.

— No dalej, spróbuj — rzekł.

Król pozwolił mu wybrać konia. Hernando okulbaczył karogniadego ogiera, którego uważał za najbardziej łagodnego i uległego z całego stada. Zaledwie zacisnął popręg, na czarno umaszczonej ciele zwierzęcia odżyły czerwone refleksy, rozbłyskując silnie w ostrym słońcu Sierra Nevady. Hernando wahał się przez dłuższą chwilę, nim włożył nogę w strzemię; jeździec i koń oddychali szybko. Chłopak spojrzał niepewnie na króla, ale ten gestem ręki zachęcił go, by dosiadł konia. Wsunął więc lewą stopę w strzemię, a prawą odbił się od ziemi, by przelożyć ją nad siodłem, lecz w tym momencie ogier zarżał i ruszył galopem.

Hernando nie zdołał zapanować nad koniem i po dwóch fulach spadł na plecy, koziołkując po kamieniach i krzakach. Aben Humeya podszedł do niego, ale Hernando podniósł się szybko i choć obolały, nie przyjął wyciągniętej do niego dłoni. Arkebuzerzy zanosili się od śmiechu.

— Lekcja pierwsza — powiedział Aben Humeya. — Konie to nie są głupie muły ani osły. Nigdy nie możesz być pewny, że kiedy

stoisz na ziemi, koń zachowa się tak samo, jak wtedy gdy siedzisz na jego grzbiecie. — Hernando słuchał, nie spuszczać oka z konia, który skubał z zadowoleniem trawkę kilka kroków dalej! — Próbuj — dodał król. — Są dwa rodzaje jazdy konno: ciężka, *a la brida*, rozpowszechniona jest wśród chrześcijan, może mniej wśród Kastylijczyków, bo oni przejęli od nas inną technikę. Jeźdźcy noszą obszerne, ciężkie zbroje ograniczające ruchy. Gdy Diabeł z Żelazną Głową dosiada swoich wierzchowców, to one drżą i popuszczają moc. Sam widziałem. Takie samo okrucieństwo cechuje go zarówno wobec koni, jak i wobec ludzi. My, muzułmanie, jeździmy inaczej: *a la jineta*, jak Berberowie z pustynnych obszarów, w krótkich strzemionach z nogami w pozycji pionowej od kolana w dół, powodując koniem łydkami i kolanami, a nie tylko wodzami i ostrogami. Postępuj z końmi twardo, jeśli trzeba, ale nade wszystko inteligentnie i z wyczuciem. Tylko te cechy pozwolą ci zapanować nad tymi zwierzętami.

Hernando chciał pójść i przyprowadzić karogniadego, ale król zatrzymał go jeszcze na chwilę, dodając:

— Ibn Hamidzie, wybrałeś konia czarnej maści. Wiedz, że umaszczenie koni odpowiada czterem żywiołom: powietrzu, ogniowi, wodzie i ziemi. Karogniade takie jak ten wzięły swój kolor od ziemi i są melancholijne, toteż mogą sprawiać wrażenie spokojnych, ale bywają zdradzieckie i krótkowzroczne, dlatego twój koń zrzucił cię z siodła.

Po tych słowach król obrócił się na pięcie i odszedł, pozostawiając go samego z końmi i z zagadką: jakim żywiołom odpowiadają poszczególne maści koni i jakie wady oraz zalety można im przypisać.

Od tej pory każdego dnia, czy to w porze obiadu, czy wieczorem, Hernando wracał do jaskini cały poobijany, to z lekka utykając, to znów wyraźnie kulejąc. Bywało, że musiał jeść tylko jedną ręką. Szczęśliwym zrządzeniem losu i dzięki sile młodości żaden upadek z konia nie skończył się dla niego poważnym złamaniem. Co więcej, gdy tylko wkładał stopę w strzemię, dosiadając któregoś z koni, natychmiast zapominał o Aiszy i Fatimie, o Brahimie



i o wszystkich moryskach, którzy szemrali za jego plecami... i tego właśnie potrzebował.

Zdarzało się, że sam król wybierał się z nim na przejażdżki, udzielając cennych wskazówek. Aben Humeya, człowiek szlachetnie urodzony, doskonale jeździł konno. Wspólne wyprawy w góry nawiązały między obu mężczyznami nić przyjaźni. Król opowiadał mu o *juegos de cañas* i walkach byków, w których miał okazję uczestniczyć. Wyjawiał mu symbolikę pozostałych maści koni: i tak białe, związane z wodą, są flegmatyczne, łagodne i powolne; gniade, zrodzone z powietrza, charakteryzuje powściągliwość w ruchach, wesołość i lekkość; kasztanowate zaś, wywodzące się od ognia, są popędliwe, gorące i szybkie.

— Koń, który połączy te wszystkie kolory w swoim umaszczeniu, na koronkach kopyta, pęcinach lub nadpęciu, w strzałkach na czole lub innych znakach na grzywie lub ogonie, będzie najlepszy — rzekł pewnego ranka król.

Aben Humeya jechał spokojnie na wierzchowcu maści ciemnokasztanowatej; Hernando zaś jak zwykle wojował z karogniadym ogierem, którego otrzymał w podarunku od króla.

O zachodzie słońca Hernando wracał do swoich mułów stojących w pobliżu jaskini. Aisza i Fatima widziały, jak szedł ze spuszczoną głową i, pozdrowiwszy wszystkich i nikogo zarazem, udawał się prosto do zwierząt, jakby wracał tylko ze względu na nie. Obie kobiety wiedziały jednak doskonale, że chłopak nie zapomniał o szabli Proroka i gładził ją delikatnie palcami, zaledwie posłyszał głos Brahima. Rozmawiał tylko z mułami, a w szczególności ze Staruszką. Moryskowie zamieszkujący okoliczne jaskinie, zazdrośni o względy, jakimi król obdarzał nazarejczyka, trzymali stronę Brahima, a jeśli nawet któryś miał jakieś wątpliwości, wołał nie zadzierać z potężnym mulnikiem.

Aisza cierpiała w milczeniu, patrząc na syna w tym stanie. Fatima też nie pozostawała obojętna, wyczuwając melancholię, która owładnęła Hernandem. Przez pierwsze kilka dni odnosiła się do niego z gniewem i lekceważeniem. Ileż to razy karmiła się myślami o takiej właśnie zemście, kiedy zniknął na miesiąc?

Tamtej nocy czekała na niego. Aisza zdobyła odrobinę perfum, zaledwie kilka kropli, więc gdy Fatima usłyszała, że w namiocie króla cichną odgłosy zabawy, pokropiła skórę między piersiami, pozwalając wonnej strużce spływać i marząc o pieszczotach Hernanda. A on nie przyszedł! Namietność przerodziła się w pogardę, wyobrażała sobie, że gdy wróci, napluje mu pod nogi, odwróci się do niego plecami, nawrzeszczy... a może nawet uderzy! Potem zaczęło się bezwstydne nękanie ze strony Brahima, lubieżne spojrzenia, ocieranie się o jej ciało, nieustanne insynuacje... Gdy usłyszała, że Brahim, na wieść o śmierci jej męża i braku najbliższych krewnych, zwrócił się do króla z prośbą o jej rękę, przeklinała Hernanda, wymyślała mu pośród też. Kiedy Hernando wyprowadził ją z Meciny i poinformował o decyzji króla, poczuła się urażona, choć zarazem odetchnęła z ulgą. Nie musiała już poślubić znieprawionego Brahima, to pewne, ale co sobie wyobrażał Hernando? Że niby on i król mieli prawo decydować o losie jej i dziecka, nie pytając jej o zdanie?

Tymczasem dni mijały, a Hernando codziennie powracał, by strzec swoich kobiet, czasem wyprostowany, czasem kulejący na skutek upadku, znosząc z rezygnacją okazywaną mu pogardę, ale też zawsze gotów stanąć w ich obronie. Udowodnił to, przyjmując bez słowa protestu razy zadane przez Brahima. Nazarejczyk, jak nazywano go za plecami. Aisza wyjawiała dziewczynie, dlaczego miał takie przezwisko. Fatima, po raz pierwszy od jego powrotu, poczuła wtedy, że coś ją ściska w gardle. Może Hernando podejrzewa, że ona też należy do grona jego prześladowców? O czym on myśli, sam pośród mułów?

Pewnego wieczoru, gdy Aisza zbierała się do wyjścia, by zanieść kolację synowi, Fatima podeszła do niej i poprosiła o miszkę z jedzeniem. Pragnęła zbliżyć się do Hernanda. Była tak bardzo przejęta drżeniem własnych rąk, że nie dostrzegła zaniepokojenia Aiszy.

Hernando stał już i czekał. Nie mógł uwierzyć własnym oczom, że kobieta, która podąża ku niemu, to Fatima

— Pokój niech będzie z tobą, Ibn Hamidzie — powitała go dziewczyna, podając mu jedzenie.

— Ty flądro! — rozbrzmiał nagle głos Brahima pośród jaskiń.  
Gliniany garnek wypadł dziewczynie z rąk.

Fatima odwróciła się i w świetle płonącego ogniska ujrzała, jak Brahim bije po twarzy Aiszę. Hernando postąpił dwa kroki do przodu, opierając rękę na szabli, ale się zatrzymał. Brahim podniósł wzrok i utkwiał go w Fatimie. Wtedy dziewczyna przypomniała sobie niepokój na twarzy Aiszy i zrozumiała, że w spojrzeniu Aiszy kryło się ostrzeżenie. Jeśli Fatima zbliży się do Hernanda, Aisza zapłaci za to. Za każdym razem gdy Brahim unosił rękę, by zadać żonie kolejny cios, jego twarz wyrażała dziką satysfakcję. Fatima pobiegła szybko do jaskini. Brahim wybuchnął śmiechem, gdy przechodziła obok.

# 16

W kwietniu 1569 roku zreorganizowane wojsko morysków wraz z ciągnącymi za nim cywilami, głównie kobietami i dziećmi, skierowało się ku Ugíjar. Wiódł je Aben Humeya z grupą najbliższych mu ludzi. Wśród nich jechał dumnie prezentujący się na dzianecie Hernando. Na czele długiej kolumny maszerowała gwardia arkebuzerów z jasnoczerwonym sztandarem Aben Humeyi.

Za królem i jego zastępcami postępowała jazda, a za nią piechota, tym razem idąca w równym szyku, na wzór chrześcijański, z podziałem na oddziały dowodzone przez kapitanów, którzy nieśli jedwabne chorągwie, uszyte w przeważającej części w jaskiniach nad Meciną, w kolorach bieli, żółci i karminu, z wyszytymi pośrodku srebrnymi lub złotymi księżycami, ozdobione złotymi frędzlami i perłami. Szły też inne oddziały, dumnie prezentując stare sztandary i chorągwie z czasów dominacji muzułmanów w Al-Andalus, jak choćby chorągiew ochotników z Meciny, z karminowej tafty przetykanej złotem, z umieszczonym w centrum srebrnym zamkiem o trzech wieżach. Gdzieniedzie powiewały sztandary zdobyte na chrześcijanach, wśród nich sztandar Najświętszego Sakramentu z Ugíjar, z karminowego adamaszku ze złotymi frędzlami, na którym moryskowie wyhaftowali srebrne księżyce.

Pochód zamykały jak zwykle tabory i tłumy ludzi niezdatnych do walki: kobiety, dzieci, chorzy i starcy.

Cała ta długa kolumna ciągnęła do Ugíjar przy akompaniamencie tamburynów i szałamai, entuzjastycznie witana przez współbraci zajmujących się uprawą roli. Rozkazy Aben Humei były jasne: pod żadnym pozorem nie wolno przerwać prac polowych. Chrześcijanie otrzymywali zaopatrzenie spoza Grenady, moryskowie mogli liczyć wyłącznie na własne zasoby. Niespodziewana przerwa w działaniach wojennych spowodowana przedłużaniem się nominacji don Juana de Austria na stanowisko głównodowodzącego dała możliwość dokonania zasiewów i zebrania plonów.

Hernando powściągał co chwila karogniadego, by nie wysuwał się przed grupę jadących przed nim jeźdźców, w której znajdował się Brahim, nieodłączny towarzysz Aben Abu. Ten ostatni siedział w siodle wymoszczonym kilkoma warstwami baranich skór, mającymi chronić niezabliźnione jeszcze rany, jednakże trudy podróży dawały mu się we znaki i co jakiś czas na jego twarzy pojawiał się grymas bólu. Aben Abu jechał u boku swego kuzyna, króla, za nim — Brahim.

Z grzbietu wierzchowca Hernando nie był w stanie dojrzeć tyłów kolumny — widok zasłaniaли mu jadący za nim dowódcy banitów. Gdzieś tam daleko wędrowały kobiety, a z nimi Aisza i Fatima oraz muły pilnowane przez Aquila i bystrego chłopca o imieniu Jusuf. Hernando poznał go w jaskiniach i poprosił o pomoc przy mułach. Bo niby jak mały Aquil miał sobie sam poradzić z całą karawaną?

Odświętne przystrojone Ugíjar przyjęło ich muzyką i tańcami. W niczym nie przypominało miasta sprzed kilku miesięcy, które opuszczali w popłochu, uciekając przed chrześcijanami. W kolegiacie trwały intensywne prace budowlane, aby przekształcić kościół na meczet. U stóp dzwonnicy leżały znienawidzone przez morysków rozbite dzwony. Trójkątną przestrzeń między trzema wieżami obronnymi miasta zajmował teraz bazar rozlewający się na sąsiednie uliczki. Wszystko tonęło w kolorach, zapachach i wrzawie, i wszędzie pełno było ludzi, głównie tych przybyłych zza cieśniny: Berberów, korsarzy i kupców mużułmańskich. Większość z nich ubierała się podobnie do morysków, niektórzy mieli

na sobie galabije. Ale to nie strój najbardziej dziwił Hernanda, lecz wygląd przybyszów. Zdarzali się wśród nich wysocy blondyni o mlecznej cerze, zielonoocy młodzieńcy o rudych włosach i czarni wyzwoleńcy. Wszyscy kręcili się pośród smagłych Berberów, jakby byli członkami ich plemion.

— To chrześcijańscy renegaci — wyjaśnił mu Gironcillo, gdy Hernando oszołomiony widokiem wielkiego albinosa z Kaukazu o mało nie rozjechał go koniem.

Albinos uśmiechnął się do niego dziwnie, zupełnie jakby... jakby proponował mu, żeby zsiadł z konia i poszedł za nim. Hernando spojrział zmieszany na banitę.

— Nie ufaj im — poradził Gironcillo, gdy minęli albinosa. — Ich obyczaje różnią się znacznie od naszych. Oni lubią młodych chłopców takich jak ty. Renegaci są prawdziwymi panami Algieru, trudnią się kaperstwem, a nami pogardzają. Tetuan jest miastem morysków; tak samo Salah, Mamora y Vélez, ale Algier...

— To oni nie są Turkami? — przerwał mu Hernando.

— Nie.

— Więc kim są?

— W Algierze razem z renegatami przebywają też tureccy janczarzy przysłani przez sułtana. — Gironcillo podniósł się w strzemionach i ogarnął wzrokiem plac targowy. — Nie ma ich jeszcze. Rozpoznasz ich łatwo, gdy tylko się pojawią. Janczarzy nie podlegają bejlerbejowi Algieru, tylko sułtanowi, który wydaje im rozkazy za pośrednictwem swoich agów, dowódców janczarów. Jakieś czterdzieści lat temu Chajr ad-Din, którego chrześcijanie zwą Rudobrodym, poddał swoje królestwo Wysokiej Porcie, czyli naszemu sułtanowi, temu, który obiecał nam pomoc w walce z chrześcijanami... Niech cię to jednak nie zmyli. Renegatom z Algieru nie można zbyt ufać, a szczególnie muszą uważać tacy ładni chłopcy jak ty. — Gironcillo się zaśmiał. — Zawsze miej oczy z tyłu głowy.

Gironcillo zakończył rozmowę gromkim śmiechem. Aben Humeya zsiadał właśnie z konia i szukał wzrokiem Hernanda, który pośród mrowia ludzkiego usiłował dostrzec gdzieś Fatimę

i Aiszę, ale ludzie i tabory ciągnące na tyłach wojska nie doszły jeszcze do miasta. Teraz w pierwszej kolejności należało znaleźć miejsce dla koni, dopiero potem mógł pomyśleć o kobietach.

Podobnie jak zrobił to w Paternie, Aben Humeya oddał kilku arkebuzerów ze swojej gwardii przybocznej pod rozkazy Hernanda. Z dała od zatłoczonych ulic na tyłach kościoła w Ugíjar, tam gdzie kończyło się już miasto, a zaczynały pola, Hernando znalazł wygodny, dwupiętrowy dom na rozległej działce otoczonej niskim murem, wystarczająco dużej, by pomieścić konie ze stadniny królewskiej i wierzchowce banitów. Nie ulegało wątpliwości, że był to dom jednej z chrześcijańskich rodzin zamordowanych podczas powstania; nie wchodziło się doń bezpośrednio z ulicy, lecz przez otaczający go teren.

— Wynoście się z budynku! — krzyknął jeden z żołnierzy do rodziny morysków, która wyległa całą gromadą na spotkanie niechcianych gości.

Było to małżeństwo w średnim wieku: ona gruba, jak większość matek, on jeszcze grubszy (jeżeli ktoś mógł być od niej grubszy), ze starym arkebuzem w ręku, który opuścił na widok żołnierzy. Obydwoje stali otoczeni wianuszkami siedmiorga dzieci w różnym wieku.

Hernando dostrzegł w kobiecie zwyczajową uległość charakteryzującą wszystkie moryski. Z tyłu za nią chowała się mała dziewczyneczka, nie więcej niż dwuletnia, uczepiona zrolowanych na nogach pończoch. Kto wie... pomyślał Hernando, może obecność tej wielodzietnej rodziny przełamie złą atmosferę panującą od czasu zamieszkania w jaskini.

— Znasz się na zwierzętach? — spytał Hernando mężczyznę, pragnąc w duszy, by odpowiedział twierdząco. — W takim razie — rzekł, uzyskawszy za całą odpowiedź niewyraźny grymas na twarzy moryska, co zinterpretował na swoją korzyść — ty i twoja rodzina pomożecie mi przy koniach króla, a w zamian za to zamieszkacie razem z nami w tym domu.

Przy niezdarnej pomocy trojga dzieci Hernando rozkietnał szybko dwanaście królewskich koni, które znalazły się pod jego

pieczę. Nie drażnił go ewidentny brak doświadczenia w obcowaniu ze zwierzętami. Najważniejsze było teraz odnalezienie Aiszy i Fatimy.

Równie szybko opuścił dom. Koniom da jeść, jak wróci. Ale zaledwie przekroczył bramę z kutego żelaza wychodzącą na niebrukowaną ulicę i przekonał się, że armia Aben Humeyi rozproszyła się po mieście, a żołnierze zaczęli kręcić się w okolicach domu, zawrócił.

— Zamknijcie bramę i postawcie przy niej straż! — rozkazał arkebuzerom. — Nikomu nie wolno wejść na teren posesji. Mieście oko na wszystko, bo tu są konie ze stadniny królewskiej — przypomniał.

W chwili gdy dwaj arkebuzerzy przystąpili do wykonywania rozkazu, spora grupa żołnierzy z rodzinami kierowała się w stronę posesji.

— Pamiętajcie, królewskie konie — upomniał jeszcze raz na odchodne strażników, którzy pospiesznie zamykali za nim bramę.

Szedł pod prąd. Miejscowość nie była w stanie pomieścić wszystkich przybywających doń morysków; żołnierze wraz z rodzinami masowo przemieszczali się ku terenom położonym na skraju miasta, podczas gdy on usiłował dostać się do centrum. Jak mógł, tak starał się lawirować w napierającym na niego tłumie, a mimo to bez przerwy wpadał na kogoś lub musiał przeciskać się na siłę między zbitymi grupami. Gdzie szukać Aiszy i Fatimy? Muły! Muły łatwo będzie znaleźć nawet pośród...

Hernando zderzył się gwałtownie z jakimś mężczyzną.

— *Cornuti!*

Siła, z jaką został popchnięty, była tak potężna, że aż zatoczył się na podążających w przeciwnym kierunku ludzi, którzy również go popchnęli. Płynąca rzeka kobiet i mężczyzn nagle zatrzymała się i rozstała, tworząc wolną przestrzeń pośrodku ulicy.

— *Señori...*

Hernando spojrział oszołomiony na mężczyznę, który przed chwilą wpadł na niego całym ciałem. W jakim języku mówi ten...? „Zabiję cię”, tyle zrozumiał, widząc, jak blondyn o kędzierzawych



włosach i gęstym zaroście naciera na niego uzbrojony w piękny sztylet o wysadzanej drogimi kamieniami rękojeści. Blondyn wyrzucił z siebie nowy potok słów. Nie był to ani czysty hiszpański, ani arabski, ani mieszanka obu tych języków. Zdawało się raczej, że używa różnych wyrazów w różnych językach.

— Psie! — syknął mężczyzna.

To też Hernando zrozumiał, ale nie miał czasu na utarczki. Jeśli Brahim odnajdzie kobiety przed nim, na pewno zabierze je z sobą, a to będzie oznaczać, że Hernando straci je z oczu: musiał przecież kwaterować obok królewskich koni. Chciał się jakoś wymknąć i pójść dalej, ale drogę zastąpili mu mężczyźni obserwujący całe zajście. Ktoś popchnął go do koła, które utworzyło się wokół blondyna. Ludzie z tłumu wyciągali z ciekawością głowy, usiłując dojrzeć coś zza pleców stojących w pierwszym rzędzie. Blondyn, wyprostowawszy ramię, poruszał groźnie sztyletem, wykonując drobne okrężne ruchy. Hernando upewnił się, że sztylet stanowi jego jedyną broń i dobył szabli.

— Allah jest wielki — rzekł po arabsku i ujął szablę oburącz, wznosząc ją na wysokość piersi, gotowy do zadania cięcia; stał w lekkim rozkroku, pewnie wspierając się na nogach, czekając w pogotowiu.

Blondyn zatopił wzrok w jego niebieskich oczach.

— Śliczny! — wykrzyknął nagle, przedłużając z lubością brzmienie „l”.

— Ładniutki! — mówili ludzie z otoczenia blondyna. Hernando nie spuszczał z niego oka.

Wśród morysków ktoś zaśmiał się głośno. Rozległy się gwizdy.

— Prześliczny! — Blondyn znów przeciągnął „l” i wsunął sztylet za pas, by pograżyć się w śpiewnej, acz zupełnie niezrozumiałej rozmowie ze swym towarzyszem. Hernando wciąż tkwił nieruchomo w miejscu ze wzniesioną szablą i wściekłym wyrazem twarzy, ale jakże miał rzucić się na nieuzbrojonego człowieka, który w dodatku nie zwracał już na niego najmniejszej uwagi? W tej samej chwili blondyn znów rzucił mu spojrzenie, uśmiechnął się i puścił do niego oko, po czym odwrócił się i zaczął

torować sobie drogę rękami pośród zgromadzonych gapiów, którzy pospiesznie usuwali się przed nim.

— Ślilliczny — powtórzył jeszcze raz głupkowato jakiś morysk.

W tłumie wybuchły salwy śmiechu, a chłopcu krew uderzyła wrzącą falą do policzków, oblewając je gorącym rumieńcem. Opuścił szablę, nie patrząc na nikogo.

— Ładniutki! — roześmiał się inny morysk, którego Hernando popchnął mocno, usiłując wydostać się z kręgu ciekawskich. Gdy tak przepychał się przez tłum, ktoś uszczypnął go w pośladek.



Znalazł ich przy mułach stojących tuż przy wejściu do miasta, niewiedzących dokąd iść. Dzieci starały się nie dopuścić zwierząt do ludzkiej rzeki płynącej obok nich. Ani Aisza, ani Fatima, ani jego przyrodni bracia nie ukrywali wyrazu ulgi na widok Hernanda, który sprawnie się wszystkim zajął. Nawet muły ze Staruszką na czele wydawały się uradowane, słysząc znany im głos, gdy Hernando zaczął je popędzać, pokrzykując. Nikt nic nie wiedział o Brahimie.

Kiedy dotarli na miejsce, Salah, otyły morysk zamieszkujący dom wraz ze swą liczną rodziną, przyjął ich z uniozoną grzecznością graniczącą niemal z serwilizmem.

Hernando tłumaczył to sobie tym, że któryś z arkebuzerów musiał opowiedzieć staremu o względach, jakimi on, Hernando, cieszył się u króla.

Morysk przeniósł się wraz z rodziną na parter, oddając nowo przybyłym piętro, gdzie w jednym z pokoi stało olbrzymie łoże, nad którym kiedyś zapewne zwieszał się wspaniały baldachim. Salah wyjaśnił, że resztę umeblowania sprzedał, a gobeliny oraz obrazy z wizerunkami chrześcijańskimi zniszczył, o czym zapewnił solennie, zaklinając się na wszystkie świętości.

Salah był chytrym kupcem, który sprzedawał, co się da, zarówno muzułmanom, jak i chrześcijanom. W czasie wojny obraca się dużymi pieniędzmi. Po cóż miał, jak zwykł mawiać, zaharowywać się, próbując użyźniać kamienie za pomocą motyki, jak to

czynili chłopci Alpuhary na swych jałowych, kamienistych działkach, skoro można było sprzedać to, co oni wyprodukowali?

Zapadał zmierzch. Fatima i Aisza pomagały żonie Salaha, która przygotowywała wieczerzę, nie troszcząc się o to, że przybyło jej pięć nowych gęb do wykarmienia. Jusuf, chłopiec, który pomagał im przy mułach, chętnie przystał na zamieszkanie w pełnym wygód domu. Hernando przyjął go na służbę, gdy zobaczył, że dobrze sobie radzi ze zwierzętami. Na pomoc innych nie bardzo mógł liczyć, przyrodni bracia go unikali i nie zbliżali się do mułów w jego obecności, a dzieci Salaha pomimo dobrych chęci ojca nie potrafiły obchodzić się ze zwierzętami.

Fatima przyniosła lemoniadę mężczyznom siedzącym na ganku przed domem. Wyszła do nich, nie zasłoniwszy twarzy kwefem, i uśmiechnęła się do Hernanda, podając mu napój. Chłopak poczuł ukłucie w sercu. Czyżby mu wybaczyła? Usłyszał matkę, jak rozmawia i śmieje się w kuchni. Brahim dotąd się nie pojawił. W czasie zmiany warty Hernando przykazał jednemu z arkebuzerów, by rozejrzał się po mieście za Brahimem i niezwłocznie wrócił z informacjami. „Znajdziesz go u Ibn Abbu”, zakomunikował żołnierz, który zapytał o starego mulnika jednego z kapitanów królewskich.

Zanim odeszła, Fatima wymieniła z Hernandem długie spojrzenie. Znów się do niego uśmiechała!

— Dobra żona — odezwał się Salah, przerywając ulotny czar chwili. — Cicha.

Hernando podniósł kubek do ust, obserwując kupca kątem oka. Pomimo że wieczór był chłodny, mężczyzna splotał potem. Hernando mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi.

— Allah obdarował was synem. Ja miałem pierwsze dwie córki — ciągnął Salah.

Wścibstwo kupca zaczęło irytować chłopaka. Można by tę rodzinę stąd wyrzucić... ale znów dobiegło go z kuchni radosne paplanie Aiszy. Ile to już czasu nie słyszał śmiechu matki? Nie zmieniał to jednak faktu, że nie miał ochoty udzielać Salahowi informacji na temat swojej rodziny.

— Za to potem wynagrodził ci czterema synami — rzekł.

Salah otworzył usta, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale głos muezina wzywającego wiernych na modlitwę uciszył i gwar na placu targowym, i ciekawość kupca.

Pomodlili się, a potem zjedli kolację. Kupiec miał dobrze zaopatrzoną spiżarnię, którą trzymał zamkniętą na klucz w piwnicach budynku: mieściła się w starej olejarni, gdzie składował też mnóstwo towarów wszelkiego rodzaju. Posilili się, po czym Hernando wraz z Jusufem poszli przyjrzeć się koniom i mułom. Wszystkie zwierzęta pasły się spokojnie: wyskubały i wygniotły ogród pielęgnowany przez żonę kupca, która spojrzawszy błagalnym wzrokiem na męża, koniec końców musiała na to przystać. „Sama rozumiesz, królewskie konie”, odpowiedział jej bezradnym wzrokiem Salah, wskazując jednocześnie wymownym gestem na arkebuzerów trzymających straż.

Będą potrzebowały jęczmienia i obroku, pomyślał Hernando. Za dwa dni zwierzęta ogołocą całą ziemię z roślinności, a król przykazał mu, by w każdej chwili trzymał zwierzęta w gotowości, dlatego nie mógł popędzić ich na inne pastwiska otaczające Ugijar. Rano będzie musiał zaopatrzyć się w wystarczającą ilość paszy. Obchód uznał za zakończony, a wróciwszy do domu, przygotował sobie na ganku koce do przykrycia.

— Wolę spać tutaj, blisko zwierząt — wyjaśnił, uprzedzając pytanie Salaha, który ze zdziwieniem popatrzył, że chłopak nie idzie spać z żoną.

Jusuf został z Hernandem i rozmawiali do późna, aż zmógł ich sen. Młodziutki pomocnik pilnie chłonał wszystkie słowa Hernanda.

Arkebuzerzy zdrzemnęli się na warcie, a kobiety z dziećmi rozlokowały się w pomieszczeniach na dole i na górze budynku. Aisza zajęła główną sypialnię. Brahim w dalszym ciągu się nie pojawił. Choć przyszło mu leżeć na ganku, Hernando spał spokojnie po raz pierwszy od wielu dni — Fatima znów się do niego uśmiechała.



Oporządziwszy zwierzęta o świcie, Hernando postanowił udać się do króla z prośbą o pieniądze na zakup paszy, ale Aben Humeya nie mógł go przyjąć. Król ponownie wybrał sobie na siedzibę okazały dom Pedra Lópeza, starszego pisarza Alpuhary, położony w pobliżu kościoła, i przyjmował właśnie u siebie dowódców kompanii janczarów przybyłych niedawno z Algieru. Dwustu żołnierzy doborowej piechoty tureckiej, których na polecenie sułtana bejlerbej wysłał do Al-Andalus, aby ucieszyć, jeśli nie omamić, swych braci w wierze.

Hernando zobaczył ich myszkujejących po wielkim targowisku, jakim stało się Ugíjar. Sprawdziły się słowa Gironcilla: nie sposób było ich nie zauważyć. Pomimo tłumów przelewających się ulicami miasta — kupców, Berberów, awanturników, morysków i żołnierzy Aben Humeyi — ludzie omijali Turków z daleka. Nie nosili beretów i płaszczy, w które poległy w górach Farax przebrał swoich morysków, by poderwać do powstania mieszkańców dzielnicy Albaicín w Grenadzie. Głowy nakrywali ogromnymi turbanami, w większości już znoszonymi, z frędzlami prawie do ziemi. Mieli na sobie szarawary, długie tuniki i wygodne pantofle, wielu nosiło długie, cienkie wasy. Ale największe wrażenie robiła broń, którą mieli przy sobie: arkebuzy o długich lufach, bułaty i sztylety.

Wylądowali na wybrzeżu Alpuhary pod wodzą Dalí, *ajabaczi* janczarów, jednego z najwyższych rangą oficerów po adze; o obsadzie tego stanowiska decydowało demokratyczne głosowanie blisko dwunastu tysięcy członków *diwan* osiadłych w Algierze. Dalí towarzyszyło dwóch oficerów janczarskich: Caracax i Hosceni. Właśnie ta trójka była teraz na posłuchaniu u Aben Humeyi.

Oddziały janczarów zostały utworzone jako elitarne jednostki wojskowe podległe bezpośrednio sułtanowi; mieli być to wierni i niezwycześni żołnierze. Rekrutowano ich wyłącznie spośród chrześcijańskich chłopców w wieku powyżej ośmiu lat, którzy zamieszkiwali rozległe terytoria w Europie, należące do imperium osmańskiego, biorąc jedno dziecko na czterdzieści domów. Chłopców wychowywano w wierze muzułmańskiej i już od tak wczes-

nego wieku wdrażano do służby wojskowej. Osiągnąwszy stopień janczara, otrzymywali dożywotnią pensję i cieszyli się wieloma przywilejami w odróżnieniu od reszty społeczeństwa. Mieli też własną władzę sądowniczą; żaden janczar nie mógł być sądzony ani skazany nawet przez beja, podlegali wyłącznie władzy swojego agi, który sądził ich w tajemnicy.

Janczarzy z Algieru zarzucili jednak zwyczaj obowiązkowych branek wśród chrześcijańskich dzieci zamieszkujących imperium Osmanów. Przybyłych do Algieru pierwszych janczarów z biegiem czasu zastąpili ich synowie lub inni Turcy, nawet chrześcijańscy renegaci, ale nigdy Arabowie lub Berberowie. Ci nie mieli dostępu do elitarnego wojska, janczarzy stanowili uprzywilejowaną kastę. Żyli z napadów na wioski berberyjskie i algierskie. Pewni siebie i ufni w swoją władzę i prerogatywy traktowali resztę ludzi z pogardą, porywali i gwałcili dzieci oraz kobiety. Nikt nie mógł tknąć janczara!

Owych dwustu mężczyzn, których sułtan nakazał swemu bejowi w Algierze wysłać do wsparcia morysków, przybyło na ziemię Al-Andalus, by walczyć, ale to nie oznaczało, że mieli zrezygnować z dotychczasowych przywilejów. Hernando mógł się o tym przekonać, czekając przy głównym wejściu do domu starszego pisarza na powrót arkebuzera z gwardii przybocznej Aben Humeyi. Miał mu przekazać odpowiedź króla.

Tymczasem usiłował przezwyciężyć swą ciekawość i nie wodzić wzrokiem za janczarami kręcącymi się beczynn timer przed budynkiem.

— Masz jakieś wieści o mulniku Brahimie? — spytał z pewnym roztargnieniem jednego ze stojących w drzwiach arkebuzerów. — To mój ojczym.

— Wczoraj wieczorem — odrzekł strażnik — wyjechał z miasta razem z Ibn Abbu i grupą żołnierzy. Udali się do Poqueiry. Ibn Abbu jako wyznaczony przez króla *alguacil*, a Brahim jak jego zastępca.

— Nie wiesz, ile czasu tam będą? — dopytywał się Hernando, nie kryjąc zadowolenia.

Arkebuzer wzruszył tylko ramionami.

Brahim wyjechał! Hernando zawrócił uśmiechnięty w kierunku placu targowego rozciągającego się przed domem pisarza. W tym momencie minął go sprzedawca niosący na plecach głęboki kosz wypełniony rodzynkami. Jeden z janczarów wyciągnął bezcere-monialnie rękę i nabrał garść suszonych owoców. Sprzedawca odwrócił się i niewiele myśląc, popchnął mężczyznę, który ośmielił się podkraść mu skromny towar.

Wszystko wydarzyło się w mgnieniu oka. Żaden z janczarów nie wypowiedział nawet jednego słowa pretensji pod adresem kupca, za to pochwycili go całą gromadą, i gdy jeden wypros-tował mu rękę, drugi, ów popchnięty przez sprzedawcę, szybkim i zręcznym uderzeniem bułata odciął mu dłoń na wysokości nadgarstka. Dłoń spadła do kosza z rodzynkami, kupiec dostał jeszcze na pożegnanie kilka kopniaków, a janczarzy powrócili jakby nigdy nic do przerwanej rozmowy; oto kara wymierzona temu, kto odważył się tknąć jednego z żołnierzy sułtana Wysokiej Porty.

Hernando stał jak wryty, nie mogąc uczynić najmniejszego ruchu, zapatrzony w strugę krwi ciągnącą się po ziemi za sprzedaw-cą rodzynek, który po kilku krokach padł zemdłony.

Z otępienia, w którym trwał Hernando, wyrwało go dopiero silne klepięcie w plecy przez królewskiego gwardzistę.

— Chodź za mną — rzekł, gdy Hernando spojrzął mu wreszcie w oczy.

Dom, podobnie jak poprzednio, pachniał piżmem, ale tym razem nie zaprowadzono Hernanda przed oblicze Aben Humeyi. Gwardzista powiódł go do komnaty położonej w głębi budynku na pierwszym piętrze. U rzeźbionych drewnianych drzwi stało na straży dwóch arkebuzerów; tu zapewne król przechowuje resztę skarbu, którego nie wysłał do Algieru, pomyślał Hernando na widok przedsięwziętych środków ostrożności.

— Ty nazywasz się Ibn Hamid? — spytał ktoś za jego plecami. Hernando odwrócił się i ujrzał przed sobą bogato odzianego moryska. — Ibn Umajja wiele mi o tobie mówił. — Mężczyzna

wyciągnął do niego rękę na powitanie. — Jestem Mustafa Calderón, mieszkam w Ugíjar i jestem członkiem rady królewskiej. — Po tych słowach Mustafa wyjął pęk kluczy, który miał za pasem, i otworzył drzwi. — Masz tu tyle jęczmienia, ile tylko zapragniesz dla swoich koni — dodał, zapraszając go do środka szerokim gestem dłoni.

Skąd tu wzięło się zboże? Przecież to nie spichlerz. Zaskoczony chłopak zatrzymał się w progu.

Śmiechy Mustafy i trzech arkebuzerów nie zdołały rozproszyć jego zdumienia — w komnacie ujrzał około dwunastu stłoczonych młodych dziewcząt i małych dziewczynek oświetlonych promieniami słońca wpadającego przez umieszczone w górze małe okienko. Dziewczęta patrzyły na niego przerażone, chowając się jedna za drugą i cofając w głąb pomieszczenia.

— Król pragnie zatrzymać kosztowności i pieniądze, które mu jeszcze pozostały — wyjaśnił Mustafa, pociągając nosem. — Złoto łatwiej będzie transportować niż te niewolnice, które otrzymał w ramach podatku od łupów zdobytych na chrześcijanach... Poza tym monety nie jedzą! — Mustafa znów się zaśmiał. — Wybierz, którą chcesz, a potem sprzedaj na licytacji. Za zdobyte w ten sposób pieniądze kupisz wszystko, czego potrzebujesz, ale każdego miesiąca zdasz mi sprawę z wydatków. Sam bym ci tego nie zaproponował, ale król nalegał. Kazał ci powiedzieć, że jeśli chcesz jeździć konno u jego boku, musisz sprawić sobie nowe ubranie.

— Jak to... mam sprzedać dziecko?

— Sprzedasz ją od ręki — przerwał mu morysk. — Chrześcijanki są niezwykle pożądane w Algierze, mieście Turków i chrześcijańskich renegatów, którzy nie chcą żenić się z muzułmankami. Sami Turcy nie chcą! Posłuchaj — dodał, kładąc mu rękę na ramieniu — mężczyzna chrześcijanin może zostać wykupiony z niewoli przez braciszków z zakonu mercedarianów albo trynitarzy, którzy jeżdżą obładowani złotem do Berberów, ale niewolnica nigdy. Wśród niewielu praw, które rządzą życiem korsarzy, jest bezwzględny zakaz odsprzedawania kobiet. Oni za nimi przepadają!



— Ale... — zaczął Hernando, przyglądając się drżącym z przerażenia dziewczętom, które przepychały się jedna przez drugą, zbite w gromadkę.

— No już, bierz, którą chcesz — ponaglił go Mustafa. — Mamy posiedzenie rady razem z Turkami, więc nie mam za dużo czasu.

Jak on sprzeda małą dziewczynkę? Czy w ogóle ma pojęcie o...?

— Nie, nie mogę... — bronił się Hernando, gdy nagle ujrzał przed sobą płową czuprynę wystraszonej, brudnej dziewczynki. Jedna ze starszych dziewcząt wypchnęła ją bezceremonialnie na środek. — Ta! — krzyknął bez zastanowienia.

— Jest twoja! — zawyrokował Mustafa. — Zwiążcie ją i oddajcie chłopakowi — wydał polecenie gwardzistom, by chwilę później oddalić się pospiesznie. — Pamiętaj: oczekuję cię za miesiąc.

Jednakże Hernando nie słuchał już królewskiego doradcy. Stał ze wzrokiem utkwionym w swoją niewolnicę. Była to Isabel, siostra Gonzalica. Ciekawe, gdzie teraz podziewa się Ubajd? Przypomniała mu się scena, gdy młody mulnik wzniósł do góry rękę z wyrwanym sercem Gonzalica, by cisnąć je pod nogi siostrze.

Wkrótce znów znalazł się na ulicy obserwowany przez arkebuzerów i janczarów; w dłoniach trzymał koniec sznura, którym strażnicy skępowali dziewczynkę o płowych włosach. Stał w bezruchu, mając za plecami Isabel, urzeczony tysiącami refleksów, które słońce wydobywało z ludzi, i barw. Nigdy wcześniej nie zwrócił na to uwagi, dlatego więc teraz plac targowy jawił mu się w nowym świetle?

— Hej, chłopcze, co zamierzasz zrobić z tą ślicznotką? — pytano, podkpiwając sobie z niego.

Hernando nie odpowiadał. Dlaczego dał się nakłonić i zaakceptował ten kontrakt? Co teraz zrobi z Isabel? Sprzeda ją? Wspomnienie krwawej rzezi w Cuxurio i błagalne prośby Isabel mieszały mu się w głowie z tysiącami barw i zapachów, które przepełniały powietrze. Jak może ją sprzedać? Nie dość krzywd wyrządzono temu dziecku? Co ono zawiniło? W takim razie po co ją wybrał? Nawet się nad tym nie zastanowił! Sznur nagle się

naprężył i Hernando odwrócił się do Isabel: jakiś janczar próbował się jej przyjrzeć z bliska, więc zaczęła cofać się wystraszona.

Hernando postąpił krok w kierunku Turka, ale wspomnienie obciętej ręki sprzedawcy rodzynek powstrzymało go w pół drogi. Isabel zaczęła pochlipywać, a w jej szeroko otwartych oczach było błaganie o pomoc, zupełnie jak wtedy gdy Ubajd mordował w Cuxurio jej brata Gonzalica. Niechcący wpadła tyłem na arkebuzerów, którzy zamknęli jej przejście. Janczar zaczął gładzić płowe włosy dziewczynki.

— Odsuń się! — krzyknął Hernando. Puścił sznur i dobył szabli.

Nie zdążył nawet jej wznieść. Z zadziwiającą szybkością w rękę janczara znalazł się bułat i silne, szybkie ciosy posypały się jeden po drugim na szablę Hernanda, która wyfrunęła mu z rąk i poszybowała w powietrze. Hernando kilkakrotnie instynktownie machnął gołą ręką, podczas gdy Turcy zanosili się od śmiechu.

— Zostaw ją! — powtórzył niezmiuszony.

Janczar patrzył prosto w twarz Hernanda i jedną ręką gniótł ledwie zarysowane piersi Isabel. Bezwstydny błysk białych zębów w uśmiechu dołączył do tysięcy kolorowych lśnień na placu.

— Chcę tylko zobaczyć towar — powiedział żołnierz, sylabizując każde słowo.

Hernando zawahał się przez chwilę.

— A ja twoje pieniądze — wyjąkał. — Nie pokażesz, nie ma oglądania.

Niektórzy janczarzy przyklasnęli Hernandowi, zupełnie jakby chodziło o jakąś grę.

— Dobrze powiedziane! — wykrzyknęli, krztusząc się od śmiechu.

— Tak! Pokaż pieniądze...

W tym samym momencie arkebuzer, który zagroził drogę Isabel, a wcześniej zaprowadził Hernanda do domu stanowiącego siedzibę króla, szepnął kilka słów do ucha janczarowi. Turek słuchał go w milczeniu, po czym machnął ręką.

— Niewarta nawet dukata! — warknął i odepchnął od siebie dziewczynkę.

— Możesz za nią dostać ponad trzysta, chłopcze! — rzucił inny z janczarów.

Chwyciwszy ponownie sznur, Hernando skierował się do miejsca, gdzie wylądowała jego szabla, daleko za grupą janczarów, którzy śmiali się jego kosztem. Ruszył, ciągnąc za sobą Isabel i przeciskając się między stojącymi Turkami.

— Nie na wiele ci się zda ta stara szabla — krzyknęli za jego plecami, gdy schylił się, by podnieść broń — jeśli nie nauczysz się jej mocno trzymać w rękach!

Plac targowy: wrzaski, tłok, przeróżne barwy i wonie znów otwarły się przed Hernandem. Schował szablę do pochwy i wyprostował się. Co ja teraz zrobię z tą małą? — pomyślał, widząc, że kilku handlarzy podąża w jego kierunku.

# 17

Idź. Jesteś wolna.

Hernandowi udało się minąć plac, nie wdając się w dyskusje z handlarzami. „Już sprzedana! — odkrzykiwał, pociągając za sobą Isabel, by umknąć kupcom, którzy chcieli się jej przyjrzeć. — Nie dotykać!”. Potem musiał opędzać się przed osobnikami, którzy, widząc młodziutką chrześcijankę prowadzoną na sznurze, nagabywali ich natrętnie, uparcie szli za nimi i składali swoje oferty, nie znając ceny Isabel.

Gdy wreszcie dotarli na skraj miasta, przykucnęli za niewielkim parkanem oddzielającym pobliski gaj oliwny od drogi; Hernando rozwiązał ręce Isabel.

— Biegnij! — szepnął, rozplątawszy węzeł.

Dziewczynka drżała. Hernando również. Właśnie uwalniał niewolnicę, którą dostał od króla, żeby mieć czym nakarmić jego konie!

— Uciekaj! — rozkazał dziewczynce cichym głosem. Stała nieruchomo, nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa, w jej brązowych oczach kryło się przerażenie. — Uciekaj, mówię!

Popchnął ją, ale Isabel tym mocniej przywarła do kamiennego ogrodzenia. Hernando podniósł się z zamiarem pozostawienia jej pod murem.

— Dokąd? — spytała głucho Isabel.

— No... — Hernando poruszył rękami, jakby chciał coś powiedzieć. Wtedy rozejrzał się dookoła, spoglądając ku rysującym się w oddali góróm. Tu i tam płonęły ogniska. Grzali się przy nich żołnierze i moryskowie, którzy nie pomieścili się w Ugjár: większość ogni należała do wielkiej armii Aben Humeyi. — Nie wiem! Mam już dość problemów przez ciebie — rzucił z żalem. — Powinienem cię sprzedać i kupić paszę dla koni. Czym je nakarmię, jeśli puszcę cię wolno? Naprawdę chcesz, żebym cię sprzedał?

Dziewczynka nic nie odpowiedziała, ale nie przestała patrzeć na niego błagalnym wzrokiem. Hernando ponownie przykucnął, nakazując Isabel milczenie na widok nadchodzącej drogą grupy ludzi. Poczekali, aż przejdą. Co tu robić? — pytał się w duchu. Czym nakarmi zwierzęta? Co będzie, jeśli król się dowie?

— Zmiataj stąd, ale już! — krzyknął mimo rozterek, gdy tylko głosy morysków ucichły w oddali. Jak mógłby sprzedać siostrę Gonzalica? Nie udało mu się skłonić upartego dzieciaka, żeby wyrzekł się swej wiary. Nie przekonał go, że przecież chodziło o zwykłe kłamstwo! Przypomniał sobie teraz śpiącego spokojnie u jego boku małego chłopca, trzymającego go za rękę w ową ostatnią noc, nim Ubajd poderznął temu dziecku gardło i wyrwał serce. — Wynoś się, powiedziałem!

Hernando podniósł się i skierował z powrotem do miasta, starając się nie patrzeć za siebie, ale gdy zrobił kilkanaście kroków, wzięła w nim górę ciekawość i wrażenie, że... Szła za nim! Isabel szła za nim, bosa, obdarta, płacząca, ukazując w południowym słońcu swe potargane płowe włosy. Chłopak wyciągnął rękę, wskazując jej odwrotny kierunek, ale zatrzymała się tylko. Ponowił więc prośbę, by odeszła, a ona i tak uparcie podążała za nim.

Hernando się cofnął.

— Sprzedam cię! — krzyknął, odciągając ją od drogi i prowadząc z powrotem pod parkan. — Jeśli będziesz za mną szła, sprzedam cię. Sama widziałas: wszyscy chcą cię kupić.

Isabel płakała. Hernando czekał, aż się uspokoi, ale czas mijał, a ona wciąż płakała.

— Mogłabyś uciec — tłumaczył jej. — Mogłabyś poczekać, aż zapadnie noc i przekraść się między nimi.

— A potem? — spytała pośród szlochów. — Dokąd pójde potem?

Alpuhara pozostawała w rękach morysków, to musiał przyznać. Od Ugíjar aż do leżącej w odległości siedmiu mil Órgivy, gdzie stały obozem wojska Mondéjara, nie było żadnych chrześcijan. Również na przestrzeni czterech mil dzielących Ugíjar od Berji, gdzie stacjonował markiz de Vélez, nie znalazłby ani jednego chrześcijanina. Tereny te opanowane były przez morysków, którzy czujnie obserwowali najmniejszy ruch. Jak daleko mogła więc dojść mała dziewczynka, nim zostałaby zatrzymana? A jeśli ją zatrzymają... Jeśli ją zatrzymają, wyjdzie na jaw, że to on ją uwolnił. Nagle zdał sobie sprawę, że tkwi w sytuacji bez wyjścia, i westchnął ciężko.

Aby nie wracać przez plac targowy, okrążyli Ugíjar i skierowali się do domu Salaha. Hernando znów skrepował ręce Isabel, na wypadek gdyby po drodze na kogoś się natknęli. Co z nią zrobić? Przedstawić jako muzulmankę? Całe Ugíjar widziało jej płowe włosy, jasne i sypkie. Któż by jej nie rozpoznał? Jak się wytłumaczyć? Jak zamieszkać pod jednym dachem z chrześcijanką? Tak jak przewidywał, co rusz napotykali gromady morysków i żołnierzy, którzy nie przestawali patrzeć łakomym wzrokiem na brankę. Wreszcie dotarli do posesji, do muru, który ją okalał, od strony położonej najdalej od Ugíjar.

— Ukryj się — rzekł do Isabel, rozwiązawszy jej ręce. Dziewczynka rozejrzała się dookoła: nic tylko mur; a dalej płaskie pola. — Połóż się w rżysku, nie będzie cię widać. Rób, co chcesz, tylko się ukryj. Jak cię zobaczą... wiesz, co się z tobą stanie. — I ze mną też, dodał w myślach. — Przyjdę po ciebie. Nie wiem kiedy. Nie wiem też po co — mlasnął językiem i pokręcił głową — ale nie zostawię cię samej.

Okrążył mur, by wejść główną bramą, nie martwiąc się o Isabel. Odchodząc, zauważył, że zaledwie odwrócił się do niej plecami i zaczął się oddalać, dziewczynka przypadła do ziemi. Co z nią

zrobi? Zakładając nawet, że uda mu się rozwiązać ten problem, to co z paszą? Jak zdobyć jedzenie dla koni? Wkrótce nie będą mogły paść się na trawie wokół domu. Isabel! Kto mu kazał ją wziąć? Dlaczego nie wybrał innej? Na przykład tej, która wypchnęła Isabel, żeby ratować siebie. A czy tamtą by sprzedał?

Moryskowie od zawsze pomagali korsarzom berberyjskim w ich łupieżczych wyprawach na wybrzeża Morza Śródziemnego. Wśród korsarzy było wielu morysków, głównie wśród tych z Tetuanu, ale nie brakowało ich też wśród korsarzy z Algieru. Byli to ludzie urodzeni na ziemi Al-Andalus, którzy z pomocą krewnych lub przyjaciół zdobywali jeńców, by następnie sprzedać ich jako niewolników w Maghrebie, choć bywało, że za sowitą zapłatą puszczali ich wolno jeszcze na plażach andaluzyjskich, przed wypłynięciem do swych macierzystych portów. Ale problem ten dotyczył wybrzeży dawnego królestwa Nasrydów, nigdy górnej Alpuhary, gdzie niewolnicy bogatych morysków pochodzili zazwyczaj z Gwinei. Jednakże chrześcijanie zabronili im sprowadzać czarnoskórych niewolników. Wspominał mu o tym Hamid. Hernando nigdy nie sprzedałby nikogo ani nie dopomógłby w schwytaniu jakiegokolwiek chrześcijanina. Jakże więc miałby sprzedać dziewczynkę, nawet jeśli była chrześcijanką, wiedząc, jaki czeka ją los w rękach korsarzy lub janczarów? Delikatnie pogładził szablę, jak zwykł to robić zawsze na wspomnienie fakiha.

Zaabsorbowany tymi myślami minął kutą bramę prowadzącą do domu. A to co...? Co tam się dzieje? Kilkunastu żołnierzy berberyjskich rozmawiało na podwórku przed gankiem. Koło nich stały osiodłane konie i muły z jukami. Hernando poczuł, że nagle robi mu się słabo, żołądek wywraca się na drugą stronę, a zimny pot spływa po plecach.

Jeden z arkebuzerów z gwardii Aben Humeyi, ujrawszy go, ruszył mu na spotkanie. Hernando cofnął się mimo woli. Twarz żołnierza wyrażała zdziwienie.

— Ibn Hamidzie... — zaczął.

Czyżby dowiedzieli się już o Isabel? Przyszli go aresztować? Ubajd! Przy jednym z mułów dojrzał poganiacza z Narili.

— Co on tu robi? — spytał podniesionym głosem, wskazując na młodego mulnika.

Arkebuzer powiódł wzrokiem za ręką Hernanda i wzruszył ramionami. Ubajd zmarszczył brwi.

— Tamten? — zapytał arkebuzer. — Nie wiem. Przyszedł razem z kapitanem korsarskiego statku. Właśnie o tym chciałem powiedzieć. Kapitan i jego ludzie dołączyli do nas. — Hernando starał się nawet słuchać wyjaśnień żołnierza, ale jego uwaga skupiała się teraz tylko na Ubajdzie, który nie przestawał patrzeć na niego wyniośle. — Król zezwolił mu zakwaterować konie razem z naszymi, jako że mamy tu wystarczającą ilość paszy dla zwierząt.

— Tutaj? — wyrwało się Hernandowi.

— Tak powiedział król — odrzekł arkebuzer.

Pod Hernandem ugięły się nogi. Przez moment miał ochotę rzucić się do wyjścia. Uciec... albo wrócić tam, gdzie zostawił Isabel: znów ją związać i wreszcie sprzedać. Nie wydawało się to trudne.

— Ale jest jeszcze inny problem — ciągnął arkebuzer. Hernando zamknął oczy, bojąc się tego, co usłyszy. Co jeszcze mogło się stać? — Turek powiedział, że on i jego ludzie też zostają tutaj. W całym Ugijar nie ma już wolnych miejsc, a tu, uważa, jest dość miejsca. Twierdzi, że nie po to przybył pomagać nam w walce z chrześcijanami, żeby spać pod gołym niebem.

— Nie! — zaoponował Hernando. Jeszcze więcej ludzi! Do tego Ubajd. Za murem ukrywał chrześcijańską niewolnicę i nie miał ani ziarnka jęczmienia dla... raz, dwa, trzy, dla czterech nowych koni i takiej samej liczby mułów. — Niepodobna...

— Dogadał się już z gospodarzem. Kapitan i jego ludzie zajmą parter, a Salah z rodziną przeniosą się na ganek.

— Jak to dogadał się?

Arkebuzer się uśmiechnął.

— Kapitan powiedział, że jeśli handlarz nie odstąpi mu parteru, to on odgryzie mu nos i uszy, a potem przybije je na słupku na rufie swojego statku.



— Na... rufie?

— Tak powiedział — rzekł arkebuzer i znów wzruszył ramionami.

Po co pytał? Co go obchodzą uszy Salaha i to, gdzie je przybije turecki kapitan?

— Aresztujcie tamtego człowieka — rozkazał, wskazując na Ubajda. Arkebuzer spojrział na niego ze zdziwieniem. — Aresztujcie go! — powtórzył. — On... nie może przebywać w pobliżu królewskich koni — dodał, wymyśliwszy na poczekaniu wytłumaczenie.

Choć arkebuzer zdawał się nie pojmować całej sytuacji, pod wpływem tonu głosu Hernanda zawołał na swoich towarzyszy, lecz gdy ci ruszyli ku Ubajdowi, żołnierze berberyjscy zastąpili im drogę. Nie byli to janczarzy. Odziani podobnie jak moryskowie z Grenady, ale cera twarzy zdradzała, że nie są Arabami — nie ulegało wątpliwości, że to chrześcijańscy renegaci. Obie grupy stanęły naprzeciwko siebie: awantura wisiała w powietrzu. Ubajd zasłonięty przez Berberów stał z wzrokiem utkwionym w Hernanda.

— Gdzie ten Turek?! — zawołał Hernando, gdy arkebuzer odwrócił się do niego w oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

Morysk pokazał na dom. Hernando znalazł kapitana w jadalni, rozpartego na mnóstwie jedwabnych, wyszywanych złotogłowiem poduszek. Hernando nie miał wątpliwości, że Turek byłby zdolny odgryźć każde ucho, jakie mu się nawinie; był to korpulentny mężczyzna o regularnych i surowych rysach. Powitał Hernanda, mówiąc z takim samym akcentem, z jakim mówił ów blondyn, który najpierw chciał go potraktować sztyletem, a w końcu zakpił sobie z niego. Następny chrześcijański renegat!

Hernando nie odpowiedział na jego powitanie. Przyjrzał mu się tylko badawczo, po czym przeniósł wzrok na koniec krzepkiego ramienia mężczyzny, który palcami prawej dłoni gładził czuprynę małego chłopca w strojnych szatach siedzącego u jego stóp.

— Podoba ci się moje pacholę? — spytał korsarz, widząc zdziwienie w oczach Hernanda.

— Co...? — ocknął się z zamyślenia chłopak. — Nie! — zaprzeczył gorąco, energiczniej może nawet, niż zamierzał.

Spostrzegł, że korsarz uśmiechnął się i patrzy na niego lubieżnie. Co to za ludzie? — pytał sam siebie przerażony. Stał jak wryty, mając przed sobą kapitana korsarzy, który z jednej strony groził odgryzaniem uszu, z drugiej zaś pieścił czule włosy chłopca. W tej samej chwili, wiodąc za sobą Salaha, do izby wszedł drugi chłopiec, trochę starszy od siedzącego na ziemi, przyozdobiony równie bogato jak tamten: lniana, żółta *dżalaba* opadająca na szarawary i miękkie arabskie pantofle z czubem tego samego koloru. Każdy jego ruch cechowała pretensjonalność; podał kapitanowi kubek z lemoniadą i usiadł tuż koło niego.

— A ten, też ci się nie podoba? — spytał Turek, podnosząc kubek z lemoniadą do ust.

Hernando liczył na wsparcie Salaha, ale kupiec patrzył jak urzeczony na ową trójkę, nie mogąc oderwać od niej zapuchniętych małych oczek.

— Też nie — odpowiedział Hernando. — Żaden z nich mi się nie podoba. — Wszyscy trzej zdawali się rozbierać go wzrokiem. — Nie możesz tu zostać — uciał krótko, chcąc położyć wreszcie kres zaistniałej sytuacji.

— Nazywam się Barrax — rzekł korsarz.

— Pokój niech będzie z tobą, ale nie możesz zostać w tym domu.

— Mój statek nazywa się *Caballo Veloz*\*. To jeden z najszybszych okrętów korsarskich w Algierze. Spodobałby ci się.

— Być może, ale...

— Jak masz na imię?

— Hamid Ibn Hamid.

Kapitan podniósł się z wolna: był dwa razy wyższy od wszystkich obecnych; cały jego strój stanowiła prosta tunika z białego lnu. Hernanda kosztowało sporo wysiłku, by nie dać kroku w tył; Salah się cofnął. Korsarz ponownie się uśmiechnął.

---

\* Rączy koń (hiszp.).

— Odważny jesteś — przyznał — ale posłuchaj mnie uważnie Ibn Hamidzie. Zostanę w tym domu, dopóki wasz król nie wyruszy z miasta z wojskiem, i żaden parszywy morysk, nawet nie wiem jak chroniony przez Ibn Umajję, mi tego nie zabroni.

— Czekamy na mojego ojczyrna... i na Ibn Abbu! Tak! — dodał chaotycznie. — Są w Poqueirze. To kuzyn króla, *alguacil* w Poqueirze. Jak wróca, nie będzie miejsca...

— Wtedy kobiety z dziećmi mieszkające na górze będą musiały zwolnić piętro i oddać je szlachetnemu i walecznemu Ibn Abbu i twojemu ojczymowi.

— Ale...

— Spokojnie, ty również będziesz mógł z nami spać, Ibn Hamidzie.

Po tych słowach kapitan skierował się ku wyjściu, wiodąc za sobą obu chłopców, z których jeden rozsiewał złoty blask, drugi zaś krwistoczerwony.

— Ale twój poganiacz mułów nie może tu zostać — rzekł niespodziewanie Hernando. Kapitan zatrzymał się i rozłożył ręce w pytającym geście. — Nie chcę go tu widzieć — dodał chłopak, a słowa te miały starczyć za całe wyjaśnienie.

— Kto wówczas będzie dbał o moje konie i muły?

— Nie martw się o zwierzęta, my się tym zajmujemy.

— Zgoda — rzekł obojętnym tonem korsarz; nagle na jego twarzy zamajaczył lekki uśmiech i dodał: — Potraktuję to jako przysługę oddaną dzielnemu młodzieńcowi, Ibn Hamidzie. Będziesz moim dłużnikiem...



Nie miał zboża, a zwierzęta potrzebowały jedzenia. Nim nakazano Ubajdowi opuścić dom, ten zażądał jęczmienia. Hernando dowiedział się od Salaha, że Jednoreki przystał do Barraksa w Adrze, dokąd schronił się po zajęciu Paterny przez wojska markiza de Mondéjar. Korsarze, Berberowie i Turcy bez przerwy przybywali na wybrzeża Al-Andalus, wiedząc, że galery neapolitańskie są już blisko i że po ich przybiciu do brzegu lądowanie na

plażach andaluzyjskich okaże się znacznie trudniejsze. Wraz z przybyciem floty wojennej komandora Kastylii również nie będzie możliwe swobodne uprawianie kaperstwa wzdłuż wybrzeży hiszpańskich, dlatego wielu kapitanów statków korsarskich postanowiło szukać zysków na wojnie lub w handlu z moryskami. Barrax potrzebował koni i mułów do przewozu swojego dobytku, w tym głównie odzieży i innych rzeczy osobistych swoich pacholąt, jedynych uczestników ekspedycji korsarskiej upoważnionych do podróżowania z bagażami, dlatego też najął Ubajda; Jednoreki odzyskał dawną sprawność w obchodzeniu się z mułami i był doskonałym znawcą rejonu górnej Alpuhary.

Osobą, która doniosła Hernandowi o żądaniu paszy zgłoszonym przez Ubajda tuż po przybyciu, był Salah.

— To moja sprawa — odparł sucho Hernando, usiłując zbyć intruza.

Jak zdobyć jedzenie dla zwierząt? — zapytywał sam siebie chyba setny raz, gdy tylko spocony handlarz odwrócił się do niego tyłem.

Było południe i kobiety przygotowywały obiad, ale wraz z przybyciem Barraksa i jego ludzi rodzinna atmosfera panująca poprzedniego dnia znikła bez śladu: Aisza, Fatima i żona Salaha zasłoniły twarze i głowy, poruszając się po domu, w którym co rusz napotykały obcych ludzi. Fatima starała się zastąpić wczorajsze uśmiechy czułymi spojrzzeniami, którymi obdarowywała Hernanda dłużej, niż wymagała tego potrzeba chwili, toteż zarówno ona, jak i Aisza wkrótce zdały sobie sprawę, że z Hernandem dzieje się coś dziwnego.

— Co cię martwi, synu? — spytała Aisza, wykorzystując moment, gdy nikt nie mógł ich usłyszeć. Hernando pokręcił przecząco głową i zacisnął usta. — Twój ojczym nie wrócił, słyszałam twoją rozmowę z kapitanem. O co więc chodzi? — Widząc, że Hernando unika jej wzroku, dodała: — Nie martw się o nas. Raczej wątpliwe, żeby korsarz interesował się kobietami.

Nie słuchał jej dłużej. Pewnie, że kobiety nie interesowały

korsarza! Gdziekolwiek Hernando się ruszył, wszędzie ścigało go pożądlive spojrzenie Barraksa, nieważne, czy korsarz był sam, czy też głaskał jedno z tych swoich pacholąt. Robił to również podczas obiadu, nie spuszczać oka z Hernanda siedzącego naprzeciwko Salaha, zupełnie jakby to on właśnie miał być ulubionym pacholęciem korsarza. Wszyscy inni jedli na zewnątrz. Jak to powiedzieć matce, jeśli dotąd tego nie zauważyła? Jak wyznać jej, że od jakiegoś czasu ukrywa za murem ogrodzenia małą chrześcijankę, zapewne głodną i przerażoną, zdolną... Do czego byłaby zdolna Isabel? A jeśli opuści swoją kryjówkę i zostanie zatrzymana? Wtedy przyjdą po niego. Jak powiedzieć matce, że nie ma jęczmienia i że jeszcze tego samego wieczoru, najpóźniej jutro, ludzie Barraksa upomną się o to, co Aben Humeya przyrzekł kapitanowi? Jak powiedzieć matce, że nie wykonał królewskiego rozkazu i ukradł mu niewolnicę? Skoro mulnikowi z Narili odcięto rękę z powodu przywłaszczenia zwykłego krucyfiksu... to co zrobią jemu za kradzież chrześcijanki wartej trzysta dukatów?

— Ty drzysz, synu? — spytała Aisza, kładąc mu obie dłonie na policzkach. — Jesteś chory?

— Nie... matko. Nie martw się. Wszystko sam załatwię.

— Co trzeba załatwić? Co...?

— Nie martw się! — przerwał gwałtownie.



Całe popołudnie pracował przy obrządki zwierząt, kręcił się w okolicy muru, gdzie ukrywała się Isabel, ale nie udało mu się podejść na tyle blisko, żeby porozmawiać z nią choćby przez mur. Jusuf nie odstępował go ani na krok, uważny na każde skinienie, zaciekawiony, chętny do nauki i zadający nieustannie pytania dotyczące każdego rodzaju czynności wykonywanej przy zwierzętach.

Gdy znaleźli się blisko miejsca, gdzie powinna znajdować się Isabel, Hernando zwrócił uwagę Jusufa na czarne wargi koni ubrudzone ziemią.

— Wiesz dlaczego? — zapytał.

— Bo szukają korzeni — odpowiedział chłopiec, zaskoczony, że Hernando pyta go o rzeczy tak oczywiste.

— Bo nie ma jedzenia! — odrzekł Hernando głośno, udając, że patrzy gdzieś daleko poza murem. — Dzisiaj wieczorem nie będzie jedzenia! — krzyknął. — Trzeba wytrzymać do jutra!

— Ona już jadła — szepnął Jusuf. Hernando aż podskoczył z wrażenia. — Usłyszałem płacz i poszedłem zobaczyć, co się dzieje... — tłumaczył się chłopiec. — Dałem jej kawałek chleba. Nie martw się — dodał pospiesznie, widząc niepokój Hernanda. — Nie wydam cię.

Co będzie jutro? — pomyślał morysk. Poklepał serdecznie po buzi małego Jusufa i spojrzał na ołowiane niebo wiszące nad Sierra Nevada.



Tego wieczoru Fatima, za namową niespokojnej o syna Aiszy, podeszła, by zapytać, co go dręczy, a była przy tym tak słodka, że Hernando miał wrażenie, iż widzi jej twarz przez osłaniający ją nikab. Wyciągnął palce prawej dłoni ku chuście, żeby ją odsłonić, lecz spłoszył ich niespodziewany hałas.

— Co z jęczmieniem? — spytał Salah.

Pojawił się właśnie w momencie, gdy Fatima zamierzała odsłonić twarz. Pomimo swojej tuszy handlarz wślizgnął się bezszelestnie do izby, w której stała z Hernandem, gdyż stąd prowadziły schody do piwnicy, gdzie trzymał swoje skarby. Wychodząc pospiesznie, Fatima starała się ominąć grubego kupca, ale ten nie przepuścił takiej okazji, by nie dotknąć dziewczyny.

Hernando stał wciąż z palcami wyciągniętymi ku chuście, która nagle zniknęła, a w uszach brzmiał mu jeszcze słodki szept Fatimy.

— Zostaw ją! — krzyknął. — I skąd to nagłe zainteresowanie jęczmieniem? — odparował ostro, obserwując jednocześnie, jak Fatima omija Salaha i wbiega na piętro.

— Bo jęczmienia nie będzie. — Chytre oczka Salaha błyszczały w słabym świetle lampy zwieszającej się z sufitu nad pierwszym stopniem schodów. — Całe miasto mówi o pewnym młodym morysku ze starą szablą za pasem, prowadzącym na sznurze piękną młodą chrześcijankę podarowaną mu przez króla na zakup paszy.

— I?

— Dziewczyny tu nie ma, ale też jej nie sprzedałeś. Nikt w Ugjjar jej od ciebie nie kupił. Wiem to dobrze. — Hernando nie przewidział takiego obrotu spraw, a mimo to... Niespodziewanie poczuł się zupełnie spokojny! Znalazł rozwiązanie. Dręczący niepokój prześladowający go przez cały dzień znikł nagle bez śladu wobec obmyślonego naprędce planu. Salah ciągnął swój wywód z triumfalnym uśmiechem na ustach: — Złodzieju! Co z nią zrobiłeś? Zgwałciłeś, a potem zabiłeś? A może zatrzymałeś ją dla siebie? Warta jest spora sumkę. Oddaj mi ją, to cię nie zadencuncjuje. W przeciwnym razie... — zaczął mu grozić — doniosę o wszystkim królowi i zostaniesz stracony.

— Oczywiście, że ją sprzedałem — rzekł stanowczo Hernando. Spojrzał twardo na grubego, chytrego handlarza.

— Kłamiesz.

— Sprzedałem jednemu handlarzowi, jakiego znam w Ugjjar... Spodziewałem się uzyskać od niego dobrą cenę, ale niestety...

— Komu...? — Salah zawiesił głos, widząc, że chłopak sięga do szabli.

— Ale nie zapłacił mi ani grosza — mówił dalej Hernando z naciskiem — tak że teraz nie mam ani chrześcijanki, ani pieniędzy na zakup paszy dla królewskich koni.

Hernando wyjął szablę z pochwy i oparł ostrze o brzuch Salaha, który cofnął się z lekka w kierunku ściany; chłopak ścisnął mocno rękojeść; mięśnie ramienia napięły mu się jak stal: tym razem nie pozwoli wytrącić sobie broni z ręki.

— Kto ci uwierzy? — wybełkotał Salah, uświadamiając sobie z wolna, że chłopak zastawia na niego zasadzkę. — Twoje... twoje

słowo przeciw memu słowu; nie masz dowodów, że wziąłem od ciebie dziewczynę.

— Twoje słowo? — Hernando przymrużył oczy. — Nikt nie usłyszy już więcej twojego słowa.

Zamierzył się szablą na Salaha, by go przebić, gdy ten padł na kolana. Koniec szabli zatrzymał się na wysokości gardła, rozciąwszy ubranie.

— Nie! — błagał Salah. Hernando przyłożył mu sztych do grdyki i nacisnął. — Zrobię wszystko, co każesz, tylko daruj mi życie. Zapłacę ci! Zapłacę ci, ile zechcesz!

Handlarz wybuchnął płaczem.

— Trzysta dukatów — rzekł Hernando.

— Tak, zgadzam się. Trzysta dukatów. Jak sobie życzysz. Oczywiście.

Głośny lament kupca ustał. Hernando wparł mocniej czubek szabli w gardło.

— Tylko mnie oszukaj, a pożałujesz. Słowo Ibn Hamida. — Salah kilkakrotnie pokręcił przecząco głową. — Wstawaj i otwieraj piwnicę. Idziemy po pieniądze.

Zeszli po schodach. Hernando dotykał końcem szabli karku handlarza. Salah dość długo majstrował coś przy obu zamkach broniących dostępu do jego skarbów; plecami zasłaniał sobie światło padające z trzymanej przez Hernanda lampy.

— Na kolana! — krzyknął chłopak, jak tylko kupiec uchylił drzwi i pochylił się, by przestąpić próg. — Będziesz szedł jak pies.

Kupiec wykonał posłusznie rozkaz i wszedł do składziku na czworakach. Hernando zamknął drzwi jednym silnym kopnięciem. Przez chwilę rozglądał się. Salah ciężko sapał. — Kładź się krzyżem na podłodze. Jak zobaczę, że zrobisz najmniejszy ruch, zabiję cię. Gdzie druga lampa?

— Przed tobą, na skrzyni. — powiedział Salah i zakasłał na skutek wzbitego z podłogi kurzu.

Hernando znalazł lampę, zapalił knot; w słabym świetle płomienia ukazało się piwniczne wnętrze.

— Ty heretyku! — wybuchnął chłopak, gdy tylko jego oczy



przywykły do półcienia. — Kto by dał wiarę twoim słowom? — Madonny i krucyfiksy, kielich mszalny, szaty liturgiczne i ornaty, a nawet malutki ołtarzyk leżały w nieładzie obok starych beczek z żywnością, ubrań i gromady innych towarów wszelkiego rodzaju.

— Są dużo warte — usprawiedliwiał się kupiec.

Hernando stał przez chwilę w milczeniu, po czym dotknął lekko palcami stojącej blisko niego figury Matki Bożej z Dzieciątkiem. Tym razem uratowałaś mi życie, cisnęło mu się na usta. Gdyby nie wszystkie te wizerunki... jeden z nich już by nie żył.

— Gdzie masz dukaty? — spytał.

— W szkatułce na skrzyni, obok lampy.

— Siadaj — rzekł Hernando do kupca, wzięwszy lampę. — Wolno, wyprostuj nogi i rozstaw je szeroko — dodał, patrząc, jak kupiec z trudem usiłuje podnieść się z ziemi. — Odlicz trzysta dukatów i włóż do torby.

Gdy Salah skończył, Hernando odstawił szkatułkę na swoje miejsce, obok położył torbę z pieniędzmi.

— Zamierzasz je tu zostawić? — spytał ze zdziwieniem kupiec.

— Tak. Myślę, że nie ma lepszego miejsca na przechowywanie królewskich pieniędzy.

Zamknęli drzwi tak samo, jak je otworzyli. Hernando nie spuszczał handlarza z oka.

— Dawaj klucze, te największe — rzekł Hernando, gdy tylko Salah zdążył zamknąć oba zamki. — Dobrze — mówił dalej, mając klucze w ręku — teraz ostatnia rzecz: pójdziesz ze mną do dowódcy gwardii arkebuzerów. Jeśli się wygadasz, będę się bronił. Uwierzą mi albo nie, nie wiem, ale ty na pewno nie zdążysz się o tym przekonać, mając to wszystko w piwnicy. Zabiją cię bez wahania. Zrozumiałeś?

Kupiec stał bez słowa na podwórzu, słysząc, jak Hernando rozmawia z dowódcą arkebuzerów i nakazuje mu postawić straż przy wejściu do piwnicy.

— Tam znajdują się pieniądze króla — mówił. — Do środka możemy wchodzić tylko my dwaj, Salah i ja, razem. Gdyby któregoś dnia coś mi się przydarzyło, macie wywarzyć drzwi

i oddać wszystko królowi. Proś miłosiernego Pana — rzekł później do Salaha, gdy obaj weszli do domu — żeby mi się nic nie stało.

— Będę się za ciebie modlić — zapewnił go kupiec z ciężkim sercem.



Następnego ranka o świcie każdy z nich otworzył swoim kluczem jeden z dwóch zamków w drzwiach do piwnicy pod czujnym okiem gwardzisty pełniącym straż na szczytce schodów. Zaledwie znaleźli się w środku, Salah chciał pospiesznie zamknąć za sobą drzwi, lecz Hernando zostawił je celowo lekko uchylone, by handlarz musiał nasłuchiwać najmniejszego nawet dźwięku na schodach i drzeć, że ktoś jeszcze może odkryć jego tajemnicę. Hernando wyjął z woreczka kilka dukatów i wręczył je Salahowi.

— Pójdiesz kupić jęczmień i paszę — rzekł. — Tyle, żeby starczyło na kilka dni dla wszystkich zwierząt. Chcę mieć to wszystko do południa... i jeszcze jedno, potrzebuję porządnego ubrania...

— Ale...

— Takie jest życzenie króla. Wyobraź sobie, że moja cena poszła od wczoraj w górę. Potrzebuję też czarnego ubrania... nie, białego, dla kobiety... właściwie dla dziewczynki. — Uśmiechnął się. — I nikab, przede wszystkim nikab, potrzebuję go natychmiast. Z pewnością znajdziesz to wszystko... o tutaj — zakończył, wskazując ręką naokoło siebie.

Niedługo później Hernando opuszczał piwnicę w tunice z czerwonej i srebrnej tafty, i fioletowym przetykanym złotą nicią płaszczu wyszywanym perłami. Na głowie miał beret z niewielkim szmaragdem nad czołem, u pasa zwieszała się szabla Proroka. W rękę niósł ubrania dla Isabel, a na plecach nienawistne spojrzenie Salaha. Nocą snuł setki planów wyprowadzenia Isabel z okupowanych przez morysków ziem, ale każdy z nich odrzucał po namyśle, aż wreszcie... dlaczego by nie? Czyż nie udało mu się uporać z problemem paszy dla zwierząt? Jak dotąd instynkt go nie zawodził. W salonie natknął się na Barraksa i jego pacholeta.

Kapitan ustąpił mu drogi i oddał ukłon. Hernando przeszedł środkiem, przekazując im znak pokoju.

— Szafirami w kolorze twoich oczu napełniłbym ten beret, gdybyś tylko zechciał być ze mną! — krzyknął za nim korsarz.

Hernando aż zachwiał się z wrażenia, ale szybko odzyskał równowagę. Wyszedł na ganek i kazał Jusufowi przyprowadzić karego ogiera.

— Mam pilną sprawę do załatwienia, dotyczy króla — usprawiedliwił nagły wyjazd przed Fatimą i matką, które nie kryły podziwu dla jego wspaniałych szat.

Dosiadł konia, spiął go ostrogami i ruszył galopem spod domu, pędząc do Isabel.

— Włóż na siebie te rzeczy. — Dziewczynka, leżąc na ziemi dokładnie w tym samym miejscu, gdzie zostawił ją poprzedniego dnia, podniosła głowę dopiero, gdy końskie kopyta niemalże dotknęły jej czoła. — Rób, co mówię! — ponaglił ją, widząc jej wahanie. — A wy na co się gapicie?! — krzyknął na kilku żołnierzy, którzy znaleźli się w pobliżu.

Hernando dobył szabli i napał koniem na morysków. Połyskujący złotem fioletowy płaszcz powiewał nad zadem wierzchowca. Mężczyźni rzucili się do ucieczki.

— Pospiesz się — rzekł, wróciwszy do Isabel.

Dziewczynka nie miała gdzie się ukryć, więc zaczęła zdejmować z siebie odzież, kuląc się i usiłując zasłonić jakoś swoją nagość. Hernando stał odwrócony do niej tyłem, ale czas naglił. W każdej chwili mogli pojawić się nowi żołnierze.

— Gotowa? — Odwrócił się, nie usłyszawszy odpowiedzi, i zdążył pochwycić wzrokiem jej małe piersi. — Szybko! — Isabel wciąż szamotała się z ubraniem, którego nigdy przedtem nie nosiła. Hernando zsiadł z konia i zaczął jej pomagać, zdając się nie widzieć jej zarumienienia. — Nikab, nikab, zakryj dokładnie całą głowę!

Gdy wreszcie była już gotowa, posadził ją okrakiem na grzbiecie konia przed sobą, objął mocno w pasie i pognął galopem. Isabel chwiała się na wszystkie strony, nie mogąc utrzymać równowagi, ale nie skarżyła się. Hernando rozważał dwie drogi

ucieczki: Órgiva lub Berja, ale uznał, że nawet jeśli w tej ostatniej przyszłoby mu się spotkać z Diabłem z Żelazną Głową, to w drodze do Órgivy co rusz napotykać będzie morysków; Aben Abu i Brahim ze swymi ludźmi kontrolowali całą okolicę Válor, a niczego tak bardzo nie pragnął jak uniknięcia spotkania z ojczymem. Droga do Berji była mu dobrze znana: to ta sama droga, którą dwa miesiące wcześniej podążał do Adry. W odległości około pół mili od wybrzeża należało skrócić na wschód, ku Sierra de Gádor. Będąc już z dala od Ugíjar i wojsk Aben Humeyi, Hernando wstrzymał spienionego konia.

— Dokąd mnie wieszysz? — spytała Isabel.

— Do twoich.

Jechali jakiś czas klusem, nim Isabel znów zapytała:

— Dlaczego to robisz?

Hernando nie odpowiedział. Dlaczego? Może dla Gonzalica? Bo ożyło w pamięci wspomnienie ciepła jego małych rączek trzymających go kurczowo owej ostatniej nocy? A może przez wzgląd na więź, jaka łączyła go z Isabel, od czasu jak razem patrzyli na śmierć chłopca, a może po prostu dlatego, że nie chciał, by wpadła w ręce jakiegoś Berbera lub chrześcijańskiego renegata? Nie zastanawiał się dotąd nad tym. Po prostu działał... tak jak nakazywał mu instykt! Ale dlaczego? Mógł tylko napytać sobie biedy. Co takiego uczynili dla niego chrześcijanie, że bronili kogoś spośród nich? Isabel ponownie zadała mu pytanie, dlaczego to robi. Hernando trącił konia ostrogami, by przeszedł w galop. Dlaczego? — nalegała. Cmoknęła tylko na konia, który wyciągnął się w równym galopie. Mocniej chwycił Isabel w pasie, by nie spadła. Nie czuł jej ciężaru. Była przecież jeszcze małą dziewczynką. I właśnie dlatego to robił, pomyślał z satysfakcją, podczas gdy wiatr smagał mu policzki. Bo była zaledwie małą dziewczynką.

Żaden z morysków, których spotkali po drodze, nie próbował ich zatrzymać. Puszczali ich wolno, przyglądając się tylko z ciekawością dziwnej parze: postaci niewieściej z głową i twarzą osłoniętą nikabem, przytrzymywanej przez dumnego jeźdźcę odzianego w bogate szaty i z szablą u pasa, kłującego ostrogami boki konia.

Około południa dotarli w okolice Berji, miasta, w którym przy każdym domu był ogród, a nad całością górowało kilka wież obronnych. Ostatni odcinek drogi przebyli, jadąc stępą, by koń mógł wypocząć. Wtedy właśnie poczuł dotyk młodziutkiego ciała Isabel. Siedziała wygodnie oparta o niego. Suknię na brzuchu, w miejscu gdzie podtrzymawał ją jedną ręką, miała mokrą od potu. Hernando czuł twarde, napięte mięśnie dziewczynki.

Dojeżdżali do Berji. Pod miastem chłopcy pracowali na polach, część żołnierzy chrześcijańskich odpoczywała, a część zbierała paszę dla koni. Pojawienie się Hernanda oderwało żołnierzy od tych zajęć. Promienie południowego słońca padały pionowo na ziemię. Hernando zatrzymał karego konia, który parsknął, czując napięcie jeźdźcy, i zatańczył w miejscu. Czerwień jego sierści mieniła się w słońcu, podobnie jak płaszcz Hernanda... I podobnie jak zbroja markiza de Vélez oraz jego syna, don Diega Fajarda, stojących u bram miasta.

Hernando zsadził Isabel na ziemię w momencie, gdy kilku żołnierzy rzuciło się w jego kierunku z obnażoną bronią. Sam nie schodząc z rumaka, zdarł z głowy Isabel nikab. Jej jasne włosy rozsypały się na ramiona. Wtedy dobył szabli Proroka i przyłożył ostrze do karku dziewczynki. Nadbiegający żołnierze skłębili się w nieładzie, wpadając jeden na drugiego. Pierwszy szereg zatrzymał się jak wryty zaledwie o pięćdziesiąt kroków od Hernanda i Isabel.

— Biegnij, mała! Uciekaj! — zakrzyknął jeden z żołnierzy, nabijając arkebuz.

Isabel się nie poruszyła.

Hernando spojrzął w oczy markiza, obaj mierzyli się przez chwilę wzrokiem na odległość. Wreszcie Vélez zdał się rozumieć przesłanie moryska. Gestem ręki nakazał swoim ludziom, by się wycofali.

— Pokój z tobą, Isabel — pozdrowił ją na pożegnanie Hernando, gdy tylko żołnierze wykonali rozkaz swojego dowódcy.

Nawrócił konia i ruszył z powrotem galopem, wywijając szablą nad głową i wyjąc, jak to mieli w zwyczaju moryskowie, gdy atakowali chrześcijan.

# 18

*Doszła nas wieść, iż ruszyć ma na nas dwadzieścia dwa tysiące Maurów dobrze uzbrojonych, nas zaś nie więcej jak dwa tysiące. Ja sam biorę na się dwa tysiące i na mego konia drugie tyle. Cóż to jest dla naszej walecznej piechoty wziąć dziewięć tysięcy Maurów, i drugie dziewięć dla was, czcigodni kawalerowie, których ożywia wola walki i bezprzykładne męstwo odszcząca? Mamy także w zanadrzu wojenny ton naszych dźwięcznych piszczałek, których przeraźliwy szkiełk sprawić może, by upadły serca dodatkowych dziesięciu tysięcy morysków.*

GINÉS PÉREZ DE HITA, *Guerras civiles de Granada\**,  
mowa markiza de Vélez wygłoszona do żołnierzy.

Czy zdał się choć na coś trud bezsennych nocy dla ratowania Isabel? — zapytywał sam siebie Hernando, spoglądając z dala na mury Berji, gdzie niewiele ponad miesiąc wcześniej oddał jasnowłosą dziewczynkę w ręce markiza de Vélez. Wciąż jest w mieście? Jeśli tak, na nowo ją pochwyca... może nawet odkryją, że jej nie sprzedał.

Aben Humeya zdecydował się uderzyć na Berję pod wpływem nalegań morysków z granadyjskiego Albaicín, którzy jako warunek przyłączenia się do powstania stawiali pokonanie w walce krwawego markiza. Czas był po temu odpowiedni: wojska markiza

---

\* Wojna domowa w Granadzie.

były zdziesiątkowane przez masowe dezercje, a posiłki z Neapolu, które wraz z flotą królewską przed kilkoma dniami wylądowały na wybrzeżu andaluzyjskim, nie zdążyły jeszcze przybyć.

Czy w tej sytuacji ktokolwiek mógł mieć jeszcze wątpliwości co do zwycięstwa muzułmanów nad wojskami Diabła z Żelazną Głową?

Na rozkaz Aben Humeyi szturm miał być przypuszczony nocą, a właśnie zaczynało się zmierzchać. W olbrzymim obozowisku morysków rozłożonym na przedpolach miasta wrzało jak w ulu. Żołnierze gotowali się do walki. Szykowali broń, pokrzykiwali, śpiewali i polecali się opiece bożej. Ale pośród tych przygotowań i wrzawy wielu morysków, tak jak Hernando na karogniadym koniu, król i cały dwór, zwracało z niepokojem wzrok na blisko pół tysiąca żołnierzy trzymających się nieco na uboczu.

Byli to tureccy i berberyjscy *mujahidin* w białych koszulach narzuconych na zwykłe odzienie dla odróżniania się w ciemności, którzy przeświadczeni o zwycięstwie przystrajali sobie głowy girlandami z kwiatów, podobnie jak czynili to żołnierze hiszpańskich pułków piechoty. Haszysz krążył obficie wśród tych wojowników Allaha, którzy przysięgli umrzeć za swego Boga; im też przypadł w udziale zaszczyt rozpoczęcia szturm na miasto.

Ledwie Aben Humeya dał rozkaz do ataku, rzucili się na oślepe grupami ku murom. Oni mieliby nie wygrać? — rozważał w duchu Hernando. Wokół otaczały go krzyki i jęki, huk wystrzałów z arkebuzów, odgłosy bicia w bębny i dźwięki piszczałek. Cóż znaczyła jedna mała Isabel wobec tych bożych męczenników? Dreszcz przebiegł mu po plecach, podobnie jak całemu wojsku czekającemu z tyłu na rozkaz do ataku, a z piersi wyrwał się żarliwy okrzyk, gdy święci wojownicy zgnięli chrześcijan broniących dostępu do miasta. Aben Humeya pchnął wtenczas do ataku główne siły morysków.

Banici stojący obok Hernanda wydali okrzyk podobny do wycia i spięli konie ostrogami, pędząc jak wicher ku miastu. Hernando, dobywszy szabli, również gnał w frenetycznym galopie, wrzeszcząc jak oszalały.

Ale w małych uliczkach Berji nie sposób było walczyć. Hernando nie mógł nawet kierować koniem; ogromna liczba muzułmańskich żołnierzy, którzy wdarli się do miasta, wraz z końmi zatarasowała wszystkie przejścia między budynkami, tworząc ścisk nie do opisania. Hernando nie znalazł wroga, na którym mógłby wypróbować swą szablę. Wokół morze muzułmanów! Chrześcijanie czekali na nich przyczajeni w domach, w izbach i na płaskich dachach, skąd bezustannie strzelali. Nie musieli nawet celować! Wszędzie padali ludzie martwi lub ranni. Ulice wypełnił swąd prochu i saletry, a dymy wystrzałów z arkebuzów przesłoniły widok. Hernando ogarnął strach, ogromny strach. W mgnieniu oka zrozumiał, że podobnie jak inni jeźdźcy górował nad cizbą pieszych, był więc dobrym i łatwym celem dla chrześcijan, a zawadą dla morysków celujących z arkebuzów lub wypuszczających strzały z ulic ku dachom. Tracił konia ostrogami, by wydostać się z pułapki, ale koń nie był w stanie utorować sobie przejścia pośród napierającego tłumu. Ołowiana kula przeleciała mu tuż koło głowy. Usłyszał jej świst przecinający powietrze. Utrzymał się na koniu, modląc się gorąco, przytulony do jego karku. Nagle poczuł rozdzierający ból w prawym udzie; trafiła go strzała, która utkwiała powyżej kolana. Ból stawał się nie do zniesienia, gdy wojsko morysków rozpoczęło odwrót. Karogniady wierzchowiec o mało nie padł na ziemię, pchany przez gromady wycofujących się ludzi. Hernando nie panował nad koniem, na szczęście rumak sam się obrócił w cudowny sposób, wykonując pół obrotu, i porwany przez ludzką falę wraz z nią wydostał się z miasta.

Aben Humeja przypuszczał kolejne ataki przez całą noc. Obozowy cyrulik zmusił Hernanda do wypicia wody z haszyszem, i kazał czekać. Dopiero opatrzywszy innych rannych, podszedł do chłopca, naciął głęboko mięsień uda, wydobył strzałę i zręcznie zszyl ranę. Hernando zemdlął.

O brzasku Aben Humeja wstrzymał szturm i zarządził odwrót. Markiz de Vélez potrafił wykorzystać swoją pozycję strategiczną i stopniowo wypierał morysków z miasta. Hernando przyłączył się do szalonego galopu członków dworu królewskiego, mając zupełnie



bezwładną prawą nogę, na którą nie był w stanie włożyć ostróg. Gnał, zacisnąwszy usta, z trudem utrzymując się na koniu. Na polu walki pozostawiali półtora tysiąca poległych.

— Niechaj Prorok i zwycięstwo będą z tobą.

Tymi oto słowami żegnała go Fatima, gdy wyruszał do Berji. Było to pożegnanie wojownika!

Wojsko markiza de Vélez nie ruszyło za nimi w pościg — niedorzecznością byłoby wyjść w pole — toteż moryskowie ciągnęli z wolna ku górom sponiewierani i upadli na duchu. Hernando pozwolił koniowi iść swoim rytmem, razem z innymi wierzchowcami, sam zaś oddał się myślom o Fatimie, by zapomnieć o smrotnej porażce i przeszywającym bólu w nodze.

Po uwolnieniu Isabel, zanim Aben Humeja postanowił wyruszyć na Berję, Fatima zaczęła traktować Hernanda z coraz większą poufałością, bez urazy i strachu. Aisza opiekowała się Humamem i swoimi synami, Brahim zaś, który przyjechał tylko na chwilę do domu, gdzie mieszkała jego rodzina, by przekonać się o jej istnieniu, wciąż przebywał w Válor u boku Aben Abu; Barrax rozpustnie swawolił ze swymi pacholećmi, a Ubajd zaszył się gdzieś w mieście w oczekiwaniu na wezwanie kapitana. Salah chodził przybity utratą trzystu dukatów i kosztownych strojów, które zagarnął Hernando, bacznie wszelako strzegąc piwnic, w których zgromadził swoje skarby.

Fatima i Hernando łączyli się i wykorzystywali każdą chwilę, by pobyć razem. Gawędzili, przechadzali się i ocierając się lekko o siebie, wspominali w świetle dnia lub pod gwiazdzistym niebem przeżyte wspólnie zdarzenia z ubiegłych miesięcy. Podczas jednej z takich przechadzek Fatima wyznała mu całą prawdę o swoim mężu, młodym terminatorze, którego kochała raczej jak brata niż jak kochanka.

— Pamiętam go w naszym domu od najwcześniejszego dzieciństwa. Mój ojciec miał dla niego wiele sympatii... ja również. — Fatima spojrzała na Hernanda oczami, które zdawały się mówić coś jeszcze. Lecz on milczał. Fatima opowiadała dalej: — Był uprzejmy, czuły... Był dobrym mężem i uwielbiał Humama.

Dziewczyna westchnęła głęboko. Hernando czekał cierpliwie, aż znów zacznie mówić.

— Gdy zginął, opłakiwałam go. Tak samo jak wcześniej opłakiwałam mego ojca. Ale... — Fatima spojrzała nagle na Hernanda; jej czarne oczy płonęły intensywniej niż zwykle — teraz wiem, że istnieją też inne uczucia...

I słowa te przypieczętowała słodkim pocałunkiem. Ogarnięci niespodziewaną nieśmiałością zawrócili ku domowi, nie zamieniwszy już z sobą ani słowa. Na krótką chwilę zapomnieli o Brahimie i jego knowaniach, ale gdy tak szli w milczeniu, echo gniewnych słów mulnika na nowo rozbrzmiało w ich uszach. Jaki los czekałby Aiszę, gdyby jej mąż się dowiedział, że Fatima oddała się Hernandowi?

Tego samego dnia, w którym ogłoszono wymarsz wojska ku Berji, Fatima przyrządziła orzeźwiającą lemoniadę i zaniósła ją Hernandowi, który przygotowywał konie do drogi. Był wczesny ranek. Powietrze przepęniała nerwowa radość przed bitwą. Wśród śmiechów i chichotów Hernando podsadził dziewczynę na karogniadego. Czuł, że drżała, gdy ujmował ją w pasie i podnosił. Potem chciał jej pomóc zejść, lecz Fatima sama osunęła się prosto w jego ramiona i zanim postawił ją na ziemi, pocałowała go w usta. Jusuf wymknął się, spoglądając na nich ukradkiem. Hernando oddał namiętny pocałunek, przyciskając ją mocno do siebie. Czuł pożądanie i wiedział, że ona też go pragnie. Gdy wrócił do swoich zajęć, nawet nie zauważył, że matka i Fatima zniknęły gdzieś na resztę dnia.

Aisza oddała im na noc swój pokój z łóżem ozdobionym baldachimem, sama zaś położyła się spać z dziećmi. W ciągu dnia pożyczała stroje i biżuterię dla Fatimy głucha na wszelkie jej protesty. Kupiła odrobinę perfum i prawie całe popołudnie spędziła na przygotowaniach: najpierw wykapała Fatimę i na czarne włosy nałożyła hennę zmieszaną ze słodką oliwą z oliwek, aż uzyskały czerwony odcień połyskujący w każdym loku. Potem pokropiła ją perfumami z kwiatu pomarańczy. Z pozostałej henny wykonała kunsztowny tatuaż na dłoniach i stopach dziewczyny, pokrywając je wzorami w formie małych figur geometrycznych. Fatima pod-

dawała się tym zabiegom, to śmiejąc się, to znów kryjąc wzrok. Następnie Aisza przemyśla jej oczy sokiem przygotowanym z jagód mirtu i sproszkowanego antymonu, a uczyniwszy to, ujęła ją za podbródek i nakazała nie ruszać się tak długo, aż wielkie czarne oczy dziewczyny pokryły się jasnym, błyszczącym cieniem. Potem nałożyła na nią tunikę z białego jedwabiu wyszywaną perłami i rozciętą wzdłuż boków; uszy ozdobiła kolczykami, a nadgarstki i kostki u nóg bransoletami ze złota. I dopiero wtedy gdy chciała założyć jej naszyjnik, dziewczyna sprzeciwiła się łagodnie i odmówiła zdjęcia amuletu z ręką Fatimy, który połyskiwał na jej piersi. Aisza pogłaskała wyciągniętą drobną dłoń i nie nalegała więcej. Przygotowała świece i poduszki. Napełniła misę czystą wodą, postawiła lemoniadę, winogrona, suszone owoce i miodowe ciasteczka, które kupiła na targu.

Staraj się nie poruszać, poprosiła Aisza, gdy Fatima chciała jej pomóc. Jakiś ledwie dostrzegalny cień smutku przemknął po twarzy dziewczyny.

— Co ci jest? — zaniepokoiła się Aisza. — Nie...? — Nie jesteś zdecydowana?

Fatima spuściła oczy.

— Jestem — odrzekła w końcu. — Kocham go. Ale nie wiem, czy...

— Mów.

Fatima podniosła głowę i wyznała:

— Salvador, mój mąż, lubił kochać się ze mną. Staralam się, jak mogłam, by go zadowolić, ale... — Aisza słuchała w milczeniu. — Ale nigdy nic nie poczułam. Był dla mnie jak brat! Razem wyrosliśmy w warsztacie mego ojca.

— Z Hernandem będzie inaczej — zapewniła ją Aisza. Dziewczyna popatrzyła na nią pytającym wzrokiem, który zdawał się mówić, że pragnie zawierzyć jej słowom. — Sama poczujesz, kiedy to nastąpi. Pożądanie sprawi, że twoje ciało przeniknie słodkie drzenie. Hernando nie jest twoim bratem.



Po wieczornej modlitwie Aisza poszła po Hernanda na ganek i bez żadnych wyjaśnień kazała mu iść z sobą na piętro. Salah z rodziną obserwowali, jak nalegała, by z nią poszedł; niedługo później Barrax i jego pacholeta widzieli ich idących na górę przez otwarte drzwi jadalni, w której cała trójka sypiała. Kapitan westchnął z żalem.

— Przyrzekła na ciebie czekać — oznajmiła Aisza, stanąwszy w drzwiach sypialni. Hernando chciał coś powiedzieć, ale wykonał tylko niezdamny ruch ręką. — Synu, nie chcę, byście przeze mnie nie mogli się kochać... Wejdz. — Aisza pociągnęła go lekko, ujmując jego rękę w nadgarstku, i uchyliła drzwi. Hernando chciał ją przytulić, ale matka się cofnęła. — Daj spokój, synu. Teraz przytul Fatimę. To dobra kobieta... i będzie dobrą matką.

Hernando nie odważył się przestąpić progu. Zatrzymał się w drzwiach jak urzeczony. Fatima oczekiwała go, stojąc obok poduszek rozłożonych wokół naczyń z wieczerzą.

— Wejdz! — szepnęła mu do ucha matka, popychając lekko do środka, by móc zamknąć drzwi.

Drzwi się zamknęły, a on w dalszym ciągu stał nieruchomo. Migotliwe światło świec pieściło kobiece kształty spowite tuniką, nadawało blasku perłom zdobiącym brzegi szaty, włosom, złotym ozdobom, tatuażom na dłoniach i stopach, i oczom. Dokoła unosił się orzeźwiający zapach kwiatu pomarańczy.

Z uśmiechem na ustach Fatima sięgnęła po misę z wodą i podała ją Hernandowi. Wyszepawszy ledwie słyszalne słowa podziękowania, obmył się nerwowo. Następnie dziewczyna poprosiła, żeby usiadł. Hernando, nieco speszony, oderwał wzrok od jej piersi kołyszących się pod jedwabiem, nie śmiał jednak spojrzeć w przepastne czarne oczy Fatimy. Wreszcie usiadł i pozwolił sobie usługiwać. Jadł i pił, nie mogąc powstrzymać drżenia rąk ani przyspieszonego oddechu.

Skończyły się rodzinny. Skończyły się też suszone owoce i lemoniada. Raz i drugi w rozcięciach jedwabnej tuniki prześwitywało nagie ciało dziewczyny, ale Hernando zawstydzony uciekał gdzieś wzrokiem, jakby chciał oddalić tę nieuchronnie

zbliżającą się chwilę. Nic nie pamiętał ze swojego jedyne jak dotąd obcowania z kobietami! Zamierzał właśnie sięgnąć po kolejne miodowe ciasteczko, gdy usłyszał wyszeptane swoje imię:

— Ibn Hamidzie.

Wtedy spojrzął na stojącą przed nim dziewczynę. Fatima zdjęła tunikę. Hernando wstrzymał oddech porażony pięknem połyskującego ciała. Duże, jędrne piersi poruszały się rytmicznie, unoszone falą pożądania, którego dziewczyna nie chciała dłużej ukrywać.

„Sama się o tym przekonasz”, powiedziała Aisza.

— Chodź — wyszeptła ponownie po kilku chwilach, kiedy w pokoju słychać było tylko przyspieszone oddechy obojga.

Hernando wstał i podszedł do niej. Fatima ujęła jego dłoni i poprowadziła ją ku swym piersiom. Hernando dotknął ich czule, po czym uszczypnął delikatnie jeden z nabrzmiiałych sutków. Wytrysnęło mleko. Fatima jęknęła. Znów nacisnął, tym razem nieco mocniej. Strumień ciepłego mleka spryskał mu twarz. Obydwoje się roześmiali, a ona pokazała mu, co ma robić. Hernando pochylił głowę i zaczął ssać nektar z piersi, jednocześnie przesuwając dłońmi po plecach ku jędrnym pośladkom. Fatima zdjęła z niego ubranie, nie przestając obsypywać go miękkimi i zmysłowymi pocałunkami. Wstrząsnął nim dreszcz, gdy wargi dziewczyny dotknęły naprężonego członka. Poprowadziła Hernanda do łoża, spragniona rozkoszy, której nigdy nie zaznała ze swoim mężem. Tymczasem niedoświadczony Hernando myślał tylko o tym, by ją osiąść. Przypomniała sobie jedną z rad szajcha Nefzawiego z Tunisu, którą kobiety przekazywały sobie nawzajem, i wyszeptła do ucha leżącemu na niej Hernandowi, kiedy gorączkowo usiłował wprowadzić penisa do pochwy:

— Będę się z tobą kochać dopiero wtedy, gdy złączysz bransolety na moich kostkach z moimi kolczykami.

Hernando powstrzymał gwałtowne ruchy. Podniósł się, uwalniając dziewczynę od ciężaru swego ciała. Co powiedziała? Zbliżyć kostki do uszu? Popatrzył na Fatimę pytającym wzrokiem, a ona uśmiechnęła się filuternie, unosząc nogi. Wszedł w nią delikatnie,

wysłuchany w jej szept: „wolniej, kocham cię, wolniej, kochaj mnie...”, i gdy ich ciała złączyły się w jedno, Fatima wydała okrzyk, który przerwał magiczną chwilę, a Hernando dostał gęziej skórki. Jej słowa mieszały się teraz z głośnymi westchnieniami i pojękiwaniami, w rytm których Hernando wchodził w nią coraz głębiej. Orgazm osiągnęli jednocześnie i ucichli, oddając się ekstazie. Kiedy Hernando otworzył oczy, zobaczył twarz Fatimy między rozchyłonymi nogami: usta miała mocno zaciśnięte, powieki zamknięte, jakby chciała zatrzymać przeżyty rozkosz.

— Kocham cię — rzekł Hernando.

Fatima uśmiechnęła się, nie otwierając pięknych, czarnych oczu.

— Powiedz to jeszcze raz — szepnęła.

— Kocham cię.

Noc upłynęła im na pocałunkach, radosnych śmiechach, pieszczotach, grach miłosnych i tysiącu przysięg. Kochali się jeszcze kilkakrotnie i Fatima odkryła nareszcie sens starych praw rządzących sztuką miłości. Każdy centymetr jej ciała chłonał najłżejszą pieszczotę, a duch czerpał przyjemność ze zmysłów. Hernando podążał jej śladem, odkrywając niezmierny świat doznań uwiecznionych spazmami miłosnej ekstazy. Wzajemnym przysięgom i obietnicom nie było końca.



Klęska pod Berją nie zmieniła sytuacji. Po bitwie markiz de Vélez wycofał się na wybrzeże w oczekiwaniu na posiłki. Don Juan de Austria ograniczył się do wzmocnienia posterunków na obrzeżach Alpuhary, takich jak Órgiva, Guadix czy Adra, stąd Aben Humeya bez przeszkód zagarniał coraz to nowe tereny Alpuhary. Zdobywszy Purchenę, zorganizował tam pełne przepychu igrzyska. Były więc zawody taneczne w parach mieszanych i między kobietami, konkursy śpiewu i poezji, walki pieszych, konkursy w skokach, podnoszeniu ciężarów, rzucaniu kamieniami i strzelaniu do celu z arkebuzów, kusz i proc. W zmaganiach tych moryskowie z Al-Andalus, Turcy i Berberowie rywalizowali między sobą

zarówno o serca dam, jak i o cenne nagrody dla zwycięzców: konie, szaty wyszywane złotogłównem, szable, wieńce laurowe oraz dziesiątki eskudów i dukatów w złocie.

Czas rekonwalescencji upływał tymczasem Hernandowi w Ugíjar, gdzie mógł cieszyć się swą miłością. Aisza i Fatima nie pociągnęły za wojskiem. Pozostały w domu razem z Salahem i jego rodziną. Jako że króla nie było w mieście, Hernando wymógł na miejscowym woźnym sądowym, by postawił jakiegoś moryska na straży przy zejściu do piwnicy. Pozostała tam jeszcze część skarbu królewskiego, o który w każdej chwili Aben Humeya mógł się upomnieć.

Mały Jusuf natomiast, nie chcąc odstępować mułów, które wojsko zabrało z sobą, maszerował wraz z armią i przysyłał Hernandowi okresowo wiadomości o rozwoju sytuacji. Hernando czerpał prawdziwą radość z pobytu w domu. Nieobecność Brahima sprawiła, że zapanowała atmosfera błęgiego spokoju: Aisza opiekowała się synem i otaczała go bezgraniczną miłością, Fatima zaś pielęgnowała troskliwie. Po owej miłosnej nocy poprzedzającej wyprawę Hernanda na wojnę ich kontakty musiały ograniczyć się do pożądliwych spojrzeń i ukradkowych pieszczot.

Aisza wyjaśniła wszystko obojgu po powrocie syna z Berji. Nikt nie znał się na prawach rządzących miłością lepiej od kobiet.

— Powinniście się pobrać — powiedziała, starając się odsunąć od siebie myśli o przykrych konsekwencjach, jakie mogła ponieść w związku z ich ślubem.

Obydwoje potwierdzili swą wolę spojrzeniami, jednakże twarz Hernanda zasnęła się cieniem.

— Nie mam pieniędzy na idak. Co dam jej w ślubnym podarunku...? — zawiesił głos. A dukaty Aben Humei? Popatrzył w głąb domu, ale Aisza natychmiast odgadła jego myśli.

— Najpierw musiałbyś prosić o pozwolenie króla. To jego pieniądze. Sam będziesz musiał zadbać o jej posag, bo na ojczyźnie nie możesz liczyć. Ty zaś — rzekła, zwracając się do Fatimy — jesteś wolną kobietą. Po śmierci męża wypełniłaś przepisy naszego

prawa i przez cztery miesiące i dziesięć dni zachowałam iddę\*. Dobrze to obliczyłam — dodała, widząc, że obydwójce zaczynają rachować minione dni. — Wprawdzie nie przebywałam w czasie iddy w domu małżonka, ale uniemożliwiły to okoliczności wojenne i zajęcie Terque przez wojska markiza. A co się tyczy idaku — ciągnęła, zwróciwszy się teraz z kolei do Hernanda — masz trzy miesiące na jego zdobycie. Obcowaliście z sobą w łożu przed zawarciem małżeństwa, a więc nie możecie pobrać się wcześniej niż po upływie trzech pełnych cykli płodności, chyba że... — Aisza mlasnęła językiem. — Gdyby okazało się, że jesteś brzemienna, nie moglibyście się pobrać aż do rozwiązania. Przez ten czas nie możecie z sobą spać. Prawo tego zakazuje. Nikt nie zgodzi się zostać świadkiem na ślubie ciężarnej kobiety. Pamiętaj, synu: masz trzy miesiące na zdobycie posagu.

Uprawianie miłości oznaczałoby konieczność przesunięcia daty ślubu. Na szczęście menstruacja pojawiła się w normalnym terminie. Czekają ich jeszcze trzy miesiące abstynencji, co nie było takie proste ani dla niego, ani dla niej.

Jeśli chodzi o idak, Hernando postanowił zwrócić się z prośbą do króla, gdy tylko zagoi się rana w nodze. Jeśli ktoś mógł mu pomóc, to tylko Aben Humeya, człowiek, który nauczył go jeździć konno i podarował mu wierzchowca. Czyż nie okazywał mu w przeszłości swego uznania? Hernando, ku swej zgrzyocie, zaczynał mieć jednak pewne wątpliwości. Wszędzie chodziły słuchy o upadku moralnym króla. Hernando nie wiedział jeszcze, że czas gra na jego niekorzyść.



Niestety, owe pogłoski okazały się szczerą prawdą: nieograniczona władza i bogactwa obficie płynące do skarbcza zmieniły króla w tyrana. Owładnęła nim niepohamowana chciwość, nie istniało w Alpuharze gospodarstwo, którego by nie ograbił; zatracił

---

\* W prawie muzułmańskim okres, który musi upłynąć, zanim wdowa lub rozwódka ponownie wyjdzie za mąż.



się w rozpuście i wyuzdaniu, do których zresztą zawsze zdradzał skłonności, mając tyle kobiet, ile tylko zapragnął, i biorąc je sobie wedle własnego życzenia. Jako granadyjski szlachcic pochodzący z wielkiego rodu nie dowierzał Turkom i Berberom; kłamał, zdradzał i coraz okrutniej obchodził się ze swymi ludźmi. Swoim postępowaniem przysporzył sobie wrogów wśród najlepszych dowódców. Buntowali się Nacoz w Bazie, Maleque w Almuñécar, Gironcillo w Vélez, Garral w Mojácar, Portocarrero w Almanzorze i oczywiście Farax, główny rywal do korony.

Los chciał jednak, że to kobieta stała się przyczyną upadku Aben Humeyi. Król zapragnął wdowy po Vicencie de Rojas, bracie swego teścia Miguela de Rojas, którego kazał zamordować w Ugjjar, zanim rozwiódł się z jego córką. Wdowa była kobietą niezwyklej urody, ponadto znakomitą tancerką i mistrzynią gry na lutni. Zgodnie z obyczajem starania o jej rękę rozpoczął kuzyn zmarłego męża, Diego Alguacil z rodziny Rojas, cichy oponent króla. Aben Humeya starał się trzymać Diega Alguacila z dala od domu, co rusz zlecając mu ważne misje w odległych zakątkach Alpuhary. I otóż wróciwszy z jednej z takich wypraw, Diego dowiedział się, że król zniewolił piękną wdowę i uczynił z niej swą nałożnicę.

Upokorzony Diego Alguacil uknuł plan pozbycia się Aben Humeyi.

Król nie umiał pisać, dlatego też wszystkie rozkazy kierowane do dowódców rozsianych po całej Alpuharze były redagowane, a nawet podpisywane w jego imieniu przez bratanka Diega Alguacila, a więc tym samym spokrewnionego z rodziną Rojas.

Zdarzyło się onego czasu, że Aben Humeya uwolnił się od uciążliwych i aroganckich Turków i Berberów, wysyłając ich na pomoc wojsku Aben Abu walczącemu w okolicach Órgivy. Diego Alguacil dowiedział się od swego bratanka o pewnym piśmie, które król kierował do Aben Abu. Diego pochwycił królewskiego posłańca, zabił go, po czym wspólnie ze swym bratankiem spreparowali nowy list, w którym król rozkazywał Aben Abu wymordowanie wszystkich walczących u jego boku Turków i Berberów.

Diego Alguacil osobiście doręczył pismo Aben Abu, który nie potrafił opanować wzburzenia Turków, głównie Husceina, Caracaksa i Barraksa. Aben Abu, a wraz z nim Brahim, Diego Alguacil, Turcy i kapitanowie statków korsarskich bezzwłocznie wyruszyli do Laujar de Andarax, gdzie zastali Aben Humeyę w gospodzie Cotón.

Żaden z trzystu morysków stanowiących gwardię przyboczną króla nie zatrzymał Aben Abu i jego towarzyszy, gdy wchodzili do obozu. Oporu nie stawiało też dwudziestu czterech arkebuzerów trzymających straż wewnątrz budynku, którzy pozwolili, by Turcy kopniakami wyważyli drzwi do sypialni królewskiej. Szczerze nienawidziło króla nawet najbliższe mu otoczenie.

Aben Abu, Turcy i Berberowie zaskoczyli Aben Humeyę w łóżku z dwiema kobietami. Jedną z nich była piękna wdowa z rodziny Rojas.

Aben Humeya zaprzeczył treści pisma, ale jego los był już przesądzony. Aben Abu i Diego Alguacil oplątali mu szyję sznurem i zaczęli ciągnąć każdy za swój koniec, aż pozbawili go życia. Następnie rozdzielili między siebie jego kobiety i kosztowności.

W obliczu śmierci Fernando de Valor, król Grenady i Kordoby, wyrzekł się nauczania Proroka i wykrzyknął, iż umiera w wierze chrześcijańskiej.

# 19

„Nie mogłem pragnąć więcej, ni przystać na mniej”. Oto słowa, które Aben Abu, ogłosiwszy się królem Al-Andalus, kazał umieścić na swym czerwonym sztandarze. Podobnie jak jego poprzednik monarcha ukazał się swemu ludowi przyodziany w szkarłat, z obnażoną szablą w prawej ręce i sztandarem w lewej. Z wyjątkiem Portocarrera wszyscy dowódcy stojący w opozycji do Aben Humeyi złożyli przysięgę wierności nowemu królowi, który najwyższe stanowiska w wojsku powierzył Turkom. Skarb i niewolnice należące niegdyś do Aben Humeyi zostały wysłane do Algieru. Tam zakupiono za nie broń, którą następnie Aben Abu odstąpił moryskom po symbolicznej cenie i stworzył oddziały liczące sześć tysięcy arkebuzerów. Niezależnie od prawa wszystkich walczących do części zdobytych łupów król ustanowił dla Turków i Berberów miesięczny żołd w wysokości ośmiu dukatów, a dla morysków darmowy prowiant. Mianował też nowych dowódców i starostów, którym przydzielił poszczególne okręgi na terytorium Alpuhary, zobowiązując ich do utrzymywania w ciągłym pogotowiu załóg na wieżach obronnych, które za dnia miały porozumiewać się sygnałami dymnymi, nocą zaś systemem ogni. Tym sposobem załogi miały przekazywać sobie informacje o każdym podejrzanym ruchu, a także czuwać, by nikt niepowołany nie prze-

niknął na teren królestwa. Kastrat Aben Abu zamierzał dokonać tego, czego nie udało się osiągnąć jego kapryśnemu poprzednikowi: pokonać chrześcijan.



Hernando otrzymał wiadomość o egzekucji Aben Humeyi. Na dźwięk imienia nowego króla — Aben Abu Ibn Abbu — nogi się pod nim ugięły, a plecy oblały się zimnym potem. Salah, który przysłuchiwał się relacji posłańca, zaczął ważyć w myślach, co przynieść może zmiana władzy.

Hernando pobiegł szukać Aiszy i Fatimy, które odnalazł w kuchni zajęte przygotowywaniem posiłku wraz z żoną handlarza.

— W drogę! — krzyknął. — Uciekamy!

Kobiety spojrzały na niego ze zdziwieniem.

— Ibn Umajja zamordowany — wyjaśnił naprędce. — Nowym królem został Ibn Abbu, a przy nim jest... Brahim! Przyjedzie tu po nas. Przyjedzie po Fatimę! Jest teraz zastępcą króla, jego przyjacielem i zaufanym człowiekiem.

— Brahim jest moim mężem — rzekła głucho Aisza. Popatrzyła na Fatimę i swego syna i oparła się bezsilnie o kuchenną ścianę. — Uciekajcie wy.

— Jeśli to zrobimy — odezwała się Fatima — Brahim cię zabije!

— Jedź z nami, matko. — Aisza pokręciła przecząco głową. Łzy napłynęły jej do oczu. — Matko... — powtórzył błagalnie Hernando.

— Nie wiem, co zrobi Brahim, jeśli was nie zastanie: zabije mnie albo i nie — wyszeptwała, usiłując opanować drżenie głosu — wiem natomiast, że umrę za życia, jeśli nie uciekniecie. Nie zniosłabym widoku, jak... Uciekajcie, błagam, do Sewilli, do Walencji... do Aragonii! Uciekajcie od tego szaleństwa. Mam jeszcze innych synów. Nie może mnie zabić! Nie zrobiłam nic złego! Prawo tego zabrania. Nie może winić mnie za to, co zrobicie...

Hernando chciał ją przytulić, ale Aisza wyprężyła się jak struna i nie pozwoliła się dotknąć.

— Nie możesz ode mnie żądać, bym opuściła twoich braci. Są młodszy od ciebie. Potrzebują mnie.

Hernando aż wstrząsnął się na myśl, co mogło grozić matce ze strony rozwścieczonego Brahima. Aisza spojrzała na Fatimę błagalnym wzrokiem, szukając u niej wsparcia. Dziewczyna zrozumiała.

— Idziemy! — rzekła stanowczo i wypchnęła Hernando z kuchni. Za progiem odwróciła głowę i spojrzała smutnie na Aiszę, która odpowiedziała jej wymuszonym uśmiechem. — Przygotuj wszystko — zwróciła się do Hernando. — A widząc, że chłopak stoi wciąż jak osłupiały, nie mogąc oderwać wzroku od matki, potrząsnęła nim gwałtownie. — Szybko! Ja zajmę się Humamem.

Przygotować wszystko? Widział, jak Fatima bierze dziecko na ręce. A niby co miał przygotować? Jak dotrą aż do Aragonii? A matka? Co z nią się stanie?

— Słyszalesz, co powiedziała? — spytała podenerwowana Aisza, stając w drzwiach. Hernando chciał zawrócić i podejść do niej, ale matka była nieustępliwa. — Uciekaj! Czy ty nic nie rozumiesz? Najpierw zabije ciebie. Kiedyś, gdy będziesz miał własne dzieci, zrozumiesz powody mojej decyzji, decyzji matki. Jedź już, proszę!



„Nie mogłem pragnąć więcej, ni przystać na mniej”. Brahim wyniesiony na szczyty władzy przez człowieka, którego uratował od pewnej śmierci, również skorzystał z dobrodziejstw tej dewizy.

Hernando zaskoczono w piwnicy razem z Salahem, w momencie gdy zabierał z sobą resztę pieniędzy pozostałą z trzystu dukatów uzyskanych od kupca. On i Fatima potrzebowali ich teraz bardziej niż nieszczęsny Aben Humeya. Hernando i kupiec byli właśnie w piwnicy, gdy w domu dały się słyszeć podniesione głosy żołnierzy Brahima. Obaj zamarli. Chwilę później usłyszeli kroki mężczyzn zbiegających na dół po schodach prowadzących do domowego skarbcza.

Jednym silnym kopnięciem ktoś otworzył przymknięte drzwi. Do piwnicy wpadło pięciu uzbrojonych w szable mężczyzn. Ten,

który wyglądał na ich dowódcę, miał właśnie coś powiedzieć, gdy nagle zaniemówił z wrażenia na widok tyłu przedmiotów chrześcijańskiego kultu zgromadzonych w jednym miejscu. Stojący za nim towarzysze również wpatrywali się w półmrok.



Krucyfiksy, ornaty wyszywane złotą nitką, wizerunek Najświętszej Maryi Panny, kielich mszalny i wiele, wiele innych rzeczy leżało teraz u stóp Aben Abu.

Tuż obok stali Hernando i Salah ze skrępowanymi sznurem rękami, a za nimi Aisza i Fatima. W przeciwieństwie do Aben Humeyi nowy król nie przestrzegał protokołu i wysłuchał Brahima tam, gdzie się przypadkowo spotkali: w wąskiej uliczce w Laujar de Andarax, którą król podążał właśnie w otoczeniu Turków i ich kapitanów. Żołnierze towarzyszący Brahimowi rzucili z łoskotem na ziemię znalezione w piwnicy handlarza przedmioty.

Nie przebrzmiał jeszcze brzęk kielicha toczącego się po kamieniach, gdy Salah zalał się łzami i zaczął się usprawiedliwiać. Brahim uciszył go jednym uderzeniem kolbą arkebuza. Z ust handlarza popłynęła obfita struga krwi. Hernando patrzył wprost na Aben Abu, który przytył i sflaczał od czasu uczy weselnej w Mecinie. Z okien i balkonów niskich pobielanych wapnem domków wyzierały głowy przyglądających się im kobiet i dzieci.

— To jest ta kobieta, o której tyle mi mówiłeś? — spytał król, wskazując na Fatimę. Brahim potwierdził. — Więc jest twoja.

— Ja mam ją poślubić! — wykrzyknął Hernando. — Ibn Umajja... — Spodziewał się, że Brahim uderzy go w twarz, ale pozwolono mu mówić. — Ibn Umajja dał mi jej rękę. Mamy się pobrać — wyjąkał.

Czuł na sobie badawcze spojrzenie króla i ponad dwudziestu towarzyszących mu mężczyzn.

— Prawo... prawo mówić, że w wypadku wdowy ona sama musi wyrazić zgodę na ślub z Brahimem — zakończył Hernando.

— Już to zrobiła — rzekł Aben Abu, uśmiechając się cynicz-

nie. — Sam słyszałem, jak wyraziła taką wolę. Wszyscy słyszeliśmy, prawda?

Mężczyźni zgodnie przytaknęli słowom króla.

Hernando instynktownie odwrócił się do Fatimy. W tym samym momencie Brahim wymierzył mu silny policzek, tak że obraz twarzy dziewczyny rozmył mu się przed oczami.

— Cóż to, czyżbyś wątpił w słowa swojego władcy? — spytał Aben Abu.

Hernando nic nie odrzekł, to pytanie nie miało odpowiedzi. Król dotknął z odrazą stopą figury Najświętszej Maryi Panny.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał, uznając sprawę Fatimy za zakończoną.

Brahim wyjaśnił królowi pokrótce historię przedmiotów znalezionych przez żołnierzy w piwnicy Salaha. Gdy skończył, król splótł dłonie, złączył oba palce wskazujące u nasady nosa i namyślał się przez chwilę.

— Twój ojczym — rzekł wreszcie, zwracając się do Hernanda — zawsze utrzymywał, że jesteś chrześcijaninem. Nazywają cię nazarejczykiem, czyż nie tak? Teraz rozumiem, dlaczego Ibn Umajja tak cię chronił. Ten heretycki pies umarł, polecając swą duszę Bogu papistów. A co do ciebie... — zaczął, wskazując na Salaha. — Zabijcie ich obu! — zawyrokował nagle, jakby cała sytuacja stała się dla niego zbyt męcząca. — Wbijcie ich na rożen na placu i przypieczcie. Potem rzućcie ich ścierwo na pożarcie bestiom.

Salah padł na kolana i zaczął wyć przeraźliwie, błagając o miłosierdzie. Brahim znów wymierzył mu cios. Hernando pozostał obojętny wobec wyroku. Fatima! Lepiej było umrzeć, niż widzieć ją w rękach Brahima. Jakie znaczenie miało dla niego teraz życie, jeśli Fatima...?

— Odkupię od ciebie tego młodzieńca.

Na dźwięk tych słów Hernando oprzytomniał. Podniósł głowę. Ujrzał Barraksa, który w tym momencie wystąpił przed szereg. Moryskowie i Turcy uśmiechnęli się znacząco.

Aben Abu zastanawiał się przez chwilę. Nazarejczyk zasługiwał na śmierć. Wszak domagał się tego najbliższy mu człowiek,

pamiętał jednakowoż, że jedną z przyczyn upadku Aben Humeyi było lekceważenie żądań Turków i dowódców korsarzy. Nie zamierzał popełnić tego samego błędu.

— Zgoda — rzekł. — Ustal z Brahimem cenę. Chrześcijanin należy do niego.



Podobnie jak wcześniej on prowadził Isabel, tak teraz jego prowadzono uliczkami Laujar do obozu Barraksa. Szedł, powłócząc nogami, wiedziony na postronku przez kilku Berberów z oddziału kapitana. Gdzieś po drodze zsunął mu się jeden but, ale nie zważał na to. Przygniatał go bagaż wspomnień. Co będzie z Fatimą? Na próżno zaciskał powieki, by oddalić od siebie obraz Brahima spółkującego z Fatimą. Co zrobi? Dziewczyna nie może się sprzeciwić, chociaż...

A jeśli powie nie? Nagłe szarpnięcie sznura wyrwało go z zamyślenia. Hernando zatoczył się do przodu, z trudem ratując się przed upadkiem. Ktoś napluł mu w twarz, nazywając nazarejczykiem. Chłopiec zwrócił oczy na moryska: nie znał go. Tak samo jak nie znał mężczyzny, który kilka kroków dalej przezwiał go heretyckim psem. Na rogu jednej z ulic jacyś moryskowie zajęci rozmową z kobietami zaczęli drwić sobie z niego i żartować. Jeden z nich podniósł kamień i podał go małemu, może pięcioletniemu chłopcu, by cisnął nim w skazańca. Kamień rzucony z niewielką siłą trafił Hernanda w biodro. Gapie, nie posiadając się z radości, nagrodzili malca burzą okłasków i słowami uznania. Hernando skoczył jak żbik ku stojącym mężczyznom. Sznur wysunął się z ręki zaskoczonych nagłym zajściem żołnierza. Chłopak powalił na ziemię najbliższego moryska, którego gromki śmiech w jednej chwili zmienił się w paniczny krzyk przerażenia. Hernando chciał go uderzyć, ale ręce krępował mu sznur. Mężczyzna szamotał się pod nim zawzięcie, usiłując się podnieść. Wtenczas Hernando, owładnięty niepohamowaną wściekłością, ugryzł go z całej siły. Pachołkowie Barraksa chwycili chłopaka pod ramiona i odciągnęli od ofiary. Hernando stanął



z podniesioną hardo głową, zakrwawionymi ustami, gotów do odparcia ewentualnego ataku, lecz Berberowie nie tylko go nie skatowali, ale nawet wystąpili w jego obronie wobec agresywnych morysków; po obu stronach błysnęły szable i sztylety.

— Jeśli coś do niego macie — ozwał się jeden z Berberów — poskarżcie się Barraksowi. To jego niewolnik.

Moryskowie, usłyszawszy imię sławnego korsarza, opuścili broń. Hernando splunął im pod nogi.

Wtedy Berberowie unieśli chłopaka wysoko nad ziemię i starając się nie zrobić mu krzywdy, jakby chodziło o najcenniejszy na świecie towar, zarzucili go sobie na ramiona i ruszyli w dalszą drogę. A że Hernando nie przestawał kopać, wyć i gryźć, potrzeba było do tego aż czterech pachołków.

Dotarłszy na miejsce, przywiązali go do drzewa. Hernando krzyczał przy tym przeraźliwie, obrzucając wszystkich wyzwiskami. Umilkł dopiero na widok stojącego nieopodal Ubajda, który głąskał się delikatnie po kikutcie prawego przedramienia.

— Odsuń się — rzekł jeden z żołnierzy do Jednorękiego. Nienawiść między chłopcami była powszechnie znana od czasu, gdy Hernando kazał Barraksowi wyrzucić Ubajda z domu. — Ten więzień jest nietykalny.

Ubajd poruszył bezgłośnie ustami, wypowiadając tylko dwa słowa: „Zabiję cię”.

— No, śmiało, zrób to! — syknął Hernando.

— Wynoś się! — krzyknął rozżłoszczony żołnierz i odepchnął mulnika.



Uczta weselna i dar ślubny dla panny młodej. Oto cena, za jaką Brahim zgodził się odstąpić Barraksowi swego pasierba. Kapitan korsarzy kazał sobie dorzucić w kontrakcie szablę Hamida. Zauważył, jakie znaczenie miała dla Hernanda, dlatego postanowił wręczyć mu ją w prezencie, gdy tylko zdobędzie jego przychyłość, w co nie wątpił. Wszyscy ulegali! Tysiące chrześcijańskich młodzieńców wiodło dostatnie życie w Algierze jako kochankowie

Turków i Berberów po wyparciu się własnej wiary i przejściu na islam.

— A bierz ją — zgodził się Brahim. — Chcesz, dam ci jeszcze jego odzienie. Weź sobie wszystko, co do niego należy. Nie chcę nic, co mogłoby mi go przypominać. Mam dosyć problemów z jego matką. — Brahim przymknął oczy i namyślał się jeszcze przez dłuższą chwilę. Minęły czasy, gdy był mulnikiem, teraz został zastępcą króla Al-Andalus i posiadał pokaźny majątek w złocie. — Potrzebuję białego muła dla narzeczonej, najpiękniejszego w całej Alpuharze. Oddam ci całą moją karawanę za jednego takiego. Zrobisz na tym dobry interes — dodał skwapliwie, widząc wahanie kapitana. — Białe muły znajdziesz w wielu miejscowościach. Może nawet i tutaj. Ja nie mam czasu na zajmowanie się takimi drobiazgami.

Dwa dni po uzgodnieniu warunków z Brahimem Barrax podszedł do przywiązanego do drzewa Hernanda i pokazał mu przepięknego białego muła nabytego przez Ubajda w sąsiedniej wiosce. Nie kto inny jak sam kapitan kazał chłopca skuć łańcuchami i trzymać o wodzie pod gołym niebem. Hernando nic nie odrzekł.

— Na tym właśnie mule powiodą twą ukochaną do domu twojego ojczyzna — rzekł Barrax, poklepując zwierzę po karku. Hernando popatrzył na muła wyblakłym spojrzeniem; błękitne oczy zapadły się w głąb czaszki. — Wyrzeknij się swojej wiary i oddaj mi się — ponowił swe żądanie Barrax.

Hernando przeżegnał się ostentacyjnie. Złożyć muzułmańskie wyznanie wiary — byłby to pierwszy krok do uznania nad sobą władzy korsarza. Co za ironia losu!

Stary Hamid musiał jeszcze niedawno przekonywać morysków z Juviles, że on, Hernando, jest prawdziwym muzułmaninem, a dzisiaj... dzisiaj musi udawać chrześcijanina, by nie dać się zniewolić Barraksowi... A może jest chrześcijaninem? Kim właściwie jest? Nie miał odwagi rozpamiętywać tego teraz. Musi bronić swojego chrześcijaństwa. Kapitan, jak zawsze wyniosły i groźny, zmarszczył brwi, ale przemówił spokojnym głosem.

— Wszystko stracieś, Ibn Hamidzie: łaskę króla, ukochaną

kobietę... i wolność. Mogę ci ofiarować nowe życie. Dołącz tylko do grona moich „synków”, a będziesz wodzić prym w całym Algierze. Ja to wiem, czuję to. Będziesz sobie wygodnie żyć, niczego ci nie zabraknie, a pewnego dnia staniesz się równie sławnym korsarzem jak ja, może nawet sławniejszym, na pewno. Pomogę ci. Księżę korsarzy Chajr ad-Din mianował kapitanem generalnym swojego kochanka Hasana Agę. Po nim nastał bejlerbej Dragut, nieposkromiony, który przedtem również był kochankiem Chajr ad-Dina. Po jego śmierci przysłała kolej na naszego wielkiego Ulugh Alego, kochanka Draguta. Ja sam byłem... Nie rozumiesz? Ofiaruję ci wszystko, podczas gdy ty nie masz nic. — Hernando powtórnie uczynił znak krzyża. — Jesteś moim niewolnikiem, Ibn Hamidzie. Uchodzisz za chrześcijanina. Wybieraj... albo mi ulegniesz, albo do końca życia będziesz wiosłować dla mnie na galerze i gorzko żałować swojej decyzji. Ja poczekam, ale nie zapominaj, że czas ucieka, a z nim twoja młodość... Nie chcę brać cię siłą. Mam, ile tylko zapragnę, i kobiet, i dzieci. Chcę natomiast, byś był przy mnie, gotów na wszystko. Rozważ to, Ibn Hamidzie. Odwiążcie go od drzewa! — rozkazał niespodziewanie swoim ludziom, świdrując twardym spojrzeniem zapadłe oczy chłopca. — Załóżcie mu kajdany na nogi i niech pracuje. Skoro musi jeść, niech przynajmniej na to zasłuży. Ty! — krzyknął do Ubajda i świadom nienawiści, jaką pałali do siebie obaj chłopcy, dodał: — Odpowiadasz za niego własnym życiem. Niech mu się coś stanie, a zapewniam cię, że twoja śmierć będzie powolniejsza i boleśnieszka niż ta, którą odważyłbyś się mu zadać. Przypatrz się dobrze temu białemu mułowi — rzekł kapitan do Hernanda na odchodne — na nim kończą się twoje nadzieje i złudzenia w Al-Andalus.



Aisza przygotowała Fatimę do ceremonii ślubnej w tej samej obozie, w której zamieszkali Brahim i Aben Abu, w pomieszczeniu, które odstąpił im pewien turecki kapitan. Brahim przyprowadził tam obie kobiety.

— Kobieto — krzyknął do Aiszy Brahim, ale wzrokiem

rozbierał Fatimę — jest moim życzeniem, aby była najpiękniejszą panną młodą, jaka kiedykolwiek wychodziła za mąż na ziemi Al-Andalus! Twoja w tym głowa. Co do ciebie, Fatimo, jako że nie masz krewnych, król zgodził się być drużbą. Jesteś wdową. Musisz więc wybrać sobie walego, opiekuna, który odda cię mężowi. Czy zgadzasz się, aby był nim król?

Fatima trwała w milczeniu, z głową opuszczoną na piersi, walcząc z trwogą, którą budziła w niej wizja przyszłości.

— Powiem ci coś, dziewczyno: będziesz moja. Jako druga żona albo niewolnica. Musiałaś wiedzieć, co kryją piwnice domu kupca, jak i zapewne wiedziałaś o chrześcijańskich praktykach tego nazarejczyka. Może nawet brałaś w nich udział, ty... i twój syn! — Fatima zadrżała. — Mów, czy zgadzasz się, aby osobą reprezentującą cię podczas ceremonii ślubnej był król? — Dziewczyna potaknęła milcząco głową. — Zapamiętaj sobie to, co powiedziałem. Jeśli odrzucisz prośbę o twoją rękę lub sprzeciwisz się pouczeniom, twój syn i ten nazarejczyk zginą taką samą śmiercią jak handlarz. Taki warunek zawarłem w kontrakcie z kapitanem. Jeśli się nie zgodzisz zostać moją żoną, Barrax odda mi z powrotem tego psa nazarejczyka i sam osobiście nadzieję go na pręt jak prosię, razem z twoim synem.

Fatima poczuła nagle mdłości. Wyobraziała sobie Humama i Hernanda smażących się na rożnie, tak jak to uczyniono z Salehem. Brahim zmusił ją i Aiszę do przyglądania się egzekucji, podczas której Salah kwiczał dokładnie tak samo jak wieprzki zarzynane przez chrześcijan. Tłustego kupca, rozebranego do naga i w pozycji na czworakach, kilku morysków trzymało w kleszczowym uścisku, podczas gdy inny nadziewał go na pręt wprowadzany przez odbyt. Tłum gapiów zaklaskał owacyjnie, gdy krzyki przerażenia ofiary zmieniły się w zwierzęce wycie z bólu, wycie, które stawało się coraz słabsze, w miarę jak pręt popychany przez dwóch żołnierzy wwiercał się w ciało, dopóki nie wyszedł ustami. Kiedy ofiarę zawieszano na rożnie, nad żarzącymi się węglami, wokół których biegały gromady rozwydrzonych dzieciaków, Salah już nie żył. Przez cały dzień zapach pieczonego mięsa wypełnił

z wolna wszystkie zaułki w pobliżu placu, wreszcie przeniknął ubrania ludzi i wcisnął się do wnętrz domów.

Brahim uśmiechnął się i wyszedł.

Pomimo nalegań Fatima nie pozwoliła się obmyć.

— Myślisz, że coś zauważy? — spytała Aiszę złamanym głosem, gdy ta upierała się, żeby dokonać ablucji. — Nie chcę wstępować w to małżeństwo czysta.

Aisza nie dyskutowała dłużej: wiedziała, że dziewczyna poświęca się dla Hernanda. Spuściła tylko oczy.

Fatima poprosiła, by nie robiła jej takiego samego tatuażu, jaki miała na sobie w noc, gdy oddała się Hernandowi. Nie chciała perfum z kwiatu pomarańczy. Aisza wyszła więc z oberży i zdobyła dla niej odrobinę olejku jaśminowego. Z rozdartym sercem zaczęła następnie przyozdabiać dziewczynę klejnotami przysłanymi przez Brahima, który nie omieszkiał zaznaczyć, że będą one użyte tylko podczas ceremonii ślubnej i nie wchodzi w skład daru ślubnego. Gdy miała nałożyć naszyjnik, dziewczyna sięgnęła do wiszącego na szyi złotego amuletu z zamiarem zerwania go, lecz Aisza ją powstrzymała.

— Nie trać nadziei — rzekła, przyciskając amulet do piersi dziewczyny.

Wtedy Fatima po raz pierwszy się rozpłakała.

— Nadzieja? — wyszeptała przez łzy. — Tylko śmierć jest dla mnie nadzieją... daleką nadzieją.



Oświadczyzny odbyły się w oberży, w małym, zimnym ogrodzie wewnętrznym, w obecności króla występującego w roli walego i rozlicznych członków dworu. Świadcami byli Dalí, kapitan generalny Turków, i Husajn. Brahim przedstawił się, po czym zgodnie z rytuałem poprosił Aben Abu o rękę Fatimy. Następnie przyszedł czas na pouczenia, których udzielił im stary fakił z Laujar. Fatima, będąc wdową, musiała odpowiadać na pytania osobiście. Wyznała, że nie ma innego Boga prócz Boga, oraz przysięgła na Koran, że na wszystkie pytania odpowiedziała

zgodnie z prawdą: jej pragnieniem było wyjść za mąż zgodnie z przepisami Sunny Proroka.

— Jeśli przysięgacie szczerze — kończył fakih — Allah, który jest świadkiem, niechaj udzieli wam swego błogosławieństwa. Jeśli zaś przysięgacie kłamliwie, niechaj Allah was zniszczy i nie udzieli wam swego błogosławieństwa.

Zanim król rozpoczął czytanie trzydziestej szóstej sury Koranu, Fatima wzniosła oczy ku niebu i powtórzyła w myślach: „Niechaj Allah nas zniszczy”.

Jedyną odkrytą częścią ciała panny młodej, jaką mogli podziwiać weselnicy, były pokryte tatuażem z henny stopy wyglądające spod białej tuniki, w którą przyodziana była Fatima jadąca na białym mule prowadzonym przez czarnego niewolnika. Wśród oklasków i wesołych pokrzykiwań tysięcy morysków Fatima objechała całe miasteczko, by na koniec powrócić do oberży. Wróciwszy, weszła do izby Brahima i położyła się bez słowa do jego łoża. Kobiety nakryły ją tradycyjnie białym prześcieradłem, pod którym miała leżeć bez ruchu z zamkniętymi oczami. Podczas gdy na ulicach miasteczka trwały tańce i rozbrzmiewała muzyka uświetniająca uroczystość weselną, przez pokój przewinęły się dziesiątki gości. Przez cały ten czas tylko raz uniesiono delikatną tkaninę okrywającą oblubienicę.

— Teraz rozumiem twoje pożądanie — westchnął Aben Abu, który odchylił prześcieradło bardziej, niż tego wymagało przyjrzenie się samej twarzy. — Ciesz się nią za mnie, przyjacielu, i niechaj Allah obdarzy cię licznym potomstwem.

Po skończonych wizytach Fatima usiadła na poduszkach rozłożonych na ziemi i postanowiła nie myśleć o rychłym spotkaniu z Brahimem. Puszczając mimo uszu niewybredne, dosadne rady wesoło gwarzących kobiet, które pozostały z nią w izbie, odmawiała skosztowania potraw weselnych, i tylko słysząc dźwięki muzyki dobiegające z ulicy, usiłowała odszukać w pamięci jakieś wspomnienie, którego mogłaby się ucześć jak ostatniej deski ratunku. Raptem uświadomiła sobie, że przecież ci wszyscy ludzie śpiewają dla niej! Świętują jej ślub z Brahimem! Widok Aiszy siedzącej

naprzeciwko niej przy grzejniku, z oczyma wilgotnymi od łez, bolejącej nad losem swego syna, z którego uczyniono niewolnika, nie mógł być dla niej pocieszeniem. Wtedy przyszło jej na myśl poszukać ukojenia w modlitwie. Zaczęła więc modlić się w duchu, tak jak czynią to skazańcy, recytując słowa znanych jej modlitw błagalnych. W nich z wolna znajdowała ujście targająca nią trwoga. Jej wiara wyrosła z rozpaczony z każdym słowem, każdym wezwaniem do Boga stawała się coraz żarliwsza.

Niedługo po północy nagłe poruszenie wśród kobiet oznajmiło przybycie Brahima. Jedna z nich przeczesła Fatimie włosy i poprawiła tunikę na ramionach. Gdy wreszcie pospiesznie zaczęły opuszczać izbę, Fatima nie spojrzała nawet w stronę drzwi. Patrzyła na żarzące się węgle.

„Śmierć jest daleką nadzieją”, wyszeptała, przymykając oczy, ale ona nie szykowała się na śmierć. Na co więc mogła mieć nadzieję? Wraz z trzaskiem zamykanej zasuwki w drzwiach przycichły dobiegające z zewnątrz słowa piosenek i dźwięki szałamai. Za plecami usłyszała przyspieszony oddech Brahima. Wzdrygnęła się.

— Pokaż się swojemu mężowi — rozkazał.

Nogi miała jak z waty, mimo to wstała i obróciła się przodem do Brahima.

— Rozbierz się — rzekł, dysząc ciężko.

Fatima drżała na całym ciele, brakowało jej tchu, nozdrza drażnił śmierzący oddech mulnika. Brahim poruszył brodą pokrytą świecącym od tłuszczu zarostem, dając do zrozumienia, by zdjęła tunikę. Fatima zaczęła rozsuptywać niezdarnie palcami pętliki zapięcia, aż wreszcie tunika zsunęła się z jej ramion i dziewczyna została zupełnie naga. Przez dobrą chwilę Brahim sycił się widokiem jej młodziutkiego ciała, niespełna czternastoletniego. Wreszcie wyciągnął szorstką, pokrytą odciskami dłoń ku wydatnym piersiom. Fatima wydała z siebie cichy szloch i przymknęła oczy. Wtedy poczuła, jak jego ręce obmacują jej piersi, drapiąc nieprzyjemnie delikatną skórę, w którą wtulał swą główkę mały Humam. Brahim uszczypnął ją w sutek. Fatima, zacisnąwszy

mocno powieki, polecała się Bogu, Prorokowi i wszystkim aniołom... Z sutka popłynęły pierwsze krople mleka, które zwilżyły palce Brahima. Nie przestając cisnąć jedną ręką brodawki, drugą wepchnął pomiędzy jej nogi. Wbił łąpczywie palce między wargi sromowe i zanurzył je głęboko w pochwie. Chwilę później przewrócił Fatimę na poduszki i wszedł w nią brutalnie.

Tańce i muzyka, wesołe pokrzykiwania i dźwięczne zawodzenia rozbrzmiewające na ulicach Laujar towarzyszyły Fatimie przez całą nieskończenie długą noc, podczas której Brahim kilkakrotnie zaspokajał swe żądze. Fatima zносиła wszystko w milczeniu. W milczeniu poddawała się jego woli. W milczeniu mu ulegała. Zapłakała dopiero wtedy, po raz drugi i ostatni tej nocy, gdy Brahim zaczął ssać mleko z jej piersi.



## 20

Pod koniec października stojący na czele dziesięcioletniej armii Aben Abu zaatakował Órgivę, największą twierdzę Alpuhary pozostającą w rękach chrześcijan. Przypuściwszy kilka pierwszych szturmów, które obrońcy z powodzeniem odparli, król postanowił wziąć miasto głodem.

Bezczynność spowodowana przedłużającym się oblężeniem rodziła w obozie morysków gnuśny marazm i rozprężenie. Hernando ciągnął za wojskiem razem z tłumami niezdatnych do wojaczki cywilów, a że nogi miał skute kajdanami, drogę do Órgivy odbył, jadąc po damsku na grzbiecie swojej Staruszki, wychudzonej na wiór mulicy, której niezliczone, twarde jak kamienie kości obijały mu ciało. Sprawcą tych katuszy był Ubajd, który celowo sam wybrał dla niego starą mulicę. Hernando musiał też znosić ciągle drwiny kobiet i zgrai dzieciaków. Jedynie Jusuf idący przy mulach — zupełnie jakby stanowił część kontraktu zawartego między Brahimem a Barraksem — okazywał mu sympatię i gdy tylko Ubajda nie było w pobliżu, odpędzał od niego uprzykrzoną dzieciarnię. Pomimo niewygód i wstydu Hernando uparcie wypatrywał po drodze w tłumie Fatimy lub matki, ale na próżno. Natknął się na nie dopiero kilka dni po założeniu obozu na przedpolach miasta.



— Upokórzcie go — rzekł któregoś dnia Barrax do swych pacholąt. — Nie róbcie mu krzywdy, jeśli to nie będzie konieczne, ale upokórzcie go wobec dowódców, janczarów i prostych żołnierzy, a przede wszystkim wobec tej moryski. Macie złamać jego dumę, pozbawić go poczucia męskiej godności, która go zaślepia!

Wkrótce po rozlokowaniu się w obozie pacholeta wyciągnęły swoje fatałaszk i wystroiły Hernanda w zieloną tunikę z delikatnego jedwabiu i ozdobione drogimi kamieniami szarawary tego samego koloru. Hernando usiłował stawiać opór, ale na nic zdały się jego wysiłki, gdy w sukurs pacholetom przyszło kilku znudzonych Berberów, którzy ku swej uciechu najpierw rozebrali Hernanda do naga, a potem oblekli go w kolorowe szmatki. Próbował zerwać je z siebie, więc związali mu ręce. Skrępowanego sznurami, zakutego w kajdany i przyodzianego w zielone jedwabie pacholeta umyśliły oprowadzić po całym obozie, pośród namiotów i szop, wśród żołnierzy i kobiet gotujących strawę.

Nie zrobili nawet dwóch kroków, gdy Hernando upadł twarzą na ziemię. Starszy z chłopców uderzył go kilkakrotnie różgą po głowie, ale zyskał na tym tylko tyle, że Hernando nadstawił policzek i krzyknął prowokująco:

— No, uderz!

Wokół zgromadzili się gapie: żołnierze, kobiety i dzieci. Chłopiec już uniósł do góry różgę, gdy w tej samej chwili młodsze pachole, odziane w ciemnoczerwoną lnianą galabiję, powstrzymało go, mówiąc:

— Poczekaj. — I puściło do swego towarzysza oko.

Chłopiec ukląkł obok Hernanda i polizał go po policzku. Wykrzywiona złością twarz leżącego wzbudziła powszechną wesołość: rozległy się głośne oklaski, wrzaski i gwizdy. Wielu kobietom nie spodobała się jednak ta zabawa; rzuciły wyzwiskami i wymachiwały rękami, podczas gdy ich dzieci stały z wytrzeszczonymi ze zdziwienia oczami. Starsze pachole opuściło różgę i wybuchło gromkim śmiechem. Wtedy młodsze, ku jeszcze większej radości tłumu, przesunęło językiem od policzka aż do szyi i położyło prawą dłoń na kroczu Hernanda. Ten zaledwie

poczuł dotyk, błyskawicznie przekręcił się na plecy, lecz mając skrępowane ręce, nie mógł uwolnić się od obmacywania. Spróbował ugryźć pacholę, ale i to mu się nie udało. Tłum wrzeszczał i śmiał się. Starszy chłopiec z uśmiechem na ustach przyklęknął obok młodszego.

— Dość! — krzyknął wreszcie Hernando. — Zgadzam się!

Na to pacholęta podniosły Hernanda z ziemi, ujmując go pod pachy i cała trójka ruszyła dalej.



Hernando szedł tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to kajdany na nogach. Niebawem napotkali Aiszę i Fatimę. Mimo że obie kobiety miały zasłonięte chustami twarze, Hernando rozpoznał je, nawet zanim jeszcze dostrzegł Humama i Musę. Przyrodni brat natychmiast przyłączył się do otaczającej pochod gromady dzieciaków. Spotkanie to nie było przypadkowe: pacholęta od początku prowadziły Hernanda w kierunku namiotu Brahima, tak jak nakazał im Barrax.

Hernando, zawstydzony i upokorzony, wlepił wzrok w kajdany. Fatima również spuściła oczy, a Aisza zaniosła się płaczem.

— Przyjrzyjcie mu się, kobiety! — Głos Brahima stojącego u wejścia do namiotu rozbrzmiał jak grzmot ponad śmiechami, szepciami i komentarzami gawiedzi. Hernando podniósł machinalnie głowę dokładnie w momencie, w którym Fatima i Aisza, posłuszne woli męża, spojrzały na niego. Ich pełne bezdenne smutku oczy się spotkały.

— Oto, na jaki los zasługują nazarejczycy! — rzekł, śmiejąc się Brahim.



— Na pewno będzie próbował uciec — oznajmił Barrax dowódca straży i obu pacholętom jeszcze tego samego dnia wieczorem. — Może dzisiejszej nocy, może jutro albo za kilka dni, prędzej czy później zrobi to. Nie spuszczać go z oczu, ale pozwólcie mu działać. Dajcie mi tylko w porę znać.

Trzy dni później stało się tak, jak przewidywał. Pacholeta, oprowadziwszy Hernanda powtórnie po obozie, powiodły go nad kanałek, gdzie kobiety przychodziły pracować, i zmusiły go do uprania rzeczy Barraksa. Późną bezkسیężycową nocą, nie zważając na krążące strażę i krępujące go pęta, Hernando przeczołgał się pod nogami mułów aż na skraj niewielkiego urwiska, do którego zsunął się bez wahania. Chwilę koziółkował po zboczach, obijając się o kamienie, krzaki i gałęzie. Nie czuł bólu. W ogóle nic nie czuł. Następnie, wsparłszy się na łokciach i kolanach, zaczął posuwać się dnem wąskiego wąwozu w całkowitych ciemnościach. W miarę jak szmery dobiegające z obozu stawały się coraz cichsze, w Hernanda wstępowała otucha i czuł się coraz szybciej. Wstrząsnął nim nerwowy śmiech. Uda mu się! Raptem uderzył o czyjeś nogi. Na środku ścieżki stał kapitan korsarzy.

— Uprzedzałem cię, że mój statek nazywa się *Rączy Koń* — ozwał się spokojnym głosem Barrax. Hernando opuścił ciężko głowę na piasek. — Niewiele hiszpańskich statków zdołało przede mną umknąć, gdy już raz wziąłem je na cel. I ty też nie zdołasz. Nigdy.



Aben Abu rozgromił wojska księcia Sesy przybyłe z odsieczą do Órgivy. Zwycięstwo to zapewniło moryskom kontrolę nad całą Alpuharą, od gór aż po wybrzeża Morza Śródziemnego, jak również nad ważnymi miejscowościami położonymi w pobliżu stolicy królestwa Grenady, takimi jak Güejar i tymi położonymi nieco dalej, jak chociażby Galera, skąd chrześcijanie obawiali się rozszerzenia rebelii na królestwo Walencji.

W obliczu tego zagrożenia król Filip II wydał rozkaz wydalenia z królestwa Grenady wszystkich morysków z Albaicín i po raz pierwszy od wybuchu powstania ogłosił oficjalną wojnę na śmierć i życie. Żołnierzom uczestniczącym w walkach dał wolną rękę i zezwolił im na zajmowanie mebli, pieniędzy, kosztowności, bydła i niewolników zdobytych na nieprzyjaciela. Zwolnił ich też od płacenia podatku od łupów, co miało być zachętą dla innych do wstępowania do wojska.

W grudniu, wiele miesięcy po otrzymaniu nominacji na głównodowodzącego, don Juan de Austria uzyskał wreszcie od swego brata króla Filipa II zgodę na udział w wojnie. Książę utworzył wówczas dwie armie z zamiarem wzięcia w kleszcze zbuntowanych morysków: pierwsza z nich, pod jego osobistą komendą, miała uderzyć od wschodu, od strony rzeki Almanzory, druga, pod wodzą księcia Sesy, miała zaatakować od zachodu, od Alpuhary. Markiz de Vélez kontynuował rozpoczęte wcześniej działania wojenne na własną rękę z garstką pozostałych przy nim żołnierzy.

Tymczasem z Maghrebu nieprzerwanie płynęła broń i przybywali ochotnicy przystający do powstańców.

Chrześcijanie odbili Güejar i don Juan na czele hiszpańskich pułków piechoty przybyłych z Neapolu i pół tysiąca rycerzy, którzy doń dołączyli, ruszyli w kierunku Galery z zamiarem oblężenia potężnej, położonej na wzgórzu fortecy. Na jednej z wież powitały ich zatknięte na włócznie głowy dwudziestu żołnierzy i ich dowódców z oddziału markiza de Vélez. Pomimo doświadczenia starych żołnierzy i użycia artylerii ściągniętej specjalnie w tym celu z Italii armia księcia poniosła olbrzymie straty, za które moryskom broniącym Galery srogo przyszło zapłacić: po zajęciu miasta zwycięscy chrześcijanie dokonali masowej egzekucji ludności, i to w obecności samego don Juana de Austria. Następnie na jego rozkaz doszczętnie zniszczono i spalono miasto, a miejsce, na którym się wznosiło, posypano solą.

Jeszcze w czasie trwania oblężenia książę nakazał wymordowanie kobiet i dzieci, bez względu na ich wiek i stan. Pomimo krwawej rzezi wojsko uprowadziło w niewolę ponad cztery i pół tysiąca ocalałych kobiet i dzieci, ponadto wyjechało obładowane złotem, perłami, jedwabiem i wszelkimi innymi bogactwami, a także rocznymi zapasami pszenicy i jęczmienia dla całej armii.

Aben Abu nie ruszył na pomoc Galerze i tysiącom morysków, którzy schronili się w jej murach. Po zdobyciu Órgivy uderzył na Almuñécar i Salobreñę i poniósł dotkliwą klęskę. W tej sytuacji rozdzielił swe wojska i rozproszył po całej Alpuharze, nakazując prowadzenie walki podjazdowej do czasu nadejścia posiłków

z Wysokiej Porty, co nigdy nie nastąpiło. Błąd ten wykorzystał książę Sesy, który wdarł się na teren Alpuhary i zdobył wszystkie miejscowości między Padul a Ugíjar. Nacierający z przeciwnej strony don Juan de Austria kontynuował swój zwycięski marsz, równając z ziemią wsie i miasteczka. Śmierć, głód, będący rezultatem stosowanej przez chrześcijan strategii spalonej ziemi, i zimno ciągnące od zaśnieżonych gór poczęły z wolna łamać ducha powstańców i chwiać w wierności sprzymierzeńców z za morza.



Tylko Hernando odniósł drobną satysfakcję z klęski pod Salobreña. Gdy kasztelan zamku don Diego Ramírez de Haro odparł atak, moryskowie uciekli w popłochu w góry. Masy bezużytecznych cywilów, które wlokły się za wojskiem z taborami — kobiety, dzieci, starcy — runęły do ucieczki wraz z całym majdanem. Król, Brahim, Barrax, reszta dowódców i prości żołnierze gnali przed nimi na oślep, dbając tylko o własne życie.

Zakuty w łańcuchy Hernando wykorzystał panujący zamęt i z pomocą Jusufa w podskokach znalazł się przy Staruszcze. Tuż obok, na grzbiecie innego muła, piętrzyły się tobołki z ubraniami, przyborami toaletowymi tudzież innymi drobiazgami należącymi do pacholąt. Wokół ludzie pędzili, wrzeszcząc jak oszaleli, nikt nie zwracał na niego uwagi. Mógł to zrobić. Dlaczego by nie? Widział, że Aisza i Fatima uciekają. Ujrzał pacholęta w olśniewających galabijach. Biegały w tłumie, rozglądając się na wszystkie strony i szukając należącego do nich muła. Chłopcy wprost ubóstwiali swoje rzeczy. Z zamiłowaniem skrapiali się perfumami, dbali o ubiór i dodatki, zupełnie jak kobiety... Nawet bardziej! Ciekawe, co by zrobili, gdyby ich mienie się zaprzepaściło.

Hernando skinał na Jusufa, żeby stanął na czatach, i zanim pacholęta dopadły do nich półżywe ze zmęczenia, połuzował popregi, zapięcia przy jukach i gruby, opasujący pierś muła rzemień, którym były z sobą związane. Ubajd dał rozkaz wymarszu i karawana ruszyła. W tym momencie skórzane sakwy podskoczyły,

przekreśliły się dnem do góry i zaczęły wysypywać się skarby pacholąt, które, biegnąc za mułem, usiłowały je pozbiierać. Ubajd, choć pomiarkował się w sytuacji, nie wstrzymał marszu, podążając za uciekającym w pośpiechu wojskiem. Jusuf uśmiechał się pod nosem, odwracając raz po raz głowę i spoglądając wesoło to na pacholęta, to na Hernanda.

Kochankowie korsarza dwoili się i troili, by pozbiierać co do jednej sztuki leżące na drodze ubrania, flakoniki i ozdóbki, lecz było tego tyle, że gdy chwyтали jedne rzeczy, drugie wypadaly im z rąk. Widoczni z dala w swych kolorowych strojach, niczym latarnie morskie poblyskujące na brzegu, krzyczeli rozpaczliwie i błagali na wszelkie sposoby Ubajda, aby na nich zaczekał.

Nikt nie pospieszył im z pomocą.

Uciekający razem z karawaną Hernando ujrzał nagle taką oto scene: jakaś rozpędzona gruba baba popchnęła jednego z chłopców, w momencie gdy schylał się, by coś podnieść. Chłopiec runął jak długi na ziemię, wypuszczając z rąk wszystko, co zdołał unieść. Drugi, złorzecząc babie, rzucił mu się na pomoc, ale wtedy inna podstawiła mu nogę. Następna opluła go, a biegnąca za nią poczęstowała chłopaka kopniakiem. Z kolei jacyś smarkacze chwycili przepiękne ciżemki i porwali je do zabawy. Raz po raz w uciekającym tłumie jakaś kobieta lub dzieciak podnosili coś z ziemi.

Hernando dojrzał jeszcze pacholęta hen daleko za kolumną taborów i uciekinierów. Stały bezradne, bose i brudne, zalane łzami. Zostały na ziemi niczyjej, rozciągającej się między ostatnimi szeregami wycofujących się oddziałów morysków a przednią strażą wojsk chrześcijańskich.

Uciekli. Tak Ubajd wytłumaczył Barraksowi zniknięcie chłopców po dotarciu do Ugjjar. Hernando i Jusuf stali w pobliżu i przysłuchiwali się rozmowie. Kapitan chwycił mulnika za kabat i podniósł go jedną ręką w górę, rycząc wściekle i niebezpiecznie zbliżając swe otwarte usta do nosa nieszczęsnika.

— Uciekli — potwierdził niepytany przez nikogo Hernando, nie ruszając się ze swego miejsca. Barrax odwrócił się do niego,

nie puszczając swej ofiary. — Dziwi cię to? — dodał zuchwale chłopak.

Kapitan spoglądał przez chwilę to na jednego, to na drugiego, po czym rzucił Ubajda na ziemię o kilka kroków od siebie.



Aben Abu założył swój obóz w pobliżu Ugijar, w samym mieście zaś nakazał pozostać wszystkim nienadającym się do noszenia broni, którzy stanowili zawadę w jego nowej strategii wojny partyzanckiej. Ze swej kwatery usiłował kierować ruchami oddziałów morysków rozproszonych po całej Alpuharze. Tymczasem do obozu powrócili Barrax i jego ludzie, którzy starli się z siłami don Juana de Austria w miasteczku Serón. W pierwszej fazie bitwy szala zwycięstwa przechyliła się na stronę muzułmanów; nawet książę nie był w stanie zapanować nad swymi żołnierzami, którzy, żądni łupów, atakowali miasteczko bezładnymi grupami i w konsekwencji zostali odparci. Don Juan musiał ponownie uszykować wojsko do boju i jeszcze raz przypuścić atak, by wreszcie zdobyć Serón.

Hernanda wezwano pilnie do namiotu kapitana.

— Wylecz go — rzucił krótko Barrax, zaledwie chłopak wszedł do środka. — Jednoręki powiedział mi, że potrafisz przyrządzać różne mikstury.

Hernando spojrział na mężczyznę leżącego u stóp Barraksa: na płóciennym kaftanie, szarym od potu, widniała z boku ogromna czerwona plama krwi, oddech miał nieregularny, mięśnie stężały z bólu, a twarz, okoloną równo przystrzyżoną czarną brodą, wykrzywił grymas cierpienia. Mężczyzna nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat, oszacował Hernando i przeniósł wzrok na błyszczącą, pięknie wykutą zbroję leżącą tuż obok rannego chrześcijanina.

— Mediolańska — zauważył Barrax, biorąc do rąk przyłbice i studiując ją uważnie. — Wykonana niedaleko miejsca mojego urodzenia, prawdopodobnie w warsztacie w Negrolis. Rycerz z najbliższego otoczenia cesarskiego bękart, który nosi taką zbro-



ję — dodał, rzucając przyłbicę — zapłaci okup wyższy od wszystkich łupów, które zdobyliśmy do tej pory. Na zbroi nie ma grawerunku. Dowiedz się, jak się nazywa i skąd pochodzi ten szlachcic.

— Do tej pory leczyłem tylko muły — próbował tłumaczyć się Hernando.

— Więc tym łatwiej pójdzie ci z tym psem. Sam o to prosiłeś, nazarejczyku. Ostrzegałem cię. Nie chciałeś odstąpić od swojej wiary. Jeśli umrze, pójdiesz z nim do grobu; jeśli przeżyje, będziesz galernikiem na moim statku. Masz moje słowo.

To rzekłszy, wyszedł, zostawiając Hernanda sam na sam z chrześcijaninem.

Rycerz został raniony przez Barraksa podczas szturmów wojsk chrześcijańskich na miasteczko, gdy usiłował osłaniać swych żołnierzy wycofujących się w bezładzie. Setki ciał poległych chrześcijan zasłało drogi i wąwozy; musiało minąć kilka dni, zanim don Juan mógł je pogrzebać. Wziętego do niewoli szlachcica moryskowie przerzucili przez siodło jak worek i powieźli z sobą do obozu.

Hernando przyklęknął przy jeńcu, by zbadać ranę. Co tu robić? Ostrożnie zabrał się do rozrywania grubego kaftana, w który odziany był mężczyzna, pikowanego kilkoma warstwami bawełny mającymi chronić przed otarciami żelaznej zbroi. Nigdy jeszcze nie opatrywał człowieka...

— Nazwał cię nazarejczykiem.

Wypowiedziane z trudem słowa padły niespodziewanie w chwili, gdy Hernando ujmował w palce brzegi kaftana.

— Znasz arabski? — spytał Hernando po hiszpańsku.

— Powiedział też, że nie... nie wyparłeś się wiary.

Leżącemu zabrakło tchu. Spróbował się podnieść, ale wtedy z rany trysnęła obfita struga krwi, która zalała Hernandowi palce.

— Nic nie mów. Nie ruszaj się. Musisz żyć.

Barrax dotrzymuje danego słowa, pomyślał.

— Na Boga Najwyższego i na Najświętszą Panienkę... — wyszeptał szlachcic, z trudem łapiąc oddech. — Na gwoździe Chrystusa, jeśli naprawdę jesteś chrześcijaninem, uwolnij mnie.

A był chrześcijaninem?

— Nie zrobiłbyś dwóch kroków — odrzekł chłopak, odsuwając od siebie natrętne myśli. — Do tego dookoła tysiące muzułmańskich bojowników rozłożonych obozem. Dokąd chcesz iść? Bądź cicho, opatrzę ranę.

Rana wyglądała na głęboką. Sięgała płuc? Skąd miał to wiedzieć? Przyjrzał się jej jeszcze raz z uwagą. Potem dokładnie obejrzał twarz rycerza. Nie pluł krwią. Ale czy to o czymkolwiek mogło świadczyć? Z całą pewnością wiedział jedynie to, że jeśli jeniec umrze, on pójdzie w jego ślady. Wyczytał to z zachowania Barraksa, które nie przypominało już tego z czasów jego umizgów do Hernanda. Teraz Barrax traktował go podobnie jak Ubajda czy któregośkolwiek ze swych ludzi. Jak większość Berberów i janczarów przejęty był wyłącznie losami wojny. Jeśli zaś szlachcic nie umrze... Hernando skończy jako galernik na *Rączym Koniu*. Kto zapłaci bodaj jedno maravedí, by wykupić z niewoli chrześcijanina, który w rzeczywistości jest muzułmaninem? Hernando dotknął czoła szlachcica: było rozpalone, w ranę wdała się już infekcja. Z rannymi mułami działo się dokładnie tak samo. Teraz należało powstrzymać rozwijającą się infekcję i zatamować krwotok. Mogły jednak istnieć wewnętrzne uszkodzenia ciała...

Potrzebował kości rogu. Zawołał Jusufa.

— Powiedz kapitanowi, że potrzebuję dwóch lub trzech rogów, najlepiej jelenia, ubijak, garnek i coś do rozpalenia ognia...

— Skąd weźmiemy rogi? — spytał Jusuf.

— Od arkebuzerów. Wielu z nich przechowuje proch do panewek w rogach. Muszę też mieć miedzianą płytkę, bandażę, czystą wodę i jakieś gałgany. Ruszaj w te pędy!

Za pomocą ubijaka zaczął rozkruszać koniec jednego z trzech rogów, które przyniósł mu Jusuf.

— Barrax kazał mi z tobą zostać, żeby ci pomóc — wyjaśnił chłopiec pod badawczym spojrzeniem Hernanda.

— Dobrze, będziesz dalej ubijać rogi, same końce, aż roznieciesz je na drobny proszek

Jusuf zabrał się do roboty, a tymczasem Hernando rozebrał szlachcica do naga, teraz już półprzytomnego, i przemył mu ranę czystą wodą. Na czole położył zmoczone kawałki szmat.

Zaledwie Jusuf uporał się z rogami, Hernando wyprażył w garnku uzyskany proszek i posypał nim ranę. Szlachcic wydał głuchy jęk. Hernando przyłożył do chorego miejsca miedzianą płytkę i całość zabezpieczył bandażem.

Któremu Bogu miał się odtąd polecać w swych modlitwach?



Brahim zupełnie oszalał na punkcie Fatimy. Zabronił jej opuszczać chatę, którą kazał wznieść w obozie dla nich obojga, i bywało, że zaniedbywał swe obowiązki nawet względem króla, gdy wzbierała w nim chęć obcowania z żoną. Aisza wraz ze swoimi synami i Humamem mieszkała w szałasie z gałęzi obok chaty. Fatima zachowywała się obojętnie wobec Brahima. Mulnik bił ją za ten wyraz lekceważenia, a ona poddawała mu się z pokorą. Zmuszał ją do obdarzania go pieścotami, więc czyniła to, co jej kazał, tak długo, aż osiągał ekstazę, ale w jej wielkich, czarnych jak węgiel, migdałowych oczach znajdował tylko pogardę. Była posłuszna. Oddawała mu się, ale za każdym razem, gdy mulnikowi nie udawało się osiągnąć nic więcej prócz biernej uległości jej ciała, doświadczała uczucia słodkiej zemsty, drobnej satysfakcji, która, niestety, z wolna ustępowała z jej serca, w miarę upływu długich dni odosobnienia.

Pewnego wieczoru Brahim zjawił się w chacie, trzymając w prawej ręce niczym jakiś toból zanoszącego się od krzyku Humama.

— Zabiję go, jeśli się nie zmienisz — rzekł groźnie.

Od tej pory Humam sypiał obok nich w chacie, by jego matka nie zapomniała, co grozi jej maleństwu, jeśli nie zadowolili męża. Fatima przywołała na pamięć wszystko, czego nauczyła ją matka i inne moryski w dziedzinie sztuki kochania, nie zaniedbując przy tym ulubionych pieścot męża i zasłyszanych podczas rozmów z kobietami różnorodnych sposobów zadowalania mężczyzn. Sama

zaczęła udawać rozkosz, przed czym się tak długo wzbraniała. Potem Brahim wstawał i wychodził, zabierając z sobą Humama. Większość czasu, który Fatima spędzała zupełnie sama, poświęcała na modlitwę i obserwowanie Aiszy i swego synka przez szpary w ścianach; zalewała się przy tym łzami i czule ścisnęła wiszący na jej piersiach amulet z ręką Fatimy, oczekując pory karmienia, jedyne momentu w ciągu całego dnia, kiedy mąż pozwalał jej przebywać z dzieckiem. Brahim postanowił bowiem trzymać od niej z daleka wszystkich, nawet jej własnego syna.

Tymczasem w drugim końcu obozu Aben Abu, skąd bez przerwy wyprawiano oddziały, by potykały się z wojskami księcia Sesy, Hernando walczył o życie rannego chrześcijanina... i swoje własne. Przez kilka dni szlachcic leżał półprzytomny, tocząc walkę z infekcją. W krótkich momentach, w których odzyskiwał przytomność i które Hernando wykorzystywał, by podać mu coś odżywczego do picia, modlił się i polecał opiece Chrystusa i Najświętszej Panienki. Raz poprosił Hernanda, by pomodlił się razem z nim, odmawiając nawet przyjęcia pokarmu, póki tego nie zrobi. Chłopak uległ jego prośbom i modląc się, usiłował wlewać rannemu bulion do ust, który rozlewał się po brodzie. Kiedy indziej, odzyskawszy jasność umysłu, mężczyzna utkwiał wzrok w niebieskich oczach Hernanda.

— Masz oczy prawdziwego chrześcijanina — rzekł wreszcie, po czym przyjrzał się swemu postrzępionemu odzieniu. — Puść mnie wolno. Nagrodzę cię sownicą.

Nawet gdyby pomógł mu uciec, to dokąd pójdzie ten biedak? — pomyślał Hernando i spojrzął na cień Berbera trzymającego stale straż u wejścia do namiotu.

— Jak się nazywasz? — spytał, zmieniając temat.

Szlachcic znów wpatrywał się w błękit jego oczu.

— Nie mogę okryć swej rodziny hańbą, kończąc swój żywot w namiocie jakiegoś korsarza renegata, ani pozwolić, by książę pan miał sam osobiście zabiegać o moje uwolnienie.

— Dopóki nie powiesz, kim jesteś, nikt nie będzie mógł cię wykupić.

— Jeśli przeżyję, przyjdzie jeszcze na to czas. Wiem, że wart jestem fortunę, ale jeśli przyjdzie mi tu skonać, wolę, żeby moja rodzina nigdy się o tym nie dowiedziała.



Hernando odczytał napis wygrawerowany na jednej stronie spłaszczonej sześciokątnej klingi długiego, ciężkiego miecza bastardowego należącego do szlachcica. Miecz wisiał razem z szablą Proroka na słupku przy wejściu do namiotu, w miejscu, gdzie dniem i nocą stał strażnik. Od czasu kiedy Barrax przywiózł z sobą do obozu rannego chrześcijanina, Hernando sypiał w namiocie kapitana, by móc doglądać jeńca.

Już pierwszego wieczoru korsarz przyłapał Hernanda na przyglądaniu się ukradkiem wiszącej w rogu namiotu szabli. Barrax natychmiast ją stamtąd zabrał i zawiesił na drewnianym kołku, na którym wcześniej powiesił miecz rycerza. Berber rzucił na niego okiem, nie mówiąc ani słowa.

— Spróbuj tylko je tknąć — rzekł ostrzegawczo do Hernanda Barrax — a pożegnasz się z życiem.

Od tamtej pory, wchodząc do namiotu, Barrax zawsze spoglądał na słupek i stojącego na straży Berbera, który sypiał oparty o wiszącą na nim broń.

„Nie dobywaj mnie bez przyczyny ani nie chowaj, utraciwszy honor”, głosił napis na klindze. Hernando popatrzył na twarz szlachcica, który właśnie spał. A jakież to powód mieli Hiszpanie, by dobywać swych mieczy? Złamali postanowienia traktatu pokojowego podpisanego przez Królów Katolickich po zdobyciu Grenady. Oni, moryskowie, również byli poddanymi chrześcijańskiego króla. Byli nimi przez długie lata, płacąc więcej dziesięciny swoim panom niż którykolwiek chrześcijanin. Pogardzani i znienawidzeni oddali się w pokój, przez wzgląd na swe rodziny, uprawie ziemi, wyschniętej i niewdzięcznej, która należała do nich od niepamiętnych czasów. Byli muzułmanami, ale przecież Izabela i Ferdynand doskonale o tym wiedzieli, gdy obiecywali im życie w pokoju! I jakież to był pokój, którym przyszło im się cieszyć? W dniu

wybuchu powstania liczba muzułmańskich kobiet w państwie Filipa II trzymanyh jako niewolnice była wprost niebotyczna. Nie mniej pożądanym towarem byli mężczyźni, których oferowano na targach całej Hiszpanii po bardzo atrakcyjnych cenach. Tysiące morysków będących podobnie jak inni Hiszpanie poddanymi tego samego króla zmuszono do przyjęcia chrztu, po czym obrócono w niewolników. Poddanych tego samego króla! Chodziły słuchy, że nawet w podbitych przez niego Indiach ludność, choć również ochrzczona siłą, nie mogła być traktowana jako niewolnicy. W czym więc moryskowie byli gorsi? Dlaczego Kościół nie bronił jednakowo praw jednych i drugich, pokornych sług tego samego władcy? Mówiło się, że mieszkańcy Indii jadalі ludzkie mięso, oddawali cześć bałwanom i słuchali szamanów, a mimo to hiszpańscy królowie nie zrobili z nich niewolników. W przeciwieństwie do tamtych dalekich ludów muzułmanie wyznawali tego samego Boga Abrahama, którego wyznawali chrześcijanie, nie jedli ludzkiego mięsa i nie czcili bałwanów, a jednak pomimo przyjętego chrztu i życia zgodnie z zasadami nowej wiary uczyniono z nich niewolników.

On sam był niewolnikiem. Teraz dlatego, że był chrześcijaninem! Czy to nie ironia losu? Ze strony tych, którzy uważali go za moryska, groziła mu kara śmierci, podobnie jak wszystkim moryskom płci męskiej powyżej dwunastego roku życia. Ci, którzy uważali go za chrześcijanina, chcieli, by resztę życia spędził jako galernik na pirackim statku... jeżeli wcześniej go nie zabiją. Przyznanie się do wiary muzułmańskiej — wiary, którą naprawdę wyznawał — oznaczało dla niego zostanie kochankiem jakiegoś renegata. Taki czekał go los, jego, urodzonego muzułmanina! A może ciążyła na nim ta odrobina krwi chrześcijańskiej płynąca w jego żyłach? Szlachcica wykupią za garść złotych monet, które trafią do kieszeni renegata. Wzbogacony na wojnie korsarz wróci do Algieru, a Hiszpan na swoje ziemie, by znów walczyć przeciwko moryskom, by narzucić im jarzmo niewoli.

# 21

## EDYKT UŁASKAWIAJĄCY TYCH, KTÓRZY SIĘ PODDADZA

Pojąwszy, iż większa część morysków z królestwa Grenady, którzy pozoę buntu wzniecili, nie z własnej woli to uczyniła, lecz pod przymusem i naciskiem, za kłamliwą namową i z poduszczenia prowodyrów i wichrzycieli, hersztów i kacyków kryjących się wśród nich, którzy nie dla pożytku prostego ludu, lecz dla prywaty, dla opływania w dostatki i używania jego dóbr, podmówili go do buntu, Król i pan mój rozkazał zwołać wojsko i ukarać buntowników stosownie do ich win i przestępstw, pozbawiając ich siedzib nad rzeką Almanzora, w górach Filabres i w Alpuharze, zadając im śmierć lub biorąc w niewolę i zmuszając ich do ucieczki, i błąkania się po górach, gdzie dzikim bestiom podobni pędzili żywot w jaskiniach, grotach i po lasach, w skrajnej nędzy i głodzie. Wszelako wiedziony miłosierdziem, cnotą właściwą królom, i chęcią okazania im swej łaski, pomny, iż to są jego poddani i wasale, poruszony do głębi wieściami o gwałtach, zniewalaniu niewiast, rozlewie krwi, grabieżach i wszelkich niegodziwościach popełnianych przez żołnierzy, dla których nie masz usprawiedliwienia, dał nam plenipotence zastosowania w Jego imieniu prawa

królewskiej łaski i przywrócenia ich na łono monarchii pod następującymi warunkami:

Wszystkim moryskom, którzy do buntu przystali, wyłamawszy się spod posłuszeństwa i wzgardziwszy łaskami Najjaśniejszego Pana, tak mężczyznom, jak niewiastom, bez względu na ich położenie, stan i urodzenie, zaręcza się, iż jeśli za dni dwadzieścia, liczonych od dnia ogłoszenia niniejszego edyktu, od walki odstąpią i oddadzą się w ręce Najjaśniejszego Pana oraz działającego w Jego imieniu don Juana de Austria — życie zachowają, a jeśliby później co poniektórzy sprawę zdać chcieli z tego, jak do buntu przymuszonymi siłą i groźbami zostali, posłuchania i sprawiedliwości dostąpią. I spłynie na wszystkich promień królewskiego miłosierdzia, na nich i na tych, którzy prócz złożenia broni szczególne usługi oddadzą, takie jak pojmanie bądź obcięcie głowy Turkom i Maurom berberyjskim, co do rebeliantów przystali, albo tym spośród rodzimych dowódców lub przywódców rebelii, którzy przy kontynuowaniu walki obstają i łaskę, i miłosierdzie Jego Królewskiej Mości za nic sobie poczytują.

Ponadto: każdy mężczyzna od lat piętnastu w górę i od pięćdziesięciu w dół, który podda się w tymże terminie i złoży przed ministrami Najjaśniejszego Pana strzelbę lub kuszę z akcesoriami, życie zachowa i nie będzie traktowany jako niewolnik, a dodatkowo może przyprowadzić z sobą dwie osoby połączone z nim bliskimi więzami, jak ojciec lub matka, dzieci, żona, brat albo siostra, aby i one otrzymały wolność i nie zostały pozbawione wszelkich praw jako niewolnicy. Kto zaś nie zechce skorzystać z łaski i miłosierdzia Jego Królewskiej Mości, niechaj wie, iż żaden mężczyzna od czternastu lat w górę nigdzie nie zostanie przyjęty i pierwaj czeka go śmierć anizeli litość i miłosierdzie.

Edykt ogłoszony przez don Juana de Austria w kwietniu 1570 roku podawano sobie z rąk do rąk w całej Alpuharze. Chrześcijanie przetłumaczyli go na język arabski, a kopie tego dokumentu



rozpowszechnili za pośrednictwem szpiegów i kupców. W jednych miejscach czytano je ukradkiem, w tajemnicy przed banitami, janczarami i Berberami, w innych podawano do publicznej wiadomości w formie obwieszczenia. Książę zapowiadał surowe kary dla tych, którzy wąż się zatrzymywać, okradać lub znęcać nad moryskami składającymi broń, tak jak zdarzało się to wcześniej.

Obie strony walczące przeżywały krytyczny moment: na terenie Alpuhary ceny korca pszenicy i jęczmienia wzrosły dziesięciokrotnie, więc ludzie zaczęli przymierać głodem.

Bezsilny w tej sytuacji Aben Abu, po wymianie listów z Alonsem de Granada Venegas, człowiekiem cieszącym się zaufaniem wśród morysków, upoważnił Habaquíego do podjęcia negocjacji pokojowych. Fakt ten, jak się okazało, miał dla morysków negatywne skutki. Trzy galery z Algieru, które wylądowały na wybrzeżu Dalías z zapasami żywności, broni i amunicji, zawróciły natychmiast na wieść o wszczętych przez Aben Abu rokowaniach z chrześcijanami. To samo stało się z siedmioma innymi galerami pod dowództwem Hosceina, brata Caracaksa, wiozącymi czterystu janczarów i broń.

Sytuacja chrześcijan była nie mniej złożona. Po pierwsze, niezależnie od drobnych utarczek w różnych punktach Alpuhary strategia wojny podjazdowej przyjęta przez Aben Abu nie dawała praktycznie szans Hiszpanom na ostateczne zwycięstwo. Po drugie, na skutek gwałtów w prowincji Sewilla doszło do buntu dziesięciu tysięcy morysków, poddanych księcia de Medina Sidonia i księcia de Arcos. Na rozkaz króla Filipa II obaj możni dokonali brutalnej pacyfikacji zbuntowanej ludności, ale mimo to wciąż istniało niebezpieczeństwo rozszerzenia się powstania na Murcję, Walencję i Aragonię zamieszkane licznie przez morysków.

Jednakże czynnikiem, który zaważył na decyzji króla o wyrażeniu zgody na wydanie przez don Juana dekretu o warunkach złożenia broni, były posunięcia sułtana tureckiego.

W lutym 1570 roku Turcy, idąc za przykładem Algieru, który rzucił swe siły przeciwko Tunisowi, zaatakowali Zadar, miasto na wybrzeżu Dalmacji, i zażądali dla siebie Cypru, gdzie wylądowali

w lipcu. W marcu tego samego roku Filip II przyjął w Kordobie, dokąd udał się na obrady Kortezów, by z bliska obserwować rozwój wypadków wojennych, wysłannika papieża Piusa V. W imieniu całego świata chrześcijańskiego Jego Świątobliwość domagał się wszczęcia nowej krucjaty i w tym celu proponował utworzenie Świętej Ligi do walki z zagrożeniem tureckim. Zdaniem Ojca Świętego niewierni poczuli się zbyt mocni, widząc, że Hiszpania poświęca całą swą uwagę konfliktom wewnętrznym. Pobożny monarcha zaakceptował propozycję papieża, ale podjęcie się nowego zadania wymagało definitywnego zakończenia wojny domowej w Alpuharze.

Dekret odniósł natychmiastowy skutek: moryskowie masowo zaczęli udawać się do obozu don Juana de Austria w Padul, by tam złożyć broń i oddać się w ręce Hiszpanów. Jednocześnie sytuacja ta sprawiła, że duża część wojska chrześcijańskiego pozbawiona perspektywy zdobycia łupów zdezerterowała. Z dziesięciu tysięcy ludzi, których liczyło wojsko księcia Sesy w momencie wkraczania do Alpuhary, pozostały zaledwie cztery.



— Odpływamy! Wracamy do Algieru! — oznajmiał swoim ludziom donośnym głosem Barrax. — Jutro rano wszyscy macie być gotowi do drogi. — Po tych słowach wszedł do namiotu. — Słyszałeś, co powiedziałem?! — krzyknął do Hernanda. — Przygotuj go do podróży — dodał, wskazując na szlachcica.

Hernando odwrócił się w stronę chorego: ten czuł się nieco lepiej, jednakże...

— On umrze — rzekł nagle do kapitana.

Barrax nic nie odpowiedział. Ściągnął tylko brwi, aż ich końce zetknęły się pośrodku czoła nad półprzymkniętymi oczami. Pod wpływem surowego spojrzenia korsarza Hernando wstrzymał oddech. Barrax odwrócił się i wyszedł, ale opuszczając namiot, prawą ręką dotknął sztyletu, jakby tym samym sugerując chłopcu, co go może spotkać.

Los jest przesadzony, pomyślał Hernando: albo zginie, albo

w najlepszym razie będzie wiosłować przez resztę życia na galerze. Siadłszy na ziemi, przyglądał się swoim kajdanom na nogach. Nie mógł biec. Co tam biec, nie mógł nawet iść! Był zwykłym niewolnikiem skutym łańcuchami! A Fatima... Hernando ukrył twarz w dłoniach. Nie mógł powstrzymać napływających do oczu łez.

— Mężczyzna płacze tylko wtedy, gdy umiera mu matka lub gdy ma rozpruty brzuch.

Hernando obrócił wzrok na szlachcica i nabrał głęboko powietrza, próbując powstrzymać się od płaczu.

— Obaj umrzemy — rzekł, ocierając oczy rękawem.

— Tylko jeśli taka jest wola Boga — wyszeptał chrześcijanin.

Hernando słyszał już gdzieś podobne słowa. Gonzalico! Brzmiało w nich to samo zawierzenie, ta sama pokora. Ale czy w islamie było inaczej? Czyż samo słowo „islam” nie oznaczało podporządkowania się?

— Ale Bóg dał nam zarazem prawo do walki — dodał szlachcic, przerywając jego rozważania.

Twarz Hernanda wykrzywił pogardliwy grymas.

— Niby jak? Jeden ranny, a drugi w kajdanach — mówiąc to, wskazał jednocześnie na wejście do namiotu. Na zewnątrz trwała gorączkowa krzątanina.

— Może ty pogodziłeś się z myślą o śmierci, ale pozwól przynajmniej, że ja zawalczę o swoje życie — odrzekł chrześcijanin.

Hernando przyjrzał się kajdanom: nie były grube, za to bardzo mocne. W miejscach, gdzie żelazo ocierało kostki, skóra zdarta była do żywego ciała.

— Co byś zrobił, gdybym cię puścił wolno? — spytał chłopak, nie odrywając wzroku od żelaznych obręczy.

— Uciekłbym, ratowałbym życie.

— Nie sądzę, żebyś mógł chodzić o własnych siłach. Nawet nie jesteś w stanie podnieść się z postania.

— Zobaczysz, że mi się uda — odrzekł szlachcic i z wolna zaczął dźwigać się w górę. Twarz ściągnęła mu się z bólu.

— Na zewnątrz są tysiące muzułmanów. — Mówiąc to, Hernando popatrzył wprost na szlachcica. W jego oczach pochwyił jakiś niezwykły błysk. — Zostaniesz...

— Zabity? — dokończył Hiszpan.

Głos muezina wzywający na modlitwę przerwał ich rozmowę. Zmierzchało. Przygotowania do drogi ustały i wszyscy wierni padli na kolana. „Teraz”, wymówił bezgłośnie szlachcic w chwili ciszy poprzedzającej początek modłów i wskazał na przeciwległą ścianę namiotu, za którą znajdowały się muły.

Hernando się nie modlił. Nie robił tego już od dawna. Wieczorna modlitwa... ta sama, do której moryskowie, wolni od szpiegujących oczu chrześcijan, przystępowali w zaciszu swoich domów. Co w tej sytuacji doradziłyby mu Hamid? Co powiedziałyby fakih na pomysł uwolnienia chrześcijanina, wroga? Hernando spojrzał na słupek w wejściu. Szabla Hamida, szabla Proroka! Przez uchylone poły namiotu widział mieszkańców obozu zwracających się w kierunku Mekki. Berber stojący na straży stał niewzruszenie na swoim miejscu, tuż przy słupku z wiszącą bronią. Hernando przypomniał sobie ostrzeżenie Barraksa: „Spróbuj tylko je tknąć, a pożegnasz się z życiem”. Umieranie. Śmierć jest daleką nadzieją! Zdało mu się, że patrzy na niego migdałowe oczy Fatimy, której postać jak żywa stała w jego wspomnieniach. Jakie to miało znaczenie? Chrześcijanie, muzułmanie, wojna, ofiary...

— Udawaj martwego — rzucił krótko do szlachcica. — Zamknij oczy i wstrzymaj oddech.

— Co...?

— Rób, co mówię!

Trwającą ciszę przerwały nagle tysiące głosów łączących się we wspólnej modlitwie. Hernando wsłuchał się przez chwilę w słowa pieśni, po czym wychylił głowę z namiotu.

— Szybko, pomóż mi! — zakrzyknął na strażnika. — Hiszpan umiera.

Berber wszedł do środka, przyklęknął na jedno kolano obok rannego i przyłożył rękę do jego czoła. Hernando wykorzystał tę krótką chwilę i wyciągnął szablę z pochwy. Na dźwięk żelaza

strażnik odwrócił głowę. Hernando błyskawicznie, z miejsca, w którym stał, zamachnął się i ciął Berbera przez kark. Strażnik padł martwy, przygniatając swym ciałem szlachcica. Hiszpan z wysiłkiem odsunął z siebie trupa.

— Podaj mi mój miecz — zwrócił się do Hernanda, usiłując zarazem stanąć na nogach. Hernando patrzył jak zauroczony na ostrze szabli, na którym połyskiwała cienka strużka krwi.

— Na Boga, podaj mi miecz — powtórzył błagalnym tonem szlachcic. Hernando spojrział na chrześcijanina: na co człowiekowi w jego stanie taka ciężka broń? — Proszę — nalegał szlachcic.

Hernando podał mu ciężki miecz bastardowy i poszedł w przeciwną stronę namiotu. Po drugiej stronie stało stadko mułów. Szlachcic podążył za nim, na wpół zgięty, z mieczem w rękę. Uwagi Hernanda nie uszły ból i słabość widoczne w ociężałych i sztywnych ruchach rannego. Znów naszły go wątpliwości. Przecież to samobójstwo! Jakby przeczuwając jego wahanie, szlachcic podniósł głowę i uśmiechnął się z wdzięcznością. Hernando przykleknął i zbliżył twarz do ściany namiotu, usiłując rozróżnić rysujące się po drugiej stronie cienie. Hiszpan nie dbał już o nic: jednym szybkim ruchem rozciął tkaninę, przecisnął się przez otwór i zaczął posuwać się na czworakach. Hernando zauważył, że rana znów zaczęła krwawić: bandaż przytrzymujący miedzianą płytkę cały zabarwił się na czerwono. Chłopak szedł za Hiszpanem, również na czworakach, nie odrywając oczu od szabli, którą ciągnął po ziemi, spodziewając się w każdej chwili natknąć na któregoś ze strażników. Nic takiego jednak się nie stało i zanim się obejrzeni, znaleźli się pod nogami mułów. Szmery modlitwy tysięcy wiernych mieszały się z ich urywanym oddechem. Twarz chrześcijanina znów rozjaśnił uśmiech, zupełnie jakby już byli wolni. I co dalej? — zapytywał sam siebie Hernando: szlachcic nie ujdzie daleko, wykrwawi się, nie zdołają przebyć nawet jednej dziesiątej mili. Nad górami niebo czerwieniało, gasnące słońce zwiastowało koniec dnia. Wieczory w Sierra Nevada! Ileż to razy podziwiał je w... Juviles! Staruszka! Przerwał swe rozmyślenia i zaczął bacznie przyglądać się nogom zwierząt. On miałyby nie rozpoznać kopyt

swojej Staruszki? Opatrywał je tysiące razy! Dostrzegł je i skinął na Hiszpana, by szedł za nim. Doczołgawszy się do mulicy, poglądził delikatnie jej wykrzywione, pokryte pęcherzami ścięgna. Staruszka stała objuczona, gotowa do drogi. Hernando podniósł się z ziemi, nie przestając rozglądać się uważnie, czy ktoś ich nie widzi. Ale cały obóz pogrążony był w wieczornej modlitwie. Na lewo od nich, w odległości zaledwie kilku kroków otwierał się wąski przesmyk wiodący na skraj głębokiego wąwozu.

— Wstań — ponaglił szlachcica, po czym podsadził go i przerzucił przez grzbiet Staruszki niczym wypchany wór.

— Trzymaj się mocno — przykazał i powiodł jego ręce ku rzemiennym popręgom, ale gdy spróbował odebrać szlachcicowi miecz, ten zaprotestował. Chciał mieć go przy sobie.

Hernando ujął mulicę za uzdę i ruszył w kierunku wąwozu. Z powodu krępujących go kajdanów posuwał się maleńkimi kroczkami, stając przy tym ostrożnie, by nie rozlegało się pogrękiwanie żelaza. Patrzył przed siebie nic niewidzącym wzrokiem, zapuszczonym gdzieś w dał ponad niebotycznym urwiskiem. Pragnął pomodlić się, przyłączyć się do dobrze znanego mu chóru głosów dobiegających z obozu, ale teraz było to niemożliwe. Dopiero dotarłszy nad krawędź urwiska, odwrócił głowę: na ciemnym niebie wciąż widniała cienka czerwona linia znacząca granie gór. Nikt ich nie zauważył. Hernando napawał przez chwilę oczy niezwykłym widokiem: tysiące ludzi pochylonych ku wschodowi, w kierunku dokładnie odwrotnym do urwiska, nad którym stali. Hiszpan ponaglił go. Chłopak wskoczył na grzbiet mulicy i przewiesił się przezeń w poprzek, tuż obok chrześcijanina, chwytając się, podobnie jak jego towarzysz, popręgu pod brzuchem Staruszki.

— Trzymaj się mocno — powtórzył. — Zejście będzie niebezpieczne. Do Juviles, Staruszko! Prowadź nas do Juviles! — i klepnął ją po zadzie, najpierw lekko, potem z całej siły, aż Staruszka przemogła w sobie lęk przed opuszczaniem się w przepaść i uczyniwszy pierwszy krok, przysiadła na zadzie i zaczęła zsuwać się po stromym zboczu.

To, co w rzeczywistości trwało zaledwie kilka chwil, wydało im się wiecznością. Mulica omijała starannie kamienie, skały

i drzewa. Ku zdziwieniu Hernando gdzieniegdzie przeskakiwała nawet drobne, pionowe szczeliny. Mądra Staruszka! Jego Staruszka! Kilka razy obaj o mało nie zsunęli się na ziemię, gdy mulica przysiadła na tylnych nogach. Drapały ich ciemne krzaki i gałęzie. Mimo to udało im się w końcu dotrzeć na brzeg potoku spływającego z Sierra Nevada. Lodowata woda przepełniła ich uczuciem wolności. Staruszka stanęła w wodzie do połowy goleni i potrząsnęła gwałtownie łbem. Jej wielkie uszy zatrzepotały dumnie w powietrzu, rozpryskując dookoła tysiące drobnych kropelek, jakby była świadoma wyczynu, jakiego dokonała.

Hernando zsunął się do strumienia i zanurzył w nim głowę. Bezgłośnym ruchem warg stłumił w sobie krzyk. Wzbudzone pod wodą niezliczone ilości pęcherzyków powietrza pieściły mu twarz. Udało się! Tymczasem szlachcic również zsunął się na ziemię i lekko wsparł na grzbiecie zwierzęcia. Wciąż krwawił, a mimo to, choć odziany tylko w prosty kubrak, emanował godnością i wyniosłą dumą. W prawej ręce trzymał wytrwale ciężki i długi miecz.

Hernando usiadł w strumieniu.

— Widzisz? — odezwał się szlachcic — Bóg nie chciał naszej śmierci. — Hernando zaśmiał się nerwowo. — Trzeba walczyć, nie płakać. Nie masz dziury w brzuchu ani nie zmarła ci matka. Pan nasz Jezus Chrystus i Najświętsza Panienska...

Szlachcic mówił coś dalej, ale Hernando nie słuchał go. Właśnie, matka. A Fatima?

— Uciekajmy stąd — rzekł szlachcic, kończąc swój dyskurs.

Uciekać? — zapytywał sam siebie Hernando. Chciał tego, to prawda. Po to narażał swoje życie, ale już raz uciekł do Adry. Zostawił wtedy na pastwę losu i Fatimę, i matkę.

— Czekaj.

— Będą nas ścigać. Zaczną nas szukać, gdy tylko się zorientują, że zbiegliśmy z obozu.

— Spokojnie. Noc ich powstrzyma...

— O co chodzi? — przerwał mu nagle szlachcic.

— Przed kilkoma miesiącami — mówił, podnosząc się ze strumienia i patrząc z nagłym smutkiem na szablę Hamida —

pospieszyłem do Juviles ratować matkę. — Po co wyrzucać mu rzeź? — pomyślał, ale coś kazało mu mówić dalej: — Wy, chrześcijanie, zabiliście wtedy ponad tysiąc kobiet i dzieci — rzekł dobitnie.

— Ja nikogo nie...

— Milcz! Zrobiliście to, a drugie tyle popędziliście w niewolę.

— A wy...

— Teraz to już bez znaczenia — przerwał mu młody morsyk. — A więc poszedłem tam, do Juviles, żeby ratować matkę. I udało mi się. Ocaliłem też Fatimę, moją... dziewczynę, która miała zostać moją żoną. Potem jeszcze nieraz przyszło mi je ratować od zguby. Razem przeżyliśmy naprawdę trudne chwile. — Przypomniał sobie ucieczkę z Paterny w śnieżną burzę, wesele w Mecinie... I na co to wszystko? — Nie mogę ich tak zostawić — dodał.

W tym momencie skrzyżował swój wzrok z oczami chrześcijanina. Hiszpan krwawił obficie, ale wciąż biła od niego siła. W czasie niewoli u kapitana korsarzy Hernando wyrzucił z pamięci wspomnienie Fatimy i Aiszy i odsunął od siebie wszystko, co mogło je przypominać, zupełnie jakby nie istniały, ale teraz... Wolność! Jakąż przedziwną moc daje wolność! Brahim nigdy nie podda się chrześcijanom, pomyślał nagle Hernando, ale gdyby jemu udało się zbiec z Fatimą i Aiszą i oddać się w ręce chrześcijan, może zapomnieliby o przeżytych koszmarze.

— Potrzebuję twojej pomocy... — wyszeptał szlachcic.

— Na nic ci się nie przydam w tych ciemnościach. Wystarczy ci Staruszka. Muszę wrócić po matkę... i po kobietę, którą kocham! Rozumiesz? Nie mogę pozwolić, by zostały zabite przez chrześcijan lub dostały się do niewoli.

I pod wpływem nagłego postanowienia poderwał się energicznie, ale upadł zaraz w wodę skrępowany żelaznymi kajdanami. Zupełnie o nich zapomniał.

— Twoja decyzja przynosi ci zaszczyt — przyznał szlachcic, pomagając mu wstać. — Chodź — rzekł i wskazał na brzeg.

— Co zamierzasz?



— Drogi chłopcze, nie ma takiego żelaza wykutego przez Maurów, które nie uległoby toledańskiej stali — odrzekł szlachcic, dając jednocześnie chłopcu do zrozumienia, by usiadł na wybranym przez niego miejscu, wyciągnął nogi i położył skute kajdanami stopy na niewielkim głazie.

Hernando ujrzał, jak szlachcic ujmuje miecz w obie dłonie. Nie, nie zrobi tego, jest ranny. Nawet w półmroku mógł wyczytać grymas bólu na jego twarzy, gdy usiłował wznieść miecz nad głową.

— Na gwoździe Chrystusa! — wykrzyknął szlachcic.

I oto miecz opadł na żelazo, aż iskry posypały się z łańcucha i kamienia. Zgrzyt pękającego ogniwa zbiegł się z odgłosami poruszenia powstałego nad ich głowami. W obozie najwyraźniej odkryto ich ucieczkę. Chrześcijanin stał oparty o wbity w ziemię miecz, jakby zadane przed chwilą cięcie pozbawiło go resztki sił.

— Uciekaj — ponaglił go Hernando. Szlachcic nic nie odrzekł. Chłopak ujął go pod pachy i podprowadził do Staruszki. Potem pomógł mu wdrapać się na jej grzbiet i ułożyć jak poprzednio. Odpiął jeden z rzemiennych pasów i przywiązał go nim do mulicy. — Zaufaj jej — rzekł mu do ucha. — Jeśli będzie stawać, mów jej, żeby szła do Juviles. — Staruszka zastrzygła uszami. — Pamiętaj: do Juviles. Do Juviles, Staruszko! Do Juviles! — i pognął zwierzę, klepiąc je po zadzie.

Chwilę patrzył za nią, jak idzie w dół strumienia. W tym czasie urwisko pokryło się światłami pochodni, które zaczęły powoli się zniżać.



Hernando siedział ukryty w krzakach. Berberowie Barraksa przetrząsali okolicę, przyświecając sobie to tu, to tam pochodniami, ale czynili to bez większej gorliwości. W górze słychać było donośne krzyki kapitana. Dołem dwóch jego ludzi ruszyło w całkowitych ciemnościach wzdłuż potoku, ale po chwili zawróciło. Następnego dnia wracali do Algieru, o wiele bogatsi niż wtedy, gdy przybijali do brzegów Al-Anadalu. Co ich obchodziło, że Barrax stracił jeńca?

Było już dobrze po północy, gdy Hernando postanowił opuścić

wreszcie swoją kryjówkę i zaczął wdrapywać się ścieżką wydeptaną przez Berberów. Rzemieniami, które miał przy sobie, zabezpieczył luźne końce łańcuchów zwisające przy kajdanach. Ocierały mu nogi i wkrótce zdarłyby mu skórę, podobnie jak żelazne obręcze na kostkach. Ale tym razem odczucie bólu było inne: dotąd nieludzkie cierpienie przygniatało go do ziemi, teraz była to zaledwie dokuczliwość dla wolnych stóp.

Czekając w ukryciu u podnóża urwiska, słyszał dobiegające z obozu dźwięki muzyki i odgłosy zabawy. Wielu korsarzy i Berberów, podobnie jak Barrax, postanowiło wrócić do ojczyzny i świętowało swą ostatnią noc na ziemiach Al-Andalus. Moryskowie z kolei, odpowiadając na wezwanie don Juana de Austria, opuszczali to ukradkiem, to znów zwyczajnie, bez cienia zażenowania, wojsko muzułmańskie. Tym razem rozkaz chrześcijańskiego księcia był sumiennie przestrzegany i zarówno mężczyźni, jak i kobiety udający się do chrześcijan mogli czuć się bezpiecznie na drogach. Nawet mały Jusuf wyznał Hernandowi, że zamierza uciec następnego ranka. Chłopiec zdobył gdzieś starą kuszę i postanowił, tak jak nakazywał dekret, stawić się z nią w obozie don Juana de Austria. Nie miał jeszcze wprowadzić czterestu lat, ale też chciał uchodzić za żołnierza. Jusuf mówił o tym z wielką dumą.

Hernando uśmiechnął się smutno na jego słowa.

— Ja... — zawahał się przez chwilę Jusuf, nie śmiąc spojrzeć Hernandowi w oczy — ja...

— No mów.

— Jak myślisz, dobrze robię? Mogę odejść?

Hernando spuścił wzrok. Głos uwiązał mu w gardle. Odetchnął kilka razy, zanim odpowiedział:

— Nie musisz pytać mnie o pozwolenie. Jesteś... — przerwał na chwilę i odchrząknął — jesteś wolny i nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań. To raczej ja jestem twoim dłużnikiem.

— Ale...

— Niechaj Allah cię strzeże, Jusufie. Idź w pokój.

Jusuf podszedł wtedy do niego w postawie pełnej szacunku, jakiej należało oczekiwać od małego chłopca, i wyciągnął rękę,

ale nagle rzucił mu się w ramiona. Jeszcze teraz Hernando czuł jego urywany oddech na piersiach.

Dotarł do krawędzi urwiska i skierował się do obozu, okrążając namiot Barraksa. Nie musiał zachowywać nadzwyczajnej ostrożności: całą straż stanowił jeden Berber, którego morzył sen. Pozostali spali po zabawie przy ogniskach. Gdzie szukać matki i Fatimy? Należało przejść przez cały obóz, a po spacerach z pacholećmi każdy mógł go rozpoznać. Wtem dostrzegł rzucony koło żarzących się drzew turban. Zastanawiał się, jak go dosięgnąć. Nawet jeśli strażnik drzemał, z pewnością zauważyłby kogoś obcego kręcącego się w pobliżu jego towarzyszy. Nigdzie żadnego ruchu. Blask pochodni oświetlających obóz natychmiast zdradziłyby jego obecność. Hernando obiegnął spojrzeniem całe miejsce aż... Nie!

Nogi się pod nim ugięły. Upadł na kolana, a ciało oblał mu zimny pot. Zwymiotował raz, potem drugi. Żołądkiem wstrząsnął jeszcze trzeci i po nim czwarty skurcz, ale że nie było już co zrzucić, o mało nie rozdarły mu trzewi. Ponownie spojrzął ku wejściu do namiotu Barraksa: na szczycie tego samego słupka, na którym poprzednio wisiały szabla i miecz, tkwiła zatknięta głowa Jusufa. Wyrwano mu nos i uszy i przybito je poniżej w jednej linii: najpierw jedno ucho, potem drugie, a na końcu to, co zostało z nosa.

Kolejny skurcz szarpnął jego żołądkiem, mimo to nie przestał patrzeć. Oczami wyobraźni ujrzął potężnego Turka przygniatającego Jusufa i odgryzającego mu nos i uszy. Ile razy odgrażał się, że to zrobi! I zrobił to... z jego powodu. Zapewne chłopca oskarżono o współudział w ucieczce. Staruszka zniknęła, a zwierzętami opiekował się tylko Jusuf. Hernando poszukał wzrokiem głowy Ubajda, ale jej nie znalazł. Poganiacz nie był głupi i pewnie uciekł w porę. Hernando po raz ostatni przyjrzał się resztkom Jusufa stanowiącym naoczny dowód okrucieństwa kapitana. Wstał i wyjął z pochwy szablę.

Ostrożnie przekradł się skrajem urwiska i stanął za plecami czuwającego na straży Berbera. „Nie na wiele zda ci się ta stara szabla, jeśli nie nauczysz się jej mocno trzymać”, brzmiały słowa janczara. Jeżeli chybi, znów wpadnie w łapy Barraksa. Zacisnął z całej siły palce na rękojeści i napiął wszystkie mięśnie, po czym

ciął silnie strażnika przez kark. W powietrzu dał się słyszeć tylko krótki świst i głuchy odgłos padającego na ziemię ciała. Hernando przebiegł szybko wśród ognisk, nie oglądając się na śpiących Berberów. Szczęki miał zaciśnięte, mięśnie napięte, a wzrok utkwiony w wejściu do namiotu. Odsunął zasłonę i wszedł do środka. Barrax spał na ziemi na sienniku. Hernando stał przez chwilę nieruchomo, czekając, aż oczy przyzwyczają mu się do półmroku. Podeszedł do śpiącego i wznosił szablę wysoko nad głową. Bolały go palce, a mięśnie ramion i pleców zdały się pękać od napięcia. Korsarz leżał tu zupełnie bezbronny! Szyję miał znacznie grubszą niż strażnik, któremu nie zdołał odciąć całkowicie głowy. Hernando już złożył się do cięcia, gdy nagle coś go powstrzymało i szabla zawisła w powietrzu. Dlaczego nie? Niech wie, kto go zabił. Winien był to Jusufowi. Hernando potrząsnął lekko Barraksem, dotykając nogą jego boku. Korsarz mruknął coś przez sen, przekręcił się na drugi bok i spał dalej. Wtedy Hernando kopnął go z całej siły. Barrax uniósł półprzytomny głowę. Chłopak zastygł w miejscu na ułamek sekundy. Tyle czasu było potrzeba, aby Turek go rozpoznał, dostrzegł wiszącą nad nim szablę i zniżające się ku jego oczom ostrze. Kapitan otworzył usta do krzyku, a wtedy szabla poszybowała ku jego szyi. Głowa spadła od pierwszego cięcia.

Hernando szedł przez obóz ubrany na modłę turecką, w stroju znalezionym w namiocie: w turbanie zakrywającym mu twarz do połowy, szarawarach i długiej, sięgającej kostek tunice. Żelazne pęta owinał kawałkami szmat i ukrył pod szarawarami. W prawej ręce, w worku, niósł głowę tureckiego kapitana. Za pasem miał zatknięte kilka sztyletów, u jednego boku zwieszał mu się mały arkebuz, u drugiego szabla Proroka. Zuchwałym, pewnym głosem pytał napotkanych strażników o namiot Brahima. Dotarłszy na miejsce, wszedł zdecydowanym krokiem do środka z obnażoną szablą. Co go obchodzi, że to mąż jego matki! Tym razem nie ulegnie błaganiom Aiszy. Jednakże namiot, który mu wskazano, okazał się zupełnie pusty. Właśnie chciał włożyć szablę do pochwy, gdy za jego plecami rozległ się jakiś hałas. Odwrócił się z gotową do walki bronią. W wejściu ujrzał stojącą nieruchomo matkę.

— Czego tu chcesz? — spytała Aisza.

Hernando odstąpił twarz.

— Synu! — Aisza rzuciła się ku niemu z wyciągniętymi ramionami, ale po raz pierwszy w życiu Hernando nie dał jej się objąć.

— Gdzie Brahim? — spytał oschle. — Gdzie Fatima? Gdzie oni są?

— Synu... Ty żyjesz! I... jesteś wolny? — wyjąkała matka. Hernando dostrzegł spływające po jej policzkach łzy.

— Matko, gdzie jest Fatima? — ponowił pytanie, tym razem miękkiem głosem, tuląc do siebie Aiszę.

— Uciekli. Postanowili poddać się chrześcijanom — mówiła, szlochając. — Wymknęli się dziś w nocy, tuż po zachodzie słońca. — Widząc zawód na twarzy syna, Aisza próbowała tłumaczyć dalej: — Król wielokrotnie musiał napominać twojego ojczyma. Nie stawiał się na posiedzenia rady, nie brał udziału w potyczkach, a wszystko to... — zawahała się przez moment — żeby tylko być jak najczęściej z Fatimą — wyrzuciła wreszcie. — Ponieważ dekret przewiduje ułaskawienie tylko dla dwóch osób, wziął z sobą Fatimę i najstarszego syna, Aquila, i Humama, którego zgodził się zabrać pod wpływem nalegań jego matki. Może kilkumiesięcznego maleństwa nie będą brać pod uwagę.

— Fatima... Fatima uciekła z nim?

— Musiała, synu. Brahim...

— A Musa? — przerwał jej w pół słowa. Nie chciał znać więcej szczegółów.

— W namiocie obok. Tu mogli przebywać tylko...

— Ruszamy za nimi — rzekł tonem rozkazu, znów nie dając jej skończyć.

Świtało. Kilka kroków od namiotu znaleźli stadko mułów. Hernando postanowił wziąć jednego, żeby wieźć na nim matkę. Mulnika, starego moryska, obudziło dziwne poruszenie wśród zwierząt. Hernando zagroził mu szablą, ale nie zabił. Zmusił go natomiast, by szedł z nimi kawałek drogi, tyle, ile było trzeba, by nie zdążył powiadomić nikogo o ich ucieczce. Potem puścił go wolno.

## 22

Dwa dni zajęło Hernandowi, Aiszy i Musie przebycie odległości dzielącej ich od Padul, gdzie don Juan de Austria założył swój obóz. Po drodze przyłączyli się do morysków podążających w tym samym kierunku co oni. Zgodnie z rozkazem księcia każdy morysk udający się przez Alpuharę do Padul z zamiarem poddania się musiał mieć wyszyty biały krzyż na prawym ramieniu. Patrząc z daleka na nadciągające z różnych stron długie kolumny morysków, miało się wrażenie, że to jakaś procesja wielkich białych krzyży niesionych przez mężczyzn, kobiety i dzieci. Szli w milczeniu, powłócząc nogami, złamani, zmęczeni, głodni i chorzy, pozbywszy się złudnej nadziei na odzyskanie swojej kultury, ziemi i... swojego Boga. Wiedzieli, jaki czeka ich los: wygnanie do różnych królestw podległych hiszpańskiemu monarsze, z dala od Grenady, to samo, co spotkało morysków z Albaicín i z Vega de Granada.

Na noc zatrzymali się w okolicach Lanjarón, podobnie jak uczyniło to kilka innych osób, gdy tylko słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Potem przyłączyli się inni. Nie było śpiewów, zabaw ani tańców. Tu i ówdzie zapłonęły ogniska i ludzie pokładli się spać pod gołym niebem. Zapasy jedzenia były skąpe — tylko to, co udało im się zabrać z sobą, gdy wyruszali w drogę. Nikt nie zwołał ich na modlitwę.

Hernando ugryzł kęs chleba, wziął muła i zaczął zegnać się z matką.

— Dokąd idziesz?

— Zostało mi jeszcze coś do zrobienia. Wróce, matko — uspokajał ją, widząc obawę w jej oczach.

Hernando skierował się do warownego zamku Lanjarón, wznoszącego się na górującym nad okolicą skalnym wzniesieniu, około sześciuset łokci kastylijskich na południe od wioski. Trzy z czterech boków twierdzy posadowione na skraju opadającej stromo w dół skały wyrastały bezpośrednio nad przepaścią. Zamek zbudowano, podobnie jak wiele innych, za panowania dynastii Nasrydów. Poważnemu zniszczeniu uległ podczas pierwszej rewolty morysków w 1500 roku spowodowanej brutalną polityką kardynała Cisnerosa. Kielich goryczy przepełniło złamanie przez Królów Katolickich postanowień pokojowych zawartych w Grenadzie. Idąc przez obozowisko, Hernando rozglądał się po ludziach, czy nie zauważy gdzieś Brahima i Fatimy. Nawet jeśli wyruszyli tuż po zachodzie słońca, nie mogli iść bez przerwy przy świetle księżyca, musieli zatrzymać się gdzieś na nocleg. W tej sytuacji stracili swą przewagę. Nie dostrzegł ich jednak w tłumie posepnych cieni. Zapewne byli już dalej, może w Tablete, dokąd również udała się na noc spora grupa morysków.

Ostatni odcinek drogi dzielący go od fortecy przebył przy złotawej poświacie księżyca. Muł nie po raz pierwszy widać piął się po skałach, bo każdy krok stawiał ostrożnie, starannie wybierając grunt... zupełnie jak jego Staruszka! Ciekawe, co też się z nią dzieje? Porzucił jednak szybko tę myśl, czując, że ogarnia go nostalgia. A co ze szlachcicem? Żyje? Miał ochotę dowiedzieć się, kim jest, ale Hiszpan o mało nie zemdlął po rozcięciu żelaznego łańcucha. Tak czy owak, gdyby nie on, gdyby nie jego pragnienie wolności, pewnie nie zdecydowałby się na ucieczkę i dziś wiosłowałby jako galernik na *Rączym Koniu* Barraksa... albo skończyłby jak Jusuf. Straszna boleść ścisnęła mu serce na wspomnienie chłopca. Hernando podniósł wzrok ku górze, na majestatyczną bryłę zamku, i westchnął. Po tyłu miesiącach się poddawali. Po raz

kolejny. Na co tyle ofiar i ludzkich nieszczęść? Czy zdarzy się jeszcze kiedyś, że zamek ten bronić będzie pragnień znieważanego i ciemnionego ludu?

Wspinając się przez cały czas ścieżką, dotarł do ruin zamkowych. Zsiadł wolno z muła i poczekał, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Potem skierował się do bastionu zachowanego we wschodnim narożniku twierdzy. Próbował ustalić kierunek na Mekkę, a gdy wydało mu się, że go odnalazł, wziął garść piasku i dokonał ablucji.

Wzniósł niebieskie oczy ku niebu. Nie były to już te same oczy, którymi patrzył po raz pierwszy na szablę Proroka. Znikła z nich dziecięca naiwność zastąpiona teraz wyrazem bólu.

— Nie ma innego Boga prócz Boga Jedyneho, a Mahomet jest Jego Prorokiem.

Wyrecytował te słowa cichym głosem, nieomal szeptem, trzymając za oba końce szablę Hamida nad głową. Ileż to razy wzbraniał się przed złożeniem tego wyznania wiary przed Baraksem!

— Hamidzie, jestem tutaj — wyszeptał, ale odpowiedziała mu głucha cisza. — Jestem tutaj! — wykrzyknął. Jego słowa odbiły się głośnym echem pośród wzgórz i przełęczy. Co mogło stać się z fakiem? Odczekał kilka chwil, zaczerpnął powietrza i z wzebranej piersi wydał grzmiący okrzyk: — Allah jest wielki! — Odpowiedziały mu milczące wzgórza. — Przysiągłem niegdyś, że żaden chrześcijanin — głos zadrgał mu wzruszeniem — nigdy nie zdobędzie tej szabli.

Zagrzebał ją u podnóża bastionu, najgłębiej jak potrafił, rozgarniając ziemię rylcem zabranym z obozu, kalecząc sobie przy tym palce i zrywając paznokcie. Potem zmówił modlitwę, przez cały czas mając wrażenie, że Hamid klęczy tuż obok niego jak za dawnych czasów w Juviles. Na koniec za pomocą kamienia i rylca rozbił sworznie przy kajdanach, które rozpekły, ukazując odarte ze skóry kostki.





Złocisty krąg słońca przetoczył się już przez południe, gdy Hernando i jego rodzina dotarli do obozu don Juana de Austria. W odległości ćwierć mili od miasta kobiety zaczęły odsłaniać głowy i twarze oraz chować pod ubrania zakazane ozdoby. Na szerokiej równinie rozpościerającej się na przedpolach Padul morysków przejmowały oddziały chrześcijańskich żołnierzy.

— Złożyć broń! — krzyczeli, ustawiając ich w rzędy. — Kto podniesie arkebuz, kuszę lub wyciągnie szablę, zginie!

Na początku każdego z długich rzędów kilku siedzących za stołami pisarzy spisywało personalia przybyłych i sztuki oddanej broni.

Guzdralstwo i opieszałość, z jaką to czynili, sprawiały, że czas oczekiwania włókł się w nieskończoność. Oprócz wojska otaczały morysków niezliczone zastępy duchownych przymuszających ich do wspólnego odmawiania modlitw, czynienia znaku krzyża i klękania przed niesionymi krucyfikami. Z szeregów dobiegały takie same apatyczne i niewyraźne pomruki, jakie przez lata słychać było w kościołach Alpuhary jako odpowiedź zniewolonego ludu na formy przymusu stosowane przez duchownych.

— Co tam masz? — spytał żołnierz z wyhaftowanym na mundurze czerwonym krzyżem świętego Andrzeja, znakiem hiszpańskich pułków piechoty, i wskazał na worek trzymany przez chłopaka w prawej ręce.

— To nie jest... — zaczął mówić Hernando, otwierając worek i wkładając powoli do środka drugą rękę.

— Santiago! — wrzasnął żołnierz, dobywając szabli na widok podejrzanych ruchów.

Na ten okrzyk w mgnieniu oka kilku żołnierzy rzuciło się w jego kierunku. Moryskowie przezornie odsunęli się od Hernanda, Aiszy i Musy, których otoczył oddział zbrojnych. Hernando wciąż stał z ręką zanurzoną w worku.

— Nie mam tu żadnej broni — próbował uspokoić żołnierzy, wyjmując z worka zawartość tobołka. — Oto, co zostało z Barraksa! — wykrzyknął i uniósł za włosy głowę Turka. — Oto kapitan korsarzy!

Szmer przebiegł nawet w szeregach morysków. Jeden z weteranów rozkazał rekrutowi przywołać natychmiast kaprała albo sierżanta. Tymczasem wokół Hernanda i jego bliskich cisnęli się coraz to nowi żołnierze i duchowni. Wszyscy wiedzieli, kim był Barrax.

— Jak się nazywasz? — spytał kapral, który przedarł się przez ścisk i uśmiechnął szeroko, ujrzawszy głowę korsarza.

— Hernando Ruiz — dało się słyszeć gdzieś w tłumie, zanim Hernando zdołał otworzyć usta.

Chłopak odwrócił się zaskoczony. Znał ten głos... To Andrés, zakrystian z Juviles!

Zakrystian, który wraz z dwoma duchownymi dołączył do kręgu gapiów, skierował się prosto ku Aiszy. Zaledwie przed nią stanął, wymierzył jej siarczysty policzek. Hernando wypuścił z ręki głowę Barraksa i byłby pewnie rzucił się na zakrystiana, gdyby nie powstrzymał go kapral.

— O co chodzi? — zdziwił się żołnierz. — Skąd to...?

— Ta kobieta zamordowała don Martina, proboszcza z Juviles — wrzeszczał wściekle zakrystian, aż oczy nabiegły mu krwią. I znów zamierzył się, żeby spoliczkować Aiszę.

Hernando poczuł, że nogi się pod nim uginają na wspomnienie matki dźgającej nożem księdza. Do głowy mu nie przyszło, że spotka tu kogoś z Juviles, a już na pewno nie Andrésa. Kapral chwycił zakrystiana za rękę, nie pozwalając mu uderzyć Aiszy.

— Jak śmiesz...?! — huknął na niego jeden z księży, stając w obronie zakrystiana.

Rozkazy księcia były stanowcze: nie wolno robić nic, co mogłoby sprowokować morysków do wznowienia buntu.

— Don Juan — oświadczył kapral — przyrzekł okazać łaskę wszystkim moryskom, którzy zdecydują się poddać, i nikt nie będzie podważać tej decyzji. Ten chłopak — ciągnął — przybył tu, żeby oddać broń... i głowę kapitana korsarzy. Łaska książęca nie obejmuje tylko Turków i Berberów.

— Ale ona zamordowała sługę bożego — zaoponował drugi z księży, szarpiąc Aiszę za ramię.

— Ci ludzie zabili też największego wroga króla. Ona jest z tobą?

— Tak, to moja matka.

— Jasne — wybuchnął znowu Andrés i zaczął wymyślać Aiszy. — Nie mogłaś wrócić z mężem, co? Kiedy zobaczyłem go w szeregu z tamtą kobietą... przysiągł, że nie żyjesz! Dlatego przysłała tu z synem, żeby za głowę korsarza kupić sobie wolność...

— Wolność nadana jest jej z woli księcia — unosił się coraz bardziej kapral. — Zabraniam wam — zwrócił się ostrzegawczo do księży — poczynania jakichkolwiek kroków przeciwko tej kobiecie. Jeśli macie coś do powiedzenia w tej sprawie lub chcecie wnieść skargę przeciw niej, musicie zwrócić się do samego don Juana de Austria.

— I zrobimy to! — zakrzyknął pierwszy z księży. — Przeciw niej i przeciw jej mężowi, który skłamał. — Kapral wzruszył ramionami. — Idziemy, pomożesz nam odszukać jej męża — domagał się duchowny.

— Mam co innego do roboty — odparł żołnierz, podnosząc z ziemi głowę Barraksa. — Idźcie z nimi — rozkazał dwom swoim ludziom — i pilnujcie, żeby postępowano zgodnie z nakazami księcia.



Szukają Brahima! Hernanda nie obchodził teraz ani tłum morysków, przez który się przeciskali, idąc za zakrystianem, ani dolatujące do jego uszu komentarze na temat incydentu z głową korsarza. Najważniejsze, że idą szukać Brahima... i Fatimy!

— Tam jest! — Krzyk Andrésa pokazującego w kierunku stołu jednego z pisarzy przywrócił chłopaka do rzeczywistości. Stało się to w chwili, gdy wyobraziwszy sobie Fatimę w rękach swojego ojczyma, znów zaczął dostawać skurczów żołądka.

— José Ruiz! — ryknął zakrystian, rzucając się ku stołowi. Pisarz przestał notować w swojej księdze i podniósł oczy na zbliżającą się grupę ludzi.

— Nie przysięgałeś, że twoja żona nie żyje?

Brahim aż pobladł z wrażenia na widok swego pasierba, Aiszy i Musy, dwóch żołnierzy, duchownych i zakrystiana z Juviles. Ale

Hernando nie zauważył wyrazu paniki rysującego się na twarzy ojczyrna, widział tylko Fatimę, wychudzoną, zmizerowaną, z zapadniętymi i podsinionymi oczami. Dziewczyna patrzyła na nich zastygła w bezruchu.

— Co to za awantura? — zdziwił się pisarz, starając się powstrzymać biegnących gestem ręki w obawie o swoje biurko. Był wychudzony, o chorobliwym wyrazie twarzy i rzadkiej brodzie. Wyraźnie nie podobało mu się to zamieszanie przeszkadzające w pracy. Zakrystian już miał rzucić się na Brahima, ale jeden z żołnierzy zastąpił mu drogę. — Co to wszystko znaczy? — spytał pisarz.

— Ten człowiek mnie oszukał! — wrzeszczał jak oszalały Andrés. Na to pisarz westchnął tylko ciężko, on też się domyślał, że kłamią.

— Przysięgnął, że jego żona nie żyje, a tak naprawdę chciał osłaniać morderczynię. — Andrés chwycił Aiszę za ramię i postawił przed pisarzem.

— To jest jego żona? Wedle zeznania — mówił wolno skryba, jakby czynił to z największym wysiłkiem — jego żoną jest ta oto niewiasta. — Wskazał ręką na Fatimę.

— Bigamista! — wykrzyknął pierwszy duchowny.

— Heretyk! — wrzasnął drugi. — Trzeba złożyć na niego doniesienie do Świętego Oficjum! Książę nie ma władzy odpuszczania grzechów, to należy tylko do Kościoła.

Pisarz upuścił pióro na księgę i otarł chustką czoło. Po tylu pracowitych dniach, po zapisaniu setek morysków, mężczyzn i kobiet, którzy nie potrafili nawet mówić łamanym hiszpańskim, jeszcze tego było mu potrzeba.

— Gdzie znajdę sędziów najwyższego trybunału? — spytał Andrés. Popatrzył dookoła i nakazał żołnierzom natychmiast ich odszukać.

Hernando zauważył, że Brahim drży i robi się coraz bledszy. Wiedział, co myśli. Jeśli go zatrzymają i udowodnią mu, że był żonaty z dwiema kobietami, święta inkwizycja każe go uwięzić, a potem...

— Nie... to nie jest moja żona — wybąkał Brahim.

— Tu jest napisane María z Terque, żona José Ruiza z Juviles — rzekł pisarz. — Tak mi powiedziałeś.

— Nie! Nie zrozumiałeś mnie! Żona Hernanda Ruiza z Juviles. — Brahim w zdenerwowaniu wtrącał słowa arabskie i żywo gestykulował. — Powiedziałem Hernando Ruiz, mój syn, nie José Ruiz. María z Terque jest żoną mojego syna! — wykrzyknął tak, by wszyscy obecni go słyszeli.

Hernando zamarł z wrażenia. Fatima oderwała oczy od Humama, którego do tej chwili kołysała w ramionach, głucha na wszystko.

— Przed chwilą powiedziałeś... — ciągnął swoje pisarz.

Brahim wyrzucił z siebie nowy potok słów arabskich. Próbował tłumaczyć coś skrybie, ale ten przerwał mu, machnąwszy lekceważąco ręką.

— Pokażcie mi księgę! — zażądał kategorycznie Andrés.

Pisarz chwycił księgę w obie ręce i pokręcił przecząco głową. Potem popatrzył na długi rząd morysków, których miał jeszcze tego dnia zapisać, a których przybywało z każdą chwilą z powodu przedłużającej się awantury.

— Jak mamy wykonywać naszą pracę, jeśli oni ledwie dukają po hiszpańsku — rzekł z ubolewaniem. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnął, było uczestniczenie w procesie inkwizycyjnym, nawet w charakterze świadka. Nie miał dobrych doświadczeń ze Świętym Oficjum i wiedział, że każdy, kto przed nim staje... Ujął ponownie pióro w palce, umoczył je w kałamarzu i zaczął poprawiać to, co zapisał, mówiąc głośno: — María z Terque, żona Hernanda Ruiza z Juviles. Zrobione. I po kłopotcie. Teraz oddaj broń — zwrócił się do Hernanda — i podaj mi personalia, twoje i osób, które przyprowadziłeś.

— Ale... — zaprotestował zakrystian.

— Skargi wnosić do Sądu Najwyższego Grenady — przerwał mu pisarz, nie podnosząc oczu znad księgi.

— Nie możecie... — próbował interweniować pierwszy z księży.

— Owszem, mogę! — uciał pisarz, nie przestając zapisywać.

Hernando podał cicho dane matki i Musy, patrząc z ukosa na Fatimę. Dziewczyna zdawała się obojętna wobec tego zamieszania, wpatrzona tylko w swoje małe ramię, które kołysała w ramionach.

— Oszukują was! — ciągnął uparcie Andrés.

— Nie! — Tym razem pisarz ostro postawił się zakrystianowi, mając już serdecznie dosyć jego natręctwa. — Nie oszukują. Przypomniałem sobie, że istotnie powiedział Hernando Ruiz, a nie José Ruiz — skłamał. — Gdzie chcecie zamieszkać do czasu, kiedy książę zdecyduje o waszym przesiedleniu?

— W Juviles — odparł Brahim.

— Musi to być teren równinny, z dala od gór i wybrzeża — wyrecytował poirytowany pisarz, powtarzając tę samą formułę po raz enty tego dnia.

— Niech będzie więc Vega de Granada.

— Ale... — nie dawał za wygraną zakrystian.

— Następny — rzekł znużonym głosem pisarz, gestem wskazując, by się oddalili.



— Jeśli, jak twierdzą, zawarli związek małżeński w czasie powstania, udzielcie im ślubu zgodnie z regułą Najświętszej Matki Kościoła — tak brzmiała odpowiedź Juana de Soto, sekretarza don Juana de Austria, udzielona zakrystianowi z Juviles i obu duchownym, którzy prosto od pisarza udali się na skargę do księcia. — Co zaś się tyczy tej kobiety — ciągnął sekretarz, wspominając uśmiech zadowolenia na twarzy don Juana de Austria na widok leżącej u jego stóp głowy Barraksa — podlega jak wszyscy obiecanemu ułaskawieniu. — Trójka przybyłych chciała jeszcze dyskutować, ale sekretarz przerwał im: — Wykonać, taka jest decyzja księcia pana.



— Nie zbliżaj się do Fatimy, bo jak nie, to...

Hernanda zaskoczyła groźba Brahima wypowiedziana w odległości zaledwie kilku kroków od stołu pisarza.

Chłopak się zatrzymał. Nie był już niewolnikiem korsarza!

Niespełna dwa dni temu zrezygnował z wolności, by narażać swe życie dla ratowania Fatimy i matki. Zabił trzech ludzi, żeby tego dokonać! Z wyjątkiem turbanu, który wyrzucił gdzieś po drodze, wciąż miał na sobie szaty Turka.

— To co? — spytał hardo ojczyma.

Brahim idący przed Hernandem również zatrzymał się i odwrócił do pasierba. Obaj mierzyli się wzrokiem. Brahim wykrzywił usta w cynicznym uśmiechu, chwycił Aiszę za ramię i mocno je ścisnął. Przez chwilę Aisza znosiła dzielnie jego uścisk, ale Brahim trzymał ją tak długo, że nie była już w stanie powstrzymać grymasu bólu. Mimo to nie uczyniła nic, aby mu się wyrwać lub przynajmniej odsunąć.

— Matko! — wykrzyknął Hernando, sięgając odruchowo do szabli, której nie miał już przy boku. Aisza nie śmiała spojrzeć synowi w oczy. — Ten skurwysyn zostawił cię samą w Ugįjar!

Brahim gniótł coraz mocniej ramię Aiszy, a ona wciąż nie patrzyła na syna. Fatima po raz pierwszy poruszyła się niespokojnie i przycisnęła mocno Humama do piersi, jakby to stanowiło dla niej źródło życia.

Hernando patrzył wyzywającym wzrokiem na ojczyma. Z jego niebieskich oczu biła niepohamowana wściekłość. Drżał. Nagromadzona nienawiść znajdowała ujście w zwierzęcym ataku furii. Brahim uśmiechnął się i wykręcił ramię swej pierwszej żony z taką siłą, że kobieta jęknęła z bólu.

— Wybieraj, nazarejczyku. Chcesz, żebym złamał rękę twej matce?

Aisza szlochała.

— Dość! — wykrzyknęła nagle Fatima. — Ibn Hamidzie, nie...

Hernando cofnął się o krok, patrząc z niedowierzaniem na wyraz niemego błagania malującego się na twarzy dziewczyny, i odetchnął głęboko, by uspokoić gwałtowne uderzenia serca.

Stojąc z wółprzymkniętymi oczami, Hernando przypomniał sobie radę Hamida. „Używaj swej inteligencji”, rzekł mu kiedyś fakih. Nic nie mówiąc, Hernando odwrócił się i oddalił, poskramiając w sobie dziką żądzę zemsty.

## 23

*Maj, 1570*

— Zmiłuj się nad nami, panie. Udziel nam swego miłosierdzia w imieniu Jego Królewskiej Mości i przebacz nam nasze winy, bo zaprawdę zawiniliśmy ciężko. — Oto słowa, które Habaquí wypowiedział w obecności don Juana de Austria w momencie kapitulacji. — Broń tę i chorągiew składałam u stóp Jego Królewskiej Mości w imieniu Aben Abu i wszystkich rebeliantów, z których woli to czynię — zakończył. W tej samej chwili don Juan de Soto rzucił chorągiew na ziemię.

Zanim jeszcze Habaquí wszedł do namiotu, czerwony sztandar Aben Abu z wyszytym na nim mottem „Nie mogłem pragnąć więcej ani przystać na mniej” złożono przed uformowanymi w równe szyki oddziałami piechoty i jazdy. Długa salwa z arkebuzów zmieszała się z okrzykami rycerstwa i żołnierzy. Po nich rozbrzmiały modlitwy duchownych.

Habaquí uzyskał od króla przebaczenie dla Turków i Berberów, którym darowano wolność i pozwolono powrócić do ich krajów. Filip II zgodził się na to ustępstwo, by jak najszybciej zakończyć wewnętrzny konflikt i stanąć na czele Świętej Ligi powołanej przez papieżstwo. Obawiał się ponadto, że z nadejściem wiosny moryskowie uzupełnią zapasy żywności i powstanie rozgorzeje na nowo.

Don Juan de Austria mianował specjalnych komisarzy, których



rozesłał po Alpuharze z zamiarem doprowadzenia do ostatecznego poddania się morysków w całym królestwie Grenady. Habaquí zobowiązał się dopilnować wyprawienia Turków i Berberów w wyznaczonych przez księcia portach, na który to cel Filip II przeznaczył niemałą część swoich żaglowców i statków wiosłowych. Definitywne zakończenie działań wojennych wyznaczono na dzień świętego Jana 1570 roku. Do tego czasu wszyscy Turcy i Berberowie powinni byli opuścić ziemie królestwa Grenady.

Do piętnastego czerwca odnotowano trzydzieści tysięcy nazwisk morysków, którzy złożyli broń. Habaquí zdołał wyprawić do Algieru prawie wszystkich Turków i korsarzy, ale większość Berberów postanowiła zostać i kontynuować walkę. Wobec takiego obrotu spraw Aben Abu zmienił zdanie i zerwał zawarty wcześniej układ: zabił Habaquíego, a sam umocnił się w górach z trzema tysiącami ludzi.

W dniu dzisiejszym wyprawiliśmy ostatnią grupę i uczyniliśmy to z największym żalem, albowiem w momencie, gdy wyruszali w drogę, z nieba lały się takie strugi deszczu, wiał tak silny wiatr i sypał taki śnieg, że zewsząd słychać było jeno narzekania córki do matki, męża do żony, dziecięcia do wdowy i tak kolejno. Ja zaś cierpieiałem stokrotnie więcej od nich, nie sposób bowiem zaprzeczyć, że widok pustoszejącego królestwa jest najżałośniejszym widokiem, jaki można sobie wyobrazić. Stało się, co się miało stać.

List don Juana de Austria do Rui Gómeza  
5 listopada 1570

W listopadzie 1570 roku Filip II wydał nakaz przesiedlenia wszystkich morysków z królestwa Grenady w głąb Hiszpanii. Ci, którzy osiedli na równinie Vega de Granada, wśród nich Hernando, Brahim i ich bliscy, zostali oddani pod komendę don Francisca de Zapata de Cisneros, pana Barajas i namiestnika Kordoby, który najpierw miał ich poprowadzić do Kordoby, a następnie deportować do Kastylii i Galicji.

Na zachód od miasta równina Grenady pokryta była gęstą siecią gospodarstw. Był to obszar zupełnie płaski i nadzwyczaj urodzajny dzięki złożonemu systemowi kanałów nawadniających, zbudowanych jeszcze w czasach rzymskich, a udoskonalonych i rozbudowanych przez muzułmanów. Po zdobyciu Grenady przez Królów Katolickich prastary podział ziem na ogrody warzywno-sadownicze i małe zagrody wiejskie uległ zmianie: pojawiły się wielkie majątki ziemskie będące własnością szlachty, możnych katolickich i zakonów, jak na przykład zakonu kartuzów, który, przejąwszy rozległe obszary rolne, przeznaczył je pod uprawę winorośli.

Na tym właśnie terenie przez siedem miesięcy mieszkali tysiące przesiedlonych morysków. Patrząc na ziemię ciągnącą się płasko aż po horyzont, uprawianą i dozorowaną przez chrześcijan, przemierzaną przez gromiących ich zakonników i księży, wspominali z utęsknieniem górskie bezdroża, dzikie przełęcze i urwiska Alpuhary.

Zgodnie z nakazem księcia Hernando i Fatima zawarli związek małżeński według obrządku chrześcijańskiego w kościele w Padul. W dniu poprzedzającym ceremonię ślubną w świątyni ci sami duchowni, którzy dopadli ich tuż po przybyciu do miasta, teraz urządzili im egzamin ze znajomości doktryny chrześcijańskiej. W przesłuchaniu uczestniczył również zakrystian Andrés.

Hernando przeszedł przez próbę bez trudu.

— Teraz ty — wskazał na Fatimę pierwszy duchowny. — Zmów Ojcze nasz.

Dziewczyna milczała. Obaj duchowni i zakrystian zaczęli się niecierpliwie.

Fatima stała pogrążona w myślach o swym nieszczęściu. Tamtej nocy Brahim, na oczach Hernanda, Aiszy i setek morysków układających się do snu, posiadał ją bez najmniejszego skrępowania, jakby chciał udowodnić wszystkim dookoła, że wciąż jest jej panem. Hernando oddał się wściekły, nie mogąc słuchać ekstazyjnych pojękiwań ojczyma. Musiał wyjść na świeże powietrze. Do oczu napłynęły mu gorące łzy bezsilności.

— Nie umiesz Ojciec nasz? — spytał Andrés, mrużąc oczy.

Hernando trącił ją lekko łokciem, wyrывая z zamyślenia. Dziewczyna wyrecytowała drżącym głosem Modlitwę Pańską i Zdrowaś, Maryjo, ale pogubiła się przy odmawianiu credo, Salve Regina i dziesięciorga przykazań.

Duchowny nakazał jej, aby w każdy piątek przez trzy lata przychodziła do swego kościoła parafialnego, aż opanuje biegle cały katechizm, i zapisał to w swoich dokumentach. Następnie kazano im przystąpić do spowiedzi.

— To wszystko?! — ryknął nagle ksiądz spowiadający Fatimę, gdy ta skończyła wyznawać swe grzechy. Hernando, który czekał na swoją kolej, stojąc niedaleko od konfesjonatu, skurczył się w sobie. — Don Juan, owszem, nakazał udzielić wam ślubu, ale nie dojdzie on do skutku, jeśli nie wyśpowiadasz się należycie i nie będziesz żałować za grzechy. Zapomniałeś o cudzołóstwie? Żyjesz w grzechu! Muzułmańskie zaślubiny są nieważne. A udział w powstaniu? Gdzie zniewagi, bluźnierstwa, gdzie morderstwa i świętokradztwa, których się dopuściłeś?

Fatima z trudem wyjąkała jakieś słowa.

— Nie mogę udzielić ci rozgrzeszenia! Nie widzę u ciebie ani skruchy, ani żalu za grzechy, ani postanowienia poprawy.

Dziewczyna, klęcząc w konfesjonale, nie mogła dostrzec wyrazu zadowolenia jaśniejącego na twarzy spowiednika. Hernando natomiast zauważył uśmieшки na ustach zakrystiana i drugiego duchownego obecnych podczas spowiedzi. Skąd te porozumiewawcze uśmiechy? Jeśli nie udzielą im sakramentu małżeństwa... Czekają ich inkwizycja! Żyją przecież w grzechu. Nawet ksiądz nie jest władny powstrzymać Świętego Oficjum.

— Chcę wyznać moje grzechy! — wykrzyknął chłopak, padając na kolana. — Wyznaję, że żyję w grzechu i gorzko tego żałuję. Wyznaję, że nieraz uczestniczyłem w bezczeszczeniu kościołów...

Fatima zaczęła powtarzać mechanicznie za Hernandem.

Oboje wyznali setki grzechów, które duchowni pragnęli usłyszeć, okazali swój żal za grzechy i przysięgli żyć odtąd wedle wiary chrześcijańskiej. Najbliższą noc spędzili w ramach pokuty

w murach świątyni. Hernando modlił się na głos, usiłując zamaskować swymi słowami uparte milczenie klęczącej obok niego Fatimy.

Następnego dnia rano tylko w obecności rzucającego groźne spojrzenia Brahima i kilku miejscowych starych chrześcijan, których wezwano w charakterze świadków, para młodych zawarła związek małżeński. Po raz drugi przyjęli Przenajświętszy Sakrament. Hernando dostrzegł kątem oka zdenerwowanie Brahima i pozwolił spokojnie rozpuścić się swojemu „ciastku” w ustach.

Brał ślub z Fatimą! Cóż go obchodzi, co się stanie potem? Brahim zażąda zapewne powrotu Fatimy i wśród morysków nadal będzie uważana za jego drugą żonę, ale w tej chwili mulnik nic nie był w stanie zrobić. Mógł co najwyżej kontrolować własne odruchy, obserwując, z jaką powagą i namaszczeniem wstępują w ten udawany związek małżeński. Ksiądz ogłosił ich mężem i żoną. Hernando przywołał w głębi ducha imię Allaha.

Ślub kosztował ich muła. Hernando miał ochotę sprzeciwić się i dowodzić, że maksymalna cena za ślub wynosi dwa reale dla księdza, pół reala dla zakrystiana i skromne „co łaska”, ale i tak nie miał pieniędzy. Miał tylko muła, i to nie swojego. W ostatniej nauce, jaką usłyszeli nowożeńcy przed wyjściem z kościoła, napomniano ich, by nie mieszkali razem i nie współżyli przez najbliższe czterdzieści dni.

Na równinie Grenady moryskom przyszło żyć pod gołym niebem i prawie bez ognia z powodu braku drewna na opał, którego żadną miarą nie mogli zdobyć na ziemi obfitującej w drzewa owocowe. Wyprzedali się ze wszystkiego, co mieli, by kupić pszenicę. Nawet woda, którą rozdzielano na pola uprawne zgodnie z odwiecznymi przepisami, stała się dla nich trudno dostępnym dobrem. Odziani w łachmany i wynędzniali żyli stłoczeni na znalezionych skrawkach nieużytków. Domy morysków zamieszkujących niegdyś równinę, a potem wypędzonych, teraz zajmowali chrześcijanie. Mimo niedostatku dzielili się wszystkim, co mieli, czekając na zapowiadany dzień exodusu. Po ślubie Brahim zabrał

do siebie Fatimę. Potem, już na równinie, Hernando nieraz miał okazję spotykać ojczyma, gdy podobnie jak on zakradał się do ogrodów w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Brahim pilnował, by jego pasierb ani na chwilę nie pozostawał sam na sam z Fatimą, a gdy już tak się przez przypadek zdarzało, dziewczyna natychmiast uciekała.

— Nie nalegaj — rzekła pewnego dnia matka. — Ona robi to przez wzgląd na Humama... i na mnie. Brahim mógłby zabić dziecko, gdyby się dowiedział, że z tobą rozmawiała. Zagroził, że to zrobi. Przykro mi, synu.

Hernando żył wspomnieniami chwili, w której połączono ich węzłem małżeńskim w kościele w Padul i został mężem Fatimy. O ironio losu! W Kościele katolickim! Kto wie, może kiedyś...

Ogrom poniesionej klęski moryskowie zrozumieli dopiero na równinie Grenady, gdy rozbrojeni, zniewoleni i uwięzieni na własnej ziemi czekali na decyzje władz. Dokąd ich ześlą? Co będą robić? Perspektywa spędzenia reszty życia w odległych, wrogich królestwach zamieszkałych przez chrześcijan niekryjących nienawiści do pokonanych napełniała ich przerażeniem. Jeśli ktokolwiek wiązał jeszcze jakieś nadzieje z rewoltą Aben Abu, to nadchodzące wieści nie napawały optymizmem: najwyższy komandor Kastylii i książę de Arcos skutecznie rozbijali skromne siły króla Al-Andalus.

Pierwszego listopada, gdy wzmogły się chłody i dalsza egzystencja pogrążonego w nędzy ludu stanęła pod znakiem zapytania, don Juan de Austria zarządził wreszcie deportację. Wszyscy moryskowie z równiny mieli zgromadzić się koło Królewskiego Szpitala w Grenadzie, za murami miasta. Granice tego obszaru wyznaczały: budynek szpitala, stara Brama Elviry prowadząca na wzgórze Albaicín i do dzielnicy arabskiej, klasztor la Merced, kościół w stylu mudejar pod wezwaniem świętego Ildefonsa oraz parkany licznych ogrodów.

Ogromna przestrzeń naprzeciwko szpitala zapełniła się wkrótce tysiącami morysków, którzy pilnowani przez żołnierzy namiestnika Kordoby, Francisca de Zapata, oczekiwali przybycia buchalterów

i pisarzy mających ich wszystkich policzyć i spisać z podaniem ich miejsca przeznaczenia.

5 listopada, w czasie szalejącej burzy trzy i pół tysiąca obdar-tych, wygłodniałych i chorych morysków, wśród nich rodzina Ruizów z Juviles, opuściło Grenadę drogą la Cartuja. W ciągu siedmiu dni przebyli pod eskortą ponad trzydzieści mil dzielących Grenadę od Kordoby. Miejsca postoju uzależnione były od wygody namiestnika i jego urzędników, którzy zatrzymywali się na noc tylko tam, gdzie mogli się wygodnie wyspać i dobrze zjeść.

Pierwszego dnia doszli do Pinos, położonego jeszcze na równinie, około trzech mil od Grenady. Don Francisco de Zapata zakwaterował się w wiosce, moryskowie zaś musieli spędzić noc pod gołym niebem na okolicznych polach, osłaniając się wzajemnie przed deszczem. Brakowało jedzenia, a miejscowa ludność odmawiała żywienia niedawnych wrogów chrześcijaństwa. O świcie zaczęli wspinać się drogą ku Moclín, gdzie wznosiła się wspaniała forteca strzegąca dostępu na równinę i do samego miasta. Odległość, jaką przebyli tego dnia, była dokładnie taka sama jak pierwszego, ale tym razem musieli iść pod górę i znosić mroźne podmuchy wiatru wiejącego od gór, który przenikał przez ich przemoczone ubrania i przeszywał zimnem do szpiku kości. Żaden morysk nie mógł pozostać gdzieś po drodze, wszystkim zdolnym do pracy mężczyznom nakazano dźwigać chorych, a nawet transportować zwłoki. Wozów nie było. Hernando idący daleko w tyle za Fatimą i Aiszą niósł wychudzonego, opadłego z sił starca. Piersiami mężczyzny wstrząsał raz po raz kaszel, który z upływem godzin przekształcił się w głuche przedśmiertne rżenie uchodzące wprost do ucha Hernanda. Starzec zmarł jeszcze tej samej nocy, podobnie jak siedemdziesięciu innych morysków. Jedynym pocieszeniem dla deportowanych było to, że po dotarciu do kolejnego miejsca postoju mogli, z braku trumien, grzebać ciała swoich zmarłych bezpośrednio w ziemi.

Najbardziej zdesperowani uciekali. Z rozkazu księcia każdy morysk przyłapany na próbie ucieczki stawał się niewolnikiem żołnierza, który go schwytał. Nic więc dziwnego, że brak jakiego-

kolwiek mężczyzny, kobiety lub dziecka mobilizował chrześcijan do gorączkowego pościgu, który przypominał polowanie na zwierzynę. Złapanych znakowano rozpalonym żelazem na czole i policzkach przy rozdzierających powietrze przeraźliwych krzykach ofiar. Żadnemu moryskowi nie udało się zbiec.

Z Moclin wyruszyli do Alcalá la Real, wędrując przez góry kolejne trzy mile. Tym razem przydzielono Hernandowi do opieki grubą, kulawą kobietę, którą dźwigał do spółki z drugim chłopcem w jego wieku. Poprzedniej nocy zauważył zaniepokojenie Fatimy o zdrowie małego Humama, którego przytulała do piersi, by ukoić jego kaszel.

W Alcalá la Real, u stóp wzgórza zwieńczonego warownią, kryjącą w swych murach wspaniałe opactwo wzniesione na miejscu dawnego meczetu, Aisza doniosła synowi o śmierci Humama. Podobnie jak w wypadku starca suchy kaszel przeszedł z wolna w świszczący, krótki oddech i maleństwo zaczęło gwałtownie dygotać. Jego drżenie Fatima odczuwała jak swoje własne i wstrząsana płaczem zawodziła głośno w bezsilnej rozpacz. Nie pozwolono im przystanąć. Zbolała kobieta na kolanach błagała chrześcijan, by choć na moment mogła się zatrzymać i podać dziecku coś ciepłego do picia, ale jej usilne prośby spotykały się tylko ze wzgardą. Żołnierze liczyli po cichu na to, że młoda matka, piękna nawet w cierpieniu, doprowadzona do desperacji podejmie próbę ucieczki dla ratowania dziecka. Można było dostać za nią dobrą cenę na targu w Kordobie.

— Nikt nam nie pomoże! — szlochała Aisza, wspominając pełne współczucia spojrzenia morysków.

Szli dalej, aż w odległości niespełna mili od Alcalá matka i dziecko przestali drżeć. Aisza musiała siłą wydrzeć martwego chłopczyka z zeszywniałych ramion Fatimy.

Hernando jako chrześcijański małżonek dziewczyny stanął się przed pisarzami, którzy odnotowali i potwierdzili zgon małego Humama. Fatima milczała. O zmierzchu Hernando, Brahim, Aisza i Fatima oddalili się od obozu i podobnie jak wiele innych rodzin muzułmańskich, pod czujnym okiem obserwujących ich z oddali

strażników, przystąpili do ceremonii pogrzebowej. Aisza delikatnie obmyła zwłoki dziecka w zimnej, krystalicznej wodzie kanału nawadniającego. W ubrankach niemowlęcia znalazła ukryty amulet z ręką Fatimy. Zabrała go i schowała. Nie był to odpowiedni moment, by oddać złoty wisiorek dziewczynie.

Po chwili do uszu Hernanda dobiegły nucone przez matkę słowa dobrze znanych mu kołysanek, tych samych, które stanowiły największą osłodę jego dzieciństwa. Brahim wykopał grób. Fatimie brakło już łez. Nie było fakiha ani modlitw, ani nawet płótna do owinięcia dziecka. Brahim złożył zwłoki w dole, podczas gdy matka dziecka stała jak zastygła, nie mogąc podejść do grobu.

Od Alcalá la Real wszystkie etapy drogi były już dłuższe.

Wreszcie zeszli na równinę Jaén. Brahim pomagał iść Fatimie, która dawała mu się bezwolnie prowadzić. Milcząca bardziej przypominała trupa niż żywą istotę. Za każdym razem gdy Hernando dostrzegał z daleka bezwładne ciało Fatimy podtrzymywane przez ojczyrna, odczuwał zawroty głowy i przenikające go dreszcze. Trzy dni później dotarli do Kordoby. Obdarci, bosi, z dziećmi i chorymi na plecach, uformowani w pięcioosobową kolumnę pod eskortą halabardzistów i arkebuzerów wkraczali do miasta przy akompaniamencie muzyki, oglądani przez pełnych ciekawości mieszkańców. Żołnierze szli w równym szyku w odświętnych mundurach.

Z trzech i pół tysiąca morysków wyruszających z Grenady do miejsca przeznaczenia dotarły tylko trzy tysiące. Makabryczny szlak usiany został pięciuset trupami!

Był 12 listopada 1570 roku.



## II

# W imię miłości

*Nie wiedziałem, co tu było, gdyż nigdy bym nie pozwolił, żeby to naruszono, albowiem zniszczyliście coś, co było jedyne na świecie, i budujecie coś, co można zobaczyć wszędzie.*

Słowa przypisywane cesarzowi Karolowi I, kiedy w roku 1526 ujrzał chrześcijańską katedrę w meczecie Kordoby, wznoszoną za jego zgodą, i położył kres dysputom pomiędzy radą miejską i kapitułą katedry co do zasadności tej budowy.



# 24

Zostawili za sobą fortecę Calahorra, przeszli przez rzymski most nad Gwadalkiwirem i wkroczyli do Kordoby Bramą Mostową wychodzącą na tylną fasadę katedry. Szli w kolumnach pilnowani przez żołnierzy, bacznie obserwowani przez zgromadzonych wzdłuż trasy przemarszu mieszczan. Hernando, podobnie jak wielu innych morysków, którzy rozpoznali w chrześcijańskiej katedrze cudowny meczet Kordoby z epoki kalifatu, nie odrywał wzroku od świątyni. Ubodzy mieszkańcy Alpuhary, przywiązani do swojej ziemi, nigdy wcześniej nie widzieli tego meczetu, ale wiedzieli o jego istnieniu, zatem teraz pomimo zmęczenia w ich oczach zapłonęła ciekawość. Za tym stuletnim murem, pod kopułą, znajdował się mihrab, miejsce, skąd kalif kierował modlitwą. Cichy pomruk przeszedł przez szeregi zesłańców i mimo woli zwolnili kroku. Mężczyzna z dzieckiem na ramionach pokazał na meczet.

— Heretycy! — wrzasnęła kobieta z tłumu mieszczan oburzona zachowaniem morysków.

Natychmiast posypały się obelgi, jakby gawiedź postanowiła bronić kościoła przed bluźnierczymi spojrzzeniami:

— Świętokradcy! Mordercy!

Jakiś starzec złapał kamień, żeby w nich rzucić, ale żołnierze go powstrzymali; jednocześnie ponagliли kolumnę do szybszego marszu. Dalej za tylną fasadą katedry ulice były węższe, więc

zrobiło się ciasno i żołnierze zaczęli rozpędzać gapiów, którzy odtąd mogli obserwować idących tylko z balkonów dwupiętrowych, bielonych domów. Moryskowie przeszli wzdłuż całej Cordoneros, zostawili za sobą ulice Alhóndiga i Pescadería, minęli Feria i znaleźli się u wylotu ulicy Potro. Czoło kolumny zatrzymało się na placu Potro, największej enklawie miejskiego handlu. Tutaj gubernator Zapata zarządził postój morysków, żeby mieć ich wszystkich pod kontrolą.

Trzy tysiące morysków, którzy przeżyli exodus, mimo najszerszych chęci nie mieściły się na placu stanowiącym centrum dzielnicy o tej samej nazwie. Większość z nich pozostała na przyległych ulicach. Tylko nieliczni znaleźli sobie miejsce w gospodzie Potro przy placu albo w Madera, w Monjas, albo w innym z wielu domów zajezdnych w tej okolicy, za które trzeba było słono płacić. Gubernator nakazał zamknięcie całej strefy, która odtąd znalazła się pod kontrolą, i pozostawił morysków na łasce rady miejskiej w oczekiwaniu na ostateczną decyzję króla Filipa co do ich dalszego losu.

Noc zastała wygnańców przy wielkich glinianych dzbanach z wodą, którą zaspokajali pragnienie. Ustawili się w kolejce i podczas gdy Brahim siorbał łąpczywie, podstawiając twarz pod strumień wody, Hernando obserwował Fatimę: potargane, brudne włosy okalały wychudłą twarz o wystających kościach policzkowych, podkrążonych i zapadniętych oczach, i rysach wyostrzonych zmęczeniem. Patrzył, jak trzęsą się jej ręce, kiedy usiłuje złożyć je w łódeczkę, żeby nabrać wody i podnieść do ust. Woda przeciekała między palcami, zanim zdążyła choć trochę wypić. Co z nią będzie? Nie przetrzyma następnego etapu drogi.

Nikt nie ośmielił się umyć. Decyzja gubernatora o zamknięciu tego sektora ulic dotyczyła tylko morysków — oni mieli ograniczoną swobodę ruchów w mieście, natomiast podróżnicy, kupcy, handlarze bytła i rzemieślnicy, którzy mieszkali i pracowali w tym rejonie, a więc siodlarze, płatnerze, lniarze, fabrykanci igieł i grabarze dumnie przechadzali się wśród zesłańców, nie spuszczać z nich oka, podobnie jak księża i cała masa ńędzarzy,

żebraków i awanturników bez stałego zajęcia, stałych bywalców dzielnicy handlowej, którzy nareszcie mogli potraktować kogoś z góry.

Moryskowie byli wyczerpani i głodni. Raptem pojawili się wśród nich chrześcijanie z wielkimi kotłami zupy z włoszczyzną i... wieprzowymi flakami! Księża przystawali co chwila, by sprawdzić, czy nikt nie odmawia spożycia stawy, której mużłmanom zabraniała ich religia.

— Dlaczego ona nie je? — zapytał jeden z nich, spoglądając na Fatimę. Dziewczyna siedziała na ziemi oparta o ścianę domu przy ulicy Potro, a obok niej znajdowała się nietknięta miska z jedzeniem.

Fatima nawet nie podniosła głowy na głos księdza. Brahim wbił wzrok w pływające w zupie kawałki tłuszczu i nic nie powiedział. Aisza też milczała.

— Jest chora — pospiesznie usprawiedliwił ją Hernando.

— Tym bardziej powinna coś zjeść — oświadczył kapłan, zachęcając do jedzenia.

Fatima nie reagowała. Hernando uklęknął obok niej, wziął łyżkę, nabrał zupy, a po namyśle sięgnął po kawałek świniny.

— Zjedz, bardzo cię proszę — szepnął.

Otworzyła usta, w które wetknął pełną łyżkę. Tłuszcz spływał Fatimie po brodzie. Nagle chwyciły ją torsje i zwymiotowała pod nogi księdza.

— Ty suko mużłmańska!

Wokół nich zrobiło się pusto. Moryskowie odsunęli się, tworząc koło. Nie wstając z kolan, Hernando doczołgał się do księdza.

— Ona jest chora! — zawołał. — Patrzcie! — Wziął z ziemi kawałek świniny i wsunął sobie w usta. — To... to moja żona. Jest chora — powtórzył. — Patrzcie! — Wrócił na miejsce, gdzie stała miska z zupą, nabrał na łyżkę flaków i zaczął gryźć. — Jest bardzo chora, nic więcej... — bełkotał z pełnymi ustami.

Ksiądz obserwował przez dłuższą chwilę, jak Hernando żuje i polyka kawałki świniny, i sięga po nowe. Niełatwo było go zadowolić.

— Ja tu jeszcze wrócę — powiedział na odchodnym, kierując te słowa do najbliższej stojącego moryska. — Lepiej niech ona do tej pory wyzdrowieje i nie pogardzi znów strawą, którą wspaniałościomnie wam oferuje miasto Kordoba.

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko miejsca, gdzie znajdowali się Fatima i Hernando, był mały zaułek łączący Potro z Gwadalkiwirem, tak wąski, że dwóch mężczyzn musiałoby przyciskać się do ściany podczas wymijania. Przez otwartą drewnianą bramę zaułka widać było szereg małych jednoizbowych pomieszczeń, które ciągnęły się po obu stronach uliczki. W bramie stał uzbrojony Hiszpan i patrzył na morysków, rozmawiając z klientami wchodzącymi bądź wychodzącymi z lupanaru. Zza jego pleców wychylały głowę kobiety, którym nieskromny strój i zakazana poza domem schadzek biżuteria nie pozwalały wyjść na ulicę. Był pośród nich starszy mężczyzna: starając się nie zwracać na siebie uwagi uzbrojonego Hiszpana, zarządcy domu publicznego, bacznie przypatrywał się młodemu moryskowi. Co on powiedział o chorej dziewczynie? Że to jego żona? Mężczyzna uśmiechnął się nieznanie: na jego prawym policzku widniała wypalona żelazem haniebna litera „S”. Hernando żyje! Minęły prawie dwa lata, odkąd pożegnali się na zamku w Juviles. Przez cały ten czas nie było dnia, żeby nie myślał o nim z ojcowską troską, jakkolwiek nigdy nie miał syna... Uradowany, że widzi go żywego, pomyślał z dumą, że chłopak urósł i zmężniał, co było widać pomimo łachmanów pokrywających jego ciało. Ile może mieć lat? Szesnaście? — zastanawiał się Hamid.

— Francisco! Wracaj do pracy! — krzyknął zarządca, gdy go zauważył. — Wy też — dodał, poganiając kobiety do wejścia.

Hamid wzdrygnął się i pokuśtykał w głąb zaułka, z trudem powstrzymując łzy. Hernando! Myślał, że już nigdy się nie spotkają... Ciekawe, ilu jeszcze mieszkańców Juviles przybyło w tej grupie zesłańców? Wiedział, choć sam ich nie widział, że w mieście jest kilka kobiet z Juviles, które zostały niewolnicami przed ogłoszeniem przez don Juana de Austria edyktu ułaskawiającego. Natomiast wszyscy wolni moryskowie mieszkający w Kordobie

pochodzili z Albaicín albo z Vega de Granada i przybyli tu w pierwszych grupach zesłańców. W milczeniu podziękował Miłosiernemu za opiekę i łaskę zachowania Hernanda przy życiu i na wolności. Co z jego żoną? Wygląda na chorą, ma konwulsyjne drgawki. Hernando musi ją bardzo kochać, skoro tak zapamiętał jej bronił i gotów był czołgać się na kolanach do księdza. Zatrzymał się przed drzwiami małego domku i nadstawił ucha. Z wewnątrz nie dobiegały żadne odgłosy. Zapukał delikatnie.



— Musisz jeść — Hernando przysiadł się do Fatimy. W tej samej chwili Brahim podniósł wzrok znad swej miski.

— Odejdź — warknął — nie zbliżaj się do niej...

— Przestań! Chcesz, żeby umarła? Pozwolisz jej umrzeć, a potem zabijesz moją matkę za to, że nie próbowała jej pomóc?

Brahim popatrzył na drżącą, skurczoną dziewczynę.

— Zajmij się nią — rozkazał Aiszy, która jadła, zamykając oczy za każdym razem, gdy podnosiła łyżkę do ust. — Zrób coś, żeby nie umarła.

— Musisz jeść, Fatimo — szepnął jej Hernando do ucha. Nie odpowiedziała ani nie spojrzała na niego, tylko wciąż się trzęsła. — Wiem, że cierpisz po stracie Humama, ale głodząc się, nie przywrócisz mu życia. Nam też jest go brak...

— Daj jej spokój — powiedziała Aisza, stając przed nim. Hernando podniósł na nią niebieskie oczy z wyrazem głębokiego zmieszania. — Daj jej spokój — powtórzyła łagodnie.

Aiszy też nie udało się wyrwać Fatimy z otępienia. Próbowwała zmusić ją do przełknięcia zupy, odkładając na bok kawałki wieprzowego tłuszczu, które sama połykała na wypadek, gdyby znów miał się pojawić jakiś ksiądz, ale gdy tylko wsunęła jej do ust łyżkę z płynem albo warzywami, dziewczyna natychmiast wszystko zwracała. Hernando przykucnął obok, obserwując walkę matki o nakarmienie Fatimy: wstrzymywała oddech, kiedy jej się udawało, i wpadała w rozpacz, bijąc rękami w ziemię, kiedy organizm dziewczyny odrzucał pożywienie.

— Podobno jest jakiś szpital na placu — powiedziała kobieta, która przyglądała się z niepokojem tej scenie.

Hernando spojrział na nią pytająco, pokazała ręką na plac Potro. Natychmiast zerwał się, żeby tam pobiec, ale po kilku krokach przystanął: przed wejściem do szpitala, w portyku zwieńczonym fryzmem z półłuków, kłębił się gęsty tłum. Mimo to podszedł bliżej i nie zważając na protesty, zaczął przeciskać się między ludźmi.

— Już wam mówiłem — usłyszał kapelana — że szpital ma czternaście łóżek i wszystkie są zajęte, na niektórych leżą po dwie osoby. Poza tym do szpitala przyjmuje się tylko chorych ze skierowaniem od lekarza lub chirurga, a teraz nie ma żadnego z nich.

Niektórzy zrezygnowali, słysząc te słowa, i opuszczali portyk; inni uparcie tkwili w miejscu, pokazując swe rany, zanosząc się od kaszlu i wyciągając błagalnie ramiona. Małe dziecko leżało u stóp kapelana i umierało na oczach zrozpaczonego ojca. Nic tu nie można zrobić, pomyślał Hernando, patrząc, jak kapelan kręci przecząco głową. Wciąż jednak miał przed oczami obraz trzęsącej się i wymiotującej Fatimy, dlatego po raz drugi tej nocy upadł na kolana przed księdzem.

— Na Boga i Przenajświętszą Panienkę...! — zawołał, podnosząc złożone ręce na wysokość brzucha kapelana, przypominając sobie błagalne prośby chrześcijańskiego szlachcica w namiocie Barraksa — na mękę Jezusa Chrystusa na krzyżu! Niech ojciec mi pomoże!

Ksiądz zaniemówił z wrażenia, po czym pochylił się, żeby podnieść go z kłęczek. Pierwszy raz słyszał moryska wzywającego imienia Jezusa! Hernando nie chciał wstać.

— Niech ojciec mi pomoże — powtórzył, kiedy ksiądz brał go za ramiona i ciągnął do góry. — Gdzie zastanę tego chirurga? Proszę powiedzieć! Moja żona jest bardzo chora...

Kapelan wypuścił go z rąk i odepchnął gwałtownie.

— Przykro mi, młodzieńcze — pokręcił głową — ale Szpital Miłosierdzia jest tylko dla mężczyzn. Nie przyjmujemy kobiet.



Reszta morysków zaczęła głośno wzywać pomocy Trójcy Świętej, ale Hernando nie chciał już tego słuchać.



Minęło kilka godzin, była już późna noc. Moryskowie usiłovali przespać się na ziemi, leżąc jedni na drugich. Hernando chodził w tę i z powrotem, nie oddalając się zbyt od Fatimy. Z trudem powstrzymywał łkanie na widok wstrząsanej drgawkami dziewczyny. Brahim spał oparty o ścianę z Musą i Aquilem ciasno przytulonymi do niego. Aisza głaskała włosy Fatimy, czuwając przy niej... jakby czekała na jej śmierć.

Zaczynało już świtać, kiedy z zaułka dobiegł hałas otwieranych drzwi. Hernando zobaczył najpierw młodą blondynkę, zdziwiony, że idzie w jego stronę. Co ona tu robi? Za nią szedł, utykając na jedną nogę...

— Hamid?! — zawołał Hernando. Fakihi podniósł wskazujący palec do ust i przykuszył do niego.

Chłopak rzucił się mu w ramiona. W tym momencie uzmysłowił sobie, jak bardzo tęsknił za widokiem tej kochanej twarzy, która była mu największą pociechą w smutnych latach dzieciństwa.

— Chodźmy! Nie ma czasu — ponaglił Hamid, uściskawszy go mocno. — Tam jest ta dziewczyna, jego żona. — Zwrócił się do młodej kobiety, która mu towarzyszyła. — Pomóż jej wstać, szybciej.

— Co... co chcesz zrobić? — spytał Hernando, nie mogąc oderwać oczu od znaku wypalonego na policzku fakihi.

Aisza podniosła się i pomogła blondynce chwycić Fatimę pod pachy.

— Spróbuję uratować twoją żonę — odparł Hamid, podczas gdy obie kobiety przechodziły na drugą stronę ulicy, ciągnąc za sobą Fatimę. — Zostań, Aiszo, nie wolno ci wejść do tego domu — dodał. — Sam zajmę się dziewczyną.

Hernando stanął jak sparaliżowany. Żonę? To tylko wersja dla chrześcijan, ale Hamid... Jak zareaguje na to Brahim? Co zrobi, gdy się obudzi i zobaczy, że nie ma Fatimy? Może jednak pohamuje

swój gniew, gdy się dowie, że przyszedł po nią Hamid i że trzeba jej pomóc.

— Ona nie jest moją... — Aisza chwyciła go za ramię, zmuszając do milczenia. Ale fakih nie dosłyszał już tych słów: rozglądał się uważnie dookoła, czy nikt ich nie widział.

— Jutro udaję się na zakupy — powiedział, zamykając drzwi domu publicznego. — Będzie okazja, żeby porozmawiać, ale pamiętajcie, tutaj jestem tylko niewolnikiem... Nie podchodźcie do mnie, dopóki nie dam znaku. I nazywajcie mnie Francisco, to moje chrześcijańskie imię.

## 25

Trzydziestego listopada 1570 roku na rozkaz króla Filipa II trzy tysiące morysków z Vega de Granada wyruszyło z gubernatorem Zapatą do ostatecznych miejsc przeznaczenia, takich jak Mérida, Cáceres, Plasencia i inne, dzięki czemu w Kordobie zrobiło się trochę spokojniej, a na placu Potro znowu kwitła ożywiona działalność handlowa. O pierwszym brzasku dnia nad Gwadalquivirem w pobliżu wiatraka Martos Hernando ujrzał ich przechodzących przez rzymski most. Szli uformowani w takie same kolumny jak ta, w której niecałe trzy tygodnie temu on też podążał przez ten most, tyle że w odwrotnym kierunku.

Poczuł na widok milczących kolumn mężczyzn, kobiet i dzieci, zrezygnowanych i bezsilnych wobec ciężącego nad nimi fatum, że cuchnące, zakrwawione skóry zwierząt, które dźwigał na swoich barkach, ważą dużo więcej niż przed chwilą, kiedy wyszedł z rzeźni i zmierzał w kierunku ulicy Badanas, gdzie nieopodal rzeki znajdowała się garbarnia Vicentego Segury. Zgodnie z nakazem rady miejskiej szedł po zewnętrznej stronie murów obronnych. Niechcący zwolnił kroku, odprowadzając wzrokiem kolumnę wygnańców. Resztki krwi wołów spływały mu po plecach na nogi, a dotkliwy odór świeżo zdartej skóry (powód, dla którego kordobańscy nie zgadzali się na transport skór wewnątrz miasta) skojarzył mu się z cierpieniem wyczuwanym na odległość w tych ludziach. Co się z nimi stanie? Co zrobią? Przechodząca obok

kobieta spojrzała na niego z niechęcią, marszcząc czoło. Hernando otrząsnął się z rozmyślań i ruszył w dalszą drogę: musi się pospieszyć, bo pryncypał nie tolerował spóźnienia.

Hamid załatwił dla niego tę pracę, a właściwie prostytutka Ana María, ta sama, która zaopiekowała się Fatimą, ukryła ją w swoim pokoiku na drugim piętrze domu publicznego i kurowała razem z Hamidem. Uratowali dziewczynę od niechybnej śmierci. Hernando uśmiechał się do siebie na to wspomnienie.

Urzednicy rady miejskiej Kordoby znowu zainteresowali się moryskami, kiedy przyszedł rozkaz opuszczenia przez nich miasta. Sporządzili nowy spis i podzielili ludzi na grupy wedle miejsca przeznaczenia. W związku z tym Fatima musiała opuścić dom publiczny, a Hernando przekonał się, że informacje dostarczane codziennie przez fakiha nie odbiegały od rzeczywistości; dziewczyna przybrała na wadze i wyglądała zdrowiej, chociaż wciąż była bardzo smutna.

Ana María nie czekała na podziękowania.

— To dobra dziewczyna — skomentował pewnego ranka Hamid.

— prostytutka? — wyrwało się Hernandowi.

— I co z tego? — odparł z powagą fakiha. — prostytutki mają zazwyczaj dobre serce. Większość z nich wywodzi się z ubogich rodzin bez środków do życia. Jako małe dziewczynki zostały oddane przez rodziców na służbę do bogatych domów. Zgodnie z umową po osiągnięciu wieku młodzieńczego powinny otrzymać odpowiedni posag pozwalający na zawarcie dobrego małżeństwa. Ale bogaci rzadko dotrzymywali umowy. Kiedy zbliżał się termin zakończenia służby, oskarżali dziewczynę o kradzież czy intymne stosunki z panem domu lub z paniczami, do czego często były po prostu zmuszane... Nie miały innego wyjścia — ubolewał. — Taką służącą wyrzucano na bruk bez pieniędzy, z piętnem złodziejki albo dziwki. — Hamid zacisnął wargi i przez chwilę milczał. — Taka jest prawda! Trudno się dziwić, że nieszczęsne dziewczyny trafiają potem do domu publicznego.



Hamid stracił wolność zaraz po wkroczeniu chrześcijan do Juviles. Edykt markiza de Mondéjar nic mu nie dał. W straszliwym zamieszaniu, jakie nastąpiło po rzezi kobiet i dzieci na placu w Juviles, żołnierze wpadali do domów, a że nie było już nic do zrabowania, zabierali niedołączonych mężczyzn, którzy nie byli w stanie uciec z muzułmańskim wojskiem. Kulawy, wychudzony Hamid został napiętnowany rozpalonym żelazem i wystawiony na sprzedaż od razu w drodze do Grenady, po niskiej cenie, bez targu. Kupił go jeden z wielu handlarzy ciągnących za wojskiem. Ten z kolei przetransportował go do Kordoby i odprzedał zarządcy domu publicznego, który uznał, że nie znajdzie lepszego niewolnika do domu pełnego kobiet niż kulawy, schorowany starzec.

— Odkupimy twoją wolność! — zawołał oburzony Hernando, gdy o tym usłyszał.

Hamid uśmiechnął się smutno w odpowiedzi.

— Nie dałem rady uciec z Juviles razem z naszymi braćmi. A co z szablą? — przypomniał sobie nagle.

— Schowana w zamku Lanjarón koło...

Hamid nakazał mu gestem milczenie.

— Komu będzie dane ją znaleźć, ten znajdzie.

Hernando zamyślił się nad tym słowami, po czym wrócił do dręczącej go kwestii:

— A twoja wolność?

— Co ja bym robił na wolności, mój chłopcze? Nie znam się na niczym innym oprócz pracy na polu. Kto zatrudni kulawego rolnika? Nie wyżyłbym z waszej jałmużny, bo sami nic nie macie. W Kordobie czeka mnie śmierć głodowa, jeśli jako wolny człowiek zajmę się tylko tym, co robiłem przez całe życie, czyli sprawowaniem funkcji fakiha...

— Jako wolny człowiek! To znaczy, że nie wykluczasz takiej sytuacji i nadal będziesz fakihem? — przerwał mu Hernando.

Hamid kazał mu milczeć, rozglądając się ukradkiem dokoła, czy nikt nie podsłuchuje.

— Porozmawiamy o tym kiedy indziej — szepnął. — Mamy dużo czasu.

— Znasz się na ziołach — nie ustępował młodzieniec — mógłbyś leczyć.

— Nie jestem lekarzem ani chirurgiem. A wszystko, co wiąże się z ziołami, uchodzi za czary. Czary... — powtórzył bezgłośnie.

Próbował wytłumaczyć Anie Marii, że nie trzeba być czarownikiem, aby znać się na ziołach, ale dziewczyna nie była do końca przekonana. Pewnego dnia — było to wkrótce po podjęciu pracy w zamtuzie — zastał ją zapłakaną, kiedy przyniósł czyste prześcieradła do pokoju. Początkowo uparcie milczała, nie chciała odpowiadać na jego pytania. Hamid był niewolnikiem zarządcy, nie mogła mieć pewności, że dotrzyma sekretu... Wyczytał tę nieufność w jej oczach i nie ustąpił, dopóki nie zwierzyła się ze swojego zmartwienia. Szankier! Zrobiła jej się mała ranka na sromie, na razie niebolesna i ledwie widoczna, ale wszystko wskazywało, że to pierwszy objaw kiły. Lekarz przysyłany raz na dwa tygodnie przez radę miejską do kontrolowania stanu zdrowia i higieny prostytutek niczego jeszcze nie zauważył, ale przy następnej wizycie nie da się tego ukryć. Dziewczyna znów zalała się łzami.

— Wyślą mnie do przytułku Lámpara — szlochała — a tam... tam umrę jako syfilityczka.

Hamid słyszał o pobliskim przytułku. W mieście było wiele takich zakładów opiekuńczych i wszyscy kordobańczycy czuli przed nimi lęk. Tylko bieda może zmusić człowieka do pójścia do domu opiekuńczego, mówili między sobą. prostytutki najbardziej bały się przytułku dla kobiet z chorobą weneryczną. Otoczony kordonem sanitarnym przez władze był symbolem długiej, bolesnej agonii.

— Mógłbym... — zaczął Hamid. — Znam...

Ana María odwróciła się do niego z błaganiem w zielonych oczach.

— Znam stare lekarstwo muzułmańskie i może... — Nigdy nie leczył szankra w Alpuharze! A jeśli nie poskutkuje? Jednakże dziewczyna już klęczała przed nim na kolanach i trzymała za nogi.

Boże, spraw, aby wyzdrowiała! — modlił się w milczeniu

Hamid po tym, jak tej samej nocy umył miodem srom Any Marii i wycisnął na ranę trochę substancji z rurki trzcinowej wypełnionej mąką jęczmienną z miodem i solą. „Spraw to, dobry Boże!”. Modlił się przez kilka nocy, powtarzając ten zabieg. Do następnej wizyty lekarza z rady miejskiej ranka znikła. Czy aby na pewno ta drobna fistuła nosła zapowiedź kiły? — zastanawiał się Hamid, kiedy Ana Maria dziękowała mu i płakała z radości w jego ramionach. Doszedł jednak do wniosku, że lekarstwo Proroka jest w stanie uleczyć nawet wrzody kiły. Czyż nie polecał się Bogu za każdym razem, gdy je stosował?

— Bądź tak dobra i nie mów o tym nikomu — poprosił na koniec Hamid. — Gdyby ktoś się dowiedział... na przykład zarządca lub inkwizycja... oskarżono by mnie o czary... a ciebie o korzystanie z pomocy czarownika... — postraszył ją na wszelki wypadek. — Dziewczyno, co ty wyprawiasz? — spytał zaskoczony, ponieważ Ana Maria zdjęła kaftan.

— Moje ciało jest wszystkim, co mam — odparła, rozpinając koszulę i obnażając młode piersi.

Hamid nie mógł oderwać oczu od białej jędrnej skóry z ciemną aureolą sutków. Od jak dawna już nie miał kobiety?

— Wystarczy mi twoja przyjaźń — usprawiedliwiał się przestraszony. — Ubieraj się szybko.

Odtąd Hamid cieszył się wielkim szacunkiem pośród wszystkich mieszkańek zamtuza, nawet zarządca zaczął go traktować lepiej. Co mu powiedziała Ana Maria? Stary fakih wolał tego nie dochodzić.



— Uzyskałem dla was zgodę na pozostanie w Kordobie — usłyszał Hernando od Hamida pewnego ranka. Fakih wziął głębszy oddech, po czym kontynuował: — Jesteś całą moją rodziną... Ibn Hamidzie — Hernando poczuł dreszcz na dźwięk tego imienia, które fakih wyszeptał mu prosto do ucha — dlatego chciałbym cię mieć blisko siebie, w tym mieście. Zresztą... twoja żona nie zniesie nowego wygnania.

— Ona nie jest moją żoną... — zdecydował się wyznać.

Hamid spojrzał pytająco i Hernando opowiedział mu całą historię. Dopiero teraz starzec zrozumiał, dlaczego Brahim był taki zły pierwszego dnia, kiedy się zobaczyli. Wydawało mu się, że mulnik nie zgadza się na przeniesienie dziewczyny do zamtuza, więc postanowił go uspokoić.

— Żaden mężczyzna nie zbliży się do niej — powiedział. — Masz moje słowo.

Mulnik chciał dyskutować, ale Hamid odwrócił się do wyjścia. Zaraz potem Aisza po raz kolejny sprzeciwiła się mężowi: „Tam ją wyleczą, Brahimie. Z martwej i tak nie miałbyś wielkiego pożytku”.

Ana Maria знаła jednego ławnika z Kordoby, podkochiwał się w niej i regularnie przychodził do zamtuza. Formalnie ławnicy stanowili w zarządzie miejskim przeciwwagę dla rajców. Wywodzili się z ludu, a nie ze szlachty, jak tamci, i reprezentowali w radzie miejskiej mieszkańców, którzy wybierali ich w wyborach bezpośrednich. Tak było w założeniu, ale w miarę upływu czasu urząd ławnika stawał się patrymonialny, przechodził na syna jeszcze za życia ojca, monarchowie obdarzali nim swoich popieczników lub sprzedawali ten urząd dla zysku. Wybory bezpośrednie okazały się zwykłą farsą, a ławnicy zaczęli się uważać za równych rajcom mimo braku szlacheckich tytułów i majątku. Wielbiciel wdzięków Any Marii ochoczo przystał na jej prośbę, aby pokazać, że jest kimś ważnym w mieście. W porywie próżności obiecał uzyskać dla kilkorga morysków pozwolenie na pozostanie w Kordobie

— To rodzina tego kulawego niewolnika — wyjaśniała mu słodko Ana Maria, kiedy leżał obok niej w łóżku już zaspokojony. Było oczywiste, że mówi o Hamidzie. — Jedna z kobiet jest chora. Nie podoła dalszej wędrówce. Mógłbyś załatwić tę zgodę? Na pewno? — pytała kokieteryjnie, nie szczędząc mu pieśczoł, byle tylko usłyszeć: „Chyba nie wątpisz w moje możliwości?”. — Potem długo głaskała wątlą pierś mężczyzny i szeptała, mrużąc szelmowsko oko: — Jak to zrobisz, dostaniemy najlepsze prześcieradła w całym zamtuzie.



Mężczyźni występujący o zgodę na pozostanie w Kordobie musieli mieć stałą pracę. Ławnik pomógł Brahimowi znaleźć zatrudnienie na roli, poza miastem.

— On mulnikiem? — roześmiał się sędzia, kiedy Ana María powiedziała mu, jaki jest zawód Brahima. — A czy ma muły? — Dziewczyna zaprzeczyła. — Więc nie może pracować jako mulnik!

Z Hernandem nie było problemu: dostał pracę w garbarni Vicente Segury.



Tak więc trzydziestego listopada 1570 roku szedł brzegiem Gwadalkiwiru, niosąc skóry zwierzęce do wyprawienia w zakładzie na ulicy Badanas, i patrzył, jak ostatni moryskowie mijają fortecę Calahorra i zostawiają za sobą rzymski most prowadzący do miasta kalifów.

Badanas zaczynała się przy kościele Świętego Mikołaja obok rzeki i łagodnym łukiem wpadała w ulicę Potro koło placu o tej samej nazwie. W tym sektorze mieściło się najwięcej garbarni ze względu na bliskość rzeki, a bez wody trudno wyobrazić sobie tę pracę. Powietrze było tu cierpkie, gryzło w gardle od wyziewów, ponieważ surowe skóry poddawano różnym procesom, zanim przekształciły się w cudowne kurdybany, marokiny, podeszwy, buty, lederwerki, uprząże i inne wyroby skórzane. Hernando wszedł do warsztatu Vicente Segury tylnymi drzwiami, od strony rzeki, i zrzucił swój ciężar w kącie wielkiego patio. Robił to samo od trzech dni, odkąd rozpoczął pracę. Jeden z czeladników — łysy, muskularny chrześcijanin — podszedł sprawdzić stan nowej partii skór. Nie zwracał uwagi na Hernanda, nawet się z nim nie przywitał. Morysk rozglądał się po rozległym patio sięgającym od rzeki do ulicy Badanas: pracowali tu czeladnicy, terminatorzy i paru niewolników zajętych wyłącznie przynoszeniem czystej wody z rzeki. Pierwszy etap pracy polegał na czyszczeniu nowo przyniesionych skór, ale najpierw musiały zmięknąć. W tym celu wkładano je do kadzi z chłodną wodą i trzymano tak długo, aż nabrały miękkości. Zależało to od gatunku i stanu skóry. Po zmiękczeniu leżały na

deskach wewnętrzną stroną do góry i poddawano je mizdrowaniu, ostrym nożem usuwając z nich resztki mięsa, krwi i inne zanieczyszczenia.

Następnym etapem było wapnienie i odwłásianie. Oczyszczone skóry zanurzano w wodzie z wapnem mizdrą do dołu. Proces wapnienia zależał od gatunku skóry i od tego, na jaki wyrób była przeznaczona. Hernando zauważył, że niektórzy terminatorzy wyjmowali skóry z kadzi, usuwali resztki owłosienia i rozwieszali na palach do obcieknięcia i przewietrzenia. Wisiały tak dłużej lub krócej, w zależności od pory roku, a potem znowu wkładano je do wody z wapnem. Czynności te powtarzano co kilka dni. Proces odwłásiania trwał dwa miesiące latem, a do trzech zimą. Wszystkie skóry poddawano zmiękczeniu i wapnieniu. Kolejne czynności były już właściwym garbowaniem i zależały od przeznaczenia skóry na podeszwy, buty, uprząż, kurdybany czy marokiny. Proces ługowania odbywał się w specjalnie wykopanych w ziemi dołach, wyłożonych kamieniami lub cegłą, wypełnionych wodą z dodatkiem kory z dębu korkowego gęsto występującego w rejonie Kordoby. Kontrola stanu ługowania należała do majstra, który właśnie instruował w tym celu jednego z podwładnych. Hernando patrzył, jak czeladnik wchodzi do dołu, nagi od pasa do stóp, udeptuje skóry z koźlęcia przeznaczone do wyrobu czarnych kurdybanów, odwraca je co chwila, potrząsa, po czym znowu zanurza w wodzie z sumakiem i udeptuje. Operacja tego rodzaju trwała zwykle osiem godzin bez przerwy.

— Co się tak gapisz? Nie jesteś tu dla zabawy! — Hernando drgnął. Łysy czeladnik, któremu przekazał przyniesione z rzeźni skóry, podsuwał mu pod oczy jedną z nich. Była w wyjątkowo złym stanie. — Ta dla ciebie — powiedział. — Niech poleży w gnoju, tam gdzie zwykle — pokazał palcem na drugi koniec podwórka.

Hernando nawet tam nie spozjrzał. Wiedział, że w najdalej położonym, nieco odosobnionym miejscu znajduje się głęboki otwór w ziemi, gdzie nawet w chłodnym powietrzu listopadowego dnia unosi się śmierdząca chmura pary, efekt gnicia końskiego

nawozu. Wiedział też z doświadczenia dwóch minionych dni, że musi wejść do środka, a kiedy to zrobi, smuga dymu ożyje, przyklei się do ciała, zacznie parzyć, wypełni nozdrza smrodem i ohydnymi miazmatami. Zgodnie z decyzją majstra skóry wadliwe, takie jak ta, którą czeladnik podał Hernandezowi, były wygładzane i zmiękczane nie za pomocą wapna, lecz nawozu. Taki proces trwa krócej niż dwa miesiące, a przede wszystkim jest dużo tańszy. Co prawda nawóz nie daje takich samych efektów jak wapno, więc skóry po garbowaniu były gorszej jakości, ale dostatecznie dobre na podeszwy butów.

Przeszedł przez podwórze, balansując między dołami i długim rusztowaniem z desek, gdzie usuwano ze świeżych skór wszelkie zanieczyszczenia ostrym lub tępym nożem, w zależności od potrzeby. Minał pale z rozwieszonymi płatami, które wietrzyły się i ściekała z nich woda, oraz kadzie, przy których pracowali terminatorzy. Niechętnie poczłapał dalej. Młodzi terminatorzy uśmiechali się do siebie znacząco: nie było gorszego i bardziej zniechęcającego miejsca pracy niż gnojowisko. Ucieszyli się, gdy morysk uwolnił ich od tego. Mistrz Vicente głośnym krzykiem przywołał ich do porządku; wciąż stał obok dołu z udeptywanym kurdybanem i na wszystko miał baczenie. Śmiechy ucichły, czeladnicy i terminatorzy zajęli się swoją pracą, nie zwracając więcej uwagi na Hernanda. On tymczasem doszedł na miejsce i stanął nieruchomo nad dołem z wrzającym nawozem pokrywającym skóry.

Pierwszego dnia o mało nie zemdlął, kiedy musiał wejść do środka. Dusił się, otwierał usta jak ryba, ale nie mógł złapać powietrza. Gorący fetor wypełniał mu płuca. To było nie do zniesienia. Musiał wystawić głowę na zewnątrz, oparł brodę na krawędzi dołu i zaczął wymiotować. Dyżurny czeladnik krzyknął tylko, żeby nie zabrudził skór, więc zacisnął zęby, starając się powstrzymać torsje.

Teraz rozebrał się, zdjął buty i powoli wsunął się do gnojowiska. Grzbiety Sierra Nevada z czystym, świeżym powietrzem były daleko. Zatręsknił za drzewami i wąwozami z tysiącem strumyków spadających ze śnieżnych szczytów. Wstrzymał oddech. Wiedział,

że tylko w ten sposób zdoła wykonać tę pracę. Musiał wyjmować skóry do przewietrzenia, żeby nie zagrzały się za bardzo. Długo grzebał w gnoju, zanim znalazł pierwszą warstwę. Wyciągnął jeden płat i szybko wysunął się na powierzchnię ziemi, póki jeszcze miał czym oddychać. Z pierwszą skórą poszło najłatwiej, następne znajdowały się głębiej i trzeba było dużo wysiłku, żeby wydostać je z tej kupy gnoju. Pracował ciężko przez dwie godziny, wciąż wstrzymując oddech. Miał wrażenie, że jego włosy, skóra i całe ciało przesiąkły śmierdzącymi wyziewami. Kiedy skończył, podszedł do niego jeden z czeladników, żeby zbadał stan skór. Kilka z nich uznał za odpowiednio zmiękczone i wytrawione, więc odłożył je na bok. Były to wielkie skóry z wołu. Kazał przewietrzyć pozostałe i usunąć łopatą stary nawóz. Przed końcem dnia pracy Hernando miał ponownie umieścić skóry w dole: warstwa skór, warstwa nawozu i tak dalej, dopóki nie ułoży wszystkich. Wtedy wrzuci resztę nawozu, żeby zappełnić dół po brzegi, a na drugi dzień wszystko zacznie się od nowa.

## 26

W 1570 roku Kordoba liczyła blisko pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Jak w każdym warownym mieście obowiązywał zakaz wznoszenia domów poza murami, aby nie blokować dostępu do rogatek i nie stwarzać zagrożenia wewnątrz murów, za którymi rozpościerały się pola. Rzeka Gwadalkiwir traciła swą żeglowność na wysokości miasta i zataczała malownicze, kapryśne zakole. Od północy Kordoba graniczyła z łańcuchem Sierra Morena, a na południu przechodziła w pola uprawne, urodzajną „równinę chleba”. W X wieku dobiegł końca proces uniezależniania się Kordoby od Orientu. Abd ar-Rahman III obwołał się kalifem Zachodu, następcą i wikariuszem Mahometa, księciem wiernych i obrońcą prawa Allaha. Odtąd Kordoba stała się największym miastem w Europie, dziedziczką kultury wielkich stolic wschodnich z ponad tysiącem meczetów, tysiącami domów i trzema setkami łaźni publicznych. Nastąpił rozkwit nauk, sztuk i literatury. Trzy wieki później święty król Ferdynand III zdobył dla świata chrześcijańskiego najpierw Ajerquię, a po sześciu miesiącach oblężenia Medinę, albowiem miasto składało się z dwóch części.

Niedziela była dla chrześcijan dniem wolnym od pracy, toteż w pierwszą niedzielę pobytu w tym mieście rozdrażniony Hernando wyrwał się z ciasnego, dwupiętrowego domu w ślepych zaułku

odchodzącym od ulicy Mucho Trigo, gdzie w sześciu niewielkich izbach gnieździło się siedem rodzin morysków.

— Gdzie indziej poupychano w jednym domu od czternastu do szesnastu rodzin — zaznaczył Hamid, proponując im to mieszkanie. — Król rozporządził — wyjaśnił w odpowiedzi na oznaki niedowierzania — że moryskowie zamieszkają u starych chrześcijan, aby ci mieli ich pod kontrolą, jednakże rada miejska zdecydowała inaczej, rozumiejąc, że żaden chrześcijanin nie zechce przyjąć nas pod swój dach. Wyznaczono nam budynki usytuowane pomiędzy domami chrześcijan. Co więcej — dodał, mlaskając językiem — wszystkie te budynki należą do Kościoła albo szlachty. Właściciele każą sobie słono płacić za wynajem, czego nie mogliby robić, gdybyśmy mieszkali razem z chrześcijanami. Jest nas w tym mieście ponad cztery tysiące. To gratka dla rajców, którzy się zgodzili nas przyjąć: nie dość, że płacą nam nędznie za pracę, to jeszcze zdzierają z nas na każdym kroku, najpierw wyzyskują, a potem zabierają nam te mizerne zarobki w postaci czynszu.

Przyszli na samym końcu, więc zostali dokwaterowani do młodego małżeństwa z malutkim dzieckiem, które budziło w zbolelej Fatimie żywsze uczucia. Dziewczyna reagowała tylko na polecenia Aiszy, która ciągle jej mówiła, co ma robić. A kiedy wykonała polecenie, znów pogrążała się w ponurym milczeniu przerywanym jedynie modlitwą. Czasem podnosiła głowę, słysząc płacz niemowlęcia. Hernando rzadko bywał w domu, ale kiedy ją widział, próbował odgadnąć, co wyrażają jej czarne oczy, teraz wciąż przygaszone, nie znalazł w nich jednak nic oprócz głębokiej udreki.

Aisza też rzucała smutne spojrzenia na niemowlę. Podczas spisu zesłańców sporządzonego przez władze odebrano jej Aquila i Musę. Chłopcy zostali powierzeni pobożnym rodzinom kordobańskim na wychowanie w wierze chrześcijańskiej. Taki los spotkał wszystkich nieletnich zesłańców. Aisza i Brahim, tym razem równie bezsilny jak ona, mogli tylko patrzeć, jak wrywano im zapłakane dzieci, które przechodziły w ręce nieznamych.

Dzika furia biła z twarzy mulnika: to jego synowie! Jedyna duma, jaka mu została!

Ale to nie z powodu Fatimy i nie dlatego, że muszą mieszkać, nie wiadomo jak długo, razem z młodym małżeństwem i ich dzieckiem, Hernando zerwał się tej niedzieli jeszcze przed świtem i po cichu wyszedł z domu. Tej nocy, gdy wszyscy spali stłoczeni w jednej ciasnej izbie, Brahim po raz pierwszy od wielu miesięcy przysunął się do Aiszy, a ona przyjęła go z radością jako swojego męża. Siennik Hernanda leżał tuż obok, więc chłopak słyszał, jak matka wzdycha i pojękuje. Sprawiało mu to przykrość, najchętniej zapadłby się pod ziemię! Z całej siły zaciskał powieki i zatykał uszy, ale nie mógł nie zdawać sobie sprawy, że matka zapamiętała obdarza Brahima rozkoszą, dla każdej bowiem muzulmanki miłość jest formą zbliżenia do Boga.

Nie chciał jej widzieć. Nie chciał widzieć Brahima. Nie chciał widzieć Fatimy!

Dusił się, uczucie to nie ustępowało, chociaż uciekł z mieszkania i błąkał się po ulicach Kordoby w brzasku wschodzącego słońca. Najpierw chciał udać się w stronę meczetu, by popatrzeć z bliska na górującą nad miastem budowlę, którą dotąd widywał z rzymskiego mostu, kiedy wracał do garbarni z ładunkiem gnoju. Żaden inny meczet nie ostał się w mieście kalifów. Król Ferdynand nakazał wznosić kościoły w miejscach kultu muzulmanów. Tak powstało czternaście katolickich świątyń, a resztę meczetów wyburzono. Dawna świątynia kalifów została przebudowana, ale mówiono, że zachowały się kraty w bramach, arabeski i długie rzędy kolumn zwieńczonych podwójnymi, podkowiastymi łukami barwy ochry i czerwieni, które czyniły z niej wyjątkowe miejsce na świecie. Mówiono również, że w tych murach błąka się echo modlitw wiernych i kto się bardzo postara, może je usłyszeć.

Przypomniał sobie obelżywe słowa chrześcijan, kiedy kolumna morysków wkraczała do Kordoby, a potem nieufne spojrzenia ludzi, których mijał nieopodal meczetu, dźwigając na własnych barkach cuchnące skóry i łajno zebrane po drugiej stronie rzymskiego mostu. Nawet dzieci zdawały się bronić tej heretyckiej

świątyni! Tak go to zniechęciło, że zmienił kierunek wędrówki. Snując się bez celu po ulicach Ajerquí i Medyny, zauważył, że cała Kordoba jest jedną wielką świątynią chrześcijaństwa. Obok czterestu kościołów wzniesionych przez kastylijskiego króla, które były siedzibami parafii, wyrósł w późniejszym okresie jeszcze jeden, nie licząc czterdziestu szpitalików i przytułków z własnymi kościołami. Rozległe tereny między świątyniami i szpitalami zajmowały wspaniałe klasztory zakonów Świętego Pawła, Świętego Franciszka, Świętego Augustyna, Miłosierdzia i Trójcy Świętej. Nie brakowało też klasztorów żeńskich, wybudowanych w różnych okresach rekonkwisty, jak na przykład klasztor Sióstr od Świętego Krzyża, przylegający do uliczki Mucho Trigo, gdzie mieszkał Hernando, Świętej Marty i wiele innych, ukrytych przed ludzką ciekawością za białymi, grubymi murami z niewielkim otworem na drzwiczki.

Na każdym rogu ulic Kordoby znajdowały się obrazy lub rzeźby Chrystusa ubiczowanego, Przenajświętszej Panienci i różnych świętych, czasem naturalnej wielkości, a także mnóstwo ołtarzy, przy których starzy chrześcijanie zawsze zapalali świeczki — nocą były to jedyne światła w mieście. Małe kapliczki na kilkanaście osób, duże kaplice i różne inne domy modlitwy wtopiły się w panoramę miasta, podobnie jak mnisi i braciszczowie, którzy nieustannie zabiegali o jałmużnę, dzwoniąc paciorkami różańca odmawianego ze śpiewem na ulicach.

Jak przeżyć w tym gigantycznym sanktuarium? — zastanawiał się Hernando, błądząc wzrokiem po fasadzie kościoła Santa Marina w sąsiedztwie rzeźni otoczonego z trzech stron cmentarzem. Znajdował się w północnej części miasta. Nogi same poniosły go tak daleko.

Nagle zobaczył góry. Sierra! — jęknął z zachwytu. Juviles! Widok szczytów opromienionych wschodzącym słońcem przywrócił mu spokój wewnętrzny i zarazem uzmysłowił, jak bardzo jest brudny i cuchnący gnojem.

— Nie waż się wykapuć! — przestrzegł go Hamid. — Chrześcijanie tylko czekają, żeby oskarżyć nas o herezję.



— Przecież...

— Oni się nie myją — przerwał mu fakih. — Czasem nogi, ale rzadko i tylko niektórzy. Przeważająca większość kapie się raz do roku, od wielkiego święta. Rogi ich koszul są siedliskiem pcheł i wszy. Okropieństwo! Zapewniam, cię, że wiem, o czym mówię, ponieważ jednym z moich obowiązków w zamtuzie jest zmiana prześcieradeł.

Hernando niechętnie posłuchał tej rady i przestał się myć. Smród wrósł mu w skórę i czuł, że cuchnie od niego, zresztą wszyscy moryskowie cuchnęli jak... chrześcijanie. Obwąchiwał się, oglądając groby przed wejściem do kościoła. Dobrze urodzeni i bogaci parafianie zapłacili za miejsce wieczystego spoczynku w kościele, klasztorze albo w katedrze; kramarzy i rzemieślników grzebano na ulicach miasta, a nędzarzy na zewnątrz, poza murami.

Niedziela była dniem obowiązkowego uczestnictwa we mszy. Powinien przybyć do kościoła razem z Fatimą, bo ona była jego prawowitą żoną w oczach chrześcijan. Fatima musiała dodatkowo, w każdy piątek, uczęszczać na katechezę, jak nakazano jej w dniu ślubu. Zawrócił, żeby zdążyć na czas do kościoła Świętego Mikołaja w Ajerquii. Szedł teraz wzdłuż potoku Świętego Andrzeja. Jeśli czegoś zbywało Kordobie oprócz chrześcijańskiej pobożności, to wody, tak jak Alpuharze, ale w wąwozach gór Sierra Nevada płynęła krystaliczna woda, a ta tutaj stała w kałużach na placach lub spływała ściekiem do rzeki. Potok Świętego Andrzeja zbierał odpadki z rzeźni i wszystkich okolicznych domów mieszkalnych. Ciekawe, że chrześcijanom nie przeszkadzał ten strumień zatrutej wody, a przeszkadzał im widok pracowników garbarni ze zwierzęcym łajnem lub ładunkiem skór, dlatego tacy jak on musieli wybierać okrzęzne drogi, narzekał w duchu Hernando, przechodząc ostrożnie po jednej z desek przerzuconych między domami nad potokiem. Władze miejskie nakazały porobić takie kładki, ponieważ koryto tej cuchnącej rzeczki, którą kordobańscy nazywali wądółem, znalazło się poniżej poziomu fundamentów zabudowań.



Wchodząc do kościoła Świętego Mikołaja usytuowanego w miejscu, gdzie ulica Badanas urywa się nad Gwadalkiwirem, Hernando doznał olśnienia. Z zewnątrz widywał go już wcześniej w drodze powrotnej z rzeźni: budynek miał nie więcej niż pięć łokci wysokości, czym różnił się od innych dużo większych i wyższych kościołów wznoszonych za panowania Ferdynanda. Podobnie jak one powstał po przebudowie meczetu, ale zachowały się w nim rzędy zwieńczonych łukami kolumn, charakterystyczny element miejsc kultu muzułmańskiego. Wrażenie jednak przysło, kiedy zakrystian zaczął sprawdzać listę obecności. Dwie setki morysków przypisano do tej parafii, było to dużo w porównaniu z Juviles, gdzie i tak należeli do większości, lecz tu stanowili garstkę, jeśli wziąć pod uwagę ponad dwa tysiące starych chrześcijan, którzy gromadzili się w tej świątyni: głównie rzemieślnicy, handlarze i pracownicy najemni (szlachta mieszkała w innych parafiach), nie licząc sporej grupy niewolników przydzielonych rzemieślnikom.

Mężczyźni i kobiety wysłuchiwali mszy oddzielnie. Tu nie zdarzały się wybryki ani groźby w stylu księdza z Juviles, ta msza była dla chrześcijan. Ceremonia kosztowała morysków po jednym maravedí na głowę. Potem, kiedy czekali na swe żony, podszedł do nich dobrze ubrany człowiek. Hernando badał bezwiednie wzrokiem brzeg kołnierza jego koszuli, czy nie skaczą tam pchły albo inne owady.

— Nowo przybyli moryskowie z zaułka Mucho Trigo? — odezwał się wyniośle do Hernanda i Brahima, nie podając im ręki na przywitanie. Obaj przytaknęli, a mężczyzna obrzucił pogardliwym spojrzeniem Hamida, dostrzegając piętno niewolnicze na jego twarzy. — Co tu robisz z nimi?

— Jesteśmy z jednej wioski, Ekscelencjo — odparł pokornie Hamid.

Człowiek zdawał się odnotowywać ten fakt w swojej pamięci.

— Nazywam się Pedro Valdés, jestem kuratorem sądowym Kordoby — powiedział po chwili. — Nie wiem, czy słyszeliście o mnie od sąsiadów. Mam odwiedzać was co piętnaście dni, żeby

sprawdzić, jak się prowadzicie i czy życie według przykazań chrześcijańskich. Ufam, że nie sprawicie mi kłopotów. — W tym momencie Aisza i Fatima wyszły z kościoła, ale nie dołączyły do mężczyzn, tylko przystały kilka kroków dalej. — To wasze żony? — zainteresował się kurator. Uznał, że tak i nie czekając na odpowiedź, obserwował Fatimę, która wydawała się jeszcze drobniejsza obok Aiszy. — Kiepsko wygląda — mruknął, taksując ją wzrokiem jak konia. — Jest chora? W takim razie trzeba posłać ją do szpitala, zajmę się tym. — Hernando i Brahim zająknęli się i szukali pomocy u Hamida. — Niewolnik ma za was odpowiadać? Sami nie umiecie? — surowo zgnił ich kurator — Więc jak, chora czy nie?

— Nie... Ekscelecjo — wybąkał Hernando. — Podróż ją zmęczyła... Nie posłużyła jej, ale już czuje się lepiej.

— To dobrze, bo w miejskich szpitalach brakuje łóżek. Zabierz ją na spacer. Słońce i powietrze dobrze jej zrobią. Trzeba święcić dzień Pański i dziękować Bogu za wszystko, co nam daje. Niedziela jest dniem radości, w którym nasz Pan zmartwychwstał i wstąpił do nieba. Zabierz ją na spacer — powtórzył, zbierając się do odejścia. — Zdaje się, że jesteś niewolnikiem z zamtuza? — spytał na koniec Hamida.

Fakih potwierdził skinieniem głowy, a kurator to też zanotował sobie w pamięci. Następnie odszedł do bogatych kupców, którzy czekali na niego w pobliżu z małżonkami.



— Do domu! — ryknął Brahim, gdy tylko kurator zniknął wraz z towarzyszącymi mu osobami.

Aisza i Fatima już miały za nim podążyć, kiedy wtrącił się Hamid:

— Uważaj, Brahimie. Oni potrafią wpadać z wizytą kontrolną niespodziewanie. Kuratorzy, księża i główny inspektor mają z tego rozrywkę. Kilka szklaneczek wina i...

— Chcesz powiedzieć, że zgadzasz się, aby moja żona spacerowała po mieście na oczach wszystkich chrześcijan z tym... — syknął, nie patrząc na Hernanda. — Z tym nazarejczykiem.

— Nie — przyznał Hamid. — Nie chcę, by pokazywała się chrześcijanom. Tak samo jak nie chcę uczestniczyć w ich mszach, modlić się po ichniemu, brać do ust ich „ciastek”. Nie zgadzam się z tym, ale to robię. Wszyscy to robimy. Musimy żyć tak, jak nam każą. Tylko w ten sposób możemy ich oszukać i nie buntując się, po cichu wyznawać naszą wiarę.

Brahim zastanawiał się dłuższą chwilę.

— Byle nie z nazarejczykiem. Nigdy! — oświadczył stanowczo.

— On jest jej mężem w oczach chrześcijan.

— Kogo ty bronisz, Hamidzie?

— Mów do mnie Francisco — poprawił go fakih. — Ja nikogo nie bronię, José. — Hamid ostentacyjnie położył nacisk na chrześcijańskie imię Brahima. — Taka jest sytuacja i nic na to nie poradzimy. To nie ja tak postanowiłem. Nie myśl tylko o sobie. Los naszego ludu zależy od każdego z nas. Od tego, co robimy. Żądasz, aby uszanowano twoje prawo do posiadania dwóch żon. My je szanujemy, ale miej na uwadze dobro współbraci i nie sprzeciwiaj się chrześcijanom. A ty, Hernandzie, pamiętaj — dodał, zwracając się do młodzieńca — że ona nie jest twoją żoną w świetle naszego prawa. Jesteś jej powinowatym i tak się zachowuj. Idźcie pospacerować. Trzeba wykonać polecenie kuratora sądowego.

— Ale... — próbował protestować Brahim.

— Nie chcę mieć z nim problemów, jeśli zjawi się w twoim domu, José. Sytuacja jest i tak bardzo trudna. Idźcie — ponaglił młodych.

Fatima ruszyła za Hernandem, jak poszłaby za każdym, kto ciągnąłby ją za rękaw zniszczonej sukienki. Z milczącą, smutną dziewczyną u swego boku Hernando zagłębił się w ulice Kordoby, dostosowując swój krok do jej powolnego chodu.

— Ja również boleję nad stratą małego — odezwał się kilka ulic dalej, choć tyle innych słów cisnęło mu się na usta. Fatima nic nie odpowiedziała. Długo tak będzie milczeć? — zdenerwował się. — Jesteś młoda! — wykrzyknął desperacko. — Możesz mieć jeszcze dużo dzieci.

Natychmiast zdał sobie sprawę ze swojego błędu. Fatima nie zareagowała, lecz wlokła się noga za nogą.

— Żałuję — mówił gorączkowo Hernando — Wszystkiego żałuję! Że urodziłem się muzułmaninem, że doszło do wybuchu powstania i wojny, że nie umiałem przewidzieć, co z tego wyniknie i żyłem marzeniami podobnie jak tysiące naszych braci. Żałuję, że pragnąłem wolności i żałuję...

Hernando nagle zamilkł. Niespodziewanie zawędrowali do dawnej medyny\*. Znaleźli się daleko od katedry, w dzielnicy Santa María, pełnej krętych uliczek i ślepych zaułków tak typowych dla muzułmańskich miast. Naprzeciwko siebie ujrzeni gromadę ludzi, którzy pędzili prosto na nich, popychali się nawzajem w wąskim przejściu, głośno krzyczeli, a niektórzy z nich na moment przystawali, oglądali się za siebie nerwowo, po czym ruszali biegiem dalej.

— Uwaga na byka! — zawołała jakaś kobieta, wymijając ich.

— Zaraz tu będą! — pisał mężczyzna.

Byk? Skąd byk w uliczce kordobańskiej...? Hernando nie miał czasu do namysłu. Pięciu jeźdźców wyskoczyło zza węgła z ogromnym bykiem przywiązany sznurami za rogi i kark do ich siodeł. Końskie zady uderzały o ścianę, jeźdźcy z gracją unosili się w siodle. Byk bronił się, porykując wściekle, mężczyźni napinali lub luzowali sznury w zależności od ruchów zwierzęcia i tak manewrowali, żeby nic się nie stało ani im, ani ludziom biegnącym przed nimi. Rżenie koni, stukot kopyt i okrzyki jeźdźców rozbrzmiewały w zaułku.

— Biegnij! — krzyknął, łapiąc Fatimę za ramię.

Ale ona została w miejscu. Hernando zatrzymał się od razu, gdy poczuł, że wrywa mu się z ręki. Od pierwszych jeźdźców dzieliło ich ledwie kilkanaście kroków. Mężczyźni mocowali się z bykiem i nie zwracali uwagi na nic innego. Ujrzał przelotnie, że Fatima odwróciła się do niego tyłem, stała wyprostowana, z podniesioną głową, zaciskając dłonie w pięści. Szukała śmierci.

---

\* Stara dzielnica miast arabskich.

Skoczył na nią w ostatniej chwili. Pierwszy jeździec był tuż-tuż, nawet nie próbował zatrzymać konia. Hernando przewrócił ją na ziemię i przycisnął własnym ciałem, uderzając się o ścianę domu. Drugi koń przeskoczył nad leżącymi, byk pchnął rogiem, na szczęście trafił w mur nad ich głowami. Ostatni jeździec pędzący obok byka zdążył ich wyminąć, ale koń zaczął kopytem o łydkę Hernanda.

Za nimi pobiegła nowa gromada ludzi, nie przejmując się wcale losem dwójki młodych leżących bez ruchu na ziemi. Wrzawa powoli zamieniała się w echo unoszące się w zaułku. Hernando czuł urywany oddech Fatimy i drzenie jej ciała. Kiedy wstał, poczuł również ostry ból w lewej nodze.

— Dobrze się czujesz? — zapytał, pomagając wstać dziewczynie, choć sam był obolały.

— Dlaczego ty zawsze musisz mi ratować życie?! — wykrzyczała mu prosto w twarz, kiedy stanęła na nogi. Trzęsła się, lecz jej oczy... jej czarne oczy nabrały życia po tym, jak zmierzyła się ze śmiercią. Hernando wyciągnął ręce, ale nie pozwoliła się dotknąć. — Dlaczego...?! — znowu zaczęła krzyczeć.

— Bo cię kocham — przerwał jej podniesionym tonem, stojąc obok z wyciągniętymi wciąż ramionami. — Tak, kocham cię z całego serca — powtórzył ciszej drżącym głosem.

Fatima wbiła w niego wzrok. Minęło kilka chwil, zanim pierwsza łza spłynęła po jej policzku. Potem rozległ się płacz wstrzymywany od nocy poślubnej z Brahimem.

Przytuliła się do Hernanda. Wypłakała swoje żale, a on kołysał ją w ramionach w kordobańskim zaułku.

Trochę dalej, tam gdzie kilka skrzyżowanych uliczek tworzyło plac o nierównych kształtach, ubrana na czarno panienska szlachetnego rodu, z damą do towarzystwa nieco z tyłu, uważnie śledziła z balkonu pałacyku zaloty pięciu kawalerów, którzy uwolnili byka ze sznurów i po krótkiej walce zadali mu śmierć wśród wiwatów gawiedzi stłoczonej przy wylotach ulic.

*Boże Narodzenie 1571*

Rada miejska ogłosiła trzy dni świąt z okazji zwycięstwa księcia Juana de Austria dowodzącego armadą Świętej Ligi w bitwie morskiej z Turkami pod Lepanto. Triumf chrześcijaństwa nad muzułmanami spowodował wzrost uczuć religijnych i miasto huczało od dziękczynnych *Te Deum* przeplatanych procesjami. Nie był to najlepszy moment dla morysków do wylegania na ulice Kordoby i przyłączania się do radosnej zabawy. Zresztą kilka miesięcy wcześniej otrzymali wiadomość o definitywnej klęsce króla Al-Andalus. Aben Abu został zdradzony i zamordowany przez Seniza. Jego ciało, wypełnione solą, przywieziono do Grenady, głowa umieszczona w żelaznej klatce zawisała nad bramą Rastro przy drodze do Alpuhary.

Mimo to Hernando i Hamid przyglądali się zabawom na placu Corredera. Pośrodku wzniesiono zamek, w którym miało się odbyć wielkie widowisko — bitwa między Maurami i chrześcijanami, ale na razie można było za darmo napić się wina, które obficie tryskało z dzioba pelikana. Alkohol robił swoje. Ludzie bili się o dostęp do tej niezwykłej fontanny. Tymczasem rada miejska ogłosiła konkurs z nagrodami, przeznaczając na ten cel jedenaście sztuk aksamitu, adamaszku i srebrnego materiału: dwie dla zwycięzców w wyścigach konnych, cztery dla najbardziej eleganckich mężczyzn, trzy dla najlepszych oddziałów piechoty wystawionych

przez związki cechów i dwie... dla najpiękniejszych mieszkanki domu publicznego.

— Trudno zrozumieć tych ludzi — skomentował Hernando, podczas gdy Ana María kokieteryjnie przechadzała się pośród wiwatującego tłumu. — Na oczach swoich żon i córek nagradzają ladacznice, z którymi idą do łóżka.

— Żony dobrze wiedzą, co robią ich mężowie — rzucił Hamid od niechcenia, wpatrzony w taneczne ewolucje ślicznej Any Marii. Hernando też ją podziwiał, lecz więcej uwagi poświęcał staraniom strażników pilnujących, by kilku pijanych mężczyzn nie rzuciło się na dziewczynę. — Chrześcijanie nie dążą do przeżywania rozkoszy z żonami — dodał cicho faki, odwracając się do Hernanda w momencie, gdy Anę Marię zastąpiła zmysłowa brunetka. — Uważają to za grzech. Dotyk i pieszczoty są grzechem. Każda pozycja nieco bardziej wymyślna jest według nich grzechem. Namiętność jest zakazana...

— Bo to grzech! — wtrącił z uśmiechem Hernando.

— No właśnie. — Hamid dał mu znak, żeby ściszył głos. — Dlatego żony nie protestują, gdy mężowie szukają rozkoszy i zaspokojenia zmysłów z prostytutkami. Pewne zagrożenie stanowią natomiast metresy i kurtyzany, bo domagają się spadku dla swych bękartów. Z prostytutką nie ma takich problemów. Dlatego Kościół chrześcijan to popiera.

— Hipokryci!

— Niektóre domy publiczne są własnością kapituły katedralnej — powiedział Hamid. Opuścili plac Corredera i spacerowali bez celu w tłumie ludzi.

— No właśnie — odparł zadumany Hernando po chwili milczenia — ale te same żony, tak cnotliwe w obecności mężów, szukają przyjemności w kontaktach z innymi mężczyznami...

Hamid spojrział na niego z zaciekawieniem. Młodzieniec wykrzywił się w odpowiedzi, ale zaraz spoważniał, gdyż dostrzegł dezaprobatę w oczach fakiha.





Minął rok od dnia, w którym Fatima chciała umrzeć stratowana przez byka i spłoszone konie, a potem rzuciła się Hernandowi w ramiona.

— Wciąż jestem drugą żoną Brahima — lamentowała, kiedy pocałowali się w zaułku i przysięgali sobie miłość.

— Tutaj ten ślub jest nieważny — rzucił Hernando bez namysłu.

Fatima zmieniała się na twarzy i Hernando zrozumiał, że popełnił błąd.

— Mamy swoje prawa — powiedziała. — Jeśli je odrzucimy... Co stanie się z naszą wiarą...? Ciężko mi z tym, ale muszę uszanować mój związek z Brahimem. Według naszego prawa jest moim mężem. Nie wolno mi o tym zapomnieć, chociaż bardzo bym chciała. Nienawidzę go...

— Źle się wyraziłem...

— Czym byśmy byli bez naszego prawa? Chrześcijanie robią wszystko, żeby zdręczyć nas na śmierć. Dla nich jesteśmy przeklętym narodem. Nikt nas tu nie chce. Biedni nas nie znoszą, a szlachta wyzyskuje. Dużo naszych ludzi zginęło w obronie prawdziwej wiary: mój mąż, syn... Żaden chrześcijanin nie zrobił nic dla chorego, bezbronnego dziecka! Niech będą przeklęci! Nie miał nawet pogrzebu, sam go pochowałeś... — głos Fatimy załamał się, przechodząc w szloch. Hernando przytulił ją do siebie. — Musimy wypełniać nasze zobowiązania... — płakała.

— Coś na to poradzimy — próbował pocieszyć ją Hernando.

— Czym byśmy byli bez naszego prawa — powtarzała dziewczyna.

— Proszę cię, nie płacz.

— To nasza religia! Prawdziwa wiara! A oni niech będą przeklęci!

— Znajdziemy jakieś wyjście.

— Psy chrześcijańskie! — Hernando wtulił głowę dziewczyny w swoje ramię, żeby stłumić te słowa. — Umrę za Proroka, jeśli trzeba! — oświadczyła po chwili. — Niech będzie błogosławione Jego imię!

— Umrę razem z tobą — szepnął. Na niewielkim placu rozległ się wrzask radości, kiedy toreador wbił ostrze stali w grzbiet byka, raniąc go śmiertelnie.

Mała dama na balkonie pałacu powściągliwie biła brawo.



„Umrę za Proroka!”. Słowa te zostały wypowiedziane z taką samą determinacją jak ta, którą słyszał w głosie Gonzalica, zanim Ubajd go udusił. Co się stało z Jednorekimi? Zastanawiał się nad tym niejednokrotnie. O zmierzchu wrócił z Fatimą do domu przy Mucho Trigo. Brahim i Aisza wydawali się spokojni, więc szybko złapał suchy kawałek żywnego chleba i znowu wyszedł, ale najpierw Fatima dała mu ledwie dostrzegalny znak brodą, że może zostawić ją samą bez obaw. Owej niedzieli po przygodzie z bykiem poszli w dół nad rzekę, mijając po drodze meczet. Trzymali się za ręce, a przechodząc obok księży i kapelanów, mocniej je ściskali. Sporo czasu spędzili nad brzegiem Gwadalkiwiru, koło wiatraków i studni Albolafia. Hernando nie miał pieniędzy. Zarabiał mniej niż służąca z bezpłatnym zakwaterowaniem i wyżywieniem, nędzne dwa reale za miesiąc, które od razu oddawał matce, gdyż pensja Brahima nie starczała na czynsz i utrzymanie. Nie mógł kupić nic do jedzenia, ale napotkany po drodze ciastkarz morysk dał im dwa smażone w oleju pączki, kiedy zobaczył, jak łakomie patrzą na jego towar.

Kończyły się nieszpory i pobożni chrześcijanie zamykali się w swoich domach zgodnie z dobrym zwyczajem zimowym. Ale w dzielnicy Potro wciąż było na ulicach pełno ludzi. Kupcy, drobni handlarze, podróżni, żołnierze i poszukiwacze przygód, żebracy, włóczędzy i zwykli ludzie popijali w karczmach i gospodach, prowadzili ożywione rozmowy, zaglądali do domu publicznego, bili się i mimo późnej pory zawierali umowy handlowe. Hernando skierował swe kroki do lupanaru, szukając wzrokiem Hamida, lecz nie dostrzegł go w zaułku: drzwi wychodzące na ulicę Potro były otwarte. Krążył bez celu po okolicy. Znajdziemy jakieś wyjście, powiedział Fatimie, ale jakie? Tylko Brahim może jej wrócić

wolność, jeśli zechce, jednakże on nigdy tak nie postąpi, bo zbyt mocno nienawidzi nazarejczyka. Co będzie z Fatimą? Robiła wszystko, by nie utyć i wyglądać mało atrakcyjnie dla męża, mimo to Brahim znowu spoglądał na nią z pożądaniem.

— Chłopcze! — Hernando zamyślony nie zareagował. — Hej, ty tam!

Poczuł na ramieniu czyjąś rękę. Odwrócił się i zobaczył chudego, małego mężczyznę, który wydawał się niższy od niego. W słabym świetle lamp pobliskiej karczmy nie rozpoznał go w pierwszej chwili, ale kiedy mężczyzna wyszczerzył zęby czarne jak otaczająca ich noc, przypomniał sobie handlarza mułów z placu koło wieży Calahorra, gdzie chodził po gnój dla garbarni. Wymienili się parę razy pozdrowieniami, gdy Hernando zbierał łajno spod jego zwierząt.

— Chcesz zarobić dwa miedziaki? — spytał handlarz.

— Jak? — zainteresował się Hernando, dając do zrozumienia, że podejmie się każdej pracy.

— Zaraz zobaczysz.

Poszli w dół ulicą Badanas na brzeg rzeki. Mężczyzna nic nie mówił, nawet się nie przedstawił. Hernando towarzyszył mu w milczeniu.

Dwa miedziaki to nie był wielki zarobek, ale garbarz płacił mu tyle samo za całe dwa dni pracy. Nad rzeką mężczyzna nerwowo rozejrzał się wokół siebie. Noc była bezksiężycowa i wszędzie panowały ciemności.

— Umiesz wiosłować? — zapytał, wyciągając z ukrycia małą, zdezelowaną łódź.

— Nie — przyznał morysk — ale mogę spróbować...

— W porządku. Skacz do środka — rozkazał, odpychając szalupę od brzegu. — Sam powiosłuję, a ty wylewaj wodę.

Wylewać wodę? Hernando zawahał się, zanim skoczył.

— Uważaj — zawołał handlarz — ona nie lubi gwałtownych ruchów!

— Ja...

Nie umiał pływać!

— Czego się spodziewałeś? Królewskiej galery?

Chłopiec spojrział na czarne wody Gwadalkiwiru. Falowały spokojnie.

— Gdzie płyniemy?

— Panno Święta! Można i do Sewilli, jeśli chcesz. Tam zrobimy postój, a potem popłyniemy do Berberów, bo w niedzielę lubię zajrzeć do ich lupanaru. Nie gadaj tyle i rób, co ci każę!

Gwadalkiwir to bardzo spokojna rzeka, wmawiał sobie Hernando, wchodząc na łódkę. W środku było tyle wody, że od razu przemiękły mu buty.

— Dużo kobiet jest w tym lupanarze? — zażartował, sadowiąc się na czymś, co dawniej było chyba ławką. Handlarz powiosłował w stronę przeciwnego brzegu.

— Wystarczy dla nas obu — roześmiał się. — Bierz się do roboty. Po prawej stronie masz garnek. — Hernando wymacał naczynie i zaczął wylewać wodę. Mężczyzna wiosłował ostrożnie, starając się unikać chlupotania. Wpatrywał się w rzymski most, na którym stały strażę. — Słyszałem, że tam w lupanarach są kobiety różnych ras i z różnych części świata — dodał po cichu. — Nawet niewolnice chrześcijanki. Wszystkie wielkiej urody, mistrzyni w sztuce miłosnej...

Umilając sobie czas fantazjami na temat kobiet z wymyślanego burdelu, dotarli na drugi brzeg, gdzie ktoś już na nich czekał. Hernando nie widział dobrze w ciemnościach, nie umiałby nawet określić rysów twarzy tego człowieka. Handlarz wręczył mu pieniądze, odebrał beczkę i załadował ją na szalupę. Odbyło się to szybko i w milczeniu. Pożegnali się krótkim syknięciem. Łódź niebezpiecznie przechyliła się na bok, kiedy handlarz obrócił ją w drugą stronę i wgramolił się do środka.

— Teraz naprawdę musisz się postarać — powiedział. — Bo jeśli nie, to... Umiesz pływać?

W drodze powrotnej prawie nie rozmawiali. Hernando nie nadążał z wylewaniem wody. Garnek był za mały! Serce podchodziło mu do gardła, gdy widział, że handlarz wiosłuje szybko

i gwałtownie, nie dbając o środki ostrożności, a przeciążona szalupa wciąż nabiera wody.

— Wylewaj! — krzyknął do Hernanda.

— Wiosłuj! — ponaglił go morysk.

Dotarli wreszcie do miejsca, skąd wyruszyli. Hernando był cały mokry, woda wdzierająca się do łodzi przez szpary w nadgniłych deskach.

Mężczyzna potrzebował jego pomocy przy wyładowywaniu beczki. Potem spiesznie ukryli łódź.

— Przed nią jeszcze wiele takich podróży — powiedział, kiedy ciągnęli łódź do kryjówki. — Nazywa się *Zmęczona Dziewica* — mamrotał, natężając siły.

— *Zmęczona Dziewica*? — zaciekawił się Hernando, spoglądając na wodę, która teraz sama wyciekała z łodzi i nie musiał się już tak wysilać.

— Dziewica, to na cześć Matki Boskiej, żeby ratowała w potrzebie. Nigdy nic nie wiadomo. — Handlarz przeciągnął łódź kilka kroków dalej. — A że zmęczona...? Sam widziałeś, jak chwieje się w drodze powrotnej — wybuchnął śmiechem, prostując zgarbione ciało. — A ty jak się nazywasz? — zapytał, przykrywając szalupę gałęziami. Chłopak powiedział swe imię, a wtedy handlarz przedstawił się jako Juan. — Teraz musimy...

— Co z moim zarobkiem? — przerwał mu Hernando.

— Cierpliwości. Musimy poczekać, aż wszyscy pójda spać, żeby spokojnie przetransportować beczkę na miejsce, gdzie otrzymasz zapłatę.

Czekali, dopóki nie umilkły głosy na Potro. Zziębnięty Hernando podskakiwał dla rozgrzewki i zacierał ręce. Juan powiedział mu, że w beczce jest wino.

— Przydałby ci się porządny łyk — rzekł, patrząc, jak chłopak drży z zimna — ale nie możemy jej otworzyć.

Wyjaśnił mu również, że Kordoba zabrania dowozić wino z innych okolic, a podatki są bardzo wysokie. Oberżysta zrobi dobry interes na tej beczce... oni dwaj również.

— Dwa miedziaki, wielki mi interes — zakpił Hernando.

— A może nie? Nie narzekaj, chłopcze. Widzę, że jesteś sprytny i śmiały. Zarobisz więcej, jak się postarasz i nabierzesz doświadczenia.

Kiedy wreszcie zapadła cisza na Potro, zjawił się oberżysta. Przywitał się z Juanem; obaj byli tego samego wzrostu, jeden chudy, a drugi gruby. Narzucili na beczkę derkę dla niepoznaki i skierowali się do zamaskowanej piwnicy: pierwszy szedł oberżysta, a za nim Juan i Hernando z beczką. Potem Hernando grzał się przy rozżarzonych węglach w kominku na parterze, gdzie Juan przyniósł mu zarobione pieniądze... oraz szklanę wina.

— Dobrze ci zrobi — powiedział zachęcająco, widząc wahanie na twarzy chłopca.

Już miał wypić, kiedy przypomniał sobie nagle słowa Fatimy: „Musimy wypełniać nasze zobowiązania! Czym byśmy byli bez naszego prawa?”.

— Nie, dziękuję — odmówił, odstawiając szklanę.

— Pij, Maurze! — krzyknął oberżysta sprzątający ze stołów. — Wino jest darem bożym.

Hernando spojrział na Juana, który w odpowiedzi podniósł do góry brwi.

— To wino nie jest akurat darem waszego Boga — odparł Hernando. — My je tu przywieźliśmy.

— Heretyk! — Oberżysta przestał szorować stoły i szedł w ich stronę, mocno sapiąc.

— Mówiłem, że chłopak jest odważny, Leónie — wtrącił Juan i położył mu rękę na piersi, żeby odsunąć go od Hernanda — ale nie jestem już taki pewien, czy sprytny — dodał, zwracając się do chłopca.

— Dlaczego tak ci zależy, żebym wypił? — spytał Hernando.

— Bo jesteś u mnie! — ryknął oberżysta, nie przestając szarpać się z Juanem.

— W takim razie piję za twoje zdrowie — powiedział morysk, podnosząc szklanę na znak toastu.

„Jeśli zmuszą cię do picia wina, pij, ale nie bądź do tego skłonny dobrowolnie”, wyrecytował w duchu, zanim pociągnął spory łyk.

Było już widno, kiedy opuścił oberżę, grupka chrześcijan wychodziła z kościoła po mszy. Po pierwszym toaście wypił jeszcze parę razy do Juana i usatysfakcjonowanego Leóna, który poczęstował go resztkami z kolacji podgrzаныmi na dogasających węglach. Poszedł prosto do garbarni, lekko podchmielony, lecz zadowolony, ponieważ zyskał informację, która mogła okazać się przydatna. Dowiedziawszy się, że pracuje w garbarni Vincentego Segury, Juan i oberżysta uśmiechnęli się znacząco i rzucili parę sprośnych żartów na temat żony garbarza.

— Wykorzystaj umiejętnie tę wiadomość — poradził mu Juan. — Nie bądź taki porywczy jak z Leónem.

Pokonując kolejny zakręt ulicy Badanas, przyspieszył kroku, widząc znajomą sylwetkę. Czyżby...? Tak, to była Fatima. Stała przed garbarnią, nieopodal wejścia dla terminatorów i czeladników.

— Co tu robisz? — zapytał Hernando. — Gdzie Brahim? Pozwolił ci przyjść?

— Jest w pracy — odparła. — Twoja matka nic mu nie powie. Co się stało, że nie wróciłeś na noc? — dopytywała. — Niektórzy mieszkańcy już chcieli powiadomić kuratora, nie czekając wieczoru.

— Masz. — Hernando podał jej dwie monety. — Teraz wiesz, co robiłem tej nocy. Schowaj je. Będą dla nas.

Dlaczego nie? W tym momencie wpadł mu do głowy pewien pomysł. Zdobędzie dużo pieniędzy i zapłaci Brahimowi za wolność Fatimy...

— Jak je zarobiłeś? Piłeś? — Fatima zmarszczyła czoło.

— Nie... Tak... To znaczy...

— Spóźnisz się, Maurze — skarcił go łysy, muskularny czeladnik odpowiedzialny za przydzielanie skór do wyprawy, który wchodził właśnie do zakładu.

Niby dlaczego mam nie być porywczy, pomyślał Hernando. Rozpierała go energia. Taka okazja może się więcej nie zdarzyć: był sam na sam z czeladnikiem, który miał romans z żoną majstra garbarskiego, a on o tym wiedział od swoich kolegów przemysłowików.

— Właśnie rozmawiam z moją żoną — rzucił arogancko za oddalającym się czeladnikiem.

Mężczyzna przystanął i odwrócił się ze złością. Przestraszona Fatima przycisnęła się do ściany.

— I co z tego? Masz się nie spóźniać! — ryknął.

— Przynajmniej nie tracę czasu w pracy na wizyty u żony majstra, kiedy nie ma go w domu. — Wyraz zmieszania na twarzy czeladnika potwierdził wiarygodność tej informacji. Mężczyzna zaczął gestykulować, jakby zaniemówił ze zdziwienia.

— Wysoko mierzysz, uważaj, bo spadniesz — zdołał wykrztusić.

— Pewnego dnia ja i moi rodacy postawiliśmy wszystko na jedną kartę... i przegraliśmy. Teraz na niczym mi już nie zależy.

— Na niej też nie? — powiedział czeladnik, pokazując na Fatimę.

— My stanowimy jedno. — Hernando pogłaskał po policzku zaskoczoną Fatimę. — Gdyby coś mi się stało, garbarz o wszystkim się dowie... — Hernando i czeladnik skrzyżowali spojrzenia. — A szkoda, bo może to zwykła plotka, po co robić od razu aferę? Trzeba uszanować honor kordobańskiego mistrza i cześć jego żony.

Mężczyzna zastanowił się przez chwilę: honor jest największą wartością dla Hiszpana. Iluż naraża swe życie w obronie czci i honoru! A mistrz...

— Tak, to plotka — ustąpił wreszcie. — Ale pospiesz się. Nie wypada się spóźniać.

Czeladnik chciał już odejść, lecz Hernando go zatrzymał.

— Hej! — zawołał. — Nie pożegna się pan z moją żoną? To nieładnie.

Mężczyzna zawahał się, walcząc z gniewem, jednakże znowu ustąpił.

— Żegnaj panią — wycedził, przesywając wzrokiem Fatimę.

— Po co go tak upokarzasz? — zganiła Hernanda, kiedy czeladnik zniknął za drzwiami garbarni.

Morysk poszukał jej czarnych oczu.

— Rzucę ich wszystkich do twoich stóp — obiecał i dotknął palcem jej ust, żeby przestała narzekać.



## 28

Hernando szybko zrozumiał, że Kordoba to nie tylko kościoły i księży, msze, procesje, różańce, dewotki i konfratry proszący o jałmużnę na ulicach. Pobożni kordobańczycy spełniali oczywiście swe obowiązki wobec Kościoła, nie żalowali datków na sieroty, szpitale i zakony, robili szczodre zapisy w testamentach na cele religijne i wykupywanie niewolników z rąk Berberów. Ale poza tym ich zainteresowania i sposób życia nieszczególnie opierały się na przykazaniach. Pomimo przestróg soboru trydenckiego proboszcz, który nie miał na plebanii konkubiny, brał niewolnicę. A spłodzić dziecko z niewolnicą to nie grzech. To tak jakby dopuścić konia do oślicy, żeby zrobić mulicę, mówiono. Dziecko dziedziczyło status matki i rodziło się niewolnikiem. Spowiednicy domagali się usług seksualnych od kobiet i aby temu zapobiec, władze kościelne wprowadziły do konfesjonałów zasłony oddzielające spowiednika od penitentów. Hierarchia kościelna też nie była wzorem cnót i czystości. Majątek i prebendy przynależne urządowi duchownym nęciły tych potomków rodzin szlacheckich, których prawo majoratu pozbawiało dziedziczenia. Dziekan katedry don Juan Fernández de Córdoba, ze znamienitego rodu, spłodził tyle dzieci w tym mieście, że sam już stracił rachubę.

Świeccy nie byli inni. Za fasadą nieskazitelnego życia małżeńskiego krył się świat rozpusty. Wciąż wybuchały skandale groźne

w skutkach dla osób złapanych na cudzołóstwie. Panny szły do klasztorów bez powołania, z woli ojca lub brata, z przyczyn natury ekonomicznej (łatwiej bowiem oddać córkę na zakonnicę, niż wydać ją za męż bez posagu), a potem rywalizowały z klerykami o adoratorów i pozwalały się uwodzić — chętnych nie brakowało, a niektórzy widzieli w tym prawdziwe wyzwanie i powód do dumy.

Hernando i inni moryskowie, którzy — tak jak on — potrafili zamienić w żyzną ziemię kamienie królestwa Grenady, uważali kordobańczyków za leniwych i zdemoralizowanych: praca była w tym mieście źle widziana. Pracownicy najemni mieli zakaz pełnienia funkcji publicznych. Rzemieślnicy pracowali minimalnie, tylko tyle, by utrzymać siebie i całą armię hidalgów, szlachciców bez majątku, którzy woleli umrzeć z głodu, niż poniżyć się zarabianiem na życie. Honor im na to nie pozwalał, a poczucie honoru mieli olbrzymie jak wszyscy chrześcijanie, niezależnie od stanu.

Hernando przekonał się o tym na krótko przed świętem z okazji zwycięstwa w bitwie pod Lepanto. Właściwie mógł przeprosić i nawet w pierwszej chwili chciał to zrobić, a potem odwrócić się i odejść, ale coś mu nie pozwalało. O zmierzchu szedł zamyślony wąską ulicą Armas koło kaplicy Matki Boskiej Pocieszycielki i przytułku z oknem obrotowym dla niechcianych dzieci. Idący z naprzeciwka młody, wyniosły hidalgo w czarnej pelerynie z rapierem u pasa potknął się, kiedy go mijał, i o mało nie upadł. Morysk uśmiechnął się niechcący, podtrzymując hidalga, który szybko odtrącił pomocną dłoń i zamiast podziękowań okazał gniew.

— Z czego się śmiesz? — warknął, odzyskawszy równowagę.

— Wybaczcie, panie.

— Co się tak patrzysz? — Młodzieniec sięgnął ręką do broni.

Co go tak zaciekawiło? Hidalgo poprawiał w spodniach woreczek z trocinami, który przesunął się przy potknięciu i utworzył wyrzuszenie w niewłaściwym miejscu. Zarozumiały głupiec! A gdyby tak... dać nauczkę temu pajacowi?

— Zastanawiałem się... Jak nazywacie się, panie? — wyjąkał, spuszczając oczy w dół.

— Kim ty jesteś, głupi śmierzdielu, żeby pytać o moje imię?

— No bo... — Hernando intensywnie myślał, jak dać nauczkę temu zarozumialcowi. Sądząc po spiczastych pantoflach z aksamitu, które miał przed oczami, ten człowiek dysponował jakimiś pieniędzmi. Z pewnością miał też służącą, bo przecież sam nie załatał sobie tych dziur w spodniach i nie obszył poszarpanej dołem peleryny. — No bo...

— Wykrztuś to wreszcie!

— Wydaje mi się... Sądzę... Podejrzewam, że to o was mówiono zeszej nocy w oberży Corredera...

Hernando zawiesił głos.

— Dokończ!

— Może się mylę, Ekscelencjo. Ale to, co słyszałem... Nie, nie mogę. Wybaczcie mi moją śmiałość, muszę jednak zapytać o pańskie nazwisko.

Młodzieniec zastanawiał się chwilę. Hernando też. Po co się w to wdaje?

— Don Nicolás Ramírez de Barros, szlachcic — napuszył się Hiszpan.

— Tak, tak — potwierdził Hernando — to o was chodziło, Ekscelencjo, o don Nicolása Ramíreza. Pamiętam...

— Co?

— Dwaj mężczyźni... — znów zawiesił głos dla większego efektu, aż hidalgo się zniecierpliwił.

— Kto taki?

— Dwaj mężczyźni... Dobrze ubrani. Mówili o Waszej Ekscelencji. Na pewno! Sam słyszałem. — Udawał zaleźnionego. Co powiedzieć? Już za późno, żeby się wycofać.

— Co mówili?

Co takiego mogli mówić, co tu wymyślić? Szlachcic! Tym się tak chełpi ten pajac.

— Że pański ród ma domieszkę obcej krwi — powiedział Hernando, nie zastanawiając się więcej.

Młody Hiszpan zacisnął dłoń na rękojeści rapiera. Morysk odważył się podnieść oczy i zobaczył skurczoną ze złości twarz.

— Przysięgam na świętego Jakuba, patrona Hiszpanii — wycedził — że moja krew jest czysta, a ród pochodzi od Rzymian! Quinto Varus dał początek naszemu nazwisku. Kto śmiał twierdzić inaczej?

Oddech don Nicolása miał zapach cebuli.

— Nie... nie wiem — wyjąkał Hernando i tym razem nie musiał udawać, że się boi. Czy aby nie przesadził? Młodzieniec trząsał się z gniewu. — Nie znam ich. Nie sądzicie chyba, panie, że dopuścili mnie do swej kompanii.

— Rozpoznasz ich? — Jak rozpoznać dwóch wymyślonych przez siebie mężczyzn? Może powiedzieć, że nie widział dobrze, bo było ciemno. — Rozpoznasz? — powtórzył hidalgo, potrząsając nim gwałtownie za ramiona.

— Oczywiście — odparł Hernando i odsunął się parę kroków dalej.

— Pójdiesz ze mną do Corredera!

— Nie.

Don Nicolás podskoczył ze zdziwienia.

— Jak to nie? — Zrobił krok w jego stronę, a Hernando się cofnął.

— Nie mogę. Czekają na mnie w... — Jaki cech ma swą siedzibę najdalej od Potro, żeby hidalgo nie znalazł go nigdy potem? — Czekają na mnie w warsztacie garncarskim. Pańskie problemy mnie nie dotyczą, Ekscelencjo. Ja muszę myśleć o rodzinie. Majster zabierze mi dniówkę, jak się spóźnię. Mam żonę i dzieci, które wychowuję w wierze chrześcijańskiej... — Udało się! Hernando pogratulował sobie inwencji, kiedy hidalgo zaczął niezdarnie grzebać w spodniach w poszukiwaniu sakiewki. Dla Fatimy! — Jedno dziecko jest chore, drugie chyba...

— Milcz! Ile daje ci majster? — zapytał, macając monety w sakiewce.

— Cztery reale — skłamał.

— Masz tu dwa — zaproponował.

— Nie mogę. Moje dzieci...

— Trzy.

— Bardzo mi przykro, Ekscelencjo.

Hidalgo wsunął mu do ręki monetę.

— Niech będzie cztery. Idziemy! — rozkazał.

Od kaplicy Matki Boskiej Pocieszycielki z oknem dla podrzutków do oberży na Corredera było kilkanaście kroków przez plac Cañas. Hidalgo pokonał tę odległość energicznie, sztywno wyprostowany, z ręką na rękojeści rapiera, przeklinając śmiałków, którzy wazyli się splamić jego imię. Od czasu do czasu popychał idącego przed nim Hernanda. Co teraz? — gorączkowo rozmyślał morysk. Jak wyrwać się z pułapki, którą sam na siebie zastawił. Ale coś za coś — ścisnął w dłoni cztery reale. Za te pieniądze kupi wolność Fatimy!

— A co, jeśli dziś ich tam nie będzie? — zapytał, inkasując nowego kuksańca od don Nicolása.

— Módl się, żeby byli — odparł sucho hidalgo.

Weszli od południowej strony na jeden z większych placów Kordoby. Hernando starał się ogarnąć wzrokiem rozległą przestrzeń. Były tu trzy oberże: po stronie, od której weszli, Romana, i na prawo od niej, u wylotu ulicy Toril po wschodniej stronie, dwie pozostałe — Leones i Carbón, obok szpitala Matki Boskiej Anielskiej. Dzień zmierzał ku końcowi, lecz było jeszcze widno, ludzie wchodzili do oberż i wychodzili, na placu kipiało życie.

— I co? — zapytał hidalgo.

Hernando westchnął. Może by uciec? Jakby odgadując jego myśli, don Nicolás złapał go za ramię i pociągnął w kierunku oberży Romana. Weszli do środka, potracając w drzwiach innego mężczyznę. Hidalgo zażądał od Hernanda natychmiastowej odpowiedzi.

— Nie, tu ich nie ma — rzekł chłopak, rozglądając się po pomieszczeniu. Paru klientów umilkło, wpatrując się w niego uważnie.

To samo powtórzyło się w Leones. Przecież może ich nie być! — pomyślał, wchodząc do oberży Carbón. Dlaczego muszą być? Ale co wtedy z czterema realami...? Co zrobi hidalgo? Na pewno tego tak nie zostawi. To kwestia honoru! Plama na jego

nazwisku! Każe mu czekać przez cały wieczór albo jeszcze dłużej... skoro tyle zapłacił!

Głośny śmiech przerwał te rozważania. Przy jednym ze stołów brodac w jaskrawym mundurze żołnierza legii cudzoziemskiej wznosił szklanę wina i w towarzystwie dwóch mężczyzn przechwalał się swoimi wyczynami. Widać było, że jest pijany.

— To ten — pokazał Hernando, gotów uciec w chwili nieuwagi don Nicolása.

Hidalgo ścisnął mu ramię jeszcze mocniej, jakby szykował się do walki.

— Waszmość! — wrzasnął od drzwi. Rozmowy nagle ustały. Śmiechy raptownie umilkły. Kilku klientów zerwało się od stołu, potykając o krzesła. Hernando poczuł, że trzęsą mu się nogi.

— Jak waszmość śmiał splamić nazwisko Varus! — krzyknął znowu.

Brodacz podniósł się niezdarnie, dopijając wino, które spływało mu po brodzie. Chwycił za rękojeść szabli z damasceńskiej stali.

— Kim pan jesteś, aby podnosić na mnie głos?! — ryknął. — Na mnie, chorążego sycylijskich pułków piechoty, baskijskiego hidalga! — Hernando skurczył się, słysząc te słowa. Jeszcze jeden hidalgo! — Jeśli jesteś pan szlachetnego rodu, w co wątpię, to przynosisz ujme swojemu nazwisku.

— Wątpisz w mój rodowód?! — krzyknął don Nicolás.

— Mówiłem panu — szepnął Hernando — że już raz to słyszałem... — Don Nicolás nie zwracał jednak na niego uwagi i puścił jego ramię.

— Sam pan plamisz swoje nazwisko! — ryczał chorąży.

— Żądam satysfakcji! — zawołał don Nicolás.

— Otrzyma ją pan!

Obaj wyciągnęli broń. Ludzie wstali od stołów i odsunęli się na bok, robiąc wolną przestrzeń. Dwaj hidalgowie stanęli do walki.

Hernando doznał oszołomienia. Będą się pojedynkować! Otworzył spotniałą dłoń i spojrzął na monetę. Podrzucił ją parę razy do góry, po czym opuścił oberżę. Głupcy, pomyślał, słysząc metaliczny dźwięk krzyżującej się stali.

Wracał na ulicę Mucho Trigo owładnięty dziwnym uczuciem. Wciąż nie mógł uwierzyć, że udał mu się fortel, chociaż wiele ryzykował, i że dwaj szlachcice walczą teraz na śmierć i życie, lecz żaden z nich nie wie tak naprawdę, o co chodzi przeciwnikowi. Wszystko z powodu jednego słowa! Zapadł zmrok. Po drodze Hernando trafił na procesję ślepców — szli rzędem, przywiązani jeden do drugiego, i odmawiali różaniec, prosząc o jałmużnę. Trzy razy w tygodniu chodzili tak wieczorem po mieście, od szpitala dla niewidomych do ulicy Alfáros. Rozmodlony człowiek, który zapalał świece przed obrazem Matki Boskiej na ścianie pobliskiego budynku, wrzucił monetę do garnka poruszanego rytmicznie przez ślepcę idącego na przodzie. Hernando zszedł im z drogi, ściskając swoją monetę. Chrześcijanie!

Zdobył sporo pieniędzy od dnia, w którym dowiedział się o romansie czeladnika z garbarni z żoną majstra. Przez kilka nocy z rzędu rozmyślał: umie pisać i liczyć, z pewnością mógłby znaleźć lepiej płatną pracę bez paprania się w gnoju, bo teraz zarabiał mniej niż służący. Postanowił jednak nic nie zmieniać. W garbarni miał dużo swobody. Dół z łajnem znajdował się na uboczu, z dala od innych, nikt z robotników tu nie zaglądał, a czeladnik udawał, że nic nie widzi. Gdzie indziej nie byłoby tak dobrze.

Odtąd wyprawy na drugi brzeg Gwadalkiwiru powtarzały się coraz częściej. *Zmęczona Dziewica* była bardziej wytrzymała, niż się zdawało. Hernando i Juan zaprzyjaźnili się, prowadząc żartobliwe, nocne rozmowy o kobietach z berberyjskiego burdelu, kawałek drogi za Sewillą.

— Nie masz siły wiosłować, a chcesz wyobracać trzy kobiety naraz! — drażnił się z nim Hernando, wylewając z łódki wodę, bo w drodze powrotnej *Dziewica* bardzo się męczyła i pogrążała w falach Gwadalkiwiru.

Przyjaźń z Juanem zapewniała mu coś więcej niż dwa miedziaki, które zarobił za pierwszym razem. Teraz Hernando dostawał część zysków z przemytu wina. Potro, pełne awanturników, wałkoni i łajdaków, stało się jego prawdziwym domem. W dalszym ciągu pracował w garbarni, czym zyskiwał uznanie w oczach kuratora

sądowego i księdza z parafii Świętego Mikołaja, którzy regularnie sprawdzali, czy moryskowie zachowują się jak chrześcijanie, jednakże jego życie koncentrowało się wokół Potro.

Wysyłał chłopców z San Lorenzo i Santa María po skóry do rzeźni, a sam w tym czasie zaglądał do Calahorra, żeby pogawędzić z Juanem i innymi handlarzami. Z satysfakcją wspominał, jak udało mu się uwolnić od niewdzięcznego zajęcia pomocnika garbarza. Już w pierwszych dniach zauważył, że chłopcy z różnych dzielnic urządzają sobie pod murami bitwę na kamienie. Było to zabronione przez radę miejską, ponieważ tego rodzaju zabawy pociągały za sobą fatalne skutki — wielu rannych, a nawet ofiary śmiertelne wśród przypadkowych przechodniów, ale łobuziaki nic sobie nie robiły z zakazu. Hernando trafił raz w środek takiej bitwy z udziałem kilkudziesięciu chłopaków i musiał schować się pod skórą, żeby dotrzeć do końca bez szwanku. Następnego dnia widział, jak trenują przed kolejną batalią. Czy ktoś kiedyś pokonał dzieciaka z Alpuhary w rzucie kamieniem? Założył się z nimi, że wygra. Celowali do słupa: jeśli przegrają, zanoszą jego skóry do garbarni, jeśli wygrają, dostaną miedziaka. Przegrał trochę pieniędzy, ale najczęściej wygrywał i podczas gdy łobuziaki wypełniali swoją część umowy, Hernando szedł na Campo de la Verdad, gdzie udawał, że zbiera łajno, czołgając się między mułami. Od czasu do czasu jakiś handlarz łapał brudnego, cuchnącego moryska za włosy i wsadzał na konia, by udowodnić potencjalnemu kupcowi, że zwierzę jest łagodne, bez żadnych narowów. Hernando udawał przerażonego, jakby nigdy dotąd nie dosiadał konia, a handlarz wychwalał zalety wierzchowca, który potrafi utrzymać niedoświadczonego jeźdźcę. Gdy sprzedaż dochodziła do skutku, Hernando dostawał swoją dolę.

Jednej nocy pomagał jakiemuś kawalerowi wspiać się na ogrodzenie klasztoru Sióstr od Świętego Krzyża. Kiedy czekał na jego powrót, żeby rzucić mu sznur, jak było ustalone, nasłuchiwał się czułych słówek i parsknięć śmiechu, nie mówiąc o innych, bardziej intymnych odgłosach namiętności. Nie wszystkie takie wypadki kończyły się sukcesem. Pewnego razu dołączył do grupy żebraków,



którzy nie mieli pozwolenia na żebranie w Kordobie. Przepisy stanowiły wyraźnie, że do uprawiania żebractwa potrzebna jest zgoda proboszcza. Chętni musieli przystąpić do spowiedzi i do komunii, po czym otrzymywali zaświadczenie, że mają prawo żebrać w obrębie danej parafii. Tabliczkę z zaświadczeniem nosili na szyi. Jeden z tych nielegalnych żebraków miał rzadki talent: potrafił wstrzymać oddech i udawać trupa z posiniałą twarzą. Wszyscy dawali się na to nabrać. Jego towarzysze wybrali na miejsce akcji plac Paja, gdzie sprzedawano słomę na sienniki, i tam odegrali scenę śmierci, budząc wielkie poruszenie wśród przechodniów. Hernando opłakiwał jego zgon wraz z innymi i prosił o jałmużnę na chrześcijański pochówek. Miejscowi nie szczydzili grosza. Ale na placu znalazł się ksiądz, który widział już podobne rzeczy w Toledo, więc podszedł bliżej i kopnął trupa w nerki parę razy ku wielkiemu oburzeniu zgromadzenia. Za trzecim kopnięciem zmarły ożył. Hernando i jego wspólnicy musieli ratować się ucieczką przed gniewem oszukanej gawiedzi.

Pracował również dla właścicieli nielegalnych szulerni, gdzie grało się w karty albo w kości. Poznał o kilka lat starszego od siebie chłopaka, który zajmował się kaptowaniem klientów. Wołano na niego Palomero. Doskonale wyczuwał, kto z zamiejscowych szuka domu gry, a kiedy na takiego trafił, już go nie odstępował i ciągnął do Marszałka, szefa szulerni, bo brał za to pieniądze. Hernando często pomagał Palomerowi, przepędzając innych łapaczy, od których roziło się na placu Potro. Podstawiał nogę, popychał, używał rozmaitych chwytów, byle tylko konkurencja nie porwała im potencjalnego gracza.

— Uwaga, złodziej! — zawołał pewnego razu, gdy nie zdążył powstrzymać chłopaka, który podbierał Palomerowi klienta.

Stróż prawa wyrósł jak spod ziemi i zatrzymał niefortunnego spryciarza, Palomero jednak nic z tego nie miał, gdyż klient czmychnął i roztopił się w tłumie.

Hernando nie stronił od bijatyk i choć nieraz mocno oberwał, całkiem nieźle posługiwał się pięściami, zyskując sobie uznanie Palomera. Przy okazji zawsze kapnęło mu parę groszy więcej, niż

ustalili. Powoli rodziła się między nimi prawdziwa przyjaźń. Rozmawiali, żartowali, dzielili się posiłkiem. Hernando nie mógł się nadziwić, dlaczego Palomero wciąż robi dziwne miny.

— Widzisz? — pytał moryska.

— Nie.

— A teraz? — dopytywał się ponownie chwilę później.

Palomero odkrył sekret Marszałka, jak oskubać z pieniędzy nie tylko naiwnych graczy, lecz również doświadczonych szulerów. Jego szef nie miał sobie równych w grze w karty.

— Zachowuje kamienną twarz i porusza tylko płatkami prawego ucha — wyznał Hernandowi z zachwytem. — Samym płatkami, reszta ucha i cała twarz jest nieruchoma, rozumiesz? Nie drgnie w niej ani jeden mięsień. W ten sposób informuje współnika, kto jakie ma karty, a ten obstawia. Przypatrz się teraz. Udało się?

Hernando wybuchnął śmiechem na widok wykrzywionej twarzy przyjaciela.

— Przykro mi, ale nie.

Pomijając parę wpadek, jak ta z fałszywym trupem, na ogół dobrze wiodło się Hernandowi. Tak dobrze, że postanowił kupić na raty jedną z mulic Juana, niekoniecznie tę, która mu się najbardziej podobała, ale też i nie tę najgorszą, zwłaszcza że handlarz gotów był obniżyć dla niego cenę. Zamierzał wymienić mulicę na Fatimę. Wierzył, że Brahim się zgodzi, chociaż tak bardzo go nienawidzi. Od dawna już nie dobierał się do swojej drugiej żony. Fatima wciąż pościła, żeby nie utyć. Przychodziło jej to z łatwością, ze względu na niedostatek jedzenia. Wycieńczona i chuda jak szczapa nie pociągała Brahima, gdy wracał zmęczony i zniechęcony po ciężkiej pracy w polu. W trosce o spokój dziewczyny Aisza dogadzała mężowi, jeśli chciał i mógł. Czarne oczy Fatimy skrzyły się w dzień i w nocy, odkąd Hernando uratował ją od śmierci pod kopytami byka. Postanowił przekonać ją do swego planu.

— Zobaczysz, że się zgodzi — zapewniał. — Ma już dosyć wstawania o świcie do pracy w polu. To go męczy. Brahim jest przewoźnikiem, człowiekiem drogi. Nigdy wcześniej nie pracował

na roli i nie polubi tej pracy, zwłaszcza przy takich nędznych zarobkach. Jemu trzeba otwartej przestrzeni. Wyrzeknie się ciebie, bez dwóch zdań.

Było dużo racji w tym, co mówił. Nawet widoczna już ciąża Aiszy nie poprawiła Brahimowi humoru: chodził nieswój i ciągle rozdrażniony.

— On ciebie nienawidzi. Masz w nim śmiertelnego wroga — podkreślała Fatima świadoma tego, że ostatnio znowu budzi w Brahimie pożądanie. Ociera się o nią w przejściu, obmacuje jej piersi. Dziewczyna ukryła swoje obawy przed Hernandem, żeby nie pozbawić go złudzeń. To nie jest jedyna rzecz, jaką przed nim ukrywam, myślała ze smutkiem.

— Nieważne, co do mnie czuje — odrzekł stanowczo młodzieniec. — Kiedy byłem w brzuchu matki, zgodził się wziąć ją razem ze mną w zamian za muła. Teraz też nie odrzuci takiej okazji. Mając muła, będzie mógł pomyśleć o innej pracy.

Dzięki czterem realom od don Nicolása zapłaci wreszcie Juanowi pierwszą ratę za muła, rozmyślał, skręcając w zaułek z na wpół zrujnowaną kamienicą, w której mieszkali stłoczeni moryskowie. Na rogu stał młody człowiek rozglądający się uważnie na wszystkie strony, jakby czegoś pilnował. Co on tu robi? Hernando znał go i wiedział, że mieszka na piętrze razem z rodziną... Zaraz, zaraz, jak on się nazywa? Hernando chciał do niego podejść, ale chłopak podniósł do ust palec i dał mu znak, żeby się nie zatrzymywał.

Już w bramie wyczuł jakiś niezwykły, podniosły nastrój uroczystości. Dobiegały go stłumione dźwięki pieśni morysków, którą ktoś nucił półgłosem. Minął portal i skierował się na wewnętrzne patio budynku, takie samo jak w większości kordobańskich domów. Chrześcijanie zamieniali je w ogród pełen pachnących kolorowych kwiatów wokół nieodzownej fontanny. W domach wynajmowanych przez morysków owe patia spełniały wszelkie możliwe funkcje z wyjątkiem dekoracyjnej i odpoczynkowej. Tu się prało, rozwieszało bieliznę do wyschnięcia, przędło jedwab, gotowało posiłki, a niektórzy nawet spali tu w nocy. Kwiaty nie chciały rosnąć

w tych warunkach, zresztą nie było na nie miejsca. Wszyscy lokatorzy zgromadzili się na patio i w izbach na parterze. Hernando ujrzał sporo nowych twarzy. Zobaczył też Hamida. Jedni rozmawiali szeptem, inni stali z zamkniętymi oczami, jakby chcieli wyrwać się z kordobańskiego więzienia, i nucili piosenkę, którą usłyszał, wchodząc do bramy. W rogu patio modlił się jakiś mężczyzna zwrócony prawdopodobnie twarzą do Mekki. Hernando zrozumiał, dlaczego wystawiono straż w zaułku. Moryskowie mieli zakaz uczestniczenia w zgromadzeniach, zwłaszcza w celach religijnych...

— Gdyby ktoś was zobaczył — powiedział karcącym tonem do Hamida, który od razu do niego podszedł — nie byłoby dla was ratunku. Nie ma drugiego wyjścia, a chrześcijanie przychodzą, kiedy...

— Czyżbyś wykluczał siebie z tego zgromadzenia, Ibn Hamidzie? — przerwał mu fakił.

Hernando oniemiał. Hamid nigdy tak ostro do niego nie mówił.

— Ja... Nie. Przepraszam. Masz rację. Chciałem powiedzieć, gdyby ktoś nas zobaczył. — Hamid pokiwał głową na znak, że przyjmuje przeprosiny. — Co tu obchodzimy? Po co tyle ryzykować? Nie spodziewałem się tu ciebie.

— Mój właściciel dał mi wolne. Taka ważna okazja!

Hernando nie wiedział nawet, jaki to dzień według kalendarza chrześcijańskiego, a co dopiero mówić o muzułmańskim. Święto religijne?

— Przykro mi, Hamidzie, ale nie wiem, jaki dziś dzień. Co świętujemy? — zapytał, rozglądając się z roztargnieniem wśród obecnych. Nagle dostrzegł Fatimę, a na jej szyi złotą rękę na łańcuszku. Dawno nie widział wisiorka. Gdzie go ukrywała? Fatima spojrzała w jego stronę, jakby wyczuła, że jest obserwowana. Chciał się do niej uśmiechnąć, ale odwróciła oczy i spuściła głowę. Co się dzieje? Poszukał wzrokiem Brahima: stał blisko Fatimy. Hernando nie mógł tak po prostu podejść do dziewczyny na patio i zapytać, dlaczego go unika. — Co świętujemy? — powtórzył pytanie tym razem ciszej.

— Dziś po raz pierwszy wykupiliśmy z niewoli jednego z naszych braci w wierze — uroczyście odpowiedział Hamid. — To ten — wskazał na mężczyznę z wypaloną na policzku literą. Hernando przyjrzał się uważniej moryskowi, który wciąż przyjmował gratulacje. Obok niego stała jakaś kobieta. Jakie to ma znaczenie? Gdyby tak można było wykupić Fatimę...? — Ta kobieta to jego żona — dodał Hamid. — Dowiedziała się, że mąż żyje w niewoli u bogatego kupca z Kordoby...

Hamid przerwał.

— I co? — zapytał Hernando, nie okazując większego zainteresowania. Co się stało Fatimie? Wciąż uciekała oczami przed jego spojrzeniem.

— Powiedziała o tym gminie.

— Aha.

— Swoim braciom w wierze.

— Jasne — mruknął Hernando.

— Wszyscy złożyli się na ten okup. Wszyscy moryskowie z Kordoby! Nawet ja dorzuciłem parę groszy... — Hernando słuchał uważniej, nie ukrywając swego zaskoczenia. — Najwięcej dała Fatima — wyznał fakihi.

Hernando potrząsnął głową, jakby chciał odepchnąć od siebie te słowa. Ogarnęła go nagle taka słabość, że nie mógł utrzymać w dłoni monety. Fatima dała najwięcej!

— Te pieniądze — zająknął się — te pieniądze były przeznaczone na odzyskanie wolności. Dla niej i dla...

— I dla ciebie? — dokończył za niego Hamid.

— Tak — odparł twardo, ochłonawszy ze zdumienia. — Dla niej i dla mnie. Dla nas!

Znowu poszukał oczami Fatimy. Tym razem nie odwróciła wzroku; stała wyprostowana na drugim końcu patio i patrzyła na niego odważnie, świadoma, że on już wie. Sama powiedziała fakihowi, na co zbierali te pieniądze i wyznała, że boi się powiedzieć Hernandowi, co sądzi na ten temat. Teraz stała dumna i zadowolona, a blask jej oczu przyćmiewał złote iskry połyskującego na jej szyi amuletu.

— Dlaczego? — Hernando skierował do niej to pytanie na odległość.

Odpowiedź usłyszał od Hamida:

— Odsunąłeś się od swoich braci, Ibn Hamidzie. — Hernando stał do niego tyłem i nawet się nie odwrócił. — Podczas gdy my staramy się jakoś zorganizować i modlimy się potajemnie, trzymamy się naszej wiary i pomagamy współbraciom w potrzebie, ty łajdaczysz się po mieście. — Hamid odczekał chwilę, ale Hernando nie zareagował; stał jak zahipnotyzowany czarnymi oczami w kształcie migdała. — Boli mnie, że mój syn spadł na najniższy stopień w hierarchii naszego świata, do kategorii nierobów.

Ramiona Hernanda zdrząły.

— Sam mnie uczyłeś — powiedział wciąż zapatrzony w Fatimę — że najniższy jest stopień dwunasty, kategoria kobiet. Czy dlatego Fatima musiała zrezygnować ze swej wolności?

— Ona pokłada ufność w miłosierdziu bożym. Powinieneś zrobić to samo. Wróć do nas, do swojego ludu. Ty i Fatima nie jesteście w niewoli u ludzi i nie kupicie sobie wolności za pieniądze. Wy jesteście niewolnikami naszych praw, naszych wierzeń i tylko Bóg może dać wam wolność. Kiedy Fatima wręczyła mi pieniądze i wyjaśniła, na co je zbierałeś, dlaczego tak ci na tym zależało, poradziłem, żeby zaufała Bogu i nie straciła nadziei. Wtedy odpowiedziała, że na pewno zrozumiesz, gdy przypomnisz sobie te słowa... — Hernando przeniósł wzrok na człowieka, któremu zawdzięczał tak wiele. Wiedział, jakie to słowa. Ale dopiero gdy usłyszał je na nowo, zrozumiał w pełni ich znaczenie, wszystko, co kryło się za nimi, cierpienia i radości, które dzielił z Fatimą. Hamid przymknął oczy i wyszeptał: — Śmierć jest daleką nadzieją.

## 29

— Rób, co chcesz! Możesz mnie porzucić albo zabić! Weź mnie siłą, jeśli taka jest twoja wola... ale nigdy nie uzyskasz mojej zgody! Na Boga, prędzej zginę, niż znowu będę twoja!

Mimo panującego w izbie półmroku widać było wściekłość na twarzy Brahima. Fatima mu odmówiła! Przykucnięta w kącie Aisza słuchała tych słów z przerażeniem, obawiając się reakcji Brahima, ale też z podziwem dla odwagi dziewczyny. Młode małżeństwo z dzieckiem, zajmujące siennik w drugim końcu sali, chwyciło się za ręce, powstrzymując oddech. Hernanda nie było. Brahim wybełkotał coś niezrozumiałego. Walnął parę razy pięścią w powietrze i klął na czym świat stoi. Fatima stała nieruchomo przed nim: bała się, że któryś z tych ciosów dosięgnie jej twarzy, ale tak się nie stało.

— Nigdy nie będziesz wolna... choćby nazarejczyk zebrał nie wiem ile pieniędzy — oświadczył Brahim. — Rozumiesz? — Fatima w milczeniu przeciwstawiała się furii Brahima. — Co ty sobie wyobrażasz? Jestem twoim mężem! — Przez chwilę Fatima myślała, że zaraz ją zgwałci, na oczach wszystkich, lecz Brahim, rozejrzawszy się dookoła, powstrzymał swój gniew. — Sama skóra i kości. Nikt cię nie zechce w takim stanie! — dodał pogardliwie i poszedł do Aiszy.

Kolana ugięły się pod Fatimą. Opadła na podłogę zaskoczona,

że tyle wytrzymała. Upłynęła dłuższa chwila, zanim przestała się trząść i zaczęła oddychać normalnie. Przemysłała to sobie tysiąc razy, przeczuwając, że prędzej czy później przyjdzie taki moment, kiedy Brahim będzie miał na nią ochotę, choć wyglądała odpychająco w swej chudości. Tak też się stało. Ale czas grał na jej korzyść, nabrała większej odwagi, zresztą przekazanie wszystkich pieniędzy na wykup pierwszego moryska z niewoli, dzięki czemu cała ich gmina poczuła się po raz pierwszy od czasu klęski zjednoczona w wierze, dodało jej siły i pewności siebie. Dlaczego znowu ma ulec zniemawidzonemu mężczyźnie? Czyż nie wyrzekła się dobrowolnie swojego szczęścia i wolności za cenę uwolnienia wyznawców i uczniów Proroka? Wszędzie spotykała się z objawami wdzięczności. Ona, a także Hernando, który w końcu zrozumiał, kto ma rację, i ustąpił. Po wysłuchaniu Hamida znowu poszukał jej wzrokiem, podniosła wtedy oczy do nieba, a on poszedł za jej przykładem. Wybaczył jej bez słów. Cała Kordoba wiedziała o szlachetności Fatimy! Hamid niczego nie ukrywał i szczerze odpowiedział na pytanie Brahima, skąd pochodzą te pieniądze. Fatima poczuła się bezpieczniej, bo wiedziała, że może liczyć na wsparcie gminy... Brahim też o tym wiedział. Nie ma już małego Humama, więc ona nie musi usługiwać seksualnie Brahimowi w zamian za spokój i bezpieczeństwo synka. Rozmyślała nawet, że... być może Bóg i Prorok wzięli go do siebie, żeby nie musiał patrzeć na jej poświęcenie. Nie chce już cierpieć z powodu Brahima, bo inaczej śmierć dziecka okaże się daremna. A jeśli Brahim zacznie się mścić na Aiszy, jak dawniej w Alpuharze? Nie, teraz tego nie zrobi. Co jest wart muzułmanin bez synów? Musa i Aquil przepadli jak kamień w wodę, nikt nic nie wiedział na ich temat, nigdzie ich nie widziano. Niektórzy rodzice poskarżyli się radzie miejskiej, że odebrano im dzieci po to, by nowi opiekunowie mieli za darmo niewolników. Oczywiście chrześcijanie nie chcieli tego słuchać, chociaż przepisy królewskie zabraniały wykorzystywać jako niewolników małych morysków przed ukończeniem jedenastego roku życia. W Kordobie, podobnie jak w innych królestwach chrześcijańskich, było pełno dzieci przysposobionych



lub urodzonych w niewoli, które służyły i pracowały u swoich właścicieli od małego. Aiszy nic nie grozi, doszła do wniosku Fatima, Brahim nie odważy się podnieść na nią ręki, dopóki nie urodzi i nie wykarmi upragnionego syna. Tej nocy mogła spać spokojnie — Brahim zachował się zgodnie z jej przypuszczeniami: nie pastwił się nad pierwszą żoną, tak jak to robił w Alpuharze. Fatima popłakała się w milczeniu, bo wiedziała, że parę kroków dalej leży Aisza i też płacze ukradkiem, pocieszając ją bez słów, tak jak nauczyły się porozumiewać między sobą w górach.



Tymczasem Hernando wstępował w progi małego, walącego się domu przy ulicy Moriscos, w dzielnicy Santa Marina. Dużo się zmieniło po rozmowie z Hamidem, kiedy dowiedział się, że Fatima oddała wszystkie pieniądze na wykup mużułmańskiego niewolnika. Stał się inny i od razu lepiej się poczuł! Dlaczego nie zaufać Bogu? Skoro Fatima i Hamid pokładają w Nim ufność... Obiecała, że nie pozwoli się dotknąć Brahimowi. Uwierzył jej. Nie miał powodów, by nie wierzyć. Prędzej odbiorę sobie życie, niż mu ulegnę, oświadczyła stanowczo. Umocniony tą obietnicą Hernando zaangażował się w pracę na rzecz wspólnoty, oddając na usługi współbraci swój spryt, inteligencję, liczne kontakty i znajomość miasta. Wspólnota przyjęła go z otwartymi ramionami. Fatima okazywała mu teraz więcej serca niż wtedy, gdy wręczała jej kolejne kwoty na zakup muła, którego chciał dać Brahimowi w zamian za dziewczynę. Brała te pieniądze i chowała niejako z obowiązku, bez zadowolenia, jakby wątpiła w sens takiego postępowania. Jak mogłem postawić ją na równi z mulicą, ubolewał Hernando, patrząc na uśmiechniętą twarz i zachwyty w czarnych oczach, kiedy słuchała, co nowego zrobił dla współbraci. A było co robić, jak słusznie zauważył Hamid w czasie spotkania z okazji wykupu pierwszego niewolnika.

Kordoba wciąż przyciągała morysków. Była miastem kalifów, miejscem, gdzie mużułmańska kultura i religia osiągnęły najwyższy stopień rozwoju na Zachodzie. Żyło im się tu trochę lepiej niż

w innych hiszpańskich miastach i wioskach. Presja Kościoła chrześcijańskiego wszędzie była bardzo silna, ale w mniejszych skupiskach ludzkich nienawiść starych chrześcijan do morysków przybierała nader niepokojące rozmiary, podobnie jak wyzysk ze strony lokalnych władz i wielmożów. Minęły już dwa lata od deportacji, a przepływ nielegalnych imigrantów trwał. Przybywali do Kordoby bez zezwolenia, zwabieni historią i splendorem wielkiego miasta.

Dekret królewski zabraniał moryskom opuszczać miejsce pobytu bez przepustki wystawianej przez lokalne władze. Taki dokument zawierał dokładny rysopis i dane dotyczące podróży: dokąd udaje się okaziciel przepustki, w jakim celu i jak długo pozostanie poza miejscem zameldowania. Mimo licznych trudności moryskowie chwyтали się każdego sposobu, żeby uzyskać takie zezwolenie, i zjawiali się w Kordobie, lecz prędzej czy później zaczynały się dla nich kłopoty z powodu braku dokumentów obowiązujących każdego moryska zamieszkałego w tym mieście.

W porozumieniu z Hamidem i dwoma członkami rady starszych z granadyjskiego Albaicín, którzy sprawowali kontrolę i rządy nad gminą, Hernando starał się pomóc nowo przybyłym. Po wygaśnięciu ważności przepustki były dwie możliwości: małżeństwo z kobietą zameldowaną w Kordobie lub spędzenie od trzech do czterech tygodni w więzieniu w ramach kary ustanowionej przez władzę miejską. Rajcy mieli świadomość, iż napływ imigrantów działa na korzyść miasta, ponieważ stanowią oni tanią siłę roboczą i przynoszą zyski właścicielom kamienic, toteż za sprawą małżeństwa lub po odbyciu kary więzienia wszyscy zainteresowani otrzymywali pożądaną dokument, a wraz z nim status mieszkańca Kordoby.

Hernando wiedział o wszystkich moryskach ukrywających się po domach swoich braci w wierze, kiedy nie mogli swobodnie poruszać się po mieście, bo nie mieli ważnej przepustki. Często występował w roli swata i właśnie tej nocy przyszedł do mieszkańców kamienicy na ulicy Moriscos z wiadomością, iż znalazł żonę dla greplarza z Méridy.

Jednakże nie wszyscy mężczyźni bez dokumentów byli gęplarzami (a na takich fachowców istniał duży popyt w cechu tkaczy) i nie wszystkie kobiety wśród morysków z Kordoby były skłonne do małżeństwa, toteż większość nowo przybyłych trafiała do więzienia, gdzie Hernando musiał działać z największą rozwagą.

Więzienie to był dobry interes oddany warendę nadzorcy. Cały obowiązek władz sprowadzał się do znalezienia odpowiedniego lokalu z kajdanami i łańcuchami. Więźniowie sami musieli się wyżywić, toteż kupowali coś do jedzenia lub otrzymywali je za darmo od kogoś z zewnątrz, kto przynosił im posiłki, oczywiście za zgodą i wynagrodzeniem dla nadzorcy. Płacili też za łóżko. Ustalone przez króla stawki zależały od popełnionego przestępstwa. Cena wahała się w zależności od tego, czy w jednym łóżku spała jedna, dwie albo trzy osoby. Kto miał pieniądze, płacił. Biedacy i nędzarze żyli na rachunek dobroczyńców, ale ci łaskawcy niechętnie uwzględniali potrzeby nowych chrześcijan, którzy tyle okrucieństw popełnili podczas powstania.

Hernando musiał rozważyć, czy i kiedy danemu moryskowi opłaca się pójść do więzienia, skąd wziąć pieniądze dla nadzorcy i jak zapewnić więźniom regularne posiłki. Nie zaprzestał nocnych wypadów do Potro, ale teraz szukał tam nie tyle zarobku, ile informacji. Kiedy kurator sądowy planuje przeprowadzenie rewizji w domach podlegających mu morysków? Jaka sytuacja panuje obecnie w więzieniu? Gdzie najlepiej dać się zatrzymać i komu, jeśli chodzi o woźnych sądowych? Kto ma moryskich niewolników i jak dużo za nich zapłacić? Ile czasu zajmie rajcom przyznanie konkretnej osobie prawa stałego pobytu w mieście? Każda informacja była ważna i Hernando nie żałował grosza, by zapewnić sobie czyjąś przychylność albo postawić lampkę wina służącemu, który powie, czy jakiś niewolnik albo niewolnica jest na służbie u jego państwa. Wyzwalanie niewolników schwytanych podczas wojny w Alpumarze stało się głównym celem gminy. Jednakże chrześcijanie, którzy kupili tych mężczyzn i kobiety za pół ceny, dużo taniej niż musieliby zapłacić za Murzyna, Mulata lub białego niewolnika niemoryska, szybko wywęszyli w tym dobry interes

i podbijali cenę wykupu do niebotycznych rozmiarów. Każdy kordobańczyk, właściciel niewolników morysków, stawał się w pewnej mierze handlarzem na mniejszą lub większą skalę i chętnie ciągnął zyski głównie ze sprzedaży mężczyzn. Kobiety rzadko wystawiano na sprzedaż i bardziej opłacało się je zapłodnić, gdyż dzieci zrodzone z niewolnicy dziedziczyły status matki. Zapłodnienie niewolnicy muzułmanki było dla właściciela dobrą inwestycją, która przynosiła duży zysk w krótkim czasie.

Hernando zastanawiał się, czy kontynuować wyprawę na *Zmęczonej Dziewicy*. Juan nalegał na dalszą współpracę. Po co rezygnować z łatwego, szybkiego zarobku? Zawsze przyda się parę groszy więcej. „Mój obecny towarzysz podróży — skarżył się, puszczając oko do Hernanda — nie rozmawia o kobietach z berberyjskiego burdelu”. Juan chciał zaoferować Hernandowi lepsze zarobki, lecz morysk odmówił. Trochę jeszcze się wahał, ale pewnego dnia, kiedy szedł na plac Salvador ulicą Marmolejos, tak jak kazały władze, zrozumiał, że dobrze zrobił, i raz na zawsze porzucił myśl o nocnych wycieczkach szalupą. Wzdłuż całej Marmolejos, przytwierdzone do muru ślepej fasady klasztoru Świętego Pawła, stały długie ławy, na których wystawiano zwłoki osób zmarłych gdzieś w polu i przyniesionych do miasta przez Braci Miłosierdzia Bożego. Hernando zwykle przyglądał się trupom uważnie, próbując zidentyfikować na podstawie ubioru i śniadej skóry (choć Hiszpan niewiele różnił się pod tym względem od moryska), czy przypadkiem nie są to zwłoki jego pobratymca. Jeśli tak, przekazywał wiadomość starszym, by dowiedzieli się w innych gminach, czy ktoś im ostatnio nie zaginął. Ławy służyły nie tylko do wystawiania trupów, lecz także jako miejsce sprzedaży chleba i różnych innych przedmiotów pochodzących z konfiskaty. Tu przychodzili bezrobotni w poszukiwaniu pracy, sprawowano sądy nad oszustami i nielegalnymi handlarzami, skazując ich na wzgardę i pośmiewisko publiczne i, rzecz najważniejsza, wylewano wino z przemytu. Tego dnia przy ławie sąsiadującej z trupem młodej kobiety w stanie rozkładu stał policjant z inspektorem nadzorującym pozbывanie się wina, a wokół nich krążyła chmara

chłopaczków gotowych rzucić się na ziemię po pierwszym uderzeniu siekierą w beczkę. W przeciwieństwie do innych skonfiskowanych produktów wino nie podlegało ponownej sprzedaży. Hernando nie mógł oderwać oczu od tej beczki. Znał ją aż za dobrze. Wiele takich beczek przewoził na pokładzie *Zmęczonej Dziewicy*. Ze ściśniętym sercem szedł dalej, odprowadzany trzaskiem rozbijanego drewna i wrzaskami chłopaków zlizujących rozlane wino z ziemi. Tego wieczoru nie zastał Leóna w karczmie na Potro.

— Aresztowali go — usłyszał kilka dni potem od Juana, kiedy przyszedł na targ mułów. Inspektor znalazł u niego wino z przemytu. Nawet długo nie szukał, od razu poszedł prosto do kryjówki... Zdaje się, że ktoś złożył donos na Leóna.

# 30

## *Plac Corredera, wiosna 1573*

W Kordobie, mieście ogrodów i tysiąca ukwieconych patiów, bydłęcy nawóz był nader cennym towarem. Hernando wciąż pracował w garbarni za nędzne dwa reale miesięcznie, zadowolony, że na żądanie kuratora sądowego może wylegitymować się stałym zatrudnieniem, a jednocześnie ma dużo wolnego czasu, ponieważ czeladnik romansujący z żoną majstra pozwalał moryskowi na częste nieobecności w pracy, żądając w zamian dyskrecji. Zaangażowany w działalność na rzecz gminy morysków Hernando zaniedbywał zbieranie gnoju. Czeladnik zawsze znajdował dla niego jakieś usprawiedliwienie, lecz taka sytuacja nie mogła dłużej trwać.

W pierwszą niedzielę marca o świcie piętnaście byków i kilka krów z kordobańskich pastwisk przegalopowało po moście rzymskim w stronę miasta. Za nimi, pokrzykując, jechali konno poganiacze z pikami, których użyli do przegnania zwierząt z pastwiska. Na drugim końcu mostu mimo wczesnej pory witał ich rozbawiony tłum mieszkańców Kordoby. Byki zapędzone na brzeg Gwadalquiviru wpadły w ulicę Arhonas, a następnie w ulicę Toril obok placu Corredera, gdzie miały pozostać w zamknięciu do godzin popołudniowych.

Poprzedniego dnia czeladnik powiedział Hernandowi:

— Potrzebujemy gnoju. Jutro będzie gonitwa z udziałem

piętnastu byków, a potem walka. Na całej trasie gonitwy znajdzie się dużo gnoju, a zwłaszcza w sąsiedztwie placu Corredera, gdzie szlachta zostawia konie.

— W niedzielę nie wolno pracować.

— To prawda, ale jeśli nie popracujesz w niedzielę, poniedziałek też będziesz miał wolny. Majster kazał ci to powiedzieć. Owszem — dodał szybko na widok groźby w oczach Hernanda — mnie czeka to samo... Obaj stracimy pracę, jeśli się nie postarasz.

— Słudzy szlacheccy nie dopuszczą mnie do koni.

— Znam ich. Ja też tam będę. Zobaczysz, że ci pozwolą. Najpierw pobieraj na trasie gonitwy.

Tak oto Hernando znalazł się przy moście rzymskim z dużym koszem wyplatany z ostnicy esparto i wmieszał się w tłum za ogrodzeniem, które ustawiono specjalnie na tę okazję z polecenia rady miejskiej, żeby byki skręciły nad rzekę, gdzie już tłoczyli się widzowie. Było tak ciasno, że gdyby ludzie musieli salwować się ucieczką w razie groźby ataku, pozostawałby im jedynie skok do wody. Wytyczony belkami pasaż prowadził dalej znad rzeki do ulicy Arhonas. Wyloty innych ulic dzielnicy Ajerquía łączących się z Arhonas były zagrodzone aż do skrzyżowania z Toril, gdzie wzniesiono zagrodę, która otwierała się na plac Corredera.

Hernando wyczuwał rosnące podniecenie tłumu, w miarę jak od placu Verdad dobiegały coraz silniejsze porykiwania byków i okrzyki poganiaczy.

— Zaraz tu będą! — wołali ludzie.

Stukot kopyt na starożytnym kamiennym moście zmieszał się z piskiem podekscytowanych gapiów. Paru mężczyzn przeskoczyło przez ogrodzenie i pobiegło przed bykami. Inni przygotowywali grotty do rzucania i wymachiwali starymi kapami, pragnąc zwrócić na siebie uwagę pędzących zwierząt. Najpierw pojawiły się krowy, a za nimi z rykiem galopowały na oślep całym stadem samce, zostawiając z tyłu poganiaczy. Zakręt prowadzący z mostu nad rzekę cechował gwałtowny spadek z powodu różnicy poziomów wysokości. Kilka byków wpadło na drewniane ogrodzenie, jeden przewrócił się i potoczył po ziemi, a te pędzące z tyłu o mało go

nie stratowały. Stojący obok młodzieniec potrząsnął kapą, wtedy byk zerwał się z zadziwiającą szybkością, wziął na rogi nieszczęsnego toreadora i podrzucił do góry. Hernando dostrzegł jeszcze, że dwaj mężczyźni biegnący przed stadem też zostali mocno poturbowani, mimo że poganiacze bydła natychmiast przyszli im z pomocą, odpędzając zwierzęta pikami.

Wrzask, pęd, chmura kurzu i ogłuszający ryk. Wszystko działo się błyskawicznie. Nim się człowiek obejrzał, byki, konie i poganiacze zniknęli za zakrętem Arhonas. Hernando zagapił się na pozostałych na placu boju ludzi. Młodzieniec z muletą krwawił obficie, miał zranione krocze, podtrzymywała go dziewczyna, która coś rozpaczliwie krzyczała. W wodzie brodzili mężczyźni, kobiety i dzieci, usiłując wydostać się na brzeg. Wszędzie widać było rannych: jedni poruszali się o własnych siłach, kulejąc i pojękując z bólu, inni leżeli na brzegu Gwadalkiwiru. Oprzytomniał, kiedy dzieci i stare kobiety rzuciły się zbierać rozdeptane łajno. Spojrzał na swój pusty kosz i pokręcił głową. Tutaj go nie zapelni. Przeskoczywszy przez ogrodzenie, podszedł do rannego młodzieńca, otoczonego wianuszkami kobiet, aby zobaczyć, czy może mu w czymś pomóc.

— Wynos się stąd, Maurze! — krzyknęła stara kobieta w czarnym stroju.



— Ten młodzieniec umrze, może już nie żyje — opowiadał Hernando Hamidowi, kiedy po sumie stali pod kościołem razem z Fatimą i Aiszą w zaawansowanej ciąży. Parę kroków dalej Brahim rozmawiał ze znajomymi moryskami.

— Niestety, wielu umiera...

— O co w tym wszystkim chodzi?

— O walkę. Walkę człowieka ze zwierzęciem — odpowiedział Hamid. Hernando rozłożył ręce w geście niezrozumienia. — My też to robiliśmy — dodał fakih. — Nasz dwór w Grenadzie słynął z takich igrzysk. Zegríes, Gazules, Venegas, Gomeles, Azarques i wielu innych moźnych zdobyło wielkie uznanie jako pogromcy



byków. Co gorsza, żaden muzułmański fakił nie odważył się potępić tych widowisk, natomiast rzymski papież zabronił ich chrześcijanom pod karą klątwy. Śmierć na arenie jest odejściem w grzechu śmiertelnym, księża przyłapani na widowni tracą prawo do noszenia sutanny.

Hernando przypomniał sobie wtedy, że po przejściu byków z domów nad Gwadalkiwirem wyległa armia księży, którzy rozbiegli się wśród rannych ze świętymi olejkami, modląc się o zbawienie ich dusz.

— To czemu go nie słuchają, jeśli są tacy pobożni?

Hamid się uśmiechnął.

— Hiszpania kocha byki. Szlachta kocha byki. Lud kocha byki. To chyba jedyny oprócz kwestii pieniężnych przykład sprzeciwu katolickiego króla Filipa wobec papieża Piusa V.

Sławni muzułmańscy toreadorzy, o których mówił Hamid, stanowili patrycjat Kordoby: Aguayo, Hoz, Bocanegra i oczywiście potomkowie znamienitego rodu Fernández de Córdoba oraz nie mniej sławnego rodu Aguilar. Kordoba była szlachecka! Tytuły i przywileje pochodzące od króla sięgały czasów konkwisty. Szlachta rywalizowała między sobą o palmę pierwszeństwa nie tylko na arenie, lecz także w przejawach luksusu i bogactwa.

Po obiedzie w dniu korridy ze szlacheckich pałaców wyruszały zastępy służby wystrojonej w liberie o jednolitych barwach herbowych. Każdy pan wystawiał taką drużynę w składzie trzydziestu, czterdziestu, a nawet sześćdziesięciu osób, w tym dwóch lokajów, którzy mieli towarzyszyć mu na placu. Lud Kordoby wyczekiwał godzinami przed pałacem Fernándezów na stoku Bailío, przed pałacem markiza Carpio na ulicy Cabezas i wokół wielu innych pałaców i rezydencji, żeby podziwiać i oklaskiwać wyjazd szlachciców, którzy konno udawali się na plac w towarzystwie licznej rodziny, z eskortą zastępów służby dźwigającej jedzenie, wino i fotele dla swoich panów.

Plac Corredera był odpowiednio przygotowany do walki byków, które wyskakiwały jeden po drugim z pasażu łączącego arenę

z ulicą Toril od strony wschodniej. Północną pierzeję, najdłuższy bok tego placu o nieregularnym kształcie, tworzył rząd drewnianych portyków domów z balkonami, które tego dnia, z rozkazu rady miejskiej, wyścielono dywanami, udekorowano szalami i wynajęto szlachcicom oraz bogatym kupcom w wykwintnych strojach. Pośród nich poruszali się dyskretnie księża i członkowie kapituły katedralnej, łamiąc nakazy bulli papieskiej. Tę część placu odgradzała od areny specjalna palisada. Południową pierzeję stanowił biały mur wzniesiony na tę okazję przez radę miejską, przy którym ustawiono drewniane trybuny. Główne miejsce zajął *corregidor* jako przedstawiciel króla i przewodniczący areny, obok rozsiadła się szlachta i rycerze. Reszta widzów tłoczyła się bezpośrednio na placu za ogrodzeniem zabezpieczającym przed bykami.

Służący rozbiegli się po placu Cañas, szukając miejsca na uwiązanie zapasowych koni szlachciców, którzy zmierzają się z bykiem, i wierzchowców świty szlacheckiej. Hernando usłyszał wrzask wiwatującego tłumu. Był to znak, że rozpoczynała się defilada. Każdy jeździec miał przy sobie dwóch lokajów z lancami, wszyscy przebrani za morysków: krótki, dopasowany kabat niekłępujący ruchów, fez i peleryna przewieszona przez lewe ramię, a u boku rapier lub szabla. Każdy szlachcic nosił swoje barwy rodowe, takie same miała jego drużyna, i używał siodła na wzór morysków z krótkimi strzemionami. Czeladnik garbarski dotrzymał słowa i czekał na placu Cañas. Dzięki jego wstawiennictwu Hernando zdołał przedrzeć się ze swym koszem przez kordon straży miejskiej, która broniła dostępu na plac przed tłumem gotowym wmieszać się między służących. Chętnych do zbierania końskiego łajna było bowiem sporo.

Ośmiu *caballeros*\* szykowało się do walki z bykami w to marcowe, niedzielne popołudnie. *Corregidor* uroczyście wręczył strażnikowi areny klucze do zagrody z bykami, dając tym samym sygnał do rozpoczęcia fiesty. Czterech *caballeros* opuściło plac,

---

\* Tu: rycerz na koniu walczący z bykiem (hiszp.).

a reszta zajęła stanowiska na arenie. Konie parślały, przebierały przednimi nogami i pokrywały się kropelkami potu.

Cisza zaległa na placu Corredera, kiedy otwarły się drewniane wrota z belek zagradzających ulicę Toril, lecz już po chwili odezwały się wiwaty. Wielki czarny byk wtargnął z rykiem na plac, podjudzany przez pikadorów. Wściekle przegalopował dookoła, szarżując na ludzi za ogrodzeniem, którzy krzyczeli, rzucali w niego strzałami i grzmocili pięściami w drewniane pale. Wyładowawszy swój gniew na palisadzie, byk nieco się uspokoił i zwolnił, a wtedy około setki mężczyzn przeskoczyło przez ogrodzenie, wymachując kapotami. Najśmielsi podchodzili go od tyłu, wykonując gwałtowne zwroty, kiedy byk odwracał się w ich stronę. Niektórzy nie zdążyli się cofnąć, co kończyło się poważnymi ranami. Podczas gdy lud się bawił, czterech szlachciców trwało na swoich pozycjach, powstrzymując konie; oceniali w myślach brawurę bestii i zastanawiali się, czy warto stanąć do walki.

W pewnym momencie don Diego López de Haro, kawaler z rodu Carpiów noszący się na zielono, postąpił parę kroków do przodu i rzucił bykowi wyzwanie. Jego lokaj natychmiast podbiegł do ludzi drażniących zwierzę i kazał im się odsunąć. Kiedy przestrzeń między jeźdźcem i bykiem opustoszała, szlachcic ponownie zawołał:

— ¡Toro!\*

Wielki byk odwrócił się do niego i przez chwilę obaj mierzyli się spojrzeniami. Plac zamarł w oczekiwaniu. Drugi lokaj zbliżył się do don Diega z krótkim, grubym drągiem z jesionowego drewna zakończonym ostrym grotem z żelaza. Na trzy piędzie przed końcem drzewce miało wypełnione woskiem cięcia, żeby łatwiej było je złamać po wbiciu w kark byka. Ostrożnie, by nie rozpraszać zwierzęcia, trzej pozostali szlachcice przysunęli się bliżej, gotowi do pomocy w razie potrzeby. Koń don Diega stawał dęba i podskakiwał nerwowo, wykonując kurbety, po czym ustawił się bokiem do byka, co od razu zostało skwitowane gwizdami

---

\* Byk (hiszp.).

protestu: starcie człowieka z bykiem musi nastąpić „twarzą w twarz”, bez sztuczek niegodnych zasad tauromachii\*.

Don Diego nie potrzebował takiej zachęty, natychmiast spiął konia ostrogami, by ustawić go na wprost byka. Lokaj stał obok prawego strzemięcia z podniesioną lancą, aby pan mógł ją chwycić, kiedy byk ruszy do natarcia.

Don Diego znów rzucił bykowi wyzwanie, machając mu przed oczami zieloną peleryną, którą wcześniej miał zawieszoną na ramieniu. Fale błyszczącej zieleni w dłoniach jeźdźca przykuły uwagę bestii.

— Ej, *toro! Toro!*

Nie trzeba było długo czekać. Czarna plama runęła na konia i jeźdźca. Don Diego mocno chwycił podsuniętą przez lokaja lancę i przycisnął łokieć do tułowia. Lokaj zdążył uciec w momencie, gdy byk dopadał konia. Don Diego wycelował w kłęb, wbijając lancę na kilka piędzi, zanim złamała się ostatecznie i utkwiała nieruchomo. Trzask drewna był dla placu sygnałem do wiwatowania, które natychmiast ucichło, gdy śmiertelnie ranny, broczący krwią byk ponownie zaatakował konia. Don Diego szybko wyjął z pochwy ciężki bastard\*\*, który wbił między rogi zwierzęcia, rozłupując mu czaszkę. Czarny zwierz runął na ziemię i już się nie podniósł.

Podczas gdy szlachcic robił rundę honorową wokół placu, poklepując konia po szyi i pozdrawiając widownię pośród rżęsiących oklasków w dowód uznania dla jego sztuki, grupa ludzi rzuciła się na martwego byka, walcząc o ogon, jądra i każdą inną część ciała, którą zdołano wyciąć, zanim fiesta potoczyła się dalej. Byli to pomocnicy rzeźników, którzy potem sprzedawali te łupy — w cenie był zwłaszcza byczy ogon — karczmarzom z placu Corredera.

Na podstawie głośnych krzyków i momentów nagłej ciszy Hernando próbował wyobrazić sobie rozwój zdarzeń, których nie

---

\* Walka byków.

\*\* Rodzaj miecza (półtorak).

mógł dostrzec ze swego miejsca na placu Cañas. Nigdy dotąd nie oglądał korridy, choć raz już zetknął się z tym zjawiskiem, kiedy własnym ciałem ochronił Fatimę przed pędzącym bykiem. Co dzieje się tam na placu? Zadawał sobie to pytanie, walcząc o końskie odchody z innymi zbieraczami gnoju. „Tylko nie zawieź tym razem — przestrzegął czeladnik — musisz przynieść choć jeden pełny kosz, żeby było na wierzchnią warstwę w dole”. Na szczęście Hernando nie bał się koni i szybko uzyskał przewagę nad rywalami. Co innego zbierać łajno z ulicy po przejściu kawalkady, a co innego robić to w momencie wypróżniania się konia. Rasowe ogiery były nerwowe i czasem agresywne, więc kiedy Hernando widział, że zwierzę zadziera ogon i ktoś już biegnie po ekskrementy, on też rzucał się w tym kierunku, ale specjalnie robił to tak gwałtownie, żeby rozdrażnić konia. Niefortunni rywale w zbieraniu łajna wycofywali się z lęku przed kopytami, a Hernando napełniał swój kosz. Bardzo to bawiło szlacheckich służących wyznaczonych do pilnowania wierzchowców, którzy krążyli między Cañas i Corredera w zależności od tego, gdzie akurat znajdował się ich pan. Sami zawiadamiali Hernanda, że jakiś koń się wypróżnił.

Kiedy tłum oklaskiwał pojawienie się na placu siódmego byka, wielki kosz Hernanda był już napełniony. Ponieważ nie miał prawa wejścia do garbarni w niedzielę, toteż przekazał czeladnikowi wiadomość, że może przyjść po kosz.

— Zdążymy napełnić jeszcze jeden — powiedział zadowolony czeladnik.

Hernando westchnął z rezygnacją, ale gdy tylko tamten odwrócił się i odszedł, szybko wśliznął się między służących i dotarł aż do wejścia dla zawodników, obok białej ściany w południowej części placu. Tu trafił na młodego sługę, z którym już wcześniej wymienił parę porozumiewawczych uśmiechów w trakcie walki o łajno. Korrida przebiegała bez incydentów, każdy szlachcic wykazywał się lepiej lub gorzej znajomością tauromachii przy wielkim aplauzie publiczności. Hernando wspiął się na belki przegrody zastępującej wrota i zobaczył wielkiego, czerwonego byka szarżującego na jeźdźca na karogniadym koniu, takim samym jak ten podarowany

mu przez Aben Humeyę. Przez chwilę miał wrażenie, że znowu pędzi na gibkim rumaku po górach Alpuhary wśród swoich braci muzulmanów łaknących zwycięstwa... Ogłuszająca wrzawa na placu przywróciła mu poczucie rzeczywistości. Szlachcic źle wymierzył cios, lanca ześliznęła się z kłębu i wbiła się w zad zwierzęcia, nie zadając mu śmiertelnej rany. Natychmiast przybył mu z pomocą inny szlachcic, robiąc wołty na koniu, żeby odciągnąć gotowego do ataku byka. Ten pierwszy zebrał siły i zadał inną lancą nowy cios, tym razem śmiertelny. Kolejny, ósmy byk miał sierść barwy kasztanowej. Biegł truchtem po placu, markując bodnięcia i wyraźnie uciekając od nękających go ludzi. Na wezwanie szlachcica podbiegł kilka metrów bliżej, zatrzymał się przed *caballero* i czmychnął. Ludzie gwizdali.

— Co się dzieje? — spytał Hernando młodego sługę.

— Jest za łagodny — odparł ten ostatni, nie odrywając oczu od areny. — Nikt nie zechce z nim walczyć.

I tak się stało. Czterej szlachcice, którzy w tym momencie byli na placu, wycofywali się z godnością. Wszyscy odsuwali się na bok, robiąc im przejście, dopóki nie zniknęli za zamkniętymi wrotami. Wróciwszy na swoje miejsce, Hernando dostrzegł na placu psy i tłum ludzi goniących za bykiem. Płachty spadały na łeb zwierzęcia, jedna zaczepiła o poroże i zasłoniła mu pole widzenia w momencie, gdy grupa uzbrojonych zaatakowała nożami. Zaczęli dźgać w ścięgna nóg. Jakiś człowiek z kosą wyciął spory kawałek lewej kończyny i byk upadł. Dobili go już na ziemi.

Jeszcze nie zdążyli obciąć mu ogona, gdy na placu pojawił się następny. Był nieduży, ale zwinny i wesoly.

— Z drogi, głupcze!

Zapatrzone w byka Hernando nie zauważył, że wszyscy odsunęli się od zapory z drewnianych bali. Usłuchał, robiąc przejście szlachcicowi z wielkim brzuchem rozsadzającym kabat. Towarzyszyło mu z tyłu dwóch ponurych lokajów, a nieco dalej trójka rozbawionych szlachciców żartowała z grubego *caballero*.

— To hrabia de Espiel — odezwał się młody sługa, ścisząc głos, jakby się bał, że hrabia może go usłyszeć pomimo hałasu

i odległości. — Nie zna się na bykach, ale ciągle chce z nimi walczyć.

— Dlaczego? — spytał Hernando tak samo cicho, jakby udzielił mu się lęk młodzieńca.

— Tak każe mu honor albo pycha — odparł krótko sługa.

Jak tylko weszli na arenę, lokaj, który miał wolne ręce, gdyż nie niósł lanc dla hrabiego, zaczął rozdawać kuksańce i wrzeszczeć na ludzi, żeby zrobili przejście dla jego pana i przestali drażnić byka. Posłuchali go z niezadowoleniem, gdyż pozbawiał ich rozrywki, którą inni szlachcice chętnie im fundowali. Powstrzymali się nawet od gwizdów w momencie, gdy hrabia rzucał bykowi wyzwanie, pozwalając, by jego koń ustawił się nie przodem, tylko z boku, co dawało mu lepszą pozycję do natarcia. Hernando obserwował towarzyszy hrabiego, którzy już się nie uśmiechali. Jeden z nich, ubrany w barwy fioletowe, pokręcił z niedowierzaniem głową. Mimo dogodnej sytuacji hrabia de Espiel chybił — ostrze lancy uderzyło w pysk, jeszcze zanim byk rzucił się na konia. Lanca wypadła hrabiemu z rąk, zmełł w ustach przekleństwo i rozglądał się, tracąc cenny czas, zamiast odsunąć konia z linii natarcia byka. Kiedy chciał to zrobić, było już za późno.

Ścisnął ostrogami boki wierzchowca, ale byk już go dopadał z nastawionymi rogami, zahaczając o podbrzusze zwierzęcia. Hrabia wyleciał z siodła i poturlał się po ziemi. Byk wierzgnął parę razy kopytami i uniósł łeb, trzymając przez chwilę konia w powietrzu, a potem rozpruł mu brzuch. Skóra rozdarła się z trzaskiem jak stara szmata. Śmiertelne rzenie wypełniło cały plac Corredera, przejmując dreszczem publiczność. Byk opuścił łeb, zrzucił cielsko konia na ziemię i zaczął się nad nim pastwić, szarpiąc i rozwlekając je z furią po placu. Pozostali jeźdźcy próbowali odciągnąć byka, zająć go czymś innym, ale bez rezultatu. W pewnym momencie podziurawione ciało wierzchowca znalazło się przy drewnianym ogrodzeniu, na którym stał Hernando. Opryskała go krew, kiedy byk znów podrzucił konia — jelita i wnętrzności fruwały w powietrzu.

Zanim Hernando ochłonął z zaskoczenia, hrabia de Espiel stanął przed bykiem i martwym koniem z obnażonym mieczem.

— *Toro!* — wrzasnął i unióśł do góry broń, trzymając ją w obu dłoniach.

Byk podniósł umazany krwią łeb, a wtedy hrabia wymierzył mu potężny cios w kark. Ostra stal tolekańska wbiła się do połowy w grubą szyję. Zwierzę zwało się obok konia.

Na arenie stał hrabia, grand Hiszpanii! Pierwsze słabe oklaski dostał od swoich, lecz gdy podniósł zakrwawioną broń na znak zwycięstwa, wszyscy zaczęli bić brawo.

— *Konia!* — zawołał hrabia de Espiel. Jeden z lokajów natychmiast wybiegł z areny, podczas gdy jego pan z dumą przyjmował owację tłumu.

Hernando wraz z innymi znowu musieli się usunąć, gdyż lokaj biegł na plac Paja po nowego wierzchowca.

— Co się dzieje? — zapytał Hernando służącego.

— Szlachcic nie może opuścić areny na własnych nogach. Musi mieć konia. Jeśli jeden zginie, przyprowadzają innego. Hrabiemu zdarzyło się to już parę razy — zdążył wyjaśnić sługa, kiedy lokaj był już z powrotem, ciągnąc za uzdę dużego kasztanka.

— *Konia!* — dobiegło z areny ponowne wołanie hrabiego.

Hernando i służący pomogli otworzyć wrota na oścież, ale gdy nowy rumak zwęszył krew i zobaczył martwego konia oraz byka w ogromnej kałuży juchy, stanął dęba, zaczął wyrywać się lokajowi i nie zamierzał dać się złapać. Im więcej osób próbowało go okiełznać, tym bardziej szalał, wydawał przeciągłe rżenia, przebiegał w powietrzu przednimi nogami tuż nad głowami służących i gwałtownie wierzgał. Dwóch mężczyzn otrzymało potężny cios kopytami w pierś i brzuch, inny przewrócił się od uderzenia łbem. Hrabia wciąż domagał się wrzaskiem konia, ale ciasnota przy bramie i wysiłki służących zmierzające do okiełznania rumaka rozdrażniały zwierzę jeszcze bardziej. Paru szlachciców, którzy już wcześniej wystąpili na arenie, zbliżyło się do wejścia na plac, ale nie przejawiali chęci niesienia pomocy. Jeden z nich uśmiechnął się pod nosem, słysząc wściekłe wrzaski hrabiego de Espiel.



Nagle ogier stanął dęba i zamachał nogami w powietrzu na wprost Hernanda. Chłopak odsunął się błyskawicznie, gdy zobaczył przekrwione, wybałuszone ślepie, ale młody sługa już nie zdążył i twarz zalała mu się krwią od ciosu kopyta. Ten koń rozniesie ich na strzępy! — pomyślał morysk. Kasztanek musnął kopytami ziemię, szykując się do nowego skoku, i w tym momencie Hernando rzucił się na niego, zasłaniając mu swoim ciałem ślepie. Jednocześnie ugryzł go mocno w jedno ucho, sięgnął ręką do drugiego i wykręcił je z całej siły. Rozległo się donośnie rzenie i buchnęły kłęby pary, która wdzierając się Hernandowi do ust, czuła ją nawet w żołądku. Przygniecione jego ciężarem zwierzę opuściło łeb, a wtedy wykręcił mu szyję i przygiął do ziemi.

Koń usiłował wstać, ale nie mógł poruszyć łbem ani szyją, Hernando przyciskał go do ziemi i wciąż gryzł w ucho. Miotanie trwało jeszcze przez chwilę, aż osłabło zupełnie.

— Zaczekajcie! — usłyszał władczy głos skierowany do sług hrabiego, którzy przyszli po konia.

Wypuścił z zębów końskie ucho, ale wciąż wykręcał drugie. Nie przychodziło mu do głowy nic innego jak szeptanie sur prosto do ucha zwierzęcia, żeby je uspokoić. Leżał tak dłuższą chwilę, nic nie widział i wciąż recytował sury, wsłuchując się w oddech konia, który powoli stawał się równiejszy.

— Przykryję mu teraz łeb derką. — Był to ten sam władczy głos, którym rozkazano sługom nie ruszać konia. Hernando dostrzegł jedynie srebrne ostrogi. — Wsunę ją pod ciebie, unieś się trochę, ale nie pozwól koniowi wstać.

Hernando usłuchał. Właściciel srebrnych ostróg manipulował derką, narzekając po cichu:

— Ten pyszałek nie zasługuje na takiego konia. — Hernando wciągnął brzuch. Poczul, że mężczyzna nasuwa derkę na łeb konia. — Głupiec! Też mi grand Hiszpanii! — cedził przez zęby, obciągając derkę z drugiej strony. — Pozwól mu teraz wstawać powoli — poinstruował. — Najpierw wygnie szyję, żeby podnieść głowę, a następnie wysunie nogi, żeby mieć się na czym oprzeć. —

Hernando dobrze o tym wiedział. — Wtedy zawiń mu derkę pod brodą, tak żeby nie mógł jej zrzucić. Potrafisz? Poradzisz sobie?

— Jasne.

— Teraz — zakomenderował mężczyzna.

Wymęczony ogier podnosił się wolniej, niż spodziewał się tego po nim Hernando, toteż nie było kłopotów z przymocowaniem derki pod brodą, jak przykazał mężczyzna noszący srebrne ostrogi. Po chwili koń stał spokojnie, z zasłoniętymi oczami. Hernando poklepał go po szyi i znowu coś szepnął. Sługa hrabiego chciał wziąć konia za uzdę, lecz czyjaś ręka go powstrzymała.

— Gamonie! — Hernando poszukał wzrokiem, skąd dobiega znajomy głos. Obok stał don Diego López de Haro, rajca kordobański, nadworny koniuszy Filipa II. — Potraficie tylko rozdrażnić to zwierzę. Taki dobry koń, a wy nie umiecie się z nim obchodzić... — Umilkł i pokręcił głową z niezadowoleniem. — Nadajecie się tylko do pilnowania osłów! Chłopcze, sam zaprowadź konia do hrabiego — don Diego wypowiedział ostatnie słowo przez zęby, jakby pluł, co nie uszło uwagi Hernanda.

Nie zorientował się jednak, iż królewski koniuszy obserwuje go uważnie spod na wpół przymkniętych powiek, gładząc się prawą ręką po policzku, jakby się zastanawiał, co pocznie ten morysk, gdy ogier znowu zwęszy krew na arenie. I miał co oglądać. Koń chciał się cofnąć, lecz Hernando szarpnął za uzdę i kopnął go mocno w brzuch. Ogier drżał, ale był posłuszny i dał się zaprowadzić na plac Corredera. Minęli akurat trupy pierwszego konia i byka, odprowadzani wzrokiem przez zadowolonego don Diega, kiedy hrabia de Espiel wrzasnął, nie ruszając się ze swego miejsca:

— Jak śmiałeś kopnąć mojego konia. Wart jest więcej od ciebie!

Dwaj lokaje towarzyszący szlachcicowi na placu podbiegli do Hernanda. Jeden wyrwał mu uzdę, drugi usiłował chwycić za ramię.

— Zatrzymać go! — rozkazał hrabia de Espiel.

Widownia znużona długim oczekiwaniem wybuchła wrzaskiem. Nareszcie coś się działo. Koń podjudzony przez Hernanda wykonał

zwrot, uderzając zadem w lokajów, a morysk rzucił się do ucieczki. Przeskoczył przez martwego byka i pobiegł w kierunku placu Paja. Don Diego dał znak swoim lokajom, z którymi komentował zachowanie Hernanda na placu. Natychmiast pobiegli za chłopcem. Stróż pilnujący porządku na placu rzucił się zatrzymać człowieka gonionego przez dwóch lokajów. Słudzy hrabiego de Espiel też pobiegli w tę stronę.

— Co on wy...? — nie dokończył stróż.

— Proszę go puścić! — rozkazał jeden z lokajów, wyrывая zbiega z rąk stróża.

— Ich zatrzymajcie! — dodał drugi, pokazując na służących hrabiego. — Chcą go zabić!

Takie oskarżenie wystarczyło, aby kilku strażników przecięło drogę ludziom hrabiego, a tymczasem Hernando i lokaje don Diega zniknęli za rogiem ulicy.

Hrabia de Espiel paradował dumnie na koniu wzdłuż areny, oklaskiwany przez tłum.

— Zabierzcie stąd te trupy — rozkazał don Diego służącym, którzy zbili się w kupkę u wejścia i też klaskali. Chodziło mu o martwego byka i konia. — W przeciwnym razie — dodał ironicznie, zwracając się do dwójki kawalerów stojących obok niego — ten głupek nie zdoła zejść z areny i wszyscy zostaniemy tu na noc.

# 31

Kilka dni przed niedzielną walką byków Fatima i Dżalil, zwany przez chrześcijan Benitem, który razem z Hamidem kierował gminą kordobańskich morysków, udali się do więzienia z jedzeniem uzbieranym wśród współbraci, jak to już było w zwyczaju. Po drodze rozmawiali o Hernandzie i jego pracy na rzecz wspólnoty.

— Dobry z niego człowiek — rzekł w pewnym momencie Dżalil. — Jest młody, zdrowy i silny. Powinien się ożenić i mieć dzieci.

Fatima nic nie odrzekła, tylko spuściła oczy i zwolniła kroku.

— Wiem, jak rozwiązać wasz problem — oświadczył Dżalil, dając do zrozumienia, że orientuje się w sytuacji.

Dziewczyna przystanęła, spoglądając pytająco na starca.

— Co chcesz powiedzieć?

— Aisza już urodziła? — spytał, zachęcając ją do kontynuowania drogi. Okrążyli meczet i dochodzili do Bramy Przebaczenia, gdzie zaczynała się ulica Cárcel. Starzec rzucał ukradkowe spojrzania na symbol muzułmańskiego panowania na Zachodzie. Fatima usiłowała dorównać mu kroku.

— Tak — odrzekła — urodziła ślicznego syna. — Jej głos rozbrzmiewał melancholią. Kordoba zabrała jej Humama, Kordoba dała Aiszy nowego syna.

Dżalil zdawał się to rozumieć.

— Jesteś jeszcze młoda i silna, choć wyglądasz mizernie. Widziałem cię przy pracy. Zaufaj Bogu — Dżalil umilkł i dopiero gdy weszli w ulicę Cárcel, odezwał się ponownie: — Czy Brahim był biedny, kiedy braliście ślub?

— Nie. Był adiutantem Ibn Abbu, króla Al-Andalus. Miał wszystko, czego zapragnął. Wiózł mnie ulicami Laujar na najpiękniejszej białej mulicy.

Przerwała na widok dwóch ubranych na czarno kobiet ze służbą i małymi paziami, którzy trzymali lekko w górze rąbek ich sukien, aby się nie pobrudziły. W wąskiej ulicy nie mogło mijać się równocześnie kilka osób, więc dwoje morysków przezornie usunęło się na bok. Kobiety nie zwracały na nich żadnej uwagi, za to Fatima i Dżalil wpatrywali się w małych paziów. Prawdopodobnie były to dzieci morysków wydarte rodzicom rzekomo w celu ewangelizacji. Starzec westchnął i oboje dłuższą chwilę milczeli, odprowadzając wzrokiem kobiety ze świtą.

— Nie było piękniejszej mulicy w całej Alpuharze — szepnęła Fatima, kiedy mały orszak skręcił w stronę katedry.

Dżalil przytaknął, słuchając jej z wielką uwagą, jakby mówiła coś niezwykłego. Kilka kroków przed wejściem do więzienia, gdzie tłoczyły się rodziny uwięzionych, zatrzymał się i zadał kolejne pytanie:

— Na co idą pieniądze, które zarabia twój mąż... To znaczy, kto cię utrzymuje?

— Nie wiem — odparła. — Wszyscy po trochu. Brahim i Hernando oddają swoje zarobki Aiszy. To ona zarządza pieniędzmi...

— Pieniędźmi Hernanda również? — przerwał jej Dżalil.

— Oczywiście! Bez niego nie dalibyśmy rady. Dlatego Brahim jest niezadowolony i ciągle narzeka.

— Domyślam się, że teraz jest wam jeszcze trudniej, odkąd przybyło nowe dziecko.

— Brahim ma synka i tylko to go interesuje! Zaczął się znów uśmiechać! — Fatima zastanowiła się, czy kiedykolwiek widziała normalny, szczerzy uśmiech na twarzy Brahima zamiast cynicznego grymasu, który zwykle przybierał. Doszła do wniosku, że ni-

gdy. — Jak nie widzi dziecka — dodała — to wciąż narzeka na nędzne zarobki i ciężką pracę w polu.

Działil znów przytaknął.

— Mąż ma obowiązek utrzymania żony — wyjaśnił wreszcie. — Zapewnić jej jedzenie i picie, ubranie i obuwie... — Spojrzał na stopy Fatimy w dziurawych skórzanych sabotach ze zniszczoną podeszwą z korka. — Powinien jej też zapewnić odpowiednie mieszkanie. Jeśli tego nie robi, żona może domagać się, aby od niej odstąpił. — Dziewczyna przymknęła oczy i wbiła paznokcie w twarde chleb, który nieśli dla więźniów. — Nasze prawo mówi, że tylko kobieta, która wyszła za męża za biedaka i wiedziała, że jest biedny, nie może zażądać rozwodu z powodu tego, że mąż nie zapewnia jej utrzymania.

— Co trzeba zrobić, żeby wystąpić o rozwód? — zapytała dziewczyna z nową nadzieją w głosie.

— Takimi sprawami zajmuje się *alcall*. Powinnaś się do niego udać. Jeśli uzna twoje racje, wyznaczy Brahimowi czas na poprawienie waszej sytuacji; może zadysponować od ośmiu dni do dwóch miesięcy. Jeśli nastąpi poprawa, zostaniesz przy Brahimie, natomiast jeśli po upływie iddy, którą określi *alcall*, mąż w dalszym ciągu nie będzie w stanie zapewnić ci należytego utrzymania, traci do ciebie wszelkie prawo i możesz zawrzeć ślub z innym mężczyzną.

— A kto pełni tę funkcję?

Starzec się zawahał.

— Nie mamy kogoś takiego. Myślę, że taką funkcję mogą pełnić ja, Hamid albo Karim — dodał, wymieniając trzeciego członka rady starców.

— Jeśli go nie mamy, Brahim może się nie zgodzić na takie rozwiązanie...

— Nie ma innego wyjścia — rzekł kategorycznie Działil. — Skoro ma dwie żony zgodnie z naszym prawem, to musi wypełniać swoje obowiązki wobec każdej z nich, a nie tylko czerpać z tego korzyści. Wspólnota opowie się za tobą, bo takie są nasze zwyczaje i nasze prawa. Brahim nie może sprzeciwić się ani nam, ani chrześcijanom. Czy nie jesteś oficjalnie poślubiona Hernandowi?

Fatima się zamyśliła. Co będzie z Aiszą, jeśli ona wystąpi o rozwód? W milczeniu podeszła z Dżalilem pod bramę więzienną. Hernando wszystko odpowiednio przygotował i jeden ze strażników od razu wziął od nich jedzenie dla więźniów morysków. Tak było lepiej: nie musieli pchać się do środka razem z innymi, żeby nie budzić animozji wśród reszty więźniów. Fatima podała suchy chleb, kilka cebul, kawałek sera i ruszyli z powrotem. Brahim jest teraz zadowolony, że ma syna, rozmyślała, ale jak długo to mu wystarczy...? A jeśli... jeśli zapragnie mieć więcej dzieci? Właśnie z nią! Może ją wziąć przymusem! Ma prawo. Nikt mu nie zabroni...

— Rozwiodeę się — oświadczyła Dżalilowi bez dalszego namysłu.

Starzec kiwnął potakująco głową. Znowu byli przed Bramą Przebaczenia kordobańskiego meczetu.

— Właśnie tutaj — oznajmił, zatrzymując się i pokazując na świątynię — powinnaś powiedzieć sędziemu, że chcesz rozwodu. Zadam ci więc pytanie, Fatimo z Terque — zwrócił się do niej oficjalnym tonem. — Dlaczego chcesz się rozwieść?

— Dlatego że mój mąż, Brahim z Juviles, nie jest w stanie mnie utrzymać tak jak należy.



Hernando zakończył rozmowę z lokajami don Diega Lópeza de Haro na placu Potro i przekonawszy się, że słudzy hrabiego de Espiel zostawili go wreszcie w spokoju, postanowił odszukać Hamida. W niedzielę zamtuz był zamknięty, więc fakih mógł bez przeszkód spacerować po ulicy Potro. Cała chrześcijańska Kordoba włącznie z zarządcą burdelu, a także większość morysków znalazła się na placu, żeby oglądać walkę byków.

— Zaproponowali mi pracę w stajniach królewskich — zakomunikował Hamidowi zaraz po przywitaniu. — Mają tam około setki koni dla króla. Potrzebują ludzi, którzy znają się na hodowli i ujeżdżaniu. — Opowiedział o zdarzeniu z wierzchowcem hrabiego. — Pewnie dlatego don Diego zwrócił na mnie uwagę.

— Coś słyszałem o tych stajniach — przypomniał sobie fa-

kih. — Jakieś sześć albo siedem lat temu król Filip nakazał wyhodować nową rasę koni. Chrześcijanie nie chcą już ciężkich, nieokiełzanych koni wojennych. Dla Hiszpanii nastał czas pokoju. Wojnę prowadzi się teraz gdzieś daleko, ale nie tu, a ponieważ ojciec obecnego króla, cesarz Karol, przejął zwyczaje dworu burgundzkiego, szlachta potrzebuje koni do zabawy, na przejażdżki, pokazy, turnieje i walkę byków. Z tego co wiem, próbuje się stworzyć nową, idealną rasę na użytek dworu. Król wybrał do tego celu Kordobę. Obok alkazaru, gdzie mieści się siedziba inkwizycji, powstają wspaniałe stajnie. Przy budowie pracuje grupa majstrów morysków. Moje gratulacje — zakończył fakih.

— Sam nie wiem, jak postąpić — przyznał Hernando z niepewną miną. — Teraz jest mi dobrze. Mogę robić, co chcę i swobodnie poruszać się po całym mieście. Tyle że mało zarabiam... — Pomyślał o ofercie złożonej przez lokajów don Diega: dwadzieścia reali miesięcznie i mieszkanie. — Gdybym przyjął tę pracę, nie miałbym czasu dla morysków, którzy pragną osiedlić się w tym mieście...

— Przyjmij, synu — poradził Hamid. Hernando miał swoje wątpliwości, ale fakih rozwiął je natychmiast: — Dla nas jest bardzo ważne zajmowanie odpowiedzialnych, dobrze płatnych stanowisk. Znajdzie się ktoś, kto zastąpi cię w tym, co teraz robisz. A ty możesz być jeszcze bardziej przydatny wspólnocie. Musimy się zorganizować. Powoli nam się to udaje. W miarę jak nasi bracia przechodzą od pracy na roli do handlu i rzemiosła, mamy więcej pieniędzy na naszą sprawę. Są o wiele lepszymi pracownikami niż ci leniwi chrześcijanie. Wykorzystaj tę szansę. Pracuj ze wszystkich sił i postaraj się wrócić do tego, co robiliśmy w Alpuharze: czytaj, pisz. W całej Hiszpanii mamy ludzi, którzy tym się zajmują. My... ty i ja kiedyś umrzemy, ale ktoś będzie kontynuował nasze dzieło. Nie możemy pozwolić, aby nasze zwyczaje i wierzenia zaginęły! — Na środku opustoszałej o tej porze ulicy Potro Hamid objął Hernanda ramieniem, nie zastanawiając się, że ktoś ich może zobaczyć. Ten dotyk i żar wypowiedzianych słów przeszyły chłopca dreszczem. — Nie możemy pozwolić, żeby nasze dzieci nie znały wiary ojców, bo wtedy przegramy ostatecznie! — Hamidowi załamał się głos.



Hernando spojrzał mu w oczy: były wilgotne. — Nie ma innego Boga prócz Allaha, a Mahomet jest Jego posłańcem — Hamid zaintonował modlitwę, jakby to była pieśń zwycięstwa.

Po policzku fakiha spływała łza!

— Każdy człowiek powinien wiedzieć — przyłączył się Hernando, recytując wyznanie wiary morysków — iż Bóg jest jeden jedyny w swoim królestwie. Stworzył wszystkie rzeczy na świecie, to co istnieje na górze i na dole, tron i podnózek tronu, niebios a i ziemię...

Uściskali się, gdy skończył.

— Synu mój — wyszeptał Hamid z twarzą wtuloną w ramię chłopaka.

Hernando ścisnął go mocniej.

— Jest pewien problem — dodał po chwili. — Zaproponowano mi mieszkanie. A Fatima... Chrześcijanie widzą w niej moją żonę, tak zostało to zapisane w ich księgach, więc powinna zamieszkać ze mną, a przecież to niemożliwe. Nie wiem, czy zgodzą się, żebym zrezygnował z tego mieszkania i pozostał w starym.

— Może nie będziesz musiał rezygnować. — Hamid oderwał się od niego. — Kilka dni temu Fatima zgłosiła, że chce się rozwieść z Brahimem.

— Nic o tym nie wiem!

— Rada wspólnoty ustaliła, że na razie pozostanie to tajemnicą. Poprosiliśmy Fatimę, aby nic nikomu nie mówiła do czasu rozpoczęcia sądu. Najpierw powinien dowiedzieć się Brahim.

— Tak więc... Czy to możliwe? Dostanie rozwód? — wyjąkał Hernando.

— Jeśli to, co mówi, jest prawdą, a z pewnością jest, to dostanie. Właśnie dziś, kiedy wszyscy poszli oglądać walkę byków, odbyło się zebranie rady i postanowiliśmy powołać sąd. Jeśli wyrok zapadnie na korzyść Fatimy i Brahim w ciągu dwóch miesięcy nie znajdzie środków na jej utrzymanie, będzie wolna.

Wieczorem trójka starszych gminy udała się na ulicę Mucho Trigo do domu Brahima. Fakihi poprosił Hernando, żeby wyszedł wcześniej i poszukał sobie na tę noc innego miejsca do spania, co nie było takie trudne.

Fatima wiedziała, że tej niedzieli starszyzna będzie debatować nad jej prośbą o rozwód. Powiedział jej o tym Dżalil.

Po południu, kiedy Brahim i reszta lokatorów wybrali się na korridę, Fatima została sama z Aiszą i jej synkiem. Ochrzcili go imieniem Gaspar, bo tak miał na imię jeden z chrzestnych. Do chrztu trzymali go starzy chrześcijanie wybrani przez proboszcza parafii świętego Mikołaja, który osobiście pilnował, by dzieci morysków zostały ochrzczone jak należy. Nie mając specjalnej predylekcji do chrześcijańskich imion, Aisza i Brahim przystali na propozycję księdza: dziecko otrzyma na imię Gaspar.

Proboszcz wziął za chrzest trzy maravedí, zakrystian dostał ciasto, a chrzestni kilka jajek w prezencie. Zapłacili również za białą lnianą chustkę do przykrycia maleństwa, która potem została w kościele. Brahim musiał się zapożyczyć, żeby pokryć te wszystkie wydatki. Przed chrztem ksiądz sprawdził, czy Gaspar nie jest obrzezany, wcześniej zrobiła to samo chrześcijańska akuszerka asystująca przy porodzie, ale żadne z nich nie wiedziało, że po przyjściu do domu Aisza parę razy przetarła synkowi główkę ciepłą wodą, aby zmyć oleje święte. Dla rodziców był już wtedy Szamirem. Nadali mu to imię kilka dni wcześniej podczas nocnej uroczystości, kiedy wykąпали niemowlę, zawinęli w czyste pieluszki, położyli na jego szyi łańcuszek ze złotą ręką Fatimy i zwróceniu w stronę Mekki szeptali mu do ucha modlitwy.

W to niedzielne marcowe popołudnie obie kobiety siedziały na podwórku przed domem.

— Co ci jest? — spytała Aisza, przerywając wreszcie milczenie.

Fatima trzymała na ręku Szamira, śpiewała mu kołysankę, głaskała po główce i wpatrywała się w niego jak zaczarowana. Aisza pomyślała najpierw, że to z tęsknoty za Humamem, więc uszanowała jej milczenie i ból, ale stopniowo dochodziła do wniosku, że musi być jeszcze coś innego, ponieważ dziewczyna wyraźnie unikała jej spojrzenia.

Fatima nie odpowiedziała. Zagryzła tylko wargi, aby opanować lekkie drżenie, co nie uszło uwagi Aiszy.

— Mów, nie każ się prosić.

— Zażądałam rozwodu z Brahimem — wyznała dziewczyna.

Aisza westchnęła głęboko.

Po raz pierwszy, odkąd wzięła w ramiona Szamira, Fatima odważyła się spojrzeć na przyjaciółkę. Zobaczyła w jej oczach łzy. Sama też się rozpląkała i przez chwilę słysząc było tylko szlochanie dwóch kobiet.

— Nareszcie... — Aisza z trudem powstrzymywała łzy — nareszcie mu uciekniecie. Już dawno powinniście to zrobić, zaraz po śmierci Ibn Umajja.

— Ale co wtedy...?

— Będziesz szczęśliwa.

— Nie to...

— Wiem, co chcesz powiedzieć, moja droga. Nie martw się.

— Ale...

Aisza wyciągnęła rękę i delikatnie położyła palce na ustach dziewczyny.

— Cieszę się, Fatimo. Cieszę się za was dwoje. Bóg poddał mnie próbie i po wielu nieszczęściach nagroził Szamirem. Ty też dużo wycierpiałas, więc należy ci się trochę szczęścia w życiu. Taka jest wola boża, nie trzeba w to wątpić. Korzystaj z darów, jakie Bóg ci zsyła.

Fatima obawiała się jednak reakcji Brahimá, znała jego gwałtowny charakter i z przerażeniem myślała o tym, co nastąpi.

Brahim kłął na czym świat stoi, kiedy Dżalil w obecności Hamida i Karima przekazał mu, że jego druga żona chce rozwodu. Fatima i Aisza pocieszały się nawzajem, kryjąc się w kącie mieszkania. Nagle Brahimowi przyszło na myśl, że ci ludzie nie mają kompetencji do sądenia.

— Za kogo wy się macie, aby decydować o losie mojej żony?! — ryknął.

— Jesteśmy starszymi gminy — odparł Dżalil.

— Kto tak twierdzi?

— Jeśli sam tego nie wiesz — wtrącił Karim, dla chrześcijan Mateo, odwracając się w stronę drzwi — możesz ich o to zapytać.

W progu stało trzech młodych, silnych morysków. Brahimowi wystarczył jeden rzut oka, by zrezygnować z próby sił.

— Nie mów tak, Brahimie — próbował ułagodzić go Hamid. — Dobrze wiesz, kim jesteśmy. Nikt nas nie wybrał na przywódców, ale przecież nie mianowaliśmy się sami, nie prosiliśmy się o to. Czcij mędrców. Słuchaj starszych. Takie są przykazania.

— Czego chcecie?

— Twoja druga żona — wyjaśnił — poskarżyła się nam, że nie możesz zapewnić jej utrzymania...

— A kto może to zrobić w tym mieście?! — Brahim przerwał mu z krzykiem. — Gdybym miał swoje muły... Okradają nas tu! Płacą nędzne grosze...

— Brahimie — znów odezwał się Hamid łagodnie — nie mów, jeśli nie wiesz, jakie mogą być skutki twych słów. Fatima zwróciła się do nas z prośbą, żeby odbył się sąd, i właśnie to robimy. Dlatego tu jesteśmy, żeby dać ci szansę na przedstawienie twoich racji, wysłuchać świadków, których zechcesz zgłosić, i wydać orzeczenie zgodne z naszymi prawami.

— Ty? Dobrze wiem, po czyjej jesteś stronie. Już raz słyszałem twoje orzeczenie, pamiętasz? W kościele w Juviles. Ty zawsze broniłeś nazarejczyka!

— Żaden sędzia nie wyda wyroku, jeśli nie pozna okoliczności, które doprowadziły do procesu. Możesz być o to spokojny.

— Brahimie z Juviles — odezwał się Dżalil zdecydowany położyć kres słownym utarczkom osobistym — twoja druga żona, Fatima, poskarżyła się, że jej nie utrzymujesz. Co masz do powiedzenia na ten temat?

— Tobie mam to mówić?! — wrzasnął Brahim. — Staremu fajtlapie z granadyjskiego Albaicín? Ty i twoi ziomkowie jesteście tchórzami, bo nie przyłączyliście się do powstania. Zdradziliście waszych braci z Alpuhary...

— Pytałem o twoją żonę — przypomniał Dżalil.

— Masz żonę, starcze? Możesz ją utrzymać? Czy ktoś może utrzymać swoją żonę w tym mieście?

— Chcesz powiedzieć, że nie możesz? — zapytał Karim.

— Chcę powiedzieć — Brahim mówił powoli, przeciągając słowa — że nikt nie jest w stanie tego zrobić w Kordobie.

— To wszystko, co masz do powiedzenia na ten temat —  
upewnił się Dżalil.

— Tak. Dobrze wiecie, jak to jest z nami, jak nas tu traktują.  
Po co to całe przedstawienie?

Dżalil i Karim naradzali się po cichu. W kącie Aisza poszukała  
ręki Fatimy i mocno ją ścisnęła.

— Brahimie z Juviles — rozpoczął Dżalil, przedstawiając  
decyzję sądu — znamy cierpienia naszych ludzi. Żyjemy w nędzy  
tak samo jak ty i zdajemy sobie sprawę, jak trudno utrzymać  
rodzinę, ubrać i nakarmić dzieci. Nie dlatego zgodziliśmy się  
rozpatrzyć prośbę twojej żony. Masz rację, ja też nie potrafię  
zapewnić żonie takich warunków życia jak w Grenadzie. Ale  
żaden z wierzących nie ma w Kordobie dwóch żon tak jak ty.  
Skoro, jak twierdzisz, nikt nie jest w stanie utrzymać w tym  
mieście jednej żony, to jak to możliwe z dwiema? Dajemy ci dwa  
miesiące, abyś udowodnił radzie wspólnoty, że potrafisz utrzymać  
należycie swoje dwie żony. Traktuj to jako iddę. Po tym okresie,  
jeśli ci się nie uda, a Fatima będzie nalegać, otrzyma rozwód.

Brahim nawet nie drgnął, słuchając tych słów, lecz jego pół-  
przymknięte oczy rzucały błyskawice gniewu. Wtedy odezwał się  
Karim. Hamid poprosił o to wcześniej obu starców. „Znam go  
dobrze — powiedział o Brahimie — prędzej zabije Fatimę, niż  
zgodzi się ją oddać”.

— Znając twoją sytuację... małe dziecko i niskie zarobki... nie  
żądamy, abyś w czasie iddy utrzymywał drugą żonę, jak każe  
prawo. Uwalniamy cię od tego obowiązku ze względu na dziecko.  
Fatima przechodzi na dwa miesiące pod naszą opiekę.

— Ty psie! — syknął ze złością Brahim, zwracając się do  
Hamida.

Trzech młodych morysków natychmiast stanęło między nimi.

— Chodź z nami, Fatimo — ponaglił ją Dżalil.

Aisza wypuściła z uścisku rękę Fatimy. Jej palce były wilgotne  
od potu. Dziewczyna przytrzymała jeszcze przez chwilę dłoń  
przyjaciółki, żeby się pożegnać, i podążyła za starcami.

## 32

O świcie Hernando przybył do stajni królewskiej wybudowanej obok alkazaru królów chrześcijańskich, siedziby kordobańskiej inkwizycji. Omijał dotąd część miasta podobnie jak inni moryskowie. Nosiła imię świętego Bartłomieja i znajdowała się w granicach wytyczonych przez pałac biskupi z jednej strony, a Gwadalkiwir z drugiej — przez mur opasujący miasto od zachodu. Nie dość że mieściła się tu inkwizycja i należące do niej więzienia, a także pałac biskupi nieustannie odwiedzany przez księży oraz zauszników inkwizycji, to jeszcze na dodatek nie mieszkał w tej dzielnicy żaden wolny morysk. Włączono ją w obszar geograficzny miasta już po rekonkwiescie, a że z rozkazu króla umieszczono tu głównie żołnierzy, ludzi silnych i odważnych, powołanych do obrony miejskich murów, mieszkańcy San Bartolomé poczuli się uprzywilejowani, zadzierali nosa wobec innych, uznawali endogamię i byli w konflikcie z innymi dzielnicami. Niewielu morysków odważyło się przebywać między inkwizytorami, księżmi i kłótliwymi, dumnymi Hiszpanami.

Tę noc Hernando spędził u greplarza, któremu wyszukał niedawno żonę. Czekali na niego z kolacją i w nostalgicznym nastroju spożyli smażoną na oleju baraninę przyprawioną solą, pieprzem i suszoną kolendrą: przypominała im ukochaną Grenadę.

Pod koniec dołączył do nich mieszkający na tej samej ulicy Karim, zostawiwszy Fatimę pod opieką swej żony. Brahimowi przyznano dwa miesiące iddy i w tym okresie Hernando nie mógł się z nią widywać.

Dwa miesiące szybko miną, powtarzał sobie Hernando w drodze do stajni. Byłby w pełni szczęśliwy... gdyby nie troska o matkę. Żegnając się z Karimem już na ulicy, zapytał o Aiszę, a starzec odpowiedział, że matka dzielnie znosi tę sytuację i żeby się nie martwić: cała wspólnota jest po ich stronie.

— Powodzenia, chłopcze — życzył mu Karim. — Wiem od Hamida o don Diegu i koniach. Potrzebujemy takich ludzi jak ty. Pracuj! Ucz się! A my zajmiemy się resztą.

Karim zniknął w ciemnościach chłodnej marcowej nocy ze słowami „liczymy na ciebie”; wyrwały one na chwilę Hernanda z marzeń o Fatimie, którym nareszcie mógł oddawać się bez reszty. Liczymy na ciebie! Kiedy słyszał to od Hamida, czuł się jak mały chłopczyk z Juviles, ale w ustach nieznanego starca z Albaicín zabrzmiały jakoś tak... Liczą na niego! W jakim sensie? Co jeszcze powinien zrobić?

Przeciął Campo Real, jak zwykle pełne śmieci. Mimo woli spojrzął na lewo, gdzie wznosił się majestatyczny alkazar. Inkwizycja! Dreszcz przeszedł mu po plecach, kiedy patrzył na cztery wieże, każda inna, w rogach masywnej fortecy z blankami. Fasada stajni królewskich zaczynała się w tym samym miejscu, gdzie kończył się alkazar. Hernando poczuł zapach koni, usłyszał krzyki stajennych i rzenie zwierząt. Zatrzymał się w szerokiej bramie prowadzącej na teren stajni, koło muru fortecy z wieżą Belén.

Brama była otwarta, stajnie również. Znajomy zapach uderzył go w nozdrza jeszcze mocniej niż przed chwilą. Nikt nie pilnował wejścia, toteż po krótkim oczekiwaniu Hernando sam przeszedł przez bramę. Po swojej lewej stronie miał teraz długie, zadaszone pomieszczenie z obszernym korytarzem pośrodku. Po obu stronach między kolumnami znajdowały się stanowiska dla koni. Kolumny podpierały długi szereg sferycznych sklepień z żagielkami, które

zachęcały do wejścia głębiej; za jednym łukiem był następny i tak zdawałoby się bez końca...

Chłopcy stajenni pracowali przy koniach przywiązanych do metalowych kółek w ścianie.

Zatrzymawszy się w korytarzu tuż przy wejściu do nawy, Hernando zobaczył, że dwa pierwsze konie po jego prawej stronie gryzą się w szyję, więc cmoknął językiem, by je powstrzymać.

— One zawsze tak robią — powiedział ktoś za jego plecami. Hernando odwrócił się w momencie, gdy mężczyzna, który do niego zagadnął, wydawał głośne klaskania językiem, próbując go naśladować. — Kogo szukasz? — zapytał.

Był w średnim wieku — wysoki, chudy, dobrze ubrany brunet w skórzanych butach z cholewkami powyżej kolan, związanymi na rzemyki wzdłuż łydki; w pludrach i białej, dopasowanej tunice, bez żadnych ozdób. Mężczyzna obejrzał go od góry do dołu i uśmiechnął się. Uśmiechnął się do niego! Kiedy ostatnio przywitano go tak w Kordobie? Hernando odwzajemnił uśmiech.

— Tak — powiedział — szukam lokaja don Diega... nie pamiętam dalej...

— Don Diego López de Haro — pomógł mu mężczyzna. — A ty kim jesteś?

— Nazywam się Hernando.

— Hernando to imię, a nazwisko?

— Ruiz. Hernando Ruiz.

— W porządku, Hernando Ruizie. Don Diego ma wielu lokajów. Którego szukasz?

Morysk wzruszył ramionami.

— Wczoraj, podczas walki byków...

— Już wiem! — przerwał mu mężczyzna. — To ty wprowadziłeś na arenę ogiera hrabiego de Espiel, prawda? Wydawało mi się, że skądś cię znam — dodał, kiedy Hernando kiwnął potakująco głową. — Dobrze, że cię nie złapali, ale niepotrzebnie pomagałeś hrabiemu. Zasłużył sobie na to, by zejść z placu na własnych nogach. Przydałoby mu się takie upokorzenie. To jego wina, że byk zabił konia. Dobrego konia — powtórzył ciszej. — Król



powinien mu zabronić jazdy konnej na arenie... a tym bardziej na oczach dam. Ale trudno... Wiem, kogo szukasz. Zaprowadzę cię do niego.

Opuścili pomieszczenie z boksami i znaleźli się na olbrzymim dziedzińcu. Trzech jeźdźców tresowało konie; dwóch siedziało na wspaniałych rumakach, a trzeci, w którym Hernando rozpoznał lokaja don Diega, prowadził młodego konia na lonży przywiązanej powyżej wędzidła i uzdy: dwulatek zataczał koła, luźno spuszczone strzemiona obijały mu się o żebra, pobudzając go dodatkowo.

— To ten, prawda? Nazywa się José Velasco. A ja jestem Rodrigo García — przedstawił się mężczyzna prowadzący Hernanda.

Chłopak zawahał się, czy ma uścisnąć wyciągniętą do niego dłoń Rodriga. Nie był przyzwyczajony do tego, że chrześcijanin podaje mu rękę.

— Jestem... Jestem moryskiem — oznajmił na wszelki wypadek, obawiając się, że ten człowiek bierze go za kogo innego.

— Wiem — odparł Rodrigo. — José opowiadał mi o tobie dziś rano. Tu wszyscy jesteście koniarzami, dzielimy się na ujeżdźaczy, treserów, giermków, kowali, stajennych i tak dalej. Konie są naszą religią. Ale nie powtarzaj tego księdzu albo inkwizytorowi.

Mówiąc te słowa, Rodrigo uścisnął szczerze dłoń moryska.

Jakiś czas potem, kiedy źrebak dobrze się spocił, José Velasco kazał mu się zatrzymać, przywiązał sznur do wędzidła i doprowadził zwierzę do ławki, wspiął się na nią i z tej wysokości dosiadł młodego konia, którego pomocnik przytrzymywał z wielką ostrożnością. Dwaj pozostali jeźdźcy przerwali swoje ćwiczenia. Źrebak stał nieruchomo, wyczekująco, cały spięty pod ciężarem Velasca, uszy miał oklapnięte.

— To jego pierwszy raz — szepnął Rodrigo, jakby głośne mówienie mogło przynieść pecha.

José Velasco umieścił długą różgę nad głową źrebaka, w rękę trzymał uździenicę i cugle, których nie ściągał, żeby nie drażnić zwierzaka gryzącego wędzidło, napiął natomiast uździenicę przy

kółku pod dolną wargą. Zaczekał chwilę na reakcję, a że nie nastąpiła — koń był w dalszym ciągu nieruchomy i spięty — musiał go lekko sprowokować. Najpierw wydał odgłos językiem — znowu nic — potem ścisnął go obcasami butów jeździeckich. Żrebak wyskoczył jak z procy, robiąc kurbety. Velasco przetrzymał ten zryw, zresztą koń sam się zatrzymał.

— Gotowe! — odetchnął z ulgą Rodrigo. — Ma dobre maniere.

W rzeczy samej. Następnym razem żrebak ruszył spięty, ale bez podskoków. Velasco kierował nim uździenicą, a w ostateczności pokazywał mu różgę z jednej strony, jeśli chciał, żeby skreślił w przeciwną. Przez cały czas mówił do niego i poklepywał go po szyi.



Setka koni trzymany w stajniach królewskich Kordoby składała się z idealnych egzemplarzy wybranych spośród około sześciuset klaczy rozplodowych ze stada króla Filipa II, które pasły się na polach wokół Kordoby. Tak jak powiedział Hamid, w 1567 roku król rozkazał stworzyć nową rasę koni. Planował zgromadzenie w jednym miejscu tysiąc dwieście klaczy z całego terytorium, a że nie udało się tyle znaleźć, zdecydowano poprzestać na połowie. Król przeznaczył na ten cel wpływy z żup solnych. Projekt obejmował również budowę stajni królewskich w Kordobie i dzierżawę lub zakup pastwisk dla klaczy. Dyrektorem całego przedsięwzięcia, gubernatorem rasy, został mianowany nadworny koniuszy, rajca Kordoby don Diego López de Haro z domu Priego.

Idealny typ konia powinien mieć małą głowę lekko zaokrągloną po bokach, z płaskim czołem, ciemne, żwawe oczy o zuchwałym spojrzeniu, szybkie, ruchliwe uszy, szerokie chrapy, giętką szyję grubą u nasady, łagodnie falującą na karku z odrobiną tłuszczu w miejscach, gdzie rodzi się grzywa gęsta i obfita podobnie jak ogon, postawa nóg stateczna, grzbiet krótki z wyraźnym kłębem, zad szeroki i okrągły.

Najważniejszą zaś cechą hiszpańskiego konia miał być wdzięk w sposobie poruszania się. Lekki, elegancki chód, jakby kopyta

wolały nie dotykać gorącej andaluzyjskiej ziemi, a jeśli już, to na moment, potem tańczą w powietrzu do granic możliwości, przednie nogi wirują w kłusie i w galopie, jakby długość przebytej drogi nie miała żadnego znaczenia. Koń dumny, popisujący się swą urodą.

Przez sześć lat don Diego López de Haro jako gubernator rasy badał pod kątem tych cech źrebięta urodzone na kordobańskich pastwiskach i krzyżował je między sobą, aby otrzymać jeszcze doskonalsze potomstwo. Egzemplarze bez pożądanых cech sprzedawano od razu jako odpadki, toteż w kordobańskich stajniach znajdowały się najdoskonalsze i najczystsze okazy rasy nazwanej z woli króla hiszpańską.

José Velasco zlecił Hernandowi prace porządkowe przy żłobach dla źrebaków w marcu, kiedy zaczynała się wiosna i czas pokrywania klaczy. Nadworny koniuszy wybierał najlepsze spośród jednorocznych źrebiąt na pastwiskach i prznosił je do stajni na miejsce koni już po tresurze, które wysyłano do Madrytu, do stajni królewskich w Escorialu dla króla Filipa. Żaden koń rasy hiszpańskiej, uznany przez don Diega za idealny okaz, nie szedł na sprzedaż, wszystkie były dla króla do jego stajni lub na prezenty dla innych monarchów, możnych i hierarchów Kościoła.

Źrebaki przybywały z pastwisk w stanie surowym. Dwulatki przyuczano już do siodła i do jeźdźca. To nie takie proste i dużo jest do zrobienia, dowiedział się Hernando od swoich nowych znajomych w pierwszych dniach pracy, kiedy wszyscy czekali na tegoroczną partię źrebiąt. Najpierw trzeba je przyzwyczaić do kontaktu z człowiekiem, żeby pozwoliły się dotknąć, wyczyścić i zbadać. Muszą nauczyć się życia w stajni na uwięzi, pośród innych koni, jedzenia w żłobie, picia z koryta, chodzenia na lonży, w uprzęży i z wędzidłem, dźwigania siodła, a w końcu jeźdźca. Wcześniej nie znały takiego życia, wychowały się na wolności, pasły się na otwartej przestrzeni u boku matki.

Nawet jeśli Hernando marzył o ujeżdżaniu któregoś z tych fantastycznych wierzchowców, jego marzenia rozwiewały się, w miarę jak dowiadywał się o swoich obowiązkach. Spełniło się jednak inne marzenie: na drugim piętrze budynku, nad boksami

dla koni znajdował się szereg pomieszczeń dla pracowników i wydzielono mu dwuizbowe niezależne mieszkanie ze wspólną kuchnią, z której korzystały jeszcze dwie inne rodziny. W całym swym dziewiętnastoletnim życiu nie miał dla siebie aż tyle przestrzeni! Ani w Juviles, ani tym bardziej w Kordobie. Hernando kilkakrotnie przemierzył to mieszkanie wzdłuż i wszerz. Umeblowanie składało się ze stołu z czterema krzesłami, porządnego łóżka z pościelą, szafki z umywalką (nareszcie się umyje!) i kufra. Co włożyć do tego kufra? — myślał, wyglądając przez okno na dziedziniec przed stajnią. Administrator stajni, pokazując mu to mieszkanie, zauważył, że Hernando bardzo interesuje kufer.

— Gdzie twoja żona? — zapytał zdziwiony jej nieobecnością w takiej chwili. — W dokumentach napisano, że jesteś żonaty.

Hernando miał przygotowaną odpowiedź na takie pytanie.

— Dogląda chorego kuzyna — odparł stanowczo. — Nie może go na razie zostawić.

— Powinniście jak najszybciej zarejestrować się w parafii Świętego Bartłomieja — uprzedził go administrator. — Postaraj się, żeby znalazła wolną chwilę i dopełnijcie tego obowiązku.

A jeśli pojawią się problemy? Ta myśl nie dawała mu spokoju, kiedy — sam w mieszkaniu — przyglądał się, jak Rodrigo pracuje nad siwkim, każąc mu powtarzać źle wykonane ćwiczenie; długie, srebrne ostrogi błyszczały w marcowym słońcu, kiedy jeździec wbijał je w bok konia. Fatima nie była jeszcze jego żoną. Karim postawił sprawę jasno: nie wolno mu zbliżyć się do niej przez dwa miesiące iddy wyznaczone Brahimowi.

Co będzie, jeśli Brahim znajdzie pieniądze na utrzymanie Fatimy?

Koń znowu się pomylił, Rodrigo dźgnął go mocno ostrogą za karę, a Hernando poczuł się tak, jakby to jego ukłuto prosto w serce. I co wtedy będzie?



Noc zaskoczyła Brahima poza murami miasta i nie mógł już wrócić do Kordoby. Jak usprawiedliwiłby taki późny powrót przed

strażą miejską? Przyczajony w zaroślach przy drodze łączącej zajazd Romanos z bramą Sewilla przez kilka godzin obserwował kupców podróżujących w grupie dla ochrony i na dodatek nieuzbrojonych. Miał przy sobie sztylet pożyczony od moryska, z którym pracował w polu. Musiał go długo prosić o ten nóż.

— Tylko nie daj się złapać — przestrzegał właściciel — bo pójdziesz do więzienia, a ja stracę broń.

Brahim był tego świadom. Łatwo wejść z nożem do Kordoby w tłumie ludzi wracających z pracy na polu, ale w pojedynkę lepiej nie ryzykować, zwłaszcza nocą. Nóż okazał się mało przydatny. Brahim napinał mięśnie, gdy słyszał ludzkie kroki i tętent koni. Następnym razem na pewno zaatakuję, obiecywał sobie i przepuszczał kolejną okazję, a kupcy oddalali się niespiesznie. Gdy pojawiała się nowa grupa podróżnych, ścisłał mocniej nóż w spoczonej dłoni, a nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Jak tu zaatakować mężczyzn uzbrojonych w rapiery? A kiedy on przeklinał swój brak odwagi, ich śmiechy i żarty długo rozbrzmiewały w powietrzu. Dłużej tak być nie może, muszę to zrobić, powtarzał w duchu.

Już miał napaść na dwie kobiety z dziećmi idące do Kordoby z koszem warzyw, ale nie miały żadnych ozdób, nawet skromnej bransoletki z żelaza. Po co mu kosz z warzywami?

Po zapadnięciu zmroku przestał cokolwiek widzieć o parę kroków dalej. Zresztą kupcy nie pojawiali się już na drodze. Zarośnięte pobocza rzuciły złowrogie cienie, cisza przytłoczyła Brahima, wytykając mu jego nieporadność.

Niewiele już zostało z dwumiesięcznego okresu wyznaczonego przez starców na iddę. Pragnął za wszelką cenę udowodnić, że potrafi utrzymać Fatimę, ale dotąd nie odłożył ani reala. Na dodatek część zarobków z pracy w polu poszła na zwrot pożyczki zaciągniętej na chrzest Szamira. Widząc, że z tej pracy nigdy tyle nie odłoży, postanowił ukraść, ale to też okazało się niemożliwe.

Nazarejczyk weźmie Fatimę. Ta myśl wciąż go dręczyła, lecz nie zdobył się na zaatakowanie chrześcijan, mimo iż byli słabo uzbrojeni.

Brahim wiedział o nowej pracy Hernanda. Aisza czuła się w obowiązku powiedzieć mu o tym. Przeraziła się, gdy mąż nie zareagował gwałtownie, tylko zamknął się w sobie. Zrozumiała, co to dla niego znaczy. Brahim straci Fatimę, poczuje się znieważony i upokorzony wobec całej gminy... On, mulnik z Juviles, zastępca Aben Abu! Podczas gdy pasierb, którego wziął w zamian za muła i nigdy nie przestał go nienawidzić, odnosi spore sukcesy, ma dobrze płatną pracę i, co najgorsze, odbiera mu najdroższą Fatimę.

Dwóch jeźdźców przegalopowało po ciemnej drodze.

— Tfu, wielcy panowie! — splunął Brahim, otrząsając się z zaskoczenia.

— Poproś o pieniądze banitów z Sierra Morena — poradził morysk, kiedy następnego dnia rano Brahim oddał mu sztylet i przyznał się do porażki. — Poszukują zaufanych ludzi w mieście i na polu, którzy będą im dostarczać informacji o karawanach kupców i poczynaniach Santa Hermandad. Potrzebują szpiegów i współpracowników. Oni dali mi ten sztylet.

— Jak ich znaleźć? — zafrasował się Brahim. — Sierra Morena jest wielka.

— Sami cię znajdą, gdy wyruszysz w góry — odpowiedział mężczyzna. — Tylko uważaj, żebyś nie trafił najpierw na Santa Hermandad.

Patrole milicji miejskiej Santa Hermandad składały się z dwóch dowódców i dwunastoosobowej drużyny odpowiedzialnej za spokój poza murami miasta. Kontrolowały pola, góry i wioski liczące poniżej pięćdziesięciu mieszkańców, gdzie nie sięgała władza magistratu. Bezlitośnie wymierzały sprawiedliwość w trybie doraźnym głównie na mozarabskich rozbójnikach terroryzujących chrześcijan, jak na przykład Dbahet. Ten okrutny banita z Walencji działał w Sierra Morena, na północ od Kordoby, dowodząc jedną z najsilniejszych grup ludzi wyjętych spod prawa: niewolnikami i zbiegłymi chłopami pańszczyźnianymi, którzy nie mogli ukrywać się w mieście, bo zdradziłoby ich piętno na twarzy i dlatego wybrali góry na rejon swojego działania.

— Nie mam innego wyjścia. Tylko banici mogą mi pomóc — doszedł do wniosku Brahim.



Nazajutrz rano Brahim i Aisza z maleńkim Szamirem minęli kościół i cmentarz Santa Marina, zostawili za sobą po lewej stronie więzienie dla szlachty w wieży Malmuerta i opuścili miasto przez bramę Colodro, kierując się na północ do Sierra Morena.

Upowiedział Aiszę, że wyruszą razem z małym Szamirem, i kazał jej przygotować jedzenie i ubranie na zmianę. Powiedział to tak ostrym tonem, że kobieta nie śmiała o nic pytać. Przeszli przez bramę Colodro z grupą ludzi udających się do pracy na polu oraz w rzeźni, a następnie skręcili do Adamuz, dokąd prowadziła droga Ventas łącząca Kordobę z Toledo, poprzez Sierra Morena. Niedaleko Montoro byli świadkami znalezienia czworga chrześcijan z poderzniętymi gardłami i obciętymi językami — znak, że w pobliżu kręcą się banici.

Przy drodze Ventas między Kordobą a Toledo było pełno zajazdów dla podróżnych, dlatego Brahim wybierał boczne ścieżki, z dala od głównego traktu, lub polne drogi, mimo to zetknął się po raz pierwszy z Santa Hermandad jeszcze przed Alcolea. Do białego w ziemię słupa przywiązano podziurawione strzałami ciało mężczyzny jako żer dla drapieżnych ptaków i przestrogę dla okolicznych mieszkańców. Santa Hermandad wykonywała w ten sposób wyroki śmierci na przestępcach grasujących poza granicami miasta. Pomny na dobre rady Brahim zmusił Aiszę do zejścia z białej drogi, która wiodła skosami do Sierra Morena. Instynkt przewoźnika pozwalał mu orientować się doskonale w terenie i wynajdywać pośród drzew niewidocznie ścieżki znane tylko mulnikom i koźlarzom.

Stracili cały dzień na wędrówkę z Kordoby do Adamuz, wioski należącej do majątku rodu Carpio. Aisza podążała za Brahimem z dzieckiem na plecach. Zatrzymali się pod Adamuz ukryci pośród drzew przed podróżnymi i Santa Hermandad.

— Dlaczego uciekliśmy z Kordoby? — odważyła się zapytać Brahima, podając mu kawałek suchego chleba. — Dokąd idziemy?

— Wcale nie uciekliśmy — odpowiedział szorstko jej mąż.

Na tym skończyła się rozmowa. Aisza zajęła się dzieckiem. Spędzili noc pod gołym niebem bez ogniska, walcząc ze snem, wzdrygając się na wycie wilków i chrząkanie dzików, i inne dźwięki wskazujące na obecność niedźwiedzia. Aisza tuliła mocno Szamira, gotowa chronić go własnym ciałem. Natomiast Brahim sprawiał wrażenie szczęśliwego: patrzył na księżyc, błędził wzrokiem po niewyraźnych cieniach i wspominał dobre czasy przed deportacją.

Banici podeszli do nich o świcie. Kręcili się przy drodze Ventas, czekając na podróżnych z Madrytu, Ciudad Real lub z Toledo, na tyle nieroztropnych, by podróżować w pojedynkę, bez uzbrojonej straży. Już wcześniej wypatrzyli tę trójkę, ale mężczyzna i kobieta z dzieckiem podróżujący piechotą bocznymi drogami, bez bagażu, nie wzbudzi ich zainteresowania. Wyczuleni na wszelkie ruchy i znaki świadczące o nadciąganiu patroli Santa Hermandad, postanowili dowiedzieć się, czego tych troje szuka w górach.

— Kim jesteście i czego chcecie?

Brahim i Aisza jedli akurat śniadanie i nie słyszeli kroków banitów. Dwaj zbiegli niewolnicy z piętnem wypalonym na twarzy wyrosli przed nimi znienacka uzbrojeni w sztylety i noże. Aisza przycisnęła dziecko do piersi. Brahim chciał się podnieść, lecz jeden z niewolników go powstrzymał.

— Jestem Brahim z Juviles, mulnik z Alpuhary. — Banita kiwnął głową, że zna tę osadę. — A to mój syn i żona — dodał. — Szukam Sobaheta.

Aisza spojrzała zdziwiona na męża. O co mu chodzi? Straszliwe przeczucie przyprawiło ją o skurcz żołądka. Szamir zareagował głośnym płaczem na niepokój matki.

— Po co ci Sobahet? — zapytał drugi banita.

— To moja sprawa.

Zbiegli niewolnicy natychmiast chwycili za broń.

— W górach wszystko jest naszą sprawą — odparł jeden. — Zapamiętaj to sobie raz na zawsze.

— Chcę mu zaproponować swoje usługi — wyznał Brahim. Szamir wciąż płakał.



— Uspokój go, kobieto! — rozkazał żonie Brahim.

— Chodźcie z nami — zdecydowali niewolnicy, porozumiewając się między sobą spojrzaniem.

Mężczyźni poszli przodem, Aisza z trudem nadążała za nimi, zatrzymując się co chwila, żeby ukoić Szamira. Brahim wyznał, że chce służyć Sobahetowi. To znaczy, że szuka pieniędzy, by móc odzyskać Fatimę, ale po co w takim razie zabrać ją i dziecko? Do czego mu potrzebny malutki Szamir? Zadrżała. Poczowała słabość w nogach i musiała na chwilę przyklęknąć z dzieckiem przy piersi. Szybko jednak wstała, żeby iść dalej. Żaden z mężczyzn nie spojrział w jej stronę... Szamir nie przestawał płakać.

Dotarli na małą polanę, gdzie obozowali banici. Nie było tu namiotów ani szałasów, tylko koce na ziemi i resztki ogniska pośrodku polany. Sobahet, wysoki mężczyzna ze zrosniętymi brwiami i niechlujną czarną brodą, wysłuchał, oparty o drzewo, wyjaśniając niewolników, którzy przyprowadzili Brahima i Aiszę. Przyjrzał się Brahimowi z pewnej odległości, po czym kazał mu podejść.

Kilku obdartych banitów, z piętnem niewolnictwa wrytym na twarzy, związało obozowisko. Intrygowała ich obecność nieznanym, a zwłaszcza Aiszy, którą pożerali wzrokiem.

— Mów szybko, co masz do powiedzenia — warknął groźnie szef banitów, jeszcze zanim Brahim znalazł się obok niego. — Znikamy stąd, jak tylko wrócą nasi ludzie. Masz coś interesującego?

— Potrzebuję pieniędzy — wyznał otwarcie Brahim.

Sobahet uśmiechnął się cynicznie.

— Jak wszyscy moryskowie.

— Dużo znasz takich, którzy uciekają z Kordoby, żeby nawiązać z tobą kontakt w Sierra Morena?

Banita rozważał w milczeniu słowa Brahima. Aisza wytężyła słuch, stojąc o kilka kroków dalej. Dziecko przestało płakać.

— Chrześcijanie dobrze zapłacą za mnie i moich ludzi, byle tylko nas dopaść. Kto mi zaręczy, że nie jesteś szpiegiem?

— Oto moja żona i mój syn — odrzekł Brahim, pokazując na Aiszę. — Oddaję ich życie w twoje ręce.

— Co chcesz mi zaproponować? — spytał Sobahet usatysfakcjonowany tą postawą.

— Jestem z zawodu mulnikiem. Brałem udział w powstaniu, byłem zastępcą Aben Abu w Alpuharze. Znam się na mułach. Wystarczy mi jeden rzut oka na ich uprząż, aby powiedzieć, co przewożą i w jakim są stanie. Mogę przeprowadzić stado mułów w każdym miejscu i o każdej porze w dzień albo w nocy.

— Mamy już mulnika. To mój zastępca. Mam do niego zaufanie — przerwał mu Sobahet. Brahim obejrzał się na niewolników. — Nie. To żaden z nich. Zaraz tu będzie. Czekaemy na niego. Przydałoby nam się więcej mułów, ale z drugiej strony to tylko przeszkadzałoby nam w szybkim przemarszu.

— Dobre muły nie są żadną przeszkodą, a ja znam takie przejścia, których nigdy nie znajdują twoi ludzie. Powiększenie stada zapewni ci większe zyski.

— Nie, to mnie nie interesuje — odmówił banita i wykonał ruch ręką, jakby chciał zakończyć rozmowę.

— Pozwól, że ci to udowodnię — nalegał Brahim. — Nic nie ryzykujesz.

— Owszem, ryzykuję, jeśli oddam w twoje ręce nasze łupy. Dajmy na to, że zostaniesz z tyłu z mułami. Co wtedy? Czekać na ciebie i narażać się na wpadkę czy... zaufać ci.

— Ja nie zawiodę.

— Zbyt często już to słyszałem — skrzywił się Sobahet.

— Mogę szpiegować dla ciebie.

— Mam szpiegów w Kordobie i w okolicznych wioskach. Wiem o każdej karawanie na drodze Ventas. Jeśli chcesz do mnie przystać, poddam ci próbie jak każdego. To wszystko, co mogę ci zaoferować. — Między drzewami zamajaczyła nowa grupa banitów. — Idziemy! — krzyknął Sobahet. — Przemyśl to, co powiedziałem, mulniku, i chodź z nami, jeśli chcesz. Ale sam, bez żony i dziecka.

— Ty suko! Co ta dziwka tu robi?! — Głośny krzyk zaalarmował ludzi szykujących się do wymarszu. Sobahet się wzdrygnął. Brahim poszukał wzrokiem Aiszy.

Ubajd! Aisza stała jak sparaliżowana przed mulnikiem z Narili, który dopiero teraz dotarł do obozowiska. Wszyscy ucichli. Ubajd powoli odwrócił się w stronę Brahima, jakby wyczuł jego obecność.

Obaj przewoźnicy mierzyli się spojrzeniami.

— Brakuje tylko nazarejczyka, aby spełniło się moje największe marzenie. — Jednoręki się uśmiechnął. Brahim zdrzął i spojrział błagalnie na szefa banitów. — To jest człowiek, o którym mówiłem ci tyle razy. — Sobahet przybrał groźny wyraz twarzy. — Przez niego straciłem rękę.

— Jest twój. On i jego rodzina — wycedził Sobahet, pokazując na Aiszę z dzieckiem — tylko się pośpiesz. Musimy stąd iść.

— Szkoda, że nie ma nazarejczyka! A temu obetnijcie dłón — rozkazał Ubajd. — Jemu i jego synowi! Niech pamiętają, dlaczego Ubajd z Narili nosi przyzwisko Jednoręki.

Zanim Ubajd skończył mówić, dwóch mężczyzn złapało Brahima. Aisza zawyła z rozpaczy, kiedy inny banita próbował odebrać jej dziecko. Malec znowu się rozpłakał. Upadła na ziemię, osłaniając go swoim ciałem. Brahim szarpał się, ale rzucili go na kolana. Krzyczał, kłął, próbował się bronić, lecz dwóch mężczyzn trzymało mocno jego ramię, a trzeci uderzył sztyetem w nadgarstek. Zaraz potem zaciągnięto go do ogniska, żeby włożyć kikut między dogasające polana i powstrzymać w ten sposób krwawienie.

Brahim z przerażeniem wpatrywał się w odciętą dłón.

Jego krzyk zlał się w jedno z jękami Aiszy i płaczem dziecka, które wyrwano z ramion matki.

Aisza pobiegła za nimi i rzuciła się do stóp Ubajda.

— To ja jestem matką nazarejczyka! — krzyczała na klęczkach, łapiąc go za poły burki. — Co ci przyjdzie ze śmierci tego dziecka? Mnie zabij, jeśli chcesz zadać ból Hernandowi. Weź moje życie, ale nie zabijaj małego. Co on ci zawinił? — łkała. — Co zawinił...? — zaniósła się płaczem i nie dokończyła zdania.

Ubajd nie ruszył się, żeby odepchnąć kobietę, wobec tego banici zaczęli z egzekucją dziecka. Mulnik z Narili długo coś rozważał.

— Zgoda — powiedział wreszcie. — Zostawcie dziecko i zabijcie ją. Zaniesiesz jej głowę nazarejczykowi — powiedział

do Brahima, który związał się z bólu na ziemi. — Powiesz mu, że go dopadnę i w Kordobie dokończę to, czego nie zrobiłem w Al-puharze.

Aisza wypuściła z rąk burkę Ubajda, pozwalając mu odejść. Nie podniosła się z kolan nawet wtedy, gdy na jego rozkaz inny banita z piętnem niewolnika zbliżył się do niej z obnażoną szablą.

— Nie ma innego Boga poza Allahem, a Mohamet jest Jego wysłannikiem — recytowała z zamkniętymi oczami, szykując się na śmierć.

Niewolnik zawahał się, słysząc to wyznanie wiary. Opuścił głowę. Ubajd potarł palcami lewej ręki nasadę nosa, Sobahet przyglądał się tej scenie w milczeniu. Nawet Szamir zamilkł. Mężczyzna z szablą popatrzył na swoich towarzyszy, jakby pytał, co ma zrobić. Przecież nie są mordercami. Był wśród nich złotnik z Grenady, kupiec, trzech farbiarzy... Zostali zbójnikami, żeby wyrwać się z niewoli i prześladowania. Pragną walczyć i zabijać chrześcijan! Bo chrześcijanie odebrali im wolność i wiarę! Chrześcijanie zniewolili ich żony i córki! Ale zabić mużłmankę...?

Zanim banita odłożył broń, Sobahet i Ubajd wymienili spojrzeńia. Nie można wymagać tego od ludzi, zdawał się mówić swojemu zastępcy dowódca grupy banitów. Nie można też zrobić tego samemu, bo ona jest mużłmanką. Ubajd zareagował:

— Bierz dziecko i męża, i odejdz. Jesteś wolna. Ja, Ubajd, darowuję ci życie, ale odbiorę je twojemu drugiemu synowi.

Aisza otworzyła oczy, nie patrząc na nikogo. Podbiegła drżąc do mężczyzny, który trzymał Szamira — oddał go jej w milczeniu. Potem podeszła do Brahima czołgającego się wokół ogniska. Popatrzyła na niego z pogardą.

— Ty psie!

Opuściła polanę z twarzą zalaną łzami zupełnie zagubiona.

— Pokaż jej drogę do Kordoby — polecił Sobahet jednemu ze swoich ludzi, kiedy Aisza poszła w przeciwnym kierunku, znikając w gęstwinie drzew porastających zbocza gór.

## 33

Hernando przyprowadził Rodrigowi wspaniałego, srokatego trzylatka już w uprzęży, o ciekawym umaszczeniu — biała sierść z brązowymi plamami — i nerwowym charakterze. Żrebięta po pierwszym osiodłaniu, które dawały już sobą kierować na maneżu w stajniach królewskich, należało oswoić z otwartą przestrzenią, bykami i innymi zwierzętami, nauczyć przekraczania rzeki, pokonywania przeszkód, galopowania po drogach i zatrzymywania się na komendę; musiały także poznać miasto, nauczyć się czekać przed kuźnią i cierpliwie znosić odgłosy kucia, poruszać się między ludźmi bez nerwowego reagowania na bieganinę dzieci, jaskrawe kolory, rozkołysane flagi i niezliczone zwierzęta, które poruszały się swobodnie po Kordobie — psy, kury i ciemne, kosmate świnie o czarnych ogonach oraz spiczastych uszach i ryjach z wystającymi kłami — nie bać się muzyki, zabawy i różnych nieprzewidzianych dźwięków. Co czekałoby te konie, a zwłaszcza ich ujeżdźaczy, gdyby przerażone hałasem bębnow i piszczałek podczas parady wojskowej albo wiwatami poddanych na cześć monarchy zrzuciły na ziemię króla, kogoś z rodziny królewskiej, z grona stronników i beneficjentów?

Tego dnia rano Hernando nie miał wiele roboty w stajniach, ponieważ nowa partia żrebaków jeszcze nie dotarła z pastwisk, więc Rodrigo postanowił zabrać go z sobą do pomocy podczas

wyprawy do miasta, gdzie młody, ognisty srokaty będzie wystawiony na liczne niespodzianki. Hernando miał towarzyszyć jeźdźcowi na piechotę uzbrojony w długą szpicrutę.

— Obserwowałem cię przy pracy w stajni — powiedział Rodrigo, wsuwając nogę w strzemię konia. — Nawet mi się spodobałeś, ale chwilowo nie odbiegasz od normy. Zamierzam sprawdzić, czy rzeczywiście masz ów szczególnie zmysł, który dostrzegł w tobie don Diego. Pokażemy miasto temu źrebakowi. Kiedy zobaczysz, że jest przestraszony i nie pomagają ostrogi ani szpicruta, a wszystko, co ja próbuję zrobić, odnosi odwrotny skutek, wtedy masz interweniować i tak wpłynąć na konia, żeby szedł prawidłowo, rozumiesz?

Hernando przytaknął, ponieważ jeździec przekładał już prawą nogę przez grzbiet konia, ale niewiele zrozumiał. Skąd ma wiedzieć, kiedy interweniować i co znaczy w tym wypadku „prawidłowo”?

— Gdyby źrebak mnie zrzucił — dodał Rodrigo, sadowiac się w siodle — jak to często bywa podczas pierwszej wyprawy na miasto, przede wszystkim masz się nim zająć. Cokolwiek się zdarzy, choćbym rozwalił sobie głowę o mur, koń stratowałby staruszkę albo niszczył kramy, ty dbasz przede wszystkim o to, by nie uciekł i nie stała mu się żadna krzywda. Pamiętaj jedno: na mocy przywileju nadanego przez króla nikt, powtarzam nikt, żaden *corregidor*, sędzia, rajca czy inny ważny urzędnik Kordoby nie ma prawa ani władzy nad końmi ze stajni królewskich i ich personelem. Twoim obowiązkiem jest zadbać o to zwierzę i przyprowadzić je do stajni w jak najlepszym stanie. Cokolwiek by się stało i ktokolwiek by się temu sprzeciwiał!

Hernando pobiegł za jeźdźcem, który był już na zewnątrz stajni, zastanawiając się w dalszym ciągu, czego Rodrigo po nim się spodziewa, ale podobnie jak źrebak nie miał już na nic czasu. Ledwie znalazł się jedną nogą poza ogrodzeniem, koń zastrzygł uszami na widok tłumu ludzi na Campo Real i nieznanym sobie budynków, ale Rodrigo spiął go mocno ostrogami i źrebak popędził przed siebie tak samo jak Hernando, który musiał się mocno wysilać, żeby nie stracić ich z oczu. Od tego momentu wszystko

działo się jak w kalejdoskopie. Jeździec kazał srokatemu galopować po wąskich uliczkach między ludźmi, wybierając najdziwniejsze miejsca. Hernando trzymał się dzielnie z tyłu. Byli na ulicy kotlarzy w dzielnicy Catedral, żeby przyzwyczać żrebaka do bicia młotem w miedź, następnie przed garbarnią, gdzie praca wre nieustannie, zatrzymali się przy warsztatach greplarzy i farbiarzy, złotników i fabrykantów igieł, przemierzali wzdłuż i wszerz plac Corredera i okoliczne targi, docierając aż do strefy rzeźników i garncarzy. Doświadczenie i brawura Rodriga nie dawały możliwości popisu jego pomocnikowi.

Tylko raz okazał się niezbędny. Rodrigo skierował konia dość blisko jednej z wielu świń biegających luzem po ulicach. Wielkie prosię zapiszczało na konia, pokazując mu groźnie kły. Srokaty obrócił się wokół własnej osi i stanął dęba, wysadzając jeźdźca z siodła, jednakże zanim zerwał się do ucieczki, Hernando stanął mu w poprzek drogi, uderzył szpicrutą po zadzie i zmusił do zmierzenia się z napastnikiem, dopóki Rodrigo nie doszedł do siebie na tyle, by przejąć konia. W innych okolicznościach ograniczał się do pokazania szpicrutę i cmoknięcia językiem, kiedy nie pomagały ostrogi ani pieszczoty jeźdźca (w zależności od sytuacji) i koń nie chciał zrobić kroku przestraszony hałasem albo nagłym ruchem.

Hernando wrócił do stajni spocony i bez tchu w piersiach, podobnie jak żrebak.

— Dobrze się spisałeś — pochwalił go Rodrigo, zeskakując na ziemię i przekazując mu konia. — Jutro ciąg dalszy.

Hernando wziął srokatego za uzdę i pociągnął do stajni, gdzie czekał już na nich chłopiec stajenny. Zamierzał wyjść, lecz zatrzymało go wołanie kowala, który oglądał kopyto jakiegoś innego konia. Już wcześniej widywał w stajni tego mężczyznę o bardzo śniadej cerze.

— Chodź mi pomóc! Potrzyj mi tu! — powiedział kowal, pokazując na tylną nogę konia. Hernando podniósł ją do góry i oparł sobie na kolanie, a tymczasem kowal odwrócony plecami do konia zaczął nożem usuwać z rowków kopyta nagromadzone

w nich brud. — Mam dla ciebie wiadomość — szepnął, nie przerywając swojej pracy. — Twoja matka znalazła się w więzieniu. — Hernando o mało nie wypuścił końskiej nogi. Zwierzę poruszyło się niespokojnie. — Trzymaj mocniej! — Kowal powiedział to głośno.

— Skąd... wiesz? Jak to się stało? — Hernando przysunął usta niemal do jego ucha.

— Od starszyny. — Kowal wypowiedział te słowa z takim szacunkiem, że Hernando od razu uznał go za swojego. — Santa Hermadad zatrzymała twoją matkę na drodze Ventas. Wracła do Kordoby z dzieckiem na ręku. Nie miała pozwolenia na opuszczenie miasta, dlatego skazali ją na sześćdziesiąt dni aresztu.

— Ale co ona robiła sama na drodze Ventas?

— Twój ojczym zniknął. Matka tłumaczyła się przed dowódcą straży, że to on zmusił ją do opuszczenia Kordoby razem z dzieckiem, ale mu uciekła. — Aisza pilnowała się w czasie przesłuchiwania przez straż i potem w więzieniu, żeby nie wspomnieć o spotkaniu z banitami. — Mam ci przekazać, żebyś się nie martwił. Nic jej nie dolega. Otrzymała już koc i bieliznę dla dziecka. Przynosimy jej codziennie coś do jedzenia.

— Jak ona się czuje?

— Przecież mówię, że dobrze. Dziecko też.

— A co z moim...? Masz jakieś wieści o Fatimie? — Skoro Brahim postanowił uciec, rozmyślał gorączkowo młodzieniec, to znaczy, że albo zabrał Fatimę z sobą, albo z niej zrezygnował.

— Ona jest u Karima — odrzekł kowal, domyślając się w mig, co dręczy Hernanda.

Udając zainteresowanie zabiegiem pielęgnacyjnym kowala, Hernando dokonywał w myślach podsumowania: Brahim uciekł i zostawił Fatimę w Kordobie! Ile czasu zostało do końca iddy? Dwa, trzy tygodnie?

— Kto ty jesteś? — zapytał, kiedy kowal skończył swoją pracę i pozwolił mu wypuścić kopyto konia.

— Nazywam się Jerónimo Carvajal — odparł mężczyzna, z wysiłkiem prostując przygarbione plecy. — Nie tutaj. — Jerónimo



poskromił jego ciekawość i jęknął, przeciągając dłońią po obolałych plecach. — Ta robota mnie kiedyś wykończy. Chodź ze mną — powiedział, zabierając swoje narzędzia i kierując się do wyjścia.

Musieli przejść obok małej oficyny, gdzie mieściła się administracja stajni. Zobaczyli zastępcę głównego stajennego i pisarza, który coś skrobał w dokumentach.

— Ramón, wychodzę po materiały potrzebne do pracy — poinformował głośno Jerónimo, zatrzymując się w drzwiach. — Zabieram z sobą tego nowego do pomocy.

Mężczyzna nazwany Ramón machnął przyzwalająco ręką, nie odrywając oczu od kartki skrupulatnie wypełnianej przez pisarza, któremu zaglądał przez ramię. Jerónimo i Hernando wyszli na ulicę.

— Pochodzę z Oranu. Tak naprawdę to mam na imię Abbas — odezwał się Jerónimo, kiedy uszli parę kroków dalej. — Ściągnął mnie do Hiszpanii pewien szlachcic, który dziesięć lat temu wziął udział w obronie miasta. Pracowałem przy jego koniach. Później znalazłem zatrudnienie w stajniach królewskich dzięki rekomendacji don Diega.

Minęli pałac biskupi i znaleźli się na tyłach meczetu. Hernando przyjrzał się uważniej Abbasowi: afrykańskie pochodzenie wyrażało się u niego mocno śniadą skórą, ciemniejszą niż u hiszpańskich morysków, którzy w sumie niewiele różnili się od chrześcijan, był dość wysoki i silny, z muskularną, szeroką piersią i ramionami przywykłymi do miecha i podkuwania koni. Miał gęste, czarne jak węgiel włosy, ciemne oczy, twarde rysy twarzy i pękaty nos, który wyglądał tak, jakby mu go kiedyś złamano.

— Co kupimy? — zainteresował się Hernando.

— Nic. Gdyby cię jednak zapytali o to po powrocie, powiesz, że szukaliśmy, ale nie było odpowiedniego materiału.

Znajdowali się teraz na rogu ulicy Sol, która otaczała meczet aż do Bramy Przebaczenia.

— Może by tak... jeśli nie masz nic przeciwko temu... — Pokazał ręką na ulicę po swojej prawej stronie.

— Chcesz odwiedzić matkę? — domyślił się Abbas.

— Tak. Znam naczelnika więzienia, na pewno mi pozwoli —

uspokajał kowala, który kręcił głową z powątpiewaniem. — Muszę z nią porozmawiać.

Abbas nie dał się długo prosić i skręcili w ulicę Sol.

— Ale potem muszę z tobą porozmawiać — zapowiedział, kiedy dochodzili do Bramy Przebaczenia, zostawiając po swojej lewej stronie wspaniałe kamienne portale z arabeskami, należące dawniej do meczetu. — Rozumiem, że chcesz zobaczyć się z matką, ale pamiętaj, że mamy mało czasu.

— O czym chcesz ze mną porozmawiać?

— Nie teraz — zbył go Abbas.

Hernando kręcił się między ludźmi, którzy wchodzili do budynku więzienia i wychodzili, dopóki nie zobaczył dozorczy. Abbas czekał na niego na zewnątrz. Przy wewnętrznym patio z krużgankiem stał dwupiętrowy budynek, w którym znajdowały się cele, biuro naczelnika i różne inne pomieszczenia z niewielką gospodą włącznie. Przywitał się z dozorcą i zapytał o grubego, niechlujnego szefa, który wkrótce pojawił się na patio, dowiedziawszy się o przybyciu moryska.

Silny fetor kloaki towarzyszył przyjsciu naczelnika. Hernando powstrzymał odruch wymiotny, kiedy mężczyzna, cały w ekskrementach i mokry od moczu, wyciągnął do niego prawą rękę.

— Znowu ktoś próbował ukryć się w latrynie? — zapytał na przywitanie Hernando, biorąc głęboki oddech i ściskając dłoń naczelnika więzienia.

— Tak jest — potwierdził ten ostatni. — To człowiek skazany na galery. Już trzeci raz kapie się w gównie, byle nie dać się złapać. — Hernando uśmiechnął się, chociaż nieprzyjemna, gorąca wilgoć kleiła się do jego dłoni w tym uścisku. Słyszał o fortelach więźniów, którzy dla odwleczenia momentu wykonania kary byli gotowi ukryć się w latrynach, zanurzyć się po szyję w cudzych ekskrementach i szczynach. Żaden woźny sądowy nie miał ochoty zabierać ich z więzienia w takim stanie. Tym razem jednak cierpliwość sądu się wyczerpała i sam naczelnik musiał doprowadzić skazanego. — Słyszałem, że znalazłeś sobie inne zajęcie i nie

będziesz już tu przychodził — dodał, zabierając wreszcie swoją wilgotną dłoń.

— To sprawa osobista. — Hernando dostrzegł w oczach swojego rozmówcy błysk zainteresowania. — Santa Hermandad nakazała uwięzić kobietę z dzieckiem przy piersi. — Naczelnik udawał namysł. — Nazywa się Aisza, to znaczy... María Ruiz.

— No, nie wiem... — zaczął naczelnik, pocierając bezczelnie kciuk i wskazujący palec swojej dłoni na znak, że domaga się zapłaty.

— To niech się pan dowie — nalegał Hernando. — Ta kobieta jest moją matką.

— Twoją matką? A co twoja matka robiła na drodze Ventas?

— Widzę, że wróciła panu pamięć. Sam chciałbym wiedzieć, co tam robiła. I proszę się nie martwić, otrzyma pan swoją zapłatę.

— Zaczekaj tu.

Naczelnik oddalił się w kierunku wychodzących na patio kazamatów, znikając za arkadami. Hernanda dobiegły przekleństwa dwóch woźnych sądowych umazanych moczem i odchodami, którzy wyprowadzali skazanego na galery więźnia. Brudny jak nieboskie stworzenie galernik uśmiechał się do wściekłych urzędników, żegnany okrzykami przez współtowarzyszy z więzienia, a ludzie usuwali się przed nim ze wstrętem. Hernando odprowadził ich wzrokiem aż do wyjścia, a kiedy spojrzął ponownie na patio, zobaczył Aiszę zostawiającą Szamira w ramionach innej więźniarki.

— Matko...

— Hernando — wyszeptała na jego widok.

— Czy moglibyśmy pobyć gdzieś przez chwilę sami? — zapytał Hernando naczelnika.

Wskazał im małe pomieszczenie bez okien obok portierni, służące za magazyn.

— Co się...? — zaczął Hernando, jak tylko naczelnik zamknął za sobą drzwi.

— Uściskaj mnie — przerwała mu Aisza.

Przyglądał się matce, która czekała na niego z otwartymi ramionami, jakby nie wiedział, czy może się w nich schronić.

Nigdy dotąd go o to nie prosiła! Przypomniawszy sobie, że w Juviles matka karciała go za każdy gest czułości, obawiając się, że ktoś ich zobaczy, a teraz... Rzucił się jej w ramiona i mocno uściskał. Aisza długo go tuliła, próbując nucić kołysankę przerywaną szlochami. Wzruszenie odebrało mu głos.

— Co robiłaś na drodze Ventas, matko? — zapytał wreszcie.

Aisza opowiedziała mu o ucieczce w góry, spotkaniu z banitami i Ubajdem, o tym, jak ucięto rękę jego ojczymowi, a jej darowano życie.

— Znieważylaś go i naplułaś mu w twarz — wyznała niepewnym głosem, jakby wciąż jeszcze nie potrafiła zaakceptować faktu, że porzuciła w Sierra Morena męża ze świeżo obciętą dłonią.

Hernando miał ochotę śmiać się i krzyczeć. „Ty psie!”, powiedziała matka. Nareszcie się zbuntowała! Jednakże coś mu mówiło, że nie powinien objawiać głośno swej radości.

— Sam sobie na to zasłużył — oświadczył jedynie.

Po chwili wahania Aisza kiwnęła lekko głową.

— Ubajd chce twojej śmierci — powiedziała. — Jest niebezpieczny. Został zastępcą jednego z dowódców banitów.

— Tym się nie musisz martwić, matko — uspokajał ją bez zbytniego przekonania. — On nigdy nie zejdzie z gór do Kordoby po mnie ani po nikogo innego. Teraz myśl tylko o sobie i dziecku. Jak was tu traktują?

— Nikt nam nie dokucza... mamy co jeść.



Abbas uszanował milczenie Hernanda, kiedy wyruszyli w drogę powrotną. Pożegnanie z matką trwało długo: Aisza szlochała, jakby pragnęła zatrzymać go przy sobie, a on... nie chciał jej tu zostawiać i też zbierało mu się na płacz, ale kazała mu odejść, zorientowawszy się w porę, co oznacza drżenie podbródka i przyspieszony oddech syna. Hernando odszukał naczelnika i obiecał mu pieniądze, wszystko czego tylko zapragnie, w zamian za dobre traktowanie i opiekę nad jego matką, po czym opuścił więzienie, oglądając się raz po raz na drzwi, za którymi zniknęła Aisza.

— O czym chciałeś ze mną rozmawiać? — zapytał Abbasa, opanowując wzruszenie.

— Co słyhać u twojej matki? Dobrze się czuje? — zapytał z kolei Abbas. Hernando potwierdził skinieniem głowy. — Bili ją?

— Nie... o ile mi wiadomo.

— To znaczy, że otrzymała łagodny wymiar kary. Mężczyznę skazano by na karę śmierci, gdyby doszedł do Grenady, na dożywotnie galery, gdyby znalazł się dziesięć mil od Walencji, Aragonu albo Nawarry, a za przebywanie bez zezwolenia w każdym innym miejscu dostałby karę batów i cztery lata na galerach.

Mocno ją uściśkałem i na nic się nie skarżyła, pomyślał Hernando, więc chyba jej nie bili... a jeśli tak?

— Potem opowiesz mi, co się stało, zwłaszcza z twoim ojczymem — zakomunikował mu Abbas. — Musimy to wiedzieć.

— Musimy? — zdziwił się Hernando.

— Tak, wszyscy. Jesteśmy kontrolowani. Jeden uciekinier... zagraża całej społeczności. Zaczną dochodzić, jak do tego doszło, przepytując w całym środowisku.

— Nikt nic nie powie — oświadczył Hernando.

Szli bez celu przez medynę, skomplikowaną konstrukcję wąskich krętych uliczek pośród rozległych terenów, w które wpadały niezliczone ślepe zaułki.

— Mylisz się, Hernando. Musisz wiedzieć, że wśród nas są również zdrajcy. Niektórzy z naszych wiernych są szpiegami na usługach chrześcijan.

Hernando zatrzymał się, marszcząc czoło.

— Właśnie tak — powtórzył Abbas. — Są wśród nas szpiegdy. Dlatego starszyna wybrała ciebie...

— Kim ty naprawdę jesteś? Skąd wiesz tyle rzeczy?

Abbas westchnął. Znowu podjęli wędrówkę.

— Członkowie starszyny skorzystali z tego, że pracuję w stajniach królewskich, aby przekazać ci jak najszybciej wiadomość o twojej matce. Jest jeszcze jedna rzecz, którą mam ci przekazać w ich imieniu — przerwał, ale widząc, że Hernando nie odpowiada, mówił dalej: — Wszystkie muzułmańskie gminy w Hiszpanii

odnowiły swoją działalność. Każda ma swojego mufiego i fakiha, którzy pełnią te funkcje potajemnie. W Walencji, Aragonii, Katalonii, Toledo i Kastylii istnieją dobrze zorganizowane wspólnoty wiernych, niektóre z nich mają nawet swojego króla! Takie organizacje powstają również w prowincjach, do których zesłano muzułmanów z Grenady: zesłańcy przyłączają się do morysków mieszkających tam już od dawna albo tworzą nowe struktury, jak w Kordobie, gdzie wcześniej już prawie nie został nikt z naszych.

— Ale ja...

— Nic nie mów. Po pierwsze: nikomu nie ufaj. Nie tylko szpiedzy są wśród nas, wielu braci wyznaje największe sekrety na torturach inkwizycji, choćby tego nie chcieli. Możemy rozmawiać o wszystkim, postaram się odpowiedzieć na każde twoje pytanie, ale najpierw przysięgnij, że jeśli nie przyjmiesz naszej propozycji, nikomu nigdy nie powiesz tego, co tu usłyszysz. — Nogi zaprowadziły ich same na ulicę Relej, gdzie wznosi się nieduża wieża z miejskim zegarem. Zostali tu przez chwilę, przyglądając się małym chłopcom rzucającym kamieniami w dzwony kościoła. — Przysięgniesz? — powtórzył Abbas. Mnich jezuicki machał rękami i krzyczał na chłopców, żeby przerwali tę zabawę.

— Tak — oświadczył Hernando zapatrzony w malców umykających przed jezuitą. — Ale skąd mam wiedzieć, czy mogę zaufać tobie?

Abbas się uśmiechnął.

— Szybko się uczysz! A ufasz Hamidowi, niewolnikowi z zamtuza?

— Bardziej niż sobie samemu! — odparł Hernando.

Skierowali kroki do zamtuza. Hamid był zajęty i nie mógł do nich wyjść, ale stojąc w progu, dawał znaki, które Hernando zrozumiał bez trudu: kowal jest człowiekiem godnym zaufania.



Tej nocy, po powrocie do swojego pokoju i kilkakrotnym sprawdzeniu, czy drzwi są dobrze zamknięte od wewnątrz, Hernando usiadł na podłodze i przesunął palcami po okładce znisz-

czonego egzemplarza Koranu spisanego w *aljamiado*. Następnie otworzył boską księgę i przekartkował ją powoli.

— Nie mnie oceniać twoje zalety czy przywary — powiedział mu wcześniej Abbas — ale jedno jest ważne dla naszych braci: umiejętność czytania i pisania, której większość z nas nie ma.

Pisma w języku arabskim lub o treści muzułmańskiej były objęte rygorystycznym zakazem i każdy, u kogo znaleziono taką książkę, szedł do więzienia inkwizycji. Abbas, mieszkający z rodziną w tym samym budynku co Hernando, odetchnął z ulgą, przekazując mu Koran.

— Dużo takich tekstów krąży po ludziach — zauważył. — Poczynając od przekładów i utworów własnych wielkiego kadiego Ijada o cudach i cnotach Proroka, a kończąc na zwykłych rękopisach z wierszami po arabsku lub w *aljamiado*. Nasi bracia ukrywają te książki, jak mogą, gdyż pragną zachować nasze prawa i wierzenia. Każda z nich jest jak skarb. Kardynał Cisneros, ten sam, który namówił Królów Katolickich do zerwania pokojowych układów z muzułmanami, kazał spalić w Grenadzie ponad osiemdziesiąt tysięcy naszych pism. Ta boska księga jest więc istnym skarbem naszego ludu i tak należy ją traktować.

Skarb naszego ludu! Hernando ponownie stawał się strażnikiem skarbu wiernych.

Powinien czytać i uczyć się. Powinien pisać. Przekazywać wiedzę i pokrzepiać ducha muzułmanów. Zaakceptował to bez wahania. Abbas zaprosił go do karczmy i zamówił, ku jego zdziwieniu, dwie szklanki wina, wznosząc toast na oczach wszystkich biesiadujących.

— Musisz być bardziej chrześcijański od chrześcijan, a zarazem bardziej muzułmański niż ktokolwiek z naszych braci — szepnął mu do ucha.

Hernando podniósł do góry szklankę na znak, że się zgadza.

— Allah jest wielki — wyrecytował bezgłośnym ruchem warg. Abbas podniósł swoją szklankę i spełnili toast.

Do mieszkania nad stajnią dochodziły wyraźne w nocnej ciszy odgłosy setek koni pod podłogą; to grzebały niespokojnie nogą

w ziemi, to rzały lub parskąły. Czuło się także ich zapach. Jakże mało miał wspólnego ze zgniłym odorem garbarni! Ten zapach był silny i ostry, to prawda, ale zdrowy. Nawóz ze stajni królewskich wywożono regularnie do pobliskiego ogrodu inkwizycji, zanim zdażył zgnić pod kopytami koni.

Zamknął Koran i z braku lepszej kryjówki schował go do kufra. Potem znajdzie jakieś bezpieczniejsze miejsce, pomyślał, spoglądając na niewielką księgę w chwilowo pustym kufrze, który Fatima wypełni swoimi rzeczami, a z czasem — może i ubrankami niemowlęcia... Opuścił pokrywę kufra i zamknął go na klucz. Fatima! Tak czy inaczej zgodziłby się na propozycję starszyzny, ale kiedy dowiedział się od Abbasa, że on też w tym uczestniczy, nie miał już żadnych wątpliwości.

— Nasze dzieci pobierają naukę od kobiet — wyjaśnił mu kowal. — Nikt tego lepiej nie zrobi niż one. Wszystkie kobiety podejmują się tej roli z dumą i nadzieją. Dzięki temu unikamy donosów do inkwizycji. Trudno sobie wyobrazić, by dziecko zadenuncjowało własną matkę. Ty nie możesz i nie powinieneś spotykać się z tymi matkami, aby wyjaśniać im naszą doktrynę. To zadanie dla innej kobiety. Nikt nie będzie podejrzewał kobiety, która spotyka się ze swoimi krajankami.



# 34

Dwumiesięczny okres iddy zakończył się w środku tygodnia, ale Karim poprosił Hernanda, żeby przyszedł po Fatimę nie wcześniej niż w niedzielę po sumie, gdyż nie byli małżeństwem w świetle prawa Mahometa. Ślub miał się odbyć potajemnie i stanowił poważny problem dla Hernanda: nie miał pieniędzy na idak, a bez posagu nie można pojąć żony. Znaczna część jego zarobków trafiła do kieszeni naczelnika więzienia, reszta z ledwością starczyła na pokrycie niezbędnych kosztów. Nie miał nawet ćwierci złotej monety dobla wymaganej przez prawo! Jak mógł o tym nie pomyśleć?

— Dasz jej pierścionek — uspokajał go Hamid.

— Za co go kupię? — narzekał, myśląc o drożyznie w sklepach jubilerskich Kordoby.

— Wystarczy najprostsz. Może być z żelaza.

W niedzielę wyruszył spod kościoła Świętego Bartłomieja na ulicę Moriscos w dzielnicy Santa Marina. Powoli kroczył przez całą Kordobę, dając czas Karimowi i Fatimie na przygotowania. Ścisnął w dłoni wspianiały pierścionek z żelaza, który Abbas wykuł mu z resztek metalu. Wielkimi palcami kowala, tak bardzo różniącymi się od delikatnych dłoni złotników, porobił nawet miniaturowe wcięcia dekoracyjne.

Kiedy Hernando doszedł na miejsce, zobaczył przed domem

dwóch młodych morysków zajętych pogawędką, którzy w rzeczywistości pilnowali, czy nie pojawi się z niezapowiedzianą wizytą jakiś ksiądz albo urzędnik sądowy. Serdecznie przywitali Hernanda i od razu, nie wiadomo skąd, znalazł się przy nim trzeci chłopak, żeby zaprowadzić pana młodego do domu Karima. W tym niedużym, starym budynku jednopiętrowym z ogródkiem na tyłach mieszkało, jak wszędzie na tej ulicy, kilka rodzin. Kobiety zadbały o odświeżenie fasady, zresztą prawie wszystkie domy morysków były z zewnątrz wybielone i panował w nich nieskazitelny porządek jak niegdyś w Grenadzie.

Skromną listę gości otwierali Dżalil, Karim i Hamid. Ich obecność była niezbędna, aby związek miał moc prawną, i stanowiła jeden z nielicznych zwyczajów weselnych przestrzeganych w Kordobie. Trzej członkowie starszyny przywitali Hernanda. Uściskał Hamida, lecz myślał w tym momencie o swojej matce. Kiedy zjawił się ponownie w więzieniu, Aisza poprosiła, by więcej nie przychodził. „Masz dobrą pracę wśród chrześcijan — mówiła — i nie możesz jej stracić. Ja wkrótce stąd wyjdę. Po co ludziom wiedzieć, że odwiedzasz moryską skazaną za próbę ucieczki. Lepiej, żeby nie kojarzyli cię ze zniknięciem Brahima”. Tak bardzo chciałby mieć matkę przy sobie tego dnia!

Hamid oderwał się od niego, wziął go za ramiona i obrócił w stronę Fatimy, która właśnie szła mu na spotkanie. Ubrana w pożyczoną na tę okazję białą, lnianą tunikę, kontrastującą z jej śniadą cerą, płomiennym błyskiem wielkich czarnych oczu i długimi czarnymi, falującymi włosami, w które kobiety wplotły drobniutkie kwiatki. Żona Karima podarowała jej delikatną białą chustkę do przykrycia głowy. Fatima obnosiła z dumą swoje wspaniałe siedemnaście lat. Na szyi, w miejscu, gdzie Hernando wyczuł bicie serca dziewczyny, błyszczał zakazany klejnot ze złota.

Podał jej rękę, uchwyciła go mocno, jakby chciała mu pokazać swą siłę i wytrwałość. Tak to zrozumiał Hernando, kiedy uściskał jej dłoń. Ich spojrzenia skrzyżowały się i pozostały zatopione w sobie. Nikt im nie przerywał, nikt nie śmiał nawet poruszyć się

w takiej chwili. Miał wyznać jej miłość, gdy ona prawie niedostrzegalnie dała mu znak, by nic nie mówił, jakby chciała przedłużyć tę chwilę i smakować zwycięstwo. Drogo za nie zapłacili! Wiele musieli wycierpieć: przymusowy ślub i pożycie Fatimy z Brahimem...

— Kocham cię — powiedział Hernando, przeczuwając, jakie myśli krążą w tym momencie po głowie jego przyszłej żony.

Fatima zacisnęła wargi. Ona też odgadła jego myśli. Hernando zgodził się na niewolę, żeby udowodnić jej swoją miłość!

— A ja kocham ciebie, Ibn Hamidzie.

Uśmiechnęli się, więc żona Karima skorzystała z okazji, żeby ich ponaglić. Nie wypadało przedłużać uroczystości.

Hamid rozpoczął modlitwy. Wyraźnie się postarzał, trząś mu się głos i wciąż musiał odchrząkiwać. Fatima straciła wszelkie pozory spokoju i opanowania, kiedy podano jej prostą obrączkę z żelaza. Ręce drżały jej ze wzruszenia, nie pamiętała, na który palec ma ją włożyć. Na koniec uśmiechnęła się nerwowo. Nie było śpiewów, tańców ani żadnego poczęstunku; zebrani pomodlili się szeptem, zwróceni w kierunku Mekki, po czym państwo młodzi wyszli na ulicę Moriscos jak gdyby nigdy nic. Fatima wyjęła kwiatki z włosów i przebrała się w zwykłe ubranie. Przykryła głowę chustką i wzięła do ręki nieduży tobolek. Nie zapełnimy tym kufra, pomyślał Hernando na widok tego ekwipunku.



Włożyli naszyjnik z ręką Fatimy między kartki Koranu, przykrywając księgę białą chustką, którą Fatima starannie złożyła. Aby tradycji stało się zadość, wsunęli pod siennik na łóżku małą torebkę migdałów. Dziewczyna wciąż rozglądała się po mieszkaniu i przechodziła z jednej izby do drugiej, snując fantastyczne marzenia na temat wspólnej przyszłości, aż wreszcie przystanąła obok miski do mycia i odwracając się plecami do Hernanda, delikatnie zanurzyła czubki palców w czystej wodzie. Poprosiła, żeby zostawił ją samą do wieczora.

— Pragnę przygotować się dla ciebie.

Hernando nie widział jej twarzy, ale zmysłowy ton głosu przekazywał mu to, co chciał usłyszeć.

Ukrywając nagły niepokój, zszedł do stajni. W niedzielę nie było tu innych ludzi oprócz chłopca stajennego na dyżurze, który zbijał baki na zewnętrznym patio. Hernando przeszedł między boksami dla koni, poklepując źrebięta po zadzie i nogach. Był rozkojarzony, nie mógł na niczym się skupić. Myślał tylko o tym, jak Fatima przygotowuje się na poślubną noc? Nie miała białej tuniki z rozciętymi bokami, jak w Ugijar, gdzie po raz pierwszy spędzili z sobą noc. Nie było jej w tobołku! Przeszedł go dreszcz na wspomnienie twardych piersi i nabrzmiąłych sutków: sterczały prowokacyjnie, kiedy patrzył na nią pod światło... tunika rozchylała się przy każdym poruszeniu dziewczyny...

Nie zdążył się odsunąć. Młody, jeszcze nieoswojony źrebak, dopiero co przeniesiony z pastwisk, wierzgnął znieacka i trafił go w łydkę. Hernando poczuł ostry ból, schylił się, żeby obejrzeć ranę. Na szczęście koń nie był jeszcze podkuty, ból powoli mijał. Głupiec ze mnie! Hernando zgañił się za bezmyślność. Nie należy poklepywać zwierząt nienawykłych do takiego dotyku! Porywczy źrebak nazywał się Saeta\*, Hernando przewidywał, że przysporzy mu więcej problemów niż inne. Kiedy zbliżał się do niego, Saeta szarpnął za sznur, którym był przywiązany do ściany. Hernando stanął z boku, żeby nie narazić się na ponowne wierzgnięcie. Czekał cierpliwie, aż Saeta się uspokoi, najpierw milczał, ale kiedy zobaczył, że koń przestaje się miotać w ciasnym boksie, zaczął do niego mówić szeptem. Przemawiał łagodnie, jak do swojej mulicy Staruszki, kiedy byli w górach. Nie próbował podejść bliżej ani poklepać go po szyi. Saeta omijał go oczami, ale strzygł uchem przy każdej zmianie tonu głosu. Trwało to dość długo, źrebak jednak nie dał się przekonać, pozostał czujny i spięty, nawet nie poruszył głową, ani razu go nie powąchał i nie szukał kontaktu.

— Przejdzie ci to — powiedział Hernando, uznając, że chwilowo nic więcej nie osiągnie. — Zobaczysz, że zostaniemy przyja-

---

\* Strzała (hiszp.).

ciółmi — kontynuował, zmierzając w stronę wyjścia. Tym razem zachował ostrożność, nie spuszczał z oczu końskich kopyt.

— Na pewno tak będzie. — Hernando odwrócił się z przestraszeniem na te słowa. Don Diego López de Haro i José Velasco obserwowali go uważnie. Szlachcic miał na sobie odświętne ubranie: spodnie do kolan mieniające się różnymi odcieniami zieleni, aksamitne buty i skarpety, czarny dopasowany kaftan bez rękawów, koszulę wykończoną kryzami przy szyi i na mankietach — całość uzupełniał płaszcz i rapier u pasa. Obok stał jego lokaj José, a kilka kroków z tyłu chłopiec dyżurujący w stajni. Kiedy tu weszli? Czy było coś niestosownego w jego monologu? Usiłował sobie przypomnieć... Ach tak! Mówił po arabsku! — Zabolało kopnięcie? — zapytał don Diego, wskazując na nogę. Widzieli, że żrebak go kopnął... To znaczy, że wszystko słyszeli, od samego początku!

— Nie, Ekscelencjo — wyjąkał.

Don Diego podszedł bliżej i oparł poufale dłoń na ramieniu młodzieńca. Hernando poczuł się jeszcze bardziej onieśmielony. Przypomniawszy sobie na dodatek, że recytował żrebakowi sury!

— Czy wiesz, dlaczego nazywa się Saeta? — Koniuszy królewski nie czekał na odpowiedź. — Bo jest szybki jak strzała, zwinny i odważny, a porusza się tak, jakby chciał kolanami dotknąć nieba. Pokładam wiele nadziei w tym żrebaku. Dbaj o niego. Niczego nie zanedbuj. Gdzie nauczyłeś się tego, co wiesz o koniach?

Hernando się zawahał... Powiedzieć czy nie?

— W Sierra Nevada — odrzekł wymijająco.

Don Diego przechylił lekko głowę w oczekiwaniu dokładniejszych wyjaśnień.

— W górach tylko banici mieli konie — zauważył po chwili milczenia.

— Byłem z Ibn... z Aben Humeyą — przyznał wreszcie Hernando. — Zajmowałem się jego końmi.

Don Diego pokiwał głową, nie zdejmując ręki z ramienia moryska.

— Don Fernando de Valor y de Córdoba — powiedział cicho. — Słyszałem, że umarł jako chrześcijanin. Don Juan de

Austria zarządził ekshumację jego zwłok. Będzie miał chrześcijański pochówek w Guadix. — Szlachcic zadumał się po tych słowach. — Wracaj do siebie — powiedział na koniec — dziś niedziela, jutro popracujesz przy koniach.



Hernando skierował wzrok na okna: słońce zbliżało się ku zachodowi. Fatima! Ukłonił się niezgrabnie i szybko wyszedł ze stajni.

Don Diego stał jeszcze przez chwilę, wpatrując się w Saetę.

— Większość mężczyzn reaguje gwałtownie na kopnięcie młodego żrebaka — powiedział do lokaja, nie odwracając się do niego. — Biją, złością się, próbują ukarać, co nie prowadzi do niczego dobrego. Natomiast on okazał żrebakowi serce. Opiekuj się tym chłopcem, José. Ma dryg do koni.

Hernando wbiegł po schodach prowadzących do części mieszkalnej i zapukał do drzwi.

— Musisz poczekać — powiedziała Fatima, nie otwierając.

— Już się zmierzcha — poprosił naiwnie błagalnym tonem.

— Jeszcze nie jestem gotowa — odparła zdecydowanie.

Chodził po korytarzu od jednych drzwi do drugich, aż się zmęczył i przestał. Co ma począć? Czas płynął. Zapukać znowu? Chyba jeszcze nie. Usiadł na podłodze pod drzwiami. A jeśli ktoś go zobaczy... Co wtedy powie? Reszta pracowników mieszkała na wyższym piętrze... ale któryś może tędy schodzić i co wtedy? Oby tylko nie królewski koniuszy! No nie, on jest na dole przy koniach. Czy słyszał jego słowa skierowane do Saety? Zabrania się mówić po arabsku. Moryskowie wnieśli petycję do rady miejskiej Kordoby, wyjaśniając, że dla wielu z nich arabski jest jedynym językiem, jaki znają. Prosilili o zwłokę we wprowadzeniu tego zakazu, żeby dać czas na naukę kastylijskiego. Nic nie uzyskali, a za używanie arabskiego karano grzywną i więzieniem. Co zatem grozi za recytowanie Koranu po arabsku? Jednakże don Diego nic nie powiedział. Może to prawda, że konie są tu jedyną religią...?

Nieśmiałe pukanie do drzwi wyrwało go z tych rozmyślań. Co to znaczy...?

Pukanie się powtórzyło. Fatima wzywała go do siebie.

Hernando się podniósł i delikatnie otworzył drzwi. Nie były zamknięte.

Stanął jak sparaliżowany.

— Zamykaj! — pisnęła Fatima z radosnym uśmiechem na ustach.

Posłuchał od razu.

Fatima nie miała odpowiedniej tuniki, więc przyjęła go naga, spowita jedynie w błyski zachodzącego słońca i drżące światło świecy za jej plecami. Na piersiach zrobiła henną symetryczne płomienie: strzelały do góry, liżąc czubki palców złotej ręki, która znowu zawisła na jej szyi. Pomalowała oczy i obrysowała je grubą kreską, uwydatniając ich migdałowy kształt. Hernando patrzył z zachwytem na szczupłe, zmysłowe ciało żony, pachnące kwiatem pomarańczy. Oboje stali nieruchomo i milczeli, ciszę mąciły jedynie ich przyspieszone oddechy.

— Chodź — poprosiła.

Hernando podszedł bliżej i przesunął lekko palcami po rysunku na piersiach Fatimy. Nie odsunęła się. Westchnęła tylko mocniej, kiedy dotknął jej nabrzmiąłych sutków i zaczął się nimi bawić. Chciał wziąć jej piersi w swoje dłonie, ale powstrzymała go i popchnęła delikatnie w stronę miski. Zaczęła go powoli rozbiierać i myć od góry do dołu.

Dopiero wtedy Hernando wyjąkał pierwsze słowa i zatracił się w dreszczu podniecenia, Fatima pochylała się nad nim, jej piersi muskały skórę, wilgotne dłonie przebiegały zmysłowo po karku, ramionach, brzuchu, wewnętrznej stronie uda...

Słyszał jej słodki szepc: kocham cię, pragnę, chcę być twoja, weź mnie, zaprowadź do rajy...

Po zakończeniu mycia pocałowała go i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie — powiedział Hernando. — Długo czekałem na...

Nie pozwoliła mu dokończyć, uniosła się lekko, objęła go nogami w pasie i poruszała biodrami, dopóki nie poczuła dotyku twardego penisa na swoim sromie. Ich dyszące oddechy zlały się w jedno, kiedy Fatima podsunęła lekko biodra do przodu i wszedł w nią głęboko, do samego końca. Pot zaperlił się na jego napiętych mięśniach, gdy podtrzymywał ją mocno za plecy, a ona wyginała się w łuk i na boki, szukając jeszcze silniejszych doznań. Narzuciła swój rytm, wsłuchana uważnie w jego oddech, westchnienia, niezrozumiałe szepty. Zatrzymywała się parę razy, żeby ugryźć kochanka w ucho albo szyję, przyspieszała i zwalniała, prosiła, żeby się nie spieszył, gdy przybierał zbyt ostre tempo, w chwilach przerwy obiecywała niebiańskie rozkosze, by zaraz znowu podjąć rytmiczny taniec na jego członku. Osiągnęli orgazm w tym samym momencie.

Hernando wydał głośny okrzyk, a pogrążona w ekstazie Fatima jęczała jeszcze głośniejszym głosem niż mąż.

— Zanieś mnie teraz do łóżka, ale nie rozłączaj się — prosiła, kiedy położył dłonie na jej biodrach. — Tak jest dobrze. — Przywarła do niego mocniej. — Nie wychodź ze mnie — żądała. — Kocham cię. — Trzymała go za włosy, kiedy niósł ją do łóżka. — Zostań we mnie jak najdłużej. Kochaj mnie...

Upadli na łóżko złączeni w jedno, całowali się i pieścili, dopóki Fatima nie wyczuła wzbierającego w Hernandzie pożądania. Kochali się szaleńczo jak za pierwszym razem. Potem ona wstała, przygotowała napój cytrynowy, suszone owoce i podała mu to do łóżka. Podczas gdy Hernando jadł, zaczęła lizać jego ciało, przeżyła się jak kotka, zapraszając go do tej zabawy, a kiedy się przyłączył, udawała, że nie chce, turlała się z boku na bok i wyginała jak cięciwa, żeby musiał szukać językiem jej ciała.

Tej nocy przemierzili wspólnie niejedną raz tysiącletnie ścieżki miłości i rozkoszy.



# 35

*8 grudnia 1573,  
uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP*

Minęło siedem miesięcy od ich ślubu. Aisza odbyła karę sześćdziesięciu dni więzienia i po jej wyjściu na wolność Hernando otrzymał zgodę administratora, aby matka z małym Szamirem zamieszkała z nimi w pokojach nad stajnią. Fatima była w piątym miesiącu ciąży, żrebak Saeta zaakceptował go wreszcie jako opiekuna i pozwolił się dotykać. Hernando nigdy więcej nie mówił do niego po arabsku. Podczas nocy poślubnej, kiedy spoceni odpoczywali w łóżku, opowiedział Fatimie, co mu się przytrafiło ze żrebakiem w obecności don Diega.

— Chrześcijanin zawsze będzie chrześcijaninem — odparła surowym tonem, odnosząc się ze sceptycyzmem do jego stwierdzenia, iż tu jedyną religią są konie. — Przeklęci! Nie ufaj im, mój kochany. Nieważne, z końmi czy bez koni, oni zawsze pałają do nas nienawiścią, i to się już nie zmieni.

Po tych słowach Fatima przytuliła się mocno do męża, domagając się nowych pieszczot.

Hernando pracował od wschodu do zachodu słońca. Dwa razy dziennie lonżował ogierki, żeby wprawiły się do ćwiczeń. Używał do tego celu długiego kantara i tak nim obracał, że żrebaki chodziły w koło. Do pyska wkładał im świeżo zerwane, posmarowane miodem gałązki, dobierając stopniowo coraz grubsze, by przygo-

tować źrebięta do żelaznego wędzidła, które prędzej czy później dostaną. Na grzbiet zarzucał worki z piaskiem, żeby miały przedsmak ciężaru jeźdźca, którego będą dźwigać. Po odprowadzeniu do boksów czyścił je zgrzeblem, usuwał brud z kopyta, zmuszając do trzymania nogi w górze, co było wstępem do późniejszej współpracy z kowalem. Saeta pierwszy dał się wyprowadzić na dziedziniec z workiem piasku na grzbiecie i grubą witką w zębach. Niezależnie od tych zajęć Hernando często towarzyszył jeźdźcom w pierwszych wyprawach na miasto, jak wtedy z Rodrigem.

Lubił swoją pracę, dogładane przez niego źrebięta tryskały zdrowiem i nabierały dobrych manier. Zaskoczył chłopców stajennych propozycją urozmaicenia dotychczasowej paszy, która składała się z owsa i słomy. Ognisty Saeta miał odtąd dostawać dodatkowo papkę z bobu lub z grochu zmieszaną z otrębami oraz garść soli wieczorem. Łagodne, bojaźliwe źrebaki kazał dokarmiać ugotowaną poprzedniego dnia wieczorem pszenicą albo żytem z dodatkiem otrąb, soli i oleju. Propozycje Hernanda budziły, jak każda nowość, pewien sprzeciw personelu stajennego, dopóki don Diego nie uznał ich za przydatne, zalecając korzystanie ze wskazówek moryska. Wyniki były ewidentne i nie dały na siebie czekać. Saeta stał się mniej nerwowy, nie tracąc nic ze swej ognistości, a bojaźliwe źrebięta nabrały animuszu i tryskały radością. Ujeżdżacze, chłopcy stajenni, kowale i rymarze zaczęli odnosić się do Hernanda z szacunkiem. Administrator zaspokajał wszystkie jego potrzeby, w tym również prośbę o zarekomenderowanie Aiszy do pracy w przedzalni jedwabiu.

Na ósmego grudnia 1573 roku, święto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, inkwizytorzy zaplanowali autodafe w kordobańskiej katedrze. Hernando i Fatima z niepokojem śledzili nastrój podniecenia, jaki wiadomość ta wywołała wśród mieszkańców, nie wyłączając personelu stajni. Podobnie było w dwóch ubiegłych latach o tej porze. Zeszlórocznemu autodafe, które też przypadło na święto Niepokalanego Poczęcia, towarzyszyło wielkie poruszenie i chorobliwa ciekawość. Po długim procesie, na którym nie obeszło się bez tortur, ogłoszono wyrok w sprawie siedmiu

czarownic. Wśród nich była sławna cudotwórczyni z Montilli, Leonor Rodríguez, znana jako La Camacha, którą po wyznaniu wszystkich win i obietnicy poprawy skazano na sto batów w Kordobie i drugie tyle w Montilli, a do tego dziesięć lat wygnania z rodzinnego miasta i obowiązek dwuletniej posługi w kordobańskim szpitalu. W tamtym czasie, gdy religijny żar ogarnął nawet konie, moryskowie chyłkiem przemykali po ulicach miasta, starając się nie rzucać w oczy sąsiadom. La Camacha wyznała bowiem na torturach, że magicznych sztuczek nauczyła ją pewna muzułmanka z Grenady!

Hernando i Fatima najchętniej trzymaliby się z daleka od tegorocznych wydarzeń zapowiedzianych przez trybunał inkwizycji, ale nie mogli. Na dzień przed świętem odwiedził ich wieczorem Abbas.

— Jutro musimy stawić się w meczecie, gdzie odbędzie się autodafe — oświadczył szorstko zaraz po przywitaniu.

Hernando i Fatima wymienili między sobą spojrzenia.

— Tak sądzisz? — spytał młodzieniec. — Co nam to da?

— Wśród skazanych jest kilku morysków.

Mimo afrykańskiego wyglądu i pochodzenia Abbas miał bardzo dobre stosunki z inkwizytorami. Sam postępował wedle wskazówek udzielonych Hernandowi i w oczach bezlitosnych mieszkańców alkazaru uchodził za największego chrześcijanina wśród chrześcijan. Stawiano go za wzór ewangelizacji mahometanina. Dodatkowo przysporzył sobie sympatyków wśród skąpych inkwizytorów i zauszników Świętego Oficjum, ponieważ naprawiał im uszkodzone zawiasy w drzwiach, dziury w ogrodzeniu, połamane klamry i inne ozdoby. A przede wszystkim kraty w oknach więzienia...! Zręczny kowal ze stajni królewskich wykonywał drobne zlecenia za darmo, z czystej pobożności, jak mówił, nie biorąc ani grosza.

— W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego musimy iść na autodafe — upierał się Hernando.

— Po pierwsze, dlatego że tak nakazuje nam pobożność i szacunek dla świętej inkwizycji — odparł kowal, krzywiąc się złośliwie. — Zapewniam was, że musimy tam się pokazać. Po

drugie, chcę ci kogoś przedstawić. A po trzecie i najważniejsze, żeby wiedzieć, za co osądzono naszych braci i na jakie kary zostali skazani. Musimy poinformować Algier, jak inkwizycja traktuje muzułmanów w Hiszpanii.

Fatima i Hernando wyprostowali się jednocześnie.

— Dlaczego? — zaciekawiał się młody morysk.

Abbas poprosił ich o uwagę i cierpliwość.

— Za każdego skazanego moryska Turcy biorą odwet na chrześcijańskich niewolnikach z łaźni w Algierze. Tak. Właśnie tak — potwierdził, widząc powątpiewanie na twarzy Hernanda. — Tutejsi chrześcijanie o tym wiedzą. To nie znaczy, że inkwizycja zaraz zrezygnuje z karania tak zwanych heretyków. Prawdopodobnie jednak weźmie to pod uwagę przy wymierzaniu mniej czy bardziej surowej kary. Traktujemy to jako metodę nacisku. Z tego co wiem, jest skuteczna. Wiadomości krążą w obie strony. My przekazujemy je do Algieru, a odpowiedź przynoszą nasi wykupieni bracia albo zakonnicy mercedarianie, którzy wracają stamtąd z uwolnionymi niewolnikami. Zawsze tak było. Przed panowaniem Królów Katolickich korsarze schwytani w Hiszpanii byli kamienowani bądź wieszani. Znajdowało to natychmiastową odpowiedź po drugiej stronie cieśniny, gdzie korsarze uśmiercali jakiegoś chrześcijanina. Z czasem doszło do niepisanej umowy: dożywotnie galery dla jednych i drugich. Podobnie dzieje się teraz w wypadku inkwizycji. W Kordobie nie było morysków przed przybyciem wysiedleńców z Grenady, dlatego musimy zorganizować od podstaw to, co w innych królestwach istnieje od dawna.

— Jak przekazemy tę informację do Algieru?

— Po Hiszpanii codziennie wędruje ponad cztery tysiące muzułmańskich mulników! Wierni wciąż przedostają się do Berberii. Co prawda naszym łodziom nie wolno zbliżyć się do afrykańskich wybrzeży, ale udaje im się obejść ten zakaz, zwłaszcza że strefa wodna jest słabo strzeżona przez chrześcijan. Za pośrednictwem mulników przekazujemy informacje o poczynaniach inkwizycji naszym banitom i zbiegłym niewolnikom ukrywającym się w Sierra Morena, a ci zabierają je z sobą do Berberii i...

— Masz na myśli również Ubajda? — spytał gwałtownie Hernando, przypominając sobie, co matka mówiła o spotkaniu z banitami.

— Chodzi ci o Jednorekiego? — Abbas zmarszczył czoło.

— Tak. Ten człowiek przysiągł, że mnie zabije.

Zaskoczona Fatima rzuciła mężowi pytające spojrzenie. Nie wiedziała dokładnie, co wydarzyło się na drodze Ventas. Hernando nie chciał jej martwić. Powiedział tylko, że Brahim uciekł, a Aisza wróciła sama.

Hernando wziął Fatimę za rękę i skinął twierdząco głową.

— Co Ubajd robi w Kordobie? Kiedy dowiedziałeś się, że tu jest? — wypytywała z niepokojem, przeczuwając niebezpieczeństwo zagrażające mężowi.

— Banici nas potrzebują — wtrącił Abbas — a my ich jeszcze bardziej. Nie przeżyliby bez pomocy morysków z osad leżących w pobliżu miejsca ich kryjówki. Dlaczego on przysiągł cię zabić?

Hernando opowiedział mu całą historię, wspominając o groźbach Ubajda pod jego adresem i przeciwko Brahimowi, jednakże przemilczał fakt, iż to on ukrył pod uprzężą muła srebrny krucyfiks, co doprowadziło do oskarżenia mulnika z Narili.

— Teraz rozumiem — powiedział Abbas — dlaczego obciął rękę twojemu ojczymowi. Taka gwałtowna napaść na brata w więzienie wydawała nam się co najmniej dziwna. Rozumiem również nieufność Hamida wobec Sobaheta i Jednorekiego.

Fatima też to pojęła i wbiła w Hernanda oskarżycielskie spojrzenie.

— Razem z matką uznaliśmy, że lepiej ci nie mówić o pewnych rzeczach — przyznał, ściskając mocniej dłoń żony. — A ty skąd to wszystko wiesz? — zapytał kowala.

— Już ci mówiłem, że jesteśmy w stałym kontakcie. — Abbas podrapał się w zamyśleniu po brodzie. — Spróbuję to jakoś załatwić. Zażądamy, by zostawił cię w spokoju. Obiecuję.

— Skoro tak dużo wiesz o banitach — odezwała się Fatima głosem pełnym niepokoju — to powiedz, co się stało z Brahimem?

— Wyzdrowiał — odrzekł Abbas. — Podobno dołączył do grupy ludzi, którzy chcą przedostać się do Maghrebu.



I tak rzeczywiście było. Jednakże nikt, nawet ludzie, do których przysłał po spotkaniu z banitami, nie wiedział, że ból po obciętej dłoni niemal zniknął w momencie, gdy Brahim rzucił ostatnie spojrzenie na ziemię Kordoby rozciągające się u stóp gór Morena. Silne klucia w ramieniu nic nie znaczyły w porównaniu z wściekłością, jaka go ogarnęła na myśl, że musiał porzucić Fatimę, która była jego jedynym szczęściem w nędznym życiu pośród chrześcijan. Starszyzna odebrała mu żonę. Wyobrazził ją sobie w ramionach nazarejczyka. Fatima pozwala się pieścić Hernandowi, może już nosi w brzuchu nasienie tego bękarta... Przysięgam, że wrócę po ciebie! — rzucił Brahim w kierunku równiny.



Było zimno, lecz słonecznie, choć minęła już godzina trzecia. Hernando zawahał się przed wejściem w Bramę Przebaczenia kordobańskiego meczetu. Fatima zauważyła to w porę, ale Abbas wyprzedził ich o kilka kroków. Klębiący się za nimi tłum wepchnął ich do środka przy akompaniamencie dzwonów, które były z dawnego minaretu zamienionego w dzwonnice.

Hernando spędził już trzy lata w Kordobie i wiele razy przechodził koło meczetu; czasem wbijał wzrok w ziemię, a czasem spoglądał ukradkiem na mury otaczające jak twierdzę miejsce modlitwy kalifów zachodnich i tysiący wiernych, którzy zapalili w Kordobie latarnię prawdziwej wiary promieniującej na tę część Europy.

Jednakże nigdy nie odważył się wejść do środka. Katedra miała ponad dwustu księży, nie licząc członków kapituły, i składała się z wielu kaplic, w których codziennie sprawowano ponad trzydzieści mszy.

Po przejściu przez kruchą nakrytą kopułą wychodzącą z wielkiego ostrołuku bramy ludzka fala wypłynęła Hernanda i Fatimę,

rozlewając się po ogrodzie klasztornym wśród cyprysów, palm oraz drzewek pomarańczowych i oliwnych, które rosły przed wejściem do katedry. Odgadując myśli młodzieńca, kowal zacisnął wargi i dał mu znak ręką, żeby się nie zatrzymywał. Fatima przykryła głowę białą chustą, którą miała na sobie w dniu ślubu, i chwyciła męża za ramię.

Ogród klasztorny miał kształt wielkiego prostokąta otoczonego z trzech stron arkadami krużganków o wymiarach pokrywających się z północną fasadą katedry. Od drzew i ogrodowych fontann szedł ciepły, świeży powiew, niemniej trójka morysków skuliła się na widok setki sambenitów\* zawieszonych na drzwiach klasztoru ku nieustannej przestrodze heretykom: inkwizycja czuwa. W czasach muzułmańskich wierni dokonywali tu oczyszczenia przez ablucję w czterech umywalniach, dwóch dla kobiet i dwóch dla mężczyzn, które kalif Al-Hakam kazał wybudować na zewnątrz przed meczetem, przy wschodniej i zachodniej fasadzie, a następnie wchodził do sali modlitw przez dziewiętnaście bram, po jednej na każdą nawę, zamurowanych obecnie przez chrześcijan. Zachowała się jedynie Brama Błogosławieństw, gdzie niegdyś błogosławiono chorągwie wojsk wyruszających do walki z muzułmanami. Tędy trójka morysków wkroczyła do środka, zatrzymując się od razu, by przyzwyczaić wzrok do światła zawieszonych u sufitu lamp ledwie na dziewięć łokci nad głową, i nawet Abbas, który nie był tu po raz pierwszy, dał się ponieść wrażeniu, które obezwładniło Fatimę i Hernanda, podczas gdy tłum wlewał się jak żywa fala, jednych rozdzielając, popychając drugich. Las prawie tysiąca kolumn w szeregach połączonych podwójnymi arkadami, jedna nad drugą, w których czerwień cegieł mieniła się z ochrą kamiennych łuków, otwierał się przed nimi, zapraszając do modlitwy!

Przez kilka chwil stali nieruchomo, wdychając silny zapach kadzidła. Zamyślony Hernando wpatrywał się w wizygockie i rzymskie kapitele, z których każdy był inny, a wszystkie wieńczyły

---

\* Ubiór przywdziewany przez pokutników oraz skazanych przez inkwizycję.

kolumny w miejscach połączenia z łukami. Fatima poczuła się bezpiecznie między dwoma mężczyznami.

— Nie ma innego Boga poza Allahem, a Mahomet jest Jego posłańcem — wyszeptała wiedziona jakąś zewnętrzną, magiczną siłą.

— Oszalałaś? — zganił ją Abbas, rozglądając się, czy ktokolwiek mógł to usłyszeć.

— Tak — odparła głośno i ruszyła przed siebie jak pijana, głaszcząc swój wystający brzuch.

Abbas rzucił błagalne spojrzenie Hernandowi, żeby powstrzymał swoją żonę, zanim zdąży popełnić jakieś głupstwo.

— Opamiętaj się. Zrób to dla naszego dziecka. — Hernando dogonił ją w paru susach i prosił, dotykając ręką jej brzucha. Fatima zdawała się budzić. — Przysięgłem ci kiedyś, że rzucę chrześcijan do twoich stóp, a dziś przysięgam, że pewnego dnia pomodlimy się razem w tym świętym miejscu do jedyne go Boga. — Dziewczyna przymknęła oczy. Taka przysięga nie była pełna. — Przysięgam na Allaha — dorzucił cicho Hernando.

— Ibn Hamidzie — powiedziała, nie bacząc na nic. Ludzie przesuwali się obok nich podekscytowani zbliżającą się ceremonią. — Zapamiętaj na zawsze tę przysięgę. Wypełnij ją za wszelką cenę.

Abbas odetchnął z ulgą, widząc, że Fatima znowu bierze męża pod rękę.

Nie zdołali posunąć się dużo dalej do przodu; tysiące osób tłoczyło się wokół miejsca, gdzie powstawała nowa renesansowa katedra na planie krzyża, wsparta na wielkich gotyckich filarach i łukach przyporowych, w samym sercu domu modlitwy muzułmanów — w nawie centralnej wiodącej do mihrabu — przewiercając sklepienie meczetu, by wynurzyć się imponująco ponad nim i osiągnąć w ten sposób pożądane proporcje chrześcijańskiej świątyni. Ta wielka budowla rozpoczęta wiele lat temu i wciąż niedokończona miała zastąpić prymitywny kościółek wybudowany w meczecie w miejscu, gdzie znajdował się mihrab Abd ar-Rahmana II. Erekcji nowej kaplicy głównej sprzeciwiła się rada



miejska Kordoby. Jej członkowie obawiali się, że nowa konstrukcja wyruguje dawniejsze kaplice i ołtarze. W sporze z kapitułą katedralną rajcy i ławnicy Kordoby posunęli się do obwieszczenia kary śmierci dla wszystkich zatrudnionych przy budowie. Cesarz Karol I położył kres sporowi, zezwalając na wzniesienie nowej katedry.

Podczas gdy czekali w tłumie roześmianych, rozgadanych widzów, aż wejść wszyscy wierni (z których wielu musiało pozostać w ogrodzie, bo się nie pomieścili), a potem trybunał Świętego Oficjum, członkowie kapituły katedralnej, rajcy miejscy i wreszcie więźniowie, Hernando miał czas rozejrzeć się po wspaniałej budowli zdolnej pomieścić tysiące osób. Pomijając część ogrodową, meczet był zbudowany na planie zbliżonym do kwadratu. W jego wnętrzu powstawała nowa katedra otoczona setkami kolumn z podwójnymi łukami, gdzie czerwień łączyła się z ochrą. Przestrzeń między ostatnim rzędem kolumn i murami meczetu chrześcijańscy szlachcice i prebendarze wykorzystali na liczne kapliczki poświęcone świętym patronom i męczennikom.

Wystawiono tu na widok publiczny, podobnie jak na ulicach całego miasta, ołtarze, figury Chrystusa, obrazy i ścienne malowidła religijne jako dowód potęgi rodów szlacheckich. One za to płaciły, obdarowując katedrę zapisami i legatami. Gdzie spojrzeć, widać było herby i godła heraldyczne szlachciców, kawalerów i książąt Kościoła, wyrzeźbione na ścianach, łukach i kolumnach, wyrzeźbione w żelazie niezliczonych krat zamykających owe kaplice, na płytach nagrobnych w posadzce, w retabulach i malowidłach kaplic, i w każdym możliwym miejscu: na zamkach u drzwi, lampach, klamkach, ławach i krzesłach... nie mówiąc już o trofeach wojennych i hełmach rycerzy kastylijskich, niemieckich, polskich i czeskich, porozwieszanych dookoła w akcie dziękczynienia za zwycięstwa w imię chrześcijańskiej wiary.

Hernando poczuł się jak muzułmanin wśród chrześcijan, gdy rozległa się muzyka organowa, a chór zaintonował pieśń, przy której brzmieniu pojawili się biskup, inkwizytor Kordoby i *corregidor* miasta, za każdym kroczyła świta, a na końcu więźniowie. Zupełnie jak ta budowla, dodał w myślach i pogłaskał najbliższą

z kolumn. Sektor kapliczek mówił o chrześcijańskim ferworze. Przestrzeń z tysiącem kolumn i czerwono-żółtych łuków opiewała wielkość Allaha, a pośrodku, między kolumnami — nowe chrześcijańskie sanktuarium i chór.

Hernando podniósł wzrok ku sklepieniu: chrześcijanie chcieli, by ich świątynie były bliżej Boga, dlatego budowle pięły się ku niebu na tyle, na ile pozwalały środki techniczne. Wznosili kościoły masywne u podstawy i wysmukłe w górze. Natomiast kordobański meczet jawił się jako cud muzułmańskiej architektury, rezultat śmiałej idei konstrukcyjnej, aby moc boża spływała na wierzących. Przekrój górnych łuków podwójnych arkad spoczywających na kolumnach meczetu wynosił w szerokości dwa razy tyle, ile przekrój łuków podtrzymujących. W przeciwieństwie do chrześcijańskich świątyń ciężkie, solidne elementy w meczecie znajdowały się ponad wysmukłymi kolumnami, rzucając nieustannie jawne wyzwanie prawom ciężenia. Moc boża była na wysokościach, słabość ludzi modlących się w meczecie — na dole.

Dlaczego chrześcijanie nie zniszczyli wszystkich śladów znienawidzonej przez siebie religii, jak to zrobili z innymi meczetami w mieście? — zastanawiał się Hernando wpatrzony w podwójne łuki nad kolumnami. Kapituła katedralna i szlachta Kordoby należały do najbogatszych w Hiszpanii, chęci do takiego działania im nie brakowało. Mogli przecież zaprojektować ogromną katedrę jak w Grenadzie albo Sewilli, a jednak pozwolili, by pamięć muzułmańska przetrwała w tych kolumnach, niskich stropach, układzie naw... Pozostał duch meczetu! Magiczna jedność cechuje to miejsce nawet teraz, pomyślał ze wzruszeniem.

Żadne z nich nie widziało autodafe, które odbywało się na podwyższeniu obok głównej kaplicy, gdyż tylko ludzie najbliżej kordonu bezpieczeństwa, utworzonego przez urzędników miejskich i sądowych, mogli coś zobaczyć. Ale wszyscy usłyszeli, o co się oskarża i jaka kara czeka czterdziestu trzech więźniów z królestwa Kordoby, w tym dwudziestu dziewięciu morysków podlegających jurysdykcji trybunału. Wyroki odczytano publicznie, krótko i węż-

łowato, bez zbędnych wyjaśnień. Chrześcijanie ucichli w tym momencie, po czym uczcili sędziów żywołową owacją, obrzucając skazanych wyzwiskami i gwizdami.

Karę dwustu batów otrzymał chrześcijanin z Santa Cruz de Mudela, który uznał za fałszywe słowa składu apostołskiego, iż Bóg przyjdzie sądzić żywych i umarłych. „Już raz tu był! — upierał się więzień. — Po co ma przychodzić ponownie?”. Na chłostę skazano również kilkoro innych chrześcijan, którzy głośno mówili, iż nie jest grzechem stosunek płciowy i konkubinat, jeśli mężczyzna jest kawalerem. Dwieście batów i trzy lata ciężkich galer otrzymał mieszkaniec Andújar za bigamię. Dekarz z Aguilar de la Frontera musiał zapłacić grzywnę za głoszenie, że piekło jest tylko dla Maurów i samobójców. „Po co mieliby chrześcijanie iść tam, gdzie są Maurowie?” — pytał. Grzywna i wystawienie na pośmiewisko publiczne w kagańcu z zawiązanymi rękami to kara dla mężczyzny twierdzącego, iż płatna miłość nie jest grzechem. Kilka osób, mężczyzn i kobiety, skazano na drobne kary pieniężne oraz sambenito, jednych za złorzeczenie i powątpiewanie w skuteczność ekskomuniki, innych za wypowiedanie brzydkich, gorszących i heretyckich słów. Na koniec konfiskata mienia, baty i dożywotnie galery dla dwóch Francuzów z sekty Lutra oraz wyrok śmierci *in effigie* dla trzech pojmanych przez korsarzy mieszkańców Alcalá la Real, którzy wyrzekli się wiary katolickiej w Algierze.

— Elvira Bolat — rozpoczął śpiewnie notariusz — nowa chrześcijanka z Terque...

— Elvira! — wyrwało się Fatimie. Mężczyzna i kobieta stojący z przodu odwrócili się z zaskoczeniem, spoglądając najpierw na dziewczynę, a potem na Hernanda, któremu ona tłumaczyła: — To moja przyjaciółka z czasów przed...

Abbas przeżegnał się ostentacyjnie.

— Niewiasto! — przerwał jej ostro Hernando, czyniąc znak krzyża za przykładem kowala — wyrzeknij się takich wspomnień z dzieciństwa. Są niestosowne dla ciebie. Módl się za nią — dodał, ściskając ją za ramię. — Proś Najświętszą Maryję Panne, żeby Pan Jezus sprowadził tę nieszczęsną na dobrą drogę.

Mężczyzna i kobieta z przodu przytaknęli na znak zgody i przestali zwracać na nich uwagę.

Grzywna, sambenito i chłosta. Pięćdziesiąt batów w Kordobie i drugie pięćdziesiąt w Écija, miejscu zamieszkania Elviry, za „sprawy typowe dla Maurów”. Podobny los — sambenito, kursy katechezy w parafiach i sto albo dwieście batów, w zależności od płci — spotkał pozostałych morysków zatrzymanych przez inkwizycję pod zarzutem herezji, którzy, po wyznaniu swych win, pojednali się z Kościołem. Kolejny oskarżony — niewolnik recydywista w próbach ucieczki do Berberów, wierny wyznawca sekty Mahometa — został przekazany władzom świeckim. Widzowie eksplodowali oklaskami. Będą mieć swoje widowisko! Spalenie na stosie trzech podobizn renegatów z Alcalá uwięzionych w Algierze nikogo nie zadowalało. Co innego żywy, niepokorny niewolnik. Nie przyznał się do winy, więc nie skorzysta z łaski uduszenia garotą, będzie żywcem spalony! Publiczność lubi takie sceny.

— Tak ogłaszamy i oświadczamy.

Członkowie trybunału zakończyli autodafe. Nastąpiło przekazanie skazańców świeckim urzędnikom w celu wykonania wyroków. Jeszcze zanim padło ostatnie słowo, ludzie popędzili w kierunku Quemadero na polu Marrubial od strony wschodniej, czyli na drugi kraniec miasta.

Podniósł się taki harmider, że Hernando mógł bez obaw odezwać się do Abbasa. Ogarniał go wstręt. Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy pchali się, śmiali i krzyczeli.

— Jednego Maura mniej — usłyszał obok siebie.

Przyjęto te słowa salwą śmiechu.

— Czy naprawdę musimy patrzeć, jak ginie na stosie jeden z nas? — spytał.

— Nie. Ponieważ czekają na nas w bibliotece — odparł chłodno kowal. — Ale powinniśmy. — Hernando natychmiast uzmysłowił sobie swój błąd. — Ten człowiek umrze, broniąc prawdziwej religii, w obecności tysięcy rozegzaltowanych chrześcijan, żądnych krwi i zemsty. Pomyśl, że dla tych wszystkich wierzących, którzy zostali dziś osądzeni i skazani, kara jest

powodem do dumy. Kobiety udają, że im zimno i proszą o sambenito dla swoich małych dzieci. Chcą nam pokazać w ten sposób, że nie zapomniały prawdziwego Boga, że wiara jest wciąż żywa wśród morysków. — Fatima słuchała z półprzymkniętymi oczami, opierając obie dłonie na brzuchu. Hernando chciał przeprosić, ale Abbas nie dał mu dojść do słowa: — Nie tak dawno dowiedzieliśmy się, że kilka dni po autodafe w Walencji jeden z katów wykonujących wyroki zgłosił się do położonej w górach wioski Gestalgar po odbiór zapłaty za swoją haniebną pracę. Pewien morysk powiedział, że nie zapłaci, ponieważ nie wymierzono mu chłosty. Po dokładnym sprawdzeniu okazało się, że miał rację, po czym na własne życzenie dostał sto batów w obecności rodziny i sąsiadów. Zapłacił oprawcy dopiero wtedy, gdy plecy paliły go żywym ogniem. Mógł to zrobić od razu i uniknąć chłosty, ale nie, wolał cierpieć jak jego bracia. Taki jest nasz lud! — Kowal zamilkł i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w las kolumn i dwukolorowych arkad, jakby brał je na świadków swoich słów. — Chodźmy — powiedział na koniec.

Przeszli przez meczet pełen spóźnialskich i ludzi, którzy z tego czy innego powodu nie podążyli na miejsce egzekucji. Nikogo z dostojników nie było już w meczecie. Okrążyli transept w przebudowie, którego ramiona pokrywały się z wymiarami naw mużmańskich, i zostawili za sobą trzy renesansowe kapliczki usytuowane z tyłu za ołtarzem. Główna część świątyni była już gotowa, z wyjątkiem eliptycznej kopuły, która miała ją przykryć. Na stojących wciąż rusztowaniach spoczywało prowizoryczne sklepienie. Stąd przeszli do części południowo-wschodniej, gdzie w starej kaplicy mieściła się wspaniała biblioteka katedralna z setkami dokumentów i ksiąg, niektóre z nich w rękopisach, które opracowano ponad osiemset lat temu. Wejście zagradzała wspaniała krata z kutego żelaza, ale drzwi były otwarte.

— Czy twoja żona może tu na nas zaczekać i nie popełnić żadnego głupstwa? — spytał Abbas, odsuwając kratę.

Fatima chciała coś ostro odpowiedzieć kowalowi, lecz Hernando powstrzymał ją ruchem dłoni.

— Tak — powiedział.

— Czy potrafi zrozumieć, że od naszej dyskrekcji zależy życie wielu mężczyzn i kobiet?

— Ona to rozumie — oświadczył Hernando, a zawstydzona Fatima kiwnęła potakująco głową.

— No to idziemy.

Obaj mężczyźni weszli za kratę prowadzącą do biblioteki i przystanęli. Wewnątrz leżały na półkach setki oprawionych tomów i zwoje pergaminowe, było też kilka miejsc do czytania. Przy jednym z nich stało kołem pięciu księży. Kowal zorientował się, że trafili na jakieś zebranie w bibliotece i chciał się wycofać, ale księża już ich zauważyli i jeden dał znak, żeby podeszli bliżej. Potężny Abbas złożył ręce jak do modlitwy. Przycisnął je do piersi i pochylił głowę. Hernando go naśladował. Powoli szli w stronę duchownych.

— Czego chcecie? — odezwał się opryskliwie ten, który ich przywołał, chociaż dzieliło ich jeszcze parę kroków.

— Ja go znam, don Salvadorze — wtrącił inny, najstarszy wśród nich, łysy, gruby i nieduży. Głos miał za słodki jak na swój wygląd. — To dobry chrześcijanin. Współpracuje z inkwizycją.

— Dzień dobry, don Juliánie — przywitał się Abbas.

Hernando bąknął jakieś pozdrowienie.

— Dzień dobry, Jerónimo — odpowiedział ksiądz. — Co cię tu sprowadza?

Jeden z duchownych podszedł do półki po jakąś książkę, inni — z wyjątkiem don Salvadora, który mierzył ich niechętnym wzrokiem — obserwowali tę scenę dość obojętnie, dopóki słowa Jerónima nie przykuły ich uwagi.

— Jakiś czas temu... — Abbas odchrząknął parę razy. — Jakiś czas temu, kiedy przybyli granadyjscy moryskowie, kazał mi ksiądz poszukać wśród nich dobrego chrześcijanina, który na dodatek potrafi dobrze pisać po arabsku. Oto on. Nazywa się Hernando. — Kowal wziął za ramię swojego towarzysza i popchnął go przed siebie.

Pisać po arabsku! Hernando poczuł na sobie wzrok ukrzyżowanego Chrystusa, który górował nad biblioteką. Czy Abbas oszalał?

Hamid nauczył go podstaw czytania i pisania w języku uniwersalnym, jednoczącym wszystkich wierzących, ale to za mało, by przedstawiać go w bibliotece katedralnej jako znawcę... Coś kazało mu odwrócić się w stronę wyjścia, gdzie zobaczył Fatimę przysłuchującą się tej rozmowie zza kraty. Poruszyła lekko wargami, żeby dodać mu odwagi.

— Tak, tak... — zaczął don Julián.

— Wydaje mi się za młody, żeby dobrze pisać po arabsku — przerwał mu don Salvador.

Hernando dostrzegł niepokój w twarzy Abbasa. Powinien był się spodziewać takiego obrotu sprawy! I co teraz? Wyczuł wrogość w słowach don Salvadora.

— Macie rację, ojczcie — odpowiedział z pokorą, odwracając się do niego. — Mój przyjaciel przecenia moje skromne umiejętności.

Don Salvador nie mógł powstrzymać zdziwienia na widok niebieskich oczu moryska. Zastanawiał się przez chwilę.

— Gdzie nabyłeś tych skromnych, jak mówisz, umiejętności? — zapytał trochę łagodniejszym tonem głosu.

— W Alpuharze. Pobierałem nauki u proboszcza Juviles, don Martína, zanim Bóg wezwał go do siebie.

W żadnym wypadku nie powie o Hamidzie, a co do nieszczęsnego don Martína... Przemknął mu przez myśl obraz matki wbijającej nóż w ciało proboszcza. Co mogą wiedzieć członkowie kapituły katedralnej z Kordoby o wiosce zagubionej w górach Alpuhary?

— Czy to możliwe, żeby katolicki proboszcz znał arabski? — wtrącił młodszy ksiądz.

Don Julián chciał odpowiedzieć, ale ubiegł go w tym don Salvador, który najwyraźniej cieszył się tu największym poważaniem.

— To całkiem możliwe — oświadczył. — Sporo lat temu król zalecił kaznodziejom znajomość arabskiego w celu nawracania heretyków. Wielu z tych ostatnich nie dość, że nie mówi po hiszpańsku, to jeszcze słabo posługuje się *aljamiado*. Zwłaszcza

w Walencji i Grenadzie. Trzeba znać arabski, żeby dawać odpór ich polemicznym pismom, żeby wiedzieć, co myślą. W porządku, chłopcze, pokaż nam swoje skromne umiejętności. Ojciec — dodał, zwracając się do don Juliána — proszę mi przynieść ten polemiczny rękopis, który ostatnio wpadł w nasze ręce.

Don Julián się zawahał, lecz don Salvador ponaglił go palcami prawej dłoni. Zimny pot oblał plecy Hernanda, nie patrzył na Abbasa, tylko na Fatimę, która wesoło mrugnęła okiem zza kraty. Jak ona może puszczać do niego oko w takiej chwili? Co to ma znaczyć? Uśmiechnęła się i zrobiła zachęcającą minę. Nagle zrozumiał. Czemu nie? Przecież księży nie znają arabskiego. Dlatego potrzebują tłumacza.

Wziął do ręki cienką kartkę przyniesioną przez don Juliána i przyjrzał się zapisanemu tekstowi. Był to język uczony, jakiś inny arabski, nieznan w Al-Andalus. Odmienny, jak często mówił Hamid, od dialektu, który przyjął się w Hiszpanii kilka wieków temu. Co tu jest napisane?

— To pochodzi z Tunisu — oznajmił z przekonaniem, wpatrując się uważnie w pismo — i dotyczy Świętej Trójcy — dodał, rozpoznając część liter. — Tekst można przetłumaczyć mniej więcej tak: W imię tego, który sądzi w prawdzie — zmyślił na poczekaniu Hernando, udając, że czyta — który wszystko wie, jest Stwórcą Litościwym i Miłosiernym...

— Już dość — przerwał oburzony don Salvador, machając gniewnie rękami. — Oszczędź nam tych bluźnierstw. Jest tam coś o dogmacie Trójcy Świętej?

Hernando usiłował rozszyfrować pismo. Znał doskonale dysputę między muzułmanami i chrześcijanami. Bóg jest jeden jedyny, więc jak można twierdzić, że są trzy istoty: Ojciec, Syn i Duch Święty w jednej osobie? Może mówić o tej polemice, nie znając dokładnie treści tekstu, ale... Przeżegnał się z powagą raz i drugi, po czym odsunął od siebie kartkę.

— Ojciec, czy naprawdę mam powtarzać w tym świętym miejscu — obrzucił spojrzeniem katedrę — to, co jest napisane na tej stronie? Za mniejsze rzeczy inkwizycja skazywała ludzi dziś rano.



— Masz rację — ustąpił don Salvador. — Juliánie, proszę przygotować mi raport na temat treści tego dokumentu — dodał, zwracając się do grubego starca. Hernando usłyszał westchnienie ulgi z ust Abbasa. — Gdzie pracujesz? — padło wreszcie pytanie.

— W stajniach królewskich.

— Juliánie, proszę porozmawiać z koniuszym don Diegiem Lópezem de Haro i powiedzieć mu, że zależy nam na tym, aby ten młodzieniec uczył nas arabskiego i pomagał przy książkach, dzieląc swój czas między naszą bibliotekę i pracę przy królewskich koniach. Proszę zaznaczyć w imieniu biskupa i kapituły katedralnej, że będziemy wdzięczni królewskiemu koniuszemu, jeśli wyrazi zgodę.

— Tak uczynię, ojcze.

— Możecie odejść. — Don Salvador odprawił Hernanda i Abbasa.

Fatima uśmiechnęła się do męża, kiedy spotkali się za kratą.

— Znakomicie! — szepnęła

— Cicho! — upomniał ich Abbas.

Skierowali się ku bramie Świętego Michała w zachodnim krańcu meczetu. Kowal szedł przodem, a Hernando i Fatima za nim wzdłuż całej południowej fasady budynku. Dochodząc do kaplicy don Alonsa Fernándeza de Montemayor, gubernatora pogranicza w czasach króla Henryka II, Abbas przystanął.

— Tę kaplicę pod wezwaniem Świętego Piotra — powiedział i przyklęknął z szacunkiem na oba kolana, zachęcając Hernanda i Fatimę, by poszli za jego przykładem — wybudowano w westybulu mihrabu Al-Hakama Drugiego. — Cała trójka klęczała przez dłuższą chwilę pod wspaniałymi łukami trójlistnymi nad wejściem do westybulu, które wyróżniały się na tle podkowiastych łuków dominujących w meczecie. Znajdowali się w dawnej strefie *maqsura* zarezerwowanej dla kalifa i jego dworu. — Tam z tyłu — Abbas pokazał brodą — znajduje się mihrab używany obecnie jako zakrycia kaplicy. Król zabronił urządzania w tym miejscu chrześcijańskich pochówków pod posadzką. — I rzeczywiście, doczesne szczątki królewskiego faworyta don Alonsa spoczywały

w dużej, prostej trumnie z białego kamienia na wierzchu, a nie pod posadzką, jak nakazywał zwyczaj. — Tu możesz — szepnął kowal do Fatimy. — To jest właściwe miejsce.

— Allah jest wielki — wyskandowała z pochyloną głową, podnosząc się z kolan.

Każde z nich na swój sposób usiłowało sobie wyobrazić, jak wyglądał dawniej sławny mihrab Al-Hakama II, przed którym klęczeli, teraz sprofanowany, zamieniony na przechowalnię naczyń i szat liturgicznych kaplicy Świętego Piotra. W mihrabie odczytywano Koran. Egzemplarz świętej księgi przenoszono co piątek ze skarbca do niszy modlitewnej i kładziono na pulpicie z zielonego aloesu nabijanym złotymi gwoździami. Był to egzemplarz spisany ręką Księcia Wiernych, Usmana Ibn Affana, zdobiony złotem, perłami i hiacyntem; ważył tyle, że do przenoszenia potrzeba było dwóch mężczyzn. Zarówno w westybulu, jak i w mihrabie kalif nakazał — zgodnie z normami kordobańskiej kultury — połączyć różne style architektoniczne, co dało efekt niezrównanej piękności. Niszę z Koranem przykrywała ośmiokątna kopuła w stylu armeńskim, z łukami, które nie łączyły się w centrum, lecz krzyżowały naprzemiennie wzdłuż ścian. Obecność Bizancjum sygnalizowały białe i pręgowane marmury, a zwłaszcza kolorowe mozaiki z minerałów sprowadzonych specjalnie z cesarstwa Wschodu. Koraniczne inskrypcje w bizantyjskim złocie i marmurze, arabeski, elementy grecko-romańskie oraz chrześcijańskie, gdyż chrześcijanie także mieli swój udział w budowie — wszystko to sprawiało, że miejsce, gdzie ulokowała się kaplica Świętego Piotra, było jednym z najpiękniejszych na świecie.

Abbas, Hernando i Fatima pomodlili się w milczeniu i opuścili meczet przez bramę Świętego Michała. Wyszli na ulicę Arquillos, gdzie znajdował się pałac biskupi przebudowany z dawnego alkazaru kalifów Kordoby. Przeszli pod jednym z trzech łuków podpierających mostek nad ulicą, łączący górą dawny pałac z katedrą, i kontynuowali wędrowkę w kierunku stajni królewskich. Kiedy minęli alkazar chrześcijańskich królów, Hernando postanowił podjąć dręczący go wątek.

— Nie mogę tłumaczyć tych dokumentów — jęknął. — Powstały w klasycznym języku arabskich uczonych. Nie mogę uczyć tego księdza, bo nie znam takiego języka.

Abbas przeszedł kilka metrów bez słowa. Czuł pewną nieufność wobec tych młodych. Fatima wydała mu się zbyt śmiała i nierozważna, a jednak, przypomniał sobie, wszyscy się z nią liczyli. Zresztą czy nie on sam pokazał jej miejsce ukrytego mihrabu i nie zachęcił do modlitwy? Czy nie połączyło ich w tym momencie identyczne uczucie?

— To nie tak — wyznał kowal, kiedy dochodzili już do wejścia na teren stajni. — Don Julián będzie cię uczył klasycznego języka arabskiego. Języka naszej boskiej księgi.

Hernando zatrzymał się w pół kroku. Na jego twarzy malowało się niedowierzenie.

— Nie przestyszałeś się — zapewnił go Abbas. — Ten ksiądz, don Julián, jest naszym bratem. To najlepiej wykształcony muzulmanin w Kordobie.

## 36

W tym samym czasie gdy Aisza wyszła z więzienia po odbyciu kary za poruszanie się poza murami miasta bez przepustki, Brahim odłączył się od oddziału Sobaheta razem z dwoma zbiegłymi niewolnikami. Zniewaga, jakiej doznał od żony w Sierra Morena, zaboląła go równie mocno jak odcięcie ręki. Wkrótce pod odejściu Aiszy banici zwinęli obóz i wyruszyli w drogę, a Brahim powłókł się za nimi; nie mógł zostać sam w górach, nie mógł też wrócić do Kordoby pokonany i okaleczony, dlatego szedł za nimi w pewnej odległości jak zbity pies. Sobahet się nie sprzeciwiał, Ubajd śmiał się i rzucał mu resztki swojego jedzenia. Brahim podsłuchał kiedyś rozmowę dwóch mężczyzn o ucieczce do Berberów i postanowił dołączyć do nich. Przez wiele dni razem podążali ku wybrzeżom walenckim, żywili się tym, co ukradli, i szukali pomocy u morysków, starając się omijać strażę Santa Hermandad, które pikietowały zaniedbane drogi wybudowane jeszcze w czasach rzymskich. Skierowali się na wschód, najpierw do Albacete, stamtąd do Xátiva i dalej do nadmorskich wiosek królestwa Walencji między Cullerą i Gandiá, w rejonie zamieszkanym prawie wyłącznie przez morysków.

Mimo wysiłków kolejnych wicekrólów Walencji moryskowie wciąż uciekali tym szlakiem do Berberów, korzystając z pomocy korsarzy, którzy często urządzali napady na królestwo. Hiszpanie nie dawali żyć chrześcijanom ochrzczone pod przymusem, ale

nie pozwalali im przenieść się na ziemie muzułmańskie. Szlachta i ziemianie mieli w nich tanią siłę roboczą, a Kościół, zatroskany o życie wieczne swych owieczek, ubolewał głosem diuka Gandii, Franciszka Borgii, generała jezuitów, że tyle dusz idzie na zatracenie, chociaż można by je zbawić. Moryskowie woleli sami zadbać o zbawienie duszy... ale na ziemi oddającej cześć Mahometowi, dlatego bracia z Walencji pomagali przedostać się na berberyjskie wybrzeże wszystkim pragnącym opuścić tutejsze królestwa, które przez osiem wieków do nich należały.

Brahimowi, jego dwóm towarzyszom i kilku innym moryskom powiódł się zamiar ucieczki, kiedy pewnego wrześniowego dnia o świcie pięćdziesięciu korsarzy zaatakowało przedmieścia Cullery. Korsarze zastosowali w tym wypadku swoją zwykłą taktykę: trzy galeoty zakotwiczyły pod osłoną nocy koło ujścia rzeki Júcar z dala od miejsca, które miało być celem ataku. Następnego dnia o świcie korsarze wyruszyli pieszo do tego celu. Ataki z udziałem wielkiej korsarskiej armady należały do rzadkości. Na porządku dziennym były natomiast błyskawiczne napady z zaskoczenia. Korsarze rabowali, co się dało, w jak najkrótszym czasie i wycofywali się, zanim dzwony uderzały na alarm; nie zamierzali podejmować otwartej walki. Dopiero wtedy galeoty podpływały w ustalone wcześniej miejsce, jak najbliżej zaatakowanej osady, żeby zabrać ludzi i łupy.

Tej nocy forpoczta korsarzy przedarła się w głąb łądu, żeby odwiedzić morysków i zdobyć informacje przydatne do kolejnej grabieży. Nowi chrześcijanie mieli zakaz zbliżania się do wybrzeża pod karą trzech lat galery. Właśnie wtedy Brahim, niewolnicy i inni dołączyli do ekspedycji. Korsarze wzięli na przewodników dwóch miejscowych, którzy dobrze znali drogę do Cullery.

— Daj mi jakąś broń. Chciałbym iść z wami — mulnik poprosił człowieka z miną dowódcy, kiedy wrócili na plażę, gdzie mieli przeczekać do świtu. Okręty pozostały na pełnym morzu, żeby nie budzić podejrzeń.

— Jednoręki morysk? — rzucił lekceważąco korsarz. — Nie mieszaj się do naszej walki!

Brahim zacisnął zęby i podszedł do grupy morysków, którzy siedzieli w milczeniu na piasku z dala od korsarzy.

— Co się tak gapisz? — warknął na niewolnika, z którym razem uciekli z oddziału Ubajda, i wymierzył mu kopniaka prosto w twarz. Zaatakowany zachwiał się, ale nie upadł, stał obok obrażony, dopóki jakiś korsarz nie zwrócił się do niego, w ostrych słowach nakazując mu siadać i milczeć tak jak inni.

W błyskawicznej akcji korsarze zaatakowali przedmieścia Cullery. Zaskoczyli wieśniaków, którzy uprawiali tu swoje ziemie, i wzięli dziewiętnastu jeńców, ale zamiast ścigać innych dziewiętnastu, którzy uciekali przerażeni, w pośpiechu udali się na miejsce, gdzie miały czekać galeoty, tym razem w pobliżu Cullery. Zbrojne oddziały z miasta i pobliskich osad nie zdążyły przeciwstawić się atakowi i zanim spostrzegły, co się zdarzyło, korsarze, jeńcy i zbiegli moryskowie już siedzieli na galeotach i płynęli ku otwartemu morzu.

Jednakże kiedy przekroczyli odległość strzału z lombardy, wszystkie trzy galeoty zawróciły w stronę wybrzeża i wywiesiły „flagę nietykalności”; statki były już wystarczająco załadowane łupami z innych napadów, a sezon żeglugowy zbliżał się do końca. Ludzie z królestwa Walencji wiedzieli, co oznacza biała flaga: kapitanowie korsarzy byli skłonni już teraz negocjować wysokość okupu za jeńców. Zgodzili się na zapewnienie im bezpieczeństwa i rozpoczęły pertraktacje; szalupy krążyły tam i z powrotem. Do południa wykupiono piętnastu ludzi, czterej pozostali popłynęli na rynki niewolników w Algierii.

Podczas dwóch spokojnych dni powrotnego rejsu, kiedy galeoty z wysiłkiem posuwały się po zupełnie nieruchomym morzu, Brahim zetknął się z tą samą pogardą ze strony korsarskiej załogi — złożonej w całości z Turków i chrześcijańskich renegatów — jaką musieli znosić moryskowie w czasie powstania w Alpuharze. Nikt nie chciał się z nimi zadawać. Żywili ich, jakby chodziło o psy, i nawet nie pozwolili wiosłować po Morzu Śródziemnym. Więc po co zgodzili się ich zabrać? Brahim pamiętał radość walencjczyków morysków na widok korsarzy; już sama myśl o szkodzie, jaką

mieli wyrządzić chrześcijanom, była dla nich wystarczającym powodem do zadowolenia, zwłaszcza jeśli podtrzymywało to ich nadzieję na przyszłą pomoc Wysokiej Porty. Obserwował galerników wiosłujących z wysiłkiem pod rozkazami nadzorcy. Zbiegłych morysków podzielono na grupy, żeby się mogli ulokować na niewielkiej powierzchni bocznej między pokładem wiosłarzy a pomostami dochodzącymi aż do burty. Potem zwrócił spojrzenie ku kapitanowi statku stojącemu na dziobie; jego długie jasne włosy charakterystyczne dla chrześcijańskich renegatów znad Adriatyku opadały na ramiona, łagodnie poruszane w rytm wiosła. Brahim splunął do morza. Pomoc, jakiej im udzielili, podyktowana była tylko handlowym interesem: korsarze zgodzili się przewieźć ten godny pogardy ludzki ładunek tylko po to, żeby pozyskać sobie przychyłność miejscowych.

Toteż kiedy flotylla galeot wpłynęła do portu w Algierze i ujrzał jego wysokie i potężne mury, podczas gdy alimowie, fakihowie i ludzie wszelkiego autoramentu biegli, by ich przywitać przy dźwiękach bębenków, Brahim postanowił, że nie zostanie ani jednego dnia dłużej w mieście tak nieprzyjaznym dla morysków z Al-Andalus jak to gniazdo korsarzy. Przez parę dni włóczył się ulicami z dala od morysków, którzy nagabywali właścicieli licznych ogrodów warzywnych, sadów otaczających miasto i pól pszenicy na równinie Dżidzel, żeby sprzedać się jako siła robocza tak tania jak w Hiszpanii. Wreszcie na *zoco* znalazł karawanę udającą się do Fezu i starał się do niej dołączyć, obiecując bardzo ciężko pracować za resztki strawy. Był głodny! Musiał już walczyć z silniejszymi od siebie ludźmi, mającymi obie ręce, o odpadki Algierczyków.

— Jestem mulnikiem — oświadczył, kiedy spostrzegł, jak Arab, który musiał być szefem karawany, w stroju Beduina, człowieka pustyni, przenosi wzrok na jego kikut i kręci głową.

Brahim postanowił pokazać mu swoje umiejętności w obchodzeniu się ze zwierzętami. Zawahał się, kiedy sobie przypomniał, jakie problemy miał jednoręki Ubajd z mułami w Alpuharze, ale w końcu skierował się ku dużej grupie wielbłądów, które odpoczywały, leżąc z podwiniętymi nogami. Po raz pierwszy

widział wielbłądy; nawet w tej skomplikowanej pozycji ich garby przekraczały wysokość wszystkich mułów, z jakimi miał kiedykolwiek do czynienia.

Pogłaskał zwierzę po głowie na oczach zaniepokojonego szefa karawany i przy całkowitej obojętności wielbłąda. Potem chciał skłonić zwierzę do podniesienia się i lewą dłonią pociągnął za uzdę, ale wielbłąd nawet nie poruszył głową. Ciągnął w jedną i drugą stronę, jak robił to z mułami, kiedy nie chciały iść do przodu, żeby je oszukać i zachęcić do zrobienia kroku w bok, ale uparte zwierzę pozostawało obojętne. Brahim zobaczył, że wokół Araba zebrała się niewielka grupka ludzi, którzy z uśmiechem przyglądali się tej scenie; jeden z nich wskazywał palcem na niego i ponaglił jakiegoś wielbłądnika, żeby przyłączył się do widowiska. Po co ten pośpiech? — zastanawiał się Brahim. Upokorzony szarpnął mocno uzdę wielbłąda, żeby się podniósł, ale kiedy chciał powtórzyć tę czynność, zwierzę zaatakowało go zębami, dosięgając brzucha. Odskoczył do tyłu, potknął się i upadł na ziemię w odchody wielbłądów, wśród śmiechów ludzi z karawany. A więc chodziło o to! Wiedzieli, że go ugryzie. Podniósł się na klęczki, żeby wstać, usiłując odwrócić się plecami do grupy wielbłądników. Śmiechy umilkły oprócz dziecinnego, wysokiego chichotu, który rozbrzmiewał w obozie. Kiedy wstawał, zawahał się, czy podnieść twarz w stronę miejsca, skąd dobiegał ten niewinny, choć irytujący śmiech. W końcu to zrobił i napotkał wzrok ośmioletniego może chłopca w stroju z zielonego haftowanego jedwabiu, wyglądającego jak mały książę. Obok niego stał mężczyzna obwieszony klejnotami i uzbrojony w zakrzywiony handżar, z pochwą wysadzaną licznymi drogimi kamieniami, tak zbytkownie ubrany jak jego syn; za nimi stały trzy zakwefione kobiety w czarnych tunikach z szerokimi rękawami, owinięte w czarne albo błękitne chusty przypięte do tunik srebrnymi szpilami. Nadgarstki i kostki kobiet ozdobione były licznymi srebrnymi bransoletami. Brahim spojrział wprost na chłopca. Był głodny! Bardzo głodny. Zostać w mieście oznaczałoby umrzeć z wycieńczenia lub z rąk jakiegoś janczara czy korsarza, gdyby złapano go na kradzieży, a była ona jedynym wyjściem,



jakie mu pozostawało, oprócz powrotu do uprawy pól. Mając tylko jedną rękę, nie mógł nawet zaciągnąć się jako wioślarz na galerach.

Widział, jak mężczyzna z handzarem opiera pieścizotliwie rękę na ramieniu dziecka, którego śmiech już ucichł, i wtedy wpadł na pewien pomysł: puścił oczko do malca, zrobił krok, usiłował postawić bosą stopę na jednym z wielu placków nawozu, poślizgnął się i próbował śmiesznie odzyskać równowagę, ale upadł na tyłek. Chłopiec ponownie wybuchnął śmiechem i kątem oka Brahim dostrzegł, że wargi mężczyzny też wykrzywia uśmiech. Leżąc na ziemi, zaczął gestykulować i wymachiwać niezdarnie rękami. Co jeszcze mógł wymyślić, żeby pozyskać sobie to dziecko i jego ojca? — zastanawiał się. Nigdy nie występował jako błazen, ale teraz nie miał innego wyjścia. Musiał opuścić to miasto, gdzie wszyscy patrzyli na niego z góry, jak w Kordobie! Nie odbył tej długiej podróży po to, by skończyć znowu jako prosty wieśniak, nawet jeśli miał tu wiele meczetów, do których mógł wejść, żeby opłakiwać swoje cierpienia! Udał raz i drugi, że się potyka, wstając, i wybuchy śmiechu chłopca dodały mu odwagi: podszedł do innego leżącego wielbłąda i próbując wskoczyć mu na garb, upadał jak worek po drugiej stronie; do śmiechu dziecka dołączyły się inne odgłosy, których nie rozpoznał, ale pomyślał, że pochodzą od poganiaczy wielbłądów. Powtórnie spróbował wspiąć się na zwierzę z tym samym skutkiem i w końcu okrzyki je, zaczął mu się przyglądać z uwagą, podnosząc ogon, jakby chciał się dowiedzieć, gdzie kryje się jego sekret.

Słyszając pierwszy wybuch śmiechu mężczyzny, Brahim podszedł do niego i złożył mu głęboki ukłon; zdołał dostrzec wielkie brązowe oczy dziecka zwilżone łzami. Mężczyzna skinął mu głową i wręczył złotą monetę, soltaninę, wybitą w Algierze, i wtedy Brahim zdał sobie sprawę z bólu trzymającego w kleszczach całe jego ciało, a zwłaszcza brzuch, w który ugryzł go wielbłąd.



Zgodzono się, żeby pojechał z nimi jako błazen syna bogatego kupca z Fezu, Umara Ibn Sawana. Około pięćdziesięciu wielbłądów obładowanych drogimi towarami, pilnowanymi przez niewielką

armię zatrudnioną przez Umara, udało się w drogę, żeby przebyć środkową Berberię z Algieru do Tremecenu, a stamtąd do wspaniałego i bogatego miasta Fez wzniesionego wśród wzgórz w środku królestwa Maroka. Podczas podróży Brahim zrozumiał, dlaczego wielbłąd go ugryzł: opiekunowie wielbłądów traktowali je delikatnie i z najwyższą czułością. Drapali je patykiem po kolanach i szyi, żeby wstawały albo się kładły, i zamiast je bić, aby przyspieszyły kroku po długim marszu, kiedy zmęczenie zaczynało dawać się we znaki, śpiewali im piosenki! Ku zaskoczeniu mulnika z Alpuhary zwierzęta odpowiadały wzmożonym wysiłkiem i przyspieszały kroku. Umar i jego syn Jusuf podróżowali na arabskich koniach pustynnych, niewielkich i szczupłych, jako że karmiono je tylko dwa razy dziennie mlekiem wielbłądzicy. Jednakże powiadano, że ten, na którym jechał ojciec chłopca, wart był fortunę: udało mu się prześcignąć strusia podczas wyścigów na pustyniach Numidii, gdzie kupiec go nabył. Trzy żony Umara podróżowały w niewielkich koszach przykrytych pięknymi dywanami, które kołysały się nieustannie w rytm kroków wiozących je wielbłądów.

Brahim szedł piechotą wśród wielbłądników, opiekunów, niewolników, służących i żołnierzy. Kupił stare buty i turban za część złotej monety, którą kupiec wynagrodził go za śmiech swojego synka; reszta grupy też miała ochotę pośmiać się jego kosztem, toteż nieustannie był przedmiotem kpin, żartów i poszturchiwań. Mulnik udawał groteskowe upadki, pozwalając, by bez przerwy go ośmieszano. Na kpiny odpowiadał uśmiechem i komicznymi gestami. Odkrył, że kiedy chodzi na czworakach, z kikutem osłoniętym tkaniną turbana, czując ukłucie bólu za każdym razem, gdy opierał go na ziemi, to rozbawia wszystkich; śmiali się również wówczas, kiedy bez żadnego powodu zaczynał biegać wokół jakiegoś wielbłąda czy człowieka, wyjąc jak szaleniec. Mały Jusuf chichotał na grzbiecie konia, z dala od całej grupy, zawsze w towarzystwie ojca.

Wszyscy oni to głupcy, myślał Brahim w chwilach wypoczynku. Czyżby nie potrafili dostrzec wściekłości w jego oczach? Bo za każdym razem, kiedy wywoływał wybuch śmiechu, czuł, jak w żołądku rodzi mu się niedający się opanować żar, który po

chwili pali całe jego ciało. Jak mogli nie dostrzegać ognia buchającego z jego żrenic?! Szedł między wielbłądnikami i patrzył spod oka na obu jeźdźców, jak rozmawiają i galopują to na czoło, to na koniec karawany; jak śmieją się i wydają nieustanne polecenia wykonywane natychmiast ze służalczą pokorą. Patrzył też na luksusowe dywany okrywające kosze trzech kobiet, a nocą, po tym jak przez dłuższą chwilę zabawiał małego Jusufa, zazdrościł wielkich namiotów, w których spał kupiec ze swoją rodziną, wypełnionych miękkimi tkaninami, poduszkami i najróżniejszymi sprzętami z miedzi i żelaza, znacznie bardziej zbytkownych niż jakiegokolwiek dom, który Brahim znał. Kiedy Umar, Jusuf i kobiety udawali się na spoczynek, on kładł się na ziemi obok namiotów.

O dzień drogi od Tremecenu doszedł do wniosku, że musi uciec. Przebyli góry i pustynie i ludzie mówili o najbliższej, która czekała na nich za miastem: o pustyni Angad, gdzie bandy Arabów atakują karawany poruszające się między Tremecenem a Fezem. Arabów. Był już między Arabami: królestwo Tremecenu, królestwo Maroka, królestwo Fezu. Miał już dosyć upokorzeń, poszturchiwań i kpin! Miał dosyć pustyni i wielbłądów, które poruszały się przy dźwiękach głupich piosenek!

Żołnierze trzymający wartę przy namiotach uważali go za idiotę, podobnie jak niewolnicy i większość uczestników karawany, toteż od dawna przestali śledzić jego kroki czy interesować się tym, co robi, śpiąc przy namiotach. Dlatego tej nocy, kiedy rozbili obóz o kilka mil od Tremecenu, Brahim bez najmniejszych przeszkód wślizgnął się do namiotu Umara, czołgając się pod jedną z bocznych ścian. Ojciec i syn głęboko spali. Słuchając rytmicznych oddechów, zaczekał, aż jego wzrok przyzwyczai się do słabego blasku dobiegającego z dogasającego przy namiocie ognia, wokół którego drzemali trzej strażnicy. Rozejrzył się dokoła i ujrzał jedwabie i dywany, zbytkowne stroje kupca i jego syna... a u boku Umara metalową szkatułkę wykładaną drogimi kamieniami. Niemal czołgając się, aby z zewnątrz nie można było dostrzec żadnego cienia, podszedł do Umara i chwycił szkatułkę, ale musiał znów ją położyć, żeby swoją jedyną ręką wsunąć wspaniałą sztylet kupca

za własny pas. Znowu podniósł szkatułkę i wyszedł tą samą drogą. Wyczołgał się z namiotu i zdał sobie sprawę, że właśnie zawarł straszliwy zakład: uciec albo zginąć. Jeżeli go odkryją... Ukrył szkatułkę w turbanie, przywiązał go mocno do pasa i przeszedł schylony między śpiącymi wielbłędami i ludźmi; posuwał się bardzo wolno, żeby nie dopuścić do brzęczenia zawartości szkatułki, słyszalnego pomimo owijającej ją tkaniny, aż znalazł się w pobliżu miejsca, gdzie złożone były towary wiezione przez wielbłądy. Tam również byli rozstawieni strażnicy. Rozejrzał się wokół, szukając dogodnego ogniska, a kiedy je dostrzegł, skierował się ku niemu, zdjął but i do jego wnętrza nabrał żaru. Wrócił do sterty towarów i kryjąc się w odległości kilku kroków, poczekał, aż wartownicy oddalą się na nieustanne obchody. Wtedy rzucił pełnym żaru butem, trafiając między toboły, które, jak się można było domyślić, zawierały drogocenne jedwabne tkaniny. Nie czekając na rezultat swojego wyczynu, skierował się tam, gdzie spały związane konie Umara i jego syna.

Pogłaskał konie, żeby się uspokoiły i przyzwyczyły do jego obecności; na tych zwierzętach się znał. W pobliżu spało kilku mężczyzn. Kiedy doszedł do wniosku, że konie dadzą się prowadzić, nie protestując i nie budząc swoich opiekunów, rozwiązał je po cichu i założył wędzidło wierzchowcowi Umara, temu, który zdołał prześcignąć strusia. A potem skulił się i czekał. Ktoś musiał wszczać alarm. Czas mijał powoli i nic się nie działo; Brahim wyobrażał już sobie handzar Umara na swoim gardle, nieuniknioną karę za kradzież, jakiej właśnie się dopuścił, kiedy rozległ się pierwszy krzyk, do którego dołączyło wiele innych. Ze stosu towarów wznosił się w ciemnościach gęsty dym, jeszcze bez ognia. Mężczyźni zerwali się na równe nogi. Nagle zaskoczył go potężny płomień, który buchnął z hukiem, podczas gdy w obozie zapanował całkowity chaos. Stracił kilka chwil, patrząc w ekstazie na intensywnie czerwony jęzor, który zdawał się lizać niebo.

— Co robisz tu z końmi?! — zawołał zajmujący się nimi chłopak, który zamiast skierować się w stronę ognia, szedł do zwierząt.

Brahim ocknął się i usiłował mu się przymilić groteskowymi minami. Kiedy chłopak patrzył mu w twarz, zdziwiony jego reakcją, mulnik wyciągnął sztylet i dźgnął go w pierś. Było to ostatnie błazeństwo, jakiego miał się dopuścić w swoim życiu — obiecał sobie, jednym skokiem dosiadając konia, na oklep, w jednym bucie.

I podczas gdy ludzie biegali z miejsca na miejsce, starając się ugasić ogień, Brahim ruszył ostrym galopem w kierunku północnym; u jego boku koń Jusufa zrobił to samo, wracając w swoje rodzinne strony. Po chwili konie i jeźdźcie zagubili się w nocy.



Przybył do Tetuanu niemal w końcu października 1574 roku, po kilku dniach jazdy wierzchem z Tremecenu. Unikał dróg, pozwalając prowadzić się instynktowi i doświadczeniu mulnika zawsze na północ, ukrywając się przy najmniejszym ruchu, jaki dostrzegał, nieufny, chociaż doszedł do przekonania, że Umar nie będzie go ścigał na tych dzikich ziemiach. Oba konie były bardzo cenne, a zawartość szkatułki okazała się kolejną fortuną złożoną z drogich kamieni i rozmaitych złotych monet: dirhamy, rubie, ziany, dobre, soltaniny i hiszpańskie eskudy.

Tetuan był małym miastem leżącym u stóp góry Dersa, w dolinie rzeki Martil. Dzieliło go tylko sześć mil od Morza Śródziemnego i około osiemnastu od Cieśniny Gibraltarskiej, w strategicznym dla żeglugi morskiej punkcie. Okolice była żyzna. Samo miasto miało pod dostatkiem wody, która dochodziła z gór Hauz i z łańcucha Rif. Otoczona murami medyna została odbudowana i zaludniona przez muzułmanów, którzy uciekli po poddaniu się Grenady Królom Katolickim, toteż jego mieszkańcami byli w większości moryskowie.

Brahim złamał swoje przyrzeczenie, że nie powróci do roli błazna, i po ukryciu koni i pieniędzy w górach wszedł do miasta przez bramę Bab Mqabar, przy cmentarzu, jako szalony żebrak, mając przy sobie tylko kilka ukrytych monet. Andaluzyjski duch, jakim się tu oddychało, sposób mówienia i ubierania się ludzi, układ ulic przypominający dzielnicę Albaicín w Grenadzie lub

którekolwiek miasteczko w Alpuharze, wszystko to natychmiast go utwierdziło, że jest to miejsce, w którym powinien zamieszkać. Przekonał jakiegoś brudnego oberwańca o żywych, okrągłych i wielkich oczach, ze skórą na głowie pokrytą plamami łysiny wywołanymi świerzmem, żeby pokazał mu miasto. Zaskoczył handlarzy na *zoco* i chłopaka, kupując nowe ubrania oraz wszystko, co niezbędne, żeby pokazać się w wybranym miejscu w miarę dystygowanie. Kupił też ubranie dla Nasiego, bo tak miał na imię oberwaniec. Nie mógł pojawić się w Tetuanie, wyglądając na nędzarza, skoro podróżował z dwoma wspaniałymi końmi i skrzynią pełną złota. Potem wrócił ze zdumionym chłopakiem tam, gdzie ukrył konie, umył się w potoku i zmusił Nasiego, żeby zrobił to samo, ubrał się, zarzucił derkę na grzbiet konia jak siodło, a na konia Jusufa załadował bagaże, żeby Nasi, z głową przystrojoną turbanem, prowadził go, jakby był jego służącym, na co chłopak zgodził się, gdy tylko usłyszał obietnicę, że będzie codziennie jadł.

— Utnę ci głowę, jeśli mnie wydasz — zagroził, pokazując ostrze sztyletu.

Na Nasim nie zrobiło to większego wrażenia, ale jego odpowiedź zabrzmiała szczerze:

— Przysięgam na Allaha.

Wynajęli porządną dom z ogrodem na tyłach.

W ostatnim ćwierćwieczu XVI wieku, kiedy Brahim osiedlił się w tym mieście, korsarski proceder uległ całkowitej zmianie. Z Martilu, portu Tetuanu, wypływały liczne galery typu *fusta*, na ogół niewielkie, żeby napadać na wybrzeża hiszpańskie w konkurencji z innymi korsarskimi miastami Berberii, jak Algier, Tunis, Sargel, Vélez, Larache czy Salé. Ale począwszy od owego okresu, przybycie wielkich okrągłych okrętów francuskich, angielskich czy holenderskich na Morze Śródziemne doprowadziło armatorów z Algieru do zamiany ich delikatnych galeot i galer o smukłych i lekkich kadłubach na wielkie okrągłe żaglowce uzbrojone w dziesiątki dział, żeby za ich pomocą móc doścignąć i pokonać te nowe okręty; tak więc promień wpływów panów algierskiego korsarstwa powiększył się i osiągnął najdalsze strefy Morza Śródziemnego,

choćby najbardziej oddalone od ich portów macierzystych, a nawet Atlantyck: w ich zasięgu znalazła się Anglia, Francja, Portugalia i wreszcie Islandia.

I choć zupełnie nie zaniechano drobniejszych wypraw docierających do wybrzeży hiszpańskich, żeby je złupić w szybkich i opartych na zaskoczeniu akcjach grabieżczych, to dla wielkich ludów korsarskich stały się one teraz działalnością drugorzędną. Tak się sprawy miały, kiedy Brahim, osiedliwszy się w Tetuanie, został armatorem trzech żaglowców *fusta*, z których każdy miał po dwanaście ław dla wioślarzy, ale postawił jeden warunek kapitanom okrętów: będzie osobiście uczestniczył w ekspedycjach, bo choć nie miał pojęcia o żeglarstwie, to któż lepiej mógł poprowadzić atak niż mulnik znający każdą piędź wybrzeży Grenady, Malagi i Almerii?

W marcu 1575 roku, już po rozpoczęciu sezonu żeglarskiego, dawny mulnik z Alpuhary, a obecnie dowódca oddziału trzydziestu morysków, wylądował na wybrzeżu Lewantu w pobliżu Mojácar. Żaden strażnik z dziewięciu wież obronnych strzegących siedmiomilowego odcinka wybrzeża pomiędzy Verą i Mojácar nie dostrzegł galer i nie uderzył na trwogę.

— Bastiony są pozbawione załóg albo się rozsypują — skomentował ze śmiechem kapitan, z którym płynął Brahim. — W niektórych wieżach nie ma nawet strażnika albo jest nim jakiś starzec, co woli uprawiać swój ogródek, niż wykonywać pracę, za którą król Filip mu nie płaci.

Tak też było. Pomimo wielkiej liczby najazdów korsarskich, do jakich dochodziło w Hiszpanii, system obronny, złożony z wież obserwacyjnych rozmieszczonych wzdłuż wybrzeży, ze strażnikami i gońcami, którzy mieli ostrzegać miasta i wojsko, stopniowo podupadał z braku środków, aż stał się praktycznie bezużyteczny.

Tym razem nikt nie zabronił Brahimowi ograbić kilku zagród koło Mojácaru. Prawie pół setki mężczyzn — morysków i wolnych galerników — wylądowało na wybrzeżu Al-Andalus (reszta pilnowała okrętów), rozbiegając się w poszukiwaniu łupów. Brahim przystanął na chwilę i patrzył, jak pędzą w głąb łądu. Hiszpania!

Odetchnął głęboko, rozpierała go pycha. Znowu jest w Hiszpanii, a to są jego ludzie! On im płaci! Ma swoją małą armię na własne usługi.

— Na co czekasz? — ponaglił go kapitan dowodzący jego oddziałem. — Nie mamy czasu!

Za plażą znaleźli kilku chłopów pracujących w polu. Brahim zobaczył, jak uciekają w przerażeniu. Korsarze dopadli dwóch.

— Tędy! — krzyknął, pokazując w lewą stronę. — Tam są domy.

Pamiętał to. Pracował kiedyś w tej okolicy.

Berberowie pobiegli w kierunku wskazanym przez dawnego mulnika i wkrótce zobaczyli nędzne chaty. Mieszkańcy zdążyli je opuścić zaalarmowani krzykami chłopów uciekających z pola.

Brahim wywalił silnym kopnięciem drzwi jednej z chat. Nie było to konieczne, ale poczuł się potężny, niezwyciężony. Wewnątrz nie znalazł nic nadającego się do wykorzystania.

Po jakimś czasie wszyscy zebrali się na plaży, bez strat w ludziach, bez walki. Znaleźli trochę pieniędzy, żelastwa i szmat, ale, co najważniejsze, przyprowadzili piętnastoro jeńców, w tym trzy młode Galisyjki, krzepkie i zdrowe, którymi zaludniano królestwo Grenady po wypędzeniu morysków. Będą cennym towarem na rynku niewolników w Tetuanie.

Przygotowywano łodzie do odpłynięcia, a Brahim, spocony, zaczerwieniony i podekscytowany, znowu wbił wzrok w ziemię Al-Andalus. Tam daleko jest Sierra Nevada, górskie szczyty, rzeki, lasy i...

— Wróciłem, księżowski bękarcie! — krzyknął. — Tu jestem, Fatimo! Przysięgam na Allaha, że pewnego dnia odbiorę, co moje!



*Kordoba, październik 1578*

Hernando spiął ostrogami Corretóna i zimne powietrze kordobańskich pastwisk smagnęło go po twarzy. Mocny stukot kopyt na wilgotnej ziemi nie zdołał stłumić przekleństw Joségo Velasca i Rodriga Garcíi, którzy galopowali z tyłu, próbując go dopędzić. Rzucił im wyzwanie jeszcze na pastwisku, w otoczeniu kłaczy i źrebiąt: Corretón pokona każdego z waszych koni! Obaj specjaliści od ujeżdżania uznali to za żart.

— Kto przybędzie ostatni do tej dębiny — Hernando pokazał na drzewa na horyzoncie — stawia wino.

Pochylony do przodu nad wyciągniętą szyją Corretóna jechał z długimi cuglami, utrzymując lekki kontakt z pyskiem konia. Czuł w łydkach frenetyczny rytm silnych, szybkich kroków zwierzęcia, wciąż spinał go ostrogami, by zwiększyć przewagę nad goniącymi. Był to wielki dzień dla morysków. Wiadomość rozeszła się najpierw po mieście przy wtórze wszystkich kościelnych dzwonów, a potem dotarła na pola i pastwiska: don Juan de Austria umarł na tyfus w Namurze jako gubernator Niderlandów. Kat Alpuhary zakończył żywot w zwykłym baraku.

Corretón galopował jak mało który z koni i Hernando wydał głośny okrzyk. Całą swoją siłę włożył w ten krzyk. Za kobiety i dzieci z Galery, zgładzone z rozkazu chrześcijańskiego księcia!

Niecałe ćwierć mili przed metą wyprzedził go najpierw Rodrigo,

potem José, opryskując deszczem błota i kamyków. Hernando zaczął zwalniać i spokojnie dojechał do dębiny, gdzie czekali już na niego obaj jeźdźcy, pozwalając koniom galopować powoli, żeby złapały oddech bez wysiłku.

— Wypijemy za twoje zdrowie! — parsknął Rodrigo.

José roześmiał się, udając, że podnosi szklanekę do ust.

— Corretón jest dużo młodszy od waszych koni — bronił się morysk.

— Trzeba było o tym pomyśleć, kiedy zaproponowałeś ściganie — powiedział lokaj don Diega. — Chyba nie chcesz się wycofać?

— Wiedzieliście z góry, że tak będzie! Źle wybrałem odległość. Rodrigo podjechał bliżej i klepnął go w ramię.

— No to teraz za to zapłacisz.

Zwierzęta zaczęły normalnie oddychać i można było wracać do miasta. Nagle Rodrigo wydał się bardzo poruszony.

— Patrzcie! — zawołał, pokazując w stronę gęstwiny.

Z krzaków wystawały zad i tylne nogi klaczy. Podjechali bliżej i zeskoczyli z koni. José i Rodrigo poszli obejrzeć padłe zwierzę, a Hernando został przy koniach.

— To jedna z najstarszych — oznajmił José, pochylając się nad martwą klaczą. Obaj wrócili na miejsce, gdzie czekał Hernando, i znowu wsiedli na konie. — Wydała na świat znakomite ogierki — dorzucił jako epitafium. — My wracamy do Kordoby — poinformował moryska — a ty poszukaj koniucha i powiedz mu o padlinie. Zostaniesz z nim, dopóki nie ściągnie skóry. Nie zapomnij jej zabrać, bo trzeba pokazać administratorowi, żeby odnotował tę stratę w księgach. I pospiesz się, zanim jakiś drapieжник zniszczy nam znak królewski! Gdyby zwierzę żywiące się padliną zniszczyło miejsce, gdzie klacz miała wypaloną literę „R” z koroną i ten znak by zniknął, wtedy nie będzie wiadomo, czy na pewno pochodziła ze stajni królewskich. Bez tego dowodu ludzie pracujący przy koniach na pastwisku mogą mieć poważne kłopoty.



Hernando trzymał przed sobą oznakowany fragment skóry zdartej z martwej klaczy. Cuchnęła tak samo jak skóry, które siedem lat temu nosił z rzeźni do garbarni. Jak wiele zmieniło się w jego życiu od tamtego czasu! Znalazł koniucha, wrócił z nim do dębiny, zaczekał, aż zdejmą skórę z martwej klaczy, i ruszył w drogę powrotną, kiedy zaczęło się zmierzchać. Dzień dobiegał końca, słońce chyliło się ku zachodowi, oświetlając coraz słabiej panoramę Kordoby. Meczet przebudowany na katedrę, alkazar, wieża Calahorra i dzwonnice kościołów dominowały nad domami skąpane w czerwonej poświacie. Cisza na polu była niemal zupełna. Corretón stapał łagodnie, jakby nie chciał zmaćcić spokoju tej magicznej chwili. Hernando westchnął i poklepał po szyi konia, który nastawił uszy w jego stronę.

Jakieś półtora roku temu młody ujeżdżacz miał wypadek na pastwisku; byk przewrócił konia i uderzył rogiem w krocze młodzieńca.

Towarzyszący mu jeźdźcy przenieśli Alonsa (tak miał na imię ten nieszczęśnik) do stajni królewskich. Krwawił obficie, chociaż nic nie wskazywało na uszkodzenie ważnych dla życia organów. Posłano po felczera, który rzucił okiem na ranę i oznajmił, że musi zbadać dokładniej żołądek, ale chłopak nie pozwolił się dotknąć, zażądał wezwania urzędnika, aby mieć oficjalne poświadczenie, że nie jest obrzezany. Hernando pobiegł poszukać notariusza. Bał się, że Alonso straci do tego czasu za dużo krwi, ale nikt z obecnych nie przywiązywał do tego wagi. Wszyscy, włącznie z felczerm, uznali żądanie Alonsa za całkowicie słuszne i logiczne. Lepiej umrzeć, niż uchodzić za żyda lub muzułmanina! Ku zdziwieniu moryska notariusz nie dał się długo prosić, wręczył mu swoje papiery i przybory do pisania, a sam pobiegł do stajni, pochylił się nad kroczem rannego, z uwagą śledził palce błędzące wśród strzępków krwi i słuchał wyjaśnień felczera, by móc stwierdzić osobiście, iż ów Alonso nie był uprzednio obrzezany. Sporządził akta, w których zanotował, powołując się na opinię felczera, iż

w trakcie zabiegu medycznego nastąpiła konieczność usunięcia napletka z członka jeźdźca, który uległ wypadkowi na koniu. Wręczył ten dokument rannemu, który przycisnął go do piersi, jakby to była kwestia życia lub śmierci... lub honoru.

— Alonso nie będzie mógł wsiąść na konia przez jakiś czas — powiedział don Diego do swojego lokaja, podpisawszy rzeczony dokument w charakterze świadka. — A ty potrafisz? — spytał zniecierpliwiony Hernando, który wciąż stał przy notariuszu.

— Owszem... — zająknął się z wrażenia, że wkrótce spełni swoje marzenie.

Don Diego dał mu na próbę czteroletniego konia, już ułożonego i gotowego do przedstawienia królowi. Gdy tylko Hernando wyczuł nogami potężną energię tego wspaniałego zwierzęcia, rozdzwoniły się w jego głowie rady Aben Humeyi: „...wprostuj się, jeszcze bardziej, trzymaj się z dumą, musisz być dumny, ręce łagodne, rządzą tylko nogi, siły używaj w ostateczności. Tańcz! Tańcz ze swoim koniem! Poczuj go, pamiętaj, że stanowicie jedność!”. I zatańczył z koniem, prosił go o ruchy, które uzyskiwali od swoich wierzchowców najbardziej doświadczeni jeźdźcy. Obserwował ich tysiące razy, kiedy pracowali z końmi na patio lub na maneżu pod dachem, który król kazał wybudować, aby ochronić zwierzęta przed nagłymi zmianami klimatu i krańcowymi temperaturami zimą albo latem. Sam był zaskoczony, że czterolatek tak świetnie reagował na każde drgnienie jego nóg i rąk. Poruszał się elegancko, jak przystało na przedstawiciela czystej rasy hiszpańskiej.

— Ma instynkt i wyczucie do koni. Widziałem to już w stajni. Potrafi nimi kierować z ziemi i w dosiadzie — oświadczył don Diego w obecności Joségo i Rodriga obserwujących ewolucje jeźdźcy i konia. — Nauczcie go wszystkiego, co sami umiecie.

I tak się zaczęło. Oprócz tego Hernando pobierał nauki również od don Juliána w katedralnej bibliotece Kordoby, którą rada miejska postanowiła przenieść tego samego roku. Pogłębiał znajomość języka sakralnego pod opieką księdza i stopniowo przyswajał

sobie naukowy język arabski. Przychodził do meczetu wieczorem po pracy w stajniach, kiedy ruch duchownych i wiernych stawał się mniejszy, przed nieszporamai albo po nich, przed zamknięciem bram świątyni. Don Julián był ostatnim z księży, których najpierw mudejarowie, a potem moryskowie, kiedy pod wpływem kardynała Cisnerosa Królowie Katolicycy wydali dekret o ich wypędzeniu lub przejściu na katolicyzm, zdołali wprowadzić potajemnie do wielkiego meczetu kordobańskiego.

— Odkąd król Ferdynand zdobył Kordobę, a meczet dostał się w ręce chrześcijan — wyjaśniał don Julián swym łagodnym głosem, kiedy siedzieli sami, ramię przy ramieniu, przy stole bibliotecznym z dokumentami i lampą — zawsze był jakiś muzułmanin w sutannie przebrany za księdza. Nasza rola polegała na tym, by modlić się w świętym miejscu, nawet bez słów, i dowiadywać się, co myśli i planuje Kościół, aby w porę uprzedzić wszystkich naszych braci. Było to możliwe tylko od wewnątrz, z samego środka tych świątyni i kapituł katedralnych.

— Chyba nie chcecie wyświęcić mnie na księdza! — powiedział zaskoczony Hernando.

— Oczywiście, że nie. Teraz to prawie niemożliwe. Coraz trudniej wprowadzić muzułmanina w szeregi chrześcijańskich duchownych, nie mówiąc już o jakimkolwiek stanowisku w kapitule katedralnej. Trzeba spełnić liczne wymogi dotyczące czystości krwi i wielu innych spraw. Wszystko się bardzo skomplikowało.

Hernando słyszał o procedurze administracyjnego sprawdzania czystości krwi. Dana osoba musiała udowodnić na podstawie dokumentów, że żaden z jej przodków nie miał korzeni muzułmańskich albo żydowskich. Czystość krwi stała się w Hiszpanii nieodzownym warunkiem dla kandydatów nie tylko do stanu duchownego, ale na każde stanowisko publiczne.

— Statut czystości krwi obowiązujący w tej katedrze — mówił dalej don Julián — uchwalono w sierpniu tysiąc pięćset trzydziestego roku. Ratyfikacja na mocy bulli papieskiej nastąpiła dopiero dwadzieścia lat potem, ale wprowadzono go już wcześniej na rozkaz cesarza Karola. W czasach gdy ja musiałem przez to

przejsć, a było to sporo lat temu — stary ksiądz pokręcił smutno głową, jakby ciążyło mu to wspomnienie — należało udokumentować czystość krwi na dwunastu stronach, wymagania były w miarę proste i powierzchowne. Nie to co teraz, gdy jest do wypełnienia dwieście pięćdziesiąt stron formularza. Szczegółowe pytania obejmują nie tylko rodziców i dziadków, ale wszystkich przodków: dotyczą miejsca zamieszkania, zajmowanych stanowisk, całego życia... Obawiam się, że po mojej śmierci, jeżeli nie zidentyfikują mnie wcześniej, nie znajdzie się już nikt na to miejsce i przyjdzie nam zrezygnować z tego fortelu. Dlatego musimy wzmocnić mechanizmy obronne, które nie zależą bezpośrednio od naszej obecności w kościołach chrześcijańskich. Co innego w Grenadzie — dodał duchowny. — Tamtejszy arcybiskup nie przestrzega zbyt skrupulatnie wymogów czystości krwi. W Grenadzie wciąż liczą się ludzie i rodziny wywodzące się z muzułmańskiej szlachty zintegrowanej z hierarchią chrześcijańską od czasów Królów Katolickich. Znam morysków, którzy zostali księżmi albo wstąpili do zakonu jezuitów. W królestwie Grenady nie będzie łatwe wprowadzenie tego statutu... Ale co się odwlecze... Przyjdzie i na nich kolej. Grenada przestanie być wyjątkiem.

Hernando pracował z don Juliánem już od pięciu lat i zdążył poznać w tym czasie mechanizmy, o których wspomniał jego nauczyciel. Czuwała nad nimi rada, w której skład wchodził Dżalil, Karim i Hamid, jako starszyzna, oraz don Julián, Abbas i on sam. Rzadko kiedy udało się zebrać całą szóstkę w jednym miejscu i czasie, ponieważ Hamid jako niewolnik nie mógł swobodnie poruszać się po mieście, a dla Juliána było to zbyt niebezpieczne i groziło wpadką. Z tego powodu Hernando funkcjonował jako łącznik między poszczególnymi członkami rady w sytuacjach wymagających podjęcia wspólnej decyzji. Na jego prośbę pisarz stajni królewskich wystawił mu specjalną przepustkę pozwalającą przebywać poza miejscem pracy i zamieszkania o różnych porach dnia i nocy. Mało kto z kordobańskich morysków miał taką swobodę.

Uzyskał ją zaraz na początku współpracy z bibliotekarzem. W 1573 roku gmina muzułmańska dowiedziała się o przygotowaniach do powstania w Aragonii. Wiadomości przynosili banicy i mulnicy, którzy przemieszczali się z miejsca na miejsce. Moryskowie z królestwa Aragonii weszli w kontakt z francuskimi hugenotami, obiecując im pomoc wojskową i materialną, jeśli zaatakują Aragonię. Na wieść o tym wielu mężczyzn z Kordoby i okolic wyraziło chęć przyłączenia się do zbrojnego powstania przeciwko chrześcijanom. Rada starszych postanowiła poskromić ten zapał i zaapelowała do muzułmanów z Kordoby o cierpliwość i niepodejmowanie zbyt pospiesznych decyzji. Dwa lata później Francuz pośredniczący między hugenotami i moryskami został zatrzymany przez inkwizycję i wszystko wyznał na torturach. Hrabia de Sástago, wicekról Aragonii, rozkazał zatrzymać losowo wybranych morysków z różnych regionów królestwa i poddać ich torturom w celu sprawdzenia wiarygodności doniesień o powstaniu.

W grudniu 1576 roku sytuacja się powtórzyła: krążyły kopie listu sułtana Wysokiej Porty z zapowiedzią przybycia trzech flot muzułmańskich, które jednocześnie wylądują w Barcelonie, Denii i Kartaginie. W maju następnego roku inkwizycja przejęła list od bejlerbeja Algieru, który powiadamiał hiszpańskich morysków o przesunięciu daty lądowania na sierpień, aby akcja floty zbiegła się w czasie z planowaną inwazją z terytorium Francji. Bejlerbej namawiał morysków do przejmowania władzy w regionach górskich. Niemniej w październiku 1578 roku nikt nie wiedział nic konkretnego o flotach ani lądowaniu.

— Wasi bracia w wierze myślą tylko o swoich interesach — oświadczył Karim.

Była niedziela. Po mszy, niespodziewanie, wszyscy z wyjątkiem Juliána zebrali się w domu Dżalila. Usadowili się na dywanikach na podłodze. Młodzi pełnili wartę na ulicy Moriscos na wypadek nagłej wizyty księdza lub urzędników magistrackich.

Hamid i Dżalil spuścili oczy zaniepokojeni ostrym tonem Karima. Abbas chciał zareplikować, lecz Karim mu nie pozwolił.

— Mówię prawdę, Abbasie. Podczas powstania w Alpuharze przysłali nam korsarzy i przestępców, a obiecane nam wojsko rzucili do ataku na Tunis. W tym samym czasie sułtan dokonał najazdu na Cypr. Ostatnio Algierczycy ponownie zajęli Tunis i Bizertę, wypędzili Hiszpanów z La Golety, sułtan zaś...

— Już jakiś czas temu sułtan zawarł porozumienie z królem Filipem, że flota turecka nie zaatakuje portów śródziemnomorskich — przerwał mu Hernando. Trzej starsi spojrzeli na niego z zaskoczeniem. Abbas parsknął z niedowierzaniem. — Jeden z naszych znajomych — dodał enigmatycznie, gdyż nawet we własnym gronie unikali nazywania don Juliána po imieniu, a tylko pięć osób w Kordobie znało prawdziwą tożsamość tego księdza — zdobył informację na ten temat. Porozumienie jest tajne. Król nie zamierza wysłać formalnego poselstwa. Negocjowaniem pokoju zajmuje się pewien szlachcic z Mediolanu. Negocjacje otoczone są takim sekretem, że ów mediolańczyk porusza się po Konstantynopolu w przebraniu niewolnika. Król Filip nie chce, by Francuzi wtrącali się do jego rozmów. Nie chce również uchodzić wśród chrześcijan za zdrajcę paktującego z heretykami. Tak to wygląda. Turcy prowadzą wojnę z Persją i tam koncentrują swoje wojska, dlatego równie mocno jak chrześcijanie są zainteresowani zawarciem układu o pokój.

— To oznacza... — zaczął Karim.

— Że wszystkie obietnice wyzwolenia naszego ludu po raz kolejny okazały się bez pokrycia — dokończył Hamid.

Hernando słuchał fakiha ze ściśniętym sercem. Pomyślał, że nawet mówienie sprawia Hamidowi wysiłek. Jego słowa zabrzmiały ostro i stanowczo, ale wydawał się zmęczony. Ostatnio bardzo się posunął, starzał się w błyskawicznym tempie.

Przez kilka chwil trwała cisza, wszyscy pograżyli się w ponurej zadumie.



— Nie wolno tego rozgłaszać! — zawołał Karim, przerywając milczenie. — Nasza gmina nie może się o tym dowiedzieć...

— Dlaczego? — zapytał Hernando.

— Nie wolno odbierać nadziei — odparł Dżalil, przyłączając się do zdania swojego kolegi. Hernando zauważył potaknięcie Hamida. — To jedyne, co nam zostało. Ludzie mówią o Turkach, Algierczykach i korsarzach z rozplómiennym wzrokiem. Co mamy bez nich począć? Zerwać się znowu do powstania? — Dżalil gwałtownie uderzył pięścią w powietrze. — Nie mamy broni, kontroluje się każdy nasz ruch. Skoro ponieśliśmy klęskę na naszym własnym terenie w górach, uzbrojeni i pełni entuzjazmu, to o czym tu teraz mówić? Przegramy w okamgnieniu! Bez tej nadziei w pomoc Wysokiej Porty nasi ludzie zaczną rozpaczać, rzucać się w ramiona chrześcijan i ich religii, a Hiszpanie tylko na to czekają. Musimy podsycać to złudzenie. Wszystkie nasze proroctwa głoszą, że muzułmanie znowu będą panować na ziemiach Al-Andalus!

Hernando poczuł się w obowiązku wesprzeć Dżalila w tej dyskusji.

— Bóg daje władzę i pokorę — oświadczył, wymieniając spojrzenie z Hamidem. — On nas obroni.

Hernando i Hamid porozumieli się oczami, reszta zgromadzonych uszanowała ten moment komunii.

— Bóg gubi, kogo chce — wyszeptał powoli fakih śpiewnym tonem jak w Alpuharze — i prowadzi, kogo chce. Niechaj twa dusza, o Mahomecie, nie martwi się losem ludu! Bóg zna uczynki każdego.

Znowu zapadło milczenie.

— Tak więc nadal będziemy akceptować obietnice pomocy składane przez Turków. — Dżalil przerwał magię ciszy, jaka nastąpiła po słowach Hamida. — Udawajmy radość i nadzieję, ale nie pozwólmy naszym ludziom przyłączać się do tych złudnych planów.

Postanowiono zakończyć posiedzenie. Abbas pomógł Hamidowi wstać. Ze względów bezpieczeństwa wychodzili z miejsca

zebrania pojedynczo, robiąc dłuższe przerwy między jedną osobą a drugą. Hamid z wysiłkiem podreptał w stronę drzwi.

— Oprzyj się na mnie — zaproponował Hernando, podsuwając mu swoje ramię.

— Nie powinniśmy...

— Syn nie powinien zostawić ojca samego. Tak mówi prawo.

Hamid ustąpił, zmuszając się do uśmiechu, i przyjął ofiarowane ramię. Piętno niewolnika wyryte żelazem na jego twarzy ginęło pod tysiącem zmarszczek.

— Coraz mniej widać, prawda? — odezwał się już na ulicy, świadom, że Hernando spogląda ukradkiem na to upokarzające znamię.

— Prawda — przyznał młody morysk.

— Niewola nie jest silniejsza od śmierci.

— Trochę jeszcze zostało — zażartował Hernando, żegnając się prawie niedostrzegalnym skinieniem dłoni z bawiącymi się na ulicy Moriscos chłopcami, którzy w rzeczywistości pełnili wartę.

Hamid stapał powoli, starając się ukryć ból, jaki sprawiała mu chora noga. Ciężkie, szare chmury przykrywały niebo. Skręcili za kościołem Santa Marina, schodząc w dół ulicami Aceituno i Arhonas do dzielnicy Potro, żeby ominąć gwarne, brukowane uliczki w pobliżu Feria, ulubionego miejsca niedzielnych spacerów kordobańczyków. Tam jest większe ryzyko, pomyślał Hernando, natrafienia na młodych szlachciców, którzy zalecają się do señority, urządzając pokaz walki z bykiem pod jej oknem. Hamid nie zdołałby usunąć się w porę z ich drogi. Dzielnica Ajerquía nie miała systemu kanałów ściekowych, a ponieważ rok 1578, podobnie jak poprzedni, był bardzo suchy i nie padało nawet w październiku, z czarnych dziur wydobywał się smród rywalizujący z odorem wysypisk śmieci. Przechadzka w tej okolicy nie należała do przyjemnych.

— Co słysząc u twojej rodziny? — dopytywał Hamid.

— Wszystko w porządku — odpowiedział Hernando. W ciągu pięciu lat małżeństwa Fatima urodziła mu dwójkę dzieci. — Fran-

cisco — starszy syn nosił imię Francisco na cześć Hamida i nie miał muzułmańskiego imienia, bo ojciec obawiał się, że dzieci będą go używać mimo woli — rośnie silny i zdrowy, a Inés jest prześliczną dziewczynką. Robi się coraz bardziej podobna do matki, ma takie same oczy jak ona.

— Jeśli ma również jej charakter — dodał fakih w uznaniu dla pracy Fatimy na rzecz wspólnoty — wyrośnie na wielką kobietę. A co u Aiszy? Poradziła sobie jakoś...?

— Nie — odparł szybko Hernando. — Nic się nie zmieniło pod tym względem.

Rozmawiali na ten temat już wcześniej. Po wyjściu z więzienia Aisza znalazła się w sytuacji kobiety samotnej, Brahim nie wracał i pogodziła się z myślą, że to się już nie zmieni i że nigdy nie będzie mieć mężczyzny u swego boku. Hernando usiłował jej wytłumaczyć, że cztery lata bez żadnej wiadomości od męża są wystarczającym powodem do wystąpienia o rozwód. Takie jest prawo morysków. Powinna zgłosić się z tym do starszyny.

— Musiałabym również pójść do biskupa — zaprotestowała. — Mój nowy związek małżeński byłby nieważny w oczach chrześcijan. Brahim został uznany za dezertera. Sama się do tego przyczyniłam, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji, jakie pociąga to dla mnie na przyszłość. Dla biskupa jestem mężatką i nie pozwoli mi wziąć ślubu z innym mężczyzną... Zresztą nic mnie nie obchodzi, co chrześcijański Kościół mówi na ten temat. Poza wszystkim nie czuję potrzeby ponownego zamążpójścia.

Zdecydowana ukryć przed Szamirem prawdę o jego ojcu Aisza wymyśliła, że gdy syn podrośnie i zacznie zadawać pytania, opowie mu o ojcu bohaterze, który poległ w Alpuharze podczas powstania morysków. Sama prawie w to uwierzyła i z tym większą siłą zajęła się poszukiwaniem synów, których zabrała jej jakaś chrześcijańska rodzina zaraz po przybyciu do Kordoby. Porozmawiała o tym ze swoim pierworodnym.

— Teraz ty jesteś głową rodziny — oświadczyła. — Dobrze zarabiasz, mamy dwie izby, podczas gdy większość morysków

gnieździ się w jednej. Pracujesz w katedrze — w odróżnieniu od Fatimy matka nie znała całej prawdy o jego pracy w bibliotece — więc nikt nie może twierdzić, że twoi bracia będą pozbawieni chrześcijańskiego wychowania. Pomyśl o nich! To moi synowie! Chcę mieć ich przy sobie, tak jak ciebie i Szamira!

To są również dzieci tego niegodziwca, Brahima! — pomyślał wtedy Hernando, ale nic nie powiedział. Gdy zobaczył łyzy na policzkach matki, splecione, drżące dłonie, które zaciskała, czekając na jego decyzję, obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby odnaleźć i uwolnić swoich przyrodnych braci. Musa powinien mieć teraz dziewięć albo dziesięć lat, a Aquil piętnaście. Poinformował Fatimę, że zamierza spełnić prośbę matki, nie pytał jej o zdanie i nie dał dojść do słowa. Porozmawiał z don Juliánem, wyjaśnił mu, o co chodzi, i wkrótce otrzymał list polecający z podpisem don Salvadora, który był, jak się okazało, dyrygentem chóru katedralnego i opiekunem ksiąg chóralnych przywiązanych łańcuchami do stalli, odpowiedzialnym za ich naprawę bądź sporządzenie nowych. Don Salvador „przeegzaminował” Hernanda wcześniej ze znajomości języka arabskiego, a potem w sposób jawny bądź zawołowany sprawdzał, czy rzeczywiście jest takim dobrym chrześcijaninem, jak go przedstawił Abbas. Wiara i wiedza Hernanda wykazywane z przekonaniem i zarazem pokorą usatysfakcjonowały chórmistrza, tym bardziej że wyczuwał w morysku nieustanną gotowość do zasięgania rady i przyjmowania wyjaśnień. Z pomocą innych księży uzyskał wiadomość, komu powierzono jego braci do ewangelizowania, lecz w momencie gdy była już zgoda na ich powrót do rodzonej matki, garncarz i piekarz, dobrzy chrześcijanie, którzy kiedyś przyjęli te dzieci pod swój dach, oświadczyli, że chłopcy uciekli dawno temu, o czym oni od razu poinformowali radę miejską i zachowały się nawet ich zeznania z tego okresu. W rzeczywistości, jak wyjaśnił potem Hamid, ci dobrzy ludzie sprzedali chłopców na targu niewolników. Wiele dzieci ze wszystkich królestw Hiszpanii spotkał taki sam los, chociaż dekret wydany przez króla Filipa zakazywał oddawania nieletnich w niewolę. Hamid powiedział mu również, że nie-

które z tych dzieci po osiągnięciu pełnoletności występowały do sądu z żądaniem wyzwolenia, co oznaczało proces długi i kosztowny. Większość z nich rezygnowała albo w ogóle nie podejmowała tej próby, zresztą mało kto miał świadomość, że takie prawo przysługuje poszkodowanym. W przypadku dzieci Aiszy na dodatek nie było wiadomo, gdzie zostały sprzedane i komu, toteż nic więcej nie można było zrobić w tej sprawie.

Wiadomość ta pogrążyła Aiszę w wielkiej rozpacz, która z czasem przeszła w skrajną apatię. Życie wydawało jej się pozbawione sensu, odkąd straciła wszelką nadzieję. Kordoba ukradła jej dwóch synów, w czasie rzezi w Juviles zginęły jej dwie córki! Nawet obecność Szamira nie była w stanie wyrwać jej z otępienia.

— Nie wiem, jak pomóc matce, a sama sobie z tym nie poradzi — powtórzył Hernando i poczuł, że Hamid ściska go za ramię. Odebrał to jako pocieszenie.

Znajdowali się przed wielkim murałem na ścianie budynku przedstawiającym Chrystusa ukrzyżowanego. Obok modliło się kilka osób, ciągle ktoś stawiał zapalone świece. Podszedł do nich mężczyzna zbierający datki na ołtarz. Hernando dał parę groszy i przeżegnał się, szepcząc coś do siebie, jak gdyby się modlił, więc człowiek szybko się oddalił, żeby mu nie przeszkadzać. Dlaczego Bóg, jeśli jest tak dobry i miłosierny, jak mówią, zgotował taki los jego przyrodniemu rodzeństwu? Dlaczego pozwolił, by odebrano moryskom wolność i środki do życia? Kątem oka dostrzegł, że Hamid też się przeżegnał, po czym obaj podjęli dalszą drogę.

Doszli do skrzyżowania Arhonas z Mucho Trigo i Potro, gdzie łączyło się w sumie pięć uliczek, tworząc niewielki plac, i w milczeniu skręcili do zamtuza.

— A ty jak się czujesz? — odważył się spytać Hernando kilka kroków przed bramą.

— Dobrze, dobrze — wymamrotał Hamid.

— Powiedz prawdę! — nalegał Hernando. Zatrzymał się

i ścisnął wychudzoną dłoń spoczywającą na jego przedramieniu, dając do zrozumienia, że nie wierzy.

— Starzeję się, synu. Oto cała prawda.

— Francisco! — Ostry głos podzielał nieprzyjemnie na Hernanda. Spojrzał na drzwi domu publicznego, gdzie stała duża, gruba i spocona baba z tłustymi włosami i podwiniętymi do łokci rękawami. — Gdzie ty się włóczysz? — wrzeszczała, chociaż stali o kilka kroków dalej. — Roboty pełno, a ciebie nie ma!

Hamid chciał się pożegnać, ale Hernando go zatrzymał.

— Kto to? — zapytał.

— Pospiesz się, Maurice! — ponagliła kobieta.

— Nikt... — Hernando ścisnął mocniej jego dłoń na znak, że nie da się zbyć półsłówkiem. — Nowa niewolnica. Zajmuje się kobietami — ustąpił wreszcie Hamid.

— To znaczy, że...?

— Muszę już iść, synu. Pokój z tobą.

Hamid zabrał swoją dłoń z rąk Hernanda i nie patrząc na niego, pokuszył się do wejścia. Kobieta czekała, podpierając się rękami w pasie. Hernando obserwował powolne, niezdarne kroki starca; zmarszczył brwi i zacisnął pięści na myśl o grymasie bólu na jego twarzy.

Kiedy fakih przechodził obok kobiety, ta popchnęła go mocno uderzeniem w plecy.

— Szybciej, ty niedołego! — wrzasnęła.

Hamid potknął się i o mało nie upadł na ziemię.

Hernando poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Stał jednak spokojnie, dopóki oboje nie zniknęli za drzwiami. Dobiegły go kolejne wrzaski i obelgi rzucane przez kobietę. Nowa niewolnica: Hamid był już nieprzydatny!

Grupka mężczyzn idących ulicą Potro potrąciła Hernanda w przejściu.

Co będzie z Hamidem? — zastanawiał się, ruszając przed siebie bez celu. Od jak dawna trwa ta sytuacja? Jak to możliwe, że nic nie zauważył, nie zrozumiał bólu i smutku na twarzy swojego...

ojca? Czy szczęście tak zaślepi człowieka, że nie widzi się cierpienia bliźniego?

— Jak mogłem! — Ten okrzyk zaskoczył karczmarza z placu Potro, gdzie Hernando znalazł się niechcący. Karczmarz obserwował przez chwilę mówiącego do siebie człowieka, starając się go ocenić: dobrze ubrany, w butach do końskiej jazdy, widać nie byle kto, choć dziwak, zresztą dziwaków tu nie brakowało. — Jestem niewdzięcznikiem! — oskarżał się Hernando. Karczmarz podjął decyzję.

— Może szklaneczkę wina? — zaproponował. — To najlepsze lekarstwo na zmartwienie.

Hernando odwrócił się do niego. Jakie zmartwienie? Nigdy nie był szczęśliwszy! Fatima go uwielbiała, a on ją. Dużo rozmawiali, śmiali się i uprawiali miłość przy każdej sposobności, oboje pracowali na rzecz wspólnoty; nic im nie brakowało, czuli się spełnieni, zadowoleni i dumni! Dzieci rosły im zdrowo, były dobre, wesole i silne. A tymczasem Hamid... Szklaneczka wina, czemu nie?

Karczmarz ponownie napełnił szklanekę, gdyż Hernando opróżnił ją jednym haustem za pierwszym razem.

— Stary Maur z zamtuza? — upewnił się, zanim odpowiedział na pytanie przybysza, który miał już trochę w czubie.

Hernando przytaknął ze smutkiem.

— Tak, stary Maur...

— Jest na sprzedaż. Już od jakiegoś czasu zarządca usiłuje się go pozbyć, żeby oszczędzić na tych resztkach jedzenia, jakim go karmi. Każdej nocy szuka kupca pośród osób zaglądających na ulicę Potro.

Od jakiegoś czasu usiłują go sprzedać! Dlaczego Hamid nic nie powiedział? Pozwolił mu spać spokojnie u boku żony i dziękować Bogu za wszystko, co osiągnęli, podczas gdy on, jego ojciec, był przedmiotem transakcji handlowych. Dlaczego?

— Nikt nie chce go kupić. — Karczmarz wybuchnął śmiechem, napełniając szklanekę od nowa. — Nie nadaje się do niczego!

Hernando odstawił szklanę, którą nieświadomie podniósł do ust. Nie będzie więcej pił. Co ten człowiek gada? Mówi o jego mistrzu! „Dzieci, Hamid mnie nauczył...”. Setki razy rozpoczynał rozmowę ze swoimi dziećmi tymi słowami. Były jeszcze małe, ale już próbował przekazać im różne rzeczy. Sprawiało mu to przyjemność. W takich chwilach Fatima chwytała go za rękę i czule ścisnęła, matka wspominała w myślach wioskę w górach Alpuhary, a dzieci otwierały szeroko oczy i słuchały uważnie jego słów. Może jeszcze nie wszystko rozumiały, ale Hamid był niejako wciąż obecny w jego domu, w chwilach najbardziej intymnych i pełnych szczęścia, kiedy zbierała się cała rodzina, nie czuli głodu, nie mieli kłopotów. Jak można mówić, że Hamid nie nadaje się do niczego! Dlaczego on, jego syn, dowiaduje się o tym dopiero teraz? — znowu zaczął się oskarżać. Dlaczego był taki ślepy?

— Dlaczego? — zdziwił się karczmarz — Czyżby ci zależało na tym starym kalece?

Hernando uniósł twarz i spojrzał mu prosto w oczy. Wyjął monetę, położył na kontuarze, pokręcił głową i postanowił opuścić ten lokal. W ostatniej chwili coś przyszło mu na myśl...

— Ile chce zarządca za tego niewolnika?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Parę groszy, śmieszna suma — odrzekł, machając lekceważąco ręką.



— On prosił... wymógł na nas, żeby ci nic nie mówić. — Tyle dowiedział się od Abbasa.

Hernando skierował swoje kroki do kuźni, ledwie wszedł na teren stajni zaraz po rozmowie z karczmarzem.

— Dlaczego? — niemal krzyczał. Abbas poprosił go, żeby ściszył głos. — Dlaczego? — powtórzył innym tonem. — Przecież wykupujemy niewolników. Dokładam się do tego. A tymczasem Hamid... Właściciel jest gotów go sprzedać za parę groszy. Rozumiesz? Parę groszy za tego świętego człowieka!



— Hamid nie chce. Woli, żeby pieniądze szły na wyzwolenie młodych. Te parę groszy, jak mówisz, to kwota proponowana przez zarządcę chrześcijanom. Natomiast gdyby wiedział, że to my chcemy go kupić, zażądałby dużo więcej. Możesz być tego pewny. Zawsze tak jest: za każdego z naszych braci płacimy niebotyczne sumy, znacznie wyższe od ceny sprzedaży.

— I co z tego? Hamid poświęcił pracy dla nas całe swoje życie. Nikt nie zasługuje na wyzwolenie bardziej niż on.

— Zgadzam się z tobą — oświadczył Abbas — ale trzeba uszanować jego decyzję — dodał, widząc, że Hernando nie zamierza ustąpić. — On nie pozwala wydawać na siebie pieniędzy uzbieranych przez gminę.

— Ale...

— Hamid wie, co robi. Sam powiedziałeś, że to święty człowiek.

Hernando opuścił stajnię bez pożegnania. Tak być nie może! Niektórzy chrześcijanie, zwłaszcza pobożne kobiety, wyzwalały swoich niewolników, kiedy stają się niezdolni do pracy, ale zarządca domu publicznego tak nie postąpi, o nie! Ten człowiek nie wypuści Hamida, dopóki nie dostanie za niego choćby paru groszy. Handel żywym towarem stanowił w tym czasie jedno z najkorzystniejszych i najbardziej intratnych zajęć w Kordobie nie tylko dla zawodowych handlarzy, ale też dla zwykłych właścicieli niewolników. Wszyscy wystawiali ich na sprzedaż i otrzymywali z tego olbrzymie zyski. Nowy nabywca Hamida — jeśli w ogóle znajdzie się ktoś, kto weźmie kulawego, schorowanego starca — na pewno nie zrobi tego z litości, tylko dla zarobku, i aby odzyskać zainwestowane pieniądze, wyśle go do pracy... może gdzieś daleko od Kordoby, a to go zabije. Fakih nie zasługuje na taki los, chociaż nic dla siebie nie chce. On, Hernando, też na to nie zasługuje, mówił sobie w duchu, wchodząc po schodach do mieszkania nad stajnią. Hamid jest mu potrzebny! Pragnie go widywać i rozmawiać z nim, nawet jeśli to nie zdarza się zbyt często, potrzebuje jego rad. Najważniejsza jest świadomość, że w każdej chwili można go poprosić o radę.

Hamid jest dla niego jak ojciec, którego nigdy nie miał, jemu zawdzięcza najmiłsze wspomnienia z dzieciństwa.

Powiedział o tym Fatimie. Wysłuchała go z uwagą, a kiedy skończył, uśmiechnęła się i pogłaskała po policzku.

— Wykup go — szepnęła — ilekolwiek by to kosztowało. Stać cię na to, teraz dobrze zarabiasz, więc jakoś sobie poradzimy.

To prawda, pomyślał Hernando, idąc przez rzymski most do wieży Calahorra. Śmiało pokazał swoją nową legitymację strażnikom na moście. Otrzymywał teraz trzy dukaty miesięcznie, a oprócz tego trzy spore miarki pszenicy na rok. Ujeżdzacze z większym stażem, a także kowal Abbas, zarabiali więcej, ale Hernando i Fatima i tak byli zachwyceni tym, co zyskali. Fatima oszczędzała grosz do grosza, jakby ten ich dobrobyt miał się skończyć w każdej chwili.

W świąteczne dni Campo de la Verdad było pełne ludzi. Kordobańscy lubili spacerować brzegiem rzeki, podziwiać trzy wiatraki i rwące wody pod rzymskim mostem łączącym oba brzegi Gwadalkiwiru albo szukali wytchnienia na polach rozciągających się za murami, toteż handlarze koni i mułów nie próżnowali w niedzielę, usiłując zainteresować spacerowiczów swoją ofertą i trzeba przyznać, że czasem im się to udawało.

Mulnik Juan wydawał się bardziej przygarbiony i jeszcze mniejszy niż dawniej. Uśmiechnął się na powitanie bezzębnymi ustami. Brakowało mu paru czarnych zębów, które miał jeszcze w początkach ich znajomości.

— Oto nasz sławny morysk, wielki jeździec! — zawołał mulnik na jego widok. Hernando był zaskoczony. — Dziwisz się? — dodał Juan, poklepując go serdecznie po plecach. — Dużo o tobie słyszałem. Nie tylko ja. Jesteś sławny.

Hernando nigdy się nad tym nie zastanawiał. Ciekawe, co ludzie o nim mówią?

— Rzadko się zdarza, by młody morysk ujeżdżał królewskie konie... i na dodatek pracował w katedrze. Niektórzy hand-

larze powołują się na znajomość z tobą, żeby przyciągnąć kupców — wyjaśnił Juan, mrużąc znacząco oko. — Zachwalają swoje konie, mówiąc, że dosiadał ich Hernando, morysk ze stajni królewskich! Zastanawiałem się nawet, czy nie powiedzieć, że jeździłeś na moich mułach, ale nie wiem, czy to by coś dało.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

— Co tam u ciebie, Juanie?

— *Zmęczona Dziewica* poszła na dno — powiedział po cichu i wziął go poufale pod ramię. — Zrobiła to powoli i z godnością, jak przystoi damie. Na szczęście blisko brzegu, więc uratowaliśmy baryłki.

— Jak sobie teraz radzisz z...?

— Fajna mulica, prawda! — Juan szybko zmienił temat. Hernando popatrzył we wskazanym kierunku. Zwierzę było dobrze zbudowane, kończyny silne, mocno umięśnione. Ciekawe, jaką ma wadę? — Czuję, że coś u mnie kupisz do stajni królewskich — zażartował handlarz.

— Chcesz zarobić dwa miedziaki? — morysk składał mu propozycję, cytując słowa, które kiedyś usłyszał od Juana.

Mulnik podrapał się po brodzie i spojrzął na niego nieufnie, odślaniając w uśmiechu bezzębne dziąsła.

— Starzeję się — powiedział. — Nie mam już takiej siły jak dawniej...

— A nie chciałbyś podupczyć? Jak w tym berberyjskim burdelu?

— Obrażasz mnie, młodzieńcze. Każdy Hiszpan, który się szanuje, nawet w ostatnich dniach życia nie odmówi sobie takiej przyjemności.

Hernando chętnie mu to sfinansuje. Zawarli taką umowę przy dzbanie wina w karczmie obok katedry. Juan okazał gotowość do współpracy, zwłaszcza gdy się dowiedział, dlaczego młodzieniec tak się interesuje kulawym niewolnikiem z burdelu.

— To mój ojciec — powiedział Hernando.

— W takim razie zrobiłbym to dla ciebie nawet za darmo —

zawołał mulnik — ale płać, skoro zwątpiłeś w moją jurność! I ciesz się, że nie żądam satysfakcji — zażartował.

— Skąd mam wiedzieć, że mnie nie oszukasz? A jeśli zaśniesz przy niej jak dziecko, zanim dojdzie do czegokolwiek? Mnie tam nie będzie, żeby to sprawdzić — odparł Hernando tym samym tonem.

— Stań na placu Potro przy fontannie. Będzie krzyczeć z rozkoszy tak głośno, że usłyszysz na odległość i pomimo hałasu...

— W lupanarze jest dużo kobiet i dużo sklepików. Nie zorientuję się, która krzyczy...

— I owszem, mój drogi, bo będzie wykrzykiwać moje imię.

Hernando przypomniał sobie, jak Juan wiosłował z całej siły w drodze powrotnej, gdy szalupa obciążona baryłkami nabierała coraz więcej wody. Już wtedy był nieduży i chudy, a jednak zawsze docierali do brzegu! Kiwnął potakująco głową, że wierzy w jego męskość, i kontynuował:

— Zarządca nie może podejrzewać, że interesuje cię ten... ten niewolnik. Zgodzi się na niewielką cenę, byleby się go pozbyć. Chyba że się domyśli, iż za tą transakcją stoją moryskowie. Mój ojciec... też nie powinien się niczego domyślać. — Mulnik zmarszczył brwi, nie rozumiejąc. — On uważa, że jest za stary, by wydawać na niego pieniądze — wyjaśnił Hernando. — Ale nie mogę go tak zostawić. Rozumiesz?

— Rozumiem bardzo dobrze. Zobaczysz, że się uda. O nic się nie martw. — Juan uniósł szklanekę wina i wygłosił: — Za dawne, dobre czasy! — Spełnił toast.

W poniedziałek pod wieczór mulnik Juan wszedł do zamtuza i pokazując sakiewkę z kilkoma złotymi koronami, które dostał od Hernanda, chełpił się, że właśnie ubił najlepszy interes swego życia. Zarządca pogratulował mu sukcesu i zaczął wychwalać zalety pracujących u niego kobiet — niektóre już eksponowały swe wdzięki, stojąc w otwartych drzwiach zabudowań po obu stronach zaułka. Mulnik zdecydował się na młodą brunetkę przy kości i poszedł za nią do małego parterowego domku z jedną izbą, w której mieściło się ledwie łóżko, dwa krzesła i umywalka.

Z kolei Hernando zapytał don Juliána, czy może wyjść wcześniej z pracy, i wieczorem wmieszał się w tłum ludzi, których nigdy nie brakowało na placu Potro. Z pewną nostalgią wsłuchiwał się w żarty, odzywki, a nawet sprzeczki karcianych graczy.

Od ponad roku na placu Potro i w okolicy gromadziło się więcej ludzi niż kiedyś. Do zwykłych włóczęgów, szulerów, poszukiwaczy przygód, żołnierzy bez dowódcy i dowódców bez żołnierzy, osobników spod ciemnej gwiazdy, ciągnących na ten plac jak ćmy do światła, biedaków i bezdomnych, podróżnych, których noc zastała na szlaku Ventas w drodze na bogaty dwór madrycki, gdzie udawali się z nadzieją, że coś im skapnie z bogactwa, i wędrowców zmierzających do Sewilli z zamiarem wypłynięcia do Indii w poszukiwaniu fortuny dołączyła cała rzesza ludzi niepożądanych, których wicekról Walencji bezlitośnie pozbawił ziemi i skazał na emigrację do Katalonii, Aragonii lub Sewilli — gdzie z trudem dawało się przeżyć stałym mieszkańcom — albo do Kordoby. Jednemu z nich zawierzył swój los Hernando.

— Ufasz temu mulnikowi? — zapytała Fatima, wyjmując z kufra piętnaście złotych dukatów pieczołowicie ukrytych w sakiewce leżącej obok Koranu.

Czy mu ufał? Przez kilka ostatnich lat nie kontaktował się z Juanem.

— Tak — oświadczył, zdając się na wspomnienia, które odżyły w jego głowie. Ufał temu łobuzowi bardziej niż wszystkim kordobańskim chrześcijanom razem wziętym. Przeżyli wspólnie chwile grozy, napięcia i niepewności. Tak powstają więzi trudne do zerwania.

Juan nacieszył się pieszczotami, jakich mu nie skąpiła młoda, ciemnowłosa Ángela, i gdy już zaspokoił zmysły, niby niechcący potracił dzban z winem, które rozlało się na pościeli.

— Gdzie czyste prześcieradła?! — wrzasnął pijackim głosem.

— Jeszcze ci mało? — zdziwiła się dziewczyna.

— A czy ja powiedziałem, że już dość? Płacę i wymagam!

Ángela zarzuciła bluzkę na ramiona i uchyliła drzwi.

— Tomasa! — krzyknęła ostrym tonem, zupełnie innym od tego, którym przed chwilą zwracała się do klienta. — Przynies czystą pościel!

Hernando wspomniał mulnikowi o Tomasie, ale nie powiedział, że jest dwa razy większa i cięższa niż on. Kiedy ta baba stanęła w drzwiach ze zmianą pościeli, Juan poczuł dziwne onieśmienie, zwłaszcza że stał przed nią w samych gatkach nie pierwszej nowości.

Wcześniej zaplanował, że ją postraszy i każe natychmiast wezwać ojca Hernanda — obecność tego człowieka stanowiła niezbędny element drugiej części planu — ale na sam widok potężnych ramion z podwinętymi rękawami cofnął się mimo woli i miał ochotę uciec. Policzek wymierzony przez Tomasę bolałby bardziej niż kopnięcie muła.

Kobieta schyliła się, żeby zdjąć poplamione prześcieradło. Juan miał przed oczami jej olbrzymi zadek. Teraz albo nigdy! Bo jak ona skończy ścielić łóżko...

Musi to zrobić dla Hernanda!

Zacisnął te kilka zębów, które mu jeszcze zostały, wyciągnął obie dłonie i wsunął palce między jej pośladki.

— Dwie kobiety naraz! — zawołał. — O święty Jakubie! — jęknął, udając zachwyty.

Ángela wybuchnęła śmiechem. Tomasa się odwróciła i już miała wymierzyć mulnikowi siarczysty policzek, ale on, spodziewając się tego, zrobił unik. Zaraz potem wskoczył na nią i zatopił twarz między jej wielkimi piersiami. Przyczepił się jak kleszcz, usiłując zapleść ramiona i uda na jej ogromnym ciele, ale nie dawał rady. Ángela wciąż się śmiała, a Tomasa na próżno starała się uwolnić od cudaka, który, przyklejony do jej ciała, szukał ustami sutków, wpijał się w nie i w pewnym momencie mocno ugryzł.

Tomasę zabolalo, odepchnęła mulnika z taką siłą, że aż poleciał na ścianę. Rozgniewana poprawiała poszarpany gorset, który trochę ucierpiał od gwałtownych pieszczot.

— Jesteś cu... cudowna! — wykrzyknął, nie mogąc złapać tchu po uderzeniu.

Kilka mieszkanek domu publicznego stanęło w drzwiach, zwabione wybuchami śmiechu Ángeli. Zaczzerwieniona Tomasa patrzyła to na mulnika, to na swoje podopieczne.

Z wysiłkiem zdobył się na gest, który mógł być ostatnim w jego życiu. Postąpił krok do przodu, oblizując lubieżnie górną wargę. Tomasa zmarszczyła brwi i podwinęła jeszcze wyżej rękawy, które o mało nie pękły na jej potężnych bicepsach.

— Dość tego! Powinienem być się domyślać, że baba nie nadaje się do pilnowania dziewczynek — rozległ się ostry głos od drzwi. Rozpoznawszy zarządcę domu publicznego, Juan wydał głośne westchnienie ulgi. — Wynocha! — krzyknął zarządca do Tomasy. — Niech tu przyjdzie Francisco ze zmianą prześcieradła.

Zaalarmowany odgłosami skandalu Hamid nie dał na siebie czekać. Reszta kobiet już się rozeszła, kiedy kulawy starzec wszedł do pokoju. Została tylko Ángela.

— Maur?! — wrzasnął mulnik, okazując Hamidowi wrogość. — Jak śmiecie przysłać mi Maura, żeby dotykał prześcieradeł, na których będę leżeć? — dodał, odwracając się do Ángeli. — Sprowadź mi tu z powrotem zarządcę!

Dziewczyna posłuchała i pobiegła go szukać. Teraz zaczyna się najtrudniejsze, pomyślał mulnik. Miał tylko piętnaście dukatów na zakup niewolnika. Nie powiedział Hernandowi, żeby go nie martwić, ale cena niewolników pięćdziesięcioparoletnich wynosi na rynku trzydzieści dwa dukaty, chociaż w tym wieku niewiele już można z nich wycisnąć. Chłopak miał taki radosny uśmiech i błysk w niebieskich oczach, kiedy wręczał mu sakiewkę z pieniędzmi. Pewnie to były oszczędności całego jego życia! Ciekawe, ile zażyczy sobie zarządca?

Hamid patrzył ze zdziwieniem, że człowiek, który tak gwałtownie zareagował na jego widok, teraz jest zamyślony i zachowuje się, jakby go nie widział. Chciał pościelić łóżko, ale Juan go powstrzymał.

— Nic nie rób! — rozkazał. Zresztą nawet gdyby ten niewolnik coś podejrzewał i domyślał się, kto za tym stoi, to co z tego? — Nie ruszaj się z miejsca i nic nie mów, jasne?!

— Ale... — zaczął Hamid, kiedy Ángela i zarządca weszli do pomieszczenia.

— Maur?! — wrzasnął znowu Juan. — Przysłałeś mi tu Maurą! — Mulnik wymierzył palcem w pierś Hamida — I na dodatek mnie znieważył. Nazwał mnie chrześcijańskim psem i czcicielem obrazów!

Hamid stracił swój zwykły spokój i podniósł do góry rękę.

— Ja nie... — próbował się bronić.

— Nikt nie ma prawa mnie nazywać chrześcijańskim psem! — Juan uderzył go w twarz.

— Zostaw — powiedział zarządca, stając między nimi.

— Wychłostaj go! — zażądał Juan. — Chcę widzieć, jak go ukarzesz. Zrób to natychmiast!

Wychłostać? — zastanawiał się zarządca. Biedny Francisco nie przeżyje choćby kilku ciosów.

— Nie zrobię tego — sprzeciwił się.

— To ja pójdę na skargę do inkwizycji — zagroził mu Juan. — Trzymasz u siebie Maurą, który wymyśla chrześcijanom i bluźni — dodał, zbierając swoje rzeczy. — Inkwizycja znajdzie dla niego karę!

Hamid stał nieruchomo za zarządcą, który patrzył, jak Juan się ubiera, nie przestając pomrukiwać pod nosem. Jeśli ten mulnik doniesie o wszystkim inkwizycji, Francisco wyzionie ducha w więzieniu. Na pewno nie dożyje do następnego auto-dafe, a on nie otrzyma złamanego grosza za swojego niewolnika.

— Nie denuncjuj go, proszę — zwrócił się do Juana. — On nigdy się tak nie zachowywał.

— Nie zadenuncjuję, jeśli ty wymierzysz mu karę. Jesteś właścicielem. Gdyby ten niewolnik heretyk należał do mnie, to...

— Mogę ci go sprzedać! — krzyknął zarządca.

— Na co mi on? Stary... kulawy... i bezczelny. Na nic mi się nie przyda!

— On cię znieważył — zarządca próbował sprowokować Juana. — Jaka to dla ciebie satysfakcja, że inkwizycja go ukarze?



On przyzna się do winy, bo jest tchórzem, poprosi o przebaczenie i zostanie skazany na sambenito. Sam widzisz, jaki jest stary.

Juan udawał, że się namyśla.

— Gdybym to ja był jego panem... — mruzczał pod nosem — kazałbym mu cały dzień zbierać gówna mułów...

— Bierz go za piętnaście dukatów — zaoferował zarządca.

— Oszalałeś!

Pięć dukatów. Juan kupił Hamida za pięć dukatów, w tej sumie mieściły się również usługi Ángeli. Postanowił nie czekać do następnego dnia rano: w obecności dwóch klientów lupanaru jako świadków zapłacił złotymi koronami, które miał w sakiewce, i opuścił burdel z Hamidem drepczącym za nim z tyłu. Ustalono, że akt sprzedaży zostanie sporządzony nazajutrz.



Hernando słuchał rozkojarzony opowieści o oblężeniu i zdobyciu miasta Haarlem przed pięciu laty. Snuł ją uczestnik tamtych walk, żołnierz z flandryjskich pułków piechoty, a teraz inwalida wojenny, dodając coraz to nowe szczegóły na życzenie słuchaczy, którzy z upodobaniem stawiali mu kolejki wina. Prawie ślepy żołnierz z dumą pokazywał łachmany munduru, w którym walczył pod rozkazami Fadrique de Toledo, syna diuka de Alba, i wspominał, jak podczas ciężkiego oblężenia ufortyfikowanego miasta, kiedy żołnierze ginęli jak muchy, szlachcic zastanawiał się nad rezygnacją z dalszych walk. Otrzymał wówczas list od ojca.

— Diuk de Alba powiadamiał — opowiadał żołnierz gromkim głosem — że jeśli zwinie obóz bez zdobycia miasta, wyrzeknie się go jako syna, natomiast jeśli polegnie w walkach, on sam pójdzie go zastąpić, chociaż jest chory i leży w łóżku. — Wokół żołnierza panowała wielka cisza, dość niezwykła w porównaniu ze zgiełkiem na placu Potro. — Diuk dodawał, że gdyby obaj polegli, na czele oblegających stanie duchessa i ona zdobędzie to, czego nie wywalczyli syn i mąż z braku odwagi lub cierpliwości.

W kręgu słuchaczy rozległy się pomruki aprobaty, a nawet oklaski. Żołnierz skorzystał z okazji, by wychylić resztkę wina,

zaczekał cierpliwie, aż ponownie napełnią mu szklanę, i podjął relację o krwawym zdobyciu miasta.

Hernando poczuł, że ktoś przechodzi z tyłu i uderza go w ramię.

Odwrócił się i zobaczył Hamida kroczącego z opuszczoną głową za mulnikiem. W rękę trzymał tobołek nie większy niż ten, który Fatima wniosła do ich małżeństwa. Udało się!

Zadrżał na całym ciele i ze ściśniętym gardłem patrzył, jak powoli oddalają się przez plac.

— Na rozkaz ojca! — krzyknął w tym momencie żołnierz — don Fadrique skazał na śmierć więcej niż dwa i pół tysiąca Walonów, Francuzów i Anglików...

— Dobrze im tak! Heretycy!

— Luteranie.

Obelgi pod adresem obrońców miasta Haarlem nie oderwały Hernanda od jego własnych myśli. Wydawało mu się, że słyszy skrzyp zniszczonych butów Hamida człapiącego niezdarnie po bruku. Ten sam nierówny odgłos stąpania towarzyszył mu często w dzieciństwie. Podniósł palce do oczu, żeby obetrzeć łzy. Dwie sylwetki oddalały się coraz bardziej, obojętne na ludzi, hałasy, klótnie i śmiechy, obojętne na cały świat. Mały mulnik, zgarbiony i bezzębny, oszust i łotr. Kulawy, zmęczony życiem starzec, święty mędrzec. W głowie Hernanda tłoczyły się różne myśli. Zacisnął pięści i poruszył nieznacznie ramionami, powstrzymując nagłą złość na fakiha, że powoli idzie przez plac.

Widział ich na ulicy Silleros, a potem na Toqueros, zanim skręcili i zaczęli okrążyć Szpital Miłosierdzia. Wtedy przeniósł wzrok na innych ludzi, przekonany, że wszyscy zajmują się obserwowaniem tej niezwykłej pary, która zniknęła w ulicy Armas, ale tak nie było, nikt nie zwracał na nich uwagi, a najbliżsi sąsiedzi z zainteresowaniem słuchali inwalidy.

— Nie płacili nam żołdu od ponad dwudziestu miesięcy, a jednak zabronili płądrować domy. Król zatrzymał dla siebie cały okup złożony przez mieszkańców, żeby powstrzymać grabieżę! — krzyczał ślepiec, waląc pięścią w ustawiony na ulicy stół. Wino

wylało się ze szklanki. Podekscytowany usprawiedliwiał bunt żołnierzy po zdobyciu Haarlemu. — Za karę chorzy i ranni tacy jak ja nie dostaliśmy ani grosza z zaległego żołdu!

Co go obchodzi ten ślepiec i smutny los żołnierza kolejnej wojny religijnej prowadzonej przez katolickiego króla Filipa II? — myślał Hernando, opuszczając karczmę. Musiał się pohamować, aby nie biec przez plac.

Czekali na niego kilka przecznic dalej, na ulicy Armas, w słabym blasku świec u stóp Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia, której obraz naturalnych rozmiarów wisiał na pięknie rzeźbionej kracie. Ulica była pusta. Juan dostrzegł go z daleka, Hamid nie. Fakih stał z opuszczoną głową, zdruzgotany.

Hernando stanął przed nim i wziął go za ręce. Zabrakło mu słów. Nie podnosząc oczu do góry, Hamid obserwował dłonie, które go dotknęły i buty do końskiej jazdy noszone przez Hernanda, odkąd został jeźdźcem stajni królewskich. Jeszcze dziś widział go w takich butach.

— Hamid Ibn Hamid — wyszeptał, podnosząc wreszcie głowę.

— Jesteś wolnym człowiekiem — wykrztusił Hernando i zanim fakih coś powiedział, rzucił mu się w ramiona z nerwowym szlochem.



Nazajutrz rano, w obecności notariusza, Juan i zarządca domu publicznego sporządzili akt kupna-sprzedaży dotyczący niewolnika imieniem Francisco. Hamid był w tym czasie z Fatimą w mieszkaniu na piętrze stajni królewskich. Sprzedano go jak zwierzę. Właściciel wyszczególnił przed notariuszem wszystkie wady i ułomności, na jakie cierpiał Hamid, a nie było ich znowu tak wiele. Ze swej strony Juan zobowiązał się nie składać żadnych reklamacji ani teraz, ani w przyszłości. Mulnik i zarządca dobili targu w obecności dwóch świadków, a notariusz podpisał odpowiedni dokument.

Trochę później, przed innym notariuszem i z innymi świadkami, Juan podyktował list wyzwoleńczy na rzecz swojego niewolnika

Francisca — zwracał mu wolność i zrzekał się wszelkich roszczeń wynikających z prawa patronatu.

Hernando ucałował dokument, który wręczył mu Juan po wyjściu od notariusza. Chciał dorzucić przyjacielowi w nagrodę złotą monetę z koroną, lecz mulnik nie przyjął.

— Chłopcze — powiedział — po co my tyle fantazjowaliśmy na temat berberyjskich kobiet? Na pewno żadna z nich nie ma takiej pupy jak Tomasa. Wczoraj ją pomacałem, ale nie mogłem zrobić nic więcej. Miałeś rację — dodał, kładąc mu dłoń na ramieniu — starzeję się.

— Nieprawda... — Hernando usiłował naprawić gafę.

— Wiesz, gdzie mnie szukać — przerwał mulnik i szybko się pożegnał.

Hernando długo patrzył za odchodzącym. Miał wrażenie, że Juan kroczy żwawiej i trzyma się prosto, inaczej niż zwykle.

## 38

Róże, kwiaty pomarańczy, irysy, lewkonie i drzewka pomarańczowe: istny ogród! W majowe noce 1579 roku małe patio nowego domu, w którym zamieszkał Hernando z rodziną, kusilo zmysłową mieszanką zapachów. Posadzkę z lastryka przecinała na całej długości gwiazda ułożona z drobniotkich, wygładzonych kamyków, a pośrodku wznosiła się prosta kamienna fontanna bez ozdób, z której tryskała nieustannie kryształowa woda. Kordoba miała co prawda problemy ze ściekami i siecią kanalizacyjną, co sprawiało, że często wybuchały epidemie tyfusu oraz innych endemicznych chorób żołądkowo-jelitowych, nękające szczególnie ludność z podmokłych terenów Ajerquí, ale miała też trzydzieści dziewięć źródeł i liczne studnie obfitujące w wodę górską. Strefą najbardziej uprzywilejowaną pod tym względem była dawna medyna z labiryntem ulic i zaułków. Właśnie w tej części miasta, na ulicy Barberos, Hernando wynajął nieduży należący do kapituły katedralnej dom, jeden z wielu, jakie otrzymał Kościół na przestrzeni lat.

Dom przy ulicy Barberos miał wszystkie cechy rzymskiego domu, który był inspiracją dla budowniczych Kordoby wzorem przejętym przez muzułmanów, przypominał im bowiem oazę pełną kwiatów i wody, raj odizolowany od świata zewnętrznego. Wciśnięte między dwa podobne budynki patio na planie prostokąta zamykał z jednej strony ślepy mur graniczący z inną posiadłością.

W trzech pozostałych bokach były korytarze prowadzące do części mieszkalnej. Od właściwego patio oddzielała je galeria z rzędami drewnianych belek stropowych, wznosząca się na wysokość piętra i otoczona na górze drewnianą balustradą wychodzącą na patio. Całość pokrywał dach z małych dachówek ułożonych na przemian stroną wklęsłą lub wypukłą do góry w taki sposób, że tworzyły się rynny zbierające wodę deszczową. Do domu wchodziło się z obszernej sieni wyłożonej do połowy wysokości ściany kolorowymi kafelkami. Od ulicy sień była zamykana na drewniane drzwi, a od centralnego patio odgradzała ją ażurowa krata. Na parterze mieściła się kuchnia, duża sala, latryna i mały pokój. Na piętrze z wejściem od strony otwartej na patio galerii były cztery pokoje.

Myśl o przeprowadzce do osobnego domu chodziła Hernandowi po głowie, odkąd dostał podwyżkę, a do mieszkania nad stajnią przybył Hamid. Fakihi zaakceptował wreszcie swoją wolność i przyjął opiekę oferowaną przez Hernanda jako naturalny ciąg łączącej ich więzi, którą obaj uważali za równie silną jak rodzinną. Jednakże w przeciwieństwie do Aiszy, której bardzo zależało na pracy w przędzalni jedwabiu, Hamid spędzał cały czas w mieszkaniu, na modlitwach, rozmyślaniach i lekturze Koranu, czując się bezpiecznie tylko w miejscu, gdzie jedyną religią były konie. Wziął na siebie obowiązek edukacji trójki dzieciaków: syna i córki Hernanda oraz Szamira, syna Aiszy.

Już te powody były wystarczające, aby pomyśleć o nowym domu, ale wkrótce pojawił się kolejny, subiektywnie ważniejszy od pozostałych. Hernando i Fatima pragnęli trzeciego dziecka, starali się o nie, ale obecność rodziny naruszała ich intymność. Kochali się ukradkiem pod pościelą, powstrzymując się od śmielszych pieszczot, tłumiąc westchnienia rozkoszy. Obojgu brakowało tej swobody, jaką mieli wcześniej. Fatima, onieśmielona obecnością fakihi, nie używała już esencji z perfum działających tak podniecająco na zmysły. Zrezygnowali z gry wstępnej: dotykania, ocierania się o siebie, pocałunków, przesuwania językiem po ciele kochanka i z tysiąca pozycji, które sprawiały im wielką radość.

Robili tylko to, co dało się ukryć pod prześcieradłem. Cięża się nie pojawiała.

— Moja vagina nie potrafi wessać twojego członka — skarżyła się pewnego dnia Fatima. — Brakuje mi spokoju. Potrzebuję czasu, żeby poczuć cię w sobie, ścisnąć i wchłonąć wszystkie życiowe soki, jakie możesz mi dać.

Znalazł odpowiedni dom. Z Fatimą, dziećmi i Aiszą zajęli pomieszczenia na piętrze, a Hamid ulokował się w małym pokoiku na parterze, gdzie mógł znaleźć chwilowe odosobnienie.

Szeroka i prosta ulica Barberos, przechodząca za obrazem Matki Boskiej Bolesnej w pasaż poświęcony wodzowi muzulmanów Almanzorowi, ponieważ tu mieścił się jeden z jego pałaców, otwierała się z daleka na dawny minaret, wieżę z wejściem do katedry, która dumnie górowała nad budynkami. Mając taki punkt odniesienia, Hamid ustalił precyzyjnie, po krótkiej obserwacji gwiazd nad patio, *kibla* i na ścianie swojego pokoju zrobił nacięcie wyznaczające miejsce modlitwy.

Pensja pracownika stajni królewskiej pozwalała na dostatnie życie, mimo to Hernanda nie byłoby stać na wynajęcie tego domu, gdyby nie don Julián, który wynegocjował dla niego w kapitule katedralnej obniżenie czynszu. Ksiądz pragnął mu wynagrodzić w ten sposób pracę przy kopiowaniu ksiąg Koranu, za którą Hernando nie pobierał żadnej zapłaty, a cały dochód z tego przedsięwzięcia był przeznaczony na poczet wspólnej sprawy.

— Kto zapomina języka arabskiego, zapomina o nakazach wiary — powiedział pewnego dnia don Julián, gdy siedzieli razem w bibliotece.

Na tę dewizę powoływali się już bojownicy powstania w Alpuharze, a teraz stanowiła priorytet dla społeczności morysków rozrzuconej po różnych królestwach hiszpańskich, tym bardziej że chrześcijaństwo od dawna — i na ogół bez skutku — starali się usunąć język arabski z życia codziennego morysków. Hiszpańskiej szlachcie zależało głównie na taniej sile roboczej, toteż przymykała oczy i uszy, jeśli w jej posiadłościach mówiło się po arabsku. Natomiast rady miejskie, Kościół i inkwizycja zinterpretowały tę

dewizę na swoją korzyść i uczyniły zeń sztandarowe hasło w akcji poskramiania morysków. Muzułmańskie gminy zareagowały tworzeniem tajnych szkół koranicznych, postanawiając wyposażyć swoich członków w egzemplarze boskiej księgi, zakazane przez chrześcijan jako bluźniercze. W całej Hiszpanii powstała sieć kopistów.

— Nareszcie się udało — oznajmił don Julián, kładąc na stole przed Hernandem ryzę czystego papieru. Znajdowali się w bibliotece sami. Było późno, nieszpory zakończyły się parę godzin temu i świątynia opustoszała. Nie było w niej ani wiernych, ani barwnych postaci, które zaludniały ją w ciągu dnia. Przestępcy korzystający z prawa azylu w świętym miejscu przenieśli się na noc do galerii w ogrodzie przed katedrą, gdzie nic im nie groziło, ponieważ ramię sprawiedliwości tutaj nie sięgało. Hernando przypomniał sobie różne zabawne sytuacje, których był świadkiem, i uśmiechnął się, słysząc nawoływania strażników usiłujących wypędzić ze świątyni zabłąkane psy i inne zwierzęta; raz nawet widział tu wieprzka.

Pogładził zwój opuszkami palców, jakby nie śmiał go dotknąć. Był to prymitywny papier o chropowatej powierzchni bez znaków wodnych, które określałyby jego pochodzenie.

— Mam sporo takiego papieru — ksiądz uśmiechnął się triumfująco, a Hernando wziął do ręki kartkę dłuższą i szerszą niż normalne. — Nie dziw się — dodał, patrząc na minę swojego ucznia — to papier wytwarzany po kryjomu w domach morysków z okolic Xátivy.

Miasto Xátiva należało do królestwa Walencji. Jedną czwartą jego mieszkańców stanowili moryskowie, czyli nowi chrześcijanie. Ale w okolicznych wioskach, jak to często bywało w tym śródziemnomorskim królestwie, mieszkali prawie wyłącznie moryskowie. Od ponad czterech wieków w Xátivie wytwarzano papier wedle najnowszych technologii muzułmańskich. Chrześcijańscy królowie nadali przywileje muzułmańskiej gminie w Xátivie i wzięli papierników pod ochronę. Wielu morysków zajęło się wtedy produkcją papieru ze starych szmat w swoich własnych



domach. Teraz te domowe wytwórnie pracowały pokątnie na potrzeby całej społeczności, dostarczając papier, co prawda kiepskiej jakości, ale w ilościach pozwalających kontynuować prace nad kopiowaniem ksiązek. Zakup papieru drogą oficjalną był rzeczą wielce skomplikowaną i ryzykowną.

Chociaż druk wynaleziono ponad sto lat temu, w dalszym ciągu przepisywano księgi ręcznie, wydawnictwa były nieliczne i trudno dostępne. Lud w większości nie umiał czytać ani pisać; nie miał dostępu do ksiązek i nie interesował się nimi, a wielcy panowie, właściciele kapitału niezbędnego do pokrycia kosztów wydrukowania jakiegoś dzieła, traktowali ten rodzaj działalności handlowej jako niegodny ich statusu i stanowiący plamę na honorze. W latach osiemdziesiątych istniała w Kordobie tylko jedna drukarnia, na dodatek przenośna, używana przez drukarza amatora, toteż handel papierem był jeszcze w powijkach. Kapituła katedralna zlecała wydawanie ksiąg religijnych drukarniom z innych miast, między innymi z Sewilli.

— Jak to zdobyłeś? — zaciekał się Hernando.

— Dzięki Karimowi.

— Ale przecież na moście jest komora celna. Jak to ukryliście przed celnikami?

Don Julián mrugnął porozumiewawczo okiem.

— To proste, choć kosztowne. Wystarczy mieć dobry rząd jeździecki dla muła albo konia.

Hernando pokiwał głową i znowu pogłaskał delikatnie porowaty zwój papieru. Powinien otrzymywać zapłatę za swoją pracę, tak postanowił ksiądz, ale Hernando przeznaczał wszystkie te pieniądze na wykupywanie morysków z niewoli. Za nic w świecie nie chciał się bogacić kosztem propagowania wiary.

Tak więc po okresie nauki Hernando przepisywał Koran w klasycznym języku arabskim zgodnie z prawidłami kaligrafii kopistów podporządkowujących estetykę pisma szybkości i jasności. Każdą linijkę tekstu tłumaczył od razu na *aljamiado*, aby ułatwić czytelnikowi zrozumienie sur. Ukrywali zapisane zwoje między ksiązkami biblioteki katedralnej. Gotowe egzemplarze Koranu zabierał

Karim i rozprowadzał je po całym królestwie Kordoby, gdzie zapotrzebowanie na religijne książki było dużo większe niż w muzułmańskich gminach Walencji, Katalonii czy Aragonii, w których nie było takiego exodusu jak w Grenadzie.



Hernando oddawał się duszą i ciałem zakazanemu przepisywaniu księgi objawionej, a Fatima opowiadała muzułmańskim kobietom o arabskiej kulturze, one z kolei przekazywały tę wiedzę swoim dzieciom i mężom.

Z pomocą Hernanda i Hamida, którzy cierpliwie ją przepytawali i poprawiali błędy, Fatima nauczyła się na pamięć niektórych sur Koranu, nakazów Sunny i najbardziej znanych prorocत्व, w które wierzyli moryskowie.

Dzień w dzień chodziła na zakupy w białej haftowanej chustce na głowie, a potem spotykała się z innymi kobietami u którejś z nich w domu i spokojnie gawędziły przy cytrynadle, nie budząc niczyich podejrzeń.

Czasem wychodziła z domu razem z Hernandem, długo żegnali się za bramą i każde szło w swoją stronę. Nieraz jedno z nich odwracało głowę, patrząc z dumą na współmałżonka, który spieszy wypełnić obowiązki wobec Boga i ludzi. Bywało, że ich oczy spotykały się w tym momencie: uśmiechali się wtedy do siebie i ponaglali nawzajem lekkim ruchem dłoni.

— Jesteśmy powołane do tego, by przekazywać naszym dzieciom prawa naszego ludu — pouczała kobiety Fatima. — Nie możemy pozwolić, by o nich zapomnieli, jak tego chcą księża. Mężczyźni nie mają na to czasu, bo ciężko pracują i kiedy wracają do domu zmęczeni, dzieci już śpią. To, co robimy, jest niebezpieczne, ale syn nigdy nie doniesie na własną matkę chrześcijańskim władzom.

Kobiety zbierały się w małych grupach, recytowała im nakazy Koranu, a one powtarzały szeptem i z uwagą słuchały interpretacji, którą przekazywała tak, jak ją nauczył Hamid.

Fatima wygłaszała swoje pogadanki w różnych miejscach

i wobec różnego audytorium. Ale zawsze kobiety prosiły ją na koniec o *gufur* albo *jofor*, ulubione proroctwa muzułmanów z Al-Andalus, które mówiły o powrocie dawnych zwyczajów, kultury i praw. Przepowiadały zwycięstwo!

— Wojska tureckie pójdą na Rzym. Spośród chrześcijan uratują się tylko ci, którzy przejdą na wiarę Proroka, a wszyscy inni dostaną się do niewoli i zginą — recytowała. — Rozumiecie? Stało się, chrześcijanie nas pokonali. Czy wiecie dlaczego?

— Bo odwróciliśmy się od naszego Boga — odpowiedziała ze smutkiem matrona w podeszłym wieku, która знаła tę przepowiednię.

— Tak — potwierdziła Fatima. — Kordoba zamieniła się w miejsce grzechu i występków. Całe Al-Andalus popadło w pychę herezji.

Wiele słuchaczek spuszczało wtedy oczy. To czysta prawda. Czyż nie folgowały sobie w obowiązkach? Wszyscy moryskowie mieli poczucie winy, a hańbę niewoli i zajęcie swoich ziem przez chrześcijan traktowali jako karę.

— Ale nie martwcie się — pocieszała je Fatima. — To proroctwo ma ciąg dalszy. Wszak boska księga mówi, iż chrześcijanie zwyciężą na jednym krańcu ziemi, lecz wkrótce potem zostaną zwyciężeni. Na początku i na końcu wierni będą cieszyć się zwycięstwem. Taka jest wola Boga. On jest tym, który pomaga swoim sługom i nigdy nie zawiedzie ufającym w Niego.

Na twarzach zasłuchanych kobiet powoli zakwitła nadzieja.

— Musimy walczyć! — mówiła z żarem Fatima. — Nie wolno nam pogodzić się z klęską. Bóg na nas patrzy! Proroctwa się wypełnią!



Pewnego wiosennego dnia o zmierzchu Hernando wracał zmęczony do domu. Musiał przygotować do wysyłki ponad czterdzieści koni, czekał już na nie statek w porcie Kartaginy, żeby przewieźć je do Genewy, a stamtąd do Austrii. Król Filip postanowił podarować te wspaniałe rumaki swojemu kuzynowi cesarzowi

i arcyksiężętom Sabaudii i Mantui. Zgodnie z rozkazem królewskim najpierw wybierali konie, które miały trafić do Madrytu na dwór królewski, a potem konie przeznaczone na prezent. Don Diego López de Haro spędził cały dzień w stajni. Chodził od boksu do boks, nie mogąc się zdecydować, które dzianety wybrać dla króla, pytał o zdanie jeźdźców, między innymi Hernanda.

— Czy oni nie zmarnują nam tych koni? — zastanawiał się morysk, patrząc na wspaniałego pięciolatka, dumnego siwka o eleganckich ruchach, którego królewski koniuszy przydzielił do grupy wysyłanej do Austrii.

— Na pewno nie — odparł don Diego odwrócony plecami do Hernanda, wpatrując się uważnie w ogiera. — Dwór austriacki ma znakomitych jeźdźców, świetnie znają się na koniach. Jestem przekonany, że ten siwek da początek rodowi, który będzie dumą Wiednia.

Czy aby na pewno? — powątpiewał Hernando, dochodząc do domu. Ku swemu zdziwieniu zastał drzwi zamknięte, chociaż zwykle w maju o tej porze nie zamykali nawet kraty na patio. Co się stało? Zapukał mocno raz po raz. Otworzyła mu uśmiechnięta żona, więc trochę się uspokoił.

— Dlaczego...? — chciał zapytać, ponieważ znowu zarygnowała drzwi. Fatima podniosła palec do ust, nakazując mu ciszę. Potem zaprowadziła go na patio.

Hamid złamał ustaloną przez Hernanda zasadę, że lekcje z dziećmi odbywają się tylko wewnątrz domu, aby nikt obcy nie słyszał, że mówią po arabsku. Zabrał dzieci na patio, usadził na matach na posadzce i tak prowadził zajęcia z matematyki. Niezadowolony Hernando poszedł poskarżyć się żonie, ale ona znowu położyła palec na ustach, żeby milczał.

— Hamid powiedział — odezwała się po chwili — że woda jest początkiem życia. Że dzieciom trudno się skupić w czterech ścianach, gdy słyszą plusk wody na zewnątrz. Że zapach kwiatów, kontakt z przyrodą działa na ich zmysły i sprzyja przyswajaniu wiedzy.

Hernando westchnął i odwrócił się w stronę patio: zobaczył roześmiane oczy trójki maluchów i ukradkowe spojrzenia rzucane przez Hamida, który zachowywał się jak duże dziecko.

— On ma rację — przyznał. — Nie możemy pozbawiać ich raj.

Wziął Fatimę za rękę i podeszli bliżej nauczyciela i uczniów. Z dnia na dzień Hamid odzyskiwał swój dawny charakter. Ten przejaw buntu w gruncie rzeczy ucieszył Hernanda.

Przywitał się z dziećmi po arabsku, na co one zwróciły mu uwagę, żeby mówił ciszej. Usiadł na wolnym skrawku maty małego Francisca i odwrócił się do Hamida.

— Pokój — pozdrowił go skinieniem głowy.

— Pokój niech będzie z tobą, Ibn Hamidzie — odrzekł fahih.

Dopóki Aisza i Fatima nie zawołały ich na kolację, Hernando siedział w milczeniu. Słuchał wyjaśnień Hamida i obserwował postępy dzieci. Szamir przypominał mu Brahima: szorstki, inteligentny, ale w przeciwieństwie do swojego ojca — z sercem na dłoni, o czym świadczył jego stosunek do maluchów. Francisco, pierworodny Hernanda (któremu ciągle trzeba przypominać, żeby schował język, bo to nie pomaga w stawianiu cyferek patykiem na tabliczce), był bystrym, sympatycznym chłopcem, a do tego przewidywalnym: w jego niebieskich oczach, takich samych jak u ojca, można było wyczytać, co knuje i co go trapi. Francisco był niezdolny do kłamstwa, nie umiał nawet ukryć prawdy. Znowu wysunął czubek języka, żeby sobie pomóc przy dodawaniu, i cofnął go szybko, gdy poczuł palec ojca. Hernando przeniósł wzrok na Inés ze świadomością, że Hamid robi to samo co on, jakby czytał w jego myślach. Rzeczywiście, była żywym portretem matki... Prześliczna! Starannie wypisywała cyferki, a jej wielkie czarne oczy wpatrywały się w tabliczkę, jakby chciały przejrzeć ją na wskroś. Inés zadawała dużo pytań, wszystko ją interesowało, nie dawała się zbyć zdawkową odpowiedzią i często po kilku dniach wracała do tego samego pytania. Była nieco wolniejsza i mniej błyskotliwa od chłopców, ale w przeciwieństwie do nich zawsze znajdowała logiczne argumenty na poparcie swojego rozumowania. Inés rozsiewała urok samą swoją obecnością.

Hernando z satysfakcją pokręcił głową i spojrzął znacząco na Hamida. Tak jest, znajdowali się w raju, zamknięte drzwi od ulicy chroniły ich przed wścibskimi oczami, słyszeli szum wody w fontannie, wdychali zapach kwiatów intensywny o tej porze dnia, kiedy słońce gaśnie, a lekki chłód przywraca świeżość roślinom i pobudza zmysły. Podobna sceneria i ten sam nastrój jak przed laty, gdy fakih udzielał lekcji małemu moryskowi w nędznej chacie zagubionej na zboczach Sierra Nevada.

Hamid pomyślał to samo, ale nic nie powiedział, żeby nie rozpraszać uwagi dzieci. Był dumny ze swego pierwszego ucznia, któremu przekazywał wiedzę potajemnie jak teraz jego dzieciom. Miał on za sobą długą drogę: sieroctwo, wojna, niewola u korsarza, zesłanie na obcą ziemię, gdzie nie czekało ich nic prócz nienawiści i nieszczęścia. Bieda i ciężka praca w garbarni, oddalenie i powrót na łono wspólnoty, awans na pracownika stajni królewskich, wypełnianie wielkiej misji morysków, a teraz... Obaj spojrzeli jednocześnie na pochylone główki dzieci. Jego dzieci! W tym momencie Aisza zawołała, że kolacja gotowa.

Hernando pomógł Hamidowi wstać. Fakih przyjął pomoc i oparł się na jego ramieniu. Wspierał się, gdy szli przez patio sami, ponieważ dzieci raz-dwa znalazły się w domu.

— Pamiętasz szum wody w Alpuharze? — spytał fakih, gdy mijali fontannę, zatrzymując się przy niej na chwilę.

— Śni mi się po nocach.

— Chciałbym wrócić do Grenady — szepnął Hamid. — Chciałbym popatrzeć jeszcze na te szczyty, zanim zamknę oczy na zawsze...

— Jest tam ukryta święta szabla, z której kiedyś ktoś zrobi użytek na chwałę jedyne Boga. Tego dnia duch naszego ludu odżyje w górach. Twój duch, Hamidzie.



Podczas gdy Hamid mówił dzieciom o prawdziwej wierze, Hernando starał się im przekazać podstawowe pojęcia doktryny chrześcijańskiej, aby wiedziały, jak zachować się na niedzielnej

mszy w katedrze czy podczas nakazanych, cotygodniowych rozmów z proboszczem parafii Santa María. Kurator sądowy i naczelny inspektor zrezygnowali ze swoich wizyt kontrolnych, odkąd Hernando przeszedł pod specjalną jurysdykcję i zwierzchnictwo królewskiego koniuszego, ale don Álvaro, prebendarz katedralny, któremu podlegała ta parafia, odwiedzał ich regularnie, jak każdego innego nowego chrześcijanina. Zdaje się, że bardziej był zainteresowany dobrym winem i przepyszными ciastkami Aiszy niż ewangelizowaniem rodziny. W czarnej sutannie i birecie na głowie rozsiadał się w fotelu na galerii i w przerwach między kolejnymi łykami i kęsami egzaminował dzieci z modlitwy i zasad wiary. Za każdym razem pytał o to samo, jakby obawiał się, że przez tydzień zapomnieli. Reszta rodziny przyglądała się tej farsie z przestrachem, by któremuś z maluchów nie wymknęło się arabskie słowo. Hernando, kiedy tylko mógł, przysiadł się do proboszcza i zagadywał go o różne sprawy, zwłaszcza o nowy ruch heretycki zagrażający imperium hiszpańskiemu, a mianowicie luteranizm, który to temat naprawdę budził jego zainteresowanie.

Natomiast Hamid udawał niedyspozycję i zamykał się w swojej izdebce, gdy tylko don Álvaro pojawiał się w progu ich domu. Hernando był przekonany, że fakih recytował w tym czasie sury Koranu, rzucając księdzu ciche wyzwanie.

— Przygarnęliśmy go w akcie miłosierdzia — odpowiadał Hernando na pytanie proboszcza zainteresowanego tym niewidzialnym Hamidem zarejestrowanym w księgach parafialnych jako mieszkaniec tego domu. — To stary, chory człowiek, nasz sąsiad z Alpuhary. Jako dobry chrześcijanin nie mogłem pozwolić mu umrzeć na ulicy. Ciągłe gorączkuje. Chyba ma coś z płucami. Chcecie go zobaczyć?

Ksiądz upił spory łyk wina, rozejrzał się po uroczym ogrodzie i pokręcił przecząco głową. Po co ma zbliżać się do starca, który ciągle gorączkuje?

Tak więc i tym razem po przeegzaminowaniu dzieci don Álvaro długo zabawił w galerii, sam na sam z Hernandem. Aisza i Fatima

czuwały z drugiego końca patio, by nie zabrakło im wina ani słodyczy. Niedawno wpadł w ręce Hernanda i don Juliána egzemplarz dzieła Jana Kalwina, które wydano w Anglii po kastylijsku. Po królestwach Filipa II krążyło potajemnie wiele książek protestanckich opublikowanych w języku kastylijskim w Anglii, Holandii czy Zelandii. Król i inkwizycja walczyli usilnie, by wiara katolicka pozostała czysta i nienaruszona, wolna od heretyckich wpływów. Dlatego przed dwudziestu laty monarcha zakazał Hiszpanom studiowania na obcych uniwersytetach, robiąc oczywiście wyjątek dla papieskich akademii w Rzymie i Bolonii.

Wielu morysków spoglądało przychylnie na protestanckie doktryny, zwłaszcza ci z królestwa Aragonii, którzy po cichu udawali się do pobliskiej Francji, by tam przyjąć chrzest, byle nie w wersji katolickiej. Ataki protestantów na papieża, nadużycia kleru oraz handel bullami i odpustami, potępienie kultu obrazów, rygorystyczna wizja predestynacji i możliwość interpretowania świętych tekstów przez każdego wierzącego, a nie tylko hierarchię kościelną, stanowiły punkty styczne między dwoma religiami mniejszościowymi, które walczyły o przetrwanie pod naporem Kościoła katolickiego.

Hernando dyskutował o tym z don Juliánem, a także z Hamidem, ubolewając nad zbliżeniem między muzułmanami i tymi, którzy — tak czy inaczej — nie przestawali być chrześcijanami, chociaż budzili wyraźną sympatię wśród morysków.

— Protestanci dążą do zreformowania chrześcijaństwa na bazie Pisma Świętego — utrzymywał don Julián — a moryskowie jako konwertyci zmierzają prosto do samozagłady. Próby synkretycznego zbliżenia między luteranami i muzułmanami, widoczne w kontrowersyjnych wystąpieniach naszych braci, prowadzą jedynie do osłabienia prawdziwego celu naszej społeczności.

Gdy tylko don Álvaro opuszczał dom Hernanda, skończywszy pomstować na luteranów, którzy krytykują sposób życia kleru katolickiego, Hamid wychodził oburzony ze swojego pokoju i wylewał do rowu resztki wina podawanego proboszczowi.



— Przecież to kosztuje — narzekał Hernando, ale pozwalał na takie marnotrawstwo i, co więcej, uśmiechał się pod nosem.



Nazywał się Azirat i spowodował jedną z największych zmian w życiu Hernanda. Już za cesarza Karola I finanse monarchii znalazły się w fatalnym stanie. Od pięciu lat królestwo było niewypłacalne. Strumienie srebra i złota płynące z Nowego Świata nie starczały nawet na pokrycie wydatków na wojska hiszpańskie, a co dopiero mówić o wystawnym trybie życia dworu burgundzkiego, który wprowadził cesarz. Hiszpania miała cenne surowce, ale nie przynosiły one zysku: wełnę z kastylijskich merynosów sprzedawano w stanie surowym zagranicznym kupcom, którzy przerabiali ją na sukno i odprzedawali do Hiszpanii po cenach dziesięcio-, dwudziestokrotnie wyższych niż nabyty surowiec. Podobnie rzecz się miała z żelazem, jedwabiem i wieloma innymi surowcami, złoto zaś wyciekało z Hiszpanii obficie w związku z handlem i wojnami. Król płacił swoim bankierom czterdziestoprocentowe odsetki. Wpływy ze sprzedaży bulli i odpustów, z których utrzymywał się zarówno Rzym, jak i Hiszpania, były niewystarczające. Hidalgowie, kler i liczne miasta nie płaciły podatków, cały ciężar fiskalny spoczywał na wsiach, rolnictwie, pracownikach najemnych i rzemieślnikach, co jeszcze bardziej zubożało i utrudniało rozwój handlu, tworząc zakłęte koło niemożności.

W 1580 roku sytuacja gospodarcza ponownie uległa pogorszeniu. Po śmierci króla portugalskiego Sebastiana w Alcazarquivir podczas nieudanej próby podboju Maroka jego wuj, król Hiszpanii Filip, upomniał się o swoje prawa do dziedziczenia tronu Portugalii, a gdy lud nie zgodził się na jego koronację, Filip zaczął przygotowywać inwazję na sąsiednie królestwo. Na czele wojska stanął sędziwy diuk de Alba liczący sobie naówczas siedemdziesiąt dwa lata. Do Portugalii należała nie tylko Brazylia, ale też szlak handlowy do Indii Wschodnich, całe wybrzeże afrykańskie od Tangeru do Mogadiszu i wiele innych miejsc na obrzeżach tego

kontynentu. Unia z Portugalią zapewniała Hiszpanii rangę największego imperium w jej historii.

Te kolosalne wydatki odbiły się również na budżecie stajni królewskich. Król Filip II wciąż interesował się nową, wspaniałą rasą koni, które chętnie brał dla siebie i na prezenty dla swoich faworytów albo obdarowywał dwory królewskie za granicą, ale Kordoba cierpiała na brak funduszy i Diego López de Haro nieustannie apelował o pomoc do Junta de Obras y Bosques, instytucji odpowiedzialnej za finansowanie stajni królewskich.

W tej sytuacji część pensji wypłacano jeźdźcom i pracownikom w naturze: dostawali źrebięta odrzucone ze stajni, pod warunkiem że mają je zwrócić i wymienić na inne, jeśli podrośnięte ogiery wpadną w oko królowi. To się raczej nie zdarzało, ponieważ pracownicy szybko spieniężali takie konie, a co roku rodziło się wiele nowych. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży ośmiu ogierków ze stajni królewskich wystarczały na zakup trzydziestu dobrych koni bojowych dla wojska stacjonującego w Oranie.

Hernando ani myślał sprzedać Azirata, którego otrzymał zamiast części zarobków. Żył skromnie i potrzeby miał niewielkie. Na pastwisku, podczas cechowania zwierząt rozpalonym żelazem i rejestrowania ich w księgach nadano źrebięciu imię Andarín ze względu na elegancję ruchów, a że urodziło się czerwone jak płomień, nie pasowało do gustów dworskich — kasztanów nie zaliczano do nowej rasy.

Andarín miał umaszczenie barwy ognia i ognisty charakter. Hernando stracił dla niego głowę i serce od pierwszej chwili.

— Nazwę go Azirat — zakomunikował Abbasowi. Wymówił hiszpańskie „z” jak „s” i zaakcentował „t”: sirat.

Abbas zmarszczył brwi i już chciał coś powiedzieć, ale Hernando dobrze wiedział, co znaczy to słowo. Most Sirat, długi i cienki jak włos most prowadzący do raj, przerzucony nad piekłem. Szczęśliwi wybrańcy pokonają go z szybkością błyskawicy, reszta ludzi spadnie prosto w ogień piekielny.

— Lepiej nie zmieniać koniowi imienia. To przynosi nieszczęście — rzekł kowal — i w niektórych przypadkach jest

karane śmiercią. Cudzoziemcy, którzy tak robią, mogą przypłacić to głową.

— Ja nie jestem cudzoziemcem, a mój koń przejdzie bez trudu po tym długim i cienkim włosie, nie spadnie i nie przerwie go swoim ciężarem — odparł Hernando, lekceważąc przestrożę przyjaciela. — On stapa, jakby nie dotykał ziemi... Po prostu tańczy w powietrzu!

W wieku dwudziestu sześciu lat Hernando był głową rodziny i jedną z najznacniejszych, najbardziej wpływowych postaci społeczności morysków. Zawsze żył wśród ludzi i dla ludzi. Dzięki Aziratowi znalazł swobody, jakiej nie miał nigdy dotąd. Ilekroć czas mu pozwalał, siodłał konia i jechał w pole, w poszukiwaniu samotności, czasem przemierzał pastwiska powoli, w zamyśleniu, innym razem pozwalał Aziratowi wykazać się szybkością i siłą. Bywało, że wybierał miejsca z pasącymi się bykami, drażnił je nieszkodliwie, igrał z groźnymi rogami, które jednak nigdy nie dosięgły Azirata, kiedy ten zwinnie odwracał się i schodził z linii natarcia, wymachując gęstym ogonem, a one dawały się zwodzić i bodły łbem w długie włosy.

W swoich wyprawach nie zapuszczał się na północ, w kierunku Sierra Morena, gdzie obozował Ubajd z oddziałem banitów. Abbas zapewniał go, że dawny mulnik z Narili otrzymał polecenie zostawienia pasierba Brahima w spokoju i w niczym mu nie zagraża, ale Hernando wolał nie ryzykować.

W niedzielę zazwyczaj zabierał na konną przejażdżkę Francisca i Szamira, którzy wychowywali się razem jak rodzeni bracia. W bezpiecznych miejscach pozwalał im trzymać wodze i kierować koniem. Kiedy był sam, szukał odosobnienia, nie chciał popisywać się zbyt przed chrześcijanami. Z dziećmi nie mógł pędzić przez pola, więc spacerowali konno po przedmieściach Kordoby. Pewnego razu przejeżdżali o zmierzchu przez rzymski most. Francisco siedział okrakiem z przodu, a Szamir z tyłu, przytulony do pleców Hernanda.

— Patrz, ojcze! — zawołał Francisco, gdy minęli wieżę Calahorra i zbliżali się do Campo de la Verdad. — Tam jest Juan.

Mulnik pomachał im z daleka niemrawo. Postarzał się jeszcze bardziej, nie miał już nawet tych kilku zębów, którymi ugryzł w sutek kobietę z domu publicznego.

— Zsiadać, chłopcy — powiedział niewyraźnie, kiedy znaleźli się przy nim. Hernando zdziwił się, ale mulnik dał znak, żeby się nie odzywał. — Idźcie obejrzyć muły. Damián mówił, że tęsknią za wami i za waszym głaskaniem.

Łobuziak Damián został wynajęty przez Juana do pomocy przy mułach. Francisco i Szamir pobiegli do stada, mężczyźni zostali sami. Juan poruszył bezzębnymi ustami, szykując się do dłuższej przemowy.

— Pewien człowiek, nowy chrześcijanin, znaczy morysk jak ty, ciągle węszy i wypytuje... — Mulnik rozejrzał się dookoła, czy nikt ich nie słyszy. — Interesuje go przemysł papieru.

— Kto to taki?

— Nie wiem. Do mnie nie podchodził, ale słyszałem, jak rozmawiał z jednym przewoźnikiem.

— Jesteś pewien?

— Młodzieńcze. Wiem o wszystkim, co nielegalnie trafia do Kordoby i co się z niej wywozi. Sam już niewiele mogę, tyle że pogadam tu i tam. To też przynosi zyski.

Hernando sięgnął ręką do kieszeni i wyjął kilka monet. Tym razem Juan chętnie przyjął pieniądze.

— Jak ci się powodzi? — zainteresował się morysk.

— Pańskie oko konia tuczy — powiedział Juan, pokazując lekceważąco na Damiána — a lokaje i chłopcy stajenni konia psują — dokończył przysłowie. — Z mułami jest podobnie, więc nie mam wyboru. A co do interesów... Nie wiem, czy dziś dałbym radę machnąć choć raz wiosłem na *Zmęczonej Dziewicy!*

— Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć, gdybyś potrzebował pomocy.

— Pomyśl lepiej o sobie, chłopcze. Ten ciekawski morysk, a podejrzewam, że również inkwizycja, jest na tropie osób korzystających z tego papieru.

— Dlaczego mi to mówisz? Chyba nie sądzisz, że mogę mieć z tym coś wspólnego?

— Jestem stary i słaby, ale nie głupi. Kościół i skryby nie potrzebują aż tyle papieru, żeby uciekać się do przemytu. Krążą pogłoski, że to papier kiepskiej jakości produkowany w Walencji. Mulnik nagabywany przez moryska pochodzi właśnie stamtąd. Poza tym dobrze wiadomo, że takiego papieru nie weźmie wydawca książek ani hidalgo do napisania listu.

Hernando sapnął.

— Można poznać tożsamość tego moryska?

— Jeśli wróci mulnik z Walencji, to może coś powie... ale nie wiem, czy jeszcze tu się zjawi. Po co miałby odpowiadać na niewygodne pytania? Lepiej poszukać człowieka tam, skąd pochodzi... Nie traćcie ani chwili — doradził Juan.

— Dzieci! — zawołał Hernando, wkładając lewą nogę w strzemię, a prawą przerzucając zgrabnie przez zad konia. — Odjeżdżamy. — Podniósł jednego, potem drugiego chłopca, żeby wsadzić ich na grzbiet. — Wiesz, gdzie mnie szukać, jak się czegoś dowiesz — powiedział do Juana, który kiwnął potakująco głową i pokazał w uśmiechu nagie dźiąsła. — Azirat źle się poczuł — wytłumaczył Franciscowi, który nie chciał jeszcze wracać do domu. Szamir ścisnął go mocniej w pasie, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie wierzy w tę wymówkę przeznaczoną dla malca. — Chyba nie chcesz, żeby rozchorował się jeszcze bardziej, prawda? — kontynuował Hernando, pragnąc uspokoić Francisca.

Podczas gdy dzieci pomagały chłopcu stajennemu rozsiadłać konia, Hernando powiadomił Abbasa o tym, co usłyszał, a następnie pobiegł na ulicę Barberos.

— Od dziś nie chcę widzieć ani jednej kartki w tym domu — przykazał Fatimie, matce, a zwłaszcza Hamidowi. Poprosił ich do pokoju na górze, żeby dzieci nie słyszały, i z przejęciem przekazał informacje uzyskane od Juana. Fakih próbował coś wtrącić, lecz Hernando nie dał mu dojść do słowa. — Ani jednej kartki, Hamidzie, jasne? Nie wolno narażać nam siebie i dzieci na

niebezpieczeństwo. — Pokazał ręką na patio, skąd dochodziły dziecięce śmiechy. — Nikogo nie możemy narażać.

Fatima odezwała się pierwsza:

— A co z Koranem? — Mieli u siebie egzemplarz подарowany przez Abbasa.

Hernando zastanawiał się chwilę.

— Spalić. — Wszyscy troje spojrzeli na niego ze zdziwieniem. — Spalić! — powtórzył. — Bóg nam to wybaczy. Robimy to dla Niego.

— Może lepiej ukryć księgę poza domem? — wtrąciła Aisza.

— Spalić! I sprzątnąć wszystek popiół. Od dziś... to znaczy, kiedy wszystko zostanie spalone — poprawił się — drzwi do sieni mają być otwarte. Zawieszamy lekcje dla dzieci, dopóki nie wyjaśni się, o co tu chodzi. Fatimo, schowaj swój naszyjnik, tak żeby nikt go nie znalazł. Nie chcę żadnych znaków na ścianie wskazujących kierunek Mekki.

— Tego się już nie da zmazać — zauważył Hamid.

— To porób nowe w innych miejscach, tak żeby wskazywały różne kierunki. Jestem pewien, że tobie nie będą się mylić. Teraz idę do meczetu... Muszę jeszcze uprzedzić Karima i Dżalila. Zwłaszcza Karima. — Przyjrzał się uważnie całej trójce. Czy wykonają jego polecenia? Co będzie, jeśli spróbują ukryć gdzieś Koran, zamiast go spalić? — Chodź. — Podał rękę Fatimie i wyszli z pokoju. Oparli się na balustradzie galerii: w dole baraszkowały dzieci przy fontannie. Śmiały się, biegały i bawiły w łapanego, ochlapując się wodą. Patrzyli na nie w milczeniu, dopóki Inés nie podniosła głowy, jakby wyczuła ich obecność. Utkwiła w nich swoje czarne, migdałowe oczy, takie same jak matki. Francisco i Szamir natychmiast poszli za jej przykładem. Dzieci wytrzymały spojrzenie dorosłych, świadome doniosłości tej chwili. Z dołu popłynął do góry świeży prąd pełen życia, radości i niewinności, zmieszany z zapachem kwiatów. Hernando ścisnął żonę za rękę, a jednocześnie poczuł na swym ramieniu dłoń matki, która stanęła za nimi.

— Nacierpieliśmy się głodu i wyrzeczeń, zanim znaleźliśmy

się tutaj — powiedział, przerywając czar tej magicznej chwili. — Nie możemy popełnić błędu. — Wyprostował się energicznie. Musi im zaufać! — Zajmijcie się uporządkowaniem domu — powiedział do Fatimy i Aiszy. — Ojczy — zwrócił się do Hamida — polegam na tobie.

Przybył do katedry przed końcem śpiewania niesporów. Muzyka organowa i śpiew nowicjuszy z jezuickiego seminarium wypełniały całe wnętrze świątyni. W stallach chóru siedzieli jak zwykle wszyscy członkowie kapituły, rozmieszczeni na zasadzie hierarchii. Woń kadzidła uderzyła Hernanda w nozdrza. Zateśknił do świeżego zapachu kwiatów na patio, ale wdychając to słodkawe powietrze, przypomniał sobie, po co tu przyszedł. Przyłączył się do wiernych uczestniczących w nabożeństwie, a po zakończeniu poprosił odźwiernego, żeby zawiadomił don Juliána o jego przybyciu.

Zaczekał przy wejściu do biblioteki, która chwilowo znajdowała się w remoncie. Po śmierci biskupa Bernanda de Fresneda, przed wybraniem jego następcy, kapituła katedralna postanowiła przekształcić bibliotekę w nową wspaniałą kaplicę Najświętszego Sakramentu w stylu Kaplicy Sykstyńskiej i ufundować większe tabernakulum, gdyż dotychczasowe, stojące w kaplicy Ostatniej Wieczerzy, było za małe. Część biblioteki przeniesiono do pałacu biskupiego, reszta została na miejscu mimo remontu, do czasu wybudowania nowej biblioteki obok bramy Świętego Michała.

— Dobrze — powiedział ksiądz, wysłuchawszy gorączkowych wyjaśnień Hernanda, który wciąż nie mógł się uspokoić. — Zaraz po jutrzni każę przenieść nasze księgi i zapas papieru do pałacu biskupa.

— Do pałacu biskupa? — zdziwił się Hernando.

— Dlaczego nie? — uśmiechnął się don Julián. — To jego prywatna biblioteka. Setki ksiąg i rękopisów, nad którymi sprawuję pieczę. Nie martw się, dobrze ukryję nasze skarby. Brat Martín nigdy ich nie znajdzie, choćby nie wiem jak dużo czytał. A jak sytuacja się uspokoi, wrócimy do naszej pracy.

Może warto skorzystać z pomocy don Juliána i ukryć w ten

sam sposób domowy egzemplarz Koranu, zastanawiał się Hernando.

— W domu chyba mam jeszcze Koran i kalendarze księżycowe...

— Przynies mi to wszystko przed jutrznią... — Don Julián przerwał, by pozdrowić dwóch prebendarzy przechodzących obok. Hernando pochylił głowę i coś wymamrotał. — Jeśli mi to przyniesiesz — podjął swój wątek don Julián, kiedy księży się oddalili i nie mogli go już usłyszeć — postaram się to ukryć. — Hernando zmierzył wzrokiem starego kapłana. Ten jego spokój... jest prawdziwy czy tylko udawany? Don Julián odgadł myśli młodego człowieka. — Nie daję się ponieść nerwom, żeby nie popełnić błędu — wyjaśnił. — Musimy jakoś z tego wybrnąć i kontynuować naszą pracę. Chyba nie spodziewałeś się, że wszystko pójdzie jak z płatka?

— Owszem, tak — przyznał Hernando. O ile na początku przychodził do katedry cały spięty i wzdrygał się na najdrobniejszy hałas, o tyle ostatnio żył w błogim przekonaniu, że nic już im nie grozi...

— Nadmierna ufność jest złym doradcą. Zawsze trzeba zachować czujność. Musimy znaleźć tego szpiega, zanim on znajdzie nas. Karim na pewno zna przewoźnika z Walencji. Kiedy do niego dotrze, dowiemy się czegoś więcej, co pozwoli nam zdemaskować donosiciela.

Karim lubił działać w pojedynkę. Próbowali go przekonać, by pozwolił sobie pomóc, ale odmówił. Im mniej osób zaangażuje się w tę niebezpieczną sprawę, tym lepiej, oświadczył starzec. Musieli przyznać mu rację. Karim był odpowiedzialny za zdobywanie papieru i kontakty z moryskami i przewoźnikami z Walencji. Dostarczał czysty papier Hernandowi i don Juliánowi, odbierał od nich przepisane rozdziały Koranu lub inne dokumenty, sam oparował za pomocą trzymanej w domu prasy i rozprowadzał gotowe księgi po Kordobie.

Wyszli z katedry przez bramę Świętego Michała i skręcili od razu w ulicę Palacio. Była już noc. Jak większość kordobańskich



duchownych don Julián mieszkał w parafii Santa María przy ulicy Deanes, niedaleko od Hernanda. U zbiegu ulic Deanes i Manriques zaszedł im drogę jakiś osiłek. Hernando już sięgał po nóż, który miał za pasem, ale zrezygnował, słysząc znajomy głos:

— Spokojnie! To ja, Abbas. — Rozpoznali kowala, który był mocno poruszony. — Ludzie inkwizycji zatrzymali Karima — powiedział, nie bawiąc się w żadne wstępy. — Przeszukali jego dom, znaleźli parę egzemplarzy Koranu i różne muzułmańskie dokumenty. Zarekwirowali prasę, noże introligatorskie i narzędzia do oprawiania książek.

## 39

Nazywał się Cristóbal Escandalet. Wyemigrował z Méridy do Kordoby kilka lat temu z żoną i trójką małych dzieci. Cukiernik z zawodu, krążył po mieście, oferując smaczne moryskie ciastka z ucieranej mąki, smażone na głębokim oleju — pączki puszyste i pączki ze ścisłego ciasta wyciskane ze szprycy o wydłużonym kształcie z rowkami, obtaczane w miodzie. Hamid zlokalizował dom, w którym mieszkał cukiernik razem z czterema innymi rodzinami, w ubogiej dzielnicy San Lorenzo, koło bramy Plasencia w zachodniej części miasta.

Śledził go od kilku dni. Słuchał, jak rozmawia z ludźmi, zabiega o sympatię starych i nowych chrześcijan i z wdziękiem namawia ich do zakupu. Mógł mieć około trzydziestki; chudy, przeciętnego wzrostu, energiczny, szybki w ruchach, zręcznie przenosił z miejsca na miejsce swój sprzęt do smażenia pączków. Hamid zauważył u niego nową, błyszczącą patelnię i nową szprycę.

— Oto cena zdrady wobec Karima! — zawołał rozgniewany, obserwując z pewnej odległości, jak Cristóbal wychwala swoje wyroby. Był dzień targowy, znajdowali się na placu przed krzyżem Rastro, nieopodal miejsca, gdzie ulica Feria dochodzi do Gwadalkiwiru.

Jakaś kobieta odwróciła się do niego zdziwiona. Hamid twardo wytrzymał jej spojrzenie, więc poszła dalej. Fakił wciąż obser-

wował pączkarza, jego nerwowe ruchy i wysoką, dobrze umięsnioną szyję. Trzeba przeciąć tę szyję. On to zrobi. Nikt inny tylko on, fakih! Tak karze się muzułmanina za złamanie prawa. Zdradził swych braci w wierze, nie ma dla niego litości. Ale jak on, stary, kulawy, słaby człowiek bez broni ma wykonać wyrok śmierci, który wydał, gdy tylko poznał imię zdrajcy?



Zatrzymanie i uwięzienie Karima w lochach inkwizycji w al-kazarze królów chrześcijańskich wstrząsnęło wspólnotą kordobańskich morysków. Wszyscy mówili tylko o tym, niektórzy podawali w wątpliwość tożsamość zdrajcy, który doniósł na tego czcigodnego starca. Wiele osób wiedziało, czym zajmował się Karim: jedni pilnowali domu podczas zebrań starszyny, inni kupowali egzemplarze Koranu, wróżby, kalendarze księżycowe, pisma polemiczne, a jeszcze inni korzystali z możliwości legalnego wyjścia z miasta do pracy w polu, by wynosić księgi i rozprowadzać je w skupiskach muzułmańskich w innych częściach królestwa. Zapanowała nieufność. Wiele osób musiało bronić swojej niewinności przed nieżyczliwym spojrzeniem i oskarżeniem sąsiada. Aby nie budzić większej podejrzliwości, starsi postanowili zataić wiadomość, że to jakiś morysk zadawał niedyskretne pytania przewoźnikowi z Walencji, ale jak w takiej sytuacji dowiedzieć się, o kogo chodzi. Karim był niedostępny w więzieniu inkwizycji, a jego sędziwa żona, przybita nieszczęściem, nie umiała nic powiedzieć Abbasowi, który przyszedł ją odwiedzić po tym, jak spisano ich ubogi dobytek i skonfiskowano wszystko na rzecz Świętego Oficjum.

Donosicielstwo uchodziło wśród morysków za najniegodziwsze i najwstrętniejsze przestępstwo. Od czasów cesarza Karola I hiszpańska inkwizycja raz po raz ogłaszała edykty. Wszystkie znajdowały oparcie w bullach papieskich. Zarówno król, jak i Kościół mieli świadomość trudności, jakie napotykała tak zwana ewangelizacja całego narodu ochrzczonego pod przymusem. Przede wszystkim brakowało księży zdolnych podjąć się tego zadania i doprowadzić je do szczęśliwego końca. Kościół miał również

świadomość, iż liczba heretyków zasługujących na stos była tak duża, że stosowanie tej kary mijałoby się z celem, ponieważ nie spełniała już funkcji odstraszającej i nie robiła wielkiego wrażenia na maluczkich. Dlatego w ostatnim stuleciu Kościół przyjmował na swoje łono morysków, którzy przyznali się do winy i wyrazili skruchę niekoniecznie jawnie, mogli to uczynić nawet w sekrecie przed swoimi braćmi. Przebaczenie obejmowało również heretyków recydywistów i wiązało się z wymiernymi korzyściami, takimi jak odstępstwo od konfiskaty mienia.

Był tylko jeden warunek: donos na członków wspólnoty szerzących herezję. Żaden edykt nie odniósł sukcesu. Moryskowie nie donosili na siebie.

Lud ich nienawidził z różnych powodów, między innymi za ich pracowitość. Chrześcijańskich rzemieślników cechowała niechęć do wszelkiej działalności zarobkowej, nie mniejsza niż w przypadku szlachty, toteż ze złością patrzyli na morysków z Grenady, którzy nawet na wygnaniu potrafili się bogacić powoli, składając grosz do grosza. Skarżono się również na ich nadmierną płodność i na to, że synowie morysków nie byli powoływani do wojska królewskiego, w którego szeregach co roku ginęło wielu hiszpańskich chłopców.



Jak słusznie podejrzewał Hernando, Fatima i Hamid nie spalili Koranu i innych pism muzułmańskich, tylko ukryli je na patio pod płytkami posadzki.

— O wy naiwni! — zawołał, kiedy wyciągnął z nich prawdę. — Słudzy inkwizycji znaleźliby to w jednej chwili.

Spalił wszystkie teksty, z wyjątkiem Koranu, i o świcie, po bezsennej nocy spędzonej na nasłuchiowaniu, czy nie idą po niego wysłannicy Świętego Oficjum, ukrył boską księgę pod ubraniem i zaniósł do katedry, starając się zdążyć przed jutrznią, jak przykazał don Julián.

Szedł w dół ulicami Barberos i Deanes aż do Bramy Przebaczenia. Było zimno, więc narzucił pelerynę na prawe ramię, którym przyciskał do piersi Koran. Drżał. Czy na pewno z zimna? Dopiero

po przejściu pod łukiem bramy zrozumiał, że to nie chłód przyprowadził go o dreszcze. Co on wyprawia? Wziął z domu książkę, żeby wręczyć ją don Juliánowi, jakby to była rzecz najzwyczajniejsza w świecie, a teraz idzie przez ogród do katedry w otoczeniu księży podążających na jutrznię. Z wyjątkiem biskupa, który miał bliżej przez mostek łączący jego pałac z katedrą, wszyscy pozostali wchodzili przez Bramę Przebaczenia: dygnitarze kapituły rozpoznawalni po luksusowych szatach i ponad setka kanoników i kapłanów, a za nimi organiści i muzycy, ministranci i akolici, straż nocna, zakrystianie, wartownicy... Porwał go za sobą ten tłum księży i pracowników katedry. Niektórzy rozmawiali, inni — tych była większość — szli w milczeniu, półsenni, z ponurymi minami. Poczł dreszcz trwogi. Wszedł do jednego z najświętszych miejsc w całej Andaluzji z Koranem pod pachą! Zatrzymał się i trzech ministrantów idących z tyłu musiało go wyprzedzić. Przycisnął mocno księgę i udając obojętność, sprawdził, czy nic nie wystaje spod peleryny. Fale mężczyzn w czarnych sutannach i biretach zbiegały się w Bramie Przebaczenia, przez którą wchodziło się do katedry. Hernando poczuł nieprzepartą chęć ucieczki. Później pomyśli o ukryciu Koranu. Zaczął się wycofywać, gdy nagle...

— Ejże! — Usłyszał wołanie za swoimi plecami. Miał nadzieję, że to nie do niego. — Ty! — Przyspieszył kroku, ani myśląc się odwracać. — Zaczekaj! — Zimny pot oblał mu plecy. Jeszcze tylko krok do Bramy Przebaczenia... — Stój!

Dwóch odźwiernych przecięło mu drogę i musiał się zatrzymać.

— Nie słyszysz, że woła cię inkwizytor? — Hernando wybąkał jakieś usprawiedliwienie i popatrzył na bramę. Za nią jest ulica, mógłby rzucić się do ucieczki. Uciekać? — zastanawiał się gorączkowo. A jeśli go poznali, jeśli nie zdąży zabrać w bezpieczne miejsce Fatimy z dziećmi...

— Rozumiesz, co się do siebie mówi?! — wrzasnął drugi odźwierny.

Hernando spojrział w stronę ogrodu. Stał tam wysoki, chudy zakonnik i czekał na niego. Wiedział, że w kapitule katedralnej jest miejsce dla przedstawiciela inkwizycji. Znowu się zawahał.

Poczuł oddech strażników na swoim karku, ale przyszło mu na myśl, że skoro ten zakonnik jest sam, bez familiantów, bez komisarza trybunału, to nie jest jeszcze tak źle.

Uspokoił się i odetchnął głęboko.

— Ojciec — pochylił głowę, zbliżając się do inkwizytora — proszę o wybaczenie. Nie sądziłem, że Wasza Ojcowska Wielbność zwraca się do mnie, zwykłego...

Inkwizytor przerwał i wyciągnął miękką dłoń: należało ją przyjąć z odpowiednim ugięciem kolana. Hernando już chciał to zrobić, lecz prawe ramię miał zajęte... Szybko przesunął książkę pod lewe ramię i pochylił się do przodu tak mocno, że prawie uklęknął na oba kolana, ale musiał sprawdzić, czy pozostaje niewidoczna. Inkwizytor kazał mu wstać. Hernando poprawił pelerynę na ramieniu, upewniając się ponownie, czy nie widać, że ma coś pod pachą. Kiedy duchowny zmierzył go wzrokiem od góry do dołu, przycisnął Koran do piersi. Ta księga zawiera objawienie boskie! Ona powinna się znajdować w meczecie, wyeksponowana w mihrabie, a nie ci wszyscy chrześcijańscy księża z ich śpiewem i obrazami! Poczuł, jak fala ciepła bije od księgi trzymanej koło serca i rozchodzi się po całym jego ciele. Wyprostował się, napiął wszystkie mięśnie i zanim inkwizytor zakończył swoje oględziny, on nabrał śmiałości i uspokoił się, pokładając ufność w Bogu i Jego słowach.

— Wczoraj — odezwał się inkwizytor świszczącym głosem — zatrzymaliśmy heretyka, który parał się przepisywaniem, opracowaniem i dystrybucją oszczerczych tekstów, wrogich prawdom głoszonym przez Świętą Matkę Kościół. Nie będzie dla tego heretyka czasu łaski na dobrowolne wyznanie winy. Jeszcze dziś, ze względu na wagę przestępstwa i konieczność zatrzymania potencjalnych współników, zanim ci zdążą uciec, rozpoczniemy przesłuchania przed trybunałem. Książki są spisane w takim języku arabskim, którego nasz tłumacz do końca nie rozumie. Kapituła wystawiła ci znakomite referencje, dlatego masz stawić się w porze tercji w siedzibie trybunału. Będziesz tłumaczył nam te wszystkie pisma.

Hernanda znowu ogarnęła słabość. W wyobraźni zobaczył

siebie przed Karimem przesłuchiwanym, a może i torturowanym... podczas gdy on tłumaczy to, co sam napisał!

— Ale ja... — nieudolnie próbował się wymigać — muszę pracować w stajni.

— Żadna praca nie jest ważniejsza od tępienia herezji i obrony chrześcijaństwa — przerwał mu inkwizytor.

W katedrze rozpoczęły się śpiewy. Głosy dobiegały aż do ogrodu. Duchowny spojrział na bramę z Łukiem Błogosławieństw i pobiegł, poruszając się bezszelestnie, jakby płynął w powietrzu.

— Pamiętaj, w porze tercji — przypomniał na pożegnanie.

Hernando przebył krótki odcinek drogi dzielącej go od domu w oszołomieniu, z pustką w głowie, mruczając sury, żeby odpędzić zle myśli, i przyciskając Koran do piersi.



Królewski alkazar, dawna rezydencja Królów Katolickich, a obecnie siedziba trybunału inkwizycji, był fortecą wzniesioną za czasów króla Alfonsa XI na ruinach części pałacu kalifów. Od dawna już pieniądze wpływające do trybunału z przeznaczeniem na konserwację tego miejsca szły na osobiste wydatki inkwizytorów, toteż budynek niszczał powoli. Tam gdzie powinny być sale, kancelarie i archiwa, lokowano teraz kurniki, gołębniki, stajnie i nawet pralnię sukna, a słudzy inkwizytorów bez żadnego wstydu handlowali miejscowymi wyrobami w bramie wychodzącej na Campo Real. Warunki higieniczne panujące w alkazarze — zwierzęta, brud, lochy więzienne i dwa stawy stęchłej wody nieopodal Gwadalkiwiru — to wszystko przyczyniało się do upowszechniania legendy, iż każdy jego mieszkaniec pada ofiarą śmiertelnej choroby.

W porze tercji, jak przykazano, Hernando stanął w bramie pod wieżą León wychodzącej na Campo Real.

— To nie tędy — wyjaśnił mu niechętnie jeden ze sprzedawców sukna. — Musisz przejść przez cmentarz do bramy Palo w wieży Vela, blisko rzeki.

Brama Palo wychodziła na otoczone murem patio z topolami i drzewkami pomarańczowymi. Dwaj strażnicy potraktowali go

początkowo niemal jak podsądnego, aż wreszcie jeden z nich wskazał mu ręką małe drzwi w południowej fasadzie. Przeszedł między drzewami porastającymi patio i ledwie znalazł się na miejscu, niezdrowa wilgoć oblepiła mu ciało. Ruszył ponurym korytarzem do sali sądowej, mijając po lewej stronie cele więzienne umieszczone w zakamarkach murów dawnego alkazaru. Wiedział, że są pełne więźniów, ale dokoła panowała złowroga cisza, której nic nie zakłócało oprócz jego kroków dźwięczących w korytarzu.

Sala sądowa miała kształt prostokąta i wysokie sklepienie. Było w niej kilka stołów, przy których siedzieli już inkwizytorzy, między innymi zakonnik z katedry, oskarżyciel Świętego Oficjum i notariusz. Odebrali od Hernanda przysięgę, że zachowa w tajemnicy wszystko, co usłyszy i zobaczy w tej „sali sekretu”, po czym usadzili go przy najmniejszym stole, obok notariusza. Na blacie leżały trzy źle zszyte egzemplarze Koranu i parę luźnych kartek jakichś dokumentów.

Zszywanie stron przeznaczonych do dystrybucji należało do obowiązków Karima. Hernando wpatrywał się w te egzemplarze boskiej księgi tak uporczywie, że nie słyszał rozmów inkwizytorów. Pamiętał dokładnie, kiedy spisywał je z pamięci, bo już prawie nie potrzebował kopiować z oryginału, jakie miał z tym trudności, jakie błędy popełnił, w którym momencie ostrzył pióro, przy jakiej surze zabrakło mu atramentu... Pamiętał komentarze don Juliána, żartobliwe uwagi i niepokój wywołany nagłym, niespodziewanym dźwiękiem... Każda litera zapisana na mocno satynowanym papierze kiepskiej jakości, który po wielu trudach otrzymali z Xátivy, wyrażała nadzieję i pragnienia ich ludu.

Hernando skurczył się na twardym drewnianym krześle, gdy na sali pojawił się brudny, wymęczony Karim w porwanym ubraniu. Co on sobie pomyśli, widząc go tutaj? Czy nie uzna go za zdrajcę?

Wystarczyła jedna chwila, jedno spojrzenie Karima, aby przekonać Hernanda, że taka myśl nigdy nie powstała w głowie starca.

— Wybaczam ci! — zawołał Karim, nie patrząc na nikogo.

Notariusz przerwał lekturę. Inkwizytorzy byli poirytowani.

— Komu i co wybaczasz, ty heretyku? — warknął jeden z nich.



Hernando nie zwracał uwagi na ich złorzeczenia. Te słowa były skierowane do niego. Wybaczam ci! Karim rzucił je niby w powietrze, lecz użył liczby pojedynczej. Wybaczam ci! Hernando odzyskał równowagę ducha utraconą na widok Karima. Rano czuł się taki silny, przyciskając do piersi Koran, ale gdy uzmysłowił sobie, że musi uczestniczyć w procesie Karima, wpadł w rozpacz. Fatima, Aisza i zasepiony Hamid na próżno zasypywali go pytaniami — na żadne z nich nie umiał odpowiedzieć. A teraz Karim mu wybacz a wszystko bierze na siebie.



Formalne przesłuchanie trwało do południa.

— Wszyscy chrześcijanie są moimi wrogami! — odparł Karim zapytany, czy ma jakichś wrogów. — Ci, którzy złamali traktat pokojowy podpisany przez waszych królów, którzy nas znieważają, poniewierają i nienawidzą. Kradną nam dokumenty, żebyśmy nie mogli się przemieszczać, karzą nas za przestrzeganie naszych praw i zwyczajów...

Hernando przetłumaczył drżącym głosem fragment ksiąg, które Karim ku zadowoleniu inkwizytorów uznał za swoją własność. Starzec oświadczył, że sam zdobył papier i atrament, sam kopiował, nikt mu nie pomagał. On, i tylko on, jest za to odpowiedzialny.

— Możecie zaprowadzić mnie na stos — powiedział butnie, wskazując palcem na członków sądu. — Nigdy nie pojednam się z waszym Kościołem.

Hernando zdusił szloch, ale nie umiał powstrzymać drżenia warg.

— Bierzesz nas za głupców, podły heretyku?! — wybuchnął jeden z inkwizytorów. — Taki staruch jak ty nie dałby rady sam wszystkiego zrobić. Mów, kto ci pomagał i gdzie jest reszta książek.

— Nie miałem żadnych pomocników — zapewnił Karim.

Stał sam pośrodku sali naprzeciwko trybunału: człowiek mizerny, ale wielkiego ducha. Rzeczywiście nie potrzebował pomocy, pomyślał wtedy Hernando. Sam potrafił wystąpić w obronie Proroka i jedyne Boga.

— Na pewno miałeś. — To stanowcze stwierdzenie padło z ust kanonika katedralnego o świszczącym głosie. — I powiesz nam, jak się nazywają. — Ostatnie słowa wisiały jeszcze w powietrzu, kiedy ten sam inkwizytor zarządził przerwę w przesłuchaniu do następnego dnia.

Po południu Hernando nie poszedł już do stajni. Po tym, jak strażnicy zabrali Karima, a inkwizytorzy wstali od stołu, próbował wykręcić się od obecności na kolejnej sesji sądowej: przetłumaczył już część dokumentów, a zresztą w egzemplarzach Koranu widniało między poszczególnymi wierszami tłumaczenie w *aljamiado*.

— Dlatego musisz przyjść — zarządził kanonik. — Nie wiemy, czy te wstawki są zwykłym przekładem, czy to tylko taki wybieg, żeby nas zmylić. Zostaniesz z nami do końca procesu.

Dał mu znak ręką, że może odejść.

Hernando nie zjadł obiadu ani kolacji. Do nikogo się nie odzywał. Zamknął się w swoim pokoju i do późna w noc modlił się z twarzą zwróconą w stronę Mekki, dopóki nie upadł z wyczerpania.

Nikt mu nie przeszkadzał ani nie przerywał, nawet dzieci zachowywały się cicho, napominane przez kobiety.



Następnego dnia w czasie tercji zaprowadzono Hernanda nie do sali sekretów, tylko w dół, po schodach do krypty bez okien, gdzie byli już inkwizytorzy. Rozmawiali szeptem, siedząc naokoło rozmaitych narzędzi tortur: sznury zwisające z sufitu, miejsce męki i setki okrutnych wynalazków z żelaza, które miały szarpać, unieruchamiać albo rozdzierać ciało więźnia.

W krypcie panował ciepły, lepki odór nie do wytrzymania. Hernando zareagował odruchem wymiotnym na widok tych makabrycznych urządzeń.

— Siadaj tutaj i czekaj — zarządził kanonik, pokazując na pobliski stół, gdzie leżały teksty z Koranu i materiały notariusza zajętego rozmową z inkwizytorami, lekarzem i katem.

— To starzec — mówił jeden z inkwizytorów. — Trzeba postępować ostrożnie.

— Nie martwcie się — zapewnił kat, łysy, barczysty mężczyzna. — Będę się nim opiekował — dodał drwiąco.

Wywołało to parę uśmiechów.

Hernando z trudem oderwał oczy od grupy mężczyzn, wiele by dał, aby ich również nie słyszeć. Zatrzymał wzrok na kartkach z wyraźnym kaligraficznym pismem notariusza inkwizycji. „Mateo Hernández, nowy chrześcijanin, Maur” — przeczytał na pierwszej stronie. Potem następowała data i opis miejsca oraz faktów uzasadniających wszczęcie procesu, prezentacja inkwizytorów, a na końcu tej pierwszej strony można było przeczytać:

W Kordobie dwudziestego trzeciego stycznia w roku Pańskim tysiąc pięćset osiemdziesiątym do magistra Juana de la Portilla, inkwizytora trybunału Kordoby w sali Świętego Oficjum, zgłosił się, celem doniesienia o herezji...

Tu urywało się zdanie z pierwszej strony. Hernando spojrzął na inkwizytorów: w dalszym ciągu rozmawiali, czekając na doprowadzenie więźnia. Dwudziesty trzeci stycznia! Od tego czasu upłynął już ponad miesiąc. Kto zgłosił się do inkwizytora ponad miesiąc temu z donosem, który spowodował rozpoczęcie procesu? To mógłby być jedynie... Nagle zapadła cisza, do sali tortur wszedł Karim w otoczeniu dwóch strażników. W momencie gdy oczy inkwizytorów zwrócone były na więźnia, Hernando przełożył stronę. Wystarczyło jedno spojrzenie: Cristóbal Escandalet. Zacisnął pięści pełen obawy, że ktoś z obecnych zauważył jego postępowanie, ale nic się nie stało, więc czekał cierpliwie, aż notariusz usiądzie koło niego przy stole.

Cristóbal Escandalet mełł w zębach, jakby chciał wyryc ogniem w swej pamięci to nazwisko. Nazwisko zdrajcy!

Karim ponownie zaprzeczył, że ktoś mu pomagał. W jego głosie była taka pewność siebie, że Hernando spojrzął na niego uważnie. Stanowczy ton starca kontrastował ze zmęczonym wyglądem, zwłaszcza gdy zerwano z niego koszulę, obnażając wychudłe, owłosione ciało.

— Zaczynamy przesłuchanie — ogłosił don Juan de la Portilla na stojąco. Pozostali inkwizytorzy również stali. Pióro notariusza zazgrzytało na papierze.

Położyli więźnia na miejscu tortur zwanym *potro*, twarzą do dołu, i wykręcili mu do tyłu ramiona, żeby związać kciuki sznurem połączonym z powrozem przerzuconym przez bloczek u sufitu. Za każdym razem, gdy Karim odpowiadał przecząco na pytanie inkwizytora, kat pociągał za zwisający koniec powrozu.

Jeśli ktoś liczył na to, że torturowany zacznie krzyczeć, to się pomylił. Starzec wcisnął twarz w stół kaźni i pozwalał sobie tylko na głuche jęki, od których Hernandowi robiło się słabo. Pojękiwanie przerywały natarczywe pytania inkwizytora.

— Kto był z tobą?! — Wrzask pytającego przybierał na sile, w miarę jak Karim cichł.

W pewnym momencie kat potrząsnął przecząco głową, a inkwizytorzy zaprzestali swych wysiłków i rozwiązali starca. Jego kciuki były prawie wyrwane z nadgarstka, twarz wykrzywiona, oddech agonalny, spojrzenie wodniste, z dolnej wargi spływały strużki krwi. Nie mógł utrzymać się na nogach nawet podtrzymywany przez kata. Podszedł lekarz, żeby obejrzeć kciuki; obracał nimi tak nieostrożnie, że Hernando dostrzegł na twarzy starego przyjaciela grymas dotychczas skrywanego bólu.

— Nic mu nie jest — powiedział medyk. Niemniej zbliżył się do magistra Portilli i szepnął mu coś do ucha. Hernando zauważył, że notariusz notuje: „Więzień ma się dobrze”.

— Zawieszamy sesję do jutra — zdecydował inkwizytor po krótkiej rozmowie z lekarzem.



— Zjedz coś — poprosiła Fatima, wchodząc do pokoju, gdzie Hernando modlił się nieustannie po powrocie do domu. Było już po północy.

— Karim nie je — odparł.

Fatima zbliżyła się do męża w chwili, gdy siedział na piętach z nagim torsem. Ramiona i pierś miał podrapane, miejscami aż do

krwi, od silnego pocierania przy myciu, jakby chciał zedrzyć skórę i wyzbyć się smrodu lochów, który wciąż przenikał jego ciało.

— Zmarzniesz. Włóż coś na siebie.

— Zostaw mnie, kobieto! — Fatima posłuchała i postawiła w kącie miskę z jedzeniem oraz wodę.

— Powiedz Hamidowi, żeby tutaj przyszedł — dodał, nie odwracając się.

Fakih pojawił się szybko.

— Pokój... — Hamid przerwał powitanie zaskoczony wyglądem i zachowaniem Hernanda, który nawet na niego nie spojrział. — Dlaczego tak się karzesz? — mruknął.

— Zdrajca nazywa się Cristóbal Escandalet — oświadczył Hernando w odpowiedzi. — Powiedz Abbasowi. On będzie wiedział, co robić.

Najchętniej zabiłby go własnymi rękami, dusiłby powoli i patrzył w oczy konającego, zadawałby mu taki sam ból, jaki wycierpiał Karim. Ale niestety, on musiał być do dyspozycji trybunału, dlatego zdecydował, że Abbas zajmie się tym psem. Im szybciej, tym lepiej.

— Zdrajca własnego narodu zasługuje na karę. To rzecz oczywista. Abbas będzie wiedział, co robić. Martwi mnie jednak... — Hamid zawiesił głos w oczekiwaniu na reakcję Hernanda, ale ten szykował się znowu do modlitwy. — Martwi mnie jednak — powiedział dobitniej — że ty chyba nie bardzo wiesz, jak postąpić.

— Co masz na myśli? — zapytał Hernando po chwili wahania.

— Karim poświęca się dla nas...

— On mnie chroni — przerwał Hernando, wciąż odwrócony tyłem do fakiha.

— Nie bądź zarozumiały, Ibn Hamidzie. On chroni nas wszystkich. Ty... jesteś tylko jednym z ogniów naszej walki. Karim chroni twoją żonę i matki, którym ona wyklada słowo objawione, a one przekazują je swoim dzieciom. Chroni dzieci uczące się po kryjomu, strofowane, by nie używać tej wiedzy poza domem... Chroni nas wszystkich.

Starzec dostrzegł, że ramiona Hernanda lekko zadrżały.

— Moje życie jest w jego rękach — powiedział wreszcie, odwracając głowę w stronę fakiha, który zląkł się, że jego pupil traci panowanie nad sobą. Podeszedł bliżej i z trudem uklęknął obok niego. — Być może masz rację... Oczywiście! On chroni nas wszystkich, ale nie wyobrażasz sobie, jak bardzo się boję, gdy widzę jego słabe, wyniszczone ciało dręczone torturami i przesłuchaniami. Ile może wytrzymać ten starzec? Boję się, Hamidzie. Trzęsę się ze strachu, nie kontroluję moich kolan ani dłoni. Boję się, że w paroksyzmie bólu Karim wskaże na mnie jako winowajcę.

Fakih uśmiechnął się smutno.

— Siła nie tkwi w ciele, Ibn Hamidzie. Siła jest w duchu człowieka. Zaufaj Karimowi! On cię nie zdradzi. Taka zdrada równałaby się dla niego zdradzie własnego narodu.

Wymienili spojrzenia.

— Odmówiłeś już modlitwę nocną? — spytał fakih, przerywając to magiczne porozumienie. Hernandowi zdawało się, że słyszy echo tych samych słów wypowiedzianych w starej szopie w Juviles. Zamknął oczy, czekając na dalszy ciąg: — Modlitwa nocna jest jedyną, którą możemy odmawiać w miarę bezpiecznie, ponieważ chrześcijanie już śpią. — Hernando chciał odpowiedzieć tak samo jak dawniej, chociaż słowa więzły mu w gardle ze wzruszenia i Hamid nie dopuścił go do głosu. — Dużo się nawojowaliśmy od tego czasu, prawda, synu?



Fakih nie przekazał wiadomości Abbasowi. Kowal był młody i silny. Karim umrze na torturach lub spłonie na stosie jako heretyk. Działil był tak stary jak Karim, don Julián też miał swoje lata, a poza tym musiał działać w ukryciu i miał ograniczoną swobodę ruchów wśród morysków, natomiast on... Hamid czuł, że jego życie dobiega końca. Nie chciał narażać Abbasa na niebezpieczeństwo. Jak tu zabić zdrajcę? — zastanawiał się, obserwując sprzedawcę pączków koło krzyża Rastro.

Po dwóch dniach torturowania Karim miał powyrywane ramiona ze stawów barkowych, ale nie przerywał milczenia, podobnie

jak Hernando nie przerywał postu i modłów. Fatima i Aisza bardzo się tym martwiły, nawet dzieci wyczuwały, że nadciąga coś groźnego.

- Pije przynajmniej wodę? — pytał Hamid Fatimę.
- Tak — odpowiadała.
- No to wytrzyma.



Hamid zobaczył, że zdrajca przenosi swój kram z pączkami w poszukiwaniu miejsc, gdzie gromadzi się więcej ludzi. Odprowadzał go wzrokiem, dopóki mężczyzna nie zatrzymał się obok sprzedawcy noży. Głośno zachwalał swoje pączki, wyciskając je ze szprycy prosto na patelnię z trzaskającym olejem, a potem kroił i częstował nimi publiczność. Noże! Jednakże odległość między nożownikiem i Cristóbałem była zbyt duża, aby Hamid zdołał chwycić nóż i zbliżyć się niepostrzeżenie do ciastkarza. Zresztą nożownik zacząłby krzyzczeć i efekt zaskoczenia poszedłby na marne. Karą za zdradę jest obcięcie głowy! Jak to zrobić?

Raptem Hamid zacisnął szczęki.

— Allah jest wielki — mruknął i pokuszył w stronę ciastkarza.

Cristóbal widział, jak się zbliża i patrzy mu prosto w oczy. Przerwał zachwalanie pączków i zmarszczył czoło, lecz gdy stary człowiek podszedł na wyciągnięcie ręki, uśmiechnął się z rozbawieniem. To tylko starzec kaleka!

— Chcesz pączka, dziadku? — Hamid przecząco pokręcił głową. — To czego chcesz? — pytał dalej Cristóbal.

W tym momencie Hamid pochwycił obiema rękami patelnię. Skóra na palcach ściskających rozżarzoną do czerwoności patelnię zaczęła skwierczeć. Fakih nawet nie mrugnął okiem, kilka stojących obok osób w porę odskoczyło na bok, kiedy wrzący olej chlusnął na twarz Cristóbala. Cukiernik zawył, podniósł ręce do góry i upadł na ziemię, skręcając się z bólu. Z patelnią w dłoniach fakih skierował się w stronę sprzedawcy noży. Ludzie usuwali mu się

z drogi, w powietrzu unosił się zapach spalonego mięsa, a nożownik uciekł przed szaleńcem gotowym, jak się zdawało, oblać go resztką wrzącego oleju. Hamid odrzucił patelnię, wybrał największy spośród wystawionych na sprzedaż noży i wrócił do wyjącego z bólu ciastkarza.

Większość ludzi obserwowała to wszystko spokojnie z bezpiecznej odległości, ktoś pobiegł po strażników.

Hamid przykleknął obok Cristóbalą, który wierzgał nogami i krzyczał, trzymając się za głowę. Podciął mu ramiona. Pod wpływem nowego bólu cukiernik opuścił ręce i odsłonił gardło. Fakih przeciągnął nożem po szyi zdrajcy: cięcie było celne i głębokie, zadane całą mocą znieważonej i zdradzonej społeczności. Strumień krwi wytrysnął prosto na Hamida, który, podnosząc się z klęczek z olbrzymim nożem w rękę, stanął twarzą w twarz ze stróżem prawa wyciągającym rapier.

— Chrześcijananie to psy! — zawołał, dając upust powstrzymanej przez całe życie niechęci.

Strażnik wbił mu rapier w brzuch.

Alpuhara, białe szczyty masywu Sierra Nevada, rzeki i wąwozy, maleńkie poletka żyznej ziemi wrywanej górom piędz po piędzi, praca na roli i nocne modlitwy... to wszystko przewinęło się wyraźnie w pamięci Hamida. Nie czuł żadnego bólu. Hernando, jego syn! Aisza, Fatima, dzieci... Nie poczuł również bólu, gdy strażnik wyciągnął klingę z jego ciała. Z przebitych wnętrzości polała się krew. Taka sama jak krew tysięcy muzułmanów poległych w obronie swojej wiary i prawa.

Strażnik stał i czekał przekonany, że starzec za chwilę upadnie. Ludzie okrzykami w milczeniu.

— Nie ma innego Boga poza Allahem, a Mahomet jest Jego wysłannikiem — zaintonował Hamid.

Nie może dać się złapać. Nie może ujawnić, kim jest. Za nic w świecie nie chciał narażać na niebezpieczeństwo swojej rodziny. Podniósł do góry nóż i powłókł się w stronę rzeki, przechodząc obok krzyża na placu Rastro. Ludzie rozstępowali się przed nim, strażnik kroczył z tyłu. Ten starzec daleko nie dojdzie! Strumień



krwi znaczył jego drogę, wszyscy stali i patrzyli z przejęciem na niezwykłą postać, która spokojnie zbliżała się do rzeki.

— Stój! — krzyknął strażnik, kiedy zrozumiał intencje Hamida. W tym samym momencie fakih zniknął w wodach Gwadalquiviru.



Hernando nie był w stanie znieść więcej bólu. Właśnie wrócił z alkazaru królów chrześcijańskich, gdzie torturowanie Karima nabierało cech wyjątkowego okrucieństwa: starzec nie zamierzał ujawnić swoich współników i nawet kat ośmielił się powiedzieć inkwizytorom, że dalsze przesłuchanie więźnia jest bez sensu.

— Kontynuuj! — krzyknął magister Portilla, kładąc kres wątpliwościom oprawcy.

Tymczasem Hernando musiał być świadkiem tego barbarzyństwa. Słowa Hamida pomogły mu znaleźć ukojenie w wierze, wzmocniły ducha walki o prawa i zwyczaje morysków i z tym przekonaniem szedł do alkazaru, ale w lochach, gdzie torturowano Karima, żądając od niego imion i nazwisk współników, znowu czuł się osaczony przez strach. To jego imię Karim taił z takim uporem. Hernando znajdował się o dwa kroki od torturowanego, czuł zapach jego krwi i moczu, obserwował ciało wstrząsane konwulsjami, doznające potwornego bólu, słyszał zduszone okrzyki gorsze od najgłośniejszego wycia i urywany szloch w chwilach przerwy. Momentami czuł dumę ze zwycięstwa Karima nad inkwizycją: starzec bronił swojego ludu, swojego prawa, częściej jednak Hernando doznawał silnego poczucia winy... A nieraz oblewał go zimny pot na myśl o tym, że Karim ulegnie, wskaże palcem na niego: oto jest ten, którego szukacie! W takich chwilach Hernando kurczył się na krześle, ścisnęło go w żołądku z przerażenia i wyobrażał sobie, że strażnicy i inkwizytorzy zaraz rzucą się na niego. Tak mogłoby się zdarzyć i nikt nie miałby pretensji do Karima, że ugiął się po tych mękach i wydał go jako współnika. Duma, poczucie winy, strach — uczucia targały Hernandem na zmianę, przy każdym pytaniu, szarpnięciu sznurem, krzyku...

Zaraz po powrocie do domu dowiedział się od młodzieńca przysłanego przez Dżalila, co stało się z Hamidem. Fatima i Aisza płakały skulone na podłodze przy ścianie, tuląc do siebie dzieci.

To było ponad jego siły!

— Ten zabity ciastkarz — spytał Hernando urywanym głosem — nazywał się Cristóbal Escandalet?

— Tak — odparł młodzieniec.

Hernando potrząsnął głową. Czyżby Hamid nie powiedział Abbasowi?

— To był szpieg i zdrajca — oznajmił, zwracając się do młodego moryska. — Doniósł na Karima inkwizycji. Niech wszyscy nasi bracia się dowiedzą, dlaczego fakih to zrobił. Osądził Cristóbala Escandaleta, wydał wyrok i sam go wykonał. Powiadomcie o tym rodzinę ciastkarza!

Zapłakał dopiero wtedy, gdy zamknął się w swoim pokoju, gotów podjąć post i modlitwy. Kto teraz zajmie izdebkę na parterze? Kto skłoni się przed znakiem na ścianie określającym *kibla*? Hamid cieszył się jak dziecko, kiedy wyrzył ten znak, rozsadzała go duma, wręcz oczekiwał uznania. Hamid, który nauczył go wszystkiego i od którego wziął swoje imię: Hamid Ibn Hamid, syn Hamida!

Łza zmała mu wzrok, oddalając go od rzeczywistości. Żalony krzyk wstrząsnął uśpioną o tej porze dzielnicą Santa María:

— Ojczy!



Strażnicy wprowadzili Karima, wlokąc go pod pachami. Głowa zwisała mu bezwładnie, zniekształcone torturami stopy ślizgały się z tyłu po ziemi, jakby ktoś przez pomyłkę doczepił je do kostek, by należycie zaprezentował się inkwizytorom.

Próbowali postawić go prosto przed magistrem Portillą, kat szarpnął za resztkę włosów, by pokazać jego twarz. Inkwizytor mlasnął językiem i śmiejąc się, machnął ręką.

Hernando patrzył na podsiniaczone, opuchnięte oczy starca, błędzące spojrzeniem gdzieś w dali, poza murami lochów; pewnie widziały śmierć, a może raj. Kto zasługiwał na raj bardziej niż ten dobry wierzący? Nagle poruszyły się spierzchnięte wargi Karima.

— Cisza! — wrzasnął inkwizytor.

Karim wydawał niezrozumiałe dźwięki: majaczył po arabsku.

— Co on mówi?! — krzyknął inkwizytor do Hernanda.

Morysk wyteżył słuch, świadom, że magister Portilla go obserwuje.

— Wzywa swoją żonę. — Wydawało mu się, że usłyszał „Amina”, na szczęście zreflektował się i powiedział: — Ma na imię Ana.

Karim nie przestawał bełkotać.

— Wciąż wzywa swoją żonę? — upewniał się podejrzliwie inkwizytor.

— Mówi wierszem — wyjaśnił Hernando. Miał wrażenie, że słyszy jeden z wierszy wyrytych na kamiennej ścianie Alhambry w Grenadzie. — Podobna do małżonki... która ukazuje się mężowi w całej swojej krasie — wyrecytował.

— Zapytaj go o współników. Może teraz się dowiemy...

— Kim byli twoi współnicy? — posłusznie wykonał polecenie Hernando, nie mogąc oderwać oczu od starca.

— Po arabsku, głupcze!

— Kim...? — zaczął tłumaczyć, lecz nagle się zreflektował, że w tych lochach oprócz Karima nikt nie rozumie arabskiego: — Bóg uczynił sprawiedliwość — oznajmił mu po arabsku. — Zdrajca naszego ludu skończył z obciętą głową, jak nakazuje nasze prawo. Dokonał tego Hamid z Juviles. Nasz święty fakih czeka na ciebie w raju.

Portilla przeniósł wzrok na moryska zdziwiony długością tłumaczenia. W tym momencie ledwie dostrzegalny błysk pojawił się w oczach starca, a wargi wykrzywił grymas, który miał być uśmiechem. Karim wyzionął ducha.

— Zostanie spalony *in effigie* podczas najbliższego autoda-

fe — zawyrokował inkwizytor, po tym jak medyk zbadał Karima i poświadczył to, co już wszyscy wiedzieli. — Co mu powiedzia-  
łeś? — zapytał Hernanda.

— Że mógłby być dobrym chrześcijaninem — oświadczył  
morysk bez zmrużenia powiek, pewny siebie. — Że gdy wyzna to,  
co chcecie usłyszeć i pojedna się z Kościołem, Pan Jezus mu  
przebaczy, a jego dusza dostąpi zbawienia wiecznego...

Magister w zamyśleniu podniósł do góry dłonie i potarł brodę.

— Dobrze zrobiłeś — uznał na koniec.

*Kordoba, 1581*

Piętnastego kwietnia 1581 roku portugalskie Kortezy zgromadzone w mieście Tomar zaprzysiężyły na króla Portugalii Filipa II Hiszpańskiego. Tym samym Półwysep Iberyjski znalazł się pod jedną Koroną, a Król Przewrotny\* kontrolował całe jego terytorium oraz handel z Nowym Światem podzielonym między Hiszpanię i Portugalię na mocy traktatu z Tordesillas.

Właśnie w Portugalii po raz pierwszy powstał pomysł masowej zagłady hiszpańskich morysków. Król, hrabia de Chinchón i zrehabilitowany diuk de Alba, któremu charakter nie złagodniał nawet na starość, rozważali możliwość zaokrętowania wszystkich morysków na statki płynące ku wybrzeżom afrykańskim i spowodowania katastrofy morskiej, aby poszły na dno wraz ze swoimi pasażerami.

Na szczęście, a może dlatego, że armada miała co innego do roboty, ten zamiar nigdy nie doszedł do skutku.

Jednakże w sierpniu tego samego roku król podjął w Portugalii inną decyzję, która bezpośrednio dotknęła Hernanda. Letnia susza poczyniła wielkie zniszczenia w okolicach Kordoby: klacze straciły pastwiska, a ponieważ zboże podrożało, zabrakło pieniędzy na paszę. Żniwa były tak kiepskie, że nawet biskup Kordoby musiał sprowadzać pszenicę spoza granic Hiszpanii. W tej sytuacji król

---

\* Przydomek Filipa II.

napisał do koniuszego don Diega Lópeza de Haro i do hrabiego de Olivares, nakazując przenieść stadninę do Sewilli na pastwiska królewskie w Lomo del Grullo podlegające jurysdykcji hrabiego.

Minął już ponad rok, odkąd Karim zginął z rąk kata inkwizycji, a Hamid utonął w wodach Gwadalkiwiru, pomściwszy się na zdrajcy społeczności morysków. Hernando spędził ten rok na nieustannej pokucie, gdyż każde wspomnienie uporczywego milczenia Karima pomimo tortur w podziemiach alkazaru królów chrześcijańskich budziło w nim poczucie winy, którą pragnął odpokutować postem i modlitwą.

— I tak by umarł — przekonywała go Fatima, zatroskana o męża: schudł, słaniał się z wycieńczenia, a sińce pod oczami przyćmiły ich intensywny błękit. — Przecież nawet gdyby zeznał, jak chcieli, nigdy nie pojednałby się z Kościołem i skończyłby na stosie.

— Może tak... — odparł zamyślony Hernando — a może nie. Nie możemy tego wiedzieć. Jediną rzeczą pewną... jedyne, co wiem, ponieważ byłem tego świadkiem... jest to, że odszedł w bólu i wycierpiął okrutne męki, by zachować w sekrecie moje imię.

— Nie tylko twoje, Hernando! Karim nie chciał obciążyć nikogo spośród wierzących w jedyne Boga. Nie bierz na siebie całej odpowiedzialności.

Morysk jednak nie słuchał słów żony.

— Daj mu trochę czasu — radziła Aisza, pocieszając płaczącą Fatimę.



Don Diego polecił Hernandowi pojechać ze stadniną do Sewilli i zostać tam, aż nadejdzie czas powrotu do Kordoby. Fatima i Aisza przyjęły tę wiadomość z radością, mając nadzieję, że podróż i czas spędzony w Sewilli oderwie go od smutnych myśli, bo tutaj nic mu nie pomagało, nawet codzienne spacerowanie z Aziratem.

W początkach września około czterystu klaczy, jednorocznych ogierków i źrebiąt urodzonych tej wiosny wyruszyło w kierunku żyznych pastwisk na podmokłych terenach dolnego Gwadalkiwiru. Z Kordoby do Lomo del Grullo było jakieś trzydzieści mil drogą z Écija i Carmony do Sewilli, skąd po przejściu przez rzekę należało udać się do Villamanrique, miejscowości położonej obok królewskich rewirów łowieckich. W normalnych okolicznościach taka podróż trwałaby od czterech do pięciu dni, ale Hernando i reszta jeźdźców szybko zrozumieli, że zajmie im drugie tyle. Don Diego zatrudnił dodatkowy personel do pomocy koniuchom, którzy doglądali stada i starali się je utrzymać w zwartym szyku, co nie było łatwe, ponieważ konie zachowywały się inaczej niż owce przyzwyczajone do wędrówek w wielkich stadach i pokonywania dużych odległości na ciągnącym się w pobliżu szlaku redykowym Mesta. Do kontyngentu ludzi i koni dołączyła grupa kordobańskich szlachciców pragnących zadowolić króla, traktujących tę wyprawę jak pielgrzymkę, lecz w gruncie rzeczy tylko zawadzali jeźdźcom i koniuchom.

Zgodnie z przewidywaniami Fatimy i Aiszy Hernando zapomniał o wszystkich troskach, galopując tam i z powrotem na Aziracie w poszukiwaniu zabłąkanych klaczy i źrebaków, które odłączyły się od stada, albo gdy trzeba było przeprowadzić zwierzęta wąskim przejściem z przeszkodami. Jaskrawoczerwona maść Azirata wszędzie rzucała się w oczy, a jego zwinność, wolty i dumne ruchy budziły podziw podróżników.

— Co to za koń? — spytał swych towarzyszy tłusty szlachcic rozwalony na dużym skórzanym siodle ze srebrnymi zdobieniami. Jechali w pewnej odległości od stada, by uniknąć tumanów kurzu wzniesianych przez końskie kopyta na suchej drodze.

Hernando dopiero co zapobiegł ucieczce źrebaka, goniąc za nim, wyprzedzając i zawracając na Aziracie, który zapał się tylnymi nogami naprzeciwko urwisa i nie czyniąc mu krzywdy, przymusił do powrotu do stada.

— Sądząc po maści, musi to być odrzutek ze stadniny królewskiej — pochwalił się swoją wiedzą jeden z zapytanych. — Wielka

szkoda — uznał zafascynowany wyczynem konia i jeźdźca. — Pewnie to jeden z koni, które Diego rozdaje pracownikom zamiast pensji.

— A jeździec? — zapytał tłuszcioch.

— To morysk — wtrącił trzeci. — Słyszałem, że Diego wysoko ceni jego umiejętności i niewątpliwie...

— Morysk... — powtórzył tłusty szlachcic, puszczając mimo uszu resztę informacji.

Trzej mężczyźni obserwowali teraz Hernanda cwałującego na czoło stada. Kiedy ich mijał, hrabia de Espiel wyprostował się w srebrnych strzemionach luksusowego siodła i zmarszczył czoło. Gdzie on już widział tę twarz?

Król wydał rozkazy, na mocy których ludzie i naczelnicy wiosek napotykanych po drodze świadczyli im wszelką pomoc, niemniej pod koniec każdego dnia jeźdźcy musieli znaleźć miejsce na postój i wypas dla tak dużego stada koni albo postarać się o paszę, jeśli łąka była za mała. Szlachta w tym czasie szukała dla siebie wygod w sąsiednich wioskach.

Wieczorem Hernando padał z nóg; ledwie oporządził Azirata, zjadł zupę z kotła, którą kucharz gotował na ogniu pod gołym niebem, i porozmawiał chwilę z koniuchami. Jedynie podczas nocnej warty na otwartych pastwiskach, gdzie i konie, i ludzie czuli się niezbyt pewnie, miał czas na rozpamiętywanie wydarzeń z ostatniego roku.

Chwile spędzane tylko z Aziratem przywracały mu powoli spokój ducha. W ciszy zakłócanej jedynie sapaniem zwierząt objeżdżał teren na swoim koniu, cmokając od czasu do czasu, jeśli jakiś wierzchowiec we śnie próbował oddalić się od stada. Jakże inne były te noce od hałaśliwych dni z pół tysiącem zwierząt na drodze! Rzenie, porykiwania, wierzgnięcia, ugryzienia, chmury kurzu ograniczające widoczność do kilku kroków. Nocą mógł podziwiać bezmiar rozgwieźdzonego nieba; gwiazdy błyszczały tu inaczej niż w Kordobie, gdy oglądał je z okien swojego domu przy ciasno zabudowanej ulicy. Tutaj, podczas samotnych dyżurów, czuł się tak jak w Alpuharze. Hamid! Poświęcił dla nich życie.



Hernando poklepał Azirata po szyi, potrzebując kontaktu z żywą istotą, albowiem żal ścisnął go za gardło na wspomnienie starego fakiha. Myślał też o Karimie, ale tym razem pozwalał sobie na rozpamiętywanie bolesnych scen, które rozegrały się na jego oczach w lochach inkwizycji. Już nie uciekał w post i modlitwy, aby oddalić od siebie te wspomnienia. Odczuwał na własnym ciele ból przeszywający starca, wracał jednak pamięcią raz po raz do tych dni spędzonych w lochach, gdzie torturowano Karima... oraz jego. Znowu miał przed oczami zakrwawioną twarz starca, straszliwy wysiłek, by nie ulec i nie dać satysfakcji oprawcom, poszarpane na strzępy ciało, słyszał stłumione jęki, a wszystko to było takie wyraźne i ostre, że Hernando zwijał się z bólu na Aziracie. Nawet pod osłoną nocy w bezkresnej Andaluzji nie miał dokąd uciec od tych wspomnień, więc powoli uczył się żyć ze swoim bólem i stawiać czoło cierpieniom.

Spojrzał w niebo na księżyc, który bawił się nadawaniem kształtu niewyraźnym bryłom, zobaczył spadające gwiazdy, najpierw jedną, potem drugą... i następne, jakby Hamid i Karim dawali mu znaki, mówili do niego z raju.



Brahim widział te same spadające gwiazdy, ale odebrał to zjawisko zupełnie inaczej niż Hernando. Minęło siedem lat, odkąd nabył i wyekwipował swoje pierwsze korsarskie galery *fusta*. Przez cztery sezony osobiście dowodził napadami na wybrzeże, kilka razy cudem wywinął się z zasadzki oddziałom milicji miejskiej, aż wreszcie postanowił oddać dowodzenie Nasimu, który wyrósł na młodzieńca silnego i okrutnego jak jego pan. Sam zajął się inwestowaniem pieniędzy w interesy, które prowadził żelazną ręką, i gromadzeniem majątku.

Przeniósł się razem z Nasim do pałacyku w medynie Tetuanu, gdzie płał się w luksusie otoczony kobietami. Zawarł korzystny sojusz z szejkiem Tetuanu, biorąc za żonę jego córkę, która wkrótce urodziła mu dwie dziewczynki. Przy ustalaniu warunków małżeństwa nie przyznał się rodzinie narzeczonej, że ma już jedną żonę;

zostawił ją w Hiszpanii, lecz ona prędzej czy później do niego przybędzie, żeby zająć należne jej miejsce.

W miarę jak były mulnik z Alpuhary zdobywał bogactwo, prestiż i szacunek, coraz bardziej dręczyła go myśl o upokorzeniu doznanym w Kordobie. Choćby nie chciał, kikut prawej ręki przypominał mu o tym, zwłaszcza w upalne noce afrykańskiego lata, kiedy budził się zlany potem z uczuciem bolesnego klucia w nieistniejącej dłoni. Potem nie mógł już zasnąć aż do świtu. Im bardziej rósł w potęgę, tym bardziej był zdesperowany. Co mu po niewolnikach, jeśli nie potrafi zapomnieć niewoli, jaką sam wycierpiał w Kordobie? Po co bajeczny majątek, skoro odebrano mu żonę, której nie umiał zapewnić należytego utrzymania? Ilekroć karał za kradzież członka swojej załogi, skazując go na obcięcie dłoni, zawsze widział samego siebie w otoczeniu banitów z Sierra Morena, którzy unieruchomili mu ramię przed zadaniem ciosu, tak samo jak on kazał czynić to teraz.

Opływał we wszelkie wygody, żył bez zmartwień, więc tym bardziej popadał w obsesję na punkcie przeszłości. Każdego chrześcijańskiego niewolnika i moryskiego uciekiniera wypytywał o sytuację w Kordobie, o banitę z Sierra Morena zwanego Jednorękim, o Hernanda, moryska z Juviles, nazywanego nazarejczykiem, który mieszkał w Kordobie, o Aiszę i Fatimę. Zwłaszcza o tę ostatnią, gdyż jej przecudne czarne oczy w migdałowej oprawie wciąż go prześladowały, podsycając chorobliwe pożądanie. Wkrótce wszyscy wiedzieli, że ten bogaty korsarz sownie wynagradza każdą wiadomość o pewnych osobach i prześcigano się w zdobywaniu informacji na ten temat. W ten sposób Brahim dowiedział się, że Sobahet nie żyje, a Ubajd zajął jego miejsce.



— Znacie Kordobę?

Brahim zadał to pytanie w dialekcie *aljamiado*, przerywając kurtuazyjne powitania dwóm kapucynom przybyłym z misją odkupienia niewolników. Nie bawiły go takie formalności.

Braciszkwowie z głowami wygolonymi w tonsurę, w habitach

z krzyżem na piersi popatrzyli po sobie skonsternowani. Znajdowali się we wspaniałej sali przyjęć pałacu Brahima w medynie. Oni stali, a gospodarz leżał na jedwabnych poduszkach z młodym Nasimem u boku.

— Tak, Ekscelencjo — odparł brat Silvestre. — Spędziłem kilka lat w kordobańskim klasztorze.

Brahim uśmiechnął się z nieskrywaną satysfakcją i wskazał mnichom miejsce obok siebie, poklepując nerwowo poduszki. Jednocześnie polecił wezwać niewolnika, który będzie im usługiwał. Brat Enrique wymienił porozumiewawcze spojrzenie ze swym towarzyszem — dobrze się składa, że potężny korsarz z Tetuanu jest im tak przychylny, gdyż pozyskując jego względy, utargują na wykupie chrześcijan. Kapucyni zajmowali się bowiem ratowaniem niewolników przetrzymywanych w Tetuanie, a karmelici prowadzili podobną działalność w Algierze. Brat Silvestre i brat Enrique złożyli już stosowną wizytę w Sidi al-Mandri, rezydencji gubernatora. Był to przymusowy etap ich misji: po uiszczeniu opłaty za wyjście na brzeg, obrzucani zniewagami i przekleństwami przez miejscowych ludzi, udawali się najpierw do gubernatora okręgu, by uwolnić należących do niego jeńców. Człowiek ten jak zwykle zламаł skomplikowane, wynegocjowane z wielkim trudem warunki umowy zapewniającej bezpieczeństwo i swobodę działania mnichów redemptorystów, żądając wyższej ceny za głowę, a na dodatek zgłosił do wykupu większą liczbę niewolników, niż się spodziewali. Toteż spotkanie dobrze usposobionego szejka, który zaproponował im miejsce na poduszkach obok siebie, zaoferował potrawy i napoje roznoszone przez całą armię czarnych niewolników, było dla mnichów nie lada gratką. Mieli pieniądze, sporo pieniędzy ze zbiórek przeprowadzanych wśród rodzin jeńców, z jałmużny uźbranej w każdym królestwie, a zwłaszcza z zapisów testamentowych, które sporządzali pobożni chrześcijanie. Prawie siedemdziesiąt procent testamentów hiszpańskich zawierało legat na wybawienie dusz z pogańskiej niewoli! A jednak żadne pieniądze świata nie starczyłyby na wykup tysięcy chrześcijan stłoczonych w podziemiach Tetuanu. W mieście wybudowanym na wapiennym

podłożu istniały obok kazby olbrzymie podziemne korytarze, gdzie przetrzymywano tysiące chrześcijańskich jeńców.

Braciszkwowie odwiedzili te lochy i o mało nie postradali zmysłów na widok panujących w nich warunków. Cuchnęło straszliwie, tysiące nagich, chorych i wychudzonych mężczyzn tłoczyło się w podziemiach, gdzie światło i powietrze wpadało jedynie przez zakratowane otwory wychodzące na ulicę. Zakuci w kajdany, przywiązani łańcuchami albo z nogami w żelaznych okowach uniemożliwiających ruchy chrześcijanie czekali na wyzwolenie lub śmierć.

— No, co tam w Kordobie? Opowiadajcie. — Zachęcił Brahim mnichów, którzy byli jeszcze pod wrażeniem okrutnego cierpienia zniewolonych rodaków.

Okazało się, że brat Silvestre zna Hernanda, moryska ze stajni królewskich don Diega. Widywał go w Kordobie na niedzielnych konnych spacerach z dwójką dzieci na wspaniałym kasztanku. Zakonnik wiedział, że morysk świadczy jakieś usługi kapitule katedralnej, ale nie doszły go słuchy o jego rodzinie. Oczywiście słyszał też o krwawym banie Jednorękim — kapucyn z wysiłkiem odwrócił wzrok od kikuta Brahima — który po śmierci Sobaheta rządził w Sierra Morena. Żaden z braciszków nie śmiał zapytać, dlaczego korsarz interesuje się tymi akurat osobami. I tak, popijając napój cytrynowy, racząc się daktylami i innymi smakołykami, porozmawiali o Kordobie, a kiedy przeszli do zasadniczego tematu wizyty, Brahim powierzył Nasiemu negocjacje w sprawie niewolników, sam zaś zniknął ku wielkiemu rozczarowaniu gości.



Z czasem Brahim zgromadził niezbędne informacje, jednakże Kordoba leżała zbyt daleko od wybrzeża (ponad trzydzieści mil drogi uczęszczanymi szlakami), by korsarze ryzykowali taki wypad, jakkolwiek coraz śmielej zapuszczali się w głąb łądu. Mogliby nawet dotrzeć do dawnego miasta kalifów, ale co dalej?

A jednak teraz Brahim obserwował te same spadające gwiazdy, które Hernandowi przebywającemu nieopodal Carmony wydawały

się niebiańskim przestaniem od drogich mu zmarłych osób. Korsarzowi udało się rozwiązać, nie bez ryzyka, problemy utrudniające zemstę. Ułatwili mu to piękna doña Catalina i mały Daniel — żona i syn don Joségo de Guzmán, markiza de Casabermeja, bogatego ziemianina z Malagi — którzy, podróżując z niewielką eskortą, wpadli w ręce ludzi Brahima w okolicach Marbelli.

Doña Catalina i jej syn Daniel stanowili niezwykle cenną zdobycz, toteż korsarz od razu przyjął ich w swoim pałacu, otoczył względami i czekał na przybycie wystanników markiza. Los jeńców o szlacheckim pochodzeniu nie zależał od misji zakonnych. Nie trzeba było długo zabiegać najpierw o fundusze, a potem o pozwolenie na działanie nie tylko u gubernatora Tetuanu, lecz również u króla Filipa, gdyż monarcha niechętnym okiem patrzył na przepływ kapitału w ręce jego muzułmańskich wrogów, choć koniec końców zawsze się na to godził. W wypadku jeńców szlachetnie urodzonych negocjacje w sprawie uwolnienia rozpoczynały się zaraz po otrzymaniu przez rodzinę wiadomości, gdzie ich szukać. Sami korsarze o to zabiegali.

Doña Catalina i jej synek nie byli pod tym względem wyjątkiem, toteż wkrótce u Brahima pojawił się Samuel, bogaty kupiec żydowski z Tetuanu, z którym korsarz ubił już sporo interesów przy sprzedaży towarów z zarekwirowanych statków chrześcijańskich.

— Nie chcę pieniędzy — przerwał Brahim pierwsze słowa negocjacji wypowiedziane przez Żyda. — Chcę, żeby markiz pomógł mi odzyskać rodzinę i ułatwił zemstę na dwóch moryskach z Alpuhary.



Ostatnia spadająca gwiazda poszybowała po czystym, kordobańskim niebie, Brahim uśmiechnął się na wspomnienie konsternacji Samuela, kiedy przedstawił mu warunki uwolnienia żony i synka markiza.

— W przeciwnym razie zabiję matkę i dziecko — oświadczył, uznając rozmowę za zakończoną.

Brahim patrzył na niebo z balkonu w zajeździe Montón de la Tierra, ostatnim przy drodze Ventas, jadąc z Toledo, zaledwie o milę od Kordoby. Osiem lat temu szedł tędy z Aiszą i Szamirem do Sobaheta, żeby zaproponować mu swe usługi, co zakończyło się utratą prawej dłoni. „Gdyby nie Ubajd!” — wycodził przez zęby. Pogłaskał rękojeść sztyletu u pasa; nauczył się walczyć lewą ręką. W torbie miał dokument z podpisem sekretarza markiza, który zagwarantował mu swobodę ruchów w Andaluzji. Przy drzwiach stał lokaj, żeby nikt nie przeszkadzał korsarzowi oczekującemu na rozwój wypadków. Z balkonu widać było nie tylko niebo, ale też kwadratowe patio oświetlone pochodniami przymocowanymi do murów, kuchnię i jadalnię, bróg siana, pokoje właściciela zajazdu i jego rodziny oraz stajnię. Grupka żołnierzy zwerbowanych przez markiza włóczyła się po patio dla zabicia czasu, czekając na rozwój wydarzeń tak samo niespokojnie jak on. Karczmarzowi sporo zapłacono za milczenie i zakazano przyjmować tego dnia innych podróżnych.

Brahim ponownie spojrzął w niebo. Od lat o tym marzył. Postukał parę razy w drewnianą poręcz balkonu lewą pięścią — żołnierze podnieśli głowy.

Nasi próbował wyperswadować mu to przed czterema dniami, zanim wylądowali u wybrzeży Malagi.

— Po co jedziesz do Kordoby? Markiz dostarczy ci ich wszystkich na miejsce, nawet Ubajda. Przyprowdzi go na łańcuchu jak psa. Nie musisz ryzykować...

— Chcę widzieć to wszystko na własne oczy — odpowiedział Brahim.

Markiz też tego nie rozumiał. Młody, dumny szlachcic zażądał gwarancji, że korsarz dotrzyma słowa, gdy on wypełni swoją część umowy. Ku swemu zdziwieniu otrzymał tę gwarancję w postaci samego Brahima.

— Jeśli nie wrócę — pogroził mu morysk — twoja żona i dziecko zginą w straszliwych mękach.

Wcześniej ustalił z Nasim parę rzeczy.

— W razie gdybym nie wrócił, żona i córki dziedziczą po

mnie zgodnie z prawem, natomiast interes przechodzi na ciebie — powiedział, żegnając się ze swoim młodym pomocnikiem.

Wiedział, że ryzykuje głowę, jeśli coś się nie uda... ale musiał być przy tym, widzieć reakcję Fatimy i nazarejczyka, spojrzeć Ubajdowi w oczy — inaczej zemsta nie będzie słodka.



Z rana siedmiu najwierniejszych, wypróbowanych w boju ludzi markiza de Casabermeja skierowało się ku bramie Almodóvar w zachodniej pierzei muru otaczającego Kordobę. Poprzedniego dnia sprawdzili wiarygodność informacji o usytuowaniu domu Hernanda. Jego samego nie widzieli, ale paru starych chrześcijan gotowych zawsze i wszędzie mówić źle o moryskach potwierdziło, że rzeczywiście mieszka tam taki jeden, co to pracuje jako ujeżdżacz koni w stajniach królewskich. Opłacony zawczasu strażnik uchylił bramę Almodóvar. Markiz i dwóch lokajów w maskach na twarzy oraz siedmiu żołnierzy weszli do Kordoby. Na zewnątrz murów czekało w ukryciu dwóch mężczyzn z gotowymi do drogi końmi. Dziesięcioosobowa grupa maszerowała w milczeniu pustą ulicą Almanzor do Barberos, gdzie jeden z mężczyzn stanął na warcie. Markiz z zamaskowaną twarzą przeżegnał się przed obrazem Matki Boskiej Bolesnej na fasadzie ostatniego domu przy tej ulicy i polecił zgasić stojące przed obrazem świece, jedyne źródło światła w tej okolicy. Rozkaz wykonali lokaje, a reszta grupy podeszła do domu Hernanda. Ciężkie, drewniane drzwi wyjściowe były zamknięte. Jeden z mężczyzn poszedł dalej do skrzyżowania Barberos z ulicą San Bartolomé, skąd zagwizdał na znak, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. O tej porze wszyscy jeszcze spali w tej dzielnicy.

— Naprzód! — rozkazał szlachcic, nie przejmując się zbytnio, że ktoś go usłyszy.

W świetle księżyca, które z trudem przedzierało się w wąskich zaułkach muzułmańskiej Kordoby, jeden z ludzi markiza zdjął pelerynę i przy pomocy dwóch towarzyszy z zadziwiającą zręcz-

nością wdrapał się po murze na balkon na drugim piętrze. Stamtąd zrzucił im sznur i ci dwaj wkrótce dołączyli do niego.

Szlachcic wciąż nie pokazywał twarzy, wydając komendy ludziom, którzy chwycili za broń gotowi zaatakować w każdej chwili.

— Teraz!

Dwa silne kopnięcia w drewnianą okiennicę odbiły się głośnym echem na ulicach medyny. Ktoś krzyknął wewnątrz domu. Trzej mężczyźni na balkonie wyłamali okiennicę i wtargnęli do sypialni Fatimy. Ci na dole niecierpliwie czekali pod zamkniętymi drzwiami. Markiz stał z boku nieruchomo, z twarzą zwróconą w inną stronę. Krzyki, bieżanina mężczyzn i kobiet, płacz dzieci, trzask spadających na ulicę doniczek z kwiatami poprzedziły otwarcie drzwi wejściowych. Mężczyźni z dołu wtargnęli do środka z obnażonymi rapierami, unosząc je do góry w ciasnej sieni.

W sąsiednich domach zaczął się ruch. Na jednym z balkonów błysnęło światło latarni.

— W imieniu Jednorękiego z Sierra Morena — zawołał człowiek markiza trzymający wartę na ulicy — nakazuję wam zgasić światła i nie wychodzić z domu!

— W imieniu Ubajda, morska banity! Zamknijcie drzwi i okna, a nie zrobimy wam nic złego — rozkazywał drugi, przebiegając ulicą w górę i w dół.

Markiz de Casabermeja czekał spokojnie pod domem. Po chwili wyszli jego ludzie, wlokąc Aiszę i Fatimę, obie bose, wyciągnięte z łóżka w nocnych koszulach. Pod pachami nieśli trójkę wierzgających, zapłakanych dzieci.

— Nie było morska — poinformował markiza jeden z mężczyzn.

— Czego chcecie?! — zawołała Fatima.

Mężczyzna jedną ręką chwycił ją mocniej za ramię, a drugą uderzył w twarz. Ten, który trzymał Aiszę, zatkał jej usta, żeby nie krzyczała. Prerażona Fatima rzuciła ostatnie spojrzenie na swój dom. Szarpnęła się, żeby podejść do płaczących dzieci. Dwaj mężczyźni posadzili sobie na ramiona Inés i Francisca. Trzeci



ciągnął za rękę Szamira, który usiłował się wyrwać, kpiąc go w łydkę. Co z nimi będzie? Na próżno Fatima walczyła z porywaczem. Trzymał ją mocno, dopóki się nie poddała. Wtedy z jej gardła wydarł się chrapliwy okrzyk gniewu i bólu, szybko zduszony twardą, męską dłońią. Ibn Hamidzie! — szepnęła resztką sił z twarzą zalaną łzami. — Ibn Hamidzie...

— Idziemy! — rozkazał markiz.

Ruszyli z powrotem tą samą drogą do bramy Almodóvar z trojgiem dzieci i dwiema kobietami.

Wkrótce byli przy koniach. Przerzucili kobiety przez grzbiet jak worek, dzieci usadzili przed sobą i odjechali. W tym czasie na ulicy Barberos sąsiedzi tłoczyli się przed otwartym na oścież domem Hernanda, zastanawiając się, czy wejść do środka. Markiz i jego ludzie zdążyli do zajazdu Montón de la Tierra.



Porwanie tej rodziny było tylko częścią umowy z Żydem Samuelem. Brahim musi mieć jeszcze u swych stóp banitę z Sierra Morena zwanego Jednorekim, myślał markiz w drodze do zajazdu, bardzo niezadowolony z nieobecności Hernanda.

Łatwo było napaść na dom moryska w Kordobie. Wystarczyło mieć grupę zaufanych, bitnych ludzi i garść złotych eskudów dla odpowiednich osób. Wiadomo, że nikt nie ujmie się za Maurami. Co innego porwanie banity. Trzeba było wytropić go w górach, podejść jak najbliżej i wydać walkę jego ludziom, żeby go schwycić. Zaczęło się to kilka dni temu, kiedy trafili na ślad Jednorekiego. Markiz zawiadomił Brahima, a ten czym prędzej przybył do Kordoby. Wszystko musiało być zgrane, gdyż korsarz nie zamierzał pozostać na ziemi hiszpańskiej dłużej niż kilka dni, a także markiz wolał nie ryzykować, że ich zatrzymają.

Do pojmania banity wynajął oddział walenckich rozbójników pod dowództwem szlachcica niższego rangą i uboższego niż on. Posiadłość tego szlachcica graniczyła z ogromnym majątkiem ziemskim markiza w królestwie Walencji. Nie był to jedyny hidalgo współpracujący z rozbójnikami. Szlachta chroniona przywilejami

miała na swoje usługi armie płatnych zbirów, posługiwała się nimi zarówno w celach zwykłej grabieży, jak i dla rozstrzygnięcia na swoją korzyść sporów, które na drodze sądowej wlokłyby się w nieskończoność i pochłonęłyby dużo pieniędzy.

Baron de Solans, z którym zarządca majątku markiza w Walencji miał dobre stosunki, utrzymywał oddział złożony z pięćdziesięciu rozbójników stacjonujący w murach zamku i z radością przyjął propozycję zlikwidowania bandy morysków za odpowiednią opłatą. Jednorękiego należało dostarczyć żywego do zajazdu Montón de la Tierra, a pozostałych zabić, ponieważ markiz nie życzył sobie świadków. Baron oszukał banitów z Sierra Morena, wysyłając do Ubajda wiadomość, że pragnie z nim zawrzeć sojusz, gdyż potrzebuje dobrego znawcy górskich szlaków do większych akcji w bogatym rejonie Toledo. Umówili się na spotkanie w górach, gdzie rozegrała się nierówna bitwa: pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych przestępców przeciwko Ubajdowi i kilkunastu zbiegłym niewolnikom.



Brahim wybiegł na balkon, wyczuwając poruszenie wśród ludzi czekających na patio. Zdażył zobaczyć, jak karczmarz otwiera bramę i wpuszcza do środka grupę jeźdźców. Zaciśnął palce lewej ręki na drewnianej poręczy, gdy w migoczącym świetle pochodni dostrzegł wśród cieni sylwetki dwóch kobiet. Mężczyźni zrzucili je z koni na ziemię, gdy tylko wrota zamknęły się za nimi.

Aisza i Fatima usiłowały wstać. Pierwsza oparła się o konia, ale zwierzę poruszyło się niespokojnie i z powrotem upadła. Fatima niezdarnie przesuwiała się na czworakach między jeźdźcami i zwierzętami, wypatrując dzieci, których płacz słyszała wyraźnie pomimo panującego harmideru. Brahim szybciej zobaczył dzieci z góry, ale... Wyteżył wzrok i wychylił się jeszcze bardziej z balkonu.

— Gdzie nazarejczyk?! — wrzasnął. — Gdzie ten sukinsyn?!

Aisza chwyciła się za głowę i runęła pomiędzy konie. Z jej piersi wydarł się krzyk głośniejszy niż stukot kopyt, parskanie zwierząt i wrzaski jeźdźców.

Fatima wyprostowała się i roztrzęsiona, z napiętymi mięśniami w całym ciele, powoli obracała głowę, jakby chciała odsunąć moment zidentyfikowania głosu, który wciąż jeszcze rozbrzmiewał w jej uszach. Podniosła wielkie czarne oczy na balkon. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Brahim się uśmiechnął. Instynktownie przykryła dłonią piersi, nagle poczuła się naga, nocna koszula nie osłaniała jej dostatecznie. Znajdujący się w pobliżu mężczyźni parsknęli śmiechem i zaczęli zsiadać z koni.

— Przykryj się, suko! — krzyknął korsarz. — A wy — dodał, zwracając się do mężczyzn, którzy dopiero teraz zauważyli nagość kobiet — zdejmijcie wasze brudne spojrzenia z mojej żony! — Fatimie zachciało się płakać na dźwięk słów „moja żona”! — Gdzie nazarejczyk, markizie?

Szlachcic wciąż nie odsłaniał twarzy, w drgającym świetle pochodni widać było tylko fałdy jego kaptura. Nic nie powiedział, zamiast niego odezwał się jeden z lokajów.

— Nikogo więcej nie zastaliśmy w domu.

— Umowa była inna! — ryknął korsarz.

Przez kilka chwil rozbrzmiewał tylko płacz dzieci.

— W takim razie rozwiązuję umowę — odparł wyzywająco szlachcic.

Brahim nie wiedział, co powiedzieć. Spojrzał na Fatimę, która stała skulona, z opuszczoną głową, usiłując zakryć ramionami swoją nagość, i dreszcz rozkoszy przeszedł mu po plecach. Potem odwrócił się do szlachcica, gdyż uświadomił sobie, że rozwiązanie umowy oznaczałoby dla niego wyrok śmierci.

— Gdzie Jednoręki? — zapytał, dając do zrozumienia, że godzi się z nieobecnością Hernanda.

W tym samym momencie, jak na zawołanie, ktoś poruszył kołatką u starej drewnianej bramy zajazdu. Zarządca markiza wydał jasne instrukcje: „Macie czekać, ukryjcie się gdzieś w pobliżu. Dopiero gdy zobaczycie, że mój pan wchodzi na teren zajazdu, wtedy wprowadzicie pojmanego banitę”.

Najpierw pojawił się na patio baron, a za nim jego ludzie, którzy wlekli Ubajda z rękami związanymi powyżej łokci. Stary,

lecz krzepki i zwinny walencki szlachcic poszukał wzrokiem markiza de Casabermeja i bez wahania zwrócił się do zamaskowanej postaci na koniu.

— Oddaję go wam, markizie — powiedział i nie odwracając się, sięgnął ręką do tyłu, złapał Ubajda za włosy i rzucił go na ziemię obok konia.

— Jestem wam wdzięczny, panie — odrzekł de Casabermeja.

Podczas gdy markiz mówił, jeden z lokajów zszedł z konia i podał sakiewkę baronowi, który rozwiązał sznurek, otworzył miśzek i zaczął liczyć złote eskudy stanowiące resztę wypłaty.

— Cała wdzięczność po mojej stronie, Ekszelencjo — rzekł usatysfakcjonowany. — Mam nadzieję, że się spotkamy przy okazji pańskiego pobytu we włościach w Walencji i wybierzemy razem na polowanie.

— Miło mi będzie pana gościć, baronie — powiedział markiz, akcentując te słowa lekkim skinieniem głowy.

— Czuję się wielce zaszczycony — oświadczył na pożegnanie baron, dając znak swoim dwóm towarzyszom, by szykowali się do wyjścia.

— Idźcie z Bogiem — rzucił markiz.

Baron odpowiedział na te słowa czymś w rodzaju ukłonu, który należy się szlachcicowi wyższemu ranga, i ruszył w kierunku drzwi. Tymczasem markiz spojrzął na balkon, gdzie jeszcze przed chwilą widział Brahima, ale już go tam nie było. Korsarz zszedł na patio, bez słowa narzucił na Fatimę starą, przybrudzoną kape, którą znalazł w pokoju, i sapiąc ze złości, skierował się w stronę mulnika z Narili.

— Nie zbliżaj się do niego — uprzedził lokaj, ten sam, który wypłacił baronowi pieniądze, i sięgnął ręką po rapier. Otaczający go mężczyźni natychmiast chwycili za broń, stając po stronie sługi swojego pana.

— Co to...? — rzucił zaskoczony Brahim.

— Jeszcze nie zaakceptowałaś nowych warunków umowy — przerwał lokaj.

— Oczywiście, że się zgadzam — potwierdził szybko korsarz, odsuwając go gwałtownie ze swojej drogi.

Ubajd klęczał u stóp konia markiza, próbując zachować dumę, dopóki nie usłyszał głosu Brahima. Odwrócił głowę i w tym samym momencie dostał silnego kopniaka w twarz.

— Ty psie! Świnio! Sukinsynie!

Aisza i Fatima, okryta brudną, szorstką kapa, którą narzucił na nią Brahim, wpatrywały się w tańczące w świetle pochodni cienie mężczyzn i koni, próbując je rozpoznać. Ubajd!

Brahim obmyślił wcześniej tysiące rozmaitych sposobów zadawania okrutnej, powolnej śmierci mulnikowi z Narili, ale pogarda, z jaką ten na niego patrzył, mimo że leżał na ziemi z zakrwawionymi ustami, rozwścieczyła go do tego stopnia, że zapomniał o wszystkich wymyślnych torturach. Trzęsąc się z gniewu, wyciągnął z pochwy handzar i uderzył na oślep. Przebił sztychem brzuch, nie powodując śmierci. Markiz tkwił nieporuszenie na swoim miejscu, natomiast reszta ludzi odsunęła się od szaleńca, który wykrzykiwał prawie niezrozumiałe obelgi i pastwił się nad zwiniętym w kłębek Ubajdem, tnąc zakrzywionym ostrzem jak popadnie, w nogi, ramiona i głowę.

— Już nie żyje — odezwał się markiz ze swojego konia, wykorzystując moment, gdy Brahim zwolnił tempo, żeby wziąć oddech. — Jest martwy! — krzyknął, widząc, że korsarz przymierza się do nowego ciosu.

Brahim zatrzymał się zadyszany, roztrzęsiony i opuścił handzar, patrząc przez chwilę nieruchomo na zmasakrowane zwłoki Ubajda. Następnie przyklęknął i nie oglądając się na nikogo, zaczął grzebać w jego wnętrznościach kikutem prawej ręki. Wielu z przypatrujących się temu mężczyzn, zaprawionych w boju i okrucieństwach wojny, z markizem włącznie (choć po nim nie było nic widać, bo miał osłoniętą twarz) odwróciło oczy, kiedy Brahim odłożył handzar i wyjął krótki sztylet, który wbił pod żebra banity, szukając serca. Po chwili znalazł je, wydobył na wierzch, obejrzał je dokładnie ze wszystkich stron, wciąż na klęczkach; jeszcze biło i chyba zadrgało, gdy splunął na nie i rzucił na ziemię.

— Wyruszamy o świcie — rzekł do markiza. Podniósł się, umazany krwią.

Szlachcic poprzestał na kiwnięciu głową. Wtedy Brahim podszedł do Fatimy i chwycił ją za ramię. Pozostało mu do spełnienia jeszcze jedno marzenie. Ale najpierw popchnął ją w kierunku Aiszy.

— Kobieto! — Aisza podniosła głowę. — Powiedz swojemu synowi nazarejczykowi, że czekam na niego w Tetuanie. Niech wie, gdzie mnie szukać, jeśli chce odzyskać swoje dzieci.

Kiedy korsarz się odwracał, ciągnąc za sobą Fatimę, Aisza wymieniła spojrzenia z przyjaciółką, która prawie niedostrzegalnie pokręciła głową. Nie rób tego! Nic mu nie mów! — błagały jej oczy.

Dopóki niebo nie zaczęło zmieniać koloru, nikt nie przeszkadzał Brahimowi, który zamknął się z Fatimą w pokoju na górze gospody.

# 41

O świcie, kiedy oddziały Brahima i markiza zniknęły w oddali, Aisza opuściła zajazd Montón de la Tierra. Pozostał tylko trup Ubajda — ludzie markiza pogrzebali go koło zajazdu, żeby zatrzeć ślady. Aisza spędziła tę noc skulona w kącie z Szamirem i swoimi wnukami. Uspokajała je, chociaż sama nie mogła powstrzymać łez. Wiedziała, że straci kolejnego syna... Jaki los Bóg zgotował dla niego?

Przed wyruszeniem w drogę Brahim wyszedł zadowolony z pokoju. Parę kroków za nim szła obolała Fatima zasłonięta od stóp do głów — widać było tylko jej oczy spod brudnego okrycia, które przytrzymała przy twarzy obiema rękami.

Ludzie markiza przygotowywali konie. Na patio panował wielki rozgardiasz.

— Ty jesteś Szamir, prawda? — spytał Brahim, podchodząc do swojego syna. Aisza wyczuła w mężu cień ojcowskiej dumy. Wystraszony chłopiec pozwolił pogłaskać się po głowie. Nie znał tego mężczyzny. Aisza i Fatima mówiły mu, że jego ojciec poległ w Alpuharze. — Wiesz, kim jestem?

Szamir pokręcił przecząco głową. Brahim spojrzał z wściekłością za Aiszę.

— Masz szczęście, kobieto — wycedził złowrogo — że muszę przekazać przez ciebie wiadomość nazarejczykowi. Gdyby nie to, zabiłbym cię natychmiast.

Ujął Szamira za brodę i zmusił go do podniesienia oczu.

— A teraz wysłuchaj mnie, chłopcze: jestem twoim ojcem, a ty jesteś moim jedynym synem. — Zaciekawiony Francisco zbliżył się do Szamira. — Odsuń się! — Brahim popchnął malca kikutem i przewrócił na ziemię.

— Nie bij go! — Szamir wyrwał się z ręki, która trzymała go za brodę, i rzucił się na ojca z pięściami. Brahim śmiał się, kiedy chłopiec zadawał mu ciosy w brzuch.

Pozwolił mu się bić, a potem wymierzył siarczysty policzek. Szamir upadł obok Francisca.

— Podoba mi się twój charakter — pochwalił go Brahim. — Ale jeśli staniesz w obronie nazarejczyka — słowo to zabrzmiało w jego ustach jak splunięcie — czeka cię to samo co jego. A ty, mała — rzucił w stronę Inés — będziesz usługiwać jako niewolnica moim dwóm córkom. W dniu, w którym nazarejczyk zjawi się w Tetuanie...



Sama na drodze do Kordoby, powłócząc nogami, Aisza jeszcze raz przeżyła dreszcz grozy, którą poczuła na patio zajazdu, gdy Brahim wypowiedział te słowa: „W dniu, w którym nazarejczyk zjawi się w Tetuanie...”. Fatima też się wtedy przeraziła, gdyż jej bezsilne palce poruszyły się z drżeniem. Obie kobiety wymieniły spojrzenia, przeczuwając, że więcej się nie zobaczą. Oczy Fatimy wyrażały to samo błaganie, które Aisza widziała już kilka godzin wcześniej: Nic mu nie mów! On go zabije!

Zabije go! Z tą myślą Aisza weszła do Kordoby przez bramę Colodro. Tym razem nie trafiła na strażników jak przed laty, gdy wracała tą samą drogą z małym Szamirem na rękę z niechcianej górskiej wyprawy, do której zmusił ją Brahim. Szła z duszą na ramieniu w nocnej koszulini, z krwawiącymi stopami. Dotarłszy na ulicę Barberos, otrząsnęła się z zamyślenia na widok otwartych drzwi do sieni. Furtka na patio też była wyważona. W pobliskim domu nagle zamknęły się okiennice, chociaż było jeszcze widno. Sąsiadka mieszkająca dwa domy dalej cofnęła się, zatrząskując za



sobą drzwi. Aisza przeszła przez próg i wszystko zrozumiała: chrześcijańscy sąsiedzi ogołocili ich dom pod osłoną nocy. Nie zostawili niczego, nawet garnka! Aisza spojrzała na fontannę: wody nie mogli ukrąść, ale skrytka pod posadzką, gdzie trzymali zarobione przez Hernanda pieniądze, była pusta, ktoś zerwał płytkę. Natomiast płytka obok była nienaruszona. Hernando miał rację. Uśmiechnęła się melancholijnie, wspominając słowa syna: — „Tutaj schowamy pieniądze. — Specjalnie przyłożył płytkę nierówno, każdy mógł się zorientować, że coś tam jest pod spodem. Pod sąsiednią zaś ukrył Koran i amulet z ręką Fatimy. — Jeśli ktoś przyjdzie nas okraść — powiedział wtedy — znajdzie pieniądze i nawet nie zauważy, że tuż obok jest skarb, nasz prawdziwy skarb”.

Ale Hernando myślał wtedy o inkwizycji i o kordobańskim wymiarze sprawiedliwości, a nie o sąsiadach.

— Co się stało, Aisza? Gdzie Fatima i dzieci?

Aisza odwróciła się i zobaczyła koło furki Abbasa.

— Nie wiem... — wyjąkała, rozkładając ręce — nic nie wiem...

— Ludzie mówią, że w nocy był tu Ubajd i...

Aisza nie słuchała więcej. Nic mu nie mów! On go zabije! Błagalna prośba Fatimy odżyła w jej pamięci. Poza tym... teraz ma tylko Hernanda! Nie chce go stracić, tak jak straciła Szamira. Został jej tylko ten uśmiechnięty, niebieskooki chłopiec, który tulił się do niej w Juviles pod osłoną nocy, kiedy nikt nie widział. Co teraz z nimi będzie? Nie chciała narażać na niebezpieczeństwo tego jedyne go syna! Zresztą Fatima błagała ją o to spojrzeniem. W nocy słyszała w zajeździe rozmowy ludzi markiza na temat Brahima. Wszyscy wiedzieli, o co toczy się gra. Dowiedziała się wtedy, że Brahim jest jednym z najpotężniejszych korsarzy w Tetuanie, mieszka we wspaniałej twierdzy (w opowieściach ludzi wydawała się nie do zdobycia) i ma na swoje rozkazy prawdziwą armię. Nigdy nie pozwoli Hernandowi zbliżyć się do Fatimy!

— Nie żyją — zaszlochała Aisza. — Zabił ich Ubajd i jego ludzie! — krzyknęła. — Mojego Szamira, Fatimę, Francisca... I malutką Inés!

Aisza upadła na ziemię, zanosząc się płaczem. Nie musiała udawać łez ani rozdzierającego bólu. W gruncie rzeczy... Kto wie, czy nie lepiej byłoby im w grobie niż w rękach Brahima. Zawyla wniebogłose, myśląc o Szamirze. Co czeka jej małego synka? A Fatimę? Jakie nowe nieszczęścia zgotował dla nich Bóg?

Abbas nie próbował jej pocieszyć. Silne ciało kowala ogarnęła słabość i musiał oprzeć się na furtce, żeby nie upaść. Nie mógł oddychać, czuł, że się dusi. Obiecał przyjacielowi, że Ubajd nie będzie go napastował. Miał opiekować się jego rodziną, dopóki on nie wróci z Sewilli. Hernando sam go o to prosił przed wyjazdem. Abbas dobrze pamiętał ten moment.

— Przecież nic im nie grozi — odpowiedział mu wtedy niechętnie.

Przez kilka długich chwil słychać było tylko szum wody w fontannie na pięknym, choć teraz zdewastowanym kordobańskim patio. Aisza i Abbas milczeli.



Abbas wyruszył do Lomo del Grullo, podążając śladami kłaczy ze stadniny królewskiej: jeden dzień do miejscowości Écija, z postojem w zajeździe Valcargado, drugi do Carmony, zatrzymując się po drodze w Fuentes, trzeci do Sewilli, z odpoczynkiem w zajeździe Loysa, i z Sewilli do Villamanrique. Zmuszał się, żeby iść. Rozkazywał swoim nogom, by wysuwały się do przodu jedna po drugiej, patrzył, jak obolałe stopy powoli zbliżają go do celu, chociaż najchętniej zapadłby się pod ziemię. Co powie Hernandowi? Jak go powiadomić, że Ubajd zabił mu żonę i dzieci? Jak wyznać, że nie dotrzymał danego słowa?

Zanim otrzymał zgodę królewskiego koniuszego na podróż do Lomo del Grullo, próbował nawiązać kontakt z Jednorękiem. Chciał wiedzieć, dlaczego to zrobił, gotów był go nawet zabić, ale żaden z dotychczasowych sposobów kontaktowania się z banitą nie poskutkował: Jednoręki zniknął ze swoim oddziałem. Może zaszył się w górach i wróci któregoś dnia, chwilowo jednak nikt nic nie wiedział o Ubajdzie. Jak mógł zabić Fatimę i dzieci?

— Dlaczego to zrobił? — dziwił się także don Diego, wręczając Abbasowi list żelazny, by mógł wyruszyć do Sewilli. — Morysk moryskowi?

— Pokłócili się kiedyś z Hernandem w Alpuharze — wyjaśnił kowal.

— I to ma być powód zabicia bezbronnej kobiety i trójki niewinnych dzieci? — odparł szlachcic, machając trzymanym w dłoni listem. — O Panno Przenajświętsza!

Abbas wzruszył smutno ramionami: don Diego miał rację. Gdyby tylko dostał w swoje ręce Ubajda, ale nie potrafił nawet znaleźć ciał pomordowanych, by urządzić im przyzwoity pochówek. Aisza zamknęła się w sobie i niewiele można było od niej się dowiedzieć. Kiedy kowal pytał o jakiś konkretny szczegół, który rzuciłby trochę światła na miejsce zbrodni, określane przez Aiszę jako „gdzieś w górach”, reagowała płaczem i wciąż powtarzała:

— Błagam. Idź po mojego syna.

Więc poszedł, powłóczęgając nogami w gorącym słońcu Andaluzji. Czuł serce w gardle, miał sucho w ustach, łzy napływały mu do oczu za każdym razem, gdy obmyślał, jak powiedzieć przyjacielowi, że jego żona i dwójka dzieci zostały bestialsko zamordowane w Sierra Morena.



Wszystkie poukładane zdania wyleciały mu z pamięci na widok Hernanda, który odjechawszy od stada, zwinnie zeskoczył z Azirata i teraz biegł w jego stronę: niebieskie oczy błyszcząły mocniej niż zwykle w ogorzalej od słońca twarzy, szczery, radosny uśmiech odsłaniał białe zęby.

Abbas poczuł, że maści mu się wzrok, stado kłaczy zamieniło się w niewyraźną plamę, mimo to dostrzegł, że Hernando nagle przystanął kilka kroków przed nim. Sylwetka przyjaciela przeplatała się z tysiącem ciemnych plam kłaczy za jego plecami, słowa dobiegały niewyraźnie, jakby musiały przedzierać się przez szum wiatru.

— Co się stało?

— Ubajd... — wyszeptał Abbas.

— Co Ubajd? — Hernando przewiercał go wzrokiem, niebieskie oczy przyćmił rosnący niepokój — Stało się coś? Moja rodzina... wszyscy zdrowi? Mów!

— Zamordował ich — wykrztusił kowal, nie śmiejąc na niego spojrzeć. — Zamordował wszystkich z wyjątkiem twojej matki.

Hernando zaniemówił. Przez kilka chwil trwał nieruchomo, jakby umysł nie przyjmował do wiadomości tego, co usłyszał. Potem bardzo powoli przykrył rękami twarz i zawył w niebo. Fatima! Dzieci!

— Ty sukinsynie! — wrzasnął na Abbasa. Jednym ciosem przewrócił go na ziemię i rzucił się na niego z pięściami. — Ty psie! Obiecałeś im bezpieczeństwo! Prosiłem cię o to. Miałeś się nimi opiekować!

Abbas nie bronił się przed ciosami Hernanda.

Zanim stracił przytomność, dostrzegł jeszcze, że jacyś ludzie odciągają od niego Hernanda, który coś krzyczy, ale co, tego już kowal nie rozumiał.



Azirat opadł z sił, zanim dotarli do Kordoby. Galopował bez przerwy, odkąd wyruszyli z Lomo del Grullo. Przez prawie siedem mil Hernando popędzał go ostrogami, teraz też chciał to zrobić, ale nie pomagało. Koń z coraz większym trudem wyciągał nogi i zwalniał mimo kary, aż wreszcie całkiem stanął.

— Szybko! — krzyknął Hernando, wbijając mu ostrogi pod żebra i pochylając się do przodu. Azirat się zachwiał. — Rusz się — zaszlochał, poruszając gwałtownie wodzami. Zwierzę ukłękło na drodze. — Boże! Tylko nie to!

Hernando zeskoczył z konia. Azirat był pokryty pianą, boki miał zakrwawione; chrapy nadmiernie rozdęte, ciężko sapał. Hernando dotknął ręką jego serca: waliło jak oszalałe.

— Co ja zrobiłem? Nie umieraj!

Śmierć! Usiłował zapomnieć o niej w obłądnym galopie i o ma-

ło nie zajechał konia. Kiedy oprzytomniał, ból odezwał się na nowo. Płacząc, pomógł Aziratowi wstać i zmusił go do ruchu. Koń chwiał się jak pijany. W pobliżu płynął strumyk, lecz nie poszli tam od razu. Wiedział, że lepiej zaczekać, aż stan konia ulegnie poprawie. Nie pozwolił mu pić. Sam przyniósł w dłoniach trochę wody ze strumienia, ale Azirat nie miał nawet siły polizać. Zdjął siodło i uprząż, zmoczył swoją burkę i nacierał nią jak gąbką boki, podbrzusze, całe ciało konia. Krew z poranionych ostrogami żeber zmieszała się w wyobraźni Hernanda z okrucieństwem Ubajda. Powtórzył parę razy czynność masowania i zmusił konia do spokojnego marszu. Wciąż przynosił mu wodę w złożonych dłoniach. Po paru godzinach Azirat podniósł głowę, wyciągnął szyję, po czym sam zaczął pić ze strumienia. Wtedy Hernando przykrył twarz rękami i wybuchnął płaczem.

Spędzili noc przy strumyku pod gołym niebem. Azirat skubał trawę, a Hernando płakał żałośnie, wspominając Fatimę, Francisca i Inés. Uderzał pięścią w ziemię, nie bacząc, że zdiera skórę z palców i rani je do krwi. Słyszał głosy i niewinne śmiechy dzieci i żony, sceny z życia rodzinnego tańczyły mu przed oczami. Chwilami czuł zapach i ciepło promieniujące z ich ciał, jakby garnęły się do niego. Ale zaraz pojawiały się obrazy ich okrutnej śmierci z rąk Ubajda, który z triumfalną miną wyrывał serce Gonzalicowi i jeszcze bijące podnosił nad głowę.

Następnego dnia szedł piechotą. Mijający go ludzie nie wiedzieli, czy to człowiek prowadzi konia, czy koń ciągnie strzęp człowieka, który trzyma się cugli. Dopiero trzeciego dnia o świcie odważył się ponownie wsiąść na Azirata. Przez dwa następne dni jechał powoli, robiąc częste postoje, chociaż koń poruszał się dziarsko i widać było, że odzyskał siły. Wreszcie znaleźli się na moście rzymskim, zostawiając za sobą wieżę Calahorra.



Hernando nie miał więcej szczęścia niż Abbas, gdy zaczął wypytywać matkę o szczegóły.

— Po co ci to?! — krzyknęła podczas pierwszej rozmowy po

przybyciu syna do Kordoby, kiedy wizyty kondolencyjne dobiegły wreszcie końca i zostali sami. — Ja widziałam! Widziałam, jak ich mordowali! Mam ci opowiedzieć? Udało mi się uciec... może po prostu nie zamierzali mnie zabić. Błąkałam się w górach przez całą noc, aż znalazłam drogę powrotną do Kordoby. Już ci o tym mówiłam. — Aisza opadła na krzesło z opuszczoną głową. Tysiące razy w ciągu dnia musiała kłamać, tyle samo razy zastanawiała się, czy nie powiedzieć synowi całej prawdy, zwłaszcza gdy widziała, jak bardzo cierpi, przyjmując kondolencje, odpowiadając na pytania, pogrążając się w milczeniu. Ale nie! Nie może tego zrobić. Hernando zaraz ruszyłby do Tetuanu. Była tego pewna, za dobrze go znała. Nie chciała stracić jedyne go syna, jaki jej pozostał...

— Do czego mi to potrzebne? — syczał Hernando, nie przestając chodzić po galerii z zaciśniętym pięściami. — Muszę to wiedzieć, matko! Muszę ich pochować! Muszę odnaleźć tego sukinsyna, ich mordercę, i...!

Aisza podniosła głowę, słysząc wściekłość i gniew w głosie syna. Nigdy go nie widziała w takim stanie! Nigdy dotąd... nawet w Alpuharze! Chciała coś powiedzieć, ale zamilkła przerażona, gdyż Hernando miał błędny wzrok i z całej siły drapał się po ręce.

— Przysięgam, że go zabiję — dokończył zdanie. Strużki krwi pojawiły się w głębokich bruzdach na dłoni.



— Ubajd!

Głośny okrzyk zmącił pogodną ciszę sierpniowego poranka i odbił się echem w górach.

— Ubajd! — Hernando krzyknął po raz wtóry w stronę gęstych lasów roztaczających się u jego stóp. Stał na jednym ze szczytów Sierra Morena, wyprostowany w strzemionach, żeby jeszcze bardziej wystawić się na spojrzenia każdego, kto ukrywa się w gęstwinie. Odpowiedział mu jedynie trzepot skrzydeł zrywających się do lotu ptaków. — Nędzny psie! — krzyczał dalej. — Chodź tu do mnie! Zabiję cię! Utnę ci drugą rękę, przekroję cię na pół i rzucę twoje wnętrzności leśnym drapieżnikiem!

Jego krzyki ginęły w bezkresnej Sierra Morena. I znowu zapadała cisza. Hernando opadł bezwładnie na konia. Co zrobić, by spotkać Jednorękiego w tym terenie? — rozmyślał. Nie ma szans, chyba że banita sam wyjdzie na jego wyzwanie! Wyciągnął szablę i podniósł ją ku niebu.

— Jesteś odrażający jak świnia! — zawołał ponownie. — Jesteś mordercą!



Opuścił Kordobę na grzbiecie Azirata, gdy tylko zdołał załatwić najpotrzebniejsze rzeczy. Pożegnał się z matką, próbując po raz kolejny uzyskać od niej jakąś wskazówkę, choćby mało istotny szczegół, który ułatwiłby mu poszukiwania, ale nic z tego nie wyszło.

— Gdzie jedziesz? — spytała Aisza.

— Jadę zrobić to, co każdy szanujący się mężczyzna musi zrobić: zemścić się na Ubajdzie i odnaleźć zwłoki moich najbliższych.

— Ale...

Hernando nie dał jej dokończyć. Skierował się najpierw do domu Dżalila. Starzec miał dla niego dobrą wiadomość: dostanie odpowiednią szablę, sztylet i arkebuz od zaufanego człowieka, który czeka na niego przy drodze Ventas.

— Niech Allah będzie z tobą, Hamidzie — uroczyście pożegnał go starzec, prostując się, jak tylko mu na to pozwoliło schorowane ciało.

Następnie udał się do stajni prosto do administratora. Przepraszając za kłopot, wyjaśnił, że musi wyjechać. Administrator przypatrywał się moryskowi zza biurka: pobladła twarz i sine, podkrążone oczy zdradzały bezsenną noc. Hernando spędził ją na płaczu, waleniu pięścią w meble i ściany i obmyślaniu planów zemsty.

— Jedź — szepnął administrator. — Odszukaj mordercę żony i dzieci.

Tego pierwszego dnia, gdy już stracił nadzieję, że Ubajd go usłyszy i odpowie na jego wołanie, skierował Azirata w dół

stromego zbocza i do zachodu słońca jeździł po trzciniowych polach, przeszukiwał szuwary nad rzeką, wspinał się na wzgórza, wykrzykując wszędzie imię banity. Wypytywał o niego w zajazdach i ludzi napotykanych na drodze, ale niczego się nie dowiedział. Nikt nie znał miejsca pobytu banitów i nie słyszał o żadnych akcjach, ktoś nawet twierdził, że już dawno stąd się wynieśli.

Tuż przed Kordobą ukrył broń w zaroślach, żeby nie mieć kłopotów ze strażą w bramie Colodro. Zostawił Azirata w stajni i zamiast do domu, poszedł najpierw pod klasztor Świętego Pawła. Może bracia miłosierdzia mieli więcej szczęścia i natrafili na zwłoki dzieci i Fatimy. Takich jak on było więcej. Ludzie przystawali przy kamiennych ławach, wypatrując znajomych rysów w gnijących zwłokach. Niektórzy przychodzili ze zwykłej ciekawości. Hernando doznawał sprzecznych uczuć: pragnął znaleźć i pochować ciała swoich najbliższych, a jednocześnie nie chciał, by nastąpiło to w miejscu pełnym chrześcijan, rzeczy pochodzących z kradzieży, miejskich strażników i roześmianych, dowcipkujących gapiów.

— Dopadnę go! Przysięgam, że to zrobię, choćbym miał go szukać w całej Hiszpanii!

Tyle tylko powiedział matce po powrocie do domu. Zaraz potem zamknął się w sypialni, by zadrećcać się wciąż od nowa unoszącym się w powietrzu zapachem Fatimy.

Następnego dnia wyszedł z domu przed świtem. Chciał mieć więcej czasu na szukanie. Wrócił po zachodzie słońca z pustymi rękami. Nazajutrz powtórzyło się to samo i tak było przez kilka dni.

Aisza widziała, że to go wykańcza. Płakała nocami przy wtórze szlochów dobiegających z sypialni syna. Znowu zastanawiała się, czy nie wyznać mu całej prawdy, choćby tylko po to, aby ujrzeć na chwilę uśmiech na jego twarzy, ale zabrakło jej odwagi. Wciąż miała w pamięci błagalne spojrzenie Fatimy, nie chciała wysyłać syna na pewną śmierć, bała się samotności. A poza tym ona straciła już pięcioro dzieci i żyje. Dlaczego Hernando nie miałby się pogodzić ze stratą swoich? Przecież tyle dzieci umiera przedwcześnie, a co do Fatimy... Syn znajdzie sobie inną kobietę, która



go pokocha. Natomiast ona, Aisza, ma już tylko jego... i bardzo boi się samotności.

Hernando w dalszym ciągu wyruszał każdego ranka w góry, skąd wracał coraz bardziej zdesperowany. Przestał się odzywać, nie mówił już nawet o zemście! Modlił się całymi nocami.

„Wyjdzie z tego — powtarzała sobie Aisza. — Ma dobrą pracę i uznanie ludzi. Jest najlepszym ujeżdżaczem w stadninie królewskiej! Tak mówi Abbas, a wszyscy to potwierdzają. Niejedna młoda, zdrowa dziewczyna chciałaby go za męża. Znowu będzie szczęśliwy”. Tak bardzo pragnęła w to uwierzyć.

Ale po upływie dwudziestu dni zrozumiała, że Hernando prędzej umrze, niż zrezygnuje z poszukiwań. Powiedzieć mu prawdę? Aisza poczuła straszliwe wyrzuty: nie dość, że oszukała syna, to jeszcze skazywała go codziennie na katusze. Jak zareaguje Hernando? Jest mężczyzną. Mężczyzną doprowadzonym do rozpaczy. Może nie podniesie ręki na matkę, ale zniechędzi ją, tak samo jak teraz nienawidzi człowieka oskarżonego o morderstwo jego rodziny. Co tu począć? Wyobraziła sobie złorzeczenia rozwścieczonego Hernanda. Z dwojga złego wolałaby już dostać od Brahima; jego razy były mniej dotkliwe. Nie chciała mieć w synu wroga! Nie mogła dłużej patrzeć na jego mękę!



Następnego dnia rano, kiedy Hernando powlókł się szukać banity, Aisza opuściła Kordobę przez bramę Colodro. Szła z opuszczoną głową, w rękę trzymała mały tobołek. Sierpniowe słońce mocno dogrzewało. Zajazd Montón de la Tierra znajdował się milę za miastem. Szła tą samą drogą co ostatnio, tylko w odwrotnym kierunku. Na widok zabudowań zajazdu doznała takiego bólu, że niemal straciła władzę w nogach i złękła się, że nie dojdzie. A jeśli się nie uda? Odbiorę sobie życie, postanowiła bez wahania. Pamiętała, że ludzie markiza wyszli poza ogrodzenie, żeby ukryć ciało banity zamordowanego przez Brahima, który zaraz potem zamknął się z Fatimą w pokoju na pierwszym piętrze. Wciąż miała przed oczami tę scenę: rozpalonego pożądaniem Brahima i ostatnie

słowa, które do niej skierował: „Kobieto, powiedz swojemu synowi nazarejczykowi, że czekam na niego w Tetuanie. Niech wie, gdzie mnie szukać, jeśli chce odzyskać dzieci”. Próbowała odpedzić od siebie to wspomnienie. Musi się bardziej skupić na ludziach markiza! Co oni wtedy robili? Tylko to ją teraz interesowało. Nieme błaganie w oczach Fatimy, by nic nie mówić Hernandowi, odżyło w jej pamięci z niestychaną siłą.

Aisza się zatrzymała, przykucnęła na skraju drogi, zakryła rękami twarz i wybuchła płaczem. Oplakiwała Hernanda, Szamira, Fatimę i swoje wnuki.

Długo to trwało, zanim zdołała się opanować. To jej ostatnia szansa!

— Ludzie markiza — szepnęła do siebie.

Przypomniała sobie, że zniknęli na krótko, nie wzięli łopat ani innych narzędzi, a więc ciało banity musi być gdzieś w pobliżu. Rozejrzała się po okolicy. Gdzie też oni go pogrzebali? Jeszcze raz wróciła myślą do tamtej sceny i podniosła oczy ku słońcu, jakby ono mogło coś pomóc. Gdzie...?

— Jesteście pewni, że nikt go tam nie znajdzie? — Skierowane do żołnierzy słowa lokaja zabrzmiały nagle w jej uszach, jakby dopiero teraz je wypowiedział. Nie zwróciła wtedy na nie uwagi. — Wiecie, że Jego Ekscelencja pragnie usunąć zwłoki raz na zawsze. Nikt nie może się dowiedzieć, że to nie banita zorganizował ten napad...

— Nie ma się czego bać — beztrósco odrzekli żołnierze. — Tam gdzie go wrzuciliśmy...

Wrzuciliśmy! Powiedzieli „wrzuciliśmy”! No jasne, nie chciało się im wysilać na wykopanie grobu. Obeszła zajazd dookoła, zaglądając w krzaki i zarośla. Nie, tu go nie ma. Przyjrzała się uważnie pniom i korzeniom drzew, tym bardziej że w Alpuharze widziała takie dziuple, w których zmieściłby się człowiek na koniu. Rozgrzebała nogą kilka kopczyków suchej ziemi i wyjęła z tobołka małą łopatkę, żeby rozkopać pagórek, który wydawał się świeży. Minęło południe i słońce grzało coraz mocniej, była spocona. Wreszcie zobaczyła suchy, zaniedbany rów nawadniający,

od dawna nieużywany. Przebiegła wzrokiem jego brzegi. Miejsce połączenia z innym rowem było zasypane kamieniami. Nie miała wątpliwości. Odsunęła kilka większych kamieni i grzebała w ziemi, dopóki smród gnijącego ciała nie uderzył jej w nozdrza. Tu pochowali banitę!

Aisza otarła spoconą twarz, wyprostowała się i rozejrzała dokoła. Nie było żywej duszy. W taki upał, w porze poobiedniej nikt tu nie przyjdzie. Kopała w ziemi dalej, potrzebowała dowodu, że to na pewno trup Jednoręki. Zobaczyła wyrwane przez Brahima serce, które żołnierze położyli Ubajdowi na brzuchu. Wtedy wyjęła z tobołka białą haftowaną chustkę Fatimy, ucałowała ze smutkiem i wzięła garść ziemi, żeby ją pobrudzić. Znalazła ją na drugi dzień po porwaniu; leżała pod rozbitą doniczką i dlatego uchowała się z grabieży dokonanej przez ich chrześcijańskich sąsiadów. Chciała oddać Hernandowi, ale nie było okazji i po co miałaby go zasmucać jeszcze bardziej. Przykłękła obok szczątków Ubajda, wiążąc mu tę chustkę na szyi. Potem wstała i rozejrzała się ponownie. Było pusto i cicho, nie licząc brzęczenia owadów gromadzących się nad ciałem banity. Pozostawała jej jeszcze do zrobienia rzecz najważniejsza. Chwyliła trupa pod pachy i zaczęła ciągnąć, starając się nie patrzeć na niego. Zamierzała dociągnąć go rowem do przebiegającej w pobliżu drogi Ventas. Serce banity spadło na ziemię. Co parę kroków przystawała, żeby odpocząć i sprawdzić, czy nikt się tu nie kręci. Dość długo trwało, zanim dotarła na miejsce, ale wszystko poszło, jak zaplanowała. Udało się! Resztką sił wyciągnęła trupa z rowu i położyła na skraju drogi. Kiedy go wypuściła z rąk, poczuła ból i straszliwe klucie w całym ciele. Uroniła kilka łez na chustkę na szyi banity, po czym odeszła trochę dalej i przyczała się za drzewem, gotowa czekać, aż ktoś znajdzie trupa. Dopiero gdy upał nieco zelżał, na drodze pojawili się kupcy. Kilku z nich przystanęło obok ciała Ubajda. Wtedy Aisza opuściła swoją kryjówkę za drzewami i udała się w kierunku Kordoby.

— Podobno znaleziono zwłoki Ubajda przy drodze Ventas niedaleko zajazdu Montón de la Tierra. To ten Jednoręki z Sierra

Morena — powiedziała do jednego z wartowników stojących w bramie Colodro. — Wiadomo wam coś na ten temat?

Mężczyzna nie raczył odpowiedzieć morysce, jednakże czym prędzej pobiegł po sierzanta. Aisza uśmiechnęła się smutno, gdy to zobaczyła. Wkrótce potem grupa żołnierzy pędziła na koniach w stronę zajazdu.



Hernando ujrzał z daleka tłum ludzi na drodze wiodącej do bramy Colodro. Zastanawiał się nad wyborem innego przejścia, ale było mu wszystko jedno. Miał za sobą kolejny dzień bezowocnych krzyków, gróźb i złorzeczeń padających w pustkę między szczytami gór. Jedyną nowością było to, że musiał uciekać przed mastifami, które myśliwi puścili za niedźwiedziem. Skierował Azirata w stronę bramy. Zbliżając się, dostrzegł w tłumie sporą liczbę strażników i żołnierzy, a także szlachciców w bogatych strojach. W jednym z nich rozpoznał alkada chodzącego od grupy do grupy.

Morysk chciał ominąć największe zgromadzenie i utworować sobie drogę wśród ludzi stojących nieco na uboczu, by czym prędzej znaleźć się za bramą, gdy ponad głowami tłumy dostrzegł z konia zwłoki mężczyzny przywiązane do słupa. Wiedział, że Santa Hermandad w taki sposób wykonuje wyroki na przestępcach schwytanych poza miastem. Nagle dreszcz przebiegł mu po plecach. Ten trup... nie miał jednej ręki. Nie potrzebował podjeżdżać bliżej, wystarczyło wyostrzyć wzrok, a może tylko powąchać powietrze wokół niego. Ubajd!

Ściągnął wodze, nie bacząc na ludzi, którzy dyskutowali, czy to na pewno ten groźny banita z Sierra Morena. Jechał przed siebie ze wzrokiem wbitym w mulnika z Narili.

— Gdzie tu się pchasz na koniu?! — zawołał żołnierz i zatrzymał go, zanim doszło do nieszczęścia. Mógł kogoś potrafić w tym oszołomieniu.

Hernando zeskoczył na ziemię, oddając wodze zaskoczonemu żołnierzowi. Dalej poszedł pieszo, przepychając się między szlach-

cicami i handlarzami, aż zobaczył z bliska zwłoki Ubajda. Hermandad podziurawiła go strzałami, chociaż już dawno nie żył i nie było żadnej pewności, że to on.

Nagle ludzie zrobili mu miejsce. Don Diego López de Haro dał znak, żeby się odsunęli.

— To ten banita? — zapytał moryska, podchodząc bliżej. — Znałeś go. Czy to on zamordował twoją żonę i dzieci?

Hernando przytaknął w milczeniu.

Głośny pomruk przeszedł przez tłum.

— Nikogo już więcej nie zabije — zapewnił dowódca straży.

Hernando milczał wpatrzony w chustkę Fatimy na szyi banity.

— Wracaj do domu — poradził mu królewski koniuszy. — Odpocznij.

— Ta chustka — zdołał wykrztusić Hernando — była... należała do mojej żony.

Dowódca straży podszedł do Ubajda, ostrożnie odwiązał brudną szmatkę i podał Hernandowi.

Hernando wyczuł pod palcami delikatną tkaninę, upadł na kolana, przytulił chustkę do twarzy i zapłakał. Jednakże był to płacz inny niż ten, którym zanosił się do tej pory. To był płacz wyzwalający. Ubajd zginął, co prawda nie z jego rąk, ale niech będzie błogosławiony ten, który położył kres życiu podłego mordercy.



Ukryta w tłumie Aisza nie doznała spodziewanej ulgi, chociaż zobaczyła, że Hernando trzyma mocno chustkę w jednej dłoni, a drugą odbiera od żołnierza lejce Azirata. Widziała go już wcześniej i każdy jego krok w stronę słupa z przywiązаныmi zwłokami odbijał się ostrym bólem w jej sercu. Próbowała wyobrazić sobie, co się dalej działo i chyba sam Bóg ją natchnął, gdy wybuchnęła płaczem dokładnie w tym momencie, gdy Hernando wziął do ręki chustkę Fatimy, chociaż tego nie mogła zobaczyć.

„Zaopiekuję się tobą, synku”, płakała, patrząc za nim, gdy pieszo wchodził do Kordoby przez bramę Colodro, prowadząc konia za lejce.

Od tego dnia Hernando pozwalał opiekować się sobą. Obsesja minionych tygodni ustąpiła miejsca melancholii i smutkowi. Nie ma po co szukać ciał żony i dzieci, upłynęło zbyt wiele czasu od ich śmierci. Jeśli porzucono je w górach, już dawno zostały pożarte przez dzikie zwierzęta. Sam widział, gdy przemierzał porośnięte lasem zbocza, że nic się tam nie marnuje. Tysiące zwierząt tylko czeka, by coś zjeść. Mimo to jeszcze przez jakiś czas chodził oglądać ławy przy klasztorze Świętego Pawła.

Kilka dni po odnalezieniu zwłok Ubajda Hernando otrzymał wiadomość od don Diega, że ma się stawić w stajni. Klacze znajdowały się wciąż w Sewilli, ale w Kordobie pozostały źrebięta i trzeba było je doglądać.

Aisza zaczęła dostrzegać w synu pewną zmianę, kiedy wracał po pracy do domu. Na nowo obudziła się w niej nadzieja. Niestety, nie mogła przewidzieć, że jej pragnienia nie znajdują pokrycia w rzeczywistości.

## 42

— Oddasz swojego konia hrabiemu de Espiel — rozkazał don Diego López de Haro pewnego ranka zaraz po przybyciu do stajni. Hernando potrząsnął głową, jakby chciał odepchnąć od siebie te słowa. Niestety, usłyszał z ust wielkiego koniuszego: — Król dał mu go w prezencie.

— Ale ja... Azirat... — Chciał zaprotestować, co skończyło się absurdalną gestykulacją.

— Wiem, ile napracowałeś się nad tym koniem, jak również wiem, że jeśli pominąć kwestię maści, jest on jednym z najlepszych okazów, które przyszły na świat w tej stadninie. Pozwolę ci wybrać innego, niekoniecznie spośród tych słabszych, byleby nie był to koń z grupy przeznaczonych dla króla...

— Ale ja chcę tego! Kocham Azirata. Jest mój...!

Od razu pożałował tych słów. Don Diego zeszywniał, zmarszczył czoło i odpowiedział dopiero po chwili:

— Nie jest i nigdy nie będzie twój. Nie liczą się twoje chęci ani upodobania. Znałeś warunki umowy, kiedy godziłeś się przyjąć konia zamiast części zarobku: król ma ostatnie słowo. Hrabia zabiegał usilnie o tego, a nie innego konia, a król ma powody, by go wynagrodzić. Życzenie Jego Królewskiej Mości jest dla nas rozkazem.

— Hrabia zmarnuje Azirata! On zna się na koniach tak samo jak na walce byków!

Don Diego dobrze o tym wiedział. Hernando słyszał jego kpiny z tłustego Espiela, który rozwała się w siodle jak w fotelu...

— Za kogo ty się uważasz, by oceniać umiejętności jeździeckie szlachcica — odparł ostro królewski koniuszy. — Espiel ma w jednym bucie więcej honoru i zasług dla monarchii, niż twoja wspólnota byłaby kiedykolwiek w stanie osiągnąć. Licz się ze słowami!

Moryskowi opadły ręce i spokorniał.

— Czy mogę...? — zająknął się. Nic nie może. O co chce prosić? — Czy mógłbym go dosiąść po raz ostatni? — Don Diego się zawahał. — Nie wiem... czy zasługuję... na taką łaskę. Chciałbym jeszcze raz go poczuć. To będzie ostatnia jazda. Błagam o wyrozumiałość. Tyle nieszczęść spadło na mnie ostatnio...



Nie trzeba było zmieniać imienia konia, Abbas miał rację, to przynosi nieszczęście, Hernando przypomniał sobie słowa kowala, dopinając popręg. Ogarnął go niepokój na myśl o Abbasie. Nie rozmawiali z sobą od starcia w Lomo del Grullo i nawet się nie witali, kiedy mijali się w pracy. Hernando nie potrafił mu wybaczyć! Wskoczył na Azirata; koń poruszył się niespokojnie, wyczuwając gwałtowność jeźdźca, którego rozpieął gniew na Abbasie. Azirat wiedział o tym! Wiedział, że dzieje się coś złego, od razu wyczuł to niezwykłym, szóstym zmysłem koni szlachetnej rasy i przygryzał wędzidło, jakby chciał skomunikować się z jeźdźcem i wysłał mu specjalne sygnały.

Hernando poklepał go po szyi, Azirat zareagował cichym rzeniem i podrzucił łbem, a wszystko to działo się na oczach don Diega, który stał na wielkim placu, zasłaniając sobie usta i podpierając brodę kciukiem, jakby rozważał cofnięcie pozwolenia. Hernando nie dał mu na to czasu. Opuścił teren stadniny lekkim galopem, pochylając z szacunkiem głowę, kiedy przejeżdżał przed wielkim koniuszym.

Zabierają mu Azirata! Za jakie grzechy tak cierpi? Dlaczego Bóg karze go w takim sposób? W ciągu niespełna roku stracił



prawie wszystkich, których kochał. Hamid, Karim, Fatima i dzieci... Azirat stąpał powoli, niekierowany przez jeźdźca. Hernando przetarł oczy rękawem kabata. Wszystko traci! Abbas, jeden z najbliższych przyjaciół... nie dotrzymał słowa!

Na dodatek król podarował hrabiemu de Espiel jego ukochanego konia. Szlachcic nawet nie musiał bardzo się o to starać. Zaraz po odłączeniu się w Sewilli od wyprawy wysłał swojego sekretarza na ziemię portugalską do króla, prosząc o czerwonorudego konia, który tak wspaniale tańczył i galopował w drodze z Kordoby do Sewilli. Król chętnie uczynił zadość prośbie arystokraty, który nie pragnął niczego więcej prócz konia nienadającego się do nowej rasy. Hernando przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Espielem, toporne ruchy szlachcica w walce z bykiem i śmierć jego konia. Widział go jeszcze potem parę razy w podobnych sytuacjach zakończonych mniej lub bardziej tragicznie dla wierzchowca. Azirat wyczuł drżenie w nogach jeźdźca i zaniepokojony ponownie ruszył stępą. Hernando przypomniał sobie widowisko *juegos de cañas* na placu Corredera, gdzie przy akompaniamencie bębenków i trąbek szlachcic na koniu wykazywał się zręcznością i odwagą w symulowanej walce, przyjmując na skórzaną tarczę pozornie nieszkodliwe strzały przeciwnika. Hrabia miał z tym kłopoty od samego początku, ale składał winę na sprzęt, który przypadł mu w udziale drogą losowania. Publiczność wygwizdała jego drużynę za nieprzestrzeganie reguł gry i niewłaściwy stosunek do koni.

Dlaczego hrabia de Espiel wybrał Azirata, który był zwykłym odrzutkiem? Wybrał jego konia! Chciał zemścić się na morysku za tamtą korridę? Prawda, że był okrutny i mściwy. Słowa te padły z ust tej samej osoby, która nie tak dawno zgromiła Hernanda za zuchwałość, gdy ośmielił się podważyć umiejętności jeździeckie hrabiego.

— Słyszeliście o ostatnim wyczynie hrabiego de Espiel? — zwrócił się don Diego do jadących obok szlachciców, kiedy wypróbowywali królewskie konie. Towarzyszyli im Hernando i lokaje wielkiego koniuszego. Było to jakieś osiem lat temu.

— Opowiedz, bom ciekaw — ponaglił go z uśmiechem jeden z kawalerów.

— Otóż od paru tygodni musi leżeć w łóżku, bo to zaordynował lekarz z powodu gorączki. Hrabia zaczął się nudzić bez konnych przejażdżek i polowania, więc urządził sobie łowy, nie ruszając się z łóżka...

— Strzela z łuku do ptaszków za oknem? — zażartował jeden z towarzyszy don Diega.

— Skądże! — zawołał wielki koniuszy, z trudem powstrzymując wybuch śmiechu. — Jeśli jakiś sługa popełni błąd, co się często zdarza służbie hrabiego, przywiązuje mu się poduszkę do siedzenia, po czym nieszczęśnik musi biegać i skakać po sypialni, dopóki hrabia nie trafi go strzałą w zadek.

Śmiech ogarnął grupę jeźdźców. Nawet Hernando uśmiechnął się, wyobrażając sobie tłustego hrabiego w nocnej koszuli, który spocony, zdenerwowany i podekscytowany usiłuje trafić z kuszy do służącego, a ten skacze przez krzesła i meble z poduszką na tyłku. Szybko jednak spoważniał pod piorunującym spojrzeniem Josého Velasco. Lokajowi don Diega nie spodobała się reakcja moryska.

— Podobno... — wykrztusił don Diego między jednym wybuchem śmiechu a drugim — podobno zachowuje się we własnym domu jak najsurowszy majordomus i ciągle pyta... — Wielki koniuszy musiał przerwać, zrywając sobie boki ze śmiechu, i dopiero po chwili dokończył, trzymając się ręką za brzuch. — ...ciągle wypytuje, jak się sprawują słudzy i niewolnicy. Wzywa ich do siebie za najdrobniejsze wykroczenie i każe skakać jak zającem.

— A co hrabina? — Kolejny szlachcic też miał kłopot z wyartykułowaniem pytania.

— Och! Bardzo się martwi! — Don Diego znowu skrzywił się ze śmiechu. — Zastąpiła jedwabne poduszki bawełnianymi, które są bardziej odporne na zniszczenie. Martwi się, że zostanie bez służby i... bez posagu.

Jeźdźcy wybuchnęli śmiechem.

I taki człowiek ma dosiadać jego konia! — pomyślał Hernando. W uszach rozbrzmiewał mu wciąż śmiech szlachciców.

Cmoknął na Azirata, który od razu przeszedł do galopu. Był piękny jesienny dzień. Mógłby uciec! Popędzić aż do... Dokąd? A matka? Przecież jej nie zostawi, nie miał nikogo oprócz niej. Przegalopował już pół mili bez określonego kierunku, kiedy nagle poczuł rosnące napięcie Azirata: po prawej stronie rozciągało się pastwisko, a na nim pasły się byki bojowe. Koń miał ochotę poigrać z nimi jak zwykle.

Hernando nie zastanawiał się dwa razy. Skrócił cugle, opuścił pięty i zacisnął kolana, żeby pewniej się poczuć na wierzchowcu. Wjechał na pastwisko i przez dłuższą chwilę znów miał wrażenie, że znalazł się w raj. Krzyczał i śmiał się, stojąc przed rogami byków, pozwalał sobie nawet dotykać ich palcami, robiąc sprężyste uniki. Azirat, zwinny i szybki, czuł na każde drgnienie cugli, poddający się nogom i ruchom jeźdźca jak nigdy. Był najlepszy! Pomimo czerwonej sierści był najlepszy wśród setek koni, jakie przeszły przez stajnie królewskie. I ten wspaniały egzemplarz miał dostać się w ręce najgorszego i najbardziej chępliwego jeźdźca w całej Andaluzji.

W pewnej chwili Azirat się zatrzymał — olbrzymi czarny byk stawiał mu czoło. Na odległość mierzyli swoje siły, byk pochylał łeb, a koń bił w miejscu kopytami.

Hernando odniósł wrażenie, że słyszy gwizdy tłumu na placu Corredera i obelgi pod adresem hrabiego de Espiel.

Koń podrzucał łbem i bił kopytami, jakby to on wyzywał wroga na pojedynek. To dziwne, pomyślał Hernando. Czuł w swoich nogach przyśpieszony oddech Azirata.

Nagle byk zaatakował wściekle. Hernando pociągnął za cugle i ścisnął boki Azirata, żeby przygotował się do uniku, ale zwierzę nie reagowało. W mgnieniu oka gwizdy, które jeszcze dźwięczały mu w głowie, zmieniły się w aplauzy i wiwaty, a kiedy widział już wściekłe oczy czarnego byka, puścił cugle Azirata, żeby on sam zdecydował o swoim losie. Wtedy koń stanął dęba i wystawił pierś na rogi byka.

Uderzenie było śmiertelne, a Hernanda wyrzuciło na odległość kilku kroków, podczas gdy byk, zamiast pastwić się nad leżącym

już na ziemi koniem, oddalał się dumnie, jakby składał hołd — zgodnie z prawem rządzącym życiem zwierząt — temu spośród swoich, który zdecydował się nie uciekać przed jego szarżą.

José Velasco, któremu don Diego przykazał dyskretnie śledzić i pilnować moryska, zapewniał później, przysięgając na wszystkie świętości każdemu, kto chciał go słuchać, że to sam koń, jakby świadomie tego pragnął, zdecydował się na pewną śmierć, choć najpierw z niespotykaną elegancją i kunsztem okpił wszystkie byki w potyczkach, do jakich doszło tego jesiennego poranka.



Niestety, przysięgi lokaja i jego fantazje, jak to określili ci, którzy wysłuchali tych historii, nie okazały się na tyle wiarygodne, by poturbowany Hernando uniknął natychmiastowego aresztowania i wtrącenia do więzienia. Tak zarządził don Diego López de Haro zgodnie z uprawnieniami, jakie mu przysługiwały. Wielki koniuszy poczuł się oszukany przez moryska, tym bardziej że okazał mu dobrą wolę, wysłuchał jego błagań, spełnił jego pragnienie. Do doznanego zawodu dołączyła się troska związana z nieuniknioną, lecz na pewno gwałtowną reakcją hrabiego de Espiel na wieść o śmierci jego konia.

— Dałem ci szansę, żebyś coś osiągnął w życiu, ale ją przepaściłeś — powiedział wielki koniuszy w obecności pracowników stajni, między innymi Abbasa, kiedy José Velasco dosłownie przyniósł go z pastwiska. — Nic nie mogę dla ciebie zrobić. Wszystko zależy od decyzji sądu i hrabiego de Espiel, którego pozbawiłeś konia.

Ale Hernando nie słuchał i nie zareagował na słowa don Diega: wciąż przeżywał na nowo tę magiczną chwilę, w której Azirat pokazał, że ma własną wolę i zdecydował sam za siebie. Żaden znany mu koń nie zrobił czegoś podobnego!

— Zaprowadźcie go do więzienia. Ja, don Diego López de Haro, wielki koniuszy Jego Królewskiej Mości Filipa II, tak rozkazuję.

Hernando przechylił głowę na bok. Więzienie! Czy Azirat to

przewidział? Może on też powinien był zginąć, zastanawiał się, idąc pod eskortą Joségo Velasco i dwóch innych mężczyzn przez Campo Real, obok alkazaru chrześcijańskich królów. Nie miał dla kogo żyć. Została tylko matka, pomyślał ze smutkiem. Szli w kierunku więzienia, Hernando utykał na jedną nogę i pojękiwał, oparty na ramieniu Joségo. Lokaj wciąż nie umiał pogodzić tego, co widział na pastwisku, z logicznymi argumentami osób, którym to opowiedział, ale nie chciały mu wierzyć. On naprawdę to widział! José i Hernando spojrzeli na siebie, nieokreślony grymas wykwitł na ustach lokaja. Przeszli pod mostkiem katedry i w milczeniu szli pod górę ulicą Arquillos, mijając po prawej stronie meczet. Ludzie przypatrywali się z ciekawością temu orszakowi.

Tylko Bóg mógł pokierować krokami Azirata, tak samo jak robił to wobec wierzących, wywnioskował Hernando. Skoro on wyszedł z tego cało, to po co koń się tak poświęcił? Czy po to, by jego pan skończył w więzieniu na łasce i niełasce człowieka, który doprowadził Azirata do ostateczności? Diabeł nigdy nie wejdzie do namiotu, w którym jest koń arabski, napisał Prorok, podnosząc te szlachetne zwierzęta do rangi obrońców wierzących. Co chciał mu powiedzieć Bóg przez Azirata? José Velasco szarpnął go za ramię, gdy Hernando zwolnił kroku w zamyśleniu. Jakie boskie przesłanie zawarte jest w wydarzeniach tego poranka? — zastanawiał się dalej.

— Nie zatrzymuj się! — rozkazał jeden z mężczyzn i popchnął go mocnym uderzeniem w plecy. Nigdy dotąd nie oberwał takiego kuksańca. Azirat z pewnością nie chciał widzieć go w więzieniu! Jak uwolnić się od tej groźby? Nie ucieknie daleko swojej eskorcie, najwyżej kilka kroków, poza tym oni mają broń...

— Rób, co ci każę! — O mało nie przewrócił się od nowego pchnięcia.

José Velasco puścił jego ramię i spojrział ze zdziwieniem.

— Hernando, nie utrudniaj mi sytuacji — poprosił.

Już tylko kilka kroków dzieliło ich od Bramy Dziekanów wychodzącej na ogród meczetu. Morysk spojrział w tę stronę. José Velasco również.

— Nawet nie próbuj... — ostrzegł go lokaj.

Ale Hernando już biegł do meczetu, nie bacząc na ostry ból w całym ciele.

Dotarł do bramy w tym samym momencie, gdy trzech mężczyzn rzucili się na niego, razem wtargnęli do środka i znaleźli się w ogrodzie pomarańczowym katedry. Hernando walczył i wierzył nogami, by uwolnić się od napastników, ale mięśnie go już nie słuchały. Otoczyli ich znajdujący się w ogrodzie ludzie. Tymczasem José Velasco zdołał unieruchomić Hernanda, a dwaj pozostali chwycili go za nogi i ręce, szarpiąc i próbując wyciągnąć na zewnątrz jak worek.

— Mów! — zachęcił go człowiek obserwujący tę scenę.

Co mam powiedzieć...? — zastanawiał się Hernando.

— Krzycz! — ponaglił inny.

Co miał krzyczeć?

Śludzy wielkiego koniuszego podnieśli go z ziemi. Hernando wisiał między nimi jak zwierzę.

— Święte miejsce! — rozległ się głos kobiety.

— Ratunku! — krzyknął morysk, przypominając sobie nagle, ile razy słyszał to wołanie podczas pobytu w katedrze. — Niech to święte miejsce mnie strzeże i chroni!

Napastnicy Hernanda przystanęli przed Bramą Dziekanów, zawahali się przez moment, ale zaraz potem podjęli próbę wyciągnięcia go z terenu katedry.

— Co wy sobie myślicie? — Niespodziewanie odezwał się ksiądz, który przeciął im drogę. — Czy nie słyszeliście, że ten człowiek poprosił o azyl kościelny? Puśćcie go natychmiast! Nakazuję to wam pod karą klątwy *ipso facto*! — Żelazny ucisk na rękach i nogach Hernanda nieco osłabł.

— Ten człowiek... — usiłował wyjaśnić José Velasco.

— Pogwałcenie prawa azylu i nietykalności człowieka, który chroni się w świętym miejscu, to świętokradztwo! — przerwał mu szorstko ksiądz, nie dając dojść do słowa.

Lokaj kazał służącym wypuścić Hernanda, który runął na ziemię i chwilę leżał bez ruchu.

— Długo nie pomieszkasz w katedrze — pogroził mu José Velasco, chociaż sam bał się, że zostanie ukarany przez swojego pana za to, że pozwolił uciec moryskowi. — Wyrzucą cię stąd za trzydzieści dni.

— O tym zadecyduje prowizor kościelny — przerwał mu ksiądz. José i jego ludzie zmarszczyli czoła pełni niepokoju. — A ty — dodał, zwracając się do Hernanda — poszukaj wikariusza, opowiedz mu, co się stało i dlaczego postanowiłeś skorzystać z prawa azylu.

# 43

Posypały się oklaski na cześć duchownego, gdy tymczasem Hernando, stękając, podnosił się z ziemi. Do wcześniejszych potłuczeń doszły skutki walki z Josém i jego towarzyszami oraz ostry ból w plecach po upadku na ziemię, więc poruszał się z wielkim trudem. Z pomocą pospieszył mu kędzierzawy blondyn o niebieskich oczach, takich samych jak jego.

— Spokój! — wykrzyknął ksiądz. — Kto nie posłucha, straci prawo azylu i wyleci ze świątyni.

Oklaski natychmiast ustały, ale żarty i kpiny z ludzi królewskiego koniuszego, którzy musieli odejść z niczym, wybuchły na nowo, ledwie ksiądz oddalił się na tyle, że nie mógł ich słyszeć albo nie chciał się fatygować ponownym uciszaniem licznej grupy przestępców i nieszczęśników szukających w katedrze schronienia przed świecką sprawiedliwością. Zresztą nawet się nie odwrócił, słysząc gromki śmiech za plecami, tylko niechętnie pokiwał głową.

— Nazywam się Pérez — powiedział jasnowłosy, który pomógł mu wstać, a teraz wyciągał do niego rękę na przywitanie.

— My przezywamy go Nurkiem — wtrącił mężczyzna z prawie gołym torsem mimo październikowych chłódów.



— Hernando — przedstawił się morysk.  
— Pedro — powiedział ten z odkrytym torsem.  
— Idziemy do wikariusza — przypomniał mu Nurek.  
— Nie chciałbym wam sprawiać kłopotu — sumitował się morysk.

— Dla nas to żaden kłopot — odparł blondyn, kierując się do katedry. — Nie mamy tu nic do roboty. Nie możemy sobie pograć w karty, bo zabraniają. Nie wolno nam nawet klaskać, jak widziałeś. — Hernando próbował dotrzymać mu kroku, ale nie miał siły. Pérez czekał na niego i razem weszli do świątyni. — Pokłócił się z wikariuszem — powiedział blondyn, kiedy Pedro zatrzymał się pod drzwiami. — Zdaje się, że poszło o jakiś cenny naszyjnik — wyjaśniał, przesuwając się między kolumnami dawnego meczetu — ale nie znam szczegółów. Chyba nie chciał wytłumaczyć się wikariuszowi.

Hernando dobrze wiedział, że zakrystia mieści się w południowej części katedry obok skarbcza, w kaplicy między mihrabem a biblioteką, która po remoncie miała przekształcić się w kaplicę Najświętszego Sakramentu. Pérez zdziwił się, że wikariusz don Juan uśmiechnął się do nowego, kiedy stanęli skromnie w progu, pytając, czy mogą wejść.

— Źle mieć takiego wroga jak hrabia de Espiel — powiedział don Juan po wysłuchaniu historii moryska. Pérez cały czas nadstawiał uszu, a wikariusz notował coś w swoich księgach. — To dla prowizora. Zobaczymy, co postanowi w twojej sprawie. Wkrótce się dowiesz... Przykro mi z powodu twojej rodziny — dodał na zakończenie.

— Skąd go znasz? — zapytał Pérez natychmiast po wyjściu z zakrystii. — To twój przyjaciel? Jak to...?

— Idziemy do biblioteki — przerwał mu Hernando.

Don Julián zajmował się przenoszeniem ostatnich woluminów. Nowa biblioteka, obok bramy Świętego Michała, była mniejsza, toteż spora część księgozbioru znalazła się w prywatnej bibliotece biskupa. Tam ukryli też stronice Koranu i przepowiednie arabskie.

— Nie przeszkadzam? — spytał Hernando, zatrzymując się przy kracie oddzielającej teraz rusztowania i robotników od reszty meczetu.

— Bibliotekarza też znasz? — szepnął Nurek zaskoczony serdecznym powitaniem ze strony don Juliána; uśmiech duchownego miał jednak odcień smutku od czasu zniknięcia Fatimy i dzieci.

Spacerując między kolumnami meczetu, Hernando powtórzył to samo, co przed chwilą powiedział wikariuszowi. Nurek trzymał się nieco z tyłu.

— Hrabia de Espiel! — westchnął don Julián. On też nie był najlepszej myśli. — W każdym razie prowizor będzie po twojej stronie. Ród Espielów mocno sprzeciwiał się budowie nowej katedry, dopóki cesarz Karol Pierwszy nie wypowiedział się w tej sprawie. Wskutek prac budowlanych Espielowie stracili swoją kaplicę, a następnie odegrali się na kapitule katedralnej, finansując inny kościół, w którym uzyskali patronat nad główną kaplicą. Odtąd hrabia nie ma dobrych stosunków z biskupem.

— Co mi przyjdzie z tego, że prowizor będzie po mojej stronie?

— On jest sędzią kościelnym i decyduje, czy twoje żądanie azylu mieści się w normach kanonicznych i soborowych. W zasadzie tak. Nie jesteś mordercą ani zabójcą napadającym po drodze na drogach. Z tego, co mi powiedziałeś, wnoszę, że twoje przestępstwo mieści się w kategoriach objętych prawem do kościelnego azylu. Ale to nie wszystko, prawo azylu nie jest dane na czas nieokreślony, bo wtedy świątynie stałyby się domami przestępców. W Kordobie obowiązuje maksymalnie przez trzydzieści dni. W tym okresie azylant powinien poczynić stosowne starania o złagodzenie skutków swej przewiny. Znajac hrabiego de Espiel, tobie się to nie uda. — Hernando ze smutkiem skinał głową. — Hrabia nie ustąpi ani na krok. Będzie żądał surowego wyroku. Nie zadowoli go kara cielesna. Czas azylu zwykle kończy się chłostą. Kościół domaga się od świeckiej sprawiedliwości łaskawego potraktowania przestępcy

i po zawarciu ugody oddaje go w jej ręce. Prowizor odgrywa w tym ważną rolę, ponieważ może przedłużać azyl w nieskończoność, jeśli widzi, że są kłopoty z ugodą.

— Hrabia nic nie zrobi bez zgody Kościoła, prawda? Przecież nie zabierze mnie siłą z katedry i nie dokona samosądu za moje... przewinienie.

— Chrześcijanie w większości szanują kościelne prawo azylu — odparł don Julián. — Groźba ekskomuniki *ipso facto* za nieprzestrzeganie tego prawa napawa lękiem ich pobożne sumienia. — Hernando instynktownie dotknął obolałych łądźwi. Rzeczywiście, José Velasco natychmiast wypuścił go z rąk, gdy tylko padły słowa o ekskomunice. — Ale hrabia de Espiel — ciągnął dalej duchowny — nie musi osobiście narażać się na anatemę. Może wynająć ludzi, którzy będą działać w jego imieniu. Dlatego nie ufaj nikomu. Kiedy on dowie się, gdzie cię szukać, jego ludzie obstawią wszystkie bramy, żeby nie dopuścić do ciebie nikogo z jedzeniem ani w odwiedzin, krótko mówiąc, utrudnią ci życie do granic możliwości. Nie ufaj nikomu, kto będzie chciał się do ciebie zbliżyć w ogrodzie czy tu w katedrze. Mogą cię porwać i umieścić w lochach jednej z wielu posiadłości hrabiego.

— To znaczy, że jeśli mnie nie porwą... — mruknął Hernando — muszę spędzić tu resztę życia?

Don Julián zatrzymał się i władczo nakazał Nurkowi, żeby zostawił ich samych.

— To znaczy — szepnął don Julián, sprawdzwszy, że Pérez przystanął dwie kolumny dalej — że pora pomyśleć o ucieczce do Berberów.

— A matka? — Jedyne to pytanie przyszło mu do głowy.

— Może uciec z tobą. — Obaj popatrzyli na siebie. Połączyło ich tyle wspólnej pracy! Tyle marzeń! — Zajmę się przygotowaniami do tej podróży — dodał po chwili don Julián, widząc, że Hernando nie oponuje.

— Skoro tak, to pamiętaj, że najpierw muszę zajrzeć do Alpuhary, do zamku w Lanjarón...

— Po szablę?

— Owszem — przytaknął, błędząc wzrokiem po lesie kolumn. — Po szablę Mahometa.

— To ryzykowne, ale możliwe — uznał duchowny. — Mimo zakazów i nowych deportacji z Grenady wielu morysków wciąż podejmuje próby powrotu do tego królestwa. — Don Julián się uśmiechnął. — Czerwone zachody w Grenadzie mają magiczną moc przyciągania! No cóż... Z Grenady przedostaniesz się na wybrzeże Malagi albo Almerii, a stamtąd galera morysków zabierze cię do Vélez, Tetuanu, Larache albo do Salé.

Po zmroku Hernando opuścił katedrę i wyszedł do ogrodu, upewniony, że don Julián zajmie się wszystkim, zarówno przygotowaniem do ucieczki, jak i rozmową z prowizorem. W ogrodzie czekała na niego Aisza, którą don Julián kazał powiadomić, żeby przysłała do syna.

— Uciekniemy na wybrzeże berberyjskie — poinformował ją szeptem Hernando, gdy skończył opowiadać o tym, co mu się przytrafiło. Matka zmieniła się na twarzy, ale tego nie mógł widzieć w półmroku.

— Jestem za stara na takie przygody... — odparła.

— Mam dwadzieścia sześć lat, matko. Urodziłaś mnie w czter nastym roku życia, więc nie jesteś taka stara! Najpierw udamy się do Grenady, a stamtąd albo z Malagi już niedaleko do Tetuanu.

— Ale...

— Nie mamy innego wyjścia, matko, chyba nie chcesz, abym wpadł w ręce hrabiego. Jest jeszcze trochę czasu — wywnioskował to z rozmowy z don Juliánem. — Trzeba uśpić czujność ludzi hrabiego de Espiel, który na pewno każe mnie śledzić. W każdym razie bądź przygotowana.

Mimo pośpiechu i zdenerwowania po otrzymaniu wiadomości od don Juliána Aisza pomyślała o zabraniu koszyka z jedzeniem: chleb, trochę baraniny i owoce. Wody miał Hernando pod dostatkiem w wielkich dzbanach w ogrodzie. Było już po komplecie, kiedy pożegnała się z synem. Odźwierni zamykali drzwi katedry.

Wszyscy włóczędzy i azylanci musieli przenieść się do ogrodu. Niektórzy wyszli na zewnątrz, a reszta zajmowała miejsca, walcząc o te najlepsze i przepędzając stamtąd innych. Azylanci mieli do dyspozycji krużganki i kryte przejścia ogrodowe z wyjątkiem dzwonnicy, strefy zarezerwowanej dla konsystorza i terenu przyległego do Bramy Przebaczenia. W nocy panował chłód i musieli się gdzieś przytulić.

— To była twoja matka?

Hernando odwrócił się i zobaczył Nurka, którego zaintrygowały dobre stosunki moryska z hierarchią kościelną i postanowił włączyć go do swojej drużyny, bo jak ktoś ma takie kontakty, może okazać się przydatny.

— Tak.

— Chodź do nas. Mamy trochę wina.

Hernando przyjął zaproszenie i ruszył z Nurkiem przez ogród do galerii przy południowym murze. Chwilę temu pożegnał się z matką przed Bramą Przebaczenia, patrzył, jak znika w ciemnościach przygnębiona, chociaż zaplanowali ucieczkę do Berberów. Co ją tak martwi? — zastanawiał się.

— Naprawdę jesteś nurkiem? — zadał wreszcie pytanie, które nurtowało go przez cały dzień.

— Tak, jestem — uśmiechnął się blondyn. — Pracuję... pracowałem — poprawił — dla pewnego baskijskiego kapitana. Miał koncesję królewską na poszukiwanie zatopionych statków i skarbów u hiszpańskich wybrzeży. Posprzeczailiśmy się o parę złotych monet. Znalazłem je dość daleko od wraku, który wyciągaliśmy w Zatoce Kadyksu — powiedział, mlaskając językiem. — Mimo to wolałem uciec, ale deptali mi po piętach i dosłownie w ostatniej chwili schroniłem się tutaj.

Pérez długo wyjaśniał moryskowi za pomocą słów i gestów, jak działa machina z brązu, w której nurkowie schodzą na dno morza, żeby wydobywać zatopione skarby. Doszli już do galerii i dalej rozmawiali, ale Hernando nic z tego nie rozumiał.

— Nie martw się — powiedział mężczyzna, który potem

przedstawił się jako Luis. Miał złamany nos w kwadratowej twarzy, a na głowie czerwoną chustkę zawiązaną z tyłu. — Żaden z nas tego nie rozumie. Nie ma takiego urządzenia, sam je wymyślił.

Pérez chciał go kopnąć, ale Luis odsunął się ze śmiechem.

W świetle żagwi poprzyczepianych do łuków galerii od strony ogrodu widać było sześciu mężczyzn siedzących na ziemi wokół bukłaka z winem i jedzeniem, które dostali od rodziny lub przyjaciół.

— Witaj w galerii dzieciaków — odezwał się blondyn o gładko przyczesanych włosach, robiąc mu miejsce koło siebie.

Hernando rozejrzał się dokoła, ale nie widział żadnych dzieci.

— Galeria dzieciaków? Jak to? — wyraził zdziwienie, sadowiąc się na ziemi.

— Dawniej było to miejsce dla podrzutek — wyjaśnił ten z prostymi włosami, felczer z zawodu, Juan. Na wolności prowadził jakieś mętne interesy, dopóki nie oskarżyły go wdowy, którym oczyścił ciało z chorób... a mieszek z pieniędzy. — Wszędzie stały kołyski — dodał, zataczając ręką szerokie koło — ale pewnej nocy przyszło stado świń i pożarło kilkoro maluchów. Pobożny dziekan katedry kazał wtedy wybudować szpital dla podrzutek, a galerię oddał azylantom. Dlatego tak ją nazywamy.

Mimo woli Hernando pomyślał o Inés i Francisco. Jak bardzo zmieniło się jego życie w tak krótkim czasie! A teraz jeszcze Azirat, konflikt z hrabią... Sześć par oczu wpatrywało się w niego uważnie.

— Pij — nakazał Pedro. W dalszym ciągu był rozebrany do pasa mimo chłodnej nocy.

Hernando nie przyjął bukłaka, który mu wciskano. Patrzył na wiszące na murach liczne sambenita. Poruszały się jak żywe w migotliwym świetle płonących żagwi. Przypominały o ludziach skazanych przez inkwizycję, nadając temu miejscu makabryczny akcent.

— Ja nie odmówię! — Ciemnowłosa Mesa o wschodnich

rysach twarzy zabrał bukłak i przystawił go sobie do ust, pijąc łąpczywie prawie do dna. Nikt nie zaprotestował, chociaż zazwyczaj dokładnie liczono łyki.

— Księża chcą go stąd wyrzucić i oddać w ręce sprawiedliwości — wyjaśnił szeptem mężczyzna zwany Galo. — Nie wiadomo, dlaczego tak go nienawidzą. On tylko ukradł dokumenty z zezwoleniem na pracę... Za moich czasów jeszcze nikogo nie usunięto.

— Prędzej czy później każdego z nas to czeka... Więc korzystajmy z życia, póki czas. — Mówiący te słowa miał na imię Juan, tak samo jak felczer. Z zawodu był płatnerzem, świeżo po wyprawie do Indii, i popadł w tarapaty w związku z tajemniczym zniknięciem partii arkebuzów.

— Ja nie... — zaczął sprzeciwiać się Pérez.

— Który to Hernando?!

Krzyk rozdarł ciszę ogrodu. W drugim końcu galerii dzieciaków, przy bramie Świętej Katarzyny, zamajaczyła sylwetka mężczyzny z rękami na biodrach.

— Nic nie mów! Nie ruszaj się! — rozkazał felczer, widząc, że Hernando zabiera się do wstania.

— Gdzie ten skurwiel Hernando?! — krzyknął ponownie mężczyzna stojący w bramie.

— Po co tyle hałasu? — odezwał się Pérez, podnosząc się z miejsca. Wszyscy znali Nurka. — Pobudzisz księży, jak będziesz tak wrzeszczał. O co chodzi z tym Hernandem?

— O to, że katedra jest otoczona przez ludzi hrabiego de Espiel. Nie odejdą, dopóki nie dostaną tego człowieka. A my nie możemy wyjść. Grożą, że nas zatrzymają i przekażą w ręce sprawiedliwości... chyba że sami wydamy im tego moryska.

Ryzykując utratę prawa do azylu, większość mężczyzn wychodziła nocą na miasto. Szli pograć w karty, kości i obstawiać zakłady na pobliskim Potro. Tam było wino, kobiety i okazje do walki. Strażnikom miejskim i sądowym nie chciało się ciągle patrolować okolic katedry, zresztą nie widzieli takiej potrzeby,

gdyż stopniowo, po wynegocjowaniu korzystnych warunków ugody, przestępcy przechodzili pod kontrolę władz świeckich, po co więc zrywać się z łóżka dla garstki nieszczęśników, którzy prędzej czy później sami wpadną w ich ręce. Ale tu płacił hrabia, internowani potrzebowali rozrywki, więc sprawa się komplikowała.

Grupa mężczyzn z innych części ogrodu zbliżyła się do bramy Świętej Katarzyny. W części północnej na galerii dzieciaków zaczął się jakiś ruch.

— To prawda. Widziałem uzbrojonych żołnierzy na ulicy — potwierdził jeden z sąsiadów Hernanda.

— Zdaje się, że ty masz gorzej niż ja — zauważył Mesa, ocierając usta po kolejnym łyku wina — a jesteś tu dopiero pierwszy dzień.

Hernando nie wiedział, co z sobą począć. Kręcił się nerwowo.

— Siedz spokojnie! — mruknął Nurek.

— Gdzie ten Hernando? — napłynął głos z południowej galerii.

— Oddajmy go żołnierzom hrabiego! — rozległy się krzyki.

Coraz więcej internowanych gromadziło się przed bramą Świętej Katarzyny.

— Głupcy! — wrzasnął na nich Luis. — Co was obchodzi, kogo szukają? Hernando to ja!

— I ja! — zawołał natychmiast felczer, pojawiający intencje kolegi.

— Ja też nazywam się Hernando! — oświadczył Nurek. — Jeśli ustąpimy, dziś zabiorą Hernanda, a jutro innego. Ciebie — dodał, wskazując palcem najbliższego mężczyznę — albo ciebie. Wszyscy mamy z kimś na pieńku. Naszych prześladowców nie stać co prawda na wynajęcie żołnierzy, ale gdy się dowiedzą, że sami wydajemy kolegów... Tu każdy z nas jest nietykalny. Pogwałcenie tego prawa to świętokradztwo, nieważne kto za tym stoi. Jego Wielbność biskup bardzo się ucieszy, jeśli to zrobimy. Będzie miał powód wyrzucić stąd wszystkich na zbity pył!

— Masz szczęście — powiedział Mesa do Hernanda. Tylko oni dwaj siedzieli w kręgu kolegów. Inni stali w milczeniu, widać było, że się wahają.



— Ale my chcemy wyjść — odezwał się jeden ze stojących. Po tych słowach dał się słyszeć pomruk przerywany głośnymi obelgami. — Wydajmy go! Biskup się nie dowie.

— A kto to wie? — odparł drwiąco Mesa, sięgając ponownie po bukłak wina.

— Nie możemy go wydać — rzekł Luis i dodał, zwracając się do zgromadzonych: — Połączcie się w większe grupy i wychodźcie przez różne bramy naraz, żeby rozdzielić żołnierzy. Ludzie hrabiego sprawdzą, czy ten Hernando jest wśród was, a jak zobaczą, że go nie ma, puszczą was wolno. Nie płacą im za nas. Na wszelki wypadek pokażcie im wasze noże i sztylety.

— Każdy z nas w pojedynkę poradzi sobie z trzema żołnierzami!

Znowu przeszedł pomruk, tym razem aprobaty. Pierwsza grupa wychodzących zniknęła w bramie z nożami w rękach. Inni wychylili się, żeby zobaczyć, jaka będzie reakcja żołnierzy. Rzeczywiście, ludzie hrabiego trochę się wystraszyli na widok uzbrojonej grupy, sprawdzili, czy nie ma w niej moryska i odsunęli się na bok, nie zatrzymując nikogo. Nowa grupa skierowała się do Bramy Dziekanów.

— Tym razem mu się udało — uśmiechnął się Mesa, kiedy koledzy usiedli na ziemi.

— Jestem wam wdzięczny... — zaczął Hernando.

— Jutro wstawisz się za Mesą u bibliotekarza — przerwał mu felczer.

Morysk spojrział na złodzieja dokumentów. Skośne oczy, nabrzmiałe od wina, zabłyśły pytaniem.

— Fortuna jest kapryśna — zażartował Hernando.

Mimo gwarancji bezpieczeństwa ze strony przestępców Hernando nie mógł zasnąć do rana, zwracał baczność uwagę na wszystkich przechodzących obok niego. Miał świadomość, że wciąż grozi mu niebezpieczeństwo, gdyż kilka złotych koron to ogromna pokusa dla wielu z tych, którzy wchodzili, wychodzili, bili się albo dowcipkowali. Wydaliby go za mniejszą sumę przy sprzyjającej okazji, nawet pod groźbą ekskomuniki i grzechu świętokradstwa.

Jedna jedyna myśli łagodziła tę mękę. Trzymał się jej, odpychając wspomnienia o zmarłej rodzinie i swoim zmarnowanym życiu: wybrzeże berberyjskie!



Bicie dzwonów na laudy wyrwało wszystkich ze snu. Hernando przeciągnął się, gotów biec, zanim fala księży, muzyków, kantorów i całej reszty zatrudnionych w katedrze nie zaleje ogrodu, ale powstrzymał go widok rozleniwionych towarzyszy nocnej przygody.

— Nie wstajecie? — zapytał leżącego obok felczera.

— Nie chce nam się rozpoczynać dnia na rozkaz dzwonnika. Znamy lepsze sposoby. Poczekaj, a sam się przekonasz. Stawiam miedziaka, że trafi! — zawołał po chwili.

— Zgoda. — Nurek przyjmował zakłady.

— Stawiam dwa, że nie trafi! — odezwał się Luis.

— Wygram! — podśpiewywał Mesa.

— Patrz. — Felczer pokazał na męczyznę stojącego o trzy, cztery kroki dalej wśród drzew pomarańczowych w połowie jednej ze ścieżek wychodzących z galerii do ogrodu.

Hernando przyjrzał mu się uważnie: łysy, oczy półprzymknięte, wargi zaciśnięte, jakby chciał je schować, nie bacząc na wystający siekacz; stał nieruchomo, sztywno wyprostowany z marmurową płytą na głowie.

— Co on wyprawia?

— Palacio? Cierpliwości, zaraz zobaczysz.

Razem z ludźmi wchodzącymi do ogrodu wbiegło kilka wieprzków i sporo psów. Przyciągnął je zapach śniadania bijący od duchownych i resztek wczorajszej kolacji azylantów. Hernando zauważył, że niektóre psy chowały ogon pod siebie na widok Palacio i czmychały, gdzie pieprz rośnie.

— Dlaczego...?

— Cicho! — przerwał mu Nurek. — Zawsze znajdzie się jakiś nowy, który da się nabrać.

Rzeczywiście, łaciaty ogar ze skręconym ogonem obwąchi-

wał buty i podarte czerwone pludry stojącego Palacia. Wiercił się niespokojnie, szukając odpowiedniej pozycji, i gdy podnosił łapę, gotów obsikać mu nogę, ten wyliczył linię spadania i pochylił głowę tak, by płyta całym ciężarem zsunęła się prosto na psa, który zawył z bólu i uciekł, nie dokończywszy sikania. Palcio nieruchomy, jakby czekał na oklaski, uśmiechnął się szeroko, pokazując wystający siekacz\*.

— Bravo! — zawołali Mesa i felczer, wyciągając ręce po wygraną.

— Zawsze tak robi? — spytał Hernando.

— Codziennie! Punktualny jak dzwon — odpowiedział Nurek. — Kiedyś gonił go pewien właściciel psa, dlatego ma uraz do tych zwierząt. Czasem stawiamy dziesięć do jednego, że i teraz pojawi się jakiś właściciel — dodał ze śmiechem.



Tej nocy Hernando nie spał w ogrodzie.

— Wczoraj wieczorem hrabia poprosił o audiencję u biskupa. Jednocześnie porozstawiał swoich ludzi na ulicach wokół katedry — powiedział don Julián po skończonych laudach, kiedy wysłuchał opowieści moryska o wydarzeniach minionej nocy. — Podobno aż pienieł się ze złości. Nie sądzę, żeby biskup zechciał go przyjąć. Ale hrabia znajdzie jakiś sposób i wydostanie cię stąd, choćby miał nasłać cały oddział porywaczy. Jestem tego pewien.

— Dla niego to był tylko zwykły koń, don Juliánie! Odrzutek ze stadniny królewskiej! Skąd w nim tyle złości?

— Mylisz się. Tu nie chodzi o konia, tylko o hrabiowski honor! Morysk śmiał splamić jego imię, naruszyć jego prawa. Nie ma większej zniewagi dla szlachcica.

Honor! Hernando przypomniał sobie, jak przed laty pewien hidalgo mający się za potomka rzymskiego rodu Varus wyzwał na

---

\* Z podziwem i wdzięcznością dla maestra powieści Miguela Cervantesa, od którego zapożyczyłem „szaleńca z Kordoby”, postać z drugiej części *Don Kichota* (Autor).

pojedynek nieznanego człowieka tylko dlatego, że posądzał go o zniwagę. Przypomnił sobie również cztery monety, które zarobił przy tej okazji. Z taką radością dał je Fatimie... swojej Fatimie!

— Jak wiesz — kontynuował don Julián, wrywając go z zamyślenia — jestem nie tylko bibliotekarzem, lecz również kapelanem małej kapliczki Świętego Barnaby. To ta, która wraz z dwoma innymi mieści się za głównym ołtarzem. Dziś wieczorem dostaniesz do niej klucze. Kiedy zaczną zamykać drzwi i usuwać ludzi ze świątyni, ukryj się w szafie w murze, którą opróżnię za dnia. Odczekaj chwilę, a potem wyjdź i poszukaj sobie jakiegoś miejsca do spania. Tylko uważaj, bo w nocy są wystawiane straże wewnątrz katedry, nie kręć się w pobliżu skarbcza.

— Narażasz się dla mnie na wielkie ryzyko. Gdybym wpadł...

— Jestem już stary, a ty możesz dla nas jeszcze dużo zrobić, nawet po wyjeździe do Afryki. Spadło na ciebie wiele nieszczęść, Bóg jeden wie, dlaczego przyszłość naszego ludu spoczywa na barkach takich ludzi jak ty.

Towarzysze niedoli nie zauważają jego nieobecności nocą, przekonywał go ksiądz, a nawet jeśli, to co ich to obchodzi. Hernando nie zapomniał wstawić się za Mesą, złodziejem dokumentów. Don Julián wysłuchał jego prośby z gorzkim uśmiechem, ale obiecał zrobić, co w jego mocy. Tymczasem hrabia de Espiel postawił jeszcze więcej zbirów na ulicach i postanowił nie dopuścić do Hernanda Aiszy z jedzeniem, chociaż taki czyn mógł być poczytany za świętokradztwo i zagrożony ekskomuniką. Dowiedziawszy się o tym, Hernando przestał mieć opory przed spędzaniem nocy w meczecie. Don Julián z działającym incognito Abbasem (kował nie chciał powiadamiać Hernanda o swoim udziale) starali się jak najszybciej przerzucić go na wybrzeże berberyjskie, lecz hrabia wciąż psuł im szyki. Zdawał sobie sprawę, że ucieczka jest dla moryska jedyną szansą, i nie żałował pieniędzy na wynajęcie szpiegów niemających skrupułów, którym kazał przekupywać i zastraszać ludzi odpowiedzialnych za nielegalne przerzuty drogą morską.

Hernando bez trudu przechytrzył strażników pilnujących, by wszyscy wyszli z katedry po ostatnim nabożeństwie, był jednak bardzo zdenerwowany, rozglądał się na boki, pociły mu się ręce i wzdrygał się na najmniejszy hałas. Nawet brzęk kluczy na kółku, które miał przy sobie, przyprawiał go o kołatanie serca. Don Julián zadbał o naoliwienie zamka i zawiasów wielkiej kraty w portalu kaplicy Świętego Barnaby, za dużej jak na takie małe pomieszczenie.

— Opuszczamy świątynię! — usłyszał nawoływania odzwiernych, którzy starali się dotrzeć do każdego zakątka, nie podnosząc przesadnie głosu. Szybko zamknął za sobą kratę. Za wspaniałym gobelinem po lewej stronie znajdowała się szafa, o której mówił don Julián.

Światło lamp oliwnych zwisających z sufitu katedry oraz tysiąca świeczek zapalonych w nawach i przy ołtarzach wydobywało z białego marmuru niezwykle blaski. Hernando był tym zauroczony. Tyle razy tędy przechodził i niczego nie widział, natomiast teraz, dotykając palcami marmuru ołtarza i retabulum, zajmującego prawie całą powierzchnię frontowej ściany, uzmysłowił sobie ogromną różnicę między tą kaplicą i pozostałymi. Kaplica Świętego Barnaby była arcydziełem stylu romańskiego, który z ogromnym trudem torował sobie drogę w krajach tak fanatycznie katolickich jak monarchia króla Filipa. Sceny wyryte w białym marmurze retabulum, dzieło francuskiego rzeźbiarza, kontrastowały z bogactwem kolorów, złoceniami gzymsów i ponurością apokaliptycznych obrazów występujących w innych miejscach katedry.

Hernando stał nieruchomo, sycąc się spokojem i pięknem tego miejsca, gdy dobiegł go głośny skrzyp. To odzwiermi sprawdzali, czy kraty do kaplic są dobrze zamknięte. Słyszając ich śmiechy i rozmowy, odsunął gobelin i wszedł do szafy dosłownie w ostatnim momencie, gdyż strażnicy zaglądali już do kaplicy Świętego Barnaby.

Do rana nie opuścił swojej kryjówki. Wyczerpany wieloma bezsennymi nocami i nocnymi koszmarami usadowił się na dnie

szafy i szybko zasnął. Obudził go o świcie hałas w katedrze. Porzucił swoje ciasne lokum, by wyrzecz ostrożnie spoza kraty: rozpoczynała się *prima hora* przy głównym ołtarzu i na chórze po przeciwległej stronie. Nie chciał, żeby nakryto go z kluczami, więc przywiązał je zardzewiałym drutem do dolnej sztaby kraty.

Podobnie było przez kilka następnych nocy: spał na siedząco, z podkurczonymi nogami, albo na stojąco, albo nie spał wcale, tylko oplakiwał Fatimę, swoje dzieci, Hamida i wszystkich, których stracił. W ciągu dnia nic nie robił, więc miał dużo czasu na odzyskanie sił. Bez żalu pożegnał się z towarzyszami swojej pierwszej nocy, unikając odpowiedzi na wścibskie pytania. Odtąd starał się omijać ich z daleka. Pewnego ranka zobaczył, że wyprowadzają złodzieja dokumentów, by oddać go w ręce świeckiej sprawiedliwości, której przedstawiciele czekali już na ulicy przed Bramą Przebaczenia. Aisza poprosiła braci w wierze o pomoc w dostarczaniu posiłków dla syna i codziennie któryś z morysków pojawiał się w ogrodzie z koszem pełnym jedzenia. Zamieszkała kątem u obcej rodziny, gdyż kapituła katedralna eksmitowała ją z domu przy ulicy Barberos wskutek niepłacenia czynszu.

— Zabrali nam wszystkie sprzęty, wszystko, co otrzymaliśmy od naszych braci wtedy po kradzieży — szlochała — sienniki, garnki... Mówią, że to na poczet zaległości w opłatach.

Hernando przestał słuchać, czując, jak zrywa się ostatnia nić łącząca go z poprzednim życiem. Na krótko znalazł w nim szczęście, zakazane, jak się zdaje, wyznawcom prawdziwej wiary.

— A Koran? — spytał nagle, nie bacząc, że ktoś może usłyszeć. Aisza rozejrzała się z niepokojem.

— Dałam go Dżalilowi na krótko przed eksmisją — umilkła na kilka chwil. — Ale tego mu nie przekazałam.

Dyskretnie wsunęła synowi do dłoni amulet z ręką Fatimy, mały, złoty klejnot noszony przez jego żonę na piersiach. Hernando pogłaskał swój skarb; złoto było wyjątkowo zimne w dotyku.

Tej nocy ukryty w szafie kaplicy Świętego Barnaby ze łzami w oczach całował po tysiącokroć wisiorek. Czuł zapach Fatimy,

słyszał jej słowa, zwłaszcza te, które padły tutaj, w domu modlitwy: „Ibn Hamidzie, zapamiętaj na zawsze tę przysięgę i wypełnij ją, cokolwiek miałyby się wydarzyć”.

Przysięgł jej na Allaha, że pewnego dnia będą razem modlić się do jedyne Boga w tym świętym miejscu. Ścisnął złoty klejnot w dłoni. „Wypełnij ją, cokolwiek miałyby się wydarzyć”! — nalegała Fatima z powagą. Ucałował jeszcze raz drogocenną pamiątkę, czując słony smak łez. Przysięgł to na Allaha! Przysięgł również, że rzuci chrześcijan do jej stóp, a teraz... Fatima nie żyje. On musi wypełnić tę przysięgę!

Opuścił swoje schronienie i przeszedł do nawy głównej słabo oświetlonej lampami i świecami. Usiłował zorientować się, która godzina, ale w szafie stracił poczucie czasu. Cokolwiek miałyby się zdarzyć! — powtarzał sobie raz po raz. W świątyni panowała cisza, nie licząc szmerów dobiegających z zakrystii Punto w części południowej, miejsca, gdzie przechowywano szaty i naczynia do cichej mszy, obok skarbca i relikwii katedralnych. Na prawo od zakrystii Punto znajdowała się główna zakrystia, dalej kaplica Ostatniej Wieczerzy z Najświętszym Sakramentem, obok kaplica Świętego Piotra, a w niej fantastyczny mihrab wybudowany przez Al-Hakima II, obecnie bezczeszczone, przerobiony na zwykłą, wulgarną zakrystię.

Z duszą na ramieniu obszedł ołtarz główny i chór pośrodku katedry, nadstawiając ucha w stronę zakrystii Punto, skąd słychać było strażników. Dotarł do końca kaplicy Villaviciosa w tej samej nawie co mihrab. Obszedł od tyłu tę kaplicę i znalazł się na wprost modlitwowej niszy. Dzieliło go od niej tylko dziewięć kolumn.

„Przysięgam ci dzisiaj, że pewnego dnia razem będziemy się modlić w tym świętym miejscu”. Przysięga złożona Fatimie na nowo rozbrzmiewała w jego uszach. „Cokolwiek by się stało!” — zażądała. Przytulony plecami do ściany, patrząc na las kolumn wzniesionych w hołdzie Allahowi, doznał dziwnego uczucia spokoju. Szmer rozmów strażników przemienił się w śpiew tysięcy wyznawców, którzy przez wieki wznosili tu swoje modły do jedyne Boga.

Nie mógł dokonać ablucji, nie było czystej wody ani piasku. Zdjął buty i wilgotnymi od łez dłońmi przetarł twarz, potem ręce do łokci, głowę, a następnie stopy aż do kostek.

Kiedy to uczynił, uklęknął i zaczął się modlić. Nie czuł żadnego lęku.



Odtąd codziennie przed zamknięciem katedry, chowając się przed ludzkimi spojrzzeniami, dokonywał należytych ablucji wodą z ogrodowego zbiornika wśród drzew pomarańczowych. Nocami modlił się, próbując dotrzeć do Fatimy i dzieci poprzez modlitwę.

Czasem strażę wychodziły z zakrystii Punto na obchód, ale zawsze, jak gdyby Bóg go chronił, Hernando zdążył przycisnąć się do muru kaplicy Villaviciosa; stał tak bez ruchu, prawie nie oddychając, dopóki strażnicy nie obeszlą wnętrza całej katedry, zajęci beztroską rozmową.

Towarzysze pierwszej nocy znikali jeden po drugim. Tylko Palacios trwał niewzruszenie na posterunku i z większym lub mniejszym sukcesem usiłował trafić w nieszczęsne psy przyciągane zapachem jego spodni i butów.

Podczas gdy sędzia kościelny badał sprawę azylu Hernanda, don Julián podejmował bezowocne próby przygotowania ucieczki torpedowane przez hrabiego de Espiel. Hernando żył tylko dla tych kilku chwil, kiedy z twarzą zwróconą do *kibla* modlił się w miejscu tyle razy bezczeszczonym przez chrześcijan, a mimo to pulsującym prawdziwą wiarą.

Z nocy na noc czuł się coraz pewniej w świątyni. W swoim meczecie! To był jego meczet. Jego i wszystkich wyznawców Allaha. Nikt go im nie odbierze.



— Zrobić przejście!

Za trzema potężnymi furtianami wtargnęło do ogrodu przez Bramę Przebaczenia pół tuzina zbrojnych lokajów w czerwonej



liberii haftowanej złotem i kolorowych pludrach z rozcięciem na udach. Był pierwszy dzień zimy, poranek Wszystkich Świętych.

Sam biskup Kordoby w paradnych szatach, otoczony przez licznych członków kapituły, czekał pod Łukiem Błogosławieństw.

— Dziś przed rozpoczęciem głównych uroczystości przybędzie diuk de Monterreal don Alfonso de Córdoba. Świeżo po powrocie z Portugalii, żeby pomodlić się za swych zmarłych — powiedział don Júlian, wyjaśniając Hernandowi przyczyny wielkiego zamieszania w katedrze. Morysk wzruszył ramionami. — Rozumiem — przyznał ksiądz — to wszystko cię mało obchodzi. Radzę ci jednak zniknąć z katedry na czas jego wizyty. Diuk jest jednym z grandów Hiszpanii. Jako potomek Wielkiego Kapitana należy do rodu Fernández de Córdoba. Jego lokaje nie lubią, gdy ktoś obcy kręci się w pobliżu. Uważaj, żebyś nie zrobił sobie wroga z kolejnego granda Hiszpanii.

— Odsunąć się! — wrzasnął jeden z lokajów diuka, gwałtownie popychając staruszkę, która nie zdążyła uciec.

— A to sukinsyn! — wyrwało się Hernandowi. Rzucił się podtrzymać kobietę, ale i tak upadła na ziemię. Pomagając jej wstać, zorientował się, że nagle zapanowała cisza i ludzie odsuwali się od niego. Wciąż jeszcze pochylony spojrzał za siebie.

— Co powiedziałeś? — warknął lokaj, zagradzając mu przejście.

Hernando zmierzył się z nim wzrokiem, wciąż podtrzymując staruszkę ucepioną jego ręki.

— To nie on — próbowała go bronić kobieta. — To mnie się tak wyrwało niechcący, Ekscelencjo.

Lokaj przyjął słowa staruszki z cynicznym uśmiechem. Hernando zatrzęsł się z gniewu. Uciekając przed hrabią de Espiel, żył jak więzień na łasce i niełasce swoich braci w wierze, którzy codziennie przynosili mu jedzenie jak żebrakowi, musiał wysłuchiwać narzekań matki, nie mogąc jej pomóc, a teraz jeszcze jakaś stara, słaba kobieta staje w jego obronie.

— Sukinsyn! — syknął, kiedy lokaj, wyraźnie usatysfakcjonowany, odwracał się, żeby iść dalej. — Powiedziałem: sukinsyn — powtórzył, prostując się i odsuwając od siebie kobietę.

Lokaj spojrzął na niego i dotknął ręką sztyletu. Jeśli ktoś jeszcze stał w pobliżu Hernanda, to teraz odsunął się jak najdalej. Natomiast paru innych lokajów podeszło bliżej. Orszak diuka wchodził do ogrodu przez Bramę Przebaczenia.

— Schowaj broń! — skarcił lokaja ksiądz obserwujący tę scenę. — Jesteś w świętym miejscu!

— Co tu się dzieje? — zapytał jeden z mężczyzn towarzyszących diukowi. Lokaj przytknął sztylet do piersi Hernanda, którego trzymało dwóch innych.

Diuk idący w asyście majordomusa, kanclerza, sekretarza i kapelana, których poprzedzał sługa z uniesionym rapierem, musiał przystanąć. Kątem oka Hernando dostrzegł wytworny strój arystokraty. Z tyłu za diukiem zatrzymały się kobiety ubrane z równym przepychem na tę uroczystość.

— Ten oto człowiek znieważył sługę Jego Ekscelencji — odezwał się starosta z orszaku szlachcica.

— Schowaj broń! — rozkazał lokajowi kapelan diuka, podchodząc bliżej i machając rękami, by odsunąć sznurki zielonego kapelusza, które spadały mu na oczy. — Czy to prawda? — zapytał, zwracając się do Hernanda.

— Prawda, ale niech to święte miejsce mnie strzeże — odparł wyniośle morysk. Jeden obrażony szlachcic czy dwóch, co go to wszystko obchodzi?

— Nie możesz skorzystać z prawa azylu — oznajmił krótko kapelan. — Kto popełnia przestępstwo w świętym miejscu, nie podlega temu prawu.

Hernando poczuł słabość w całym ciele, ugięły się pod nim kolana. Lokaje wzięli go pod pachy i zaczęli ciągnąć.

— Zaprowadźcie go przed oblicze biskupa — rozkazał starosta, podczas gdy kapelan wracał do orszaku. — Jego Wielebność na pewno nie zatrzyma przestępcy i każe go wyrzucić.

Jeśli usuną go z katedry, najpierw dopadnie go diuk, a potem hrabia de Espiel. I co wtedy? Co czeka jego z matką? Maghreb! Znajdą schronienie u Berberów. Don Julián już wszystko przygotował. Trzeba wyrazić skruchę! Przewrócić się, udając omdlenie,

a gdy lokaje się pochylili, żeby go podnieść, wyrwał się z ich rąk i pobiegł w stronę mężczyzny, który wyglądał na diuka.

— Litości! — błagał, rzucając mu się do stóp i całując aksamitne pantofle. — Na Boga i Przenajświętszą Panienkę...! — Kilku mężczyzn odciągnęło Hernanda tak szybko, że diuk nawet nie musiał się zatrzymywać. — Na gwoździe Chrystusa! — krzyknął, przytrzymywany przez lokajów, machając w powietrzu nogami.

Na gwoździe Chrystusa!

Twarz szlachcica przybrała wyraz zdumienia, kiedy usłyszał te słowa. Nagle zainteresował się plebejuszem, który spowodował tyle zamieszania. Hernando podniósł głowę i napotkał spojrzenie diuka.

— Puśćcie go! — rozkazał don Alfonso.

Orszak przystanął. Osoby z tyłu wychylały się, żeby choć coś zobaczyć. Członkowie kapituły katedralnej zaczęli się zbliżać i sam biskup okazał zainteresowanie tym zajściem.

— Powiedziałem, że macie go puścić! — podkreślił szlachcic.

Obdarty, brudny Hernando stał przed wielkim diukiem de Monterreal. Obaj przyglądali się sobie ze zdziwieniem. Nie potrzebowali żadnych pytań ani dowodów, wspomnienia szlachcica i moryska poszybowały jednocześnie pod namiot kapitana korsarzy Barraksa w okolicach Ugíjar, gdzie stanął obozem Aben Abu po klęsce pod Serón.

— Co ze Staruszką? — spytał nagle Hernando.

Starosta uznał to za impertynencję i chciał uderzyć go w twarz, lecz don Alfonso powstrzymał cios władczy ruchem dłoni, nie spuszczać oczu z Hernanda.

— Stało się, jak mówiłeś. — Kanclerz i sekretarz, ludzie o usposobieniu oschłym i surowym, byli wręcz zaskoczeni, że ich pan traktuje tak uprzejmie jakiegoś obdartusa. Przeszedł szmer wśród członków świty. — Zaniósł mnie do Juviles, a po drodze trafiłem na oddział żołnierzy księcia. Niestety, nic więcej o niej nie wiem. Byłem nieprzytomny, gdy żołnierze zabierali mnie do Grenady. Potem znalazłem się w Sewilli i długo nie mogłem dojść do siebie.

— Wiedziałem, że Staruszka nie zawiedzie — oznajmił Hernando.

Obaj się uśmiechnęli.

Szepty w orszaku przybrały na sile.

— Odnalazłeś żonę i matkę? — zainteresował się szlachcic, nie zwracając uwagi na otoczenie.

— Tak. — Odpowiedź Hernanda zabrzmiała jak westchnienie. Odnalazł Fatimę po to, by ją stracić na zawsze...

Słowa diuka wyrwały go z zamyślenia.

— Niechaj wszyscy wiedzą — oświadczył uroczyście podniesionym głosem — że ten oto człowiek, nazywany nazarejczykiem, uratował mnie kiedyś od śmierci. Od dziś jest pod moją opieką, ofiarowuję mu przyjaźń i będę mu wdzięczny do końca życia.

# III

## W imię wiary

*...Skoro ludzie nazwali mnie Bogiem i Synem Bożym, mój Ojciec, nie chcąc, bym w dniu Sądu Ostatecznego stał się przedmiotem kpin demonów, wolał, bym stał się na tym świecie przedmiotem zniewagi z powodu śmierci Judasza na krzyżu... I zniewaga ta trwać będzie aż do śmierci Mahometa, który po przyjściu na świat wyprowadzi z podobnego błędu wierzących w prawo boże.*

Ewangelia Barnaby



*Kordoba 1584*

Hernando przyglądał się pracom adaptacyjnym prowadzonym w bibliotece katedralnej, teraz opróżnionej z książek, bo miała być przekształcona w kaplicę Najświętszego Sakramentu. Miejsce to przyciągało go ze szczególną siłą, toteż odwiedzał je regularnie. Poza przejażdżkami konnymi i czytaniem książek w bibliotece pałacu diuka de Monterreal, w którym mieszkał od niedawna, niewiele więcej miał do roboty. Diuk załatwił sprawę z hrabią de Espiel i zawarł z nim układ, o którego szczegółach Hernando nigdy nie miał się dowiedzieć. Powołując się na styl życia hiszpańskiej szlachty, diuk zabronił mu pracować i wyznaczył sporą miesięczną sumkę znacznie przekraczającą potrzeby Hernanda. Dla domu don Alfonsa de Córdoba byłby to afront, gdyby jeden z jego protegowanych zniżył się do wykonywania jakiegokolwiek pracy!

Jednakże mimo szacunku, jakim darzył go diuk, Hernando pozostawał wykluczony z życia towarzyskiego wyższych sfer. Diuk miał swoje własne zajęcia i obowiązki na dworze, jak również te wynikające z posiadania bogatych i rozległych włości, i zmuszony był spędzać długie tygodnie poza Kordobą. Chociaż Hernando uratował mu życie, wciąż był tylko zwykłym moryskiem, z trudem tolerowanym przez dumne towarzystwo kordobańskie.

Nie lepiej traktowali go bracia w wierze. Wieść o udzieleniu pomocy diukowi w ucieczce z niewoli podczas wojny w Alpuharze i o wynikającej z tego faktu łaskawości okazywanej Hernandowi moryskowie powtarzali sobie z ust do ust. Hernando liczył, że współwyznawcy okażą zrozumienie i nie będą przywiązywać wagi do wydarzeń sprzed lat, dlatego zgodził się na przyjęcie moźnej protekcji. Ale kiedy zorientował się w sytuacji, jego historia krążyła już po całej Kordobie, a moryskowie nie nazywali go inaczej jak nazarejczykiem, znienawidzonym określeniem, które prześladowało go od dzieciństwa.

— Nie chcą więcej twoich pieniędzy. Nie chcą zawdzięczać nic chrześcijaninowi — zakomunikowała mu któregoś dnia Aisza, kiedy usiłował wręczyć jej pieniądze na wykup niewolników.

Oprócz sum przeznaczanych na ten szczytny cel Hernando wspomagał też finansowo matkę, zapewniając jej godziwe życie w domu, w którym mieszkała wraz z kilkoma innymi rodzinami morysków. Hernando postanowił udać się do Abbasa, jedynego członka dawnej rady, któremu udało się przeżyć szalejącą w mieście przed dwoma laty epidemię dżumy. Czarna śmierć pochłonięła wtedy blisko dziesięć tysięcy ofiar — jedną piątą mieszkańców miasta, wśród nich Dżalila i dobrego don Juliána. Hernando znalazł Abbasa w stajniach królewskich.

— Dlaczego nie chcecie już mojej pomocy? — spytał go na osobności w kuźni, wyjąkawszy ledwie słyszalne słowa powitania. Od czasu wieści o śmierci Fatimy i dzieci, i gwałtownej sprzeczki z kowalem ich dawna przyjaźń ochłodziła. — Fatima i ja jako pierwsi zaczęliśmy dawać pieniądze na wykup niewolników, i dawaliśmy więcej niż inni. Pamiętasz?

Abbas przerwał na chwilę swoją robotę i odłożył narzędzia.

— Ludzie nie chcą datków od nazarejczyka — odparł oschle i wrócił do swojego zajęcia.

— Wiesz doskonale, że to nieprawda. Nie jestem chrześcijaninem. Diuk i ja sprzymierzyliśmy się tylko po to, żeby wyrwać się z niewoli korsarskiego renegata...

— Nie chcę słuchać twoich wyjaśnień — przerwał mu Abbas,



nie przestając pracować. — Wiele jest spraw, o których wiemy, że nie do końca są prawdziwe, a mimo to... Wszyscy moryskowie przysięgali wierność swojemu królowi, dlatego są tutaj, żyją w upokorzeniu, bo przegrali wojnę. Ty również przysięgałeś wierność naszej sprawie, a mimo to udzieliłeś pomocy chrześcijaninowi. Skoro ty mogłeś złamać swoje przyrzeczenie, to dlaczego tak surowo osądzasz tych, którzy z jakichś powodów nie mogli spełnić swoich obietnic?

To rzekłszy, kowal wyprostował się wyniośle. Dlaczego wciąż mnie osądzasz? — zdały się mówić jego oczy. Nic nie mogłem zrobić, żeby zapobiec śmierci twojej żony.

Hernando milczał. Stał z wzrokiem wbitym w kowadło, na którym wykuwano podkowy. To nie to samo. Abbas przyrzekł mu opiekować się jego rodziną, Abbas obiecał mu, że Ubajd nie będzie ich nachodzić. Abbas... zawiódł go! Fatima, Francisco, Inés i Szamir nie żyli. Cała jego rodzina! Jak można było wybaczyć coś takiego?

— Ja nikogo nie skrzywdziłem — rzekł wreszcie Hernando.

— Czyżby? Uratowałeś życie i zwróciłeś wolność grandowi Hiszpanii. Jesteś pewien, że nikogo nie skrzywdziłeś? Wyniki wojen zależą od takich jak on, od nich wszystkich i od każdego z osobna: od ich ojców i braci, i od paktów, które gotowi są podpisać dla ratowania swoich bliskich z niewoli. To święte miasto — ciągnął Abbas, unosząc się coraz bardziej — zostało zdobyte tylko dlatego, że jeden szlachcic, tylko jeden, don Lorenzo Suárez Gallinato, przekonał króla Abenhuta, że stoi z ogromną armią w Écija, zaledwie siedem mil stąd! I że król powinien iść raczej na odsiecz Walencji niż Kordobie. — Abbas westchnął ciężko. Hernando nie wiedział, co powiedzieć. — Jeden szlachcic zdecydował o losie muzułmańskiej stolicy Zachodu. W dalszym ciągu uważasz, że nikogo nie skrzywdziłeś?

Rozstali się bez pożegnania.



Wyrzuty, które Hernando usłyszał od Abbasa, nie dawały mu spokoju przez wiele dni. Tłumaczył sobie, że Barrax potrzebował

don Alfonsa tylko dla okupu. Jego uwolnienie nie mogło wpłynąć na przebieg wojny w Alpuharze! Mimo to słowa kowala nie dawały mu spokoju. Dlatego właśnie lubił przychodzić do kaplicy Najświętszego Sakramentu, dawnej biblioteki katedralnej, z którą wiązało go tyle wspomnień. Tu znajdował ukojenie, przyglądając się pracy Cesare Arbasii, włoskiego malarza sprowadzonego do Kordoby przez rajców. Artysta pokrywał malowidłami kaplicę od posadzki po sklepienie, zdobił ściany i podwójne łuki. Stopniowo tło w kolorach ochry i czerwieni zaczynało wypełniać się herbami i postaciami aniołów. Ręka artysty dosięgała każdego zakamarka. Nawet kapitele kolumn pokryła złota powłoka!

— Wielki mistrz Leonardo da Vinci twierdził, że ludzie wierzący wolą oglądać Boga, niż o nim czytać — rzekł do Hernanda pewnego dnia Włoch. — Ta kaplica będzie zrobiona na wzór i podobieństwo Kaplicy Sykstyńskiej w Bazylice Świętego Piotra w Rzymie.

— Kto to jest Leonardo da Vinci?

— Mój mistrz.

Cesare Arbasia, mężczyzna około czterdziestopięcioletni, energiczny, inteligentny, zaprzyjaźnił się z Hernandem. Malarz zwrócił uwagę na moryska — zawsze nienagannie ubranego według hiszpańskiej mody, jak to było przyjęte na dworze diuka — podczas trzeciej wizyty w kaplicy, gdy Hernando przez wiele godzin przypatrywał się jego pracy. Obaj od razu przypadli sobie do serca.

— Nie interesują cię obrazy. Nie myślę się, prawda? — spytał Cesare. — Nigdy nie zauważyłem, żebyś się im przyglądał, nie mówię z pobożnością, ale przynajmniej z ciekawością. Ciebie znacznie bardziej interesuje sam proces powstawania dzieła.

Tak w istocie było. Hernando podglądał technikę malarską, której Włoch używał do ozdabiania kaplicy, zupełnie inną niż te stosowane przez garbarzy i malarzy z Kordoby. Był to fresk.

Fragment ściany, który zamierzał pomalować, mistrz pokrywał gęstą zaprawą uzyskaną z gruboziarnistego piasku i wapna. Nałożoną warstwę dokładnie polerował, a następnie nakładał na nią

tynk z pyłu marmurowego zmieszanego z wapnem. Na tak przygotowane podłoże można było nakładać farbę, dopóki było świeże i wilgotne, stąd gdy tynk przesychał, nim mistrz ukończył pracę, kaplicę wypełniały donośne krzyki i złorzeczenia w jego ojczystym języku.

Obaj mężczyźni mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Włoch wiedział, że Hernando był nowym chrześcijaninem i przeczuwał, że wciąż wyznaje wiarę Mahometa. Morysk nie obawiał się szczerze mu tego wyznać. Był przekonany, że Arbasia również ukrywa jakiś sekret. Zachowywał się jak chrześcijanin: malował Boga, Najświętszą Maryję Pannę, męczenników z Kordoby i anioły. Pracował dla katedry, ale w jego sposobie bycia i mowie było coś, co odróżniało go od pobożnych Hiszpanów.

— Osobiście jestem zwolennikiem czytania — przyznał morysk. — Nie przemawiają do mnie uproszczone wizerunki Boga.

— Nie wszystkie są tak proste, jak myślisz. Niektóre oddają to, o czym księgi milczą.

I tym zagadkowym stwierdzeniem mistrz zakończył ich rozmowę tego dnia.



Pałac diuka de Monterreal położony był w górnej części dzielnicy Santo Domingo. Główna bryła budynku pochodziła z XIV wieku, z czasów zdobycia Kordoby przez chrześcijan. Jedynym niemyym świadkiem rozkwitu miasta pod panowaniem kalifów był stary minaret zachowany w jednym z narożników budowli. Pałac miał dwa wysokie piętra, które rozbudowywane na przestrzeni lat utworzyły prawdziwy labirynt pomieszczeń. Należały do niego dwa duże ogrody i dziesięć wewnętrznych dziedzińców spajających z sobą poszczególne części budynku. Cały kompleks zajmował ogromną powierzchnię. Wnętrza cechował przepych typowy dla rezydencji arystokraty: mnóstwo masywnych mebli, posągów, gobelinów i marokiniów z wolna ustępujących miejsca obrazom olejnym; złota i srebrna zastawa stołowa; gdzie spojrzeć skóry i wyszywane jedwabie. Budynek pałacowy mieścił niezliczone

sypialnie i ustępy, kuchnię, składy i spizarnie, kaplicę, bibliotekę, buchalterię, stajnie oraz okazałe sale balowe i salony recepcyjne.

W 1584 roku Hernando skończył trzydzieści lat, diuk trzydzieści dziewięć. Z pierwszego małżeństwa don Alfonso miał szesnastoletniego syna, z drugiego natomiast, zawartego przed ośmiu laty z kastylijską arystokratką, dwie córki, cztero- i sześciolletnią, oraz dwuletniego chłopczyka. Z wyjątkiem pierworodnego syna Ferdnanda, którego wysłano na dwór w Madrycie, doña Lucía i jej latorośle mieszkali w pałacu. Znalazło w nim schronienie również jedenastu krewnych z podupadłych rodzin szlacheckich, spowinowaconych z jednym lub drugim rodem, w różnym wieku, którym ordynat don Alfonso de Córdoba zapewniał wikt i opierunek.

Wśród tego różnorodnego tłumu trzymającego się pańskiej klamki, dumnych i pyszałkowatych hidalgów, jak ten, który zapłacił Hernandowi cztery reale za wskazanie osoby, która ośmieliła się podać w wątpliwość jego pochodzenie, znaleźli się dalecy kuzyni, małomówni i stroniący od świata, tacy jak don Esteban, sierżant hiszpańskich pułków piechoty z niedowładem ręki, „biedny zawstydzony”, którego don Alfonso przygarnął pod swój dach.

„Biedni zawstydzeni” była to szczególna kategoria żebraków, kobiet i mężczyzn pozbawionych środków do życia, którym honor nie pozwalał ani na pracę, ani na trudnienie się żebractwem. Wrażliwe na punkcie honoru społeczeństwo hiszpańskie w pełni aprobowало ich istnienie. Jakże bowiem mieli prosić o jałmużnę szacowni mężczyźni i czcigodne damy? Co więcej, z myślą o tej grupie powołano nawet specjalne bractwa. Ich członkowie po ustaleniu pochodzenia i aktualnej sytuacji potrzebującego, stwierdziwszy, iż istotnie należy do „biednych zawstydzonych”, sami podejmowali się chodzenia po prośbie w jego imieniu. Zebrane datki wręczano na osobności zainteresowanemu. Don Alfonso, przewodnicząc jednemu z takich bractw w Kordobie, dowiedział się o istnieniu swego dalekiego krewnego i zaraz następnego dnia zaoferował mu gościnę.



Wyszedłszy po południu od Arbasii, Hernando udał się wprost do pałacu. Odległość między katedrą a dzielnicą Santo Domingo przemierzał ociężale, przystając bez celu to tu, to tam, jakby chciał oddalić od siebie moment przekroczenia progu pałacu. Tylko podczas rzadkich i niespodziewanych wizyt diuka w Kordobie, gdy ten oferował mu miejsce u swego boku, Hernando rzeczywiście czuł się dobrze w pięknej i spokojnej rezydencji. Jednakże podczas nieobecności don Alfonsa nie szczędzono mu na dworze ciągłych upokorzeń. Nieraz nosił się z zamiarem opuszczenia pałacu, ale brakowało mu determinacji. Po śmierci Fatimy i dzieci wyszło w nim serce i osłabła wola, pozbawiając go sił do zmagania się z życiem. Wiele długich, bezsennych nocy upływało mu na wspomnieniach, ale częściej jeszcze prześladowały go senne koszmary, w których Ubajd mordował po kolei wszystkich członków jego rodziny, a on przyglądał się temu bezradnie. Z biegiem czasu przerażające sceny wypełniające jego sny zaczęły ustępować miejsca pogodniejszym obrazom: Fatimy w białym kwefie, poważnej Inés czekającej na niego na progu domu i Francisca pochylonego nad ciągiem cyfr dyktowanych łagodnym głosem przez Hamida. Hernando z lubością zaczął oddawać się tym marzeniom sennym. Z niecierpliwością oczekiwał końca każdego dnia, który zdawał się wiecznością, by z nadejściem nocy łączyć się ze swymi bliskimi we śnie. O resztę nie dbał. Widocznie nie było dla niego miejsca ani wśród chrześcijan, ani wśród morysków. Jedyńm jego zajęciem były przejażdżki konne. Praca w stajniach królewskich skończyła się po smutnym incydencie z Aziratem. Nie miał tam już przyjaciół. Jaka czekałaby go przyszłość, gdyby opuścił pałac? Powrót do garbarni? Życie wśród okazujących mu jawną wzgardę braci w wierze? Pewnego dnia, przekonany, że stałe zajęcie pozwoli mu się wyrwać z melancholii, ośmielił się zaproponować don Alfonsowi swe usługi jako ujeżdżacz koni. Odmowa diuka była kategoryczna.

— Nie możesz narażać mnie na taki afront. Ludzie pomyślą, że nie jestem hojny dla kogoś, kto uratował mi życie. — Rozmowa toczyła się w gabinecie. Don Alfonso przeglądał właśnie jakieś

dokumenty, podczas gdy w przedpokojach kłębił się tłum interesantów. — Brakuje ci tu czegoś? — spytał, nie podnosząc wzroku znad papierów. — Nie jesteś dobrze traktowany?

Jak tu powiedzieć diukowi, że najwięcej upokorzeń doznaje od jego żony? Wdzięczność don Alfonsa de Córdoba była szczera.

Hernando wiedział o tym dobrze i nie wyczuwał w nim nawet cienia obłudy, ale doña Lucía...

— Chcesz mi coś powiedzieć? — dopytywał się arystokrata, siedząc za biurkiem.

— Wybacz, panie, popełniłem głupstwo — odrzekł Hernando.

Bez względu na to, co się stanie, nigdy nie wróci do garbarni, postanowił w duchu, stanąwszy przed wejściem do pałacu. Odźwierny zwlekał z otwarciem drzwi. Wreszcie wpuścił go do środka w milczeniu, bez unizoności, jaką zwykł był okazywać hidalgom. Morysk oddał mu płaszcz.

— Pan z tobą — rzekł jakby nigdy nic, podczas gdy sługa, nie patrząc mu w oczy, odbierał od niego odzienie.

Wiedząc, że odźwierny obserwuje go ukradkiem, stłumił westchnienie i z ciężkim sercem ruszył w głąb przepastnego pałacu: od tej chwili aż do momentu schronienia się w zaciszu biblioteki czekał go nieskończony ciąg drobnych uszczypliwości. Zbliżała się pora kolacji. Wszędzie pełno było służby poruszającej się skwapliwie w milczeniu, w sumie ponad stu służących, którzy obsługiwali parę książęcą, jej rodzinę i wielu innych gości, od których roiło się w pałacu.

Hernando musiał nauczyć się rozróżniać personel. Długą listę pałacowej służby otwierali: kapelan, marszałek dworu, sekretarz, kamerdyner diuka i pokojowa duchessy. Po nich następowali: stolnik, koniuszy, rachmistrz i skarbnik. Następnie ochmistrz, podczaszy, sługa od podestów i sługa od sreber stołowych, dostawca win i jadła, szafarz, krajczy i pisarz, piastunki i guwernerzy. Wreszcie dziesiątki służących, w większości mężczyzn, wolnych i niewolników. Wśród tych ostatnich — kilku morysków. Listę zamykało pół tuzina dzieci pełniących funkcje paziów.

Doña Lucía poleciła nauczyć Hernanda dworskich manier,

w szczególności zachowania przy stole, jednego z najważniejszych ceremoniałów, po którym poznawało się wytwornego kawalera. Duchessa podjęła taką decyzję zaraz po pierwszym obiedzie przy wspólnym stole, przy którym oprócz Hernanda i pary książęcej zasiadali kapelan i jedenastu hidalgów. Paziowie i służący podali owego dnia na pierwsze danie kapłony i pisklęta dzikiego gołębia, jagnię, koźlę i małe prosięta. Następnie wniesiono popularną wśród chrześcijan potrawkę z gotowanego mięsa drobiowego, jagnięciny i wołowiny w jarzynach, przybranej kawałeczkami boczku. Po niej przyszła kolej na białe mięso: piersi kury gotowane na małym ogniu w sosie z cukru, mleka i mączki ryżowej. No koniec podano ciasteczka francuskie i owoce. Hernando, zasiadający po prawicy diuka, a naprzeciwko kapelana, ujrzał ułożone przed sobą w ustalonym porządku przeróżne rodzaje połączanych widelców, noży i łyżek, talerzy i filiżanek, kielichów i szklanic, solniczki, serwetki i w końcu wielką misę, którą podał mu jeden z paziów. Czując na sobie szydercze spojrzenia hidalgów i kapelana, Hernando już chciał podnieść misę do ust, gdy z przerażeniem spostrzegł mrugającego na niego diuka, który obmył w niej ręce.

Doña Lucía nie zamierzała tolerować w swoim domu takiego braku wychowania. Po skończonym obiedzie Hernando został wezwany do prywatnego apartamentu pary książęcej. Don Alfonso siedział w fotelu ze spuszczonego wzrokiem, nieco znużony. Wyglądał tak, jakby tuż przed przybyciem moryska przegrał bitwę i musiał ugiąć się pod naciskiem żony. Doña Lucía przeciwnie, stała w wyniosłej pozie, ubrana na czarno aż po szyję, którą okalała drobna biała koronka. Widok duchessy nasunął Hernandowi mimo woli skojarzenie z muzułmańskimi kobietami okutany od stóp do głów i kryjącymi się przed wzrokiem obcych. W odróżnieniu od nich doña Lucía, jak wszystkie szlachetnie urodzone kobiety chrześcijańskie, pokazywała się ludziom, choć jak na damę przystało, skrzętnie ukrywała swe wdzięki: piersi obwiązywała szeroką taśmą przytrzymującą ołowiane płytki spłaszczające biust, a cerze starała się nadać odcień bladości przez regularne łykanie glinki.

— Hernandzie, nie możemy...! — Diuk chrząknął. Doña Lucía westchnęła i złagodziła ton głosu. — Hernandzie, sprawiłbyś nam niewymowną radość, gdybyś zaczął pobierać lekcje dobrych manier.

Na nauczyciela wyznaczono mu najstarszego z krewnych zamieszkujących w pałacu, wyelegantowanego hidalga o imieniu Sancho, kuzyna diuka; mężczyzna rad nie rad musiał pełnić powierzoną mu funkcję. Przez cały rok don Sancho uczył adepta sztuki posługiwania się sztućcami, ogłady towarzyskiej, ubierania się, a nawet podjął próby poprawy jego dykcji, która, jak u wszystkich morysków, charakteryzowała się nagminnym zastępowaniem głoski „es” przez „iks” i odwrotnie.

Hernando znosił te codzienne lekcje ze stoickim spokojem. Stan wewnętrznego odrętwienia, który wówczas przeżywał, nie pozwalał mu rozmyślać nad upokorzeniem, jakiego doświadczał, będąc traktowany jak małe dziecko. Bez słowa sprzeciwu wykonywał wszystkie polecenia swego mistrza aż do dnia, w którym ten, uradowany swoim pomysłem, zaproponował Hernandowi naukę tańca.

— Kroki — obwieścił doniosłym głosem, przechadzając się pretensjonalnie po salonie, w którym odbywała się lekcja — *floretas, saltos, encajes, campanella* — wyrecytował jednym tchem don Sancho, podrygując niezdarnie i kreśląc nogą kółko — piruety. — Przy piruetach Hernando odwrócił się na pięcie i nic nie mówiąc, opuścił pomieszczenie. — Cztery pas — ciągnął niezmordowany hidalgo w pustym salonie — obroty...

Doña Lucía stwierdziła wkrótce, że Hernando może już pokazywać się w towarzystwie, i uznała jego edukację za zakończoną. Nabycie nowych manier w niczym nie zmieniło jednak negatywnego nastawienia do niego mieszkańców pałacu szczególnie boleśnie odczuwanego przez Hernanda podczas nieobecności don Alfonsa.



W piątkowy wieczór, w dniu, kiedy Hernando wyznał Arbasii, że nie przemawiają do niego wizerunki Boga, na kolację podano świeże ryby przywiezione przez handlarzy znad Gwadalkiwiru.



W postne dni rozmowy czternastu współbiedników były bardziej powściągliwe i poważne niż wtedy, gdy podawano mięsa i boczek. Nie było tajemnicą, że wielu z nich, nie wyłączając osoby duchownej, zakradało się później do kuchni, by opychać się chlebem, szynką i kaszanką. Tego wieczoru Hernando nie przysłuchiwał się rozmowom toczonym między hidalgami, kapelanem i majestatyczną duchessą. Oni ze swej strony również nie zwracali na niego najmniejszej uwagi.

Pragnął jak najszybciej udać się do biblioteki, gdzie zwykł był spędzać długie wieczorne godziny pośród trzystu bez mała woluminów zgromadzonych przez don Alfonsa. Uczynił tak, zaledwie doña Lucía dała znak, że kolacja skończona. Na szczęście dla niego wykluczono go z obowiązkowych wieczorków towarzyskich, na których czytano na głos książki lub śpiewano pieśni. Minąwszy szereg komnat i dwa małe dziedzińce, Hernando znalazł się na tak zwanym dziedzińcu bibliotecznym, za którym znajdowała się wielka czytelnia. Od kilku dni pochłonięty był czytaniem wydanej przed piętnastoma laty pierwszej części *Araucany*, ale owego wieczoru nie zamierzał zasiadać do lektury tego niezwykle interesującego dzieła. Słowa Arbasii cytującego Leonarda da Vinci i rozprawiającego o poszukiwaniu Boga w ikonografii przypomniały mu znamienne wypowiedź don Juliána, który w ciszy tej samej kaplicy rzekł kiedyś do niego:

— Czytaj, albowiem twój Pan okazał się niezwykle hojny. On nauczył człowieka posługiwania się piórem.

— Co znaczą te wersety? — spytał Hernando.

— Stwarzają nadprzyrodzony kontakt między wierzącymi a Bogiem poprzez kaligrafię. Powinniśmy czcić Słowo Objawione. Dzięki kaligrafii dokonujemy wizualizacji Objawienia, Słowa Bożego. Wszyscy wielcy kaligrafowie dbali o to, by upiększać Słowo. Wierni powinni móc odnaleźć Słowo Objawione w miejscach modlitwy, aby zawsze o nim pamiętali i mieli je przed oczyma, a im jest piękniej napisane, tym lepiej.

W czasie gdy obaj zajęci byli przepisywaniem Koranu, don Julián opowiadał mu o różnych rodzajach pisma, w tym głównie

o piśmie kufickim, wybranym przez Umajjadów z Kordoby do ozdobienia meczetu, i o kursywie nasrydzkiej użytej w Alhambrze w Grenadzie. Ale nawet rozprawiając o kształtach czy wspaniałych zespołach liter, malowanych przez kaligrafów na różne kolory, oni sami nie przywiązywali wagi do estetyki własnego pisma. Im więcej egzemplarzy Koranu mogli wykonać, tym lepiej. Pośpiech kłócił się z perfekcją.

Tej nocy po wejściu do biblioteki i zapaleniu kaganków Hernando marzył tylko o jednym: żeby wziąć pióro i papier i poświęcić się Bogu, tak samo jak czynił to Arbasia, wykonując swe malowidła. Oczami wyobraźni już widział pierwszą surę Koranu pięknie wykaligrafowaną w andaluzyjskiej odmianie arabskiego: prościutkie laseczki liter, przechodzące w zaokrąglenia; znaki w górnej frakcji liter, pociągnięte czernią, czerwienią lub zielenią. Ciekawe, czy jest gdzieś w bibliotece kolorowy tusz? Nie używali go ani sekretarz, ani pisarz don Alfonsa. Jeśli nie, to trzeba będzie kupić. Gdzie on może być?

Przejęty tą myślą usiadł za biurkiem w otoczeniu równych rzędów książek poustawianych na pięknych półkach wykonanych ze szlachetnych gatunków drewna. Tak jak przypuszczał, tuszu nie było. Hernando popatrzył na pióra, kałamarz i kartki. Najpierw musi się trochę wprawić, uznał. Umoczył pióro i delikatnie, rozkoszując się każdym pociągnięciem, nakreślił wielką literę *alif*, pierwszą w alfabecie arabskim: długą, zmysłowo wygiętą niczym ludzkie ciało, dokładnie taką, jaką opisano w starożytności. Narysował więc głowę i czoło, pierś i plecy, brzuch...

Nagle na dziedzińcu dały się słyszeć czyjeś śmiechy. Hernando zadrżał. Co on robi? Przez spotniałe od strachu dłonie o mało nie przewrócił kałamarza. Chwycił papier i szybko złożył go na pół, żeby ukryć pod koszulą. Z bijącym sercem nasłuchiwał odgłosów śmiechów i kroków, które stopniowo zaczęły się oddalać, aż ucichły gdzieś po drugiej stronie dziedzińca. Nie pomyślał o tym, wyrzucał sobie. Nie mógł oddawać się kaligrafowaniu arabskich liter w bibliotece chrześcijańskiego diuka, do której w każdej chwili mógł wejść jeden z hidalgów lub któryś ze służących. Nie mógł też tego

robić w swojej sypialni. Wykluczone. Od dwóch lat regularnie przychodził do biblioteki po kolacji, podczas gdy pozostali spędzali czas na czytaniu lub śpiewaniu, czekając, aż doña Lucía uda się do swoich apartamentów, a oni ruszą w miasto w poszukiwaniu nocnych uciech. Mogliby nabrać jakichś podejrzeń, gdyby nagle zmienił swoje przyzwyczajenia. Poza tym gdzie będzie trzymać przybory do pisania i papier? Służący... i nie tylko oni, przetrząsali jego rzeczy. Zauważył to od samego początku. Grzebano nawet w jego kufrze, chociaż zamykał go na klucz. Ktoś musiał mieć zapasowy klucz, pomyślał, gdy po raz trzeci z rzędu znalazł swe rzeczy w nieładzie. Jedyne skarby, jakie miał — złoty talizman z ręką Fatimy — leżał wsunięty w zagięcia gobelinu ze sceną polowania na jelenia w górach. Tam był bezpieczny. Ale ukryć pióra, kałamarz i papiery... niepodobna!

Gdzie może pisać bez ryzyka, że zostanie odkryty? Hernando rozejrzał się po bibliotece: pomieszczenie miało kształt prostokąta z drzwiami w każdej ścianie. Między półkami z książkami a okratowanymi oknami wychodzącymi na krużganek i dziedziniec stał długi stół z krzesłami i kagankami oraz trzy pojedyncze biurka. Nie było gdzie się schować. Wtedy zatrzymał wzrok na drzwiach w głębi pokoju prowadzących do starego minaretu w narożniku pałacu. Wiedziony ciekawością zajrzał któregoś dnia do wnętrza budowli, ale znalazł tam tylko nostalgię, którą wzbudziło wyobrażenie muezina wzywającego wiernych na modlitwę. Była to zwykła kwadratowa baszta, ciasna, z filarem pośrodku, wokół którego pięły się schody. Musi znaleźć gdzieś miejsce, w którym będzie mógł spokojnie pisać, nawet jeśli przyszłoby mu zmienić swoje dotychczasowe zwyczaje lub robić to poza pałacem. Dlaczego nie? Wyjął spod koszuli pogięty papier i przez chwilę wpatrywał się w napisaną przez siebie literę. Wydała mu się zupełnie wyjątkowa, niepodobna do liter, które pisał do tej pory. Dostrzegł w niej pobożność, której były pozbawione tamte. Już chciał podrzeć papier, ale zdjął go żal: była to pierwsza litera, którą napisał, starając się odwzorować w niej Boga, tak samo jak czynił to Arbasia, malując święte obrazy.

Gdzie by tu chować swe prace? Podniósł się z krzesła, wziął kaganek i przespacerował się po bibliotece w poszukiwaniu odpowiedniej skrytki. Wreszcie przystanął przy wejściu na schody wewnątrz minaretu. Zdaje się, że nikt tu od dawna nie zaglądał. Stopnie pokryte były pyłem powstałym z wietrzejących starych kamiennych płyt. Wieży nie remontowano od wieków. Zaczął wchodzić po schodach, trzymając się filara. Niektóre kamienie były obluzowane. A gdyby tak ukryć papiery pod jedną z takich płyt? Palcami rąk Hernando zaczął badać dokładnie każdy stopień, w nadziei, że uda mu się znaleźć odpowiednie miejsce na schowek. Nagle w połowie wysokości któryś z kamieni się poruszył. Hernando zbliżył kaganek i odkrył coś więcej niż tylko obluzowany kamień — wzdłuż dwóch leżących obok siebie płyt ujrzął wąską szczelinę. A to co? Popchnął oba kamienie. Ustąpiły, ukazując jego oczom niewielką skrytkę w filarze.

Drżącą ręką Hernando oświetlił otwór: prawie całe jego wnętrze wypełniała szkatuła z wytłaczanej skóry, z żelaznymi okuciami, niepodobna do kufrów i skrzyneczek, które miał okazję widywać w pałacu, w większości w stylu mudejar, inkrustowane kością słoniową, drewnem hebanowym i bukszpanem lub wyrabiane w Kordobie z marokinu. Hernando wyciągnął szkatułę ze skrytki. Ukląkł na schodach i przyświecił sobie kagankiem, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Nagle pośród płataniny motywów roślinnych na przepięknie tłoczonej skórze dojrzał coś, co do złudzenia przypominało pierwszą literę alfabetu arabskiego, taką samą, jaką przed chwilą sam narysował. To chyba *alif*! Pochyliwszy się nad szkatułą, dmuchnął na pokryte kurzem wieko. Zakasłał. Zbliżył płomień kaganka do wzorów, które ukazały się spod kurzu, i przyłożywszy opuszki palców do wytartych liter, zaczął czytać: „*Muham... Ibn Abi Amir. Al-Mansur! \**”, wyszeptał z przejęciem. Reszta napisu była nieczytelna. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Szkatuła pochodziła z czasów Almanzora! Skąd się tu

---

\* Władca muzułmańskiej Hiszpanii znany powszechnie jako Almanzor (zm. 1002 r.). Za jego rządów kalifat był u szczytu potęgi.

wzięła? Hernando usiadł na posadzce. Gdyby tak mógł ją otworzyć!

Obejrzał dokładnie zamek spinający oba końce żelaznej obręczy biegnącej przez środek szkatuły i zaczął przy nim manipulować. Naraz żelazna obręcz puściła i odstała wolno z suchym trzaskiem od skóry. Zamek został mu w dłoni. Hernando zawahał się przez chwilę. Ponownie przykląkł i odchylił z pietyzmem wieko.

W pełgającym świetle kaganka ujrzał kilka ksiąg zapisanych po arabsku.

# 45

Cesare Arbasia mieszkał przy katedrze, niedaleko targu jedwabiu. Przygotowując kolację, na którą zaprosił Hernanda, pamiętał, by na stole nie pojawił się ani boczek, ani nawet rzodkiew, brukiew czy marchew, które moryskowie kojarzyli z pożywieniem dla świń i z tego powodu czuli do nich wstręt.

— Jedyna rzecz, której nie udało mi się dokonać — wyznał malarz przed kolacją, gdy popijali lemoniadę na galeryjce wychodzącej na pięknie utrzymane patio — to poświęcenie baranka zgodnie z przepisami waszego prawa.

— Od dawna już nie spożywamy poświęconych pokarmów. Z obawy przed prześladowaniami obowiązuje nas *takijja*\*. Bóg to rozumie. Tylko w wyjątkowych wypadkach, w zagrodach gdzieś na pustkowiu, niektórzy z naszych braci w wierze mogą sobie na to pozwolić.

Obaj mężczyźni wymienili w milczeniu spojrzenia, wciągając w nozdrza wiosenną woń kwiatów. Hernando pociągnął łyk lemoniady i upajał się zapachami nocy. Przypomniawszy sobie podobne patio, pełne radosnych śmiechów jego dzieci bawiących się przy fontannie. Tego samego ranka odkrył, że Arbasia umieścił na

---

\* Ukrywanie i przyzwolenie na ukrywanie prawdziwych wierzeń w wypadku prześladowań religijnych lub osobistego niebezpieczeństwa obowiązujące w islamie.

fresku Ostatniej Wieczerzy w kaplicy Najświętszego Sakramentu dziwną postać. Malowidło znajdowało się na frontonie, dokładnie nad niszą przeznaczoną na tabernakulum, najważniejszym miejscem w kaplicy. Hernando nie mógł oderwać oczu od postaci obejmowanej przez Chrystusa, zasiadającej po jego lewej stronie. Przypominała... kobietę!

— Muszę z tobą porozmawiać — rzekł do mistrza, wpatrując się w kobiecą postać.

— Poczekaj, nie tutaj — odparł malarz, idąc za wzrokiem moryska i odgadując powód jego poruszenia.

Wtedy to zaprosił go do siebie po raz pierwszy na kolację.

Zasłuchani w szmer wody bijącej w fontannie gawędzili jakiś czas przyjacielsko. Wreszcie malarz odważył się zapytać:

— O czym chciałeś ze mną porozmawiać? Chodzi ci o malowidło?

— O ile wiem, w Ostatniej Wieczerzy uczestniczyło dwunastu apostołów. Dlaczego więc namalowałeś kobietę obejmowaną przez Chrystusa?

— To święty Jan.

— Ale...

— Święty Jan, Hernandzie. Nie mówmy już o tym.

— Zgoda — rzekł Hernando. — Jednakże muszę ci coś wyznać. Posłuchaj. Nie więcej jak miesiąc temu znalazłem w starym minarecie, tym przy pałacu diuka, kopie kilku ksiąg w języku arabskim, a wraz z nimi zapiski pewnego skryby, który pracował na dworze kalifa. W ciągu tych dwóch lat, które spędziłem w pałacu diuka, dużo o tym czytałem. Al-Mansur, nazywany przez chrześcijan Almanzorem, był głównym zarządcą kalifa Hiszama Drugiego i najlepszym wodzem w historii muzułmańskiej Kordoby. Zdobył Barcelonę, dotarł nawet do Santiago de Compostela, gdzie w katedrze poił swego konia. Stamtąd na ramionach chrześcijan sprowadził do Kordoby słynne dzwony, które kazał następnie przetopić i wykonać z nich kaganki do meczetu. Wiele lat później król Ferdynand Święty pomścił tę zniewagę. — Arbasia słuchał go uważnie, sącząc lemoniadę. — Ale Almanzor był też fanatykiem religijnym,

który przyczynił się do zniszczenia dorobku kulturalnego i naukowego zgromadzonego w kalifacie. Jak wiadomo, ojciec kalifa, Al-Hakam Drugi, był jednym z najświetlejszych kalifów Kordoby. Jego największą troską było zgromadzenie w Kordobie wszystkich wytworów myśli ludzkiej. Wysyłał na krańce świata emisariuszom polecał skupować wszelkiego rodzaju księgi i traktaty naukowe, i sprowadzać je do stolicy. W ten sposób stworzył bibliotekę liczącą ponad czterysta tysięcy woluminów. Wyobrażasz to sobie? Czterysta tysięcy woluminów! Więcej niż w bibliotece aleksandryjskiej czy w bibliotece papieskiej w Rzymie.

Hernando przerwał na chwilę, by się napić, ale też by sprawdzić, jakie wrażenie wywarła na mistrzu jego opowieść. Arbasia kiwał w milczeniu głową, jakby oczyma wyobraźni widział te cuda. Hernando mówił dalej:

— Otóż Almanzor nakazał spalenie wszystkich dzieł, które choćby na jotę odbiegały od słowa objawionego lub zupełnie je pomijały. Wyjątek miały stanowić tylko dzieła poświęcone medycynie i matematyce. Okrutny los miały podzielić księgi traktujące o astrologii, poezji, muzyce, logice, filozofii... Ze wszystkich znanych dziedzin sztuki i nauki! Tysiące unikatowych egzemplarzy spłonęło w Kordobie! Wódz muzułmanów osobiście rzucał je na stos.

— Barbarzyństwo! Istne szaleństwo! — powtarzał ze zgrozą Arbasia.

— O paleniu ksiąg wiem z zapisków skryby, które znalazłem w szkatule. Kopista wyznaje ponadto, że podjął się ratowania dla potomności co cenniejszych dzieł, które wbrew temu, co sądził Almanzor, jego zdaniem zasługiwały na ocalenie, nawet jeśli miały przetrwać tylko w formie naprędce zrobionych kopii.

— Czterysta tysięcy egzemplarzy! — ubolewał Arbasia, wzdychając ciężko.

— Tak — przytaknął Hernando. — Zdaje się, że sam spis biblioteczny obejmował czterdzieści cztery tomy, po pięćdziesiąt stron każdy.



Obaj mężczyźni milczeli przez dłuższą chwilę, po czym Arbasia poprosił gościa, by kontynuował swą opowieść.

— Od czasu znalezienia szkatuły każdej nocy zasiadam do czytania którejs kopii, chowając ją potem wewnątrz opasłych ksiąg chrześcijańskich: wyborne przykłady poezji, traktatów naukowych z geografii, jeden poświęcony nawet kaligrafii, choć on właśnie najbardziej ucierpiał z powodu pośpiechu kopisty. — Arbasia rozłożył ręce, jakby nie do końca rozumiejąc powód, dla którego Hernando tak bardzo nalegał na rozmowę z nim. — Czeka — ciągnął morysk — jest wśród nich również kopia pewnej ewangelii chrześcijańskiej, ewangelii przypisywanej apostołowi Barnabie.

Na dźwięk tego imienia malarz się wyprostował.

— Stronę tytułową skryba zaopatrzył swoim komentarzem, w którym wyjaśnia, że wybrani przez Almanzora najbardziej zasadniczy alimowie i fakihowie, którzy decydowali o losie ksiąg, nie mieli najmniejszych wątpliwości, co należy uczynić z chrześcijańską ewangelią, dla kopisty jednak tekst Barnaby... mimo że napisany przez ucznia Jezusa i stworzony wiele wieków przed Koranem... stanowił znakomite potwierdzenie doktryny muzułmańskiej. Na koniec dodaje, że znaczenie, jakie przypisuje tekstowi Barnaby, jest tak wielkie, iż oprócz wykonania kopii będzie starał się uratować od płomieni również oryginał i zamierza ukryć go w bezpiecznym miejscu w Kordobie. Nie podaje oczywiście, czy udało mu się to zrobić, czy nie.

— O czym mówi ta ewangelia?

— Ogólnie rzecz biorąc, utrzymuje, że Chrystus nie był Synem Bożym, ale zwykłym człowiekiem i jeszcze jednym prorokiem. — Patrząc na twarz Arbasii, Hernando miał wrażenie, że mistrz podziela to zdanie. — Autor twierdzi również, że nie Jezus, a Judasz został ukrzyżowany, i przeczy, jakoby Jezus miał być Mesjaszem, zapowiada natomiast nadejście prawdziwego Proroka, Mahometa, i przyszłe objawienie. Potwierdza potrzebę ablucji i obrzezania. Jest to tekst napisany przez kogoś, kto żył w czasach Jezusa, znał

go i był świadkiem jego działalności, ale w odróżnieniu od reszty ewangelii potwierdza zasady wiary naszego ludu.

Znów zapadła chwila ciszy. Kończyła się już lemoniada. Wówczas po drugiej stronie patio ukazała się służąca z nowym dzbanem, ale Arbasia odprawił ją ruchem ręki.

— Wiadomo, że papiści zmanipulowali doktrynę zawartą w ewangeliach — dodał Hernando. Czekał na reakcję Arbasii, lecz ten zachowywał dziwną obojętność.

— Po co mi to mówisz? — spytał wreszcie dość ostrym tonem. — Skąd ten nagły pośpiech, by ze mną pomówić? Co skłania cię do przypuszczeń, że...?

— Dzisiaj — przerwał mu Hernando — przypatrując się twemu dziełu, ujrzałem w namalowanym przez ciebie Chrystusie istotę ludzką, zwykłego człowieka obejmującego ramieniem kogoś... z wielką czułością. Miły, uśmiechnięty człowiek, nie Jezus Chrystus Syn Boży, wszechwładny, wszechmogący, cierpiący i pokryty ranami, skrwawiony, którego wizerunki widnieją w każdym zakątku kaplicy.

Arbasia nic nie odrzekł. Oparł brodę na dłoni i zamyślił się. Hernando nie przerywał mu tej chwili zadumy.

— Ty jesteś muzułmaninem — ozwał się wreszcie malarz. — Ja jestem chrześcijaninem...

— Ale...

Mistrz poprosił go, by zamilkł.

— Trudno orzec, kto głosi prawdę absolutną. My? Wy? Żydzi? A teraz jeszcze luteranie. Oddzielili się od oficjalnej doktryny Kościoła. Czy mają rację? Wielu innych chrześcijan również nie akceptuje oficjalnej doktryny. — Arbasia przerwał na moment swój wywód. — Nie ulega wątpliwości, że wszyscy wierzymy w jedynego Boga, dla wszystkich tego samego: Boga Abrahama. Muzułmanie przybyli na te ziemie na wezwanie chrześcijan, arian, dziś uznanych za heretyków. A że w północnej Afryce również mieszkało wielu arian, jeszcze długo po podboju nie zdawano sobie sprawy, że Arabowie, którzy przyszli im z pomocą, byli muzułmanami. Możesz to sobie wyobrazić? Arianizm, jako jedna

z odmian chrześcijaństwa, i islam były bardzo do siebie podobne, obie nie uznawały boskości Chrystusa. Oto powód, dla którego udało się muzułmanom podbić królestwa Hiszpanii w ciągu zaledwie trzech lat. Sądziś, że byłoby to możliwe, gdyby ludność podbita zetknęła się z zupełnie nową dla siebie wiarą? Bóg jest jeden, Hernandzie, to Bóg Abrahama. Ale każdy pojmuje go na swój sposób. Lepiej nie poruszać tego tematu... Inkwizycja...

— Ale jeśli sami chrześcijanie, ci, którzy znali Jezusa, utrzymują, że nie był Synem Bożym... — ciągnął Hernando.

— To my, ludzie, dzielimy się między sobą, interpretujemy, dokonujemy wyborów, Bóg jest wciąż ten sam i jak sądzę, nikt tego nie neguje. Chodźmy na wieczerzę — dodał i podniósł się gwałtownie ze swego miejsca. — Baranek powinien być już gotowy.

Podczas kolacji Arbasia unikał jakichkolwiek rozmów na temat swoich malowideł w kaplicy Najświętszego Sakramentu i ewangelii Barnaby. Czas upływał im na miłej pogawędce o rzeczach bez znaczenia. Hernando nie nalegał.

— Niech szczęście i mądrość będą z tobą — rzekł Arbasia, żegnając się ze swym gościem.

Co zrobić z odnalezioną ewangelią? — głowił się Hernando, wróciwszy do pałacu. Abbas otaczał się ludźmi porywczymi i skorymi do awantury, których zaślepiła nienawiść do chrześcijan. Nie istniała już tajna grupa zajmująca się upowszechnianiem Słowa Bożego wśród braci w wierze. Nowa rada stawiała na walkę zbrojną. Pogłoski o wybuchających to tu, to tam rewoltach krążyły po całej Kordobie, co zaostrzało tylko wzajemną wrogość między chrześcijanami i moryskami. Ostatnia próba powstania miała miejsce przed rokiem i spowodowała natychmiastową reakcję Rady Państwa, która zażądała od inkwizycji szczegółowego raportu z zaistniałej sytuacji. Chodziło o spisek uknuty przez Turków i króla Nawarry, hugenota i zacieklego wroga Filipa II, zakładający wspólną napaść na Hiszpanię przy wydatnej pomocy podburzonych do buntu morysków.

— To ludzie nieokrzesani — oświadczyła Aisza, mówiąc

o nowych członkach rady wspólnoty morysków. — Żaden z nich nie potrafi pisać ani czytać.

Hernando wiedział, że nie ma co liczyć na dobre przyjęcie ze strony Abbasa i jego stronników. Na co takim ludziom kopia ewangelii? Pewnie obeszliby się z nią tak samo, jak zrobił to swego czasu Almanzor. Nieważne, że potwierdzała doktryny koraniczne. Uznano by ją za dzieło heretyckie choćby z tego powodu, że została napisana przez chrześcijanina. Poza tym zachowany tekst, choć bardzo stary, był tylko kopią i zapewne nie wzbudziłby ich zaufania. Ciekawe, czy skrybie udało się ocalić od ognia oryginał?

Hernando westchnął: jeśli w tej chwili był jeszcze czegoś pewien, to tego, że uciekanie się do przemocy nie poprawi doli morysków. Podobnie jak to bywało w przeszłości, prędzej czy później będą musieli ulec przewadze wroga, który zawsze przy takich okazjach folgował swej głębokiej nienawiści do morysków. Czy istniało jeszcze jakieś inne rozwiązanie, dzięki któremu jedni i drudzy mogliby żyć obok siebie w pokoju?



Osiem dni po wieczery u Arbasii Hernando został wezwany do diuka, który zawitał niespodziewanie do Kordoby w drodze z Madrytu do Sewilli. Powiadomiono go o tym w stajniach pałacowych w chwili, gdy wybierał się na przejażdżkę na Voladorze, wspaniałym jabłkowitym rumaku podarowanym mu przez don Alfonsa. Na zadzie zwierzęcia widniała wypalona litera R, którą znakowano konie nowej rasy wyhodowanej przez Filipa II. Bez względu na to, co się stanie, koń należał do niego. Przrzekł mu to don Alfonso, świadom tego, co się zdarzyło z Aziratem. Na dowód swoich słów wręczył mu dokument potwierdzający prawo własności, wystawiony przez nadwornego sekretarza i podpisany własnoręcznie przez diuka de Monterreal.

Hernando przekazał Voladora chłopcu stajennemu i ruszył w ślad za młodym paziem przybyłym z poleceniem od diuka.

Musieli minąć aż pięć dziedzińców, każdy tonący w kwiatkach

i z fontanną pośrodku, nim dotarli wreszcie do pałacowego przedpokoju wypełnionego po brzegi osobami oczekującymi na posłuchanie u arystokraty. Zaledwie bowiem rozeszła się po mieście wieść o przybyciu diuka, wielu pospieszyło do pałacu w nadziei na wyjednanie audiencji. Na ławach stojących pod ścianami siedziało kilku duchownych, główny rajca Kordoby, dwóch sędziów, trzech hidalgów mieszkających w pałacu i kilka innych osób nieznanymi Hernandowi. Na innej ławie siedzieli służący, uważni na każde skinienie oczekujących. Tuż przy nich stała niska ławeczka, na której usiadł towarzyszący Hernandowi paź po przekazaniu moryska w ręce pokojowca.

Idąc wzdłuż przedpokoju, Hernando czuł ścigające go nienawistne spojrzenia siedzących. W odróżnieniu od wytwornie ubranych gości odziany był w strój do konnej jazdy: sięgające do kolan sznurowane buty, proste pludry, koszulę i dopasowany, pozbawiony ozdób kabat. Odźwierny stojący przy wejściu do gabinetu, spostrzegłszy zbliżających się Hernanda i pokojowca, zapukał delikatnie do drzwi i otworzył je na oścież.

— Hernando! — Diuk odsunął się od biurka, przy którym siedział, i wstał, by powitać moryska, jakby był jego najserdeczniejszym przyjacielem.

Sekretarz i pisarz zmarszczyli czoło.

— Witaj, panie — pozdrowił go Hernando, ściskając z uśmiechem wyciągniętą do niego dłoń.

Don Alfonso poprowadził Hernanda ku dwóm skórzanym fotelom stojącym w drugim końcu gabinetu, z dala od sekretarza i pisarza. Diuk ciekaw był, co słyhać u jego podopiecznego, i zasypał Hernanda mnóstwem pytań. Czas płynął. Na zewnątrz czekali ludzie, ale tym diuk zdawał się zupełnie nie przejmować. Gdy przypadkowo poruszyli temat książek, don Alfonso zaczął rozwodzić się nad woluminami zgromadzonymi w swojej bibliotece.

— Chciałbym dysponować taką ilością czasu jak ty, by móc poświęcić się lekturze — wyznał z żalem w pewnym momencie. — Korzystaj z tej okazji, bo wkrótce nie będziesz już mógł

czytać. — Wyraz zaskoczenia na twarzy Hernanda nie uszedł uwagi diuka. — Spokojnie, będziesz mógł zabrać z sobą tyle woluminów, ile tylko zechcesz. Silvestre — zawołał na swego sekretarza — podaj mi pismo! Jak wiesz — rzekł, trzymając dokument w dłoni — mam zaszczyt być członkiem Rady Państwa Jego Królewskiej Mości. Problem, o którym chcę z tobą pomówić, tak naprawdę dotyczy Rady Skarbu, ale rada jest tak niewydolna, jeśli idzie o gromadzenie potrzebnych środków, że król może jedynie łajać ją za uporczywe odmawianie mu pieniędzy. Alpuhara — rzekł niespodziewanie don Alfonso, podając Hernandowi pismo. — Prosiłeś mnie o jakieś zajęcie, nieprawdaż? — uśmiechnął się. — Prawie cała Alpuhara należy do Korony. Otóż Jego Królewska Mość nie posiada się z oburzenia, że tereny te nie przynoszą oczekiwanych dochodów, tym bardziej że nowym osadnikom nadano szereg przywilejów, w tym zwolnienie od podatku od sprzedaży towarów. Pieniądze, które wpływają do kasy królewskiej, są dużo niższe, niż zakładano. Kiedy Jego Królewska Mość mówił mi o tym wszystkim wielce rozdrażniony, przyszło mi na myśl, że być może ty, który doskonale znasz tamte tereny, mógłbyś wybadać całą sprawę. Król mógłby porównać dostarczone przez ciebie informacje z raportami Trybunału do spraw Ludności Grenady i Rady Skarbu. Z zadowoleniem przyjął moją propozycję. Chciałby dać nauczkę tym z Rady Skarbu.

„Alpuhara!”, wyszeptał z przejęciem Hernando. Don Alfonso proponował mu podróż do Alpuhary! Wyprostowany jak struna obracał w rękach przyniesiony przez Silvestre dokument, obserwując zarazem ponurą minę sekretarza stojącego za plecami diuka. Miał nieodpartą chęć złamać pieczęć na dokumencie, ale w tym momencie don Alfonso znów zabrał głos:

— Po wysiedleniu nowych chrześcijan z Alpuhary król wysłał swoich przedstawicieli do Galicji, Asturii, Burgos i León, by poszukali osadników chętnych do zasiedlenia opustoszałych terenów. Nowi mieszkańcy otrzymali domy, gospodarstwa i, jak już wspominałem, zwolniono ich od płacenia podatków od sprzedaży towarów, ponadto zaopatrzone w płody rolne i zwierzęta, by

pomóc im w zagospodarowaniu ziemi. Jego Królewska Mość zdaje sobie sprawę, że nie wszystkie tereny zostały na nowo zasiedlone, wiele miejsc jest bezludnych, ale biorąc nawet to pod uwagę, ziemie w Alpuharze nie przynoszą dochodów, których należałoby oczekiwać. Twoim zadaniem będzie objechać całe terytorium Alpuhary w charakterze mojego osobistego wysłannika. Mojego, nie króla, rozumiałeś? Jego Królewska Mość nie chce, aby sędzia pokoju Alpuhary i prokurator generalny pomyśleli, że nie darzy ich zaufaniem.

— A więc...? — spytał Hernando.

— Kolejny przywilej, jaki przyznano osadnikom, to możliwość dopuszczania ogierów do klaczy bez potrzeby uzyskiwania zgody królewskiej. Należy przypuszczać, że po tylu latach pogłowie koni znacząco wzrosło. W dokumencie, który trzymasz, jasno określiłem twoją misję: poszukać i sprowadzić kilka dobrych klaczy do moich stajni. Znasz się na koniach. Może się okazać, że nie znajdziesz nic ciekawego. Sam nie bardzo wierzę, aby na tamtych terenach można było wyhodować konie dobrej klasy, ale jeśli trafisz na jakąś klacz, która ci się spodoba — uśmiechnął się — nie zastanawiaj się i kupuj.

Hernando zamyślił się na chwilę: Alpuhara, jego rodzinna ziemia! Nagle oblał się zimnym potem.

— Zapewne mieszkają tam też chrześcijanie, którzy przeżyli wojnę. Jak przyjmą nowego chrześcijanina...?

— Nikt nie odważy się podnieść ręki na wysłannika diuka de Monterreal! — odrzekł dobitnie don Alfonso. Widząc jednak malującą się na twarzy Hernanda niepewność, począł łagodnie go przekonywać. — Byłeś chrześcijaninem. Modliłeś się. Razem modliliśmy się do Najświętszej Pani, pamiętasz? Teraz też się modlisz. Masz tam zapewne przyjaciół, którzy zaświadczą o tobie w razie potrzeby.

Hernando zauważył, że Silvestre sztywnieje na te słowa i podchodzi bliżej, aby lepiej słyszeć jego odpowiedź. Jakich chrześcijańskich przyjaciół miał w Juviles? Zakrystiana Andrésa? Ten zniechęcił go szczerze za to, co jego matka zrobiła księdzu. Kto

jeszcze? Nikogo więcej nie mógł sobie przypomnieć, ale nie chciał przyznać się do tego przed diukiem. Nie mogło wyjść na jaw, że jego uwolnienie było dziełem przypadku.

— Masz ich, prawda? — spytał Silvestre stojący tuż za fotelem diuka.

Don Alfonso nic nie powiedział na wmieszanie się do rozmowy swojego sekretarza.

— Przyrzekłem królowi, że zbadam tę sprawę — podkreślił z naciskiem diuk.

— Tak... tak — zająknął się Hernando — oczywiście, że ich mam.

— Kim oni są? Jak się nazywają?

Hernando napotkał spojrzenie Silvestre. Mężczyzna zdawał się znać prawdę i świdrował go wzrokiem. Wydawało się, że czekał na ten moment z niecierpliwością, moment, w którym pokaże się wreszcie, jaką wiarę wyznaje ten, którego pan obdarzył tyloma łaskami. Podarował mu nawet konia nowej rasy!

— Kto to jest? — dopytywał się Silvestre, widząc wahanie moryska.

— Markiz de Vélez! — wyznał w końcu zniecierpliwiony Hernando.

Don Alfonso podskoczył w fotelu, a Silvestre aż cofnął się o krok.

— Don Luis Fajardo? — zdziwił się diuk. — A co ciebie łączy z don Luisem?

— Podobnie jak wam, panie — tłumaczył Hernando — uratowałem kiedyś życie pewnej chrześcijańskiej dziewczynce o imieniu Isabel. Oddałem ją markizowi i jego synowi don Diego u bram Berji. Uratowałem jeszcze kilka innych osób — skłamał, patrząc hardo w oczy Silvestre, któremu twarz zmieniła się z wrażenia. Diuk słuchał z uwagą. — Ale aby móc tego dokonać, musiałem uchodzić za moryska. Tylko nieliczni wiedzieli, kim naprawdę jestem. Isabel należała do tych, którzy mnie znali, a że chodziło o małą dziewczynkę, postanowiłem oddać ją do rąk własnych Vélezów. Możecie, panie, sami ich o to spytać.

— Masz na myśli drugiego markiza z rodu Vélezów, Diabła



z Żelazną Głową, który walczył w Alpuharze? Zmarł niewiele później — wyjaśnił don Alfonso. — Obecny markiz, czwarty z kolei, również nosi imię Luis. — Z piersi Hernanda dobyło się westchnienie. — Bądź spokojny — pocieszył go don Alfonso, przekonany, że odgadł powód tego westchnienia. — Potwierdzimy prawdziwość twojej historii. Diego, syn Diabła z Żelazną Głową, ten, który towarzyszył mu w Berji, kawaler Orderu Świętego Jakuba, żyje. Na dodatek jest moim dalekim krewnym. Diabeł poślubił niejaką Fernández de Córdoba. — Diuk przerwał na chwilę. — Podziwiam cię za to, co zrobiłeś w czasie wojny — rzekł wreszcie. — I jestem przekonany, że wszyscy mieszkańcy tego domu dzielają to uczucie, prawda, Silvestre?

Don Alfonso nawet nie odwrócił się do sekretarza, ale ton, jakim to powiedział, wystarczył, aby Silvestre zrozumiał, że jego pan nie zamierza dłużej tolerować przytyków i insynuacji pod adresem swego przyjaciela moryska.

— Tak jest, Ekszelencjo — odpowiedział sekretarz.

— Napiszesz do Diega Fajardo de Córdoba w sprawie tej chrześcijańskiej dziewczynki. Wierzę ci, Hernando — wyjaśnił don Alfonso, zwracając się do moryska. — Nie muszę potwierdzać twojej historii, ale pragnę, by... gdy będziesz już w Alpuharze... przyjmowano cię tam tak, jak na to zasługujesz: jak chrześcijanina, który narażał swoje życie dla innych chrześcijan. Powodzenie królewskiej misji nie może zależeć od nieufności starych chrześcijan zamieszkujących tamte tereny.

Diuk uznał posłuchanie za skończone. Przeciągnęło się ono i tak dłużej niż zazwyczaj, jako że diuk zwykł był załatwiać sprawy szybko i sprawnie.

— Wracam do pracy — rzekł don Alfonso. Na te słowa jak spod ziemi wyrósł paź i rzucił się biegiem ku drzwiom, by powiadomić pokojowca. — Nie trzeba! — zakrzyknął don Alfonso, zatrzymując chłopca w połowie drogi.

Paż stanął w miejscu i zaskoczony spojrzał pytająco na pisarza. Silvestre dał mu znak, by powrócił na swoją małą ławeczkę w ciemnym rogu pokoju, na której siedział drugi paź.

Łamiąc protokół, diuk osobiście odprowadził Hernanda do drzwi, otworzył je i w obecności zaskoczonych gości, spodziewających się ujrzeć któregoś z paziów, uściskał i ucałował Hernanda w oba policzki. Ci spośród oczekujących, którzy nie kryli swej pogardy dla moryska, w chwili gdy podążał do kancelarii, teraz spuścili oczy.



Pomimo że wersja wydarzeń opowiedziana przez Hernanda wciąż czekała na oficjalne potwierdzenie przez markiza de Vélez, pogłoski o ocaleniu podczas powstania Isabel i innych chrześcijan, których liczba rosła w miarę rozpowszechniania się wiadomości, rozeszły się lotem błyskawicy zarówno pośród chrześcijan, jak i morysków. Moryskowie niewolnicy pracujący na dworze diuka donieśli o tym niezwłocznie Abbasowi i pozostałym członkom rady, którzy uznali te informacje za jawny dowód zdrady.

— Jak to możliwe?! — krzyknęła Aisza, gdy spotkali się przy okazji odwiedzin Hernanda. Spacerowali właśnie brzegiem Gwaldalkiwiru w kierunku młyna Martos, w pobliżu garbarni i miejsca, gdzie Juan cumował swoją szalupę *Zmęczona Dziewica*. Rada miejska postanowiła przeznaczyć tę część nabrzeża na miejsce rozrywki dla mieszkańców Kordoby. Aisza nie zważała na otaczających ją ludzi. Mówiła wzburzona. W jej głosie brzmiała nuta rozgoryczenia. — Wszystkich nas zdradziłeś! Zdradziłeś swój lud! Zdradziłeś Hamida!

— Matko, to była tylko mała dziewczynka, która miała być sprzedana jako niewolnica! Nie wierz temu, co ludzie wygadują...

— Dziewczynka taka sama jak twoje siostry! Pamiętasz je? Zabili je chrześcijanie na placu w Juviles razem z tysiącem kobiet! A te, których nie zabili, skończyły na targu Bibarrambła w Grenadzie. Tysiące naszych braci wymordowano lub uczyniono z nich niewolników. Pomyśl o Hamidzie, o ile go jeszcze pamiętasz.

— Jak mógłbym nie pamiętać...?

— A Aquil, a Musa... — ciągnęła matka, żywo gestykulując. — Co z nimi? Wykradli nam ich tuż po przybyciu do tego

przekłętego miasta i sprzedali jako niewolników, choć to były tylko małe dzieci. Żaden chrześcijanin się za nimi nie ujął! Byli takimi samymi dziećmi jak ta... jak jej tam... Isabel, o której mówiłeś. — Długi czas szli w milczeniu. — Nie rozumiem — odezwała się wreszcie Aisza złamanym głosem, gdy byli już prawie na wysokości młyna, który mełł ziarno poruszany nurtem rzeki. — Trudno było mi pojąć sprawę z tym arystokratą, ale teraz... Zdradziłeś swój lud! — Aisza popatrzyła twardo w oczy syna. Jej twarz wyrażała stanowczość, którą Hernando rzadko miał okazję u niej widywać. — Być może jesteś głową rodziny... rodziny, która już nie istnieje. Być może jesteś jedyną osobą, która mi pozostała na świecie, ale mimo to nie chcę cię więcej widzieć. Nic już od ciebie nie chcę.

— Matko... — wyjąkał z trudem Hernando.

Aisza się odwróciła i ruszyła w kierunku dzielnicy Santiago.

## 46

W pamięci Hernanda odżywały na nowo jedna po drugiej chwile przeżyte przed czternastu laty, gdy tą samą drogą szedł w kierunku Kordoby, obdarty i sponiewierany, razem z tysiącami innych morysków. Znowu poczuł ciężar dźwiganych na plecach wycieńczonych starców, a w uszach rozbrzmiały mu żałosne zawodzenia kobiet, dzieci i chorych.

Tonem nieznośnym sprzeciwu Hernando zarządził nocleg w opactwie Alcalá la Real.

— Moglibyśmy zatrzymać się gdzieś dalej — rzekł z wyrzutem don Sancho. — Wiosną dni są dłuższe.

— Wiem — odparł Hernando, siedząc sztywno na grzbiecie Voladora. — Ale staniemy tutaj.

Don Sancho, przydzielony Hernandowi do towarzystwa przez diuka, skrzywił się z niesmakiem na władczy ton swego niedawnego podopiecznego. Jadący za nimi czterej uzbrojeni pachotkowie pilnujący karawany objuczonych mułów wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia na ten przejaw despotyzmu, jeden z wielu, jakie powtórzyły się w ciągu ubiegłych dni. Hernando wolał odbyć tę podróż sam.

Orszak rozlokował się w opactwie. O zachodzie słońca morysk zażądał ponownego osiedlenia Voladora i jadąc stępa, odprowadzany spojrzeniami mieszkańców miasteczka, zaczął zjeżdżać ze

wzgórza, na którym stała forteca z opactwem. U jego stóp rozciągały się szerokie pola uprawne, na horyzoncie majaczyły szczyty masywu Sierra Nevada.

Wyjechawszy z medyny na otwartą przestrzeń, ubódl Voladora ostrogami. Wierzchowiec zatańczył radośnie w miejscu, jakby chciał podziękować dosiadającemu go jeźdźcowi za sygnał do galopu po długich, leniwie płynących dniach, gdy swój chód musiał dostosowywać do tempa mułów.

Hernando bez trudu odnalazł miejsce, gdzie spędzili noc na równinie w drodze do Kordoby, nie mógł natomiast przypomnieć sobie, gdzie dokładnie znajdował się kanał nawadniający, w którym Aisza obmyła Humama, wyrwawszy jego martwe ciało z rąk Fatimy. Miejsce pochówku nie mogło być daleko od obozu. Objeżdżał pobliskie pola, przyglądając się uważnie rowom irygacyjnym. Nie oznaczyli grobu dziecka. Pochowali je w ziemi, otulone tylko w głucho milczenie Fatimy i monotonne nucenie Aiszy.

Nagle wydało mu się, że rozpoznaje miejsce, którego szukał. Znajdowało się blisko kanału, którym jak przed laty niezmiennie płynęła woda. Tak, musi to zrobić, przez pamięć dla Fatimy i swoich dzieci, których nie mógł nawet pochować. Czuł, że musi to zrobić również ze względu na siebie samego. Grób niemowlęcia był jedyną pamiątką, jaka pozostała mu po żonie i dzieciach, które tak samo jak Humam narodziły się z łona Fatimy. Hernando zsiadł z konia przy niewielkim usypisku kamieni, którego upływający czas nie zdołał jeszcze ukryć przed ludzkim wzrokiem. Był przekonany, że pod tą warstwą ziemi spoczywają szczątki syna Fatimy. Rozejrzał się dookoła: nikogo. Za plecami słyszał tylko koński oddech. Przywiązał wierzchowca do krzaków i podszedł do kanału, w którym się dokładnie obmył. Popatrzył na czerwoną łunę zachodzącego słońca, zdjął płaszcz i rozłożył go przed sobą na ziemi, ale po pierwszych słowach modlitwy głos uwiązał mu w gardle, a z piersi dobył się głośny szloch. Wstrząsany płaczem usiłował śpiewać sury i robił to tak długo, aż spopieliałe niebo oznajmiło mu, że czas zakończyć modlitwę wieczorną. Wtedy podniósł się z klęczek, sięgnął za pazuchę i wyjął kartkę zapisaną

szafranowym tuszem: „list żałobny” mający przeważać szalę dobrych uczynków zmarłego podczas Sądu Ostatecznego. Palcami rozgarnął ziemię, gdzie, jak przypuszczał, powinna była znajdować się głowa dziecka, i zagrzebał pismo.

— Nie mogliśmy zrobić tego w dniu twojej śmierci — szeptał, przysypując kartkę ziemią. — Bóg to rozumie. W liście ośmieliłem się załączyć również modlitwy za twą matkę i braci, których nie dane ci było poznać.



Poczynając od Lanjarón, gdzie górujące nad okolicą ruiny twierdzy przypomniały mu o zagrzebanej u stóp wieży szabli Proroka, wszystkie mijane miejscowości, włącznie z Ugjjar, stolicą Alpuhary, były na poły wyludnione. Liczba przesiedlonych na te tereny osadników z Galicji i Kastylii, mających zastąpić wypędzonych morysków, okazała się niewystarczająca. Jedna czwarta miasteczek i wsi pozostawała całkowicie opuszczona. Uczucie wolności przepelniające duszę w dolinie okolonej łańcuchami Sierra Nevada z lewej strony, a z prawej Contraviesa maścił obraz zamkniętych i zrujnowanych domów.

Mimo to Hernando radował się na widok każdego drzewa, zwierzęcia, strumyka i głązu przy drodze. Wzrokiem chłonał każdy element krajobrazu. W pamięci odżywały wspomnienia. Don Sancho tymczasem i pachołkowie ciągle narzekali, nie kryjąc obrzydzenia na widok wszechobecnej nędzy.

Od dnia pamiętnej rozmowy z diukiem do momentu wyjazdu do Alpuhary minęły blisko dwa miesiące. W ciągu tego czasu Hernando rozmówił się z Juanem Marco, majstrem tkackim, u którego pracowała Aisza. Znali się. Hernando zajrzał któregoś dnia do warsztatu, żeby z nim pomówić. Juan Marco był zarzucającym się specjalizującym się w produkcji aksamitu, satyny i adamaszku. Wynosił się ponad innych mistrzów tego cechu: bławatników, czapników, przędzalników, a nawet wytwórców tak rzadkich tkanin jak tafta. Juan Marco nie ukrywał, że zależy mu na dostarczaniu swoich wyrobów do pałacu diuka.

— Zwiększ jej dniówkę — rzekł do niego Hernando w warsztacie tuż po tym, jak stojąc za pobliskim węglem domu, spostrzegł matkę znikającą w głębi ulicy. Od czasu kłótni Aisza nie przyjmowała od syna żadnej pomocy.

— Niby dlaczego mam to zrobić? — oburzył się tkacz. — Twoja matka doskonale zna się na robocie, tak samo jak inne kobiety z Grenady, ale nigdy nie przędła. Prawo zabrania mi zlecenia innych prac poza pomocniczymi...

— Tak czy inaczej podnieś jej dniówkę. Nic cię to nie będzie kosztowało — dodał Hernando, wsuwając mu do ręki trzy złote eskudy.

— Łatwo ci powiedzieć. Nie wiesz, jakie są kobiety: jak podniosę jednej, wszystkie inne rzucą się na mnie jak hieny.

Hernando westchnął. Tkacz był nieustępliwy.

— Nikt nie musi o tym wiedzieć poza nią. Jeśli dasz mi słowo, że to zrobisz, zarekomenduję ci diukowi — rzekł morysk, patrząc tkaczowi prosto w oczy. Obietnica Hernanda i trzy złote eskudy przekonały majstra.

— Zgoda, tylko... po co?

— Nie twoja rzecz — uciał Hernando. — Zadbaj o swoją część umowy.

Załatwiwszy sprawę z tkaczem, mógł zająć się drugim problemem. W sumie niewiele miał do zrobienia przed wyjazdem, pomyślał, pukając pewnego wieczoru do drzwi Arbasii. Obie sprawy były bardzo ważne, ale zaledwie dwie. Ostatnio kiedy wyjeżdżał, zostawił cały dom pod opieką Fatimy i Abbasa, który miał czuwać nad jego rodziną.

— Czemu zawdzięczam twoją wizytę? Już późno — rzekł zmęczonym głosem Arbasia, wrywając go z zamyślenia.

— Wybacz, mistrzu, ale muszę wyjechać, a ty jesteś jedyną osobą w Kordobie, którą darzę zaufaniem.

To mówiąc, Hernando podał mu skórzany zwój z kopią ewangelii Barnaby. Arbasia domyślił się, co to jest, i nie chciał wziąć go do ręki.

— Stawiasz mnie w bardzo niezręcznej sytuacji — odrzekł. — Co będzie, jeśli inkwizycja odkryje, że mam taki dokument?

Hernando nie cofał wyciągniętej dłoni.

— Cieszysz się względami biskupa i rady miejskiej. Nikt cię nie będzie nachodzić.

— Dlaczego nie schowasz go z powrotem do skrytki? Leżał tam sobie spokojnie przez tyle lat.

— Nie o to chodzi. Oczywiście, że mógłbym ponownie go gdzieś ukryć. Ale gdyby mi się coś stało, ten cenny dokument znów przepadłby na wieki. Tylko ty będziesz wiedział, co z nim zrobić, jeśli nie wrócę.

— Dlaczego nie oddasz go swoim?

— Nie ufam im — odrzekł Hernando.

— Zdaje się, że oni tobie też nie. Podobno...

— Nie wiem, co robić, Césare. Walczyłem, narażając własne życie w obronie naszych praw i naszej religii. Usłyszałem wtedy, że powinienem być bardziej przekonujący jako chrześcijanin niż sami chrześcijanie, a teraz ta sama osoba twierdzi, że nie jestem muzułmaninem. Cała gmina mną pogardza... Uważają mnie za zdrajcę. Nawet moja matka tak myśli. — Hernando przerwał, by zaczerpnąć powietrza. — I jeszcze jedno. Wszystko wskazuje na to, że moi bracia w wierze uznają przemoc za jedyną odpowiedź na ucisk.

Arbasia wziął do ręki ewangelię i rzekł:

— Nie zabiegaj o uznanie twoich współwyznawców. To przejaw pychy. Szukaj jedynie uznania w oczach Boga. Walcz o to, co dyktuje ci serce, ale pamiętaj, że jedyną słuszną drogą jest dialog, wzajemne zrozumienie, nigdy miecz. — Arbasia umilkł, po czym pożegnał swego gościa słowami: — Pokój z tobą, Hernando.

— Dziękuję, mistrzu. Pokój z tobą.



Sędzia pokoju w Ugijar wiedział o mającym przybyć lada dzień wysłanniku diuka. Doniósł mu o tym listownie sekretarz diuka, zwracając się zarazem z prośbą o skontaktowanie się z markizem de Vélez i odszukanie małej chrześcijańskiej dziewczynki, dziś dorosłej kobiety, o imieniu Isabel.



Hernando i towarzyszący mu ludzie zatrzymali się na placu przed kościołem. Świątynia była już odrestaurowana. Morysk rozejrzał się dokoła. Ile przeżyć wiązało się z tym miejscem i okolicą! Przed oczami stanął mu plac wypełniony po brzegi wojskiem Aben Humeyi. Rynek, janczarzy, Turcy, których zobaczył wtedy po raz pierwszy w życiu. Fatima, Isabel, Ubajd, kupiec Salah, Barrax i jego pacholeta...

— Witajcie!

Hernando tak był pogrążony we wspomnieniach, że nie zauważył przybycia niewielkiego orszaku powitalnego, któremu przewodził sędzia pokoju, niski, opasły człowieczek o włosach równie czarnych jak jego odzienie. Towarzyszyło mu dwóch woźnych sądowych. Hernando, idąc w ślady don Sancho, zsiadł z konia. Sędzia ruszył powitać hidalga, ale ten dał mu szybki znak, że honorowym gościem jest drugi jeździec.

— Pragnę powitać was, panie — rzekł sędzia, stając przed moryskiem — w imieniu namiestnika Grenady.

— Dziękuję — odparł Hernando i uściśnął wyciągniętą do niego uroczyście dłoń sędziego pokoju.

— Diuk de Monterreal zapytywał namiestnika o kwatery dla was, panie. Wszystko gotowe.

W pobliżu przystanęło kilku gapiów. Hernando, przekonany, że część oficjalna dobiegła końca i że czas ruszyć za sędzią do przygotowanych pokoi, postąpił krok naprzód, ale gruby człowieczek kontynuował swą przemowę.

— Witam was panie również w imieniu Jego Ekscelencji don Ponce de Hervás, audytora Królewskiej Kancelarii w Grenadzie... — Hernando rozłożył ręce na znak, że nie bardzo rozumie. Sędzia pokoju wyjaśnił: — Doña Isabel, owa dziewczynka, którą z narażaniem własnego życia uchroniliście, panie, od pogańskiej niewoli, jest żoną Jego Ekscelencji. Sędzia i jego małżonka wraz z całą rodziną chcieliby móc złożyć ci panie osobiste podziękowania i za pośrednictwem mojej skromnej osoby proszą was, panie, byście po zakończeniu misji w Alpuharze przybyli do Grenady i odwiedzili ich dom, co Jego Ekscelencja poczyta sobie za zaszczyt.

Hernando nie mógł powstrzymać cisnącego mu się na usta uśmiechu. A więc mała przeżyła. Tu, na tym placu ciągnął ją za sobą skrepowaną sznurem, starając się umknąć handlarzom niewolników. „Dostaniesz za nią ponad trzysta dukatów”, powiedział wtedy jeden z janczarów stojących przed wejściem do domu Aben Humeyi.

— Co mam mu odpowiedzieć? — spytał sędzia pokoju.

— Komu? — Hernando, wyrwany z zamyślenia, nie zrozumiał w pierwszej chwili pytania.

— Audytorowi. Oczekuje odpowiedzi. Co mam mu przekazać?

— Proszę przekazać, że tak... złożę mu wizytę.



Diuk się nie mylił: w Alpuharze nie znalazł dobrych kłaczy. Zwierzęta były krępe, ocieężałe, o krótkich, sztywnych karkach i nieproporcjonalnie wielkich łbach zdających się ciężać ku ziemi. Hernando zdecydował, że na poszukiwanie koni wybierze się sam. Don Sancho i pachołkowie nie śmieli protestować. Objeżdżał więc miasteczka i wioski na Voladorze, rozpytując o dobre wierzchowce, a gdzie się pojawił, jego ogier wzbudzał powszechny podziw. W nim samym nikt nie rozpoznał moryska, który czternaście lat wcześniej brał udział w rebelii. Nosił się po kastylijsku, z przepychem, który go krępował. Jego niebieskie oczy i biała cera, o wiele jaśniejsza niż u mieszkańców Alpuhary, sprawiały, że nie wzbudzał najmniejszych podejrzeń. Do tego, czując się zdrajcą wobec własnego ludu, postanowił skorzystać z nauk don Sancho i starannie wystrzeżał się wymawiania głosek w sposób charakterystyczny dla morysków. W ten sposób mógł poruszać się swobodnie po całej Alpuharze. Któregoś dnia zawitał do Juviles. Wiele okolicznych miejscowości było całkowicie opuszczonych. W wiosce, w której spędził lata dzieciństwa, nie mieszkało teraz więcej niż czterdzieści osób.

Miotany uczuciami na widok domów, kościoła i placu przed świątynią szedł za alkadem obejrzeć cztery wierzchowce. Przechodząc przez plac, zacisnął oczy. Zdało mu się, że słyszy huk

wystrzałów z arkebuzów i przeraźliwe krzyki kobiet, w nozdrzach poczuł zapach prochu, krwi i panicznego strachu. Tysiąc kobiet straciło życie w tym miejscu! Hernando odetchnął głęboko, próbując powstrzymać łzy. Tamtej nocy po raz pierwszy ujrzał Fatimę, tamtej nocy stracił też swoje przyrodnie siostry. Tamtej nocy stał się bohaterem w oczach matki, która dziś nim pogardzała...

Gdy tylko skręcili ku skrajowi wioski, tam gdzie leżało jego rodzinne gospodarstwo, Hernando od razu odgadł, że alkad trzyma konie w ich dawnej zagrodzie dla mułów. Morysk szedł obok niego, wiodąc za sobą Voladora. W miarę jak zbliżali się do gospodarstwa, odgłos końskich kopyt coraz bardziej przypominał mu nierówny stukot kopyt Staruszki zwiastujący rychłe nadejście reszty stada. Nagle powróciło też uczucie zwierzęcego strachu przed ojczyzną. Brahim... Co się z nim stało? Miejmy nadzieję, że nie żyje!

Hernando oglądał konie alkada, udając, że robi to z uwagą, a tymczasem rozglądał się ukradkiem. W kącie zagrody odkrył porzucone kowadło, na którym naprawiał podkowy, i kilka starych, bezużytecznych przedmiotów, nieodłącznie związanych z jego dzieciństwem. Dom był niezamieszkały. Jedne pomieszczenia służyły za magazyn, inne alkad i jego żona wykorzystywali do prowadzenia hodowli larw jedwabników.

— W pokojach na ostatnim piętrze wszystko było gotowe: plecionki na kokony wisały na ścianach — tłumaczył alkad, dając do zrozumienia, jak wiele zachodu mu to zaoszczędziło. — Nic nie musiałem robić, tylko skorzystać z roboty heretyków! — zaśmiał się.

Alkad wyraźnie był niezadowolony, że Hernando nie chce kupić od niego jednej jedynej klaczy, jaką miał.

— Nie znajdziecie lepszej w całej Alpuharze — rzekł wzburzony i splunął na ziemię.

— Przykro mi — odpowiedział Hernando — ale nie wydaje mi się, aby diuk chciał ją nabyć do swojej stajni.

Na samo wspomnienie tak wielkiego pana mężczyzna poruszył

się niespokojnie, jakby dotarło do niego, że swym siarczystym splunięciem mógł go obrazić.

Leniwi, niedołążni i próżniacy, oto wrażenie, jakie wywarli na Hernandzie nowi mieszkańcy ziem, które niegdyś należały do jego ludu. Zostawiwszy alkada z jego chabetami i kokonami, wspiął się na otaczające wioskę zbocza. Wszystkie tarasy wydarte przez lata gór, uprawiane w pocie czoła przez niego, Hamida i innych pracowitych morysków, którzy za pomocą motyk potrafili obracać kamienie w urodzajną glebę, leżały teraz odłogiem porośnięte zielskiem. Kamienne murki okalające tarasy i pnące się wysoko po zboczach gór w wielu miejscach były poważnie uszkodzone i sypała się przez nie ziemia. Nieszczelnymi i zapuszczonymi kanałami, służącymi niegdyś do nawadniania pól i ogrodów, uciekała życiodajna woda.

Bezużyteczni na roli, niezdatni do hodowli, uznał Hernando. Nowi osadnicy mieli działki trzykrotnie większe od działek morysków, a mimo to przymierali głodem. Wieśniacy próbowali usprawiedliwiać swoje niedbalstwo.

— Wszystkie ziemie należą do króla — tłumaczył gruby Galisyjczyk siedzący w grupie wieśniaków w karczmie, w której Hernando stanął na popas — a co za tym idzie, podlegają bezpośrednio namiestnikowi Grenady, nawet te leżące wysoko w górach, gdzie latem gadzina karmi się trawą, komosą albo kłosownicą. Pastwiska są wspólne, więc wielu notabli z miasta zaprzyjaźnionych z namiestnikiem przepędza swoje stada na wypas do Alpuhary, nie dbając o to, że zwierzęta tratują po drodze zasiewy i niszczą drzewa morwowe. A jak trzeba stada pozbierać albo przepędzić z jednego pastwiska na drugie, wynajmują uzbrojonych ludzi, którzy wybierają co lepsze sztuki, choć wiedzą, że to nie ich.

— Kradną, Ekscelencjo — wykrzyknął zaciętrzewiony drugi wieśniak — a sędzia pokoju z Ugíjar nic nie robi, żeby nas bronić!

Hernando nie słuchał go. Przypomniał sobie z rozrzewnieniem, jak będąc dzieckiem, zgarniał rozproszone stada, które moryskowie celowo rozganiali, by nie płacić dziesięciny.

— Zrobicie coś w tej sprawie, Ekscelencjo? — dopytywał się

natarczywie Galisyjczyk i byłby chwycił Hernanda za ramie, gdyby nie stojący obok inny wieśniak, który powstrzymał go przed tym zuchwalstwem.

— Jestem tu, żeby kupować konie — odparł ostro Hernando. Co ci chrześcijanie wiedzieli o kradzieżach i łamaniu praw? Co mogli wiedzieć o bezprawiu, którego dopuszczano się wobec morysków?... myślał w chwili, gdy wszyscy wyczekiwali jego odpowiedzi. Nawet nie płacili podatków, bo byli od nich zwolnieni. Jedno tylko cisnęło mu się na usta: weźcie się do roboty!



Chociaż Hernando znał już przyczyny niskich wpływów do skarbu królewskiego i nie miał złudzeń, że nie uda mu się znaleźć klaczy godnej trafić do stajni don Alfonsa, postanowił przedłużyć swój pobyt w Alpuharze. Irytacja don Sancho i pachółków, narzekających na ciasne mieszkanie, bez wygod, w mieście gdzieś na odludziu, dostarczała mu nawet powodów do złośliwego zadowolenia. Nieokrzesany sędzia pokoju, opat z Ugíjar i ten lub ów z sześciu miejscowych kanoników stanowili jedyne towarzystwo, z którym hidalgo mógł sobie pozwolić na namiastkę konwersacji. Hernando wyjeżdżał z miasta o świcie, zaraz po porannej mszy. Mijał dom Salaha, zamieszkały teraz przez jakąś chrześcijańską rodzinę, po czym włóczył się po znanych sobie miejscach z czasów wojny. Szczególnie interesował go stan handlu. Przystawał i rozmawiał z ludźmi, pytając o przyczyny, dla których ten rodzaj zajęcia — niegdyś podstawa utrzymania tysięcy morysków — dziś przeżywał swój upadek. Bywało, że znalazłszy gościnę w jakimś domu, nie wracał na noc do Ugíjar. Pewnego dnia wspiął się na zamkowe wzgórze w Lanjarón, ale nie odważył się wykopać szabli Proroka. Na co mu ona? Ukłakł tylko i pomodlił się.

Staremu, wytwornemu don Sancho tak już się uprzykrzył pobyt w mieście, że uprosił Hernanda, aby zabrał go z sobą na jedną ze swych wypraw.

— Jesteście pewni, że tego chcecie? Tereny, po których jeżdżę, są zupełnie dzikie...

— Wątpisz w moje umiejętności jeździeckie?

Wyruszyli o świcie. Hidalgo wystroił się jak na królewskie łowy. Hernando słyszał o niezłych koniach pasących się w okolicach przełęczy Ragua, więc skierował się na Válor, aby stamtąd ścieżkami lub wprost przez pola wydostać się na wzgórze. Nadszedł czas, że i on mógł nauczyć czegoś książęcego kuzyna.

— Wiem, jaki jest cel twojej misji! — zakrzyknął hidalgo z przeciwległego brzegu niewielkiego strumienia, który Volador przesadził jednym susem. Don Sancho cmoknął na swojego wierzchowca i również przesadził przeszkodę. Hernando musiał przyznać, że szlachcic radził sobie na koniu nadzwyczaj zręcznie jak na swój wiek. — Nie uważam za konieczne błąkać się po bezdrożach, żeby wybadać, dlaczego król nie ma wystarczających dochodów...

— Znacie te tereny? Wiecie, co i gdzie się uprawia? — zapytał Hernando. Don Sancho przyznał, że nie. — To może się boicie?

Hidalgo ściągnął brwi i popędził konia.

Był cudowny majowy dzień, słoneczny i rześki. Mężczyźni wjeżdżali w coraz wyższe partie gór, pierwszy Hernando, za nim don Sancho. Ostrożnie omijali głębokie przepaście, zjeżdżali w dolinki i pokonywali przeszkody. Uwaga konkurujących z sobą w milczeniu jeźdźców koncentrowała się na koniach i gruncie, po którym stapały. Słysząc było tylko parskanie i od czasu do czasu krótkie pokrzykiwania, którymi popędzali wierzchowce. Nagle przed Hernandem wyrosła pionowa ściana, z ledwie widoczną ścieżyną wydeptaną przez kozy. Niewiele myśląc, uniósł się w strzemionach i złapawszy się jedną ręką końskiej grzywy tuż nad czołem Voladora, ubódł mocno zwierzę ostrogami. Koń zaczął wspinać się po zboczu. Nie puszczając grzywy, Hernando drugą ręką ujął wodze i przywarł do szyi Voladora, który zdawał się patrzeć prosto w niebo.

Rumak piął się w górę małymi skokami, nie przystając ani na moment, niezdolny przyjąć innej pozycji na stromo opadającej ścianie. Spod końskich kopyt osypały się kamienie. Dopiero w połowie wysokości, gdy Volador, straciwszy grunt pod nogami,

przysiadł na zadzie i rżąc, zaczął ześlizgiwać się w dół, Hernando uświadomił sobie, w jak wielkim znalazł się niebezpieczeństwie. Jeśli koń odchyli się minimalnie od pionu, obaj niechybnie runą w dół.

— Jazda! — krzyczał Hernando, nie przestając bóść konia ostrogami po zadzie. — Do góry!

Volador odzyskał równowagę i znów rozpoczął morderczą wspinaczkę.

— Zabijesz się! — wykrzyknął don Sancho czekający u podnóża urwiska.

— *Allahu Akbar!* — ryknął Hernando wprost do ucha konia, pośród odgłosów spadających kamieni, ślizgających się po ziemi końskich kopyt i chrapliwych parskań wierzchowca. Całym ciałem przyłgnął do szyi Voladora, głowę położył między jego uszami. — Allah jest wielki — powtarzał za każdym razem, gdy koniowi udawało się wykonać szczęśliwie kolejny skok.

Na ostatnim odcinku, tuż poniżej krawędzi urwiska, Volador nie mógł już odbijać się od podłoża, musiał wspinać się po skałach. Hernando zeskoczył z siodła, wyprzedził konia i zaczął ciągnąć go za wodze. Wkrótce koń i jeździec, mokrzy od potu, drżący, zziązani, wydostali się na małą polankę usianą kwiatami.

Kłęcząc, Hernando pochylił się nad przepaścią. Z trudem łapał oddech, nie mógł opanować drżenia mięśni.

— Teraz moja kolej! — zakrzyknął don Sancho, widząc wychylającą się w górze głowę. Nie mógł być gorszy od moryska. — Santiago!

— Nie! — wrzasnął na całe gardło Hernando. Hidalgo wstrzymał konia. Hernando podniósł się z kłęczek. — To szaleństwo!

Don Sancho cofnął konia o kilka kroków, żeby móc dojrzeć moryska.

— Jestem szlachcicem... — nalegał don Sancho.

Zabije się, pomyślał Hernando. I to przez niego. Sam go do tego zachęcił!

— Klnę się na Boga i Najświętszą Panię, że hiszpański szlachcic potrafi wspinać się nie gorzej od...!

— Wy, panie, tak — przerwał mu w pół słowa Hernando, nie chcąc, by wspomniał jego pochodzenie. — Ale wasz koń nie!

Hidalgo zastanowił się chwilę i powiódł wzrokiem po zboczu. Koń kręcił się niespokojnie. Szlachcic zatrzymał oczy na wysokiej krawędzi. Pieszczotliwie poklepał swojego wierzchowca i niechętnie uchylił kapelusza, na znak, że rezygnuje ze wspinaczki.

— Jeździecie naprawdę doskonale — przyznał Hernando, gdy objechawszy dookoła wzgórze, spotkał się z don Sancho. Volador był spieniony i ociekał krwią na zadzie.

— Wiem o tym — odparł hidalgo, nie dając po sobie poznać uczucia ulgi, z jaką przyjął wiadomość, że nie musi jechać tą samą drogą co morysk.

— Wracajmy do Ugíjar — zaproponował Hernando, dumny, że okazał się lepszy od hidalga.

Tego samego wieczoru Hernando oświadczył, że nazajutrz wyjeżdżają do Grenady.



— Zdaje się — mówił po drodze don Sancho — że Isabel trafiła na dwór markiza de Vélez.

Hernando i hidalgo jechali konno na przodzie, przed pachołkami i karawaną mułów, z puszczonejmi luźno wodzami.

— Skąd o tym wiecie?

— Od najwyższego opata z Ugíjar. Tak mi właśnie powiedział. Mówił mi to nieraz, kiedy ty wąsałeś się Bóg wie gdzie. — Hernando uniósł brwi, jakby nie bardzo rozumiał. — Tak, tak — dodał tonem wymówki don Sancho. Doña Isabel zamieszkała w pałacu markiza jako dama do towarzystwa jego córek. Uczyła się z nimi i tak wszystkim przypadła do serca, że następca Diabła z Żelazną Głową ofiarował jej spory posag. Wyszła za mąż za pewnego licencjata, który dzięki protekcji markiza de Vélez i sędziego z Sewilli, Fajardo de Córdoba, został audytorem jednej z izb Królewskiej Kancelarii w Grenadzie.

— Czy to ważne?

Don Sancho gwizdnał przeciągle, po czym rzekł:



— Królewska Kancelaria w Grenadzie to, obok trybunału w Valladolid, najważniejszy trybunał w królestwie Kastylii. Aragonia ma swoje własne trybunały. Ponad nim stoi już tylko Rada Kastylii reprezentująca Jego Królewską Mość, a i ona zajmuje się tylko niektórymi sprawami. Wiem, co mówię. Don Ponce de Hervás jest sędzią jednej z izb zajmujących się sprawami cywilnymi. Rozpatruje wszystkie procesy w Andaluzji, jeśli nie osobiście, to za pośrednictwem swoich konfratrów. Takie stanowisko daje ogromną władzę i... pieniądze.

— Duże ma dochody?

— Nie bądź naiwny. Wiesz, co mówił diuk de Alba o sprawiedliwości w tym kraju? — Hernando popatrzył na don Sancho. — Nie ma takiej sprawy, cywilnej czy karnej, której nie można by sprzedać jak mięso u rzeźnika. Większość członków rad sprzedaje się dzień w dzień tym, którzy chcą ich kupić. Pamiętaj, nigdy nie procesuj się z bogaczem.

— To też powiedział diuk?

— Nie. To moja rada.

Noc spędzili w Padul, niewiele ponad trzy mile od Grenady, jako że nie wypadało nachodzić gospodarzy o zbyt późnej porze.

Następnego dnia rano don Sancho zdziwił się niepomierne, gdy Hernando zażądał udania się przed wyjazdem z miasta do kościoła. Tu, zgodnie z nakazem księcia don Juana de Austria, brał ślub z Fatimą. Udawany związek, prawomocny tylko w oczach chrześcijan, dla niego stanowił promyk nadziei. Fatima... Kościół, pusty o tej porze, wydał mu się zimny, niemal lodowaty. Ukląkł i zamknął oczy. Udał, że się modli, ale jego wargi powtarzały tylko: „Śmierć jest daleką nadzieją”. To zdanie prześladowało go, odciskało się piętnem na jego życiu od dnia, kiedy wypowiedział je po raz pierwszy. Boże, dlaczego? Dlaczego Fatima...? Otarł łzy, powstał z klęczek i ku zaskoczeniu don Sancho nie odezwał się już ani słowem aż do samej Grenady. Do miasta wjeżdżali około południa przez bramę Rastro. Rzekę Darro przekraczali w miejscu handlu drewnem. W bramie powitała ich zawieszona w żelaznej, pokrytej rdzą klatce czaszka z ponurym przesłaniem. Kilku wieś-

niaków i handlarzy zaczęło głośno utyskiwać na zatarasowane przejście, gdy Hernando zatrzymał swego konia w bramie, by odczytać widniejącą nad klatką inskrypcję:

To jest głowa podłego psa Aben Abu,  
którego śmierć położyła kres wojnie

— Znałeś go? — spytał półgłosem don Sancho, podczas gdy rozzłoszczeni ludzie przeciskali się bokiem ze swymi mułami i końmi, omijając stojących na środku drogi jeźdźców.

Czy znał Aben Abu? Ten wykastrowany pies sprzedał go w niewolę Barraksowi, a Fatimę oddał Brahimowi. Hernando splunął.

— Widzę, że tak — orzekł hidalgo i popędził swego konia w ślad za Hernandem, który ruszył z kopyta, by jak najszybciej uwolnić się od widoku wiszącej nad nim czaszki króla Al-Andalus.

Jadąc wzdłuż przepływającej przez miasto rzeki Darro, dotarli do wydłużonego, ruchliwego Plaza Nueva, gdzie rzeka nagle zniknęła pod ziemią, by pojawić się ponownie za kościołem Świętej Anny. Po prawej stronie placu wznosiło się wzgórze z górującą nad Grenadą Alhambra, po lewej — ogromny pałac będący jeszcze częściowo w budowie.

— Jak się dowiemy, gdzie mieszka don Ponce? — spytał Hernando.

— To nie będzie trudne, jak sędzę. — Don Sancho podjechał do uzbrojonego strażnika stojącego przed wejściem do pałacu. — Szukamy rezydencji audytora don Ponce de Hervás — rzekł wyniośle, nie zsiadając z konia.

Strażnik od razu odgadł, że ma do czynienia z ludźmi wysoko urodzonymi.

— Jego Ekscelencję zastaniecie tutaj — rzekł, wskazując na budynek, przed którym trzymał straż. — To jest siedziba Królewskiej Kancelarii, natomiast dom Jego Ekscelencji znajduje się w Albaicín. Mam zawiadomić o waszym przybyciu, panie?

— Nie będziemy mu przeszkadzać — odrzekł don Sancho. — Chcemy udać się do jego domu.

Strażnik powiódł wzrokiem po placu i przywołał do siebie dwóch bawiących się chłopców.

— Traficie do domu audytora don Ponce de Hervás?

Idąc za małymi przewodnikami, Hernando, don Sancho i pachółkowie prowadzący muły zapuścili się w labirynt wąskich uliczek Albaicín, przedmieścia położonego na wzgórzu nad rzeką Darro, dokładnie naprzeciwko Alhambry. Wiele małych, skromnych domów należących niegdyś do morysków stało zamkniętych i opuszczonych. W miejsce meczetów wznosiły się teraz kościoły, klasztory lub szpitale, które w Grenadzie spotykało się na każdym kroku. Podchodzili dłuższym zboczem, wąską i krętą drogą, która następnie opadała ostro ku dwuskrzydłowej bramie prowadzącej na teren rozległej posiadłości. Obaj jeźdźcy zsiedli z koni i przekazali je pachółkom. Hernando dał chłopcom zapłatę, don Sancho zaś zastukał w drewniane wrota kołatką w kształcie lwiej głowy.

Otworzył im odzwierny ubrany w liberię. Na dźwięk imienia Hernanda zmienił się na twarzy i wpuściwszy przybyłych do ogrodu, sam pobiegł co sił w nogach powiadomić swoją panią. Hernando i don Sancho oparli się o parapet balustrady okalającej długie i wąskie ogrody tarasowe, które pokrywały zbocze poniżej willi aż do granicy następnej posesji. Mogła to być albo wielka posiadłość, albo mała i skromna działka jakiegoś moryska, jako że obie formy własności sąsiadowały z sobą w Albaicín. Obaj mężczyźni patrzyli przed siebie jak zauroczeni. Pośród woni kwiatów i drzew owocowych, szmeru wody bijącej z licznych fontann, podziwiali wznoszącą się na przeciwległym brzegu Darro Alhambrę — majestatyczną, zachwycającą, do której ręce wyciągały się same.

— Hernando...

Usłyszał za sobą nieśmiały, łamiący się głos.

Nie śmiał spojrzeć od razu za siebie. Jak wygląda dziś tamta mała dziewczynka o płowych włosach i kasztanowych, pełnych przerażenia oczach? Pierwsze, na co zwrócił uwagę, to blond włosy ujęte w kok, kontrastujące z czarną suknią pięknej kobiety,

której oczy, chociaż przesłonięte łzami, pozostawały żywe i pełne blasku.

— Pokój z tobą, Isabel.

Kobieta stuliła usta i skłoniła głowę. W jej wspomnieniach odżyła chwila pożegnania z Hernandem w Berji, kiedy to jej wybawca oddał się wyciągniętym galopem, pokrzykując i wymachując szablą nad głową. W ramionach tuliła maleńkie dziecko. Obok niej stało dwóch chłopców: jeden nerwowo uczepony matczynej spódnicy, drugi, nieco starszy, może sześćioletni, wyprostowany i spokojny. Isabel popchnęła lekko starszego syna przed siebie.

— To mój syn Gonzalico — rzekła. Chłopiec, zawstydzony, wyciągnął rękę na powitanie.

Jednakże Hernando zamiast uścisnąć ją chłodno, przykucnął naprzeciwko chłopca.

— Opowiadała ci mama o twoim wuju Gonzalico? — Malec skinął głową. — Był bardzo, bardzo dzielnym chłopcem. — Hernando uczył skurcz w gardle. Odchrząknął i mówił dalej: — Jesteś tak samo dzielny jak on?

Gonzalico popatrzył na matkę, która potaknęła głową z uśmiechem.

— Tak — odrzekł zdecydowanie.

— Któregoś dnia wybierzemy się na przejażdżkę konno, chcesz? Mam konia ze stajni króla Filipa, najlepszego w całej Andaluzji.

Chłopczyk otworzył szeroko oczy. Jego brat puścił się matczynej spódnicy i zbliżył się do rozmawiających.

— To Ponce — przedstawiła drugiego syna Isabel.

— Jak się nazywa? — spytał Gonzalico.

— Koń? Volador. Chcecie się na nim przejechać?

Obaj chłopcy skinęli głowami.

Hernando zwichrzył palcami ich czupryny i wstał.

— Mój towarzysz, don Sancho — rzekł, wskazując na hidalga, który postąpił krok naprzód i pochylił się, by ucałować wyciągniętą do niego kobiecą dłoń.

Hernando obserwował bacznie Isabel, podczas gdy ona odpowiadała na grzecznościowe pytania don Sancho. Z przerażonej, małej dziewczynki wyrosła piękna kobieta. Uśmiechała się i poruszała z wdziękiem, czując na sobie wzrok Hernanda. Kiedy hidalgo odstał od niej wreszcie i Isabel przeniosła kasztanowe oczy na moryska, Hernando dostrzegł w nich odbicie wspólnie przeżytych chwil. Przejął go dreszcz, więc chcąc uwolnić się od natrętnych wspomnień, poprosił Isabel, by opowiedziała mu, co działo się z nią przez te wszystkie lata.

Surowy i powściągliwy z natury don Ponce de Hervás nie krył swej szczerzej wdzięczności dla Hernanda, co dziwiło nawet pałacową służbę. Audytor był mężczyzną niskiego wzrostu, o okrągłej twarzy i łagodnych rysach, nieco przy kości, zawsze odzianym w czerń. Małżonce, która przewyższała go o głowę, okazywał wielkie uwielbienie. Sędzia podjął swego gościa z należnymi mu względami, wyznaczając mu pokój na drugim piętrze, przylegający do sypialni małżonków, z tarasem od strony ogrodu, z widokiem na Alhambrę. Don Sancho zamieszkał na tym samym piętrze w części przeznaczony dla dzieci, na końcu długiego, pełnego zakamarków korytarza.

Obecność Hernanda nie zmieniła utartych zachowań audytora. Żył pochłonięty pracą, jakby tylko ona przynosiła mu powszechne uznanie, którego nie doświadczał u boku swego potężnego protektora. Jeden ruch ręki wielkiego granda Hiszpanii, jeden jego uśmiech lub słowo potrafiły przyćmić małego sędziego. Don Sancho wymówił się przed panią domu i całe dni spędzał na mieście, u rodziny lub znajomych. W ten sposób Hernando pozostawał w willi z Isabel i jej dziećmi.

Za zgodą audytora Hernando przez pierwsze kilka dni korzystał z gabinetu na parterze, gdzie siedząc przy biurku, spisywał dla diuka rezultaty swoich obserwacji.

„Byłoby wielce wskazanym ustanowić w Ugfjar targ jedwabiu — proponował, donosząc jednocześnie o leniwej naturze osadników i problemach, z którymi miał okazję zetknąć się podczas swych podróży po Alpuharze. — W ten sposób mieszkańcy tego miasta nie musieliby sprzedawać za bezcen jedwabiu w Grenadzie, jak to czynią obecnie, a co za tym idzie, zaoszczędziliby pieniądze na kosztach podróży. Przędzalnie w Grenadzie nie ucierpiałyby na tej zmianie i tak bowiem zaopatrują się w jedwab w wielu innych miejscach poza Alpuharą”.

Dziecięce śmiechy rozproszyły jego myśli. Hernando wstał od biurka i podszedł do uchylonych drzwi, przez które wpadało orzeźwiające powietrze z ogrodu. Prawie całą powierzchnię przylegającego do tej strony budynku wąskiego i długiego tarasu zajmowała sadzawka zasilana wodą z regularnie rozmieszczonych wokół niej fontann. Nad ogrodem wznosiły się łukowato wygięte pergole, oplecione o tej porze roku gęstą winoroślą, tworząc zacieniony, przyjemny tunel zakończony półokrągłą altaną. Po bokach stały ławeczki, z których można było obserwować tryskające w górę i opadające do sadzawki cienkie strużki wody.

Hernando stał oparty o drzwi. Na jednej z ławeczek siedziała Isabel z tamborkiem w dłoniach. Patrzyła na biegające dzieci, które co rusz próbowały wymknąć się spod troskliwej opieki niani. Jej postać oświetlona wąską smugą słonecznego blasku sączącego się przez pergolę jaśniała na tle gęstego cienia zielonego tunelu. Hernando patrzył na nią z zachwytem. Ubrana była tradycyjnie w czarną suknię. Płowe włosy, które przykuły jego uwagę wiele lat temu i uchroniły ją przed niewolą, podkreślały łagodne, pełne słodczy rysy twarzy. Wydatne usta, długa, odsłonięta szyja, bujne piersi walczące z obciskającą je suknią, wąska talia i szerokie biodra — wszystko to składało się na obraz zmysłowej, młodej matki trójki dzieci. Nagle promień słońca padł na jej dłoń wyciągniętą w kierunku Gonzalica w geście ostrzeżenia przed zbyt blizaniem się do sadzawki. Hernando śledził ruch tej białej, delikatnej ręki urzeczony jej pięknem. Potem przeniósł wzrok na

malca, który biegł beztrosko przed nianią, zupełnie nie zważając na matkę. Powtórnie spojrzął na Isabel i przyjemny, podobny do łaskotania dreszcz przebiegł mu po plecach: jego wzrok napotkał wpatrzone w siebie kasztanowe oczy. Równocześnie uderzył go widok falujących gwałtownie pod obcisłym stanikiem kobiecych piersi. Hernando z trudem złapał oddech. Co się dzieje? Oszołomiony wytrzymał jej spojrzenie. Był przekonany, że za chwilę jej uwagę odciągną dzieci lub robótka, ale ona nie przestawała wpatrywać się w niego. Ciarki biegnące wzdłuż krzyża zaczęły obejmować również podbrzusze. Hernando cofnął się gwałtownie od drzwi i przywołałszy jednego z pacholków, kazał mu osiodłać Voladora.



Tydzień później don Ponce i jego małżonka wyprawili przyjęcie na cześć swego gościa. W ciągu tych siedmiu dni Hernando pracował do południa w gabinecie. Siedząc plecami do drzwi, starał się koncentrować na przygotowywanym dla diuka raporcie, nie zważając na dobiegające z ogrodu śmiechy.

Ustanowić doroczny jarmark dla mieszkańców Alpuhary, by mogli sprzedawać swoje towary... Udostępnić port morski... Posadzić drzewa morwowe i założyć winnice... Pozwolić miejscowej ludności na sprzedaż nabytych ziem... Ustanowić miejscowe sądownictwo... Poskromiwszy w sobie pokusę wyglądanania na ogród i patrzenia na Isabel, rozwijał każdą powstałą w głowie myśl dotyczącą pobudzenia handlu na terenie Alpuhary i podwyższenia królewskich wpływów. Prace szły jednak wolno. Hernando odczuwał zmęczenie, źle sypiał. Każdy odgłos dochodzący nocą z sypialni Isabel rozbrzmiewał w jego pokoju zwielokrotnionym echem. Przyłapał się na tym, że mimo woli natężył słuch i wstrzymuje oddech, starając się złowić uchem najlżejszy szmer dobiegający zza ściany. Zdało mu się, że słyszy nawet szelest pościeli i trzeszczenie desek, gdy Isabel przewraca się na drugi bok. Którejś z takich bezsennych nocy spróbował wyobrazić sobie, że odgłosy dochodzą z sypialni audytora. Innym razem pomyślał o Fatimie



i poczuł skurcz w żołądku jak wtedy, gdy pierwszy raz po jej śmierci udał się do domu publicznego. Ale wszystko na nic — po kilku chwilach znów nasłuchiwał, co się dzieje w przyległym pokoju. Za dnia natomiast starał się unikać spotkania z Isabel ogarnięty uczuciem wstydu i zażenowania.

Rankiem, w dniu, w którym miało odbyć się przyjęcie, Hernando ukończył raport. Dołączył do niego list, w którym informował diuka o swoim pobycie w domu don Ponce de Hervás i jego żony Isabel. Ponieważ nie dysponował pieczęcią, poprosił sędziego o zalakowanie pisma i dowiedziawszy się od niego o ekspedycji do Madrytu, odprawił jednego z pachółków z listem.

Początek przyjęcia zaplanowano na wczesny wieczór. Na polecenie audytora Hernando i don Sancho otrzymali w prezencie nowe stroje, odpowiednie do przepychu, z jakim gospodarz domu zamierzał wydać ucztę. Hidalgo i Hernando stali przy wejściu do rezydencji, tak jak prosił ich o to don Ponce, i oczekiwali przybycia gości, którym mieli być przedstawieni. Don Sancho zdradzał silne podenerwowanie.

— Szkoda, że nie nauczyłeś się tańczyć — rzekł do Hernanda, przyglądając się sobie z zachwytem.

— *Campanella!* — rzekł drwiąco Hernando i podskoczył.

— Sztuka tańca... — zaczął hidalgo.

W tym momencie kilka rytmicznych klaśnień w dłonie przeszkodziło mu w mówieniu.

— Potrafisz też tańczyć? — rozległ się kobiecy głos.

Hernando odwrócił głowę. Isabel przestała klaskać. Szła ku nim majestatyczna i wyniosła, stawiając drobne krocзки. Spod sukni widać było wysokie na cztery palce pantofle na korkowych koturnach inkrustowanych srebrem. Tego wieczoru porzuciła tradycyjną czerń na rzecz dwuczęściowego stroju z ciemnozielonej satyny, ze wstawkami i pikowaniami w różnych odcieniach tego samego koloru. Górna część, ozdobiona wysoką kryzką sięgającą aż do uszu, miała formę odwróconego stożka, którego wierzchołek opierał się na krynolinie w kształcie dzwonu. Usztywniony stanik mocno spłaszczył piersi — dziś bardziej nawet niż zwykle — by

ukryć szczodrość natury dającą się zauważyć przy innych okazjach. Kości policzkowe uwydatniał róż nałożony za pomocą papieru farbowanego na czerwono; błyszczące oczy pociągnięte były kreską uzyskaną z mieszanki antymonu z alkoholem. Całości dopełniał wspaniały naszyjnik z pereł. Don Sancho otrząsnął się z wrażenia i odwrócił wzrok od Isabel, spostrzegłszy, że jego zainteresowanie damą przekracza granice dobrego wychowania. Próbował też przywołać do porządku Hernanda, ściskając go za ramię, ale nic nie wskórał: Hernando stał oniemiały, z otwartymi ustami, wpatrzony w zjawiskową piękność.

— Potrafisz tańczyć? — powtórnie spytała Isabel, zatrzymawszy się przy nim.

— Nie... — odrzekł z wahaniem owionięty zapachem perfum roztaczanym przez czarującą postać.

— Nie chciał się uczyć — wyjaśnił hidalgo, starając się przerwać zauroczenie swego towarzysza, świadom śledzącej ich spod oka służby w czerwonych liberiach, czekającej na przybycie gości.

Isabel odpowiedziała na uwagę don Sancho lekkim pochYLENIEM głowy i łagodnym uśmiechem. Zaledwie krok dzielił ją od Hernanda.

— Wielka szkoda — odrzekła cicho. — Wiele kobiet byłoby zaszczyconych, mogąc zatańczyć z tobą dzisiejszego wieczoru.

Zapadła niezręczna, ciężka jak ołów cisza, którą przerwał w końcu don Sancho:

— Don Ponce! — wykrzyknął. Isabel odwróciła głowę przestraszona. — Zdawało mi się, że go widzę — wyjaśnił, dostrzegłszy nieme zapytanie w oczach Isabel, która nie mogła nigdzie dostrzec męża.

— Wybaczcie — rzekła Isabel, pokrywając zakłopotanie nagłą szorstkością w głosie. — Muszę dopełnić jeszcze kilku obowiązków przed przybyciem gości.

— Co ci przyszło do głowy, żeby tak patrzeć na damę? — rzucił półgłosem don Sancho po odejściu Isabel. — To żona audytora!

Hernando bezradnie rozłożył ręce. Co mu przyszło do głowy? Zastanowił się. Chyba nic. Wiedział natomiast, że po raz pierwszy od wielu lat był naprawdę zauroczony.



Hernando, don Sancho, audytor i Isabel wzięli udział w ceremonii ucałowania rąk i prezentacji blisko stu osób, które z radością przyjęły zaproszenie bogatego i wpływowego sędziego w Grenadzie. Wśród zaproszonych znaleźli się przyjaciele don Ponce, kanonicy katedralni, inkwizytorzy, inni duchowni i zakonnicy, namiestnik Grenady i kilku liczących się rajców, kawalerowie różnych zakonów, przedstawiciele bogatej szlachty, hidalgowie i pisarze. Hernando przyjął pozdrowienia i otrzymał podziękowania od wszystkich przybyłych. Towarzyszący mu don Sancho bezskutecznie usiłował włączyć się do rozmowy. Trwało to dość długo, aż morysk, świadom jego desperackich wysiłków, wykorzystał nadarzącą się sposobność.

— Pozwólcie, ojczu, przedstawić sobie don Sancho de Córdoba, kuzyna diuka de Monterreal — rzekł do mężczyzny, którego zaanonsowano jako proboszcza kościoła Świętego Józefa.

Ksiądz pozdrowił hidalga skinieniem głowy i na tym skończyło się jego zainteresowanie osobą don Sancho.

— Jestem niezmiernie rad — rzekł, zwracając się do Hernanda — móc poznać tego, który wybawił panią tego domu z rąk heretyków. Wiem o waszych wyczynach od don Alfonsa de Córdoba i wielu innych chrześcijan. — Hernando z trudem pohamował zdumienie. Od przyjazdu do Grenady wiele mówiło się o jego bohaterskich czynach, ale tylko w odniesieniu do dwóch wypadków, które rzeczywiście się zdarzyły. — Doña Isabel — mówił duchowny, ściągawszy na siebie uwagę pani domu — jest jedną z mych najpobożniejszych parafianek, rzekłbym nawet: najpobożniejszą. To prawdziwe szczęście, że ocaliliście jej duszę dla Pana.

Hernando przeniósł wzrok na Isabel, która z pokorą słuchała pochlebstw księdza.

— Rozmawiałem z kilkoma kanonikami z katedry — mówił dalej ksiądz. — Chcielibyśmy złożyć wam pewną propozycję. Dziekan, który, o ile wiem, zasiądzie z wami przy stole, z pewnością wyjaśni całą sprawę.

Rozmowa z proboszczem kościoła Świętego Józefa wytrąciła Hernanda z równowagi. Z roztargnieniem śledził przewijający się przed nim korowód ludzi. O jaką sprawę chodzi? Czego mogą chcieć od niego członkowie kapituły?

Niebawem wszystkiego się dowiedział. Zaproszono go do zajęcia honorowego miejsca między don Ponce a namiestnikiem Grenady, przy długim stole ustawionym w alejce ogrodowej osłoniętej pergolą. Naprzeciwko zasiedli Juan de Fonseca, dziekan katedry, i dwóch rajców noszących tytuły markiza i hrabiego. Dalej — reszta gości wedle wieku i urzędu. W alejce po przeciwnej stronie sadzawki stał drugi taki sam stół, przy którym Hernando dostrzegł don Sancho rozprawiającego z zajęciem ze współbiesiadnikami. Pozostałe stoły ustawiono na niższych tarasach. Przy jednych wieczerali sami mężczyźni, w większości ubrani w surową czerń, zgodnie z regułami soboru trydenckiego, przy innych — kobiety prześcigające się w przepychu i piękności. W półokrągłej altance orkiestra grająca na puzonie, kornecie, szałamai, dwóch fletach, kotle i vihueli umilała biesiadnikom wiosenną noc, jasną i gwiaździstą.

Podczas gdy pożywiano się kuropatwami i nadziewanymi kapłonami podanymi na pierwsze danie, Hernando musiał zaspokajać ciekawość gości wypytyjących o szczegóły niewoli i ucieczki don Alfonsa de Córdoba z rzadka i oględnie nawiązujących do historii żony audytora.

— Podobno — odezwał się jeden z rajców, obgryzając skrzydełko kuropatwy — uratowaliście więcej chrześcijan.

Pytanie to padło dokładnie w momencie, w którym ozwała się samotna vihuela i rozbrzmiały słowa sentymentalnej pieśni śpiewanej przez jednego z muzyków. Hernando wsłuchiwał się przez chwilę w melancholijne dźwięki instrumentu podobne do brzmienia lutni uprzyjemniającej każdą zabawę morysków.

— Pamiętacie, kim były te osoby? — spytał namiestnik.

— Tak, choć nie pamiętam wszystkich — skłamał. Taką odpowiedź obmyślił wcześniej, gdy tylko zdał sobie sprawę, że po mieście rozeszły się wieści o jego męstwie w ratowaniu chrześcijan.

Rajca przestał obgryzać skrzydełko. Zapadło kłopotliwe milczenie.

— Kim były te osoby? — dopytywał się dziekan.

— Wolałbym nie mówić. — Nawet don Ponce zajądający z apetytem pierś kapłona spojrział ze zdziwieniem na Hernanda. A czemuż to? — zdawał się pytać. Hernando odchrząknął, po czym rzekł: — Niektórzy z nich musieli porzucić swych bliskich lub przyjaciół. Płakali, gdy uciekali. Miłość walczyła w nich z panicznym strachem przed śmiercią. Pamiętam mężczyznę, który odzyskawszy wolność, zrezygnował z dalszej ucieczki. Postanowił wrócić i zginąć razem ze swoimi dziećmi. — Przysłuchujący się jego opowieści biesiadnicy kiwali w milczeniu głowami. Ten i ów zaciął usta lub przymknął oczy. — Nie mogę zdradzić ich imion — tłumaczył się Hernando. — Co komu po tym. Wojna... Wojna sprawia, że ludzie zapominają o zasadach i kierują się instynktem.

Znów przytaknięto jego słowom i znów zaległa cisza przerywana smutnymi akordami vihueli płynącymi w ciemną noc. Muzyka kołła ból.

— Dobrze robicie, nie rozpowiadając o nich — odezwał się wreszcie dziekan Fonseca. — Zaiste skromność jest wielką cnotą ludzi, strach zaś przed śmiercią lub torturami skłania do wybaczenia tym, którzy mu ulegli. Ufam jednak, że nie ukrywacie heretyków, którzy przelali tyle chrześcijańskiej krwi i dopuścili się tylu bluźnierstw i profanacji. — Hernando utkwiał niebieskie oczy w dziekanie. — Arcybiskup Grenady prowadzi dochodzenie w sprawie męczeńskiej śmierci chrześcijan z Alpuhary. Dysponujemy danymi i setkami zeznań wdów, które straciły mężów i dzieci podczas rzezi. Rozumiemy, że wasza wiedza na ten temat, prawego chrześcijanina przeżywającego tamte tragiczne dni w bliskości morysków, stać by się mogła nieocenionym źródłem informacji. Potrzebujemy waszej pomocy przy zbieraniu dowodów męczeństwa

chrześcijan: co się wydarzyło, kiedy, gdzie, jak, kto wydał rozkaz i kto go wykonał.

— Ale... — wyjąkał Hernando.

— Grenada musi przedstawić dowody męczeństwa tych ludzi w Rzymie — przerwał mu namiestnik. — Od bez mała stu lat, dokładnie od chwili zdobycia miasta przez Królów Katolickich, bezskutecznie trwają poszukiwania szczątków naszego patrona, świętego Cecyliusza. Grenada musi dorównać pozostałym wielkim miastom hiszpańskich królestw: Santiago, Toledo, Tarragonie... Była ostatnim miastem wydartym Maurom i nie ma pięknych kart historii chrześcijaństwa, które gdzie indziej zapisali apostoł Jakub czy święty Ildefons. A to właśnie ci mężczyźni chrześcijanie przynoszą chwałę swoim miastom. Bez świętych, bez męczenników, bez historii chrześcijaństwa każde miasto jest niczym.

— Wiecie, że mieszkam w Kordobie — rzekł na swoje usprawiedliwienie Hernando, czując na sobie spojrzenia biesiadników.

— To nie stanowi przeszkody — dodał prędko dziekan, jakby tym samym chciał położyć kres wszelkim wymówkom. — Będziecie mogli w dalszym ciągu tam mieszkać. Arcybiskup zaopatrzy was w stosowne dokumenty i pieniądze na odbywanie podróży.

— Wiedziałem, że można na was liczyć w tak świętej i słusznej sprawie — ozwał się don Ponce, poklepując Hernanda po ramieniu. — Gdy tylko dowiedziałem się, że Kościół w Grenadzie liczy na wasz udział w procesie, napisałem list do diuka de Monterreal z prośbą o pozwolenie, ale od początku domyślałem się, że to nie będzie potrzebne.

Ktoś wznosił toast i wszyscy siedzący obok Hernanda goście wypili jego zdrowie.

Wieczera dobiegła końca i muzycy przenieśli się do wielkiego salonu, który wcześniej opróżniono z mebli. Część gości rozproszyła się po ogrodzie lub przeszła na rozległy taras przylegający do salonu, wznoszący się powyżej koryta rzeki Darro, naprzeciwko Alhambry, nad zabudowaniami Albaicín. Pozostali goście czekali na rozpoczęcie balu. Hernando ujrzał z dala przechadzającego się po salonie don Sancho i pozazdrościł mu wesołości i beztrioski.

Tylko tego brakowało — polecenia arcybiskupa! Własna matka odwróciła się od niego, a tu przyjdzie mu współpracować z Kościołem... i wydawać swoich braci w wierze!

Usłyszał muzykę. Mężczyźni i kobiety puścili się w tany, w kołach lub w rzędach, w parach lub w grupkach, zbliżając się jedni do drugich, uśmiechając, czasem flirtując, podskakując, zupełnie tak samo, jak czynił to don Sancho w pałacu don Alfonsa. W tłumie tańczących rozpoznał Isabel w zielonym stroju i pantoflach na koturnach, które połyskiwały przy każdym uniesieniu sukni i pomimo że były wysokie, nie przeszkadzały jej poruszać się wdzięcznie w tańcu. Miał wrażenie, że rzuciła mu kilka ukradkowych spojrzeń.

Podczas balu zmuszony był witać się z różnymi osobami i odpowiadać na ich pytania, choć myślami błędził daleko stąd.

Całe jego życie biegło jednym, utartym torem, myślał, mając przed sobą ubraną na niebiesko damę, która o czymś mu opowiadała, sam nie wiedział o czym. Zawsze w potrzasku między chrześcijanami i muzułmanami. Będąc synem duchownego, który zgwałcił jego matkę, otarł się o śmierć we wczesnej młodości, gdy chciano go zabić w Juviles; potem Aben Humeya obdarzył go łaskami za uratowanie skarbu morysków, ale wkrótce popadł w niewolę uznany za chrześcijanina. Odmawiał wyparcia się wiary, która nie była jego wiarą, po to, by nie stać się kochankiem Barraksa. W Kordobie w katedrze pracował dla kapituły jako chrześcijanin, a równocześnie kopiował dziesiątki egzemplarzy księgi objawionej. Wkrótce potem jako prawy chrześcijanin współpracujący ze Świętym Oficjum musiał uczestniczyć z polecenia inkwizycji w torturowaniu i śmierci Karima. I teraz, gdy właśnie natrafił na tajemniczą, zaskakującą ewangelię Barnaby, Kościół znów wkraczał w jego życie i nakazywał mu współpracować. Mimo to wiedział, kim jest jego Bóg, jedyny, miłosierny... Co pomyślałby o nim dobry Hamid, gdyby mógł go zobaczyć w obecnym położeniu?

— Przykro mi, nie umiem tańczyć — rzekł bez zastanowienia, napotkawszy pytające spojrzenie niebieskiej damy, która zdawała się czekać na jego odpowiedź.

Hernando nie słyszał jej pytania i musiał nie trafić z odpowiedzią, bo dama przybrała nagle obrażoną minę i odwróciwszy się na pięcie, odeszła bez pożegnania.

Bał trwał do późnych godzin nocnych. Don Sancho pojawił się cały spocony na tarasie, gdy na dany przez don Ponce znak muzyka umilkła. Tańce dobiegły końca.

— A teraz — przemówił sędzia z małej estrady dla muzyków — zapraszamy wszystkich na pokaz sztucznych ogni, który przygotowaliśmy na cześć naszego gościa. Proszę o przejście na tarasy i do ogrodów.

Don Ponce odszukał żonę i razem podeszli do Hernanda.

— Zapraszam — rzekł sędzia.

Stanęli w pierwszym rzędzie przy balustradzie oddzielającej salon od tarasu. Isabel znalazła się za plecami Hernanda i dziekana Fonseki. Na świetlny znak dany z pałacu mury Alhambry rozbłysły intensywnym, żółtym światłem. Goście za ich plecami rozplywali się w zachwytach, obserwując świetliste kule przecinające usiane gwiazdami niebo. Jednocześnie dla lepszego widoku tłum zaczął mimowolnie napierać na balustradę. Nowa seria błysków rozdarła nocne niebo. Hernando poczuł ciepło ciała Isabel. Grzmoty wybuchającego prochu zmieszały się z jej gorącym, urywanym oddechem tuż przy jego uchu. Isabel nie poruszała się ani nie próbowała odsunąć. Goście pochłonięci byli widowiskiem sztucznych ogni. Nikt nic nie zauważył, tylko Hernando poczuł delikatne muśnięcie czyjejś dłoni o swoją rękę. Odwrócił głowę. Na wargach Isabel drżał nieśmiały uśmiech. Hernando ujął z czułością podaną dłoń. W zwartym tłumie wypełniającym taras przez moment szukali się chciwie palcami, po czym splekli je w uścisku, czując wzajemne ciepło. Ostatnia seria świetlistych wystrzałów zakończyła pokaz. Zerwały się okrzyki i oklaski.

Z wolna goście zaczęli opuszczać dom audytora. Tym razem Hernando nie miał wątpliwości: pośród wrzawy pożegnań Isabel pochwyciła jego spojrzenie i utonęła w nim na dłuższą chwilę.



Co się wydarzyło w Juviles?

Notariusz kapituły zadał to pytanie zaraz po oficjalnym przywitaniu, gotowy do spisania oświadczenia Hernanda. Znajdowali się w niewielkim pomieszczeniu obok archiwum katedralnego.

Wczesnym rankiem następnego dnia po przyjęciu, kiedy cały dom pogrążony był jeszcze we śnie — z wyjątkiem oczywiście audytora, któremu nikt i nic nie mogło przeszkodzić w wykonywaniu obowiązków — Hernando musiał stawić się na wezwanie dziekana. Dosiadł Voladora i zabrawszy z sobą pachołka, skierował się z Albaicín w stronę ulicy Świętego Jana. Następnie minął pustelnię Świętego Grzegorza i wjechał w ulicę Cárcel przy katedrze, która podobnie jak katedra w Kordobie znajdowała się właśnie w fazie budowy. Ukończono już prace w kaplicy głównej, teraz wznoszono wieże. W odróżnieniu od katedry w Kordobie świątynia w Grenadzie powstawała nie na miejscu dawnego meczetu, ale obok niego. Ze starego meczetu i minaretu zrobiono zakrystię, a w niej liczne kaplice i pomieszczenia pomocnicze. Hernando przeszedł przez dawną salę modlitewną, przyglądając się uważnie kolumnom z białego kamienia zakończonym łukami, które dźwigały drewniany dach i dzieliły niegdyś meczet na pięć naw. Jakiś ksiądz poprowadził go do kancelarii notariusza.

Co powiedzieć o Juviles? — zastanawiał się Hernando, podczas

gdy notariusz, z piórem w ręku, czekał na jego odpowiedź. Że jego matka zadźgała proboszcza?

— Trudne to i bolesne dla mnie — zaczął, starając się zyskać na czasie — opowiadać o Juviles i o tamtych dramatycznych wydarzeniach, których byłem świadkiem. Nie mogę zebrać myśli. — Notariusz podniósł głowę i zmarszczył brwi. — Nie wiem, czy nie lepiej... czy nie lepiej byłoby, gdybyście dali mi trochę czasu na przemyślenie i uporządkowanie wspomnień. Dostarczyłbym je wam na piśmie.

— Potrafiacie pisać? — zdziwił się notariusz.

— Tak. Nauczył mnie zakrystian z Juviles Andrés.

Ciekawe, co z nim się dzieje? — pomyślał Hernando. Nie miał o zakrystianie żadnych wieści od czasu przybycia do Kordoby.

— Z przykrością muszę wam donieść, że zmarł niedawno — rzekł notariusz, jakby odgadywał jego myśli. — Dowiedzieliśmy się, że przeniósł się do Kordoby. Pośleliśmy nawet po niego, żeby powołać go na świadka, ale niestety...

Hernando westchnął głęboko i poruszył się niespokojnie na twardym, skrzypiącym krześle, na którym siedział naprzeciwko biurka. Może by tak raz wreszcie skończyć z tą farsą? Jest muzulmaninem! Wierzy w jedyne Boga i w prorocstwo Mahometa. Notariusz zamknął akta leżące na stole.

— Wzywają mnie obowiązki — rzekł. — Zaoszczędzicie mi dużo cennego czasu, jeśli spiszecie swoje wspomnienia.

I wysiłku, dokończył w myślach Hernando, widząc, że notariusz wstaje i podaje mu rękę na pożegnanie.

Słońce stało już wysoko na niebie i miasto tętniło życiem. Hernando, dosiadłszy Voladora, zamierzał odprawić pacholka i powąłęsać się po mieście, przejechać przez pobliski targ jedwabiu albo wstąpić do jakiejś oberży, by przemyśleć wszystko na spokojnie. Poprzedniej nocy, gdy dom opuścili już ostatni goście, modlił się, mając przed oczyma Isabel. Był podniecony. Czuł ciepło jej ciała i dotyk palców. Dlaczego ujęła go wtedy za rękę? Volador parsknął niespokojnie, czekając na znak jeźdźca. Pacholek również okazywał zniecierpliwienie. A teraz Juviles. Hernando ściągnął

gwałtownie wodze. Przypomniat sobie chrześcijan z wioski, jak rozebrani do naga, z rękami związanymi na plecach, stali w szeregu na polu i czekali na śmierć, podczas gdy moryskowie, wśród nich jego matka, dobijali księdza i prebendarza. Wielu z tych ludzi przeżyło dzięki łaskawości Zaguera, który powstrzymał rzeź wbrew rozkazom Farraksa. Co zeznali? Nie mogło ujść ich uwagi okrucieństwo Aiszy ani wzniesiony przez nią ku niebu okrzyk wzywający Allaha, ani zakrwawiony nóż w jej ręce, którym dokonała zemsty. Skojarzą ich z sobą? Matka Hernanda zamordowała don Martina! Miejmy nadzieję, że nie, próbował się uspokajać. Aiszę będą łączyć co najwyżej z Brahimem, mulnikiem, a nie z czterastoletnim chłopcem. Na razie jednak trzeba było się liczyć z taką możliwością...

— Wracamy do domu — rzucił i ruszył, nie czekając na pachołka.



Hernando zastał don Sancho samego przy śniadaniu.

— Dzień dobry — rzekł na powitanie.

— Ranny ptaszek z ciebie — odpowiedział hidalgo. Hernando usiadł przy stole i opowiedział mu o prośbie dziekana i o porannym przesłuchaniu. Don Sancho słuchał go, skubiąc kęs za kęsem. — I ja mam dla ciebie zlecenie. Wczoraj przy wieczerzy siedziałem obok don Pedra de Granada Venegas — oświadczył. Hernando zmarszczył brwi. Jeszcze ten czegoś od niego chce? — Co jakiś czas — mówił don Sancho — Granada Venegas organizują w swoim pałacu Tiros tertulie\*. Don Pedro ma zaszczyt zaprosić nas na najbliższe takie spotkanie.

— Jestem bardzo zajęty — wymówił się Hernando. — Idźcie sami.

— Zaproszono nas razem... ale jestem przekonany, że to ciebie chce poznać don Pedro — dodał. Hernando westchnął. — To

---

\* Spotkania najczęściej o charakterze kulturalnym lub artystycznym, porównywalne z salonem literackim.

ważna osobistość — przekonywał hidalgo. — Don Pedro to pan na Campotéjar i kasztelan Generalife. Macie z sobą wiele wspólnego: wasi muzułmańscy przodkowie przeszli na chrześcijaństwo. Prawdopodobnie dlatego chce was poznać. Jego dziad, potomek książąt mauretańskich, oddał nieocenione usługi Królom Katolickim podczas zdobywania Grenady; potem gorąco służył cesarzowi. Jego ojciec, don Alonso, wspierał króla Filipa Drugiego podczas wojny w Alpuharze, przez co utracił prawie całą fortunę. Król, chcąc wynagrodzić poniesione straty, wyznaczył mu skromną pensję w wysokości czterystu dukatów. Na tertuliach bywa sama śmietanka towarzyska. Nie wypada odmawiać wielmoży z Grenady spowinowaconemu z największymi domami hiszpańskimi. Mój drogi kuzyn don Alfonso nie byłby z tego zadowolony.

— Widzę, że bardzo wam zależy na tej wizycie, skoro uciekacie się do straszenia mnie reakcją diuka — odparł Hernando. — Wróćmy do tej rozmowy, don Sancho — rzekł na koniec i wstał od stołu.

— Ale...

— Potem, don Sancho, potem.

W pierwszej chwili zamierzał pójść do ogrodu, zmienił jednak zdanie i postanowił schronić się w zaciszu swego pokoju. Isabel, Juviles, kapituła, do tego zaproszenie do domu arystokraty renegata popierającego chrześcijan w czasie powstania w Alpuharze. Można zwariować! Pragnął zapomnieć, wyciszyć się. Najlepszym sposobem na to było oddanie się modlitwie przez resztę poranka. Mijał właśnie sypialnię Isabel, gdy z pokoju wychyliła się garderobiana pomagająca pani przy ubieraniu. Usłyszawszy słowa powitania, Hernando odwrócił głowę. Przez uchylone drzwi zobaczył stojącą na środku zalanego słońcem pokoju Isabel wyglądającą fałdy czarnej sukni. Trzymając rękę na klamce, garderobiana przystanąła na moment w drzwiach, wystarczająco długo, by Isabel zdążyła pochwycić jego spojrzenie.

— Dzień dobry — wybąkał obłany nagłą falą gorąca.

Usta garderobianej wygięły się w dyskretnym uśmiechu. Skłoniła głowę. Isabel nie zdążyła odpowiedzieć — drzwi się zamknęły.

Idąc do sypialni, Hernando nie mógł uwolnić się od wspomnienia ciepła przytulonego do niego ciała Isabel. Wspomnienie to zatykało mu dech w piersiach. Z roztargnieniem powiódł wzrokiem po pokoju: okazałe łoże z baldachimem (teraz zasłane), intarsjowana skrzynia, na ścianach gobeliny ze scenami biblijnymi, stół z miednicą i starannie złożonymi ręcznikami, i drzwi wychodzące na taras, z którego rozciągał się widok na Alhambrę. Do tego samego tarasu przylegały sypialnie obojga małżonków.

Alhambra! „Nieszczęsny ten, który ją utracił”. Widok zamku przywołał mu na pamięć zdanie przypisywane cesarzowi Karolowi. Monarsze powtórzono ponoć słowa Aiszy, matki Boabdila, ostatniego muzułmańskiego władcy Grenady. Miała ona zganić syna za roniecie łąz w momencie opuszczania miasta, gdy zostawiał je w rękach Królów Katolickich: „Płacz jak kobieta, skoro nie potrafiłeś bronić się jak mężczyzna”.

„Słusznie rzekła matka króla — miał powiedzieć cesarz. — Ja na jego miejscu prędzej dałbym się pogrzebać w Alhambrze, niżli miałbym żyć bez królestwa w Alpuharze”.

Oczarowany czerwieniejącymi na tle nieba murami pałacu Hernando nagle drgnął, ujrawszy na tarasie Isabel, która wyszła z sypialni i podeszła do kamiennej balustrady. Oparła się o nią zmysłowo, by podziwiać wspaniałą fortecę Nasrydów. Z głębi swego pokoju Hernando objął spojrzeniem jej płowe włosy ujęte w pątlík, łabędzią szyję i rozkosznie wygiętą kibić.

Hernando postąpił dwa kroki naprzód i znalazł się na progu tarasu. Usłyszawszy szmer za plecami, Isabel odwróciła głowę. Jej oczy płonęły.

— Trudny wybór między dwiema tak osobliwymi pięknościami — rzekł Hernando, wskazując najpierw na Isabel, potem na Alhambrę.

Kobieta wyprostowała się i z wolna poczęła iść w jego stronę, ani na chwilę nie spuszczać roziskrzonych oczu. Zatrzymała się tuż przed nim. Ich oddechy mieszały się z sobą. Delikatnie dotknęła palców jego dłoni.

— Ale tylko jedną z nich możesz posiadać — szepnęła.

— Isabel — westchnął Hernando.

— Co noc śniłam o tamtym dniu, kiedy jechaliśmy razem. — Kobieta ujęła jego dłoń i przycisnęła pod sercem. — Co noc przejmował mnie dreszcz tak samo jak wtedy, gdy będąc jeszcze dzieckiem, czułam twój dotyk.

Isabel przywarła do niego wargami. Hernando przyjął ten długi, słodki i gorący pocałunek z zamkniętymi oczami. Gdy oderwała swe wargi od jego ust, pociągnął ją w głąb sypialni. Sprawdził, czy drzwi wejściowe są zaryglowane. Następnie zamknął drzwi balkonowe.

Złączyli się w gorącym pocałunku, stojąc pośrodku pokoju. Hernando przesunął rękoma w dół jej pleców, zmagając się ze sztywną krynoliną, która nie pozwalała poczuć bliskości jej ciała. Isabel całowała namiętnie, ledwie łapiąc oddech, jej ręce jednak były nieruchome. Trzymała je spokojnie oparte na wysokości jego pasa. Hernando wymacał zapięcie górnej części sukni, ale nie potrafił się z nim uporać.

Wtedy Isabel odsunęła się delikatnie i stanęła do niego plecami, by mógł swobodnie rozpiąć stanik sukni.

Podczas gdy on drżącymi palcami rozpinął haftki, ona odpięła rękawy i zsunęła je z ramion. Wkrótce cała górna część sukni opadła na podłogę, uwalniając piersi Isabel z ucisku. Pozostało jeszcze rozpięcie spódnicy w pasie i Isabel pozbyła się niewygodnego stroju. Hernando sięgnął chciwie rękami do piersi skrytych pod płócienną koszulą, całując ją po szyi. Isabel spróbowała odsunąć się od niego, ale on przylgnął ściśle do jej pleców i dysząc tuż przy uchu, powiodł ręką do ud. Intymne części ciała skryte były pod koszulą, której końce zawijały się tuż poniżej wzgórka łonowego i pośladków. Hernando z trudem rozwiązał węzły.

— Nie... — zaprotestowała, czując jego palce w wilgotnym kroczu. Morysk posłusznie przerwał pieśczętę. Isabel uwolniła się od opasującego ją ramienia i odwróciła się do niego przodem, rozgrzana i drżąca, z zaróżowionymi policzkami. — Nie — powtórzyła stanowczo.

Czyżby zbyt szybko? — pomyślał.

Położyła dłonie na jego piersi. Oczekiwał, że rozepnie mu kaftan, ale ona pocałowała go tylko i udała się do łóżka, na którym położyła się ubrana w koszulę, z podkurczonymi i lekko rozchylonymi nogami.

Hernando stał nieruchomo blisko łóżka, obserwując falujące przyspieszonym oddechem piersi.

— Weź mnie — rzekła, rozchylając nieco bardziej nogi.

Weź mnie? To wszystko? Wciąż miała na sobie koszulę! Nie widział jej nagiej, nie pieścił, nie prowadził ku rozkoszy, nie nacieszył się jej ciałem. Hernando podszedł bliżej i położył się przy jej nogach. Chciał podnieść rąbek koszuli, by choć odkryć pokryty ciemnymi włosami trójkąt, ale Isabel uniosła się z lekka i chwyciła go za rękę.

— Weź mnie — powtórzyła, pocałowawszy go gorąco w usta, cała drżąca.

Podniósł się i zaczął rozbierać. Jeśli ona nie może tego zrobić, zrobi to sam. Po niedługiej chwili stał zupełnie nagi, z prężącym się, sztywnym członkiem. Isabel wtuliła policzek w pościel, patrząc w bok nic niewidzącym wzrokiem. Westchnęła i rozchyliła jeszcze szerzej nogi. Koniec koszuli ześlizgnął się z ud.

Hernando stał i patrzył. Pożądała go, to pewne: wzdychała i wiła się na posłaniu w oczekiwaniu, aż ją posiadzie, jednakże... To był jedyny znany jej sposób kochania się! Grzech! Rozkosz była grzechem! Nagle przed oczami stanęła mu Fatima — naga, pokryta tatuażem, namaszczona oliwą i przyozdobiona klejnotami, szukająca pozycji mogącej przynieść satysfakcję obojgu, kołysząca biodrami, oddająca się pieszczotom bez cienia wstydu. Fatima! Pojękiwanie Isabel przywróciło go do rzeczywistości. Chrześcijanie! — pomyślał z wyrzutem, kładąc się na ubranej w koszulę Isabel.

Nie potrafiła wyzbyć się swoich przesądów nawet wtedy, kiedy Hernando wszedł w nią i zaczął poruszać się rytmicznie, wolno, lekko naciskając członkiem. Trzymała go w objęciach z twarzą odchylną na bok, jakby bała się kontaktu wzrokowego. Nie wpijała mu paznokci w plecy.

— Odpreż się — szepnął jej wprost do ucha.

Isabel zagryzła wargi i przymknęła oczy. Hernando nie przestawał poruszać penisem, starając się zarazem odgadnąć znaczenie jej cichych pojękiwań.

— Rozluźnij się — powtórzył. Snop słonecznego światła, który wdarł się do sypialni, objął ich splecione ciała.

Poruszaj biodrami. Poczuj mnie. Wsłuchaj się w swoje ciało. Poddaj mu się, najdroższa. Hernando osiągnął ekstazę, nie przestając szeptać słów zachęty, które miały pomóc jej w osiągnięciu orgazmu. Pozostał na niej nieruchomy, dyszący. Będzie chciała jeszcze raz? Może...? Jego niepewność nie trwała długo. Isabel poruszyła się pod nim niespokojnie, dając tym samym znać, że chce się spod niego wydostać. Hernando wsparł się na rękach i poszukał jej ust, ale te nie oddały żarliwego pocałunku. Podniósł się więc, a zaraz za nim podniosła się Isabel. Oczy miała spuszczone.

— Nie wstydz się — rzekł łagodnie i ujął ją za podbródek, lecz Isabel nie chciała unieść twarzy i bosa, odziana tylko w koszulę, wybiegła z pokoju na taras, udając się pospiesznie do swej sypialni.

Hernando schylił się, by pozbierać swoje rzeczy rozrzucone koło łóżka. Niewątpliwie pragnęła go, myślał, wkładając koszulę, ale poczucie winy, grzechu i wstydu było silniejsze. „Kobieta podobna jest do owocu, który pachnie dopiero wtedy, gdy się go potrze ręką — twierdziła Fatima, powołując się na nauki zawarte w księgach o miłości. — Tak samo zachowuje się bazylika i bursztyk, który wydziela aromat pod wpływem ciepła. Jeśli nie rozpalisz kobiety pieszczotami i pocałunkami, ssąc jej wargi i pijąc z jej ust, gryząc wewnętrzną stronę ud i ściskając jej piersi, nie osiągniesz tego, czego oczekujesz, dzieląc z nią łożo: rozkoszy. Ona również nie odwzajemni twojego uczucia, jeśli nie osiągnie ekstazy, jeśli... gdy nadejdzie ten moment... jej wagina nie wessie twojego penisa”. Jakże daleko pobożnym chrześcijankom do takich nauk!





Tej samej nocy po drugiej stronie cieśniny oddzielającej Hiszpanię od kraju Berberów, w pogrążonej w półmroku sypialni ekskluzywnego pałacu, wzniesionego przez Brahima w Tetuanie, leżała Fatima, bezskutecznie usiłując zasnąć. Tuż obok słyszała oddech zniechęconego mężczyzny, czuła jego dotyk, który przejmował ją odrazą. Każdej nocy Brahim zaspokajał swe żądze, a ona każdej nocy zwijała się w kłębek, by mógł włożyć kikut prawej ręki między jej piersi i uśmierzyć w ten sposób ból płynący z rany; każdej nocy jęki uwięzionych w podziemiach medyny chrześcijan mieszały się z tysiącem pytań kołających się po jej głowie. Gdzie jest Ibn Hamid? Dlaczego jej nie szuka? Czy żyje?

W ciągu trzech lat spędzonych w niewoli Brahima nigdy nie przestała wierzyć, że mężczyzna, którego kocha, przybędzie jej na pomoc. Ale w miarę upływu czasu coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Aisza spełniła jej niema prośbę. Co mogła powiedzieć synowi, żeby ich nie szukał? Tylko jedno: że nie żyją. W przeciwnym razie... Ibn Hamid ruszyłby za nimi i walczył o ich uwolnienie. Była tego pewna! Swoją drogą, nawet jeśli Aisza przysięgła, że nie żyją, to dlaczego Hernando nie szukał zemsty na Brahimie? Odżyło w niej wspomnienie krzyczących na całe gardło ludzi markiza de Casabermeja: „W imieniu Ubajda, moryska banity, zamknijcie drzwi i okna, a nic wam się nie stanie”. Wszyscy w Kordobie myśleli, że to Ubajd ich zabił i jeżeli Aisza milczała... Ibn Hamid nie mógł wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło tamtej nocy. To wszystko tłumaczy! W przeciwnym razie Hernando poruszyłby niebo i ziemię, żeby ich pomścić. Nie miała co do tego wątpliwości... Zemsta! Gdy zrozumiała, że Hernando nie przybędzie im na ratunek, wiele wysiłku włożyła w to, by odwieść Brahima od myśli o zemście.

— Tchórz — mówił o Hernandzie. — Jeśli nie przyjedzie po was do Tetuanu, naśle na niego ludzi, żeby go zabili.

Fatima bardzo uważała, by się nie wydać, że Hernando raczej się nie pojawi, że ona sama ubłagała Aiszę, by mu nic nie mówiła.

— Jeśli porzucisz myśl o zabiciu go, będę twoja — zaproponowała pierwszej nocy po nieudanym stosunku. — Będziesz mógł

żyć ze mną jak z prawowitą żoną. Oddam ci się. W przeciwnym razie odbiorę sobie życie.

— A twoje dzieci? — próbował ją zastraszyć.

— Ich los w ręku Boga — westchnęła.

Korsarz zastanowił się przez chwilę.

— Zgoda — odrzekł.

— Przysięgnij na Allaha — zażądała Fatima.

— Przysięgam na wszechmogącego — rzekł bez zastanowienia.

— Brahim — Fatima zmarszczyła brwi, jej głos wyrażał stanowczość — nie próbuj mnie oszukać. Po samym twoim uśmiechu, po nastroju poznam, że nie dotrzymałeś słowa.

Od tego dnia Fatima wypełniała swoją część umowy i noc w noc doprowadzała go do ekstazy. Urodziła mu dwie córki. Korsarz przestał odwiedzać swoją drugą żonę, która zamieszkała w bocznym skrzydle pałacu. Szamir i Francisco (nazwany Abdul), bestialsko obrzezani tuż po przybyciu do Tetuanu, mieli zostać oddani pod rozkazy Nasiego, który zaczynał odgrywać coraz ważniejszą rolę w kaperstwie. Brahim traktował go niemal jak swojego następcę. Sam zajmował się wyłącznie przeliczaniem zysków z rabunku i prowadzonych interesów. Niewiele trudu kosztowało Nasiego, małego zawszonego chłopca, przygarniętego przez Brahima w Tetuanie, zajęcie miejsca należnego synowi korsarza. Szamir nie chciał uznać Brahima za ojca, którego nie znał. Przestraszony tęsknił dniem i nocą za matką, a że nie potrafił pokochać Brahima, całym sercem przyłgnął do Fatimy i Francisca. Aisza mówiła mu, że jego ojciec zginął w Alpuharze! Urażony Brahim odpowiedział zwykłą u niego w takich wypadkach brutalnością. Wydzierał dziecko z ramion Fatimy, bił i wyzywał, gdy malec próbował mu się wyrwać. Francisco, również maltretowany, stał się nieodłącznym towarzyszem niedoli Szamira. Nasi tymczasem korzystał z sytuacji i z wolna zbliżał się do korsarza, okazując mu wierność i lojalność, a także odświeżając subtelnie w jego pamięci wszystko, co przyszło im wycierpieć. Małą Inés (teraz Marjam) spotkał los zapowiedziany przez Brahima jeszcze

w oberży Montón de la Tierra: dziewczynka została oddana na służbę do jego drugiej żony. Przebywała tam do czasu wydania na świat przez Fatimę pierwszej córki Brahima. Wtedy to po jednej z upojnych nocy Fatima dopięła swego. Kto jeśli nie Marjam zajmie się lepiej Nuszaimą, nowo narodzoną siostrzyczką?

Chrapanie Brahima pomieszane z jękami dochodzącymi z podziemi przerwało rozmyślenia Fatimy. Miała ochotę wstać z łóżka, uwolnić się od kikuta Brahima, ale nie mogła nawet drgnąć. Była ofiarą... więźniem w złotej klatce.

Już dawno zdała sobie sprawę, że jest tylko niewolnicą, taką samą jak dziesiątki innych usługujących w luksusowym pałacu. Brahim kazał wznieść go w stylu andaluzyjskim, na wzór rezydencji z patio, w medynie, w pobliżu łaźni publicznych, zamku i meczetu Sidi al-Mandari erygowanego przez pewnego wygnańca z Grenady, odnowiciela miasta. Fatima nigdy nie mieszkała z niewolnikami, rzeszą kobiet i mężczyzn bez reszty posłusznych swoim właścicielom, gotowych na każde skinienie. Ich twarze nie wyrażały zupełnie nic, jakby zrabowano im duszę i uczucia. Wtedy ujrzała w ich obliczach swoje własne odbicie: kobiety zmuszonej do uległości i poddaństwa.

Nowy pałac stanął przy ulicy Al-Matamar, nad labiryntem ogromnych podziemnych grot wapiennych góry Dersa, na której posadowiono miasto Tetuan. Groty wykorzystywane były jako kazamaty dla tysięcy chrześcijan. Fatima widywała ich, gdy chodziła z niewolnikami na targ mieszczący się przy jednej z trzech bram miasta, na którym oferowali swoje towary okoliczni chłopci. Bosych, skutych kajdanami, odzianych w proste włosiennice jeńców zmuszano do ciężkich robót, smagając biczem. Dzień w dzień cztery tysiące chrześcijan pracowało na potrzeby miasta!

Patrząc na otaczających ją zewsząd niewolników i jeńców, wkrótce zrozumiała, że nie znajdzie ukojenia w spacerach po mieście. Tetuan zbudowany był na wzór miasteczek Al-Andalus, z tą różnicą, że nie uległ wpływom kultury chrześcijańskiej. Budynki mieszkalne były jawnym przykładem obowiązującej w islamie zasady nietykalności ogniska domowego — od strony

ulicy miały tylko gładkie ściany, bez okien, balkonów lub innych otworów. Na skutek obowiązującego powszechnie systemu dziedziczenia pomieszczenia dzielono na coraz mniejsze części, aż utworzyły chaotyczną płataninę ciasnych izb. Ulice stanowiły dokładne odbicie wewnętrznej struktury domostw: pełno było na nich sklepików, kramów i przeróżnych bud. W jednych wykorzystywano praktyczne podciąg nieprzeszkadzające w normalnym ruchu ulicznym, inne „budowle” skutecznie blokowały przejście lub utrudniały je przez przypadkowo wystające elementy, a wszystko to odbywało się na mocy niepisanych umów z sąsiadami — z reguły krewnymi — bez najmniejszej interwencji władz.

W swym luksusowym pałacu Fatima czuła się jak niewolnica, poza nim również nie było jednego zakątka, gdzie mogłaby choć przez chwilę nie myśleć o swej niedoli. Zdawało się, że Bóg o niej zapomniał. Z rzadka tylko na placach przy zbiegu dwóch lub trzech ulic znajdowała, jeśli nie pociechę duchową, to przynajmniej trochę rozrywki dla oczu. Lubiła przyglądać się lalkarzom śpiewającym lub recytującym legendy przy akompaniamencie lutni lub oferującym zapisane dziwnymi znakami karteczki o uzdrowicielskiej mocy. Przystawała przy zaklinaczach węży, którzy nosili swych ulubieńców na rękach lub szyi, każąc jednocześnie tańczyć śmiesznym małpkom w zamian za wyżebrane od publiczności grosiki. Kiedyś sama rzuciła im pieniążek. Ale nocami, gdy leżała z kikutem Brahima między piersiami, słyszała tylko przeraźliwy płacz i lament tysięcy więzionych pod ziemią chrześcijan, dochodzący przez otwory wentylacyjne wykute w skale. Pewnego dnia odzyskam wolność, myślała wówczas. Pewnego dnia znów będziemy razem, Ibn Hamidzie.

# 49

W końcu Hernando uległ namowom don Sancho i zgodził się odwiedzić pałac Tiros, w którym Granada Venegas urządzali tertulię. Pewnego czerwcowego popołudnia, tuż przed zachodem słońca, obaj mężczyźni dosiedli koni i udali się z Albaicín do Realejo, starej dzielnicy żydowskiej, która po zdobyciu Grenady i wypędzeniu z niej Żydów przeszła w ręce Królów Katolickich. Realejo leżało na lewym brzegu rzeki Darro, poniżej Alhambry. Pałac Tiros znajdował się naprzeciwko klasztoru i kościoła franciszkanów, w otoczeniu innych pałaców i domów szlachty hiszpańskiej wzniesionych na miejscu zburzonych zabudowań dzielnicy żydowskiej.

Przez całą drogę Hernando nie odezwał się ani słowem, choć szczęśliwy hidalgo zachęcał go do rozmowy. W ciągu minionych dni Hernando starał się spełnić prośbę notariusza kapituły katedralnej i napisać raport z wydarzeń w Juviles, nie znajdował jednak usprawiedliwienia dla popełnionych przez współbraci gwałtów, a im bardziej próbował koncentrować się na pracy, tym częściej jego myśli ulatywały ku Isabel, mieszając się ze wspomnieniami owego tragicznego dnia, kiedy jego matka zamordowała don Martína.

— Nie lubię patrzeć, jak giną — powiedział wtedy do Hamida na widok nagich i związanych chrześcijan prowadzonych na pole. — Dlaczego skazywać ich na śmierć?

— Mnie też to się nie podoba — wyznał fakih — ale tak trzeba. Pamiętaj, że oni zmusili nas do przyjęcia chrześcijaństwa pod groźbą wygnania, które jest niczym innym jak śmiercią z dala od ziemi ojczystej i rodziny. Ci chrześcijanie nie chcieli uznać jedyne Boga, daliśmy im szansę, ale jej nie wykorzystali. Sami wybrali śmierć.

I jak tu umieścić słowa Hamida w raporcie dla biskupa? Co się tyczy Isabel, zdaje się, że przewyciężyła wstyd po ich pierwszym spotkaniu i poruszała się po domu z udawaną swobodą. Mimo to zawsze, gdy napotykał jej wzrok, dopadały go wątpliwości: raz zatrzymywała na nim dłużej spojrzenie, innym razem błyskawicznie spuszczała oczy. Nie uciekała natomiast nigdy wzrokiem młodziutka garderobiana Isabel, która pozwoliła sobie nawet na filuterny uśmiech do Hernanda. Najwidoczniej to ona pozbierała ubranie swojej pani.

Rankiem tego dnia, kiedy miał udać się na tertulię, ponownie spotkał Isabel na tarasie. Obydwoje pragnęli zbliżenia, pożerając się wzrokiem w milczeniu. Mimo to Hernando nie chciał powtórzyć pierwszego doświadczenia, które zaspokoilo wprawdzie jego zmysły, ale nie pozwoliło przeżyć rozkoszy.

— Musisz nauczyć się czerpać przyjemność ze swego ciała — szepnął jej na ucho i zauważył, że przebiegł ją dreszcz.

Isabel zaróżowiła się, ale nic nie odrzekła i po raz drugi pozwoliła powieść się do pokoju Hernanda. Pragnął powiedzieć jej, że Boga można odnaleźć również w przeżywaniu rozkoszy, ale zamiast mówić, wolał dostarczać przyjemności, starając się przy tym jej nie spłoszyć, gdy zastygała nagle wyprężona i powstrzymywała westchnienia. Isabel pozwoliła pieścić swoje piersi, ale tylko przez koszulę. Odwrócona plecami do Hernanda zagryzała dolną wargę, kiedy on szczypał delikatnie jej nabrzmiałe sutki. Jednakże zaledwie wsunął rękę między uda, Isabel znów wymknęła się z pokoju, nie zdążywszy nawet zabrać ubrań.

— Jesteśmy na miejscu. — Głos hidalga wyrwał go z zamyślenia.

Zatrzymali się przed kwadratową wieżą z blankami i dwoma

balkonami od ulicy, której fasadę zdobiło pięć kamiennych rzeźb starożytnych postaci umieszczonych na różnych poziomach. Do wieży przylegał od tyłu budynek mieszkalny, na który składały się długie rzędy pokoi na kilku piętrach, rozlokowane wokół wewnętrznego dziedzińca z sześcioma kolumnami w stylu z epoki Nasrydów i ogrodem. Oddali konie pachołkom i weszli do środka. Odźwierny powiódł ich wąskimi schodami na drugie piętro do ogromnego salonu.

— Ten salon nazywany jest Złotą Salą — szepnął don Sancho, gdy sługa otwierał przed nimi drzwi zdobne w popiersia otoczone wieńcami wawrzynu.

Zaledwie przestąpili próg, Hernando zrozumiał znaczenie nadanej nazwy: salon tonął w złotych refleksach płynących spod wspaniałego kasetonowego sufitu, całego w zieleni i złocie, na którym widniały wyrzeźbione przez snycerzy wizerunki mężczyzn.

— Witajcie! — Don Pedro de Granada odłączył się od grupy gości, z którymi ucinął sobie pogawędkę, i wyciągnął do Hernanda dłoń na powitanie. — Zostaliśmy sobie przedstawieni na przyjęciu wydanym na waszą część u don Ponce, ale nie mieliśmy okazji z sobą porozmawiać. Miło mi powitać was w moim domu.

Hernando podał dłoń arystokracie, który długo ją ścisnął. Morysk obrzucił gospodarza szybkim spojrzeniem: szczupły, o wysokim czole, równo przystrzyżonej czarnej brodzie i inteligentnym wyrazie twarzy. Hernando starał się nie dać po sobie poznać, że przybył na to spotkanie pełen uprzedzeń. Wiedział, że don Pedro i jego przodkowie odstąpili od prawdziwej wiary i współpracowali z chrześcijanami.

Przywitawszy się z hidalgiem, pan na Campotéjar przedstawił nowo przybyłych zgromadzonym w Złotej Sali gościom. Były wśród nich takie osobistości, jak Luis Barahona de Soto, medyk i poeta, Joan de Faria, adwokat i referent Królewskiej Kancelarii, Gonzalo Mateo de Berrío, poeta, i wielu, wielu innych. Hernando czuł się skrepowany. Niepotrzebnie dał się namówić don Sancho. O czym miał rozmawiać z tymi wszystkimi nieznanymi sobie ludźmi? W rogu salonu stało dwóch gawędzących z sobą mężczyzn,

z kielichami wina w dłoniach. Don Pedro poprowadził do nich Hernanda i hidalga.

— Don Miguel de Luna, medyk i tłumacz — przedstawił pierwszego z mężczyzn. Hernando się przywitał. — Don Alonso del Castillo — rzekł gospodarz, wskazując drugiego mężczyznę w eleganckim ubraniu — również medyk, a zarazem oficjalny tłumacz języka arabskiego w służbie świętej inkwizycji w Grenadzie i króla Filipa Drugiego.

Don Alonso wyciągnął do Hernanda dłoń, patrząc mu głęboko w oczy. Hernando wytrzymał to spojrzenie i uściśnął mu rękę.

— Cieszę się, że mogę was poznać. — Hernando odpowiedział coś pod nosem. Tłumacz mówił do niego po arabsku, coraz mocniej ściskając jego dłoń. — Słyszałem o waszych wyczynach w Alpuharze.

— Dawne dzieje — odparł Hernando po hiszpańsku. Znowu ci chrześcijanie! — Don Sancho de Córdoba — rzekł głośno i wskazał na swego towarzysza, uwalniając się zarazem od uścisku tłumacza.

— Kuzyn don Alfonsa de Córdoba, diuka de Monterreal — nie omieszkał pochwalić się don Sancho.

— Don Sancho — rzekł Pedro de Granada — zdaje się, że nie przedstawiłem was jeszcze markizowi. — Hidalgo aż wyprostował się na sam dźwięk tytułu. — Proszę ze mną.

Hernando już chciał ruszyć w ślad za odchodzącymi, gdy Castillo chwycił go za rękę, a Miguel de Luna zagroził mu drogę. Wszyscy trzej pozostali w rogu salonu.

— Doszły mnie słuchy — odezwał się tłumacz tym razem już po hiszpańsku — że współpracujecie z biskupstwem w zbieraniu dowodów martyrologii chrześcijan w Alpuharze.

— Tak, w istocie.

— I że pracowaliście w stajniach królewskich w Kordobie — dodał Miguel de Luna.

Hernando zmarszczył brwi.

— Tak, to prawda — przyznał oschle.

— W Kordobie — ciągnął tłumacz niezrażony tonem Hernanda



i nie puszczając jego ręki — pomagaliście w katedrze jako tłumacz...

— Panowie — przerwał Hernando, uwalniając się z uścisku — zaprosiliście mnie tu na przesłuchanie?

Jego słowa nie zrobiły na mężczyznach wrażenia.

— W bibliotece katedralnej w Kordobie — podjął niewzruszenie don Alonso, ponownie przytrzymując Hernanda, jakby chciał uniemożliwić mu ucieczkę — pracował pewien duchowny... don Julián.

Po twarzy Hernanda przebiegł grymas. Wyszarpnął rękę. Na chwilę zapadło milczenie. Trzej mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Pierwszy odezwał się Miguel de Luna.

— Sprawę don Juliána, bibliotekarza kapituły katedralnej w Kordobie, dobrze znamy.

Hernando poruszył się niespokojnie. W salonie towarzystwo prowadziło ożywione rozmowy w małych grupkach. Jedni stali, drudzy siedzieli w wygodnych fotelach wokół niskich intarsjowanych stolików zastawionych winem i słodyczami.

— Widzicie — odezwał się Castillo — Miguel i ja, podobnie jak don Pedro de Granada, z urodzenia jesteśmy muzułmanami. Po wojnie w Alpuharze, kiedy to pracowałem jako tłumacz dla markiza de Mondéjar, a później dla księcia don Juana de Austria, wezwał mnie do siebie król Filip Drugi. Polecił mi zająć się księgami i manuskryptami arabskimi zgromadzonymi w bibliotece Escorialu. Miałem je przetłumaczyć i skatalogować. Król powierzył mi również zadanie odszukania i sprowadzenia do biblioteki nowych ksiąg w języku arabskim. Udało mi się znaleźć kilka egzemplarzy w okolicach Kordoby: dwie księgi Koranu, które nie przedstawiały żadnej wartości dla biblioteki królewskiej, oraz kilka kopii muzułmańskich proroctw i kalendarzy lunarnych.

Tłumacz przerwał swą opowieść. Hernando przestał mu się wrywać. Miał chwilę, by ochłonąć z wrażenia. O co im chodzi? Obaj pracują dla chrześcijan. Ich ojcowie poddali Grenadę Królom Katolickim, oni sami przyznawali się do wspierania chrześcijan podczas wojny w Alpuharze, i to bez najmniejszego zażenowania.

Obaj szlachcice, erudyci, medycy i poeci oddani sprawie chryścianizacji, tak samo jak Pedro de Granada. Castillo pracował nawet dla inkwizycji! A może całe to zaproszenie miało na celu zwabienie go w pułapkę i zdemaskowanie?

— Koniec końców nic nie nabyłem. — Nieoczekiwane oświadczenie tłumacza wzmogło czujność Hernando. — Kopie wykonane były na grubym papierze, takim, jakiego używa się obecnie, i napisane w *aljamiado*, jakby...

— Po co mi o tym wszystkim mówicie? — przerwał mu Hernando.

— O czymże tak rozprawiacie z moim gościem?

Hernando odwrócił głowę i spotkał się twarzą w twarz z don Pedrem de Granada.

— Właśnie mówiliśmy o pracy Alonsa w bibliotece królewskiej — wyjaśnił Luna — i o don Juliánie, bibliotekarzu z katedry w Kordobie.

— Porządny człowiek — przyznał arystokrata — Gorliwy obrońca wiary...

To powiedziawszy, pan na Campotéjar zamilkł. Zdało się, że jego słowa wciąż unoszą się w powietrzu. Hernando poczuł na sobie przenikliwe spojrzenia wszystkich trzech mężczyzn. Co miał na myśli don Pedro? Bibliotekarz don Julián był w rzeczywistości mużulmaninem ukrywającym się pod habitem duchownego.

— Tak — powiedział głośno. — Był dobrym chrześcijaninem.

Don Pedro, Luna i Castillo wymienili spojrzenia. Arystokrata skinął głową do Castilla. Tłumacz upewnił się, że nikt ich nie słyszy.

— Don Julián zdradził mi, że to wy kopiowaliście księgi Koranu — rzekł z powagą bez owijania w bawełnę — aby potem móc je rozprowadzać w Kordobie.

— Ja nie... — zaprzeczył Hernando.

— Wyznał mi również — dodał, zaciskając rękę na jego przedramieniu — że cieszyliście się zaufaniem rady starszych: Karima, Dżalila i tego... jak mu tam? Hamida, fakiha z Juviles.

Hernando stał otoczony trzema mężczyznami, nie wiedząc, co robić, co powiedzieć i gdzie podziać wzrok.

— Hamid — odezwał się wówczas don Pedro — pochodził z dynastii Nasrydów. Byliśmy nawet z sobą spowinowaceni. Jego rodzina wybrała inną drogę: zesłanie do Alpuhary razem z Boabdilem, i została w niej do końca, pomimo że Mały Król uciekł do północnej Afryki.

Hernando wyrwał rękę z uścisku Castilla.

— Panowie — rzekł, zbierając się do odejścia — nie rozumiem, do czego zmierzacie, ale...

— Posłuchajcie — przerwał mu ostro Castillo, chociaż usunął się na bok — czy sądzicie, że bibliotekarz don Julián mógłby was zdradzić i opowiedzieć nam, podłym odszczepieńcom, za jakich nas macie, wszystko to, co wam wyjawiliśmy?

Hernando stanął jak wryty. Don Julián? W ułamku sekundy tysiące wspomnień przeleciało mu przez głowę. Przenigdy by tego nie zrobił! Prędzej pozwoliłby, żeby go torturowano jak Karima. Nawet świętej inkwizycji nie udało się wyciągnąć z tego starca imienia osoby, o którą im chodziło. Tą osobą był on sam: Hernando Ruiz z Juviles. Prawdziwi muzułmanie nie donoszą na współbraci.

— Przemyślcie to — odezwał się Luna.

— Wiem o was dużo więcej — nie ustępował Castillo. — Don Julián darzył was najwyższym uznaniem i szacunkiem.

Po co Julián miałby im o tym wszystkim opowiadać jako duchowny chrześcijański? — zapytywał siebie Hernando. Skoro to zrobił, to mogło oznaczać tylko jedno: że ci trzej mężczyźni walczyli w imię tej samej sprawy co on, Hernando. Zaraz, tylko czy on o coś jeszcze walczył? Nawet własna matka się go wyrzekła.

— Nie mam z tym już nic wspólnego — rzekł cicho. — Moryskowie z Kordoby odwrócili się ode mnie, dowiedziawszy się, że pomagałem chrześcijanom w czasie wojny...

— Wszyscy gramy tymi samymi kartami — wtrącił don Pedro de Granada. Ja pierwszy. Spójrzcie tam — rzekł i wskazał na olbrzymi kufer za plecami Miguela de Luna, który odsunął się, by odłonić widok. — Widzicie ten herb? To herb rodu Granada de Vegas. Ta sama broń, która jest w herbie, wspierała królów

chrześcijańskich w walkach przeciwko naszemu ludowi. Teraz przyjrzyjcie się godłu. Co widzicie?

— *Lagaleblila* — odczytała na głos Hernando. — Co znaczy...?

Jednakże nie zdążył skończyć swego pytania, gdyż sam odszyfrował znaczenie wyrazu: *Wa la ghalib illa Allah*. Nie ma zwycięzcy prócz Boga! Hasło dynastii Nasrydów, hasło powtarzane w całej Alhambrze ku czci i chwale jedyne Boga, Allaha.

— Nie interesują nas opinie rad starszych reprezentujących gminy morysków — mówił Castillo. — Wszyscy oni generalnie optują za konfrontacją zbrojną, a nie prawdziwym nawróceniem. Liczą na pomoc Turków, Berberów i Francuzów. My nie popieramy takiego rozwiązania. Nikt nie przyjdzie nam z pomocą, a jeśli już ktoś się na to zdecyduje, chrześcijanie nas unicestwią. Pierwsi padną oczywiście moryskowie. Tymczasem przez taką właśnie postawę współzycie obu ludów staje się z każdym dniem coraz trudniejsze. Moryskowie z Walencji i moryskowie z Aragonii to Lewantyńczycy, a moryskowie z Grenady to lud bez ziemi. Przed sześcioma miesiącami znów wydalono z Grenady blisko cztery i pół tysiąca morysków, którzy potajemnie wrócili do swoich domostw. Coraz więcej głosów domaga się całkowitego usunięcia morysków z Hiszpanii lub zastosowania środków okrutniejszych i krwawych. Jeśli nadal będziemy...

— To co? — przerwał mu Hernando. — Zdaję sobie sprawę, że nie mamy wystarczającej siły, by zmierzyć się zbrojnie z Hiszpanami, i że możemy tylko oczekiwać cudu, bo nikt nie przyjdzie nam z pomocą, ale w takim wypadku nie pozostaje nam już nic innego, jak przyjąć chrześcijaństwo zgodnie z życzeniami Hiszpanów.

— Nie! — zaprotestował gorąco Castillo. — Istnieje jeszcze inna możliwość.



— Musimy wracać do Kordoby!

Don Sancho wpadł do kancelarii, gdzie Hernando po raz enty próbował opisać zajścia w Juviles z okresu powstania. Przed

kilkoma dniami, przeczytawszy powtórnie przygotowany przez siebie raport, podarł go na strzępy. Uniósł wzrok znad pustej kartki, nad którą siedział od ponad godziny przy biurku, i ujrzał podążającego ku niemu hidalga ze zmizerowaną twarzą.

— Dlaczego? Stało się coś? — Hernando się zaniepokoił.

— Co się stało?! — wykrzyknął don Sancho. — Ty mi to powiedz! Cała służba pałacowa o tobie plotkuje. Splamiłeś honor audytora Królewskiej Kancelarii Grenady! Jeśli dojdzie to do don Ponce... Jak śmiałeś? Plotki mogą rozejść się po całym mieście! To sędzia! — Don Sancho przecesał palcami rzadkie siwe włosy. — Wyjeżdżamy stąd, natychmiast wracamy do Kordoby.

— A o czym się tak rozprawia? — spytał Hernando, udając obojętność, by zyskać na czasie.

— No, ty chyba powinienesz wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny. O Isabel!

— Usiądźcie, don Sancho. — Hidalgo machnął ręką. Nie usiadł, lecz spacerował nerwowo to w jedną, to w drugą stronę wzdłuż krawędzi biurka. — Widzę wasze wzburzenie, lecz nie bardzo rozumiem jego powód. Isabel i ja nie zrobiliśmy nic złego — przekonywał szlachcica. — Nie splamiłem niczyjego honoru.

Don Sancho przystanął, oparł się pięściami o stół i patrzył na Hernanda jak belfer na ucznia. Potem przeniósł wzrok na ogród widoczny za plecami Hernanda i zastanowił się chwilę: Isabel nie było w ogrodzie.

— Ona twierdzi co innego — skłamał.

— Rozmawialiście... rozmawialiście z Isabel? — wykrztusił Hernando.

— Tak. Przed chwilą.

— I co wam powiedziała? — Jego głos zdradzał pewność siebie, którą postanowił udawać.

— Wszystko — odrzekł, prawie krzyżąc, hidalgo. Odetchnął głęboko i zmusił się do zníženia głosu. — Jej wyraz twarzy wszystko mi powiedział. Jej przerażenie wystarczyło mi za wyznanie. O mało nie zemdlą!a!

— A coście myśleli? Jak miała zareagować pobożna chrześcijanka na oskarżenia o cudzołóstwo? — bronił się Hernando.

Don Sancho uderzył pięścią w stół.

— Oszczęź sobie tego cynizmu. Wiem swoje. Jedna ze służących, chrześcijanka, próbowała ponoć namówić któregoś z niewolników, żeby kochał się z nią tak jak ty z jej panią, żeby ją wziął „po morysku”, jak się dosłownie wyraziła. — Hernando nie mógł powściągnąć wyrazu satysfakcji, który przemknął po jego twarzy. Kosztowało go to wiele dni zabiegów i ukradkowych spotkań, nim Isabel poddała się wreszcie jego pieczytom. — Ty satyrze! — wybuchnął hidalgo, dostrzegłszy zadowolenie, z jakim Hernando przyjął jego ostatnie słowa. — Nie dość, że wykorzystałeś niewinność kobiety, która zapewne wpadła w twoje szpony wiedziona uczuciem wdzięczności, to jeszcze kazałeś wstąpić jej na drogę bezwstydu i sprośności, narażając ją przy tym na złamanie nakazów Kościoła świętego.

— Don Sancho... — próbował uspokajać go Hernando.

— Zdajesz sobie sprawę z konsekwencji? — znów przerwał mu hidalgo, tym razem mówiąc wolno i dobitnie. — Sędzia cię zabije własnymi rękami.

Hernando pogładził się po podbródku. Za jego plecami promienie słońca wdzierały się do pokoju przez drzwi prowadzące do ogrodu.

— Co zamierzasz? — spytał na koniec don Sancho.

Na pewno nie chciał wyjeżdżać. Nie teraz, kiedy oczy Isabel zasnuwały się mgłą, a westchnienia stawały się coraz głębsze, gdy ją pieścił i gryzł — był to nieomylny znak, że jej ciało pożądało zespolenia. Nie teraz, kiedy każde ich spotkanie pozwalało Isabel przełamywać rutynę, poczucie winy, przesady i chrześcijańskie nauki. Nie teraz, kiedy była już o krok od przeżycia ekstazy, o której wcześniej nawet nie marzyła. Nie teraz, kiedy dzielając jej rozkosz, znów mógł ulecieć ku niebu, jak niegdyś z Fatimą. Hernando poczuł sztywnienie członka. W jego wyobraźni stanęła Isabel: naga, namiętna, wrażliwa na każdy dotyk jego palców i języka, żądna odkrywania świata zmysłów.

— Myślę — odparł — że nie mogę teraz wyjechać do Kordoby. Biskup czeka na mój raport, a wasi przyjaciele z pałacu Tiros liczą na moją obecność. Sami więc rozumiecie.

— A ty powinieneś zrozumieć — ryknął don Sancho — że zgodnie z obowiązującym prawem don Ponce, zabiwszy ciebie, będzie zmuszony zabić również ją!

— Może nie będzie musiał zabijać żadnego z nas.

Hidalgo i morysk skrzyżowali spojrzenia ponad stołem.

— Doniosę o wszystkim mojemu kuzynowi — zagroził don Sancho.

— Wystawicie na szwank dobre imię damy.

— Aż tyle znaczy dla ciebie ta kobieta, że jesteś gotów ryzykować dla niej życie?! — wykrzyknął don Sancho.

A co jest warte moje życie? — pomyślał Hernando, zaledwie usłyszał trzaśnięcie drzwi. Nie posiadał nic poza dobrym koniem, na którym nie miał dokąd jechać. Nikt na niego nie czekał, nawet matka. Diuk nie pozwalał mu pracować, za to zlecił mu misję w imieniu króla, tego samego, który zdeptał jego lud i wygnał z Grenady. On sam zgodził się na współpracę z biskupstwem. „Kontynuuj gromadzenie dowodów martyrologii — radził mu Castillo podczas kolejnego spotkania. — Musimy uchodzić za wierniejszych od samych chrześcijan” — dodał. To samo radził swego czasu Abbas. Co warte jest życie człowieka, który wiecznie udaje kogoś, kim nie jest? Po co to robi? Żeby wieść wygodne życie na koszt diuka, jak ta gromada pochlebców, jego krewnych?

Don Pedro de Granada, Castillo i Luna wtajemniczyli go w swój nowy plan: przekonania chrześcijan o dobrych zamiarach muzułmanów mieszkających w Hiszpanii i zmiany ich nastawienia do morysków. Luna pisał właśnie dzieło zatytułowane *Prawdziwa historia króla Rodryga*, w którym powoływał się na opowieści z wymyślonego przez siebie manuskryptu arabskiego z biblioteki w Escorialu, ukazując podbój Hiszpanii przez muzułmanów przybyłych z północnej Afryki jako wyzwolenie chrześcijan od tyrańskich rządów królów wizygockich. Po podboju nastąpiło osiem wieków pokoju i zgodnego współistnienia obu religii.

— Dlaczego nie możemy znów żyć w zgodzie? — Luna zadał to pytanie bez nadziei na odpowiedź.

— Musimy walczyć przeciwko wyobrażeniom, jakie wyrobili sobie o moryskach chrześcijanie — wtrącił don Pedro. — Ich pisarze i duchowni rozpowszechniają wszem wobec fałszywe opinie o nadzwyczajnej płodności morysków. Twierdzą, że wydajemy za małe dziewczynki, z których każda rodzi mnóstwo dzieci. Nieprawda! Dzieci rodzi się tyle samo co u chrześcijan. Utrzymują też, że nasze kobiety są rozwiązłe i wiarołomne, że moryskowie nie podlegają poborowi do wojska ani nie wступują w służbę Kościoła, przez co liczba nowych chrześcijan rośnie w zastraszającym tempie, a gromadzone przez nich dobra... złoto, srebro i inne bogactwa... doprowadzają królestwo do ruiny. Bzdura! Mówią, że jesteśmy podstępni i skłonni do zabójstw, że w skrytości ducha profanujemy imię Boga. Wierutne kłamstwa! Ale ludzie w to wierzą, przekonywani ze wszystkich stron, słysząc o tym na kazaniach i czytając w książkach. Musimy walczyć tą samą bronią co oni i zmienić ich nastawienie do nas.

— Posłuchaj — dodał Castillo — każdego Berbera, który przekracza cieśninę, by osiąść w Hiszpanii i przyjąć chrześcijaństwo, przyjmuje się z otwartymi ramionami. Nikt nie żywi wobec nich podejrzeń, choć w głębi serca daleko im do prawdziwego nawrócenia. Tymczasem ochrzczeni od stu lat moryskowie pozbawieni są podobnych przywilejów. Musimy wykorzenić te przesady. Do tej walki potrzebni nam są właśnie tacy ludzie jak ty: wykształceni, umiejący pisać i czytać, którzy wesprą nasze działania.

Dla Hernanda nie było to niczym nowym. Jeszcze w Juviles mieszkańcy wioski, by uniknąć płacenia dziesięciny, powierzali mu swoje towary i bydło, bo potrafił pisać i rachować. Potem wykorzystywał te umiejętności w Kordobie. Ale na co mógł się przydać teraz? Pomysł przekonywania chrześcijan wydał mu się równie niedorzeczny jak myśl o pokonaniu ich w kolejnej walce zbrojnej.

Hernando wypuścił z rąk pióro.



— Tak, don Sancho — rzekł półgłosem w kierunku zamkniętych drzwi gabinetu — być może warto narażać absurdalne życie nawet dla ulotnej chwili rozkoszy z taką kobietą jak Isabel.

Od dzisiaj trzeba jednak mieć się na baczności, pomyślał.



Tego samego wieczoru po wieczerzy don Ponce de Hervás udał się do swojego gabinetu, by pracować. Chwilę później do drzwi zapukał nieśmiało jeden ze służących w nadziei otrzymania od pana sowitej nagrody za dostarczone informacje. Audytor wysłuchał jego nieskładnej mowy z taką samą beznamiętną miną, z jaką zwykł był przyjmować osoby wnoszące powództwo do Królewskiej Kancelarii.

— Jesteś pewien? — zapytał na koniec.

— Nie, Ekszelencjo. Wiem tylko to, co mówią w kuchni, w ogrodzie, w pokojach służby i w stajniach, ale przysiąc nie mogę, że to prawda. Pomyślałem jednak, że Ekszelencja powinien o tym wiedzieć.

Don Ponce pożegnał go, wręczywszy mu pieniądze, i przykazał informować się na bieżąco. Po wyjściu służącego zgniótł z wściekłością papier, na którym pisał. Zacisnął pięści i zadrżał na całym ciele, siedząc na tym samym krześle, na którym zaledwie kilka godzin wcześniej Hernando postanowił zaryzykować życie dla chwili ekstazy z Isabel. Przywykły do zwlekania z wydaniem ostatecznej decyzji audytor opanował swój gniew i naturalny odruch, by wstać, udać się do sypialni żony, obić ją kijem, a potem zabić moryska.

Cały dom pogrążony był we śnie, gdy tymczasem don Ponce przeżywał katusze, wyobrażając sobie Isabel w ramionach moryska. „Podobno tylko się pieścza — mówił służący. — Nie... nie spółkują — wydukał z trudem, zgięty wpół przed sędzią, zaciskając nerwowo zbielałe palce”. „Kurwa!” — wycedził przez zęby don Ponce. Istna prostytutka z domu schadzek! Wiedział doskonale, co miał na myśli służący: zakazane przyjemności, których on sam szukał w burdelu. Mijały godziny, a on wyobrażał sobie Isabel na

miejscu młodej blondynki, z którą zażywał rozkoszy poza małżeńskim łóżem: obsceniczną, wymalowaną, pachnącą perfumami, bezwstydnie pokazującą swe ciało temu przybłądzie moryskowi, którego całowała i pieściła. W domu schadzek wyszukał sobie dziewczynę uderzająco podobną do Isabel. Tymczasem morysk zażywał z jego żoną tych rozkoszy, których on jako małżonek sobie odmawiał. Postanowił zabić ich oboje.

Nad ranem, gdy nocny chłód wdarł się ukradkiem z ogrodu do pokoju i owionął spotniałe ciało audytora, don Ponce porzucił myśl o tak drastycznym rozwiązaniu. Wraz ze śmiercią Isabel utraciłby posag, który otrzymała od Vélezów, a co gorsza, utraciłby również wpływy na dworze i w radach królewskich. A z tego nie chciał rezygnować. Mieć protekcję takich grandów Hiszpanii jak Vélezowie to nie byle co. Na walkę w obronie honoru mogli pozwolić sobie tylko najbogatsi, najbiedniejsi albo szaleńcy, a on nie zaliczał się do żadnej z tych kategorii. Oskarżyć o cudzołóstwo protegowaną markizów wydało mu się zbyt ryzykowne, a przy tym niegodziwe, nie mógł jednak tolerować zdrady pod własnym dachem. Parszywy morysk! Potraktował go jak szlachcica, zorganizował przyjęcie na jego cześć... Teraz nie mógł się nawet na nim słusznie zemścić bez wywołania zjadliwych komentarzy. Uchodził przecież za bohatera! Wybawcę chrześcijan! Protegowany diuka de Monterreal... Owej nocy don Ponce nie zmrużył oka, za to o świcie miał już gotowe rozwiązanie: Isabel otrzyma zakaz opuszczania swoich apartamentów, a jej nieobecność wytłumaczy się gorączką. I rzeczywiście pozostała w odosobnieniu aż do przybycia wezwanej naprędce kuzynki audytora, Ángeli, surowej, oschłej i zgorzkniałej wdowy, która zaledwie przekroczyła próg domu, natychmiast wzięła Isabel pod swoją kuratelę.

Odbyszmy krótką rozmowę z don Ponce, doña Ángela zabrała się energicznie do dzieła. Jeszcze tego samego dnia zniknęła młoda garderobiana Isabel. Powiadano później, że widziano ją w lochach sądu, ukaraną za kradzież. Pod pretekstem braku okazywania należnego szacunku wdowa kazała wychłostać po

południu służącą, która miała rzekomo domagać się lubieżnych pieśszcot od niewolnika. Potrafiła też część wynagrodzenia stłudze, który jej zdaniem nie pracował wystarczająco gorliwie. Wystarczył jeden dzień, by cała służba odgadła intencje audytora i jego kuzynki. Niewiele mogli zdziałać: za samowolne opuszczenie domu sędziego i udanie się na służbę w inne miejsce na terenie miasta lub na przedmieściach groziła kara dwudziestu czterech dni więzienia i roczna banicja.

Komuś, kto odszedłby ze służby bez zezwolenia, pozostawały tylko dwa wyjścia — albo emigrować, albo szukać pracy jako wyrobnik, a bądź co bądź chleba w domu audytora nie brakowało.

Nie tylko służba odczuła twardą rękę kuzynki pana domu. Nowe porządki dotknęły również don Sancho i Hernanda. Doña Ángela zadbała o to, by wszystkie jej decyzje niechybnie trafiły do wiadomości Hernanda. Późnym popołudniem, tuż przed zachodem słońca, kazała Isabel przywdziać podobnie jak ona czarną suknię i opuścić sypialnię, by przespacerować się z nią po ogrodzie na oczach wszystkich domowników, a w szczególności Hernanda. Przesłanie dla kochanka było jasne: już nigdy nie będzie mógł zbliżyć się do Isabel na osobności.



Nie tylko Hernando zauważył, że Isabel została poddana ścisłemu dozorowi, Don Sancho również, i domyślił się, że audytor dowiedział się już o całej sprawie. Don Sancho dwukrotnie minął się z nim w pałacu, ale sędzia nie był łaskaw odpowiedzieć na jego powitanie, za każdym razem odwracając twarz. Don Sancho niezwłocznie odszukał Hernanda.

— Wyjeżdżamy jutro o świcie. Bez wymówek — rzucił ostro. Hernando milczał. — Nie rozumiesz?! — wykrzyknął don Sancho. — Co ty sobie wyobrażasz? Przez odrobinę szacunku czy... czy co tam czujesz do tej kobiety, musisz usunąć się z jej życia. I tak nie spotkasz się już nią sam na sam. Czy do ciebie coś dociera? Audytor najwyraźniej o wszystkim się dowiedział i przedsięwziął odpowiednie środki. — Hidalgo umilkł na chwilę. —

Może niewiele dbasz o własny los — rzekł wreszcie — ale pomyśl o niej. Swoim postępowaniem zrujnujesz jej życie.

Ku własnemu zaskoczeniu Hernando przyznał mu w duchu rację. Jakże kruche okazało się jego niezłomne postanowienie! Hidalgo miał słuszość. Nie było sposobu, by zbliżyć się do Isabel. Przekonał się o tym, widząc, jak przechadza się w ogrodzie. Szła w czarnej sukni, ze spuszczoną głową. W przeciwieństwie do niej doña Ángela prezentowała się wyniośle i butnie. Na dodatek, jeśli do audytora dotarły już plotki o ich romansie... To byłoby czyste szaleństwo!

— Zgoda — rzekł. — Wyjeżdżamy jutro rano.



Wieczorem Hernando zaczął szykować się do drogi. Pakując ubrania, znalazł strój podarowany mu przez audytora z okazji balu. Miał go na sobie tamtej nocy. Wtedy Isabel... Popęłił głupstwo, przekonywał sam siebie. Nie miał prawa, jak słusznie zauważył don Sancho, rujnować życia tej zacnej kobiecie. Niewątpliwie pragnęła go coraz bardziej, ale może rzeczywiście wykorzystał ją wówczas, gdy miała dla niego tylko uczucie wdzięczności? Rozejrzał się po pokoju. Wszystko zabrał? A co ze strojem balowym? Chwycił go i cisnął z całej siły w kąć alkowy. Nie, nieprawda, nie wykorzystał naiwności Isabel, co wypominał mu don Sancho. Ona pierwsza przylgnęła do jego pleców podczas pokazu fajerwerków, ona pierwsza dotknęła jego ręki. Zresztą co za różnica? Wracał do Kordoby.



Hernando opadł ciężko na krzesło ozdobione grawerowanym srebrem. Jego wzrok powędrował ku murom Alhambry, na których igrały złociste blaski i cienie rzucane przez płonące pochodnie i księżyc. Wybiła północ. W domu panowała zupełna cisza. Cicho było również na uliczkach dzielnicy Albaicín. Cała Grenada zdała się tonąć w ciszy! Lekki wietrzyk orzeźwiał powietrze, dając ukojenie po upalnym dniu. Hernando zamknął oczy i westchnął głęboko.

— Pierwszy raz będzie towarzyszyć nam księżyc.

Serce skoczyło mu do gardła. Na tarasie, na tle Alhambry, stała Isabel ubrana w koszulę nocną, piękna i zmysłowa.

— Co tu robisz?... — Hernando podniósł się z krzesła. — A twój mąż?

— Chrapie w swoim pokoju, a doña Ángela już dawno poszła do siebie.

To mówiąc, zsunęła z ramion koszulę, która opadła na podłogę, ukazując nagie ciało. Z odwagą i dumą spojrzała mu głęboko w oczy, jakby przyzywała go do siebie, by skosztował jej wdzięków.

Hernando stał zauroczony. Srebrzysta poświata księżyca pieściła jej posągowe kształty.

— Isabel... — wyszeptał, nie mogąc oderwać oczu od jej piersi, bioder, brzucha...

— Jutro wyjeżdżasz — rzekła cicho. — Ponce mi powiedział. Mamy dla siebie tylko tę noc.

Hernando podszedł do Isabel i ujął ją za rękę, by wprowadzić do alkowy. Podniósł koszulę i zamknął drzwi na taras. Potem odwrócił się i chciał coś powiedzieć, ale ona położyła mu palec na ustach, nakazując milczenie. Pocałowała go miękko. Hernando spróbował pierwszych pieszczot, ale odsunęła od siebie jego ręce.

— Pozwól, że ja to zrobię — poprosiła.

Została jej tylko ta jedna jedyna noc! Powoli zaczęła rozpinąć mu koszulę. Chciała to zrobić! Tak bardzo pragnęła przeżyć ową rozkosz, o której tyle razy jej opowiadał! Dłonie pewnie rozchyliły koszulę i powędrowały ku jego ramionom, by zsunąć ją z pleców. Ustami dotknęła jego piersi, po czym uklękła.

Hernando westchnął.

Kiedy nacieszyła się jego ciałem, pokrywając je pocałunkami i przesuwając po nim wilgotnym językiem, obydwójce udali się do łoża. Pełgające światło kaganka długo oświetlało błyszczące od potu ciała mężczyzny i kobiety. Ich urywane szepty mieszały się z pocałunkami, pieszczotami i czułymi ugryzieniami. Isabel pierwsza zachęciła go, by w nią wszedł. Wydawało się, że jest już gotowa, że zrozumiała nareszcie sens słów Hernando.

I tak oto złączyli się w jedno. Ciche pojękiwania Isabel stawały się coraz głośniejsze. Hernando stłumił je głębokim pocałunkiem, nie przestając poruszać członkiem, aż poczuł w swym wnętrzu głuchy, zduszony pocałunkiem gardłowy krzyk doprowadzonej do ekstazy kobiety, który zbiegł się z jego orgazmem. Przez dłuższą chwilę pozostali złączeni w bezruchu, spełnieni, leżąc jedno na drugim w zupełnym milczeniu.

— Jutro wyjeżdżam — rzekł wreszcie Hernando.

— Wiem — odpowiedziała krótko.

Znów leżeli bez słowa, aż Isabel poruszyła delikatnie głową i uwolniła się z jego objęć.

— Isabel...

— Nic nie mów — odrzekła. — Wracam do mojego życia. Dwa razy w nie wtargnąłeś i dwa razy na nowo się narodziłam. — Siedząc na łóżku, pogładziła go palcami po twarzy. — Muszę już iść.

— Ale...

Isabel ponownie położyła palec na jego ustach.

— Zostań z Bogiem — wyszeptała przez łyzy.

Po tych słowach opuściła sypialnię, nie oglądając się za siebie.

Hernando nie chciał patrzeć, jak wychodzi, dlatego leżał na łóżku ze wzrokiem utkwionym w kasetonowy sufit dopóty, dopóki nie złowił uchem pierwszych odgłosów odchodzącej nocy. Wstał i wyszedł na taras, skąd po raz kolejny objął wzrokiem Alhambrę. Dlaczego jej nie zatrzymał? Dlaczego nie pobiegł za nią i nie przyrzekł jej wiecznego szczęścia? Pomimo ostrzeżeń don Sancho i grożącego mu niebezpieczeństwa zaryzykował życie dla tej kobiety. Czy tylko po to, by przeżyć z nią chwilę rozkoszy? Czy to, co do niej czuł, to miłość? — zapytywał sam siebie, niepewny i zmieszany. Czas mijał. Odpowiedź nadeszła od strony majestatycznej twierdzy czerwieniejącej na drugim brzegu rzeki Darro. Jako młody chłopiec marzył, by zatańczyć z Fatimą w ogrodach Generalife. Fatima! Nie, to, co czuł do Isabel, to nie była miłość.

Wielkie czarne oczy Fatimy w migdałowej oprawie przywołały wspomnienie ich miłosnych nocy. Gdzie się podziało tamto uczucie

błogostanu i bezgranicznego szczęścia, zamknięte w tysiącach powtarzanych szeptem przysiąg, uczucie, które przepełniało ich dusze po ekstatycznych uniesieniach?



Reszta nocy upłynęła mu na ostatnich przygotowaniach do podróży. O świcie zszedł do stajni. Zjawił się tam ku zaskoczeniu parobka, który nie zdążył jeszcze uprzątnąć nawozu z legowisk koni.

— Wyczyść i osiodłaj Voladora — rzucił pospiesznie. — Potem przygotuj konia don Sancho i muły. Wyjeżdżamy.

Następnie udał się do kuchni, gdzie zastał przeciągającą się leniwie służbę zasiadającą do śniadania. Złapał kawałek suchego chleba i pogryzł.

— Powiedz don Sancho — rzekł do jednego ze swoich pachółków — że wyjeżdżamy do Kordoby. Macie być gotowi, jak wrócę. Jadę do katedry.

Hernando zjechał w dół do miasta. Grenada budziła się ze snu. Ludzie zaczęli wychodzić z domów. Hernando siedział dumnie na wierzchołku, patrząc wprost przed siebie. W katedrze nie zastał notariusza, za to spotkał jego pomocnika, księdza, który powitał go z kwaśną miną. Skoro wracał do Kordoby, potrzebował glejtu uprawniającego do przekraczania granicy królestw, podobnego do tego, który uzyskał niegdyś od biskupa Kordoby, aby poruszać się swobodnie po mieście.

— Przekażcie notariuszowi — rzekł po chłodnym powitaniu, którego ksiądz nie mógł sobie oszczędzić — że muszę wracać do Kordoby. Nie mogę pracować w Grenadzie. Rozegrało się tu zbyt wiele wydarzeń. Osobiście dostarczę raport, a jeśli będzie trzeba, to i inne dokumenty, jeżeli tylko okażą się interesujące dla dziekana lub arcybiskupa. Powiedzcie mu też, że ponieważ jestem moryskiem, będę potrzebować glejtu biskupiego albo jakiegokolwiek innego, abym mógł swobodnie się przemieszczać. Niech przyśle mi go do Kordoby, do pałacu diuka Monterreal.

— Ale poważnienie... — próbował protestować ksiądz.

— Mam je dostać. Powiedziałem wyraźnie. Bez niego nie będzie raportu. Zrozumieście?

— Ale...

— Czy wyraziłem się dość jasno?

Pozostała mu do załatwienia jeszcze jedna sprawa. Mieszkańcy Grenady wylegli tymczasem na ulice. Na targ jedwabiu koło katedry płynęła rzeka ludzi, kupujących i sprzedających. Don Pedro de Granada zapewne już wstał, pomyślał Hernando.

Gospodarz przyjął go w jadalni, zając się kapłanem.

— Co cię sprowadza o tej porze? Siądź i posil się — rzekł don Pedro, pokazując na zastawiony potrawami stół.

— Dziękuję, nie jestem głodny. — Hernando usiadł obok gospodarza. — Wyjeżdżam do Kordoby. Przedtem chciałem jednak porozmawiać. — Morysk skinął znacząco na dwóch pacholków usługujących do stołu. Don Pedro natychmiast ich odprawił.

— Mów, słucham.

— Potrzebuję pomocy. Poróżniłem się z audytorem.

Don Pedro przestał jeść i pokiwał głową, jakby sprawdziły się jego przewidywania.

— Jak wszystkie kauzyperdy, to człowiek przewrotnej natury — powiedział.

— Bardzo, dlatego obawiam się, że będzie chciał się na mnie zemścić.

— Aż tak poważna sprawa? — Hernando przytaknął. — Niedobrze, to twarda sztuka.

— Przeszedłem prosić, byś miał go na oku i informował mnie na bieżąco, co robi lub co o mnie rozpowiada. Może próbować oskarżyć mnie przed kapitułą. Pomyślałem, że powinienes o tym wiedzieć.

Pan na Campotéjar wsparł głowę na łokciach i splótł palce.

— Będę czujny. Nie martw się — przyrzekł. — A mógłbym wiedzieć, o co poszło?

— Nietrudno zgadnąć, jeśli mieszka się w jednym domu z taką pięknnością jak żona audytora.

Nagle uderzenie pięścią w stół odbiło się echem w całą salę.



Dwa kielichy przewróciły się z brzękiem. Don Pedro wybuchnął gromkim śmiechem i na nowo począł walić pięściami w stół. Do jadalni wpadli zdumieni słudzy, ale szlachcic kazał im wyjść, krztusząc się od śmiechu.

— Toż ta kobieta broniła się jak Alhambra! Ilu to już próbowało! Bez powodzenia. Nawet ja...

— Proszę cię o dyskrecję — próbował uspokoić go Hernando, zastanawiając się, czy dobrze zrobił, wyjawiając mu swój romans z Isabel.

— Oczywiście. Wreszcie ktoś dobrał mu się do skóry — zaśmiał się ponownie — uderzając w najczulszy punkt. Wiedziałeś, że duża część majątku audytora pochodzi z zawłaszczeń majątku morysków? Dopuścili się tego notariusze, gdy odkurzywszy stare księgi hipoteczne, zażądali od nich aktów własności ziemi, która należała do nich od wieków. Ojciec don Ponce był w tamtym okresie notariuszem w sądzie i podobnie jak wielu innych skorzystał z nadarzającej się okazji. Don Ponce pieniądze już ma, teraz pragnie jeszcze władzy, po którą może sięgnąć dzięki protegowanej Vélezów. Nie będzie zainteresowany wywołaniem skandalu.

— Nie chciałybym cię w coś uwikłać.

— Wszyscy jesteśmy w coś uwikłani.

— Tak, to prawda — przyznał Hernando.

— Będziemy w kontakcie?

— Masz moje słowo.

# 50

*Jakich jeszcze relikwii wam trzeba oprócz tych, które macie w waszych górach? Weźcie garść ziemi, ściśnijcie, a wycieknie z niej krew męczenników.*

Papież Pius IV do arcybiskupa Grenady Pedra Guerrero  
w odpowiedzi na jego prośbę o relikwie dla miasta

Hernando miał nadzieję, wracając z Grenady, że kordobańska gmina morysków potraktuje go przychylniej, ale to marzenie okazało się płonne. Zanim dotarł na miejsce, już wszyscy wiedzieli o jego udziale w badaniach nad męczeństwem chrześcijan z Alpuhary. Sędzia przekazał wiadomość w liście do don Alfonsa, pomysł arcybiskupa stał się tematem rozmów w pałacu diuka i moryskowie niewolnicy poinformowali o tym Abbasa.

Po kilku dniach matka przychyliła się do nalegań Hernanda i zgodziła się z nim porozmawiać. Zobaczył, że się mocno przygarbiła i postarzała.

— Jesteś mężczyzną — powiedziała głosem bez wyrazu, kiedy Hernando przyszedł po nią do przedziałni. — Prawo nakazuje mi cię wysłuchać, choćbym nie chciała.

Stali na ulicy kilka kroków od warsztatu, w którym pracowała Aisza.

— Matko — powiedział błagalnie Hernando — nie proszę o posłuszeństwo.

— Ty kazałeś zwiększyć mi dniówkę, prawda? Pytałam maj-

stra, ale nie chciał nic powiedzieć. — Aisza patrzyła w stronę warsztatu. Hernando podążył za jej wzrokiem i zobaczył, że Juan Marco stoi w bramie, pozdrawia go na odległość i wygląda tak, jakby chciał powiedzieć coś więcej.

— Dlaczego nie może być między nami jak dawniej...?

— Słyszałam, że teraz pracujesz dla arcybiskupa Grenady — przerwała Aisza. — Czy to prawda? — Hernando się zawahał. Skąd ona to wie? — Mówią, że zdradzasz swoich braci z Alpuhary...

— Nieprawda! — zaprotestował, czerwony na twarzy.

— Pracujesz dla papistów czy nie?

— Pracuję, ale nie tak, jak myślisz... — Hernando zamilkł. Don Pedro i obaj tłumacze zobowiązali go do zachowania sekretu. Przysiągł na Allaha, że nikomu nie powie o ich zamierzeniach. — Zaufaj mi, matko — poprosił.

— Jak mam ci zaufać? Nikt ci już nie wierzy! — Umilkli oboje. Hernando zapragnął ją uściskać. Wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, ale Aisza się odsunęła. — Chcesz jeszcze czegoś ode mnie, synu?

A gdyby tak jej wszystko wyznać?

— Żadna kobieta nie może się o tym dowiedzieć! — prawie krzyknął don Pedro, gdy Hernando napomknął, że chciałby powiedzieć o tym matce. — Kobiety za dużo gadają, nie mają umiaru w słowach. Nie wolno ci rozmawiać z matką na ten temat. — Don Pedro kazał mu przysiąc, że dotrzyma sekretu.

— Pokój niech będzie z tobą, matko — ustąpił i cofnął rękę.

Ze ściśniętym gardłem patrzył, jak się oddala. Schodziła ulicą w dół powoli, bardzo powoli. Odchrząknął i podszedł do majstra tkackiego, który wciąż na niego czekał. Po wymianie uśmiechów i kurtuazji Juan Marco przypomniał o złożonej obietnicy i zapytał, kiedy diuk zamówi u niego towary.

— Obiecałem wstawić się za tobą i zainteresować diuka twoimi wyrobami — odparł Hernando. — Zamówi, czy nie zamówi, to już nie moja sprawa.

— Zamówi, byle tu kogoś przysłał — rzekł z przekonaniem majster, spoglądając z zadowoleniem na swój sklep.

Hernando też rzucił okiem na wystawę. W rzeczy samej było na co patrzeć. Przez otwarte okna bez zasłon i drewnianych żaluzji wpadało dużo światła, aby kupujący mogli dobrze się przyjrzeć wyłożonym towarom: sztukom aksamitu, jedwabiu i adamaszku, wszystko najwyższej jakości, bez dwóch zdań.

— Masz rację — przyznał Hernando. — Jeszcze raz ci dziękuję za to, co zrobiłeś dla mojej matki. Jak tylko zobaczę diuka...

— Nie wiadomo, kiedy twój pan wróci do Kordoby — przerwał Juan Marco. — Może dopiero za parę miesięcy.

— Diuk nie jest moim panem.

— Postaraj się. Niech przyjdzie duchessa. — Zobaczył wahanie na twarzy Hernanda i dodał surowo: — Zawarliśmy umowę. Ja słowa dotrzymałem, teraz twoja kolej.

— Ja też dotrzymam, możesz być pewien.

Nie mam innego wyjścia, myślał, żegnając się z majstrem. Matka nie przyjmie od niego pieniędzy, chociaż świetnie mu się powodzi. Nie może pozwolić, by żyła w biedzie. Tylko matka mu została, oprócz niej nie ma nikogo. Teraz potępia go tak samo jak inni, ale pewnego dnia pozna prawdę, pocieszał się, mijając ławy przy ślepej ścianie klasztoru Świętego Pawła. Na jednej z nich leżała martwa kobieta, którą bracia Miłosierdzia Bożego znaleźli poza murami miasta i tu przynieśli do zidentyfikowania. Obok stało kilkoro dzieci z otwartymi ustami. Przypomniał sobie, jak sam przychodził tu zdesperowany, dzień w dzień, przez kilka tygodni, i wstrzymując oddech, wypatrywał ciała Fatimy albo któregoś ze swoich dzieci pośród wystawionych na widok publiczny zwłok.

Wspomnienie Fatimy wróciło z niespotykaną siłą. Niedawno, gdy wyjeżdżał z Grenady, zatrzymał konia na równinie pod miastem i długo patrzył na stolicę nasrydzkich królów. Tam została Isabel. Nad górami zbierały się chmury o kapryśnych kształtach i kolorach, z których starcy potrafili wiele wywróżyć. Jedna z chmur miała twarz Fatimy.

Gdy tak stał, usłyszał szmer za plecami, jakby ktoś, może don Sancho, dawał mu do zrozumienia, że pora się pospieszyć, gdyż

czeka ich długa droga. Hidalgo traktował go ostatnio bardziej ozięble i z większym dystansem niż zwykle. Hernando nie obejrzał się, by nie tracić z oczu chmury, która się do niego uśmiechała.

— Jedźcie, ja was dogonię — powiedział tylko.

Myślał o tym, że minęły trzy lata od zamordowania Fatimy i dzieci przez Ubajda. Spotkał inną kobietę, z którą próbował zaznać szczęścia, i gdy zdawało mu się, że otwiera się przed nim niebo, takie samo jak to rozciągające się nad chmurami, przyszła do niego Fatima. Jak gdyby w tej Grenadzie, która była tak blisko, wyzwoliło się w nim dzięki Isabel długo tłumione uczucie. Nie dopuszczał go do siebie przez całe trzy lata! Teraz już nie płakał jak po śmierci żony, łzy bólu nie przesłaniały mu jej uśmiechu, niebieskich oczu Francisca i nie tłumili słodkiej paplaniny Inés. Chmura zaczęła sunąć po niebie i podążał za nią wzrokiem, dopóki nie splątała się z innymi. Wtedy klepnął konia po szyi i zrobił zwrot. Hidalgo ze służącymi byli już daleko. W pierwszej chwili chciał popędzić Voladora, żeby się z nimi zrównać, ale po namyśle zdecydował, że lepiej mu jechać z tyłu, bez pośpiechu, sam na sam ze swoimi myślami.



Kamerdyner diuka de Monterreal nazywał się José Caro. Był to czterdziestoletni mężczyzna, o dziesięć lat starszy od Hernanda, napuszony, oschły i niezwykle pedantyczny, jak przystało na kogoś, kto od dziecka był na służbie, najpierw jako paż ojca don Alfonsa. Zajmował ważne miejsce w hierarchii pałacowej, zaraz po kapelanie i sekretarzu. Miał nadzór nad garderobą pana i przedmiotami osobistego użytku. Jemu podlegały też wszystkie sprawy związane z ozdabianiem i wyposażeniem pałacu. Hernando doszedł do wniosku, że to z nim należało porozmawiać o jedwabiach Juana Marca, ale jak się do tego zabrać? Przez trzy lata życia w pałacu zamienił z kamerdynerem ledwie kilkanaście słów.

Któregoś dnia zobaczył go po południu w salonie, jak zwykle w nieskazitelnej liberii. José Caro pilnował cieśnię naprawiającego

uszkodzony kredens. Młoda służąca zamiatła wiórki z heblowania, nim spadły na podłogę.

Hernando stanął w drzwiach do salonu. Zamierzał poprosić kamerdynera, żeby poszedł do sklepu Juana Marca, ale nie wiedział, w jaki sposób to powiedzieć. „Musisz...”, „czy mógłbyś...”, „bądź tak dobry...”. I co dalej? A co odpowie, gdy kamerdyner zapyta dlaczego. A że zapyta, to pewne. Może powołać się na przyjaźń z diukiem? „Uratowałem życie diukowi...”. Wyobraził sobie, że musi to powtórzyć w obecności duchessy, i szybko zrezygnował. Don Sancho udzielił mu wiele różnych lekcji, ale nie nauczył, jak zwracać się do służby władcym tonem, który każdy hidalgo miał we krwi. A gdyby tak jego poprosić o pomoc...? Nie miał śmiałości, tym bardziej że don Sancho nie odzywał się do niego od powrotu z Grenady.

Nagle poczuł na sobie czyjś wzrok. Kamerdyner obserwował go uważnie. Długo już tak stoi w tych drzwiach?

— Dzień dobry, José — pozdrowił go Hernando i próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu tylko grymas.

Służąca przerwała zamiatanie i odwróciła się zaskoczona. Kamerdyner odpowiedział lekkim skinieniem głowy, po czym natychmiast przeniósł wzrok na cieśnię.

Hernando zrezygnował z próby rozmowy. Speszył go wyraz zdziwienia na twarzy dziewczyny. Uzmysłował sobie zarazem, że przez te trzy lata życia w pałacu nie zawarł żadnej bliższej znajomości i w ogóle rzadko odzywał się do ludzi. Odwrócił się i szybko odszedł. Spacerował po dziedzińcu, dopóki nie pojawiła się służąca.

— Zaczekaj chwilę — poprosił i poszperał w sakiewce. — Masz, to dla ciebie — wyciągnął dwa reale. Dziewczyna przyjęła monetę z nieufnością. — Chcę wiedzieć, co porabia kamerdyner wieczorami i czy wychodzi z pałacu. Poobserwuj go. Zrozumiałaś?

— Tak, don Hernando.

— Często wychodzi z pałacu?

— Tylko wtedy, gdy Jego Ekscelencja wyjeżdża.

— Jasne. Dostaniesz drugie tyle, jak dowiesz się czegoś więcej. Znajdziesz mnie po kolacji w bibliotece.

Dziewczyna kiwnęła głową, że wie, gdzie go szukać.



Hernando codziennie jeździł konno. Starał się wstawać wcześniej, przed hidalgami, którzy lubili długo pospać, i zaraz po śniadaniu wychodził, żeby nie trafić na duchesse. Prawdopodobnie dowiedziała się od don Sancho o jego romansie z Isabel, gdyż lekceważenie, jakie dotąd mu okazywała, przeszło w jawną nienawiść. W najlepszym wypadku traktowała go jak powietrze, a przy obiedzie sadzała na drugim końcu stołu, gdzie niewiele już było do jedzenia. Hidalgowie uśmiechali się z przekąsem, gdy Hernando grzebał w pustych półmiskach

Dlatego rano zjadał obfite śniadanie i opuszczał pałac. Jechał na pola za miastem, gdzie nikt go nie śledził i mógł nacieszyć się pięknym porankiem. Spędzał całe godziny na łąkach, obserwując byki. Nie podjeżdżał zbyt blisko, żeby ich nie drażnić. Nie zamierzał walczyć. Wciąż go prześladowało wspomnienie Azirata, który staje dęba i wystawia się na rogi byka. Stracił zainteresowanie korridą. Nie miał ochoty oglądać szlachciców walczących z bykami. Czasem, gdy napotykał jeźdźców ze stajni królewskich, obserwował z nostalgią, jak szkolą młode konie. Po kolacji zamykał się w bibliotece i zabierał do pracy. Nie narzekał na brak zajęć! Przed wszystkim przepisywał ewangelię Barnaby, którą przyniósł z domu Arbasii. Miał świadomość, że pewnego dnia trzeba będzie podzielić się tym odkryciem z innymi, a nie chciał rozstawać się z manuskryptem. Przeczytał go w całości po arabsku, lecz dopiero teraz pojął prawdziwe znaczenie tego przekazu. W momencie zwiastowania anioł Gabriel mówi Maryi, że porodzi tego, który wskaże drogę, a nie boską istotę. Drogę dokąd? — zastanawiał się, przerywając pracę. I komu ją wskaże? Prawdziwemu Prorokowi, odpowiedział sam sobie. Jezus i jego matka nie mogli pić wina i spożywać nieczystych potraw, podobnie jak muzułmanie. Aniołowie ogłosili pasterzom narodziny nowego proroka, a nie Zbawi-

ciela. W odróżnieniu od późniejszych ewangelistów Barnaba twierdził, iż Jezus Chrystus, którego poznał osobiście, nigdy nie mówił o sobie, że jest Bogiem albo Synem Bożym, nie podawał się nawet za Mesjasza. Mówił, że jest wysłannikiem Boga i że przyszedł zapowiedzieć nadejście prawdziwego Proroka: Mahometa.

Sporo czasu zajmowała mu praca nad memoriałem o wydarzeniach w Juviles dla arcybiskupa Grenady, który przypomniał Hernandowi o tym obowiązku, przysyłając specjalną przepustkę wystawioną na jego nazwisko, żeby nie miał kłopotów z opuszczeniem Kordoby. Abbas i jego ludzie podejrzewali go o zdradę morysków, nawet matka tak uważała. Tymczasem Hernando napisał w memoriale, że wielu chrześcijan uniknęło śmierci dzięki temu, że morysk Zaguer nie dopuścił do zbiorowej egzekucji, czego nie można powiedzieć o chrześcijańskich żołnierzach, którzy wymordowali ponad tysiąc moryskich kobiet i dzieci. To była prawdziwa rzeź w Juviles, dodał, wspominając z bólem koszmar tamtej nocy, pełnej huku i dymu z arkebuzów, rozpaczliwe poszukiwania matki na placu i przypadkowe uratowanie Fatimy z małym Humamem.

Oprócz tego na prośbę Castilla pomagał w zbieraniu materiałów do książki Luni poświęconej don Rodrigowi, królowi gockiemu, które przekazywał za pośrednictwem mulników i przewoźników kursujących między Grenadą i Kordobą. Dostarczył sporo informacji o stosunkach między chrześcijanami i muzułmanami w kordobańskim kalifacie. Udowodnił, że w epoce rządów muzułmańskich chrześcijanie, zwani wówczas mozarabami, żyli spokojnie w swoich posiadłościach i co ważniejsze, mogli wyznawać swoją wiarę, a więc istniała pewna tolerancja. Mozarabowie mieli swoje kościoły i świątynie, organizację kościelną i nawet wymiar sprawiedliwości. Ile meczetów zachowało się na ziemiach Króla Przewornego? Mozarabów nie zmuszano do zmiany wiary, morysków ochrzczono pod przymusem.

Dla potwierdzenia tezy o tolerancji Hernando przedstawił informacje o kościołach pod wezwaniem świętych: Aciscla i Zoila, Fausta, Cipriana i Eulalii; wszystkie te świątynie przetrwały okres



panowania muzułmanów bez żadnej szkody. Hernando pominął milczeniem prześladowanie mozarabów za czasów wezyra Almanzora. Ale wiary nikt im wtedy nie odbierał, pomyślał na własny użytek.

Kiedy czuł się zmęczony nawałem pracy i potrzebował wytchnienia, zajmował się sztuką kaligrafii. Traktat znaleziony w szkatule wraz z ewangelią był kopią *Typologii skrybów*, dzieła Ibn Mukli, największego z twórców sztuki kaligrafii w służbie bagdadzkich kalifów. Aby uzyskać doskonałą kreskę w piśmie, Hernando doprowadzał się do stanu uduchowienia porównywalnego ze skupieniem modlitewnym.

— Obraziłem Boga nieumiejętnym odwzorowaniem słowa świętego — wyrzucał sobie w ciszy biblioteki, świadom, że jego pismo było dalekie od doskonałości i zabrakło magii w znakach, które nabazgrał w kopiowanych przez siebie surach Koranu, zamiast je rysować.

Musiał zatroszczyć się o lepsze pióra i opanować sztukę ostrzenia końcówki, która powinna być szeroka, skierowana lekko na prawo, jak radził Ibn Mukla. Chrześcijańskie pióra nie były wystarczająco dobre, by chwalić nimi Boga. Nie powinien jednak mieć kłopotu ze znalezieniem odpowiedniej trzciny.

Musiał również pomyśleć o skrytce, w której mógłby przechowywać rosnący stos karteek. Jego wizyty w wieży minaretu stawały się coraz częstsze. Starał się to robić po zmroku, żeby nikt go nie przyłapał w tym miejscu. Wiedział, że brak czujności może mieć fatalne konsekwencje. Naszyjnik z ręką Fatimy, ewangelię i jej kopię przechowywał w zamaskowanej wnęce w ścianie wieży, w tej samej szkatule, którą właśnie tam znalazł. Próby kaligraficzne wrzucał do ognia, żeby nie było po nich ani śladu. Natomiast memoriał dla kapituły Grenady zostawiał w bibliotece na stoliku, przy którym pracował. Nie był więc zdziwiony, gdy kapelan zaczął mu towarzyszyć przy śniadaniu i wypytywać o postępy w pracy poświęconej męczennikom Alpuhary.

— Jak śmiesz stawiać na jednej szali śmierć kilku moryskich kobiet w wyniku nieszczęsnej pomyłki i okrutny, popełniony

z premedytacją mord na chrześcijanach w Juviles? — zapytał pewnego razu ksiądz bez ogródek.

— Widzę, że jestem szpiegowany — odparł Hernando, nie przerywając jedzenia. Nawet nie spojrzął na kapelana.

— Praca dla Boga wymaga różnych działań. Ale wracając do tematu, trzeba ci wiedzieć, że markiz de Mondéjar ukarał już winnych tego nieporozumienia, a zatem sprawiedliwości stało się zadość — podkreślił ksiądz.

— Zaguer uczynił znacznie więcej niż markiz — powiedział Hernando. — Zapobiegł rzezi, nie pozwolił zabijać chrześcijan z Juviles.

— Ale i tak wielu zginęło — oświadczył ksiądz.

— Może porównamy? — zuchwale zaproponował morysk.

— Nie ty będziesz porównywać.

— Ksiądz też nie — zareplikował Hernando. — Zrobi to arcybiskup.



Pewnego wieczoru, gdy już kończył pracę nad memoriałem, zajrzała do biblioteki młoda służąca.

— Kamerdyner Jego Ekscelencji przed chwilą wyszedł z pałacu — oznajmiła od progu.

Hernando pozbierał porzucane kartki, wstał zza biurka, poszukał obiecanej monety i wręczył ją dziewczynie.

— Zanieś to do mojej sypialni — powiedział, pokazując na memoriał. — I dziękuję — dodał w momencie, gdy brała od niego papiery i pieniądze. Odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem. Hernando zauważył, że ma ładną buzię. — Domyślasz się, gdzie on poszedł i co zamierza robić? — zapytał, próbując się czegoś dowiedzieć.

— Słyszałam, że lubi grać w karty.

— Jeszcze raz dziękuję.

Hernando pospieszył ku wyjściu. Kiedy znalazł się na dziedzińcu, na który wychodził ulubiony salon duchessy, usłyszał, jak jeden z hidalgów czyta na głos. Postarał się przejść szybko przez

nikogo niezauważony. Pod osłoną cieni przeciwległych kruzganków wyszedł na chłodną jesienną noc. Nie miał czasu zabrać peleryny. Od dziesięciu lat jego noga nie powstała w domu gry i nie chciał stracić z oczu kamerdynera w ciemnościach kordobańskich ulic. Czy w dalszym ciągu istniały te szulernie, w których pracował kiedyś jako naganiacz, zapędzając do nich gołąbki do oskubania? Tak czy owak, kamerdyner musiał skierować się w okolice Corredera lub Potro. Wymagało to ominięcia starych arabskich murów, które oddzielały medynę od Ajerquía, a jedyne dwa istniejące przejścia prowadziły przez furty Salvador albo Corbache. Hernando wybrał to pierwsze. Dopisało mu szczęście i ujrzał sylwetkę kamerdynera w chwili, gdy zaczęli go otaczać nędzarze, którzy schronili się pod arkadami, aby spędzić tam noc. W blasku świec palących się stale przed figurką Chrystusa ubiczowanego zamkniętą w niszy pod arkadą dostrzegł, że grupa żebraków zatrzymała kamerdynera, domagając się jałmużny i nie pozwalając mu przejść. Przygotował miedziaka i kiedy José Caro zdołał się im wyrwać i pójść dalej swoją drogą w stronę furty Salvador, on skierował się do królewskiej arkady.

Żebracy zaczęli go oblegać. Hernando podniósł monetę i podrzucił ją tak, by spadła za ich plecami. Czterech z nich rzuciło się za nią, a on zdołał bez trudu wyminąć pozostałych dwóch, którzy żądali następnej monety.

José Caro skierował się w okolice Potro. A gdzieżby indziej? — uśmiechnął się Hernando. Szedł za nim w pewnej odległości, wsłuchując się w ciemnościach w odgłos kroków lub wypatrując jego postaci w blasku jakiegoś oświetlonego ołtarza. O mało go nie zgubił, gdy weszli na plac wypełniony hałaśliwym tłumem. Ileż to czasu minęło, kiedy ostatni raz był w nocy na Potro? Zaczął szukać w tłumie kamerdynera. Ledwie zrobił kilka kroków, drogę zagroził mu jakiś chłopak.

— Czy Wasza Ekscelencja szuka domu gry, gdzie można wygrać niezłą sumkę? Mogę polecić najlepszy...

Hernando się uśmiechnął.

— Widzisz tego człowieka? — przerwał mu, wskazując kamer-

dynera skręcającego w ulicę prowadzącą do Badanas. Chłopiec przytaknął. — Jeżeli mi powiesz, dokąd się udał, dam ci monetę.

— Jaką?

— Uważaj, bo ci ucieknie — ostrzegł.

Chłopak pobiegł, a Hernando dał się ponieść wspomnieniom: dom publiczny i Hamid, mulnik Juan, załamana Fatima wypluwająca rosół z flaków, który Aisza starała się jej wlać do ust; on sam uganiający się za klientami domów gry...

— Wszedł do szulerni Pabla Coki. — Słowa chłopca przywołały go do rzeczywistości. — Ale ja mogę pana zaprowadzić do lepszego domu. W tamtym nie grają czysto.

— A czy jest jakiś, w którym grają czysto? — spytał ironicznie. Nie znał szulerni Pabla; nie istniała w czasach, gdy on był stałym bywalcem w tej okolicy.

— Oczywiście! Zaprowadzę pana...

— Nie trudź się. Pójdziemy do tego Pabla Coki.

— Pójdziemy? — spytał zdziwiony chłopak.

— Za chwilę. Najpierw pokażesz mi, gdzie to jest, dopiero wtedy ci zapłacę.

Odczekali wystarczająco długo, by wywołać wrażenie przypadkowego spotkania, i gdy chłopiec zaprowadził go przed ciemne, ciasne wejście, Hernando zapłacił mu za przysługę, po czym pokazał stróżom kilka złotych eskudów i wślizgnął się do obszernego pomieszczenia, zamaskowanego na zapleczu warsztatu, gdzie wyrabiano szcotki do greplowania wełny. Pół setki szulerów, oszustów, gapiów, rachmistrzów i innych ludzi związanych z kartami czy kośćmi tłoczyło się wokół kilku stołów do gry, przechodząc od jednego do drugiego. Gdyby nie harmider na placu Potro, hałas panujący wewnątrz lokalu byłoby słychać nawet w sypialni alkada.

Powiódł wzrokiem po pomieszczeniu, aż ujrzał kamerdynera siedzącego przy jednym ze stołów, otoczonego już przez kilku gapiów. Czy był doświadczonym graczem, czy też naiwnym gołąbkim, któremu czasami pozwalano wygrywać, by go oskubać, kiedy miał dużo pieniędzy? Jakaś dziewczyna podała mu kubek

wina. Na koszt firmy; było pożądanę, żeby klient mający złote monety napił się i usiadł do gry. Hernando okrążył stoliki, żeby zobaczyć, w co grano przy każdym z nich: w kości, w trzydziestkę, niemiecką jedynekę albo w głuptasa. Doszedł do stolika, przy którym grał José Caro, i stanął naprzeciw niego. Przyjrzał się: grano w oczko. Hernando szybko zrozumiał, że José Caro jest gołąbkim. Za pałacowym kamerdynerem stał jakiś widz ubrany w kubrak i pas, na którym błyszczwały niewielkie ozdoby z polerowanego metalu. Szuler siedzący po drugiej stronie stołu i trzymający bank spoglądał spod oka na lusterka na pasie swojego współnika, odbijające karty, które trzymał José Caro. Hernando niemal niedostrzegalnie pokręcił przecząco głową; wyglądało na to, że wszyscy pozostali gracze przy stole o tym wiedzą i wszyscy mieli dostać dolę za pomoc w oskubaniu gołąbka! Kamerdyner odsonił karty — as i figura: dwadzieścia jeden. Wygrał niezłą pulę. Chcieli, żeby nabrał zaufania.

— Trudno cię tu spotkać. — Hernando odwrócił się do mężczyzny, który go zagadnął, i zmarszczył brwi, usiłując go sobie przypomnieć. — Zniknąłeś i myślałem, że coś ci się stało, ale widać, że nie. Wracasz ubrany jak szlachcic i ze złotymi monetami.

— Palomero!

Kilku graczy, wśród nich kamerdyner, podniosło wzrok na przybysza, który tak zwrócił się do właściciela domu gry. Pablo Coca dał mu gestem znak, żeby nie używał tego przezwiska.

— Teraz jestem tu szefem — szepnął. — Muszę dbać o swoją reputację.

— Pablo Coca — wymamrotał półgłosem Hernando. Nigdy nie zdołał poznać imienia owego młodzieńca potrafiącego otumanic najwytrawniejszego gracza. Szulerzy wrócili do swoich licytacji. José Caro, zaintrygowany obecnością moryska, przyglądał mu się spod oka. — Masz niezły dom gry — dodał Hernando. — Muszą cię sporo kosztować łapówki dla straży i sędziów.

— Jak zawsze — zaśmiał się Pablo — Chodź, zostaw ten sikacz, napijemy się dobrego wina.

Hernando poszedł za nim do części sali nieco oddalonej od

stolików do gry, tam gdzie jakiś mężczyzna za białem z surowego drewna, w towarzystwie dwóch obwiesi, robił rachunki i liczył pieniądze. Pablo nalał dwa kubki wina. Stuknęli się nimi.

— Co cię tu sprowadza? — zapytał.

— Chcę prosić o przysługę mężczyznę grającego w oczko... — zwierzył mu się szczerze Hernando.

— Kamerdynera diuka? — przerwał Pablo. — To jeden z największych naiwniaków, jacy się tu przewijają. Jeżeli szybko z nim nie porozmawiasz, przetrnie ostatniego reala i nie będzie specjalnie skłonny do wyświadczania przysług.

Hernando spojrzął ku stolikowi. Kamerdyner właśnie obstawiał zakład. Ktoś inny dyskutował o licytacji i wdał się w bójkę z trzecim. Natychmiast do stolika podeszli dwaj mężczyźni, rozdzielili ich i nakazali im się uspokoić. Morysk nie chciał nawet myśleć, jak bardzo łamie w tej chwili muzulmańskie prawo: pije, i to w domu gry... Dlaczego jest tak trudno dochować wierności zasadom własnej wiary?



— Jeżeli zależy ci na tym, żeby był w dobrym humorze, pozwól mu jeszcze trochę przegrać. Już cię widzieli ze mną. Kiedy usiądziesz, szulerzy się zmienia i będziesz mógł zrobić, co zechcesz. Umiesz kantować? Tak zarabiałeś na życie? W Sewilli?

— Nie. Wiem, co pewnego dnia przed wielu laty powiedział mi jeden dobry kompan — Hernando przyrmużył oko. — Chyba się tak bardzo nie zmienili, prawda? Dlatego... niech decyduje los.

— Naiwniak — rzekł sentencjonalnie Pablo.

Pogawędzili przez chwilę i Hernando opowiedział mu o swoim życiu. Potem skierowali się do stołu, przy którym kamerdyner z trudem zdołał wysupłać stawkę. Pablo dał znak graczowi siedzącemu na prawo od kamerdynera. Mężczyzna wstał, by ustąpić miejsca moryskowi. José Caro chciał zrobić to samo, ale Hernando do tego nie dopuścił, kładąc dłoń na jego ręce i zmuszając go, by ponownie usiadł.

— Od tej chwili będziesz mógł grać na los szczęścia — szepnął mu do ucha.

Kilku graczy wstało, przysiedli się inni.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał kamerdyner, podczas gdy następowała zmiana graczy. — Bardzo uważałem, żeby nikt nie oszukiwał.

— Nie chcę cię wprawiać w zakłopotanie. Chcę tylko powiedzieć, że to nie to samo, co grać z duchessą o reala od rozdania. Nigdy nie siadaj przy człowieku z lusterkami — Hernando wskazał mu brodą mężczyznę w ozdobnym kubraku, który przedtem stał za nim, a teraz, o parę kroków dalej, odbierał swój udział z rąk szulera. Pozostali gracze, którzy milcząco uczestniczyli w oszustwie, czekali na swoją dolę.

Kamerdyner, wściekły, już miał uderzyć pięścią w stół, ale Hernando go powstrzymał.

— Nic już nie możesz zrobić. Partia się skończyła.

— O co ci chodzi? Dlaczego mi pomagasz?

— Bo chcę, żebyś zainteresował się towarami mistrza Juana Marca, tkacza, znasz jego zakład? — Kamerdyner przytaknął. Chciał coś powiedzieć, ale Hernando mu nie pozwolił. — Nie musisz nic kupować. Chcę tylko, żebyś go odwiedził.

Stolik został skompletowany; usiadło przy nim dziewięciu graczy. Jeden z nich wziął karty i chciał je rozdać, ale Hernando go powstrzymał.

— Weź nową talię — zażądał.

Pablo już miał ją przygotowaną. Hernando wziął tę starą, którą gracz rzucił niechętnie na stół, i podał kamerdynerowi.

— Zachowaj ją. Potem nauczę cię kilku sztuczek.

Zmiana talii zniechęciła mężczyznę, który miał rozdawać, i innego szulera; obaj opuścili grę. Reszta zagrała w oczko w obecności Pabla, po dwie karty dla każdego gracza, przeciwko krupierowi, który trzymał bank. Kto uzyskał dwadzieścia jeden punktów (przy czym as miał jeden lub jedenaście punktów, figury po dziesięć, a pozostałe karty — własną wartość liczbową), wygrywał z bankiem. Wygrywał również wtedy, gdy był bliżej

wspomnianej liczby niż krupier lub jeżeli ten ją przekroczył. Los się zmienił i kamerdyner się odegrał: nawet zaprosił na kubek wina Hernanda, który ani nie przegrywał, ani nie wygrywał.

Stało się to w chwili, kiedy Hernando zastanawiał się, jaką sumę postawić. Zaczynały go nudzić nieciekawe karty, które dostawał, i ścisnął w dłoni swoje zasoby. Spojrzał na bank. Pablo stał za krupierem, wyprostowany i poważny, ale płatek jego prawego ucha ledwie dostrzegalnie się poruszał. Hernando powstrzymał gest zaskoczenia i postawił ostro. Wygrał. Z uśmiechem przypomniał sobie wtedy powiedzenie Pabla: obaj mieli to we krwi!

— Przekonuję się, że w końcu nauczyłeś się czegoś od Marszałka — skomentował Hernando po skończeniu partii, kiedy on i kamerdyner żegnali się z Pablem. Morysk wygrał znaczną sumę; jego towarzysz zdołał się odegrać po poprzednich stratach.

— O co chodzi z tym Marszałkiem? — zainteresował się José Caro.

Starzy przyjaciele skrzyżowali spojrzenia, ale żaden z nich nie odpowiedział. Hernando uśmiechnął się na samo wspomnienie ciągłych groteskowych min młodego Palomera, kiedy usiłował poruszyć płatkiem ucha, i podał mu rękę. Kamerdyner zrobił to samo i wysunął się do przodu o kilka kroków.

— Nie wiem, czy postąpiłem słusznie, wygrywając te pieniądze — skorzystał z okazji Hernando, zwracając się do Pabla i wążąc w dłoni swoją sakiewkę.

— Pozbądź się skrupułów. Nie sądź też, że partia była czysta. Wszyscy usiłowali oszukiwać. Ale w rzeczywistości jesteś, podobnie jak twój towarzysz, tylko zwykłym gołąbkiem i nie zorientowałeś się. Czasy się zmieniły i sztuczki są coraz bardziej skomplikowane.

— Teraz nie powinienem... — Hernando odwrócił się w stronę kamerdynera, który zatrzymał się o kilka kroków dalej. — Oddam ci twój dolę kiedy indziej.

— Mam taką nadzieję. To szulerskie prawo, dobrze o tym wiesz. Wracaj tu, kiedy tylko zechcesz. Marszałek i jego współnik od dawna nie żyją i zabrali swój sekret do grobu, tak więc ten



numer z poruszeniem uchem znamy tylko ty i ja. Nie chciałem nikomu o nim powiedzieć ani go używać; inaczej nigdy nie mógłbym zostać właścicielem domu gry. Nikt nie może nas nakryć. Tylko Bóg wie, ile mnie kosztowało nauczenie się tej sztuczki — westchnął, wskazując jednocześnie na czekającego kamerdynera.

Hernando pożegnał się jeszcze raz, dogonił kamerdynera i obaj poszli w kierunku pałacu.

— Czy pójdziesz zobaczyć się z tkaczem? — spytał go, kiedy mijali plac Potro, na którym panowała taka sama wrzawa, jaką pamiętał z dawnych lat.

— Kiedy tylko mi pokażesz sztuczki z talią kart.

*Kordoba 1587*

Tego roku królowa Anglii Elżbieta Tudor „zezwołała” na egzekucję królowej Szkocji Marii Stuart. W obronie prawdziwej wiary oburzony Filip II dał ostateczny impuls do uzbrojenia wielkiej floty pod dowództwem Alvara de Bazán, markiza de Santa Cruz, aby podbić Anglię i podporządkować sobie protestanckich heretyków. Pomimo interwencji sir Francisa Drake’a, nieustraszonego pirata, który w kwietniu przeprowadził atak z zaskoczenia w Zatoce Kadyksu, powodując zatopienie lub spalenie trzydziestu sześciu okrętów hiszpańskich, i pozostał na tych wodach, przechwytyując liczne barki i karawele przewożące materiały dla floty hiszpańskiego króla, Filip II w dalszym ciągu realizował swój zamiar.

Wielka i Szczęśliwa Armada, którą z woli Boga, jak powiedział ambasador Hiszpanii w Paryżu, król Filip miał skierować przeciwko heretykom, zaostrzyła religijność hiszpańskiego ludu i szlachty, zawsze żądnej zwyciężać w imię Boga swoich odwiecznych wrogów, takich jak Anglicy, którzy ponadto okazali się sprzymierzeńcami luteranów z Niderlandów w wojnie z Hiszpanią. Don Alfonso de Córdoba i jego pierworodny syn, który liczył już sobie dwadzieścia lat, zamierzali wziąć udział w nowej krucjacie.

W czasie przygotowań do wojny z Anglią zaczęły nadchodzić zatrważające dla morysków wieści. Od momentu spotkania odbytego sześć lat wcześniej w Portugalii, na którym Filip II rozważał

możliwość załadowania wszystkich nowych chrześcijan na statki i wyrzucenia ich za burtę na pełnym morzu, napisano wiele memoriałów doradzających aresztowanie morysków i wysłanie ich na galery. I w owym roku przygotowań wojennych podniósł się jeden z najbardziej autorytatywnych głosów królestwa Walencji, należący do biskupa diecezji Segorbe, don Martína de Salvatierra, który, przy wsparciu kilku osobistości o podobnych poglądach, zaproponował w skierowanym do Rady Królewskiej memoriale coś, co jego zdaniem stanowiło jedyne możliwe rozwiązanie: kastrację wszystkich morysków płci męskiej, zarówno dorosłych, jak i dzieci.

Hernando poczuł, że kurczą mu się jądra i wstrząsa nim dreszcz grozy. Właśnie przeczytał list wysłany przez Alonsa del Castillo z Escorialu, w którym ten powiadał go o treści memoriału biskupa de Salvatierra.

— Wściekłe psy! — wymamrotał w ciszy i samotności biblioteki pałacu księcia.

Czyżby chrześcijanie byli zdolni do tego, żeby któregoś dnia dokonać tak potwornego czynu? „Tak. Czemu nie?” — na to samo pytanie odpowiadał sobie w liście Castillo. Zaledwie piętnaście lat wcześniej ten sam Filip II, podlegając do buntów i broniąc sprawy katolików we Francji, entuzjastycznie zareagował na wiadomość o wymordowaniu podczas nocy świętego Bartłomieja ponad trzydziestu tysięcy hugenotów. Jeżeli w konflikcie religijnym pomiędzy chrześcijanami — pisał dalej w swoim liście tłumacz — król Filip był zdolny do publicznego okazania radości i zadowolenia z egzekucji tysięcy ludzi — może nie katolików, ale w końcu chrześcijan — jakiego miłosierdzia należało się po nim spodziewać, jeżeli skazańcami była tylko gromada Maurów? Czyż hiszpański monarcha nie brał już pod uwagę możliwości zatopienia ich wszystkich na pełnym morzu? Czy Katolicki Król ruszyłby palcem, gdyby lud posłuchał rad tego memoriału i rzucił się do kastrowania wszystkich morysków?

Hernando przeczytał ponownie list, po czym zgniótł go ze złością. Potem go zniszczył, jak robił to ze wszystkimi wiadomościami.

ciami, które dostawał od tłumacza. Wykastrować ich! Co za szaleństwo! Jak biskup, przywódca owej religii, którą sami wyznawcy nazywali łaskawą i miłosierną, mógł doradzać takie barbarzyństwo? Nagle jego praca dla Luny i Castilla wydała mu się pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia — wypadki wyprzedzały ich w zawrotnym tempie — w chwili gdy Luna miał ukończyć swój panegiryk poświęcony muzułmańskim zdobywcom, otrzymać zezwolenie konieczne do jego publikacji i wreszcie ten tekst mógłby dotrzeć do chrześcijan, na swój sposób i tak dokonano by ich eksterminacji. Czyżby Abbas i inni moryskowie będący zwolennikami zbrojnego powstania mieli rację?

Wstał od biurka i zaczął przechadzać się po bibliotece jak zamroczony, wykręcając sobie dłonie, mamrocząc przekleństwa. Chciałby móc skomentować te wiadomości z mistrzem Abrasią, ale ten już kilka miesięcy wcześniej opuścił Kordobę, żeby malować w pałacu Viso, gdzie został zatrudniony przez don Alvara de Bazán, markiza de Santa Cruz. Pozostawił po sobie majestatyczną kaplicę Najświętszego Sakramentu, w której wyróżniała się enigmatyczna postać opierająca się na Jezusie podczas Ostatniej Wieczerzy.

— Walcz o swoją sprawę, Hernando. — Pamiętał, jak mu dodawał odwagi, siedząc już na mule trzymanym przez poganiacza.

Jak walczyć przeciw propozycji wykastrowania ich?

— Przekłęci hipokryci! — zawołał w ciszy biblioteki.

Hipokryta! Tak nazwał Arbasia samego króla Filipa podczas któregoś spotkania z Hernandem. „Wasz litościwy król jest tylko hipokrytą”, rzekł wtedy bez ogródek.

— Niewielu ludzi wie — opowiedział mu później — że król Filip jest w posiadaniu serii erotycznych obrazów, które osobiście zamówił u wielkiego mistrza Tycjana. Miałem możliwość oglądać jeden z nich w Wenecji, to dzieło sztuki, na którym naga Wenus tuli się lubieżnie do Adonisa. Tycjan namalował wiele obrazów dla chrześcijańskiego monarchy, z nagimi bogami w rozmaitych pozycjach. „Żeby przyjemniej było mu na nich patrzeć”, napisał mistrz do twojego króla. Nigdy chrześcijańska kobieta nie ośmieli-

łaby się rzucić na swojego męża tak, jak robi to Wenus Tycjana. — Przez kilka chwil Hernando pozwolił, by jego wspomnienia powędrowały ku Isabel.

— O czym myślisz? — spytał malarz, widząc go zasepionego.

— O chrześcijańskich kobietach — usiłował się usprawiedliwić: — W ich sytuacji...

— Wy nie macie kobiet w zbyt wielkim poważaniu. Są tylko waszymi niewolnicami, niezdolnymi do tego, by cokolwiek zrobić z własnej woli, czyż nie tak powiedział wasz Prorok?

Hernando przytaknął w milczeniu.

— Tak — powtórzył po zastanowieniu. — Obie religie odsunęły kobiety na bok. W tym jesteśmy do siebie podobni. Do tego stopnia, że jesteśmy zgodni nawet co do Maryi Dziewicy: chrześcijanie i muzułmanie wierzą w nią w podobny sposób. A jednak to, że zgadzamy się co do jednej kobiety, choćby chodziło tu o matkę Jezusa, nie ma większego znaczenia...

Przypomniawszy sobie rozmowę z mistrzem Arbasią, rozgoryczony Hernando przerwał swój spacer po pałacowej bibliotece. Dziewica Maryja! To jest rzeczywiście punkt zaczepienia dla chrześcijan i muzułmanów. Po co upierać się przy wykazywaniu przychylności arabskich zdobywców wobec chrześcijan, jak usiłował to czynić Luna, jeśli dysponowali takim bezspornym argumentem istotnym dla obu wspólnot? Jaki argument byłby lepszy niż ten? Nawet ewangelia Barnaby zgadzała się z wersją przedstawianą w zmanipulowanej przez papieża Ewangelii, której chrześcijanie bronili jako prawdziwej! Dlaczego nie rozpocząć tej wspólnej drogi umożliwiającej współzycie obu religii dzięki jedynej osobie, co do której wszyscy zdawali się zgodni? Cała Hiszpania przeżywała epokę kultu maryjnego graniczącego z fanatyzmem; bezustannie domagano się od Rzymu ogłoszenia dogmatu o Niepokalanym Poczęciu Maryi. Nawet Bóg, ten sam dla obu religii, Bóg Abrahama, nie mógł spowodować takiej jednomysłności: chrześcijanie zniekształcili Go dogmatem Trójcy Świętej.

Przez kilka dni Hernando nie mógł się skupić na swoich zajęciach. Wysłał już do Grenady memoriał o rzezi w Juviles i ku jego zaskoczeniu — sądził bowiem, iż po przeczytaniu tego materiału zrezygnują ze współpracy — kapituła zwróciła się do niego o informację o wydarzeniach w Cuxurio, gdzie Ubajd wyrwał Gonzalicowi serce. Jak miał usprawiedliwić tę masakrę? Żaden dowódca morysków nie powstrzymał tej rzezi. Odłożył na bok transkrypcję ewangelii Barnaby oraz teksty dla Luny i zajął się kaligrafią. Już wcześniej zdobył dobre trzciny do wyrobu piór z czubkiem lekko wygiętym w prawo, jak zalecał Ibn Mukla, ale miał trudności z wyrzeźbieniem nacięcia i codziennie rano, kiedy Volador ogryzał gałęzie na pastwisku, on opierał się o drzewo i zaczynał przycinać końcówki trzcin, które potem wypróbował w bibliotece.

Niestety, kaligrafia nie mogła już złagodzić jego niepokoju. Nie potrafił osiągnąć stanu ducha niezbędnego do spotkania z Bogiem za pośrednictwem rysunków. Już sądził, że znalazł w postaci Marjam rozwiązanie dręczących go problemów, ale znowu ogarnęły go wątpliwości. Jak to zrobić? Czy ma rację? Jak to przedstawić chrześcijanom, żeby wywołać konieczne echo? Czy można samotnie stawić czoło takiemu projektowi?

Jego życie codzienne też pozostawiało sporo do życzenia. Od dnia kiedy poszedł do domu gry Pabla za kamerdynerem, który dotrzymał słowa i udał się do zakładu tkacza, uzyskawszy najpierw od Hernanda wyjaśnienie co do wybiegów stosowanych przez szulerów przy znaczeniu kart (umieszczali na nich maleńkie kreski albo posługiwali się kartami o wymiarach różniących się od reszty talii w sposób niedostrzegalny dla innych), morysk wielokrotnie jeszcze chodził grać, czasem sam, czasem w towarzystwie kamerdynera. Wiedział, że łamie przykazanie zabraniające hazardu, lecz ileż innych przykazań zmuszony był łamać w tym kraju!



Pewnego wieczoru starał się dostosować wielkość liter do wykaligrafowanej na początku litery *alif*. Otoczył tę pierwszą

literę arabskiego alfabetu obwodem, którego *alif* było średnicą, i ćwiczył się w rysowaniu pozostałych zgodnie z kanonem wyznaczonym przez ten obwód. Nie minęło mu nawet pół godziny na tych ćwiczeniach, kiedy stwierdził, że jakkolwiek by się starał, nie zdoła nigdy sprawić, by zakrzywione, poziome *ba* wpisywało się w wymiary owego idealnego obwodu czy w pozycję, jaką powinno zajmować względem *alif*.

Podarł kartki, wstał i postanowił pójść zagrać u Pabla, choć wiedział, że i tym razem musi przegrać. Przegrywał już od dwóch nocy i miał świadomość, że to jeszcze nie koniec.

— Nie możesz zawsze wygrywać — ostrzegł go Pablo. — Raczej nikt nie rozpozna naszej sztuczki, ale wszyscy będą myśleli, że dzieje się coś dziwnego, jeżeli będziesz zawsze wygrywał, i szybko skojarzą to z moją obecnością. Choćbym stale zmieniał miejsce przy stole i tak wiedzą, że jesteś moim przyjacielem. Pozwól pieniądzom krążyć.

Pablo wyznaczał mu dni, w których mógł wygrywać. Oczywiście wygrana zawsze przewyższała sumę łącznych strat. Poza wszystkim gra stanowiła dla Hernanda rozrywkę. Choć wiele się nauczył, grał jak prawdziwy gołąbek i obstawiał bez sensu, z wyjątkiem tych momentów, kiedy Pablo poruszał płatkiem ucha. Ponadto po opuszczeniu szulerni miał zwyczaj zaglądać do lupanaru, gdzie korzystał z usług rudej panienki o bujnych kształtach i lubieżnym zachowaniu. Zanim wyszedł z pałacu, zapytał o kamerdynera, gdyż lubił mieć go przy sobie w dniach, kiedy miał przegrywać; przynajmniej mógł pogawędzić sobie z kimś znajomym. Diuk był nieobecny, pojechał na dwór królewski w związku z przygotowaniami inwazji na Anglię, toteż José Caro szybko się pojawił.

— Humor ci dziś nie dopisuje — skomentował kamerdyner po chwili marszu w milczeniu.

— Przykro mi — przeprosił Hernando.

Ich kroki rozbrzmiewały w opustoszałych uliczkach dzielnicy Santo Domingo. Szli szybko, kamerdyner pozwalał, by kółka i pochwa jego sztyletu uderzały o siebie i dzwoniły, ostrzegając

ewentualnych napastników czających się w ciemnościach kordobańskiej nocy, że mają do czynienia z dwoma silnymi, uzbrojonymi mężczyznami. Hernando miał zwykły krótki sztylet ukryty pod burnusem, co było pogwałceniem zakazu noszenia broni przez morysków.

Z pewnością nie tryskał humorem. Pomysł posłużenia się Najświętszą Panią w celu zbliżenia obu wspólnot wciąż krążył mu po głowie, ale jeszcze nie wiedział, jak go rozwinąć, i nie miał z kim tego omówić. W głębi ulicy zamajaczył jeden z licznych ołtarzy, które nocą oświetlały Kordobę. O ile w ciągu dnia liczne ołtarzyki, kapliczki i wizerunki świętych na ulicach miasta były miejscem modlitw i próśb wznoszonych przez nabożnych chrześcijan, o tyle nocą stawały się one prawdziwymi latarniami i wskazywały drogę w panujących ciemnościach. Gdy podeszli bliżej, zobaczyli zapalone świece, kwiaty i wotywno dary u stóp ołtarza na fasadzie domu. Hernando przyjrzał się malowidłu: była to Matka Boska z góry Karmel.

— Najświętsza Panią — szepnął José Caro.

— Której nie dotknął grzech — dokończył Hernando, powtarzając nieświadomie słowa Proroka zawarte w hadisach.

— Tak właśnie — przytaknął kamerdyner, robiąc znak krzyża. — Czysta i niepokalana, bez grzechu poczęta.

Szli dalej. Hernando pogрузił się w rozmyślaniach. Czy ten chrześcijanin ma pojęcie, że afirmacja Niepokalanego Poczęcia wywodzi się z Sunny, zbioru powiedzeń Proroka? Ciekawe, co by pomyślał, gdyby mu wyjaśnić, że dogmat Niepokalanego Poczęcia, o którego uznanie zabiega świat chrześcijański, już od dawna figuruje w świętej księdze muzułmanów? Jak zareagowałby kamerdyner na wieść o tym, że to Mahomet powiedział o Dziewicy Maryi, iż grzech Jej nie dotknął. Miała wielkie poważanie u Proroka, który swojej córce Fatimie oznajmił w chwili śmierci: „Ty będziesz panią nad wszystkimi kobietami w raju, będziesz pierwszą po Marjam”.

Hernando przyspieszył kroku. Oto droga, która doprowadzi do zbliżenia obu religii i ich wyznawców i która sprawi, że



chrześcijanie zaczną wreszcie darzyć morysków szacunkiem, tak jak tego pragnie don Pedro i jego przyjaciele! To się musi udać!



Myślał o tym jak opętany. Tymczasem w 1587 roku wykryto nowy spiszek morysków z Sewilli, Kordoby i Éciji. Zamierzali zaatakować Sewillę w noc świętego Piotra, wykorzystując zły stan obronności miasta. Przywódców spisku stracono bez sądu. Abbasa nie było wśród nich, lecz wielu morysków z Kordoby padło ofiarą prześladowań. Powstanie zbrojne! Bronią nic nie zwojują prócz gniewu i chęci odwetu chrześcijan i ich króla, pomyślał Hernando. Teraz chcą ich wykastrować! Dlaczego starzy mądrzy ludzie kierujący gminą morysków nie potrafią temu przeciwdziałać?

Hernando sam obmyślił cały plan. Wiedział, że mieszkańcy Grenady nie ustają w poszukiwaniach męczenników i relikwii, miasto pragnie uchodzić za kolebkę chrześcijaństwa i dorównać najważniejszemu ośrodkom kultu, które przyciągają pielgrzymki z całej Hiszpanii: Toledo, Santiago de Compostela, Sewilla... Możemy im w tym dopomóc, zaproponował w długim liście do Castilla.

Wierzymy w tego samego Boga, Boga Abrahama, pisał. Dla nas Jezus Chrystus jest Mesjaszem, Słowem Bożym i Duchem Bożym. Koran wielokrotnie to podkreśla. Isa jest wysłannikiem! Tak powiedział Mahomet, niech zbawienie będzie z Nim. Czy chrześcijanie o tym wiedzą? Traktuje się nas jak psy, niczym bezmyślne muły. Żaden chrześcijanin nie pomyślał o tym, by zgłębić istotę naszej wiary. Polemiści z jednej i drugiej strony kładą nacisk głównie na to, co nas dzieli, zamiast pokazać to, co nas łączy. Wszyscy wiemy, że papieże dorobili Jezusowi boską naturę trzysta lat po jego śmierci. On sam, Isa, nigdy nie nazywał siebie Bogiem albo Synem Bożym, mówił natomiast, że Bóg jest tylko jeden, jedyny. My też tak mówimy. Papiści wymyślili fałszywie

boską naturę Jezusa, ale nie zajmowali się naturą Jego matki. Może dlatego, że pozycja kobiety sytuuje ją na drugim planie. Jeszcze dziś papieże opierają się powszechnemu wołaniu o uznanie Niepokalanego Poczęcia za dogmat wiary. Nasze religie są zgodne w widzeniu Maryi. Przez Maryję może dojść także do zbliżenia między wyznawcami obu religii. Polemiki wokół Dziewicy dotyczą jedynie genealogii, a nie znaczenia Maryi. Jeśli ci sami ludzie, którzy dziś mają nas za heretyków, zrozumieją, że czcimy Matkę Boską tak samo jak oni, to może zrewidują swój stosunek wobec nas. Prosty ludzi cechuje pobożność maryjna, przestaną nas nienawidzić, gdy się dowiedzą, że my też kochamy Maryję! Może na tym zasadza się porozumienie, którego z takim uporem szukamy.

W dalszym ciągu listu Hernando powiadamia Castilla, że ostatnio natrafił na kopię ewangelii Barnaby:

Taki dokument nie może ujrzeć światła dziennego bez odpowiedniego przygotowania, gdyż natychmiast zostanie uznany za heretycki apokryf, niezgodny z zasadami Kościoła świętego. Najpierw musimy przekonać chrześcijan do naszej wiary, przygotować ich do poznania tej ewangelii i pewnego dnia będzie można ją pokazać, aby zasiać w nich ziarno wątpliwości i uzyskać większą życzliwość dla naszego ludu.

Królewski tłumacz nie zwlekał z odpowiedzią. Pewnego ranka mulnik przysłany specjalnie z Escorialu odszukał Hernando na obrzeżach Kordoby i wręczył mu list. Hernando pogalopował na łąki, znalazł ustronne miejsce, zszedł z konia i zaczął czytać:

W imię Allaha Łaskawego i Miłosiernego, Prowadzącego prostą drogą. Wielu z naszych braci, aby zrobić na złość chrześcijanom, zapomniało o tym wszystkim, co przedstawiłeś w swoim liście. Ale masz rację: z bożą pomocą uda nam się doprowadzić tą drogą do zbliżenia z chrześcijanami,

by zapanował między nami pokój. Z niecierpliwością czekam, kiedy przyslesz mi wspomnianą ewangelię, bym mógł ją przeczytać. W *Decretum Gelasianum* z VI wieku o *Księgach dopuszczalnych i nie do przyjęcia* Kościoł wspomina o ewangelii świętego Barnaby, zaliczając ją do apokryfów. Zgadzam się z Tobą, iż zapoznanie ludzi z tym tekstem bez wstępnego przygotowania mija się z celem. Zacznij od Grenady, to właściwe miejsce. Dostarcz im dowody chrześcijańskiej tradycji, skoro tak rozpaczliwie ich poszukują, i przy okazji zostaw trochę śladów, które pewnego dnia pozwolą im dotrzeć do Prawdy. Oczywiście, Dziewica Maryja, ale pamiętaj też o świętym Cecyliu. Był to pierwszy biskup Grenady, poniósł męczeńską śmierć w czasach cesarza Nerona. Święty Cecilio i jego brat, święty Tesifón, byli Arabami. Użyj naszego języka, niech chrześcijanie przeczytają o swojej przeszłości w języku arabskim, który jest boski i uniwersalny. Tekst powinien być na tyle wieloznaczny, by poddawał się różnym interpretacjom. Pamiętaj, że w tamtych pierwszych czasach język pisany nie zawierał samogłosek ani znaków diakrytycznych. Zawiadom mnie, kiedy będziesz gotów ze wszystkim. Pokój niech będzie z Tobą i niech Bóg Cię prowadzi.

Hernando podarł list i wsiadł na Voladora. Zbierało się na burzę. Dobrze, ale jak to zrobić? Nie będzie to jego pierwsze oszustwo w życiu. Zdarzyło mu się oszukiwać, gdy potrzebował dużo pieniędzy, by wymienić Fatimę na muła i gdy podnosił stawki w grze w karty według znaków dawanych przez Pabla płatkami ucha... Ale to nie to samo, co oszukać całe królestwo i Kościół katolicki! Spadły pierwsze krople deszczu, powietrze zapachniało świeżością. Hernando jechał powoli, wyobrażając sobie wielką grę samotnego gracza. On będzie jedynym rozgrywającym. Musi to zrobić inteligentnie. To nie sztuczki z kartami. Szachy! Wielka szachownica: po jednej stronie on, a po drugiej — całe chrześcijaństwo.

Uprzedził, że nie będzie go wieczorem w pałacu. Potrzebował samotności. Ogród dawnego meczetu nic się nie zmienił, jak dawniej wisiały na ścianach krużganka wokół patio setki sambenitów z tabliczkami z nazwiskiem skazańców, korzystający z prawa azylu przestępcy snuli się po ogrodzie albo szukali schronienia przed deszczem. Hernando pomyślał o dawnych towarzyszach w nieszczęściu; co też z nimi się stało? Młodzi i starzy księża otoczeni wiernymi uciekali pod dach. Z nieba lało się strumieniami. Po wejściu do katedry skierował się od razu do kaplicy Świętego Barnaby i przystanął przy kracie. Pochylił się, jakby chciał coś podnieść z podłogi: klucze były tam, gdzie je kiedyś zostawił. Święty Barnaba! — mamrotał Hernando. Jego ewangelia! Czyż trzeba więcej znaków? Zdejmując klucze, zastanawiał się, czy nie zmienili zamka. Przekona się dopiero po zamknięciu katedry. Obejrzał zamek uważnie. Czy to na pewno ten sam? Umiłał sobie czas oczekiwania oglądaniem malowideł Arbasii w nowej kaplicy Najświętszego Sakramentu. Wciąż go intrygowała postać siedząca obok Jezusa Chrystusa podczas Ostatniej Wieczerzy. Dlaczego? — po raz enty zadawał sobie to pytanie.

Klucz przekręcił się w zamku z łatwością. Hernando wśliznął się do szafy. Była załadowana po brzegi, ale znalazł dla siebie trochę miejsca, odsuwając na bok szaty liturgiczne używane do mszy. Ubroił się w cierpliwość.

O świcie gwałtowna burza rozpętała się nad Kordobą, błyskawice przesywały niebo jedna za drugą, oświetlając na krótko wnętrze pustej jeszcze katedry. Nie było widać strażników, tylko sylwetkę mężczyzny klęczącego przed mihrabem najpiękniejszego meczetu świata. Myśli mężczyzny błądziły wokół projektu, który miał doprowadzić do zbliżenia obu religii.

*Grenada, marzec 1588*

Na zaproszenia don Pedra Hernando po przybyciu do Grenady zatrzymał się w pałacu Tiros. Wyjechał z Kordoby pod pretekstem wizyty w kapitule katedralnej w związku z przygotowywanym memoriałem o męczennikach Alpuhary. Wyposażony w specjalną przepustkę z podpisem arcybiskupa wyruszył samotnie na makabryczny szlak usiany ofiarami morysków podczas exodusu z Grenady. Początkowo rozważał zmianę trasy, by uniknąć bolesnych wspomnień, ale każda inna droga byłaby dwa razy dłuższa. W marcu krajobraz nabrał życia. Noc była chłodna, lecz w powietrzu unosiły się już świeże zapachy, gdy modlił się w miejscu pochówku małego Humama, które traktował jak grób rodzinny. W Grenadzie już czekali Luna i Castillo, który specjalnie przybył z Escorialu, uprzedzony o jego wizycie.

Gdy zamknęli się w Złotej Sali, Hernando pokazał ołowianą szkatułkę, z zewnątrz smołowaną, otworzył ją i z ceremonialną miną zaczął wyjmować po kolei: kawałek płótna, tabliczkę z wizerunkiem Maryi, ludzką kość i stary pergamin. Poukładał to wszystko na niskim stoliku zdobionym markieterią.

Czterej mężczyźni przez kilka chwil stali wokół stolika w milczeniu, nie odrywając oczu od wyłożonych przedmiotów.

— Znalazłem stary zwój pergaminu w minarecie pałacu diuka — zaczął wyjaśniać Hernando. — Zdaje się, że pochodzi

z epoki kalifatu, z czasów Almanzora, który trząśł wtedy całym półwyspem — uśmiechnął się do Luny. — Wystarczyło odciąć zapisany fragment zwoju, aby uzyskać dużo wolnego miejsca. — Rozwinął pergamin i chwytając za górne rogi, pokazał swoim towarzyszom. — To wygląda jak wielka szachownica — szepnął.

W części centralnej znajdowały się dwie tabele, jedna nad drugą. Górna składała się z czterdziestu ośmiu kolumn i dwudziestu dziewięciu rzędów tworzących pola oznakowane arabskimi literami; tabela dolna — podzielona na piętnaście kolumn i dziesięć rzędów — miała większe kratki, w których mieściły się całe arabskie słowa. Litery i wyrazy pisane na zmianę atramentem czerwonym i brązowym nie zawierały prawie wcale samogłosek ani znaków diakrytycznych, co stwierdzili entuzjastycznie Luna i Castillo, pochylając się nad pergaminem, by wszystko uważnie zbadać.

— Proroctwo apostoła Jana — Castillo przeczytał głośno arabski wstęp umieszczony na marginesie górnej tabeli — o zniszczeniu i sądzie czekającym ludzi oraz o prześladowaniach, jakie potem nastąpią i potrwać aż do dnia wzmiankowanego w tej niezwykłej ewangelii, rozszyfrowane z greki przez uczonego i świętego sługę wiary Dionizego Aeropagitę. — Tłumacz oderwał się od lektury i zawołał: — Świetnie! Co mówią dalsze inskrypcje? — zapytał, wpatrując się w linijki tekstu na dole i na marginesach pergaminu.

— Przy odpowiedniej kombinacji liter i słów można odczytać proroctwo, które arcybiskup Aten Dionizy przekazał rzekomo świętemu Ceciliowi, a ten przetłumaczył je z greki. Jest w nim mowa o narodzinach islamu, schizmie luteriańskiej i nieszczęściach chrześcijaństwa, które rozpadnie się na wiele sekt. Potem ze Wschodu przyjdzie wielki król, zapanuje nad światem, ustanowi jedną religię i ukarze wszystkich, którzy uczynili z niej źródło niegodziwości.

— Bravo! — przyklasnął Pedro de Granada.

— Co to za znak na końcu pergaminu? — zainteresował się Luna.

— Podpis świętego Cecilia, biskupa Grenady.

— A to? — zapytał Castillo, pokazując na leżące na stole przedmioty.

— Welon Dziewicy Maryi — zademonstrował trójkątny kawałek płótna — którym otarła łzy z oczu Chrystusa umęczonego podczas drogi krzyżowej, a to tabliczka Dziewicy i kość świętego Stefana.

— Szkoda, że nie świętego Cecilia! — zawołał don Pedro. — Chrześcijanie woleliby jego relikwie. Od dawna szukają śladów swojego patrona.

— Święty Cecilio nie mógł jednocześnie zostawić proroctwa i swoich kości — zauważył z uśmiechem Hernando.

— A więc tu mamy welon — powiedział Castillo, dotykając płótna. Hernando przytaknął. — Można wiedzieć, jak zdobyłeś te rzeczy?

— Tabliczkę pożyczyłem sobie z jednego z kordobańskich ołtarzy poświęconych Dziewicy Maryi, gdzie wisiała jako wotum. Owinąłem ją w sukno i zostawiłem na pewien czas w dole z obornikiem na pastwisku, by nabrała starego wyglądu...

— Świetny pomysł — przyznał Luna.

— Trochę się na tym znam, pracowałem kiedyś w garbarni i wiem, jak działa nawóz na zanurzone w nim przedmioty — wyjaśnił Hernando. — Natomiast jeśli chodzi o kość i płótno... zapłaciłem paru biedakom z Potro za ekshumację zbiorowego grobu na Polu Miłosierdzia i w ten sposób wszedłem w posiadanie tych...

— Nie obawiasz się, że mogą cię rozpoznać? — przerwał Castillo.

— Nie. Było ciemno i miałem maskę na twarzy. Co najwyżej wzięli mnie za czarownika. Nikomu nie przyjdzie do głowy połączyć tego z naszym projektem. Zaopatrzyłem się w całe naręcze kości!

— I co teraz? — zapytał don Pedro.

— Teraz musimy się zastanowić, w jaki sposób przekazać nasze pierwsze orędzie do wiadomości chrześcijan — odpowiedział

Castillo. — Rozumiem, że to jest tylko pierwszy krok do szerszego, bardziej ambitnego projektu, czy nie tak? — Hernando odpowiedział tłumaczowi skinieniem głowy. — Zobaczymy, co powie Kościół na to, iż czcigodny biskup, patron Grenady, objawia się po arabsku...

— I jak zareaguje na prorocstwo — dodał Hernando.

— Zapewniam cię, że zinterpretuje wszystko tak, jak będzie mu wygodniej.

— Sam chciałeś, żeby nie było zbyt jednoznaczne — przypomniał z wyrzutem.

— Tak, pewna wieloznaczność jest niezbędna. Jedni zinterpretują to na korzyść Kościoła, inni przeciwnie i rozpocznie się dyskusja. Hiszpanie lubią dyskutować. Wystarczy, że ktoś coś powie, a już znajdzie się adwersarz, który ma odmienne zdanie, a najczęściej chodzi mu tylko o to, by zabłysnąć. Z całą pewnością my dwaj zostaniemy wezwani do przetłumaczenia tego zwoju pergaminu i zrobimy to tak, żeby było dla nas jak najlepiej. To orędzie nie może opowiadać się w sposób jednoznaczny i oczywisty za islamem, bo wtedy od razu zostanie potępione jako herezja i nie będzie żadnej dyskusji. Trzeba pamiętać, że sporo ludzi zna język arabski. Przesłanie i treść odkrytej przez ciebie ewangelii... No właśnie, masz ją z sobą? Nie mogę się doczekać, kiedy ją przeczytam.

— Przykro mi, ale jeszcze nie skończyłem przepisywać, dlatego nie przywozłem — usprawiedliwił się Hernando. — Nie chcę ryzykować utraty oryginału.

— Dobrze robisz. No cóż, jak już mówiłem, ewangelia, czyli prawda, powinna objawić się w momencie, gdy zasiejemy jak najwięcej wątpliwości. Trzeba wszystko zawczasu przygotować. Ale co teraz z tym zrobić? — Castillo pokazał na przedmioty rozłożone na stole. — Jak ukryć rzeczy, żeby chrześcijanie je znaleźli?

— Stara wieża, Turpiana, jest przeznaczona do rozbiórki — przypomniał don Pedro.

— Trudno o lepsze miejsce — rzekł Luna — niż dawny minaret głównego meczetu.



— Więc kiedy? — wtrącił Castillo.

— Jutro przypada święto Archanioła Gabriela — uśmiechnął się Hernando.

Popatrzyli na siebie wszyscy czterej. Gabriel to Dżibril, najważniejszy anioł dla muzułmanów, ten który przekazał Prorokowi słowo objawione.

— Nie ulega wątpliwości, że Bóg jest z nami — ucieszył się don Pedro.

Castillo poszukał czegoś do pisania, zapytał Hernanda, czy się zgadza, a kiedy uzyskał jego przyzwolenie, dopisał na pergaminie kilka zdań w języku łacińskim i kastylijskim, które zawierały między innymi polecenie ukrycia zwoju w wieży Turpiana.

Obserwowali go w milczeniu.

— Im więcej tajemnic dla chrześcijan, tym lepiej — oświadczył na zakończenie i pochuchał na atrament, żeby szybciej wysechł. — Jutro w nocy idziemy na wieżę.



Podobnie jak Turpiana dzwonnica kościoła San José w dzielnicy Albaicín była kiedyś minaretem najstarszego meczetu Grenady, Almorabitin, lecz w przeciwieństwie do tego, co działo się z wieżą Turpiana, ów meczet zburzono, a minaret zachowano. Dzień zapowiadał się ciepły i słoneczny. Hernando wstał wcześniej i od rana kręcił się w pobliżu świątyni. Poprzedniego wieczoru zamienił na osobności kilka słów z don Pedrem, zapytał o sędziego don Ponce de Hervás, żeby się dowiedzieć, czy romans z Isabel nie miał dla niej jakichś przykrych konsekwencji.

— Żadnych — odpowiedział szlachcic. — Tak jak ci mówiłem, sędzia nie zamierzał wywoływać skandalu. Możesz być o to spokojny.

Hernando z przyjemnością spoglądał na architekturę minaretu: kamienne płyty były pokryte bogatymi reliefami, w jednej ze ścian zachowało się wspiane okno zamknięte podkowiastym, typowo muzułmańskim łukiem. Próbował wyobrazić sobie dawne czasy, kiedy z tego minaretu wzywano wierzących do modlitwy, i mało

brakowało, a przeoczyłyby dwie kobiety, które wyszły z kościoła po mszy w tłumie wiernych. Jasne włosy Isabel błyszcząły w słońcu, prześwitując przez koronkę czarnej mantylki, która przykrywała jej głowę, podkreślając delikatne rysy twarzy. Hernando poczuł dreszcz na widok tej dumnej, wyniosłej, niedostępnej kobiety. Doña Ángela wyglądała przy niej niczym ponura stróżka. Żadna go nie zauważyła; szły w milczeniu, nie rozglądając się na boki. Ukryty za rogiem domu patrzył, jak schodzą w dół ulicą w kierunku rezydencji don Ponce de Hervás. Obraz oświetlonej Alhamby z wczorajszego wieczoru dodał skrzydeł ponownie rozbudzonej namiętności. Dlatego teraz szedł za Isabel w pewnej odległości, kryjąc się między ludźmi. Co robić? Doña Ángela nie pozwoli mu z nią porozmawiać, a nie wiadomo, czy i kiedy będzie miał następną okazję. Zobaczył czterech wyrostków bawiących się na ulicy. Wyciągnął reala z sakiewki i natychmiast go otoczyli.

— Widzicie te dwie kobiety? — pokazał, upewniwszy się najpierw, że nikt z dorosłych tego nie widzi. — Podbiegnijcie do nich i potraćcie, niby niechcący, tę niższą. Trzeba ją czymś zająć, żeby zatrzymała się na dłuższą chwilę. Tej drugiej nie ważcie się dotknąć, jasne?

Wszyscy czterej jednocześnie kiwnęli głowami, najstarszy chwycił monetę i pobiegli, nie pytając o nic więcej. Hernando wyminął paru przechodniów na ulicy, zastanawiając się, czy aby nie przesadził, wszak kuzynka sędziego jest już starszą osobą...

Głośny krzyk kobiety rozległ się na ulicy w tym samym momencie, gdy doña Ángela zamachała rękami i runęła jak długa na ziemię. Hernando pokręcił z niezadowoleniem głową. Cóż, nie miał innego wyjścia! Chłopcy nie musieli wysilać konceptu, gdyż zaraz zrobiło się zbiegowisko wokół obu kobiet. Hernando też podszedł bliżej i widział, jak dwie osoby chwyciły kuzynkę sędziego pod pachy i pomagały jej wstać, reszta obserwowała, a kilku mężczyzn zlorzeczyło nygusom, którzy byli już daleko. Pochylając się nad poszkodowaną, Isabel poczuła na sobie czyjś wzrok, wyprostowała się, spojrzała przed siebie i wtedy zobaczyła Hernanda, który stał naprzeciwko w grupie gapiów.

Ich oczy się spotkały. Isabel rozkwitła pod jego spojrzeniem. Hernando nie wiedział, czy uśmiechnąć się, przesłać jej całusa czy precyzyjnie się przez ludzi, wziąć ją pod ramię i zaprowadzić gdzieś, gdzie będą tylko sami. A może po prostu krzyknąć, że jej pragnie i pożąda. Nie zrobił nic takiego. Ona też nie zareagowała. Wpatrywali się w siebie z zapartym tchem, dopóki doña Ángela nie pozbierała się po upadku. Długo nie była w stanie stanąć o własnych siłach. Hernando dostrzegł kątem oka mimo woli, że jakaś kobieta pomaga jej otrzepać się z piasku, chociaż doña Ángela opędza się od niej, jakby pragnęła czym prędzej wyrwać się z tłumy gapiów. Kiedy znowu przeniósł wzrok na Isabel, zobaczył jej załzawione oczy, trzęsącą się brodę i drżącą dolną wargę. Zrobił ruch, jak gdyby chciał do niej podejść, lecz zacisnęła wargi i prawie niedostrzegalnie pokręciła przecząco głową, przybierając wyraz twarzy, który poruszył nim do głębi. Następnie razem z kobietą, która próbowała oczyścić ubranie poszkodowanej, obie damy podjęły drogę do domu, przy czym doña Ángela utykała z jękiem, a Isabel powstrzymywała łzy. Hernando wsunął się między ludzi, którzy zaczęli się już rozchodzić, i ruszył za nimi. Po kilku krokach Isabel odwróciła głowę.

— Proszę odprowadzić moją kuzynkę do domu — powiedziała do towarzyszącej im kobiety i pokazała jej drogę do rezydencji. — Zdaje się, że w tym zamieszaniu zgubiłam szpilkę od mantylki. Zaraz was dogonię.

Kiedy zbliżała się do Hernanda, starał się dostrzec w jej twarzy najdrobniejszą oznakę radości, ale widział tylko z trudem powstrzymywane łzy.

— Skąd się tu wzięłeś, Hernando? — wyszeptwała.

— Pragnąłem cię zobaczyć. Porozmawiać z tobą, poczuć...

— To niemożliwe... — Jej głos załamał się, ale mówiła dalej: — Nigdy więcej nie wchodź w moje życie. Dużo mnie kosztowało, żeby o tobie zapomnieć. Długo chorowałam, o mało nie przyplącałam za to głowę... Nic nie mów, na litość boską! — poprosiła, gdy Hernando chciał jej coś szepnąć do ucha. — Nie chcę znowu cierpieć. Zostaw mnie, błagam.

Zanim cokolwiek odpowiedział, odwróciła się do niego plecami i szybko podążyła za kuzynką Ángelą.



Słowa Isabel przez cały dzień nie dawały mu spokoju. Po zmroku Hernando w towarzystwie don Pedra, Castilla i Luny wybrali się do wieży Turpiana. Przeszli obok komory celnej ze składem jedwabiu, kierując się w stronę bramy Jelices, skąd rozciągał się widok na prace budowlane katedry. Za plecami mieli centrum handlowe jedwabiu. Blisko dwieście sklepów stłoczyło się przy wąskich uliczkach, gdzie teraz panowała cisza i pustka, nikt tam nie mieszkał. Na noc zamykano bramy i wystawiano strażę do pilnowania sklepów oraz budynku komory celnej pobierającej opłaty za handel jedwabiem.

Na wprost bramy Jelices wznosiła się Turpiana, dawny minaret głównego meczetu Grenady zamienionego obecnie na chrześcijańskie sanktuarium. Kwadratowa wieża minaretu, wysoka na trzy naście łokci, służyła przez pewien czas jako dzwonnica katedralna, lecz w styczniu tego roku zakończono budowę majestatycznej, nowej trzyczęściowej wieży, z przeznaczeniem na dzwonnice, wobec czego Turpiana stała się niepotrzebna i tylko zawadzała w budowie siedziby biskupów.

Czterej mężczyźni zatrzymali się w bramie, skąd było widać cały teren budowy, słabo oświetlony pochodniami stróżów i światłem dobiegającym z wznoszących się naprzeciwko kolegiów. Na wprost nich rozpościerał się plac, po lewej stronie Kolegium Królewskie i Kolegium Świętej Katarzyny, po prawej — nieco oddalona od placu katedra w budowie (ukończono tylko rotundę i nawę wzdłuż apsydy) oraz nowa dzwonnica, która graniczyła z placem. Teren pomiędzy był pusty. Kilka kroków od miejsca, gdzie stali w bramie, nie dochodząc do nowej dzwonnicy, znajdowały się meczet i minaret.

Wieżę Turpiana rozbierano starannie kamień po kamieniu, postępując od góry, by wykorzystać w całości materiał z rozbiórki i nie uszkodzić świątyni. Mężczyźni obserwowali teren, nasłuchując

rozmów i śmiechów stróżów, którzy byli poza ich polem widzenia, w centralnej części katedry.

— Musimy uważać, żeby nikt nas nie zobaczył — szepnął Castillo. — Nikt nie powinien połączyć naszej nocnej wizyty w tym miejscu z odkryciem szkatuły.

— Za dużo tu straży — zmartwił się don Pedro — nie uda nam się długo pozostać w ukryciu.

Zapadło między nimi milczenie przerywane okrzykami wartowników. Hernando stał ze szkatułą pod peleryną i wdychał zapach jedwabiu unoszący się w płataninie uliczek wokół komory celnej. Przypomniało mu się dzieciństwo w Alpuharze, gotowanie kokonów. Pachniały tak samo, gdy po namoczeniu we wrzącej wodzie wyciągano cenne nitki przędzy. „Dużo mnie kosztowało, żeby o tobie zapomnieć”, powiedziała mu Isabel. Wyobraził ją sobie znowu w ramionach męża...

— Hernando! — szepnął mu prosto w ucho Castillo. — Co robimy?

Co robimy? — powtórzył w duchu. Miał ochotę wybiec stąd, przeskoczyć przez mur na teren rezydencji sędziego, wśliznąć się do sypialni Isabel i...

Tłumacz potrząsnął go za ramię.

— Co robimy? — zapytał ponownie, tym razem głośniej. Hernando rozejrzał się z uwagą po placu. — Za dużo tu straży — powiedział Castillo.

Szlachcic i dwóch intelektualistów! Czego można się po nich spodziewać?

— Rzeczywiście — przyznał Hernando — jest tu kilku ludzi, ale nie sądzę, by pilnowali Turpiany. Wieża ich nie interesuje. Oni mają za zadanie pilnować katedry. — Zastanawiał się chwilę. — Obejdziecie świątynię i z drugiej strony, za ulicą Cárcel, zaczniecie się awanturować. To ma być ostra kłótnia. Tylko pamiętajcie, żeby najpierw zasłonić twarze. Wejdę do akcji w momencie, gdy usłyszę wasze krzyki.

Trzej mężczyźni z ulgą przyjęli propozycję Hernanda i pospieszili w stronę placu Bibarrambla, skąd przemknęli pod katedrą

na ulicę Cárcel. Tymczasem myśli Hernanda znowu poszybowały do Isabel. Co miała oznaczać jej odmowa? Że już nigdy się nie spotkają? Nie zgodzi się z nim porozmawiać? Czy naprawdę pragnął ją zobaczyć? Czy tylko tak sobie uroił w momencie wzruszenia na widok rozświetlonej Alhambry. Zamknął oczy i westchnął.

„Santiago!” — rozległo się wołanie, które zmaćiło nocną ciszę. Oprzytomniał, słysząc głośnie wrzaski. Nie zastanawiał się dłużej. W dwóch susach dotarł do meczetu i przylgnął plecami do muru, by prześliznąć się do wieży pod osłoną cienia. Zobaczył, że wieża nie miała wyjścia na plac, czyli można się było do niej dostać tylko z wnętrza meczetu. Dalej za wieżą rozciągała się otwarta przestrzeń, gdzie budowano transept i nawę. W świetle ognisk przed pustą ścianą frontową dostrzegł wartowników, którzy patrzyli w drugą stronę, zaabsorbowani tym, co się działo na ulicy Cárcel, skąd dochodziły wrzaski i szcęk broni. Okrążał korpus Turpiany, dopóki nie natrafił na małe wejście ukryte w fundamentach. Było tak ciasne, że musiał wsunąć się bokiem i tak samo wchodził po wewnętrznych schodach o szerokości zaledwie paru piędzi, prowadzących w otchłań granadyjskiej nocy. Wrzaski don Pedra i jego towarzyszy nie ustały, lecz on ich już nie słyszał, całą jego uwagę pochłaniała teraz Alhambra i nocna panorama Grenady. Ileż razy rozlegało się z tego miejsca wezwanie do modlitwy! „Allah jest wielki!” — zawołał ze szkatułką w rękach. Sprawdził w świetle księżycy, który kamień jest bardziej obłuzowany, przygotowany przez robotników do zdjęcia. Znalazł taki, odsunął, pogrzebał w gipsowej zaprawie łączącej ciosy i wsunął do środka szkatułę powleczoną dziegciem, a następnie przyłożył kamień. Po zejściu z wieży przebył z powrotem tę samą drogę do składu jedwabiów, a stamtąd udał się na plac Bibarrambla i do ulicy Cárcel, by położyć kres sfiogowanej kłótni trzech przyjaciół.

# 53

W początkach maja 1588 roku, na kilka dni przed wyruszeniem hiszpańskiej armady z Lizbony na podbój Anglii, Filip II napisał do arcybiskupa Grenady z podziękowaniem za dar w postaci połowy welonu Najświętszej Maryi Panny, który przysłano mu do Escorialu. Jednocześnie wyrażał w imieniu swoich królestw radość z odkrycia bezcennych relikwii. Murarze rozbierający wieżę Turpiana natrafili na ukrytą przez Hernanda szkatułkę i znaleźli w niej zwój pergaminu z podpisem świętego Cecilia, welon Najświętszej Panienki i relikwię świętego Stefana. Grenadę ogarnął religijny ferwor. Było to pierwsze odkrycie długo poszukiwanych śladów świętego Cecilia. Potwierdziło się wreszcie, że przed przybyciem muzułmanów Grenada była tak samo chrześcijańska jak wszystkie inne stolice królestwa. Ta pewność spowodowała wybuch ekstazy i mistycyzmu, podsycany jeszcze przez Kościół. Wiele osób przysięgało, że widziało tajemnicze ognie, widma i różne inne cudowne zjawiska. Katedra Grenady miała swoje relikwie, a wiara ludu mogła się oprzeć na czymś więcej niż słowa!



Aisza zdziwiła się, gdy jeden z dwóch moryskich żebraków zamknął brudną, drżącą dłoń, którą jeszcze przed chwilą wyciągał do ludzi przechodzących ulicą Feria, obok Corbache, i nie przyjął

od niej jałmużny. Stała jak wryta z monetą w palcach, a on splunął jej pod nogi i odwrócił się plecami. Natychmiast otoczyli ją chrześcijańscy żebracy z nadzieją na datek. Aisza się zawahała. Prawo Proroka nakazuje dawać jałmużnę, ale nie chrześcijanom. Gdy zobaczyła, że ten sam człowiek, który pogardził jej pieniądzem, kilka kroków dalej znowu błaga przechodniów o litość, oszołomiona upuściła monetę w czyjaś otwartą dłoń.

Nawet żebracy nią gardzą! Powlokła się do przedzalni Juana Marca. Nazarejka! Niektórzy już tak na nią mówili, gdy rozeszła się w Kordobie wiadomość, że Hernando zdradza swoich braci w wierze i współpracuje z Kościołem w badaniu zbrodni w Alpuharze. Ostatnio sytuacja materialna morysków deportowanych z regionu Grenady uległa znacznej poprawie. Ludzie, którzy jeszcze niedawno wynajmowali się do ciężkiej pracy za głodową dniówkę, teraz pootwierali własne zakłady. Doszli do tego pracowitością, nie próżnowali jak chrześcijanie. Większość rodzin morysków uprawiała dodatkowo kilka zagonów ziemi pod miastem, na brzegach Gwadalkiwiru, uzupełniając w ten sposób swoje dochody. W tej sytuacji kordobańskie cechy wystąpiły do rady miejskiej z wnioskiem o zakazanie nowym chrześcijanom zajmowania się handlem i rzemiosłem. Gdyby ten wniosek rozpatrzono, moryskom pozostawałaby tylko praca najemna, ale rajców Kordoby i innych miast, gdzie działa się podobnie, satysfakcjonowała rodząca się za sprawą morysków konkurencja handlowa. Tymczasem konflikt między starymi i nowymi chrześcijanami narastał coraz bardziej.

Aisza miała czterdzieści siedem lat, czuła się stara i ciężko znosiła samotność. Jedyne dziecko, jaki jej pozostał, okazał się wrogiem wiary, zdrajcą braci. Co stało się z resztą rodziny? — zastanawiała się, wchodząc do jasno oświetlonego zakładu mistrza Juana. Co z Szamirem, Fatimą i dziećmi. Jak im się żyje pod władzą Brahima? Nocami Aisza odpędzała od siebie obraz Fatimy gwałconej przez Brahima, obraz syna i wnuka przykutych do wioseł na galerach, chłostanych za najdrobniejszą przewinę. Odpychała od siebie te



myśli, ale i tak ją napastowały w pół śnie, pół czuwaniu, przemieszane z koszmarnymi majakami. Co z Musą i Aquilem! Wiedziała, że dzieci odebrane moryskom po powstaniu w Alpuharze i przekazane na wychowanie chrześcijańskim rodzinom zostały chrześcijanami albo niewolnikami. Czy jej synowie jeszcze żyją? Podniosła rękę i przetarła przedramieniem zażławione oczy. Ciągłe płacze! Skąd te jej stare, zmęczone oczy biorą tyle łez?

Dobrze zarabiała w tej pracy, owszem. Wiedziała tak samo jak wszyscy, że kryje się za tym Hernando, lecz odkąd usłyszała, że w jej własnym domu ludzie mówią o niej po cichu „nazarejka”, te pieniądze wcale jej nie cieszyły. Przestano się do niej odzywać. Najpierw zauważyła, że znika po trochu żywność, którą kupowała sobie do jedzenia. Nic nie powiedziała. Potem zobaczyła, że w szafce z prowiantami zostało tylko trochę mąki kukurydzianej. Też nic nie powiedziała. W dalszym ciągu kupowała wiktuały, które zjadali sąsiedzi. Pewnego dnia do jej pokoju wprowadziła się rodzina z trójką dzieci. Nic nie mówiła, sama płaciła czynsz jak dotychczas. Bała się, że ją wyrzucą. Gdzie wtedy pójdzie? Kto ją przyjmie? Mimo swoich pieniędzy jest tylko nazarejką, a przecież musi gdzieś mieszkać. Pewnego dnia po powrocie z pracy zastała swoje rzeczy w sieni; w rogu przy drzwiach wejściowych zrobiła sobie miejsce do spania i tak już zostało.

Aisza dotarła na zaplecze przędzalni, gdzie stały cztery krosna do wyrobu tafty. Podeszła do swojego stanowiska pracy przy koszach z jedwabnymi nitkami, które przyniesiono z farbiarni, osobno niebieskie i zielone w różnych odcieniach, złote, czerwone i karminowe, te ostatnie bardzo cenne i poszukiwane, barwione koszenilą — naturalnym barwnikiem uzyskiwanym z pluskwiaków żyjących w dębach zimnolistnych. Aisza musiała te nitki osuszyć, odnaleźć ich końce i przygotować osnowę z pojedynczych nitek jednakowej długości, które rozdzielą i nawijała na żelazne wrzeciono, zabierane następnie przez krośniarki.

Przysunęła sobie taboret i rozcierając dłonią obolałe łędwie, usiadła nad koszem pełnym przędzy. Dlaczego wszechmocny ją opuścił? — pomyślała z żalem, patrząc na kolorowe nitki.



Po drugiej stronie cieśniny oddzielającej Hiszpanię od Berberii, w luksusowym pałacu w medynie Tetuanu Fatima dyktowała list żydowskiemu kupcowi, obiecując mu sporo pieniędzy za napisanie po arabsku i wysłanie go do Kordoby przez zaufanego człowieka, który wróci z odpowiedzią.

— Umiłowany mężu — zaczęła dyktować. Wyczuwało się pewną nerwowość w jej głosie. — Niech pokój i błogosławieństwo wielkodusznego, który sądzi sprawiedliwie...

Fatima przerwała... co powiedzieć komuś, kogo nie widziała się od siedmiu lat? Jak to zrobić? Miała przygotowany cały tekst, wiele razy nad nim myślała, układała go, płacząc i śmiejąc się, ale teraz, w momencie prawdy, zabrakło jej słów. Stary, cierpliwy Żyd podniósł oczy znad kartki i spojrzał na kobietę: była piękna, dumna i wyniosła, twarda i zimna, wymagająca wobec siebie i innych, a mimo to słaba i pełna wątpliwości. Obserwował ją, jak chodziła z kąta w kąt po salonie, wystawała pod łukami wiodącymi na patio i wracała, to podnosiła do ust upięrcienione palce, to znów zaciskała je pod piersiami lub poruszała otwartą dłonią w powietrzu, jakby ten gest miał jej przywrócić utracony chwilowo dar słowa.

— Pani — odezwał się z szacunkiem kupiec odgrywający rolę skryby — czy mogę w czymś pomóc? Co chce pani powiedzieć umiłowanemu?

Czarne oczy Fatimy, błyszczące i lodowate, spoczęły na jego twarzy. To, co chce mu przekazać, nie pasuje do zwykłego listu, zdawały się mówić. Chciała powiedzieć tylko tyle, że Brahim nie żyje i nic już nie grozi Hernandowi w Tetuanie. Nic już nie stoi na przeszkodzie ich szczęściu, więc pragnie go zobaczyć i czeka na niego. A jeśli ożenił się na nowo? Jeśli znalazł szczęście gdzie indziej? Minęło siedem lat...

Siedem lat całkowitego posłuszeństwa i uległości! Fatima stanęła przed starym Żydem, który wciąż ją obserwował, trzymając w ręku pióro.

— To był krzyk — szepnęła, ale gdy starzec umoczył pióro w atramencie, powstrzymała jego dłoń. — Nie, nie pisz tego... Ten krzyk obudził mnie do nowego życia.

Starzec odłożył pióro na biurku i usiadł wygodniej na krześle, dając znak pięknej pani, że jest gotów jej wysłuchać. Wiedział o śmierci Brahima, cały Tetuan wiedział, że korsarz został zamordowany.

— Usłyszałam, jak Szamir krzyczy do Nasiego: „Ty parszywy psie!” — kontynuowała Fatima. — Wtedy zrozumiałam, że siedemnastoletni chłopiec stał się mężczyzną zahartowanym w morskich rejsach, w napadach na statki chrześcijańskie i w wypadach na andaluzyjskie wybrzeże. Stali na patio, właśnie tam — pokazała na cudowną fontannę pośrodku dziedzińca z krążgankami. Woda wytryskiwała z niewidocznego otworu w ziemi, obłożonego kolistą mozaiką z drobnych kolorowych kamyków w geometryczne wzory. — Patrzyłam, jak o dziesięć lat starszy od Szamira Nasi, jeden z najokrutniejszych korsarzy Tetuanu, którego wszyscy się bali, sięga ręką po handzar, by pomścić zniewagę. Zadrżałam. Poczulałam dreszcz strachu, który towarzyszył mi nieustannie, odkąd moja noga stanęła w tym nędznym mieście. Koło Szamira znalazł się raptem mój mały Abdul, a jego niebieskie oczy ciskały błyskawice. Oślepił mnie błysk klingi. Nasi wymachiwał handzarem przed chłopcami. Myślałam, że zemdleję — Fatima umilkła, pograżając się jeszcze mocniej w swoich wspomnieniach; Żyd nie śmiał się poruszyć. Nagle spojrzała na niego: — I wiesz co, Efraimie? Bóg jest wielki. Szamir i Abdul cofnęli się o kilka kroków, ale zamiast uciekać, jak tego pragnęłam, obaj równocześnie wyciągnęli broń i stali tak obok siebie ramieniem w ramię, bez cienia lęku, wyprostowani, z nogami mocno opartymi na posadzce, jakby byli jednym ciałem. Szamir kazał Abdulowi się cofnąć i zostawić go samego. Mój mały synek natychmiast zrobił krok do tyłu i stanął za jego plecami, jakby przeciwiczyli to tysiące razy. „Ty

psie! — Szamir znowu znieważył Nasiego, wysuwając do przodu ostrze handzara. — Śmierzący wieprzku!” — dodał. Zaślepiiony gniewem Nasi zaatakował, rzucił się na chłopca, lecz Szamir odskoczył zwinnie, jak drapieżne zwierzę, podbił broń Nasiego i pchnięcie przeszło bokiem. Pamiętam... pamiętam, że od chrzęstu skrzyżowanych handzarów zawibrowały kolumny na patio. Był to jak gdyby sygnał dla mojego małego Abdula, który okręcił się wokół pleców towarzysza i wytrącił napastnikowi broń z dłoni. Nasi mógł tylko patrzeć bezradnie, jak handzar upada na mozaikową posadzkę. Nim chwila minęła, chłopcy znowu byli na swoich pozycjach, gotowi do ataku, uśmiechnięci. Tak, uśmiechali się dumnie, jakby cały świat leżał u ich stóp! „Jeśli nie chcesz umrzeć jak świnia, podnieś broń i walcz jak prawdziwy muzułmanin”, powiedział Szamir do korsarza.

Fatima zamilkła i błędziła wzrokiem po patio, jakby na nowo przeżywała tę walkę.

— Proszę kontynuować... — szepnął błagalnie Żyd, gdy cisza się przedłużała.

Fatima uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Ten zgiełk zaalarmował mojego męża — podjęła wątek. — Brahim wypadł na patio, by położyć kres walce. Spoliczkował Szamira i Abdula. „Jak śmiecie napastować mojego zastępcę w moim własnym domu?! — krzyknął. — Gówniarze!” — dodał i splunął im pod nogi. Ale ja już widziałam świat u stóp mojego syna i Szamira, świat, na który patrzyli z takim dumnym uśmiechem i pewnością siebie, bo stali się mężczyznami... Z każdym dniem byli dojrzalsi, a ja odzyskiwałam swoją godność i niedługo potem, kiedy wszyscy czworo usiedli do kolacji na poduszkach wokół niskiego stołu, bez broni, wkroczyłam do jadalni i odprawiłam służbę i niewolników. Pamiętam zdziwione spojrzenie Brahima. Nawet nie podejrzewał, co go czeka. „Mam do was niecierpiącą zwłoki sprawę”, powiedziałam z tupetem. Wyjęłam dwa sztylety ukryte pod ubraniem. Rzuciłam jeden Szamirowi, drugi zostawiłam sobie. Nasi zerwał się na nogi, ale Brahim nie był w stanie zareagować i zanurzyłam sztylet w jego piersi, zanim jego zastępcę

mnie powstrzymał. — Fatima spojrzała hardo na starego Żyda i ciągnęła opowieść zimnym, pozbawionym wyrazu głosem: — Szamir na moment znieruchomiał, jakby nie mógł zrozumieć, co się stało, ale zaraz potem doskoczył do Nasiego, grożąc mu sztyletem. Abdul też się na niego rzucił.

Fatima zamilkła, długo się nie odzywała. Kiedy znowu zaczęła mówić, stopniowo sciszała głos aż do szeptu. Starzec obserwował ją spokojnie; jakie jeszcze sekrety kryją się w tych pięknych, czarnych oczach?

— Mój mąż nie umarł od pierwszego ciosu. Jestem tylko słabą, niedoświadczoną kobietą. Ale pchnięcie było na tyle silne, że ból go obezwładnił i nie mógł się bronić. Następnym ciosem zadałam w usta, żeby nie krzyczał. Potem wbiłam sztylet w jego kikut i wwierciłam go aż do łokcia. Długo umierał. Bardzo długo... Błagał o litość. Patrzyłam, jak uchodzi z niego życie, i wspominałam swoje cierpienia. Nie oderwałam od niego oczu, dopóki nie wydał ostatniego tchnienia. Wykrwawił się na śmierć jak tłusty wieprz.



— Matko! Co ty zrobiłaś? — zawołał Abdul.

Patrzył szeroko otwartymi oczami na leżącego na poduszkach Brahima, który podniósł lewą rękę do rany na piersi, krew tryskała strumieniami z jego ciała.

Fatima nic nie rzekła. Gestem dłoni nakazała im milczenie, dopóki Brahim nie skonał na wykwintnych kobiercach przykrywających podłogę w salonie.

— Szamirze — powiedziała twardo, kiedy jej znenawidzony mąż wyzionął ducha — od dziś ty jesteś głową rodziny. Wszystko należy do ciebie.

Młodzieniec stał z tyłu za Nasim, ze sztyletem przyłożonym do jego szyi, i nie był w stanie oderwać oczu od swojego ojca. Natomiast Abdul przesuwiał niespokojnie wzrokiem od Brahima do Szamira, wstrzymując oddech.

— Nie był dobrym człowiekiem — dodała Fatima, gdy mil-

czenie Szamira się przedłużało. — Zniszczył życie twojej matki, moje życie, wasze...

Młodzieniec zareagował dopiero na wzmiankę o Aiszy.

— Co teraz zrobimy? — zapytał, naciskając ostrzem sztyletu szyję Nasiego, jakby zastępca miał podzielić los swojego pana.

— Wy dwaj — Fatima zwróciła się do Szamira i Abdula — weźmiecie skarby Brahima i ukryjecie się w porcie z waszymi ludźmi i łodziami gotowymi do wypłynięcia. Czekać na moje instrukcje. Ty — dodała, podchodząc do zastępcy — udasz się natychmiast do domu gubernatora Muhammada an-Naksisa i powiesz, że Szamir, syn korsarza Brahima z Juviles, a obecnie głowa rodziny, przysięga mu lojalność i oddaje do dyspozycji siebie, wszystkie swoje łodzie i swoich ludzi.

— A jeśli się nie zgodzę? — warknął Nasi.

— Zabij go! — rzuciła Fatima, stając do niego plecami.

Zaskoczył ją dźwięk stali przecinającej szyję korsarza. Spodziewała się raczej jego błagań, ale Szamir nie dał mu żadnej szansy. Fatima odwróciła się w momencie, gdy Nasi runął na podłogę.

— Nie był dobrym człowiekiem — powiedział krótko Szamir.

— W porządku — oświadczyła Fatima — ale to niczego nie zmienia. Róbcie, co powiedziałam.



O świcie Szamir i Abdul wyruszyli do portu, zabierając złoto, klejnoty i dokumenty Brahima. Fatima kazała niewolnikom posprzątać w pokoju stołowym i zająć się trupami. Jeszcze tej samej nocy udała się do skrzydła pałacowego, w którym mieszkała druga żona Brahima, odsunięta przez niego na dalszy plan, i bez wdawania się w szczegóły powiadomiła ją o śmierci męża. Zaznaczyła od razu, że Szamir przejął obowiązki głowy rodziny. Tamta kobieta spuściła oczy i milczała. Wiedziała, że jej los zależy od szczodrości młodzieńca, który kochał Fatimę jak własną matkę.

Rano Fatima ubrała się do wyjścia i skierowała się do domu Muhammada an-Naksisa. W XVI wieku Tetuan należał do króles-

twą Fezu, które potem przeszło pod władzę Maroka. Po okresie niepodległości miasto znowu zostało podbite. Władza centralna była słaba. Do pałacu Brahima ciągle dochodziły pogłoski, że ród An-Naksis zamierza ogłosić swą niezależność. Brahim był zaniepokojony i zły, iż jego wrogowie w interesach mogą przejąć kontrolę nad miastem. Gubernator przyjął Fatimę, mimo że była kobietą. Rodzina An-Naksis pozostawała skłócona z Brahimem o podział wpływów, toteż Muhammada zdziwiła i zaintrygowała ta wizyta.

— Co z Brahimem? — zapytał, gdy Fatima złożyła mu przysięgę na wierność w imieniu Szamira.

— Nie żyje.

Gubernator zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, nie kryjąc podziwu. Miał przed sobą najpiękniejszą, a teraz też najbogatszą kobietę w całym Tetuanie.

— A jego zastępca? — zapytał, zastanawiając się, co zrobić z tą pierwszą odpowiedzią.

— Też umarł — odparła Fatima mocnym głosem, choć oczy miała spuszczone, jak przystało na uległą muzułmankę.

— Nie żyje — rzekł gubernator. — I to wszystko? A co ty miałaś wspólnego z tymi dwoma zgonami?

Popatrzył na Fatimę z pewnym szacunkiem. Znowu zabrała głos, mówiła krótko i bez ogródek. Postanowił nie zadawać więcej pytań i przyjąć pomoc szczodrej wdowy, która składała mu ofertę, aby otrzymać w zamian niezależność.

Następnego dnia, w otoczeniu płaczek w zgrzebnych strojach z twarzami umazanymi sadzą, Fatima wysłuchiwała poematów i pieśni na cześć zmarłych. Po każdym wierszu i każdej pieśni kobiety krzyczały, szarpały paznokciami piersi i policzki, rozdrapując je do krwi, i wrywały sobie włosy z głowy. Te obrzędy pogrzebowe trwały siedem dni.



Stary Żyd podniósł oczy i napotkał spojrzenie Fatimy. Oboje wiedzieli, że słowa, jakie tu padły, nigdy i nigdzie nie zostaną

powtórzone. On już dawno nauczył się patrzeć, słuchać i milczeć. Jego lud przeżył i wzbogacił się dzięki cnotcie dyskrecji, zwłaszcza że ta dyskrecja bywa sownie nagradzana.

— Pani... — mruknął Efraim, pokazując na białą kartkę.

Fatima westchnęła. Tak... już pora. Mocnym, zdecydowanym głosem zaczęła dyktować:

— Umiłowany mężu. Pokój i błogosławieństwo Miłosiernego, który sądzić będzie w dniu ostatecznym, niech będą z Tobą.



*Bóg dmuchnął i rozproszył ich.*

Dewiza, którą kazała wypisać  
Elżbieta I, królowa Anglii

Po dwumiesięcznym postoju w porcie La Coruña, pomimo prowadzenia rozmów pokojowych i działań przeciwnych temu przedsięwzięciu, Niezwyciężona Armada wypłynęła ostatecznie na podbój Anglii pod dowództwem diuka de Medina Sidonia, który zastąpił na tym stanowisku zmarłego nagle markiza Santa Cruz.

Don Alfonso de Córdoba wraz z pierworodnym synem płynął na jednym z okrętów admiralskich. Na wyprawę zabrał dwudziestu służących z kamerdynerem José Caro na czele i dziesiątki kufrów załadowanych strojami, książkami i dwoma kompletami zastawy stołowej.

Wkrótce zaczęły docierać do Hiszpanii wiadomości na temat floty, ale nie takie, jakich można by się spodziewać po miłosierdziu Boga, dla którego prowadzili wojnę z Anglią. Armada zamierzała połączyć swoje siły z pułkami piechoty księcia Parmy, zabrać je na pokład w Dunkierce i dokonać inwazji na Anglię. Tymczasem w Calais, ledwie dwadzieścia pięć mil od miejsca, gdzie stacjonowały wojska księcia Parmy, okazało się, że Holendrzy blokują zatokę Dunkierki. Książę nie miał jak ominąć blokady i nie zdołał zaokrętować swoich żołnierzy. Wykorzystał to angielski admirał

lord Howard i postanowił wysłać brandery na nieprzyjacielską flotę sfłoczoną na niewielkiej przestrzeni w Calais.

W nocy siódmego sierpnia Hiszpanie zobaczyli, że od floty angielskiej odłączyło się osiem płonących jednostek bez załogi i płyną z wiatrem w ich stronę. Dwie z tych „piekielnych zapalniczek” udało się im zepchnąć z kursu za pomocą długich kijów. Sześć pozostałych wtargnęło między hiszpańskie okręty; rozległ się huk wystrzałów, pożar szerzył się gwałtownie. W tej sytuacji dowódcom okrętów nie pozostało nic innego, jak przeciąć liny cumownicze i uciekać w popłochu. Stosowany do tej pory przez armadę szyk półksiężycy uległ załamaniu. Anglicy zaatakowali, widząc, że nieprzyjaciel nie może odtworzyć swojej tradycyjnej i bezpiecznej formacji bojowej. Rozegrała się krwawa walka, po której wiatr zepchnął Hiszpanów na północ kanału La Manche. Diuk de Medina Sidonia kilkakrotnie próbował zawrócić i podpłynąć jak najbliżej wybrzeży Flandrii, lecz przeszkodziły mu w tym warunki atmosferyczne. Anglicy poprzestali na obserwowaniu manewrów wroga.

Kilka dni potem hiszpański admirał rozkazał wyrzucić za burtę wszystkie zwierzęta, jakie mieli na pokładzie. Sytuacja była dramatyczna: brakowało wody do picia, żywność gniła w beczkach zrobionych z kiepskich klepek i obręczy, którymi naprędce łątano szkody wyrządzone przez Drake’a rok wcześniej. Uszkodzone okręty z załogą zdziesiątkowaną przez tyfus i szkorbut obrały kurs na Hiszpanię, kierując się na północ, gdzie musiały okrążyć niegościnnie wybrzeże irlandzkie.

Dwudziestego pierwszego września okręt diuka de Medina Sidonia, opasany wielkimi powrozami niczym makabryczny prezent, żeby nie rozpadł się do końca, z admirałem konającym na pryczy zawinął do Santander razem z ośmioma galeonami. Ze stu trzydziestu jednostek wchodzących w skład Niezwyciężonej Armady tylko trzydzieści pięć wróciło do różnych portów. Z pozostałych część poszła na dno podczas bitwy na kanale La Manche, sporo rozbiło się u wybrzeży irlandzkich z powodu silnych sztormów (całe zachodnie wybrzeże irlandzkie usiane było wrakami statków),

inne poginęły bez wieści. Jakiś czas potem przybył do Kordoby kurier z wiadomością, iż okręt, na którym płynął don Alfonso z synem, nie zawinął do żadnego portu.

Doña Lucía zarządziła, by wszyscy mieszkańcy pałacu, hidalgowie, słudzy i niewolnicy, a także Hernando, uczestniczyli codziennie w trzech mszach w intencji zaginionych, które ksiądz odprawiał w kaplicy pałacowej. Resztę dnia wypełniał różaniec odmawiany co godzina przez hidalgów i duchessę w salonie przy zasłoniętych oknach. Obowiązywał ścisły post, zakazano lektury, tańców i muzyki, nikt nie śmiał wyjść z pałacu nawet do kościoła czy na procesje błagalne, które odbywały się w całej Hiszpanii, odkąd rozeszła się wieść o klęsce armady i zaginięciu wielu okrętów z załogami.

— *Maria, Mater Gratiae, Mater Misericordiae...*

Wszyscy na klęczkach odmawiali różaniec za duchessą. Hernando mechanicznie powtarzał niekończące się zdrowaśki, lecz z boku, z przodu i z tyłu słyszał głosy dumnych, wyniosłych dworaków, którzy modlili się prawdziwie. Widział na ich twarzach troskę i niepokój: los tych ludzi zależał od życia i szczodrości don Alfonsa, a jeśli on nie wróci...

— Niech kuzynka się nie martwi — powiedział pewnego razu don Sancho, gdy zasiedli do obiadu przy skromnie zastawionym stole: czarny chleb i ryba bez wina, i bez wykwintnych potraw, które zazwyczaj podawano w pałacu. — Jeśli wasz mąż i syn pierworodny wpadli w ręce Anglików u wybrzeży irlandzkich, nic im nie grozi. Porywacze zapewnią im godziwe warunki przetrwania, ponieważ wiedzą, że dostaną wysoki okup. Trzeba zaufać Bogu, kuzynko. Mąż i syn powrócą z niewoli cali i zdrowi. Takie jest prawo honoru, prawo wojny.

Po tych słowach starego hidalga w oczach duchessy zabłysła nadzieja, ale w miarę napływu nowych wiadomości coraz częściej pojawiały się w nich łzy. Sir William FitzWilliam, kapitan generalny angielskich wojsk okupacyjnych w Irlandii, miał jedynie siedmuset pięćdziesięciu żołnierzy do obrony wyspy przed tubylcami, którzy wciąż wszczynali bunt. Nie mógł zajmować się na dodatek

wielką liczbą żołnierzy nieprzyjaciela. Wydał krótki rozkaz: zabić natychmiast każdego Hiszpana, który znajdzie się na terytorium irlandzkim, czy to szlachcic, czy żołnierz, czy sługa, czy zwykły galernik.

Szpiedzy Filipa II i żołnierze, którym dzięki pomocy irlandzkich panów udało się uciec przez Szkocję, opowiadali o straszliwych zbrodniach na Hiszpanach. Anglicy zabijali wszystkich bez cienia współczucia, nie mówiąc już o rycerskości; nawet tych, którzy się poddawali.

Hernando martwił się o człowieka, który obdarzył go swoją przyjaźnią, ale niepokoił się również o własną przyszłość. Stosunki z duchessą pogorszyły się jeszcze bardziej od czasu, gdy dowiedziała się o jego romansie z Isabel. Podobnie jak don Sancho doña Lucía przestała się do niego odzywać, traktowała go jak powietrze. Hernando czuł, że toleruje go tylko ze względu na męża i najchętniej by się go pozbyła. Być może w innych okolicznościach nie przejąłby się tym tak bardzo — miał dość hipokryzji i próżniaczego trybu życia — jednakże przyjaźń diuka, dostęp do wielu książek z jego biblioteki, jak również możliwość pełnego zaangażowania się w sprawę morysków na fali niebywałego odkrycia zwoju pergaminu w wieży Turpiana to było coś, z czego nie chciał i nie mógł zrezygnować nawet za cenę zniewag, jakich nie szczędzono mu w pałacu. Jak było do przewidzenia, kapituła katedralna zleciła przetłumaczenie pergaminu Lunie i Castillowi. Tymczasem Hernando odkrył właściwy sposób ostrzenia trzciny, pozwalający uzyskać owo szczególne wygięcie na prawo. Spod jego ręki, jakby sam Bóg ją prowadził, wychodziły na papierze najcudowniejsze litery, o jakich wcześniej nie mógł nawet pomarzyć.



We wrześniu tego samego roku, podczas gdy cała Hiszpania wraz z królem opłakiwała klęskę Niezwycięzonej Armady, młody Żyd z Tetuanu przybył do Kordoby z karawaną, do której dołączył w Sewilli. Miał przy sobie fałszywe dokumenty przedstawiające go jako handlarza olejem z Malagi.

Po uiszczeniu opłat wjazdowych w wieży Calahorra przeszedł pieszo przez rzymski most razem z mułami, wpatrzony w wielką budowlę za mostem i bramą wejściową do miasta. Przypomnił sobie słowa ojca.

— Z mostu zobaczysz wielki meczet przebudowywany przez chrześcijan na ich katedrę — opowiadał Efraín przed wyjazdem, powtarzając wskazówki Fatimy po hiszpańsku, żeby syn odświeżył sobie ten język używany tylko w rozmowach handlowych z pojawiającymi się w Tetuanie chrześcijanami. I tak się stało!

Syn Efraína, noszący takie samo imię jak ojciec, zwolnił kroku na widok monumentalnej struktury wystającej z niskiego dachu meczetu; majestatyczna konstrukcja łuków przyporowych czekała na zwieńczenie cyborium i kopułą.

— Przy głównej fasadzie katedry po drugiej stronie rzeki, tam gdzie dzwonnica — wyjaśniał ojciec — znajdziesz ulicę, która wznosi się aż do Deanes i dalej do Barberos, a potem przechodzi w Almanzor...

Głos starego Żyda zadrżał.

— Co ci jest, ojcze? — zmartwił się Efraín, kładąc dłoń na jego ramieniu.

— Tam gdzie masz się udać — odchrząknął — dawniej była żydowska dzielnica Kordoby. Chrześcijanie wypędzili nas stamtąd niecałe sto lat temu. — Głos starca zadrżał na nowo. Wysłuchał cierpliwie, kiedy Fatima tłumaczyła, jak dojść do domu z fontanną na patio. Tyle razy słyszał o tych ulicach z ust swojego dziadka! — Tam są nasze rodzinne korzenie, synu, napatrz się, nawdychaj i przynieś mi trochę tej atmosfery!



Kobieta stojąca w progu domu nie miała nic do powiedzenia o Hernandezie Ruizie, nowym chrześcijanie z Juviles, dla którego niósł list pod koszulą. Co więcej, kazała mu się wynosić, gdy zapytał, czy mieszkała tu kiedyś rodzina morysków.

— Żaden heretyk nigdy nie przekroczył progu tego domu! — krzyknęła i z trzaskiem zamknęła drzwi.

„Jeśli tam go nie znajdziesz — tłumaczył ojciec — udaj się do stajni królewskich. Pani Fatima twierdzi, że tam na pewno się czegoś dowiesz”. Efraín spytał o drogę, cofnął się, przeszedł obok alkazaru, siedziby trybunału Świętego Oficjum, i znalazł stadninę.

— Nie wiem, o kim mówisz — odpowiedział chłopak, na którego trafił zaraz za bramą — ale popytaj w kuźni. Jerónimo pracuje tu od wielu lat i na pewno zna tego moryska.

Za pomieszczeniami administracyjnymi i halą z boksami był maneż centralny, na którym jeźdźcy ujeżdżali źrebięta. Efraín przystanął na chwilę. Jakże inne są te zwierzęta od małych koni arabskich z jego kraju! Zawołał na niego chłopak, z którym rozmawiał przy bramie, i kazał mu iść dalej do kuźni. Dlaczego ów Jerónimo musi coś wiedzieć o nowym chrześcijaństwie? — zastanawiał się po drodze. Zrozumiał, kiedy zobaczył ciemną karnację i arabskie rysy kowala, który przyjął go życzliwie, ale przestał się uśmiechać, gdy poznał powód wizyty.

— Czego chcesz od Hernanda? — warknął.

Efraína zdziwiła ta podejrzliwość. Między kowadłami, pale-niskiem, narzędziami i sztabami żelaza kowal wyprostował się na całą wysokość, ciężko oddychając przez kartoflowaty nos.

— Znasz go? — zapytał rzeczowo młodzieniec.

Na twarzy kowala odbiło się wahanie.

— Tak — przyznał.

— Wiesz, gdzie mogę go spotkać?

Jerónimo zrobił krok w jego stronę.

— Po co ci on?

— To moja sprawa. Pytam tylko, czy wiesz, gdzie mogę spotkać tego Hernanda. Jeśli wiesz i chcesz mi to powiedzieć, to dobrze. A jak nie, sam sobie poradzę i nie będę ci przeszkadzał.

— Nic o nim nie wiem.

— Dziękuję — rzekł Efraín, przekonany, że Arab go oszukał. Dlaczego?

Kowal nie zamierzał udzielić żadnych informacji o Hernandzie, ale pragnął poznać cel wizyty młodzieńca.

— Wiem, gdzie możesz spotkać jego matkę! — zawołał.

Efraín się zatrzymał. „Pani Fatima życzy sobie, by list został doręczony Hernandowi lub jego matce. Nosi imię Aisza. Nikomu innemu nie wolno ci go dać” — przestrzegął ojciec.



Co się dzieje z tą rodziną? — zastanawiał się Efraín, stojąc przed domem Aiszy w wąskiej uliczce dzielnicy Santiago na drugim końcu miasta. Był przeświadczony, że Jerónimo go oszukał, widział to po jego ciemnych oczach. Zapytał o Aiszę kobiety, które przesadzały kwiaty na patio; popatrzyły na niego z niechęcią. Efraín był silnym młodzieńcem, może nie tak jak kowal, ale z pewnością silniejszym od moryska, który przybył na wezwanie kobiet. Był też zmęczony. Miał za sobą długą pieszą wędrówkę z portu w Sewilli, gdzie opuścił pokład portugalskiego statku, na który wsiadł w Ceucie, od rana chodził po mieście, szukając niejakiego Hernanda Ruiza lub jego matki, ryzykował, że z pierwszego lepszego powodu zostanie zatrzymany i wyjdzie na jaw to, że jest Żydem albo że sfalszował dokumenty, podając się za handlarza olejem.

— Dlaczego szukasz Aiszy? — spytał gwałtownie morysk.

Dość tego! Efraín stracił cierpliwość i marszcząc czoło, chwycił za głównię zawieszoną u pasa sztyletu. Morysk nie spuszczał oczu z jego ręki.

— Nie twoja sprawa — odparł Efraín. — Mieszka tu? — Morysk się zawahał. — Mieszka tu czy nie? — wybuchł Efraín, gotów wyciągnąć sztylet z pochwy.

Mieszkała. Jej legowisko było o parę kroków dalej w tej samej sieni, gdzie teraz rozmawiali. Morysk pokazał brodą na kąt ze zmiętym kocem. Jeszcze nie wróciła z pracy w tkalni.

Efraín zaczekał w uliczce koło domu. Chwilę potem coś mu powiedziało, że przygarbiona kobieta nadchodząca powoli w jego stronę, ze wzrokiem wbitym w ziemię, w za dużym ubraniu, które na niej wisiało, jest tą osobą, której szuka.

— Aisza? — spytał, kiedy przechodziła obok. Przytaknęła i podniosła na niego smutne oczy podkrążone sinymi podków-

kami. — Pokój z tobą — pozdrowił ją Efraín. Zdawała się zaskoczona tą uprzejmością. Młody Żyd zobaczył w niej ranne, bezbronne zwierzę. Co tu się dzieje? — Nazywam się Efraín i przybywam z Tetuanu... — szepnął, podchodząc bliżej.

Aisza zareagowała na jego słowa z niesłychaną energią.

— Ciszej! — upomniała i pokazała na dom. Odwracając się, Efraín dostrzegł kilka par oczu uważnie w niego wpatrzonych.

Nie mówiąc ani słowa, Aisza skierowała się nad rzekę. Efraín poszedł za nią, usiłując dopasować swój krok do powolnego chodu kobiety.

— Przybywam... — odezwał się, kiedy byli już daleko od domu, lecz Aisza na nowo uciszyła go gestem dłoni.

Dotarli nad Gwadalkiwir od strony bramy Martos, obok młynu należącego do kalatrawensów. Aisza zatrzymała się na brzegu rzeki.

— Masz wieści od Fatimy? — spytała zdławionym głosem.

— Mam...

— Wiesz coś o moim synu Szamirze? — przerwała, nie dając mu dokończyć.

Efraín dostrzegł słaby blask w zgaszonych oczach.

— Czuje się dobrze. — Przed wyjazdem ojciec wyjaśnił mu sytuację. — Ale niewiele o nim wiem — dodał. — Mam tu list od pani Fatimy. Adresowany do twojego syna, ale możesz go przeczytać.

Pogrzebał pod ubraniem.

— Nie umiem czytać — zaznaczyła Aisza.

Młodzieniec stał z listem w ręku.

— Daj synowi, żeby przeczytał — zaproponował, wyciągając rękę, żeby wzięła list.

Aisza uśmiechnęła się smutno. Jak ma powiedzieć synowi, że go oszukała i że Fatima, Francisco i Inés żyją?

— Ty przeczytaj.

Efraín się zawahał. „Hernandowi lub jego matce”, tak miał przykazane. Rozmawiali na tle szumu wody i hałasu młyńskich kamieni mielących ziarna.

— Zgoda — ustąpił i zdrapał zalakowaną pieczęć. — Umiło-



wany mężu — zaczął czytać. — Pokój i błogosławieństwo Miłosiernego, który sądzić będzie w dniu ostatecznym, niech będzie z Tobą...

Słońce chyliło się ku zachodowi, obrysowując dwie sylwetki na brzegu rzeki. Efraim skupiony na lekturze nie mógł dostrzec uśmiechu na twarzy Aiszy w momencie, gdy czytał o śmierci Brahima, o tym, że wykrwawił się jak wieprzek. Młody Żyd musiał parę razy odchrząknąć, żeby przeczytać o morderstwie bardzo dokładnie opisanym znajomym charakterem pisma jego ojca.

Twój syn jest zdrowy — czytał dalej list do Hernanda. — Wyrósł na inteligentnego mężczyznę. Został kaperem, organizuje wyprawy przeciwko chrześcijanom. Co słyhać u Twojej matki? Wierzę, iż siła i odwaga, jakie wykazała, udzielając mi pomocy i wsparcia, pomogły jej przetrwać wszystkie próby, które Bóg na nas zesłał. Powiedz jej, że Szamir stał się bogaty i potężny po śmierci swojego przekłętego ojca. Dumni i odważni młodzi mężczyźni prują morskie fale w imię Boga Jedynego, Prawdziwego, Niewzruszonego, który daje życie i sprowadza śmierć. Na pohybel chrześcijanom, którzy tyle złego nam wyrządzili. Inés rośnie zdrowo. Umiłowany mężu, nie wiem, co usłyszałeś od matki o porwaniu Twojego syna, córki i Twojej niewolnicy, za jaką się uważam. Przypuszczam, że zapewniła Cię o naszej śmierci, bo inaczej już dawno byś po nas przyjechał. Chłopcy nie wiedzą, co myśleć, długo na Ciebie czekali. Wahałam się, czy im powiedzieć, ale doszłam do wniosku, że trzeba zostawić dzieciom trochę nadziei, skoro los potraktował je tak okrutnie. Dziś już za późno na wyjaśnienia. Zresztą sam im to powiesz i na pewno Ci wybaczą, tak jak Ty wybaczysz swojej matce, mam taką nadzieję. To ja prosiłam, żeby Ci nie mówiła, co się stało. Żebyś nie szukał nas w tym gnieździe korsarzy, w którym Brahim czekał ze swoim wojskiem, gotów Cię zabić.

Efraín przerwał lekturę, słysząc szlochanie Aiszy. Odwrócił wzrok w inną stronę, wstrząśnięty objawami bólu, którego nawet nie starała się ukryć.

— Czytaj dalej — poprosiła kobieta drżącym głosem.

Hernando, straciliśmy wiele nocy, musimy to nadrobić — kontynuował Żyd. — Tetuan jest naszym rajem. Tu możemy żyć bez problemów, wyznawać prawdziwą wiarę, nie ukrywając się przed niczym i przed nikim. Być może zawarłeś nowe małżeństwo. To byłoby zrozumiałe i nie robię Ci wyrzutów. W takim razie przybywaj ze swoją nową żoną i dziećmi, jeśli je masz. Jestem pewna, że Twoja żona, jako dobra muzułmanka, zrozumie i zaakceptuje tę sytuację. Zabierz z sobą Aiszę, Szamir jej potrzebuje. Wszyscy jej potrzebujemy! Niech Bóg prowadzi szczęśliwie posłańca z listem, a Ciebie zachowa w zdrowiu i przywiedzie w ramiona moje i dzieci.

Aisza milczała przez dłuższą chwilę, błędząc wzrokiem po ciemniejących wodach Gwadalkiwiru.

— To wszystko — powiedział Efraín.

— I co, czekasz na odpowiedź? — zapytała ostro.

— Tak — zająknął się Efraín zdziwiony jej postawą. — Tak mi przykazano.

— Nie umiem pisać...

— Twój syn...

— Mój syn już nie pisze po arabsku! — odparła Aisza tonem pełnym urazy. — Zapamiętaj dobrze, co ci powiem, i powtórz to Fatimie: mężczyzna, którego kochała, już nie istnieje. Hernando porzucił prawdziwą wiarę, zdradził swój lud, nikt z naszych nie odzywa się do niego i nie darzy go szacunkiem. Jego nazarejska krew wzięła nad nim górę. W Alpuharze pomagał chrześcijanom i po kryjomu uratował paru nędznikom życie. Teraz mieszka w pałacu szlachcica, jednego z tych, co tylu naszych braci zabili. Tam spędza czas na rozrywkach i próżnowaniu tak samo jak oni.

Zamiast kopiować Koran i prorocstwa, pracuje dla biskupa Grenady na chwałę chrześcijańskich męczenników z Alpuhary, którzy nas okradali i znieważali...

Aisza umilkła. Efraín widział, że się trzęsie, że smutne oczy ciskają błyskawice, i z trudem powstrzymuje łzy.

— Hernando już nie jest moim synem. Stał się niegodny ciebie i moich wnuków — szeptała. — Mówi ci to Aisza, która go poczęła z gwałtu, nosiła pod sercem i urodziła w bólach... a teraz cierpi jeszcze bardziej. Fatimo, moja kochana Fatimo, niech pokój będzie z tobą i twoimi najbliższymi. — Aisza wyrwała list z rąk młodzieńca, podarła na kawałki i wrzuciła do rzeki. — Zapamiętasz? — spytała, nie odwracając się do niego.

— Tak. — Efraín ledwie mógł wypowiedzieć to krótkie słowo, z trudem przełykał ślinę. — A ty co zrobisz? W liście była mowa...

— Nie mam już sił. Bóg nie może ode mnie żądać, bym wyruszyła w tak daleką drogę. Wracaj do siebie i przekaz Fatimie, co powiedziałam. Niech Bóg cię prowadzi.

Następnie obróciła się lekko i bez jednego spojrzenia odeszła powolnym, ociężałym krokiem tą samą drogą, którą przebył Hernando w dniu, gdy wody Gwadalkiwiru pochłoneły Hamida.



Na krótko przed osiemnastym października, dniem świętego Łukasza, strażnicy Kordoby rozwieszali na mieście afisze z zapowiedzią zbiorowych modłów o powrót okrętów armady, które zaginęły bez wieści. Brakowało siedemdziesięciu jednostek! Jednocześnie w najbardziej uczęszczanych miejscach odczytywano obwieszczenie rady miejskiej wzywające wszystkich mieszkańców do udziału w procesji po wypowiedaniu się i przyjęciu komunii. Każdy powinien przynieść z sobą krzyż, dyscyplinę i świece. Orszak miał wyruszyć spod bram katedry o pierwszej po południu, toteż przez cały ranek kordobańczycy przystępowali do spowiedzi i komunii tak tłumnie jak w Wielki Czwartek.

W pałacu diuka de Monterreal doña Lucía była gotowa do wyjścia z córkami i młodszym synem, wszyscy w czarnych,

żałobnych strojach, z gromnicami w rękach. Hidalgowie i Hernando, też na czarno, zaopatrzeni w pochodnie, żeby oświetlać drogę procesji, gromadzili się w salonie duchessy w oczekiwaniu na bicie wszystkich dzwonów w mieście. Biskup polecił dzwonić nawet w klasztorach i rozsianych w górach eremach. Doña Lucía siedziała blada między dziećmi, mamrocząc modlitwy i przesuważąc paciorki różańca. Reszta zebranych stała w pełnym napięciu milczeniu. Wtedy pojawił się don Esteban, bosy i nagi od pasa w górę, w samych spodniach, z wielkim drewnianym krzyżem na zdrowym ramieniu. Przywitał się z duchessą lekkim skinieniem głowy. Stary ułomny sierżant miał silne jeszcze ciało, poznaczone bliznami, niektóre stanowiły zwykłe kreski na skórze, źle zszyte i różnej grubości, inne, jak blizna zaczynająca się na lewym ramieniu, przecinały głęboką bruzdą całe plecy. W odpowiedzi na pozdrowienie sierżanta doña Lucía zacisnęła cienkie wargi i oczy jej zwilgotniały. Jeden z hidalgów wyszedł natychmiast z salonu, żeby poszukać krzyża na procesję. Pozostali popatrzyli na siebie i poszli za jego przykładem.

— Modłać się do Boga, możesz znów uratować życie diukowi. — Don Sancho odezwał się do Hernanda po raz pierwszy od długiego czasu. — Chyba że chcesz, aby umarł?

Czy pragnął śmierci diuka? Nie. Hernando przypomniał sobie dni w namiocie Barraksa i ucieczkę. Don Alfonso to chrześcijanin, ale też jego przyjaciel, prawdopodobnie jedyny, jakiego ma w Kordobie. Czyż on sam, Hernando, nie broni istnienia jedynego Boga, Boga Abrahama? Wyszedł za hidalgiem gotów odbyć pokutę w intencji don Alfonsa. Zresztą co to zmieni? Jego bracia w wierze i tak mają go za zdrajcę, odsunęli się od niego z pogardą.

— Gdzie znaleźć drewniany krzyż? — usłyszał słowa hidalga. — Nie mamy czasu na...

— Wystarczą szable, żelazne pręty i zwykła belka na plecach. Ramionami krzyża będą nasze ręce — przerwał idący obok.

— Potrzebny jest również bicz i włosiennica — dodał ktoś inny.

Szabel w pałacu diuka nie brakowało. Hernando przypomniał sobie, że widział w stajni wielki, drewniany krzyż. Chłopiec

stajenny opowiadał mu, że dawniej przybity był do niego Chrystus w ołtarzu pałacowej kaplicy, ale diuk kazał przenieść figurę z brązu na nowy krzyż z drogiego mahoniu sprowadzonego z Kuby, a ten stary wyrzucono do stajni.

Dzień był słoneczny, lecz zimny. Przy biciu wszystkich dzwo-  
nów w mieście i okolicy wielka procesja błagalna wyszła z kor-  
dobańskiej katedry przez bramę Świętej Katarzyny, okrążyła  
świątynię i przeszła pod pomostem łączącym urząd biskupi z kated-  
rą aż do pałacu biskupa, który pobłogosławił ją z balkonu. Procesję  
otwierali *corregidor* i mistrz katedry, za nimi rajcy i ławnicy  
z chorągwiami, następnie Chrystus w feretronie w otoczeniu  
członków kapituły katedralnej, księży i prebendarzy, a dalej mnisi  
z przyodzianymi w paliusz obrazami z przyklasztornych kościołów.  
Ponad dwa tysiące ludzi z zapalonymi świecami bądź pochodniami  
w dłoniach towarzyszyło duchessie, która szła z dziećmi. Szlachta  
prześcigała się w pocieszaniu rodziny diuka.

Procesję zamykało prawie tysiąc pokutników. Hernando obser-  
wował ich, kiedy czekali na sygnał do wymarszu. Podobnie jak on  
prawie wszyscy byli bosi i nadzy do pasa. Jedni dźwigali krzyże na  
ramieniu. Inni dali się przykuć łańcuchami do krzyży w kształcie  
liter X. Niektórzy pokutnicy mieli na sobie włosienicę, kolczaste  
pasy albo okrycie z pokrzyw i dzikiej jeżyny, jeszcze inni poza-  
kładali sobie pętle na szyję i kazali sąsiadom pociągać za sznur.  
Wszyscy się modlili, a szum zbiorowych modłów wdzierał się  
Hernandowi w uszy i napełniał go niepokojącą pustką wewnętrzną.  
Co pomyślą moryskowie, gdy go zobaczą? Może pozostanie  
nierozpoznany wśród tłumu, zresztą jakie to ma znaczenie?

Kordobańczycy padali na kolana przy przejściu procesji, której  
trasa wiodła od kościoła do kościoła i do klasztorów. Jeśli świątynia  
była dość przestronna, wchodzili do środka, witani śpiewem  
chórów. Ludzi było tyle, że czoło procesji wyprzedzało o kilka  
godzin marszu ogon pokutników. W mniejszych świątyniach księża  
wychodzili z obrazami na ulicę, intonując od progu *Miserere*.  
Mniszki śpiewały w ukryciu, nie wychodząc poza klasztorne  
krużganki.

Przebyli już sporą część trasy, ale procesja miała trwać aż do zmroku. Krzyż ciążył Hernandowi coraz bardziej. Dlaczego nie wybrał krzyża w kształcie litery X jak hidalgowie? W ogóle co on tu robi, do diaska, dlaczego zdziera stopy, depta w kałużach błota i krwi, modli się i śpiewa *Miserere*? Stary sierżant pułku piechoty, idący przed nim, zaczepił końcem krzyża o dołek w drodze i zaklinował się. Jedną ręką nie mógł wyciągnąć krzyża, więc pozostał z tyłu, tarasując przejście. Biczownicy mogli go ominąć, lecz ci z krzyżami musieli przystanąć. Podbiegł jakiś młodzieniec, żeby pomóc. Sierżant podziękował uśmiechem. Teraz we dwóch nieśli krzyż. I mnie będą musieli pomóc, pomyślał z niepokojem Hernando, ciągnąc z wysiłkiem ciężkie drzewo krzyża, kiedy ponownie ruszyli. Miał przed sobą jeszcze cały wieczór!

— Zdrowaś, Maryjo, łaskiś pełna, Pan z Tobą... — Hernando dołączył do pomruków.

Zdrowaśka, ojczenasz, skład apostołski, antyfony... nieustający szmer modlitw. Co on tu robi? Śpiew *Miserere*. Tysiące świec, gromnic i pochodni. Kadzidła. Błogosławieństwa. Wszędzie obrazy świętych. Mężczyźni i kobiety klęczą na trasie pochodu, niektórzy w mistycznym porywie wznoszą ramiona do nieba, wołając i błagając. Biczownicy z zakrwawionymi plecami. Nagle poczuł się wśród nich obco... Przecież jest muzułmaninem!



Pobożni parafianie Kordoby dowiadywali się o procesji z afiszów i od heroldów. Co innego moryskowie. Na kilka dnia przed dniem świętego Łukasza proboszczowie, zakrystianie i wikariusze, ławnicy i strażnicy sięgnęli po dokładne spisy nowych chrześcijan i chodzili od domu do domu, nakazując udział w uroczystościach. W dniu świętego Łukasza, tak samo jak w niedzielę, z samego rana stanęli w wejściach do kościołów i z listą obecności w rękę sprawdzali, czy wszyscy przystępują do spowiedzi i komunii. Nikt nie miał prawa pozostać w domu. Mieszkańcy musieli wyjść na trasę procesji, żeby modlić się o powrót okrętów Niezwyciężonej

Armady, które jeszcze nie zawinęły do rodzimych portów. Cała Hiszpania wznosiła błagalne modły w tej intencji!

— Na co czekasz, starucho? — morysk piekarz potrząsał Aiszą, która leżała na podłodze w sieni.

Co chwila ktoś wychodził z domu, by udać się do kościoła, i każdy ją namawiał do wstania, ale Aisza nie reagowała. Nic ją nie obchodziły plugawe okręty chrześcijańskiego króla! Ostatni z wychodzących, stary piekarz, nie ustąpił.

— To procesja nazarejczyków! — krzyknął ze złością, gdy Aisza naciągnęła na siebie koc. — Twoja i twojego syna! Urzędnicy dopilnują, żebyśmy wszyscy tam byli. Chcesz ściągnąć na nas kłopoty? Wstawaj!

Dwaj inni moryskowie z tego samego domu zawrócili z ulicy, słysząc pomstowanie piekarza.

— Co tu się dzieje? — zapytał jeden.

— Nie chce wstać.

— Jeśli nie zgłosi się do spowiedzi, odznaczą to na liście i możemy mieć poważne kłopoty. Urzędnicy zrobią najście na ten dom. Wszyscy to odczujemy.

— To samo jej mówiłem — zaznaczył piekarz.

— Słuchaj, nazarejko — powiedział trzeci, przykucając obok Aiszy — pójdziesz z nami po dobroci, a jak nie, to siłą.

Przywlekli Aiszę do kościoła Świętego Jakuba. Zakrystian wykreślił jej imię z listy na drzwiach świątyni i patrzył podejrzliwie.

— Jest chora — wytłumaczyli młodzi moryskowie.

Nie mogli jednak jej zmusić do pójścia do spowiedzi ani tym bardziej do zjedzenia „ciastka” przy ołtarzu. Całe szczęście, że nikt tego nie zauważył; w kościele panował tłok i harmider, a przed konfesjonalem ciągnęły się długie kolejki. Urzędnicy odnotowali, że zjawiała się w kościele, i to im wystarczyło. Moryskowie z dzielnicy Santiago mieli wyznaczone miejsce na ulicy Sol obok klasztoru Świętego Krzyża. Zaprowadził ich tam strażnik i kazał czekać na procesję. Aisza poszła z innymi, odrętwiała, obojętna na wszystko. Przez kilka godzin stali na ulicy, słuchając bicia dzwo-

nów, dopóki procesja w drodze powrotnej do katedry nie pojawiła się w dzielnicy Santiago od wschodniej pierzei murów.

Aisza z nikim nie rozmawiała. Od dawna do nikogo się nie odzywała, nawet w tkalni zachowywała milczenie, spoglądając przed siebie błędnym wzrokiem, kiedy majster Juan Marco pieklił się z powodu źle skręconych nitek jedwabnych i niewłaściwie dobranych kolorów. Pracowała, myśląc o Fatimie i Szamirze. Fatimie się udało! Latami zносиła w milczeniu upokorzenia, lecz przetrwała i wzięła odwet za doznane krzywdy, a wszystko dzięki wytrwałości i sile woli. Osiągnęła to, o czym Aiszy się nawet nie śniło. A teraz żyje jak w raj! — przypomniała sobie słowa z listu Fatimy.

A ona co zrobiła ze swoim życiem? Jest stara, chora i samotna. Popatrzyła na sąsiadów, stali wokół niej tak, jakby chcieli ją zasłonić. Ciągłe coś jedli. Chleb kukurydziany, słodczyce, ciastka migdałowe i pączki, które przynieśli z sobą. Nikt jej nie poczęstował, a nawet gdyby, to i tak nie mogłaby zjeść. Brakowało jej zębów, włosy wypadły garściami. Żywiła się resztkami suchego chleba, który zostawiali dla niej w sieni co wieczór. Czym tak strasznie zgrzeszyła, że Bóg karze ją w ten sposób? Hernando zdradził muzułmanów, Szamir był daleko u Berberów, a reszta jej dzieci... zamordowane lub sprzedane w niewolę. Dlaczego, Boże? Dlaczego ona jeszcze żyje? Pragnęła śmierci! Przyzywała ją każdej nocy, kiedy kładła się na zimnej, twardej posadzce w sieni, ale śmierć nie nadchodziła. Bóg nie chciał uwolnić jej od nieszczęść.

Zabolały ją nogi w momencie, gdy feretron z Chrystusem przechodził obok. Moryskowie ugięli kolana. Ktoś pociągnął ją za spódnicę, by zrobiła to samo, ale nie ustąpiła. Stała w milczeniu, nie modląc się, skurczona staruszka między klęczącymi mężczyznami. Po jakimś czasie ukazali się pokutnicy. Mieli za sobą długą drogę przez miasto, wielu z nich padało pod ciężarem krzyża, ludzie musieli im pomagać. Hernando jeszcze się trzymał, lecz sierżant idący obok niego zostawił krzyż zaraz za Corredera i teraz kroczył z pochyloną głową wśród pokutników, uwolniony od ciężaru, który wzięli na siebie dwaj młodzieńcy. Ciała biczowników spływały krwią. Takie oznaki męki budziły wielkie poruszenie



wśród gorliwych chrześcijan, którzy wtórowali okrzykom i jękiem bólu wychodzącym z ust pokutników. Mniszki z zakonu Świętego Krzyża zaintonowały *Miserere*, usiłując przekrzyczeć wrzawę, i z tysięcy męskich gardeł popłynęła posepna pieśń.

— *Miserere mei, Deus, secundum magnam misericordiam tuam* — dało się słyszeć na ulicy Sol.

Aisza obojętnie patrzyła na tych nieszczęśników, dopóki w jednym z nich nie rozpoznała swojego syna. Z wykrzywioną z wysiłku twarzą dźwigał ogromny krzyż na nagich, otartych do krwi ramionach, powłóczył nogami — sam wyglądał jak jeden z tych Chrystusów widniejących w kościołach i na ulicznych ołtarzach Kordoby.

— Nie! — krzyknęła, zaciskając pięści. Piekarz odwrócił się w jej stronę i zobaczył, jak nabrzmiewają niebieskie żyły na szyi staruszki, dochodząc prawie do brody. Jej oczy płonęły nienawiścią. — Nie! — krzyknęła znowu. Obejrzał się jakiś morysk, ktoś inny próbował ją uciszyć. Zamieszanie nie uszło uwagi strażnika. Aisza wyrывała się z rąk trzymających ją mężczyzn, jakby nagle odzyskała siły pod wpływem gniewu. — Allah jest wielki, synu! — zawołała. Strażnik ruszył w ich kierunku.

— *Et secundum multitudinem miserationum tuarum, dele iniquitatem meam* — lamentowały mniszki.

Moryskowie odsunęli się do Aiszy.

— Hernando! Fatima żyje! Słyszysz? Twoje dzieci też żyją! Wracaj do nas! Nie ma innego Boga oprócz Boga, a Mahomet jest Jego Proro...!

Nie zdołała dokończyć wyznania wiary. Strażnik rzucił się na nią i uciszył jednym uderzeniem ręki, od którego straciła kilka kolejnych zębów.

Hernando, półprzytomny, oszalały z bólu, powtarzał cicho słowa lamentacji, które słyszał przez cały dzień pośród krzyków i jęków: *Amplius lava me ab iniquitate mea*. I dźwigał dalej krzyż, nie zwracając uwagi na nic innego. Nie zauważył zamieszania wśród morysków. Nawet nie spojrzął w stronę tłumu, który zaczął gromadzić się wokół jego matki.

Pod koniec października król Filip złożył wszystkim biskupom królestwa podziękowania za modły. Nakazał je zakończyć, gdyż uznał za niemożliwe, by po dwóch i pół miesiąca od wypłynięcia armady na wody Atlantyku mógł powrócić jeszcze jakiś statek. Kilka dni potem król osobiście napisał pełen współczucia list do żony jego kuzyna, diuka de Monterreal, granda Hiszpanii, donosząc, iż don Alfonso de Córdoba i jego syn pierwotny zginęli z rąk Anglików u wybrzeży Irlandii, gdzie zatonał ich okręt.

Dwóch marynarzy, którym udało się uciec przy pomocy irlandzkich buntowników i przedostali się najpierw do Szkocji, a potem do Flandrii, opowiedziało o zamordowaniu diuka i jego syna w sposób niepozostawiający cienia wątpliwości. Kiedy okręt się rozbił, don Alfonso i jego ludzie dopłynęli wpław do brzegu i błądzili po irlandzkiej ziemi, aż wpadli w ręce żołnierzy angielskich. Don Alfonso na próżno powoływał się na swoje szlacheckie pochodzenie. Anglicy kazali Hiszpanom rozebrać się do naga i powiesili ich na wzgórzu jak prostych przestępców.

Hernanda nie było w pałacu tego ranka, gdy don Silvestre w obecności wszystkich hidalgów odczytał list, z którym wcześniej zapoznała się doña Lucía. Morysk od dwóch dni chodził do alkazaru królów chrześcijańskich, wyprasząc audiencję u referendarza,

notariusza lub u samego inkwizytora, w nadziei, że któryś z nich go przyjmie. O zatrzymaniu matki przez inkwizycję dowiedział się dopiero dziesięć dni po zdarzeniu. Mistrz tkacki Juan Marco odesłał mu pieniądze wpłacane co miesiąc przez Hernanda, z wiadomością, że Aisza już nie pracuje w tkalni. Terminator, który przyniósł mu pieniądze, dzieciak jeszcze, zawołał ze złością w obecności kilku sług pałacowych:

— Twoja matka wzywała Boga heretyków na procesji błagalnej. — Pieniądze wypadły Hernandowi z rąk i poturlały się po ziemi z dziwnym brzękiem. Poczuł słabość w nogach. Nie widział matki w czasie procesji! To niemożliwe! — Popęlniła świętokradztwo — oświadczył dzieciak, kiedy ucichło brzęczenie monet.

Jeden ze służących skomentował słowa chłopca:

— Zasłużyła na najwyższą z kar przewidzianych przez Święte Oficjum. Stos to za mało dla kogoś, kto bluźni na widok procesji świętej.

Hernando osiągnął w siedzibie inkwizycji tylko tyle, że pozwolili mu płacić za wyżywienie Aiszy, ale nie wiedział, że odmawiała jedzenia. Zgniłe resztki potraw, które wrzucano jej do celi, pozostawały nietknięte.



Don Esteban pierwszy upadł na kolana, kiedy sekretarz skończył czytać list królewski. Don Sancho przeżegnał się parę razy, reszta hidalgów poszła w ślady starego sierżanta piechoty. Potężny głos kapelana wzniosł się nagle ponad beładny szmer modlitw:

— Jakże Chrystus ma wysłuchać naszych próśb i błagań, skoro w tym samym czasie matka człowieka obdarowanego przez don Alfonsa łaskami i przyjaźnią wzywa fałszywego Boga muzulmańskiej sekty?

Doña Lucía zanurzona w fotelu uniosła twarz. Drżał jej podbródek.

— Czy procesja błagalna, podczas której popełnia się świętokradztwo, może mieć jakąś wagę?

Duchessa podniosła zapłakane oczy na hidalga, który wypowiedział te słowa. W jej spojrzeniu była aprobata. W tym samym momencie ktoś rzucił:

— Matka i syn byli współnikami! Widziałem, jak morysk dawał jej znaki...

Od tej chwili cały dwór darmozjadów zaczął pastwić się nad Hernandem.

— Bluźnierstwo!

— Obrazili Boga!

— Dlatego Pan odmówił nam swej łaski.

Oczy duchessy zwięziły się w szparki. Nie pozwoli, by syn bluźnierczyni, która znieważyla procesję błagalną, mieszkał w pałacu i korzystał z przywilejów przyznanych mu przez kogoś, kogo już nie ma!

Wieczorem, kiedy Hernando nieświadom śmierci don Alfonsa wracał przygnębiony z siedziby inkwizycji, gdzie na próżno spędził cały dzień w nadziei, że zostanie przyjęty, sekretarz czekał na niego w bramie pałacu.

— Jutro rano — poinformował go sucho don Silvestre — masz opuścić ten dom. Duchessa tak każe. Nie jesteś godny mieszkać pod jej dachem. Jego Ekscelencja diuk de Monterreal wraz z synem zginęli w obronie katolicyzmu.

Brzęk łańcuchów pętających mu nogi, kiedy ranny don Alfonso ciął żelazo szpadą z toledańskiej stali na brzegu rzeczki w Alpuharrze, rozległ się znowu w głowie Hernanda. Przymknął oczy. Śmierć diuka jest dla niego wyzwoleniem, na które sam by się nie zdobył.

— Przekażcie moje kondolencje duchessie — powiedział.

— Nie sądzę, by to było taktowne — odparł kwaśno sekretarz.

— Mylicie się — zareplikował Hernando. — Może to jedyne szczere kondolencje, jakie otrzyma w tym domu.

— Czyżbyś coś insynuował?

Hernando niedbale machnął ręką.

— Co wolno, a czego nie wolno mi zabrać? — spytał.

— Bierz swoje ubranie. Duchessa nie chce tego widzieć.

Konia...

— Koń z całym wyposażeniem jest mój. Nie muszę nikogo pytać, czy mogę go zabrać — rzekł stanowczo Hernando. — A co do mojego rękopisu...

— Jakiego rękopisu? — spytał złośliwie sekretarz.

Hernando westchnął zniecierpliwiony. Będą go tak upokarzać do końca?

— Dobrze wiecie — odpowiedział. — Mówię o materiałach dla arcybiskupa Grenady.

— Bierz je. Są twoje.

Przykro mu było z powodu śmierci don Alfonsa. Uwierzył w jego rychły powrót. Szczerze cenił diuka, który tyle dla niego zrobił. Przydałaby mu się teraz jego pomoc. Mógłby osobiście zwrócić się w tej sprawie do Świętego Oficjum. Hernando setki razy powoływał się na niego, aby uzyskać audiencję, lecz na inkwizycji nie robiło to wrażenia. Szlachcic czy grand Hiszpanii, nikt nie miał na nią wpływu, nikt nie mógł wywierać nacisku na jej członków! Poszedł szybko do minaretu, gdzie ukrywał ewangelię Barnaby i parę innych sekretów. Silvestre jest zdolny zrewidować go przy wyjściu z pałacu, więc Hernando nie chciał zabierać dużo rzeczy. Wyjął złoty wisiorek z ręką Fatimy... Ważył go w dłoni przez kilka chwil, próbując sobie przypomnieć, jak błyszczał na piersiach jego żony, poddając się ich ruchom. Zauważył, że klejnot ściemniał po śmierci Fatimy, podobnie jak jego życie. Co do książek i pism decyzja była prosta: zabierze tylko arabską kopię ewangelii Barnaby, całą resztę zniszczy, włącznie z jego własną transkrypcją. Traktat o kaligrafii Ibn Mukli podzieli ten sam los. Nie może ryzykować, że go z nim złapią, a poza tym zna go już na pamięć; obraz pisma i wzory proporcji liter stawały mu przed oczami, ledwie dotknął papieru piórem.

Potem wrócił do swojej komnaty i otworzył kufer, w którym trzymał sakiewkę z oszczędnościami. Zniknęła. Sprawdził dokładnie, przekładając ubrania. „Te psy chrześcijańskie ją ukradły!” — mruknął. Pierwsza rzecz do zrabowania, jak w Alpuharze. Zostały mu tylko te pieniądze, które miał przy sobie.

Klnąc na siebie, że nie pomyślał o bezpieczniejszym schowku

na oszczędności, pozawijał ubrania w kłębek, zebrał swoje rękopisy o martyrologii i wsunął do środka zwój pergaminu z tekstem ewangelii. Nikt jej tu nie znajdzie. Zmatowiały wisiorek z ręką Fatimy schował pod ubranie, będzie trzymał go blisko ciała. Potem umył się do modlitwy. Skończywszy się modlić, stanął pośrodku sypialni, zastanawiając się, co dalej?



— Potrzebuję pieniędzy.

Pablo Coca nawet nie drgnął na te słowa. Dom gry świecił pustkami. Czarna niewolnica gwinejska doprowadzała go do porządku po nocnym hazardzie.

— Wszyscy potrzebujemy, przyjacielu — odrzekł. — Co się stało?

Hernando pamiętał go jeszcze jako chłopca, który wciąż napinał mięśnie twarzy, żeby poruszać płatkami ucha tak jak jego chlebowdawca Marszałek. Postanowił mu zaufać i opowiedział o swoich kłopotach, pomijając jednak pewne fakty. Nie wspomniał, że tego samego ranka udało mu się zakpić z Silvestre, kiedy ten próbował go zrewidować.

— Co to? — spytał sekretarz, pokazując palcem na papiery, które Hernando trzymał w prawej dłoni i wcale ich nie ukrywał. Przed chwilą Silvestre zrewidował tobolek z ubraniami w obecności służących na patio przed stajnią. Traktują go jak zwykłego złodziejzka.

— Moje sprawozdanie dla kapituły katedralnej w Grenadzie.

Sekretarz kazał je sobie podać. Hernando wyciągnął rękę z papierami, ale ich nie wypuścił.

— To poufne, Silvestre — powiedział, pozwalając mu przeczytać na pierwszej stronie opis rzezi w Cuxurio. — Mówiłem, że to poufne, do wiadomości Kościoła w Grenadzie — podkreślił, wytykając mu zbytnią ciekawość. — Jeśli arcybiskup się dowie...

— Już dobrze! — ustąpił sekretarz.

— Co jeszcze, rozbierzesz mnie do naga? — zadrwił Hernando, pokrywając ironią lęk o łańcuszek z ręką Fatimy. Żeby go tylko nie

znalazł! — Chciałbyś? — prowokował, rozkładając ramiona na krzyż. Silvestre się zaczerwienił. — Bądź spokojny, wszedłem do tego pałacu jako biedak i wychodzę tak samo biedny jak wtedy. — Hernando uśmiechnął się cynicznie do sekretarza. Kto wie, czy to nie on okradł go z pieniędzy? — Jestem nędzarzem. Tak to się u was nazywa, prawda?

Chłopiec stajenny nie chciał okiełznać Voladora — nareszcie mógł dać upust niechęci, która gromadziła się w nim przez dwa lata usługiwania moryskowi. Hernando sam przygotował konia do drogi, zresztą wkrótce i tak miał go rozkiełznać przed oberżą Potro, bo tam zamierzał kwaterować. Spośród licznych noclegowni przy placu wybrał specjalnie taką, gdzie go nie znano. Volador znakowany piętnem stadniny królewskiej, dwa razy większy niż którykolwiek z mułów i osłów przywiązanych w stodole, jak również wytworny strój jego pana sprawiły, że Hernando otrzymał najlepszy pokój, z zapewnieniem, że nikogo mu nie dokwaterują. Łóżko, dwa krzesła i stół składały się na całe umeblowanie. Zapłacił z góry, jak przystało na bogacza, chociaż wyciągając pieniądze z sakiewki, zauważył, że ma tylko kilka reali. Potem wyjął białą kartkę, którą wziął z pałacu, i napisał do don Pedra de Granada Venegas, wyjaśniając, co się stało z nim i jego matką. Poprosił o pomoc, gdyż niewiele zdoła zrobić dla nich, dla sprawy morysków, jeśli popadnie w nędzę. Wręczył list przewoźnikowi udającemu się do Grenady, którego spotkał w oberży, i w sakiewce nic mu już nie zostało.

— Najwięcej pieniędzy — kończył wyjaśniać Pablowi — trafiło do strażnika więzienia inkwizycji na pomoc i jedzenie dla matki. Reszta...

— Jeszcze dziś się odkujesz — pocieszył go szuler. Hernando zachnęła się na te słowa. — Przyda ci się wygrana — nalegał Pablo. — Musisz płacić za noclegi.



— Palomero — powiedział Hernando, używając przezwiska z lat młodości — potrzebuję dużo pieniędzy, rozumiesz? Muszę pozyskać przychylność wielu osób w alkazarze chrześcijańskich królów.

— Pieniędzmi nic nie wskórasz. Kiedy wybuchła afera z czarownicami Camachas, inkwizycja zatrzymała don Alonsa de Aguilar z rodu Priego. Aguilar aresztowany! Wyobrażasz to sobie? Nie pomogły żadne pieniądze, dopóki nie wyjaśniono sprawy, i dopiero wtedy został uwolniony. Nawet arcybiskupi nie są bezpieczni...

— Ale moja matka jest tylko starą, nic nieznaczącą moryską, Pablo.

Coca pomyślał chwilę, bawiąc się szklanką. Siedzieli przy stole z dzbanem wina, który przyniosła niewolnica.

— Często wzywają mnie, żeby im zorganizować partię kart — zaczął z wahaniem, jakby rozważał jakąś możliwość. Hernando odstawił szklankę, nie podnosząc jej do ust, i przysunął się bliżej stołu. — Nie lubię tego robić, ale czasami ustępuję, bo... Do takiej gry zasiadają szlachcice, pisarze, starostowie, ławnicy, zarozumiali synalkowie wielkich rodów, a nawet księża! Grają szybko i ostro, o duże pieniądze. Zupełnie inaczej niż w szulerni, gdzie czasem i mnie coś skapnie. Wielcy kantują tak samo jak prości gracze, ale gdy im wypomnieć jakieś grubsze szachrajstwo albo niewinny blef, zaraz sięgają po broń. I ciągle gadają o honorze, jakby to usprawiedliwiało znaczone karty.

— Dlaczego wzywają ciebie?

— Potrzebują krupiera zawodowca z dwóch powodów, po pierwsze dlatego, że wizyta w szulerni jest poniżej ich godności, a po drugie jak wiadomo hazard jest zabroniony, z wyjątkiem gier o miskę ciepłej stawy albo gdy stawka nie przekracza dwóch reali. Do niedawna każdy przegrany mógł zażądać w ciągu ośmiu dni zwrotu wyłożonych pieniędzy. Teraz już nie, bo w kartach tak już jest, że jeden wygrywa, drugi przegrywa. A jeśli ktoś doniesie o nielegalnym spotkaniu w celach hazardowych, wszyscy uczestnicy idą do więzienia. Ten, co wygrał, płaci grzywnę równą zainkasowanej sumie plus drugie tyle do podziału między króla, sędziego i donosiciela. I tu otwiera się pole do działania dla właścicieli domów gry. Wszyscy gracze oraz osoby poinformowane, co się święci, muszą mieć świadomość ceny donosicielstwa.



Każdy właściciel domu gry, czy to w Kordobie, Sewilli, Toledo czy innym miejscu, gdzie schroni się taki zdrajca, wykona na nim wyrok, nawet jeśli nic go nie łączy z organizatorem pechowego spotkania. Takie jest nasze prawo, mamy swoje sposoby, żeby je egzekwować, i nikt w to nie wątpi. A kto ma hazard we krwi... no cóż, prędzej czy później pojawi się przy jakimś stole.

— Masz ochotę ich ograć? — spytał Hernando po chwili zastanowienia nad uwagami Pabla. — Jeśli tak, chętnie ci w tym pomogę.

Coca się uśmiechnął.

— Jasne, że ochoty mi nie brakuje! Ale musisz wiedzieć, czym to pachnie. Można wszystko stracić, jeśli się wyda. Jako właściciele domów gry ponosimy dodatkowe ryzyko. Zawsze trafi się jakiś urzędnik sądowy, który zacznie utrudniać nam życie. Albo urażony rajca, który puści nas z torbami. Za czerpanie zysków z gry w karty sąd skazuje na dwa lata więzienia, a tego, u kogo znajdą kości do gry, czeka konfiskata całego majątku, sto batów chłosty i pięć lat galer. Nie ukrywam, że u mnie gra się w kości i dobrze na tym zarabiam...

— Nie muszą wiedzieć, że gramy razem. Ja wygrywam, ty tracisz, a potem dzielimy się pieniędzmi. Palomero, zadałeś sobie wiele trudu, by opanować tę sztuczkę z uchem podpatrzoną u Marszałka. Założę się, że rzadko z niej korzystałeś, bo dla paru groszy nie było warto. Pamiętasz nasze marzenia?

— A co będzie, jak popłynie krew? — wahał się szuler.

— Tam jest dużo pieniędzy! — nalegał Hernando.

— Chcesz żyć z hazardu? — dziwił się Coca. — Prędzej czy później odkryją, że coś nas łączy. Nie możesz zawsze wygrywać przy moim stole.

— Nie mam zamiaru zostać szulerem. Jak tylko wypuszczą moją matkę, uciekniemy do... Najprawdopodobniej do Grenady.

Coca wypił spory łyk wina.

— Zastanowię się — odpowiedział po chwili.



Tego wieczoru Hernando odniósł pierwszy sukces w kartach dzięki sekretnym znakom Palomera. Po powrocie do oberży poszedł najpierw zobaczyć Voladora. Koń drzemał uwiązany do długiego żłobu bez przegródek. Wyróżniał się między dwiema małymi mulicami. Razem ze zwierzętami spali przewoźnicy i goście, których nie stać było na pokój na piętrze. Volador wyczuł jego obecność i parsknął. Hernando podszedł do niego, by go poklepać.

— Co tu robisz?! — zawołał na widok chłopca zwiniełego w kłębek na słomie między przednimi nogami Voladora.

Chłopiec, który mógł mieć najwyżej dwanaście lat, spozjrzał na Hernanda wielkimi kasztanowymi oczami, ale się nie podniósł.

— Pilnuję wam konia, panie — odpowiedział z niezwykłym jak na ten wiek spokojem.

— Może na ciebie nadepnąć, jak zaśniesz, i co wtedy? — Hernando wyciągnął rękę, żeby pomóc mu wstać.

Chłopiec nawet nie próbował jej chwycić.

— Nie nadepnie, panie. Volador... słyszałem, że tak go pan nazywa — wyjaśnił — to dobre zwierzę. Zaprzyjaźniliśmy się. Nie robi mi nic złego. Mogę się nim opiekować, jeśli pan pozwoli.

Volador opuścił łeb. Jakby zrozumiał, o czym mówili, dotknął wargami brudnych, potarganych włosów chłopca. Ta czuła scena kontrastowała z wrzaskami, groźbami, pułapkami, zakładami, stawkami i chciwością przy stole gry, za którym tak niedawno siedział Hernando. Morysk się zawahał.

— Uważaj, może cię skrzywdzić niechący — ostrzegł. — Konie też śpią i we śnie robią dziwne ruchy...

Raptem przerwał. Chłopiec usiłował wstać, trzymając się końskiej nogi, jakby się po niej wspinał. Robił to ze smutną miną. Zamiast nóg miał bezkształtną masę, kości były strzaskane. Hernando schylił się, żeby mu pomóc.

— Boże! Co ci się stało?

Chłopiec stanął na zniekształconych nogach, podpierając się rękami na ramionach Hernanda.

— Najtrudniej jest ustać prosto. — Uśmiechnął się, odsłaniając

wybite zęby i puste dziury w dziąsłach. — Może mi pan podać te kije?

— Co się stało z twoimi nogami? — zapytał skonsternowany Hernando.

— Ojciec sprzedał je diabłu — odparł poważnie chłopiec.

Ich twarze były tak blisko, że prawie się dotykały.

— Co to znaczy? — spytał cicho Hernando.

— Mój starszy brat José miał połamane ramiona i dłonie, a ja nogi. On opowiedział mi, że to się stało wkrótce po moim narodzeniu i że bardzo płakałem, kiedy ojciec łamał mi kości żelaznym prętem. Długo nie było wiadomo, czy przeżyję. Każde z rodzeństwa miało jakąś ułomność. Pamiętam, jak rodzice oślepiali moją małą siostrzyczkę rozpalonym żelazem. Miała wtedy dwa miesiące. Też bardzo płakała — dodał smutno. — Z kalekim dzieckiem łatwiej coś uzebrać. — Hernando poczuł gęsią skórkę. — Niestety, król pozwala zabierać na żebrzy tylko dzieci do pięciu lat. Jeśli przyłapią kogoś ze starszym dzieckiem, mogą odebrać koncesję na żebractwo. Ja zostałem trochę dłużej, bo byłem mały i wąty, ale jak skończyłem siedem lat, rodzice mnie porzucili. Widzicie, panie, siedem lat jałmużny za nogi dziecka.

Hernando nie mógł wykrztusić słowa. Miał ściśnięte gardło. Słyszał, do jakich okrutnych metod się uciekano, żeby wycisnąć z ludzi parę groszy, ale nigdy nie zetknął się z ofiarą takiego postępowania. „Widzicie, panie, siedem lat jałmużny za nogi dziecka”. Słowa chłopca brzmiały bardzo smutno... Hernando zapragnął go uściskać. Od jak dawna nie przytulił dziecka? Zakasłał z nadmiaru wzruszenia.

— Jesteś pewien, że Volador nie nadeptnie na ciebie? — spytał na zakończenie.

Szczerbaty uśmiech znowu zagościł na mizernej twarzy.

— Oczywiście. Niech go pan zapyta.

Kłęcząc na ziemi, Hernando poklepał łeb Voladora i pomógł chłopcu ułożyć się przy końskich kopytach.

— Jak ci na imię? — zapytał, gdy dzieciak umościł sobie postanie na słomie i zwinięty w kłębek zasypiał.

— Miguel.

— Pilnuj mi konia, Miguelu.

Tej nocy Hernando nie spał. Po napisaniu listu do don Pedra została mu tylko jedna biała kartka, pióro i trochę atramentu. Usiadł przy rozchybotanym stole w swoim pokoju, przetarł go z kurzu i w migoczącym świetle świeczki zaczął pisać, by wyciszyć rozgorączkowane zmysły. Matka, Miguel, karty, brudna, ponura izba... Mieszanina głosów i hałas biesiadujących w oberży zakłócały nocną ciszę... Pióro ślizgało się po papierze, kreśląc jedną z najpiękniejszych liter, jakie Hernando kiedykolwiek napisał. Bez zastanowienia, jakby sam Bóg kierował jego ręką, przelał na papier niedokończone wyznanie wiary, które zaprowadziło jego matkę do lochów inkwizycji: „Nie ma innego Boga prócz Boga, a Mahomet jest Jego Prorokiem”. Postanowił zapisać modlitwę morysków. Umoczył pióro w atramencie, mając w myślach obraz Hamida. Fakih kazał mu ją zmówić w kościele w Juviles dla udowodnienia, że nie jest chrześcijaninem. A gdyby wtedy nie uratował się od śmierci? „Pamiętaj, iż każdy człowiek powinien wiedzieć, że Bóg...”. Oszczędziłbym sobie wiele cierpień i trudów życia, pomyślał, zanurzając ponownie pióro w kałamarzu.

Rano nie było ani Voladora, ani Miguela. Wezwał krzykiem oberżystę.

— Wyszli — usłyszał w odpowiedzi. — Dzieciak powiedział, że ma pańskie pozwolenie. Jeden z mulników, który spał w stodole, potwierdził, że to prawda.

Hernando wybiegł wzburzony na plac Potro. Czyżby chłopak go oszukał? Ukradną mu Voladora? Zatrzymał się tuż za progiem oberży. Miguel oparty o swoją drewnianą kulę pólleżał z podkurczonymi nogami i obserwował konia pijącego wodę ze zbiornika fontanny w kształcie rozbrykanego żrebaka, wyrzeźbionego kilka lat temu. Sierść Voladora błyszczała w słabych promieniach porannego słońca; była wyszczotkowana.

— Chciało mu się pić — wyjaśnił z uśmiechem chłopiec, kiedy zobaczył Hernanda.

Koń przekreślił łeb na bok, świeżo wypita woda kapała mu z pyska prosto na Miguela. Chłopiec odsunął go końcem kuli. Obserwując tę scenę, Hernando musiał przyznać, że dzieciak i koń doskonale się rozumieją. Miguel zdawał się czytać w myślach moryska.

— Zwierzęta mnie kochają, a ludzie unikają mojego towarzystwa — powiedział.

Hernando westchnął.

— Mam dużo pracy — rzekł, wręczając mu dwa reale. Chłopak przyjął je z szeroko otwartymi oczami. — Dbaj o niego.

Oddalił się ulicą Potro i skręcił do alkazaru, gdzie więziono jego matkę. W pewnym momencie obejrzał się i zobaczył Miguela bawiącego się z Voladorem. Oparty na kulach pryskał na niego wodą. Dziecko i koń byli zajęci sobą i nic innego ich nie interesowało. Zanim ruszył dalej, Hernando zobaczył jeszcze, że Miguel postanowił odprowadzić konia do zagrody przy oberży. Nie wziął uzdy do ręki, tylko położył ją sobie na ramieniu i ruszył przed siebie, a Volador szedł za nim jak pies. Morysk pokręcił głową z rozbawieniem. Koń czystej krwi hiszpańskiej, dumny i pełen werwy! Aż dziw, że nie wystraszył się nerwowych ruchów chłopca, który podskakiwał na swoich kulach, starając się jak najrzadziej dotykać stopami ziemi, aby nie nadwierać wątych, zdeformowanych nóg.

Hernando dotarł do alkazaru chrześcijańskich królów poruszony uległością Voladora wobec Miguela. Mając przed oczami tę scenę, mechanicznie wyciągnął z sakiewki złote escudo i bez przekonania wręczył je strażnikowi. Zdziwił się, że zostało przyjęte, dotychczas bowiem strażnik nie pozwalał mu widywać matki. Wygrał te pieniądze w oczko, wykładając na stół asa i króla. Potem reszta graczy długo mu złorzeczyła.

Zaskoczony poszedł za strażnikiem na rozległe patio z fontanną wśród drzew pomarańczowych. Byłoby tu pięknie, gdyby nie jęki dochodzące z cel otaczających dziedziniec. Hernando wyteżył słuch: może to matka jęczy? Strażnik zaprowadził go do celi na drugim końcu patio i otworzył drzwi w grubych, solidnych murach.

Hernando wszedł do środka. Nie. Z tej śmierdzącej zgnilizną celi nie dochodził żaden dźwięk.

— Matko!

Przykucnął obok nieruchomej postaci na podłodze z ubitej ziemi. Drżącymi dłońmi odsuwał przykrywające Aiszę szmaty, żeby odkryć jej twarz. Z trudem rozpoznał kobietę, która go urodziła. Była wyniszczona, skóra wisiała na szyi i policzkach, miała sine obwódki wokół zapadniętych oczu, wargi suche i popękane, brudne włosy na głowie zbiły się w twardy kłęb.

— Co jej zrobiliście? — syknął. Mężczyzna nie odpowiedział, stojąc w niskich drzwiach. — To tylko stara kobieta... — Strażnik przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę i zmarszczył surowo czoło. — Matko — powtórzył Hernando, ujmując w dłonie twarz Aiszy i pochylając się, żeby ją pocałować. Aisza nie odpowiedziała na pocałunki. Miała szklany wzrok. Przez moment myślał, że nie żyje. Na szczęście poruszyła się, kiedy potrząsnął nią lekko.

— Jest obłąkana — odezwał się wreszcie strażnik. — Nie chce jeść, pije bardzo mało. Nic nie mówi ani się nie skarży. Leży tak całymi dniami.

— Co jej zrobiliście? — Hernando powtórzył pytanie nieswoim głosem, uporczywie ścierając z czoła Aiszy resztki ziemi.

— Nic jej nie zrobiliśmy. — Hernando przeniósł wzrok na strażnika. — Daję słowo — zapewnił mężczyzna, rozkładając bezradnie ręce. — Trybunał uznał, że świadectwo, które złożył *alguacil*, wystarczy, żeby ją skazać. Już powiedziałem, że się nie odzywa. Nie była torturowana, nie przeżyłaby tego. — Hernando na próżno wypatrywał jakiejś reakcji w twarzy Aiszy. — Nikt by się nie zdziwił, gdyby umarła... jeszcze tej nocy...

Hernando stał tyłem do strażnika, trzymając w ramionach bezwładną matkę. Co on chciał przez to powiedzieć?

— Może umrzeć — powtórzył mężczyzna w drzwiach. — Lekarz powiadomił już o tym sąd. Nikt się tym nie przejmie i nie przyjdzie sprawdzać. Złożę meldunek, a potem ją pochowam...

A więc to tak! Dlatego pozwolił mu odwiedzić Aiszę.

— Ile? — przerwał Hernando.

— Pięćdziesiąt dukatów.

Pięćdziesiąt? Pięć! — już miał powiedzieć, ale ugryzł się w język. Przecież nie będzie się targował o życie matki.

— Nie mam tyle — oznajmił.

— W takim razie... — Strażnik zaczął się odwracać.

— Mam konia — szepnął Hernando, patrząc w zamglone oczy Aiszy.

— Co powiedziałaś? Nie dosłyszałem.

— Że mam dobrego konia. — Hernando podniósł głos. — Ze stadniny królewskiej. Wart więcej niż pięćdziesiąt dukatów.

Umówili się na późny wieczór. Hernando wymieni Voladora na Aiszę. Co mu po pieniądzach? Szkoda konia... ale zrobi to dla matki, choćby miał ją pochować zaraz potem. Najważniejsze, że umrze w jego ramionach. Bóg pozwoli jej otworzyć oczy w tym ostatnim momencie i wtedy go zobaczy. On musi przy niej być. Matka nie może odejść, dopóki się nie pogodzą!



Miguel siedział na ziemi obok Voladora i patrzył na konia skubiącego garść trawy, którą wsunął do żłobu.

— Przykro mi — powiedział Hernando i przykucnął, żeby zwichrzyć mu włosy. — Wieczorem muszę go sprzedać. — Po co tak się usprawiedliwia? Przecież to tylko dziecko...

— Nie — odparł Miguel, wrywając go z zamyślenia. Chłopiec nawet nie odwrócił się w jego stronę.

— Co nie? — Hernando nie wiedział, śmiać się, czy gniewać.

W tym momencie Miguel skierował wzrok na Hernanda, który podniósł się i stanął obok konia.

— Przyjaźniłem się z psami, kotami, ptakami i nawet z jedną małpką. Zawsze wiem, kiedy wrócą... i zawsze przeczuwam, czy widzę je ostatni raz. Volador wróci — oświadczył z powagą. — Ja to wiem.

Hernando spuścił oczy na zniekształcone nogi chłopca wyciągnięte na słomie.

— Nie zamierzam tego negować. Być może masz rację. Ale obawiam się, że tym razem będzie inaczej.

Gdy odezwał się dzwon na zakończenie komplety, Hernando zabrał Voladora z zagrody i poszli ulicą Potro w stronę meczetu. Umówił się ze strażnikiem więziennym na placu Campo Real, obok alkazaru. Nie chciał wchodzić do środka. Ciągnął konia za uzdę, nie oglądając się za siebie. Miguel szedł nieco z tyłu, ale starał się za nimi nadążyć. Hernando dotarł na plac i zatrzymał się na rogu, gdzie było wysypisko śmieci, właściwie cały plac był jednym wielkim śmietnikiem. Tu, bez świadków i bez żadnego światła, odbędzie się wymiana. Miguel przystanął parę kroków dalej. Hernando wypatrywał w ciemności sylwetki strażnika z Aiszą na plecach. Nie zwrócił uwagi na dziwną postawę chłopca, który opierając się na jednej kuli, drugą unosił wysoko nad głową. Volador był nerwowy, prychał, przestępował z nogi na nogę i zaczął wierzcąc.

— Spokojnie — powiedział Hernando — nie denerwuj się, mój piękny.

Koń chyba przeczuwa, pomyślał, klepiąc go po szyi, że muszą się rozstać. W tym momencie rozległ się pisk ogromnego szczura, który śmignął między nogami Hernanda i Voladora. Za nim następny i jeszcze jeden. Hernando się wzdrygnął. Przerażony Volador zerwał się i pogalopował przed siebie. Miguel, z trudem utrzymując równowagę, odpędzał szczury uderzeniami kuli.

Rżenie Voladora podziałało na konie ze stajni królewskich koło alkazaru; zrobił się wielki harmider, dozorca i chłopcy stajenni wybiegli na ulicę od strony Campo Real i zobaczyli w ciemności wspaniałego, samotnego siwka, który ciągnął za sobą uzdę.

— Uciekł nam koń! — krzyknął jeden ze stajennych.

Dozorca miał mu odpowiedzieć, że na pewno żaden koń nie uciekł z ich stajni, ale zamilkł, zobaczywszy w świetle pochodni królewski znak na zadzie Voladora. Nie ulegało wątpliwości, że to koń ze stajni królewskich.

— Łapcie go! — pisnął.

Hernando też biegł za Voladorem. Jak tu uwolnić matkę przy



takim zamieszaniu? Strażnik się nie pojawił. Miguel zostawił szczury w spokoju i patrzył z zachwytem na siłę i piękno ruchów konia, z nienawiścią myśląc o swoich bezużytecznych nogach. „Wróci”, mruknął w kierunku Hernanda. Ze stajni wybiegały coraz to nowe osoby, tak samo z alkazaru — pojawiali się w bramie, która za dnia im służyła jako punkt sprzedaży sukna. Hernando przystanął zirytowany, kilku mężczyzn bowiem zapędziło Voladora pod mur alkazaru.

Osaczony koń pozwolił chwycić się za uzdę.

— To mój! — Hernando zbliżał się, klnąc w duchu na szczury. Jak mógł tego nie przewidzieć, kiedy strażnik zaproponował mu spotkanie w takim miejscu?

Pracownicy stajni zdążyli tymczasem sprawdzić, że to nie jest ich koń.

— Kiepsko o niego dbasz — skarcił go jeden z królewskich stajennych. — Mógłby zrobić sobie jakąś krzywdę.

Hernando przemilczał tę uwagę i wyciągnął dłoń, żeby wziąć uzdę. Co oni mogą wiedzieć?

— Czy to nie ty przychodzisz codziennie do tej starej wariatki? — zapytał jakiś dozorca z siedziby inkwizycji.

Hernando zmarszczył czoło, nic nie mówiąc. Tyle razy prosił tych ludzi o zgodę na widzenie matki i zawsze mu odmawiali, bo byli akurat zajęci sprzedawaniem sukna, a nie tym, co należało do ich obowiązków. Nie mieli dla niego czasu!

— Zabieraj ją stąd jak najszybciej — rzucił inny. — Może umrzeć w każdej chwili.

Uzda Voladora wysunęła się Hernandowi z rąk, ale zanim upadła na ziemię, zaczepiła o kulę, którą szybko podsunął Miguel. Chłopak uśmiechnął się szczerbatymi zębami, przesuwając kulę z uzdą na wysokość dłoni Hernanda. Co powiedział ten dozorca? Żeby zabrać matkę jak najszybciej? Co to znaczy?

— A wyrok...? — wyjąkał — Co z autodafe?

— Kilka dni temu odbyło się oficjalne zakończenie procesu w sali audiencyjnej. Trybunał skazał ją na sambenito oraz codzienne wysłuchiwanie mszy przez jeden rok... ale nic z tego nie będzie ze

względu na jej stan zdrowia. Zresztą co komu po wariatce w kościele — burknął mężczyzna. — Przyspieszyli zakończenie procesu, bo lekarz oświadczył, że nie dożyje do najbliższego autodafe. Trybunał chciał wydać wyrok skazujący jeszcze za jej życia. Jest obłąkana! Weź ją sobie!

— Oddajcie mi ją — zdołał wykrztusić Hernando, uzmysławiając sobie jednocześnie, że strażnik więzienny zamierzał go oszukać.

Wkrótce potem Hernando ruszył z powrotem tą samą drogą w kierunku oberży Potro, trzymając w ramionach matkę.

— Przynajmniej nie musisz jej nieść do kościoła! — zaśmiał się jeden z dozorców.

— O Boże! Nawet nie waży tyle co piórko! — zawołał Hernando w stronę rozgwieżdżonego nieba, przechodząc obok muru, za którym mieścił się mihrab.

Za nimi szedł Miguel z uzdą Voladora na ramieniu. Koń stapał z tyłu powoli, jakby nie chciał go wyprzedzić.

## 56

Pogrzeb diuka de Monterreal wypadł zarówno uroczyście, jak i smutno, ponieważ nie można było sprawić mu chrześcijańskiego pochówku. Biskup ogłosił w katedrze, że winę za śmierć don Alfonsa i jego syna ponosi Boetius Clancy, szeryf Clare, który oby nigdy nie wyszedł z czyścica. Poczynając od dziś, co siedem lat będziemy ponawiać tę prośbę — wołał zagniewany biskup — i przypominać Panu, że ów podły morderca ma na zawsze pozostać w czyścicu!

Czyścicowe męki cierpiała także Aisza. Jej stan nie ulegał poprawie. Hernando nie miał na razie żadnych wiadomości od don Pedra de Granada, zresztą obawiał się wyruszyć zimą w podróż z ciężko chorą matką. Wszyscy twierdzili, że już długo nie pociągnie. W tej sytuacji umówił się z żoną i córką oberżysty, że za dodatkową opłatą pomogą mu przy myciu i przebieraniu Aiszy.

— Została z niej sama skóra i kości — powiedziała kobieta zaraz pierwszego dnia po wyjściu z pokoju. — Można jej policzyć żebra. Długo nie pożyje.

Hernando nocami grał w karty z mniejszym lub większym szczęściem, pozwalając sobie od czasu do czasu na przegraną, tak jak żądał Coca. W ciągu dnia opiekował się matką, starał się wyprowadzić ją z letargu, ale ona leżała bez ruchu, z oczami w słup, miała świszczący oddech i nie przyjmowała żadnego

pokarmu. Hernando sadzał ją na łóżku i zwilżał wargi rosołem, starając się, by połknęła choć kilka kropel. Opowiadał jej szeptem o swojej pracy na rzecz morysków, jak ukrył zwój pergaminu w Turpianie. Wszystko było napisane po arabsku! Wyobrażasz to sobie, matko? Chrześcijanie czczą welon Matki Boskiej i kość świętego Stefana! Dlaczego wcześniej jej o tym nie powiedział? Dlaczego nie złamał przysięgi? Czy Bóg miałby mu za złe, że pragnie uratować życie matki? Nigdy się nad tym nie zastanawiał... To wszystko jego wina! Opuścił matkę, żeby pławić się w luksusach jak pasożyt i zamieszkać w pałacu chrześcijańskiego diuka.

Mijały dni bez żadnej reakcji Aiszy. Hernando zdręczał się wyrzutami, doprowadzając się do łez.

— Ja się nią zajmę, panie — zaproponował któregoś ranka Miguel, patrząc, jak Hernando stoi bezradnie przy schodach z miską rosołu i nie ma odwagi wejść na piętro do matki.

Chłopak szybko wszedł na górę; jedną ręką trzymał się poręczy, a w drugiej niósł kule. Hernando szedł za nim, uważając, by nie rozlać rosołu.

— Tu postawcie, panie, koło łóżka.

Tak zrobił, a potem cofnął się do drzwi. Miguel usiadł koło Aiszy. Zaczął wsuwać jej do ust łyżkę z rosołem i cały czas coś do niej mówił. Zachowywał się przy niej tak samo jak przy Voladorze, traktował ją jak ptaszka albo inne bezbronne stworzenie, które dobrze znał. Hernando długo stał w drzwiach, obserwując chłopca ze zdeformowanymi nogami, który potrafi odgadnąć, kiedy jakieś zwierzę odchodzi na zawsze, a kiedy wróci. Miguel opowiadał zabawną historyjkę, zaśmiewając się przy tym do łez i żywo gestykulując. Skąd tyle optymizmu w tym małym kalece, który nie dostał od życia nic dobrego. O czym on tak wesoło opowiada? O słoniu! Miguel naśladował polowanie na słonia... Płynął barką po Gwadalkiwirze! Zgięte w łokciu ramię udawało trąbę. Potrząsał nią przed zamglonymi oczami Aiszy, podsuwając od czasu do czasu łyżkę z rosołem. Skąd ten chłopak zna bajki o słońiach? Hernando opuścił pokój z głębokim westchnieniem. Jeszcze na schodach towarzyszył mu śmiech Miguela i opowieść o tym, jak

słoń utopił się w rzece koło młyna. Po raz pierwszy od wielu dni Hernando osiodłał Voladora, skierował się na pastwiska i tam szukał zapomnienia w galopie.



„Wypłacić na podstawie tego weksła, za pobraniem sześciu procent z tysiąca, kwotę stu dukatów po trzysta siedemdziesiąt pięć maravedíes każdy, na rzecz Hernanda Ruiza, nowego chrześcijanina z Juviles, zamieszkałego w Kordobie”. Hernando oglądał weksel wystawiony przez don Pedra de Granada Venegas. Otrzymał go za pośrednictwem mulnika, który odnalazł go w oberży Potro. Sto dukatów to znaczna suma. Teraz nie może zawieść przyjaciół. Liczymy na ciebie, pisał szlachcic w dołączonym do weksła liście. Zwój pergaminu z Turpiany był znakomitym pomysłem, ale to dopiero pierwszy krok. Luna i Castillo tłumaczą litery i słowa z szachownicy, stosownie do naszych zamiarów, ale głównym celem jest ewangelia Barnaby i próba zbliżenia dwóch religii poprzez osobę Maryi. Wciąż bowiem wpływają do króla nieprzychylnie moryskom memoriały z niedorzecznymi propozycjami, ubolewał don Pedro. Niejaki Alonso Gutiérrez z Sewilli proponuje pozamykać morysków w gettach, góra dwieście rodzin w każdym, i oddać wszystkich pod władzę chrześcijańskiego zwierzchnika, który kontrolowałby nawet ich pożycie małżeńskie. A ponadto wypalić im znaki na twarzy, żeby byli rozpoznawalni, i obłożyć wysokimi podatkami.

Ale to nie wszystko — kontynuował don Pedro. — Okrutny, nieprzejednany mnich dominikański nazwiskiem Bleda posuwa się jeszcze dalej, utrzymując na podstawie doktryny Ojców Kościoła, iż nie istnieją powody natury moralnej, dla których król nie miałby dysponować życiem wszystkich morysków wedle swojej królewskiej woli, włącznie z zabijaniem, sprzedawaniem w niewolę, a zwłaszcza skazywaniem ich na galery. To ostatnie byłoby nawet z pożytkiem dla Kościoła, jak sądzi mnich, ponieważ moryskowie za-

stapiliby przy wiosłach wielu księży galerników, którzy miast do więzienia dostają się za swe przewiny na galery, żeby biskupi nie musieli pokrywać kosztów ich utrzymania więziennego. Oto jak Kościół głoszący miłosierdzie zamierza wymordować lub oddać w niewolę tysiące osób. Trzeba temu przeciwdziałać. Czekają nas wiele pracy. Prędzej czy później moryskowie dowiadują się o tych zakusach i konflikt się zaostrza. Powstaje diabelskie, błędne koło: im więcej memoriałów, tym więcej nawoływań do buntu, a w miarę ujawniania nowych konspiracji chrześcijanie zyskują argumenty na rzecz swoich krwawych rozwiązań. Cokolwiek o tym sądzić, klęska Niezwyciężonej Armady nie jest dla nas błahą sprawą. Rosnąca w siłę Anglia zwiększa pomoc wojskom walczącym we Flandrii. Liga chrześcijańska we Francji promowana i wspierana finansowo przez hiszpańskiego króla przeżywa poważne trudności w związku z tą klęską. Jestem pewien, Hernando, że to wszystko odbije się na nas. Tracąc swoje wpływy w Europie, Hiszpania zacznie podejrzewać morysków o sojusz z którąś z tych potęg i podejmować stosowne środki zaradcze. Okoliczności nam nie sprzyjają. Informuj mnie o swojej sytuacji i nie wahaj się prosić o pomoc. Jesteś nam potrzebny.

Spalił list od don Pedra, wyszedł z zajazdu i po wypyтaniu stróża o drogę do banku don Antonia Moralesa, wybranego przez bankiera don Pedra de Granada na miejsce płatności weksla, udał się tam zaopatrzyć w odpowiednie dokumenty. Kantor Moralesa znajdował się nieopodal spichlerza i składu jedwabiu. Porządnie ubrany Hernando został przyjęty przez samego bankiera, który pobrał od niego sześć procent zgodnie z wekslem, otworzył mu depozyt na dziewięćdziesiąt dukatów i wypłacił resztę w siedmiu złotych koronach, realach i mniejszych monetach.

Powróciwszy do zajazdu, Hernando sownie wynagrodził właściciela, uciszając jego protesty i niezadowolenie z faktu, iż uprzywilejowany dotąd gość okazał się moryskiem i szulerem. Sprawę

komplikowało pojawienie się Aiszy, osoby skazanej przez inkwizycję.

— Nie wiem, czy macie pozwolenie na pobyt w tej parafii — powiedział Hernandowi kilka dni temu. — Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale w każdej chwili może tu przyjść policjant... Jako nowi chrześcijanie potrzebujecie zgody proboszcza na zmianę miejsca zamieszkania.

Aby go uspokoić, Hernando pokazał glejt wystawiony na jego nazwisko przez arcybiskupa Grenady.

— Skoro mogę poruszać się swobodnie po królestwach Hiszpanii, to tym bardziej w granicach jednego miasta — zaznaczył.

— Ale kobieta... — zaprotestował właściciel zajazdu.

— To moja matka — odparł ostro, dorzucając parę dodatkowych monet.

Jednakże miał świadomość, że taka sytuacja nie może trwać wiecznie. Don Pedro przysłał mu pieniądze, ale też prosił o kontynuowanie pracy nad wspólnym projektem, a to nie było możliwe w zajeździe. Hernando spał na podłodze, gdyż łóżko zajmowała Aisza, wciąż tak samo nieobecna duchem jak po wyjściu z lochów inkwizycji. Miguel opiekował się nią troskliwie dzień w dzień, nie przestając do niej mówić, opowiadać różnych historii, głaskać i żartować. Ciągłe śmiało się, chyba że w pobliżu były żona i córka właściciela zajazdu, które Hernando prosił o pomoc przy obmyciu Aiszy i odwróceniu na drugi bok, żeby nie porobiły się odleżyny.

— Namówiłeś ją, żeby coś zjadła? — spytał pewnego dnia Hernando.

— Ona nie potrzebuje jedzenia — odpowiedział chłopiec. — Wciąż podaję jej rosół z kury. To wystarczy dla tak ciężko chorej osoby. Zechce, to zje.

Hernando zamyślił się, pocierając dłonią brodę. Nie odważył się zapytać, czy matka wróci do życia, czy odejdzie na zawsze, miał jednak wrażenie, że wsparty na kulach chłopiec i tak wie, co go dręczy.

Miguel uśmiechnął się, lecz nic nie powiedział.

Hernando zrozumiał, że nie może opuścić Kordoby z matką

w takim stanie. Zaczął rozglądać się za wynajęciem domu i jakąś pracą. Najlepiej przy koniach. Był dobrym jeźdźcem. Może zatrudni go jakiś szlachcic w charakterze ujeżdzacza albo masztalerza, albo choćby chłopca stajennego. Czemu nie? Jeśli to się nie uda, będzie szukał czegoś innego: umie pisać i rachować, zawsze coś się znajdzie. Wtedy noce poświęci pracy nad ewangelią. Ukrywał ją między papierami, chociaż w zajeździe nikogo to nie interesowało w przeciwieństwie do ludzi z pałacu diuka; tutaj nikt nie umiał czytać.

Pochłonięty tymi myślami dotarł do szulerni Pabla. Otworzyła mu drzwi niewolnica gwinejska. Może Pablo Coca słyszał o jakimś domu do wynajęcia...

— Dobrze, że jesteś! — zawołał szuler na jego widok, obliczając zyski z ubiegłej nocy. — Właśnie się do ciebie wybierałem.

Hernando podszedł do stolika, przy którym siedział Coca.

— Słyszałeś o jakimś niedrogim domu do wynajęcia? — zapytał bez wstępów. Coca uniósł brwi. — Zdaje się, że coś ode mnie chciałeś? — zreflektował się Hernando.

— Zaczekaj. — Coca skończył podliczać karciane zyski, odprawił Gwinejkę i kiedy zostali sami, odezwał się z powagą do swojego gościa: — Tej nocy odbędzie się gra o duże pieniądze. — Hernando się zawahał. — Nie jesteś zainteresowany? — zdziwił się szuler.

— Tak... chyba tak. Ale... — Nie wiedział, czy powiedzieć mu o stu dukatach, które dostał od don Pedra. Jeszcze niedawno sam nalegał na zorganizowanie takiej gry, teraz jednak... Sto dukatów dawało mu poczucie pewności, jakiego wtedy nie miał. Ale to są pieniądze na opiekę nad matką, na wynajęcie domu... Czy wolno mu postawić dukaty, które dostał od swojego protektora na kontynuowanie pracy na rzecz morysków? — Mam sto dukatów — przyznał wreszcie. — Pożyczył mi je pewien znajomy...

— Nie interesują mnie twoje dukaty — zaskoczył go Coca.

— Ale...

— Znam cię. Umie oceniać pobudki różnych ludzi. Nauczyłem się tego w tym fachu. Mam dobry węch i intuicję. Pojawiłeś



się u mnie po latach, bo potrzebowałeś pieniędzy. Teraz je masz, ale nie postawisz wszystkiego na jedną kartę. Nie jesteś graczem. — Coca schylił się i podniósł duże torby, które trzymał pod stołem. — Oto nasze pieniądze — powiedział. — Szczerze mówiąc, w normalnych okolicznościach nigdy bym ciebie nie wziął na współnika, ale tylko ty znasz mój sekret, nie mam ochoty powierzać go komuś innemu. Tak więc jesteś jedyną osobą, z którą mogę zagrać i wygrać, a na dodatek jesteś moim przyjacielem. Tu idzie o wielkie pieniądze. Największe, o jakich mogło mi się marzyć. To będzie nasza noc.

— W tych torbach jest fortuna! — zawołał Hernando, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

— Owszem. Zapomnij o stawkach, o które grałeś do tej pory. Znajdziesz się w innym świecie. Nie próbuj liczyć w realach, bo wpadniesz, a ja razem z tobą. Tamci nie schodzą poniżej złotych eskudów. Musisz zachowywać się tak, jakby złote eskudo nie miało dla ciebie większej wartości niż blanca. Potrafisz?

— Tak — odparł z przekonaniem Hernando.

— To będzie niebezpieczna gra. I zapamiętaj jedno: nikt nie może się dowiedzieć, że łączy nas przyjaźń.



Grę zorganizowano w domu bogatego kupca sukienego, człowieka znanego z pychy, pedanterii i skłonności do podwajania stawek.

Po zmroku Hernando wyruszył z sakwą pełną pieniędzy na ulicę Feria, gdzie mieszkał ów kupiec. Było to niedaleko od zajazdu Potro. Szedł nerwowo, rozmyślając o instrukcjach, jakie otrzymał od Pabla. Musi usiąść naprzeciwko niego, żeby dobrze widzieć płatek ucha, którym Pablo będzie dawał mu znaki. Ma obstawiać wysoko za każdym razem, nie tylko wtedy, gdy ma pewność wygranej, bo inaczej tamci się domyślą, że coś jest na rzeczy.

— Nie odzywaj się do mnie więcej niż do innych — przykazał mu Pablo — i patrz mi prosto w oczy, tak samo jak innym

graczom. Udawaj, że czytasz w mojej twarzy. Pamiętaj, że nie gram na siebie, tylko na ciebie. Jeśli nam się poszczęści i użyją naszych talii, dowiesz się ode mnie, co tamci mają w ręku. W przeciwnym razie będę cię informował tylko o moich kartach. Graj zdecydowanie i nie lekceważ przeciwnika. To nie są głupcy, stosują różne triki tak samo jak bywalcy zwykłych szulerni. Jedyne, co ich różni, to owo szczególne poczucie honoru, które sprawia, że szybko wyciągają broń. Jeśli w czasie takiej gry ktoś kogoś rani albo zabije, pozostałych obowiązuje pakt milczenia. Pamiętaj o tym!

Służący zaprowadził Hernanda do jasno oświetlonego salonu, wyposażonego w luksusowe dywany, marokiny i meble z błyszczącego drewna. Na ścianie wisiał wielki olejny obraz o tematyce religijnej, który zainteresował moryska. W salonie znajdowało się osiem osób. Mężczyźni stali w parach, rozmawiając z sobą po cichu. Pablo już tam był.

— Panowie — zwrócił się szuler do stojących najbliżej drzwi, w których pojawił się jego kolega — przedstawiam wam Hernanda Ruiza.

Wysoki, barczysty mężczyzna, wytwornie ubrany, pierwszy podał mu rękę.

— Juan Serna — przedstawił go Pablo — nasz gospodarz.

— Przyniósł pan pieniądze, panie Ruiz? — zapytał chytrze kupiec podczas przywitania.

— Tak... — bąknął Hernando onieśmielony atmosferą tego miejsca. Pozostali gracze przerwali rozmowy.

— Hernando Ruiz? — zapytał przygarbiony starzec ubrany na czarno.

— Melchor Parra — powiedział Pablo — rejent...

Starzec uciszył go władczym gestem.

— Hernando Ruiz — powtórzył. — Nowy chrześcijanin z Juviles?

Hernando starał się nie patrzeć na Pabla. Skąd ten starzec wie, że on jest moryskiem? Może nie zechcą grać z nowym chrześcijaninem?

— Nowy chrześcijanin? — zainteresował się inny z graczy, którzy podeszli bliżej, żeby się przywitać.

— Tak — odparł stanowczo — jestem Hernando Ruiz, nowy chrześcijanin z Juviles.

Pablo usiłował coś wtrącić, ale kupiec mu nie pozwolił.

— Masz pieniądze? — zapytał znowu, jakby tylko to go interesowało.

— Zapewniam cię, że ma, Juanie — rzekł starzec, zanim Hernando zdążył pokazać sakwę. — Świętej pamięci diuk de Montereal zostawił mi całkiem spory legat. Wiem, co mówię, gdyż otworzyłem i odczytałem testament na kilka dni przed uroczystościami pogrzebowymi. Don Alfonso de Córdoba rozdysponował pozaordynacyjne dobra wolnodziedziczne. Dla mojego przyjaciela Hernanda Ruiza, nowego chrześcijanina z Juviles, któremu zawdzięczam życie. Tak było napisane. Słowo w słowo. Chcesz zagrać o swój spadek? — zakończył cynicznym pytaniem.



Tej nocy w domu kupca sukienego Hernando długo nie mógł się skoncentrować. Dostał spadek! Ciekawe jaki? Rejent mu tego nie powiedział, a nie było okazji wypytać go na osobności, zwłaszcza że Juan Serna zaraz zarządził grę. Zaniepokojony Pablo Coca musiał tak manewrować, by znaleźli się przy stole naprzeciwko siebie, gdyż Hernando nawet nie patrzył, gdzie siada. Pablo stopniowo się odprężał. Hernando był rozkojarzony, licytował wysoko, miał kilka nieudanych wyjść, ale uderzał w stół po każdym sygnale dawanym płatkim ucha. Tak było przez całą noc i nikt się nie zorientował, że przekazują sobie znaki. Ograli wszystkich do ostatniego grosza. Serna, podobnie jak rejent, stracił prawie pięćset dukatów. Wypłacił je Hernandowi w złocie i dodał, siłąc się na uprzejmość, że liczy na rewanż. Od pozostałych graczy z Pablem włącznie otrzymał mniejsze, choć również znaczące kwoty. Zarozumiały młodzian ze szlacheckiego rodu, który wcześniej snuł obraźliwe dla Hernanda dywagacje na temat spadków, teraz musiał schować dumę do kieszeni i wyłożył na stół rapier o rękojeści

inkrutowanej złotem i szlachetnymi kamieniami oraz pierścion z wygrawerowanym herbem rodowym.

— Podpisz tu, że przechodzą na mnie. — Morysk podsunął kartkę nadaśanemu młodzieńcowi, który odwracał się do niego plecami.

Stary rejent też musiał złożyć oświadczenie, że jest dłużnikiem Hernanda, ponieważ zabrakło mu pieniędzy i pozwolili mu grać na kredyt. Podpisywał papier drżącą ręką. Wiedział, że przegrał krocie, dlatego poprosił o zwłokę w uregulowaniu długu. Hernando się zawahał. Zobowiązania płatnicze wynikające z hazardu nie miały mocy prawnej i w razie czego nigdy by ich nie wyegzekwował na drodze sądowej, ale Pablo dał mu niedostrzegalnie znak, żeby się zgodził. Rejent zapłacił, można być tego pewnym.

Opuścili dom Juana Serny. Słońce świeciło jasno, kordobańczycy powylegali na ulice. Hernando podążył za starym rejentem, eskortowany z pewnej odległości przez stróżów z szulerni, którym Pablo kazał czekać pod drzwiami, spodziewając się wysokiej wygranej. Zrównał się ze starcem przy placu Zbawiciela.

— Nie miał pan dziś szczęścia, don Melchorze — powiedział, dostosowując swój krok do kroku zagniewanego rejenta. Starzec mełł w zębach niezrozumiałe słowa. — Może mi pan wyjaśnić, jak to jest z tym legatem?

— Zapytaj o to duchessę i wykonawców testamentu wyznaczonych przez świętej pamięci don Alfonsa — burknął niechętnie rejent.

Hernando chwycił go za ramię i odwrócił twarzą do siebie.

Dwie kobiety przechodzące ulicą obrzuciły ich zdziwionym spojrzeniem, zaszeptały niespokojnie jedna do drugiej i natychmiast się oddaliły. Ludzie Pabla podeszli bliżej.

— Proszę posłuchać, don Melchorze, pan to dla mnie robi, i to jak najszybciej, jasne? Albo wycofuję zgodę na odroczenie spłaty długu. Jeśli mi pan pomoże, potrafię się odwdziaczyć. Dostanie pan z powrotem swoje zobowiązanie wekslowe... za darmo.

# 57

*Ale autor tej historii, chociaż z ciekawością i pilnością szukał przewag, jakich Don Kichote dokazał w czasie trzeciej wyprawy, nie zdołał odnaleźć żadnej o tym wiadomości, a przynajmniej w pismach autentycznych. Jedyna wieść przechowana w pamięci mieszkańców Manczy mówi, że Don Kichote, kiedy po raz trzeci opuścił swój dom, udał się do Saragossy, gdzie wziął udział w słynnych turniejach, jakie się w tym mieście odbywały, i tam zdarzyły się rzeczy godne jego męstwa i świątłego umysłu. Nie dowiedziałyby się też nic o jego śmierci i końcu, gdyby go dobry los nie zetknął z pewnym starym medykiem, który posiadał ołowianą skrzynkę znalezionej, jak mówił, w fundamentach rozwalonej starej pustelni, gdy ją odnawiano. W tej skrzynce znajdowały się jakieś pergaminy zapisane pismem gotyckim, ale w kastyljskich wierszach, które opiewały liczne bohaterskie czyny onego i mówiły o piękności pani Dulcinei z Toboso, o wyglądzie Rosynanta, o wierności Sancza Pansy, o grobie samego Don Kichote wraz z rozmaitymi epitafiami i pochwałami jego życia i obyczajów.*

MIGUEL DE CERVANTES

ustami morsyka Sidi Hameta Ben Engelego.

*El Quijote\**, część pierwsza, rozdział LII

---

\* Miguel de Cervantes Saavedra, *Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy*, przeł. Anna Ludwika Czerny i Zygmunt Czerny, wyd. PIW, Warszawa 1955, tom I, str. 426.

Dom z patio w dzielnicy Santa María, w pobliżu katedry, na ulicy Espaldas de Santa Clara i kilka kawałków urodzajnej ziemi w okolicy Palma del Río, wokół opuszczonego dworku, które przynosiły rocznie prawie czterysta dukatów, a do tego trzy pary kur, pięćset granatów, drugie tyle orzechów i trzy półkorce oliwek dostarczanych raz do roku zimą przez któregoś z dzierżawców, oraz śliwki i porcja warzyw raz na tydzień zarówno latem, jak i zimą. Tej treści zapis znalazł się — pośród wielu pobożnych legatów dla ubogich panien bez posagu i na odkupienie niewolników — w testamencie don Alfonsa de Córdoba na rzecz człowieka, który uratował mu życie w Alpuharze. Melchor Parra i wykonawcy testamentu nie robili trudności Hernandowi w przejściu spadku, natomiast zgraja zawistnych dworaków, którym diuk nie zapisał ani grosza, wymyślała moryskowi od najgorszych. Rejent skomentował to z nieskrywaną satysfakcją.

— Coś mi się zdaje, że nie darzą cię tam sympatią — rzekł, dając mu do podpisania tytuły własności.

Hernando nie odpowiedział. Skończył składać podpisy, wyprostował się i patrząc mu prosto w oczy, wyjął zza pazuchy oświadczenie o długu. W obecności wykonawców testamentu oddał je właścicielowi ze słowami:

— Z wzajemnością, don Melchorze.

Po uregulowaniu rachunków z Pablem, który zatrzymał dla siebie rapier i pierścień młodego szlachcica, po umorzeniu długu rejenta i zwrocie stu dukatów pożyczki zaciągniętej u don Pedra de Granada Venegas zostało mu jeszcze sporo pieniędzy na wydatki, zanim przeprowadzi się do nowego domu i zacznie korzystać z renty gruntowej.

Jego życie znowu nagle się zmieniło.



— Ten dom ma lokatorów, panie — żalił się Miguel. Stali na ulicy Espaldas de Santa Clara. Na polecenie Hernanda chłopak przygotowywał przenosiny Aiszy i Voladora do nowej posiadłości

i właśnie zdobył takie wieści. — Trzeba czekać do końca umowy o wynajmie.

— Ani mi się śni — odparł stanowczo Hernando. — Podoba ci się tu? — Miguel gwizdnął z podziwem przez wyłamane zęby. — To dobrze. A teraz słuchaj. Zrobisz, jak ci powiem. Ja wracam do zajazdu, a ty idziesz porozmawiać z panią domu. Z panią, zrozumiałeś, Miguelu?

— Nie wpuszczą mnie do środka. Pomyślą, że przychodzę po jałmużnę.

— Spróbuj. Przedstaw się jako sługa nowego właściciela. — Miguel o mało nie wypuścił kul z rąk, odwracając się gwałtownie do Hernanda. — Owszem, dobrze usłyszałeś. Sądzę, że ani moja matka, ani mój koń nie znajdą lepszego opiekuna od ciebie. Idź już. Jestem pewien, że ci się uda.

— I co wtedy?

— Powiesz tej pani, że od dziś płaci czynsz nowemu właścicielowi, Hernandowi Ruizowi z Juviles. Niech się dowie, że dom przeszedł na własność moryska wygnanego z Alpuhary po zbrojnym powstaniu. Powtórz jej to parę razy, jeśli zajdzie potrzeba.

Po rozmowie z sekretarzem duchessy, który potwierdził, że posiadłość rzeczywiście zmieniła właściciela, zamożny kupiec jedwabny wraz z rodziną w ciągu kilku dni wyprowadził się z domu na Espaldas de Santa Clara, zostawiając go do dyspozycji Hernanda. Czy jakiś stary chrześcijanin zgodziłby się wynajmować dom od moryska?



Zalane światłem słońca patio, zapach kwiatów i szum wody szemrzającej nieustająco w fontannie ożywiły nieco Aiszę. Kilka dni po wprowadzeniu się do tego domu wraz z Miguelem, który opiekował się nią troskliwie, opowiadał zabawne historie, przewracał się z boku na bok, zrywał kwiaty i kładł je chorej na podołku, Hernando zauważył u matki nieznaczny ruch ręki.

Przypomniały mu się słowa wypowiedziane przez Fatimę w dniu, kiedy zastał swoje dzieci podczas lekcji zorganizowanej

na patio ich pierwszego domu: „Hamid powiedział, że woda jest początkiem życia”. Początkiem życia! Kto wie, czy matka nie wróci do zdrowia?

Pełen nadziei podszedł do dziwacznej pary. Miguel opowiadał głośno, prawie krzycząc, niezwykłą historię.

— Ściany falowały jak trzcina na wietrze... — mówił w momencie, gdy morysk znalazł się tuż obok.

Hernando uśmiechnął się do niego, po czym spojrzał na matkę skurczoną w fotelu koło fontanny.

— Ona od nas odchodzi, panie — szepnął cicho kaleka.

Hernando odwrócił się gwałtownie.

— Co...? Przecież widzę, że jej się polepszyło!

— Ona umiera, panie, ja to wiem.

Wymienili między sobą spojrzenia. Miguel wytrzymał przez chwilę palący wzrok Hernando, po czym przymknął oczy na potwierdzenie swoich słów. Skinął lekko głową, dając do zrozumienia, że podziela jego ból, i opowiadał dalej:

— Ściana pokoju, w którym spała dziewczynka, zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wyobraża to sobie pani, señora María? Zrobiła się ogromna dziura...

Hernando przykucnął obok matki, nie zwracając uwagi na chłopca, i pogłaskał ją po kolanie. Czy to możliwe, że Miguel potrafi przewidzieć śmierć? Aisza zdawała się reagować na dotyk syna i znowu poruszyła ręką.

— Matko — szepnął Hernando.

Miguel przysunął się bliżej.

— Zostaw nas samych — poprosił Hernando.

Kaleka wycofał się do stajni. Hernando ujął w swoje dłonie wychudzoną rękę Aiszy.

— Słyszysz mnie, matko? Muszę ci coś powiedzieć — załkał, ściskając jej bezwładną dłoń. — To moja wina. Żałuję, że wcześniej ci nie powiedziałem. Ukrywałem to przed tobą... Gdybyś wiedziała, na pewno by do tego nie doszło... Gdybyś wiedziała, że nigdy nie przestałem walczyć o naszą wiarę.

Następnie opowiedział jej o wszystkim, co dotąd zrobił, o za-



daniu powierzonym mu przez don Pedra, o celu, do którego zmierzali!

Kiedy skończył, Aisza nawet nie drgnęła. Ukrył twarz na jej ramieniu i wybuchnął płaczem.

Cztery dni potem spełniły się przewidywania Miguela. Ale najpierw, przez te cztery długie dni Hernando, sam na sam z matką, dokonał przeglądu swojego życia. Aisza powoli gasła, aż pewnego ranka przestała oddychać.



Nie chciał zapłacić za pochówek ani uroczystości pogrzebowe. Miguel wpadł w złość, gdy usłyszał rozmowę Hernanda z proboszczem parafii Najświętszej Maryi Panny, który został wezwany za późno, by udzielić chorej ostatniego namaszczenia, więc tylko skreślił ją z listy parafian, ponieważ Aisza już nie żyła.

— Ciężko tak mówić o własnej matce, proszę księdza, ale ona była opętana — tłumaczył Hernando proboszczowi, wsuwając mu jednocześnie parę monet za usługi, z których morysk nie skorzystał, bo nie chciał. — Inkwizycja to stwierdziła.

— Wiem — odparł krótko duchowny.

— Nie mogę ci tego wyjaśnić — usprawiedliwiał się potem przed Miguelem.

— Nazwał pan matkę obłąkaną? — piszczał chłopak, chwiejąc się na swoich kulach. — Ona nic nie mówiła, ale cierpiąta bardziej... bardziej niż ja, kiedy rodzice wysyłali mnie na żebry! Zasłużyła sobie na pogrzeb...

— Ja wiem lepiej, na co zasługuje moja matka, Miguelu — przerwał kategoryczne Hernando.

Nie mógłby zrobić tego, co zamierzał, gdyby Aiszę pochowano za odpowiednią opłatą na cmentarzu parafialnym. Co innego wspólna mogiła na Polu Miłosierdzia przez nikogo niepilnowana, bo i po co strzec zwłok ludzi, których krewnych nie było nawet stać na chrześcijański pochówek?

— Wracaj do domu — nakazał Miguelowi zaraz potem, jak grabarze wrzucili zwłoki do dołu bez najmniejszego szacunku.

- Zostanę z panem.
- Masz natychmiast wracać!

Hernando udał się do Abbasa; pozwolono mu wejść na teren stajni i poszedł prosto do kuźni. Kowal bardzo się postarzał od ich ostatniej rozmowy. Nie widzieli się od czasu, gdy gmina postanowiła nie przyjmować datków Hernanda. Nazarejczyk też wydał się Abbasowi mocno postarzały i wyniszczony.

— Wątpię, czy ktoś zechce ci pomóc — odparł niechętnie, kiedy Hernando wyjaśnił mu cel swojej wizyty.

— Pomogą, jeśli ty im każesz. Dobrze zapłacę.

— Pieniądze! Tylko to cię interesuje. — Abbas obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

— Mylisz się, ale nie zamierzam się z tobą kłócić. Moja matka była dobrą muzułmanką, przecież wiesz. Zrób to dla niej. W przeciwnym razie będę zmuszony wynająć paru pijanych chrześcijan z placu Potro. Gorzej, że wtedy może się wydać, jak grzebiemy naszych zmarłych. Jeśli dojdzie to do uszu inkwizycji, księża przekopią od nowa cały cmentarz.

Tej nocy wrócił na Pole Miłosierdzia w towarzystwie dwóch silnych młodzieńców i starej kobiety. Żadne z nich nie chciało przyjąć zapłaty, ale też nie odezwali się do niego przez całą drogę. Wyszli z miasta przez zapomnianą furtkę w murze. W blasku księżycy oświetlającego opustoszały fragment cmentarza zaczęli grzebać w miejscu wskazanym przez Hernanda, wydobyli zwłoki Aiszy i przekazali je starej kobiecie, a sami zajęli się kopaniem długiego, wąskiego dołu w świeżej ziemi, głębokiego na pół wysokości człowieka.

Staruszka była przygotowana: zdjęła z Aiszy ubranie, umyła ciało i natarła je wilgotnymi liśćmi winorośli.

— Panie! Przebac jej i ulituj się nad nią — szeptała raz po raz.

— Amen — odpowiadał Hernando odwrócony plecami do kobiety, spoglądając przez łyzy na ciemną jak noc Kordobę. Prawo zabrania oglądać zwłoki osobom nieuczestniczącym w obrządku czyszczenia. Zresztą i bez tego nie śmiałyby na nie patrzeć.

— Wybacz mi, Panie Boże — błagała staruszka, ponieważ

dotknęła zwłok już po umyciu. — Przyniosłeś płótna? — spytała Hernanda.

Nie odwracając się do kobiety, podał jej białe, lniane prześcieradła, w które zawinęła drobne ciało Aiszy. Młodzieńcy zakończyli kopanie dołu i wyciągnęli ręce po zwłoki, żeby je pochować, ale Hernando im przeszkodził.

— A gdzie modlitwa za zmarłą? — zapytał.

— Jaka modlitwa? — zdziwili się.

Nie mają jeszcze dwudziestu lat, pomyślał Hernando. Urodzili się już w Kordobie. Jak wszyscy młodzi nie garną się do nauki, poznawania księgi objawionej i modlitw. Za to pałają ślełą nienawiścią do chrześcijan, i to uspokaja ich dusze. Prawdopodobnie znają tylko wyznanie wiary, ubolewał.

— Zostawcie ciało obok grobu i możecie odejść, jeśli chcecie.

W świetle księżycy uniósł do góry ramiona i rozpoczął długą modlitwę za zmarłych: „Bóg jest bardzo wielki. Niech będzie pochwalony Bóg, który daje życie i śmierć. Niech będzie pochwalony Bóg, który wskrzesza umarłych. Jego jest wielkość, Jego majestat, Jego królowanie...”.

Młodzieńcy i stara kobieta stali za nim w milczeniu, wsłuchani w słowa modlitwy.

— I to ma być ten nazarejczyk? — szeptali między sobą.

Hernando skończył się modlić, włożyli Aiszę do dołu z twarzą zwróconą w kierunku Mekki. Zanim przykryli ją kamieniami, na które narzucili ziemię, żeby nie było widać świeżego grobu, wsunął między fałdy lnianego prześcieradła list śmierci; sam go wykaliografował szafranowym atramentem kilka godzin wcześniej w duchowej komunii z Allahem.

— Co robisz?

— Zapytaj o to swojego fakiha — odparł niechętnie. — Możecie odejść. Dziękuję.

Młodzieńcy i stara kobieta pożegnali się mruknięciem i Hernando został przy grobie sam. Matka miała naprawdę ciężkie życie. W pamięci przewijały mu się wspomnienia, tym razem spokojnie, bez tej chaotycznej nawałnicy co zwykle. Stał tak przez

dłuższą chwilę, na zmianę płacząc i uśmiechając się nostalgicznie. Nareszcie matka odpocznie, próbował się pocieszyć w drodze powrotnej do miasta.

Przeszedł na drugą stronę przez tę samą dziurę w murze, kiedy z tyłu dobiegł go głuchy stukot kul. Przystanął na samym środku uliczki.

— Nie chowaj się przede mną — rzucił w ciemność. — Możemy iść razem, Miguelu.

Chłopiec się nie pokazał.

— Słyszałem cię — nalegał Hernando. — Chodź tu do mnie.

— Panie! — Hernando próbował zlokalizować miejsce, skąd napływa ten smutno brzmiący głos. — Kiedy przyjąłeś mnie na służbę, powiedziałaś, że potrzebujesz opiekuna dla swojej matki i dla konia. María Ruiz umarła, a koń... no cóż, nawet nie potrafię go okiełznać.

Hernando poczuł zimny dreszcz na plecach.

— Sądziś, że mógłbym cię wyrzucić z domu tylko dlatego, że moja matka nie żyje?

Upłynęło kilka chwil, zanim stukot kul przerwał ciszę, jaka nastąpiła po tym pytaniu. W ciemności zamajaczyła niewyraźna sylwetka Miguela.

— Nie, panie — odpowiedział kaleka. — Nie sądzę, żebyś był do tego zdolny.

— Mój koń cię lubi i ceni, to widać. A co do mojej matki... Hernandowi załamał się głos.

— Bardzo ją pan kochał, prawda?

— Bardzo — westchnął Hernando. — Ale ona nie...

— Doznała przed śmiercią pokrzepienia — oznajmił Miguel. — Odeszła w pokoju. Wszystko usłyszała, może pan być pewien.

Hernando próbował dojrzeć w ciemnościach wyraz twarzy kaleki. Co on powiedział?

— O czym ty mówisz? — zapytał.

— Że ona wysłuchała pańskich wyjaśnień i przekonała się, że nie popełnił pan zdrady wobec waszego ludu. — Miguel mówił z pochyloną głową, nie mając odwagi oderwać oczu od ziemi.

— A co ty o tym wiesz?

— Proszę o wybaczenie. — Chłopiec podniósł wreszcie wzrok na Hernanda. Jego oczy patrzyły szczerze. — Jestem tylko nędznym żebrakiem. Życie takich jak ja zawsze zależy od tego, co mogliśmy usłyszeć na ulicy, za rogiem...

Hernando pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Ale jestem lojalny — pospiesznie dodał Miguel — i nigdy na pana nie doniosę. Ludzi pańskiego pokroju nie zdradziłbym, choćby mi mieli połamać ramiona, przysięgam!

Hernando milczał przez dłuższą chwilę. No dobrze, ale skąd ten chłopak wie, że matka umarła pokrzepiona?

— Wiele razy pragnąłem śmierci — powiedział kaleka, jakby czytał w jego myślach. — Wiele razy byłem o krok od śmierci, chory, sam na ulicy, pogardzany przez ludzi, którzy omijali mnie z daleka. Dlatego wiem, co czuje się w takim stanie. Przeżyłem czyściec i poznałem dusze podobne do duszy pańskiej matki, stojące u progu śmierci. Jedne mają szczęście i przechodzą przez ten próg, inne muszą cierpieć dalej. Słyszała pana i wszystko zrozumiała. Zapewniam. Czułem to.

Hernando milczał. Było w tym chłopcu coś takiego, co budziło zaufanie i kazało wierzyć jego słowom. A może on po prostu nade wszystko pragnie uwierzyć, że matka odeszła w pokoju? Westchnął głęboko i otoczył chłopca ramieniem.

— Idziemy do domu, Miguelu.



— Sam sprawdziłem, proszę pani — Efraín podniósł głos, aby zagłuszyć jęk zawiedzionej Fatimy, która nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co jej przekazał od Aiszy po powrocie do Tetuanu. Stary Żyd, który przyszedł z nim do pałacu Brahima, dotknął ramienia syna, żeby go uspokoić. — Sprawdziłem to — powtórzył Efraín tym razem spokojnie. Fatima chodziła z kąta w kąt po luksusowym salonie otwartym na patio. — Po rozmowie z Aiszą spotkałem kowala ze stajni królewskich...

— Abbasa? — podskoczyła Fatima.

— Mówili na niego Jerónimo... To on mi powiedział, gdzie szukać tej kobiety. Chyba mnie potem śledził, zaczekał, aż skończę rozmowę, i podszedł, żeby zadać parę pytań.

— Powiedziałaś mu o mnie? — przerwała Fatima.

— Nie było takiej potrzeby, proszę pani. Miałem przygotowanych kilka wersji, w zależności od sytuacji. Powiedziałem, że mam wspaniałego konia czystej krwi arabskiej, dostałem go jako zapłatę za oliwę i szukam trenera, który by go wyszkolił. I że podobno Hernando jest najlepszy...

— I co?

— Nie uwierzył. Koniecznie chciał się dowiedzieć, dlaczego Aisza podała list, który jej przekazałem, i wrzuciła skrawki papieru do Gwadalkiwiru, ale nie ustąpiłem. Zapewniam panią.

— Co ci powiedział Abbas? — Fatima z napięciem wpatrywała się w młodzieńca. Wysłuchała już jego relacji o Aiszy, starej, biednej kobiecie z napadami furii. Być może... Aisza oszalała i wszystko jej się pokręciło, doszła do wniosku Fatima. Ale Abbas nie mógł kłamać! Był przyjacielem Hernanda, pracowali ramię w ramię, narażali życie dla wspólnej sprawy. Nie, Abbas nie mógł kłamać.

Efraín się zawahał.

— Proszę pani... ten Jerónimo, czy Abbas, jak pani woli, potwierdził wszystko, czego dowiedziałem się od matki. Noc spędziłem w domu jego przyjaciela Cosme, człowieka wielce szanowanego przez kordobańskich morysków. Obaj powtórzyli słowo w słowo to samo co Aisza, dodając parę szczegółów. Otóż niedługo po waszej śmierci, bo tam wszyscy myślą, że pani została zamordowana razem z dziećmi... — Fatima westchnęła ciężko — niecały rok potem wasz mąż przeniósł się do pałacu diuka de Monterreal. Trzeba pani wiedzieć, że wszyscy zniechęcili tego nazarejczyka. — Ojciec Efraína poruszył się niespokojnie na dźwięk przewiska, ale Fatima nawet nie drgnęła. Rysy jej twarzy stwardniały, mocno zacisnęła pięści. — Cała gmina go nienawidzi i uważa za zdrajcę. Rozmawiałem z różnymi moryskami w domu Cosme. Przykro mi, ale tak to wygląda, proszę pani — dodał młody Żyd po chwili milczenia.

Podczas długiej podróży Efraína z Tetuanu do Kordoby i z powrotem Fatima brała pod uwagę tysiące możliwości: że Hernando założył nową rodzinę i nie zechce wyjechać z miasta kalifów... to by zrozumiała! Że... że nie ma go już wśród żywych... nawet tę myśl do siebie dopuszczała, słyszała bowiem o straszliwej epidemii dżumy, która zdziesiątkowała ludność Kordoby przed sześcioma laty. Mogło się również zdarzyć, że nie zechce zrezygnować ze stanowiska jeźdźcy w stajniach królewskich, z pracy, która dawała mu tyle satysfakcji, lub że po prostu czuje się bardziej potrzebny tam, w kraju chrześcijańskim, jako kopista księgi objawionej, kalendarzy i prorocत्व... To wszystko by zrozumiała! Ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że Hernando zdradzi swoich braci i swoją wiarę. Czyż ona sama nie wyrzekła się kiedyś swojego marzenia o wolności w zamian za wolność dla moryskiego niewolnika?

— I mówisz...? — Fatima się zawahała. Przecież w tamtym okresie byli razem, wiele wycierpieli dla swojego Boga podczas powstania w Alpuharze, znosili złe traktowanie i upokorzenia ze strony Ubajda i Brahima. Jak on mógł utrzymać to przed nią w sekrecie? Hernando mówił jej o ucieczce z namiotu Barraksa razem z chrześcijańskim szlachcicem, ale nie powiedział całej prawdy. Dlaczego? Jak mógł to przemilczeć, wiedząc, ile ona musiała znieść, by połączyć się z nim w małżeństwie. W tamtej świętej wojnie straciła swojego małego Humama! — Mówisz, że już w Alpuharze ratował życie chrześcijanom?

— Tak, proszę pani. Wiadomo na pewno o szlachcicu, który potem przyjął go pod swój dach, i żonie audytora Królewskiej Kancelarii w Grenadzie, lecz ludzie mówią, że było ich dużo więcej.

Fatima wybuchła. Wrzaski i obelgi, jakie wydobywały się z jej gardła, rozbrzmiewały w całym salonie. Rozgniewana wyszła na patio i wznosząc ramiona ku niebu, wydała z siebie długi jęk wściekłości i bólu. Stary Żyd dał znak swojemu synowi i obaj po cichu opuścili pałac.

Kilka dni potem Fatima wezwała Szamira i swojego syna Abdula, żeby przekazać im, czego dowiedziała się o Hernandezie.

— Podły pies! — tylko tyle powiedział Abdul, kiedy matka zakończyła opowieść.

Potem patrzyła, jak wychodzą z surowymi minami. Frędzle przy pochwach na handzary dzwoniły w rytmie ich kroków. Są korsarzami! — pomyślała. — Nawykli do okrucieństwa.

Od tego dnia Fatima zarządzała żelazną ręką dochodami i majątkiem rodzinnym, kiedy młodzi wychodzili w morze. Nic nie było w stanie oderwać jej od tej pracy, lecz podczas samotnych nocy wspominała Ibn Hamida z mieszaniną wściekłości i bólu. Zadbła o to, by Marjam otrzymała wspaniałą posag i poślubiła młodzieńca z rodziny Naksis, która miała dominującą pozycję w Tetuanie. Poszukała odpowiednich żon dla Abdula i Szamira. Sojusz zawiązany z rodem Naksis po śmierci Brahima okazał się dla niej korzystny, a status kobiety nie przeszkodził jej w odgrywaniu ważnej roli w interesach korsarskiego miasta. Nie była pierwszą niewiastą mającą dużo do powiedzenia w Tetuanie. Po zdobyciu miasta przez muzułmanów na jego czele stanęła jednooka kobieta, której pamięć wciąż czczono i szanowano. Tak jak ona Fatima budziła strach i szacunek. Tak jak ona Fatima była sama.



# IV

## W imię naszego Pana

*Zaprawdę powiadam wam, iż Arabowie to jedni z najznamienitszych ludzi, a ich język jest jednym z najznamienitszych języków. Wybrał ich Bóg, by bronili prawa w czasach ostatecznych... Jak powiedział mi Jezus, który był wywyższony ponad synów Izraela, tych, którzy nie dochowali wiary... że berto nigdy nie zostanie im odebrane. W nadchodzących czasach Arabowie oraz ich język staną w obronie Boga i prawowitego prawa, chwalebnej ewangelii i Kościoła świętego.*

*Ołowiane księgi z Sacromonte:  
Księga historii prawdy ewangelii  
(wyd. M.J. Hagerthy)*



*Kordoba, styczeń 1595*

Dzień wstał chłodny i pochmurny, a Hernando, który miał już czterdzieści jeden lat, obudził się w nastroju tak szarym jak niebo nad patio. Miguel martwił się o swojego pana i przyjaciela, widział, że jest nerwowy, rozdrażniony i dziwnie niespokojny jak na kogoś, kto przez siedem lat spędzał całe dnie, od rana do późnej nocy, w pomieszczeniu na drugim piętrze, zamienionym w bibliotekę, gdzie książek, kartek i notatek było więcej niż liści opadających z drzew w czasie zimy.

To kulminacja siedmioletniej pracy wprawiała go ostatnio w taki nastrój. Siedem lat studiowania, badań, rozmyślań i szukania wątków, które połączyłyby dwie wielkie religie, zmieniły stosunek chrześcijan do pogardzanych teraz morysków, których przodkowie przez osiem wieków rządili w królestwach hiszpańskich. Nauczył się nawet łaciny, żeby przeczytać pewne teksty. Zbliżenie tych dwóch religii było jego jedynym celem, przestał grać w karty i rzadko pozwalał sobie na wizyty w domu publicznym.

— Siedmiu mężów apostołów! — wykrzyknął kiedyś na patio ku zdziwieniu Miguela. Kaleka pielił grządki z sadzonkami, z których wiosną wyrosną piękne kwiaty. — Wystarczy wziąć tę legendę za punkt odniesienia, a wszystkie elementy ułożą się w jedną całość, nawet wątek ze świętym Cecyliem, o którym wspominał Castillo.

Chłopiec orientował się nieco w pracy Hernanda, odkąd usłyszał jego spowiedź przed umierającą matką, lecz odnosił się obojętnie i sceptycznie do zamierzeń swojego pana i przyjaciela.

— Spodziewasz się, panie, że ja mógłbym uwierzyć w jakiegoś Boga, twojego albo ich — obruszył się pewnego razu, kiedy mówili na ten temat. — Co to za Bóg, który pozwala łamać dzieciom nogi dla paru groszy?

Mimo to Hernando chętnie zwierzał się Miguelowi ze swoich rozterek i drobnych sukcesów. Potrzebował z kimś o tym porozmawiać, a Luna, Castillo i don Pedro byli daleko.

— Kim są ci mężowie? — spytał Miguel znużonym tonem głównie po to, by sprawić mówiącemu przyjemność.

— Według legendy przekazanej w różnych księgach — wyjaśnił mu Hernando — to uczniowie świętego Piotra i świętego Pawła, którzy zostali przez nich posłani na teren obecnej Hiszpanii, by krzewić wiarę chrześcijańską. Nazywali się: Torcuato, Tesifón, Indalecio, Segundo, Eufrasio, Cecilio i Hiscio. Dotąd znaleziono relikwie czterech z nich, które cieszą się czcią w różnych miejscach, ale wiesz, co ci powiem?

Hernando zawiesił wyczekująco głos, chociaż pytanie pozostało bez odpowiedzi. Miguel wsparł się na jednej z kul, wolną ręką pochwyił suchą gałąź i spojrzął z czułością na swojego pana. Niebieskie oczy Hernanda błyszczały tak intensywnie, że chłopak postanowił okazać mu przychylność i uśmiechnął się bezzębnymi ustami.

— Co takiego, panie? Słucham.

— Jednym z trzech mężów apostoelskich, których grobów dotąd nie zlokalizowano, jest święty Cecilio, pierwszy biskup Grenady, jak się sądzi. Muszę sprawić, by odkryto jego szczątki w Grenadzie. Wtedy wpasuje mi się w tę układankę nawet pergamin z wieży! Mógłbym...

— Panie — przerwał mu Miguel, odsuwając gałąź i opierając się na drugiej kuli — przecież biskupi twierdzą, że chrześcijaństwo przyniósł na tę ziemię święty Jakub. Nawet ja to wiem. Chyba nie wymieniał tego świętego wśród siedmiu mężów.

— Zgadza się — przyznał Hernando — Wiem, co zrobię. Połączę obie legendy! — Po tych słowach wbiegł po schodach na górę, jakby zamierzał natychmiast wykonać to zadanie.

Miguel zobaczył, jak potyka się na jednym schodku i macha rękami, żeby złapać równowagę.

— Połączę obie legendy — powtórzył kaleka z sarkazmem i ruszył w stronę grządki z różami. — Połączę obie legendy — naśladował ton głosu Hernanda, zabierając się do usuwania martwych łodyg. — Ja wiem, co trzeba połączyć! — prawie krzyczał na pustym patio. — Połamane kości w moich nogach!



Tego mroźnego styczniowego dnia rano, słuchając Hernanda strofującego moryskę Marię, która pomagała im w obowiązkach domowych, Miguel przypomniał sobie tamte słowa wypowiedziane w napadzie frustracji. Spoglądając na tę samą grządkę, która zakwitła w ubiegłym roku i wypełniła patio zapachem róż, miał przez chwilę wrażenie, że przyroda zakpiła z niego. Dlaczego wszystko odradza się tak pięknie z wyjątkiem jego nóg? Nigdy dotąd nie myślał z taką nienawiścią o swoim kalectwie, jak w ciągu ostatniego miesiąca, gdy się zorientował, że ich sąsiadka Rafaela obrzuca niespokojnym spojrzeniem jego zdeformowane nogi. Dziewczyna nie miała za grosz sprytu i nie umiała ukryć przerażenia, jednakże pod wpływem niezdrowej ciekawości wciąż spoglądała z ukosa na te kulasy, po czym bąkając niezrozumiałe przeprosiny, zahaczała wzrokiem o jego twarz.

Od dawna widywał ją, jak wchodzi do sąsiedniego domu i wychodzi z niego, ale dopiero kilka tygodni temu zwrócił na nią większą uwagę. Był późny wieczór, Kordoba układała się do snu, a on zajrzał do stajni, żeby sprawdzić, czy dobrze aklimatyzuje się nowy źrebak, którego przywiózł im Toribio z folwarku. Przed pięciu laty Hernando, widząc, że Volador się starzeje, postanowił zagospodarować swoją wiejską posiadłość nieopodal Pala del Río w taki sposób, by hodować potomstwo Voladora i kłaczy zakupionych z odrzutu w stajniach królewskich. Wtedy też zatrudnił

jeźdźca Toribio, który z większym lub mniejszym sukcesem szkolił mu żrebaki, a potem, już wyszkolone, przywoził do stajni w Kordobie.

Owego wieczoru Miguel zajrzał do żrebaka, który nazywał się Estudiante i podobnie jak César — drugi koń trzymany w przydomowej stajni w Kordobie — był synem Voladora skrzyżowanego z kłaczą barwy ognia. Hernando bardzo troszczył się o żrebięta, dlatego Miguel często i o różnych porach zaglądał do stajni. Zwierzęta nie były przyzwyczajone do żłobu, zachowywały się dziko i nieufnie, pod siodłem też chodziły nie tak jak trzeba i widać było, że Toribio nie ma dobrej ręki do koni. Brak mu wycucia, poskarżył się Hernando Miguelowi. Aby naprawić błędy w sztuce ujeżdżania, Hernando codziennie rano sam zajmował się końmi. Wyszło mu to na zdrowie, jak stwierdził wkrótce Miguel, ponieważ odzyskał apetyt i nabrał rumieńców, galopując po błoniach, zamiast przesiadywać całymi dniami w bibliotece.

Tak więc tego wieczoru, gdy poznał Rafaelę, Miguel przekonał się, że Estudiante stoi spokojnie obok Césara. Obrócił się na kulach, gotów udać się do sypialni, kiedy nagle dobiegło go stłumione szlochanie. Czyżby to jego pan? Wyostrzył słuch i podniósł oczy do góry: okno biblioteki wychodziło na patio, wewnątrz paliło się światło, a więc Hernando pracował. To nie on płakał. Zresztą łkanie dobiegało z przeciwnej strony, zza ściany stajni graniczącej z podwórkiem sąsiedniego domu, w którym mieszkał ławnik don Martín Ulloa. Już miał odejść, nie widząc większej potrzeby interesowania się tymi odgłosami, jednakże smutne, przeciągłe westchnienia przypomniały mu płacz jego rodzeństwa, tak samo urywany i tłumiony ze strachu przed rodzicami, którzy z byle powodu zabierali się do bicia. Miguel zbliżył się do ściany działowej. Teraz usłyszał wyraźniej dziewczęcy smutny płacz, cichą skargę do niebios... tak samo skarżyli się kiedyś jego brat, siostra i on sam.

— Co ci jest? — Był pewien, że to dziewczyna, prawie dziecko.

Cisza, żadnej odpowiedzi, tylko siąkanie nosem i wstrzymywane jęki przechodzące w uporczywą czkawkę.

— Nie płacz, dziewczynko — prosił Miguel, ale bez skutku.

Kaleka podniósł oczy na rozgwieżdżone niebo. Ile lat miałyby teraz jego ślepa siostrzyczka? Kiedy widział ją ostatni raz, miała chyba pięć albo sześć, wystarczająco dużo, by zdać sobie sprawę, że jej życie różniło się od życia roześmianych dzieci na ulicach. Miguel szepnął dziewczynie te same słowa, które przed laty skierował do swojej siostry w ciemnościach wilgotnej, cuchnącej izby dzielonej z rodzicami.

— Nie płacz, maleńka. Wiesz? Była sobie kiedyś taka dziewczynka... — Oparł się o ścianę i zaczął opowiadać melancholijnie, słowo w słowo, tę samą bajkę, którą wymyślił jako pierwszą dla swojej siostrzyczki. — Wyciągała rączki i podskakiwała wysoko, żeby dosięgnąć cudownie rozgwieżdżonego nieba, którego nie widziała, ale wszyscy mówili, że jest tam w górze...

Odtąd często rozmawiali przez ścianę. Miguel starał się wywołać uśmiech na jej twarzy i cieszył się, gdy mu się udało, chociaż tego nie widział. A ona dawała się kotysać opowieściami, które na chwilę pozwalały jej zapomnieć o nieszczęściach.

— Ty jesteś ten... — szepnęła któregoś razu.

— Ten kaleka — Miguel westchnął smutno.

Niedługo potem się poznali. Miguel zachęcił ją do obejrzenia żrebaków, o których opowiadał jej tyle ciekawych rzeczy. Rafaela wymknęła się z domu przez dawno nieużywaną furkę, która prowadziła do zaułka kończącego się przy wrotach stajni Hernanda. Miguel zacisnął wargi i czekał na nią wyprostowany na swoich kulach. Chociaż miała do przebycia tylko parę kroków, zjawiała się w stajni zasłonięta czarną peleryną. Miguel po raz pierwszy zobaczył ją z bliska: wyglądała na szesnaście, siedemnaście lat, miała kasztanowe włosy do ramion, słodkie spojrzenie i mały nosek nad delikatnymi wargami. Tego wieczoru, kiedy tak stali twarzą w twarz, wyznała, co było przyczyną płaczu. Jej ojciec, ławnik don Martín Ulloa, nie miał pieniędzy na posag dla swoich dwóch córek, ponieważ wszystko pochłaniały wydatki dwóch zarozumiałych synalków.

— Uważają się za hidalgów — mówiła Rafaela z żalem —

choć są tylko synami fabrykanta igieł, którego ojciec, a mój dziad, niezbyt uczciwie dochrapał się stanowiska ławnika. Mój ojciec, bracia, a nawet matka zachowują się tak, jakby byli ze szlacheckiego rodu.

Don Martín postanowił, że najstarszą córkę, nieśmiałą, poważną Rafaelę, odda do klasztoru. W ten sposób starczy mu pieniędzy na posag dla najmłodszej, która była ładniejsza, bardziej zalotna i miała większe szanse na znalezienie dobrej partii. Klasztor jednak też domagał się posagu, a ponieważ ojciec odmawiał, Rafaelę czekał los zwykłej służącej bogatszych mniszek. Nie było innego wyjścia dla młodej, pobożnej panny bez pieniędzy.

— Słyszałam rozmowę ojca z braćmi. Matka też przy tym była, ale nie odezwała się ani słowem, kiedy dobijano targu. Gdyby choć jedno z nich oszczędziło na kosztownościach... Ale nie! Najchętniej pozbyliby się mnie od razu!

Myśląc z nienawiścią o swoich zdeformowanych nogach, Miguel obserwował ze zdziwieniem, że narowiste żrebaki pozwalają się Rafaeli głaskać i nadstawiają uszu na jej słodkie szeptanie. Aż wreszcie któregoś wieczoru po raz pierwszy w życiu zabrakło mu słów. Dziewczyna siedziała przed nim na słomie, a on pragnął jedynie dotknąć jej i przytulić do siebie, zamiast wymyślać nowe opowieści. Ale nie ośmielił się, bo jak to zrobić z takimi nogami? Kiedy został sam, zaczął się zastanawiać, jak pomóc dziewczynie. Nie miał wątpliwości, że zasługiwała na lepszy los.



# 59

*I oto powiedzieli aniołowie: „O Mario! Zaprawdę, Bóg wybrał ciebie i uczynił cię czystą, i wybrał ciebie ponad kobietami światów”.*

Koran 3,42\*

Pewnego styczniowego ranka 1595 roku Hernando zaczął siodłać Estudiante.

— Jadę do Grenady — zakomunikował Miguelowi.

— Może lepiej byłoby wziąć Césara? — zasugerował chłopak. — Jest bardziej...

— Nie — przerwał mu Hernando. — Estudiante to porządny koń i podróż dobrze mu robi. Będę miał czas, żeby go nauczyć i wytrenować. Przynajmniej nie zanudzę się na śmierć w czasie podróży.

— Jak długo cię nie będzie?

Hernando spojrział na kalekę z ogłowiec w rękę, gotowego okiełznać Estudiante, i uśmiechnął się.

— Przecież ty zawsze wiesz, kiedy wrócą lub nie wrócą zwierzęta i ludzie, więc po co pytasz? — odparł jak zwykle, gdy wyruszał w podróż.

Miguel spodziewał się tej odpowiedzi.

— Ale z tobą, panie, nigdy nic nie wiadomo. Jest sporo rzeczy

---

\* Koran, PIW, Warszawa 1986.

do zrobienia, trzeba podjąć parę decyzji, pozbierać pieniądze wśród dzierżawców, dlatego pytam...

— Żeby móc spotykać się spokojnie z tą dziewczyną, która przychodzi wieczorem — zaskoczył go. Miguel się zaczerwienił. Próbował się usprawiedliwiać, ale Hernando mu nie pozwolił: — Ja nie mam nic przeciwko temu, ale uważaj na jej ojca. Jak się dowie, powiesi cię na najbliższym drzewie. Nie chcę stracić przyjaciela. Mam nadzieję zastać cię całego i zdrowego po moim powrocie.

— To bardzo nieszczęśliwa dziewczyna, panie.

Estudiante nie przestawał gryźć założonego mu przed chwilą wędzidła.

— Kiedyż wreszcie Toribio zacznie stosować technikę kija posmarowanego miodem — utyskiwał na złe nawyki konia. — Nieszczęśliwa? Co jej jest? — spytał mimochodem.

W ciszy, jaka zapadła po tym pytaniu, spojrzął znowu na młodzieńca, który tym razem trzymał w ramionach siodło. Hernando wyczuł, że Miguel chce mu coś powiedzieć, od kilku dni próbował to zrobić, ale on miał zawsze coś ważniejszego na głowie. Widząc smutek na twarzy przyjaciela, Hernando westchnął i podszedł bliżej.

— Zdaje się, że coś cię martwi, Miguelu — powiedział, patrząc mu prosto w oczy. — Teraz nie mam już czasu, ale obiecuję, że porozmawiamy o tym, jak wrócę.

Kaleka przytaknął w milczeniu.

— Skończył pan już tę swoją pracę pisaną?

— Skończyłem. Teraz — dodał po krótkiej pauzie — wszystko w rękę Boga.



Hernando nie udał się od razu do Grenady, jak zapowiedział. Zamiast opuścić Kordobę przez rzymski most, wyjechał przez bramę Colodro i wziął kierunek na Albacete ku wybrzeżom śródziemnomorskim, w stronę Almansy, gdzie zamierzał skrócić na północ do Jarafuel. Estudiante okazał się koniem płochliwym i narowistym. Pozwolił mu na te wybryki, dopóki jechali przez

uczęszczane okolice Kordoby. Za skrzyżowaniem z prowadzącą do Toledo drogą Ventas spał go ostrogami, żeby przejść do galopu wyciągniętego i pokazać, kto tu rządzi. Wystarczyły dwie mile. Mimo zimowej pogody koń służył potem po przekroczeniu mostu Alcolea, sapał, ale reagował na ostrogi. Od tego momentu jechali stępą; zostało jeszcze około sześćdziesięciu mil do Almansy, czekała ich długa i ciężka droga, o czym Hernando miał okazję przekonać się przed kilkoma miesiącami, kiedy wracał z Grenady po spotkaniu z nowym arcybiskupem don Pedrem de Castro, który postanowił kontynuować badania nad martyrologią chrześcijan rozpoczęte przez jego zmarłego poprzednika.

To Castillo poradził mu wtedy udać się do Jarafuel. Miejscość ta znajdowała się w zachodniej części królestwa Walencji, w sąsiedztwie osad Teresa i Cofrentes, na północ od Almansy, u podnóża gór Muela de Cortes, w żyznej dolinie poprzecinanej dopływami rzeki Júcar. Co najważniejsze, tereny te zamieszkiwali w większości moryskowie.

— Nie mam starego pergaminu — narzekał Hernando podczas poprzedniego spotkania w Grenadzie z Pedrem, Miguelem de Luna i Alonsem del Castillo. Złota Sala była skąpana w zielono-złotym świetle wpadającym przez sklepienie kasetonowe. — Na razie piszę na zwykłym papierze, ale...

— Czy nie lepiej zrezygnować z pergaminu? — zastanawiał się Luna. Niedawno opublikowano pierwszą część jego dzieła *La verdadera historia del rey Rodrigo*, które wywołało gwałtowną polemikę wśród intelektualistów całej Hiszpanii. Autor był bardzo zgnębiony faktem, iż najostrzejsza krytyka zaproponowanej przez niego pozytywnej wizji Arabów wyszła spod pióra moryska, jezuita Ignacia de las Casas. — Niektórzy intelektualiści uznali pergamin z wieży Turpiana za sfałszowany. Uznali, że był świeżej daty...

— Nieprawda — przerwał z uśmiechem Hernando — pochodził co najmniej z czasów Almanzora.

— Widocznie to za mało — wtrącił Castillo. — Pomyślmy o jakimś innym surowcu niż papier czy pergamin. Mogłoby to być na przykład złoto, srebro, miedź...

— Albo ołów — podsunął don Pedro. — Jest łatwy do zdobycia, stosowany często w złotnictwie.

— Już Grecy pisali na ołowianych tabliczkach — rzekł Luna. — Tak, to dobry materiał. Nikt nie zdoła stwierdzić, czy pochodzi z dawnych czasów, czy z nowych, zwłaszcza po kąpieli w oborniku, tak jak to zrobił nasz przyjaciel z pergaminem z wieży Turpiana.

Wszyscy czterej uśmiechnęli się porozumiewawczo.

— Znam złotnika z Jarafuel, w królestwie Walencji — powiedział Castillo — który pomimo zakazu w dalszym ciągu wykonuje po kryjomu biżuterię w stylu moryskim. Znam też tamtejszego fakiha. Obaj są ludźmi godnymi zaufania. Złotnik Binilit wyrabia wisiorki z ręką Fatimy i pateny z księżycami oraz napisami po arabsku do chrztu nowo narodzonych. Robi również bransoletki na ręce i nogi oraz naszyjniki z wersetami Koranu i piękną moryską grawiurą. Taką samą biżuterię nosiły nasze kobiety przed chrześcijańską konkwistą. Jestem pewien, że będzie umiał przenieść te teksty na płytki ołowiane.

— Niektóre fragmenty są po łacinie — wyjaśnił Hernando. — W tekstach arabskich zastosowałem spiczaste pismo i specjalną, wymyśloną przeze mnie kaligrafię. Wzorowałem się na ramionach gwiazdy z Pieczęci Salomona, symbolu jedności. Starłem się unikać wszelkiego podobieństwa ze stylami epoki po narodzeniu proroka Isy.

Don Pedro z aprobatą pokiwał głową, Luna zaklaskał parę razy w dłonie.

— Zapewniam cię, że mistrz Binilit wszystko potrafi wyryć w ołowiu — podkreślił Castillo.

Hernando przekonał się o zręczności Binilita podczas swojej pierwszej wizyty w Jarafuel. Odszukał najpierw Munira, miejscowego fakiha, który w pierwszej chwili wydał mu się za młody na tak odpowiedzialne stanowisko, i razem udali się do niedużego warsztatu złotniczego. Binilit pracował akurat nad wisiorkiem w kształcie ręki Fatimy zamówionym na ślub: do formy odlewniczej z żelaza włożył srebrną płytkę, przykrył ją ołowianą i kilkakrotnie uderzył w tę drugą z wielką precyzją. Po chwili wyciągnął czysty, gładki klejnot i zaczął go pokrywać geometrycznymi

rysunkami. Tymczasem fakih, powiadomiony wcześniej przez Castilla o wizycie Hernanda, wyjaśniał złotnikowi, czego od niego chciał.

— To sekretne zadanie, od którego może zależeć los naszego ludu na tych ziemiach — dodał na koniec Munir.

Binilit kiwnął głową i po raz pierwszy oderwał wzrok od swojej pracy.

Hernando skorzystał z okazji, by pogratulować mu znakomitego opanowania sztuki złotniczej. Zachęcony przez Binilita dotknął srebrnej ozdoby, myśląc jednocześnie o ręce Fatimy, której tak zazdrośnie strzegł w bibliotece. Ta była chyba trochę lżejsza. Przesunął palcami po nieukończonym rysunku. Pomyślał o dziewczynie, która będzie to nosić. Jaka ona jest? Świadkiem jakich życiowych zdarzeń stanie się to cacko? Uśmiechnął się melancholijnie na wspomnienie swojego życia z Fatimą.

— Podoba ci się? — zapytał Binilit, przywołując go do rzeczywistości.

— Bardzo.

Na kilka chwil zapadła cisza.

— Chciałbym zobaczyć ten tekst — powiedział złotnik.

Hernando odłożył klejnot na miejsce i wręczył mu przyniesione papiery. Mistrz zaczął je przeglądać, najpierw obojętnie, a potem, gdy zauważył wyrysowane w różnych miejscach znaki Salomona i spiczaste litery arabskie, które układały się w niezwyklej treści zdania, zamrugał oczami, jakby zaproponowano mu wielkie wyzwanie, i pograżył się w czytaniu.

— Jest dwadzieścia jeden rozdziałów — wyjaśnił Hernando. — Niektóre krótkie, jednostronicowe, inne dłuższe.

Złotnik przejrzał jeszcze raz te stronicę, rozłożył je na małym stole do pracy, obliczając w myślach, ile potrzeba płytek i jak wryć poszczególne zdania w ołowiu. Raptem trafił na kilka stron, których nie umiał odczytać. To nie była łacina ani dziwaczna kaligrafia arabska wymyślona przez Hernanda.

— Co to? — zapytał.

— Nazwałem to Niemą Księgą. Ten tekst nie ma sensu. Jak widać, pismo całkowicie nieczytelne. Sporo się nabiedziłem, żeby

to ułożyć. W innej księdze — Hernando przerzucił papiery — zatytułowanej *Prawdziwa historia ewangelii*, znajduje się zapowiedź, że odczytanie Niemej Księgi będzie możliwe w późniejszym czasie — wyjaśniał Hernando. Zastanawiał się, czy wspomnieć o ewangelii według Barnaby. Zdecydował jednak, że jeszcze nie pora. — A nastąpi to dopiero wtedy, gdy chrześcijanie będą gotowi przyjąć prawdziwe, niewypaczone przez papieży przesłanie o jedyności Boga. Te dwie księgi składają się na jedną całość.

Binilit mruknął ze zrozumieniem i dalej przeglądał, a Hernando zatopił się w myślach, które od dawna przyświecały jego poczynaniom. Ołowiane tabliczki stanowią pomysłową łamigłówkę wokół centralnej postaci Dziewicy Maryi. Jedna po drugiej prowadzi do Niemej Księgi, ewangelii Dziewicy zapisanej w niezrozumiałym języku. Żaden z badaczy nie potrafi go odczytać. Sytuacja, zadawałoby się, bez wyjścia. Ale, jak powiedział Hernando Binilitowi, w jednej z ksiąg pojawia się zapowiedź wyjaśnienia tego misterium. Będzie to ewangelia Barnaby, której Hernando strzeże jak oka w głowie. Kiedy ołowiane tabliczki zostaną zaakceptowane, a wraz z nimi tajemnicza Niema Księga, ogłosi się ewangelię Barnaby i to świadectwo, tak bliskie islamowi, zabłyśnie jako jedyna niepodważalna prawda.

— Zgadzam się — oznajmił złotnik, wyrrywając go z zamyślenia. — Zawiadomię was, kiedy skończę i płytki będą do odebrania.

Hernando sięgnął do sakiewki, żeby z góry zapłacić złotnikowi, ale ten go powstrzymał.

— Biorę za swoją pracę nie więcej, niż trzeba na skromne życie. Jestem już stary. Zależy mi jedynie na tym, by muzułmanie mogli nosić ozdoby swoich przodków. Zapłacisz mi, kiedy chrześcijanie przyjmą słowo objawione.



Za drugim razem podróż do Jarafuel zajęła Hernandowi cztery dni. Podróżował z karawanami kupców i mulników napotykanych w zajazdach, gdzie spędzał noce. Na drogach łatwo było trafić na

bandytów, ale nie brakowało innych ludzi: mnichów i księży podróżujących od klasztoru do klasztoru, kuglarzy wędrujących z wioski do wioski ze swoimi widowiskami, cudzoziemców i Cyganów, hultajów i mnóstwo żebraków usuniętych z miasta, którzy nagabywali o jałmużnę podróżników i pielgrzymów.

Trzeciego dnia Hernando zatrzymał się na noc w Almansie. Tu kończyła się dla niego ruchliwa, dawna droga rzymska. Dalej trasa biegła polnymi ścieżkami, po których wolał podróżować za dnia. Pozostało mu jeszcze do przebycia jakieś pięć mil.

Następnego dnia, ledwie ruszyli w drogę, Estudiante okazał niepokój, jakby chciał uprzedzić jeźdźca o niebezpieczeństwie. Hernando jechał sam przez żyzną dolinę otoczoną wysokimi górami. W dali wznosił się na skale zamek Ayora, od którego dzieliła go mila. W ciszy słyhać było tylko stąpanie konia. W pewnym momencie Estudiante zastrzygł uszami i zrobił taki ruch, jakby chciał zawrócić. Hernando rozejrzał się bacznie po okolicy, ale nic nie zauważył — cisza i pustka, żadnego ruchu. Jednakże Estudiante szedł niechętnie, wyczuwało się w nim napięcie, strzygł uszami na wszystkie strony. Wyraźnie dawał mu znaki, że coś jest nie w porządku. Hernando postanowił zdać się na instynkt konia i w tym samym momencie, jeszcze zanim spał go ostrogami, Estudiante puścił się cwałem. Hernando przylgnął do jego szyi. Kilka kroków dalej z obu stron drogi wyskoczyli uzbrogjeni mężczyźni. Nawet nie zdążył zobaczyć ich twarzy. Jeden ustawił się zuchwale na samym środku drogi i wymachiwał starą szablą. Hernando krzyknął, żeby ponaglić konia. Bandyta się zawahał, ale w ostatniej chwili odskoczył, unikając stratowania. Hernando nie spuszczał z oczu zardzewiałej szabli. Gdy zrównał się z napastnikiem, zwolnił i lekko skręcił w jego stronę, żeby nie dać się zaskoczyć z boku. Estudiante zareagował natychmiast, jakby miał przed sobą byka, i bandyta wyleciał w powietrze o parę kroków dalej. W następnej chwili koń znowu przeszedł w galop. Hernando pochylił się do przodu, by uniknąć strzałów z arkebuza. Dwie ołowiane kule gwizdnęły mu koło ucha.

— Volador może być z ciebie dumny — poklepał konia po szyi, kiedy znaleźli się obok skały z zamkiem Ayora.

Dojechał do Jarafuel bez nowych incydentów. Odszukał młodego fakiha i poszli razem do warsztatu Binilita. Zostawili Estudiante przywiązanego w ogrodzie na tyłach domu Munira.

— Sam jesteś? — spytał go fakih, kiedy dochodzili do warsztatu.

— Tak. A na dodatek miałem nieprzyjemne spotkanie w okolicach zamku Ayora...

— Nie dlatego pytam — przerwał fakih — ale spróbuję znaleźć kogoś, kto odprowadzi cię przynajmniej do Almansy. Zresztą sam mogę to zrobić. Pytałem, bo nie wiem, czy dasz radę zabrać to wszystko, co przygotował mistrz Binilit. Wykonał wielką pracę.

Hernando nie wziął pod uwagę, że co innego przewozić papiery, a co innego ołowiane płytki. Zabrał z Kordoby tylko torby podróżne, które przewiesił przez grzbiet Estudiante i przywiązał do tylnej części siodła. Po wejściu do warsztatu zagwizdał ze zdziwienia, gdy złotnik pokazał mu to, co zrobił. Sto albo i dwieście płytek... A może jeszcze więcej! Ołowiane medaliony o średnicy pół piędzi, na których mistrz wyrył dostarczone przez Hernanda teksty, leżały ułożone w stos w kącie warsztatu. Nie zmieszczą się w podróżnych sakwach, za duży ciężar!

Wziął pierwszy z brzegu medalion i przeczytał: *Księga o podwalinach Kościoła*. Tak zatytułował jeden z rozdziałów. Zważył ołowiany krążek w dłoni, po czym przyjrzał się pracy złotnika. Wspaniale! Binilit precyzyjnie przeniósł spiczaste litery na tę niewielką płytkę.

— Grzech pierworodny nie dotknął Maryi — rzekł fakih. Hernando odwrócił się w jego stronę. — Spędziłem tu wiele dni, czytając... — wyjaśnił — a raczej próbując zinterpretować twoje teksty. Opuściłeś znaki przestankowe i samogłoski.

— Nie używano ich w tamtej epoce. — Fakih chciał coś wtrącić, lecz Hernando mówił dalej. Binilit słuchał z uwagą. — Poza tym nasze przesłanie nie może być zanadto oczywiste. Musi zawierać pewną dwuznaczność. W przeciwnym razie chrześcijaństwo bez namysłu odrzuca te księgi.

— Niemniej odniesienia do Maryi są oczywiste — zauważył Munir.



— To zrozumiałe. Chrześcijanie przyjmą interwencję Dziewicy bez żadnych wątpliwości — rzekł stanowczo Hernando. — Postać Maryi jest prawdopodobnie jedynym punktem stycznym między dwiema religiami, który jeszcze nie został zakwestionowany. Cała Hiszpania domaga się, by Kościół uznał Niepokalane Poczęcie Maryi jako dogmat wiary. Nasze księgi na swój sposób wspierają tę ideę, więc nie zostaną odrzucone. Jak z pewnością zauważyłeś, Maryja stanowi centralną oś wszystkich rozdziałów. Jest depozytariuszką boskiego przesłania, które powierza Jakubowi i pozostałym apostołom po śmierci Isy. To ona nakazuje świętemu Jakubowi wyruszyć z misją ewangelizacyjną do Hiszpanii i wręcza mu ewangelię, ową nieczytelną Niemą Księgę, której treść pewnego dnia wyjdzie na światło dzienne, lecz nastąpi to dopiero wtedy, gdy chrześcijanie zrozumieją, że Słowo Boże zostało przeinaczone przez papieża. Stanie się to za sprawą muzułmańskiego władcy.

— Co zyskamy, jeśli chrześcijanie nie zrozumieją tego przesłania? — zapytał złotnik. — Przecież mogą zinterpretować je na swoją korzyść.

— Na pewno tak zrobią. Co do tego nie mam wątpliwości — odparł Hernando.

Binilit rozłożył bezradnie ręce, patrząc na stos medalionów, jakby czuł się oszukany po tak ciężkiej pracy.

— Właśnie o to nam chodzi, Binilit — uspokajał go Hernando. — Jeśli chrześcijanie zinterpretują te księgi na swoją korzyść, będą musieli przyznać, że zarówno święty Cecilio, patron Grenady, jak i jego brat, święty Tesifón, byli Arabami. Obaj przybyli ze świętym Jakubem do Hiszpanii w celach ewangelizacyjnych. Arab patronem Grenady! Wyobrażacie to sobie? Nawet gdyby bardzo chcieli, nie mogą wziąć z tych ksiąg tylko tego, co im odpowiada, a resztę wyrzucić. Będą musieli przyjąć do wiadomości słowa Dziewicy Maryi, że arabski jest najwznioślejszym ze wszystkich języków. Będą musieli pogodzić się z tym poglądem i z wieloma innymi, występującymi w naszych księgach. W przeciwnym razie stracą możliwość wykorzystania tych fragmentów, które najbardziej ich interesują. To dobry sposób na zbliżenie między nami. Może

uda się obalić zakaz używania języka arabskiego? — Munir przytaknął zamyślony. — Ludzie zaczną się zastanawiać nad swoimi dotychczasowymi przekonaniem, zakwestionują różne pisma i opinie. Chrześcijanie i muzułmanie wierzą w jednego Boga! Czy to możliwe? Prosty lud tego nie wie, a kapłani ukrywają to przed nim, traktując Proroka z lekceważeniem. W porównaniu z odkryciem w wieży Turpiana jest to tylko jeden krok dalej. I wcale niedecydujący. Dopiero po ujawnieniu prawdziwej treści Niemej Księgi, ewangelii niezafałszowanej przez papieży, te wszystkie dwuznaczności figurujące na ołowianych tabliczkach, jak na przykład natura Isy i kolejne muzułmańskie wyznania wiary, zostaną zinterpretowane podług naszych wierzeń.

— Ale jak poznać treść nieczytelnej księgi? — zapytał złotnik.

— Tego tekstu nie da się rozszyfrować — wyjaśnił Hernando. — Wystarczy, że zostanie zaakceptowany jako ewangelia Dziewicy. Jeśli chrześcijanie zaakceptują ołowiane księgi, to muszą zaakceptować również zapowiedź przybycia muzułmańskiego władcy, który przyniesie im prawdziwą ewangelię, nieprzeinaczoną przez żadnego papieża ani ewangelistę. Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że to, co głosi ta ewangelia, jest sprzeczne z treścią Niemej Księgi... Koło się zamknie. Enigmatyczna Niema Księga, czyli ewangelia Dziewicy, znajdzie swoje wyjaśnienie w ewangelii przyniesionej z ziemi arabskiej. Tego nikt nie poda w wątpliwość, bo trzeba byłoby podważyć również i to, co już spotkało się z uznaniem.

Ewangelia Barnaby jest nie do podważenia, dodał w myślach.



Hernando spędził noc w domu Munira i miał możliwość pomodlić się z fakihem, czego dawno już nie robił.

Następnie wdali się w długą, żarliwą rozmowę, która przeciągnęła się do świtu. W odludnych regionach królestwa Walencji moryskom udało się zachować wierzenia i zwyczaje. Panom tych ziem zależało głównie na zyskach czerpanych z pracy morysków i nie zwracali uwagi na ich sposób życia. Księża nie interesowali się zbytnio ewangelizacją.

Rano Munir z dwoma młodymi moryskami odprowadzili go do Almansy. Droga zajęła im cały dzień i przybyli do miasta o zmroku. Hernando wyruszył zaraz na poszukiwanie zajazdu i podróźnych udających się do Grenady, a jego towarzysze zatrzymali się pod miastem, gdzie zamierzali przeczekać do rana pod gołym niebem pomimo zimowej pory. Musieli się ukryć, ponieważ nie mieli zezwolenia na opuszczenie Jarafuel.

— Niech Allah prowadzi cię prostą drogą do celu — powiedział fahki na pożegnanie.

Droga do Grenady zajęła Hernandowi cztery dni. Podróżował w towarzystwie kupców, mnichów i żołnierzy, którzy udawali się do Murcii albo do miasta Alhambra. W sakwach podróźnych wiozł nieco ponad dwadzieścia medalionów z łożu starannie wybranych ze stosu przygotowanego przez Binilita. Zdecydował się na dwie księgi: *Podwaliny Kościoła* i *Istota Boga*, oraz na rozdziały o męczeństwie uczniów świętego Jakuba, głównie świętego Cecilia. W jednym z tekstów Hernando nawiązał do znaleziska w wieży Turpiana. Pragnął w ten sposób uwiarygodnić swój pergaminowy kwestionowany przez niektórych badaczy.

Przed wyjazdem z Jarafuel przyrzekł złotnikowi, że on sam lub któryś z jego granadyjskich przyjaciół zgłosi się po odbiór reszty medalionów. Po drodze rozповідаł na prawo i lewo o swojej pracy dla arcybiskupa Grenady, pokazywał dokument zezwalający na swobodne przemieszczanie się z miasta do miasta, wyciągał z sakwy pisma o okrutnych zbrodniach w Alpuharze. Kto by ośmielił się grzebać w sakwach zawierających materiały o męczennikach z Alpuhary?

Na wszelki wypadek nie rozstawał się z torbami ani za dnia, ani nocą, kiedy wkładał je sobie pod głowę.

Stracił cały jeden dzień w Huéscar, dokąd przybył w sobotę wieczorem. W niedzielę poszedł na sumę, a potem czekał na zaświadczenie o wypełnieniu powinności religijnych. Taki dokument miał obowiązek przedstawić po powrocie do Kordoby proboszczowi parafii Santa Maria. W kościele podeszło do niego trzech bosych franciszkanów udających się do Grenady, którzy dowiedzieli

się od księdza, że Hernando jedzie w tym samym kierunku, i zaproponowali mu swoje towarzystwo. Nie omieszkali zapytać o cel jego podróży.

— Sami rozumiecie — powiedział, kiedy zapragnęli zobaczyć relację o męczennikach Alpuhary — że to jest poufne. Dopóki arcybiskup nie zatwierdzi pisma, nikt nie ma prawa go przeczytać.

Tak więc ostatni etap drogi odbył w towarzystwie trzech franciszkanów, którzy pomimo zimowej pory nosili tylko brunatny habit z szorstkiej wełny w kolorze ziemi symbolizującym pokorę. Mieli specjalne przepustki, które mu pokazali, wyjaśniając zarazem, iż musieli wystąpić do prowincjała zakonu o zgodę na używanie w podróży odkrytych sandałów na podeszwie sznurkowej, gdyż zazwyczaj chodzili boso. W ciągu dwóch dni wspólnego podróżowania miał okazję lepiej ich poznać i był prawdziwie zaskoczony surowością reguł zakonnych i wielkim ubóstwem bosych, którzy żyli tylko z jałmużny. Podziwiał ich umiar w jedzeniu i stoicki spokój, z jakim znosili trudne warunki życia, zwłaszcza gdy spali na gołej ziemi.

Pożegnał braciszków u wejścia do Grenady, zaraz za bramą Guadix, nad Albaicín.

Stamtąd ruszył dalej nad brzegiem Darro w dół do Plaza Nueva i pałacu Tiros. Po prawej stronie rozciągało się zbocze z willową dzielnicą Granady niewidoczną we mgle tego zimowego dnia. Co słyhać u Isabel? Nie widział jej od siedmiu lat. W tym czasie był parę razy w Grenadzie na zaproszenie don Pedra, Miguela de Luna lub Alonsa del Castillo oraz na wezwanie arcybiskupa, ale nie próbował spotkać się z Isabel, respektując jej łzawą prośbę w dniu pożegnania na schodach kościoła.

Cmoknął na Estudiante, żeby go ponaglić. Siedem lat! Owszem, wpadał czasem do rudej z burdelu albo do innej kobiety, ale nigdy nie zapomni ostatniej nocy z Isabel, kiedy było im razem jak w niebie. Wydało się nagle, że widzi we mgle taras willi sędziego wychodzący na zbocze nad Darro. Wpatrując się w to miejsce, poczuł niezwykłą słabość w całym ciele. Wypuścił wodze z rąk. Estudiante zatrzymał się, żeby poskubać trawę na skraju drogi.

W dole szumiały wody Darro. Ciężko pracował dla swojego Boga i co z tego miał? Wspomnienie pięknej, zmysłowej Isabel... i pamięć o tych, którzy odeszli: matka, Hamid... Fatima oraz dzieci. Żyje marzeniem o pojednaniu dwóch skłóconych religii, pragnie udowodnić wyższość Proroka. Po co? Dla kogo? Kto mu za to podziękuje? Gmina morysków, która nie chce go znać? Zrobił następny krok, pierwszym było odkrycie w wieży Turpiana, i co teraz? A jeśli się nie uda? Fatima! Czarne, migdałowe oczy odżyły w jego pamięci, jej uśmiech, stanowczy charakter, złoty wisiorek na szyi... ich miłosne noce... Łza spłynęła mu po policzku, nawet nie próbował jej powstrzymać. Jego myśli pobiegły ku dzieciom, które kiedyś bawiły się na patio w domu w Kordobie, pobierały lekcje u Hamida, uczyły się, śmiały albo po prostu siedziały i patrzyły na niego szczęśliwe.

Musi to powiedzieć! Musi wyjawić prawdę.

— Czuję się samotny, i to mi doskwiera — mruknął nieswoim głosem, szarpiąc za wodze konia, żeby przestał gryźć trawę i ruszył od nowa.



Tymczasem w jego domu w Kordobie Miguel co wieczór spotykał się z Rafaelą, ale nie opowiadał już o fantastycznych stworach, tylko o Hernandezie, który jest jego panem, dzielnym i przystojnym mężczyzną, właścicielem domu. Rafaela słuchała z zachwytem opowieści młodego kaleki. Hernando był w nich bohaterem ratującym dziewczęta podczas wojny, wojownikiem, który pokonał wiele niebezpieczeństw. Prawie płakała, gdy Miguel mówił o jego żonie i dzieciach zamordowanych przez okrutnych bandytów... Kaleka uśmiechnął się z pewnym smutkiem, obserwując, jak Rafaela stopniowo i nieświadomie przywiązuje się do bohatera jego opowieści.

# 60

Hernando zamierzał pozostać w Grenadzie nie dłużej niż trzeba, żeby przekazać ołowiane księgi. Po siedmiu latach studiów i pracy, w momencie gdy oddawał swoje dzieło do dyspozycji don Pedra, Luny i Castilla czekających na niego w pałacu Tiros, ogarnęły go wątpliwości, czy to wszystko przyniesie pożądany skutek.

Trzej mężczyźni brali medaliony i z namaszczeniem przekazywali je sobie z rąk do rąk po zapoznaniu się z ich treścią. Aby im nie przeszkadzać, Hernando odszedł na bok i stanął przy jednym z okien Złotej Sali. Zagapił się na klasztor Franciszkanów naprzeciwko pałacu Tiros. Czy to dobry pomysł? — przyszło mu do głowy pytanie. Cały kraj żyje legendami, bajkami, mitami. Czytał je, przestudiował prawie wszystkie. Sam skopiował setki proroctw. Trafiały do łatwowiernych umysłów ciemnych ludzi, wszystko jedno chrześcijan czy muzułmanów, gdyż jedni i drudzy byli zafascynowani czarami i magią.

Zaledwie kilka dni temu w Jarafuel z widokiem na Muela de Cortes po drugiej stronie doliny, kiedy rozmawiał o przyszłości morysków w Hiszpanii z Munirem, dowiedział się od niego o proroctwie, którego nie znał, a które było bardzo popularne w tych stronach. Miejscowi wierzyli, że pewnego dnia przybędzie

ich wyswobodzić rycerz — Maur al-Fatimi albo Alfatimí, który ukrywa się w górach od czasów Jakuba I Zdobywcy, czyli już ponad trzysta lat.

— Nie ma jedynie zgody co do tego, kto jest zielony: rycerz czy jego koń — ubolewał młody fakih. — Niektórzy twierdzą, że obaj.

Zielony rycerz sprzed trzystu lat przybywa na ratunek... Co za naiwność!

Spojrzał na swoich towarzyszy w Złotej Sali, którzy z uwagą studiowali medaliony. Pokręcił głową, odwracając się znowu do okna. Ołowiane księgi to co innego. Tu nie chodzi o zwykłe proroctwa. Te księgi mają zmienić świat religijnych wierzeń, podważyć fundamenty Kościoła chrześcijańskiego. Będą je czytać biskupi, księża, mnisi i intelektualiści, ludzie uczeni i wykształceni. Sprawą zainteresuje się sam Rzym! Nigdy dotąd o tym nie myślał, kiedy pracował, puszczając wodze wyobraźni, nad połączeniem tradycji, historii i legend wokół postaci Dziewicy, spletał te wątki z życiem świętych mężów apostołów, poruszał się między jedną religią a drugą, rozsiewając tu i ówdzie błędy i niejasności. Kim on jest, by zmieniać bieg historii? Czyżby Bóg go oświecił? Jego, który był popychadłem mulnika w małej wiosce w Alpuharze? Ty pyszałku! Zarozumiałcze! — wyrzucał sobie. Teksty wryte na tych małych medalionach wydały mu się nagle prostackie, wulgarne, niejasne...

— To wspaniałe!

Odwrócił się zdziwiony.

Don Pedro, Luna i Castillo uśmiechali się. „To wspaniałe!”. Tak zawołał Alonso del Castillo, a dwaj pozostali przyłączyli się do chóru pochwał. Dlaczego on nie potrafi dzielić z nimi tego entuzjazmu? Poinformował, że reszta ołowianych ksiąg czeka na odebranie u Binilita. Powiedział również, iż przy medalionach powinno się rozrzucić kości i prochy, których on nie mógł przywieźć z Kordoby. Poprosił, by w jego imieniu przekazali kapitule katedralnej to, co napisał o męczennikach. Kiedy Castillo jeszcze raz zapytał o kopię ewangelii według Barnaby, odparł, że jej nie

ma. Zniszczył kopię, gdy wyrzucali go z pałacu księcia, i nie pomyślał do tej pory o ponownym przepisaniu, zresztą miał ważniejsze rzeczy do zrobienia, studiowanie i redakcja tekstów do łożnianych ksiąg nie zostawiały mu czasu na nic innego.

— Wobec tego prześlijmy oryginał do Wysokiej Porty, co wy na to? Świat powinien jak najszybciej dowiedzieć się o tej ewangelii z ust sułtana — nalegał don Pedro.

Luna uspokoił szlachcica:

— Jeszcze nie teraz. Mamy czas. Dbaj o tę księgę, żeby była bezpieczna — powiedział, zwracając się do Hernando. — Skończyłeś jedną pracę ze wspaniałym wynikiem. Zajmij się następną. Zrób nową kopię ewangelii, bo my też chcemy się z nią zapoznać. Nie mogę się już doczekać, kiedy to przeczytam.

— Uważam, że byłoby nierozsądne rozstawać się teraz z tym dokumentem — argumentował Hernando. — Uczynimy to, kiedy będziemy mieć pewność, że sułtan nas popiera. Na razie Turcy nie wykazali się szczególną pomocą dla naszego ludu.

Potem trójka przyjaciół pograżyła się w rozważaniach: jak i gdzie powiadomić świat chrześcijański o istnieniu łożnianych ksiąg. W pewnym momencie Hernando zakomunikował, że wraca do Kordoby.

— Jesteś dziś wyjątkowo małomówny — zauważył Castillo. — Odnoszę wrażenie, że nie podzielasz naszej radości i nadziei. Przecież to wszystko — tłumacz pokazał na medaliony leżące na stole — jest owocem twojej pracy, Hernando. Wieloletniej pracy. Wyjątkowej. Co ci dolega?

Nie był przygotowany na to pytanie. Zawahał się. Oparł brodę na dłoni i spojrzał bacznie na swoich towarzyszy.

— Nachodzą mnie wątpliwości. Potrzebuję... nie wiem. Sam nie wiem, czego mi trzeba. Może powinienem na pewien czas wyłączyć się z waszej pracy...

— Naszej pracy? — obruszył się don Pedro. — Przecież ty jesteś głównym twórcą i pomysłodawcą!

Hernando uciszył go spokojnym ruchem dłoni.



— Oczywiście i wcale się tego nie wypieram, ale mam poczucie, że teraz niewiele wam pomogę.

— Jesteś zmęczony — wtrącił Miguel de Luna. — Zmęczony, wypalony. Ciężko pracowałeś, więc nie ma się co dziwić. Odpocznij. To dobrze ci zrobi. Sami się tym zajmiemy.

— Tą pracą przyczyniłem się do śmierci mojej matki. — Hernando zaskoczył ich tym wyznaniem. Don Pedro, Miguel de Luna i Alonso del Castillo patrzyli, jak zmienia się na twarzy i walczy ze łzami. Szlachcic opuścił wzrok. Dwóch pozostałych wymieniło pytające spojrzenia.

— Nie mogła znieść myśli, że syn przeszedł na stronę chrześcijan, a ja przysiągłem nie zdradzać nikomu naszego planu. — Westchnął głęboko i dorzucił drżącym głosem: — Na razie tylko tyle osiągnąłem tą pracą.



Hernando cmoknął na Estudiante, popędzając go w drodze powrotnej do Kordoby. Wyjechał z Grenady o świcie, nie szukając towarzystwa w długiej podróży. Kiedy znalazł się na równinie za miastem, stanął w strzemiionach i obejrzał się za siebie na białe szczyty łańcucha Sierra Nevada. Było zimno. Najwyżej położone wioski Alpuhary po drugiej stronie z pewnością też pokrywał śnieg. Juviles. Tam przeżył dzieciństwo z matką... i z Hamidem. Potrząsnął głową, kiedy przeleciało stado drozdów tak nisko, że niemal musnęły go skrzydłami. Raptem wzbily się wysoko, jakby chciały osiągnąć górskich szczytów, ale potem, trochę dalej, wszystkie naraz zawróciły i poleciały nad pola uprawne. Opadł z powrotem na siodło, odłożył wodze i zaczął energicznie zacierać ręce, złożył dłonie w łódkę i ogrzewał je ciepłym oddechem. Domy i zagrody powyrastały rozproszone na żyznej ziemi granadyjskiej niziny. Tu i ówdzie widać było mężczyzn pracujących na polu. Niejeden z nich podniósł oczy na przejeżdżającego w oddali jeźdźca: Hernando zbadał wzrokiem horyzont i westchnął na myśl o długiej, samotnej podróży, jaka go czekała. Za całe towarzystwo

miał rytmiczny tętent kopyt Estudiante na stwardniałej od zimna ziemi.

Miguel zauważył smutek i przygnębienie swojego pana, gdy tylko go zobaczył. Czekał na jego powrót z niepokojem, żeby powiedzieć mu o Rafaeli. Przed wyjazdem Hernando obiecał mu rozmowę, ale teraz był w takim stanie, że Miguel nie ośmielił się podjąć tematu i przez kilka kolejnych dni poprzestawał na zdawaniu relacji o tym, co nowego wydarzyło się w domu, na folwarku i w zagrodzie. Posprzeczał się z Toribiem w związku z niewłaściwą tresurą zwierzaka! — wyjaśniał z oburzeniem, groźnie wymachując kulą.

— Znęcał się nad nim bez powodu! — krzyknął. — Spinał go ostrogami, choć biedne zwierzę nie rozumiało, o co mu chodzi.

Jednakże żadna wiadomość nie była w stanie poruszyć Hernanda, męczyła go nostalgia mimo przejazdów konnych i sporadycznych nocnych wypadów do burdelu.

— Panie! — zawołał pewnego dnia zasapany Miguel, przemierzając skokami odległość dzielącą go od patio — znasz historię o kocie, który chciał wsiąść na konia? — Hernando zatrzymał się. Ucichł stukot kul za jego plecami. — To był bury kot...

— Wiem — przerwał mu Hernando — słyszałem, jak to opowiadałeś matce w zajeździe Potro. Złe czarownice rzuciły urok na szlachcica i zamieniły go w kota. Aby odzyskać ludzką postać, musiał dosiąść konia bojowego. Nie pamiętam, co było dalej. Słuchałem niezbyt uważnie.

— W takim razie opowiem ci o rycerzu, który mieszkał w wieży i był bardzo samotny... — Miguel zawiesił znacząco głos. Hernando parsknął. Na kilka chwil zapadła cisza.

— Nie wiem, czy spodoba mi się ta opowieść, Miguelu.

— Może nie, ale najpierw posłuchaj... Rycerz...

Hernando uciszył go jednym gestem.

— Mów, o co ci chodzi?

— Samotność jest złą rzeczą! — Kaleka podniósł głos. — Skończyłeś swoją pracę i co zamierzasz dalej robić? Spędzać całe

dni w bibliotece pośród książek? Pomyśl o tym, żeby się ożenić. Nie chciałbyś założyć rodziny i mieć dzieci?

Hernando nie odpowiedział. Miguel machnął rękę ze znużeniem, odwrócił się i odszedł, opierając się na kulach.



Tymczasem Hernando jak zwykle schronił się w bibliotece. W zamyśleniu spoglądał na zbiór prawie trzydziestu książek zgromadzonych w ciągu ostatnich siedmiu lat pracy. Stały na półkach starannie uporządkowane. Wziął jedną z nich i próbował poczytać, lecz nie minęło dużo czasu i poczuł się już zmęczony. Próbował też zająć się kaligrafią, jednakże pióro niezdarnie ślizgało się po papierze. Miał wrażenie, że stracił ową szczególną więź duchową, która winna połączyć go z Bogiem, kiedy rysował znaki na Jego chwałę. Ujął delikatnie ostatnie przygotowane pióro i sprawdził: może jest źle zaostrome? Ale nie, wszystko było w porządku, czubek miał odpowiednie zgięcie... Nagle zrozumiał: to ten brak więzi z Bogiem! Uderzył pięścią w biurko. Że też wcześniej na to nie wpadł!

Nazajutrz rano Hernando udał się do meczetu. Przed wyjściem dokonał w domu obowiązkowych ablucji. Czyżby zapomniał o swoim Bogu? — zastanawiał się, przemierzając krótki odcinek drogi do Bramy Przebaczenia. Od siedmiu lat pisał o Najświętszej Maryi Pannie, apostołe Jakubie i rozlicznych świętych oraz męczennikach, którzy przybyli do hiszpańskich królestw. Jego intencje były dobre, ale ta praca... czyżby osłabiła jego wiarę i siłę przekonań? Zaprzagnął stanąć przed mihrabem, choć tak sprofanowanym przez chrześcijan, i pomodlić się, nieważne, że na stojąco i w milczeniu. Skoro *takijja* zezwalała im na ukrywanie wiary, nie poczytując tego za grzech lub odstępstwo, to dlaczego nie miały modlić się ukradkiem w meczecie? Tam, za sarkofagiem gubernatora rubieży don Alonsa Fernándeza de Montemayor było jedno z najwspanialszych miejsc kultu, jakie wyznawcy Proroka stworzyli na przestrzeni wieków. Przeszedł przez Bramę Przebaczenia

i wszedł do ogrodu, gdzie w krużgankach wciąż wisały niezliczone sambenita osób skazanych przez inkwizycję, z tabliczkami zawierającymi ich nazwiska oraz opis przewinień, a przestępcy korzystający z prawa azylu w tym świętym miejscu kulili się z zimna pod ołowianym niebem. Las cudownych łuków meczetu przyniósł mu powiew spokoju. Kroczył beztróska przez świątynię. Mijał kapłanów i wiernych przybyłych na nabożeństwa odprawiane w bocznych kaplicach. Prace budowlane w prezbiterium i chórze przerwano jakiś czas temu i tak już zostało. Cyborium z kopułą, chór i część sklepienia wciąż czekały na wykończenie. Chrześcijanie byli skąpi wobec swojego Boga, pomyślał, patrząc na niedokończone prace. Biskupi i królowie opływali we wszystkie bogactwa, ale woleli wydawać pieniądze na luksusy niż na świątynię.

„O wy, którzy wierzycie!”, próbował odczytać przez warstwę tynku, którym chrześcijanie pokryli słowo objawione. Był to początek inskrypcji kufickich piątej sury Koranu z fryzu przed mihrabem. W myślach recytował ciąg dalszy; „Kiedy stajecie do modlitwy...”.

Modląc się, doznał olśnienia, jakby Bóg chciał go wynagrodzić za pobożność: prawda, słowo objawione, wykute w twardym, wspaniałym marmurze jest ukryte za wulgarną powłoką tynku, która odpadnie, gdy trochę w nią uderzyć! Czy nie ma tu podobieństwa do sytuacji, z którą on zamierza walczyć za pomocą ołowianych ksiąg? Prawdę, jedyną prawdę stanowiącą o prymacie islamu, papiescy słudzy przykryli słowami i knowaniami, tworząc fikcję, która rozpadnie się po ujawnieniu Niemej Księgi, podobnie jak w każdej chwili może opaść tynk nałożony na słowo objawione w mihrabie kordobańskiego meczetu. Podniósł wzrok ku dwójnym łukom, które wznosiły się nad pojedynczymi, by spocząć na smukłych, marmurowych kolumnach: potęga Boga spadała jak ołów prosto na wierzących w przeciwieństwie do tego, co działo się z chrześcijanami w ich świątyniach opartych na ciężkiej podstawie. Brzemie boskiej woli spoczywa na zwyczajnych ludziach wierzących, takich jak on. Zachłysnął się tą cudowną

pewnością i miał ochotę wykrzyczeć swoją modlitwę do jedyne go Boga, ale tylko poruszał bezgłośnie wargami, by żaden dźwięk nie był słyszalny na zewnątrz.



Tego samego dnia na wzgórzu Valparaíso koło Grenady dwaj poszukiwacze, którzy, jak wielu innych, grzebali w granadyjskiej ziemi z nadzieją znalezienia kosztowności ukrytych przez morysków, kiedy w pośpiechu porzucali swoje domostwa w górach, trafili w pieczarze starej, opuszczonej kopalni tuż nad Albaicinem na dziwną i nikomu nieprzydatną płytkę ołowiu z zamazanymi łaćńskimi napisami.

Niezrozumiałe dla odkrywców znalezisko przeszło w ręce Kościoła. Zajął się nim tłumacz, jezuita, który w miarę postępów swej pracy dochodził do wniosku, że ma w ręku prawdziwy skarb. Była to inskrypcja nagrobkowa z miejsca pochówku świętego Mesitóna, męczennika zgładzonego za panowania cesarza Nerona, jednego z siedmiu mężów apostołów, o których mówiła legenda, a którego szczątki nigdy dotąd nie zostały odnalezione. Arcybiskup don Pedro de Castro rozkazał zebrać prochy z pieczary i rozpocząć poszukiwania w sąsiednich dołach kopalnianych. W marcu tego samego roku znaleziono płytkę z grobu świętego Hiscia obok prochów i zwapniałych kości ludzkich. Pod koniec miesiąca pojawiła się *Księga o podwalinach Kościoła*, a trochę później *Księga o istocie Boga*. 30 kwietnia, w Wielkim Tygodniu przepę nionym ekstazą religijną, kiedy Grenadyjczycy na własnej skórze i sumieniu odczuwali mękę Jezusa Chrystusa, dziewczynka imie niem Isabel znalazła płytkę zaświadczącą o męczeństwie świętego Cecilia, patrona Grenady i pierwszego biskupa Ilíberis. Obok płytki leżały tak pożądane i długo poszukiwane relikwie świętego.

Całą Grenadę ogarnął religijny ferwor.



Miguel dostrzegł w Hernandzie zmianę na lepsze po ostatniej wizycie w meczecie. Niebieskie oczy odzyskały swój charakterys-

tyczny blask, a na twarz wrócił uśmiech. Miguel musiał z nim porozmawiać. Sytuacja Rafaeli stawała się wręcz rozpaczliwa, albowiem jej ojciec, ławnik don Martín, dogadał się z jednym z wielu klasztorów w mieście, który zgodził się przyjąć ją bez posagu, i wkrótce miała opuścić dom. Pewnego dnia po obiedzie wdrapał się z wysiłkiem po schodach do biblioteki na pierwszym piętrze, gdzie zastał swojego pana i przyjaciela przy kaligrafowaniu.

— Panie, od dawna chcę ci coś powiedzieć — zakomunikował, nie ruszając się z progu, gdyż był pełen szacunku dla tego miejsca, które uważał niemal za święte. Zaczekał, aż Hernando podniesie głowę.

— Więc mów. Coś ci się stało?

Miguel zakasłał i wszedł trochę głębiej.

— Pamiętasz dziewczynę, o której ci mówiłem przed twoim wyjazdem do Grenady?

Hernando westchnął. Kompletnie zapomniał o obietnicy złożonej Miguelowi. Nie wiedział, czego może od niego chcieć ani dlaczego tak mu zależy na tej dziewczynie, lecz powaga i strapienie na zazwyczaj wesołej twarzy przyjaciela wskazywały, że to nie żarty.

— Wejdz i usiądź — powiedział z uśmiechem. — Przeczuwam, że opowieść będzie długa... Co z tą dziewczyną? — dodał, patrząc na Miguela, który dowlókł się i opadł na krzesło.

— Ma na imię Rafaela — zaczął Miguel — i jest zdesperowana, panie. Jej ojciec, ławnik, chce ją zamknąć w klasztorze.

Hernando rozłożył ręce.

— Wiele córek z chrześcijańskich domów chętnie przywdziewa habit.

— Ale ona tego nie pragnie — natychmiast zripostował Miguel. Kule leżały na podłodze po obu stronach krzesła. — Ławnik nie chce wręczyć klasztorowi określonej sumy pieniędzy, więc Rafaelę czeka przyszłość służącej zakonnicy.

Hernando nie wiedział, co powiedzieć, patrzył z zakłopotaniem na zaczerwienioną twarz przyjaciela.

— I co ja mam z tym zrobić? Nic na to nie poradzę...

— Ożeń się z nią! — przerwał Miguel, nie ośmielając się podnieść oczu.

— Co? — Mina Hernanda wyrażała całkowitą konsternację. Nie wiedział, śmiać się, czy gniewać. Nie skomentował tego, zwłaszcza że Miguel spojrzał na niego ze łzami w oczach, walcząc, by się nie rozplakać.

— To dobre rozwiązanie! — mówił dalej kaleka ośmielony milczeniem przyjaciela. — Ty jesteś sam, ona musi wyjść za mąż, jeśli nie chce dać się zamknąć w klasztorze... Wszystko się ułoży.

Hernando słuchał z osłupieniem. Czy Miguel mówi serio? Wszystko wskazuje na to, że tak.

— Miguelu — zaczął powoli — ty lepiej od kogokolwiek innego wiesz, że niełatwo mi o tym mówić. — Młodzieniec zatrzymał na nim spojrzenie. — Miguelu — kontynuował Hernando, siląc się na odpowiedź, która nie urazi chłopaka — zakładając, że zgodziłbym się poślubić tę dziewczynę, której, jak wiesz, nawet nie znam, to czy sądzisz, że dumny ławnik Kordoby zaakceptuje mnie jako zięcia? Pozwoli, by jego córka wyszła za moryska? — Miguel próbował coś wtrącić, jakby miał na to radę, ale Hernando nie dopuścił go do słowa. — Zaczekaj... — powiedział z naciskiem.

Wtem zrozumiał, co tak naprawdę dzieje się z Miguelem. Ostatnio sam był tak zaabsorbowany swoimi myślami, że nie dostrzegł zmiany w zachowaniu chłopaka.

— Zdaje się, że jest jeszcze jeden problem, dużo trudniejszy do rozwiązania... — Wbił niebieskie oczy w twarz młodzieńca, którego uważał za jedyne przyjaciela. Obaj milczeli przez kilka chwil. — Ty... ty jesteś zakochany w tej dziewczynie, prawda?

Kaleka spuścił wzrok, ale zaraz potem zmierzył się ze spojrzeniem Hernanda i odparł z determinacją.

— Nie wiem. Nie wiem, co to znaczy kochać kogoś. Rafaela... Podobają się jej moje opowieści. Uspokaja się, kiedy głaszcze konia i mówi do niego. W stajni zapomina o swoich problemach i przestaje płakać. Jest miła i naiwna. — Miguel opuścił głowę na

piersi, potrząsnął nią parę razy i przesunął palcami po brodzie. Na ten widok Hernando poczuł, że opuszczają go siły i coś go ściska za gardło. — Ona jest... taka delikatna, piękna. Jest...

— Ty ją kochasz — powiedział cicho, lecz stanowczo. Odchrząknął parę razy. — Jak wyobrażasz sobie wspólne życie w tym domu? Jak mogę ożenić się z kobietą, w której jesteś zakochany? Mijałobyśmy się codziennie, patrząc na siebie z niechęcią. Wyobrażnia nie dawałaby ci spać nocami.

— Nie rozumiesz. — Miguel znowu opuścił głowę. Mówił szeptem: — Ja nic nie myślę. Nie mam wyobraźni ani żadnych pragnień. Nie mogę kochać kobiety, tak jak kocha ją mąż. Nigdy mnie nie szanowano. Jestem śmieciem! Moje życie nie jest warte złamanego grosza. — Hernando próbował coś powiedzieć, lecz tym razem to Miguel nie dał mu dojść do słowa: — Nigdy nie miałem większych ambicji ponad to, by zdobyć coś do jedzenia, choćby kość lub kawałek spleśniałego chleba. Jakie to ma znaczenie, czy ją kocham, czy nie? Co z tego, że jej pożądam? Przez całe moje życie wszelkie nadzieje i złudzenia rozbijały się o moje nogi. Ale dziś mam szansę na jakąś zmianę. Po raz pierwszy w życiu moje złudzenie może stać się rzeczywistością dzięki tobie. Rozumiesz? Przez dziewiętnaście lat, bo chyba tyle żyję, nigdy, nigdy nie miałem możliwości spełnić choć jednego marzenia! Wiem, zabrałeś mnie z ulicy i dałeś mi pracę. Ale teraz mówię o moim marzeniu. Tylko moim! Pragnę pomóc tej dziewczynie.

— A ona cię kocha?

Miguel podniósł głowę i wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu.

— Kalekę? Służącego? Ona kocha ciebie...

— Co ty mówisz...? — Hernando podniósł się z krzesła.

— Tyle jej o tobie opowiadałem, że chyba cię pokochała, a przynajmniej głęboko podziwia. Ty byłeś bohaterem moich opowieści. Wybawicielem młodych panien z nieszczęścia, poskromicielem dzikich zwierząt, zaklinaczem węży...

— Oszalałeś? — Niebieskie oczy Hernanda o mało nie wyszły mu na wierzch.



— Tak, panie — odpowiedział Miguel z wypiękami na twarzy. — Już jakiś czas temu dopadło mnie to szaleństwo i wciąż trzymam.



Tego samego dnia wieczorem Miguel znowu przyczłapał do biblioteki, gdzie Hernando pracował nad kolejną kopią ewangelii Barnaby na prośbę szlachciców z Grenady. Don Pedro i jego przyjaciele nalegali na wysłanie do Turcji egzemplarza, który ukrywał zazdrośnie w swojej bibliotece. Musi przyspieszyć przepisywanie.

Podczas ostatniego spotkania zdołał ich przekonać, że to nie najlepszy moment na wysyłanie ewangelii, ale kto wie, czy następnym razem też się uda odwlec sprawę. Hernando miał wiele zastrzeżeń wobec sułtana. Czy na pewno udzieli moryskom pomocy? Co prawda rola, jaką zarezerwował dla sułtana w tej historii, polegała jedynie na ujawnieniu w odpowiednim momencie ewangelii zapowiadanej przez Niemą Księżę. Tu nie chodziło o wysłanie osmańskiej armady na podbój posiadłości króla Hiszpanii. Sułtan miał się objawić jako król królów, zapowiadany przez Dziewicę Maryję, i obnażyć kłamstwa papistów.

— Panie — Miguel oderwał go od pracy — chciałbym przedstawić ci Rafaelę.

— Przeszkadzasz mi... — zaczął narzekać.

— Bardzo pana proszę. — W głosie Miguela było tyle błagania, że Hernando nie śmiał odmówić. Zresztą budziła się w nim ciekawość.



Rafaela stała przy Estudiante. Palce jednej ręki wplotła w jego długą, gęstą grzywę, a drugą głaskała go po wardze. Stajnia była słabo oświetlona, świeciła się tylko jedna lampa ustawiona z dala od słomy. Hernando zobaczył skromną, zawstydzoną dziewczynę z pochyloną głową. Miguel zatrzymał się nieco z tyłu, jakby nie chciał przeszkadzać. Hernando się zawahał. Dlaczego był zdener-

wowany? Co Miguel opowiedział dziewczynie oprócz tego, że uczynił go bohaterem swoich bajek. Podszedł bliżej do Rafaeli, która wciąż patrzyła pod nogi. Miała na sobie długą spódnicę do kostek przepasaną fartuchem, żeby się nie pobrudziła, i rozpinany kaftan z rękawami, spod którego wystawała koszula. Ten prosty strój był bury i wisiał na niej luźno, jakby nie miał czego opinać. Co ten Miguel jej obiecał? Może... Chyba nie to, że on się z nią ożeni, by uwolnić ją od klasztoru? Przecież jeszcze niczego nie ustalili.

Wtem pożałował, że przyszedł do stajni. Odwrócił się do wyjścia, ale natknął się na Miguela, który zastąpił mu drogę mocno rozparty na kulach.

— Panie, ja bardzo proszę — powiedziała błagalnie Rafaela.

Hernando ustąpił i znowu odwrócił się w stronę dziewczyny. Patrzyła na niego brązowymi oczami, które nawet w półmroku wyrażały smutek.

— Ja... — próbował usprawiedliwić swoją chęć ucieczki.

— Z całego serca wam dziękuję za to, co chcecie dla mnie zrobić — przerwała mu Rafaela.

Hernando się wzdrygnął. Wzruszyła go słodycz głosu dziewczyny, ale co takiego ona powiedziała? Miguel! Jak on śmiał! Chciał go zganić, lecz dziewczyna mówiła dalej:

— Wiem, że jestem niczym, rodzice, bracia wciąż mi to powtarzają, ale mam dobre zdrowie — uśmiechnęła się, żeby pokazać białe, równe zęby — nigdy nie chorowałam i wszyscy w mojej rodzinie są bardzo płodni. — Hernando stał oszołomiony. Ujęła go jej szczerość i delikatność. — Jestem dobrą, pobożną chrześcijanką. Obiecuję być dla was jak najlepszą żoną. Wynagrodzę zawiązką to, że weźmiecie mnie bez posagu — dodała na zakończenie.

Morysk nie znajdował słów. Poruszał rękami i niespokojnie przestępował z nogi na nogę. Rozczuliła go naiwność dziewczyny, jej smutne, kasztanowe oczy wyrażały taki bezmiar cichego bólu, że nawet Estudiante, wyjątkowo spokojny w jej obecności, zdawał się przejęty. Ciszę zakłócał tylko przyspieszony oddech Miguela za plecami Hernanda.

— Jestem nowym chrześcijaninem. — To było pierwsze, co przyszło mu do głowy.

— Wiem, że wasze serce jest czyste i szlachetne — oznajmiła. — Wiem to od Miguela.

— Twój ojciec nie pozwoli... — zająknął się Hernando.

— Miguel ma na to sposób.

Tym razem odwrócił się, by spojrzeć na kalekę. Miguel się uśmiechał! Pokazywał w uśmiechu zniszczone zęby, tak inne od zębów Rafaeli. Hernando spoglądał na zmianę to na nią, to na niego. Czuł się jak osaczony ich niespokojnymi spojrzeniami. Jaki to sposób?

— Mam nadzieję, że nie każesz mi wejść w kolizję z prawem? — spytał Miguela.

— Nie.

— Ani z Kościołem.

— Też nie.

Don Martín Ulloa nigdy nie pozwoli na ślub córki z moryskiem, synem kobiety skazanej przez inkwizycję, pomyślał. To niemożliwe. Nie musi nawet odmawiać Rafaeli. To jej ojciec nie dopuści do ślubu. Postanowił, że zostawi sprawę tak, jak stoją, bez tłumaczenia tym dwojgu, że ich plan się nie uda. Po co ma ich pozbawiać nadziei od razu.

— Jestem zmęczony — usprawiedliwił się. — Jutro wrócimy do tej rozmowy, Miguela. Dobranoc, Rafaelo.

— Niech pan zaczeka — poprosił Miguel, kiedy Hernando przechodził obok niego.

— Czego jeszcze chcesz ode mnie? — zapytał znużonym głosem.

— Musisz zobaczyć to na własne oczy. Nie zabiorę ci za dużo czasu. — Hernando westchnął, ale w zachowaniu Miguela było coś, co znowu kazało mu ustąpić. Kiwnął głową na znak, że się zgadza. — Chodź — powiedział kaleka. — Zaczaimy się na pierwszym piętrze.

Odwrócił się na kulach i zamierzał wyjść ze stajni.

— Co z Rafaelą? — zaprotestował Hernando. — Nie mogę

zaprosić do domu samotnej, młodej dziewczyny. — Miguel nie zareagował na te słowa, jakby uważał za naturalne, że Rafaela zaczeka tu do ich przyjścia. — Wracaj do swojego domu, dziewczyno — powiedział Hernando.

— Teraz nie może — usłyszał głos Miguela, który był już przy drzwiach. — To zbyt niebezpieczne.

— Co chcesz powiedzieć?

— Że zaczeka tu na nas razem z końmi.

Kaleka wyszedł na patio. Hernando odwrócił się do Rafaeli, która odpowiedziała uśmiechem, i podążył za Miguelem. Dlaczego ona nie może wrócić do swojego domu? Co jej grozi? Trzymając się poręczy, Miguel szybko wspinał się po schodach na piętro. Hernando dogonił go prawie na samym końcu.

— Co to znaczy?

— Ciszej — poprosił go kaleka — bo nas usłyszą. Zaraz się przekonasz.

Przeszli na koniec galerii, zatrzymując się w miejscu, skąd po wychyleniu się widać było ślepy zaułek na wprost stajni. Miguel poruszał się powoli, starając się nie robić hałasu. Wreszcie przytulił się do ściany i wyjrzał zza rogu budynku. Hernando go naśladował.

— Myślę, że zaraz przyjdą — szepnął chłopak. Stali blisko siebie, ramię w ramię, przyklejeni do ściany. — To ich pora. — Hernando nie chciał o nic pytać. — Gratuluję ci, panie — znowu odezwał się szeptem Miguel po krótkim milczeniu: — Będziesz miał najlepszą żonę w całej Kordobie. Co ja mówię: w Kordobie? W całej Hiszpanii!

Hernando pokręcił głową.

— Miguele...

— Już są — przerwał mu młodzieniec. — Teraz ani słowa.

Wysuwając głowę, Hernando dostrzegł w ciemności dwie postaci przed małymi drzwiczkami, przez które wymykała się Rafaela. Teraz zrozumiał, dlaczego dziewczyna musiała zostać w stajni. Po chwili drzwiczki się otwarły i pojawił się w nich mężczyzna z podniesioną do góry latarką. Mimo słabego oświetlenia Hernando rozpoznał bez trudu don Martína Ulloę, do którego

podeszły dwie kobiety, coś mu wręczyły i zniknęły w zaułku. Ławnik zamknął drzwiczki i znowu zrobiło się ciemno.

Hernando rozłożył ręce, spoglądając na przyjaciela.

— No i co? Dlaczego chciałeś mi to pokazać? — zapytał.

— Jakies dwa tygodnie temu — zaczął Miguel, odczekawszy chwilę, by ławnik zniknął w głębi patio i nie mógł ich słyszeć. — Kiedy byłeś, panie, w Grenadzie, odprowadzając Rafaelę, o mała nie wpadłem na te kobiety i jej ojca. Odtąd każdego wieczoru sprawdzałem, czy już poszły, żeby Rafaela mogła wrócić do domu.

— Nic z tego nie rozumiem, Miguelu! — Hernando odsunął się od ściany i stanął na wprost chłopca.

— Te dwie kobiety i kilka innych, które też tu przychodzą, to żebraczki. Jednej nocy rozpoznałem Angustias, moją dawną znajomą. Za dnia wyszedłem na ulicę i wmieszałem się między... między żebraków. Nie zarobiłem ani grosza — uśmiechnął się w ciemnościach. — Widać odwykłem od żebrania.

— Skręcaj się, Miguelu — ponaglił Hernando. Już późno.

— W porządku. No więc, zacząłem rozpytywać na prawo i lewo. Te dwie kobiety, które dziś widziałeś, to Maria i Lorenza. Lorenza to ta niższa...

— Miguel!

— Wynajmują dzieci do żebrania — powiedział szybko chłopak grobowym głosem.

Hernanda zatkało ze zdziwienia.

— Od ławnika? — odezwał się po chwili.

— Tak. To dobry interes. Ławnik należy do bractwa zajmującego się małymi dziećmi porzuconymi przez rodziców. On decyduje, komu przekazać te podrzutki. Niemowlęta trafiają do mamek, które za kilka dukatów rocznie karmią je piersią, a potem opiekują się nimi przez jakiś czas. Otóż te mamki wypożyczają dzieci żebraczkom. Wiele małych umiera... — Miguelowi załamał się głos.

— Co ma z tym wspólnego ławnik?

— Wszystko — odparł młodzieniec. Ożywił się, widząc zainteresowanie Hernanda. — Na mocy statutu bractwa powołuje się

wizytatora, który powinien okresowo sprawdzać, czy dzieci żyją, są u właściwych osób i jak się czują. Don Martín i wizytator zmówili się: jeden oddaje dzieci wybranym przez siebie kobietom, a drugi przemyka na to oczy. Raz w tygodniu żebraczki przychodzą wręczyć ławnikowi jego część zysków. To samo dotyczy wizytatora. Rafaela powiedziała mi, że ojciec wydaje za dużo pieniędzy na luksusy, bo chce dorównać rajcom. Mogę wymienić kilkanaście imion dzieci, które ostatnio przekazano mamkom, znam imiona tych kobiet, a także imiona żebraczek, które wychodzą z tymi dziećmi na ulicę.

Hernando przymknął oczy.

— I mówisz, że wiele z nich umiera? — zapytał, potrząsając głową, jakby nie chciał przyjąć tego do wiadomości.

— No cóż, tak się robi interesy, panie. Znam to aż za dobrze, niestety. Niektóre maluchy bez trudu wzbudzają współczucie przechodniów, samym swym wyglądem wyciskają im łzy. Inne nie. Te ostatnie są nieprzydatne. Dzieci nie mogą być grube i dobrze odżywione, to podstawowa reguła żebractwa. Najlepiej, żeby były jak szkielety. Tak, panie, umierają z głodu, zagryzione przez szczury albo po prostu dostają gorączki. Ta śmierć jest najłagodniejsza. Oczywiście żaden zgon nie jest odnotowany w księgach bractwa.

Hernando podniósł oczy na czarne, bezgwiazdne niebo.

— A ja mam zagrozić ławnikowi, że wszystko rozpowiem, jeśli nie da mi Rafaeli za żonę? — zapytał.

— Oczywiście.

# 61

Don Martín Ulloa, fabrykant igieł, ławnik Kordoby (odziedziczył ten tytuł po ojcu), nie zgodził się przyjąć Hernanda. Stara i gruba moryska niewolnica w stroju służącej pamiętającym lepsze czasy przekazała mu odpowiedź swojego pana. Za pierwszym razem obojętnie, za drugim — impertynencko, a na koniec ze złością.

— Powiedz swojemu panu — rzekł za trzecim razem Hernando równie ostro i na dodatek podniesionym głosem, bo miał świadomość, że ktoś podsłuchuje za drzwiami — że przychodzę od Angustias, jej koleżanek i przyjaciółek. Zrozumiałaś? Od Angustias! — powtórzył dobitnie i wyraźnie. — Powiedz, że czekam na niego jutro w moim domu. Mam sprawę, która powinna go zainteresować. To będzie jedyna okazja do rozmowy ze mną, zanim udam się w tej sprawie do sędziego albo do biskupa. Przypominam, że mieszkam w sąsiednim domu, gdyby nie wiedział, gdzie mnie szukać — dodał z ironią.



Pracując w bibliotece, Hernando nie przestawał o tym myśleć: chce czy nie chce ożenić się z Rafaelą?

— Jesteś sam! Potrzebujesz kobiety, która będzie się tobą opiekować, pokocha cię i stworzycie rodzinę! — wykrzyczał mu

Miguel na drugi dzień po spotkaniu w stajni, kiedy Hernando powiedział, że bardzo mu przykro, ale trzeba będzie znaleźć inne wyjście, gdyż on nie jest gotów do małżeństwa, a poza tym, jego zdaniem, trzeba złożyć do sądu doniesienie w sprawie małych podrzutków. — Ty nic nie rozumiesz — gorączkował się chłopak. — Od lat siedzisz w tych swoich książkach i pismach. A gdzie potomstwo? Nie chciałbyś mieć dzieci, które odziedziczą po tobie majątek? Pomyśl wreszcie o założeniu rodziny! Ile ty masz lat? Czterdzieści? Czterdzieści jeden? Starzejesz się. Chcesz zostać na starość sam jak palec?

— Przecież mam ciebie.

— Nie! — Po tym słowie zapadła między nimi niezręczna cisza. — Długo się nad tym zastanawiałem. Jeśli nie ożenisz się z Rafaelą, jeśli nie uwolnisz jej od klasztoru, to wracam na ulicę.

— Nie powinieneś mi tak grozić. To niesprawiedliwe — odparł Hernando z poważną miną.

— A właśnie, że sprawiedliwe — upierał się Miguel, zaciskając wargi i kręcąc głową świadomy znaczenia swoich słów. — Powiedziałem ci, że jedyne, na czym mi w życiu zależy, to uratować tę dziewczynę. Klnę się na Boga, że gdybym mógł, gdybym miał jakąkolwiek szansę, nie prosiłbym cię o pomoc. Nie musisz godzić się na małżeństwo. Uszanuję to. Ale nie mógłbym dłużej mieszkać z tobą pod jednym dachem, jeśli odmówisz mi swojej pomocy i nie spełnisz mojej prośby.

— Ale ty mnie prosisz, żebym się ożenił!

— I co? Ci, których nazywasz swoimi braćmi w wierze, nie chcą mieć z tobą nic wspólnego. Zamierzasz poszukać sobie innej chrześcijanki na żonę? Co w tym złego, że ożenisz się z Rafaelą? Będzie dobrą żoną, będzie się o ciebie troszczyć i urodzi ci dzieci. Jesteś bogaty, masz dom, rentę dzierżawną, ziemię i konie. Dlaczego miałbyś się nie żenić?

— Jestem muzułmaninem, Miguelu! — zaprotestował Hernando.

— I co z tego? W Kordobie jest pełno małżeństw między moryskami i chrześcijankami. Wychowaj swoje dzieci w tych



dwóch religiach, które pragniesz połączyć. Bo jeśli nie, to po co tyle pracujesz? Dla tych, którzy cię odpychają i znieważają? Dokąd ty właściwie zmierzasz? Jaką masz przyszłość? Ożeń się z Rafaelą i bądź szczęśliwy.

„Bądź szczęśliwy”. Te dwa proste słowa chodziły za nim przez cały następny dzień, dopóki nie zdecydował się zapukać do drzwi ławnika. Czy kiedykolwiek szukał szczęścia? Dała mu je Fatima i dzieci. Ale to było bardzo dawno! Już czternaście lat, jak nie żyją, wszyscy zostali zamordowani. Od tego czasu był sam. Przypomniawsobiesmutek, jaki go ogarnął podczas ostatniej podróży do Grenady, kiedy Estudiante skubał trawę nad brzegiem Darro, a on spoglądał na zbrocze, gdzie mieściła się willa Isabel. Miguel ma rację. Dla kogo tyle pracy i męki? Bądź szczęśliwy! Czemu nie? Rafaela wyglądała na dobrą dziewczynę. Miguel ją uwielbia. A jeśli Miguel odejdzie? Co będzie, jeżeli opuści go jego jedyny przyjaciel...

Czy coś straci, żeniąc się? Wyobraził sobie dom pełen małych dzieci, ich bieganie, krzyki i śmiechy umilające mu pracę w bibliotece. Wyobraził sobie dzieci bawiące się na patio, a on je obserwuje oparty o balustradę na galerii, jak wtedy gdy patrzył na Francisca i Inés. Czternaście lat! Zdziwił się, że nie ma poczucia winy z powodu takich myśli. Rafaela jest tak inna od Fatimy... Nikt tu nie mówi o miłości, niewiele małżeństw jest zawieranych z miłości. Namiętność też nie wchodzi w grę. Chodzi tylko o to, by uciec od tej melancholijnej samotności, która — musi to przyznać — dość często daje mu się we znaki. Na myśl o małych dzieciach zaznał nieokreślonego uczucia spokoju.



— Czego ode mnie chcesz, przeklęty Maurice?

Don Martín Ulloa nie dał na siebie czekać. Jeszcze tego samego dnia wieczorem stawiał się w domu Hernanda, który przyjął go na patio, siedząc na krześle. Ławnik wypluł z siebie to pytanie i nie ruszał się z miejsca, chociaż Hernando poprosił go, żeby usiadł. U boku wisiał mu rapier. Miguel podsłuchiwał ukryty za wrotami stajni.

— Zechce pan usiąść — Hernando ponowił zaproszenie.  
— Na krzesło Maura? Nie siadam z Maurami.  
— W takim razie proszę odsunąć się kilka kroków od Maura, który tak bardzo panu przeszkadza. — Ławnik posłuchał. Hernando siedział. — Proszę o rękę pańskiej córki Rafaeli.

Don Martín Ulloa był silnym, grubym mężczyzną w starszym wieku, ale trzymał się znakomicie. Resztki siwych włosów na głowie i gęsta biaława broda kontrastowały z czerwoną twarzą, która w złości robiła się buraczkowa. Zaklął pod nosem, parsknął śmiechem i zaczął złorzeczyć.

Wystraszony Miguel wysunął głowę przez uchylone wrota.

— Ty prosisz o rękę mojej córki!? Jak śmiesz wymawiać jej imię swoimi brudnymi wargami? Nie wstyd ci plamić jej honor...

— To raczej pański honor — przerwał mu groźnie Hernando — pozostanie na zawsze splamiony, jeśli rada miejska dowie się o machinacjach z małymi podrzutkami. Ucierpi na tym także honor pańskiej żony, pańskich dzieci i wnuków... — Don Martín dotknął rękojęści broni. — Bierze mnie pan za głupca, panie ławniku? Tu, w tym mieście, tak znenawidzeni przez pana Maurowie stworzyli najwspanialszą z kultur, i to nie był przypadek. — Mówił spokojnie, chociaż widział, że ławnik wyciąga z pochwy rapier. — W kancelarii notariusza publicznego leży zalakowana koperta — skłamał — a w niej szczegółowy opis wyzyskiwania porzuconych dzieci z uwzględnieniem nazwisk tych niebożąt oraz osób zamieszanych w cały proceder. Gdyby przytrafiło mi się coś złego, ów list natychmiast trafi do zwierzchników. — Ławnik zaważał się i nie wyciągnął broni do końca. Skrawek nagiej stali rzucał ostre błyski. — Jeśli mnie pan zabije, wszystko się wyda, a wtedy pański honor nie będzie już wart złamanego grosza. Przypomina pan sobie małą Elvirę? — ciągnął, żeby uzasadnić swoje groźby. Ławnik zaprzeczył bez przekonania. — Oddał pan dopiero co urodzoną dziewczynkę mamce Juanie Chuece. Juanę pan pamięta, prawda? Potem Elvira przeszła w ręce Angustias, która zabierała ją z sobą na żebrzy. Dziewczynka umarła jakieś pół

roku temu, ale w księgach bractwa nie pojawia się żadna wzmianka na ten temat.

— Niech wizytator tym się martwi — powiedział don Martín.

— Sądzi pan, że wizytator weźmie na siebie całą winę? Że te kobiety i żebraczki nawet nie wspomną o pańskim udziale ani o pieniądzach, które przynoszą panu do domu w nocy? — Dostrzegł niepewność na jego twarzy. — Ma pan córkę i chce się pan jej pozbyć, oddając ją bez posagu do klasztoru. Proszę mnie ją oddać, jeśli chce pan uratować swój honor i honor całej rodziny.

— Skąd znasz moją córkę? — zapytał podejrzliwie ławnik. — Kiedy ją widziałeś?

— Nie znam, ale słyszałem o niej dużo dobrego. Jesteśmy sąsiadami, don Martínie. Składam panu ofertę: moje milczenie w zamian za córkę, która panu tak bardzo przeszkadza... Da mi pan poza tym słowo honoru, że nie będzie więcej wyzyskiwania małych dzieci. Przysięgam, że nie popuszczę! Jestem nowym chrześcijaninem, to prawda, ale pracuję dla arcybiskupa Grenady. Niech pan czyta. — Hernando podał mu dokument wystawiony przez arcybiskupa. Don Martín wsunął broń do pochwy, a że nie umiał czytać, rzucił tylko okiem na pieczęć kapituły katedralnej i oddał dokument. — Myślę, że to dobry argument, aby wytłumaczyć się przed równymi sobie. Proszę również pamiętać, że byłem protegowanym diuka de Monterreal...

— I wyrzucili cię z pałacu — mruknął Martín złośliwie.

— Diuk nigdy by tego nie zrobił — odparł Hernando. — Zawdzięczał mi życie. Proszę się zastanowić, don Martínie. Czekam na pańską odpowiedź najpóźniej do jutra wieczorem. W przeciwnym razie...

— Grozisz mi? — Don Martín aż się cofnął ze zdziwienia.

— Dopiero teraz pan to pojmuje? Nic innego nie robię, odkąd wszedł pan do mojego domu — odpowiedział Hernando z cynicznym uśmiechem.

— A jeśli moja córka się nie zgodzi? — wycedził przez zęby.

— W interesie pana i pańskiej rodziny jest, aby się zgodziła. Hernando zakończył rozmowę i zachowując ostrożność, od-

prowadził gościa do drzwi; na wszelki wypadek nie odwracał się do niego plecami. Ławnik kroczył zamyślony, potknął się nawet przy wyjściu i wtedy Hernando miał już pewność, że odniósł zwycięstwo. Wracając na patio, zobaczył Miguela we wrotach stajni. Łzy spływały kalece po policzkach. Ręce miał zajęte kulami, więc nie mógł ich obetrzeć ani powstrzymać, zresztą wcale nie próbował. Hernando uzmysłowił sobie wówczas, że po raz pierwszy widzi go płaczącego.



Ślub odbył się pod koniec kwietnia tego samego roku. Miguel powiedział Hernandowi, że Rafaela zastosowała inteligentny wybieg i w pierwszej chwili nie zgodziła się wyjść za moryska. „Wolę pójść do klasztoru!”, krzychała. Ławnik martwił się o swój honor i utratę twarzy w razie wykrycia afery z wyzyskiwaniem podrzucanych niemowląt, toteż odmowa córki mocno go rozgniewała i postanowił szybko wydać ją za mąż.

Ślub był skromny, bez wesela, bez obrażonych braci panny młodej i bez posagu. Kiedy wracali z kościoła po ceremonii, Hernando uświadomił sobie wagę tego zdarzenia. Rafaela weszła w progi swojego nowego domu z pochyloną głową, całkowicie onieśmielona. Oboje milczeli. Hernando obserwował drżącą dziewczynę... Co ma począć z tym wystraszonego dzieckiem? Była dwadzieścia pięć lat młodsza od niego. Uzmysłowił sobie ze zdumieniem, że on także odczuwa pewien lęk. Od jak dawna jego miłosne przygody ograniczały się do panienek z burdelu? Z westchnieniem zaprowadził ją do oddzielnej sypialni. Rafaela zaczerwieniła się i powiedziała coś tak cicho, że nie zdołał zrozumieć. Hernando zwrócił uwagę na dłonie żony: pocierała nimi tak mocno, że miejscami skóra była pokancerowana.

Tę noc spędził w pokoju bibliotecznym.

Nazajutrz przyszedł do niego Miguel. Z wypiekami na twarzy, jękając się, poinformował go, że pragnie przenieść się z Kordoby na wieś, żeby kontrolować Toribia i doglądać koni; kilkanaście klaczy niebawem miało się ożrebić. Obaj dobrze wiedzieli, o co

tak naprawdę chodzi — kaleka postanowił usunąć się, żeby nie przeszkadzać Hernandowi i Rafaeli. Spełniło się to, czego pragnął: są małżeństwem, nie chciał być zawadą w życiu młodej pary.

Nie dał się przekonać, żeby zostać, i tego samego dnia się pożegnali. Hernando z żoną odprowadzili go do drogi. Kiedy wrócili do domu, morysk poczuł się dziwnie osamotniony. Zjadł obiad z Rafaelą w milczeniu przerywanym drobnymi uprzejmościami, po czym udał się do biblioteki. Dobiegały go tam odgłosy sprzątanania, Rafaela krzątała się po mieszkaniu, zdaje się, że nawet zanuciła jakąś piosenkę, ale zaraz przerwała, żeby nie hałasować.



Tak upłynęło kilka tygodni. Hernando przyzwyczał się do obecności Rafaeli, a ona czuła się coraz swobodniej w swoim nowym domu. Chodziła na targ z Marią, gotowała dla niego, nigdy nie przeszkadzała, kiedy był w bibliotece, i nie pytała, co tam robi. Letnie słońce dodało rumieńców bladym policzkom Rafaeli. Nieśmiałe, tłumione podśpiewywanie przechodziło w piosenki i wkrótce rozbrzmiewał nimi cały dom.

— Dlaczego ten źrebak ma inne wędzidło niż tamten? — zapytała pewnego dnia, pojawiając się niespodziewanie w stajni, podczas gdy Hernando szykował konia do jazdy.

Nigdy dotąd nie zajrzała do stajni, kiedy on tam był. Przyglądała się ciekawie kielznom rozwieszonym na ścianie.

Hernando na ogół był oszczędny w słowach, ale tym razem, nie zdając sobie z tego sprawy i nie przerywając siodłania, udzielił żonie lekcji.

— Zależy od tego, jaki mają pysk — odpowiedział. — Niektóre czarne, inne białe, a jeszcze inne czerwone. Naturalnie najlepsze są te z czarnym pyskiem, takie jak ten. — Hernando z wysiłkiem dopiął popręgi. — Koniom z czarnym pyskiem zakłada się proste wędzidło z krótkimi paskami i krótkim ogniwiem... — Przez chwilę stał tyłem do Rafaeli, lecz nie przestawał mówić: — Inne kielzna mają gruby ścięgierz łamany... — odwrócił się przodem do żony — i gruby, okrągły łańcuszek — zakończył wyjaśniać i spojrzął na nią uważnie.

Rafaela odpowiedziała najśłodszym ze swoich uśmiechów.

— Dlaczego to cię tak interesuje? — zapytał.

Przez kilka chwil stali naprzeciwko siebie, wreszcie Hernando zrobił pierwszy krok. Wziął ją w ramiona i pocałował delikatnie w usta. Dziewczyna zadrżała na całym ciele.



Wieczorem Hernando wodził za nią oczami przy kolacji. Rafaela była ożywiona, opowiadała mu o jakimś zabawnym zajściu, które widziała w drodze na targ. Delikatne wargi dziewczyny rozchyłały się w uśmiechu, pokazując białe zęby, głos miała łagodny i naiwny. Hernando stwierdził z zaskoczeniem, że po raz pierwszy od dawna roześmiał się razem z nią.

Po kolacji wyszli na patio. Noc była gwiazdzista, powietrze pachniało różami. Oboje popatrzyli na błyszczące niebo. Wtedy ona spytała cicho:

— Nie chcesz mieć ze mną dzieci?

Zaskoczony Hernando zmierzył ją wzrokiem.

— A ty chcesz? — odpowiedział pytaniem.

Zdawało się, że Rafaela wyczerpała już całą odwagę.

— Tak — szepnęła z opuszczoną głową.

Milcząc, przeszli do sypialni. Ogromna nieśmiałość dziewczyny okazała się zaraźliwa i Hernando starał się postępować ostrożnie, żeby nie sprawić jej bólu. Nie myślał o rozkoszy, której szukał z Fatimą i Isabel. Z Rafaelą złączyli się po chrześcijańsku; leżała w łóżku na plecach, sztywna, w długiej koszuli, której nie chciała zdjąć, gdyż nagość była grzechem.

Półtora roku później ich związek został pobłogosławiony pierwszym synem. Dali mu na imię Juan.

## 62

W roku 1600 don Pedro de Granada Venegas wezwał Hernanda do swojego miasta. Zbliżał się moment wysłania do Turka ewangelii Barnaby, ponieważ ołowiane tabliczki z tekstem Hernanda, które don Pedro, Luna i Castillo ukrywali od momentu pojawienia się pierwszej z nich w taki sposób, by zostały znalezione przez chrześcijan w grotach na wzgórzu Valparaíso, przechrzczonym obecnie na Sacromonte, odniosły pierwsze efekty.

Tego roku arcybiskup don Pedro de Castro uznał kości i prochy znalezione przy tabliczkach za autentyczne relikwie, chociaż nie brakowało głosów podających w wątpliwość wiarygodność tego odkrycia, a Rzym nawoływał do ostrożności. Grenada miała nareszcie relikwie swojego patrona, świętego Cecilia i paru innych męczenników towarzyszących świętemu Jakubowi w krzewieniu chrześcijańskiej wiary! Nareszcie zrzucała z siebie jarzmo miasta Maurów i mogła się równać z najważniejszymi ośrodkami chrześcijaństwa w Hiszpanii! Grenada była tak samo, a może nawet bardziej chrześcijańska niż Santiago, Toledo, Tarragona i Sewilla, skoro na tym świętym wzgórzu znalazło męczeńską śmierć wielu świętych mężów.

Arcybiskup Castro mógł uznać relikwie za autentyczne, ale nie mógł zająć autorytatywnego stanowiska w sprawie ołowianych ksiąg i teologicznych zawilości uwiecznionych na płytkach i me-

dalionach. To leżało wyłącznie w gestii Rzymu, który zażądał przesłania owych ksiąg. Prałat odmówił, uzasadniając zwłokę koniecznością dokończenia skomplikowanego przekładu, powierzonego Lunie i Castillowi.

Tak wyglądała sytuacja, którą Hernando zastał w Grenadzie: ogłoszono, że relikwie są prawdziwe, lecz medaliony, z których wynikało, że są to relikwie tego czy innego świętego apostoła, były wciąż jeszcze na etapie badań. Mieszkańcy Grenady nie przejmowali się zbytnio formalnymi problemami podziału kompetencji. Nowy król Filip III, który wstąpił na tron dwa lata wcześniej, po długiej agonii i bolesnej śmierci swego ojca, też nie przywiązywał do tego większej wagi, wręcz przeciwnie, Filip III był zachwycony nowym, chrześcijańskim obliczem Grenady.

Hernando wybrał się na Sacromonte w towarzystwie don Pedra de Granada. Castillo i Luna wymówili się nawałem pracy. Dwaj mężczyźni na koniach ze świtą lokajów wyruszyli w kierunku Darro, skręcili za bramą Guadix i wjechali na święte wzgórze od strony otoczonej murami dzielnicy Albaicín. Hernando nie znał tej trasy. Od trzech lat nie zaglądał do Grenady, bo nie było takiej potrzeby, odkąd Luna i Castillo otrzymali wreszcie długo oczekiwaną kopię ewangelii Barnaby i mogli nad nią pracować. Z kolei kapituła katedralna po odkryciu ołowianych ksiąg przestała interesować się męczennikami z Alpuhary i nie domagała się już raportów od Hernanda.

— Odkąd znaleziono pierwszą płytkę — komentował don Pedro w drodze na Sacromonte — nie ustają cuda i objawienia. Wielu mieszkańców Grenady opowiadało arcybiskupowi o dziwnych światełkach nad wzgórzem i procesjach duchów zmierzających w stronę jaskiń w blasku świętego ognia. Nawet mniszki to widziały. Masz pojęcie? Cały klasztor żeński to widział! — Hernando pokręcił głową, co nie uszło uwagi don Pedra. — Nie wierzysz? — zapytał. — No to posłuchaj: kaleka dziewczynka pomodliła się w jaskini i została uzdrowiona. Ciężko chorą córkę urzędnika Kancelarii Królewskiej, która od czterech lat nie wstawała z łóżka, zaniesiono w lektyce do jaskini, a wyszła stamtąd na



własnych nogach. Dziesiątki osób o tym zaświadczyły przed komisją do spraw relikwii. Biskup Jukatanu przyjechał poprosić męczenników o uzdrowienie z *herpes militaris*! Odprawił mszę, a następnie zmieszał ze święconą wodą garść ziemi z jaskiń i posmarował tym chore miejsca na skórze. Wyzdrowiał natychmiast! Nawet biskup! Przed powrotem do Indii złożył oświadczenie. To tylko kilka przykładów cudownych uzdrowień na Sacromonte, o których opowiadają ludzie.

— Ależ don Pedro... — zaczął Hernando z przekąsem.

— Nic nie mów, tylko patrz — przerwał mu szlachcic. Zbliżyli się do jaskiń. Dłoń don Pedra poruszała się w powietrzu, jakby chciała objąć całe wzgórze. Hernando podążył za nią wzrokiem. — Oto rezultat twojej pracy — usłyszał.

Las ponad tysięcy krzyży otaczał nieduże wejście do kopalni, w której znajdowały się jaskinie. Wokół powyrastały kapliczki i pomieszczenia dla kapelanów. Zewsząd ciągnęły tłumy pielgrzymów. Don Pedro zatrzymał konia. Rudoczerwony wierzchowiec Hernanda poruszał się niespokojnie. Morysk ogarnął spojrzeniem całe miejsce, przypatrując się uważniej krzyżom i ludziom klęczącym pod nimi. Krzyże z prostego drewna albo ciosane w kamieniu, wysokie i potężne, ustawione na wielkich piedestałach. Oto rezultat mojej pracy, pomyślał. Kiedy wiózł do Grenady pierwszą partię ołowianych płytek, zaczynał wątpić w sens swoich wysiłków, jednakże łatwowierność ludu okazała się większa niż błędy, które mógł popełnić w swoich tekstach.

— To robi wrażenie — przyznał. Musiał zadrzeć głowę, by dojrzeć wierzchołek stojącego obok krzyża górującego nad innymi.

— Większość granadyjskich kościołów ma tu swoje krzyże — wyjaśnił don Pedro, idąc za wzrokiem Hernanda. — Tak samo klasztory, rada miejska, kolegia i bractwa, cechy świecearzy, kowali, tkaczy i cieśli, Kancelaria Królewska, notariusze i wszelkie inne zgromadzenia. Przynoszą te krzyże w procesjach z gwardią honorową, intonują *Te Deum* przy akompaniamencie piszczałek i tamburynów. Sacromonte jest celem nieustannych pielgrzymek.

Hernando pokręcił głową.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Trzeba ci jednak wiedzieć, że Castillo ma duże problemy z przekładem ołowianych ksiąg — dodał don Pedro.

Hernando zdziwił się. Jakie problemy?

— Arcybiskup ciągle go kontroluje — wyjaśnił don Pedro. — Sam poprawia i przerabia fragmenty, które jego zdaniem są zbyt przychylnie doktrynie muzułmańskiej. On chce zrobić z Grenady miasto świętsze od Rzymu! Na razie nic na to nie poradzimy. Ale przyjdzie dzień, gdy Turek wyjawia tajemnicę ewangelii, a wtedy prawda zajaśnieje pełnym blaskiem i ci wszyscy ludzie — pokazał na zgromadzonych — zrozumieją swój błąd.

Znowu wszystko ma zależeć od sułtana, pomyślał niechętnie Hernando.

— Uważam, że nie powinniśmy wysyłać tej ewangelii Turkowi — powiedział stanowczo. Don Pedro spojrział na niego ze zdziwieniem. — Wiem, co mówię — podkreślił z naciskiem. — Turcy nigdy nam nie...

— Przecież ta ewangelia jest ważna nie tylko dla nas — przerwał mu don Pedro. — Ona dotyczy wszystkich muzułmanów.

Morysk mówił dalej, jakby nie usłyszał słów szlachcica.

— Turcy odstąpili od walki z chrześcijanami na Morzu Śródziemnym. Od kilku lat nic się nie dzieje. Oni myślą tylko o swoich interesach na Wschodzie. Nowy król Hiszpanii poczuł się w tych okolicznościach tak pewnie, że postanowił zaatakować Algier. Krążą pogłoski, że wojsko już się szykuje.

— Przecież sam mówiłeś o przekazaniu ewangelii Turkowi!

— Owszem — przyznał Hernando — ale teraz zalecałbym większą ostrożność. Ołowiane księgi jeszcze nie zostały przetłumaczone. Mam rację? — Don Pedro potwierdził skinieniem głowy. — We fragmentach nawiązujących do Niemej Księgi jest mowa tylko o tym, że odkrycia dokona władca muzułmański. Najpierw pomyślałem o sułtanie, ale teraz widzę, że Turkom na nas nie zależy. Są jeszcze inni dostojnicy pośród muzułmanów, równie ważni, jeśli nie ważniejsi od sułtana. W Persji panuje Abbas Pierwszy, a w Indiach Akbar, zwany Wielkim, który udzielił

gościny jezuitom. Akbar jest gorliwym muzułmaninem, a jednocześnie dąży do pojednania między wyznawcami różnych religii w Indiach. Tak słyszałem. Może lepiej, żeby to on obwieścił ewangelię Barnaby.

Don Pedro zadumał się głęboko nad tymi słowami.

— Zaczekajmy na przetłumaczenie wszystkich ołowianych ksiąg — ustąpił. — Wtedy postanowimy, komu przesłać ewangelię.

Hernando chciał powiedzieć, że się zgadza, ale w tym momencie lokaj zawołał, że już mogą wchodzić do pieczar. Ludzie usuwali się z drogi przed granadyjskim szlachcicem, panem na Campotéjar, kasztelanem Generalife. Dołączył do nich młody ksiądz z pochodnią, żeby ich poprowadzić w płataninie długich, wąskich i niskich korytarzy biegnących w różnych kierunkach. Modlili się z pozorną gorliwością w miejscach znalezienia prochów męczenników, gdzie ustawiono ołtarze z kamiennymi urnami. Młody ksiądz z mistycznym uniesieniem opowiadał, że tutaj znaleziono również ołowiane płytki z inskrypcjami. Don Pedro obserwował spod oka reakcję autora tych tekstów. Hernando znał je na pamięć!

— Niektóre przedstawiają męczeńską śmierć świętych mężów, ale w większości są to księgi i traktaty. Najpierw trzeba je przetłumaczyć — wyjaśniał młody ksiądz, oświetlając wejście do niewielkiej, okrągłej jaskini. — Widzę tu waszego ziomka — pokazał na mężczyznę, który skończył modlitwę przed ołtarzem i właśnie wstawał z klęczek. — To lekarz z Kordoby, don Martín Fernández de Molina.

— Hernando Ruiz — przedstawił się morysk, ściskając wyciągniętą dłoń medyka.

Don Martín z szacunkiem pokłonił się szlachcicowi i zapytał, czy może przyłączyć się do ich grupy. Razem dokończyli pielgrzymkę po jaskiniach i wrócili do Grenady. Hernando jechał stępą na przodzie, zadumany i oszołomiony. Nie spodziewał się takiego rezultatu siedmiu lat ciężkiej pracy, której się podjął, by zmienić stosunek chrześcijan do morysków. Czy osiągnie ten cel? Wszystko wskazuje na to, że chwilowo miejsce to zawłaszczyli chrześcijanie.

Przejeżdżając przez Darro, spojrzął w stronę rezydencji Isabel.

Don Pedro słowem mu nie napomknął na jej temat. Ciekawe, co się z nią dzieje? Stwierdził z zaskoczeniem, że te myśli nie budzą w nim większych emocji, a wspomnienia się zacierają. Życzył jej w duchu szczęścia. Jest tak, jak chciała: każde z nich idzie swoją drogą. Gdy zobaczył, że medyk zsiada z konia przed pałacem Tiros, uświadomił sobie, że nie brał udziału w ich rozmowie. Czyżby przeoczył coś ważnego?

— Don Martín zostanie z nami na obiedzie — poinformował go szlachcic, podczas gdy lokaje odbierali od nich konie. — Pragnie poznać Miguela de Luna i Alonsa del Castillo. Wspomniałem mu, że obaj są lekarzami, nie tylko tłumaczami. Nasz gość twierdzi, że w Grenadzie panuje zaraza.

Podczas obiadu w pałacu Tiros don Martín przyznał, że jest komisarzem kordobańskiej rady miejskiej i przyjechał sprawdzić pogłoski o dżumie. Żadne miasto hiszpańskie nie chce oficjalnie ogłosić epidemii, dopóki ulice nie pokryją się stosami trupów. Ogłoszenie epidemii oznacza bowiem natychmiastową izolację i paraliżuje wszelkie kontakty handlowe. Toteż w razie jakiegokolwiek podejrzenia władze miejskie wysyłają zaufanych lekarzy, żeby sprawdzili na miejscu zasadność pogłosek.

— Prezydent Kancelarii Królewskiej pozwolił mi na przeprowadzenie badań — wyjaśniał don Martín przy obiedzie — i oświadczył, że nie ma powodu do obaw. Podobno wszyscy są zdrowi.

Luna i Castillo wydali okrzyk zdziwienia.

— Rada miejska urządza wieczorami bale i inne rozrywki dla mieszkańców — przyznał Castillo — ale już od pewnego czasu podejmuje działania przeciwko dżumie.

— O ile mi wiadomo, to są działania paliatywne, a nie prewencyjne — oświadczył doktor Martín Fernández. — Widziałem krzesła z zasłonami dla chorych wynoszonych z miasta i patrole żołnierzy na ulicach. Odwiedziłem szpital zadżumionych. Wszyscy lekarze nie mówią o niczym innym jak o dżumie.

— Niebawem władze będą musiały oficjalnie ogłosić epidemię — dodał Miguel de Luna.

Hernando słuchał z zainteresowaniem i coraz większym zdumieniem.

— Dlaczego zwlekają z podjęciem radykalnych działań? — zapytał. — Miasto nic nie zyska na negocjowaniu rzeczywistości, a ludzie mogą wiele stracić, gdyż dżuma traktuje jednakowo panów i wasalów. Co znaczą te metody paliatywne? Czy istnieje jakiś skuteczny sposób zapobieżenia rozprzestrzenianiu się choroby?

— Działania paliatywne dotyczą wyłącznie ludzi chorych — orzekł kordobański lekarz. Tradycyjnie uważa się, że dżuma bierze się ze złego powietrza i nie można jej zaradzić. Dopiero niedawno pojawiła się teoria, że zarazki mogą być przenoszone w wyniku bezpośredniego kontaktu z chorym człowiekiem lub przez używaną odzież. Najważniejsze jest oczyszczenie powietrza. Trzeba palić aromatyczne zioła na każdym rogu ulicy. Jednakże trzeba również zadbać o higienę i zachęcać ludzi do pozostawiania w domach, a nie do urządzania zabaw i zgromadzeń. Należy pozamykać domy, w których ktoś zachorował, odizolować ludzi z objawami choroby, choćby najdrobniejszymi, poddać kwarantannie domowników i członków rodziny chorego. Dopóki nie przystąpi się do tych działań, istnieje ryzyko zarażenia i groźba wybuchu epidemii.

— Ale... — próbował coś powiedzieć Hernando.

— I jeszcze jedno — kontynuował don Martín, a Luna i Castillo pokiwali głowami, jakby z góry wiedzieli, co powie. — Trzeba zamknąć miasto, żeby epidemia nie rozeszła się po okolicy.



Grenada padła niebawem. Zaraza dotarła do Kordoby rok później, na wiosnę 1601 roku. Mimo obszernego raportu doktora Martina Fernándeza na temat zaniedbań popełnionych przez władze Grenady, rajcy miasta kalifów postąpili dokładnie tak samo jak ich koledzy z Alhambry. Wprowadzili zakaz handlu starzyzną, powystawiali łóżka z chorymi poza mury miasta, a jednocześnie ośmiu lekarzy zatrudnionych przez radę miejską podpisało oświadczenie,

że w Kordobie nie ma dżumy ani żadnej innej poważnej choroby zakaźnej.

Hernando miał dwójkę wspaniałych dzieci, czteroletniego Juana i dwuletnią Rosę. Kochał je bezgranicznie, zmieniły jego życie. „Bądź szczęśliwy”, wspominał każdej nocy, patrząc, jak śpią. Przerazała go myśl, że znowu może stracić rodzinę, toteż po powrocie z Grenady porobił zapasy żywności, gotów zamknąć się w domu, dopóki nie minie niebezpieczeństwo. Gdy dowiedział się, że dżuma szaleje w pobliskim mieście Écija, kazał Miguelowi wracać do Kordoby. Ten w pierwszej chwili odmówił pod pretekstem, że nie może zostawić koni. Najwyraźniej nie miał ochoty opuszczać folwarku, ale musiał ustąpić, gdy Hernando pojechał po niego i nie zważając na protesty, zabrał z sobą do miasta.

— Przecież nie zostawię ich bez opieki — upierał się kaleka, pokazując na klacze i źrebaki.

Hernando pokręcił ze smutkiem głową. Miguel dobrze wykonywał swoją pracę, miał talent i spryt do wyszukiwania odpowiednich ogierów do rozplodu. Chociaż Volador od dawna już nie żył, stadnina rozwijała się doskonale, co potwierdzały wszystkie kontrole. Na mocy królewskiego rozporządzenia hodowla koni andaluzyjskich podlegała kontroli miejscowych alkadów.

Żaden z tych koni nie mógł trafić do Kastylii ani przekroczyć granicy na rzece Tag. Ogiery do pokrywania klaczy musiały być zarejestrowane u alkada. Konie ze stajni Hernanda miały dobrą markę i były cenione na rynku, a wszystko dzięki Miguelowi.

Hernando domyślił się od razu, że jego przyjaciel boi się wrócić do Kordoby; to nie tylko troska o konie zatrzymuje go na wsi z dala od przybranej rodziny. Doszedł do wniosku, że w jego obecności powinien zachowywać się bardziej powściągliwie wobec Rafaeli. W ich małżeństwie dobrze się układało, stopniowo się poznawali i nabierali do siebie większego zaufania. Hernando znalazł w Rafaeli miłą i rozumną towarzyszkę życia, a ona w nim — troskliwego męża, który dobrze ją traktował i miał więcej kultury i ogłady niż jej ojciec i bracia. Przyjście na świat dzieci dało jej całkowite poczucie szczęścia, macierzyństwo za-

okrągliło kształty, słowem Rafaela okazała się dobrą żoną i wspa-  
niałą matką, jak przepowiedział Miguel.

Tak więc całą rodziną zamknęli się w kordobańskim domu,  
dnem i nocą palili na patio aromatyczne zioła, wychodzili na  
zewnątrz tylko w niedzielę na mszę do kościoła. Ksiądz wzywał  
wiernych do gromadzenia się na mszach i nabożeństwach błagal-  
nych, Hernando złorzeczył po cichu, ale chodził i przy okazji  
obserwował z przerażeniem, jak wielkie szkody zaraza poczyniła  
w całym mieście: zamknięte sklepy, rynek bez kupców i handlarzy,  
marazm gospodarczy. Przy retabulach i ulicznych ołtarzach, przed  
kościółkami i klasztorami rozpalano ogniska z dodatkiem ziół,  
liczne domostwa były naznaczone i zamknięte, zamykano też  
ulice, przy których odnotowano wiele przypadków zarażenia,  
chorych przenoszono do szpitala Świętego Łazarza, ich rodziny  
usuwano pod przymusem z miasta, na ulicach płonęły stosy ubrań,  
a zdrowe i do niedawna uczciwe kobiety, którym honor nie  
pozwalał żebrac na ulicy, sprzedawały się publicznie za parę  
groszy, by nakarmić męża i dzieci.

— To nie ma sensu — szepnął Hernando Miguelowi pewnej  
niedzieli, kiedy mijali jedną z takich kobiet. — One wolą się  
prostytuować, byle nie żebrac. Że też ich mężowie na to się godzą?

— Przecież wiesz, że hidalgo nie splami się pracą. Honor mu  
nie pozwala — odparł kaleka. — A w czasie zarazy działalność  
bractw wspomagających zbiedniałych hidalgów jest zawieszona.

— Prawdziwa religia nie uznaje przyjmowania jałmużny za  
coś upokarzającego — Hernando ściszył głos jeszcze bardziej. —  
My, muzułmanie, jesteśmy solidarni. Pielgrzymka i jałmużna to  
jedne z nakazów Koranu.

Nie tylko Kościół przyczyniał się do rozwoju epidemii or-  
ganizowaniem zgromadzeń wśród wiernych. W najostrejszym  
momencie zarazy rada miejska, niepomna na przestrogi, zafun-  
dowała mieszkańcom walkę byków na placu Corredera w zbożnej  
intencji odegnania smutku. Hernando i Miguel nie poszli, a zatem  
nie widzieli, jak dwa konie z ich stadniny, potomkowie Voladora,  
drażnią i zwodzą w potyczkach rogate bestie przy aplauzie widzów,

którzy co prawda zapominali chwilowo o troskach, ale nie potrafili zrozumieć, że taki sposób spędzania czasu nie wychodzi im w tych okolicznościach na dobre.

Mijały miesiące życia w zamknięciu i izolacji od innych. Miguel najchętniej przebywał tylko z dziećmi. Nawet nie spojrzął na Rafaelę, która ze swojej strony również dokładała starań, by nie stwarzać kłopotliwych sytuacji. W długie wieczory, dla zabicia nudy, opowiadał dzieciom bajki i wymachiwał rękami, a mały Juan śmiał się do rozpuku.

— Dlaczego nie nauczysz mnie rachunków? — zwrócił się Miguel pewnego dnia do Hernanda, który spędzał całe dnie w bibliotece.

Lata poświęcone ołowianym księgom rozbudziły w morysku wielką żądzę wiedzy, zaspokajał ten głód lekturą z różnych dziedzin, przy czym zawsze przyświecał mu jeden cel: znaleźć kolejne przesłanki na rzecz pokojowego współistnienia obu kultur. Przyjaciele z Grenady chętnie zaopatrywali go we wszystkie możliwe książki na ten temat.

Hernando doskonale rozumiał, co kryło się za prośbą Miguela, i skwapliwie się zgodził. Odtąd kaleka również zaczął spędzać całe dnie w bibliotece, zajęty liczbami, ich dodawaniem i odejmowaniem. W ten sposób łatwiej im było znosić niewygodę związane z zamknięciem bram miasta i ogłoszeniem stanu dżumy. Epidemia dziesiątkowała ludność Kordoby.

Jedną z ofiar był ławnik don Martín Ulloa. Jak wszyscy ławnicy miał obowiązek kontrolować domy, sprawdzać, czy nie ma w nich zadżumionych, umieszczać chorych w lazarecie i dopilnować, aby ich rodziny opuściły miasto. Wielokrotnie zaglądał do domu Hernanda i Rafaeli wraz z lekarzem, który na jego żądanie badał ich dużo dokładniej niż innych mieszkańców. Don Martín Ulloa nie bał się już, że morysk może mu zaszkodzić, historia z podrzutkami należała do przeszłości. Kto teraz miałby czas i ochotę do tego wracać? Widać było, że tylko czeka na jakikolwiek symptom choroby nawet u własnej córki.



Hernando był zaskoczony, gdy pewnego dnia zamiast ławnika przyszła jego żona, doña Catalina, z młodszym bratem Rafaeli.

— Wpuść nas! — zażądała.

Hernando zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu. Doña Catalina była roztrzęsiona, zacierała nerwowo ręce, mieniła się na twarzy.

— Nie. Mam obowiązek wpuścić pani męża, a nie panią.

— Rozkazuję ci...!

— Pójdę po pani córkę — wykpił się Hernando przeświadczony, że tylko coś naprawdę poważnego mogło zmusić tę kobietę do takiego upokorzenia jak zapukanie do jego drzwi.

Tak też zrobił, po czym zatrzymał się z Miguelem w sieni, wysłuchując rozmowy Rafaeli z matką.

— Wyrzuca nas z Kordoby — szlochała doña Catalina, przekazując córce wiadomość, że ojciec zaraził się śmiertelną chorobą. — Co wtedy zrobimy? Gdzie pójdziemy? Dżuma szaleje w całej okolicy. Pozwól nam ukryć się w twoim domu. Nasz będzie zamknięty. Nikt się nie dowie, że tu jesteśmy. Twój starszy brat Gil przejmie po ojcu stanowisko ławnika, zgodnie z prawem. Dopilnuje, żeby strażę nas nie szukały.

Hernando i Miguel podnieśli schylone głowy i spojrzeli na siebie ze zdziwieniem, kiedy głos Rafaeli przerwał ciszę, jaka zapadła po tych słowach.

— Nigdy dotąd tutaj nie byłaś. Nie pofatygowałaś się nawet do nas, żeby zobaczyć swoje wnuki, matko.

Kobieta nie odpowiedziała. Rafaela mówiła wyrazistym, stanowczym głosem.

— A teraz chcesz z nami zamieszkać. Dlaczego nie pójdziesz do domu Gila? Jestem pewna, że u niego czułabyś się lepiej...

— O święci pańscy! — wykrzyknęła kobieta z nagłym gniewem. — Po co te uwagi? Nie wystarczy moja prośba? Jestem twoją matką! Ulituj się.

— A może próbowałaś? — ciągnęła Rafaela, udając, że nie słyszy protestów. Doña Catalina zamilkła. — Z pewnością próbowałaś, matko. Jestem pewna, że przyszłaś do nas, bo nie miałaś

innego wyjścia. Powiedz mi, że się mylę. Założę się, że mój brat cię nie przyjął, gdyż boi się zarazków.

Doña Catalina wybąkała coś w odpowiedzi. Głos Rafaeli zabrzmiał mocniej, jeszcze bardziej stanowczo.

— Doprawdy sądzisz, że ja narażę moją rodzinę na niebezpieczeństwo?

— Twoją rodzinę? — Kobieta parsknęła pogardliwie. — Maur i...

Rafaela podniosła głos na matkę, być może po raz pierwszy w życiu.

— Wynoś się z tego domu!

Hernando odetchnął z ulgą. Miguel uśmiechnął się nieznacznie.

Rafaela przeszła obok nich w milczeniu z wysoko podniesioną głową i skierowała się na patio. Szlochy i krzyki matki słychać było na całej ulicy.

Hernando i jego rodzina przetrwali dżumę. Jak wielu innych mieszkańców Kordoby doña Catalina, wymęczona i pełna urazy do Hernanda oraz Rafaeli, wróciła do miasta, gdy tylko ogłoszono koniec epidemii i otwarto trzynaście bram miejskich.

Tłumy ludzi ciągnęły z powrotem do Kordoby, tymczasem Miguel pożegnał się szybko i wrócił na wieś.

Epidemia pochłonęła ponad sześć tysięcy ofiar śmiertelnych.

# 63

## *Toga, królestwo Walencji 1604*

Na podróż do miasteczka Toga położonego na północ od Segorbe, w dolinie za górami Espadán, Hernando wybrał wspaniałego czteroletniego konia o sierści jak ogień i równie ognistym charakterze. Wierzchowiec chętniej biegał kłusem, niż chodził stępą, i ciągle trzeba było go powstrzymywać. Dumnie poruszał głową z wyprostowaną szyją, parskął nawet na motyle, wzdrygał się na szelest owadzych skrzydeł, co chwila strzygł uszami. Zatrzymali się po drodze w Jarafuel.

Po dziewięciu latach niewidzenia się Hernando dostrzegł u Munira oznaki przedwczesnej starości. Życie w górskim regionie Walencji było bardzo ciężkie, zwłaszcza dla kogoś, kto — jak fakih — dbał o zachowanie żywej wiary wśród ludzi poddawanych nieustannym prześladowaniom. Uściskali się i długo na siebie patrzyli. Żona fakiha przygotowała skromną kolację, którą spożyli na podłodze, na zwykłych matach. Rozmawiali o rychłym spotkaniu w małej, zapadłej miejscowości Toga, o kilka dni drogi z Jarafuel. Moryskowie stanowili tam większość, podobnie jak w całym regionie. Spotkanie miało być poświęcone przygotowaniom do najpoważniejszej rebelii od czasu powstania w Alpucharze. Zamysł nowej insurekcji zyskał podobno poparcie króla Francji Henryka IV, a do niedawna — póki żyła — wspierała ją także Elżbieta, królowa Anglii.

Spisek został uknuty przed trzema laty, a teraz miała zapaść

ostateczna decyzja, właśnie w Todze, dlatego don Pedro de Granada Venegas, Castillo i Luna poprosili Hernanda o wzięcie udziału w tym zebraniu razem z Munirem. Ich zdaniem proces potwierdzenia autentyczności ołowianych ksiąg dobiegał pomyślnie końca, a nowa insurekcja morysków pokrzyżowałaby ich plany.

Fakih Jarafuel przyjął argumenty Hernanda ze zrozumieniem.

— Musisz jednak przyznać — dodał — że przez dziewięć lat od odkrycia ołowianych ksiąg niczego nie osiągnęliśmy. Bez aprobaty Rzymu te płytki nie mają żadnej wartości. Taka jest prawda. Tymczasem sytuacja naszych braci w królestwach Hiszpanii uległa znacznemu pogorszeniu. Fray Bleda wciąż domaga się całkowitego wyniszczenia morysków, wszystko jedno jakim sposobem. Zaciekłość tego dominikanina jest tak wielka, że sam inkwizytor generalny (wyobrażasz to sobie!) zabronił mu wypowiadać się w sprawie naszych braci. Na nieszczęście mnich jeździ często do Rzymu, gdzie znajduje posłuch u papieża. Jednocześnie arcybiskup Walencji Juan de Ribera zmienił nagle poglądy. To najgorsza rzecz, jaka mogła nas spotkać. — Munir przerwał. Wyglądał staro jak na swój wiek, a jego poorana zmarszczkami twarz wyrażała szczere zmartwienie. — Do niedawna — podjął wątek fakih — arcybiskup Ribera był gorliwym obrońcą idei nawracania naszego ludu na wiarę chrześcijańską. Tak gorliwym, że z własnej kiesy płacił proboszczom za wykonywanie tego zadania. Trzeba przyznać, że przysyłano tu księży nieuków i złodziei, którym nie chciało się nawracać. Pilnowali tylko, czy przychodzimy co niedziela „zjadać ciastko”. W całej dolinie Cofrentes jest tylko jeden kościół, właśnie w Jarafuel. Właściwie nawet nie kościół, ale dawny meczet. Nie było więc tak źle. I oto teraz, po latach bezowocnych prób i dużych wydatków, Ribera zmienił zdanie. Wysłał do króla memoriał z propozycją, by wszystkich morysków uczynić niewolnikami i zesać na galery lub do Indii, do pracy w kopalniach. Arcybiskup zapewnia króla, że taka jest wola boża i należy podjąć tę decyzję bez żadnych wyrzutów sumienia. Dokładnie tak powiedział.

Hernando pokręcił z niedowierzaniem głową. Munir pośepnie przytaknął.

— Mnich nam nie zagraża, takich jak on jest wielu. Co innego Ribera. Jest nie tylko arcybiskupem Walencji, lecz także patriarchą Antiochii i, co najważniejsze, kapitanem generalnym królestwa Walencji. To jeden z najbardziej wpływowych ludzi w otoczeniu króla i diuka de Lerma. — Fakih znowu zrobił przerwę, jakby chciał jeszcze raz przemyśleć to, co powie. — Hernando, dobrze wiesz, że pochwaliłem wasz pomysł z ołowianymi księgami, lecz potrafię zrozumieć także naszych braci. Obawiają się, że prędzej czy później król i Rada Królewska podejmą jedną z tych drastycznych decyzji, o których teraz tylko się mówi. W tej sytuacji nie pozostaje nam nic innego jak wojna.

— Od czasu wygnania z Alpuhary było wiele mniej lub bardziej sensownych prób powstańczych, a wszystkie zakończyły się klęską — Hernando nie ustępował. — Jeszcze jedna wojna? Nowe ofiary? Nie dość się nacierpieliśmy? Wytłumacz mi, czym różni się ten zamysł od poprzednich.

— Wszystkim — odparł stanowczo fakih. — Obiecaliśmy... — Hernando podniósł do góry brwi ze zdziwienia, więc Munir szybko wyjaśnił: — Tak, jestem z nimi, już ci to powiedziałem. To będzie święta wojna — oświadczył uroczyście. — Obiecaliśmy Francuzom, że jeśli zaatakują to królestwo, wesprzemy ich wojskiem w liczbie osiemdziesięciu tysięcy muzułmanów i oddamy im trzy miasta, w tym Walencję.

— I co na to Francuzi? Uwierzyli?

— Jeśli jeszcze nie uwierzyli, to na pewno uwierzą, gdy poręczymy nasze słowa sumą stu dwudziestu tysięcy dukatów.

— Sto dwadzieścia tysięcy dukatów! — wykrzyknął Hernando.

— Tak jest.

— To niemożliwe. Jak...? Skąd weźmiecie tyle pieniędzy?

Hernando pamiętał, jak trudno było sprostać specjalnym podatkom, które nałożyli na nich królowie chrześcijańscy, jeszcze zanim postanowili ich wyniszczyć. Po klęsce Niezwyciężonej Armady moryskowie musieli zapłacić „dobrowolnie”, tak zapisano w dokumentach, dwieście tysięcy dukatów, tyle samo kosztowało ich złupienie Kadyksu przez Anglików, nie mówiąc o licznych dani-

nach specjalnych, ustanawianych przez chrześcijan. A teraz jeszcze taki ogromny wydatek.

— Oni zapłacą. — Fakił się roześmiał, wyobrażając sobie z góry reakcję swojego rozmówcy.

— Oni? — zapytał zdziwiony Hernando. — Kogo masz na myśli?

— Chrześcijanie zapłacą. Król Filip zapłaci. — Hernando nic nie rozumiał i domagał się dokładniejszych wyjaśnień. — Mimo wielkich bogactw napływających z Indii i podatków ściąganych z poddanych skarb królestwa jest pusty, Filip Drugi parokrotnie zawiesił płatności. Jego syn Filip Trzeci prędzej czy później zrobi to samo.

— I co z tego? Skoro król nie ma pieniędzy, to jak zapłaci sto dwadzieścia tysięcy dukatów? Zakładając, że miał taki zamiar... To jakiś absurd!

— Bądź cierpliwy, a zaraz się dowiesz — powiedział fakił. — Otóż kłopoty finansowe zmusiły króla Filipa Drugiego do obniżenia próby monet vellón — Hernando przytaknął. Jak wszyscy mieszkańcy Hiszpanii, on też ucierpiał na tej decyzji monarchy. — Z bogatej monety, która zawierała od czterech do sześciu granów srebra, zrobiły się jednogranowe.

— Ludzie narzekali — wspomniał Hernando — gdy kazano im wymienić stare monety z dużą zawartością srebra na nowe, po kursie jeden do jednego! Na każdej tracili trzy albo więcej granów srebra.

— Tak było. Stare monety trafiły do skarbcza królewskiego. Król zyskał tym sposobem krociowe zyski, lecz doradcy nie przewidzieli spadku zaufania do pieniądza, zwłaszcza do drobnych monet, które są najczęściej używane. Przed dwoma laty jego syn Filip Trzeci postanowił pozbawić vellón nawet tego jednego grana srebra i zarządził bicie monet wyłącznie miedzianych. Takie pieniądze nie mają znaku probierczego mennicy. Każdy może je produkować! — Munir się uśmiechnął. — Po śmierci Binilita warsztat przejął jego dawny pomocnik, tyle że zamiast moryskich ozdób wytwarza teraz fałszywe monety. Nie on jeden. Obecne monety nawet nie muszą być miedziane, ale na przykład z ołowiu.

Nieraz wystarczy zwykły krążek zrobiony z główki gwoździa, byle wykuć po jednej stronie coś na kształt zamku, a na odwrocie lwa. Za każde czterdzieści fałszywych monet chrześcijanie są gotowi płacić do dziesięciu srebrnych reali! Szacuje się, że w królestwie Walencji krążą setki tysięcy dukatów w fałszywych monetach.

— Dlaczego chrześcijanie sami nie wezmą się do fałszerstwa monet? — zapytał Hernando, chociaż domyślał się odpowiedzi.

— Boją się kar dla fałszerzy, no i nie mają takich warsztatów jak nasze. — Munir uśmiechnął się. — Ale głównie dlatego, że są leniwi. Tu trzeba się napracować, a jak wiesz, ciężka praca nie pociąga nawet najuboższych z chrześcijańskich rzemieślników.

— A ludzie? Dlaczego kupcy i handlarze przyjmują te pieniądze, jeśli wiedzą, że są fałszywe? — wypytywał Hernando, pamiętając, że Rafaela zawsze dokładnie sprawdzała, robiąc zakupy na targu, czy nie wydano jej reszty w fałszywych monetach, chociaż w Kordobie nie było tylu fałszerzy co w Walencji.

— Jest im wszystko jedno — wyjaśnił fakih. — Jak już wspomniałem, stracili zaufanie do monet, odkąd Filip Drugi ukradł im po trzy grany srebra na każdej sztuce. Zresztą na fałszywych monetach zarabiają wszyscy, nie tylko król. Tak to wygląda. Mamy nowy system wymiany. Gorzej, że rosną ceny, ale to nas nie dotyka tak mocno jak chrześcijan, bo kupujemy mniej, mamy mniejsze potrzeby.

— I w ten sposób zdobyliście sto dwadzieścia tysięcy dukatów? — Hernando nie ukrywał zdumienia.

— Sporą część tej sumy. — Fakih uśmiechnął się z satysfakcją. — Resztę otrzymaliśmy od naszych braci, którzy mieszkają wśród Berberów, ale nie tracą nadziei, że pewnego dnia te ziemie znowu będą nasze.

Skończyli skromną kolację przygotowaną przez żonę Munira. Fakih wstał i zaprosił gościa do ogrodu na tyłach domu, skąd było widać księżyc i czyste, rozgwieżdżone niebo nad Muela de Cortes.

— Opowiedz mi o sobie — poprosił Munir idący przodem. — Znasz już moje zamiary. Chcę walczyć i zwyciężyć... albo umrzeć dla naszego Boga. Mam świadomość, że nie do końca je podzie-

lasz. — Fakih oparł się o balustradę tarasu zamykającego położony na wzgórzu ogród. U ich stóp rozciągała się dolina, a w dali szczyty Muela de Cortes. — Co się u ciebie wydarzyło od naszego ostatniego spotkania? — zapytał, kiedy Hernando stanął obok niego.

Morysk skierował oczy ku niebu i poczuł na twarzy chłodny powiew zimy. Zaczął opowiadać, jak wiele zmieniło się w jego życiu po powrocie do Kordoby z Grenady, gdzie zostawił pierwsze ołowiane księgi.

— Ożeniłeś się z chrześcijanką? — przerwał Munir. Wiedział już o Rafaeli.

Nie było w jego pytaniu wyrzutu. Obaj patrzyli prosto przed siebie: dwie samotne sylwetki na tle ciemnego ogrodu, z łokciami na balustradzie.

— Jestem szczęśliwy, Munirze. Znowu mam rodzinę, dwójkę cudownych dzieci — odpowiedział Hernando. — Niczego mi więcej nie trzeba. Jeżdżę konno, szkolę żrebaki. Konie z mojej stadniny cieszą się powodzeniem na rynku — mówił ze spokojem. — Wolne chwile poświęcam kaligrafii i studiowaniu ksiązek. Moja nowa sytuacja życiowa przyniosła mi spokój ducha. Dzięki temu czuję większą łączność z Bogiem, gdy maczam pióro w kałamarzu i przenoszę na papier. Litery wyłaniają się spod moich palców sprawnie, z doskonałością, jakiej nigdy przedtem nie osiągnąłem. Mam nadzieję, że wyjdzie z tego piękny egzemplarz Koranu. Bardzo mi na tym zależy. Litery zachowują odpowiednie proporcje. Kolorowanie znaków diakrytycznych sprawia mi wielką przyjemność. Poza tym często modłę się w meczecie przed mihrabem kalifów. I wiesz co? Kiedy tam stoję i szepczę modlitwy, odczuwam coś podobnego jak teraz, gdy spoglądam na to rozgwieżdżone niebo. Złoto i marmur, z których zbudowano to święte miejsce, skrzą się jak gwiazdy. Tak, ożeniłem się z chrześcijanką. Rafaela... moja żona... jest miła, dobra i rozumna. To wspaniała matka.

Spojrzenie Hernanda poszybowało między gwiazdy. Miał w oczach obraz Rafaeli. Chuda, drżąca dziewczynka, którą przed-



stawił mu Miguel, rozkwitła i stała się prawdziwą kobietą. Po urodzeniu dzieci nabrała ciała, urosły jej piersi i zaokrągliły się biodra. Munir uszanował moment zadumania przyjaciela. Wyczuwał, że myślami jest teraz przy kobiecie, która niespodziewanie zdobyła jego serce. Hernando sam nie wiedział, kiedy to się stało.

— No i mamy dzieci — dodał Hernando z uśmiechem. — One są moim życiem. Bardzo długo, ponad czternaście lat nie słyszałem dziecięcego śmiechu, nie czułem dotyku małej rączki, która szuka mojej, żeby się nie bać, nie czytałem w niewinnych, szczerych oczach tego wszystkiego, czego dziecko nie umie lub nie chce powiedzieć. Dziecięca twarz to najpiękniejsza poezja. Razem z żoną bardzo przeżyliśmy śmierć naszego trzeciego dziecka, które jeszcze nie zaczęło chodzić. Wcześniej straciłem dwoje, ale to umierało na moich rękach i nie mogłem nic zrobić, by je uratować. Czułem ogromną pustkę: dlaczego Bóg zabiera to niewinne stworzenie? Dlaczego znowu spada na mnie taka okrutna kara? Ja miałem już za sobą stratę dziecka... ale Rafaela wpadła w rozpacz. Długo nie mogła się pogodzić ze śmiercią synka. Musiałem być silny dla niej. We mnie też coś umarło razem z tym maleństwem, starałem się jednak trzymać mocno, pomagać żonie w przewyciężeniu bólu. Potem długo nie zachodziła w ciążę. Dopiero niedawno Allah nas pobłogosławił. Spodziewamy się kolejnego dziecka!

Hernando znowu utkwiał wzrok w rozgwieżdżonym niebie. Oboje z Rafaelą bardzo cierpieli, patrząc na agonię maleństwa, modlili się w milczeniu, każde do swojego Boga. Byli przy umierającym dziecku, dopóki nie wydało ostatniego tchnienia. Razem opłakiwali synka. Razem go pochowali według obrządku chrześcijańskiego. Stali nad grobem zrozpaczeni, razem wrócili do domu, podpierając się nawzajem. Rafaela zalana łzami jeszcze jakoś trzymała się w obecności obcych ludzi, ale zupełnie załamała się, kiedy zostali sami. Upłynęło dużo czasu, zanim znowu zaczęła się uśmiechać i podśpiewywać, krzątając się po domu. Dwójka starszych dzieci i wsparcie męża pomogły jej wydobyć się z rozpacz. Odzyskała radość.

Hernando wspominał ten smutny czas z bólem, ale zarazem z wewnętrzną dumą — razem pokonali nieszczęście, i to wzmocniło ich związek oparty początkowo na słabych podstawach. Tylko dwie rzeczy pozostały takie same jak dawniej. Rafaela szanowała chwile, które spędzał w bibliotece, wiedziała, że kaligrafuje arabskie wersety. Hernando zaś, chociaż spali razem, szanował przekonania żony i nie próbował jej przekonać, że współżycie seksualne wcale nie jest grzechem. Sam był zaskoczony odkryciem innej formy przyjemności, która wypływała z cichej, spokojnej miłości okazywanej mu w łóżku przez żonę, miłości beznamiennej, pozazmysłowej, jakby oboje pragnęli, by nic i nikt nie mógł zakłócić ich pięknego związku.

— A dzieci? Wychowujesz je w prawdziwej wierze? Twoja żona wie, że jesteś muzułmaninem? — zainteresował się Munir.

— Tak, wie — odrzekł. — To długa historia... Miguel, ten kaleka, który nas wyswatał, wszystko jej najpierw opowiedział. Ona... ona nie lubi dużo mówić, ale rozumiemy się bez słów. Kiedy modlę się przed mihrabem w meczecie, jest przy mnie, gdyż pragnie dzielić ze mną te chwile. Wie, że modlę się do jedyne Boga. Jeśli chodzi o dzieci... najstarszy ma dopiero siedem lat. One jeszcze nie potrafią udawać. Mogłyby się niechcący zdradzić i ściągnąć na nas niebezpieczeństwo. Uczą się w domu z dochodzącym preceptorem. Ze mną poznają nasze opowieści i legendy. To na razie musi im wystarczyć. Potem przyjdzie czas na więcej.

— Rafaela nie wyrazi sprzeciwu, gdy przyjdzie ten moment? — zapytał fakih.

Hernando westchnął.

— Sądzę... jestem pewien, że zawarliśmy cichą umowę. Ona modli się z dziećmi po chrześcijańsku, ja opowiadam im o Proroku. Chciałbym... — przerwał, bo nie wiedział, czy fakih zrozumie jego marzenie: wychować dzieci w obu kulturach. W poszanowaniu i tolerancji. Zdecydował, że zachowa to dla siebie. — Jestem przekonany, że się nie sprzeciwi.

— Dobra z niej kobieta.

Długo jeszcze tak gawędzili pod gwiazdami, przerywając rozmowę krótkimi chwilami milczenia, by napawać się urodą otaczającej ich nocy.



Na trzy dni przed Bożym Narodzeniem 1604 roku sześćdziesięciu ośmiu przedstawicieli gmin morysków z królestw Walencji i Aragonii spotkało się na polanie w lesie nad rzeką Mijares, koło małej, zagubionej w górach miejscowości Toga. Przybyło także kilkunastu Berberów i francuski szlachcic Panissault wysłany przez diuka La Force, marszałka króla Francji Henryka IV. Było już ciemno, kiedy po przejściu przez punkty kontrolne i wystawione w okolicy warty Hernando dotarł do Togi ręką w rękę z Munirem reprezentującym morysków z doliny Cofrentes. Hernando zostawił konia w Jarafuel, by nie wzbudzać podejrzeń, i podobnie jak fakih podróżował na grzbiecie mulicy. Zajęło im to siedem dni, mieli sporo czasu na szczerze rozmowy, które zacieśniły ich przyjaźń.

Kilka ognisk rzucało słabe światło na polanę. Ruchy mężczyzn krążących wokół ognia zdradzały nerwowość. W powietrzu unosił się nastrój podniecenia. Hernando przywitał się z niektórymi szejkami morysków i wyczuł, że wszyscy są gotowi do walki.

Czy wszelkie jego starania pójdą na marne? — zastanawiał się, słysząc przysięgi z ust moryskich delegatów, że będą walczyć aż do końca. Wojna na śmierć i życie! Nikt już nie liczył na Turków, wyjaśnił mu po drodze Munir, co najwyżej na pomoc Berberów zza cieśniny. Ołowiane księgi na pewno przyniosą pożądany rezultat! — rozmyślał Hernando. Wkrótce nadejdzie moment przekazania kopii ewangelii Barnaby mużulmańskiemu władcy, który obwieści ją światu. Tak twierdzą don Pedro, Luna i Castillo, lecz ci ludzie na polanie nie chcą dłużej czekać. Hernando usiadł na ziemi obok Munira wśród moryskich delegatów. Zobaczył naprzeciwko francuskiego szlachcica Panissaulta, w przebraniu kupca, obok moryska Miguela Alamina, który przez dwa lata prowadził z Francuzami negocjacje uwieńczone spotkaniem w Todge. Jaka droga jest prawdziwa? Kto ma rację? — zastanawiał się

Hernando. Tymczasem Alamín przedstawiał zebranym Francuza. Po jednej stronie granadyjski szlachcic mocno związany z chrześcijanami, dwóch lekarzy tłumaczących z arabskiego i on, zwykły kordobański morysk. Po drugiej przedstawiciele prawie wszystkich gmin morysków z królestw Walencji i Aragonii, którzy prą do wojny. Wojna! Przypominał sobie dzieciństwo i powstanie w Alpuharze, czekanie na pomoc z zewnątrz, która nigdy nie nadeszła, bolesne upokorzenie klęski. Co powiedziałyby Hamid o tym nowym porywie gniewu? A Fatima? Jakie stanowisko zajęłaby Fatima? W uszach dudniły mu okrzyki szejków. Rozpoczęta dyskusja pogrążyła go w melancholii. Tyle pracy i tyle wyrzeczeń na nic. Będzie nowa wojna! Nie mógł odmówić racji braciom w wierze, którzy z żarliwością bronili idei powstania. Ale coś mu mówiło, że i tym razem się nie uda. Chyba się zestarzałem, pomyślał Hernando, i osłabił mnie spokojny tryb życia... W głębi ducha był jednak przekonany, że przemoc nie jest dobrym rozwiązaniem.

— Inkwizycja nas wyzyskuje! — wykrzyknął za jego plecami jakiś morysk.

To prawda. Dowiedział się o tym od Munira podczas podróży do Togi. W Kordobie tego nie było, ale tu, na ziemi morysków, inkwizycja pobierała karę pieniężną za grzechy nowych chrześcijan, jeszcze zanim je popełnili. Każda gmina miała obowiązek raz do roku płacić najwyższemu trybunałowi określoną kwotę grzywny.

— Panowie też nas wyzyskują! — krzyknął inny.

— Chcą nas wszystkich zabić!

— Wykastrować.

— Puścić w niewolę!

Okrzyki stawały się coraz gwałtowniejsze.

Hernando spuścił głowę i wbił oczy w ziemię. Czy to nie jest prawda? Musiał przyznać im rację. Ludzie nie chcieli tak dłużej żyć, a przyszłość... Jaka przyszłość czeka nasze dzieci? Tymczasem on, Hernando Ruiz z Juviles, spędza czas w swojej bibliotece, żyje mu się wygodnie i przyjemnie... Naiwnie próbuje podważyć fundamenty chrześcijańskiej religii, szukając odpowiedzi w księgach.

Zadrzał, słysząc ustalenia podjęte po burzliwej dyskusji na

polanie: powstanie rozpocznie się podpaleniem kościołów w Walencji w noc Wielkiego Czwartku 1605 roku. W ten sposób moryskowie zwrócą na siebie uwagę chrześcijan. Jednocześnie Henryk IV wyśle flotę do portu Grao. Wszyscy moryscy szejkwowie wezwą swoich ludzi do walki zbrojnej. A co, jeśli francuski król ich zawiedzie, tak jak to zrobili ludzie z dzielnicy Albaicín na początku powstania w Alpuharze? Wtedy moryskowie znowu zostaną sami w obliczu gniewu chrześcijan oburzonych sprofanowaniem kościołów. Już raz tak było. Zawierają swoją przeszłość w ręce chrześcijańskiego króla, który co prawda jest wrogiem Hiszpanii, ale chrześcijaninem, jakkolwiek by na to patrzeć. Ilu z tych rozognionych dyskutantów przeżyło wojnę w Alpuharze? Hernando chciał coś powiedzieć, ale nie mógł dojść do głosu wśród ogłuszających wrzasków. Nawet Munir wznosił ręce do nieba i krzyczał, domagając się świętej wojny:

— *Allahu Akbar!*

Gromki okrzyk długo niósł się nad lasem.

Następnie przystąpiono do wyboru króla morysków. Został nim Luis Asquer z Alaguás. Nowy monarcha wdział czerwoną pelerynę, chwycił do ręki szablę i szykował się do złożenia przysięgi zgodnie z tradycją. Został wybrany przez aklamację, wszyscy wstali, otoczyli go i długo klaskali.

Hernando odłączył się od grupy. Decyzja zapadła... Wojna jest nieunikniona. Zwyciężyć lub zginąć! Oddalał się od wrzawy i wiwatów, wspominając liczne sytuacje, kiedy słyszał te same okrzyki w Alpuharze. On sam...

Nagle poczuł silny cios w kark. Miał wrażenie, że zaraz pęknie mu głowa, zaczął osuwać się na ziemię. Mimo oszołomienia zorientował się, że kilku mężczyzn chwyta go za ręce i ciągnie między drzewa, z dala od polany i ognisk. Tam rzucili go na ziemię. Dudniło mu w głowie, oczy zachodziły mgłą, zdążył jednak zobaczyć trzech... nie, czterech mężczyzn stojących półkolem wokół niego. Rozmawiali po arabsku. Chciał się podnieść, ale nie miał siły. Nie rozumiał, co mówili, oklaski i owacje na cześć nowego króla zagłuszały ich słowa.

— Czego... czego chcecie? — wykrztusił z siebie po arabsku. — Kim wy...?

Jeden z nich wylał mu na twarz bukłak zimnej wody. Chłód przywrócił Hernandowi przytomność. Ponownie spróbował się podnieść, ale tym razem ktoś postawił mu nogę na piersi. Sylwetki czterech mężczyzn zamigotały niewyraźnie na tle ognisk, ich twarze pozostawały w cieniu.

— Czego chcecie? — zapytał, oprzytomniawszy nieco.

— Zabić renegata i zdrajcę — odparł jeden z nich.

Słowa te zabrzmiały groźnie w ciemnościach. Hernando usiłował pozbierać myśli, czując jednocześnie ucisk ostrza na szyi. Dlaczego chcą go zabić? Może to ktoś z Kordoby? Nie zauważył żadnych znajomych twarzy podczas zebrania, a jednak... Ostrze bawiło się jego grdyką.

— Nie jestem renegatem ani zdrajcą — oświadczył z determinacją. — Kto wam powiedział o mnie takie rzeczy...

— Ktoś, kto dobrze cię zna.

Hernando z trudem wydobył z siebie głos, ostrze przesunęło się po jego gardle.

— Zapytajcie Munira! — wybełkotał. — Fakiha z Jarafuel! On wam powie...

— Jeśli to zrobimy i opowiemy mu wszystko, co o tobie wiemy, on sam cię zabije, a na to nie możemy pozwolić. Zemsta należy do nas...

— Jaka zemsta? — zapytał pospiesznie. — Co takiego złego wam zrobiłem, że szukacie zemsty? Jeśli uważacie, że jestem renegatem i zdrajcą, niech osądzi mnie król.

Jeden z nich uklęknął przy nim i przysunął twarz tak blisko, że Hernando czuł jego ciepły oddech. Głos mężczyzny ociekał nienawiścią.

— Ibn Hamidzie — wyszeptał. Hernando zadrżał na dźwięk tego imienia. Ludzie z Alpuhary? Co to znaczy...? — Lubieś, żeby tak do ciebie mówić, prawda?

— To jest moje imię — potwierdził.

— Imię zdrajcy swojego ludu!

— Nigdy nie zdradziłem. Kim jesteś, aby rzucać na mnie takie oszczerstwa?

Mężczyzna dał znak jednemu ze swoich towarzyszy, żeby przyniósł płonące polano.

— Przyjrzyj mi się dobrze, Ibn Hamidzie. Chcę, żebyś wiedział, kto położy kres twemu życiu. Spójrz na mnie... ojcie.

Mężczyzna wziął do ręki polano, rozpraszając ciemność. Hernando zobaczył ogromne niebieskie oczy wbite w niego z wściekłością. Te same rysy twarzy...

— Boże! — jęknął zdumiony. — To niemożliwe! — Zakreśliło mu się w głowie. Tysiące wspomnień odżyło w jego myślach na widok tej twarzy, walczyły o pierwszeństwo... Minęło ponad dwadzieścia lat... — Francisco? — jęknął.

— Od dawna mam na imię Abdul — odparł twardo jego syn. — A to jest Szamir. Pamiętasz go?

Szamir! Hernando próbował go rozpoznać wśród trzech pozostałych mężczyzn, ale żaden nie wysunął się z cienia. Zmącił mu się umysł: Francisco żyje... Szamir też. Uciekli Ubajdowi? Ale przecież matka... Aisza zapewniała go o ich śmierci, na własne oczy widziała, jak mulnik zamordował ich w górach.

— Powiedziano mi, że nie żyjesz! — wykrzyknął. — Szukałem... Przez wiele tygodni chodziłem po górach, żeby odnaleźć wasze ciała. Zwłoki Inés... i Fatimy.

— Ty tchórze! — warknął na niego Szamir.

— Matka czekała... wszyscy czekaliśmy, że przybędziesz nam na pomoc — dodał Abdul. — Ty psie! Nawet palcem nie kiwnąłeś w obronie swojej żony, córki, przyrodniego brata. Nie mówiąc już o mnie!

Hernando poczuł, że brakuje mu powietrza. Co on takiego powiedział, jego syn? Że matka czekała... Jego matka! Fatima!

— Fatima żyje? — spytał słabnącym głosem.

— Tak, *ojcze* — powiedział szyderczo Abdul. — Żyje... Ale nie dzięki tobie. Wszyscy przeżyliśmy. Musieliśmy znosić nienawiść i wściekłość Brahima. Dał nam się mocno we znaki. A najbardziej matce! Tymczasem ty zapomniałeś o swojej rodzinie i zdradzałeś swój lud. Podły Brahim zapłacił własnym życiem za to, co nam zrobił. Teraz na ciebie kolej. Wyrównamy rachunki!

Brahim! Hernando zamknął oczy i pozwolił, by dotarła do niego prawda. Brahim spełnił swoją groźbę: wrócił po Fatimę, zemścił się na swoim pasierbie, zabierając mu dzieci, żonę, wszystko, co kochał... Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Brahim przyszedł po nich... To znaczy... A biała chusteczka Fatimy? Widział ją na szyi martwego Ubajda! Jak to możliwe? Ubajd i Brahim razem? Pewna myśl przemknęła mu przez głowę i znikła. Aisza musiała coś o tym wiedzieć! Przecież mu powiedziała, że Ubajd zabił wszystkich, przysięgała parę razy, że była świadkiem śmierci Fatimy i dzieci... Oszukała go. Ale dlaczego? Myśl o tym, że matka go okłamała, była nie do zniesienia. Hernando zwinął się w kłębek na ziemi, nie bacząc na handżar, na Francisca ani na mężczyznę z płonąca głownią. Serce waliło mu w piersiach, o mało nie wyskoczyło. Boże! Fatima żyje! Chciał zapłakać, ale z oczu nie wypłynęła ani jedna łza. Skulił się jeszcze bardziej, gdyż nagle drgawki zaczęły wstrząsać jego ciałem, jakby miało rozpaść się na kawałki. Przeżył życie w przeświadczeniu, że całą rodzinę wymordował mu Ubajd!

— Fatima! — krzyknął.

— Zginiesz — zawyrokował Szamir.

— Śmierć jest daleką nadzieją — odparł Hernando machinalnie.

Abdul wyciągnął sztylet zza pasa. Na polanie zapadła cisza, moryskowie z szacunkiem przyglądali się koronacji swojego króla. „Przysięgam, iż gotów jestem oddać życie za jedynego Boga”, dało się słyszeć w tym samym momencie, gdy mężczyzna trzymający głownię szarpnął Hernanda za włosy, żeby odsłonić mu szyję. Zabłyśło ostrze sztyletu.

Fatima! Teraz ona zawładnęła całą jego świadomością.

— Za kogo ty się masz, aby wymierzać mi sprawiedliwość? — zbuntował się. — Nie umrę, dopóki najpierw nie porozmawiam z twoją matką! Nie pozwolę się zabić, dopóki nie uzyskam jej przebaczenia! Myślałem, że nie ma was wśród żywych. Bóg jeden wie, ile wycierpiałem z powodu tej straty. Fatima zadecyduje, czy zasłużyłem na karę, czy na przebaczenie. Tobie nic do tego. Jeśli mam umrzeć, niech ona to powie.



W nagłym porywie wściekłości odepchnął syna, który, nieprzygotowany, upadł na ziemię. Hernando próbował wstać, ale handżar Szamira dotykał jego piersi. Chwycił go. Ostrze zraniło mu dłoń.

— Myślisz, że ucieknę? — warknął. — Że będę z wami walczyć? — Otworzył ramiona, by pokazać, że nie ma broni. — Pragnę oddać się pod sąd Fatimy. Niech ona wbije mi ten nóż, jeśli rzeczywiście wierzy, że byłbym zdolny wyrzec się jej i was, gdybym wiedział, że żyjecie.

Po raz pierwszy dojrzał twarz swojego przyrodniego brata i rozpoznał w niej rysy Brahima. Szamir patrzył pytająco na Abdula, a ten skinął potwierdzająco głową po krótkim wahaniu: Fatima ma pełne prawo osobiście dokonać zemsty, tak jak to zrobiła z Brahimem.

W tym momencie zakończył się akt koronacyjny i zgromadzeni na polanie moryskowie wybuchnęli entuzjastycznymi okrzykami.



Większość delegatów i szejków postanowiła wracać do domów pod osłoną nocą. Francuz Panissault otrzymał obietnicę, że suma stu dwudziestu tysięcy dukatów zostanie mu przekazana w mieście Pau, we francuskiej prowincji Bearne, której gubernatorem był diuk La Force. Pożegnaniu towarzyszyło tyle gwaru i zamieszania, że Munir początkowo nie zauważył zniknięcia Hernanda i dopiero po jakimś czasie zaczął się niepokoić i rozglądać. Nigdzie go nie znalazł. Zastanawiał się nawet, czy już nie odjechał, ale obie mulice były przywiązane.

Gdzie on się podziewa? Przecież nie wyjechałby bez pożegnania, zresztą jak, skoro konia zostawił w Jarafuel, a mulica była na miejscu. Zapytał o niego paru morysków, ale nikt nic nie wiedział. Jeden z Berberów biorących udział w przygotowaniu rebelii przeszedł obok pospiesznie. Co on może wiedzieć...?

— Zaczekaj — odezwał się do niego mimo wszystko — znasz Hernanda Ruiza z Kordoby? Widziałeś go?

Mężczyzna przystanął na wezwanie fakiha, ale gdy tylko usłyszał, o kogo chodzi, wybąkał jakieś przeproszenie i sztywno poszedł dalej w stronę lasu.

Dziwna reakcja, pomyślał Munir, spoglądając za oddalającym się Berberem. Mężczyzna odwrócił się, zanim zniknął między drzewami, ale widząc, że fakił go obserwuje, przyspieszył kroku. Munir poszedł za nim bez wahania. Ciekawe, co ten człowiek ukrywa? Czy coś się stało z Hernandem?

Nie musiał zadawać sobie więcej pytań. Ledwie wszedł między drzewa, rzuciło się na niego kilku mężczyzn, jeden z nich wyciągnął sztylet.

— Spróbuj krzyknąć, a nie żyjesz — ostrzegł go Abdul. — Czego chcesz?

— Szukam Hernanda Ruiza — odpowiedział Munir, usiłując zachować spokój.

— Nie znamy żadnego Hernanda Ruiza... — zaczęła Abdul.

— Czyżby? — przerwał mu fakił. — A kogo tam ukrywacie?

Mimo ciemności buty jeździeckie Hernanda były widoczne między nogami mężczyzn usiłujących go zasłonić. Berberowie nosili praktyczne obuwie żeglarskie. Abdul spojrzał w kierunku wskazywanym przez Munira.

— Tamten? — spytał cynicznie, rozumiejąc, że dalsze udawanie nie ma sensu. — To renegat, zdrajca naszej wiary.

Munir nie mógł powstrzymać śmiechu.

— Renegat? Sam nie wiesz, co mówisz. — Abdul zmarszczył czoło. W jego niebieskich oczach pojawiła się niepewność. — Mało kto w Hiszpanii zrobił i robi dla naszej wiary tyle co on.

Abdul się zawahał. Szamir opuścił grupę przytrzymującą Hernanda i podszedł do nich.

— Kim ty jesteś, by tak twierdzić? — zapytał, stając naprzeciwko Munira.

Fakił mógł teraz zobaczyć Hernanda. Jego przyjaciel wydawał się zdruzgotany, siedział na ziemi z pochyloną głową, na nikogo nie patrząc. Nie zainteresował się nawet rozmową toczącą się o kilka kroków dalej.

— Nazywam się Munir — odparł. Co się dzieje z Hernandem? — Jestem fakiłem Jarafuel i doliny Cofrentes.

— Mam dowody, że ten człowiek współpracuje z chrześ-

cijanami — warknął Szamir. — Zdradził sprawę morysków. Zasluguje na śmierć.

Hernando nie reagował.

— Co wy o tym możecie wiedzieć! — obruszył się Munir. — Skąd jesteście? Z Algieru? Z Tetuanu?

— My dwaj? Z Tetuanu — odpowiedział Abdul, zdobywając się na szacunek dla fakiha — a reszta...

Słyszając niezdecydowanie w głosie mężczyzny, który wyglądał na szefa tej grupy Berberów, Munir wyszarpnął się z przytrzymujących go rąk i rzucił:

— Mieszkacie po drugiej stronie cieśniny, w Berberii, gdzie można bez przeszkód wyznawać prawdziwą wiarę. — Fakihi przymknął oczy i pokręcił głową. — Ja sam przystępuję do komunii co niedziela. Spowiadam się z grzechów chrześcijańskich, żeby otrzymać dokument, który daje mi swobodę poruszania się. Często jestem zmuszony jeść wieprzowinę i pić wino. Mnie też macie za renegata? Wszyscy moryskowie, których widzieliście tej nocy, podporządkowują się nakazom Kościoła! Jak inaczej zdołalibyśmy pozostać przy życiu i zachować naszą wiarę? Hernando pracował dla jedynego Boga tyle samo albo i więcej niż każdy z nas. Uwierzcie mi. Wy go nie znacie.

— Dobrze go znamy. Jest moim ojcem — oznajmił Abdul.

— A moimi przyrodnim bratem — dodał Szamir.

Munir zaczął przekonywać młodych Berberów, że Hernando pracuje potajemnie na rzecz wspólnoty. Mówił o kopiowaniu Koranu, o latach pracy przy ołowianych księgach, o wieży Turpiana i Sacromonte. Powoływał się na don Pedra de Granada Venegas, Alonsa Castilla i Miguela Lunę. Wspomniął nawet o ewangelii Barnaby i o tym, co zamierzają. Wyjaśnił, że Hernando myślał, iż wszyscy zginęli z rąk Ubajda.

— Jego matka nic nie wiedziała o tych pracach — odparł na zarzut Abdula, który przytoczył odpowiedź Aiszy na list wysłany przez Fatimę do Kordoby za pośrednictwem Żyda. — Hernando musiał zachować to wszystko w sekrecie... nawet przed własną matką. Dla niej, tak samo jak dla wszystkich, jej syn był renegatem,

chrześcijaninem. Hernando myślał, że nie żyjecie. Zapewniam was. Nikt mu nie powiedział o tym liście.

Dodał również, że wedle jego wiedzy Hernando jest jedynym moryskiem, który modli się w kordobańskim meczecie, mimo że ma żonę chrześcijankę.

— W ten sposób spełnia przysięgę złożoną twojej matce, że będzie modlić się przed mihrabem — dodał, zwracając się do Abdula. Zorientował się bowiem, że wzmianka o chrześcijańskiej żonie Hernanda może jeszcze bardziej rozjątrzyć korsarzy.

Przez chwilę słychać było tylko zgiełk i gwar rozmów morysków żegnających się na polanie. Munir zauważył, że Abdul i Szamir wpatrują się w Hernanda. Czy udało mu się ich przekonać?

— Pomagał chrześcijanom podczas wojny w Alpuharze — wycedził zniecka Abdul. Rysy jego twarzy stwardniały. Niebieskie oczy patrzyły lodowato.

— Pomógł tylko jednemu, i to dlatego, że sam musiał uwolnić się z niewoli, a potem... — usprawiedliwiał go fakihi — a potem...

— Potem kolaborował z chrześcijanami z Grenady — przerwał mu Abdul — przeciwko moryskom, którzy podnieśli bunt.

— A co powiesz o tym, że uratował życie innym chrześcijanom? — wtrącił Szamir. Munir wzdygnął się; pierwszy raz słyszał o ratowaniu jeszcze innych chrześcijan. Korsarz dostrzegł jego wahanie i przestał przyjmować z takim szacunkiem wyjaśnienia fakiha. — Było ich wielu. Nie wiedziałeś? Nie powiedział? To zwykły tchórz. Ty tchórz! — krzyknął w stronę Hernanda.

— Zdrajca! — dorzucił Abdul.

— Jeśli myślał, że zamordował nas Ubajd, to dlaczego nie odszukał go choćby w piekle, żeby się zemścić? — kontynuował Szamir, gwałtownie gestykulując przed fakihem. — Co zrobił, żeby pomścić śmierć swojej rodziny? Powiem ci, co zrobił: schronił się w pałacu chrześcijańskiego diuka i płał w luksusach.

— Gdyby mu na tym zależało, gdyby szukał zemsty, jak każdy porządny muzułmanin — wykrzykiwał Abdul — może odkryłby, że to nie Ubajd, ale Brahim był sprawcą jego nieszczęść!

Słowa te uderzały w Hernanda boleśniej niż ciosy. Nie miał

nawet siły się bronić, powiedzieć głośno, że widział martwego Ubajda i dopiero wtedy porzucił myśl o zemście. Że bez końca włóczył się po górach, szukając ciał swoich najbliższych, żeby je pochować... Jaki to teraz ma sens? Kiedy tak słuchał oskarżeń rzucanych przez jego syna, tych słów pełnych urazy i nienawiści, po głowie chodziło mu tylko jedno pytanie. Dlaczego? Dlaczego Aisza go okłamała? Dlaczego, znając prawdę, pozwoliła mu tak cierpieć? Przypomniał sobie jej łzy, twarz ściągniętą bólem, gdy mówiła, że to Ubajd ich zabił, a ona wszystko widziała. „Dlaczego, matko?”.

Ostry głos syna wyrwał go z zamyślenia.

— Na dodatek ożenił się z chrześcijanką! Nie chcę cię znać, parszywy psie! Wyrzekam się ciebie! — Abdul splunął ojcu pod nogi.

Munir nieświadomie wiódł wzrokiem za plwociną. Potem spojrzął na Hernanda, który nie reagował na obelgi. Milczał, kiedy własny syn go przeklinał. Nawet w ciemnościach widać było, jak bardzo jest zgnębiony, przybity winą, że to wszystko przerasta jego siły.

— Jednakże ołowiane księgi... — zaczął fakih pełen współczucia dla swojego przyjaciela.

— Jakie tam księgi? — przerwał mu Szamir — Puste litery! Co nam z tego przyjedzie? Pomogły już komuś? — Munir nie chciał przyznać mu racji i tylko zacisnął mocniej wargi. — Takie sztuczki są dobre dla bogaczy, dla tych wszystkich szlachciców, którzy nas zdradzili, a teraz próbują ratować własną skórę. Nie przyniosą nic dobrego naszym braciom, którzy cierpią biedę, ale nie przestają wierzyć w jedyne Boga i modlą się po kryjomu w swoich domach albo na polu! Zdrajca musi umrzeć.

— Tak — przyłączył się do niego Abdul. — Musi umrzeć.

Wyrok zabrzmiał groźnie w leśnej ciszy. Na polanie pozostało już niewielu ludzi. Dreszcz przeszedł Munirowi po plecach, kiedy dostrzegł w tych młodych okrucieństwo korsarzy. Wiedział, że przywykli traktować zabijanie jak rozrywkę i wszystko im jedno, czy to ginie człowiek, czy zwierzę.

— Spokój! — wykrzyknął w desperackim zamiarze uratowania życia przyjacielowi. — Ten człowiek przybył do Togi na moją odpowiedzialność. Jest pod moją opieką.

— Umrze! — zawołał Abdul.

— Nie rozumiecie, że on już jest martwy? — odparł ze smutkiem Munir, pokazując na Hernanda.

— Tysiące chrześcijan takich jak on gnije w lochach Tetuanu. Nie wzruszysz nas swoim współczuciem. Zabrać go! — Szamir wydał rozkaz Berberom. — Wyruszamy.

Munir wykrzesał z siebie resztki sił. Najpierw wziął głęboki oddech, a kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał mocno i stanowczo, nie zdradzając lęku, który pożerał go od środka.

— Zabraniam wam!

Fakih odparował obojętnie spojrzenia obu korsarzy. Abdul podniósł rękę do handżara, jakby doznał zniewagi, jakby nigdy dotąd nie usłyszał takiego rozkazu. Munir mówił twardo dalej, powstrzymując drzenie głosu:

— Nazywam się Munir. Jestem fakihem Jarafuel i całej doliny Cofrentes. Tysiące muzułmanów szanuje moje decyzje. Według naszych praw zajmuję drugie miejsce w hierarchii rządzenia i kierowania światem. Rozstrzygam kwestie sprawiedliwości. Ten człowiek tu zostanie.

— A jeśli nie posłuchamy? — zapytał Szamir.

— To musicie mnie zabić, żeby zabrać go z sobą na łodzie. Inaczej nie pozwolę.

Wszyscy utkwili wzrok w fakihiu. Tylko Hernando klęczał na ziemi z pochyloną głową, pogrążony w swoich rozmyślaniach.

— Brahim zapłacił za swoje występki — oświadczył po chwili Szamir. — Ten zdradziecki pies nie ujdzie kary.

— Mędrcom i starszym należy się szacunek — przypomniał Munir.

Jeden z Berberów opuścił głowę po tych słowach. Hernando spojrzął na Szamira, jakby się nagle obudził. Co on takiego powiedział? Abdul zorientował się, że jego ludzie nie podniosą ręki na fakiha, gdyż szanują prawo, on też tego nie zrobi. Wbił

swoje niebieskie oczy w Hernanda, który teraz patrzył na niego pytająco. Brahim nie żyje...? Korsarz zbliżył się do ojca.

— Tak — powiedział ostro — zabiła go moja matka. Ona w jednym palcu ma więcej męstwa i odwagi niż ty w całym ciele. Tchórz! —

W tym momencie jeden z Berberów pilnujących Hernanda potrząsnął nim z całej siły, drugi walnął go mocno w plecy kolbą arkebuza. Hernando upadł na ziemię, zaczęli go kopać, a on nawet nie próbował się bronić.

— Przestańcie, na Boga! — błagał Munir.

— Przysięgam na Allaha, Boga, którego wzywa twój fakih — wycedził Abdul, dając swoim ludziom znak dłonią, by przestali znęcać się nad leżącym. — Zabiję cię, jeśli kiedykolwiek staniesz na mojej drodze. Zapamiętaj to sobie, ty psie niewierny.



Brahim! Szamir przypominał Fatimie Brahima, kiedy tak wrzeszczał i miotał groźbami. Był jednak potężniejszy i sprytniejszy od prymitywnego mulnika z Alpuhary... Fatima zadrżała, rozpoznając ten zagniewany głos, te same gesty i ataki wściekłości.

Zaraz po powrocie z Togi Abdul i Szamir zjawili się w pałacu i stanęli przed nią, obaj poważni, z posepnymi minami. Nie chcieli jej powiedzieć, co się nie udało. Fatima знаła szczegóły misji w Todze, sama zbierała pieniądze wśród Berberów na nowe powstanie. Z zainteresowaniem wysłuchiwała ich wiadomości, ale coś ją zaniepokoiło w zachowaniu syna.

— Abdul — powiedziała wreszcie, kładąc dłoń na jego silnym ramieniu. — Co się stało?

Syn pokręcił głową i mruknął coś niezrozumiale.

— Mnie nie oszukasz. Jestem twoją matką i dobrze cię znam. Abdul i Szamir wymienili spojrzenia. Fatima cierpliwie czekała.

— Widzieliśmy nazarejczyka — wyrzucił z siebie Szamir. — Ten wiarołomny pies był w Todze.

Fatima zamarła z otwartymi ustami, jakby nie mogła złapać oddechu.

— Ibn Hamida? — Wymawiając to imię, poczuła ucisk w pierśsiach i podniosła do góry upierścienioną dłoń.

— Nie nazywaj go tak! — rzucił Abdul. — Nie zasługuje na to imię. To chrześcijanin i zdrajca! Czołgał się jak pies...

Spojrzała na niego skonsternowana.

— Co...? Co mu zrobiliście? — Chciała podnieść się z otomany, ale kolana odmówiły jej posłuszeństwa.

— Powinniśmy go zabić! — krzyknął Szamir. — Przysięgam, że to zrobimy, jeśli pokaże się nam na oczy!

— Nie! — Głos Fatimy zabrzmiał jak chrapliwy jęk. — Zabraniam wam!

Abdul spojrzał na matkę ze zdziwieniem. Szamir zrobił krok w jej kierunku.

— Zaczekajcie... Co on... co robił w Todze? Muszę wszystko wiedzieć — domagała się Fatima.

Opowiedzieli jej o nazarejczyku z nienawiścią, szczegółowo opisali całe wydarzenie, przytoczyli słowa fakiha, które uratowały życie temu zdrajcy. Fatima słuchała uważnie, nie tracąc ani słowa, a jednocześnie myślała: Ibn Hamid był w Todze z tymi, którzy planowali przewrót, poświęcił sporo lat życia świętym tekstom. To znaczy, że nie wyrzekł się wiary. Jej twarz nabierała blasku, w miarę jak słuchała. Gdyby to była prawda...! Gdyby tylko okazało się, że Ibn Hamid jest wierzący! W tym momencie Szamir wypowiedział słowa, które zabrzmiały dla niej jak policzek.

— Powinnaś wiedzieć, że się ożenił... z chrześcijanką. Jesteś wolna, Fatimo. Możesz wyjść za męż... Jesteś jeszcze piękna.

— Jak śmiesz mnie pouczać, co mogę, a czego nie mogę robić? Nigdy nie wyjdę ponownie za męż! — powiedziała ze złością.

Jej głos zdradzał tyle emocji, że w Szamirze obudziły się demony Brahima. Rozzłoszczony odmową zrobił kilka kroków w jej stronę.

— Nigdy więcej go nie zobaczysz, Fatimo. Zabiję go, jak się dowiem, że macie jakikolwiek kontakt z sobą. Słyszysz? Wyrwę mu z piersi serce tymi rękami!



Długo trwało, zanim ucichły jego wrzaski. A ona była tylko kobietą! Kobieta, która musi być posłuszna. Ten pałac to jego własność. Niewolnicy, meble, strawa, a nawet powietrze, którym oddychała, wszystko należało do niego, do Szamira. Jak oni mogą pozwolić, by odnowiła kontakt z tym tchórzliwym psem, który nie obronił ich w dzieciństwie? Straciliby szacunek swoich ludzi i całej gminy. Wszyscy wiedzieli, co poprzysięgli w Todze, zostawiając przy życiu Hernanda. Berberowie rozpowiadali o tym każdemu, kto chciał słuchać. Nikt by się z nimi nie liczył, gdyby nie dotrzymali przysięgi. A oni muszą mieć autorytet, żeby wymierzać sprawiedliwość i rozkazywać ludziom. Kto by za nimi poszedł, ryzykując życie w niebezpiecznych wyprawach, gdyby wiedział, że w ich domu rządy sprawuje kobieta? Dotrzymają przysięgi, choćby to miało ich dużo kosztować. Zabiją Hernanda jak psa.

Fatima stała wyprostowana, z wysoko podniesioną głową, jak wtedy gdy oświadczyła Brahimowi, że nigdy jej nie dostanie. Nie szukała pomocy Abdula, nawet nie spojrzała na syna, żeby go nie narażać na konieczność wyboru, nie doprowadzać do konfliktu między nim a Szamirem, który był właścicielem wszystkiego.

— Pamiętaj, co powiedziałem... Nie rób głupstw — wycodził Szamir, odwracając się i wychodząc z pokoju.

Dopiero wtedy, za plecami swojego pasierba, Fatima próbowała znaleźć w oczach syna odrobinę zrozumienia, ale on patrzył na nią zimno, z wyrazem niechęci na ogorzałej od słońca twarzy, która była tak samo surowa i nieprzystępna jak twarz tego drugiego korsarza. Zdecydowanym krokiem ruszył ku wyjściu. Fatima została sama, jej oczy napełniły się łzami.

# 64

*W Walencji uwięziono wielu morysków z powodu przekazanych przez króla Anglii listów, które zostały znalezione wśród dokumentów po zmarłej królowej, a pisali je do niej moryskowie, ażeby pomogła im w powstaniu i przystała swoje okręty, które złupią miasto. Wielu morysków poddano mękom, ażeby więcej powiedzieli o tych planach, niektórych zaś przykładowo ukarano ku przestrodze dla wszystkich pozostałych.*

LUIS CABRERA DE CÓRDOBA

*Relaciones de las cosas sucedidas en la corte de España*

Po śmierci Elżbiety angielskiej pod koniec sierpnia 1604 roku Hiszpania i Anglia podpisały traktat pokojowy. Monarcha hiszpański zobowiązał się między innymi do tego, że nie będzie więcej próbował umieszczać na tronie angielskim katolickiego króla. Być może dlatego kilka miesięcy później, już po podpisaniu porozumienia Jakub I przekazał Filipowi III w dowód wdzięczności wiele dokumentów znalezionych w archiwach jego poprzedniczki. Były wśród nich propozycje składane przez hiszpańskich morysków, że przy pomocy Anglików i Francuzów wzniesą powstanie przeciwko królowi katolickiemu i odzyskają królestwa Hiszpanii dla islamu.

Wicekról Walencji oraz inkwizycja zabrali się do działania zaraz po tym, jak Rada Królewska ogłosiła wiadomość o spisku.

Aresztowano wielu morysków i poddawano ich torturom,

dopóki nie zdradzili całego planu. Wykonano wiele wyroków śmierci zgodnie ze zwyczajem walenckim. Pytano skazańca, czy woli umrzeć w wierze chrześcijańskiej, czy muzułmańskiej. Jeśli wybierał pierwszą odpowiedź, wieszano go na rynku, a jeśli obstawał przy swojej wierze, wyprowadzano go poza mury miasta na Rambla i tam go kamienowano, a potem palono zwłoki, bo taka jest kara boska dla bałwochwalców zapisana w Księdze Powtórzonego Prawa.

Poza nielicznymi wyjątkami moryskowie decydowali się na szybką śmierć w wierze chrześcijańskiej, ale w ostatniej chwili, gdy kat zaciskał pętlę na ich szyi, zwracali się do Allaha. Niebawem ludzie przychodzący na egzekucję zaczęli zabierać z sobą kamienie i rzucali nimi w wisielca wzywającego Allaha. Krewni skazańca zbierali potem te kamienie, żeby zachować je na pamiątkę egzekucji.

Trzy miesiące po powrocie do Kordoby Hernando dowiedział się, że rewolta uknuta w Todze została udaremniiona. Prawdą jest, że w ciągu tych trzech miesięcy tylko jedna rzecz wyrwała go na chwilę z rozpacz: napisanie listu do Fatimy.

Drogę z Togi do Jarafuel przebył w milczeniu. Wlókł się o parę kroków za fakiem, jakby sam nie miał siły i Munir musiał go ciągnąć. Matka go okłamała. Fatima żyje, zabiła Brahima. Jego syn poprzysiągł, że go zabije, jeśli kiedykolwiek zetkną się ich drogi. Własny syn chce go zabić. Ale czy nie uczynił tego już w Todze? Hernando przypomniał sobie niewinne, pełne wyrazu niebieskie oczy Francisca na patio kordobańskiego domu. A mała Inés? Co z nią? To, czego się dowiedział w ciągu ostatnich czterech godzin, nie mieściło mu się w głowie, chociaż nie przestawał o tym myśleć. Nachodziły go różne obrazy i pytania, a kłujący ból pulsował w rytmie krótkich kroków mulicy, na której siedział.

Fatima! Twarz żony pojawiała się i znikwała we wspomnieniach, jakby bawiła się jego cierpieniem. Co ona sobie o nim pomyślała? Czekwała na jego pomoc i ratunek? Kiedy straciła nadzieję? Serce o mało nie pękło mu z żalu, gdy wyobrażał ją sobie z Brahimem.

Swoją ukochaną Fatimę! Czekala, że po nią przyjdzie, a on ją zawiódł!

„Dlaczego, matko?”. Tysiące razy wznosił oczy ku niebu. Dlaczego to przede mną ukryłaś?

Podróż do Togi zajęła im siedem dni, a z powrotem tylko cztery. Uporczywie milczący Munir zatrzymywał się jak najrzadziej, jechali również nocą przy świetle księżyca. Hernando ograniczał się do wykonywania jego poleceń: teraz odpoczniemy, zjedzmy coś, trzeba napić mulice, zatrzymamy się na noc koło wioski... Dlaczego Munir nie pozwolił mu umrzeć?

Po przybyciu do Jarafuel fakih nie zaprosił go do swojego domu, tylko kazał mu czekać pod drzwiami i sam przyprowadził konia.

— Oprócz diuka uratowałem tylko małą dziewczynkę — próbował usprawiedliwić się Hernando. — Wszystko inne to plotki...

— Nie chcę o tym słuchać — przerwał oschle Munir.

Hernando popatrzył na niego, fakih odpowiedział twardym spojrzeniem, po chwili jednak w jego oczach pojawił się błysk współczucia.

— Uratowałem ci życie, Hernando, ale niech Bóg cię osądzi.

W drodze powrotnej do Kordoby unikał towarzystwa mnichów, kupców, kuglarzy i różnych innych wędrowców, których nigdy nie brakowało na głównym trakcie. Podróżował samotnie, pogrążony w swoich smutnych myślach. Wina ciążyła mu na sercu jak kamień, chwilami myślał, że dłużej tego nie wytrzyma. W miarę jak zbliżał się do miasta, pojawiała się nowe zmartwienie: nie miał ochoty wrócić do domu. Co powie Rafaeli? Że ich małżeństwo jest nieważne? Że jego pierwsza żona żyje?



Opóźniał, jak mógł, powrót do domu. Bał się konfrontacji z Rafaelą. Bał się konfrontacji z samym sobą w momencie, gdy będzie musiał wyznać prawdę. Kiedy stanął wreszcie na progu, w pierwszej chwili nie odważył się podnieść oczu. Potem już

patrzył obojętnie, jak znika uśmiech z twarzy Rafaeli, która wyszła go powitać. Znowu była w ciąży. Zatrzymała się w pół kroku, widząc na jego twarzy siniaki i rany od kopniaków Berberów.

— Co ci się stało? — Rafaela podniosła rękę, żeby dotknąć poturbowanej twarzy męża. — Kto...?

— Nic się nie stało — odparł, odpychając mimowolnie dłoń żony. — Spadłem z konia.

— Na pewno nic ci nie dolega...?

Hernando odwrócił się do niej plecami, nie dając jej dokończyć. Udał się do stajni rozkiełznać konia, a następnie przeszedł przez patio, kierując się prosto na schody.

— Będę jadł w bibliotece — odezwał się oschle, przechodząc obok żony.

Na noc też został w bibliotece.

Tak upłynęło kilka dni. Hernando odłożył na bok Koran, nad którym dotąd pracował, i zaczął pisać list do Fatimy. Ciężko mu szło. Nie umiał przelać na papier swoich uczuć. Kiedy próbował koncentrować się na pisaniu, wzmagało się poczucie winy i ból. Porwał na strzępy wiele kartek. Wreszcie napisał o Rafaeli, że mają dwoje dzieci, a trzecie w drodze. „Nie wiedziałem! Nie wiedziałem, że żyjesz!”, skreślił drżącą ręką. Postanowił poprosić Munira o pomoc w przekazaniu listu Fatimie. Co prawda rozstali się chłodno, ale to fakił, święty człowiek, pomoże mu. Z Walencji wyjeżdża do Berberii sporo morysków. Sam nie da sobie rady. Napisał szybko drugi list, błagając Munira o pomoc.

Dowiedziawszy się, że Miguel jest w Kordobie, wezwał go do siebie. Kaleka pomoże mu znaleźć zaufanego przewoźnika moryska. Kordobańska gmina wciąż odnosiła się do Hernanda jak do zadżumionego. Istniała cała sieć przewoźników, tysiące mężczyzn świadczyło te usługi, ale on nie miał z nimi kontaktu w przeciwieństwie do Miguela, który kupował i sprzedawał wszystko, czego potrzebowały konie i często korzystał z pośrednictwa przewoźników.

— Muszę przekazać list do Jarafuel — odezwał się do niego szorstko zza biurka. Miguel stał przed nim, usiłując zrozumieć, co

dzieje się z jego panem. Wcześniej rozmawiał z Rafaelą, która nie ukrywała ogromnego niepokoju. — Na co czekasz? — syknął Hernando.

— Znasz historię o listonoszu, który przynosił złe wieści? — spytał kaleka. — Mogę ci ją opowiedzieć.

— Nie mam czasu na bzdury, Miguelu!

Stukot kul na drewnianej podłodze galerii długo rozbrzmiewał w uszach Hernanda. I co teraz? Wziął do ręki piękną księgę Koranu, którą przepisywał, ale nie miał nastroju do pracy. Mimo to wyrecytował śpiewnie parę skopionych już sur.



— Nie wiem, co się stało, ale wyjdzie z tego.

Tak powiedział Miguel do Rafaeli, kiedy opuścił bibliotekę, udając się na poszukiwanie mulnika jadącego do Jarafuel, który zabrałby list od jego pana.

Kobieta patrzyła na niego pytająco zaczerwienionymi od płaczu oczami.

— Idź do męża — ponaglił ją kaleka. — Walcz o niego. Nie poddawaj się.

Rafaela nie widziała Hernanda od kilku dni, które spędził, nie wychodząc z biblioteki. Początkowo myślała, że będzie przynosić mu posiłki, ale kazał zostawiać je pod drzwiami. Zażądał również miednicy z ciepłą wodą do ablucji przed swoimi modłami, a po użyciu wystawiał ją na korytarz. Rafaela łowiła uchem trzask drzwii i natychmiast biegła zmienić wodę w miednicy. Pięć razy dziennie.

Co mu się stało? — zadawała sobie to pytanie po raz enty, wchodząc zadyszana po schodach. Nową ciężę zносиła gorzej niż poprzednie. Z wahaniem zbliżyła się do biblioteki. Śpiewny szmer sur dobiegał zza niedomkniętych drzwii. Słyszała go teraz wyraźnie. A jeśli Hernando się rozniewa? Przystanęła gotowa się odwrócić i zejść na dół, jednakże pamięć o wspólnych chwilach szczęścia przeżytych przed wyjazdem do Togi, wspomnienie czułych gestów, śmiechu, radości i miłości, jaką sobie dawali, nie pozwoliły jej się cofnąć.

Hernando siedział przy biurku. Wodził palcem po literach Koranu i deklamował śpiewnie po arabsku, nieobecny duchem. Rafaela zatrzymała się w progu, nie chcąc zakłócać tej magicznej chwili. Hernando wyczuł jej obecność i odwrócił głowę w stronę drzwi. Stała z oczami pełnymi łez, obejmując ramionami sterczący brzuch.

— Co złego ci zrobiłam, że mnie tak traktujesz? Muszę wiedzieć... Nie trzymaj mnie w takiej niepewności... — szepnęła łamiącym się głosem.

Hernando pokiwał chłodno głową, nie podnosząc się zza biurka.

— Ponad dwadzieścia lat temu... — zaczął. Ale po co jej o tym mówić. Nigdy nie rozmawiał z nią o Fatimie i swoich dzieciach. Rafaela знаła tę historię z opowieści Miguela. — Masz rację — przyznał. — Nie zasługujesz na takie traktowanie. Przykro mi. To sprawy z przeszłości.

Samo wypowiedzenie tego rodzaju przeprosin przyniosło Hernandowi ulgę. List do Fatimy był już w rękach Miguela. Kto przewidzi, jakie wywoła skutki i co odpowie Fatima, jeśli w ogóle odpowie. Rafaela otarła łzy jedną ręką, a drugą wciąż trzymała się za brzuch.

Wtedy Hernando coś zrozumiał: owszem, zawiódł Fatimę, popełnił błąd i nigdy nie uwolni się od poczucia winy... ale nie zrobi tego samego błędu dwa razy wobec osób, które darzy miłością. Podniósł się bez słowa, obszedł biurko i złączył się z żoną w czułym uścisku.



Chociaż starał się nie okazywać niepokoju w obecności Rafaeli, wciąż myślał o tym, co powiedział mu syn. Rafaela nie zadawała już żadnych pytań, jakby te dni zamknięcia się w sobie jej męża w ogóle nie istniały. Hernando szukał pociechy w swoich małych synkach, i nadziei w tym, który miał się urodzić.

Któregoś dnia udał się nawet na Pole Miłosierdzia i przemierzył smutny cmentarz, dopóki nie trafił na grób matki. Tam porozmawiał z Aiszą w ciszy.

— Dlaczego to zrobiłaś, matko?

Próbował znaleźć odpowiedź, wsłuchując się w głos serca. Czas mijał, a Hernando wciąż rozważał tysiące możliwości, aż w pewnym momencie pojawiła się myśl, która przeważyła nad innymi, chociaż nie miała nic wspólnego z Aiszą ani powodami jej postępowania: „Żyją”. Fatima żyje, Francisco żyje i Szamir, i prawdopodobnie również Inés. Czy wolałby o tym nie wiedzieć i nie przeżywać teraz takiej udręki?

Poczuł się nikczemny. Dotychczas myślał tylko o sobie, swoich winach, tchórzostwie, które wytknął mu Francisco. Tymczasem najważniejsze jest, że żyją, chociaż z dala od niego. Myśl ta przyniosła mu pewną pociechę... Pragnął jednak uzyskać od nich przebaczenie. Oczekiwał z niepokojem wiadomości od Munira i bardzo się rozczarował, kiedy otrzymał z powrotem swój list do Fatimy. Fakihi odmówił mu pomocy w przekazaniu listu do Tetuanu.



Fatima nie mogła nie zauważyć, że po ostatniej wizycie Szamira i jej syna do służby w pałacu dołączyło trzech potężnych nubijskich niewolników z bronią w ręku.

— To dla waszego bezpieczeństwa, pani — odpowiedział stary sługa. — Czasy są niebezpieczne. Pani syn tak zarządził.

Dla jej bezpieczeństwa? Dwóch Nubijczyków szło za nią, parę kroków z tyłu, kiedy wychodziła na miasto. Postanowiła coś sprawdzić. Pewnego ranka w towarzystwie dwóch niewolnic objuczonych tobołkami skierowała się z determinacją ku bramie Bab Mukabar w północnej części murów Tetuanu. Zanim tam doszła, dwóch Nubijczyków przecięło jej drogę.

— Nie wolno pani wyjść — powiedział jeden.

— Idę na cmentarz — oznajmiła Fatima.

— Jest zbyt niebezpiecznie, pani.

Innego dnia o świcie opuściła swoją sypialnię. Nie doszła jeszcze do połowy korytarza, kiedy z półmroku wyłoniła się potężna czarna postać.

— Czego pani trzeba?



— Wody.

— Zaraz każę przynieść. Proszę się nie fatygować. Jeszcze jest noc.

Była więźniem we własnym domu! Nie planowała ucieczki, nie miała pojęcia, co zrobić i co myśleć o tym wszystkim. Jedno wiedziała: po latach życia w przekonaniu o zdradzie Hernanda drobna nadzieja, że to nieprawda, obudziła w niej na nowo uczucia, które dawno zepchnęła w najgłębsze zakamarki serca. Po śmierci Brahima zajęła się prowadzeniem interesów i gromadziła pieniądze z taką samą zimną zaciętkością, z jaką Abdul i Szamir napadali na chrześcijańskie barki u wybrzeży hiszpańskich. Wyrzekła się nawet swojej kobiecości. Ale teraz coś się w niej zmieniło i nocami, gdy błędziła wzrokiem po horyzoncie, tam gdzie powinny znajdować się góry Grenady, z lekkim drzeniem wspominała czasy, kiedy potrafiła kochać z niezwykłą mocą.

Pewnego dnia po południu Efraim przybył do pałacu, żeby omówić z nią jakiś interes. Po śmierci ojca młody Żyd stał się najbliższym współpracownikiem i partnerem w rodzinnych interesach, którymi kierowała wielka pani Tetuanu.

— Mam do ciebie prośbę, Efraimie — rzekła, przerywając jego wyjaśnienia dotyczące liczb i towarów.

— Musisz wiedzieć, pani, że twój syn był u mnie niedawno — szepnął inteligentny Żyd.

Fatima wbiła w niego czarne oczy.

— Ale ja jestem wierny tobie, pani, i lojalny wobec ciebie — dodał Efraim po dłuższej chwili milczenia.

# 65

*Śmierć jest daleką nadzieją.*

ROMANCA ABEN HUMEYI,  
*Romancero morisco*

Odprowadzając do drzwi preceptora, który codziennie przychodził udzielać lekcji Juanowi i Rosie, Rafaela zobaczyła przed domem nieznanego. Chociaż Hernando odzyskał już swój normalny stan ducha, każde nieprzewidziane zdarzenie wytrącało Rafaelę z równowagi, tym bardziej że zbliżała się do końca ciąży. Nieznajomy, mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni, ubrany na modłę kastylijską, ale w szaty nieco przybrudzone, co świadczyło, że miał za sobą długą podróż, zapytał uprzejmie, czy tu mieszka Hernando Ruiz. Rafaela potwierdziła skinieniem głowy i kazała Juanowi zawiadomić ojca. Niebawem Hernando pojawił się na ganku.

— Pokój z tobą — pozdrowił mężczyznę, przeświadczony, że to jakiś dzierzawca albo handlarz koni. — W czym mogę pomóc?

Efraín odczekał chwilę, zanim się odezwał. Na szczęście tym razem udało mu się znaleźć Hernanda.

— Pokój — odrzekł, wbijając wzrok w pana domu.

— W czym mogę pomóc? — powtórzył Hernando.

— Możemy porozmawiać na osobności?

W tym momencie Hernando pojął, że to ktoś więcej niż zwykły handlarz koni. Wyczuł obcy akcent w jego głosie, ale było w nim coś budzącego zaufanie.

— Proszę za mną.

Wyszli z ganku i przeszli przez patio.

— Niech nam nikt nie przeszkadza — uprzedził Rafaele.

Weszli do biblioteki. Żyd ogarnął książki pełnym podziwu spojrzeniem, co nie uszło uwagi Hernando.

— Gratuluję pięknego zbioru — powiedział Efraim, siadając przy biurku. Hernando uśmiechnął się, po czy znowu zapadła cisza. — Przysłała mnie Fatima, twoja żona — ujawnił wreszcie nowo przybyły.

Nagły dreszcz przeniknął Hernando. Nie był w stanie wymówić ani słowa i Żyd to zauważył.

— Pani Fatima pragnie poznać prawdę — kontynuował Efraim. — Wiele pogłosek dociera do Tetuanu. Ona nie chce im wierzyć, chyba że ty je potwierdzisz. Muszę zaznaczyć, że sam byłem w Kordobie, szukałem ciebie na prośbę mojej pani...

— Jak ona się czuje? — wszedł mu w słowo Hernando.



Rozmawiali przez cały dzień. Hernando opowiedział mu swoje życie, niczego nie ukrywając. Wspomniał nawet o romansie z Isabel! Pierwszy raz zwierzał się komuś tak szczerze. Sprostował wieści na temat swojego przejścia na katolicyzm, chociaż przyznał, że w pewnych okolicznościach posuwał się do przesady w manifestowaniu gorliwości chrześcijańskiej, i to było błędem. Po co dźwigał ten krzyż podczas procesji?

— Moja matka żyłaby jeszcze, gdyby nie ten popis — dodał nieswoim głosem.

Długo rozwodził się nad sprawą ołowianych ksiąg.

— Szamir twierdził, że to nic nie da prostym ludziom — przypomniał sobie. — I prawdopodobnie ma rację.

— Być może pewnego dnia ta ewangelia, o której mówisz, wyjdzie na światło dzienne.

— Być może — westchnął z rozgoryczeniem Hernando — ale kto wie, co wtedy będzie z nami. Wszyscy traktują nas jak zadumionych. Chryścijanie nienawidzą nas śmiertelnie, a władcy muzułmańscy nie robią nic, by nam pomoc. Jesteśmy ludem, który

zawsze z ufnością wpatrywał się w horyzont, czekając na pojawienie się tureckiej albo algierskiej armady, ale ta nadzieja nigdy się nie spełniła.

Efraín miał ochotę odpowiedzieć: to nas, Żydów, potraktowano jak zadżumionych w Hiszpanii i we wszystkich królestwach europejskich. Żydzi nawet nie próbowali patrzeć na horyzont; nikt im nie obiecywał pomocy. Ale zmilczał, nie przysłano go tu po to, by dyskutował. Instrukcje Fatimy były wyraźne: ma sam wyrobić sobie zdanie na temat Hernanda i zdecydować, czy przekaze mu jej słowa, czy odejdzie jak gdyby nigdy nic. „Ufam ci bez reszty”, powiedziała mu na pożegnanie. Żyd już podjął decyzję.

— Śmierć jest daleką nadzieją — rzekł.

Morysk wbił w niego swoje niebieskie oczy i Efraín przypomniał sobie oczy jego syna Abdula, który niedawno złożył mu wizytę i uprzedził, że pod żadnym pozorem nie wolno mu pomagać Fatimie w kontaktach z tym „przeklętym zdrajcą”. Takie same niebieskie oczy, ale jakże inne spojrzenie! Wzrok korsarza wyrażał nienawiść i zawziętość, natomiast w oczach Hernanda był bezgraniczny smutek.

Ileż razy myśl o śmierci była dla Fatimy promykiem nadziei? — zapytał siebie Hernando, kiedy usłyszał to zdanie. Ale dlaczego teraz?

— Twoja żona jest więźniem we własnym domu — oznajmił Efraín, jakby odgadywał, co przyszło Hernandowi do głowy. — Nubijscy wojownicy pilnują jej w noc i w dzień.

— Z mojego powodu? — spytał Hernando drżącym głosem.

— Tak. Jeśli zbliżysz się do Fatimy, zabiją ciebie, a ją...

— Francisco zabiłby matkę?

— Abdul? Nie, nie sądzę, że jest do tego zdolny... choć, szczerze mówiąc, nie wiem — dodał Żyd, wspominając groźby korsarza. — Ale jest jeszcze Szamir... Nie potrafię przewidzieć, co zrobi, ale na pewno coś złego. Nie ściągaj na nią nieszczęścia.

Efraín opowiedział mu o Fatimie i Hernando zrozumiał wreszcie, dlaczego Aisza go okłamała: zrobiła to na prośbę Fatimy. Obie chciały za wszelką cenę uchronić go od niechybnej śmierci. Dowiedział się o zamordowaniu Brahima, o pierwszej podróży Efraína do Kordoby i liście Fatimy, który Żyd przeczytał Aiszy,

ponieważ nigdzie nie mógł zastać Hernanda. Dowiedział się również, co mówiła o nim wtedy jego matka, a także Abbas i pozostali moryskowie. Żyd miał zamglony wzrok, kiedy zaczął wychwalać swoją panią, jej urodę, odwagę i determinację. Hernando dostrzegł w tym trochę więcej niż zwykły podziw i ukłuła go zazdrość, że ten człowiek mieszka tak blisko niej i może widywać ją, kiedy zechce. Efraín opowiedział mu także o Abdulu i Szamirze, o Inés, która teraz nazywa się Marjam, ma się dobrze, wyszła za mąż i urodziła dzieci. Pochwalił spryt i talent swojej pani do interesów, po czym znowu zaczął mówić, jaka jest piękna i podziwiana w całym Tetuanie. Nie szczędził opisów i wyjaśnień, toteż Hernando słuchał go rozmarzony, przytakując z uśmiechem.

— Moja pani ufa, iż wypełnisz przysięgę sprzed lat i rzucisz chrześcijan do stóp jedynego Boga. Że będziesz nadal pracował dla sprawy waszej wiary w Hiszpanii, tak jak to robiliście oboje, kiedy byliście razem — powiedział na zakończenie. — Od tego zależy jej szczęście. Jedyne ta wspólnota idei zapewni jej spokój. Niczego więcej nie pragnie, do niczego innego nie dąży. Mówi, że Bóg was jeszcze połączy... po śmierci.

— A co wcześniej? — szepnął Hernando.

Efraín pokręcił przecząco głową.

— Ona nigdy nie narazi ciebie na zgubę. — Hernando chciał coś wtrącić, ale Żyd nie pozwolił. — Ty też jej nie narażaj.

Obaj mężczyźni umilkli.

— Napisałem do niej list — przerwał ciszę Hernando — Próbowałem go przesłać, ale się nie udało.

— Przykro mi — rzekł Efraín — jednakże nie mogę go zabrać... lepiej, żeby go nie dostała. Moja podróż odbywa się rzekomo w celach ściśle handlowych. Jeśli twój syn albo Szamir, albo Nubijczycy odkryją list u mnie czy u niej...

— Muszę jej wszystko wyjaśnić! — zawołał Hernando tonem niemal błagalnym. — Mam jej tyle rzeczy do opowiedzenia...

— Możesz to zrobić przeze mnie. Znasz panią Fatimę. — Żyd pokręcił głową z uśmiechem. — Ale co ja mówię? Przecież znasz ją lepiej ode mnie! Dręczyły ją wątpliwości na twój temat, ale

otrzyma ode mnie radosne wieści. Wiem, jak bardzo ich potrzebuje. Możesz być pewien, że powtórzę jej słowo w słowo naszą rozmowę. Ba, nawet zmusi mnie do tego! — Hernando uśmiechnął się smutno na wspomnienie silnego charakteru Fatimy. Żyd zaraz to zauważył: — Tysiąc razy każe sobie powtarzać!

— Powtarzaj tyle razy, ile zechce. Nawet więcej niż tysiąc. Powiedz jej... powiedz jej, proszę, że wciąż ją Kocham. Nigdy nie przestałem jej kochać. Ale życie... Los był dla nas obojga okrutny. Tyle lat opłakiwałem jej śmierć! Powiedz, że proszę ją o wybaczenie.

— Za co?

— Ożeniłem się ponownie... Mam dzieci z drugą żoną.

Żyd pokiwał głową.

— Ona to wie i rozumie. Życie nie obeszło się łagodnie ani z tobą, ani z nią. Pamiętaj: śmierć jest odległą nadzieją. To miałem ci powiedzieć przede wszystkim.

Wieczorem Efraim został serdecznie ugoszczony i spędził noc w domu Hernanda przed wyruszeniem w drogę powrotną do Tetuanu. Gospodarz poprosił go, żeby nie zdradził przed Rafaelą prawdziwego powodu swojej wizyty, toteż Żyd zachował najwyższą dyskrecję i wykazał się nienagannymi manierami, jednakże za tą kurtuazją kryła się głównie ciekawość. Jaka jest nowa żona Hernanda? Czy ją kocha? Na takie informacje czekała jego pani.

W nocy Hernando myślał tylko o Fatimie, okazując Rafaeli wyjątkowy chłód i dystans.



Następne dni poświęcił głównie Koranowi i modłom w meczecie, jakby chciał jeszcze bardziej zacieśnić duchową więź z Fatimą, o którą ona go prosiła. Tymczasem Rafaela powiła trzecie dziecko. Ochrzcili go imieniem Lázaro w obecności rodziców chrzestnych, których nie znali; wybrał ich proboszcz. Chłopczyk urodził się z wielkimi niebieskimi oczami. Przyszedł na świat z piętnem gwałtu popełnionego przez chrześcijańskiego księdza na niewinnej moryskiej dziewczynie! — pomyślał Hernando na jego widok. To musi być znak od Boga.

— Będzie nosił imię Mukła, na cześć wielkiego kaligrafa — oznajmił Hernando zaraz po chrzcie w obecności Rafaeli i Miguela, zmywając ciepłą wodą święty olejek z główki dziecka. — W domu tak macie na niego wołać.

Rafaela spuściła oczy i coś bąknęła.

— To może być niebezpieczne — zafrasował się Miguel.

— Większym niebezpieczeństwem jest życie bez Boga.

Tego samego dnia postanowił, że czas przekazać dzieciom coś więcej niż muzułmańskie legendy. Zwolnił preceptora i sam zajął się edukacją Juana i Rosy, którym zmienił imiona na Amin i Lajla. Koran, Sunna, poezja i język arabski, kaligrafia, historia ich ludu i matematyka, takie przedmioty wykładał teraz swoim dzieciom z maleńkim Mukłą w kołysce, któremu nucił sury do snu. Ośmioletni Amin dość łatwo dostosował się do tych zmian, ale sześciolatnia Lajla nie była zadowolona.

— Nie sądzisz, że należałoby z tym poczekać, aż Rosa trochę podrośnie — delikatnie sugerowała Rafaela.

— Ona ma na imię Lajla — poprawił żonę Hernando. — Musisz wiedzieć, że na tej ziemi kobiety mają za zadanie nauczać i szerzyć prawdziwą wiarę. Niech się uczy, im wcześniej, tym lepiej. Dużo ma do opanowania. Kiedy, jeśli nie teraz, znajdzie na to czas? To dobry wiek na przyswojenie sobie wiedzy o naszych prawach. Sądzę... sądzę, że popełniłem już za dużo błędów.

Odpowiedź męża nie satysfakcjonowała Rafaeli.

— Żyjemy w skomplikowanych czasach — odparła. — Wystawiasz naszą rodzinę na niebezpieczeństwo. Gdyby ktoś się dowiedział... Wolę o tym nie myśleć.

Hernando odczekał chwilę w milczeniu, po czym spojrzał badawczo na żonę.

— Wiedziałaś o tym wcześniej, prawda? — powiedział. — Miguel wyjaśnił ci to, zanim za mnie wyszłaś. Wiedziałaś, że wyznają prawdziwą wiarę. — Rafaela przytaknęła. — Znakiem tego, wychodząc za mnie, zgodziłaś się, że nasze dzieci będą wychowywane w obu kulturach, w obu religiach. Nie żądam, abyś dzieliła ze mną wiarę w jedynego Boga, ale moje dzieci...

— One są też moje — zareplikowała nieśmiało.

Rafaela nie nalegała i więcej nie wtrącała się w edukację dzieci. Jednakże wieczorem modliła się z nimi jak zazwyczaj, a Hernando nie protestował. Codziennie po skończonych lekcjach mył się i przebierał, a następnie szedł do meczetu, by pomodlić się przed mihrabem. Czasami stał spokojnie i wpatrywał się w miejsce, gdzie powinny znajdować się święte znaki wyryte w marmurze. Innym razem robił to po kryjomu, usuwając się na bok, by nie budzić niczyich podejrzeń.

Tu jestem, Fatimo, szeptał w duchu, i niczego się nie boję. Meczet przypominał mu o złożonej przysiędze, tym bardziej że chrześcijanie zawładnęli świątynią definitywnie. Skończono prace w głównej kaplicy, w nawie poprzecznej i prezbiterium. Kopuła spoczęła na przyporach, aby świat mógł podziwiać wspaniałość tej budowli. Nawet ogród, w którym dawniej gromadzili się na mocy prawa azylu przestępcy, został odnowiony. Na ścianach galerii wciąż wisiały makabryczne sambenita, symbol kary stosowanej przez inkwizycję, lecz nabrał cech parku z brukowanymi alejkami i fontannami wśród drzew pomarańczowych. Ludzie nazywali teraz to miejsce Patio Pomarańczy.

Duchowieństwo, szlachta i plebs szcycili się nową katedrą. Wszystkie wyrazy zachwyty budziły niepokój i rozdrażnienie w Hernandzie. Heretycka katedra, która sprofanowała największą muzułmańską świątynię na Zachodzie, była przykładem tego, co działo się na całym półwyspie — chrześcijanie gnębili ich coraz bardziej i Hernando nie mógł patrzeć na to spokojnie. Musiał walczyć z narażeniem własnego życia i życia swoich dzieci.

Nieraz stawał zamyślony u wejścia do kaplicy Najświętszego Sakramentu i wpatrywał się w *Ostatnią wieczerzę* Arbasii. Przypominał sobie dni spędzone w bibliotece, która dawniej znajdowała się na miejscu tej kaplicy. Razem z don Juliánem oszukiwali księży i pracowali dla swoich braci w wierze. Gdzie się podziewa teraz włoski malarz? Hernando przyglądał się postaci u boku Jezusa. Był przekonany, że to kobieta. On też wybrał kobietę — Dziewicę Maryję — na bohaterkę głównego wątku ołowianych



ksiąg z Sacromonte. Wątek ten zatrzymał się w miejscu, nie przyniósł pożądaných owoców.

Kiedy się nie modlił i nie miał lekcji z dziećmi, dosiadał konia. Miguel wykonywał świetną robotę, źrebięta urodzone w majątku spotykały się z coraz większym uznaniem bogaczy i szlachty w całej Andaluzji. Kilka okazów kupił dwór w Madrycie. Kaleka regularnie przysyłał do Kordoby parę ogierków podszkolonych przez zatrudniony na miejscu personel. Wybierał te najlepsze, zasługujące na praktykę u jego pana. Hernando ich dosiadał i wyjeżdżał na błonia, by doskonalić technikę zwierząt. Przy okazji uczył jeździć konno Amina. Najstarszy syn towarzyszył mu na grzbiecie Estudiante, który postarzał się, złagodniał i zdawał się rozumieć, co wolno, a czego mu nie wolno, kiedy kieruje nim dziecko. W obecności rozentuzjazzowanego Amina, który krzyczał i klaskał w dłonie, gdy ojciec zgrabnie robił zwody przed bykiem, pozwalał sobie czasem na małą korridę na padoku, nie dręczyły go już wspomnienia o smutnym końcu Azirata. Ułożone żrebacki odsyłał Miguelowi, który wystawiał je na sprzedaż. Z dumą oglądał potem swoje konie walczące z bykiem na placu Corredera z okazji jakiegoś święta. Spisywały się lepiej lub gorzej w zależności od talentu szlachcica, który ich dosiadał, ale zawsze robiły to z klasą świadczącą o dobrym rodowodzie.

Wieczorami zamykał się w bibliotece. Najpierw dla przyjemności kaligrafował w swoim egzemplarzu Koranu jakąś nową surę kolorami i kreskami powstającymi w więzi duchowej z Bogiem, a potem kopiował nowe księgi, kreśląc pospiesznie znaki i wstawiając między wierszami tłumaczenie w *aljamiado*, jak wtedy gdy pracował z don Juliánem w katedralnej bibliotece. Sam postanowił wrócić do tego zajęcia. Bezpłatnie przekazywał kopie Munirowi, a ten — mimo chłodnego pożegnania w Jarafuel i odmowy wysłania listu do Fatimy — przyjmował je dla dobra gminy, jak powiedział Miguelowi znajomy mulnik, który zawiózł pierwsze kopie do fakiha. Hernando walczył! Wciąż walczę, szeptał Fatimie oddalonej o setki mil, pogodziłem się z Bogiem, z samym sobą i ze wszystkimi, którzy mnie otaczają. W myślach widział ją piękną i dumną — umacniała go w wierze i zachęcała do wytrwałej pracy.

# 66

*Można napisać do wicekróla Katalonii w sprawie morysków usiłujących przedostać się do Francji, że uciekających należałoby identyfikować, ważne osobistości oraz ludzi mających zastrzymywać i oddawać pod straż, ażeby dowiedzieć się, jakie mają zamiary, prostaczków zaś puszczać wolno, bo im mniej ich tu zostanie, tym lepiej.*

Z raportu Rady Królewskiej  
24 czerwca 1608

Miguel miał trzydziestkę na karku, lecz z wyglądu i z powodu kalectwa wydawał się dużo starszy. Nie miał zębów, a jego nogi dawno przestały się rozwijać w przeciwieństwie do ciała od pasa w górę. Pogruchotane w dzieciństwie kości zrosły się w miejscach złamania, ale brakowało mięśni. Nie mógł poruszać nogami, toteż w miarę upływu czasu coraz bardziej upodabniał się do groteskowej kukielki. Wciąż opowiadał historie, które rozśmieszały dzieci i zachwycały Rafaelę, jeśli tylko miała czas go słuchać. Zdawało się, że Bóg (kimkolwiek był) obdarzył go nieskończoną wyobraźnią i darem fantazji zamiast umiejętnością chodzenia i biegania.

Miguel zawsze dobrze się orientował, co słyshać u bogatych ludzi, potencjalnych nabywców koni z ich stadniny, i to on poinformował Hernanda o exodusie bogatych morysków do Francji. Uznał, że jego pan i przyjaciel powinien wiedzieć o decyzjach podejmowanych przez ludzi jego stanu.

W styczniu tego roku Rada Królewska z diukiem de Lerma na czele jednogłośnie postanowiła zaproponować królowi wygnanie wszystkich nowych chrześcijan z Hiszpanii. Wiadomość szybko dotarła do zainteresowanych. Moźni moryskowie zaczęli wyprzedawać swój majątek, by zdążyć przed zapowiadającym wygnaniem. Skoro droga do Berberii była zamknięta i zakazana, wszyscy spoglądali na sąsiednie królestwo. Chrześcijańskiej Francji nie obejmował zakaz przekraczania granicy.

Hernando rozważył najróżniejsze argumenty za i przeciw, zanim podjął decyzję o pozostaniu.

— Moje miejsce jest tutaj, Miguelu — powiedział, a kaleka wydał westchnienie ulgi. — Nie pierwszy raz mówią o wygnaniu — dodał Hernando. — Zobaczmy, co z tego będzie. Dobrze, że nie próbują nas wykastrować, pozarzynać, zamienić w niewolników albo wrzucić do morza. Bo i takie propozycje padały. Szlachta straci dużo pieniędzy, jeśli nas wygnają. Kto będzie uprawiał ich ziemie? Chrześcijanie nie potrafią tego robić ani nie chcą.

W 1608 roku król Filip nie przyjął propozycji uchwalonej przez radę. Z wyjątkiem arcybiskupa Ribery i paru innych fanatyków, którzy domagali się śmierci lub statusu niewolnika dla morysków, przeważająca część kleru rozdzierała szaty nad losem tysięcy nowych chrześcijan, którzy będą zmuszeni wyrzec się prawdziwej religii po przybyciu na ziemię Maurów. Co prawda próby ewangelizacji nierzadko ponosiły klęskę, ale czyż nie wysyła się księży i świętych do Chin, by nieśli dobrą nowinę ludom z najdalszych zakątków świata? — pytał retorycznie przeor León. Skoro tak, to dlaczego ustawać w wysiłkach nawracania ludzi żyjących w królestwach Hiszpanii?

Ucieczka na ziemię muzułmańskie była zakazana, podobnie jak wywóz złota i srebra z Hiszpanii, choćby do sąsiedniego królestwa chrześcijańskiego. Rada Królewska wydała nakaz zatrzymywania bogatych morysków na granicy. Skończyły się wyjazdy do Francji. Gminy we wszystkich królestwach ogarnął wielki niepokój. Nie zanosilo się na nic dobrego. Ludzie prości trzymali

się kurczowo swojej ziemi. Każdy zastanawiał się, jak obejść królewski dekret, którego ogłoszenie zdawało się kwestią czasu.

Hernando podzielał niepokój swoich braci w wierze. Po urodzeniu Mukli Rafaela powiła jeszcze jednego wspaniałego chłopca, Musę, a potem dziewczynkę Salmę. Nadano im na chrzcie imiona: Luis i Ana. Żadne z nich nie urodziło się z niebieskimi oczami. Hernando miał teraz dużą rodzinę, o którą musiał się troszczyć. Widział, że uciekają z Hiszpanii moryskowie z kręgów zbliżonych do królewskiego dworu, i to dawało mu sporo do myślenia. Postanowił udać się do Grenady, by sprawdzić, co dzieje się z ołowianymi księgami.

Odszukał przepustkę wystawioną przez arcybiskupa Grenady. Pilnował jej teraz starannie. Nikt już nie interesował się męczennikami z Alpuhary. Na zboczach Sacromonte znaleziono tyle śladów świętych mężów i męczenników z początków chrześcijaństwa, uczniów apostoła Jakuba, że nie było sensu zajmować się chłopami zamęczonymi przez morysków zaledwie czterdzieści lat temu. Niemniej każdy urzędnik albo komendant oddziału Santa Hermandad z respektem oglądał dokument okazywany przez Hernanda na ich żądanie. Razem z przepustką w skrytce w ścianie trzymał swój egzemplarz Koranu, kopię ewangelii Barnaby z czasów Almanzora i naszyjnik z ręką Fatimy. Jak zawsze, gdy otwierał skrytkę, wyjął i ucałował złoty wisiołek, myśląc o Fatimie. Złoto było poczemiałe.



W Grenadzie nie czekały go dobre wieści. Tak jak kordobańscy chrześcijanie zawłaszczyli ostatecznie meczet, tak mieszkańcy Grenady zrobili to samo z Sacromonte. Hernando spotkał się z don Pedrem, Miguelem i Alonsem w Złotej Sali pałacu Tiros.

— Nie ma sensu wysyłać sułtanowi ewangelii Barnaby... — oświadczył don Pedro. — Kościół musi najpierw stwierdzić wiarygodność ołowianych płytek nawiązujących do tajemniczej Niemiej Księgi. One zapowiadają nadejście wielkiego króla, który będzie miał księgę napisaną w sposób czytelny i przekaże światu ob-

jawienia Najświętszej Maryi Panny zawarte w niedającej się rozszyfrować Niemej Księdze.

— Ale relikwie... — przerwał mu Hernando.

— Jeśli o to chodzi, odnieśliśmy zwycięstwo — wtrącił Alonso del Castillo dziwnie postarzały. — Kościół uznał relikwie za autentyczne i otoczył je czcią. Arcybiskup Castro zamierza postawić na Sacromonte wielką kolegiatę. Powierzył to zadanie Ambrosiowi de Vico.

— Kolegiata! — jęknął Hernando. — Przecież nie tak miało być! Te księgi zawierają muzułmańską doktrynę! — podniósł głos prawie do krzyku. — Jak można budować chrześcijańską kolegiatę w miejscu znalezienia tekstów chwalebnych jedyne Boga?

— Arcybiskup nie pokazuje nikomu ołowianych ksiąg. Nie zna arabskiego, ale wczytuje się w tłumaczenie i gdy mu się coś nie podoba, każe to zmienić albo usunąć. Wiem, o czym mówię, bo sam to przeżyłem. Papież i król domagają się przekazania ksiąg, lecz arcybiskup odmawia. Strzeże ich tak zazdrośnie, jakby były jego własnością.

— To znaczy, że prawda nigdy nie zostanie wyjawiona — podsumował Hernando. Miał zboląły głos człowieka, który doznał wielkiej porażki. Złociste refleksy malowideł na suficie tańczyły w ciszy, jaka zapadła między czterema mężczyznami. — Nie zdążymy — powiedział zmartwiony. — Wypędzą nas, unicestwią, zanim to się stanie.

Nikt nie odpowiedział. Hernando dostrzegł zażenowanie swoich rozmówców, którzy poruszyli się w fotelach niespokojnie i unikali jego spojrzenia. Wtedy zrozumiał: ponieśli klęskę razem, ale tych trzech nie wypędzą. Są szlachcicami i pracują dla króla.

Poczuł się osamotniony w swojej walce.

— Spróbujemy uratować ciebie i twoją rodzinę przed wygnaniem albo innymi represjami, jeśli zostaną zastosowane wobec naszych braci, choć mam nadzieję, że do tego nie dojdzie — powiedział don Pedro.

Hernando zaczął podnosić się z fotela, gotów opuścić Złotą Salę, gdyż uznał rozmowę za skończoną. Nagle zatrzymał się

w pół ruchu z ramionami na podłokietnikach i spojrzął badawczo na szlachcica.

— A nasi bracia? — spytał, nie kryjąc lekkiej urazy. — A co z biednymi? — dodał, przypominając sobie argumentację Szamira.

— Zrobiliśmy co w naszej mocy — odparł spokojnie Miguel de Luna. — Nie sądzisz? Zaryzykowaliśmy życie, a ty najbardziej.

Hernando opadł z powrotem na fotel. To prawda. Wszystko poświęcił dla tego projektu.

— Chwilowo Bóg nas nie nagroził — kontynuował tłumacz. — Dlaczego? Tylko On to wie w swej nieskończonej mądrości. Może pewnego dnia...

— Niezależnie od wygnania — don Pedro podjął swój wątek — lub innej drastycznej decyzji musimy przeżyć i utrzymać się w Hiszpanii. Nie możemy wszyscy opuścić naszej ziemi. Musi pozostać ziarno gotowe do kiełkowania i rozmnażania się, zalążek powrotu Al-Andalus pod panowanie islamu.

Hernando zastanowił się nad tym głębiej. Przemknęło mu przed oczami całe jego życie pełne cierpień i poświęcenia. Po co było tyle wyrzeczeń? Miał pięćdziesiąt cztery lata, czuł się stary, bardzo stary. Lecz jego dzieci...

— Jak zamierzacie uratować mnie przed wygnaniem? — zapytał cicho.

— Złożysz pozew o nadanie szlachectwa — odparł don Pedro. Hernando odpowiedział z cynicznym wybuchem śmiechu:

— Ja hidalgim? Ja, morysk z Juviles? Syn heretyczki skazanej przez inkwizycję?

— Posłuchaj, Hernando, mamy wielu przyjaciół — podkreślił szlachcic. — Dziś wszystko jest do kupienia, nawet szlachectwo. Całe wioski składają fałszywe zeznania. Ty możesz mieć znakomite rekomendacje hierarchów Kościoła w Grenadzie, bo przecież pracowałeś dla nich. Ratowałeś chrześcijan w czasie wojny w Al-puharze! Są na to dowody.

— A poza tym jesteś synem księdza — wtrącił Castillo, świadom, że to delikatna sprawa. — Szlachectwo przechodzi po mieczu, nigdy po kądzieli.

Hernando westchnął i pokręcił przecząco głową. Tylko tego brakowało, by temu parszywemu księdzu, który zgwałcił jego matkę, miał zawdzięczać ratunek dla siebie i swojej rodziny!

— Wiele zaświadczeń o czystości krwi jest fałszywych — przekonywał Luna. — Wszyscy wiedzą, iż dziad Teresy od Jezusa, założycielki zgromadzenia karmelitanek bosych, był Żydem. I co? Szykuje się jej beatyfikacja. Takich przykładów są setki, jeśli nie tysiące. Chrześcijanie występują o nadanie szlachectwa, aby nie płacić podatków. Obecnie wielu morysków wszczyna takie postępowanie, by uniknąć wygnania; póki proces jest w toku, nie można im nic zrobić, są chronieni, a proces może potrwać kilka lat.

— A co, jeśli odrzuca pozew? — dopytywał się Hernando.

— Wiele się może zmienić do tego czasu — odparł Castillo.

— Zaufaj nam — nalegał don Pedro. — Sami się wszystkim zajmujemy.

Przed wyjazdem z Grenady Hernando sporządził pełnomocnictwo dla plenipotenta, który będzie go reprezentować przed Salą Hidalgów.



Jednakże wydarzenia potoczyły się szybko. Moryskowie, zrozpaczeni pogłoskami o wypędzeniu, zwrócili się o pomoc do króla Maroka Mulaia Zaidana. Delegacja złożona z pięćdziesięciu ludzi udała się do Berberii i zaproponowała zaatakowanie Hiszpanii z pomocą Holendrów, którzy już się zobowiązali dostarczyć wystarczającą liczbę okrętów, żeby rozciągnąć most przez cieśninę. Oferta była podobna do wszystkich innych składanych wcześniej przez morysków: Mulai Zaidan miał tylko zawładnąć jakimś miastem portowym na wybrzeżu i dostarczyć dwadzieścia tysięcy żołnierzy, a powołaniem dalszych dwustu tysięcy niezbędnych do pokonania osłabionych królestw zajmą się moryskowie.

Król Maroka, choć zagorzały wróg Hiszpanii, wyśmiał tę propozycję i odprawił delegację. Natomiast nie śmiał się Filip III, który miał już dość sprzysiężeń i był zaniepokojony tym, że któreś z nich może się zmaterializować i jego dominia zostaną rzeczywiście

cie najechane przez jakieś obce mocarstwo za sprawą morysków. W kwietniu 1609 roku sam król przekazał Radzie Królewskiej memoriał, w którym wzywał jej członków do poczynienia ostatecznych kroków przeciwko tej wspólnocie, „nie wahając się przed bezwzględnością prowadzącą do ich wyrżnięcia”, napisał monarcha.

Pięć miesięcy później opublikowano w Walencji nakaz wypędzenia morysków z tego królestwa. W końcu przeważyły nieustępliwe postulaty patriarchy Ribery i innych zapaleńców. Zaprotes-towała jedynie szlachta, czego można było się spodziewać, obawiająca się zubożenia swoich ziem wskutek braku tak taniej i wykwalifikowanej siły roboczej jak moryskowie. Głosy protestu uciszono obietnicą przekazania szlachcie ziemi i wszystkich dóbr, których moryskowie nie zdołają z sobą wywieźć. Wygnańcom pozwolono zabrać z Hiszpanii tylko tyle, ile mogli unieść na swoich plecach, zmierzając do wskazanych portów, gdzie mieli zgłosić się w ciągu trzech dni; resztę dobytku musieli pozostawić pod groźbą kary śmierci dla każdego, kto by zniszczył lub ukrył jakieś mienie.

Do wydalenia walenckich morysków wyznaczono pięćdziesiąt królewskich galer z czterema tysiącami żołnierzy: kastylijską kawalerią, milicją królestwa Walencji i oceaniczną armadą.



Choć go oczekiwano, królewski rozkaz stanowił straszliwy cios dla Hernanda i dla wszystkich morysków we wszystkich królestwach Hiszpanii. Walencja była tylko pierwszym z nich; potem miała przyjść kolej na pozostałe. Wszyscy nowi chrześcijanie mieli być wypędzeni, a ich mienie zarekwirowane na rzecz ich panów, jak w Walencji, lub na rzecz Korony.

Hernando jeszcze nie zdołał oswoić się z nakazem wypędzenia, kiedy spostrzegł, że przed jego domem stoją na posterunku dwaj żołnierze. Za pierwszym razem nie przyłożył do tego wagi, „zbieg okoliczności”, pomyślał, ale kiedy spotykał ich dzień po dniu, doszedł do wniosku, że go śledzą.



— Takie rozkazy wydał ławnik don Gil Ulloa — odpowiedział mu jeden z żołnierzy, kiedy zdecydował się go o to zapytać.

— Gil Ulloa! — mruknął, odwracając się plecami do obu uśmiechniętych żołnierzy. Brat Rafaeli, który odziedziczył ten zaszczytny tytuł po swoim ojcu. Niebezpieczny przeciwnik.

Chrześcijanie z Kordoby radowali się z królewskiego posunięcia, ale rada miejska wobec niebezpieczeństwa zamieszek zagroziła świętującemu tłumowi karą stu batów i czterech lat galer dla tych, co skrzywdzą nowych chrześcijan. Jednocześnie, zamiast stu batów i czterech lat galer, zagroziła miejscowym moryskom dwustoma batami i sześcioma latami galer, jeżeli będzie ich się gromadziło więcej niż trzech naraz.

Jednakże decyzja, która najbardziej dotknęła interesów Hernanda, gdyż została natychmiast wprowadzona w życie, polegała na zabronieniu moryskom sprzedaży ich domów i ziem.

— Koni też nie wolno sprzedawać — powiadomił go pewnego dnia Miguel. — Miałem już omówione warunki z kilkoma nabywcami, ale się wycofali.

— Czekają, aż sprzedamy je za bezcen.

Kaleka przytaknął w milczeniu.

— Dzierżawcy nie chcą płacić czynszu — dodał z wysiłkiem.

Miguel wiedział, że te pieniądze są potrzebne rodzinie. On sam rok wcześniej zdołał przekonać Hernanda do przeprowadzenia napraw w gospodarstwie. Potrzebowali nowych stajni, ujeżdżalni, stodoły; wszystko waliło się ze starości. Hernando posłuchał też jego rady i zainwestował większą część swoich oszczędności w bydło. Ale Miguel nie wiedział, że resztę pieniędzy musiał przeznaczyć na proces o nadanie szlachectwa, na honoraria dla pełnomocnika i adwokata z Grenady oraz na opłacenie rozlicznych zaświadczeń koniecznych do wszczęcia postępowania przed Salą Hidalgów.

— Zapłacą — rzekł. — Mnie nie wypędzą. Wystąpiłem o nadanie mi szlachectwa — wyjaśnił, widząc zdziwienie Miguela. — Powiedz to dzierżawcom. Jedyne, co zyskają, to strata ziemi, jeżeli nie zapłacą czynszu. Powiedz to też nabywcom koni. — Mówił

pewnym siebie głosem, ale nagle opanowało go znużenie, które odbiło się na jego twarzy i w głosie. — Potrzebuję pieniędzy, Miguelu — wyszeptał.



Tymczasem docierały do Kordoby wieści o wypędzeniu walenckich morysków. Walenckie dzielnice muzułmańskie przerodziły się w bazy, na które przybywali spekulanci ze wszystkich królestw, żeby kupować po niskich cenach mienie wygnañców. Wybuchła gwałtowna nienawiść między społecznościami morysków i Hiszpanów, do tej chwili uśpiona lub powstrzymana przez panów, którzy bronili swoich pracowników, a którzy teraz, z niewielkimi wyjątkami, przestali się nimi zajmować. Na nic się zdały groźby króla wobec tych, którzy atakowali czy okradali morysków; drogi, którymi przemieszczali się w stronę portów, usiane były trupami. Długie szeregi mężczyzn, kobiet, dzieci i starców — wielu z nich chorych, wszyscy obładowani, jak olbrzymia grupa wycieńczonych wędrownych kramarzy — udawały się na obczyznę. Chrześcijanie pobierali od nich opłaty za siadanie w cieniu drzew czy za picie wody z rzek, które przez wieki do nich należały. Głód dał się wielu z nich we znaki i niektórzy sprzedawali swoje dzieci, żeby zdobyć nieco stawy na wyżywienie reszty rodziny. Ponad sto tysięcy walenckich morysków trzymanyh pod strażą zaczęło gromadzić się w portach Grao, Denia, Vinaroz lub Moncófar!



Hernando zdziwiony podniósł głowę. Musiało wydarzyć się coś poważnego, że Rafaela wtargnęła do biblioteki, nie zapukawszy nawet do drzwi. Rzadko wchodziła do jego sanktuarium, kiedy pracował nad kopiowaniem Koranu, i za każdym razem, bez wyjątku, chodziło o omówienie czegoś bardzo ważnego. Podeszła i zatrzymała się przed nim, po drugiej stronie biurka. Hernando przyjrzał jej się w świetle lamp: miała niewiele ponad trzydzieści lat. Ta przestraszona dziewczynka, którą poznał w stajni, stała się

dorosłą kobietą. Kobieta, która, sądząc po wyrazie twarzy, była teraz bardzo wystraszona.

— Czy słyszałeś o nakazie wypędzenia walenckich morysków? — spytała Rafaela.

Hernando poczuł, jak wbija się w niego wzrok żony. Zawahał się, zanim odpowiedział.

— Tak... No cóż... — wymamrotał. — Wiem tyle, co wszyscy: że wypędzili ich z królestwa.

— Ale nie znasz konkretnych warunków? — nie dawała się zbyć żona.

— Masz na myśli pieniądze?

Rafaela zrobiła znicierpliwioną minę.

— Nie.

— Do czego zmierzasz? — Rzadko bywała tak spięta.

— Mówiono mi na targu, że król określił specjalne warunki dla małżeństw złożonych z nowych i dawnych chrześcijan. — Hernando wyprostował się na krześle. Nie znał tych szczegółów. „Mów dalej”, nakazał jej gestem dłoni. — Moryski zameżne z chrześcijanami mają prawo pozostać w Hiszpanii, a z nimi ich dzieci. Moryskowie ożenieni z chrześcijankami muszą opuścić Hiszpanię... i zabrać z sobą dzieci powyżej szóstego roku życia; młodsze zostaną tutaj, z matkami.

Jej głos drżał, kiedy wymawiała dwa ostatnie zdania.

Hernando oparł łokcie na stole, splótł palce i opuścił na nie głowę. To oznaczało, że jeżeli królewski nakaz będzie dotyczył jego, wypędzą też Amina i Lajlę. Mukła i młodsze dzieci zostaną z Rafaelą w Hiszpanii, żeby żyć... no właśnie, za co? Jego ziemie i dom zostaną zarekwirowane, a jego miennie...

— To w naszej rodzinie się nie wydarzy — rzekł dobitnie. Po policzkach jego żony płynęły łzy, których nie starała się powstrzymać. Drżała, wpatrując się w niego wilgotnymi oczami. Hernando poczuł, jak ściska mu się żołądek. — Nie martw się — dodał łagodnie, podnosząc się z krzesła. — Wiesz, że wszcząłem proces o przyznanie szlachectwa i już dostałem z Grenady pierwsze

dokumenty. Mam też ważnych przyjaciół, w razie potrzeby wstawią się za mną u króla. Wypędzenie nam nie grozi.

Podszedł do niej i przytulił ją do piersi.

— Dzisiaj... — Rafaela zaniósła się płaczem. — Dziś rano, kiedy wracałam do domu, spotkałam mojego brata Gila. — Hernando zmarszczył brwi. — Wyśmiał mnie. Jego śmiech był coraz głośniejszy, w miarę jak przyspieszałam kroku, żeby się od niego oddalić...

— I z czego tak się śmiał?

— Hidalgo?! — pytał, krzycząc. Wtedy odwróciłam się, a on splunął na ziemię. — Rafaela wybuchła płaczem. Hernando kazał jej mówić dalej. — Ten heretyk twój mąż... nie doczeka się nadania szlachectwa! — powiedział.

Wiedzieli o tym, pomyślał Hernando. Można się było tego spodziewać. Miguel powiedział dzierżawcom i hidalgom, którzy chcieli kupić konie, a wiadomość przekazano z ust do ust.

— Kobieto, choćby mi nie nadano szlachectwa, samo wszczęcie procesu wstrzyma wypędzenie na całe lata. Potem... potem zobaczymy. Wszystko się zmieni.

Jednakże Rafaela nie mogła powstrzymać płaczu; podniosła ręce do twarzy i jej łkanie przerwało nocną ciszę... Hernando, który odsunął się od żony, teraz stanął za nią i pogłaskał ją czule po włosach, usiłując okazać spokój, którego nie czuł.

— Nie płacz — wyszeptał. — Nic nam się nie stanie. Pozostaniemy wszyscy razem.

— Miguel ma przecucie... — wyjąkała wśród łkań.

— Przecucia Miguela nie zawsze się spełniają... Wszystko się dobrze ułoży. Uspokój się. Nic się nie stanie... — powiedział. — Uspokój się, dzieci nie powinny widzieć cię w takim stanie.

Rafaela przytaknęła i odetchnęła głęboko. Nie chciała odsunąć się od męża. Odczuwała wielki lęk, który zmniejszał się tylko wówczas, gdy Hernando ją obejmował.

Hernando patrzył, jak wychodzi z biblioteki, wycierając łzy, i ogarnęło go uczucie wielkiej tkliwości. Nauczył się żyć między

Fatimą i Rafaelą. Pierwszą spotykał w chwilach modlitwy w meczecie, gdy ćwiczył się w kaligrafii albo gdy słuchał, jak Mukła szepcze po arabsku jakieś słowa, wpatrując się w niego wielkimi niebieskimi oczami w oczekiwaniu na pochwałę. Rafaelę spotykał w swoim codziennym życiu, we wszystkich sytuacjach, w których potrzebował czułości i miłości; ona zajmowała się nim troskliwie, a on odpłacał jej tym samym. Fatima stała się czymś w rodzaju latarni wskazującej drogę łączności z Bogiem i religią.



Wypędzenie walencckich morysków posuwało się naprzód, choć nie bez trudności. Przemieszczenie ponad stu tysięcy osób wymagało wielokrotnych rejsów z wybrzeża hiszpańskiego Lewantu do Berberii i z powrotem. Pomimo wyznaczenia trzydniowego terminu mijały miesiące i to opóźnienie powodowało, że za pośrednictwem załóg powracających statków i wskutek złośliwego okrucieństwa chrześcijan, którzy nie wahali się tego rozprzestrzeniać, zaczęły docierać wiadomości o sytuacji nowo przybyłych na afrykańskie wybrzeża. Ci, co mieli szczęście i zeszli na ląd w Algierze, byli natychmiast kierowani do meczetów, gdzie ustawiano ich w szeregi, oglądano penisy i kolejno poddawano natychmiastowemu obrzezaniu. Później powiększali najniższą kastę korsarskiego miasta rządzonego przez janczarów i byli zatrudniani w nieludzkich warunkach przy uprawie ziemi.

Ci, którym szczęście nie dopisało, dostawali się w ręce koczowniczych albo berberyjskich plemion, które atakowały, rabowały i mordowały wszystkich ochrzczonych — mężczyzn i kobiety. Moryskowie byli dla nich tylko chrześcijanami, zdrajcami prawdziwej wiary i Proroka. Mówiono, że niemal trzy czwarte walencckich morysków liczących ponad sto tysięcy osób zostało wymordowanych przez Arabów. Nawet w Tetuanie i w Ceucie, miastach, gdzie mieszkało dużo andaluzyjskich morysków, torturowano i zabijano nowo przybyłych. Całe gminy, powołując się głośno na swoje chrześcijaństwo, podchodziły pod ufortyfikowane mury hiszpańskich enklaw na afrykańskim wybrzeżu w poszukiwaniu

schronienia. Liczni moryskowie, przerażeni i rozczarowani, zdołali z wielkim trudem wrócić do Hiszpanii, gdzie oddawali się w niewolę pierwszemu napotkanemu; niewolników nie obejmował nakaz wypędzenia.

Mówiono też, że na niektórych statkach okradano wygnańców z mienia i na pełnym morzu wyrzucano za burtę. Na chrześcijańskich targach pojawiły się w sprzedaży sardynki zwane granadynkami.

Wieści o makabrycznych rzeziach dokonywanych przez Berberów i innych nieszczęściach rozniosły się wśród walenckich morysków. Dwie gminy chwyciły za broń. Munir powołał ludzi z doliny Cofrentes, którzy pod wodzą nowego króla o imieniu Turigi obwarowali się w najwyższej partii łańcucha wznoszącego się nad doliną Muela de Cortes. To samo zrobiły tysiące mężczyzn i kobiet w Val de Laguar pod rozkazami króla Melleni. Jednakże legendarny rycerz Alfatimí nie przybył im na pomoc na zielonym koniu, a zaprawieni w bojach żołnierze z królewskich regimentów piechoty nie mieli najmniejszych trudności z położeniem kresu rebelii. Tysiące morysków stracono; drugie tyle skończyło jako niewolnicy.



Przed końcem owego roku ogłoszono nakaz wypędzenia morysków z obu Kastylii i Estremadury. Andaluzyjczycy wiedzieli, że wkrótce przyjdzie kolej na nich.

Pewnego zimnego i dżdżystego styczniowego poranka Hernando siedział w bibliotece i poprawiał litery, które Amin pisał patyczkiem na pobielonej tabliczce. Przedtem próbował dawać mu pióro, ale dziecko plamiło kleksami papier, więc wygodniejsza była tabliczka, na której można było ścierać to, co napisano, i kreślić nowe litery. Aminowi udało się narysować wysmukłą i proporcjonalną literę *alif*. Hernando wziął tabliczkę do ręki i z zadowoleniem pochwalił dzieło, głaszcząc syna po głowie. Mukła też podszedł i z zazdrością spojrzął na starszego brata.

— Jak tak dalej pójdzie, niedługo będziesz mógł pisać piórem,

delikatnie wyginając jego czubek, który dostosuje się do ruchów twojej dłoni.

Dziecko spojrzało na niego oczami pełnymi nadziei, ale w chwili kiedy miało coś powiedzieć, w sieni rozległo się głośne walenie do drzwi wejściowych, rozniosło się po dziedzińcu i dało się słyszeć w bibliotece. Hernando się nie poruszył.

— Otwierać przed radą miejską Kordoby! — dobiegło z ulicy wołanie.

Nakazawszy szybkim gestem dziecku, żeby wszystko schowało, Hernando skierował się na galerię, trzymając za rękę małego Mukłę. Przed wyjściem z biblioteki zobaczył, że Amin porządkuje biurko i kładzie na nim psalterz; wielokrotnie to ćwiczyli.

— Otwierać! — walenie rozległo się ponownie.

Hernando chwycił się balustrady i spojrzął na dziedziniec. Stała tam przerażona Rafaela, patrząc na niego pytająco.

— Idź — nakazał jej dłonią, po czym zbiegł po schodach.

Pojawił się przy drzwiach, kiedy jego żona właśnie odsuwała rygiel. Na ulicy woźny miejski i kilku żołnierzy otaczało mężczyznę zbliżającego się do trzydziestki, wytwornie odzianego. Zza nich wysuwała się głowa uśmiechniętego Gila Ulloa, a jeszcze dalej stała gromadka gapiów. Hernando wysunął się przed Rafaelę wpatrującą się w swojego brata i usiłował rozpoznać szlachcica; jego rysy...

— Otwierać przed radą miejską — zawołał znowu woźny, choć Hernando stał już na ulicy — i przed don Carlosem de Córdoba, diukiem de Monterreal!

Syn don Alfonsa! Rysy twarzy jego ojca wydawały się pomieszane z rysami matki. Doña Lucía. Duchessa! Na samo wspomnienie tej kobiety i nienawiści, jaką do niego żywiła, Hernando poczuł, że uginają się pod nim kolana. Odwiedziny nie mogły wróżyć nic dobrego.

— Czy to ty jesteś Hernando Ruiz, nowy chrześcijanin z Juwiles? — spytał don Carlos pewnym siebie, autorytatywnym głosem, jakiego używają szlachcice, zwracając się do wszystkich, którzy ich otaczają.

— Tak. To ja. — Na twarzy Hernanda pojawił się smutny uśmiech. — Wasza Ekszelencja dobrze o tym wie.

Don Carlos pominął milczeniem tę uwagę.

— Z polecenia przewodniczącego Królewskiej Kancelarii w Grenadzie wręczam ci postanowienie, które zapadło w procesie o nadanie szlachectwa, który tak zuchwale wszcząłeś. — Wystąpił pisarz i przekazał Hernandowi plik dokumentów. — Czy umiesz czytać? — spytał diuk.

Papier palił Hernandowi dłoni. Dlaczego sam diuk pofatygował się aż do jego domu, żeby mu doręczyć postanowienie sądowe, zamiast wezwać go do siedziby rady miejskiej? Ciekawość coraz liczniejszej gawiedzi przyniosła mu odpowiedź: chciano uczynić z tego wydarzenie publiczne. Kątem oka dostrzegł, jak Rafaela się chwieje; niedawno zapewniał ją, że ten proces może ciągnąć się przez kilka lat.

— Jeżeli nie umiesz czytać — mówił dalej don Carlos — pisarz przystąpi do publicznego odczytania...

— Czytałem chrześcijańskie książki ojcu Waszej Ekszelencji — skłamał Hernando, podnosząc głos — kiedy konał jako jeniec w namiocie kapitana korsarskiego statku, zanim próbowałem go uwolnić, ryzykując własne życie.

Przez grupę gapiów przeleciał szmer. Jednakże twarz don Carlosa de Córdoba nie zmieniła wyrazu.

— Zachowaj swoją pychę na czas, kiedy się znajdziesz na ziemiach Maurów — odpowiedział mu diuk.

Hernando zdołał chwycić Rafaelę w chwili, kiedy padała zemdlona po usłyszeniu słów don Carlosa. Plik dokumentów zmiął się przygnieciony bezwładnym ciałem.

„Tak nakazuje don Ponce de Hervás, audytor Królewskiej Kancelarii w Grenadzie, alkad Sali Hoidalgów”. Hernando posadził Rafaelę na krzesło w galerii, zwilżył jej twarz i podał kubek wody, ale nie mógł czekać, aż całkiem przyjdzie do siebie po omdleniu, żeby przeczytać dokument. Don Ponce! Mąż Isabel! Sędzia odrzucał jego prośbę o przyznanie szlachectwa *ad limine*, nawet jej nie rozpatrując, nie nadając jej żadnego biegu, co uzasadniał



następująco: „Sam zainteresowany zaznaczał w licznych pismach kierowanych do arcybiskupstwa miasta Grenady, że jest nowym chrześcijaninem. Jego przewrotne uzasadnienie rzezi pobożnych chrześcijan, męczenników z Alpuhary, w miejscowości Juviles, potwierdza przynależność do sekty Mahometa”. Przypomniął sobie pierwsze pismo, które przekazał arcybiskupowi Grenady i w którym rzeczywiście usiłował usprawiedliwić rzeznie dokonane przez bantów i morysków w Alpuharze. Czy właśnie teraz musieli się pojawić wszyscy ci, którzy mogli się uważać za jego wrogów? Don Ponce, Gil Ulloa i spadkobierca diuka de Monterreal, wychowany przez kobietę, która go nienawidziła. Kogo jeszcze brakuje? „Wykaz faktów i okoliczności, poprzez które suplikant usiłuje uzasadnić swoje szlachectwo przed tą Salą, jest jedynie prymitywnym i niezdamym fałszowaniem rzeczywistości, niezastępowalnym na najmniejszą uwagę ze strony trybunału”. Przypomniały mu się obietnice don Pedra, Luni i Castilla. „Wszystko można sfałszować!” — mówili mu. Na co mu się to wszystko zdało? Don Ponce de Hervás wziął odwet! Hernando zgniótł w dłoniach dokument.

— Przeklęty sukinsyn! — zawołał.

Potem skulił się na krześle kompletnie przybity. Wydawało się, jakby nagle przybyło mu lat. Siedząca przy nim Rafaela wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego kolanie. Spojrzał na palce żony, długie i wysmukłe, o skórze zniszczonej zajęciami domowymi. Potem spojrział na jej twarz. Była blada. Siedział nieruchomo, jak sparaliżowany. Rafaela uklękła u jego stóp i oparła głowę na jego kolanach. Trwali tak przez chwilę: w bezruchu, z zamkniętymi oczami, jakby odmawiali zaakceptowania rzeczywistości, która ich przerastała.



Widmo wypędzenia zawisło nad ich domem. Od tego dnia Hernando uważniej przyśluchiwał się krokom Rafaeli, rozmowom, które prowadziła z dziećmi; słyszał, jak samotnie płacze. Pewnej nocy, kiedy chciał wziąć ją w ramiona, odsunęła go od siebie.

— Zostaw mnie, proszę — powiedziała po pierwszej pieszczocie.

— Teraz powinniśmy być sobie bliżsi niż kiedykolwiek indziej, Rafaelo.

— Nie, na miłość boską! — rzuciła z płaczem.

— Ależ...

— A jeżeli zajdę w ciążę? Nie pomyślałeś o tym? Po co nam jeszcze jedno dziecko? — szepnęła rozgoryczona. — Żeby za kilka miesięcy cię wypędzili i żebyś zostawił mnie brzemienną?

Wkrótce potem Hernando, z postarzałą i zasepioną twarzą, postanowił wykorzystać swoją ostatnią możliwość: pojedzie do Grenady, żeby porozmawiać z don Pedrem i pozostałymi, a jeśli trzeba, to również z samym arcybiskupem.

Następnego poranka powiadomił o tym Miguela, który wprowadził się do domu w Kordobie, kiedy tylko się dowiedział, że Kancelaria Królewska odrzuciła prośbę o nadanie szlachectwa. Ale tym razem nie opowiadał zabawnych historyjek dzieciom, które chyba przeczuwały, że nadchodzi jakieś nieszczęście, gdyż były smutne i milczące. Kaleka otworzył przed nim bramę, gdy wyjeżdżał na grzbiecie szybkiego i wytrzymałego ogiera. Hernando zamierzał galopować do samej Grenady, gotów zajeździć konia, gdyby to było konieczne. Ale nie zdołał nawet wyjechać z zaułka.

— Gdzie jedziesz? — zatrzymał go jeden z żołnierzy Gila.

— Do Grenady — odpowiedział z grzbietu konia, zatrzymując go. — Zobaczyć się z arcybiskupem.

— Za czym pozwoleniem?

Podał mu przepustkę. Mężczyzna obojętnie rzucił na nią okiem. Hernando miał ochotę krzyknąć: Nie umiesz czytać! Zamiast tego spróbował wyjaśnić, o co chodzi.

— To jest zezwolenie z arcybiskupstwa...

— Jest nieważne — przerwał mu żołnierz, jednocześnie drąc przepustkę na dwie części.

— Co robisz? — To była jego ostania szansa! Hernando poczuł, że gotuje się w nim krew. — Ty psie!

Instynktownie poderwał konia na żołnierza i zeskoczył, żeby

pozierać kawałki papieru, ale zanim dosięgnął ziemi, drugi żołnierz już groził mu rapierem.

— Tylko spróbuj! — ostrzegł.

Hernando się zawahał. Pierwszy żołnierz już się podniósł po tym, jak natarł na niego koń, i stanął obok swojego towarzysza, też z rapierem w dłoni. Zdenerwowany ogier ciągnął za wodze. Hernando zrozumiał, że jego usiłowania do niczego nie prowadzą.

— Tylko... tylko chcę pozierać kawałki...

— Już ci mówiłem, że przepustka jest nieważna. Nie możesz wyjechać z Kordoby.

Żołnierz zdeptał kawałki papieru.

— Wracaj do domu! — rozkazał ten drugi, wyciągając rapier w kierunku zaułka.

Hernando wrócił pieszo, prowadząc konia za uzdę. W bramie, jeszcze otwartej, czekał na niego Miguel, który był świadkiem tej sceny.



Hernando usiłował skomunikować się listownie z Grenadą, ale nie znalazł na to sposobu. Mulnicy pochodzili w większości z królestwa Walencji i zostali już wypędzeni, podobnie jak ci z Kastylii, Manchy i Estremadury. Mulnikom z pozostałych królestw nie wolno było podróżować.

— Rewidują mnie za każdym razem, kiedy wychodzę z domu — wyznał oburzony i przygnębiony Miguel. — Za Rafaelą ciągle chodzą krok w krok. To nie do zniesienia...

— Dlaczego przyjaciele nie nawiążą ze mną kontaktu? — poskarżył się głośno Hernando. W jego głosie dał się słyszeć akcent rozpaczy. — Muszą wiedzieć, że moja prośba o wszczęcie procesu została odrzucona.

— Nikt nie może zbliżyć się do domu, nie poddając się uprzednio kontroli urzędników sądowych — odpowiedział Miguel, usiłując go uspokoić. — Nawet jeżeli próbowali, musieli z tego zrezygnować.

Jednocześnie Hernando miał świadomość, że ani don Pedro,

ani żaden z tłumaczy nie zaryzykuje osobistej wizyty. Wiedział, że rok wcześniej ukazała się drukiem książka, *Antigüedad y excelencias de Granada*, której autor wychwalał ród Granada Venegas i utrzymywał, że wywodzi się w prostej linii z chrześcijańskich Wizygotów. Co za ironia! Jedna z najważniejszych rodzin muzumańskiej arystokracji! Książka przeszła bez przeszkód przez królewską cenzurę, gdyż zapewniała między innymi, iż po zdobyciu Grenady przez Królów Katolickich antenatowi don Pedra zwanemu Cidiyaya ukazał się sam Jezus Chrystus pod postacią cudownego krzyża wiszącego w powietrzu i wezwał go do przyjęcia religii jego przodków Wizygotów. Członkowie rodu Granada Venegas odrzucili zawołanie *Lagaleblila*, owo *wa la gahlib illa Allah* Nasrydów: „Nie ma zwycięzcy oprócz Boga”, które stanowiło przez wieki ich szlachecką dewizę, zamieniając je na bardzo chrześcijańskie *Servire Deo regnare est*. Kto mógłby podawać w wątpliwość czystość krwi rodziny, która jak święty Paweł została naznaczona boską ręką?

— Oni już zadbali o swoje ocalenie — wyszeptał. — Co ich może obchodzić zwykły morysk taki jak ja?

Skończyły się pieniądze i zapasy w spiżarni; dzierżawcy nic im nie przynosili, a Rafaela miała problemy z kupnem żywności. Nikt nie chciał jej udzielić kredytu: ani chrześcijanie, ani moryskowie. Jednakże trudności dnia codziennego i widok głodnych dzieci zdawały się dodawać jej sił, które stopniowo opuszczały jej męża.

— Sprzedaj konie. Za każdą cenę! — nakazał pewnego dnia Hernando Miguelowi, kiedy usłyszał Muklę płaczącego i skarżącego się na głód.

— Już próbowałem — zaskoczył go kaleka. — Nikt ich nie kupi. Zaufany handlarz zapewnił mnie, że nie zdołałby ich sprzedać nawet za nędzną garść maravedi. Don Carlos tego zabronił. Nikt nie chce mieć problemów z rajcą i grandem Hiszpanii.

Hernando przytaknął skinieniem głowy.

— Może odzyskają swoją wartość, kiedy skończy się to wszystko — usiłował się pocieszyć — a wtedy Rafaela będzie je mogła sprzedać za dobrą cenę.

— Nie sędzę — odparł kaleka. Hernando rozłożył ręce w geście bezsilności. Jakże jeszcze nieszczęścia mogą na nich spaść? — Panie — ciągnął Miguel — już od dłuższego czasu nie płacimy za słomę ani za owies, nie płacimy kowalowi ani stelmachowi, nie wypłacamy dniówek parobkom i ujeżdżaczom. W dniu, w którym cię zabraknie, o ile nie wcześniej, wierzyciele rzucą się na nas, a samotna kobieta... Nie myślałeś o tym? — dodał.

Hernando nie odpowiedział. Cóż mógł zrobić? Jak sobie poradzą?

Miguel odwrócił wzrok. Czyżby Hernando nie wiedział, że on mógł utrzymać gospodarstwo i konie, jedynie zapożyczając się? Przecież to sam Hernando rozkazał, żeby konie przebywające w stajni miejskiego domu zostały przeniesione do gospodarstwa, bo tu nie mogli ich wyżywić!



Spróbowali sprzedać za bezcen domowe meble i książki Hernanda w mieście, które obróciło się w wielkie targowisko. Tysiące rodzin morysków wystawiały swoje sprzęty na ulicach. Otaczali ich chrześcijanie, którzy znaleźli sobie rozrywkę polegającą na targowaniu się między sobą, kto da mniej, i szydzeniu z mężczyzn i kobiet czekających z powstrzymywaną wściekłością, aż ktoś z tłumu kupi ów mebel, który z taką nadzieją i wysiłkiem zdołali przed laty pozyskać, albo łóżka, na których spali i śnili o lepszym życiu. Rzemieślnicy i kupcy, szewcy, cukiernicy, piekarze błagali swoich chrześcijańskich konkurentów, żeby odkupili od nich narzędzia i maszyny. Jednakże żaden chrześcijanin nie zbliżył się do książek i mebli, które Hernando wyniósł z domu. Rafaela z dziećmi pilnowała, żeby przynajmniej ich nie rozkradziono.

Pewnego wieczoru zrozpaczony Hernando poszedł zobaczyć się z Pablem Coca; chciał zarobić kilka monet w domu gry, ale jego właściciel już nie żył. Wtedy Miguel, chociaż nie miał zezwolenia, wyszedł na ulicę żebrąc. Żołnierze pilnujący okolicy śmiali się i kpili sobie z niego, widząc, jak codziennie wraca o zmierzchu, podskakując na swoich kulach, z wiązką zgnitych

jarzyn w niesionej na plecach sakwie. Dzień w dzień Hernando usiłował uzyskać audiencję u biskupa, dziekana lub u któregokolwiek z prebendarzy katedralnej kapituły Kordoby. Biskup mógłby go uratować, gdyby zaświadczył, że jest chrześcijaninem. Przecież kiedyś Hernando pracował dla katedry.

Czekał całymi dniami na dziedzińcu wielkiego gmachu, podobnie jak wielu innych morysków, którzy tłoczyli się, żeby prosić o to samo.

— Nie uda wam się do nikogo dostać! — krzyczeli do nich codziennie opryskliwi woźni.

Hernando wiedział, że tak będzie, że żaden z duchownych nie zwróci na nich najmniejszej uwagi; tak się też działo, kiedy księża przechodzili obok. Niektórzy spoglądali na nich, inni mijali szybko dziedziniec, udając, że ich nie widzą. Ale cóż mógł zrobić? Mógł tylko czekać na odrobinę miłosierdzia, do którego tak nawoływali chrześcijanie. Nie przychodziło mu do głowy żadne inne wyjście. Nie istniało! Pogłoski co do daty wypędzenia andaluzyjskich morysków stawały się z dnia na dzień coraz bardziej niepokojące i bez poświęcenia Kościoła Hernando skazany był na opuszczenie Hiszpanii wraz z Aminem i Lajlą.

Co się stanie z resztą rodziny? — zastanawiał się każdego wieczoru, kiedy ze spuszczoną głową wracał do domu i wnosił do sieni te same meble i te same książki, które z pomocą Rafaeli wystawiał rano na ulicę.

Dzieci czekały na niego, jakby sama jego obecność mogła rozwiązać wszystkie problemy, z jakimi borykali się w ciągu długiego, nużącego dnia spędzonego bezowocnie na targu. I Hernando zmuszał się do uśmiechu, pozwalał, by wskakiwały mu na ramiona, usiłował zmienić chęć wybuchnięcia płaczem w słowa otuchy i miłości, kiedy słuchał ich szybkiej, niewinnej i beżładnej paplaniny. Starsze dzieci muszą o tym wiedzieć, myślał, słysząc ich głosy. Przecież nie mogą nie dostrzegać napięcia i nerwowości, jakie przeżywa całe miasto, ale nie potrafią wyobrazić sobie konsekwencji, które spowoduje dla rodziny wypędzenie z Hiszpanii. Potem czekali na odpadki, które Miguel przynosił na kolację,

i kiedy dzieci już spały, a kaleka dyskretnie wychodził i udawał się na spoczynek, Hernando i Rafaela rozmawiali w ciszy, jednakże żadne z nich nie ośmielało się pomówić bez ogródek o sytuacji.

— Jutro mi się uda — obiecywał Hernando.

— Na pewno — odpowiadała Rafaela, biorąc go za rękę.

Świtało i znowu wystawiali na ulicę meble i książki. Dzieci, tłocząc się wokół matki, przyglądały się, jak odchodzą: Miguel na żebry, Hernando do pałacu biskupa.



— Na gwoździe Chrystusa, błagam o litość!

Hernando wyrwał się z grupy morysków i padł na kolana na dziedzińcu przed przechodzącym właśnie dziekanem katedry. Prebendarz zatrzymał się i spojrzał na niego. Odzienie zdradzało tożsamość Hernanda, a jego problemy z radą miejską były powszechnie znane.



— Ty usprawiedliwiłaś rzeź męczenników w Alpuharze?! Jesteś synem heretyczki, czyż nie tak? — zawołał dziekan.

Hernando usiłował zbliżyć się do duchownego, wlokąc się na kolanach z wyciągniętymi ramionami. Prałat się cofnął. Przybiegli do niego strażnicy.

— Ja... — zdołał wyjąkać, zanim strażnicy schwycili go pod pachy i rzucili w czekający tłum.

— Szukaj pomocy u twojego fałszywego proroka! — usłyszał, jak dziekan wykrzykuje za jego plecami. — I wy wszyscy też! — wrzasnął do pozostałych. — Heretycy!

# 67

W niedzielę siedemnastego stycznia 1610 roku, w dniu świętego Antoniego, ogłoszono w Kordobie nakaz wydalenia morysków z Murcii, Grenady, Jaén, Andaluzji i Hornachos. Król zabronił im wywozić monety, złoto, srebro, klejnoty i weksle. Mogli mieć przy sobie tylko pieniądze na podróż do portu w Sewilli — jeśli chodzi o mieszkańców Kordoby — i na podróż statkiem, za którą sami musieli zapłacić. Bogaci pokrywali koszty wyjazdu biedaków. Sprzedawszy za bezcen ciężkie sprzęty i narzędzia pracy, moryskowie rzucili się do kupowania po niebotycznych cenach towarów dozwolonych do wywozu, jak sukno, jedwabie i przyprawy korzenne.

Hernando zebrał rodzinę w pokoju stołowym. Usiedli nad resztkami czerstwego ciemnego chleba, z którego Rafaela zeskrobała pleśń, i próbował wytłumaczyć dzieciom, co się teraz stanie i co oznacza nakaz.

— Słuchajcie...

Głos mu się załamał. Spojrzał po kolei na Aminę, Lajlę, Mukłę, Musę i Salmę. Chciał coś powiedzieć, lecz długo tłumione napięcie przerwało tamę. Ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął płaczem. Przez chwilę nikt się nie poruszył, przerażone dzieci patrzyły na ojca, a Lajla i Salma też się rozpląkały. Miguel wstał niezgrabnie, żeby wyprowadzić dwoje najmłodszych.



— Nie trzeba — sprzeciwiła się Rafaela. Jej twarz wyrażała ogromne zmęczenie, lecz głos brzmiał spokojnie. — Siadajcie. Musicie wiedzieć — zaczęła, gdy Miguel opadł na krzesło — że wkrótce wasz ojciec, Amin i Lajla wyjadą z Kordoby. Reszta dzieci zostanie tutaj ze mną.

Rafaela zebrała wszystkie siły, żeby się uśmiechnąć. Salma, za mała, by zrozumieć, co się dzieje, roześmiała się dźwięcznie.

— Kiedy wróciacie? — zapytał ojca mały Musa.

Hernando podniósł głowę i spojrzał na Rafaelę.

— To będzie długa podróż — odpowiedziała za niego. — Pojadą daleko, bardzo daleko...

— Mamo — głos najstarszego przerwał ciszę, jaka nastąpiła po słowach Rafaeli. Amin wysłuchał obwieszczeń i zrozumiał, co to oznacza, wiedział, że wypędzają ich z Hiszpanii i że to nie jest podróż, z której można powrócić, chyba że „pod groźbą kary”, jak wykrzykiwał obwoływacz. „Tych zaś, którzy nie wyjadą zgodnie z rozkazem, a zostaną znaleźieni w wymienionych królestwach i dominiach po ustalonym terminie, czeka niechybna śmierć i konfiskata całego mienia bez sądu, procesu, wyroku, co niniejszym postanawiamy i ogłaszamy”. Zginą, jeśli powrócą! Amin doskonale zdawał sobie sprawę: pierwszy lepszy chrześcijanin ma prawo ich zabić bez sądu, bez uprzedzenia, gdy tylko postawią nogę na hiszpańskiej ziemi. — Dlaczego nie wyjedziecie razem z nami ty, wujek Miguel i małuchy?

— No właśnie! Pojedźmy wszyscy razem! — zawołał Musa.

Rafaela westchnęła. Naiwność najmłodszego syna ją rozczuliła. Jak im to wytłumaczyć? Poszukała oczu małżonka, lecz Hernando milczał, wpatrując się przed siebie nieobecny wzrokiem.

— Bóg tak chce — odpowiedziała na pytanie Amina.

— A właśnie, że król! — sprostowała Lajla.

— Nie — odezwał się nagle Hernando. Wszyscy odwrócili się w jego stronę. — Wasza matka ma rację. Bóg tak chce.

Rafaela spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Dzieci — mówił dalej stanowczo. — Bóg chce, byśmy się rozdzielili. Maluchy zostaną w Kordobie z matką i wujkiem Miguelem. Starsze pojedą ze mną do Berberii. Wszyscy będziemy się modlić — tu Hernando popatrzył na Rafaelę — do Boga Abrahama, do Boga, który nas łączy, aby sprawił w swej dobroci i miłosierdziu, że pewnego dnia się odnajdziemy. Będziemy też modlić się do Dziewicy Maryi, żeby wstawiła się za nami u Boga. Pamiętajcie o tym w każdej modlitwie.

Kiedy skończył, zobaczył wlepione w niego niebieskie oczy Mukli. Ten chłopiec miał zaledwie pięć lat, a już tyle rozumiał.

Po zmroku Hernando usiadł z Rafaelą na patio przy fontannie pod zimnym rozgwieżdżonym niebem i zawołał dwoje najstarszych dzieci, by wyjaśnić im powody rozstania.

— Chrześcijanie nie pozwolą wyjechać do Berberii waszej matce chrześcijance i waszemu młodszemu rodzeństwu. Zakaz obejmuje dzieci do lat sześciu, które zostały ochrzczone. Uważa się, że starsze dzieci są już stracone dla Kościoła i dlatego muszą wyjechać razem z dorosłymi. To wszystko.

— Ucieknijmy! — Amin miał łzy w oczach. — Nie rozdzielajmy się! — błagał.

— Brat twojej matki, ławnik Kordoby, nigdy na to nie pozwoli — zaznaczył Hernando.

— Dlaczego?

— Synu, zrozumiesz to, jak będziesz starszy.

Amin nie powiedział nic więcej. Usiłował powstrzymać łzy, był najstarszym z rodzeństwa, zatem nie wypadało mu płakać, ale podszedł do matki, żeby się przytulić. Lajla usiadła u stóp Rafaeli. Hernando patrzył na nich; Rafaela trzymała za rękę najstarszego syna, a jednocześnie głaskała Lajlę po głowie. Ta chwila już się nie powtórzy. Ile takich momentów jak ten stracił bezpowrotnie, zamykając się w bibliotece na studiowaniu, pisaniu i planowaniu walki o upragnioną tolerancję i współistnienie obu religii? Przypominał sobie kołysanki, które śpiewała mu matka w tych rzadkich chwilach, gdy mogła okazać swoją miłość. Zanucił kilka tonów. Amin i Lajla obejrżeli się na niego z zaskoczeniem. Rafaeli zadrżały

usta jak do płaczu, Hernando uśmiechnął się do nich, podniósł oczy ku niebu i zaczął śpiewać półgłosem. Wtórował mu szum wody w fontannie.



Potem, gdy wszystkie dzieci już spały, rodzice usiedli razem, długo milczeli i wsłuchiwali się w swoje oddechy.

— Będę ci przysyłać pieniądze — obiecał Hernando, przerywając ciszę. Rafaela chciała coś powiedzieć, ale nie pozwolił. — Ziemia i dom przejdą na własność skarbu królewskiego, słyszałaś, co mówił obwoływacz. Konie zabiorą na poczet długu. Nic nam nie zostanie, a ty musisz wyżywić trójkę dzieci — wyraził głośno swoje obawy, uzmysławiając sobie nagle, że jest to rzeczywistość groźna i nieuchronna.

Rafaela westchnęła. Wiedziała, że musi go podtrzymać na duchu, żeby nie załamał się do końca.

— Jakoś sobie poradzę — szepnęła, tuląc się do niego. — Skąd weźmiesz pieniądze, żeby mi przysyłać? Przecież ty sam z dwójką najstarszych dzieci nie będziesz miał z czego żyć. Co zamierzasz robić? Ujeżdżać konie? W twoim wieku.

— Nie jestem taki stary! — Hernando napiął mięśnie, usiłując obrócić to w żart. Rafaela uśmiechnęła się z przymusem. — Masz rację, nie nadaję się do pracy przy koniach. Poza tym te ich małe koniki arabskie może są świetne w warunkach pustynnych, ale w niczym nie przypominają andaluzów. Zajmę się czym innym. Znam klasyczny język arabski, umiem pisać. Myślę, że jestem w tym dobry. Postaram się coś znaleźć, żeby zarobić na życie dla moich dzieci i dla ciebie. Bóg mi dopomoże i pokieruje moim piórem, jestem tego pewien. Muzułmanie potrafią docenić pracę skryby.

Rafaela nie miała siły dłużej udawać. Przez cały dzień uśmiechała się do dzieci, tłumiąc własne lęki. Teraz, w ciemnościach nocy, dała upust swojej rozpacz.

— Słyszałam, że Berberowie zabijają przyjezdnych. A tych, co przeżyją, wysyłają do ciężkiej pracy w polu. Jak możesz myśleć o...?

Hernando ponownie poprosił, by nic nie mówiła.

— Takie rzeczy dzieją się w miastach korsarskich w Berberii. Ale w Maroku moryskowie są dobrze widziani. Wiem, że tamtejszy monarcha potrzebuje ludzi wykształconych i rozumie, że Andaluzycyzy mogą mu się przydać. Znajdę pracę na dworze królewskim i kto wie, czy pewnego pięknego dnia nie ściagnę was do siebie...

Rafaela poruszyła się niespokojnie. Domyślał się dlaczego. Rzadko rozmawiali o swoich religiach i o swojej wierze. Ale perspektywa życia na terytorium muzułmańskim ją przerażała.

— Daj spokój — przerwała Rafaela. — Nigdy nie wtrącałam się do twoich wierzeń, nawet gdy wciągałeś w to nasze dzieci. Nie każ mi rezygnować z moich przekonań. Przecież wiesz, że jak ciebie zabraknie, nasze dzieci będą wychowywane w wierze chrześcijańskiej.

— Mam tylko jedną prośbę: przekaz Mukli, jak podrośnie, mój egzemplarz Koranu. Do tego czasu boska księga pozostanie ukryta w bezpiecznym miejscu.

— Do tego czasu Mukla wyrośnie na chrześcijanina — mruknęła żona.

— Ale nadal będzie tym samym chłopcem o niebieskich oczach, który wszystko rozumie. Obiecuj mi, że to zrobisz.

Rafaela się zamyśliła.

— Obiecuj — domagał się Hernando.

Przypiętowała obietnicę pocałunkiem.



Odkąd oboje małżonkowie doszli do wniosku, że sytuacja jest nieodwracalna i nic na to nie poradzą, dni zaczęły im upływać w niepokojącej harmonii. Hernando wciąż chodził modlić się potajemnie do meczetu, jednakże nie szukał już owej szczególnej symbiozy z Fatimą, modlił się do Boga o pomoc dla Rafaeli, która zostanie sama z dwójką dzieci w Kordobie. Początkowo planował, że uda się z Aminem i Lajlą do Tetuanu i poprosi Fatimę o wsparcie. Był już gotów wysłać wiadomość do Efraína, lecz przypomniały mu się jego słowa: „zabiją cię”.

A jeśli zabiją również jego dzieci? Tetuan nie okazał się gościnnie dla morysków. Szamir i Francisco będą go szukać zaalarmowani masowym napływem Andaluzyjczyków. Ścisnęło go w żołądku na myśl, że jego dzieci mogą wpaść w ręce korsarzy.

Szedł przez meczet. Postanowił, że tu, w tej świątyni, w magicznym lesie kolumn, gdzie nigdy nie ucichnie echo modlitw prawdziwych wiernych, ukryje swój cenny egzemplarz Koranu, by pewnego dnia Mukla go odzyskał. Tak ma być!

Ale jak to zrobić?



— Zwariowałeś!? — wykrzyknął Miguel, gdy Hernando przedstawił mu swój plan.

— Nie zwariowałem — odrzekł z taką determinacją, że kaleka zrezygnował z dalszych perswazji. — Zobaczysz, że ci się to spodoba, bo jeszcze nigdy w życiu nie opowiadałeś tak ciekawej historyjki. Potrzebuję was do pomocy, siebie i Amina.

— Po co mieszać w to dziecko?

— To jego obowiązek.

— Zdajesz sobie sprawę, że inkwizycja spali nas żywcem, jak się o tym dowie? — mruknął Miguel.

Hernando kiwnął potakująco głową.

Tego samego dnia rano wszyscy trzej wybrali się do meczetu. Hernando schował pod odzieniem żelazny drążek i młotek, Amin przyciskał do piersi luźne, jeszcze nieoprawione stronicze Koranu i tylko Miguel nic nie niósł, bo ręce miał zajęte kulami. Ojciec i syn zatrzymali się z szacunkiem przed kaplicą Świętego Piotra, sprofanowanym mihrabem, i udawali, że się modlą. Kaleka przystanął trochę wcześniej, z tyłu za nimi, między kaplicami Królewska i Villaviciosa.

Czekali. Hernando czuł, że wilgotnieje mu dłoń ściskająca narzędzia. Nie spuszczał oczu z kaplicy, gdzie tyle razy się modlił. Od frontu była częściowo zabudowana ścianą z cegieł i kamieni, wypełniającą przestrzeń między muzułmańskimi półkolumnami.

Od nawy odgradzały ją na wprost mihrabu dwie kraty sięgające do kapiteli. Wewnątrz znajdował się sarkofag don Alfonsa Fernándeza de Montemayor, gubernatora rubieży. Był to duży, prosty grobowiec z białego marmuru, bez napisów, rysunków czy innych ozdób, tylko szarfa z tragantu przepasywała wieko. Przez kratę widać było pół sarkofagu. Drugą połowę zakrywała ściana. Hernando co jakiś czas zerkał na syna, ale nie wyczuwał w nim zdenerwowania; Amin stał spokojnie u jego boku, dumnie wyprostowany, i mruczał z powagą: Ojciec nasz i Zdrowaś, Maryjo. Tłumy wiernych i księży przelewały się koło nich w obie strony.

Przyszło mu do głowy, że to zakrawa jednak na szaleństwo! Tyle tu ludzi... Ale było już za późno. Zaraz otworzą kraty do kaplicy Świętego Piotra i jak zwykle o tej porze rozpoczną się przygotowania do mszy. Ksiądz już się zbliżał. Hernando miał chwilę załamania. Obejrzał się za siebie z niewyraźną miną. Miguel dodał mu otuchy uśmiechem. Jednocześnie Amin pociągnął go lekko za rękę i pokazał na otwarte kraty. Wtedy Hernando dał Miguelowi sygnał do rozpoczęcia.

— Bóg! — rozległo się wołanie w meczecie. Ludzie patrzyli ze zdziwieniem na kalekę, który tańczył na kulach podekscytowany. — Tam w górze! Widziałem go!

Część wiernych otoczyła go kołem. Miguel nie przestawał krzyczeć.

Hernando spoglądał z ukosa na księdza w kaplicy Świętego Piotra, który przysunął się bliżej nawy i obserwował powstałe zamieszanie.

— Jego dobrotliwa twarz wychyliła się zza białej gołębiczy...! — relacjonował piskliwym głosem Miguel.

Hernando nie mógł powstrzymać uśmiechu. Zawsze go zaskakiwała ludzka łatwowierność. Stara kobieta padła na kolana i przeżegnała się.

— Tak! Widzę! Ja też to widzę!

Nowe okrzyki przytłumiły głos Miguela. Ludzie klękali i pokazywali na kopułę nad głównym ołtarzem, gdzie rzekomo Miguelowi ukazała się biała gołębicica. Ksiądz wyszedł z kaplicy i dołączył do

zbiegowiska. Z różnych stron katedry nadciągało w poszumie sutann paru innych duchownych.

— Teraz — powiedział Hernando do syna.

W dwóch krokach pokonali odległość dzielącą ich od kaplicy. Hernando zatrzymał się u wezłowania sarkofagu, w części niewidocznej dla oczu ludzi przechodzących przed kaplicą. Wiedział, że sarkofag nie jest zaplombowany, już wczoraj to zauważył. Spróbował wcisnąć ostry koniec drążka pod wieko, lecz nie dawał rady. Owinął połą ubrania drugi koniec drążka, żeby zamortyzować hałas, i uderzył weń młotkiem. Pokruszyło się trochę marmuru, ostrze weszło jednak w szparę na tyle, by móc posłużyć się drążkiem jak dźwignią. Nacisnął — ciężkie wieko sarkofagu nawet nie drgnęło. W katedrze wciąż rozlegały się podekscytowane głosy i panował harmider. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że ma już pięćdziesiąt sześć lat i jest za stary na taki wysiłek. Amin stał obok niego spokojnie z kartkami w dłoni. Hernando pomyślał, że nigdy nie podważy tej pokrywy.

— Allah jest wielki — szepnął.

Nateżył wszystkie siły, ale nic z tego nie wyszło. Amin obserwował ruchy ojca.

— Allah jest wielki — powtórzył szeptem chłopiec i naparł całym ciałem na żelazny drążek. Pchali razem.

— Ty, który obdarzasz mocą — zaintonował Hernando. — Twoja jest siła i potęga! Udziel jej nam!

Wiek uniósł się na szerokość palca.

— Wsuwaj! — powiedział do syna przez zaciśnięte zęby, z twarzą nabrzmiałą od wysiłku.

Amin, wciąż napierając na drążek, wsuwał do wnętrza sarkofagu po kilka stron, bo całość nie przeszłaby przez wąską szczelinę.

— Wytrzymam! — uspokajał go ojciec. — Ale pospiesz się!

Zostało już niewiele kartek. Wrzawa głosów ucichła i teraz słyhać było tylko Miguela, który dawał upust swojej wyobraźni.

— Ojcie! — rozległo się tuż przy kracie.

Hernando o mało nie upuścił pokrywy. Amin zastygł z ostatnimi kartkami w dłoni.

To był głos Rafaeli!

— Ojcie — usłyszeli ponownie, jeszcze bliżej. Rafaela uklękła przed wracającym do kaplicy księdzem i chwyciła go za sutanę: — Uratuj mojego męża i dzieci od zesłania! — krzyknęła. Hernando spojrział na Aminę. Ręce chłopca tak drżały, że nie mógł wsunąć ostatnich stron. — Oni są dobrymi chrześcijanami! — błagała Rafaela.

— O czym ty mówisz, niewiasto?

Ksiądz nie mógł zrobić kroku, gdyż Rafaela padła do jego stóp, żeby je ucałować.

— Na litość boską! — szlochała. — Uratuj ich!

Robiła, co mogła, by zatrzymać księdza, ale wyrwał się gwałtownie i wszedł do kaplicy. Podniosła się i zaciskając powieki, podążyła za nim.

— Co wy tu robicie?

Serce Rafaeli podskoczyło do gardła, otworzyła oczy i zobaczyła Hernando i Aminę na klęczkach przed ołtarzem u wejścia sarkofagu. Odwrócony plecami do księdza Hernando chował jedną ręką narzędzia pod ubraniem, a drugą przesuwając pod sarkofag odpryski z marmurowej pokrywy, które leżały na posadzce.

Amin w lot zorientował się, o co chodzi, i robił tak samo.

— Co to wszystko znaczy? — odezwał się groźnie ksiądz.

— Są dobrymi chrześcijanami — powtórzyła Rafaela.

Hernando podniósł się z kolan.

— Ojcie — powiedział, przesuując nogą ostatni okruch marmuru — przyszedliśmy pomodlić się do Pana Boga. Nie zasługujemy na wygnanie. My, to znaczy mój syn i ja...

— To nie moja sprawa — odparł sucho duchowny, sprawdzając, czy nic nie zniknęło z ołtarza. — Wynoście się stąd! — dodał na koniec.

Wyszli wszyscy troje. Gdy znaleźli się kilka kroków dalej, Hernando uzmysłowił sobie, że cały drży. Zacisnął mocno powieki



i odetchnął głęboko, żeby odzyskać spokój. Kiedy otworzył oczy, napotkał wzrok swojej żony.

— Dziękuję — wyszeptał. — Skąd wiedziałaś, co zamierzam zrobić?

— Miguel doszedł do wniosku, że sam nie da rady, i poprosił, żebym przysłała do katedry.

W kaplicy Świętego Piotra ksiądz nadepnął na jakiś kamyk i zaklął w duchu na brudnych morysków. W nawie bocznej, w otoczeniu duchownych i coraz większej rzeszy wiernych, z których jedni klęczeli, a drudzy wznosili ręce do góry i zegnali się raz po raz, Miguel kontynuował swoją niekończącą się opowieść, gestykulując głową, z braku wolnych rąk, by pokazać, gdzie ujrzał ognisty miecz Chrystusowy, znak zwycięstwa nad heretykami wypędzonymi z ziemi chrześcijańskiej. Kiedy zobaczył Hernanda, Rafaelę i Amina zmierzających do wyjścia, wypuścił z rąk kule i upadł w nagłym ataku słabości. Zwinięty w kłębek leżał na ziemi, nie przerywając pantomimy, a jego ciałem wstrząsały gwałtowne drgawki.

Wyszli z meczetu na Pomarańczowe Patio. Hernando pomyślał, że nawet jeśli chrześcijanie zdołają wypędzić ich z Hiszpanii, z ziem, które przez osiem wieków należały do muzułmanów, to i tak w kordobańskim meczecie przed mihrabem zostanie słowo objawione dla chwały jedyne Boga.

Zaraz za Bramą Przebaczenia Rafaela zatrzymała się, nie zważając na ludzi, jakby chciała coś powiedzieć.

— Teraz już wiesz, gdzie znajduje się księga — odezwał się pierwszy.

— W jaki sposób Mukla ją stamtąd wyciągnie?

— Wszystko w ręku Boga. — Hernando wziął ją czule pod ramię i poszli do domu. — Teraz Słowo Boże jest tam, gdzie jego miejsce. Wierzę, że kiedyś nasz syn podejmie moją pracę.

Miguel wrócił po południu.

— Przenieśli mnie do zakrystii, a kiedy oprzytomniałem — wyjaśnił, robiąc do nich porozumiewawczo oko — powiedziałem, że nic a nic nie pamiętam.

— I co? — wypytywał Hernando.

— Zachowywali się dziwnie. Zadawali mnóstwo pytań i powtórzyli wszystko, co mówiłem. Ci duchowni nie mają jednak wyobraźni. Zamienili ognisty miecz na złoty. Chciałem ich poprawić, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język. Oni i tak myślą tylko o złocie. Przy okazji napiłem się dobrego wina. Poczęstowali mnie, żebym nabrał sił i odzyskał pamięć.

— Dziękuję, Miguelu, ale... — zaczął Hernando. Zamierzał go poprosić, by następnym razem nie mówił Rafaeli, co zamierzają robić, lecz uświadomił sobie, że może nie być następnego razu. — Dziękuję — powtórzył.



Jakby Bóg chciał im to wynagrodzić, któregoś dnia wieczorem Miguel przyniósł do domu połówkę kozłatka, świeże warzywa, olej, szczyptę przypraw korzennych, zioła, sól, pieprz i biały chleb.

— Co ty...? Skąd to masz? — Hernando zajrzał z ciekawością do pękatego worka na plecach kaleki.

Zaraz otoczyły go dzieci z Rafaelą.

— No, nareszcie los postanowił się do mnie uśmiechnąć — odrzekł Miguel.

Skazani na wygnanie poszukiwali środków transportu do przewiezienia tego, co wolno im było zabrać, oraz dla kobiet, małych dzieci i starców, bo czekała ich długa droga. Tymczasem z czterech tysięcy moryskich przewoźników obsługujących do niedawna całe terytorium Hiszpanii zostało niewiele. Jedni byli już na wygnaniu, drudzy spodziewali się deportacji lada dzień i posprzedawali muły i osły, nie mogąc ich zabrać.

— Zwyczajny muł kosztuje teraz fortunę — wyjaśnił, patrząc na Rafaelę i dzieci biegnące z prowiantem do kuchni.

Żebrzący Miguel widział na własne oczy, jak mężczyźni zabiegali o wynajęcie muła do przewozu. Wiedział też, że Hernando ma szesnaście dobrych koni. Duże, silne zwierzęta uniosą większy ładunek niż osioł czy muły, pomyślał.

— Koń nie jest zwierzęciem jucznym — zaproponował Hernando.

— Trudno, przyzwyczajają się!

— Nie sądzę, mogą sprawiać kłopoty — powątpiewał morysk.

— To nie dam im jeść. Przetrzymam je o chlebie i wodzie przez kilka dni, a jak trzeba...

— Nie wiem, czy to dobry pomysł. — Hernando wyobraził sobie swoje wspaniałe wierzchowce dźwigające toboły i dwie albo trzy osoby na grzbiecie. Dokoła będzie tłum ludzi. Dużo większy niż wtedy, gdy wychodzili z Grenady po wojnie w Alpucharze. — Nie wiem — powtórzył.

— Ale ja wiem. Dobiłem już targu. Znam kogoś, kto płaci sześćdziesiąt reali za każdy dzień drogi, włącznie z powrotem. — Hernando wpatrywał się uważnie w kalekę. — Uregulowałem nasze długi z dostawcami i wynająłem woźniców. Kiedy konie wrócą z Sewilli, Rafaela będzie mogła je sprzedać... jeśli diuk wyrazi zgodę. Teraz pieniędzy starczy dla niej i dla ciebie. Nie możesz wyjechać bez grosza przy duszy. Weź z sobą tyle, ile wolno wywieźć.

Hernando nie zastanawiał się dłużej i klepnął Miguela w ramię.

— Ostatnio wciąż ci za coś dziękuję.

— A pamiętasz, jak mnie znalazłeś u stóp Voladora, koło oberży na Potro? — Hernando przytaknął. — Więc nie musisz mi za nic dziękować... ale lubię, jak to robisz — uśmiechnął się i chrząknął ze wzruszenia. Takie samo uczucie zagościło na twarzy jego pana i przyjaciela.

Niecały miesiąc po ogłoszeniu dekretu o wygnaniu andaluzyjskich morysków przyszedł nakaz opuszczenia miasta kalifów. W tak krótkim czasie niewiele dało się zrobić, by uzyskać u króla złagodzenie tej decyzji. Co gorsza, rada miejska uchwaliła, że nie będzie zabiegać u Jego Królewskiej Mości o pobłażliwość dla nowych chrześcijan z Kordoby: nakaz będzie wykonany bez wyjątków.

Hart ducha okazywany przez Rafaelę w okresie oczekiwania zniknął w wigilię daty wyznaczonej przez władze jako dzień wypędzenia. Nie próbowała już ukrywać swojego bólu przed dziećmi, więc one też poddały się rozpaczy. Hernando zaczął okłamywać maluchy: na pewno wróci ze starszym rodzeństwem, niedługo, to tylko krótka podróż, choć jeszcze przed kilkoma dniami mówił co innego. Coraz częściej wychodził z pokoju, by nie widziały w jego oczach łez takich samych jak u matki. W przerwie między wymuszonymi zabawami i opowiadaniem historyjek przez Miguela wręczył małemu Mukli woskowaną tabliczkę do pisania. Pięcioletni chłopczyk nakreślił delikatnie literę *alif*, taką samą, jaką widział u starszego brata. Boże, dlaczego? — westchnął Hernando, ścierając ją ze smutkiem.

Na koniec, przygotowując bagaż z rzeczami dozwolonymi do zabrania, Hernando wyjął z kryjówki w ścianie rękę Fatimy

i ewangelię według Barnaby, znaną w starym minarecie pałacu diuka. Schował ją do torby podróźnej, żeby później ukryć pod uprzężą któregoś z koni, tak jak postępowali z ryzami papieru sprowadzanymi z Xátivy. Zamierzał wsunąć do torby również zakazany wisiorek, ale najpierw podniósł go do ust i pocałował. Robił to wiele razy przez te wszystkie lata, teraz jednak ścisnął go mocno w dłoni, jakby obawiał się z nim rozstać.



W nocy Hernando i Rafaela długo leżeli w łóżku obok siebie, nic nie mówiąc, jakby pragnęli zatrzymać w pamięci zapachy, trzask drewna, szum wody w fontannie na patio, sporadyczne okrzyki z ulicy mącące nocną ciszę i równy oddech dzieci, który słyszeli nawet na odległość.

Rafaela przytuliła się do męża całym ciałem. Nie chciała nawet myśleć, że to ich ostatnia wspólna noc, a potem może już zawsze będzie spać sama. Słowa wypłynęły z jej ust niemal bez zastanowienia.

— Weź mnie — poprosiła niespodziewanie.

— Ale... — Hernando pogłaskał ją po włosach.

— Ostatni raz — szepnęła.

Hernando odwrócił się do żony, która uniosła się na łokciach i wstała. Patrzył ze zdziwieniem, że zdejmuje koszulę i pokazuje mu swoje piersi. Potem znowu kładzie się do łóżka, naga, bez żadnych oznak wstydu.

— Jestem twoja. Żaden inny mężczyzna nie zobaczy mnie takiej, jaką ty teraz widzisz.

Hernando pocałował ją w usta, najpierw delikatnie, potem z namiętnością, której od dawna nie czuł. Rafaela przyciągnęła go do siebie, jakby chciała połączyć się z nim na zawsze.

Kochali się, a potem leżeli objęci aż do świtu. Żadne z nich nie mogło zasnąć.



Oniemieli z przerażenia, gdy dobiegły ich wrzaski z ulicy, a zaraz potem walenie do drzwi. Znajdowali się wszyscy razem

w kuchni, gdzie przed chwilą zjedli śniadanie; w kącie czekały gotowe do drogi bagaże. Hernando wziął niewiele rzeczy na tak długą podróż, pomyślała Rafaela, spoglądając po raz kolejny na mały kuferek i kilka tobołków. Bała się, że znowu zacznie płakać. Ale zanim skoncentrowała swoją uwagę na rodzinie, Amin i Lajla rzucili się ku niej, objęli ją rękami w pasie i mocno przywarli, gotowi nie pozwolić się oderwać od matki.

Urywane słowa zmieszały się z łkaniem. Walenie do drzwi odezwało się z nową siłą.

— Otwórzcie z rozkazu króla!

Tylko mały Mukla, wpatrzony w ojca niebieskimi oczami, zachował niezwykłą pogodę ducha; dwoje najmniejszych płakało, Rafaela też w końcu się załamała i szlochała, przytulając dzieci.

— Musimy już iść — powiedział Hernando i chrząknął, nie mogąc wytrzymać przenikliwego spojrzenia Mukli. Nikt go nie posłuchał. — Chodźmy — powtórzył, usiłując oderwać starsze dzieci od matki.

Udało mu się to dopiero przy pomocy Rafaeli. Zarzucił na plecy kuferek i jeden z tobołków, a Lajla i Amin wzięły pozostałe. Wąska uliczka przed domem przedstawiała przygnębiający widok: żołnierze kordobańskiej milicji podzielili się parafiami i pod dowództwem ławników przeszukiwali wszystkie siedziby morysków. Gil Ulloa stał z żołnierzami przed domem, a nieco dalej widać było wygnañców stłoczonych na ulicy, obładowanych bagażami. Wszyscy czekali na Hernanda z dziećmi, by przejść do kolejnego z zaznaczonych na liście domów.

— Hernando Ruiz, nowy chrześcijanin z Juviles z synem Juanem i córką Rosą, dziećmi powyżej lat sześciu!

Słowa te wyszły z ust notariusza towarzyszącemu Gilowi i żołnierzom. Trzymał w ręku listę mieszkańców sporządzoną przez proboszcza parafii Najświętszej Maryi Panny, który też przy tym był.

Hernando przytaknął, oglądając się, by sprawdzić, czy dzieci nie rzucają się znowu w objęcia matki, która zatrzymała się w progu domu, lecz Amin i Lajla nie byli w stanie oderwać oczu od ko-

lumny zgnębionych i upokorzonych wygnańców stojących w milczeniu za żołnierzami.

— Dołączyć do Maurów! — rozkazał Gil.

Hernando odwrócił się do Rafaeli. Słowa były zbędne. Wszystko powiedzieli sobie tej ostatniej nocy. Uścisnął trójkę małuchów, które zostawały z matką. Co z nimi będzie? — pomyślał ze ściśniętym sercem, obsypując je pocałunkami.

— Szybciej! — złościł się ławnik.

Hernando, z zaczerwienionymi oczami, mocno zacisnął wargi i zamierzał wykonać rozkaz, choć tak trudno było pożegnać się z najbliższą rodziną. Niespodziewanie Rafaela podbiegła do niego, zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała w usta. Kufer i tobołek spadły mu z pleców na ziemię, kiedy wyciągnął ręce, żeby ją uściskać. Ich długi, gorący pocałunek rozwścieczył Gila. Tym bardziej że ludzie widzieli. Żołnierze obserwowali tę scenę z zażenowaniem i współczuciem dla swojego dowódcy: jego siostra, chrześcijanka, całuje namiętnie Maura, i to w miejscu publicznym!

Gil Ulloa dopadł małżonków i usiłował ich rozdzielić, ale nie zdołał. Kilku żołnierzy postanowiło przyjść mu z pomocą i zaczęli okładać Hernanda pięściami. Chciał się odwrócić, lecz osiągnął tylko tyle, że spadło na nich jeszcze więcej ciosów. Rafaela przewróciła się z jękiem na ziemię, Amin rzucił się bronić ojca i kopnął jednego z żołnierzy.

Ostatni cios wymierzył Gil Ulloa, kiedy jego ludzie obezwładnili i przyprowadzili do niego Hernanda z rozbitym nosem.

— Ty parszywy psie! — wycedził ławnik przez zęby i uderzył go pięścią w zakrwawioną twarz. Amin też krwawił z rozciętej wargi.

Rafaela podniosła się, gotowa bronić męża i syna, lecz Gil ją odepchnął.

— Przeszukajcie ten dom w imieniu króla! — rozkazał notariuszowi.

Oszołomiony Hernando chciał zaprotestować, lecz żołnierze brutalnie zaciągnęli go do grupy morysków, którzy byli świadkami tej sceny. Amina i Lajlę popchnęli za ojcem. Gil wydał rozkaz

wymarszu i kolumna ruszyła. Hernando z dziećmi szybko zbierali porozrzucane tobołki, podczas gdy moryskowie otoczeni żołnierzami defilowali przed domem.

— O Boże! Nie! — krzyknęła Rafaela, patrząc za odchodzącym mężem. — Hernando, Kocham cię!

Chciał się odwrócić, żeby jej odpowiedzieć, lecz tłum wchłonął go razem z dziećmi i pociągnął dalej.

Późnym przedpołudniem około dziesięciu tysięcy kordobańskich morysków zgromadziło się za miastem na Polu Prawdy, po drugiej stronie rzymskiego mostu, w otoczeniu kordonów milicji. Miguel też tam był, z mułem i wierzchowcami obciążonymi tobołami, żeby odebrać zapłatę za wynajem koni i wszystkiego dopilnować na miejscu; miał wrócić z Sewilli ze zwierzętami i pieniędzmi.



„Czemu nie?” — Fatima, sama w salonie, pozwoliła sobie rzucić głośno w powietrze to pytanie. — „Czemu nie?” — powtórzyła, czując miły dreszcz. Minęło już sporo czasu, odkąd Efraim opuścił pałac po przekazaniu jej ostatnich wieści pochodzących z Kordoby. To ona namawiała go usilnie, kiedy pierwsi walency moryskowie zaczęli przybywać do Berberii, by dowiedzieć się, co czeka Ibn Hamida. Żyd miał rozliczne kontakty, szybko i skutecznie poruszał się wśród handlowych sieci ignorujących religijne różnice.

Efraim wrócił niedawno, przynosząc wiadomości, po które pojechał: ogłoszono nakaz wypędzenia i Hernando miał wkrótce zostać deportowany z sewilskiego portu. Morysk nic nie mógł zrobić, by tego uniknąć. Jak dowiedział się Żyd, Hernando Ruiz narobił sobie wielu wrogów wśród miejskich notabli, a nawet w Grenadzie, gdzie proces o nadanie szlachectwa nie przyniósł spodziewanych rezultatów. Jego chrześcijańska żona miała pozostać w Hiszpanii z dziećmi poniżej sześciu lat.

Fatimie wpadł do głowy pewien pomysł, kiedy Efraim wyszedł z salonu. Potoczyła wzrokiem po tym przestronnym pomieszczeniu.



Intarsjowane meble, poduszki i poduszcзки, kolumny, marmurowa posadzka i pokrywające ją dywany, lampy... wszystko to nabrało nowego znaczenia, które skłaniało ją do podjęcia decyzji. Już od dawna dusiła się w tym zbyt kownym otoczeniu: Abdul i Szamir zostali pojmani przez hiszpańską flotę, która zastawiła na nich pułapkę, kiedy usiłowali dostać się na statek handlowy wystawiony jako przynęta. Jak mogli tak dać się wywieść w pole? Może byli zbyt ufni... Majtkowie z galeoty, która zdołała się wymknąć, przekazywali mętne i sprzeczne wieści: jedni mówili, że ich dowódcy zostali zabici, inni, że ich uwięziono, a któryś upierał się, iż widział, jak skakali do morza. Później ktoś przyniósł wiadomość, że zostali skazani na galery, ale nikomu nie udało się tego stwierdzić z całą pewnością. Fatima zapłakała nad losem swojego syna, choć w głębi duszy miała świadomość, iż ich stosunki się popsęły po tym, co wydarzyło się w Todze z Ibn Hamidem.

Wdowa po Szamirze i jego synowie natychmiast rzucili się na olbrzymi majątek, który ten pozostawił, i sędziowie bez cienia wątpliwości podjęli korzystną dla nich decyzję.

Powinowactwo Fatimy z rodziną Szamira było bardzo dalekie, wszak była tylko żoną jego chrześcijańskiego przyrodniego brata i teściowie Szamira wyznaczili jej termin na opuszczenie pałacu. Co w tej sytuacji mogła zrobić? Żyć z miłosierdzia żony Abdula albo u którejś ze swoich córek?

Ale istniała inna możliwość. Rozmawiała o tym z Efraímem; on sam jej to zaproponował, kiedy tylko zapoznał się z sytuacją. Bez pomocy Efraína rodzina Szamira nie orientowała się w inwestycjach poczynionych w całym rejonie Morza Śródziemnego, co Fatima mogła obrócić na swoją korzyść. Żyd też nie chciał stracić dochodów i kontroli nad tymi interesami, a z pewnością rodzina Szamira nie pozwoliłaby mu ich w dalszym ciągu prowadzić. Fatima była więc wciąż bogata, ale nie mogła zostać w Tetuanie, gdzie musiałyby uzasadnić, skąd bierze pieniądze.

Zaczęła przechadzać się po salonie, muskając bezwiednie meble opuszkami palców. Bez Abdula i Szamira była sama, nareszcie całkowicie wolna. Nic już jej nie trzymywało w Tetuanie. Czemu

by nie wyjechać stąd na zawsze? Ibn Hamid miał być wypędzony z Hiszpanii, a jego głupia chrześcijańska żona będzie musiała tam zostać. Kto, jeśli nie sam Bóg, przekazywał jej tak jasny komunikat!

Wyszła na dziedziniec i przyglądała się, jak z fontanny wydobywa się woda; pomyślała, że wkrótce już jej nie ujrzy. Konstantynopol! Mogłaby tam zamieszkać. W tej chwili Fatima pozwoliła sobie myśleć o Ibn Hamidzie, czego przez ostatnie lata starała się unikać: musiał mieć teraz jakieś pięćdziesiąt sześć lat, był o rok od niej starszy. Ciekawe, czy bardzo się zmienił? Jak się z nim obszedł czas? Nagle wszystkie wątpliwości się rozwiały. Tak! Musi się z nim zobaczyć! Przeznaczenie, które tak okrutnie ich rozdzieliło, teraz dawało im możliwość ponownego spotkania. A tej szansy Fatima, kobieta, która cierpiała i zabijała, kochała i nienawidziła, nie zamierzała zaprzepaścić.

— Wezwijcie Efraína! — zdecydowała się w końcu, zwracając się do niewolników.

Żyd powiedział jej, że moryskowie z Kordoby zostaną zgromadzeni w porcie w Sewilli, gdzie będą załadowani na statki. Musiała się tam dostać, zanim Hernando znajdzie się na pokładzie jakiejś łodzi, która wysadzi go w takim miejscu, że wpadnie w ręce Berberów. Słyszała o rzeziach morysków deportowanych z królestwa Walencji. W Tetuanie też nie byli dobrze przyjmowani; rodowici mieszkańcy uważali ich za chrześcijan, którzy przybyli do Berberii przymusowo, nie z własnej woli. Wielu zginęło z rąk korsarzy. Musiała dostać się do Sewilli, zanim Ibn Hamid opuści port! Potrzebny był jej statek, który popłynie potem do Konstantynopola. Potrzebne jej były dokumenty, żeby poruszać się po hiszpańskim mieście, kiedy będzie go szukać. Ale przedtem musiała pozatapiać swoje sprawy. Musiała kupić przychylność wielu osób. Efraín miał się tym wszystkim zająć. Zawsze to robił. Zawsze potrafił zdobyć to, czego pragnął, bez względu na ilość złota, jaką to musiało kosztować.

— Gdzie jest Efraín?! — wrzasnęła.



Rafaeli pozwolono pozostać w domu do czasu, aż ławnik Gil Ulloa wróci z Sewilli i coś postanowi o jej losie. Przez cały dzień przyglądała się, jak pisarz i woźny sądowy dokonywali szczegółowej inwentaryzacji wszystkich przedmiotów i sprzętów, które pozostawały w domu.

— Dekret... — Zawahała się Rafaela w chwili, kiedy pisarz zaczął grzebać w kufrze, gdzie trzymała swoje rzeczy. — Dekret ustala, że tylko mienie nieruchome przechodzi na własność Korony. Pozostałe rzeczy są moje.

— Dekret — odpowiedział jej cierpko mężczyzna, podczas gdy woźny lubieżnie oglądał pod światło białą haftowaną halkę — dawał Maurom możliwość zabrania z sobą swojej własności. Jeżeli twój mąż tego nie zrobił...

— Te rzeczy są moje! — zaprotestowała.

— Podobno nie wniosłaś do tego małżeństwa posagu, czyż nie tak? — odparł pisarz, nie patrząc na Rafaelę i zapisując halkę w swoich papierach. Woźny odłożył koszulkę na łóżko i zamierzał wziąć następną sztukę bielizny. — Nie posiadasz własnego mienia — dodał. — Rada albo sędzia będą musieli zdecydować, do kogo to wszystko należy.

— To moje rzeczy — protestowała Rafaela coraz słabszym głosem. Czowała się wyczerpana, to wszystko ją przerastało.

Woźny już trzymał w dłoniach delikatny stanik i wyciągał rozłożone ramiona w stronę Rafaeli, jakby na odległość przymierzał go do jej piersi.

Kobieta wybiegła z sypialni. Śmiech woźnego biegł za nią w dół po schodach aż na dziedziniec, gdzie znajdowały się dzieci.

Jak Nasz Pan może na to wszystko pozwalać? — myślała Rafaela przez całą noc, leżąc z otwartymi oczami wbitymi w sufit, podczas gdy trójka dzieci spała pokotem przy matce. Żadne z nich nie chciało spać w swoim łóżku. Rafaela też nie chciała być sama. Mijały godziny, głaskała dzieci po plecach i głowach, zanurzając palce w ich włosach. Poprzedniego popołudnia usłyszała od żołnierza, który zjawił się w domu, bo miał sprawę do woźnego, że kolumna deportowanych idzie już w stronę Sewilli żegnana wy-

zwiskami i wrzaskami mieszkańców Kordoby. Wyobraziła sobie Hernanda, Amina i Lajłę, jak obładowani idą między nimi. Może dzieciom udało się odbywać podróż na mule, z Miguelem; wszystkie konie wynajęli innym moryskom. Jej dzieci! Jej mąż! Co się z nimi stanie? Dotąd jeszcze czuła na ustach ostatni pocałunek Hernanda, pełen namiętności. Nie zwracając uwagi na swojego brata, na żołnierzy i na całe tuziny przyglądających się morysków, Rafaela tuliła się wtedy do męża, dygotała bolesną miłością jak młoda dziewczyna, aż Gil podszedł ich rozdzielić. Gdzie była litość, która przepępiała usta kapłanów i nabożnych chrześcijan? Gdzie wybaczenie i współczucie, które nieustannie głosili?

Mała Salma, leżąc w poprzek na jej nogach, poruszyła się we śnie i o mało nie spadła na podłogę. Rafaela usiadła, przyciągnęła ją do łona i ułożyła między jej braćmi.

Jaka przyszłość czeka to dziecko? — pomyślała Rafaela. Klasztor, którego ona sama zdołała uniknąć? Służba u jakiejś zamożnej rodziny? Lupanar? A Mukła i Musa? Przypomniała sobie lubieżne spojrzenie woźnego, kiedy dotykał jej bielizny; właśnie takiego traktowania mogła się spodziewać od ludzi. Była tylko opuszczoną żoną moryska, a jej dzieci — potomstwem heretyka. Cała Kordoba o tym wiedziała!

Przecież ona, Rafaela Ulloa, postanowiła pozostać mimo wszystko na ziemiach chrześcijańskich, przywiązana do swojej wiary i przekonań. Jednakże nie minął nawet jeden dzień, a jej świat zaczynał się walić. Gdzie jest reszta jej rodziny? Odbiorą jej konie, jak usiłowali to zrobić z odzieżą i meblami. Z czego będą wtedy żyli? Nie mogła liczyć na pomoc swoich braci; splamiła honor rodziny.

Czy może liczyć na pomoc innych chrześcijan?

Wybuchnęła płaczem i przycisnęła mocno maleństwa. Mukła otworzył swoje niebieskie oczy i zaspany spojrzał na nią z czułością.

— Śpij, moje dziecko — szepnęła. Rozluźniła uścisk i zaczęła łagodnie go kołysać.

Chłopczyk znów miarowo oddychał i Rafaela, jak miała to

w zwyczaju, usiłowała poszukać pociechy w modlitwie, ale nie mogła znaleźć właściwych słów. Módlcie się do Dziewicy Maryi, przypomniała sobie słowa Hernanda. On wierzył w Maryję. Słyszała, jak opowiadał dzieciom o Najświętszej Pani, jak mówił z entuzjazmem, że Maryja jest elementem łączącym dwie śmiertelnie z sobą zwaśnione religie. Jej Niepokalane Poczęcie pozostawało od wieków niekwestionowane, zarówno dla chrześcijan, jak i muzułmanów.

— Maryjo — wyszeptła w ciemności Rafaela — błogosławionaś ty...

I wtedy, podczas gdy szeptła modlitwę, jej serce znalazło drogę: była to nagła, ale nieodwołalna decyzja. I po raz pierwszy od wielu dni na jej ustach pojawił się uśmiech, a oczy zamknął sen.

Następnego dnia o świcie Rafaela, z Salmą na rękę oraz Musą i Muklą u boku, przechodziła przez rzymski most między ludźmi udającymi się do pracy na polu: za jedyny bagaż miała koszyk z żywnością i pieniądze, które wręczył jej Miguel; zdołała je ukryć przed chciwym pisarzem.

— Mamo, dokąd idziemy? — spytał Mukła, kiedy szli już od dłuższego czasu.

— Idziemy szukać twojego ojca — odrzekła, wbijając spojrzenie w otwartą przed nimi przestrzeń. Czekala ich długa droga.

Maryja ponownie złączy jej rodzinę, podobnie jak Hernando pragnął uczynić z obiema religiami, postanowiła Rafaela.



Sewilski Arenal był rozległym terenem położonym między Gwadalkiwirem i wspaniałymi murami zamykającymi miasto, które jednym swym krańcem dochodziły do Złotej Wieży na nabrzeżu. W tej strefie wykonywano wszelkie prace konieczne do utrzymania ważnego sewilskiego portu rzeczno-kanalowego stanowiącego obowiązkowy cel statków przybywających z Indii Zachodnich, które wiozły do królestwa Kastylji bogactwa zdobyte przez konkwistadorów. Uszczelniacze, ładowni cieśle, dokerzy, przewoźnicy, żołnierze... zazwyczaj pracowały tam setki ludzi przy obsłudze portowego

ruchu oraz przy naprawach i utrzymaniu statków, ale w lutym 1610 roku sewilski Arenal, silnie strzeżony przez żołnierzy na krańcu, który nie był zamknięty, i przy bramach do miasta, zamienił się w więzienie dla tysięcy rodzin morysków obławowanych tobołami, oczekujących na deportację do Berberii. Były wśród nich rodziny zamożne, jako że ani Kordoba, ani Sewilla nie robiły wyjątków, wykonując postanowienie dekretu królewskiego. Ci wytwornie ubrani moryskowie szukali dla siebie miejsca z dala od swoich ubogich braci w wierze, a tych było tysiące. Setki dzieci poniżej szóstego roku życia pozostały w rękach Kościoła zaślepionego wolą nawracania za wszelką cenę, choć nie udało się tego osiągnąć z ich rodzicami. Wśród tłumu, zbitego i potulnego, pogodzonego ze swoim losem, woźni sądowi i żołnierze szukali złota i monet, które rzekomo ukrywali deportowani. Rewidowano mężczyzn, kobiety i dzieci, starców i chorych; przetrząsano ich odzież i mienie, a nawet rozplatano sznury, żeby sprawdzić, czy między włóknami nie ma naszyjników lub innych klejnotów.

Galery, karabele, galeony, karaki i wszelkiego rodzaju statki o niewielkim zanurzeniu czekały przycumowane na rzece, żeby przyjąć na swoje pokłady niemal dwadzieścia tysięcy morysków, którzy mieli wyjechać z portu w Sewilli. Niektóre z nich należały do królewskiej floty, ale większość stanowiły statki specjalnie wynajęte na tę podróż bez powrotu. W odróżnieniu od tego, co wydarzyło się z moryskami walenckimi, Andaluzyjczycy sami ponosili koszty podróży i armatorzy zwąchali w tym niezły interes, każąc sobie płacić za ten makabryczny transport dwukrotnie więcej niż zazwyczaj.

Na jednym z tych statków — okrągłej katalońskiej karabeli zakotwiczonej w pewnej odległości od brzegu rzeki — opierając się o burłę, stała Fatima i przyglądała się tłumowi stłoczonemu na Arenalu. Jak odnaleźć Hernanda wśród tych wszystkich ludzi? Dostała wiadomość, że moryskowie z Kordoby już przybyli i zmieszali się z tymi z Sewilli; poprzedniego wieczoru widziała, jak niekończąca się kolumna okrążała mury, żeby dostać się na Arenal. Od świtu barki przewożyły z wybrzeża na statki ludzi, towary

i bagaże. Fatima wpatrywała się w zmienione twarze płynących w nich morysków. Kobiet, którym odebrano dzieci, mężczyzn, zostawiających za sobą nadzieję i lata wysiłków, żeby utrzymać dom i rodzinę; chorych starców, którym trzeba było pomagać zejść do łodzi i wspiać się na statek. Jednakże niektórzy wyglądali na szczęśliwych, jakby osiągnęli wyzwolenie. Nie rozpoznała swojego męża na żadnej z barek, lecz było jeszcze za wcześnie, by kordobańczycy wsiadali na statki. Podczas odbytej podróży pozwalala swobodnie błądzić swoim myślom. Wyobrażała sobie, że Ibn Hamid biegnie ku niej, bierze ją w ramiona, zapewnia, że nigdy jej nie zapomni i przysięga dozągonną miłość. Potem ganiła samą siebie za te mrzonki. Minęło ponad trzydzieści lat... Nie była już młoda, choć wiedziała, że wciąż jest piękna. Czy nie ma prawa do szczęścia? Fatima pozwalała omamić się wizji dającej tyle nadziei: ona i Ibn Hamid razem w Konstantynopolu aż do końca swoich dni... Czy to nie szaleństwo? Być może, ale nigdy szaleństwo nie wydało jej się tak cudowne. Teraz, kiedy dotarła do tego, co było jej przeznaczone, opanowała ją nerwowość. Musiała znaleźć Hernanda wśród tłumu ludzi pozbawionych nadziei, mężczyzn i kobiet zrujnowanych, wydanych na niepewny los.

— Niech pilot każe przygotować łódź, żebym mogła popłynąć na ląd — rozkazała jednemu z trzech Nubijczyków, których zdecydowała się kupić za pośrednictwem Efraína. Jeżeli poprzedni, wynajęci przez Szamira do jej pilnowania, wypełniali swoje obowiązki aż za dobrze, to ci zrobią to samo: będą jej strzec, a co więcej: słuchać jej rozkazów. — Idź! — krzyknęła, widząc, że niewolnik się waha. — Wy popłyniecie ze mną. Nie — dodała szybko, myśląc o zdumieniu, jakie mogli wywołać trzej ogromni Murzyni. — Niech pilot wyznaczy czterech uzbrojonych marynarzy, którzy ze mną popłyną.

Będzie musiała zejść ze statku. Mogła znaleźć Ibn Hamida, tylko szukając wśród ludzi. Miała potrzebne dokumenty i zezwolenia. Efraín wywiązał się z zadania znakomicie jak zawsze, uśmiechnęła się do swoich myśli. Pani z Tetuanu, zapisano w papierach, armatorka karabeli mająca zezwolenie na rejs z docelowym

portem w Berberii. Nic jej nie grozi na Arenalu, pomyślała Fatima, ale na wszelki wypadek... Pomacała sakiewkę wypełnioną złotymi monetami, którą ukryła między ubraniem; mogła za to przekupić wszystkich chrześcijańskich żołnierzy, którzy przebywali w okolicy.

Zeszła zwinnie do łodzi i usiadła na jednej z ławek razem ze służącą i czterema katalońskimi marynarzami, których pilot wyznaczył do jej dyspozycji.

Z czterema marynarzami torującymi jej przejście wśród tłumu Fatima rozpoczęła swoje poszukiwania, wpatrując się wielkimi czarnymi oczami w każdego, kto przyglądał się jej z zaciekawieniem. Jak bardzo zmienił się jej mąż?



Rafaela usiadła, wyczerpana i przybita, na jakimś pniu na skraju drogi i postawiła na ziemi Salmę i Musę, którzy wciąż popłakiwali, choć większą część podróży odbyli na rękach matki. Tylko pięcioletni Mukła w milczeniu znosił trudy, idąc obok niej, jakby rzeczywiście był świadom znaczenia tej podróży. Ale Rafaela opadła z sił. Podążała od wielu dni za kordobańskimi wygnańcami, którzy wyprzedzali ich tylko o pół dnia marszu, ale nie mogła ich dogonić. Pół dnia marszu! Dwoje najmłodszych dzieci nie było w stanie przejść na własnych nogach ani ćwierci mili więcej, poza tym ich powolny krok doprowadzał Rafaelę do rozpacz, chociaż wiedziała, że pochód kordobańczyków nie posuwa się dużo szybciej niż oni. Wcześniej wyrzuciła kosz z żywnością, wzięła dwójkę dzieci na ręce i przyspieszyła kroku. Niestety, teraz była u kresu sił. Bolały ją nogi i ramiona, miała poranione stopy i na plecach czuła nieustannie ostre skurcze mięśni, jakby lada moment miały popękać. A malcy ciągle płakali!

Rafaela siedziała wśród ciszy opustoszałych pól i płaczu dzieci, spoglądając ku horyzontowi, gdzie musiała być Sewilla. Czas płynął.

— Chodźmy dalej, mamo. Wstań — poprosił Mukła, kiedy zobaczył, że podnosi dłonie do twarzy.

Odmówiła. Nie miała siły!



— Podnieś się — nalegał malec, ciągnąc ją za rękę.

Rafaela spróbowała, ale kiedy stanęła na nogach, zrobiło jej się słabo i musiała znów usiąść.

— Odpocznijmy chwilkę, synku. — Starła się go uspokoić. — Zaraz pójdziemy dalej.

Przyjrzała mu się: tylko jego niebieskie oczy błyszczały czystym blaskiem, wyczekująco; cała reszta, włosy, ubranie, podarte już buciki, wyglądała tak nędznie, jak u któregośkolwiek z chłopców biegających po ulicach Kordoby z prośbą o jałmużnę. A jednak te oczy... czyżby nadzieja, jaką Hernando pokładał w tym dziecku, była uzasadniona?

— Już odpoczywaliśmy wiele razy — poskarżył się Mukła.

— Wiem. — Rafaela otworzyła ramiona, żeby jej syn mógł się w nich schronić. — Wiem o tym, mój skarbie — zaszlochała mu do ucha, kiedy go objęła.

Wypoczynek nie pomógł jej nabrać siły. Zimowy chłód wślizgnął się w ciało i mięśnie, które zamiast się rozluźnić, kurczyły się w bolesnych ukłuciach i w końcu całkiem zeszywniały. Młodsze dzieci bawiły się beztrąsko w trawie. Mukła czuwał nad nimi, nie spuszczać jednocześnie oczu z pleców matki, gotowy podjąć wędrowkę, kiedy tylko zobaczy, jak podnosi się z pnia, na którym ciągle siedziała.

Nie uda się nam, zaszlochała Rafaela. Łzy płynęły swobodnie po jej policzkach, zakłócając bezruch ciała. Hernando i dzieci wsiadą na jakiś statek płynący do Berberii i stracę ich na zawsze.

Jej udreka była silniejsza od fizycznego bólu i szloch zamienił się w konwulsje. Co się z nimi stanie? Zaczynała odczuwać straszliwe zawroty głowy, gdy nagle w oddali dała się słyszeć głucha wrzawa. Mukła pojawił się u jej boku, jakby wyszedł znikąd, ze wzrokiem skierowanym na drogę.

— Pomogą nam, mamó — pocieszał ją synek, dotykając jej dłoni.

W oddali ukazała się długa kolumna ludzi i koni. Byli to moryskowie z Castro del Río, Villafranca, Cañete i wielu innych miejscowości, którzy też kierowali się w stronę Sewilli. Rafaela

wytarła łzy, przemogła ból i podniosła się. Ukryła się z dziećmi o kilka kroków od drogi. Kiedy kolumna przechodziła obok nich, upewniła się, że nie przygląda się jej żaden żołnierz, schwyciła dzieci i zmieszała się z tłumem. Kilku morysków spojrzało na nich ze zdziwieniem, ale kogo obchodziło, że jakaś kobieta z dziećmi przyłącza się do kolumny. Jakie to ma znaczenie, skoro i tak wszyscy udawali się na wygnanie? Nie zastanawiała się dłużej: wyjęła sakiewkę z pieniędzmi i zapłaciła szczerze jednemu z poganiaczy, żeby pozwolił Salmie i Musie wgramolić się na muła obok stosu pakunków. Dotrą do Sewilli na czas! Już sama ta myśl dodała jej sił do marszu. Mukla szedł obok niej uśmiechnięty, trzymając ją za rękę.



Fatima z trudem pokonała odruch wstrętu, gdy poczuła smród bijący od tysięcy osób stłoczonych w najgorszych warunkach. Krzyki, dym z ognisk i smaženiny, chlupot błota pod stopami, bieganina dzieciaków, które wpadały na nią co chwila, głośne szloch-y w jednych grupach, wrzawa i śpiewy w innych, popychanie i kuksańce, na jakie była narażona pomimo eskorty marynarzy, chodzenie wte i wewte, to wszystko okazało się ponad jej siły. Widocznie za dużo czasu spędziła w luksusowym pałacu, odizolowana od ludzi w złotej klatce, bo źle znosiła taką sytuację, a poza tym nie lubiła czuć się spocona. Musi zapanować nad niecierpliwością i nerwami, bo inaczej stanie przed Ibn Hamidem brudna i obszarpana, a nie chciała, by taką ją zobaczył po tylu latach.

Zapytała żołnierzy o Hernanda; popatrzyli na nią jak na idiotkę i wybuchnęli śmiechem.

— Moryskowie nie mają nazwisk. Są gorsi niż psy! — odburknął jeden z nich.

Znalazła pustą ławę przy murze i usiadła.

— Poszukajcie mi człowieka — zwróciła do trzech marynarzy — który nazywa się Hernando Ruiz. Pochodzi z Juviles, to taka miejscowość w Alpuharze. Powinien być w grupie ludzi z Kordoby. Ma pięćdziesiąt sześć lat i niebieskie oczy. — Cudowne

niebieskie oczy, rozmarzyła się w skrytości ducha. — Towarzyszą mu chłopiec i dziewczynka. Ja tu zaczekam. Szczodrze was wynagrodzę, jak go przyprowadzicie. Ciebie też — dodała dla uspokojenia marynarza, któremu kazała zostać na wszelki wypadek.

Mężczyźni rozeszli się w różnych kierunkach.



Podczas gdy w porcie Sewilli katalońscy marynarze chodzili między moryskami, rozglądali się uważnie na boki, głośno wypytawali o Hernanda, rozdając kuksańce ludziom, którzy ich nie słuchali, Rafaela usiłowała dostosować swój krok do powolnego marszu kolumny deportowanych. Bóle ustąpiły w obliczu nadziei, ale nikomu oprócz niej się nie spieszyło. Ludzie ciągnęli powoli, z opuszczonymi głowami, w milczeniu. Ruszcie się! — miała ochotę krzyknąć. Szybciej! Mały Mukła uczepiony jej dłoni podniósł głowę, jakby czytał w jej myślach. Rafaela ścisnęła go za rękę, drugą pogłaskała dwójkę maluchów, którzy przysypiali, trzymając się juków mulicy.



— Człowiek, którego pani szuka, jest tam — powiedział marynarz, pokazując na Złotą Wieżę — przy koniach.

Fatima podniosła się z ławy.

— Jesteś pewny?

— Tak. Rozmawiałem z nim. Powiedział mi, że się nazywa Hernando Ruiz z Juviles.

Kobieta poczuła przebiegający po ciele dreszcz.

— Rozmawiałeś z nim...? — Jej głos drżał — Powiedziałeś, że go szukam?

Marynarz się zawahał. Ktoś z Kordoby pokazał mu stojącego przy koniach mężczyznę, który był odwrócony plecami, marynarz złapał moryska za ramię i obrócił gwałtownie, po czym spytał, jak ma na imię, a uzyskawszy odpowiedź, natychmiast wrócił po obiecaną nagrodę.

— Nie rozmawiałem — odparł.

— Zaprowadź mnie do niego — rozkazała Fatima.

Pokazał go z daleka: to ten mężczyzna odwrócony plecami, który rozmawia z kaleką opartym na kulach. Między nimi przelewały się fale ludzi obładowanych tobołami. Fatima zadrżała i przystanąła na chwilę. Czekwała, aż on się odwróci i spojrzy na nią, nie miała odwagi zrobić kroku. Marynarz stanął przy niej. Co jej się stało? Ponownie pokazał na moryska, żywo gestykulując. Miguel, zwrócony do nich twarzą, rozpoznał mężczyznę, który przed chwilą zagadnął Hernanda, i rzekł, akcentując swoje słowa ruchem głowy.

— Zdaje się, że ktoś was szuka, panie.

Hernando się odwrócił. Uczynił to powoli, jakby przeczuwał coś niespodziewanego. Zobaczył mężczyznę stojącego kilka kroków dalej. Towarzyszyła mu kobieta... Nie zdołał dostrzec jej twarzy, gdyż w tym momencie zasłonił mu ją ktoś z przechodzących. Po chwili ujrzał czarne oczy wpatrzone w niego. Zabrakło mu tchu... Fatima! Ich spojrzenia skrzyżowały się. Rozpętała się w nim burza uczuć, nie wiedział, jak zareagować. Fatima!



To mały Mukła musiał powstrzymać matkę, pociągając ją za rękę, kiedy przyspieszyła kroku na widok murów Sewilli. Moryskowie zwolnili jeszcze bardziej swój powolny marsz! Zewsząd słyhać było westchnienia. Przerażliwy szloch kobiecy wzniosł się ponad stukot końskich kopyt i szurgot tysięcy stóp. Idący obok nich starzec pokręcił z niedowierzaniem głową i cmoknął językiem, jakby nie miał więcej siły na skargę i okazanie bólu.

— Nie zatrzymywać się! — wrzasnęła jakiś żołnierz.

— Szybciej! — ponaglał drugi.

— Wio, leniwe bestie! — upokarzał ich jeszcze inny.

Żołnierze powitali wybuchami śmiechu ten dowcip. Rafaela spojrziała na syna. Rób to, co inni! — nakazywała bez słów — nie możemy teraz dać się odkryć. Zobaczysz, że się uda! — pocieszył ją w milczeniu nieśmiałym uśmiechem, który zaraz zniknął z jego

ust. Rafaela postanowiła nie poddać się rozpaczliwej bijącej od morysków. Puściła dłoń Mukli i czule potrząsnęła ramieniem Musy.

— Obudź się, malutki — powiedziała, zanim zorientowała się, że mulnik patrzy na nią zdziwiony.

Zawahała się, ale szybko potrząsnęła Salmą.

— Jesteśmy na miejscu! — szepnęła do ucha dziewczynki, kryjąc swój niepokój przed wzrokiem mulnika.

Mała wybąkała coś niezrozumiale i otworzyła oczy tylko po to, by zaraz je znowu zamknąć; padała ze zmęczenia. Rafaela zdjęła ją z muła, wzięła na ręce i przytuliła do piersi.

— Ojciec na nas czeka! — szepnęła jeszcze ciszej, kryjąc usta w splecione włosach dziewczynki.



Fatima pierwsza otrząsnęła się z wrażenia: zamknęła oczy i zacisnęła wargi. Nareszcie! — zdawała się mówić Hernandowi. Zbliżała się do niego bardzo powoli, a jej czarne oczy napełniały się łzami.

Hernando nie mógł oderwać od niej wzroku. Jej uroda nie zwiędła nawet po trzydziestu latach. Ożyły w nim wspomnienia i zadrżał jak dziecko, kiedy poczuł ją koło siebie.

— Fatimo! — powiedział cicho.

Długo mu się przyglądała, pieszcząc wzrokiem twarz, która bardzo się zmieniła. Upływ czasu nie był dla Hernanda zbyt łaskawy, lecz błękit jego oczu był taki sam jak wtedy, gdy pokochała go w Alpuharze.

Nie śmiała go dotknąć. Zacisnęła dłonie, żeby nie zarzucić mu ramion na szyję i nie pokryć pocałunkami twarzy. Ktoś z przechodzących potrącił ją przez nieuwagę i Hernando podtrzymał ją, żeby nie upadła. Poczula jego dłoń na swojej skórze i przeszył ją dreszcz.

— Minęło tyle czasu — odezwał się wreszcie Hernando. Trzymał ją za rękę. Nie chciał wypuścić dłoni, która przez tyle nocy go pieściła.

Fatima z westchnieniem zrobiła krok w jego stronę i stopili się

w uścisku. Przez dłuższą chwilę trwali nieruchomo w falującym tłumie ludzi. Tysiące wspomnień tłoczyło się im w głowie. Wdychał zapach jej włosów, mocno przyciskał do siebie, jakby chciał zatrzymać ją na zawsze.

— Tyle o tym marzyłem...! — zaczął mówić jej do ucha, ale Fatima nie dała mu dokończyć. Odrzuciła głowę do tyłu i pocałowała go w usta; był to gorący, smutny pocałunek, który rozpałał się jeszcze bardziej, gdy przesunął dłonie po jej szyi.

Miguel i dzieci, które wychyliły się spoza koni, ze zdziwieniem obserwowali tę scenę.



Kolumna deportowanych z Castro del Río przeszła wzdłuż murów miasta, pozostawiając za sobą posterunek żołnierzy pilnujących wejścia do sewilskiego Arenalu. Moryskowie rozproszyli się w gęstym tłumie i Rafaela przystanęła, żeby zorientować się w topografii terenu. Wiedziała, czego szukać. Stado szesnastu koni musiało być widoczne i rozpoznawalne nawet w tych warunkach, a przy koniach jest Hernando z dziećmi.

— Pilnuj rodzeństwa, nie ruszajcie się stąd, bo się zgubimy — nakazała Mukli, sama zaś ruszyła w stronę wozu, który stał nieopodal.

Nie pytając o pozwolenie, od razu wdrapała się na kozioł.

— Co to! — krzyknął woźnica, usiłując ją zepchnąć. Ale Rafaela była na to przygotowana i nie dała się ruszyć. — Co ty wyprawiasz? — złościł się woźnica, ciągnąc ją za spódnicę.

Potrzebowała tylko kilku chwil. Nie reagując na szturchnięcia, wspięła się na palce i rozejrzała dokoła. Szesnastcie koni. „To nie powinno być trudne”, szepnęła do siebie Rafaela. Mężczyzna też chciał stanąć, ale Mukla rzucił się na niego i złapał go za nogi. Krąg ciekawskich uformował się wokół nich, woźnica szarpał się, próbując uwolnić się od malca. „Szesnaście koni!”, powtarzała Rafaela. Słyszała wrzaski mężczyzny i sapanie swojego synka, który usiłował go powstrzymać.

— Tam! — krzyknęła. — Widzę!

Sama była zdziwiona swoją reakcją, ale dostrzegła je wyraźnie. Konie stały pod błyszczącą w słońcu wieżą na brzegu rzeki na przeciwnym krańcu tego terenu.

Zeskoczyła lekko z kozła jak młoda dziewczyna. Nie czuła nawet bólu nóg, gdy mocno uderzyła stopami o ziemię.

— Dziękuję, dobry człowieku — powiedziała do woźnicy. — Mukła, zostaw w spokoju tego pana! — Chłopiec puścił go i szybko uciekł, by uniknąć kolejnych kopniaków. — Dzieci, idziemy!

Utorowała sobie drogę wśród gapiów i szła zadowolona w stronę wieży, z uśmiechem na ustach, wymijając mężczyzn i kobiety, pomagając sobie kuksańcami w razie potrzeby.

— Udało nam się, drogie dzieci — powtarzała.

Znowu wzięła dwoje najmłodszych na ręce. Mukła usiłował dotrzymać jej kroku.



— Już się nie rozstaniemy — rzuciła Fatima, kiedy skończyli się całować.

Stojąc blisko siebie, przyglądali się sobie uważnie, wpatrywali się w każdą zmarszczkę na twarzy, jakby chcieli ją wygładzić; przez te kilka chwil on był młodym mulnikiem z Alpuhary, a ona zakochaną dziewczyną, która na niego czekała. Wydawało się, że czas się cofnął i znowu byli razem jak kiedyś. Przeszłość poszła w niepamięć wyrugowana przez emocje ponownego spotkania.

— Jedź ze mną do Konstantynopola — powiedziała Fatima. — Zabierz z sobą dzieci. Niczego nam nie zabraknie. Mam pieniądze, Ibn Hamidzie, dużo pieniędzy. Już nic ani nikt nie zabroni mi być z tobą. Nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Zaczniemy wszystko od nowa.

Hernando słuchał tych słów i cień zwątpienia pojawił się na jego twarzy.

— Zadbamy o pieniądze dla reszty twojej rodziny — zapewniła go natychmiast. — Efrań tym się zajmie. Im też niczego nie zabraknie, przysięgam ci. — Fatima nie dawała mu czasu do namysłu, mówiła szybko, z namiętnością w głosie. Amin i Lajla

spoglądali po sobie z otwartym ustami, szukając nieświadomie kontaktu z Miguelem, kiedy słuchali tej nieznajomej, która pocałowała ich ojca. — Mam statek. Mam wszystkie niezbędne zezwolenia na przewóz naszych braci do Berberii. Potem popłyniemy razem dalej na wschód. Znajdziemy sobie jakiś duży dom... Co ja mówię! Pałac! Zaslugujemy na to! Będziemy mieć wszystko, co nam się zamarzy. I będziemy szczęśliwi jak dawniej, jakby nic złego się nie wydarzyło przez ten czas. Zawsze razem...

Hernando miał się pełen sprzecznych uczuć. Fatima! Różne myśli cisnęły mu się do głowy, wywołując lawinę wspomnień. Duchowa łączność z Fatimą w ostatnich latach była dla niego niczym latarnia oświetlająca mroczną drogę, a teraz stała się nagle namacalna, cudownie rzeczywista. Było to... było to tak, jakby jego ciało i duch obudziły się jednocześnie do życia, dopuszczając do głosu uczucia, które wcześniej świadomie i celowo tłumił. Przecież oni się tak kochali! Połączyła ich wielka miłość! Teraz Fatima była tutaj, stała przed nim i cały czas coś mówiła z przejęciem, rozentuzjasmowana. Jak mógł przypuszczać, że ich wielka miłość się skończyła?

— Nic nas już nie rozdzieli, zobaczysz — powtórzyła, kiedy Hernando skierował wzrok na dzieci.

A one? I co z Rafaelą? Co z tymi najmłodszymi, które zostały w Kordobie? Nagły niepokój zmaćił urok chwili. Zdradzić rodzinę? Amin i Lajla wlepiali w niego oczy z tysiącem niemych pytań i niemych wyrzutów. Hernando czuł to tak, jakby cienkie igły wbijały się w jego ciało. Kim jest ta kobieta, której pozwalasz się całować i którą przyjąłeś z taką namiętnością? — zdawała się mówić jego córka. Jak możesz myśleć, że zaczniesz wszystko od nowa z dala od mojej matki? — wyrzucał mu Amin. Miguel... Miguel stał z opuszczoną głową, jeszcze bardziej skurczony niż zwykle, jakby całe jego życie, tyle wyrzeczeń i wysiłków poszło na marne, zostało zmieszane z błotem, w którym opierał swoje kule.

Fatima umilkła. Znowu podniosła się wrzawa głosów i lamentów tysięcy morysków zgromadzonych w Arenalu. Wracało po-czucie rzeczywistości. Chrześcijanie wyrzucili ich z Kordoby.



Czeka go wygnanie i niepewna przyszłość. Jego i jego dzieci. Może to sam Bóg postawił teraz Fatimę na ich drodze! Tak, to na pewno On sprowadził tutaj jego pierwszą żonę!

Już miał odpowiedzieć Fatimie, gdy usłyszał głos Lajli.

— Mama! — zawołał dziewczynka i pobiegnęła przed siebie.

— Laj...! — zaczął Hernando. Mama? Powiedziała „mama”?

W tym momencie zobaczył, że Amin pobiegnął za siostrą.

Nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Patrzył jak sparalizowany na scenę rozgrywającą się o kilka kroków dalej. Rafaela tuliła do siebie Amina i Lajlę, obsypywała pocałunkami ich twarze i włosy. Obok nich stały spokojnie najmłodsze dzieci, wpatrzone w ojca, jakby na coś czekały.

Rafaela z czułością odsunęła od siebie starsze i dumnie wyprostowana szła w stronę męża, uśmiechając się do niego ustami zaciśniętymi w triumfalnym wyrazie. Udało mi się! Znalazłam cię! Hernando nie był zdolny do jakiegokolwiek reakcji. Pomyślała, że to pewnie z powodu jej wyglądu. Niespokojnie obrzuciła wzrokiem swoje ubranie. Co jest nie tak? Zorientowała się, że jest brudna i obdarta. Zawstydzona przyglądała dłońmi spódnice.

— To twoja chrześcijańska żona?

Głos Fatimy zabrzmiał w uszach Hernanda niczym pytanie i zarazem wyrzut, a nawet lament.

Nie odwracając się, przytaknął ruchem głowy.

Dopiero teraz Rafaela ujrzała piękną, wytwornie odzianą kobietę u boku męża i podeszła do niego bliżej, nie spuszczać oczu z nieznajomej.

— Kim jest ta kobieta? — zapytała, pokazując na Fatimę.

— Nie mówiłeś jej o mnie, Hamidzie Ibn Hamidzie? — spytała z kolei Fatima, która już wcześniej dostrzegła brudną, złachmanioną postać idącą w ich stronę.

Hernando chciał odpowiedzieć, lecz Rafaela zrobiła to pierwsza, wykazując się taką samą stanowczością jak wtedy, gdy kazała wynosić się swojej matce, która przyszła do nich w czasie dżumy w Kordobie.

— Jestem jego żoną. Jakim prawem o to pytasz?

— Prawem wynikającym z tego, że to ja jestem jego pierwszą i jedyną żoną — oświadczyła Fatima, wskazując Hernanda brodą.

Na twarzy Rafaeli wymalowała się konsternacja. Przecież pierwsza żona Hernanda nie żyje. Miguel jej o tym mówił. Dobrze pamięta tę smutną opowieść. Zamknęła oczy i pokręciła głową, jakby chciała odegnać od siebie te słowa.

— Co? — spytała gasnącym głosem. — Hernando, powiedz mi, że to nieprawda.

— No właśnie, powiedz jej, Hamidzie. — W głosie Fatimy zadźwięczało wyzwanie.

— Kiedy ożeniłem się z tobą, sądziłem, że ona nie żyje — odezwał się wreszcie.

Rafaela potrząsnęła gwałtownie głową.

— Kiedy ożeniłeś się ze mną, tak?! — krzyknęła. — A potem? Co sądziłeś potem? Panienko Przenajświętsza! — jęknęła.

Zostawiła wszystko dla Hernanda. Szła wiele mil, żeby go odnaleźć. Brudna, w łachmanach i dziurawych butach. Jej poranione stopy wciąż krwawią! Skąd wzięła się ta elegancka pani? Czego chce od Hernanda? Nie jest jedną z tysięcy wypędzonych morysek z rezygnacją przyjmujących swój okrutny los. Więc co ona tutaj robi? Rafaela poczuła, że opada z sił i zamiast determinacji, jaka towarzyszyła jej od początku tej wyprawy, odczuwa tylko potrzebę płaczu i lamentowania.

— Tak długo szłam do ciebie, droga była ciężka — szlochała zrezygnowana, jakby już pogodziła się ze swoją klęską. — Maluchy... wciąż płakały! Tylko Mukła trzymał się dzielnie. Bałam się, że nie zdążymy. I po co ja się tak spieszyłam? — W tym momencie podniosła lekko jedną rękę, a Lajla znowu rzuciła się jej w ramiona. — Wszystko nam zabrali, wszystko: dom, meble, ubranie...

Hernando podszedł do Rafaeli, wyciągając otwarte dłonie, jakby chciał usprawiedliwić się w ten sposób. Ale oczami uciekał w bok.

— Rafaelo, ja... — zaczął mówić.

— Mogę załatwić, żeby ona też z nami pojechała — przerwała

mu Fatima, podnosząc głos. Co ta chrześcijanka tu robi? Czyżby znowu ona, Fatima, musiała zrezygnować ze swoich marzeń? Nie, nigdy, nawet za cenę... Jakoś to załatwi.

Hernando odwrócił się do Fatimy i Rafaela dostrzegła wahanie męża. Nad czym on się tak zastanawia? O czym mówi ta kobieta? Gdzie każą jej jechać? Z tą damą?

— Co to ma znaczyć? — zapytała.

— Jeśli chcesz — odparła Fatima — możesz wziąć dzieci i pojechać z nami do Konstantynopola.

— Hernando — Rafaela zwróciła się do męża twardym głosem. — Poświęciłam wszystko dla ciebie. Nawet... jestem gotowa zrezygnować z przynależności do mojego Kościoła, przyjąć twoją wiarę w Maryję i dzielić twój los, ale nigdy, słyszysz? — syknęła — nigdy się nie zgodzę, by dzielić się tobą z inną kobietą.

Skończyła i wskazała palcem Fatimę.

— Masz jakieś inne wyjście, chrześcijanko? — rzekła Fatima. — Myślisz, że pozwolą ci jechać z nim do Berberii? Nie pozwolą. I odbiorą ci dzieci! Oboje dobrze o tym wiecie. Napatrzyłam się na to przez te dni, gdy tu czekałam. Wyrrywają dzieci z ramion matki bez litości... — Fatima odczekała chwilę, by te słowa wywarły większy efekt i spod półprzymkniętych powiek patrzyła, jak Rafaela zmienia się na twarzy na myśl o utracie swoich pociech. Rozumiała ją, rozumiała jej ból, gdyż sama straciła dziecko z winy chrześcijan, lecz to wspomnienie obudziło w niej zarazem gniew. Chrześcijanka nie zasługuje na współczucie. — Widziałam! — powtórzyła z uporem. — Sprawdź, że nie ma moryskich papierów, a więc jest chrześcijanką. Zostanie zatrzymana, oskarżą ją o odstępstwo od wiary i zabiorą wam dzieci.

Rafaela ukryła twarz w dłoniach.

— Setki żołnierzy tego pilnują — kontynuowała Fatima.

Rafaela zaszlochała. Świat zaczął walić się wokół niej. Zmęczenie, emocje i ta straszliwa niespodzianka. To wszystko było ponad jej siły. Nogi odmawiały posłuszeństwa, nie mogła oddychać z braku powietrza. Nie słyszała nic więcej prócz głosu tej kobiety, który brzmiał coraz ciszej, jakby się oddalał...

— Nie masz innego wyjścia... Tylko ja mogę wam pomóc, jeśli chcesz z nim zostać. Musisz opuścić Arenal...

Z głośnym jękiem Rafaela osunęła się na ziemię.

Dzieci podbiegły do niej, ale Hernando je odsunął i uklęknął przy leżącej.

— Rafaelo! — powiedział i klepnął ją parę razy po policzkach. — Rafaelo!

Rozejrzał się wokół siebie z rozpaczą. Jego oczy skrzyżowały się na krótko z oczami Fatimy, i wtedy zrozumiała, być może nawet wcześniej, niż on to pomyślał, że straciła go już na zawsze.



— Nie opuszczaj mnie — błagała półprzytomna Rafaela. — Nie zostawiaj nas samych, Hernando.

Miguel, dzieci i Fatima obserwowali parę małżonków nad brzegiem rzeki, dokąd Hernando zaniósł zemdloną Rafaelę. Była wciąż bardzo blada, jej głos drżał i bała się na niego spojrzeć.

Hernando czuł zapach Fatimy na swojej skórze. Nie tak dawno całowali się i pragnął jej, zapragnął też, co prawda tylko przez chwilę, tego szczęścia, które mu proponowała... Spojrzał na Rafaelę: łzy spływały jej z oczu, mieszając się z osiadłym na policzkach kurzem drogi. Zobaczył, jak drży jej broda i z wysiłkiem próbuje powstrzymać łkanie, by pokazać mu, że jest twardą kobietą. Hernando zacisnął usta. Nie była twarda: była tą samą dziewczynką, którą najpierw uratował od klasztoru, a która potem łagodnością i słodyczą zdobyła jego serce. Była jego żoną.

— Nigdy cię nie opuszczę — usłyszał swój głos.

Wziął jej dłonie w obie ręce i ucałował. Potem przytulił ją do siebie.

— Co zrobimy? — usłyszał jej pytanie.

— Nie martw się — mruknął, starając się, by zabrzmiało to przekonywająco. Dzieci natychmiast ich otoczyły. — Muszę jeszcze coś zrobić... — powiedział Hernando.



Miguel odsunął się, kiedy zobaczył, że Hernando podchodzi do Fatimy, która wciąż na niego czekała.

— Przyjechałam tu, bo chciałam cię odnaleźć, Hamidzie Ibn Hamidzie — rzekła z powagą w głosie. — Sądziłam, że Bóg...

— Co Bóg zarządzi, niech się stanie.

— Nie okłamuj się. Bóg już zarządził — pokazała na tłum tłoczący się na Arenalu.

— Moje miejsce jest przy Rafaeli i naszych dzieciach — powiedział. Ton jego głosu nie dopuszczał sprzeciwu.

Fatima zadrżała. Jej twarz zamieniła się w piękną, twardą maskę. Odwróciła się, żeby odejść, ale zanim zrobiła krok, jeszcze raz obejrzała się na niego:

— Ja wiem, że wciąż mnie kochasz.

Po tych słowach zaczęła się oddalać.

— Zaczekaj chwilę — poprosił Hernando. Podbiegł do koni i szybko wrócił z pakunkiem w ręku, w którym gorączkowo czegoś szukał po drodze. — To twoje — powiedział, kiedy był blisko Fatimy i podał jej wisiorek z poczeriałego złota. Fatima wyciągnęła roztrzęsioną dłoń. — A to... — Hernando wyjął arabską kopię ewangelii Barnaby z epoki Almanzora — to jest bardzo cenna, stara księga, prawdziwy skarb naszego ludu. Zamierzałem przekazać ją sułtanowi. — Fatima patrzyła obojętnie na pergamin. — Wiem, że czujesz się zawiedziona — przyznał Hernando. — Jak słusznie zauważyłaś, trudno będzie stąd uciec, ale spróbuję, a jeśli mi się powiedzie, będę kontynuować w Hiszpanii walkę o jedynego Boga i pokój między naszymi ludami. Zrozum mnie, mogę narażać swoje życie, życie mojej żony, a nawet dzieci, jestem gotów nawet zrezygnować z ciebie... ale nie mogę ryzykować utraty tego dziedzictwa naszego ludu. Nie mogę tego zatrzymać, Fatimo. Nie chcę, żeby ta księga wpadła w ręce chrześcijan. Przyjmij ją ode mnie przez wzgląd na pamięć naszej walki o zachowanie muzułmańskiego prawa i zrób, co uważasz za stosowne. Proszę cię w imię Allaha i Jego Proroka, zrób to dla naszych braci.

Wyciągnęła rękę po zwój pergaminu.

— Pamiętaj, że cię kochałem — zapewnił ją Hernando — i zawsze będę cię kochał, aż do... — chrząknął i zamilkł. — Śmierć jest daleką nadzieją — wyszeptał po chwili.

Ale Fatima odeszła, zanim dokończył zdanie.



Dopiero gdy zobaczył, jak znika w tłumie, zrozumiał istotę tego powiedzenia. Poczuł ściskanie w żołądku, kiedy wodził wzrokiem po nabrzeżu. Tysiące morysków uwięzionych na tym terenie, nieustanne rozkazy padające z ust żołnierzy i urzędowych pisarzy, załadowywanie wygnańców na statki, kupcy i naciągacze, gotowi wyrwać ostatni grosz zrujnowanym ludziom, księża pilnujący, żeby nikt nie wyjechał z małymi dziećmi...

— Co zrobimy, Hernando? — zapytała Rafaela uspokojona po odejściu kobiety. Znowu byli razem i tworzyli rodzinę. Otaczała ich piątka dzieci, a on był głową rodziny.

— Nie wiem. — Nie potrafił oderwać oczu od Rafaeli z małuchami. Tak niewiele brakowało, by ich utracił... — Załóżmy, że ty wejdiesz na pokład jako moryska, ale co dziećmi? Nie wpuszczają ich. Musimy uciekać. Nie ma czasu do stracenia.

Zachodzące słońce wydobywało niezwykle blaski z płytek pokrywających Złotą Wieżę, Hernando obserwował mury obronne miasta. Rafaela podążyła za jego wzrokiem, Miguel zrobił to samo. Z tyłu zamykały im drogę mur i alkazar. Oddział żołnierzy strzegł prowadzącej do miasta bramy Jerez. To samo było z bramami Arenal i Triana. Zostawała tylko rzeka Gwadalkiwir. Rafaela i Miguel widzieli, że Hernando kręci ponuro głową. To niemożliwe! W żadnym wypadku nie uda im się zbliżyć do łodzi, przedrzeć się przez kordon pisarzy i księży kontrolujących nabrzeże. Wyjść stąd mogli jedynie tak, jak weszli, na drugim końcu Arenal, za miastem, chociaż tam też było pełno żołnierzy. Jak to zrobić?

— Zaczekajcie tu na mnie — przykazał.

Przeszedł przez cały Arenal. Rzeczywiście, u wejścia postawiono grupę uzbrojonych żołnierzy wśród szop pospiesznie skleconych na przyjęcie morysków. Hernando zauważył jednak, że

większość żołnierzy spędzała czas na pogawędkach albo grze w karty. Nikt już nie przychodził z zewnątrz, a żaden z morysków nie śmiał stąd wyjść. Chrześcijanie znajdujący się na terenie Arenal wychodzili przez bramy wiodące do miasta, a nie tędy, gdzie musieliby nadłożyć drogi wzdłuż murów. To musi się udać!

Kiedy wrócił pod Złotą Wieżę, było już ciemno, pora na modlitwę. Hernando podniósł oczy ku niebu i błagał Boga o pomoc. Następnie przywołał Rafaelę i Miguela, a także Amina i Lajlę. To, co zamierzał zrobić, było bardzo ryzykowne.

— Gdzie są ludzie, których nająłeś do koni? — zapytał Miguela.

— W mieście, został tylko jeden na warcie.

— Powiedz, że może dołączyć do kolegów. Powiedz... powiedz, że chciałbym spędzić ostatnią noc sam z moimi końmi. Myślisz, że w to uwierzy?

— Mało go obchodzą twoje konie i ty. Pójdzie się zabawić. Już im zapłaciłem. Mają pieniądze, a w mieście nie brakuje rozrywek.

Zaczekali na powrót Miguela.

— Gotowe — potwierdził kaleka.

— Dobrze. Ty jako chrześcijanin możesz stąd wyjść bez przeszkód... — Miguel zaczął się skarżyć, lecz Hernando mu przerwał. — Zrób, co mówię, Miguelu. Mamy tylko jedną szansę. Opuścisz Arenal przez którąkolwiek bramę, przejdiesz przez miasto i zaczekasz na nas z drugiej strony za murami.

— A ona? — rzucił kaleka, pokazując na Rafaelę. — Też jest chrześcijanką. Mogłaby pójść ze mną...

— Z dziećmi? — zapytał Hernando. — Pierwszy żołnierz was zatrzyma. Pomyślał, że przysłała je zabrać i wszystko stracone. Nie pozwolą jej wyjść z dziećmi. Co ma na swoje usprawiedliwienie chrześcijanka z małymi dziećmi w Arenal? Nic. Zostanie zatrzymana.

— Ale...

— Ruszaj, Miguelu. — Hernando uściskał przyjaciela i pomógł mu wsiąść na muła. Może więcej się już nie zobaczą... — Pokój

z tobą, Miguelu — powiedział. Kaleka mruknął coś na pożegnanie. — Nie płacz, Rafaelo — dodał, zwracając się do żony, która nie mogła powstrzymać łez. — Zobaczysz, że nam się uda... wydestaniemy się stąd z bożą pomocą. Dzieci, mamy dużo pracy i mało czasu — ponaglił Amina i Lajlę.

Podszedł do odpoczywających koni. Miguel, zgodnie z tym, co zapowiedział, zmniejszył imienne racje, by straciły energię i nie zrzuciły z grzbietu kobiet i starców z tobołkami. Prawie wszystkie konie miały otarcia na skórze od przewożonego ładunku. Hernando wziął uzdy i sznury.

— Trzeba uwiązać wszystkie konie, jeden obok drugiego — wyjaśnił starszym dzieciom, wręczając im uzdy, a zatrzymując długie sznury. — Nie — sprostował po namyśle. Nie poradzi sobie z zaprzęgiem złożonym z szesnastu koni. — Wystarczy dziesięć... A ty ruszaj już teraz z maluchami — powiedział, zwracając się do Rafaeli. — Zajmie ci to więcej czasu niż nam. Zatrzymasz się jak najbliższej stanowiska żołnierzy, ale tak żeby cię nie widzieli. Musisz bardzo uważać. Wypuszczę na nich konie... — Rafaela wzdrygnęła się ze strachu. — To jedyne, co mogę zrobić, moja kochana. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy. Kiedy to się stanie, szybko przebiegniesz z dziećmi i ukryjesz się w zaroślach na brzegu, tam nie ma łodzi, więc możesz być spokojna, ale nie zostawaj długo, pójdziesz brzegiem rzeki wzdłuż murów, aż zobaczysz, że miasto zostało za tobą i wtedy znajdziesz Miguela.

— A wy? — zapytała skonsternowana.

— Dołączymy do was. Możesz być tego pewna — uspokoił ją Hernando, lecz sam nie mógł opanować drżenia głosu.

Ucałował ją czule i ponaglił, by ruszyła na drugi koniec Arenal. Rafaela się zawahała.

— Uda nam się. Wszyscy się spotkamy — rzekł stanowczo Hernando. — Miej ufność w Bogu. No już. Nie zwlekaj.

Mały Mukła pociągnął matkę za rękę i ruszyli we wskazanym kierunku. Hernando stracił kilka cennych chwil, obserwując, jak część jego rodziny znika w tłumie, a potem poszedł pomagać starszym dzieciom.



— Słyszeliście, co powiedziałem matce? — zapytał. Amin i Lajla przytaknęli. — No to wszystko jasne. Ustawicie się po obu stronach stada, ja pokieruję końmi. Najtrudniej przedostać się przez tłum, ale musimy to zrobić. Na szczęście większość żołnierzy zabawia się w mieście, więc nie będą nam przeszkadzać — mówił energicznie, a jednocześnie szybko wiązał konie, żeby dzieci nie miały czasu zastanawiać się nad tym, co mają zrobić. — Będziecie je popędzać z tyłu i z boków, żeby poszły naprzód — tłumaczył. — Nie żałujcie gardła i niech was nie obchodzi, co inni pomyślą. Musimy przedrzeć się przez esplanadę, wszystko jedno jak. Zrozumieście? — Amin i Lajla znowu kiwnęli głowami. — Kiedy będziemy już blisko wyjścia, zostanieie z tyłu za końmi, a potem szybko przedostaniecie się na zewnątrz tak jak wasza matka. Jasne?

Nie czekał na potwierdzenie. Dziesięć wierzchowców było już związanych. Teraz Hernando wziął długie sznury i ponad ich grzbietami przywiązał je do przednich nóg dwóch koni, które miały iść z przodu, potem chwycił uździenicę kolejnego, którego chciał poprowadzić luzem.

— Zgoda? — zapytał powtórnie. Amin i Lajla przytaknęli ruchem głowy. Ojciec zachęcił ich uśmiechem. — Matka na nas czeka! Nie możemy zostawić ich samych! W drogę! — rozkazał, nie pozwalając sobie na chwilę wytchnienia. Amin miał tylko jedenaście lat; jego siostra o rok mniej. Czy dadzą sobie radę?

Hernando ściągnął cugle trzech koni idących z przodu, pozostałe siedem szło za nimi, związane z sobą, zbite w grupę po bokach mniej zwartą.

— Dalej, moje piękne! Idziemy!

Sporo go kosztowało skłonienie ich do marszu; nie były przyzwyczajone poruszać się przywiązane jeden do drugiego. Te z tyłu zaczęły wierzgać, stawać dęba i gryźć się wzajemnie. A ja? — pomyślał, czy poradzę sobie w tym wieku? Kopnął mocno jednego konia w brzuch.

— Ruszajcie się!

— Naprzód! — usłyszał głos z tyłu.

Ujrzał między zwierzętami, że Amin chwycił powróż i bił po

zadach konie idące z tyłu. Natychmiast rozległ się głos Lajli, początkowo niepewny, potem zdecydowany jak głos jej brata.

Poradzą sobie! Uśmiechnął się, mając w uszach pokrzykiwania dzieci.

Kiedy wszystkie konie wreszcie ruszyły w miejsca, zrobiły to jak zwarte wojsko; Hernando pomyślał, że nie zdoła nad nimi zapanować, ale jego dzieci biegały do tyłu i na boki, żeby popędzać zwierzęta i utrzymywać je w zbitej grupie.

— Uwaga! Z drogi! Nie podchodźcie tak blisko! — krzyczał ciągle.

Dzieci też krzyczały. I ludzie, którzy głośno narzekali i obrzucali ich wyzwiskami.

Moryskowie odskakiwali przed nimi na boki. Konie tratowały sprzęty i przewracały namioty. Kiedy przeszły nad niewielkim ogniskiem, Hernando zrozumiał, jak bardzo zwierzęta boją się tłumy: w innych warunkach nigdy by tego nie zrobiły, nigdy nie przeszłyby przez ogień.

— Uwaga!

Musiał ściągnąć gwałtownie wodze koni idących z przodu, żeby jakaś stara kobieta zdążyła przed nimi uskoczyć, ale konie idące po bokach niejednego moryska zepchnęły z drogi.

Arenal był bardzo rozległy, lecz czas pędził jak szalony i zanim Hernando się spostrzegł, byli przed posterunkiem straży. Żołnierzy zaskoczyło to zamieszanie.

— Teraz, moje dzieci! Uciekajcie! Galopem! — krzyknął.

Nie musiał się bardzo wysilać. Wolna przestrzeń otwierająca się między miejscem, gdzie stali ostatni moryskowie, a posterunkiem straży zachęciła zwierzęta do szalonego galopu. Hernando przebiegł parę kroków u boku konia idącego luzem i chwycił go za grzywę, żeby wskoczyć na grzbiet, wykorzystując siłę bezwładu. Przyszło mu to z trudem; mięśnie odmówiły posłuszeństwa wobec takiego wysiłku. Za pierwszym razem się nie udało — prawa noga została w połowie drogi do końskiego zadu — ale kiedy znowu dotknął ziemi, natychmiast mocno się odbił i osiągnął cel. Reszta koni, niepilnowana przez Amina i Lajlę, ustawiła się w otwartym

szyku, jak wachlarz. Żołnierze patrzyli przerażeni, jak pędzi na nich galopem jedenaście koni: stado niepohamowanych, rozszalałych zwierząt.

— *Allahu Akbar!*

Jeszcze nie dokończył wzywać swojego Boga, kiedy pociągnął dwa długie powrozy, które wcześniej uwiązał do przednich nóg dwóch rumaków ustawionych z przodu. Zwierzęta straciły równowagę, upadły i przetoczyły się na grzbietach. W świetle pochodni Hernando dostrzegł paniczny strach na twarzach żołnierzy, kiedy konie zaczęły na siebie wpadać i przewracać się, tratując ludzi i szopy. Pogalopował na luzaku poza Arenal, zostawiając za sobą zniszczony posterunek straży.

Zeskoczył na ziemię tak, jak poprzednio wskoczył na konia, i pobiegł ku nadbrzeżnym zaroślom. Rżenie koni i krzyki ludzi rozchodziły się w nocnym mroku.

— Rafaela? Amin?

Po długiej niekończącej się chwili usłyszał odpowiedź:

— Tutaj.

Nic nie widział w tych ciemnościach, ale rozpoznał głos najstarszego syna.

— Gdzie matka?

— Tu jestem — odpowiedziała Rafaela z dalszej odległości.

Serce zabiło mu mocniej, kiedy usłyszał jej głos. Udało się! Byli uratowani!

## 69

Uciekli do Grenady, wiedząc, że w wypadku zatrzymania czeka ich śmierć albo niewola. Dowódcy kordobańskiej milicji z pewnością wiedzieli, że on to zrobił: był właścicielem koni i jego imię, podobnie jak imiona jego dzieci, nie figurowały na listach zaokręgowanych morysków. Do Alpuhary, postanowił. Było tam wiele opuszczonych miejscowości. Miguel nie miał problemów z opuszczeniem Arenalu na swojej mulicy i spotkał się z nimi za murami miasta. Pozostawili szesnaście wspaniałych koni. Ale kogo to teraz obchodziło?

Po długiej podróży z Sewilli do Alpuhary, unikając dróg, ukrywając się przed ludźmi, kradnąc resztki żywności, jakie pozostały zimą na polach, albo czekając ukryci z dala od wiosek, aż Miguel wyżebrze jakąś jałmużnę, znaleźli schronienie w pobliżu Juviles, w Viñas, wiosce opuszczonej od chwili wygnania jej mieszkańców po klęsce powstania.

Panował jeszcze dotkliwy chłód i szczyty Sierra Nevada pokryte były śniegiem. Hernando spojrzął na nie, po czym skierował wzrok na dzieci; tu upłynęło jego dzieciństwo. Zabronił rozpalania ognia; mieli to robić tylko nocą. Urządzili się w jakimś zniszczonym domu, który Rafaela i dzieci usiłowały uporządkować, nie mając do tego żadnych środków i uzyskując marne wyniki. Hernando i Miguel doszli do wniosku, że wyglądali jak żebracy.

Obaj mężczyźni wyszli na krętą uliczkę zatarasowaną walącymi się domami. Widząc to, Rafaela kazała dzieciom dalej sprzątać i wyszła za nimi.

Co teraz? — zapytała wzrokiem, gdy tylko do nich podeszła. Czy mają tu mieszkać, w ukryciu, przez całe życie?

— Muszę cię prosić o jeszcze jedno, Miguela — rzekł pośpiesznie Hernando, nie patrząc na kalekę. Wytrzymawał spojrzenie żony, wyciągając do niej rękę.

— Czego sobie życzysz?



Hernando wyruszył z Miguelem drogą do Grenady. Podjechali do murów najbliższej, jak było to możliwe, a potem Hernando wrócił z mułem do Alpuhary; żebrak nie powinien podróżować z takim zwierzęciem. Kaleka minął bramę Rastro po utarczce ze strażnikami, którzy ustąpili pokonani jego niepowstrzymanym potokiem słów, i stamtąd poszedł prosto do pałacu Tiros.

Pod nieobecność Miguela Hernando bawił się z dziećmi i usiłował je uczyć, jak się łapie ptaszki. Znalazł kawałek rozeschniętego powroza, rozdzielił jego włókna i pod uważnym spojrzeniem dzieci zaczął robić różne pętla, które następnie umieścili w gałęziach drzew. Nie złapali żadnego, ale dzieci spędzały dużo czasu na tej zabawie. Nie brakowało im też żywności, gdyż Hernando znał dobrze te strony i prócz mięsa znalazł wszystko, czego potrzebowali, żeby się utrzymać. Minał tydzień i nikt nie pojawił się w Viñas, więc powiadomił Rafaelę, że wyjeżdża na kilka dni z Aminem i Muklą.

— Dokąd jedziecie?

— Muszę im coś pokazać. — Na twarzy jego żony pojawiła się obawa. — Nie martw się — uspokoił ją. — Nikt tu nie przyjdzie. Bądź ostrożna i jeśli zauważysz coś dziwnego, schroń się z dziećmi w jaskiniach koło miejsca, gdzie łapaliśmy ptaszki. Lajla wie, gdzie to jest.



Zamek Lanjarón wznosił się dumnie, tak jak Hernando go pamiętał. Zaczekali u stóp góry, aż zapadnie noc, zanim rozpoczęli wspinaczkę. Hernando postarał się o to, by ich podróż przypadła na pełnię księżyca, który błyszczał ogromny na rozgwieżdżonym i bezchmurnym niebie. Idąc przodem, skierował się ku południowej baszcie twierdzy.

— Nie ma innego Boga prócz Boga, a Mahomet jest Jego Prorokiem — szepnął w nocnej ciszy.

Potem ukucnął i zaczął kopać. Kiedy natrafił na szablę Mahometa, wyjął ją ostrożnie i pokazał dzieciom, odwijając z szacunkiem tkaninę, w którą kiedyś ją zawinał.

— To jest jedna z szabli — powiedział — które należały do Proroka.

Pragnął, żeby złota pochwa i jej wisioriki zabłyszczały w świetle księżyca tak samo, jak błyszczały przed laty, kiedy je oglądał po raz pierwszy w chacie Hamida. Zamiast tego znalazł ten upragniony błysk w szeroko otwartych oczach swoich dzieci. Wyjął szablę z pochwy. Klinga szczęknęła, wysuwając się, i Hernando wzdrygnął się, widząc, że na ostrzu, pośród rdzy, widoczne są jeszcze plamy suchej krwi pochodzącej z szyi Barraksa. Kapitan korsarzy! Myśli Hernanda błądziły wśród wspomnień i po raz kolejny czarne oczy Fatimy ukazały mu się jak nocne gwiazdy.

Znaczące pokasływania przywróciły go do rzeczywistości. Spojrzał na Aminę, a potem skierował z miłością wzrok na Mukłę; nawet w świetle księżyca niebieskie oczy chłopca błyszczały.

— Przez wieki — powiedział dobitnie — muzułmanie strzegli tej szabli. Najpierw, kiedy królowaliśmy na tych ziemiach, była okazywana z dumą i odważnie używana; później, kiedy nadeszła chwila ujarznienia naszego narodu, została ukryta w oczekiwaniu na nowe zwycięstwo, które nadejdzie pewnego dnia. Nigdy nie możecie w to wątpić. Dzisiaj jesteśmy pokonani bardziej niż kiedykolwiek; nasi bracia są wypędzani z Hiszpanii. Jeżeli moje plany się powiodą, będziemy musieli w dalszym ciągu zachowywać się jak chrześcijanie, gdyż w Hiszpanii zostanie już niewielu muzułmanów; musimy mówić jak oni, jeść jak oni i modlić się jak

oni, ale nie traćcie nadziei, moje dzieci. Ja już chyba tego nie zobaczę, może wy też nie, ale pewnego dnia jakiś wierny wróci tu, żeby odzyskać tę szablę i... — Przez chwilę zawahał się, przypominając sobie słowa Hamida sprzed tylu lat. Co miał im powiedzieć? Że szabla sama się wzniesie, aby pomścić niesprawiedliwość? Pomimo wściekłości, jaką odczuwał, nie chciał, żeby jego dzieci wzrastały w nienawiści wypełniającej ich umysły. — I wyjmie ją na światło dzienne jako znak, że nasz naród odzyskał wolność. Pamiętajcie, że ona czeka na ten moment i jeżeli to nie nastąpi za waszego życia, przekazcie tę wiadomość waszym dzieciom, żeby one przekazały ją z kolei swoim. Nigdy nie traćcie ducha w walce za jedyne Boga. Przysięgnijcie na Allaha!

— Przysięgam — odpowiedział z powagą Amin.

— Przysięgam — powtórzył za nim Mukla.

W drodze powrotnej do Viñas Hernando myślał o przysiędze, którą kazał złożyć swoim synom. Tyle się napracował na rzecz zbliżenia obu religii, tak bardzo mu zależało, by chrześcijanie zaakceptowali ich obecność i pozwolili im mówić po arabsku... a jednak zachęcił swoich synów do szukania... czego? Miał zamęt w głowie. Wciąż przewijały mu się obrazy tysięcy morysków upodlonych, stłoczonych jak zwierzęta na terenie sewilskiego Arenalu, i wspominał dzień, w którym Hamid wręczył mu tę szablę; wtedy walczyli o przetrwanie na hiszpańskiej ziemi, gotowi oddać życie za swoje prawa i obyczaje. A teraz to upokarzające wypędzenie z Hiszpanii! Został tylko on z rodziną i prawdopodobnie jeszcze niewielka grupa morysków ukrytych na wsi i w miastach. Gdzie to porozumienie, o które tak zabiegał? W nocy, gdy szli w stronę gór, objął synów ramieniem i przyciągnął do siebie. Oni utrzymują ten płomień nadziei zgnębionego ludu, słaby ogień, to prawda, ale czy wielkie pożary nie zaczynają się od małej iskry?



Miguel powrócił do Alpuhary po prawie dwudziestu dniach, na nowej mulicy, w towarzystwie don Pedra de Granada Venegas, który jechał konno sam, bez służby. Szlachcic zaoferował im

schronienie w swoich włościach w Campotéjar, na granicy prowincji Grenady i Jaén, z zastrzeżeniem, że muszą tam żyć jak chrześcijanie, którzy przeprowadzili się ze stolicy na wieś. Don Pedro zdobył dla nich fałszywe dokumenty, by mogli uchodzić za przybyszy z miasta, starych chrześcijan. Hernando nazywał się teraz Santiago Pastor, a Rafaela — Consolación Almenar. Nikogo nie zdziwiła ta przeprowadzka. Po wypędzeniu morysków wiele pól leżało odłogiem, brakowało rąk do pracy, głównie w królestwie Walencji, ale nie tylko. Włości Granada Venegas nie należały pod tym względem do wyjątków. Don Pedro wręczył Hernandowi dwa listy: jeden do ekonomy, który zarządzał posiadłością, drugi do swojego przyjaciela proboszcza Campotéjar, któremu polecał Santiago Pastora z rodziną jako lojalnych poddanych, odznaczających się wielką pobożnością i bojaźnią bożą. Miguel figurował w tych dokumentach jako jeszcze jeden członek rodziny. Jeśli nie popełnią błędów, nikt nie będzie ich molestował, zapewnił don Pedro.

— Wiadomo coś na temat ołowianych ksiąg? — zapytał Hernando na osobności, zanim szlachcic wsiadł na konia, by wrócić do miasta.

— Arcybiskup ma je pod swoją pieczę. Osobiście koryguje pracę tłumaczy, nie pozwala na żadne odniesienia do mużulmańskich doktryn. Na świętym wzgórzu buduje się kolegiatę, w której będą czczone relikwie, oraz kolegium studiów religijnych i prawa. Ponieśliśmy klęskę.

— Może pewnego dnia... — zaczął Hernando z nadzieją w głosie.

Don Pedro spojrzał na niego i pokręcił głową.

— Choćby nam się udało z tymi księgami, choćby sułtan lub inny mużulmański władca ogłosił światu ewangelię według Barnaby, to i tak będzie to dla nas bez znaczenia, bo nie ma już mużulmanów w Hiszpanii.

Hernando chciał coś odpowiedzieć, ale się powstrzymał. Czyżby dla don Pedra nie miało znaczenia to, że prawda kiedyś zwycięży, niezależnie od tego, co spotkało hiszpańskich morysków?



Szlacheccy konwertyci uratowali się przed wygnaniem. Don Pedro odnalazł swoje chrześcijańskie korzenie w objawieniu Jezusa Chrystusa, co stało się tematem jednej z książek, która jeszcze bardziej rozślawiła jego imię. Pomagał mu, to prawda, ale czy w dalszym ciągu wierzył w jedyne Boga?

— Żyćcie długo i szczęśliwie — powiedział szlachcic na zakończenie, z jedną nogą w strzemieniu. — Jakbyście mieli jakieś kłopoty, nie wahajcie się dać mi znać.

Po czym ruszył galopem.



# Epilog

*Wielu pozostało zwłaszcza tam, gdzie są stronnictwa, które  
im sprzyjają...*

Hrabia Salazar do diuka de Lerma, wrzesień 1612



### *Campotéjar 1612*

Minęło prawie dwa lata od tej rozmowy i rzeczywiście jako dawni służący don Pedra, jego protegowani, nie mieli żadnych problemów ze znalezieniem dla siebie miejsca w małej, położonej na uboczu zagrodzie we włościach Granada Venegas. Ich styl życia uległ zmianie. Hernando nie miał już książek, papieru czy atramentu do pisania. Nie miał też koni. Nie mógł sobie pozwolić na zakup takich rzeczy, lecz nawet gdyby było go na to stać, to i tak nie zajmowałby się sztuką kaligrafii; stosunki między rodzinami mieszkającymi w tej okolicy, gdzie diabeł mówi dobranoc, były tak zażyłe, że nie mógłby tego ukryć przed sąsiadami, a nie chciał budzić ich podejrzliwości. Drzwi do domów stały zawsze otworem, a nieustanny szepot kobiet odmawiających różaniec starczył za wartę. Jednakże czasem, gdy byli sami w polu, brał do ręki gałązkę i niemal nieświadomie kreślił na ziemi arabskie litery, a Rafaela lub któreś z jego dzieci czym prędzej zamazywały je nogą. Tylko Mukła, nazywany teraz coraz częściej imieniem Lázaro, wpatrywał się uważnie w te znaki swoimi niebieskimi oczami, jakby chciał je zapamiętać. Hernando uczył go zasad muzułmańskiej wiary i przypominał o Koranie ukrytym w mihrabie kordobańskiego meczetu, z nadzieją, że pewnego dnia Mukła go odzyska.

Nie licząc rozmów z siedmioletnim synem, Hernando unikał mówienia o religii i nie uczył pozostałych dzieci modlitw mu-

zułmańskich; bał się, że ich odkryją. Ludzie byli podburzani i stale ktoś donosił na morysków, którym udało się uniknąć wygnania i żyli gdzieś w ukryciu. Złapanym groziła śmierć, niewola, galery albo praca w kopalniach. Nie chciał narażać życia swoich synów! Ale Mukla był inny. Miał takie same oczy jak ojciec, spadek po chrześcijaninie, który zgwałcił Aiszę, symbol niesprawiedliwości, która pchnęła morysków z Alpuhary do powstania zbrojnego.

Hernando westchnął, odłożył długi kij na ziemię i przerwał pracę. Mimo woli podniósł ręce do obolałych pleców, lecz zorientował się, że Rafaela patrzy, i zdusił jęk.

— Odpocznij trochę — poradziła żona po raz enty. Sama zgięta w kabłąk zbierała oliwki z ziemi i układała je w dużym koszu.

Hernando zacisnął zęby i pokręcił przecząco głową, ale pozwolił sobie na krótką przerwę, podczas której obserwował swoje dzieci: Amin — Juan dla mieszkańców wioski — wdrapywał się na poskręcane pnie drzew, żeby zerwać oliwki, których nie mógł dosięgnąć kijem. Hernando przypomniał sobie, że w dzieciństwie tak samo skakał po konarach starego, odpornego na mrozy drzewa oliwnego na poletku tarasowym w Juviles. Czwórka pozostałych dzieci pomagała matce zbierać z ziemi dojrzałe owoce, które spadły same lub strącone kijem. Jego najstarszy syn miał już piętnaście lat i całkiem dobrze sobie radził z długą tyczką do strącania, ale wolał strząsać oliwki, siedząc na drzewie, niż robić to z ziemi. Co w takiej sytuacji pozostawało do zrobienia ojcu? Trudno, żeby w wieku sześćdziesięciu lat łaził jeszcze po drzewach.

Podniósł kij i zaczął uderzać w gałęzie. Rafaela pokręciła głową z niezadowolaniem.

— Ty uparciuchu! — krzyknęła.

Hernando uśmiechnął się do siebie, zanim znowu uderzył. Żona miała rację! Ale sezon był w pełni. Czekwały na nich niekończące się rzędy drzew oliwnych. Wszystkie rodziny z osady pracowały w tym czasie tak samo. Im szybciej dostarczą oliwki do olejarni, tym lepsza będzie oliwa i więcej zarobią.

O zmroku, wymęczeni, wracali do małego, starego domu

w osadzie składającej się z pięciu innych, równie zniszczonych, zabudowań przy drodze do Campotéjar.

Tu żyli i pracowali na polu za nędzną dniówkę, która z trudem starczała na wykarmienie pięciorga dzieci. Często doskwierał im głód jak wszystkim innym robotnikom dniówkowym, ale byli razem, i to im dodawało siły.



W niedziele i święta nakazane udawali się na mszę do kościoła w Campotéjar, gdzie wykazywali się większą pobożnością niż sąsiedzi. W 1610 roku arcybiskup Castro, zagorzały obrońca znaleźsk z Sacromonte, opuścił Grenadę przeniesiony do Sewilli, skąd w dalszym ciągu kierował pracą nad tłumaczeniem ołowianych ksiąg i budową kolegiaty na wzgórzu przy jaskiniach, nie szczędząc na to pieniędzy z własnego olbrzymiego majątku; stał się również największym zwolennikiem tezy o Niepokalanym Poczęciu, obierając słowa o czystości Najświętszej Panienci na swoje zawołanie biskupie. Doktryny o Niepokalanym Poczęciu szerzyły się w całej Hiszpanii, docierając do najdalszych zakątków i najmniejszych parafii, takich jak ta w Campotéjar. Hernando i Rafaela słuchali porywających kazań o Maryi, tej samej Marjam, o której Prorok mówił, że jest najważniejszą kobietą w raju, a Koran i Sunna sławiły w Niej te same cnoty, które wychwalano w kościołach. Hernando i Rafaela, każde wedle swojej wiary, łączyli się w przywiązaniu do Dziewicy Maryi, on z szacunkiem, ona modlitewnie.

Często szukali się spojrzeniem w kościele, gdzie mężczyźni i kobiety stali osobno, a kiedy się odnaleźli, mówili do siebie oczami. Postać Dziewicy Maryi stawała się punktem łączności między ich wierzeniami, tak jak sugerowały ołowiane księgi, które przyniosły tak mizerne owoce. Jakżeby inaczej, bez wstawiennictwa Maryi, morysk i chrześcijanka zdołali uciec z Sewilli, szeptała mu Rafaela w intymności nocy. Czy bez orędownictwa Maryi u Boga byłoby możliwe szczęśliwe pożycie między wyznawcą Proroka i pobożną chrześcijanką?

Zdarzało się, że w dniach wolnych od pracy Hernando napotykał w Campotéjar konia, choćby trochę siwego, i wodził za nim oczami z nostalgią, a Rafaeli robiło się smutno i zastanawiała się, czy nie skazała go na nudne, jałowe życie z dala od książek, bez możliwości realizacji jego śmiałych projektów.

Ale właśnie wtedy, w tych dniach przymusowego świętowania, mąż dawał jej dowody na to, że dokonała trafnego wyboru. Bawił się z maluchami, Musą i Salmą, przytulał je i całował z czułością. W polu uczył ich po kryjomu liczb, arytmetyki i wszystkiego, co można było przekazać bez papieru i tabliczek do pisania. Co prawda dzieci szybko się męczyły takimi lekcjami, wołały raczej słuchać historyjek Miguela. Wieczorem małżonkowie siadywali w domu i rozmawiali o swoich dzieciach, przyszłości Amina i Lajli, którzy byli już prawie dorośli, pracy, życiu, tysiącach różnych spraw, a potem zamykali się we wspólnej sypialni, by kochać się czule i z miłością.



Tego dnia wstali o świcie, by kontynuować zbiór oliwek. Hernando poszedł obudzić chłopców, którzy spali skuleni na jednym sienniku. Zjedli skromne śniadanie i wyruszyli w pole. Szli we mgle, której słońce jeszcze nie zdążyło rozproszyć. Pracowali w milczeniu. Rafaela miała zmartwienie: wszystko wskazywało na to, że znowu zaszła w ciążę. Jak tu urodzić jeszcze jedno dziecko, wydać je na ten świat pełen nędzy i cierpienia?

Koło południa zrobili sobie przerwę, żeby coś zjeść. Wtem zobaczyli z daleka Romána, niedołęznego starca, który zawsze zostawał w osadzie, kiedy reszta mieszkańców szła do pracy. Szedł w ich kierunku powoli, pomagając sobie topornym kijem. W pewnym momencie przystanął i coś powiedział do dwóch jeźdźców, który mu towarzyszyli.

— To don Pedro! — zawołał zaskoczony Miguel na widok jeźdźców.

— A ten drugi? — zaniepokoiła się Rafaela.

— Uspokój się, don Pedro nie pozwoli nas skrzywdzić — powiedział Hernando, lecz w jego głosie też rozbrzmiewał ton trwogi.



Dwaj jeźdźcy zbliżali się półgalopem.

Hernando wstał i na wszelki wypadek postąpił kilka kroków naprzód. Uśmiech na twarzy szlachcica dodał mu otuchy, więc przywołał Rafaelę ruchem dłoni.

— Dzień dobry — przywitał się don Pedro, zeskakując z konia.

— Pokój — odrzekł Hernando, przyglądając się towarzyszowi szlachcica. Był to człowiek w średnim wieku, dobrze ubrany, choć nie na hiszpańską modłę, miał starannie przystrzyżoną brodę i przenikliwe spojrzenie. — Objeżdżasz swoje włości? — uśmiechnął się, wyciągając dłoń do don Pedra de Granada.

— Nie — odparł szlachcic, odwzajemniając powitanie mocnym uściskiem dłoni. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Rafaela przysunęła się do męża, a Miguel zajął się dziećmi, żeby nie przeszkadzały w rozmowie. — Mam dobre wiadomości.

Don Pedro wyciągnął zza pazuchy jakiś dokument i wręczył go uroczyście Hernandowi.

— Nie otworzysz? — zapytał, widząc, że przyjaciel nie bardzo wie, co zrobić. Morysk obejrzał nieufnie zalakowaną kopertę. Sprawdził pieczęć: był na niej herb królewski. Zawahał się, zadrżał. Co to może być?

— Otwórz! — ponagliła go Rafaela.

Miguel nie mógł oprzeć się ciekawości i z trudem doczłapał do nich; kule zanurzały się w miękkiej ziemi. Przybiegły też dzieci.

— Otwórz, ojciec.

Hernando odwrócił się do najstarszego syna, kiwnął potakująco głową i zerwał pieczęć. Zaczął czytać na głos:

— Don Filip, z łaski bożej król Kastylii, Leónu, Aragonii, obojga Sycylii, Jerozolimy, Portugalii, Nawary, Toledo, Walencji, Galicji, Majorki... — nieświadomie zniżył głos aż do szeptu, wymieniając tytuły Filipa III: — ...arcyksiążę Austrii... książe Burgundii... — dokończył, poruszając bezgłośnie wargami.

Nikt nie śmiał mu przerywać. Rafaela zaciskała splecione dłonie, usiłując odgadnąć cokolwiek z prawie niedostrzegalnych ruchów ust męża.

— Król... — powiedział rozemocjonowany, skończywszy czy-

tać — król osobiście wyłącza z dekretu o wygnaniu Hernanda Ruiza z Juviles i jego dzieci. Uznaje nas za starych chrześcijan i zwraca nam cały skonfiskowany majątek.

Rafaela na przemian śmiała się i szlochała, nie panując nad emocjami.

— A Gil? A diuk? — udało jej się wykrztusić.

Hernando ponownie zabrał się do czytania dokumentu, tym razem głośno i wyraźnie:

— „Tak rozkazujemy w imieniu króla grandom, prałatom, utytułowanym, baronom, kawalerom, sędziom, ławnikom i przysięgłym z miast, miasteczek i innych miejscowości, starostom, gubernatorom i wszystkim urzędnikom Jego Królewskiej Mości, obywatelom i mieszkańcom naszych królestw”.

Pokazał list Rafaeli. Nie mogła powstrzymać łez. Hernando otworzył ramiona i przytulił ją do siebie.

— Twój nowy syn urodzi się w Kordobie — zaszlochała mu do ucha.



— Jak to się udało? — spytał Hernando.

Don Pedro dał mu znak, że chciałby porozmawiać na osobności. Kiedy spacerowali we trzech pośród drzew oliwnych, przedstawił mu swojego towarzysza:

— André de Ronsard, członek ambasady francuskiej przy dworze króla Hiszpanii. Kawaler De Ronsard ma dla ciebie jeszcze jeden list.

Zatrzymali się w cieniu starego drzewa o powykręcanych konarach. Francuz poszperał pod odzieniem i wyciągnął kopertę.

— To od Ahmeda Pierwszego, sułtana Konstantynopola — oznajmił. Hernando rzucił mu pytające spojrzenie, więc Francuz pospieszył wyjaśnić: — Jak wam wiadomo, w związku z dekretem o wypędzeniu waszego ludu dużo muzułmanów znalazło się we Francji. Niestety, nasi rodacy ich okradali, maltretowali i zabijali. Było dużo ofiar śmiertelnych. Kiedy wieść o tych niegodziwościach dotarła do uszu sułtana Ahmeda, natychmiast powołał specjalnego

ambasadora przy dworze francuskim, aby ten wstawił się u króla za deportowanymi. Agi Ibrahim, bo tak nazywa się ów ambasador, wypełnił swoje zadanie, a gdy przebywał w naszym kraju, otrzymał nowe polecenie, które przekazał ambasadzie francuskiej w Hiszpanii. Chodziło mianowicie o to, aby was odszukać, pana i pańską rodzinę... Wszystko jedno, ile miałyby to kosztować. A kosztowało sporo, mogę was o tym zapewnić. — Hernando nic nie mówił, czekał na dalsze wyjaśnienia. — To wszystko, co wiem — usprawiedliwił się Ronsard — po prostu polecono mi udać się do don Pedro de Granada Venegas, który z pewnością będzie znał miejsce waszego pobytu ze względu na sprawę ołowianych ksiąg. Pragnę przekazać wam do rąk własnych list od sułtana.

Hernando otworzył list. Arabskie litery, wyraźne, kolorowe, stylizowane, które wyszły spod ręki eksperta, przejęły go dreszczem wzruszenia. Zaczął czytać po cichu. Fatima udała się do Konstantynopola, jak zamierzała, i wręczyła sułtanowi ewangelię. Ahmed I wyraża mu uznanie za obronę islamu i dziękuje za dar, lecz nade wszystko jest mu wdzięczny za podtrzymywanie ducha muzułmańskiej wiary w kordobańskim meczecie, gdzie Hernando tyle razy modlił się przed mihrabem. Kto w muzułmańskim świecie nie słyszał o tej świątyni?!

Sułtan, czytał dalej, buduje w Konstantynopolu największy meczet na chwałę Allaha i Jego Proroka. Będzie miał sześć wysokich minaretów i olbrzymią kopułę, i będzie pokryty mozaiką z miliardów niebieskich i zielonych kostek. A mimo to nowy meczet, choćby najwspanialszy, nigdy nie dorówna kordobańskiemu symbolowi zwycięstwa nad chrześcijańskim Zachodem.

Jest moim i wszystkich muzułmanów życzeniem — pisał sułtan — byś w dalszym ciągu wychwalał i słał Niezrównanego Stwórcę w murach tego najważniejszego ongiś meczetu na Zachodzie, by z Twoich ust, choćby szeptem, płynęły słowa modlitwy do jedyne Boga, a gdy Ciebie zabraknie, by robiły to Twoje dzieci i dzieci Twoich dzieci. Niech Wasze modlitwy wtopią się w echo cichych słów

tysięcy naszych braci tak samo modlących się przed laty w tamtym miejscu, aby w dniu ustanowionym przez Boga przeszłość i terażniejszość połączyły się za pośrednictwem Twoim i Twojej rodziny, co na pewno kiedyś nastąpi z pomocą Wszechmocnego.

Uczeni w sprawach religii uważają za niezbędne odnalezienie oryginału ewangelii, który, jak mówi kopista, został ukryty w czasach Almanzora. Oby nam się to udało! Oddamy wszystko za ten oryginał, jako że chrześcijanie nigdy nie uznają kopii za wiarygodną.

Twoja żona przesyła Ci najlepsze życzenia i zachęca do kontynuowania walki, którą wspólnie rozpoczęliście. Będziemy się o nią troszczyć, dopóki śmierć was znowu nie połączy.

Fatima mu przebaczyła!



Śmiech dzieci rozproszył jego uwagę. Poszukał ich wzrokiem: biegali i bawili się wśród drzew oliwnych, zachęcane pokrzykiwaniem Miguela, pod czujnym wzrokiem uśmiechniętej Rafaeli. Tak, rodzina to mój wielki sukces życiowy, przyznał w duchu Hernando. Dlaczego taka koegzystencja nie jest możliwa między dwiema nacjami? Wtem dostrzegł Mukłę, który stał nieco na uboczu, spokojny, poważny, wpatrzony w ojca. Wszystkie dzieci były jego, ale to Mukła okazał się ucieleśnieniem ośmiowiekowej muzułmańskiej historii na tych ziemiach. To on będzie kontynuował dzieło ojca.

Rafaela zdała sobie sprawę z tej szczególnej więzi między ojcem a synem i — jakby czytając w myślach męża — podeszła do Mukli, stanęła za nim i położyła mu rękę na ramionach. Chłopczyk zadowolony z bliskości matki splótł palce z jej palcami. Hernando obserwował z miłością swoją rodzinę, a potem wznosił oczy, ponad korony drzew oliwnych. Słońce świeciło wysoko, a chmury gromadzące się na pogodnym niebie na moment utworzyły dużą, białą rękę Fatimy, która zdawała się ochraniać ich wszystkich.

## Od autora

Historia arabskich mieszkańców Półwyspu Iberyjskiego w okresie od zdobycia Grenady przez Królów Katolickich do ich definitywnego wypędzenia (którego czterechsetna rocznica minęła w 2009 roku) jest jednym z licznych przykładów ksenofobii w dziejach Hiszpanii. Wymienić można choćby ataki Almanzora na hebrajczyków i chrześcijan oraz głośne wygnanie Żydów w czasie panowania Królów Katolickich. Akt kapitulacyjny podpisany przed poddaniem się Grenady zawierał bardzo korzystne warunki dla muzułmanów: zachowanie własnego języka oraz religii, zwyczajów, majątku i władz, jednakże osiem lat później kardynał Cisneros rozpoczął przymusową chrystianizację wyznawców islamu, eliminowanie ich kultury, ustanawianie nowych uciążliwych podatków, likwidację autonomii administracyjnej. Moryskowie, tak zwani nowi chrześcijanie, byli wyzyskiwani i znienawidzeni, a ich dawne prawa uległy drastycznemu ograniczeniu.

Walka zbrojna morysków w górzystym, pięknym regionie Alpuhary była rezultatem nieodwracalnego pogorszenia się ich sytuacji. Została szczegółowo opisana przez kronikarzy, takich jak Luis de Mármol Carvajala: *Historia de la rebelión y castigo de los moriscos del reino de Granada* (Historia rebelii i ukarania morysków z królestwa Grenady) i Diego Hurtado de Mendoza: *Guerra de Granada hecha por el Rey de España Don Felipe II contra los moriscos de aquel reino, sus rebeldes: historia escrita en cuatro libros* (Wojna w Grenadzie króla Hiszpanii don Filipa II z tamtejszymi moryskami, którzy się zbuntowali; historia spisana

w czterech tomach). Była to wojna, w której obie strony popełniały okrucieństwa, ale potworności morysków są lepiej znane ze względu na stronniczość chrześcijańskich kronikarzy. Jednym z nielicznych głosów na rzecz nie tyle usprawiedliwienia, ile wytłumaczenia aktów przemocy był głos hiszpańskiego ambasadora w Paryżu, który w liście cytowanym na stronie 18 podkreśla, iż cała wioska skarży się na księdza, który gwałci kobiety i dzieci rodzą się z piętnem jego niebieskich oczu, jak w przypadku bohatera powieści. Bestialstwa nie brakowało również po stronie chrześcijan. Na porządku dziennym były rzezie, takie jak w wiosce Galera, grabież i narzucanie pokonanym jarzma niewolnictwa. Należy dać wiarę wydarzeniom, takim jak śmierć ponad tysiąca kobiet i dzieci na placu w Juviles i sprzedaż tyłuż samo istot na targu w Grenadzie, o czym mówią wspomniane kroniki.

Odpowiedzialność za jatki spada głównie na oddziały żołnierzy, które nie wchodziły w skład wojsk regularnych i miały jedynie na celu wzbogacenie się. W kronikach ciągle przewijają się epizody mówiące o podziale łupów, braku innych strategii oprócz nadmiernych ambicji oraz dezercji z pola walki ludzi zadowolonych z tego, co zdobyli.

W mojej powieści starałem się stworzyć obraz konfliktów i warunków życia na terenach ogarniętych powstaniem, a także w późniejszym okresie, gdy wojska hiszpańskie pokonały morysków pozostawionych własnemu losowi przez Algierczyków i Turków. Haszysz jako środek na podniesienie wojowniczego ducha, używanie tojadu do zatruwania strzał, spadek popularności Aben Humeyi, który popadł w niełaskę z powodu nadmiernego upodobania do kobiet, pycha i zarozumiałość przysyłanych z Algieru janczarów, korsarze, skłonność niektórych z nich do młodych chłopców... to wszystko figuruje w relacjach ówczesnych kronikarzy. Obecny w mojej powieści wątek pojawienia się szabli Proroka w Al-Andalus opiera się na arabskich legendach i występuje w utworze Juana Verneta *Mahoma* (Mahomet).

Powstanie w Alpuharze zakończyło się deportowaniem granadyjskich morysków do innych królestw Hiszpanii. Podczas exodusu do Kordoby, jak w przypadku bohaterów powieści, zmarła po drodze siódma część wygnańców, o czym mówi Juan Aranda Doncel w swojej książce *Los moriscos en tierras de Córdoba* (Moryskowie na ziemiach Kordoby).

Klęska, rozproszenie morysków, ustawodawstwo o charakterze dyskryminacyjnym, które uniemożliwiało próby asymilacji, nie pomogły w rozwiązaniu problemu. Liczne memoriały i debaty z tamtych czasów zawierały przerażające wersje „ostatecznego rozwiązania”. W konsekwencji wybuchały coraz to nowe spiski, wszystkie zakończone niepowodzeniem. Szczególnie poważny był opisywany w powieści spisek w Todze, który upadł po przekazaniu dokumentów królowi Hiszpanii przez króla Anglii po śmierci Elżbiety I, także z powodu angielsko-hiszpańskiego traktatu o przyjaźni. Historyk Henry Charles twierdzi w swoim dziele *Los moriscos españoles; su conversión y expulsión* (Hiszpańscy moryskowie; konwersja i wygnanie), iż rzeczywiście doszło do wypłacenia w Pau stu dwudziestu tysięcy dukatów, które moryskowie zobowiązali się uiszczać za poparcie króla Francji dla ich powstania. Z kolei Domínguez Ortiz i Bernard Vincent w *Historia de los moriscos; vida y tragedia de una minoría* (Historia morysków; życie i tragedia mniejszości) utrzymują, iż nie osiągnięto porozumienia, niemniej jednak takie zobowiązanie i jego realizacja wydają się rzeczą pewną. Ze względów literackich zdecydowałem się na wątek z uiszczeniem zapłaty, zakładając fikcyjnie, iż pieniądze pochodziły z fałszerstw monetarnych, które były istną plagą w królestwie Walencji. W 1613 roku doszło tam do bankructwa wielu zarządów miejskich i wycofania z obiegu setek tysięcy fałszywych dukatów. O fałszerstwa oskarżono wtedy morysków. W Todze było trochę Berberów, lecz główna pomoc miała nadejść od chrześcijan, a nie z Algieru czy Porty Otomańskiej.



Cierpienia dzieci, a mówię tu o dzieciach morysków, niewinnych ofiarach tragedii, zasługują na gruntowne opracowanie. Nie brak odniesień historycznych. Po pierwsze, niewolnictwo nieletnich jako rezultat wojny w Alpuharze. Co prawda królewskie dekrety z tamtych czasów zabraniały traktować jak niewolników dzieci do jedenastego roku życia, lecz z naszego współczesnego punktu widzenia trudno uważać za dorosłych dzieci, które ukończyły jedenaście lat. Po drugie, zabieranie dzieci deportowanym moryskom i oddawanie ich rodzinom chrześcijańskim po zakończeniu wojny. Istnieją dokumenty z procesów sądowych wytaczanych przez dzieci po osiągnięciu odpowiedniego wieku celem odzyskania wolności.

Po trzeciej, sprzedaż nieletnich w niewolę po rebelii w górach walenckich (Val de Laguar y Muela de Cortes). I wreszcie po czwarte, nakaz pozostawienia w Hiszpanii dzieci do szóstego roku życia w okresie ostatecznego wypędzenia morysków. Na wieść o tym drastycznym rozporządzeniu wiele rodzin postanowiło wysłać swoje małe dzieci do Francji (wysłanie ich do Afryki było zabronione), niektórym udało się obejść dekret królewski w ten sposób, że statki z dziećmi płynące do krajów chrześcijańskich były zmuszane do zbaczania z kursu i kierowania się ku wybrzeżom afrykańskim. W powieści jest mowa, że kilkaset dzieci musiało zostać w Sewilli. W Walencji około tysiąca było na utrzymaniu Kościoła. Żona wicekróla porwała przy pomocy służby bliżej nieokreśloną liczbę maluchów, biorąc je pod swoją opiekę, bo gdyby znalazły się na „ziemi Maurów”, z pewnością wpadłyby w ręce szatana.

Wojowniczy moryskowie z Hornachos osiedlili się po wypędzeniu w korsarskiej osadzie Salé koło Rabatu, gdzie stanowili większość. W 1631 roku negocjowali z królem Hiszpanii poddanie twierdzy, ale pod pewnymi warunkami, między innymi zwrotu ukradzionych dzieci. W każdym królestwie, w każdej wiosce były rodziny, którym odebrano małe dzieci.

Jeśli chodzi o liczbę wypędzonych z Hiszpanii morysków, dane są tak różne, że nie ma sensu cytować autorów broniących tej czy innej tezy. Za najbardziej prawdopodobną można uznać, opierając się na Domínguezie i Vincencie, liczbę trzystu tysięcy osób. Jednocześnie większość autorów zajmujących się tym tematem (Janer, Lea, Domínguez i Vincent, Caro Baroja...) opisuje masakrę morysków po przybyciu do Afryki. Niektórzy twierdzą, że prawie jedna trzecia deportowanych z Walencji padła ofiarą morderstw dokonanych przez Berberów. Jako źródło wskazują *Relaciones de las cosas sucedidas en la corte de España desde 1599 hasta 1614* (Relacja z wydarzeń na dworze Hiszpanii od 1599 do 1614 roku) Luisa Cabrera de Córdoba, kronikarza Filipa III, który napisał: „...i są tak oburzeni [moryskowie] złym traktowaniem i krzywdami, jakich przybysze z Walencji doznali w Berberii, gdzie zginęła trzecia część tychże, przeto teraz mało kto chce tam wyjechać”. Tymczasem król Filip uznał operację za sukces i z okazji małżeństwa swojego faworyta diuka de Lerma z hrabiną de Valencia podarował mu sto tysięcy dukatów z dóbr morysków.

Po pierwszym wypędzeniu nastąpiła seria edyktów nakazujących



deportację ukrywających się morysków i tych, którzy wracali do Hiszpanii. Można ich było bezkarnie zabić lub wziąć w niewolę. Edykty o wypędzeniu wydane w poszczególnych królestwach różniły się w treści, lecz w gruncie rzeczy były to nieznaczne różnice. W powieści wykorzystałem jeden z pierwszych edyktów ogłoszony w królestwie Walencji.

Do ciekawych wyjątków należy uchwała rady miejskiej Kordoby z 29 stycznia 1610 roku skierowana do króla z prośbą o pozwolenie na pozostanie w mieście dwóch starych, bezdzietnych morysków zatrudnionych jako masztalerze, co byłoby „z pożytkiem dla stadniny królewskiej”. Nie mam pojęcia, czy gdziekolwiek indziej były podobne uchwały i jaka była odpowiedź Jego Królewskiej Mości na prośbę kordobańskich rajców.



W 1682 roku, po śmierci arcybiskupa don Pedra de Castro, papież Innocenty XI uznał za fałszywe ołowiane księgi z Sacromonte i zwój pergaminu z wieży Turpiana. Jednakże Watykan nie wypowiedział się na temat relikwii, których autentyczność Kościół Grenady potwierdził w 1600 roku i które w dalszym ciągu otacza się czcią. Podobnie rzecz się ma w sytuacji bohatera powieści: dokumenty stwierdzające, że ta czy inna kość należy do konkretnego męczennika Watykan uznał za fałszywe, lecz relikwie, których wiarygodność opierała się na tych właśnie dokumentach — bo niby skąd wiadomo, że prochy znalezione w opuszczonej górskiej kopalni to szczątki świętego Cecylia albo świętego Tesifonte? — uchodziły za autentyczne, wspierane autorytetem Kościoła Grenady.

Obecnie większość badaczy zgadza się co do tego, że ołowiane księgi i zwój pergaminu z wieży Turpiana zostały sfałszowane przez hiszpańskich morysków w desperackiej próbie połączenia obu religii, ukazania wspólnych więzów, aby zmienić wizerunek muzułmanów w percepcji chrześcijan bez konieczności rezygnowania z dogmatów wiary.

Za twórców tej konfabulacji prawie jednomyślnie uważa się lekarzy i oficjalnych tłumaczy z języka arabskiego Alonsa del Castillo i Miguela de Luna, który napisał *Verdadera historia del rey Rodrigo* (Prawdziwa historia króla Rodryga) zawierającą pozytywną wizję inwazji arabskiej na półwysep i współżycia chrześcijan z muzułmanami. Udział w tym wszystkim Hernanda Ruiza jest fikcją, ale nie w wypadku don Pedra de

Granada Venegas, który figuruje w różnych opracowaniach na ten temat i który zamienił swój herb szlachecki, owo zwycięskie *Lagaleblila* — *wa la ghalib illa Allah* — Nasrydów na chrześcijańskie *Servire Deo, regnare est*. W 1608 roku na krótko przed wypędzeniem ukazała się książka magistra Pedrazy, *Antigüedad y excelencias de Granada* (Starożytność i świetność Grenady), opiewająca nawrócenie muzułmańskiego księcia Cidiyaya, przodka don Pedra, który miał cudowne objawienie krzyża unoszącego się w powietrzu. Wielu szlachetnie urodzonych muzułmanów, podobnie jak ród Venegas, w taki czy inny sposób próbowało zasymilować się ze środowiskiem chrześcijan.

Związek między ołowianymi księgami i ewangelią Barnaby, teza postawiona przez Luisa F. Bernabé Pons w *Los mecanismos de una resistencia: los Libros Plúmbeos del Sacromonte y el Evangelio de Bernabé* (Mechanizmy oporu: ołowiane księgi z Sacromonte i ewangelia Barnaby) oraz w *El Evangelio de san Bernabé. Un evangelio islámico español* (Ewangelia według świętego Barnaby. Muzułmańska ewangelia z Hiszpanii) opiera się na odkryciu w 1976 roku fragmentów kopii z XVIII wieku rzekomego oryginału w języku hiszpańskim, o którym istniały wcześniejsze wzmianki pisane, zwłaszcza tunezyjskie. Wspomniana kopia jest przechowywana na uniwersytecie w Sidney. Ta nowoczesna teoria stawiałaby jednak pod znakiem zapytania to, że ołowiane księgi miały wyłącznie na celu synkretyzm religijny między chrześcijaństwem i islamem. Wydaje się rzeczą logiczną, iż autorzy Niemej Księgi Matki Boskiej, której treść — co wynika z prologu i z innej, czytelnej, księgi — została rozpowszechniona przez jednego z władców muzułmańskich, przewidywali pojawienie się nowego dzieła, chociaż nie ma pewności, że tak się stało. Pozostaje w sferze hipotez, czy tym nowym dziełem była lub nie ewangelia Barnaby wykazująca liczne podobieństwa z ołowianymi księgami. Nie jest natomiast spekulacją myślową, lecz owocem wyobraźni autora, związek między ewangelią i fikcyjnym egzemplarzem uratowanym z płomieni wspaniałej biblioteki kalifów w Kordobie podpalonej z rozkazu Almanzora, co, niestety, było faktem, podobnie jak tyle innych barbarzyńskich pożarów, które smutno zapisały się w historii ludzkości jako przykład tego, że wiedza pada ofiarą gniewu fanatyków.

Prawdą jest również to, iż prowadzono badania nad martyrologią

chrześcijan w Alpuharze, chociaż później, niż miałyby to wynikać z powieści: pierwsze poczynania tego rodzaju, o których poinformował arcybiskup Pedro de Castro, pochodzą z 1600 roku. W aktach z Ugijar (1668) opisujących najwięcej zbrodni na chrześcijanach popełnionych w Alpuharze pojawia się chłopczyk o imieniu Gonzalico, który powiedział przed swą męczeńską śmiercią, że to „ładnie” poświęcić się dla Boga. Figurujący w tej powieści opis wyrywania serca pojawia się często w kronikach Mármola jako przykład szczególnego znęcania się morysków nad chrześcijanami.



Kordoba to cudowne miasto i dlatego jest największym zespołem zabytkowym wpisanym przez UNESCO na Listę Światowego Dziedzictwa Ludzkości. W niektórych miejscach można, puszczając wodze wyobraźni, przenieść się w pełną świetności epokę muzułmańskiego kalifatu. Jednym z nich jest niewątpliwie meczet katedra. Nie da się stwierdzić z całą pewnością, że cesarz Karol rzeczywiście wypowiedział przypisywane mu słowa na widok przebudowy meczetu, którą sam zatwierdził: „Nie wiedziałem, co tu było, gdyż nigdy bym nie pozwolił, żeby to naruszono, albowiem zniszczyliście coś, co było jedyne na świecie, i budujecie coś, co można zobaczyć wszędzie”. Prawdą jest, że katedra wciśnięta w las kolumn dawnego meczetu stanowi prawdziwe dzieło sztuki. Z pewnością światło muzułmańskiej świątyni zostało przyćmione, linearność uległa zachwianiu i zmieniła się atmosfera, lecz mimo wszystko jest to wciąż budowla kalifów. Dlaczego jej nie zniszczono jak tyle innych meczetów, z których wyrosły chrześcijańskie kościoły? Pomijając interesy rajców i szlachty, warto tu wspomnieć, iż rada miejska uchwaliła karę śmierci dla tych, którzy chcieliby kontynuować prace budowlane w katedrze.

Z alkazaru chrześcijańskich królów pozostały ruiny, zniknęły dawne cele inkwizycji wokół dziedzińca. Ale zachował się inny budynek z tamtych czasów: stajnie królewskie, gdzie Filip II postanowił — i udało mu się — stworzyć nową rasę koni dworskich, rasę, która dziś jest powodem do chwały i znakiem firmowym hodowli koni w tym kraju.



Ręka Fatimy (*chamsa*) jest to amulet w kształcie dłoni o pięciu palcach, które wedle pewnych teorii reprezentują pięć filarów wiary: wyznanie wiary (*szahada*), modlitwę odprawianą pięć razy dziennie (*salat*), jałmużnę (*zakat*), post w miesiącu ramadan (*saum*) i pielgrzymowanie do Mekki przynajmniej raz w życiu (*hadżdż*). Amulet ten występuje również w tradycji judaistycznej. Nie czas ani miejsce na dyskusje o jego pochodzeniu i tym bardziej o skuteczności amuletów. Jak wynika z poważnych badań, całe ówczesne społeczeństwo, nie tylko moryskowie, używało amuletów i wierzyło w czary i magię. Już w 1526 roku zarząd Kaplicy Królewskiej w Grenadzie zabronił złotnikom robienia, a moryskom noszenia rąk Fatimy, podobne zasady ustanowiono na synodzie w Guadix w 1554 roku. W architekturze muzułmańskiej jest wiele przykładów ręki Fatimy, ale do najbardziej reprezentacyjnych w kontekście tej książki należy niewątpliwie rzeźba pięciu wyprostowanych palców dłoni na kamiennym klincu pierwszego łuku Bramy Sprawiedliwości, która prowadzi do granadyjskiej Alhambry i pochodzi z 1348 roku. A zatem pierwszym symbolem, jaki napotyka turysta zwiedzający ten wspaniały zabytek Grenady, jest ni mniej, ni więcej, tylko ręka Fatimy.



Nie mógłbym zakończyć posłowania bez podziękowania osobom, które w ten czy inny sposób pomogły mi i doradzały przy pisaniu tej powieści, a zwłaszcza mojej redaktorce Anie Liarás. Jej osobiste zaangażowanie, rady i praca miały nieocenioną wartość. Słowa uznania należą się także całemu personelowi wydawnictwa Random House Mondadori. Oczywiście pragnę wyrazić wdzięczność pierwszej czytelniczce — mojej żonie, niestrudzonej towarzyszce życia, a także czwórce moich dzieci, które z uporem przypominają mi, że są jeszcze inne sprawy oprócz pracy. Im dedykuję tę książkę napisaną w hołdzie wszystkim dzieciom, które cierpiały i niestety w dalszym ciągu cierpią tylko dlatego, że nie jesteśmy w stanie rozwiązać problemów naszego świata.

Barcelona, grudzień 2008

## Spis treści

I W imię Allaha . . . . .	9
II W imię miłości . . . . .	275
III W imię wiary . . . . .	559
IV W imię naszego Pana . . . . .	755
Epilog . . . . .	925
Od autora . . . . .	935